TOM II.



Encyklopedyja Humoru

zawierająca

NAJCELNIEJSZE utwory HUMORU LUDZKIEGO.

Redakcyja i Nakład M. Wetowskiego

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, Ноября 14-го дня 1890 года.

Drukiem A. PAJEWSKIEGO, ulica Niecała Nr. 12 (nowy) w Warszawie.

ENCYKLOPEDYJA HUMORU.

Tom II-gi.

J — M



Jabłko.

* Gdy Newton widział jabłko spadające
Z drzewa, wyrwany z swojej kontemplacyi,
Znalazł, czego się ludzkiej przez tysiące
Lat nie udało znaleźć kalkulacyi —
Prawdę, że ziemia to jest wirujące
Ciało powszechnej prawem grawitacyi.
I to jedyny jest w świecie przypadek,
Że człeka wzniosło jabłko i upadek.
Przez jabłko runął człek, przez jabłko wstaje,
(Jeżeli runął)—a uważać trzeba,
Jak Izaak Newton wszedł w bezdrożne kraje
I z praw, dobytych z dziewiczego nieba,
Na dolę ludzką balsamu dostaje.
Odtąd płodna jest wynalazków gleba,
Człowiek maszyny nowe ciągle kleci
I wkrótce parą do księżyca wzleci.

Byron.

Jagnięta.

* Małoletnie owce, które skutkiem odpowiedniego dozoru i żywienia rzadko kiedy dochodzą do pełnoletności.

Jaja.

* *Kobyle jaje.*

Od Kostrzyna (Siekierki).

W czasie, kiedy się Niemcy zaczęli wprowadzać do Polski i wykupywali ziemię, jeden z nich, holender, okupił się we wsi i pojechał na targ do miasteczka. Ujrzawszy tam ogromnej wielkości *korbal* (dynię), zapytał chłopa filuta: „Co to jest?“ —On mu na to, że: „to jest kobyle jaje.“ — Niemiec pyta: „Cóż z tem zrobić?“ — Chłop mu mówi, że trzeba na tem cztery tygodnie bez przerwy siedzieć, a wylęgnie się źrebak, a za rok będzie miał konia.—Po długich targach zapłacił niemiec chłopu kilka talarów za korbala.

Przyszedłszy do domu, wyśmiał chłopka polskiego, że mu za tak tanie pieniądze pozbył rzecz tak kosztowną. Nastąpiła narada z żoną, gdzie on ma odsiadywać na tem jaju. Żona doradziła, że najlepiej w zbożu, w polu, na jego własnym płusie czy roli, gdyż w domu na to miejsca nie było i aby sąsiedzi nie zazdrościli, bo wtedy niby się nie wylęgło. Jak uradzili, tak się i sta-

ło. Żona mu tam nosiła wasser-zupki, kartofel-zupki, a ku końcowi, gdy osłabł, kluski z owocem, wieprzowinę i przez lepsze też pożywienie stał się nieco otylszym, ale i cięższym przy braku ruchu; — jednak był zadowolony ze swego położenia, ciesząc się na oczekiwanego źrebaczka.

Dziedzic tameczny wyprawiał właśnie polowanie dla swoich gości i psy jego pogoniły w stronę, gdzie Niemiec odsiadywał owe rekolekcyje. Dziedzic tuż za psami zobaczywszy zająca, wystrzelił i ubił go; — a że to było tuż obok owego Niemca, a korbal pod nim był już nadgniły, więc mój Niemiec, zląkłszy się, upadł na ziemię; — i wtem ujrzał, że zając pada tuż obok niego. Więc załamał ręce i woła w najwyższej rozpaczy: „Moje *zibie*, moje *zibie!*“ (źrebię) —a dziedzic mu na to: „Et, głupi jesteś: przecieć to *zając*“. A niemiec, rozumiejąc, jakoby on mówił o zajęciu, mówi doń: „Ej, to było panu zająć, ale nie zastrzelić pif! paf!“

(Znana i w Warszawie dykteryjka, gdzie znów mowa o Francuzie. Takąż samą opowiadają o góralach ich mazurscy sąsiedzi).

* *Historyja* o *dwóch jajkach na miękko.*

Powiedział mi wczoraj jeden człowiek „od pendzla,“ że świat staje się niemożliwym. Gdym go wypytywał o przyczynę tej niemożliwości, splunął, potrząsnął długiemi włosami i odszedł.

Słowa jego męczyły mnie, jak zmora przez noc całą. Nad ranem znalazłem ich rozwiązanie. Świat staje się niemożliwym, gdyż ludzie wzięli rozbrat z poezyją. Poezyja jest doskonalszą przyprawą życia, niż imbier flaków gospodarskich. Ona czyni słodszemi karmelki i dodaje niezrównanego wdzięku inseratom kupców i restauratorów; życie bez poezyi jest niemożliwością, tak samo, jak jest niemożliwością sałata bez octu i oliwy.

W jakich-że to czasach żyjemy! Romeo, korzystający z roztargnienia policyjanta, wdziera się na balkon nie po to, żeby skraść pocałunek z gorących ust Julii, lecz żeby *skraść*, w literalnem tego słowa znaczeniu, zegarek, portmonetkę lub kilka sztuk używanej garderoby. O mizeryjo!

A czy sądzicie, że poeci, owi „kochankowie księżyca“, opierają się powszechnemu prądowi? Gdzietam! Jeden pracuje w biurach kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, drugi kupczy domami, trzeci myśli o założeniu restauracyi. Znam nawet takich, którzy się żenią!

W podobnym stanie rzeczy jakąż rozkosz sprawia sercu wrażliwemu spotkanie się z najdrobniejszym choćby objawem poezyi w życiu. Spotkanie takie ma powab pierwszej schadzki z kochanką.

Wymknął mi się z pod stalówki wyraz: kochanka. Jest to dziś tylko wyraz, nic więcej. Niema na świecie kochania, niema przeto i kochanek. Wszelkie tak zwane „uniesienia“ miłosne stanowczo wyszły z mody. Nikomu dziś miłość nie sprawia szybszego bicia serca, ani bólu głowy. Mężczyzna przystępuje do kobiety i mówi, ziewając:

— W braku czegoś lepszego zabawmy się w kochanie.

A kobieta odpowiada po namyśle:

— Zgoda, ale pod warunkiem, że wprzód przetrącimy co gorącego, bo miłość naczczo jest wielce niezdrowa.

Na liście moich niewieścich znajomości niema ani jednej kobiety, którąby zdolną była przez miłość i dla miłości zrobić ofiarę choćby z koniuszczka różowego paznokietka.

A jednak zdarzały się dawniej kobiety, które miłość wtrącała do grobu. Nie chcę cytować wielkich przykładów historycznych, bo na szczęście posiadam w ręku dokument, który stwierdza, że jedna z takich kobiet żyła lat temu kanaście, a może i kilka tylko...

Dokumentem tym jest list. Jaką drogą stał się on do rąk moich, nie pytajcie. Przez go i do kogo pisany, oto mniejsza. Zamieszczam go w całości, celem pocieszenia wszystkich s uczuciowych a cierpiących.

Do pani Wandy ....skiej.

„Przypominasz pani sobie ten dzień, w którym jeden z naszych wspólnych przyjaciół rozstawał się na zawsze z kawalerską swobodą?

Uczta weselna była jedną z najprzyjemniejszych uczt, w jakich kiedykolwiek brałem udział. Zakończyła się ona balem, podczas którego miałem szczęście przetańczyć z panią kilkanaście kontredansów. W przerwach pomiędzy figurami tego spokojnego tańca rozmowa nasza przybrała odcień trochę sentymentalny. Jakże bo trudno, rozmawiając z młodą i piękną kobietą, uniknąć przedmiotów sentymentalnych!

Ośmieliłem zapytać się:

— Czy pani już kiedy kochała?

W odpowiedzi oczy pani zapłonęły dziwnym ogniem, a lica poczęły rumienić się i blednąć naprzemiany. Przysunąłem się i zobaczyłem dwie duże łzy, perlące się w pani źrenicach. Ale jednocześnie milczałaś pani.

Przyszło mi na myśl, że przez to zapytanie niedyskretne wzbudziłem w pani sercu jakieś wspomnienia bolesne... a może byłaś pani kiedy ofiarą silnej a nieszczęśliwej namiętności.

Przeklinałem w duchu moją niepotrzebną ciekawość, kiedy nagle usłyszałem zapytanie:

— Dlaczego pan pytasz o to? Co ci z tego przyjdzie? Powiedz lepiej, czyś sam kochał już kiedy?

— Ileż razy!— odpowiedziałem bez namysłu.

— Ah! to zanadto... Ale kiedy i w jakich warunkach przechorowałeś pan pierwszą miłość?

W tej chwili zagrzmiała orkiestra, przeszkadzając nam w rozmowie, a w kilka minut później opuściłaś pani bal, wspierając się na ramieniu swego męża.

— Czy przyrzekasz mi pan napisać to, czegoś nie zdążył powiedzieć? - spytała pani, mijając mnie, a ja odpowiedziałem: przyrzekam.

Dziś właśnie dotrzymuję danego słowa.

. . . .

Miałem wówczas lat ośmnaście i serce wcale jeszcze nieużywane, które pragnąłem oddać w całości pierwszej lepszej kobiecie – blondynce lub brunetce — gotowej zapłacić mi za to wzajemnością.

Nie będąc bogatym — a i dziś nim nie jestem—jadałem w pewnej drugorzędnej restauracyi, gdzie przychodziły kobiety w towarzystwie mężów.

Pewnego dnia zauważyłem tam śliczną blondyneczkę; nie dużą, pulchną, drobną, która wydała mi się cherubinem z Rafaelowego obrazu.

Nazajutrz byłem już w niej trochę zadurzony.

Trzeciego dnia kochałem ją naprawdę.

Czwartego—szalałem za nią.

Piątego... nie przyszła do restauracyi.

Jedna tylko okoliczność wydawała mi się dziwną i nienaturalną w tej idealnej istocie.

Oto: miała ona zawsze szalony apetyt. Nie wyobrazi sobie pani, jak wielkę ilość potraw wszelkiego rodzaju mogła ona pochłonąć na jednem posiedzeniu.

Jadła wszystko, co jej podano, ale szczególną namiętność okazywała do jaj na miękko.

. . . .

Gdy nie spotkałem jej w zwykłem miejscu, smutek wielki opanował duszę moją.

Postanowiłem dowiedzieć się o losach tej, którą ukochałem całą siłą młodego, namiętnego serca.

— Michale!—odezwałem się pewnego dnia do służącego z restauracyi — co się stało z tą młodą blondynką, która zawsze siadała przy tamtym stole pod lustrem?

— Z panną Dorotą?

— Tak.

— Słaba jest i codziennie noszę jej śniadanie do domu.

— Ah! bywasz u niej codziennie!... Jak to się dobrze składa! Czy wiesz, Michale, że możesz mi ocalić życie?... Potrzebujesz jedynie zanieść pannie Dorocie bilecik, który zaraz napiszę...

— To być nie może. Panna Dorota mieszka z opiekunem, który z niej nigdy oka nie spuszcza.

— Cóż więc począć?

— Czy ja wiem! — mruknął garson gburowato.

Przez cały dzień i przez noc całą łamałem głowę nad wymyśleniem sposobu, w jaki możnaby ślicznej Dorotce przesłać liścik miłosny. Nareszcie znalazłem go...

— Michale — rzekłem nazajutrz do służącego — za każdym razem, jak będziesz zanosił pannie Dorocie śniadanie, wsuniesz ostrożnie w jedno z jaj maleńki bilecik, jaki ci doręczę.

I w istocie każdego rana na małym skrawku papieru wypisywałem maczkiem najognistsze wyznania miłości, poczem zwijałem papier w trąbkę i przez nieznaczny otwór w skorupie jajka wsuwałem list mój do środka.

Codziennie także wypytywałem Michała:

— No i cóż, dała ci dziś odpowiedź?

A garson odpowiadał zawsze jednakowo, jak pozytywka:

— Nie, nie dała.

W kilka dni później — pamiętam, jakby to dziś było — niebo oblokło się szaremi chmurami i na miasto padła mgła posępna...

Natura przywdziała żałobne szaty — szaty, które serce moje oddawna już nosiło...

Przez ulicę niesiono trumnę na marach...

W trumnie tej spoczywała Dorota.

. . . .

— Z czego umarła? — spytałem jednego z lekarzów, którzy jej przed śmiercią dozorowali.

— Zdaje się, że z niestrawności. Ponieważ jednak zmarła nagle, przeto ciało jej poddane będzie badaniu lekarskiemu.

Jako student medycyny potrafiłem dostać się do miejsca, w którem kompanija sądowo-lekarska odbywała swe smutne czynności.

Nie mogłem patrzeć, jak krajano bezlitośnie ciało mojej kochanki, zakryłem więc oczy i wcisnąłem się w najciemniejszy kąt pokoju.

Nagle odezwały się krzyki zdziwienia:

— To zadziwiające!

— Osobliwe!

— Niesłychane!

Krzyki te wydawali lekarze, a za nimi powtarzali je wszyscy zebrani w sali.

Wyszedłszy z kąta, poznałem przyczynę tych krzyków.

W żołądku mojej biednej Doroty znaleziono wszystkie listy miłosne, jakie przesyłałem jej w jajkach na miękko!...

. . . .

Dorota jest pierwszą kobietą, która umarła z miłości.

Moja pierwsza miłość, jak pani widzisz, była zbrodniczą!"

Fantazy. (p. I I s. 177)

Jakub.

Kiedy raz zasnął Jakub, syn Izaaka,
Pan Bóg mu we śnie pokazał drabinę,
A tej drabiny długość była taka,
Że aż w błękitów sięgała krainę...
— Zdumiał się Jakub: „Na co też potrzeba
Drabiny długiej od ziemi do nieba? ..“

I gdy tak Jakub głowę sobie suszy,
Roztworzyły się podwoje błękitu
I jasny orszak aniołów wyruszy,
Schodząc na ziemię z drabiny tej szczytu...
— Zdumiał się Jakub: „Na co im się szastać
Po tej drabinie, kiedy mogą latać?...“

A gdy tak Jakub w domysłach się gubi,
Aniołów tłumem roją się lazury,
A ci, co zeszli już na dół Cherubi,
Znowu po szczeblach drapią się do góry...
— Zdumiał się Jakób, w domysłach mózg trac
„Na co ta męka?... Kto im za to płaci?...“

A gdy tak Jakub suszy sobie głowę,
Patrzy: a oto żydowskie bachury
Wstępują śmiało na szczeble dębowe
I zaczynają drapać się do góry...
— Zdumiał się Jakub, sobie nie dowierza:
„Pewno chcą kupić u aniołów pierza?...“

A gdy tak Jakub głowę sobie łamie,
Coraz to nowy rój żydów naciera;
Trzymając siebie wzajem po pod ramię,
Czerń ta aniołów z drabiny wypiera...
— Zdumiał się Jakub: „*Aj waj!*—blady jęknie –
Ostrożnie, dzieci, bo drabina pęknie!...“

A gdy tak Jakub trwoży się i biedzi,
Szturmuje szczeble cała Zarwanica
I coraz więcej naciera gawiedzi;
Tamten dogryza chłopa, ów szlachcica...
— Zdumiał się Jakub: „*Aj waj!*—jęczy w stra- [chu—
Będziecie widzieć, że przyjdzie do *Krachu!*...“

A gdy tak Jakub troszczy się i lęka,
Drapie się w górę lichwiarska czerniawa
Coraz to wyżej... drabina nie pęka,
Mimo fizyki odwiecznego prawa...
— Ocknął się Jakub ze snu i tak rzecze:
„Zaprawdę, Pan ma nad mym ludem pieczę!...“

I chwalił Pana Jakub w *Nowej Pressie*,
Ślubując sojusz wieczysty rządowi,
Który dał żydom na lichwę koncesyję
I błogosławił onemu krajowi,
Gdzie wilków strzygą, a owieczki dławią,
I nazwał miejsce one... Cislitawiją!...

Szczutek.

Jałmużna.

* Malherbe nie należał do pobożnych, ale był ludzkim i często obdarzał biedaków, lecz gdy mu który z nich dziękował i przyrzekał wstawić się za nim do Pana Boga, zawsze odpowiadał: — „Nie trudź się kochanku, nie sądzę, żebyś miał jakie wpływy w niebie, skoro cię tak opuszczono na świecie“.

Improvisateur français.

Ja nie wiem.

* *Ja nie wiem—ale być może.*
Ten temu rzekł: jesteś cielę.
A ten mu: barania głowa.
Ruszyli się przyjaciele,
Gwałtu! sprawa honorowa!
Pojedynek!... naturalnie.
Poszli. Gdzie? jak? o to mniejsza,
Mniejsza również, kto tam palnie
Kogo w łeb i razy ile;
To jednak rzecz szczególniejsza,
Że obie strony, niestety!
Nie pomyślały na chwilę,
Czy też owe epitety,
Nie są na miejscu, broń Boże!
Ja nie wiem—ale być może.

Rodoć. (p. t. I s. 125).

Jan Kazimierz.

* Stał obóz między Rawą a między Głuchowskiem, dziedziczną wsią Sułkowskiego; królestwo zaś stali w kolegijum u jezuitów. Utęskniło się też królowi na miejscu i mówi do swoich: „Nie byłoby też tu gdzie przejechać się do szlachcica którego, bo już mi się uprzykrzyło na jednem miejscu kilka niedziel siedzieć“. Rają mu to tu do tego, to ówdzie do owego, o dwie, o trzy mile od miejsca. Król rzekł: „Ale ja chcę blisko kędy, żeby powrócić na wieczerzę“. Ozwie się ktoś: „Jest tu, miłościwy królu, szlachcic polityczny, pan Sułkowski, zaraz pod obozem mieszka, będzie rad Waszej K. Mości“. Kazał się tedy król nagotować i pojechał z królową. Nie wiemy o niczem, pijemy piwo, gramy w karty, (bom i ja był u pana Sułkowskiego, gdyż to dobry przyjaciel ojca mego i mój, i żołnierzów też kilkunastu), aż tu wchodzi sługa i mówi: „Królestwo Ich Mość do W. M. Pana jadą i pytają, jeżeli w czem nie przeszkodzą“? Porwie się gospodarz: „Będę rad Panu memu miłościwemu, proszę i z ochotą czekam“. Słyszę jednak, że sama pani rzekła: „Będęć ja tobie rada! dyjabeł w tobie, poczekaj jeno!“; ale nie wiedzieli, na co to mówiła. Powypadali tedy wszyscy, a król jeszcze był opodal. Skoro już wjeżdża we wrota konno, a królowa jeszcze karetą na zadzie była, aż mię pyta Sułkowska: „Mój złoty, pokaż-że mi, który to tu król, bo ja go jeszcze nie

znam; wiem, że po niemiecku chodzi, ale to tu kilku Niemców, nie wiem który". Ja tedy nie wiedząc, na co pyta, powiadam jej, że „ten to, co między tymi dwoma na takim koniu". Dopiero owa, zbliżywszy się przeciwko niemu, klęknie, a ręce złożywszy i ku niebu podniósłszy, mówi: „Panie Boże sprawiedliwy!" (Król, co już miał zsiadać z konia, zatrzymał się), „jeżeli kiedykolwiek różnemi plagami karałeś złych i niesprawiedliwych królów, wydzierców, szarpaczów, krwi ludzkiej niewinnej rozlewców, dziś pokaż sprawiedliwość swoję nad królem Janem Kazimierzem, ażeby pioruny na niego z jasnego nieba trzaskały, żeby go ziemia żywo pożarła, żeby go pierwsza kula nie minęła, żeby wszystkie owe plagi, które dopuściłeś na Faraona, jego dotknęły za te wszystkie krzywdy, które my ubodzy ludzie i całe królestwo cierpimy". Mąż jej gębę zatyka, a ona tem bardziej mastykuje [1]). Król nazad do wrót; gospodarz skoczy, prosi, strzemienia się chwyta, a król mówi: „Żadnym sposobem, złą macie żonę, panie, nie chcę, nie chcę!" Pojechał, a spotkawszy się z królową, rzekł: „Nawracaj, nic tu po nas". Gdy królestwo przyjechali do Rawy, król w śmiech, królowa zaś w gniew, mówiąc: „Oj! kazałabym ją tak!" Król rzekł: „Nie trzeba tak, niech się ukrzywdzony przynajmniej tem ucieszy, że się nagada; ale dlaboga, niech kto oznajmi Lubomirskiemu, żeby się z nami przeprosił, boć już nas o tę wojnę i baby konfundują".

Owa tedy baba była taka rezolutka, że nałajawszy królowi, przyjechała do niego nazajutrz i prosiła o audyjencyję, kazawszy o sobie powiedzieć: „że ta szlachcianka, do której domu król JMść nie chciał z konia zsieść, prosi, żeby się mogła pokłonić". Król był tak poczciwy, że ją zaraz kazał puścić. Omówiła się, że to musiała uczynić z żalu, mając szkody poczynione, a najbardziej żaliła się o brzezinę, którą sobie miała za wirydarz [2]) zaraz pode dworem, a wycięto ją na szałasy do obozu. Dopiero król rzecze: „A otóż ja wam dam, moja pani, przywilej taki, że wam koniecznie za sześć albo siedm lat wróci się taka druga brzezina, a teraz ją wam każę zapłacić, tylko nie bądźcie tak złą". Kazał tedy babie dać 2000 złotych, a onaby za tę brzezinę, choćby ją w Rawie na targu przedała, ledwie 50 złotych była wzięła, bo tam nie wielki tego był wicherek.

Pamiętn. Jana Chryzost. Paska. (p. t. I s. 199).

Jan imię.

* Patrzaj jak wiele imion masz z jednego Jana:
Janusza i Janusa, Iwana, Isztwana,
Janka, Jaśka, Jasinka, Jacha i Jasiątko —
Jeden ród: wołek, ciołek, krówka i cielątko.

Jan Kochanowski. (p. t. I s. 14).

Janek.

* Było sobie niegdyś w szkole
Piękne dziecię, zwał się Janek.
Czuł zawczasu bożą wolę,
Ze starymi suszył dzbanek.
Dobry z niego byłby wiarus,
Bo w literach nie czuł smaku;
Co dzień stary bakalarus
Łamał wierzby na biedaku,
I po setnej, setnej próbie,
Rzekł do matki: „Oj kobieto!
Twego Janka w ciemię bito,
Nic nie wbito — weź go sobie!..."
Biedna matka wzięła Jana,
Szła po radę do plebana.
Przed plebanem w płacz na nowo;
A księżulo słuchał skargi
I poważnie nadął wargi,
Po ojcowsku ruszał głową.
Wysłuchawszy pacierz złego:
„Patrz mi w oczy, rzekł do żaka,
„Nic dobrego! nic dobrego!"
Potem hożą twarz pogładził,
Dał opłatek i piętaka,
I do szewca oddać radził...
Jak poradził, tak matczysko

[1]) Mastykować=zębami żuć, kąsać.
[2]) Ogród.

I zrobiło... Szewc był blizko...
Lecz Jankowi nie do smaku
Przy szewieckiej ślipiać igle.
Dyabeł mięszał żółć w biedaku,
Śniły mu się dziwy, figle;
Zwyciężyła wilcza cnota,
Rzekł: w świat pójdę o piętaku!
A więc tak jak był—hołota,
Przed-terminem rzucił szewca,
I na strudze do Królewca
Popłynął...
Jak do wody wpadł i zginął...
Matka w płacz, łamała dłonie;
A ksiądz pleban na odpuście
Przeciw dziatkom i rozpuście
Grzmiał jak piorun na ambonie:
W końcu dodał... „Bogobojna
„Trzódko moja, bądź spokojna,
„Co ma wisieć, nie utonie".
Mały Janek gdzie się chował
Przez rok cały, zgadnąć trudno.
Wsiadł na okręt i żeglował,
I na jakąś wyspę ludną
Przypłynąwszy—wylądował...
Owdzie król przypłynął drogą;
Jaś pokłonił się królowi
I dworzanom i ludowi;
A kłaniając, szastał nogą
Tak układnie, że król stary
Włożył na nos okulary.
I wnet tymże samym torem,
Dwór za królem, lud za dworem,
Powkładali szkła na oczy...
Owóż król ten posiadł sławę,
Jakoby miał wzrok proroczy;
I choć stracił oko prawe,
Tak kunsztownie lewem władał,
Że człowieka zaraz zbadał,
Na co mierzy, na co zdatny.
Czy zeń ma być rządca kraju,
Czy podstoli, czy też szatny...
Lecz tą razą, wbrew zwyczaju,
Król pan oczom nie dowierza,
Czy żak Janek na tancerza,
Czy na rządcę dobry kraju?
Więc zapytał: „Mój kochanku,
„Jak masz imię?"
„Janek".
„Janku,
„Cóż ty umiesz?"
„Psom szyć buty".
„A czy dobrze?"
„Oj tatulu!
„Czyli raczej, panie królu!
„Jak szacuję, ręczyć mogę,
„Że but każdy ostro kuty,
„I na jedną zrobię nogę,
„Czyli raczej na łap dwoje...
„To na zimę.—Z letnich czasów
„But o jednym szwie wystroję,
„Na opłatku, bez obcasów;
„A robota takiej wiary,
„Że psy puszczaj na moczary,
„Suchą nogą przejdą stawy".—
„Masz więc służbę, złotem płacę",
Rzekł do Janka pan łaskawy
I za sobą wiódł w pałace.
A gdy dzień zaświtał czwarty,
Szły na łowy w butach charty;
A szewc chartów w aksamicie
Przy królewskiej jechał świcie;
Złoty order miał na szyi,
W trzy dni został szambelanem,
W sześć dni rządcą prowincyi,
W dni dwanaście został panem.
Starą matkę wziął z chałupy,
Król frejliną ją mianował.
A plebana pożałował
Wnet—w biskupy...

Syrokomla. (p. t. I s. 128).

Japończycy.

* Japończycy albo inaczej Niponczycy, czyli „synowie słońca" są narodem wojowniczym; czynni, dobrzy, weseli, daleko lepsi od swych sąsiadów Chińczyków, chociaż nie mniej jak tamci pogrążeni w zabobonach religijnych i politycznych; zbliżeni są też do Chińczyków swem mongolskiem pochodzeniem (jakkolwiek się go

wypierają) i strojem t. j. kwiecistemi szlafrokami, słomianemi fartuszkami, parasolami, wachlarzami i t. p. i różnią się od mieszkańców Niebieskiego państwa zaledwie tyle, co Portugalczycy od Hiszpanów; despotyzm kompletny panuje tak samo tutaj; Japończyk, zagadnięty przez wyższą figurę, pada na ziemię i czołga się, mówiąc: „Eh! Eh! słucham". Słoń, darowany przez cesarza chińskiego władcy japońskiemu, niesiony był w procesyi z *Nangasaki* do *Jeddo* t. j. około 170 mil. Podejrzliwość i nieufność panujących dochodzi w Japonii do tego stopnia, że nietylko osoba, ale i imię króla znane jest dopiero po jego śmierci. Dwóch jest zwierzchników kraju: duchowny, zwany *Dairo* i król czyli *Kuba*. Pierwszy odbiera tylko najwyższą cześć ludu, drugi ma władzę samodzielną i dochody, co jest mądrzej urządzone, jak w czasach średniowiecznych u nas. Wielki Kuba uważa to za ubliżenie, gdy jeden z europejskich mocarzy odważył się pisać do niego; oburzony nie przyjął od posła listu ani podarunków przysłanych, ale narzucił mu swoje; gdy na przyjęcie europejczyków wyszedł zastępca królewski, mistrz ceremonii znalazł, że przybyli cudzoziemcy nie dosyć długo i nie dosyć płasko twarzą do ziemi leżą i sam po kolei przygniatał im głowę do ziemi. Poseł musiał wprzód czekać cztery tygodnie na pozwolenie wstąpienia na ziemię japońską, a sześć tygodni na zrobienie małej wycieczki po kraju i trzymany był jak więzień, wraz ze swoim orszakiem; po tem wszystkiem raczył się zjawić pełnomocnik królewski z rzędu tych, którym wolno jest podnieść oczy do stóp królewskich i zakończył wszystko ostrym zakazem zjawiania się kiedykolwiek cudzoziemców na ziemi japońskiej! Ze wszystkich wschodnich ludów japończycy najwięcej są żądni nauk i cywilizacyi europejskiej, ale głównie ograniczają się na sprowadzaniu książek medycznych. Japońska literatura była długo w powiciu, a książki ich odznaczały się głównie nieprzyzwoitemi ilustracyami, co jest w związku z tem, co *Kämpfner* opisuje, że nie ma domów publicznych w Japonii, bo każdemu prywatnemu można nadać tę nazwę, a chińczycy nazywają ten kraik swoim serajem. Japonki odznaczają się umalowanemi na niebiesko wargami, czarnemi zębami i powyrywanemi brwiami; z innych względów są bardzo wstydliwe, bo gotowe są pokaleczyć się a nawet zabić, jeżeli w towarzystwie wyrwie się której przypadkiem jaki niedyskretny wyraz. Mężczyzna obrażony rozpruwa brzuch sobie zamiast obrażającemu, ale ten naśladować go musi zaraz, inaczej miałby do czynienia z mandarynami. Japończycy odbywają częste wycieczki do świętych gór, gdzie mieszkają surowi Bonzowie, którym się spowiadają ze swoich grzechów. Bonza sadza spowiadającego się na przezmianie, który nakierowany jest jednym końcem ku przepaści; biada pokutnikowi, jeżeli Bonza odkryje w jego słowach podstęp jaki lub kłamstwo, nachyla tedy przezmian i biedny grzesznik leci na dno otchłani. Zdałoby się u nas coś podobnego urządzić, szczególniej przy kryminalnych procesach, gdy pokuty kościelne i przysięgi tracą moc swoją.

Jasiek.

* *Co Jasiek opowiadał?* (Senna arabeska).

Piękny to był dzień! Nie ze względu na pogodę, bynajmniej; na dworze było chmurno i śnieżno, a w pokoju zimno — bo lokaj zapomniał węgli kupić. Piękny był przez niespodziankę, która mnie spotkała. Przyszedłszy do domu, zastałem paczkę na stole. Służący mówił, że przyniósł ją posłaniec, ale nie objaśnił od kogo.

Rozerwałem papier — w środku znalazłem śliczną poduszeczkę atłasową i sześć cieniutkich poszewek z moim monogramem, artystycznie wyszytym. Łaskawy czytelniku! jeżeli serce masz już zimne — nie czytaj dalej; jeżeli jednak serce mocno ci jeszcze bije, to pojmiesz łatwo, jakiem tętnem moje zabić musiało na widok tego podarunku!

Czyjeż to rączki pracowały nad tem? czyjeż oczęta śledziły za tymi drobniutkimi ściegami?... myślałem.

Oczki figlarne, niebieskie, czarne!
O, jak ja kocham was!...

A, nie, nie! jednę parę tylko kocham, lecz cóż, kiedy pogniewały się na mnie i ani chcą spojrzeć łaskawie, zawsze chmurne.

No, teraz to mam dosyć poduszek: dwie duże, dalej — dzisiejszy podarunek, a w końcu, stary mój przyjaciel—jasiek.

Embarras de richesse! - powiedziałby Francuz.

Chłodno! ani sposób długo w noc siedzieć przy takiem zimnie...

Kładę się spać, otulam moją doczesną powłokę ciepłą kołdrą i zaczynam marzyć, a wkrótce - drzemać.

Sen pomaleńku oczy klei, wtem... czuję, że pod głową coś mi się zaczyna ruszać. Zmysłom moim nie wierzę.

Ależ tak! to jasiek mój się rusza, z pod głowy mi się wysuwa! Obezwładniony rozkosznemi marzeniami, nie mam chęci podnieść ręki, by się przekonać. Jasiek tymczasem wolno, systematycznie kręcił się, wreszcie, wysunął się zupełnie z pod mej głowy. Przecieram oczy i patrzę na niego: z jednego boku wyrosły mu dwie nóżki, jak tyczki, ze środka drugiego—główka, jak pomarańcza, a z dwóch wierzchnich rogów—ręce. Wszelki duch Pana Boga chwali! krzyknąłbym z pewnością, gdyby nie to, że niezmierna mnie zdjęła ciekawość. Przekształcony na obraz i podobieństwo ludzkie, jasiek mój, zaczyna bez ceremonii spacerować po mnie, jak po jakiej górze, wywija rękami, rozgląda się w koło, a w końcu, zrobiwszy minę tak słodką, jak gdyby połknął cukierek, w eleganckich podskokach zbliża się do nowej poduszki.

Nie chciałem jej używać, leżała więc tylko obok.

— Witam nową towarzyszkę—zaczyna jasiek, składając głęboki ukłon.

Poduszka milczy.

— Witam cię, poduszeczko! odezwij się, czemu milczysz?

— Nie znam pana! — odpowiada nieśmiało poduszka.

— Jaki pan? co za pan? jestem sobie jasiek, także poduszka, kolega i przyjaciel! On śpi — dodał wskazując na mnie — możemy się zabawić?

-- Nie śmiem! - szepce poduszka.

— Nie bój się! nasz pan ma twardy sen, nie usłyszy, ani poczuje; chodź!

— Ach, nie!

Jasiek, nie słuchając dalszych tłomaczeń, porywa ją wpół i zaczynają hasać. Poduszka na razie broni się, ale w końcu zaczyna już minki do jaśka stroić.

— Wiesz co? — proponuje hultaj swej towarzyszce - tu niewygodnie, nierówno, zsuńmy się na podłogę.

Spuszczają się oboje i — dalej-że w tany i harce.

Pulchna poduszeczka zmęczyła się jednak wkrótce i przysiadła na ziemi; jasiek w koło niej się kręcił.

— Ha, zmęczyła się moja panna! A czy ty, poduszeczko, panna?

Poduszka wstaje natychmiast i wzgardliwie spojrzawszy przez ramię na jaśka, odchodzi w kąt pokoju. Jasiek biegnie za nią, przeprasza, chce uchwycić ręce, by je ucałować i tak znikają oboje za szafą, zkąd dobiegały mnie tylko szepty. Wkrótce jednak wyszli, trzymając się pod ręce, jak się zdawało, w dobrej komitywie. Przechodząc koło drugiego pokoju, jaś wstrzymał towarzyszkę:

— Patrz, jak tam ładnie! Księżyc zagląda przez okna, dywan leży na podłodze, oto pyszne miejsce do zabawy!

Weszli tam i słyszałem, jak się gonili, śmiali, widocznie jednak zmęczeni, spoczęli, bo wkrótce uspokoiło się wszystko. Nie na długo

jednak; znów rozpoczęły się chichotki, bieganina, a w końcu takie hałasy, że zdecydowałem się wyskoczyć z łóżka i zobaczyć, co tam robią.

Przysuwam się tedy do drzwi, zaglądam i — o, horrendum! co widzę? Poduszka ostatnich sił dobywa w swej obronie, a jasiek niecnota z taką zapalczywością naciera, że gdybym się tylko chwilkę spóźnił — byłoby post festum.

— Ha, zbereźniki jakieś! — wołam na nich — dam ja wam! Marsz spać! — Łapię jaśka pod jedną rękę, poduszkę pod drugą i wracam do sypialni.

— Poczekajże, ty hultaju! — rzeknę do jaśka — będziesz ty mi niewiniątka psuł!... wpakuję cię pod dwie matrony, wygniotą cię one! — Wcisnąwszy jaśka pod dwie wielkie poduszki, położywszy jego towarzyszkę na dawnem miejscu, sam także ułożyłem się do spoczynku.

Po tej wyprawie przewracam się rozkosznie na drugi bok, a sen na dobre zamyka mi powieki, gdy w tem z pod poduszek dobiegają mego ucha nowe szepty:

— Cóż u licha ciężkiego! — myślę — uwziął się na mnie, żeby mi nie dać spać? O czemże znowu teraz rozmawiają?

— Poduszeczko, poduszeczko! — odzywa się piskliwym głosem jasiek.

— Cicho bądź, pan zły!

— Eh, już chyba zasnął.

— A cóż, dobrze cię gniotą stare?

— Gdzie tam! wsunąłem się w kąt; co prawda ciasno, ale oddychać mogę. — Masz jednak racyję, że pan nasz musi być w złym humorze, kiedy wpakował mnie tak głęboko. Zawsze mnie brał pod głowę, bezemnie spać nie mógł, a dziś!... Ho, ho, nie taki byłby on dla mnie surowy, gdyby mógł wiedzieć to wszystko, co ja wiem!...

— Cóż ty możesz wiedzieć? — pyta z przekąsem poduszka.

— Jakto, co mogę wiedzieć? — Wiem dużo, dużo! — Toć jestem od niego starszy; pierwszy widziałem go, jak na świat przychodził, pierwszem mu byłem posłaniem!...

— No, jeżeli tyle wiesz, przerywa poduszka, to nie wiele. — Sądzę, że on także musi wiedzieć, że na świat przyszedł.

— Nie wiedziałem, że z ciebie taka zagawka, mościa panno, ale umiarkuj twego ostrego języczka, bo przestanę opowiadać.

— Mój jasieczku, nie bądź obraźliwy! zobaczysz, jak pięknie będę się z tobą na przyszły raz bawiła, opowiadaj dalej.

— Ha, jaka ciekawa! a dotrzymasz słowa?

— Święcie dotrzymam!

— Pamiętajże! — Otóż od owego czasu już nie spuszczałem go z oka. Lata mijały, chłopiec rósł, wreszcie stał się mężczyzną. Com przez ten czas widział i słyszał, tego ci opowiadać nie będę, nie chcąc łamać tajemnic małżeńskich. Kiedy nasz teraźniejszy pan pierwszy raz opuszczał dom rodzicielski, matka jego sprawiła mi nową poszewkę, dodała puchu, uszyła tuzin powłoczek i darowała mnie synowi na nowe mieszkanie. Dopiero wtedy odżyłem. Czegom się nie napatrzył, nie nasłuchał? Jakich pieszczot byłem ja świadkiem, ile pocałunków, przysiąg, słodkich słówek obiło się o moje uszy, tegobym na całem prześcieradle nie spisał.

— Ha, jaszczurka wyhodowana pod moją głową! — myślę, wybijając się znowu ze snu. — Ładnie ja będę wyglądał z tobą, kiedy się ożenię! do czego, mimochodem czytelniczkom oświadczam, czuję chęć i... zdatność, będąc doskonałym materyjałem na pantofla. Dajmy na to, że moja przyszła połowica cierpi na bezsenność i usłyszy, co ten hultaj opowiada. Miałżebym to za swoje. Tego jednak nadto! Jutro stanowczo każę go popruć i wyrzucić puch na cztery wiatry...

Jasiek tymczasem ciągnął swe opowiadanie dalej:

— Lecz to wszystko nic w porównaniu z tem, com widział przedwczoraj. W tamtych wypadkach, co ja mogłem widzieć i słyszeć, i on także widział i słyszał, ale tu był on osobą bierną, bez czucia, a ja tylko sam na to patrzy-

łem! O, żeby to mógł wiedzieć, dopierożby się ucieszył!

— Co takiego? pyta niecierpliwie poduszka — umieram z ciekawości!

— Bądźże moja droga cierpliwszą, kiedym już zaczął opowiadać, to i skończę. Od niejakiego czasu pan nasz był czegoś smutny i markotny, w przeddzień wieczorem, włożył frak, biały krawat i musiał być na balu, bo wrócił nad ranem. Przespał zaledwie jakie dwie godziny i wyszedł z domu. Wróciwszy po południu, zabrał mnie z łóżka, poszedł do saloniku, położył się na kanapie i wsunąwszy mnie pod głowę — zasnął jak kamień. Niewiele czasu upłynęło, gdy naraz słyszę: ktoś pomaleńku otwiera drzwi od przedpokoju. Dobryś! myślę sobie, pan zapomniał zamknąć na klucz drzwi, z pewnością dobierają się złodzieje. Strach mnie całego przejął, z trwogą spoglądam w tamtą stronę i widzę zjawiającą się na progu saloniku kobietę mocno zawoalowaną. Zobaczywszy mego pana śpiącego na kanapie, zatrzymała się na środku pokoju i odwinęła woalkę. Nie była to żadna z tych, którem poprzednio widywał. Piękna jak anioł, stała w niepewności, co robić. W dużych jej czarnych oczach malował się jakby strach i wahanie, twarz była blada zapewne od wzruszenia, usta wpół otwarte szybko oddychały, brwi, w dwa śliczne łuki na czole białem zagięte, ściągnęły się trochę...

— Wzrost niewysoki, piersi i ręce jak utoczone, na serdecznym palcu lewej ręki pierścionek z turkusem, w uszach kolczyki—każdy z jednego brylantu, okrycie brunatne, długie, do stanu, na kapeluszu srebrna podkówka... przerwała szybko poduszka, jednym tchem wypowiadając wszystkie te szczegóły.

— A ty zkądże to wiesz?—pyta zdziwiony jasiek.

— Ależ bo to moja pani! to ona mnie dziś tu przysłała.

— To twoja pani?...

— Tak. — Gadajże prędzej, co ona tu robiła?

— Stała tak chwilkę zamyślona, potem — zdecydowawszy się widocznie — na palcach po cichu zbliżyła się do kanapy, nachyliła nad śpiącym i... pocałowała w czoło. „Niewdzięczniku“— szeptała — „bezustanku wymawiasz mi, że cię nie kocham, żem zimna jak lód; w liście zarzucasz mi, że gniewam się na ciebie... ja?... czyż jestem w stanie?... tego było nadto... zabolało mnie... przybiegłam tu sama — wybaczysz?... ja — kocham!“ — dodała ledwie dosłyszanym głosem. — Podniosła się, szukając czegoś wzrokiem. — Na etażerce leżał ołówek i papier. — Wzięła jedno i drugie i chciała pisać, lecz w kuchni rozległ się jakiś szmer. Szybko cofnęła się ku drzwiom, raz jeszcze rzuciła wzrokiem w naszą stronę i zakrywszy twarz woalką, zniknęła za progiem.

* * *

Sen odleciał od mych powiek. — Słuchając opowiadania jaśka, wstrzymywałem oddech, byleby nie stracić jednego słówka. — Gdy skończył, zerwałem się, szybko wyciągnąłem go z pod wielkich poduszek i włożyłem pod głowę, prosząc:

— Jaśku, poduszeczko! póki życia się z wami nie rozstanę, tylko — zawsze, zawsze, opowiadajcie mi o niej!.....

Niestety! — jasiek i poduszka milczały.— Próżno czekałem na opowiadanie. — W końcu— obudziłem się!

• • •

Ogień żywo pali się na kominku. — Drzewo trzeszczy, śląc w górę snopy iskier, płomień rozsyła w około miłe ciepło, a ja rozmarzony, śledząc ogniste płomyki, myślę nad pytaniem:

Czy prawda to, co mi się śniło?...

Jan Mohort.

Jaśnie oświecony.

— Dlaczego żaden magnat nie powinien się nazywać Jan?

— Bo mu przez całe życie będą powtarzać: Jaś nie oświecony! Jaś nie wielmożny.

Śmigus.

Jeden.

* *Jeden za drugiego.*

Chłopak od szewca przychodzi z rachunkiem do studenta. „Mój majster jest bardzo chory i prosi pana o pieniądze,“ dodaje. „Cóż znowu?“ ofuknął student, „że twój majster chory, to myśli, że ja się będę pocił za niego? Powiedz mu, że nic z tego, niech mi da pokój!“

Flieg. Bl.

* *Jedno za drugie.*

Pewien wydawca nabył od młodego poety zbiór jego wierszy i dał mu za nie złoty zegarek.

Po pewnym przeciągu czasu poeta przychodzi do wydawcy z pretensyją, że ofiarowany mu zegarek wcale iść nie chce. „Wybierałem się właśnie iść panu powiedzieć to samo o jego poezyjach“ — odpowiada wydawca — „widać, że jedno warte drugiego.

Flieg. Bl.

Jednomyślność.

* Jednomyślność jest niejako objawem służalstwa.

Pani de Remusat.

Jerzy.

* Król angielski Jerzy II dowiedział się, że pewien dziennikarz ma być surowo ukarany za to, że chcąc wcześniej od wszystkich wydrukować mowę tronową, sam ją ułożył i wydał. Wezwawszy ministra do siebie, Jerzy II tak się odezwał: „Zdaje mi się, że ów dziennikarz nie wiele zawinił, porównywałem jego mowę z moją – o ile znam się na tem, widzę, że tamta jest daleko lepsza!“

Jesień.

* *Oj, brzydka jesień!..* (medytacyja).

Jakoby liście z drzew, tak pospadały
Wszystkie marzenia młodzieńczych uniesień.
Szczęki drygają i nosy zsiniały,
Oj, brzydka jesień!

Bociany pierzchły w różne świata strony,
Cały rój ptaków już wkrótce odleci,
Wrócą bociany, ach, cieszcie się żony!
Przyniosą... dzieci!

Z ogródków piwnych już całą gromadą.
Uciekło ptactwo powietrznemi szlaki,
Za to Japonki mamy w Eldorado —
I inne ptaki!

Facet porzucił swe *letnie* facetki,
Już ich nie ściga w alejach ogrodu,
Połyka piwo i śpiew szansonetki,
To wszystko. . z chłodu!

A ci co jeszcze drygają w tużurkach,
Choć wietrzyk szczypie i lica rumieni,
Chodzą się rozgrzać *w djabełka* „na górkach.“
Ot tak... w jesieni!

Radca się w palto zimowe owinie —
I zwiedza knajpki i handle korzenne,
Rozgrzewa sobie ponczykiem na winie
Zimno jesienne...

Aby się rozgrzać *doliniarz* gotowy
Wsadzić swą rękę do cudzej kieszeni,
Choć go do *cieni* zawiedzie stójkowy..,
To nic... w jesieni!..

Miłość wśród chłodu też większe ma szanse:
I strażak z *młodszą* całuje się w sieni,
Dłużej niż zwykle prowadzą romanse...
Bo to w jesieni!..

Jest także wiele i innych *uniesień:*
Panny swym lubym na twarz leją kwasy,
Inni swe brzuchy krają, jak kiełbasy,
No, bo to... jesień!

Koncerty będą i skoki na linie,
Bo te z jesienią zawsze chodzą w parze,
I najmniej wyjdzie w jesiennej godzinie...
Dwa... kalendarze!

I wasz poeta swój humor odmieni,
Lecz teraz zimno trzęsie całą skórą,
Jak zaczął pisać o brzydkiej jesieni,
Zmarzło mu... pióro!

Jakoby liście z drzew tak pospadały
Wszystkie marzenia młodzieńczych uniesień,
Szczęki drygają i nosy zsiniały,
Oj, brzydka jesień!..

Iks. Nim. Sok.

* *Zwiędłe listki.*

Przyszła, przyszła jesień blada...
Już pożółkły liść opada,
Biedny, mały liść!!
Wnet go porwie wiatru tchnienie
I uniesie het w przestrzenie
W dal mu każe iść...
Czemuż smutki cię oprzędły?
Czemu płaczesz liściu zwiędły
Na twój marny los?
Spójrz no listku na te panie...
Głuche one na wołanie
Na jesieni głos...
Toć to także zwiędłe kwiaty,
Miały ongi róż szkarłaty...
Dziś im buziak zżółkł.
Lecz wśród smutnych dni szarugi
Mają one na usługi
Perfumiany pułk!..
Widzisz liściu jakiś głupi,
Pani w sklepie młodość kupi
I z jesieni drwi...
Zna to lada wróbel szary,
Jak się robią te maskary...
Poznaj więc i ty!

Świąteczny.

Jezuici.

* Ojcowie Jezuici odprawiali Majales w polu pod figurą. Mieli tam z sobą puzderko niezgorsze, napełnione przepysznemi trunkami.— Ale zaledwie rozłożyli się do wesołej biesiady, postrzegli zdaleka nadchodzących Bernardynów. Co tu robić, rada w radę, postanowili puzderko zakopać pod figurą. Jakoż wykonawszy to przedsięwzięcie, puścili się w przeciwną stronę ku lasowi. Nadeszli Bernardyni pod figurę i powiadają: „Tu byli Jezuici, spocznijmy tu także“ i posiadali sobie. Jeden z nich spostrzega świeżą ziemię, zaraz mu przyszło do głowy, czy też Jezuici nie zakopali tu jakiego skarbu, dalejże kopać i dobyli puzderko niepróżne, wycedzili do ostatniej kropelki, a domyślając się, że Jezuici wrócą na to miejsce, przylepili karteczkę na puzderko z napisem: „Już się owo spełniło, co pod figurą było.“

* Jezuici zaprosili dobrego kaznodzieję z kazaniem na uroczystość S-go Ignacego. Kaznodzieja przez całe kazanie wychwalając zasługi fundatora Towarzystwa Jezusowego, powiada przy końcu: „Święty Ignacy był tak potrzebny jak piąte koło u wozu, ale o tem wam powiem— da Bóg doczekać—za rok“ i zlazł z ambony. Ojcowie Jezuici strasznie zalterowani, już nie prosili tego kaznodzieję na rok przyszły z kazaniem, ale innego. Gotuje się tedy kaznodzieja, żeby konfuzyją zakonowi wyrządzoną zmazać. Zbliża się uroczystość św. Ignacego; on kaznodzieja lubo nieproszony, jedzie także cichaczem i przed samą sumą pokryjomu wlazł na ambonę, a zamknąwszy drzwi za sobą, siedział spokojnie aż do ewangelii, podczas której, podniósłszy się, ukazał się ludowi. Ojcowie Jezuici ledwie nie poumierali z gniewu, sami nie wiedzieli co z nieproszonym gościem robić. Tymczasem odezwał się nieproszony kaznodzieja: „Obiecałem wam, najmilejsi słuchacze, dowieść, że św. Ignacy był tak potrzebny, jak piąte koło u wozu. Dobry gospodarz bierze zawsze piąte koło na wóz, jeżeli w daleką wybiera się drogę, bo gdy mu się w drodze koło jakie popsuje, ma zaraz pod ręką piąte koło i może dalszą podróż bez przerwy odprawiać. Otóż i w kościele katolickim przez Lutra złamało się czwarte koło, św. Ignacy był piątem kołem, za pomocą któ-

rego kościół katolicki istnienie swe zabezpieczył.“ Jak zaczął tedy wychwalać Towarzystwo Jezusowe, tak ojcowie Jezuici uradowani znowu nie wiedzieli, jak kaznodzieję przeprosić i uraczyć.

Perły humoru polskiego.

Język.

* Język kobiety —to jej życie: zaczyna chodzić z dniem urodzin, a ustaje w dniu śmierci.

(*C...*)

Język warszawski.

* *Przyczynek do historyi języka warszawskiej młodzieży XIX wieku.*

Pani Hortensyja Z., obywatelka ziemska i właścicielka Dużych Snopków z przyległościami, wysłała swego dwudziesto-letniego jedynaka po raz pierwszy do Warszawy, aby w gronie tutejszej młodzieży nabrał salonowych manier... i języka.

Zaopatrzony w odpowiednią gotówkę, Zdziś wkrótce zapoznał się z całą śmietanką warszawskiej złotej młodzieży.

Przez trzy miesiące edukacyja jedynaka, prowadzona przez kilku warszawskich złotych młodzieńców w salonach Eldorado, Chateau des fleurs i t. p. wydała znakomite rezultaty. Zdziś wreszcie po wyczerpaniu udzielonej mu na drogę gotówki, wystosował do najdroższej mamci list następujący:

„Kochana mamciu! *Wypsztykałem* się z *floty* do tego stopnia, że musiałbym *dać nogę* z Warszawy, przepraszam więc kochaną mamcię, że Jej *zawracam kontramarkę* i proszę o przysłanie mi *forsy*. Wczoraj miałem wyborny *kawał* z Wietrzykowskim, myślał, że trafił na *frajera*, ale naturalnie nie dałem mu się *wziąść na lapę* i chociaż z całą tą historyją, co mamcia wie, robił mi *szopki*, jednakże *puściłem go w trąbę* i w końcu *kazałem mu się wypchać!* Wczoraj z Lolem i Olesiem mieliśmy *randkę* w jednej knajpce. *Biba* była porządna, (Oleś wyborny *facet*) za tę *fundę* beknął najwięcej i ja też naturalnie musiałem postawić dwie *szampetka...* bo nie wypada odróżniać się od *paczki*. Słowem, powiem kochanej mamci, że była ogromna *biba* i że *bąblowaliśmy* do rana. Przepraszam mamcię, że już nie mam *floty*, ale *śmiej się z tego*, kochana mamciu, i nie żałuj pieniędzy dla jedynaka. Przywiązany syn Zdziś.“

Pani Hortensyja po odczytaniu listu, z którego ani jednego zdania zrozumieć nie mogła, przywołała do pomocy swego kuzyna, pana Marcina.

Po wspólnem odczytaniu listu, oboje zaopinijowali, że nieszczęśliwy chłopiec w Warszawie zwaryjował i że potrzeba na gwałt jechać leczyć jedynaka.

Jakoż nieszczęśliwa matka na drugi dzień była już w Warszawie i pomimo zapewnień jedynaka, że jest zdrów na umyśle, tylko trochę *zbąblowany*, udała się z nim do doktora specyjalisty. Doktór jednakże, po zbadaniu chorego i odczytaniu nieszczęsnego listu, zaopinijował, że Zdziś jest zdrów na umyśle, tylko język ma silnie skaleczony.

Cyrus.

Językoznawca.

* — Panie X., jak pan myślisz, czy jest jaki wyraz, któryby posiadał aż cztery *y?*

— O jej, to bardzo łatwo.

— Jakto, a więc pan masz taki wyraz?

— Rozumię sze, naprzykład... *ymynyny.*

Johann i Jaś.

* *Studyjum niemal etnologiczne.* (Z teki kronikarskiej).

Johann urodził się jako syn kolonisty niemieckiego pod Gródkiem. Ojciec jego nazywał się, dajmy na to, Purzpichler, miał cztery morgi gruntu i ośmioro dzieci. Z tego powodu, gdy Johann, najmłodszy, miał rok dziesiąty i umiał już od biedy czytać i pisać, ojciec, przewidując, że mu nie zostawi osobnego gospodarstwa, a nie chcąc go chować na parobka, udał się do dale-

kiego kuzyna swojego we Lwowie, utrzymującego restauracyję i piwiarnię, który przyjął Johanna na służbę pod „Zielonego zająca“.

Jaś był synem kamerdynera u hrabiego X. Stary hrabia i młody hrabia nazywał się Artur. Stary hrabia znoszoną garderobę dawał ojcu Jasia, który się nazywał Swietnicki, a młody hrabia swoją dawał Jasiowi. Ztąd Jaś wyglądał prawie tak pięknie, jak młody hrabia, a w oczach swojej matki nawet piękniej. Dla tego też uznała, że tak piękne dziecko powinno mieć piękne imię i skoro tylko obrzędy kościelne pozwoliły na to, dała mu na bierzmowaniu imię Artur. Odtąd już Jaś nazywał się zawsze Arturem i był to chłopak ładny, zwinny i dobrze ubrany. Ale gdy miał lat dziesięć, stary Swietnicki umarł; matka, nie mając utrzymania, musiała sama pójść w służbę, a nie wiedząc, co począć z synem, udała się do tego samego restauratora, u którego już był Johann i ten przyjął Jasia-Artura na służbę pod „Zielonego Zająca“.

Poznałem tam obydwóch. Mam ten zwyczaj, że gdy mię ludzie zmęczą — jedni brakiem towarzyskości, a drudzy jej zbytkiem — chowam się do piwiarni o takiej porze, kiedy w niej prawie niema gości, przynajmniej znajomych i czasem coś czytam, a najczęściej tylko piję jedną szklankę piwa po drugiej, palę jedno cygaro po drugiem, póki mi żywo w oczach nie stanie prawda, że ze wszystkich towarzystw najnieznośniejszem bywa człowiekowi tête-à-tête z samym sobą. Otóż, siedząc w ten sposób całemi godzinami pod „Zielonym Zającem“, przypatrywałem się rozwojowi karyjery Johanna i Artura.

Artur po trzech dniach nauczył się usługiwać gościom, rozróżniać kategoryje i ceny potraw, pamiętać, co kto zamówił i uwijać się, jak mucha. Goście lubili go i dostawał często od tego i owego po parę centów; niezmiernie też szybko z podrzędnego posługacza doszedł do wyższej rangi rzeczywistego garsona, czyli jak mówią we Lwowie, kelnera.

Johann, nadzwyczaj mały chłopak o czerwonych tłustych policzkach i poczciwie wytrzeszczonych niebieskich oczach, stał zawsze tylko w przedpokoju koło szafika i mył talerze, szklanki i sztućce, przyczem co chwila albo sam gospodarz, albo ktoś ze starszej służby częstował go szturchańcami i nakręcał mu uszy za rozmaite *peccata omissionis* lub *commissionis*. Jego polszczyzna, niesłychanie niepoprawna, była jedyną jego zaletą, bawili się nią bowiem goście, ale żaden mu nigdy nie dał ani centa. Trwało to długie lata, nim Johann dostąpił tego zaszczytu, że wolno mu było podać gościowi szklankę piwa.

Dziwiło mię nieraz w ciągu samotnych moich rozmyślań, że Johann przy tem wszystkiem zdawał się być wesół i dobrej myśli, podczas gdy starsza służba, nie wyłączając Artura, miała zwykle miny znużone i ponure w owych niezwykłych popołudniowych godzinach, w których zaszczycałem „Zielonego Zająca“ moją obecnością. Przypadek wyjaśnił mi po części tę zagadkę. Wracałem raz bardzo późno z reduty i ujrzawszy przez szparę w firance światło w piwiarni, zajrzałem z ulicy do środka. Zobaczyłem na stole sporą kupkę „szóstaków“, a dokoła pp. kelnerów, między nimi Artura, żwawo grających w kostki.

Johann spał opodal pod ścianą na ziemi ze stosem serwet pod głową. Po złem jedzeniu i złem winie na reducie uczułem jakoś pragnienie; zapukałem tedy. Nikt się nie ruszył. Powtórzyłem pukanie i dokazałem tego, że Johann zerwał się na równe nogi i otworzył piwiarnię. Szanowne towarzystwo, grające w kostki, przyjęło z oburzeniem do wiadomości moje żądanie, ażeby mi dano piwa. O tej porze! Gospodarz śpi, piwa nie ma.

Wtem Johann odezwał się nieśmiało, mniej już teraz łamaną polszczyzną, bo parę lat przecie przebył we Lwowie, że gospodarza można zbudzić i piwo natychmiast będzie.

Wistocie uwinął się i przyniósł szklankę. Kazałem sobie zaświecić w przedpokoju, ażeby nie przeszkadzać grze w kostki, wypiłem moje „kisielkowskie“ i dałem Johannowi należytość

do wręczenia płatnikowi, osobno zaś dla niego dałem „szóstaka“. Ten „szóstak“ sprawił niemal cuda. Odtąd, ile razy pojawiłem się pod „Zielonym Zającem“, Johann patrzył mi w oczy, jak inteligentny wyżeł, pragnący odgadnąć życzenia swego pana. Dostawał odtąd często rozmaite centy i czworaki, ale czy dostał, czy nie dostał, usługiwał mi zawsze „na wyskoki“.

Uważałem przeciwnie, że Artur, jeżeli kiedy odszedłem, nie dawszy mu „szóstaka“, nazajutrz udawał, że nie domyśla się nawet mojej obecności w piwiarni, albo jeżeli dostał tylko cztery centy, to przynosił mi wyszczerbioną szklankę, odsuwał zapałki daleko odemnie i szedł potem do zwierciadła poprawiać swoją toaletę.

Powoli przestał być moim faworytem i choćby stał tuż koło mnie, wołałem na całe gardło: „Johann!“ i Johann zjawiał się galopem uśmiechnięty i uradowany. Ręczę, że gdyby był posiadał taki *appendix*, jakiem natura obdarzyła jedynych przyjaciół ludzkości, to jest psy, byłby nim kiwał z radości.

Pies też stał się przyczyną, że coraz bardziej polubiłem Johanna. Właściciel piwiarni miał mopsa, który cierpiał kurcze i piszczał nieznośnie; uchwalono tedy posłać go do oprawcy i kazać uśmiercić.

Pierwszy do tej czynności zgłosił się Artur, przypuszczam, że nie ze złego serca, ale z chęci powłóczenia się po mieście. Gospodarz uchwalił atoli, że Artur jest potrzebnym w piwiarni, bo są goście, a Johann niech idzie z mopsem do hycla. Po raz pierwszy spostrzegłem, że Johan niechętnie spełniał otrzymany rozkaz—ale poszedł. Po trzech kwadransach zjawił się napowrót, zadyszany, spłakany i z mopsem na rękach jął opowiadać po swojemu, jak na podwórzu u oprawcy biedna psina stawała przed nim na dwóch łapkach i tuliła się do niego, roniąc łzy, jak gdyby przeczuwała, co ją czeka i prosiła o litość. Gospodarz miał się już ku uszom Johanna za tę jego czułość, ale wpływowi mojemu udało się powstrzymać go i wyrobić nawet pardon dla mopsa, o który Johann błaga Opowiedziałem to zajście innym gościom, ucz szczającym pod „Zielonego Zająca“, mianow cie takim, o których wiedziałem, że mają więc serca, niż przywiązania do luźnych szóstakó w swoich portmonetkach, i Johannowi cor lepiej odtąd się działo.

Tymczasem nastały owe czasy, w któryc ś. p. Dzierzkowski rozpoczął kampaniję przeci wyłącznemu panowaniu niemieczczyzny w restau racyjach lwowskich. Zaczęto podawać gościon polskie „spisy potraw“, a Artur, obecnie ju substytut płatnika, miał pod „Zielonym Zają cem“ misyję wypełniania odnośnych formul rzy po polsku, tj. był rodzajem kelnera-rodak bez teki dla spraw galicyjskich.

Pewnego razu, studyjując taki dokumen odkryłem w nim nieznane mi dotąd *item* gastro nomiczne, które się nazywało: *slic garnierowa ne.* Sądziłem, że to dzieło Johanna, zawoławsz go tedy i pokazawszy mu corpus delicti, zapy tałem, jakby też te słowa „śledź garnirowany“ brzmiały w drugim przypadku.

— W drugim przypadku? — odparł, namy ślając się – w drugim przypadku *mosze bic ma rinowane!*

Powstrzymałem się od śmiechu i wyjaśniłem mu, o co mi chodzi, dodając do tego treściwy wykład ortografii i ortoepii polskiej wraz z napomnieniem, że między ludźmi powinienby przecie nauczyć się mówić po ludzku. Nie tylko wziął sobie to wszystko do serca, ale w jakiś czas potem usłyszałem, jak w przedpokoju wykładał Arturowi teoryję graficznego przestawiania śledzi różnego rodzaju i w różnych przypadkach. Artur słuchał go niechętnie i w końcu mruknął coś w tym guście:

„Co on mnie będzie uczył; co mi za pan! ja nie takich panów widziałem“.

Miałem wszelkie powody przypuszczać, że wyrażony w ten sposób brak uszanowania odnosił się do mnie, postąpiłem z nim atoli tak, jak postąpiłbym z wycieczką w *Strażnicy*, tj. nie żądałem wcale satysfakcyi. Inni *habitués*

„Zielonego Zająca“ tymczasem, którzy znać akże byli mniejszymi panami, a nie takimi, jakich widział Artur i którym on to coraz wyraźniej dawał do poznania, w miarę jak mu przybywało najpierw szóstaków, a potem guldenów kieszeni — byli mniej cierpliwymi, a w końcu . Artur stracił posadę. Nie wyszło mu to atoli na złe, bo mając układ elegancki i ubiór przyzwoity, znalazł miejsce w restauracyi hotelowej, należącej do pierwszorzędnych w mieście. Jednocześnie gospodarz z pod „Zielonego Zająca“, będąc w ambarasie o zaufanego i obrotnego płatnika, dowiedział się ze zdziwieniem, że jego Johann z rozmaitych centów, czworaków i szóstaków, otrzymanych od gości, uciułał już sumkę, wystarczającą na złożenie kaucyi, wymaganej od płatnika i wynoszącej zazwyczaj tyle, co dzienny dochód *brutto*, t. j. od kilkudziesięciu do dwóchset czasem złr. wal. austr. więcej. Pod „Zielonym zającem“ wymagania nie były wygórowane i Johann został płatnikiem najpierw na próbę, a później na dobre.

Po kilku latach niebytności powróciwszy Lwowa, zastałem moich znajomych obydwóch na urzędzie płatników. Johann był ciągle pod „Zielonym Zającem“ i poznał mię od razu: nie pozwolił nikomu wyręczyć się w obowiązku zdjęcia ze mnie wierzchniej odzieży i nie widział, gdzie mię posadzić, ażeby mi było wygodniej. Artur po różnych, jak się dowiedziałem, peregrynacyjach, był znowu płatnikiem w hotelu. Ubrany był według najnowszej mody, na ulicy nosił *pince-nez,* a w sali suwał lakierowanemi stopami po posadzce i spoglądał na ludziach w sposób jeszcze bardziej impertynencki od *gogów*, którym usługiwał. Ma się rozumieć, że nie raczył mię poznać — natomiast zapomniał przy rachunku swojego zwykłego: , 16 a 36 jest 68, a 42 jest reński 35; dwie bułeczki i piwo, razem 1 złr. 98 ctów“. Johann nigdy nie mylił się w dodawaniu i nie policzył nikomu jednej szklanki piwa więcej, niż się należało.

Szczególnie charakterystyczną była różnica w postępowaniu ex-Jasia i Johanna z tymi gośćmi, którzy potrzebują kredytu. Znam ludzi, którzy dziś są wysokimi urzędnikami, a którzy będąc jurystami, bezpłatnymi praktykantami lub auskultantami, nie poginęli z głodu, albo nie zwichnęli karyjery jedynie dla tego, że Johann, usłużnością i oszczędnością swoją dorabiając się coraz więcej grosza, udzielał im miesięcznego, kilkumiesięcznego, rocznego, a czasem nawet kilkuletniego kredytu, oczywiście na skromne obiady i wstrzemięźliwe kufelki piwa. Zobaczymy, że wcale na tem źle nie wyszedł. Ale niechnoby pod „Zielonym Zającem“ pojawił się jaki panicz, kazał sobie i towarzystwu podać kilka butelek szampana, dziczyznę, indyki i t. p. i nie zapłacił, Johann nigdyby tego nie zniósł. Gdyby natomiast jaki biedak nie miał pieniędzy na rosół i sztukę mięsa z jarzyną, to aniby był śmiał udać się do Artura, aniby mu też Artur był pokredytował. Za to, wiem z dobrego źródła, że tacy panowie, „jakich on widział“, winni mu byli po sto kilkadziesiąt złr. za jedną kolacyję, ale tych stukilkudziesięciu znowu on — „nigdy nie widział“.

Lata płynęły — nie byłem we Lwowie bardzo długo, a gdy wróciłem, jedną z pierwszych moich czynności było pójść na medytacyję pod „Zielonego Zająca“. Przypomniałem sobie z rozrzewnieniem, ile to tam w kąciku pod oknem wylęgało się w mojej głowie myśli i projektów, politycznych, literackich i artystycznych — ile utworzyłem nienapisanych później nigdy epopei i dramatów—ile, zwłaszcza po dłuższym pobycie i gdy „Kisielkowskie“ było szczególnie dobre, uroniłem łez przez nikogo niewidzianych nad sytuacyjami wzniosłemi lub tragicznemi, które w duchu tworzyłem — albo ile też czasem uśmiałem się z konceptów, które mi przychodziły do głowy, podczas gdy Johann mył talerze, a Artur muskał się przed zwierciadłem. Spojrzałem czule na stary, zakopcony szyld nad piwiarnią—i zatrzymałem się nagle, uderzony zmianą. „Zielony Zając“ był, jak zawsze, co do

maści swojej w niezgodzie z pojęciami łowców i zoologów, ale był świeżo odlakierowany, a pod nim, najlepszą polszczyzną, na jaką zdobyć się mogą lakiernicy lwowscy, stał napis: „Restauracyja i piwiarnia Jana Purzpichlera". Nie znałem żadnego Jana Purzpichlera. Mimo to wszedłem. Powitał mię znowu jakiś nowy płatnik — spytałem go, gdzie Johann.

— Gospodarz? Zaraz przyjdzie.

I wistocie pojawił się wkrótce, przedzierzgnięty już tym razem w ludzkiego Jana, mój ex-Johann, obecnie właściciel nie tylko restauracyi i piwiarni, ale i kamienicy, w której one się znajdowały. Pojawił się znowu w ten sam nadskakujący sposób, jak gdyby jeszcze zawsze miał w pamięci owego pierwszego szóstaka, którego dostał w życiu, albo owego mopsa, od śmierci wybawionego, albo litościwą naukę, jak się pisze „śledź". Rozgadaliśmy się o dawnych czasach i dawnych znajomych; dowiedziałem się, że ten i ów z dawnych moich głodnych współbiesiadników z pod „Zielonego Zająca" jest już takim a takim radcą, albo starostą i t. d. Wszystko to zajmowało mię bardzo i gniewał mnie tylko mój ex-Johann, że nie tylko nie chciał siadać, ale oprócz tego, przepraszając mię ciągle, wybiegał co chwila z sali. Przy jednej takiej sposobności wyjrzałem na ulicę i spostrzegłem wyraźnie p. Purzpichlera, jak jakiegoś niezmiernie bladego i wychudzonego człowieka, któremu z pod wystających kości policzkowych śmierć patrzyła, wsadził do dorożki, otulał i oddawał pod opiekę jednemu ze swojej służby — poczem dorożka powoli ruszyła z miejsca.

— Kto tu był, kogo pan wyprawiałeś? — zapytałem, gdy wrócił.

— Pan dobrodziej nie pamięta? To Świetnicki.

— Jaki Świetnicki?

— To ten Artur, co był najpierw tutaj, a potem w hotelu. Miał później własny interes i z początku szło mu nieźle, ale się nie szanował... grał w karty... no, pan dobrodziej już wie... Musiał wszystko porzucić i uciekać za granicę. Był w Petersburgu i tam mu się szczęściło, ale znów zaczął hulać i nabawił się jakiejś choroby. Ambasada austryjacka wysłała go do Lwowa, bo nie miał ani grosza. Tu nie miał przytułku. Wziąłem go do siebie, myślałem, że się wyleczy, ale lekarze powiadają, że z taką chorobą trzeba go koniecznie oddać do szpitala, więc go wysłałem. Mówią, że niema nadziei, aby go można wyleczyć.

Wistocie, pokazało się wkrótce, że nie było nadziei.

Zamyśliłem się pewnego razu pod „Zielonym Zającem"—gdzie już teraz niema p. Purzpichlera, bo kupił wieś i gospodaruje — nad tą hogartowską różnicą tych dwóch Janów. Machinalnie zrobiłem uwagę, że nad każdym handlem lub interesem, rozwijającym się pomyślnie, był szyld z nazwiskiem, kończącym się częściej na *er*, niż na *ski*, *cki*, albo *wicz*. I dlatego nazwałem to studyjum „niemal" etnologicznem.

Jan Lam. (p. t. I s. 80).

Jonasz.

* Pewien prowincyjonalista, spotkawszy razu jednego na widowisku znajomą damę, wielce winszował jej kwitnącego zdrowia.

— Jakim sposobem?—odrzekła wszak jestem gruba, jak wieloryb.

— Ach, pani, bardzobym sobie życzył być Jonaszem.

Jordan.

* *Żydzi Jordan zakalili.*

Doraźna, ostra i stosowna odpowiedź sławnego z dowcipu Żydowskiego, sędziego grodzkiego i krakowskiego, dana Jordanowi, wojewodzie Bracławskiemu, kiedy ten, chcąc żartować z jego nazwiska, zapytał niewcześnie:

— Mości panie Żydowski, co tam słychać w Jerozolimie?

Jowisz.

* *Utarczka Jowisza z Junoną.*

Raz Jowisz wracał do domu
W nocy, a choć cicho
Skradał się i pokryjomu,
Wszakże chciało licho,
Że Junona dosłyszała.
Ot, jak żona — przeczuwała.

Zrywa się zaraz z poduszek,
Narzuca spódniczki,
Przypina świeży fartuszek,
Obuwa trzewiczki,
Słowem, chwili nie zmitręża
I pędzi do izby męża.

Jowisz w wybornym humorze
Szuka swych pantofli,
Gwiżdże, chodząc po komorze
Aryjkę z Girofli,
Wtem nagle—słyszy strwożony...
Najwyraźniej krok Junony.

Wiedział biedak, co go czeka!
Wzywa siłę woli,
Nastraja minę człowieka
Którego ząb boli,
I w chwili gdy wchodzi żona,
Jęczy, stęka, prawie kona.

„Ach! Junono! mówi słodko,
Ząb mnie boli duszko,
Proszę cię moja pieszczotko,
Każ mi posłać łóżko.
To dopiero ból siarczysty!
Właśnie wracam od dentysty."

Juno przez chwilę milczała,
Patrzyła mu w oczy;
Po chwili sunie jak strzała,
Odrzuca warkoczy,
I mówi: „Ty kłamco! francie!
Ty! ty! ty! ty! komedyjancie!

Powiadasz: ból cię rozkwila!
Wracasz od dentysty!
A te rękawiczki lila?
A kołnierzyk czysty?
Już ty mnie nie będziesz uczył!
Gadaj zaraz, gdzieś się włóczył!"

„Ach! rzecze Jowisz, Junono!
Zastanów się droga,
Jesteś boginią i żoną
Najpierwszego boga.
Wartoby, tak, bez urazy,
Bardziej zważać na wyrazy..."

„Sam sobie morały gadaj
Stary rozpustniku!
Zaraz mi się wyspowiadaj,
Bo narobię krzyku,
Woła Juno, że rozbudzę
Wszystkie sługi, nasze, cudze..."

„Cyt! rzekł Jowisz, wyznam szczerze,
Chodziłem na miasto,
Z Herkulesem po spacerze,
Nie z żadną niewiastą.
Wszyscy to poświadczyć mogą:
Wiesz przecie, że ja nikogo..."

„Fałsz! przerwie, tupiąc Junona,
Ja nie jestem pijana,
Jam dobrze powiadomiona!
Mówiła mi Dyjana.
Znam ja nieźle twoje sprawki,
Znam wszystkie twoje turkawki!

Dzisiaj wracasz od Latony!
Co? możem skłamała?
A widzisz, jesteś czerwony!
Prawda się wydała.
Jakie on w niej widzi cuda?
Brzydka, głupia, mała, chuda...

Ach! jak jestem nieszczęśliwa!
Ach! słabo mi! dusi!..."

Jowisz poskoczył co żywo,
A choć go gniew krztusi,
Jednak uchyla kolana,
Zbliża się... mówi: „kochana...“

Lecz Juno nie zważa — w złości
Zdejmuje trzewiczek
I w źródło wszelkiej jasności
Wymierza policzek.
„Masz tobie, woła, Latonę,
Mnemozynę, Ceres, Dijanę.

Semelę, Jo, Najady,
Nimfy, Muzy, Gracyje,
Alkmenę, Maję, Dryady!
Parnaskie kolacyje!
Stój! gdzie idziesz? nie uciekaj!
Ach! słabo mi! słabo! czekaj!“

Wielki Jowisz na te słowa
Zbladł jak alabaster;
Twarz opuchłą w dłonie chowa,
Szuka gdzie jest plaster...
Ale nic nie odpowiada —
Zaczem Juno dalej gada:

„Mniejsza, mówi, mniejsza o to,
O twoje tam żądze,
Ale marnotrawisz złoto,
Wyrzucasz pieniądze!
Jesteśmy w długach po uszy,
A pan do Muz ząbki suszy:“

Jowisz słów tych znieść nie może
Mówi: „Protestuję!
Każda z Muz o każdej porze
Bezpłatnie miłuje...
Więc...“ lecz Juno wstaje z krzykiem:
„Milcz woła, albo trzewikiem!

Kłamiesz! każda zapłacona!
Dla mnieś tylko sknera,
Wkrótce będzie twoja żona
Chodzić jak Wenera.
Patrz! jak suknię mam znoszoną,
Nie warto być wierną żoną!“

Odetchnęła, zaszlochała,
Płakała z godzinę.
Jowisz, jak ponura skała
Milczał, lecz miał minę,
Jakby dumał zasmucony
O korzyściach z wiernej żony.

Wreszcie rzecze: „Pal cię licho!
Juno! do stu katów!
Przestań płakać, no, bądź cicho,
Masz tu pięć dukatów.
Widzisz, pamiętaj że sobie,
Ile ja dla ciebie robię.“

Lecz Juno, chodząca cnota,
Spojrzała surowo,
Nie chce nawet widzieć złota;
Z podniesioną głową
Dumna, z izby się wymyka,
Wtem — trzask! drzwi na klucz zamyka.

„Teraz, woła, na wyprawki
Idź, jeśli ochota,
Życzę przyjemnej zabawki!
Z postem co sobota!
Nauczysz się cenić żonę,
Dam ja ci teraz Latonę!“

Jowisz zapłakał ukradkiem,
Chodzi smutny wielce...
Wtem—szczęście! czuje wypadkiem
Piorun w kamizelce.
Z radości aż w dłonie klasnął
I zaraz nim we drzwi trzasnął.

Zaczem pędzi do Junony
Z wściekłością straszliwą,
Wpada i staje zdumiony —
Widzi ją życzliwą.
„Mężu! słyszy z pod puchów,
Zuch jesteś! ja lubię zuchów.“

Tak to płaciła odwaga
U wielkiej bogini.
Ktoby sądził, że to blaga,
Niech sam tak uczyni.
Tylko, że jest jedno *ale*:
Piorunów nie mamy wcale!

M. Rodoć (p. t. I s. 125).

* *Figiel Jowisza.* (Rzecz fantastyczno-pouczająca).

Pozwól czytelniku, że zacznę od apostrofy, która nie wyszła z pod pióra pana Wandalina Szumowicza, ani też innego z wielkich poetów współczesnych.

Zero! godło nicości, niewyrostków herbie,
Jeśliś ty nie jest w pośród nas olbrzymem —
To niech me pióro stalowe wyszczerbię
I niech ten papier cały pójdzie z dymem!

A teraz opowiem wam skandalik (puryści i dewotki pasyjami to lubią).

Było to w Olimpie (dość dawno temu); w teatrze skończyło się przedstawienie.

Pra-pra-pra-pra-babka pani Modrzejewskiej grała nową rolę (notabene w trzy tygodnie nauczyła się po grecku lepiej, niż najbardziej zatabaczony filolog). Obsypywano ją bukietami tak hojnie, że o mało nieboga nie zginęła w powodzi kwiatów, jak liszka (z tych co ogon chwalą) w stogu siana.

Dzięki talentowi pra-pra-pra-pra-babki, w Olimpie zaczęto przypuszczać (chociaż warunkowo), że Kopernik będzie polakiem. Inne stronnictwo (bezecnie radykalne!) wątpiło, czy pra-pra-pra-pra-wnuczka będzie Kopernikiem (co za idyotyzm!)

Przed teatrem było widno (chociaż paliły się latarnie), dla porządku zaś stali drewniani halabardnicy i ogromne samowary mosiężne na słoniach. (Jak powiedziałem, było to w Olimpie). Jowisz prowadząc jakąś damę pod rękę wyszedł. Natychmiast jeden z dygnitarzy teatralnych krzyknął na całe gardło:

— *Ω κολάςκα!!*

Wspaniały ekwipaż (wynajęty) zajechał — a Jowisz z Minerwą (elle etait vraiment une sage femme) ruszyli tęgim kłusem przed dom, na którym świecił napis:

„*Δυονύσιος Ρουδνίσκι*“

Po chwili olimpijski kelner (Jeleński uczy że w Olimpie było „Drang nach Osten“) zawołał:

— Gabinet Nr. 6!

Jowisz rozsiadł się na kanapie (która nie zawaliła się tym razem) a Minerwa zdjęła salopkę i kapelusik z sowich piórek.

— Cóż będziesz jadła, Mińciu — rzekł bóg bogów, szczypiąc boginię mądrości za podbródek (to było przyjęte).

— Co chcesz, mój stary, wszystkie rodzaje są dobre oprócz nudnych.

— Więc może tak coś lekkiego... pasztet z Wieku naprzykład.

— Nie mam ochoty widzieć się z Prozerpiną...

— Może Echo ze śmietanką...

— Chyba z walcowym sosem? nie lubię.

— Nie lękaj się, będzie jak zawsze, w opłatku.

— Mój Jupiterku, Zeusku, Jowiszku, jesteś nieznośny, widocznie się starzejesz... strzeż się, damy ci emeryturę...

— Ba, kiedym nie opłacał składki...

— Przyjmą cię do Przytuliska gratis (w Olimpie było przytulisko, bo i czegóż tam nie było).

— Mińciu! bądź grzeczna, bo cię zdegraduję...

— No, przeprośmy się staruszku.

To mówiąc podała mu rączkę, którą Jowisz pocałował, zażywszy przedtem tabaki.

Niema nic milszego nad zgodę (nie mówimy tu o ulicy).

Po chwili Jowisz z Minerwą zgodzili się na ostrygi i łykali to robactwo lepiej i zręczniej, niż stali goście Stępkowskiego.

To im zrobiło dobrze.

Jowisz zaczął sapać — a Minerwa dostała kolorów. (Te mądre kobiety rzadko kiedy mają rumieńce).

Minerwa srebrnym swym głosem krzyknęła:

— Białego!

— Nie przypuszczałem, żeby bogini mądrości miała tak mądre pomysły. Wiwat Mińcia — białego!

— Twoje zdrowie! Jupiterku! jesteś dziś hojny i wspaniałomyślny.

— Jak zawsze aniołku, jak zawsze, szkoda, że tu niema pani Hebe!

— A ty stary rozpustniku! cóż to za myśli...

— Najprzyzwoitsze, jak cię kocham, chciałem tylko ją widzieć...

— Daj pokój, udawałeś łabędzia i dostałeś reumatyzmu, muszę cię posyłać do lecznicy...

— Co było, a nie jest - zresztą i tak starożytni rozpuścili dość plotek, cały świat o mnie gada...

— Tem lepiej—dzieci Europy zawdzięczają ci mądrość.

— Bez komplementów, moja pani, że są mądre, masz dowód, bo się na tobie poznały...

— Mówiłam ci, żebyś się ze mną nie kłócił, lepiej pij.

— Zdrowie twoje.

— Tylko nie zachoruj...

Perlisty płyn iskrzył się w kielichach, załamywało się w nim światło gazu (niebardzo świecące co prawda), ożywiona rozmowa dochodziła do kulminacyjnego punktu.

Jowisz z Minerwą zaczęli pleść trzy po trzy.

Wreszcie wielki bożek zwiesił głowę na piersi — i zaczął drzemać.

Szeroka broda rozłożyła się jak wachlarz na aksamitnej kamizelce, ręce opadły na poręcz kanapy.

Minerwa zaczęła się gniewać na ospałego towarzysza.

Istotnie pozycyja jej była dość nudna. Dla rozrywki bogini bębniła palcami po stole, dzwoniła widelcem w talerz, kaszlała, aby przebudzić śpiącego potentata.

Ale Jowisz spał, jak zabity.

Minerwa zaczęła się bawić skorupką od ostrygi i myślała sobie o rozmaitych rzeczach.

Wtem Jowisz otworzył zaspane oczy.

— Co ty robisz, Mińciu?

— Bawię się z twojej łaski, przyjacielu.

— Więc dobrze, bawmy się oboje.

I wziął Jowisz skorupkę jedną, napuścił ją mocno cytryną i zaczął dmuchać, — skorupka przybierała coraz większe rozmiary—zaczęły zarysowywać się na niej oczy, nos, okulary i olbrzymia łysina.

— Co to będzie? pytała Minerwa.

— Czekaj, zobaczysz, będzie to w każdym razie coś pociesznego...

I wziął dwie zapałki, z których zrobił coś w kształcie małych nóżek. Pocieszna figurka zaczęła się ruszać.

Potem postawił ją na oknie, dmuchnął i maleńka istotka poleciała w przestrzeń.

— Włóż binokle i uważaj, gdzie spadnie...

— Widzę, widzę, rzekła bogini, wpadło tam w sam środek Warszawy.

— A więc droga Mińciu, weź go na pamiątkę dzisiejszego wieczoru — niech idzie do twej służby i niech będzie gubernialnym krytykiem teatrów tamtejszych.

I ztąd powstała warszawska (sprawiedliwa i uczona) krytyka.

C. Y.

Józef II.

* Gdy cesarz Józef II odwiedzał w Paryżu swą siostrę królowę Maryję-Antoninę, wyrzekł patrząc na jej wysoko uczesane włosy:

— Toniu, miło mi patrzeć na ciebie. Twoja fryzura przypomina mi wieżę Ś-go Stefana.

* Kiedy Józef II w r. 1776 odwiedzał we Włoszech brata swego Leopolda, wielkiego księcia Toskanii, tenże, chcąc sprawić przyjemność cesarzowi, kazał swego pięcioletniego synka ubrać po wojskowemu, czem nietylko wuja ale i siostrzeńca uradował. Na drugi dzień

rano ochmistrz, wchodząc do cesarskich pokoi, znalazł małego księcia Karola, chodzącego w pełnym uniformie tam i napowrót przed drzwiami sypialni cesarskiej. „Co tu robisz, mości książe?“ zapytał zdziwiony ochmistrz. „Pełnię straż przy moim wuju,“ odpowiedział niezmieszany malec. Usłyszawszy tę rozmowę, cesarz wybiegł z pokoju i ucałował siostrzeńca, mówiąc: „Bardzo dobrze, mój mały przyjacielu, wiem, że nie mogę być lepiej nigdy strzeżony, jak dziś przez ciebie, chciałbym wynagrodzić ci twoją służbę, a w nadziei, że kiedyś staniesz się dzielnym dowódcą, oddanym krajowi i cesarzowi, mianuję cię dziś wodzem regimentu Lotaryngskiego.“ Od tego czasu regiment ów należał do arcyksięcia Karola, a składając mu dowody najwierniejszego przywiązania, wzajem przez niego otoczony był troskliwością i dobrocią.

Jubileusze.

* *Jubileusz krakowski.*

Uroczystość ludowa z jednej strony podniosła ducha, z drugiej zabłociła — buty swym uczestnikom.

Rozruchy antiżydowskie przybrały tak groźną postać, że straż obywatelska z trudnością obroniła jedną ładnę żydóweczkę przed natręctwem pewnego subjekta handlowego, również rodem z Kazimierza. Na polu najzaciętszej walki obok bóżnicy pozostały dwie pary pejsów Icka Kleinmachera i Mośka Liebenstocka, wyrwane zbroonicżą ręką Ryfki Kleinmacherowej i Sary Liebenstockowej, połowic wymienionych mężów, a której to zbrodni powodem miała być czarnooka i białolica Sure Liebeskind. Pan Paweł Popiel tylko dzięki osobistej odwadze ocalił swe życie w ogrodzie OO. Karmelitów, gdzie go, nawiasem mówiąc, całkiem nie puszczono. Niezliczona ilość bomb padła między szeregi zgromadzonych u Miki, Fuchsa, Hawełki i Wentzla, trąbienie nie ustawało do późnej nocy, a donośne strzały i świst korków rozlegały się nad trupami. Wrzaskliwy hałas bębnów przerywał nocną ciszę, zwłaszcza w mieszkaniach, zajętych przez młode małżeństwa. Na linji A—B widziano dwie wielkie armaty starego systemu (nie-odtylcowe) prowadzone przez dwóch poruczników. Krew się lała strumieniami obok szlachtuza i jatek rzeźniczych.

Spokojniej nieco odbyła się uroczystość miejska 12 Września. Żydzi pozamykali sklepy ze strachu, chrześcijanie zaś, aby nie psuć interesu żydom. Tak w kościele św. Anny jak i na Wawelu odprawiono nabożeństwo z zadziwiającą znajomością rzeczy. O g. 4 mówiono i śpiewano przed Panną Marją, a to dla uroczystego odsłonięcia pomnika Bismarka. Żelazny książe siedzi na koniu w zbroi średniowiecznej, mając na głowie rodzaj pikelhauby. Koń jego skacze po jakiejś niewieście i po jakimś sparaliżowanym jegomości. Są tacy, co utrzymują, że to nie Bismark lecz Sobieski, kto jednak ma oczy w głowie, a nie gdzieindziej, roześmiać się musi na takowe „utrzymywanie“. Wieczorem tegoż dnia miały miejsce sceny, opisane w poprzednim już ustępie, rozpoczynającym się od słów: „Niezliczona ilość bomb“ i t. d.

K. Bartoszewicz. (p. t. I s. 159).

* *Jubileusz Kochanowskiego w Krakowie.*

Ciężki spadł na mnie obowiązek dotknięcia się kronikarskiem piórem zjazdu literacko-historycznego. Pogrążonemu w strasznem zwątpieniu, czy siły moje zdołają unieść tysiąc-cetnarową powagę zjazdu, litościwy wypadek podał rękę pomocy w znalezionym na plantacjach liście jakiegoś zjazdowicza. Listem tym postanowiłem się wyręczyć, a brzmi on jak następuje:

„Kochana Lolusiu! Skłonności twoje literackie były powodem, że zrobiwszy ze siebie literata i historyka, wyjechałem na zjazd Kochanowskiego. Nie bardzo mi się chciało wierzyć, aby wszczepiane przezemnie wiadomości o Wolskach i Latynach, wojnach punickich i Karolu Martelu, o Leonidasie i Berengarjuszu, były podstawą, dostateczną do udziału w zjeździe, ale usilnym twoim i pana Alfreda naleganiom op-

rzeć się było trudno. Postanowiłem wszakże za przyjazdem zbadać sytuacją i gdyby podobnych do mnie literatów wcale nie było, dać natychmiast do ciebie aniołku drapaka.

„Szczęściem nie ujrzałem się osamotnionym. Prawdziwych literatów i historyków bardzo mało przyjechało, może ze dwudziestu, było jednak kilku profesorów matematyki ze Lwowa i nas belferji gimnazjalnej z pół kopy. Znalazł się między nami dobrze ci znany Leoś, znalazł i Józio, o którym ci tyle opowiadałem, a to mi dało pewność siebie i odwagę. Obaj oni bowiem, jak i wielu innych naszych towarzyszy „czytaty“ to jeszcze jako tako umieją, ale „pisaty“ ani rusz, chyba że pod dyktando. Z Krakowa także wielu takich widziałem i to nietylko z naszego stanu nauczycielskiego, ale doktorów medycyny, prawników i straszne multum księży i teologów. Wszystko to brało udział czynny w obradach i miało takie miny gęste, jak nasza Kochosia, gdy jej się uda strudel z jabłkami, lub baranina ze sarnim sosem. Z początku dowiadywałem się o nazwiska tych panów, ale te niewiele mnie o ich literackich i historycznych pracach objaśniły. Musieli to więc być jacyś „tajni“ literaci, albo ludzie, którym za położone zasługi nadany został „tytuł i charakter“ historyków.

Jubileusz Kochanowskiego rozpoczęło posiedzenie Akademji Umiejętności. Naprzód powstał jakiś mąż bardzo wielki i odczytywał z kartki swoją radość z rozwoju Akademji i z tego, że Kochanowski przed trzystu laty zmarłszy, dał sposobność ludziom nauki w roku bieżącym zgromadzić się i do wspólnej, obfitej w skutki, przystąpić pracy. Kiedy człowiek wielki skończył swój odczyt, wystąpił z odpowiedzią jakiś pan mały, ale czupurny. Pan ten cieszył się z tego, że się cieszył pan wielki i chwalił Kochanowskiego, a jeszcze więcej tego wielkiego pana za jego „jasny pogląd“, „rozum“ i „doświadczenie życia“. Podczas tej perory pan wielki ziewnął kilka razy, czego pan mały, patrząc wprost przed siebie na guziki od kamizelki wielkiego pana, spostrzedz nie zdołał. Później jakiś trzeci pan, widocznie aktor pożyczony z teatru, bo bardzo ładnie deklamuje, odczytał długi szereg dat i nazwisk, poprzedziwszy to wszystko doskonale wyuczoną mową, której duży ustęp poświęcony był pamięci Szujskiego. Korzystając z przerwy dowiedziałem się, że ten pan wielki—to hrabia Potocki, ten pan mały to prezes Majer, a ten pan, co mówił o Szujskim, to nie żaden aktor lecz hrabia Tarnowski. Następnie miał mieć odczyt prof. Małecki, ale podobno zamówił sobie na ten dzień wielki katar i nie przyjechał, z tego powodu pracę jego odczytał jakiś pan Rozbierski, bardzo podobny do p. Estreichera. W końcu dowiedzieliśmy się, że pp. Zakrzewski, Smolka, Sokołowski Marjan i inni zdali egzamin na „członków czynnych“ Akademji. Wyobrażam sobie jak się ucieszy kronikarz „Przeglądu liter. i art.“, że jego protegowany p. Maryjan, będący dotąd członkiem w stanie bezczynności, otrzymał prawo do czynnego zużytkowania swego członkowstwa.“

„Nie będę ci opisywał Lolusiu szczegółowo posiedzenia zjazdu. Tyle ci tylko powiem, że gadano bardzo dużo a niekoniecznie mądrze i zrozumiale. Przyznam ci się z całą otwartością, że z najwięcej gadających rozumiałem tylko pp. Bobrzyńskiego i Ćwiklińskiego, choć i tych co prawda nie zawsze. Niektórzy księża wystąpili z formalnemi kazaniami: jeden z nich jak zaczął wyliczać Józefów z Kopersztychu, Agapitów z Kapadocji, Eustachych z Kantarydy, Szymonów z Akwarelli, Pafnucych z Kornevillu, Dyonizych z Marienbadu i cały szereg innych kanonistów i doktorów, to mało plackiem przed nim nie padłem z podziwienia dla tej uczoności; chciałem już nawet tego dokonać, lecz śmiech sąsiadów i dosłyszane słowa: „dam setkę za to, że nie widział nawet na oczy tego Józefa z Kopersztychu“, powstrzymały mój zapał i wzbudziły pewne niedowierzanie. Wkrótce potem pan prezes Jarochowski powiedział dwom księżom, że mówią bardzo piękne rzeczy, ale nie do rzeczy, a pan Ćwikliński dodał, że go wypisy

z encyklopedji i podręczników bynajmniej nie rozczulają.“

„Pan Tomkowicz, ten co przed pół rokiem był spokojny o swoją jedną piątą, wyrażał jakieś swoje „dość naglącej natury“ życzenie; nie bardzo jednak naglącą musiała być ta natura, kiedy przez pół godziny rozpowiadał nam o passjach i kantyczkach. Pan Smolka znowu wyuczył się mowy o „genetyczności“, która tak pełna była chaotyczności i napuszności, że aż sprawiała mdłości i inne okropności. Pan hrabia Tarnowski sześć razy mówił o ś. p. Szujskim, a raz okropnie zbezcześcił pana Chlebowskiego, który dowodził, że Skarga był mniejszym mówcą od Wszędobylskiego, ponieważ Skarga urodził się na Mazowszu, gdzie każdy z urodzenia miał głos donośny i hukał po lasach, nie sztuka więc mu było mówić dobrze, a Wszędobylski choć się nie urodził na Mazowszu i nie hukał, gadał przecie jako tako. Teoryja ta nie całkiem, moja Lolusiu, przemówiła do mego przekonania, boć przecie twoja matka a moja szanowna teściowa urodziła się koło Lwowa a hukać tak umie, że dziesięciu takich pp. Chlebowskich, urodzonych na Mazowszu, przegadać i przehukać jej by nie zdołało. Pana Kolberga, mazowszanina, nikt z nas nie słyszał, a pana Hanusza z pod Stanisławowa na dole słychać było.“

„Ten pan Hanusz mówił po polsku i po sanskrycku; szczęściem, że tego ostatniego języka nie umiem, byłbym się bowiem musiał zapewne strasznie wstydzić, jeżeli bowiem p. Hanusz po polsku mówił okropne nieprzyzwoitości, cóż on dopiero musiał wygadywać po sanskrycku. Przytoczyłbym ci na dowód jeden wiersz o „ciele“ i „żyle“, ale boję się, aby pan Alfred listu tego nie czytał i żebyś przez to nie była zmuszoną zarumienić się przy nim po same uszy.“

„Pan Warszauer popierał księdza Pelczara w kwestji misteryj katolickich. Pan Kreuznach za to, że mówił po polsku, dostał olbrzymie brawa; mnie, choć umiem po niemiecku, nigdy się to ze strony niemców nie zdarzyło. Pan Łuszczkiewicz wspomniał o jakimś „Janie, wojowniku XVII w.“, którego jubileusz niedawno obchodzono; twierdzili niektórzy, jakoby wzmianka tyczyła się króla Jana Sobieskiego, ale przecież tak familjarnie o bohaterze z pod Wiednia trudno się odzywać, chyba że pan Łuszczkiewicz jest z nim skoligacony. Pan Rostafiński długo prawił jaki wpływ mają na poezję: rzodkiew, cebula, pasternak i ogon lisi, ale ja słuchając tego majaczenia, mimo woli nuciłem sobie pod nosem: „bajże baju, będziesz w niebie, ogon lisi obok ciebie“.

„Pomimo, że dosyć gadano, brakło im jednak materjału. Drugiego dnia zjazdu jakiś członek komitetu, widząc że przeglądam kartkę (były to twoje i pana Alfreda notatki sprawunkowe) przyleciał do mnie z pośpiechem, pytając czy nie miałbym ochoty wystąpić z jakim referatem.“

„Zmięszany odrzekłem, że notatki te wprawdzie mają związek z moim do Krakowa na zjazd przybyciem, ale treść ich jest nie tyle literacka, ile praktyczno-domowa. Członek nie dał za wygraną. „Panie! — rzekł — dom i praktyczność wielki wpływ mieć mogą na literaturę — nie ociągaj się Pan, naciśnij guzik swego natchnienia i rżnij co wiesz z katedry.“

„Na takie dictum przyznałem się ze wstydem jakie to właściwie notaty historyczne i literackie przeglądałem i tem nareszcie uwolniłem się od jegomościa. Odszedłszy odemnie napadał innych i dwóch szczęśliwie złapał: jeden zgodził się mówić z katedry o konkursach, a drugi wyszukał jakąś starą swoją rozprawkę i odczytywał ją narodowi.

„O tem, cośmy jedli i cośmi pili opowiem ci za powrotem. Tu tylko doniosę, że obiad w sali strzeleckiej był wprawdzie bardzo tani, bośmy jako goście, nic nie płacili, ale za to nas djabelnie znudzono czterema mowami, a raczej odczytami. Z nas, gości, jednego tylko do głosu dopuszczono.

„Pojutrze wracam do ciebie, Loleczko i jak król Jan ucałuję wszystkie twoje drobiażdżki. Tymczasem buzi —

Twój Pawcio.

„PS. Co znaczą owe „dwa rożki" na kartce pana Alfreda. Leoś, czytając, uśmiechnął się i to mnie nieco zaniepokoiło."

K. Bartoszewicz. (p. t. I s. 59).

Julja

* *W salonie sztuk pięknych.*

— Co to za jedna, ta śliczna panna na obrazie?

— To Julia Szekspirowska.

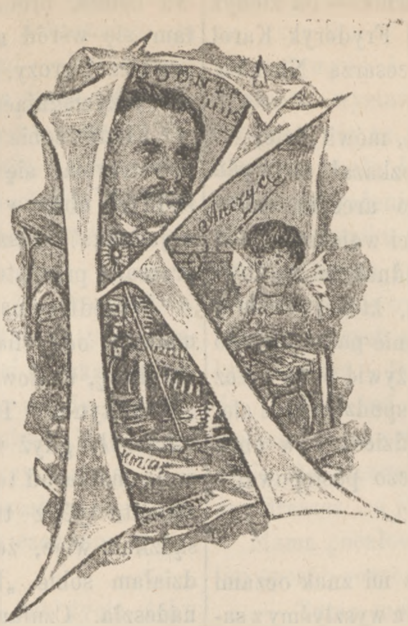
— Szekspirowska! no proszę, a z których to Szekspirowskich łaskawa pani?

Świąteczny.

Junak.

Rozum i serce, dwa wrogi,
Na straszny bój się wyzwali;
Wtem weszła Anna do sali
I rozum w nogi.

Kazimierz Brodziński. (p. t. I s. 278).



Kaczkowski.

* Za zdrowie Kaczkosi, co żydom wodę nosi. Przysłowie pijackie. Na Podolu w pewnym domu, przy obchodzie imienin gospodarza, czy innej uroczystości, gęste krążyły kielichy. Po skończonej kolei wiwatów, kiedy już temat toastów zdawał się być wyczerpanym, któryś z biesiadników wniósł: „Za zdrowie Kaczkosi, co żydom wodę nosi“. Pijany ten koncept przyjęty został oklaskami i poszedł w przysłowie. Kaczkowska, znana w całej okolicy pod nazwiskiem Kaczkosi, była to szlachcianka niegdyś w dobrem mieniu, która przez nałóg pijaństwa zeszła na ostatnią nędzę i w samej rzeczy w sąsiedniem miasteczku za czarkę gorzałki oddawała żydom różne służebne posługi.

Kadet.

* Pewien wychowaniec Marsa, który od niedawna wstąpił do korpusu kadetów w Berlinie, posilał się w pewnej restauracyi; gdy już miał wychodzić, spostrzegł z wielkiem zmartwieniem swego pułkownika, którego zjawienie się przypomniało mu, że za bytność w restauracyi czeka go areszt dwudziestoczterogodzinny. Nie tracąc jednak fantazyi, podszedł śmiało do jakiegoś pana w cywilnem ubraniu i kładąc mu poufale rękę na ramieniu, poprosił o pozwolenie towarzyszenia mu, póki nadchodzący pułkownik nie minie ich, na co obcy pan uprzejmie się zgodził.

Gdy już stracili z oczu nizko-kłaniającego się pułkownika, kadet opowiedział swemu towarzyszowi, że w zakładzie, w którym jest umieszczony, ma jedzenie, do jakiego w domu nie był przyzwyczajony i że poszedł do restauracyi, żeby się choć raz dobrze najeść. Ponieważ jednak na nieszczęście spotkał swego pułkownika, więc wiedząc, że mu grozi dwudziestoczterogodzinny areszt, odważył się prosić nieznajomego o towarzystwo, za co najuprzejmiejsze składa podziękowanie.

Następnego dnia przy spotkaniu pyta go pułkownik:

— Kto był ten pan z którym szedłeś?

— Mój wuj.

— Czy tak?— mówi pułkownik — od kiedyż to jego królewska mość książę Fryderyk Karol pruski, brat najjaśniejszego cesarza Niemiec, jest pańskim wujem?

Nie odbierając odpowiedzi, mówił dalej:

— Jego królewska mość rozkazał, abyś pan od dwudziestoczterogodzinnego aresztu zasłużonego przekroczeniem karności wojskowej, nie był uwolniony; ze względu jednak na stanowczość i przytomność umysłu, której wczoraj dałeś dowody, polecił mi oznajmić panu, że jego królewska mość podejmuje się żywić pana przez cały czas pobytu w korpusie, spodziewając się, że gdy zostaniesz oficerem, będziesz i w obec nieprzyjaciela równie stanowczo postępował".

Kajet niebieski.

Około północy mama dała mi znak oczami i przy dźwiękach wesołego walca wyszłyśmy z salonu. Na korytarzu służący, którzy się tam znajdowali, stanęli rzędem i czekali, dopókiśmy nie przeszły, ale czułam, że wzrok utkwili we mnie z tą ciekawością, co mnie od samego rana prześladowała. Wielkie drzwi, prowadzące do parku, były otwarte pomimo wilgoci wieczoru i dostrzegłam w cieniu gromady wieśniaków przybyłych tam, żeby przez okno przyjrzeć się uroczystości. Poczciwi ludziska śmieli się i szeptali, zamilkli jednak na chwilę, dopókiśmy przechodziły, aby wejść na schody, ale wówczas zrozumiałam, że byłam celem wszystkich tych spojrzeń i przedmiotem wszystkich uśmiechów; moja matka, która mi towarzyszyła, miała twarz bardzo czerwoną, dwie łzy spływały jej z oczu. Jak to być mogło, że to, co dla jednych było tak wesołem, sprawiało smutek innym?

Co do mnie, daleką będąc równie od śmiechu jak od płaczu, byłam zarazem pomięszaną, poniżoną, uniesioną, niespokojną. Czułam w swem sercu prawdziwy chaos. Przestąpiwszy próg salonu, doznawałam takiego wrażeżenia, jak kiedy kto wychodzi z miejsca, gdzie puszczono fajerwerki. Pogaszono światła, wrzawa ustała, uroczystość skończyła się; ujrzałam się wśród najciemniejszej nocy wobec tajemniczej grozy, która jednak miała dla mnie coś przyciągającego.

Kiedy sobie to przypomnę, zaledwie mogę powstrzymać się od śmiechu. Ileż to nierozsądnych obaw w tej strasznej chwili świetnej... a jednak... zresztą tyle rzeczy ludzie sobie z przesadą przedstawiają.

Wszedłszy na pierwsze piętro, mama zatrzymała się, oddychając z trudnością, wzięła mnie za głowę, ucałowała w czoło, a potem zawołała: „Walentyno!" Ten wykrzyknik nie bardzo mię wzruszył, gdyż wiedziałam dobrze o tem, że moja matka od tego czasu, jak zaczęła trochę zanadto tyć, z trudnością wchodzi na schody; sądziłam więc, że chce wypoczynku. Powiedziałam sobie „Krytyczna chwila jeszcze nie nadeszła. Czułam jednak, że ona jest groźnie ukryta pod memi nogami, że się naraz da widzieć i za każdem skrzypnięciem posadzki myślałam: „Może to ona właśnie się zbliża".

Weszliśmy do pokoju, przeznaczonego dla państwa młodych: był nadzwyczaj powabny, miły dla oka, zaciszny i zastawiony pięknemi meblami z czasów Ludwika XVI z obiciem de Beavais. Szczególniej łóżko było cudem pod względem elegancyi, ale naprawdę tom się o tem przekonała dopiero w tydzień potem. Najsamprzód zdało mi się, że wchodzę do miejsca jakiegoś poważnego; powietrze, którem się tam oddychało, zdawało mi się mieć coś uroczystego i niepokojącego.

— Oto twój pokój, moje dziecko—rzekła do mnie matka—ale najprzód chodź, siadaj tutaj, koło mnie, moja droga córko...

Na te słowa obie zalałyśmy się łzami i moja matka odezwała się w ten sposób.

— Pocałunek, który mi dajesz moja Walentyno, jest ostatnim pocałunkiem dziewicy... Twój mąż, gdyż Jerzy ma już teraz ten tytuł...

Na ten wyraz uczułam lekki dreszcz i w skutek szczególnego dziwactwa mózgu, wystawiałam sobie pana Jerzego... Jerzego... mego

męża wreszcie w bawełnianej szlafmycy i szlafroku, to widziadło przeszło mi przez myśl jak błyskawica wśród burzy. Zobaczyłam go tak, jakby mi stał przed oczami — był straszny, szlafmyca spadała mu na czoło dotykając brwi, mówił do mnie, ściskając za rękę: „Nareszcie Walentyno! jesteś moją, czy mię kochasz? powiedz, ach powiedz“. A gdy mówił te słowa, głowa mu się poruszała, i szkaradny kosmyk włosów także się ruszał.

Nie, powiedziałam sobie, to niemożebne, żeby mój mąż tak wyglądał; precz z tym obrazem, a jednak mój ojciec nosi te szkaradzieństwa, mój brat nawet, zupełnie młody jeszcze, ma je w składzie swej garderoby. Mają je ludzie w różnym wieku, żeby przynajmniej... (aż przykro powiedzieć) Jerzy ukazał mi się teraz, mając na głowie fular w kraty czerwony z zielonem.

Dałabym chętnie dziesięć lat życia żeby przyspieszyć dwie godziny i szybko przetarłam oczy ręką, żeby odpędzić te przywidzenia.

Tymczasem moja matka, nie przestawała mówić przypisując moje poruszenia wzruszeniu, podwajała czułości:

— Nie obawiaj się, moja droga Waluniu, może być, żem to przedstawiła w kolorach bardzo ciemnych, ale doświadczenie moje i serce wkładają na mnie ten obowiązek.

Nigdym nie słyszała, żeby się moja matka wyrażała z taką łatwością. Byłam jeszcze tem bardziej zdziwioną, żem nie słyszała ani słowa z tego wszystkiego, co przed tem mówiła i ten frazes wydał mi się spadłym z nieba. Nie wiedząc co odpowiedzieć, rzuciłam się w objęcia mamy, która po chwili odsunęła mnie zlekka, mówiąc:

— Ty mię dusisz, moja droga.

Utarła nos głośno, przyłożyła do oczów maleńką batystową chusteczką, którą można było wyżąć i uśmiechnęła się.

— Teraz, gdym ci powiedziała to, co mi kazało sumienie; jestem spokojna, słuchaj, patrz, moja córko: zdaje mi się, że się uśmiecham. Twój mąż, moje drogie dziecko, jest człowiekiem bardzo delikatnym. Miej ufność, przyjmij wszystko, co od niego będzie pochodzić, bez ukrytej myśli i oporu. Tytuł małżonki, moja Waluniu, wystawia cię od dnia dzisiejszego... wystawia cię na... (mama kaszlała przez chwilę i powstrzymała ledwie łkanie; dostrzegłam, że szukała wyrażenia) wystawia cię na niespodzianki... z początku może bolesne, ale które pozostawią w twem życiu tyle rozkosznych wspomnień. Szczęście trzeba okupić, drogie dziecię, nie zapomnij o tych słowach trzeba z góry płacić na tym świecie. Przekonasz się, że mówię prawdę. Byłam młodą mężatką, tak jak ty... nie ma jeszcze nawet ćwierć wieku; przypominam sobie, że pierwsze pocałowanie męża, sprowadza dreszcz... a jednak...

Mama pocałowała mię w czoło i skończyła w ten sposób rozpoczęte zdanie.

— Teraz, moja droga—dodała—kiedy spełniłam powinność, którą uważam za świętą, chodź do mnie, rozbiorę ci włosy.

— Mój Boże, rzekłam, wyjmując szpilki z włosów, gdzie ja idę? Co za ciemność... Mama powiedziała coś uroczystego, jak się zdaje, co uważała za święty obowiązek, a ja nie zrozumiałam ani jednego wyrazu... ani jednego! Miałam maleńką urazę do mamy; zaledwie śmiem wyznać to, że powiedziała tyle słów, które mi się wydawały umyślnie wyuczonemi dla tego, że były tak niezrozumiałe. Miałam do niej, urazę, że dotknęła najtajniejszych moich obaw, że je powiększyła, nic nie wytłomaczywszy, że mię zmusiła do zaczerwienienia się, nie uspokoiwszy. Wszystkie te uwagi przyszły mi na myśl dopiero później; w owej chwili byłam tak strasznie rozgniewaną, okropnie pomięszaną, zdawało mi się, że z każdą szpilką wyjętą, z każdą wstążką odpiętą, zanurzałam się w potok, który miał mię wkrótce unieść. W tej chwili, pomyślałam sobie, spostrzeżono, żem opuściła salon, mówią do siebie: „Gdzie się podziała panna młoda? i uśmiechają się... Pan młody niespokojny. Co robi, co myśli, gdzie on?“

— Czy przymierzyłaś twój czepeczek, moja droga – rzekła mama — leży tam — zdaje mi się, że zamały, zresztą dobrze ubrany, doprawdy śliczny!

I przyglądała mu się ze wszystkich stron.

W tej chwili zapukano do drzwi. „To my" odezwało się kilka głosów, pomiędzy którem i odróżniłam piskliwy dyszkant cioci Laury i mojej chrzestnej matki. Pani P., która nie opuszcza sposobności przylepiania swych grubych warg do czyjejś twarzy, także była z niemi. Wszystkie trzy miały oczy błyszczące, minki wyzywające, filuterne, przebiegłe, ciekawe, które mnie niezmiernej bojaźni nabawiły. Czy i one także spełniały świętą powinność?

— Jakaś ty ładna, mój aniołku — rzekła do mnie pani P., całując mię w czoło właściwym sobie sposobem na mokro — potem usiadła na kanapce z czasów Ludwika XVI.

— Jakaś ty blada, moja maleńka — rzekła ciotka; nie drżyj że tak. Nie postawiłaś gdziekolwiek flakonika z wodą lawendową, moja siostro? — dodała ciszej, obracając się do matki, której się znowu na łzy zebrało.

— Nie mieszaj jednego z drugiem, moja siostro mówiła dalej ciotka Laura — moje drogie złotko, wchodzę najzupełniej w jej położenie.

Na te słowa cztery panie pomimowolnie spojrzały na siebie i zlekka parsknęły śmiechem; nie możecie mieć pojęcia o wrażeniu, jakie sprawiła mi ta niewczesna wesołość.

Nie pozwoliły te panie, żeby moja pokojówka przyszła mnie rozebrać i wszystkie zdjąwszy rękawiczki, były gotowe oddać mi tę usługę. Poplątały sznurowadła, zaczepiały swoje koronki o haftki i śmiały się serdecznie.

— Nnajstarsza przyjaciółka rodziny (Pani P. lubiła tak się wyrażać) oddać powinna usługę pannie młodej. Biedne gołąbki — mruczała pani P., trzymając w jednej ręce lornetkę, a rozbierając mnie drugą — jakie masz cudne ramiona. Znam ja jednego pana, nad którym litować się teraz nie potrzeba.

— Ale i żonki nie można tem bardziej żałować — odpowiedziała ciotka. – Nie masz się czego rumienić, moja droga. To pewno, że kapitan jest jednym z najładniejszych mężczyzn, jakich znam. Nie jest on tem, co nazywają piękny mężczyzna, jakim był twój wuj naprzykład... Masz tobie, ukłułam się w palec tą przeklętą szpilką... Ty nie przypominasz sobie wuja, ale pani P. musi pamiętać...

— Ideał, ideał najprawdziwszy... Jeszcze go widzę przed ołtarzem. W owym czasie noszono obcisłe spodnie, tak, że można było widzieć nogę, która była nieporównana.

— Nie ma wątpliwości, że był piękny, ale ja wiem, co to kosztuje mieć pięknego męża!... Tyś wzięła sobie tylko ładnego, moja córko i dobrześ zrobiła: takiego łatwiej upilnować. U mężczyzny widzisz, wiele znaczy noga i spojrzenie... cały kawaler w tem się mieści... Kapitan ma piękne spojrzenie... musi mieć i piękną nogę... Powiesz mi to, nieprawdaż? pocałuj mię, przy tobie staję się młodszą o trzydzieści pięć lat... Noga to chód, wzrok to rozum... Jak się ty na noc uczeszesz?

— Ależ ciociu, tak jak zwykle.

— Jak zawsze! Baranku miły! jesteś aniołem! Czy wie ten kapitan, jaki skarb mu oddają!... *Jak zwykle!* pani P., czy pani słyszysz, co Walunia mówi? *Jak zwykle?* O! przed trzydziestu laty i jabym toż samo powiedziała! Kiedym pierwszy raz ujrzała twego wuja, wchodzącego do mego pokoju w szlafroku, byłabym oknem wyskoczyła. Miałam skromność, posuniętą do najwyższego stopnia, że się tak wyrażę. Skromność i włosy. Byłam wyższa nad wszelki zarzut pod temi dwoma względami. Nakoniec Bogu dzięki, gdyż z pewnością Bóg tak chciał, twój wuj mię... pocieszył — swoją dobrocią.

— A jakie on miał serce! — wykrzyknęła stara przyjaciółka rodziny, kończąc rozsznurowywanie.

— Istny Wincenty à Paulo - rzekła wzdychając ciotka. — Doprawdy, dobrze zrobiła Wa-

luniu że nie wzięłaś, za męża pięknego mężczyzny.

Przeszłam do małego buduaru, żeby dokończyć swej nocnej toalety i znalazłam na małym stoliku pięć czy sześć flakonów z perfumami, pozawiązywanych różowemi, białemi i niebieskiemi wstążeczkami — były to skutki przezorności mojej cioci Laury. Czułam, że mi krew uderza do głowy, w uszach szumiało mi nieznośnie. Teraz, gdy sądzę na zimno moje ówczesne wrażenia, widzę, że po nad wszystkiemi uczuciami w owej chwili górowało uczucie gniewu. Chciałabym była wleźć w najciemniejszy kąt w najdzikszym lesie Ameryki, tak mi się wydawała niewłaściwą ta ciekawa czułość, prześladująca mnie nieustanną uprzejmością. Pragnęłabym była zastanowić się trochę nad sobą, pragnęłabym była chwili cichości, spokoju i samotności, pragnęłabym była rozmówić się sama z sobą, zastanowić się nad swojem wzruszeniem i nakoniec pomodlić się trochę, nim mnie prąd pochwyci.

Tymczasem przez otwarte drzwi słyszałam, jak rozmawiały te cztery panie po cichu, tłumiąc wybuchy śmiechu; jeszczem nie widziała, żeby kiedy były takie wesołe. Zdecydowałam się nareszcie, przeszłam przez pokój i otrząsając ładne pantofelki z białego aksamitu, wyhaftowane przez poczciwą Ludwikę, wpadłam do swego... łóżka. Odrazu spostrzegłam, że to nie było moje wązkie panieńskie łóżeczko. To, które „teraz stało, było ogromne i namyślałam się przez chwilę, nie wiedząc w której stronie się ułożyć. Zresztą doznałam fizycznie bardzo miłego wrażenia. Łóżko było ciepłe, jakiś nieokreślony zapach rozchodził się z jedwabnych kołder, czułam, że tonę w puchowych poduszkach olbrzymiej wielkości, obszytych długiemi koronkami; usuwały się one podemną, pogrążając mię w ogromną przepaść miękką i woniejącą. Ale wszystko nie chłodziło gorączki mego umysłu i niecierpliwości (nie wiem, jak się odważę powiedzieć wam to?) niecierpliwości mojego serca. Tak, wśród tego chaosu wzruszeń, rozróżniałam niewytłómaczone pragnienie, które od czasu do czasu pojawiało się w całej swej wysokości i uśmiechało się do mnie; alem się obawiała i to widmo byłoby przerażające, gdybym nie poznawała w nim jak przez mgłę wzroku Jerzego i wąsików jasnych a drobnych, które dotykałam często we śnie. Była to mara przykra ale zarazem słodka odpędzałam ją z całych sił, bojąc się, żeby mnie nie uśpiła.

Nakoniec te panie podniosły się i rzuciwszy okiem wkoło pokoju, żeby się przekonać zapewne, czy nie brakuje czego, zbliżyły się do łóżka.

— Żegnam cię, moja droga córko – rzekła matka, pochylając się ku mnie. — Pocałowała podniosła chusteczkę, zwiniętą w kłębek, do oczu i wyszła z pewnym pośpiechem.

— Pamiętaj, że stara przyjaciółka domu pocałowała cię tego wteczora, moje serce — powiedziała pani P. i ośliniła mi czoło.

— Mój baranku bez plamki, dobranoc, śpij dobrze — rzekła ciotka Laura ze swym szatańskim uśmiechem, zdającym się pochodzić od nosa. Dodała zupełnie po cichu: ty go bardzo kochasz, nieprawdaż, skryta... nie odpowiada mi. No, ponieważ ty go tak bardzo kochasz, nie mów mu tego, moja córko... Ale odchodzę, bo ci się spać chce, do widzenia mój gołąbku. — I odeszła uśmiechając się.

Nakoniec byłam sama. Nadstawiam ucha, drzwi się zamknęły, na ulicy słychać turkot powozów, płomień dwóch, świec stojących na kominie, drga wśród milczenia, odbijając się w lustrze. To zupełne osamotnienie po takim zgiełku, a może też i inna przyczyna, do której się nie śmiałam przyznać sama przed sobą, tak mię zmięszały, żem zaczęła drżeć od stóp do głów. Posunęłam się na łóżku i schroniłam pod samą ścianę, mocno obwinięta w kołdrę. Zdało mi się, że ściana zasłania mię przynajmniej z jednej strony. Chciałam myśleć o rannej ceremonii, o obiedzie, o balu, mówiłam do siebie, ściskając pięść, żeby zwró-

cić swoją uwagę. Jak Marya była ubrana? Była ubrana... ubrana... ubrana... powtarzałam ten wyraz na głos dla nadania mu większego znaczenia i zmuszenia tym sposobem umysłu do odpowiedzi, ale pomimo to wszystko, było dla mnie rzeczą niemożebną odpędzić od siebie tę myśl, która mię zupełnie opanowała:

— Zaraz przyjdzie, co robi? gdzie on jest? może wchodzi po schodach? jak ja go przyjmę?

Kochałam go z całej duszy, mogę teraz to wyznać, alem go kochała głęboko, głęboko. Chciałam o nim myśleć, zstępowałam do głębi mego serca, ryglowałam drzwi i przyczajałam się w najciemniejszym kącie. Miałam tam w tem ukryciu setki czułości, tysiące pocałunków głośnych, które sama wypróbowałam na swojej własnej ręce i które mi się wydawały bardzo przyjemnemi. Miałam do powiedzenia mu tyle rzeczy, do zrobienia tyle wyznań, do oddania mu do rąk wszystkich kluczy do mego serca... Ale jak tu nabrać odwagi do spełnienia tego wszystkiego! Boże, jaka nieszczęśliwa byłam w tym kąciku! Od czasu do czasu zdawało mi się, że słyszę szelest; powstrzymałam oddech, nadstawiałam ucha Nakoniec po chwili podłoga zatrzeszczała, drzwi otworzyły się na korytarzu z wielką ostrożnością, posłyszałam skrzypienie buta... But! przytomność mię opuszczała. Ruchem pomimowolnym przyciągnęłam kołdrę aż do brody i mówiłam w sobie: Mój Boże, miej mię w swej opiece!—i prawie zaraz dodawałam pomimo woli: Ale nie opiekuj się zanadto Panie! Doznawałam tej cierpkiej radości, że jestem narażona na niebezpieczeństwo. Wiem, że na polu bitwy żołnierze doznawać muszą tego samego piekielnego uczucia.

But przestał skrzypieć i usłyszałam tuż koło mnie, po za tym grubym murem, który był tylko lekkiem przepierzeniem, posunięcie fotelu po dywanie, a następnie suchy kaszelek połączony,jak mi się zdawało, że drżeniem od wzruszenia. To był on. Po niejakim czasie poznałam szelest prawie niepodobny do pochwy cenia kroków po dywanie; ten tak słaby szele rozlegał się po mojej głowie z największ gwałtownością. Wtem oddech i serce za trzymały mi się nagle: zapukano do drzwi Uderzenie było lekkie, pełne prośby i delikat ności. Chciałam odpowiedzieć: *Proszę wejś* ale zabrakło mi głosu, a zresztą, czyż to był stosownem odpowiedzieć: *proszę wejść*; wydał mi się to strasznie ordynarnem i nie rzekłam an słowa. Zapukano na nowo. Wolałabym była doprawdy, żeby wyrąbano drzwi siekierą, alb żeby wszedł przez komin. W udręczeniu zlek ka zakaszlałam w kołdrę. To było dostatecz nem: drzwi się otworzyły i odgadłam z cieni od świec, że między temi świecami a mną znaj dował się ktoś, na kogom nie śmiała spojrzeć.

Ten ktoś, co zdawał się ślizgać po dywanie zbliżył się do łóżka i ujrzałam przez przymknię te powieki cały jego cień, rysujący się na ścianie Zaledwiem mogła powstrzymać moją radość, mó kapitan nie miał bawełnianej szlafmycy! Było t rzeczą wielkiej wagi. Tymczasem na cieniu który mi go przedstawiał w profilu, nos był ta wielki, że pomimo pomieszania, w jakiem się znaj dowałam, uśmiech osiadł mi na ustach. Szcze gólniejsza rzecz, że wszystkie drobnostki przy chodzą mi na pamięć. Nie miałam odwagi od wrócić się, alem pożerała oczami ten cie przedstawiający mego męża, starałam się wy czytać z niego najmniejsze poruszenie, chci łam rozpoznać grę fizyjonomii, lecz niestety - naprożno!

Nie wiem doprawdy, jak oddać słowa wszystko to, com czuła w tej chwili; pióro wy daje mi się za grubem, żebym mogła wszystk to opisać, a zresztą, czym sama jasno widzia w swem sercu. Tak, nie ma wątpliwości, że była ciekawa wejść nakoniec w ten świat ni znany, o którym tyle szeptów słyszałam, ale za razem drżałam, żeby mi nie otworzono rapte drzwi na rozcież. Tak, bezwątpienia, chciałaby była, żeby mi podniesiono tajemniczą zasłon ale powoli... zaczynając od małego kawałka.

Czyż mężczyźni rozumieją to wszystko? Czy rozumieją, że trzeba dla serca przejść stopniowych i że jeżeli pół-światło budzi, to wielkie — zaślepia i pali. To nie jest to, żeby biedne dziecię, drżące w kąciku, nie chciało się uczyć, to jest zupełnie co innego: ono ma zdolności i chęci, pojęcie żywe i łatwe, rozumie to, że jest w tym wieku, w którym trzeba umieć czytać; nie odpycha nauki ani nawet nauczyciela, tylko jest niespokojne o sposób uczenia. Obawia się, żeby młody profesor, który powinien mieć tak obszerne wiadomości, nie przewrócił za prędko kart książki i nie zaniedbał a, b, c. Lęka się zbyt wielkiej wymowy, a potem wstydzi się, że nie zna zupełnie świata, wstydzi się okazać najnaiwniejszą ze wszystkich dzieci przed tym człowiekiem, którego kocha jeszcze z pewną ostrożnością i który jest przy tem wszystkiem mężem tylko, w obec Boga i ludzi. Wprawdzie to coś znaczy, ale nie jest jeszcze wszystkiem. Dopiero co był uległy, pokorny, narzeczony, gotów uklęknąć przed nią, ukrywający się ze swą wiedzą, tak jak się to ukrywa grzech, rozmawiający z nią z całą oględnością; w każdej chwili zdawało się, że się zaczerwieni. Ona była królową, a on dzieckiem i w tem nagle, role się zmieniają; oto uległy poddany wchodzi w kwadratowym birecie, trzymając pod pachą książkę nieznaną, tajemniczą. Czy ten człowiek w kwadratowym birecie będzie imponował sobą i swoją książką? czy będzie mówił po łacinie, czy będzie miał mowę? Nie wie tego, że on erudyta, że on także drży, ze swej strony, że jest bardzo zakłopotany swoją lekcyją wstępną, że ze wzruszenia zapomniał łaciny, że mu zaschło w gardle, że nogi pod nim się chwieją... Ona zupełnie o tem nie wie i powiem wam pod sekretem, że jej miłość własna bardzo cierpi w tym zbiegu okoliczności, cierpi, bo się czuje po tylu podpisach, kontraktach, ceremonijach, że jest jak przedtem miłem dzieckiem i niczem więcej. Po raz pierwszy cnota zdaje się jej być za ciężką, za grubą, niestosownem do pory roku okryciem zimowem. Ale jak to wytłomaczyć? Drży, że będzie zrozumianą i drży także, że nie będzie zrozumianą. Mówi sama do siebie *tak*, mówi *nie* i milczy, tłumiąc burzę w sobie. Nie chciałaby mieć miny zanadto prostej i zanadto naiwnej; nie chciałaby się pokazać zanadto pewną siebie. Obawa okazania przejmującego ją strachu powiększa jeszcze drżenie. Chciałaby, żeby myślano, że śpi; chciałaby udać straszną migrenę, nagłe omdlenie... chciałaby złamać sobie nogę, żeby mieć przedmiot do rozmowy, oddałaby połowę swych jasnych pięknych włosów, żeby choć przez chwilę posiedzieć, tak jak wczoraj z wachlarzem w ręku. Niestety! drogie dziecię, to jest rzeczą niemożebną i wierz mi, że nie masz czego bardzo się rozżalać.

Ja sądzę, że ten pierwszy krok w pożyciu małżeńskiem może zrodzić, stosownie do towarzyszących mu okoliczności, zachwycającą sympatyję, albo niezwyciężoną odrazę. Ale żeby obudzić tę sympatyję, ażeby wydobyć iskrę, która ma zapalić ten bukiet nieograniczonej wdzięczności i radosnej tkliwości, ileż-to sztuki, ile taktu, ile delikatności i zarazem przytomności powinien posiadać sprawca. Zawszem myślała, że wojskowi, przyzwyczajeni szybko się decydować i zachowywać zimną krew, są bardziej.. ale bardzo być może, że sądzę w tej kwestyi, zanadto się opierając na swoich jedynie osobistych wrażeniach.

Jakim sposobem to się stało, że za pierwszem słowem, wymówionem przez Jerzego, moje obawy znikły? Głos jego był tak uspakajający i tak miły, z taką wesołością prosił mnie, żebym mu pozwoliła zbliżyć się do ognia, żeby sobie mógł ogrzać nogi, mówił do mnie z takim zapałem i swobodą o wypadkach tego dnia! Powiedziałam do siebie: Nie, to niepodobna, żeby się za tem ukrywało co złego?

Wobec takiego dobrego humoru i uprzejmości przywidzenia moje znikły, odważyłam się rzucić okiem z pośród kołder: zobaczyłam, że się umieścił w wielkim fotelu i ugryzłam się w wargę. Jeszcze teraz pytam sama siebie o przyczynę tego chwilowego przystępu złego

humoru. Kiedy się liczy na przestrach, zwykle się napróżno oczekuje! Nigdy Jerzy nie był dowcipniejszym, serdeczniejszym, zręczniejszym; był to jeszcze człowiek wczorajszy. Doprawdy, że alboby musiał był posiadać sztukę udawania w najwyższym stopniu, albo, że to ja sama byłam bardzo egzaltowana.

— Jestem pewny, moja droga — rzekł do mnie — żeś okropnie zmęczona.

Ten wyraz *droga* obudził we mnie dreszcz, ale mię nie przeraził; pierwszy to raz tak mię nazwał, alem doprawdy nie mogła mu odmówić przywileju nazywania mię w ten sposób. Pomimo to, ja się powstrzymałam i odpowiedziałam mu w ten sposób, jak się to mówi: „Dziękuję, nie piję herbaty“; odpowiedziałam:

— Ach! tak, jestem bardzo zmęczona.

— Domyśliłem się tego—dodał, przybliżając się do mnie—oczki ci się zamykają, nie możesz mi już nawet spojrzeć w oczy, *moja droga żonusiu*.

To „moja droga żonusiu“ samo przez się nie byłoby przerażającem, żeby nie dźwięk głosu trochę drżący, z jakim wymówił te wyrazy. Zdało mi się, że dostrzegłam bagnet za krzakiem.

— Odchodzę—mówił dalej—odchodzę, potrzebujesz spoczynku.

I przybliżył się do mnie jeszcze więcej, co nie było naturalnem. Potem, wyciągając do mnie rękę białą i delikatną, rzekł:

— Czy nie podasz mi rączki, moja kochana? i ja upadam ze znużenia, moja droga, śliczna żonusiu!

Gdy to mówił, twarz jego miała wyraz piekielny, ale nie pozbawiony uroku i jasno widziałam, że kłamie, jak szatan: nie chciało mu się tak samo spać, jak i mnie.

Mówcie, co chcecie, alem popełniła błąd, niedbalstwo (niedbalstwa to zawsze są powodem nieszczęść) żem mu pozwoliła się wziąć za rękę, która wypadkiem znalazła się pod koronką poduszki.

Byłam tego wieczoru w szczególniejszem nerwowem usposobieniu, gdyż doznałam przy tem dotknięciu szczególniejszego wrażenia, które mnie przebiegło od stóp do głów. Jednakże nie myślcie, że ręka kapitana nie była w dotknięciu miękka, jak jedwab; ja sądzę, że wrażenia fizyczne, które wzruszają nas—kobiety, bywają wywoływane przez przyczyny, wprost przeciwne tym, które wzruszają mężczyzn; z przymiotów ręki mego męża, najsilniej oddziaływającym na mnie—była jej siła. Było w niej coś stałego, męzkiego, potężnego. Ścisnął mię za rękę dość silnie; pierścionki, których mam zwyczaj nosić dużo na palcach, sprawiły mi ból, alem nie myślała o tem, doprawdy, byłam tem uszczęśliwiona, bardzo uszczęśliwiona, może zanadto. Po raz pierwszy uczułam niewysłowiony powab, nieledwie upajający, gdym się znalazła sam na sam z tą istotą, która mię mogła skruszyć w palcach i to wśród nocy, pośród ciszy, prawdopodobnie bez pomocy, sama jedna, opuszczona. Było to straszne i zarazem rozkoszne.

Nie cofnęłam ręki i pozwoliłam mu długo całować, ale to tak długo!... Na zegarze wybiła druga i ostatni szmer głosu oddawna ustał, a wargi jeszcze były na ręce, w gwałtownych drobnych ruchach, które były niedostrzeżonemi pocałunkami, wilgotnemi, gorącemi, palącemi...

Czułam naokoło siebie błyski pożaru; chciałam cofnąć rękę, alem nie mogła; przypominam sobie dokładnie, żem nie mogła. Jego wąsy kłuły mię, zapach perfum, któremi je skropił, dochodził do mnie kłębami i mieszał do reszty. Nozdrza wznosiły mi się mimowoli i starając się, ale napróżno, nie uważać na wszystko, zawołałam po cichu: „Czuwaj nademną, Boże! ale teraz już ze wszystkich Twych sił kroplę wody, Panie, kroplę wody!“ Czekałam, żadna widoma pomoc nie przybywała mi z góry.

— Mówiłeś mi, że ci się spać chce—szepłam drżącym głosem.

Byłam podobna do rozbitka, chwytającego za pływające pudełko od zapałek; wiedziałam dobrze, że kapitan nie odejdzie.

— Tak, chciało mi się spać, moje złoto — rzekł Jerzy, przybliżając swą głowę do mojej—

ale teraz mam pragnienie (przycisnął swoje wargi do mego ucha i powiedział po cichu... po cichutku...) pragnę nie pocałunku... Ciebie, moja droga...

To *ty* było początkiem nieszczęścia, był to przedświt innego życia. Małżonek, kochanek zjawia się, przeszłość ulatywała, wstępowałam w przyszłość. Nakoniec przebyłam granicę, byłam w kraju obcym. Przyznaję się, doprawdy, bo na co się zdało udawać? Piłam to *ty* i czułam, że wchodziło we mnie i rozlegało się daleko. Traciłam grunt pod nogami, czułam to; puściłam ostatnią gałązkę, przytrzymującą mię u brzegu i mówiłam do siebie: „Tak jest, ja cię kocham, tak, ja pójdę za tobą, tak, ja jestem *twoja... twoja... twoja...*“

Powtarzałam to *twoja*, zamykając oczy i wtedy uczułam, że się jego twarz zbliża do mojej i jego włosy mięszają się z memi.

Jedna myśl niepokoiła mię tylko: myślałam, że on pewnie nie wie, co się ze mną dzieje. A przecież nie mogłam mu powiedzieć, wielki Boże! nie mogłam. Niech zobaczy, niech zrozumie, niech odgadnie. Sądzę, że mię podejrzywał o niepokój wewnętrzny, gdyż dodał z czułością, przenikającą, jak złote szydełko:

— Więc ty nie uściskasz swego męża? powiedz... no... czy chcesz?

I jego usta były tak blizko moich, że czułam gorący oddech.

— Tak — odpowiedziałam.

Wyrzekłam to tak pocichu, żem się spodziewała, iż nie usłyszy, ale usłyszał, i zdawało mi się, że umrę w uścisku, który nastąpił po tym pocałunku — tem ostatniem, cichem oddaniu się.

W chwili, gdy strumień, wpadając do wielkiej rzeki, łączy swe wody, traci swe imię, swoją istotę, zapomina się na zawsze i oddaje się wielkiemu potokowi, doznaje zapewne tego, com ja wówczas uczuła; pewien rodzaj śmierci, podobny do zmartwychwstania... D. 7 Sierpnia 185... roku.

Tyle już razy od dwóch lat odczytuję cię, biedny niebieski kajeciku! Ileż to rzeczy miałabym do dodania na marginesie, gdybyś nie był skazany na spalenie tej jesieni do pierwszego ognia. Jak ja mogłam napisać wszystko to, a napisawszy, czemuż nie śmiałam dokończyć moich zwierzeń? Czy cię przynajmniej nikt nie widział, nikt nie przewracał twych kartek? Schowaj się prędko do szuflady i nim nadejdzie pierwszy ogień jesienny, mój pieszczochu, daj jeszcze buzi twojej Walentynie.

Uwaga. Jakim zbiegiem okoliczności ten niebieski kajecik, skazany na ogień, został przezemnie znaleziony, ukryty w szyfonierce z czasów Ludwika XVI, którą kupiłem w tym czasie? to zdaje mi się, kochany czytelniku, że nie wiele ci na tem zależy, żebyś się dowiedział? A ja nie mogłabym ci tego wytłomaczyć.

Gustaw Dros. (p. t. I s. 26).

Kalakua.

* Wielki żeglarz, który odbył niedawno podróż na około Europy. Wydał też następnie swoje wspomnienia z tej podróży p. t. „Wspomnienia z półświata.“ We wspomnieniach tych główną rolę odgrywają ministrowie państw konstytucyjnych i władczynie miłości absolutnej. Kalakua znany również jest, ale to tylko jednemu z naszych uczonych, ze świeżej pracy w tej gałęzi nauki. Gdy bowiem ktoś robił wyrzuty owemu mężowi, że trzeba najprzód się uczyć, zanim się zostanie sternikiem opinii i drwiąc zapytał, czy zna głośną pracę ekonomiczną Kalakua. „A jakże“, odpowiedział domorosły mędrzec, „czytałem i właśnie o przedmiocie, który ja obrabiam, mówi on w tomie V, na stronicy 162“.

Kalendarz.

* Jedyny przedstawiciel literatury w większej własności ziemskiej.

* *Kalendarz tygodniowy.*

Poniedziałek. Zapłacić ratę Fainmesserowi.
Wtorek. Zamienić weksel u Klapmutra.
Środa. Wziąć pożyczkę u Zweigelda.
Czwartek. Prosić Gamfebla o wstrzymanie ekzekucyi.
Piątek. Opłacić procent Mainfusowi.
Sobota. Rekreacyja.
Niedziela. Ułożyć kalendarzyk tygodniowy na bieżący tydzień.

Świąteczny.

Kałamarz.

* Przedmiot, który często kroć trzeba pożyczać od pachciarza, osobliwie w tych chwilach życia, kiedy się opuszcza lemiesz dla pióra w celu literackim, jak np. dla napisania kwitka na mięso.

Kamelija.

* Fijołek pachnie—kamelia nie, fijołek jest skromny—kamelia nie, fijołek rośnie, jak Bóg przykazał w trawie—kamelja potrzebuje kosztownej szklarni.

A jednak jest to prawdą, że nie jeden ciołek
Gubi się dla kamelii, chociaż miał fijołek.

Świąteczny.

Kamienicznik.

— Wiesz, że ten biedny X. został osadzony w domu waryjatów, pod nadzór lekarzy.

— Taaak... cóż mu się to stało?

— Wyobraź sobie, wszystkim lokatorom zniżył komorne.

Kamień na drodze. (Bajka).

Cieszył się kamień z tego, że każdy przecho-
Idący codzień [dzień,
Tą drogą,
Kopnął go nogą.
Szczególniejsza uciecha wśród głupich omamień!
Spytany więc, rzekł kamień:
— W ostatnim, widzisz, rzędzie stoję ja z wszy-
Dlatego [stkiego,
Podobieństwo do ludzi me choć jest dalekiem,
Cieszę się z tego okropnie,
Gdy mnie kto kopnie,
Myśląc, że wtedy jestem, co najmniej... czło-
[wiekiem.

Duduś. (p. t. I s. 30).

Kancelaryja.

* *Urzędnik do złodzieja.* No podpiszcie się tu na protokóle...

Złodziej (chcąc pisać). Tutaj na brzeżku...

Urzędnik. Ależ tutaj, koło mego podpisu..

Złodziej. Nie, nie mogę...

Urzędnik. A to dla czego?

Złodziej. Bo jakbym tak blizko „stojał“ na protokóle koło pana, to jeszczeby przy sprawie mogli się pomylić w osobach...

Kancelista i kanclerz.

* Pewien wieśniak, mając posłuchanie u kanclerza, nazywał go zawsze kancelistą. Po ukończonej rozmowie zauważył kanclerz: „Muszę ci powiedzieć nareszcie mój kochany, że nie jestem kancelistą, tylko kanclerzem.“ „Co to szkodzi“, odrzekł wieśniak, „jeszcze wielmożny pan nim być może!“

Kandyba.

* Stado półkownika Kandyby na Ukrainie wydawało konie rosłe i niezgrabne, ztąd podobno pospolicie je kandybami nazywano.

Kandybowie, dom dawny w W. K. Litewskiem. O jednym z nich jest złośliwy wierszyk ruski, który także przeszedł w przysłowie.

Czy ryba, czy rak,
Kandyba durak;
Czy rak, czy ryba,
Durak Kandyba;
Czy siak, czy tak
Kandyba durak.

Kandydat.

* Kochany Krysztalewicz w teraźniejszej walce,
Kiedy wspomnę o tobie, łza mi w oku stoi!
Gdy ty w kredensie Feba oblizujesz palce,
Jak na nieśmiertelnego poetę przystoi,
Ja tu muszę pracować w uprzykrzonym tłumie,
Co nie zna się na figlach mądrego człowieka,
Ani jego pomysłów ocenić nie umie —
Pić herbatę bez cukru i kawę bez mleka,
Jeść twarde obwarzanki i łakocie z postem,
Albo z bólem na trawie taczać się pod mostem.
Aż burczy wygłodniałe, puste dożywocie.
Krysztalewicz! bratuniu! swawola! swawola!
Czemuż było rzuciwszy wileńskie łakocie,
Nie maszerować z tobą w Elizejskie Pola?
Tam światłość wiekuista w same zęby świeci,
Tam przebywa ksiądz Baka i inni poeci,
Tam pieczone gołąbki, niebieskie migdały,
Tam łaskawy Apollo dla wzbudzenia weny,
Sprosiwszy na śniadanie rój poetów cały,
Za ich zdrowie wydudla garniec hypokreny,
A bracia wierszokletу, jak żydzi w Purymie,
Piją, krzyczą, rymują, w zgodzie i weselu!
A ja ślinkę połykam... o mój przyjacielu!
Kiedyż pomiędzy wami zabrzmi moje imię?
Krysztalewicz! bratuniu! ty nie znałeś zdrady,
Byłeś mi przyjacielem od gołego serca:
Chciej mi się smakowitej wystarać posady,
Jeżeli cię tam jaki nie uwiódł oszczerca.
Byle tylko łakocie, nie straszna mi praca,
Wszakże wiesz, że ja gardzę tym uprzejmym [światem.
Kto tam u was na rożnie pieczyste obraca?
Może jest wakans? dalibóg jestem kandydatem,
Ufam że, z przyjacielską pośpieszysz usługą.
Kończąc te zgłoski, jestem twym pokornym sługą.

Syrokomla. (p. t. I s. 128).

* *Pewny siebie kandydat.*

— Macieju! bylibyśta wójtem?

— Oj! oj! żeby mnie ino chcieli.

— A potrafilibyśta w kancelaryi pisać?

— To ci dopiro śtuka! mental na szyję, pieczęć w garść, cygaro w gębę i siabas!

Kaniowski starosta.

* Komuż nieznany pan Potocki, starosta Kaniowski, na którego rachunek nakarbowano wszystkie gwałty, jakie przez półtorasta lat może się robiły? A bez wątpienia, że i on sam niemało ich napłatał. Ale i on pod pewnym względem służy za dowód, że była u nas sprawiedliwość; wszak ci on żadnego szlachcica nie zabił, tylko gęsto sypał plagi na tych, do których coś upatrzył, co nie było trudno, bo był chimeryk. Przecie milijony miał po rodzicach, posiadał starostwa intratne, grosza na przepych nie marnował, owszem, był wielkim gospodarzem, żadnemu panu trzy wsi nie przynosiły tyle, ile jemu jedna, a po śmierci nie wiem, czy dwakroć sto tysięcy na jego synowca spadło. Ile bowiem batogów sypnął był jedną ręką, tyle potem tysięcy drugą na zagojenie pierwszych dawał. A wieleż to na Ukrainie liberbaronów na dziedzictwo wyszło z łaski jego batogów! To tu razu jednego powiedział pewnemu szlachcicowi, co mu naprzykrzał się w karczmie: *Niema groszy, bić niebędę.* Wszyscy słyszeli o staroście Kaniowskim, a ja byłem mu osobiście znany, nawet miałem z nim interes, z którego powodu cały tydzień służyłem mu w Kaniowie i mogę się pochwalić, że najmniejszej przykrości z jego strony nie doświadczyłem. Owszem, tyle okazał się dla mnie łaskawym i łatwym w interesie, że daj Boże moim wnukom każdy swój interes podobnie kończyć! Moja bytność w Kaniowie nastąpiła z następnego powodu:

Książę Wiśniowiecki, hetman wielki Litewski, którego córka jedynaczka była matką naszego księcia, miał starostwo Kaniowskie, nadane jeszcze od króla Augusta starego. Tam, jak zwyczajnie wtedy na Ukrainie, zastał same pustki. Ale w przeciągu swojego władania wymurował zamek, wystawił folwarków, młynów i zabudowań co niemiara, o co po jego śmierci sukcessorowie poszukiwali swojej należytości w rzeczypospolitej, że kiedy później to starostwo dostało się panu Potockiemu, on wziął na siebie

obowiązek zaspokojenia księżnej Radziwiłłowej. Za wstawieniem się przyjaciół interes został ukończonym. Jeszcze księciu wojewodzie Wileńskiemu *residuitatem* zostawało u pana Kaniowskiego czternaście tysięcy, które się zawiodły z powodu zamieszek krajowych od śmierci Augusta III. Książę pan, wróciwszy do Ołyki z Lublina, po ukończonym interesie z książętami Lubomirskimi przypomniał sobie, że mu jeszcze coś należy od starosty Kaniowskiego, a chcąc mi łaskę wyświadczyć za moje usługi, darem darując, odstąpił mnie te czternaście tysięcy, dodając: — Panie kochanku! ruszaj-że sobie do Kaniowa po pieniądze, abyś z gołemi rękoma nie pokazywał się żonce, której od waści kłaniać się będę. — Padłem do nóg mojemu JO. panu. Czternaście tysięcy wtedy był piękny grosz, a nawet i teraz, ktoby ich na drodze znalazł, nie szczędziłby rąk swoich do ich podniesienia. Ale jak zaczęli mi ludzie mówić o dziwactwach pana starosty, że zamiast monety srebrnej, nie trudno w Kaniowie o rzemienną, niemałom się nafrasował, lecz powiedziałem sobie: — Najprzód, panie Sewerynie, czyż już dla wilka nie iść do lasu, choć skóra w strachu? Ojciec dzieciom czternaście tysięcy dla strachu nie opuści, chybaby już oczu nie pokazać między ludźmi.—Postanowiłem tedy, odebrawszy list od księcia pana do pana starosty, nazajutrz puścić się w podróż. Pan Bartłomiej Chodźko napierał się być moim towarzyszem, ale mnie na to nie namówił, bym szedł z żarem do prochowni. Cały wieczór na pokojach miną nadrabiał, ale w sercu była wielka niespokojność, tak, że przed wyjazdem na intencyję pomyślnej podróży opatrzyłem się Przenajświętszym Sakramentem w kollegiacie ołyckiej i uczyniłem ślub, że po odtrąceniu wszelkich wydatków, z całej kwoty, co ją odbiorę, opłacę dziesięcinę w połowie kollegiacie, a w połowie siostrom miłosierdzia w Nowogródku. A lubom wiedział, że pan starosta wówczas znajdował się w Kaniowie, puściłem się jednak w drogę, a to: żeby przypomnieć się JW. Potockiemu, podczaszemu, u którego kilkakrotnie byłem na ordynansie Ba! omal, że nie zabrał mnie wtedy z sobą do Stambułu, co mi się bardzo podobało, bo który młodzian nie rad jak najwięcej świata przebiedz? Ale wola Pana Boga była, bym w swoim kraju służył, bom tak na malignę zapadł był, że JW. podczaszy bezemnie wyjechał, lecz mogłem sobie pochlebiać, że jakiś wstęp mam do jego osoby.

Pojechałem więc do Morafy, raz dla złożenia czołobitności ziomkom pomienionemu panu, powtóre, że on zasługami swojemi mógł być uważanym za głowę domu Potockich. Chciałem się więc ubezpieczyć w Kaniowie jego listem do pana starosty. Jakoż, chociaż tuzin lat i więcej minęło, jak mnie widział ostatni raz pan podczaszy, od razu mnie poznał, nazwał po chrzestnem imieniu i tak łaskawie przyjął, że padłem mu do nóg, łzami się zalawszy. Z wielką czułością wypytywał mnie o JO. księciu, moim panu i o innych magnatach, z którymi miał przyjaźń, a których od dawna nie widział, gdyż zamknął się był w Morafie i zajmował się gospodarstwem, usunąwszy się od życia publicznego, w którem, wedle jego przekonania, nie godziło mu się być czynnym. I tyle okazał się dla mnie łaskawym, że chociaż zostawał w obojętności względem pana starosty Kaniowskiego, z powodu, iż ten świeżo kazał był powiesić żyda z Morafy, nie odniósłszy się do niego, jednak własną ręką napisał za mną list instancyjonalny, co mi go przed wyjazdem wręczył JPan Wirski, marszałek jego dworu. Pan Wirski przyjął mnie był na swoją kwaterę i przez dwie doby, com przebył w Morafie, miałem u niego wszelką wygodę. Nie był mu tedy tajny mój interes z panem starostą, a że go znał dobrze i sam bywał nieraz świadkiem jego dziwactw, różne dał mi informacyje o trybie życia, jakie on przybrał. Szczególnie mi radził, bym nie ważył się kołami zajeżdżać przed jego zamek, ale konno przybyć, gdyż pan starosta zaraz się kwasi na szlachcica, co nie będąc chorym, ani zgrzybiałym, pozwala sobie podobnych

zniewieściałości. Utrzymywał albowiem, że w Polsce temu tylko pojazd godziwy, kto ma krzesło w senacie lub trybunale, albo miejsce na ławach poselskich, dając z siebie przykład, że będąc tylko starostą, podróże chociażby najdłuższe, wierzchem odbywał. Tak więc listami, radami, a najwięcej ufnością w Bogu opatrzony, puściłem się do Kaniowa dnia 4-go Sierpnia, w wigiliją N. Panny Śnieżnej. Nie omieszkałem kupić po drodze w Niemirowie terlicę kozacką z całym moderunkiem, a miałem w lejcu klacz skarogniadą, która w potrzebie niezgorzej pod siodłem chodziła i szczęśliwie po czterech dniach podróży, już po zachodzie słońca, zajechałem do żydowskiego domostwa na przedmieściu kaniowskiem. A nazajutrz raniuteńko wysłuchałem mszy świętej. Do południa nachodziwszy się po mieście i namedytowawszy, kazałem chłopcu klacz okulbaczyć i w Imię Boskie ruszyłem na niej wprost do zamku. Przed bramą spostrzegłem trzy słupy, z uszami żelaznemi, do zawiązywania przy nich koni. O, tu pan Wirski zapomniał mnie oświecić, że ja samym instynktem tylko uniknąłem napaści. Jeden słup był karmazynowy, drugi biały, a trzeci czarny; przy pierwszym uwiązałem klacz i dobrze mi się udało, bo jakem się później dowiedział, ten słup był dla szlachty, drugi dla chłopów, trzeci dla żydów, a jak kto wybierze słup niewłaściwy swojemu stanowi, a pan starosta to spostrzeże, temu już bieda, zwłaszcza, jeżeli podochocony. Że to była Sobota, pan starosta ten dzień suszył i żadnego mocnego napoju nie używał, o czem się dowiedziałem w klasztorze, więc miałem dobrą nadzieję o pierwszem spotkaniu, a wziąłem na siebie mundur albeński, do którego noszenia świeżo byłem upoważniony. Uwiązawszy tedy kobylinę u szlacheckiego słupa, poszedłem na dziedziniec, gdzie zastałem wychodzących z kaplicy zamkowej i rozpierzchających się po dziedzińcu dworzan i sług kaniowskich; kilku zostało tylko przed kaplicą z czapkami pod pachą, a jeden miał głowę nakrytą, którego po tem samem można było poznać, że to był sam pan starosta. Chociaż wzrostu nikłego, a chudy i ogorzały, jak cygan, było coś odznaczającego się w jego obliczu, coś okazującego, że był nawykłym do dawania rozkazów, a jeszcze więcej do tego, by je natychmiast spełniano. Z dworzan, otaczających go, żadnego nie było, coby go przynajmniej głową nie przenosił, a szczególniej jeden, bliżej niego stojący (do którego właśnie w tej chwili przemawiał i można było zaraz poznać, iż się zaszczyca ściślejszą poufałością pana) był i ogromnej tuszy i olbrzymiego wzrostu; przecie gdyby nawet pan starosta wraz z nimi miał głowę odkrytą, anibym się wahał domyślić, że on nad nimi wszystkimi starszy. *Poznać pana po cholewach.* Jego czupryna czarna i kędzierzawa, u spodu podgolona, długim spadała kudłem niżej prawego ucha, więcej z kozacka, niż z polska; małe oczy czarne błyszczały, jakby jaszczurcze w twarzy, po której kilka szramów świadczyło, że w burdach swoich własnego łba nie szczędził; a najgłębsza kresa, co mu lewy policzek na dwie części ledwo nie równe przedzielała, jakem się później dowiedział, była pamiątką tego najpoufalszego dworzanina, z którym rozmawiał, a który tem, iż go przemógł, zaskarbił sobie szczególne pańskie względy. Wszyscy dworzanie byli odziani porządnie, nawet nie bez jakiegoś przepychu. Ale on sam miał na żupanie płótno domowej roboty, z pod którego wyglądały karmazynowe hajdawery, długą kurtkę granatową z potrzebami, a żupan był opasany rzemiennem łykiem, przy którem wisiała ogromna szablica. Właśnie zapalał mu lulkę kozaczek, mający za pasem nahaj w srebrną skówkę oprawny. Zbliżyłem się ku niemu i nizko skłoniwszy się, zabierałem się do opowiedzenia siebie; ale jak utkwił we mnie wzrok swój, zmierzywszy mnie wprzód od głowy do pięty, zmięszał mnie zrazu tak, że zapomniałem języka w gębie. Zaraz wszelako przyszedłem do siebie, jak się odezwał pan starosta: — Co to, waszeć, jak widzę, Albeńczyk; a co nam z Litwy przynosisz? — Odpowiedziałem śmia-

ło: — Mam listy do JW. pana, które dadzą mi wstęp do mówienia o interesie — i dobywszy z zanadrza list z Morafy, złożyłem go w jego ręce. Ale ledwom wspomniał Morafę, nadstawił marsa. — To znowu wymówki za żyda, co go w Kaniowie powiesili! Pan podczaszy za żydem się ujmuje, jakby za rodzonym bratem: aż Albeńczyka na mnie sprowadził. A wiesz waszeć, że to Kaniów? Jeśli z Morafy przyjeżdżasz, to musisz wiedzieć, że Boćki do pana podczaszego należą i że ja ztamtąd co roku kilkadziesiąt nahajów sprowadzam.—Tu wziąwszy nahaj od kozaczka, ciągnął: – Widzisz waszeć *timor Domini, alias* pióro? Ja miewam we zwyczaju, że na listy z wymówkami odpisuję nim na skórze tych, co mi je oddają. — Tu się obruszyłem; jakby nie było, a nadto dobrym się czułem szlachcicem, bym dał sobie mówić o batogach. – JW. starosto! – powiedziałem śmiało—może na Ukrainie we zwyczaju nahaj za pióro, a skórę szlachecką za papier uważać. Ja jestem dworzaninem księcia wojewody Radziwiła, od niego w swoim interesie przyjeżdżam, o czem list od JO. mojego pana przekona. O żadnym żydzie morafowskim nie wiem, tylko JW. podczaszego o list instancyjonalny prosiłem do JW. pana i dostałem go, bo mnie znał JW. podczaszy, kiedyśmy razem nie nahajem ze szlachtą, ale szablą wojowali. Ja jestem szlachcicem, a do tego Albeńczykiem i mam przy sobie pałasz, który moją skórę przegrodzi od batogów: a jeżeli mnie liczbą rozsiekacie, znajdą się koledzy moi, którzy choćby w zamku Kaniowskim, po mojej śmierci nawet odszukają mojej krzywdy.—Wypogodził oblicze swoje pan starosta, a obróciwszy się do poufałego dworzanina: – Oto zakaduczny Litwin, dyjabłaby sprzedał; — widzę, żeś prawdziwy Albeńczyk, panie bracie, samopas gotoweś mnie najechać w moim zamku. Mospanie Łopucki! przeczytajno, czego chce od nas pan podczaszy.—Odczytał głośno ogromny dworzanin list pana podczaszego, w którym żadnych nie było wymówek, tylko za mną instancyja w nader chlubnych o mnie wyrazach, któryehem się ani spodziewał, anim na nie zasłużył. — Dobrze, bratku, dobrze, pogodzimy się; po co mamy z sobą wojować? — i podał mi rękę, którą z uszanowaniem pocałowałem. — Dawaj-że teraz pismo księcia Radziwiłła. — List był krótki, w którym mój książę prosił o łaskawe przyjęcie swego sługi. Pan starosta z przymileniem powiedział: — Proszę, panie bracie, rozgośćcie się w moim domu; nie puszczę waszeci od siebie, pokąd tydzień nie upłynie. Dziś Sobota, wodę piję, jak Sełczyn, ale jutro upijem się z sobą, boś ty dobry chłopiec i zuch, a do tego sługa (tu zdjął czapkę) JO. księcia wojewody Wileńskiego. To pan nad pany, jaby sam u niego służył. — Na to pan Łopuski: – A jużci tego nie pozwolim; tam-to Litewski pan, a pan— nasz pan. Nam szlachcie służyć, a wam równym sobie panom, panować. — Pokiń, pokiń, panie Łopuski, daleko kotu do zająca

— Wiesz waszeć, mospanie Soplico, że przed kilkunastoma laty całe półrocze przesiedziałem u waszego pana w Nieświeżu; widzisz tę kresę, co ją mam na łbie? To pamiątka po panu Ignacym Wołodkowiczu? O! to był dzielny zuch, od urodzenia takiego nie widziałem, bywało szablą rąbie jak siekierą, aż drzazgi lecą. Powadziłem się był z panem Józefem Rejtanem i dwa palce jemu odrąbałem, a pan Wołodkowicz ujął się za nim. — A no ze mną, mospanie Kaniowski. — Dobrze, panie Kaniowski, sprobójemy się, ale jak mnie zdzielił po łbie, to wszystkie niebieskie gwiazdy porachowałem. Dla tego takeśmy się pokochali, żeśmy żyć bez siebie nie mogli. Oh! żebym ja był w Nowogródku wtedy, gdy przyszła nań śmierć. Cóż ,robić? Płakałem po nim jak dziecko, sześć tygodni dniem i nocą piłem, a żalu nie mogłem utulić. Mospanie Soplico! przepraszam, żem waszeci z razu źle przyjął, ale jakeś mnie oddał list pana podczaszego, anim się mógł spodziewać, że i od waszego księcia mnie drugi przynosisz. Myślałem, że znowu mnie łaje, bo gniewa się na mnie podczaszy. Jak wpadnie w moje ręce jaki żyd, nie pytam się zawsze, a oddaję za swoje. Jakiś żyd pokazał się w Ka-

niowie na Mikołę i zaczął moich chłopów w kubki ogrywać. A czort wiedział, że on z Morafy! Ja na niego Magdeburgiję sprowadził i żyda powiesili: wielkie święto! a pan podczaszy do mnie z wymówkami. Ja sześć bryk kazałem naładować żydami śniatyńskiemi i buczackimi i te wszystkie bryki przewrócić na dziedzińcu morafskiego zamku. Za jednego żyda, masz sto, a odczep się. A pan podczaszy jeszcze gorzej się rozgniewał i taki wypalił do mnie list, żeby to nie był Potocki, jak i ja, to ja jemu... ale pokińmy. Panie Łopuski! żeby panu Soplicy u nas na niczem nie zbywało. Bo to radziwiłłowska czeladka. A teraz, panie bracie, powiedz-no, w jakim interesie do mnie przyjechałeś? — Niech się nacieszę jeszcze JW. panem; o interesie będzie pora mówić, jak się rozgoszczę, to o wszystkiem objaśnię. Dziś Sobota, pan zwykłeś dziś suszyć i mnie sługę swojego na zbawienną drogę naprowadzisz; przy kielichu jutro gładziej pójdzie, a tylko panny o wodzie rozprawiają. — Prawdziwy Albeńczyk! i zuch i mądry; żeby ta Sobota prędzej minęła tobym z Litwiakiem pobawił się. W Nieświeżu tęgo piją, albo ja tam pół roku nie siedział? Jak się też powodzi panu Leonowi Borowskiemu?—Zdrów, panie! zawsze wesoły i w łaskach u JO. mojego pana. — Albo on tego nie wart? A jak pije! Co to, mospanie! półgarnca wina duszkiem w żywot wleje, ani odetchnie; żeby on do Kaniowa przyjechał, tobym go jak króla przyjął. Mospanie Soplico! z najsławniejszymi próbowałem się; pijało się ze Swiejkowskim, podstolim Wołyńskim i z Janikowskim, co to ma przysłowie: *quinque dyjabłów*, i z Branickim, kiedy jeszcze był łowczym koronnym, i z Łahodowskim, co kielichem całą Wielką Polską rządzi: wszystko głupstwo przy Borowskim! I książę wojewoda Wileński dobrze pije, ale daleko mu do niego; na całej Koronie i Litwie jeden tylko Konarzewski, co obok niego stanąć może, a prócz Konarzewskiego, jak świat szeroki, nie ma równego Borowskiemu. To mospanie, kiedy pan Ignacy mnie nakiereszował, doktór nadworny księcia pana obwiązał mi głowę, krew puścił i wymógł na mnie, żem się na N. Pannę zaklął, iż póki mnie nie pozwoli, wodę tylko pić będę i nie wyjdę z kwatery. Tęskno mi było w ciupie, modlił się człowiek, modlił, aż się przemodlił. Przyjaciele i sam książę pan z łaski swojej mnie nawiedzali, a ja im mówię: dla miłości Pana Boga, bawcie się u mnie. Choć mi pić nie wolno, niech przynajmniej się napatrzę, jak drudzy piją. — A książę pan zaraz posłał po Borowskiego, bo bez niego zabawa nie warta. A mnie przyszedł koncept do głowy. — Panowie! – odezwałem się — doktór każe mnie pić wody jak najwięcej; zafarbujcie mnie wodę, oszukamy pana Leona, będzie potem śmiech, że będąc słabym, przepiłem go.—Na to książę wojewoda: —Dobrze, panie kochanku, ale czy doktór pozwoli waści tyle wody nażłopać?—Właśnie doktór był przy tem, doktór Morysson, który, jak wiesz, nie był od kielicha.—I owszem— odezwał się — niech pan starosta zdrów pije wodę, ile jej się wleje, a ja sam zajmę się jej zafarbowaniem. — Jak przyszedł pan Leon, wszystko było na pogotowiu i zabawa się zaczęła. Piwniczy wszystkim nalewa wina, a mnie wodę; gładko szło, już wszyscy byli podochoceni, tylko pan Leon zawsze świeży do kielicha. A ja piję wodę a piję, ledwo trzcina w brzuchu nie wyrosła; nareszcie takem się odął, że ani sposobu wytrzymać. Patrzę na Moryssona i oczami modlę się do niego, by mi pozwolił aby jeden kielich wina wypróżnić, bo dalej pęknę. Domyślił się doktór, czego chcę i wyszedłszy, zrobił porządek, by mi prawdziwego wina przynieśli; ale jak mi go nalano w kielich, a ja go do ust przybliżył, pan Leon mnie za rękę: – Nie uchodzi drwić z ludzi, panie starosto; czemś zaczął, tem dokończ. — Domyślił się jucha; ja w prośby, spuścił mnie od dalszego picia wody, ale wina pić nie pozwolił ani kropelki. — Nie porywaj się z wodą na wino! śpij teraz i swoją wodę wypoć, a jak doktór da ci indult, służę na gołe łby bez tych figlów studenckich. — Wszystkim śmiech, a mnie wstyd — ale odtąd

nigdym głowy przed panem Leonem nie nakrywał. —

Po tej gadce przybliżyli się do pana starosty jego kapelani, których miał dwóch, a ja, by się nie naprzykrzyć, poszedłem sobie z panem Łopuskim, który mnie odprowadził do naznaczonej mi kwatery i kobyłę kazał wziąć na obrok pański, a wózek zostawiłem z chłopcem na gospodzie, bo taki nie dowierzałem panu staroście, by nie była jakaś napaść, jak się dowie, że pozwalam sobie wózka. Roztasowałem moje mizeryje na kwaterze; ale niedługo w niej siedziałem, bo dano mi znać, że pan starosta każe sobie służyć na obiad. Na tym obiedzie i wstawszy od stołu, ciągle był zajęty mną, chudym pachołkiem — wszystko mię wypytywał o znajomych mu Litwinach i nie było mowy, tylko o życiu nieświeżskiem. I było tego dobrego do wieczora, który się jednak bez burzy nie obszedł, bo woźny trzy pozwy położywszy na ekonomii, a któremu już kilkakrotnie udało się ujść z Kaniowa bez szwanku, gdyż gęste pozwy sypały się na pana starostę, jakoś nie uwinął się i wpadł w ręce kozaków, którzy mu relacyje gotowe wytrzęśli. Biedny woźny sto nahajów dostał, a nie dwieście, wedle obyczaju kaniowskiego, bo na jego szczęście to było w Sobotę, a na cześć N. Panny w dniu tym pan starosta zawsze pół kary odpuszczał. Można było uważać, że przy końcu dnia JW. gospodarzowi bardzo się ta Sobota przykrzyła i że niecierpliwie wyglądał Niedzieli, aby co prędzej popieścić się z kielichem. Zakończył nareszcie Sobotę, ale w taki sposób, że nawet zakonnicy, jego otaczający, mogli być wielce zbudowani, bo i koronki odmówił i godzinki Niepokalanego Poczęcia śpiewał i to z całym dworem, a tak gorliwie, że sto rózeg kazał dać jednemu ze swoich paziów za to, że ziewnął podczas jednej Antyfony. A jakeśmy się porozchodzili do wczasu, ledwom mógł zasnąć na kwaterze, bo aż do północy wszystkie dzwony kaniowskie kołysały się na cześć N. Panny *in gratiam* Soboty. W panu staroście była wielka mieszanina pobożności i chimer. Nazajutrz, jako w Niedzielę, za przykładem pana, goście, dwór, czeladź i poddaństwo, jak się zebrali w kościele na jutrznią, to dopiero aż po sumie z niego wyszli: a wszystko się modliło gorąco. Dałby pan starosta temu, coby w prawo i lewo okiem rzucał, bo chociaż sam modlił się z wielką skruchą, ciągle klęcząc, co chwil kilka patrzał, czy wszyscy obchodzą się przyzwoicie.

Obaj kapelani kazali; jedli oni chleb pański, ale dla tego nie oszczędzali pana starosty. Pełno było w kazaniu dla niego nie wątróbek, jak to ludzie mówią, ale głogów i cierni. Jeszcze pierwszy jakoś zdaleka mu przymawiał, ale drugi po prostu siepał, bez ogródki piorunował przeciw pijaństwu, popędliwości, nieludzkiemu obejściu się z podwładnymi, tak, że choć nazwiska nie wymieniał, właśnie jakby palcem go wytykał. Pan starosta, jakby nie o nim, tylko głową kiwa, oczy mrużąc, do *Sanctissimum* obrócony i w piersi się bije kułakiem. Może komu z tego był śmiech, ale ja się budowałem i wielkie powziąłem uszanowanie dla pana starosty za to, że tak poczciwie wierzył. A czemu, powie kto, nie tak dobrze czynił, jak dobrze wierzył? To źle bezwątpienia, ale gdyby taka wiara była, jak uczynki, to byłoby jeszcze gorzej; co złego, temu przyganiajmy; lecz czemu nie pochwalić, co jest dobrego? Po nabożeństwie była sessyja ekonomiczna, na której sam starosta, jak zwykle, zasiadał, o wszystkiem wiedział, nic bez jego rozkazów się nie robiło. To był zawołany gospodarz, a nie tylko dyspozytorowie nagromadzili się, ale i Ciwunowie, których tam *przysiężnymi* zowią, a każdego wysłuchał i badał. A kozacy z nahajem stali przed oknami kancelaryi, gotowi sypać plagi na znak pański. Jakoż nie obeszło się bez kilku egzekucyj. Strach się malował na twarzach wszystkich oficyjalistów. Jedna z pomiędzy wielu egzekucyj dnia tego, chociaż boląca, nieco mnie rozśmieszyła. Przed kilkoma tygodniami pan starosta był przedał *certum quantum* pszenicy Philiponom kaniowskim. Otóż w je-

dnym folwarku dyspozytor, zniósłszy się z przysiężnym, kilkanaście korcy czelnej pszenicy w poślad wmięszał i sobie zabrał w moc ordynaryi, bo że w tym roku jarzyna chybiła w Kaniowczyźnie, poślad pszenny w miejscu owsa przyjmowali ordynaryjusze. Ale pan starosta, co wszystkiego zawsze doszperał przez swoich kozaków. po nitce dobrał się do kłębka; rozgniewał się tedy okropnie i krzyknął na kozaków, by położyli dyspozytora. Ale ten zaczął się wymawiać swojem szlachectwem, że nie jest on z takich, co to tylko szlachcic, alias, że on jeszcze z dziada i pradziada ma zasługi w domu Potockich. A trzeba wiedzieć, że pan starosta zawsze miał względ na szlachectwo, o którego rzetelności był przekonany. Zaraz się opamiętał. —Otoś mnie zagadł! prawda, synu, prawda, tyś szlachcic, twój ojciec był towarzyszem w mojej chorągwi, bić nie będę, ale kiedyś szlachcic, dla czego kradniesz? no, no, przypomnij sobie matkę. — Kazał położyć dyspozytora, a na nim przysiężnego i temu dwieście nahajów odliczono tak, że szlachcic służył chłopowi za ławę. A jak oba wstali, przysiężnemu powiedział: —Pamiętaj, sobaczy synu, żebyś z ekonomem się nie zmawlał na szkodę pańską; szlachcic się wykpił, a tobie będzie bieda. A waćpana, panie szlachcicu, proszę dziś do siebie z innymi na obiad. — Było tam jeszcze rozmaitych kawałków, ale Bóg świadek, że w tem wszystkiem było silne wyobrażenie sprawiedliwości. Sesyja ekonomiczna skończyła się przed samym obiadem. Wszyscyśmy doszli do stołu za panem starostą. Co było na sesyi, to było, ale po niej każdego uprzejmie zaprosił, tak, że kilkadziesiąt osób siedziało za stołem. Mnie niedaleko siebie posadził; piwniczy nam wino nalewał, a na szarym końcu stał miód w dzbankach na stole, ale tak obficie, że każdy mógł się opić, jak bąk: jakoż uważałem, że nikt tam swojego gardła nie oszczędzał. A pan starosta po sztuce mięsa już rozpoczął zdrowia kolejnym kielichem.

Pierwsze zdrowie było mojego pana, JO. księcia wojewody, po którego spełnieniu, za danem hasłem wszystkie armaty kaniowskie huknęły, a inne zdrowia spełniano, ale bez wiwatów. Wszystkich mu znanych Litwinów pił zdrowie i kazał mi za powrotem moim ich uwiadomić, jak zachowuje ich pamięć, a szczególnie by księciu wojewodzie oświadczyć, że nigdy w nim nie przestanie mieć gorliwego i poświęconego sługi, który żadnej nie opuszcza okoliczności, aby uczcić tego wielkiego męża, któremu równego ani świat, ani korona Polska nie wydały. To był prawdziwie dzień świetny dla Litwy; gdyby cała mogła być obecna tej uczcie, takby się rozrzewniła, jak ja, który w jej imieniu ze łzami dziękowałem i odpijałem wdzięczność za to zachowanie, co jej syny uskarbili sobie tutaj, a którą wynurzał je den z najznakomitszych magnatów tej strony od nas oddalonej. Byłem przejęty uczuciami najgłębszej wdzięczności, po pierwsze za cześć, kilkakrotnie wynurzoną JO. wojewodzie panu i dobroczyńcy, którego smaczny chleb od tylu lat jadłem, a którego szczodrota i wówczas wstęp mi dała do zamku przemożnego pana, gdzie byłem przyjęty nie jak sługa równego jemu magnata, ale jak przyjaciel. Bo powinowaty nawet, lepiej niż ja, nie mógłby być ugoszczonym. Powtóre za tę zaszczytną pamięć, co ją serce pana starosty kaniowskiego zachowało o tylu Litwinach zacnych, po większej części z mojego województwa, a z którymi wychowałem się i kolegowałem: a nawet wprost za siebie samego kilkakrotnie musiałem dziękować.

Bo nie tylko, że jedna kolej obeszła za szczęśliwe powodzenie szlachty litewskiej, do której grona mam zaszczyt należeć i to wyznaję bez obawy, by mię o chełpliwość posądzono; ale pan starosta pił zdrowie bandy albeńskiej, co mnie jeszcze bliżej dotykało, bo jakom wspomniał, świeżo byłem przypuszczony do tego towarzystwa, którego barwę ciągle w Kaniowie na sobie miałem. A nakoniec pan starosta, niech go za to Pan Bóg stokrotnie i na tamtym świecie błogosławi, mnie chudego pachołka zdrowie stojąc spełnił, jak wszy-

stkich innych. Bogiem i ludźmi się świadczę, że tak było, a nie inaczej, a ja klęcząc, spełniłem kielich dziękczynny i nie taję się, żem mu kolana ucałował. Już dawno było po obiedzie, a my pijem a pijem, a pan starosta tak wylany, nie tylko dla mnie, którego się sadził okryć szczególnemi względami, ale i dla oficyjalistów swoich, tych nawet, co ich ofukiwał na sessyi. A jaki miły w opowiadaniu! Ciągle coś wesołego miał do mówienia. — Mospanie Soplico — mówił mi — ogadano mnie przed światem, żem tyran na szlachtę; broń mnie waćpan przed ludźmi! Wszak ja sam szlachcic, a podły ptak, co swoje gniazdo paskudzi. Byłeś świadkiem, że choć tak uniosłem się na ekonoma, skoro tylko się złożył szlachectwem, dałem mu pokój, i choć okradł mnie, na sucho go puściłem. Prawdziwemu szlachcicowi nigdy w skórę nie dałem, chyba nie wiedziałem o jego zaszczycie; natenczas *ignorans peccavi*, a że mnie dekretami obsypano, nic dziw, bo tutejsi sędziowie takiego samego szlachectwa, jak ci, którym kieszeń rozpruwszy, musiałem ją moją nadłatać. Kruk krukowi oka nie wykole. Ot teraz, jak ekonomska detyna nad nami panuje, kto w Boga wierzy i nie wierzy, to szlachcic. Kiedyś to szlachectwo nasze było zaszczytem nad zaszczytami, a teraz tak go Poniatowski zasmrodził, że wstyd do szlachectwa się przyznawać. Bóg mnie osądzi, a ludzie niechaj szczekają. Waćpan sobie nie wyobrazisz, co to się dzieje na Ukrainie. Mam sąsiada Wołynieckiego, dorobił się dziedzictwa, ale ladaszcze; jak zaczął mnie dokuczać, cierpliwości mnie nie stało. To karczmy stawił mnie na podryw, to w grunta kaniowskie się worywał, to zające szczuł na mojem polu. Ja jemu raz powiadam: — Oj mosanie Wołynecki, odczep się, bo się doigrasz. Nakoniec na mojej ziemi schwyciłem go i pięćset kazałem mu wyliczyć tam, gdzie potrzeba, a on jak się wylizał, z pozwem na mnie do grodu. Ja tłómaczę się, że on nie szlachcic i stawię ludzi, co jego ojca znali, ale i sędziowie i podsędki, takiej natury, że wieżę kazali mi wysiedzieć, że musiałem pięćdziesiąt tysięcy zapłacić. Zgubić mnie chcieli. Ja tu szlachtę robię, jakby jaki hetman; komu dam w skórę, ten zaraz i szlachcicem się robi, a potem za moje pieniądze zostaje osiadłym. Od Kaniowa aż do Skwyru kto szlachcic, to mojej roboty. Jeszcze za to na mnie psy wieszają, taka to tutaj wdzięczność, że na ludzi kieruję! Mnie nie groszy żal, ale kraju; my staliśmy przez szlachtę a jak szlachectwo się spaskudziło, obaczysz, że i kraj upadnie. Cóż robić? jaki pan—taki kram! Co tylko złego, to od Poniatowskiego wyszło; pojedź-no do Warszawy a obacz, kim się otoczył. Aż ksiądz Naruszewicz, który choć wiersze pisze, przecie dobry szlachcic, a nawet waszego księcia koligat, to on, lubo zausznik króla, nie może wytrzymać i mawia, czy król myśli papiernie zakładać, że tak zbiera gałgany? Warszawa gorsza niż Sodoma: same farmazony i lutry. Boga się nie boją, a takie teraz senatory i dygnitarze, żebym ich nie wziął i na ekonomów. Pan Potocki, chorąży Koronny, dziedzic Humańczyzny kiedyś do mnie mówi:

— Bracie Kaniowski, już waszeć dawno starostą; pojedź do Warszawy, żeby nowe krzesło do domu Potockich przybyło. — A ja mu na to: — Uwa! cóżto ja sroce z pod ogona wypadłem, żeby mnie Poniatowski między senatorami sadzał. Chwalić Boga z jego łaski nic nie mam i mieć nie będę. Buczacz i Śniatyń, to praca mojego ojca, a starostwo Kaniowskie dał mnie nieboszczyk Sas, ale on był królem. Dla mnie wystarczy, żonki i dzieci nie mam, a krewni choć nic nie znajdują, z siebie bogaci; na co tłusty połeć smarować!

I tak piliśmy i gawędziliśmy cały tydzień, jako z tem się oświadczył na wstępie pan starosta — a przyznam się, że choć zabawa miła, i umiałem cenić poufałość magnata, rad byłem, że tydzień się kończy, bo zdrowia dalejby nie stało, co nocy iść do wczasu bez przytomności, a nazajutrz toż samo powtarzać. Dopiero w Piątek odważyłem się mówić o moim interesie, bo już w dniu tym był koniec zabawom,

gdyż w Sobotę pijatyki nie było, a w Niedzielę zaraz po mszy świętej miałem opuścić Kaniow. Pan starosta nie tylko, że się nie zasępił, ale z uprzejmem obliczem przyznawszy mi wszelką słuszność, powiedział: — Jeszcze dziś się pobawim, a jutro skończym interes. I w samej rzeczy; nazajutrz, że nie było pieniędzy w kasie, dał mi prosty skrypt, którym do kapitalnej sumy dołączył najskrupulatniej wszystkie zaległe procenta, z których gdy część odstąpiłem panu Łopuskiemu, ten gotówką spłacił mnie sumę. A tak z kabzą napełnioną wróciłem do żonki, wedle słów JO. mojego pana, do którego pan starosta własną ręką przezemnie napisał list nie krótki, choć pisać nie lubił; jeszcze na pamiątkę darował mnie smycz chartów personatów, co każdy z nich pojedyńczo wilka chwytał. Te charty były głośne na całej Litwie, a ich gniazdo, lubo u mnie się zwiodło, dotąd jednak w psiarni radziwilimontskiej się zachowuje.

Nikt nie jest bez ale, i pan starosta Kaniowski za życia nie był świętym. — Ale że miał dobre serce, że był gorliwym katolikiem, że było w nim wiele wspaniałomyślności, jest to prawda, o której wątpić nie mogłem. Wprawdzie wiele złego o nim słyszałem, ale wiele dobrego sam widziałem i doświadczyłem. Bynajmniej nie zdziwiło mię, jakem się dowiedział, że w lat kilka potem skończył życie w Poczajowie w wielkiej świątobliwości, i że prostaczkowie pobożnie nawiedzają jego zwłoki.

Henryk Rzewuski. (p. t I s. 10).

* Pewnego dnia nudził się Starosta, bo, co się rzadko zdarzało, nie było gości w domu; — aż wtem turkot na podwórzu, trzask z bicza. Pyta, kto taki? Odpowiadają mu, że zajeżdża braciszek Idzi, kwestarz bernardyński, który często bywał w Kaniowie. Starosta znał go z dawnej daty, wiedział, że Bernach rezolutny i języczny, lubiący się napić i pożartować; — więc ucieszył się, że jakoś rozpędzi nudy. A co najważniejsza, iż sobie przypomniał, że braciszek gadał o nim wszędzie (jak mu to zaraportowano) z nienajwiększym respektem. Postanowił przeto przy zdarzonej okazyi dać mu nauczkę, jak to niebezpiecznie porywać się zębem na Kaniowskiego Pana.

Miało się już pod wieczór — niezadługo zastawiono wieczerzę, przy której gadu to o tem, to o owem *fugit irreparabile tempus.* Bernardyn, który dwa województwa objeżdżał, ciągle zatrzymując się po dworach, znał wszystkie familije szlacheckie i rozmaite o każdej historyjki wiedział; więc (choć to nie zgadzało się z duchowną sukienką) puścił wodze językowi, przypinał łatki i Bóg wie, jakie plotki paplał. Uśmiał się starosta do sytu — a gdy dworzanie z szarego końca powstali i pokłoniwszy się nizko, odeszli, gospodarz, który był człowiekiem światowym, mało mającym dewocyi, zaczął sobie żartować z księży, mówiąc, że po wysłuchaniu spowiedzi muszą sobie opowiadać nawzajem ciekawe grzeszki parafijan, a szczególniej parafijanek. Zaprotestował Bernardyn, dowodząc, że duchowna osoba nigdy sekretu nie wyda, choćby jej nawet śmiercią grożono.

— Czy tylko pewno? -- pytał, uśmiechając się starosta.

— Wolne żarty JW. Panie — odpowiedział Idzi — ale jeszcze nie widziano księdza, któryby przysięgę złamał.

— Kiedy tak, to chwała Bogu—zawołał z udaną konwikcyją gospodarz— cieszę się mocno z tego, co mi Waść mówi, bo od dawna szukałem kogoś, przed kim by zwierzyć się można było na pewno. Otóż suknia Wacana i charakter jego duchowny będą najlepszą gwarancyją, że mi dotrzymasz sekretu... *Audi et tace*!

„Mam kryjówkę, w której od lat wielu składam zbywające mi od potrzeb pieniądze, przeznaczone na fundacyją klasztoru dla odkupienia grzesznej duszy mojej. Już tam musi być z okładem jakie pięćdziesiąt tysięcy czerwonych złotych. Ale że nikt na świecie nie wie o mojem schowaniu i gdyby mnie śmierć zaskoczyła nagła, suma owa wraz z intencyją przepadłyby

marnie, – więc oto dzisiaj, jeśli mi przysięgniesz najsolenniej, że przed moim zgonem nie wydasz przed nikim sekretu, – pokażę ci miejsce, gdzie skarb mój leży."

Bernardyn, zadziwiony takiem odkryciem i przewidując, że ów kapitał uda się może z czasem na wspomożenie własnego konwektu obrócić, zapewnił Starostę, iż może liczyć na jego dyskrecyją i przysiągł na zbawienie duszy trzymać język za zębami.

Gospodarz podziękował mu uprzejmie i idąc na palcach, zaprowadził braciszka do małego pokoiku, odsunął, czworograniastą szafkę i podniósłszy deszczułkę posadzki, odkrył wykopany sklepik, w głębi którego stał ogromny garnek— już prawie całkiem napełniony dukatami. Popatrzyli się obaj w milczeniu na ów skarb ukryty przed światem — poczem Starosta zamknął kryjówkę, wsunął nad nią szafkę i powiedziawszy braciszkowi dobranoc, udał się niby na spoczynek — a poszedł wydawać rozkazy swym ludziom do odgrywania komedyi.

Odmówiwszy wieczorne pacierze, Bernach położył się w łóżko i już zaczynał zasypiać, gdy raptem usłyszał w domu wielki hałas, krzyki i dobijania się do drzwi. Nadstawia ciekawe i strwożone ucho, a wtem wpada do jego stancyi pacholę, donosząc, że zbójcy dwór otoczyli.

Zerwał się Idzi, wdział habit, obuwie i recytując drżącym głosem *acta afflictorum*, pobiegł na zwiady do pokoju starosty. Tam zastał kilku pachołków, nabijających sztućce i pistolety, a gospodarz kręcił się i wydawał rozkazy.

— Jest ich z pięćdziesięciu Jaśnie Panie — rzekł wchodzący hajduk — liczyłem ich z dymnika i widziałem, że wszyscy są dobrze uzbrojeni.

— Policzym ich trupy—wołał Starosta—tylko chłopcy żwawo i śmiało zajrzeć tym hultajom w oczy; — będziem się bić do upadłego, a ty księżulku módl się za nas: *Ora pro nobis reverendissime frater.*

Tymczasem z zewnątrz rąbano drzwi toporami i podważano drągami okiennice, z których jedna pękła, dwie szyby się strzaskały i zbójcy otworzyli okno. „Ognia!" krzyknął starosta, — wystrzelili słudzy — zmięszali się napastnicy, ale niedługo rozpoczęli atak, strzelając do pokoju — i kwestarz obaczył z przestrachem dwóch pachołków zabitych.

W tej samej chwili rozległ się hałas w sieniach — zbóje wyłamali drzwi domu i biegli po pokojach, mordując i śmiercąc, kto się tylko napatoczył.

Krótko mówiąc, opryszki zwyciężyli i powiązawszy postronkami wszystkich, od starosty i mnicha aż do ostatniego sługi — plądrowali po kątach, żądając pieniędzy.

— A skądże jabym miał gotówkę w takie ciężkie czasy — mówił gospodarz. — Zboże jeszcze na pniu i dobry miesiąc trzeba będzie czekać, nim się coś sprzeda i uciuła jaki kapitalik.

— Ho, ho!—wołał brodaty herszt—u takiego pana całą gębą, to pieniędzy jak lodu; a gdzież chodzić po miód, jeśli nie do ula? po wodę, jeśli nie do studni? — Dawaj dzięgów, bo będzie źle!

— Dałbym, ale dalipan nie mam — odpowiedział Starosta — nie dręczcie mnie dłużej, bo napróżno! — z pustej stodoły tylko wróbel, a z dziurawego worka chyba mysz wyleci!

— A ty rewerendo—mówił inny opryszek, nachyliwszy się nad Idziem — czy nie wiesz, gdzie Pan chowa szkatułę? Powiedz nam zaraz, bo inaczej zbijem cię na leśne jabłko, tak, że cię matka rodzona nie pozna!

— Grzeszni ludzie! — odparł braciszek — a skąd-że bym ja, ubogi sługa klasztorny, miał wiedzieć o sekretach pańskich? Dajcie mi pokój i upamiętajcie się, bo kara boska wisi nad wami.

— Co najpewniej wisi, to batóg nad tobą, bury niedźwiedziu! Gadaj, bo ci napędzimy głosu!

— Na co czas tracić! — krzyknął herszt — :iedy nie chcą się przyznać, to Panu Staroście ıwiązać kamień u szyi i wrzucić w staw, a ja u sam księdza zastrzelę, jak psa!

Wzięło dwóch zbójców związanego starostę, eden za głowę, drugi za nogi i wynieśli z po:oju; a herszt brodaty podsypał na panewce, ıdwiódł pistolet, przyłożył Idziemu do piersi woła: – Gadaj, bo strzelę!...

Przestraszonemu Bernachowi zakręciło się v głowie i tak zaiskrzyło w oczach, że aż Kra:ów zobaczył; drżał, jak liść suchy i bełkotał ıstatkiem głosu:—Powiem, pokażę!

— No, kiedy tak, to dobrze—rzekł zbójca, ıdkładając pistolet i rozwiązując postronki, któremi był skrępowany Idzi.—Prowadź!...

Braciszek, nabrawszy niece ducha, zaczął ię wykręcać, mówiąc, że o niczem nie wie i że ylko strach przez niego gadał. Wtenczas na kinienie herszta dwóch opryszków pochwyciło :westarza—a on sam za pistolet—mierzy i li:zy: raz... dwa...

— Bój się Boga, nie zabijaj! — krzyknął dzi – chodźcie, pokażę!

Zaprowadził ich więc do pokoiku, odsunął zafkę, podniósł deszczułkę, lecz gdy na rozkaz tarszego zbójcy, wydobywa oburącz garnek kryjówki, słyszy raptem ogromny śmiech za ɔbą.

Odwraca się, patrzy: mniemane opryszki po:zucali przyprawne wąsy i brody, zabici pabołcy powstali (bo tylko prochem strzelano), Starosta, trzymając się za boki, woła:

— A widzisz, Bernachu, żeś lepszy do roz:ewania złośliwych plotek, niż do trzymania seretu!

Biedny brat Idzi odchorował tę scenę, która ędnak wyszła mu na profit, bo już odtąd nie bgadywał ludzi. Tym tedy sposobem Staroɫa Kaniowski aby raz w życiu dobry uczynek pełnił!

(*Z kalendarza Czecha na rok 1870*).

* Ksiądz Gwardyjan i drugi jeszcze Bernardyn z klasztoru, niepomnę którego — zaniemogli w skutek wilczej choroby; ma się rozumieć, ze zbytniego nadużycia tłustych pokarmów i starych miodów tak nadzwyczajnie utyli, że ani rusz do brewijarza i do chóru... Poczciwi ojcowie, nie chcąc się wyłamywać od obowiązków swojego stanu, umyślili zasięgnąć rady sławnego doktora Niemca w Krzemieńcu. Zaopatrzywszy się więc w różnego gatunku wiktuały, kazawszy założyć trzy tęgie kwestarskie szkapy do brodzkiej budy, ruszyli szczęśliwie w podróż. Droga wypadała im przez Poczajów, gdzie właśnie murowano klasztor bazylijański. Ojcowie, domyślając się, że wszystkie gospody w miasteczku muszą być zapchane różnymi rzemieślnikami i artystami, których pan starosta z całego świata sprowadzał, woleli, aby spokojnie odprawić sobie popas, zajechać do lichej karczemki przed Poczajowem. Już byli zasiedli poważnie za stołem, już parobek rozkładał przed nimi faskę bigosu, całą cielęcą pieczeń i sztof węgierskiego wina, już po zwykłej benedykcyi zabierali się do pożywania darów bożych, kiedy do izby wpadł kozak w płóciennych szarawarach i w kurtce, barwy Potockich. —Dzień dobry, arendarzu!—krzyknął na żyda, który się nizko pokłonił—dawaj-no wódki, a dobrej... Żydek się krzątał, a on, z ukosa mierząc Bernardynów, zbliżył się nieznacznie i uchylając czapki, życzył im dobrego apetytu.

— Dziękujemy aspanu! — odpowiedzieli żałośnie — dałby Pan, aby się wasze życzenie spełniło.

— Ponoć to dobrodziejom nigdy na tem nie zbywa—wtrącił z przekąsem kozak.

— Pięknie nie zbywa! — zawołał Gwardyjan, odsuwając talerz z bigosem — ledwiem podziubał i już nie mogę...

— Pięknie nie zbywa! — powtórzył drugi, odsuwając pół zraza pieczeni — już drugi tydziem nie zjem i za dziecko!...

— To osobliwsza choroba!—rzeknie kozak z prawdziwem, czy udanem zdziwieniem.

— Pewnie, że osobliwa! dla tego też jedziemy radzić się doktora.

— A dokąd, jeżeli wolno zapytać dobrodziejów?

— Do Krzemieńca.

— Znam ci ja tego szwaba — dodał kozak, kiwając głową—schowa dukaty, a nie wyleczy.

— Tak myślicie? przecież tu niema nigdzie sławniejszego.

— Ha! ha! a ja wiem, że nasz batko Kaniowski zarazby was wyleczył...

— Być może!... być może... — potakiwali mnichy — ale nam się zdaje — dodali półgłosem — żeby od siebie zacząć powinien pan starosta i naprzód sobie głowę ogolić...

Kozak zdał się to puścić mimo uszu, tylko palnąwszy kielich gorzały, pokłonił się mnichom i siadł na konia, co stał przed karczmą. Niedługo i oni, popasłszy szkapy, ruszyli dalej. Gdy przejeżdżali po pod górę, na której stawiano klasztor, dziwili się wielce wspaniałym murom i mówili między sobą: co mi za sztuka mazać swoje grzechy cudzym potem i pracą, ale czemu to pan starosta sam się do kielni nie weźmie?

Wtem ja, co z rozkazu starosty stanąłem za ich bryczką, znienacka krzyknę im w uszy, dobierając grubego głosu:

— Pan Kaniowski prosi ojców dobrodziejów do siebie!

Bernardyni, jakby między nich piorun trzasł, omal nie pospadali z bryczki i drżącym językiem wymawiali się, że muszą pilnie jechać dla poratowania zdrowia.

— Ale pan starosta bardzo prosi — powtórzyłem, nalegając i kazałem furmanowi zwrócić na górę.

Mnichy radzi nie radzi zgodzili się na to, lubo oba po cichu szeptali: *Sub tuum praesidium.*

Zostawiwszy ich na chwilę, oglądających mularkę, sam poskoczyłem zameldować panu staroście o zajęciu mnichów.

Starosta kazał sobie podać wspaniały kontusz i wyszedł na spotkanie gosci:

— Witam dobrodziejów! witam! — mówił uprzejmie, gdy go księża za kolana ściskali. — Jesteście, słyszałem, chorzy? biedaki! znać to po was.

Bernardyni, ze spuszczonym wzrokiem, nuż opowiadać swoje cierpienia.

— Ja was wyleczę, no, załóżcie się, że wyleczę; po co wam szukać cudzych bogów, ja starosta Kaniowski, wyleczę was.

— Ależ jaśnie wielmożny starosto!... —przekładają mnichy w śmiertelnym ambarasie, poznawszy w nim owego kozaka z karczemki.

— Załóżcie się, że wyleczę - mówił nieubłagany starosta — i to bez kosztu... Hej! jest tam który z mularzy, podać tu fartuch i kielnię; ojcze Gwardyjanie, będzesz murował! Podać tu taczki! a ty —obracając się do drugiego Bernardyna — ty będziesz cegłę woził... hierarchija musi być zachowana, jak w klasztorze.

Mnichy, widząc, że to nie przelewki i bojąc się, by coś gorszego na nich nie spadło, z wielką wszystkich uciechą wzięli się do roboty... Bryka z końmi i furmanem wróciła nazad do klasztoru... Pan starosta, potrzymawszy ich dobry miesiąc na skromnym wikcie i w ustawnym ruchu, sprawił, że owe piętrzaste podbródki i ogromne brzuchy poznikały, jak kamfora.

Gdy się czas kuracyi skończył, kazał ich przywołać i spytał:

— A co, macie apetyt, dobrodzieje?

— Oj! mamy, mamy! — odpowiedzieli, głaszcząc się po brzuchach.

— Będziecie ze mną jeść obiad!

I na tym to obiedzie nakarmiwszy, spoiwszy ich należycie, że prawie byli bez pamięci, kazał założyć konie do karyolki i odwieźć do konwentu. Z tego powodu urosła przypowieść: że pan Kaniowski lepszy doktór, niż ów Niemiec z Krzemieńca, bo i wyleczy i grosza nie weźmie.

L. Siemieński, Muramerit t. II 166.

ıonija.

* *Na Kanonii.*

Mieszkałem wówczas na Kanonii
W sąsiedztwie nieba;
Słuchałem zbliska sfer harmonii
I czciłem Feba.
Żyć mnie uczyła uśmiechnięta
Pieśń Horacego;
Kochałem książki i dziewczęta—
Cóż w tem zdrożnego?

Choć poemata moje pierwsze
Brano pod placki,
Co noc pisałem wściekłe wiersze
A la Słowacki;
I zamiast ślęczyć bez wytchnienia
Nad *Corpus juris*,
Sławiłem uśmiech i spojrzenia
Warszawskich hurys.

Raz mię opętał wzrok sąsiadki
Miłosnem lichem,
(Bo Amor stawia swoje siatki
Nawet pod strychem);
Lecz miłość rzadko dla poetów
Przynosi szkodę—
Palnąłem wtenczas sześć sonetów
I jedną odę.

Życie wśród marzeń biegło cicho,
Niby idylla;
Snów mi nie truła serca pychą
Żadna Marylla;
A chociaż pieśniom wtórowało
Miauczenie kotów,
Do śpiewu przecie, jedząc mało,
Wciąż byłem gotów.

Obok mnie liczną chował dziatwę
Szewc kuternoga;
I do pułapu wznosił dratwę,
A głos do Boga;
Bez przerwy walcząc z nędzy biesem,
Szył w dzień i w nocy:
Ten szewc mnie uczył przed Smilesem
Samopomocy.

Drugi mój sąsiad był artystą;
Na klarynecie
Grywał nieczysto, a pił *czystą*,
Jak to na świecie!
Co noc mordował bez litości
Włoski „karnawał“—
Ten znów talentów znikomości
Przykład mi dawał.

Trzeci, szczęśliwy ze swobody
(Był emerytem)
Wypijał dziesięć szklanek wody
Zaraz ze świtem;
Zielone nosił okulary,
A czarny plaster,
Chował kanarków cztery pary
I palił knaster.

Dość było figlów i pustoty
W tem kółku naszem
I nieraz śmiechów huczne grzmoty
Trzęsły poddaszem;
Śmiał się artysta z emerytem,
A szewc z poetą—
Tak się jednoczą, różne bytem,
Cienie nad Letą...

Wiktor Gomulicki. (p. t. I s. 177).

Kant.

* Emanuel Kant, sławny filozof zeszłego stulecia, dbał zawsze o czyste i porządne odzienie. Raz przywdział właśnie nową szatę i szedł ulicą, kiedy jakaś służąca, wylewając pomyje, splamiła mu od razu całe ubranie. Rozgniewany Kant wpadł do mieszkania niebacznej służącej, zanosząc na nią skargę do samych państwa. Pani domu, przepraszając uprzejmie za wyrządzoną szkodę, zabrała się zaraz do zmycia świeżych plam i dopóty wycierała i myła, dopóki ślady nie znikły, a Kant udobruchany

jej grzecznością i wdziękami, przedstawił jej się na dowód zgody. „Nieskończenie mnie to cieszy“, rzekła młoda kobieta, „że miałam sposobność poznać pana“. — „Mnie także“, odrzekł uczony, „poznanie pani było miłe, ale sposobność przykra“. – „Mnie zaś“, ciągnęła dalej dama, „i ta sposobność cieszy, bo prześladują mnie zawsze, że zawiele uwagi zwracam na moje ubranie, od dziś zaś bronić się będę przykładem uczonego i sławnego Kanta!“

* Kant był raz drużbą na weselu bardzo niedobranej pary; pan młody miał bowiem lat 75, panna młoda zaś 21. Między gośćmi weselnymi znajdowała się pewna dama, która marzyła oddawna o szczęściu zamienienia choć kilku słów z Kantem—to też zaledwie nadarzyła się ku temu sposobność, dama zaczepiła Kanta temi słowy: „Panie profesorze, czy można spodziewać się dzieci z tego małżeństwa?...“ Kant popatrzył chwilę na pytającą, a później rzekł stanowczo: „Spodziewać się — niemożna, ale lękać się można!“

* W pewnem towarzystwie mówiono o jakimś sławnym człowieku, przytaczając niezliczoną moc anegdotek na jego cześć. „Przypominam sobie“, powiedział wtedy Kant, „żem słyszał podobne anegdotki o innym wsławionym człowieku, ale to mnie nie dziwi: wielcy ludzie, to tak jak wieże kościelne — koło nich zawsze jest dużo wiatru“.

Kantor.

* *Mały Icele.* Tate, hajty! hajty!

Tate. Hajty!? Panie buchalter, zrewyduj go pan, czy nie wżoł co z kase.

Kantorzysta.

* *Chciałbym zostać kantorzystą.*

Chciałbym (choć zrosły wprzódy z brudem),
Chodzić ubrany z szykiem... czysto,
Świeży grosz zawsze miewać cudem...
Tak, chciałbym zostać kantorzystą!

By jechać dryndą pierwszej klasy
Na koncert z miną fajn — rzęsistą,
A potem wziąć w kantorze basy,
O chciałbym zostać kantorzystą...

Mniejsza, że byłbym trochę głupi
I na świat patrzył trochę mglisto,
(Za grosz się przecie wszystko kupi),
O chciałbym zostać kantorzystą!

Gdybym aferę miał w Tiwoli,
Kędy tańczyli posuwisto,
Rzekłbym nazajutrz: „Ząb mnie boli!“
O chciałbym zostać kantorzystą!

Zgodziłbym się na serca próżnię,
Na pustki w głowie... na nieczystą
Rękę... (bo o tem sądzą różnie),
Byle być tylko kantorzystą.

Kapelan.

* *O kapelanie.*

Królowa do mszy chciała; ale kapelana
Doma nie znaleziono, bo pilnował dzbana.
Przyjdzie potem nierychło w czerwonym or-
[nacie,
A królowa: „Księże miły, długo to sypiacie?“
A mój dobry kapelan na ono łajanie:
„Jeszczem się dziś nie kładł, co za długie
[spanie!“

Kochowski. (p. t. I s. 49).

Kapelusz.

* Sławny rzeźbiarz Schadow i minister Schuckmann, uczęszczali do jednej i tej samej czytelni w Berlinie. Pierwszy wracał zwykle wcześnie do domu, minister zaś przesiadywał najdłużej z całego towarzystwa i odjeżdżał powozem, który po niego przyjeżdżał.

Pewnego wieczoru minister był jak zwykle ostatnim przy wyjściu. Znalazł też w ubieralni jeden tylko kapelusz. Jego własny kapelusz był stary i zużyty, ten zaś, który przed nim leżał,

był nowiuteńki. Ministrowi, nie chciało się wracać z odkrytą głową do domu, nie pozostawało mu więc, jak włożyć cudzy kapelusz. Nazajutrz rano był jeszcze w łóżku, gdy usłyszał szarpnięcie dzwonka i lokaj jakiś wszedł, niosąc kapelusz ministra i przepraszając w imieniu swego pana za zamianę.

Rzeźbiarz, spotkawszy wkrótce potem ministra, tłomaczył się jak następuje:

— Kupiłem mówił—zeszłego poniedziałku nowy kapelusz. Gdy miałem wychodzić z czytelni, padał mocny deszcz, a ponieważ nie chciało mi się niszczyć nowego kapelusza, wziąłem pański, w przekonaniu, że go Ekscelencya nieuszkodzonym do domu zawieziesz.

— Wziąłem cudzy kapelusz.

Doktór słuchał z najżywszem zdziwieniem; w końcu uśmiechnął się smutno i rzekł:

— Więc sądzisz, że są w życiu chwile, w których po cudzą własność sięgnąć trzeba? Ja tegobym nigdy się nie nauczył i teraz się nie nauczę.

* Dwaj przyjaciele nie widzieli się przez lat wiele. Jeden z nich zebrał znaczny majątek, zajmował wysokie stanowisko, drugi był lekarzem, któremu los wyraźnie nie sprzyjał. Pierwszy zaprosił na wspaniały obiad przyjaciela. Po wypróżnieniu kilku butelek wina, gdy sobie nawzajem ubiegłe życie opowiedzieli, powiedział gospodarz.

— Czy wiesz, stary przyjacielu, dla czego nie doszedłeś do niczego — brakło ci na przytomności umysłu.

— A to czemu? nie jestem przecież głupcem?

— To prawda, ale chcę ci dać przykład, który to, co powiadam, objaśni. Pamiętasz może ów wyjazd z balu, kiedy młodą i bogatą dziedziczkę do domu miałeś odprowadzić, starałeś się o nią, a jednak obecnie ona jest moją żoną.

— Pamiętam to doskonale; kochałem tę młodą dziewczynę.

— Otóż, przyjmując twe towarzystwo, dowiodła, że ci jest życzliwą. Poszedłeś do ubieralni po kapelusz i nie znalazłeś go. Młoda pani zaczęła się niecierpliwić, korzystając z tego, zaproponowałem jej moje towarzystwo, poszedłem po kapelusz i również go nie znalazłem. Zgadnij, co zrobiłem?

— Nie domyślam się wcale.

* Pewien fircyk kupił sobie nowy kapelusz, a chcąc zapewnić sobie jego posiadanie, wkleił na dnie kartkę z napisem: „Niewolno go mieć nikomu“. Po pierwszej jednak wizycie w kawiarni, zamiast swego kapelusza znalazł na wieszadle inny, stary, zniszczony, z kartką na dnie noszącą ten napis: „Już go mam“.

Kapenhauzen.

* Kapenhauzen—w znaczeniu kiep i błazen. „Jednego razu w Lublinie (pisze Kitowicz) zamiast wpisu, przeczytanego sobie od instygatora, Imść pan Kapenhauzen przeciwko Imści panu Rościszewskiemu, woźny wykrzyknął z paszczęki swojej: „Imść pan kiep i błazen, przeciwko Imści panu Rościszewskiemu“.

Ta pomyłka przypadkowa czy naumyślna wydała się wielce dowcipną adwokackiej młodzieży i Kapenhauzen długo chodził w przysłowie po palestrach nietylko trybunalskich, ale nawet ziemskich i grodzkich.

Kapitan.

* *Kapitan profesor.* Obrazek ze wspomnień szkolnych.

Niech tam co chcą mówią wszyscy filozofowie, ja jednak powiadam, że młodość jest najpiękniejszą kartą z całej księgi ludzkiego żywota. Ale nie ta młodość, broń Boże, gdy człowiek jeść, spać i płakać umie: --nie—ja tu chcę mówić o tym czasie nauki, gdy to patrzy się na świat różowo, gdy swobodny umysł chłopaka, co lekcyi się wyuczył, drwi sobie z całego świata, bo nie obchodzą go troski rodziców, nie straszy głód i niedostatek, a żadne nieszczęście

nie zapuszcza się głębiej do duszy. Dlatego też może owe lata najgłębiej sadowią się w naszej pamięci, dlatego to zawsze ich wspomnienie odświeża umysł już myślącego poważnie człowieka i nęci ku sobie jakąś serdeczną błogością nawet starca, stojącego nad grobem.

Wszystkie, choć najdrobniejsze odcienia z tego wieku stoją żywo przed duszą, każdy rys twarzy profesorów i współkolegów, tak świeżo i jasno staje przed naszą wyobraźnią, jakbyśmy przed chwilą dopiero na nich patrzeli: — głos zdaje się brzmieć w uszach z całą mocą i dźwiękiem, choć to, panie, obejrzawszy się za siebie, jak obszył czterdzieści lat zleciało. Tak, tak, najtrwalsze to wspomnienie! Nawet owe przykrości i nieszczęścia studenckie, tak błache dzisiaj w swem znaczeniu, rodzą i teraz pewną bojazń; dawna niechęć ku profesorom, choć na ówczesnem pojęciu oparta, nie da się jakoś prędko wyrugować, nie z serca już, lecz z pamięci naszej.

Czterdzieści to lat pono, a jeszcze ciarki przechodzą po skórze, gdy człek wspomni uśmiechniętego Masłowskiego, profesora łaciny, kiedy w białej chustce na szyi z ogromnemi kołnierzami, wchodził do klasy, szukając oczyma, kogoma wezwać do lekcyi. Jakże to biło serce, gdy wyrwał z litery *D*, tak blizkiej *K*, a zwłaszcza gdy konjugacye nie najlepiej siedziały w pamięci. Niezawodna piątka czekała za piecem i jaka jeszcze? bo sam profesor nie żałował ręki, trzymając się owej starej zasady:

„Rószczka popędza rozumu do głowy,
Uczy łaciny, a broni złej mowy".

Z obliczem ewangelicznego baranka nie słyszał błagań, nie widział łez, nie czuł najmniejszej litości — a rżnął piątkę za piątką nie mrugnąwszy okiem, o tak sobie zwyczajnie, jakby najlepsze śniadanie zjadał. Czasem, gdy który nazbyt natrętnie narzucał się z prośbami, wyrzekał powoli bez uniesienia pamiętne słowa: „Choćbyś tylemi łzami płakał—mówił, pokazując łokieć na ręce — choćby twój rodzony ojciec z grobu powstał, nie daruję!"

Lecz za to jeografija, panie, jeografija wynagradzała łacinę. Pan Solecki, kapitan-profesor, (bo go wszyscy tak nazywali) miał się do niego, jak niebo do ziemi. Choć to ze krwi już powinien być srogi, jak nieustraszony wojak o marsowej postawie, jednakże wcale inaczej rzecz się miała: poczciwy za dwóch, łagodny, choć do rany przyłóż, słodziutki jak cukier. miękki jak bawełna—zdawał się być więcej ojcem jak zwierzchnikiem. Niezbyt wysoki, dobrej tuszy, z twarzą opaloną i lasem faworytów na obu policzkach — trzymał się zawsze prosto, składnie, szedł śmiało z głową do góry podniesioną i podpartą dobrze szerokim halsztukiem; wiecznie ponury, lubił przedewszystkiem zgrabne ruchy, zwinność i śmiałość; każdego ucznia nim zaczął lekcyę, sam prostował układał na sposób wojskowy i przestrzegał, by taką postawę ciągle zachowywał.

Po skończonej kampanii 1813 r. wyleczon z ran, gdy okazał się niezdatnym do dalszej służby wojskowej, za staraniem przyjaciół otrzymał miejsce profesora jeografii w ówczesnej szkole Pińczowskiej. Ksiądz rektor, instalując nowo przybyłego, zalecił największe uszanowanie i posłuszeństwo dla niego, dodając: że to wojskowa sztuka, trzeba mu się dobrze uczyć i nie swawolić, bo srogo karać będzie. Lecz wkrótce okazała się zawczesną ta przestroga:— pan kapitan Solecki, a z musu profesor, odrazu łagodnie zaczął z nami postępować — chłopcy powoli oswoili się z jego marsowatą twarzą, poznali wrodzoną mu słabość do mustry i w miarę tego, z zadziwiającą przebiegłością umieli sobie zjednać profesora. Gdy wchodził do klasy, pięćdziesiąt rąk prezentowało przed nim linje na znak uszanowania, pięćdziesiąt piskliwych głosików krzyknęło: „niech żyje", a pan Solecki uśmiecha się zadowolony i chwyta z przyzwyczajenia za wąsy, choć już oddawna musiał je zgolić.—Z tego już można sobie wyobrazić, jak to tam szła jeografja, bo pan Solecki, znając najlepiej miejsca batalii Napoleońskich, zaczął naukę od kampanii włoskiej, prze-

szedł do Egiptu, choć wykład Afryki do naszej klasy nie należał — następnie przebiegł Prusy i Austryę, a w końcu zapoznał nas z całą liniją pochodu wojsk francuzkich w r. 1812 od Paryża do samej Moskwy: Wagram, Austerlitz, Jena, Marengo, to były u niego pierwsze — Berlin, Wiedeń—to podrzędne miasta. Przy wykładzie lekcyi rozpowiadał zaraz o batalijach, rysował na tablicy stanowiska armii, strzelał kropkami z kredy, bombardował, palił, przypuszczał szturm do fortec z taką żywością, że aż nam zimno robiło się na sercu, słysząc ten huk, brzęk, szczęk, jęk, który z całą gwałtownością wydobywał się z piersi szanownego profesora.

Ale powoli, powoli, zahartowały się dusze, umysł oswoił się z wojną, tak, że pod zimę już wszyscy mogliśmy śmiało rezonować o każdem poruszeniu wojska i kontrować plany najlepszych wodzów.

Trafiło się raz, że wezwawszy mię szanowny kapitan do lekcyi, nieznacznie ze Szwecyi zeszedł na artyleryę. Moje uwagi trafne co do rzucania granatów, tak dalece go zniecierpliwiły, iż odezwał się z uniesieniem:

— Ty, Kostecki, jak widzę, nieźlebyś dowodził artyleryą; oko jest, rezon nielada, tylko trzebaby nauki, nauki, a mianowicie obrotów.

— O! proszę pana profesora, ja mam wielką ochotę do wojska, rąbałbym się dzień cały, lecz nie ma kto wyuczyć.

— Słuchaj — mówił po chwili namysłu pan Solecki—przynieśno linijkę jaką dobrą na przyszłą lekcyę, to ja ci pokażę główne cięcia.

No!... Więcej nie było trzeba dla nas, co to nie minęliśmy żadnej sposobności, aby uwolnić się od lekcyi. To też na drugi dzień, zamiast jednej, trzydzieści było linii; jeografija poszła na bok, a miejsce jej zajęła mustra.— Pamiętam. ogromnie szastaliśmy nogami, wywijali improwizowaną szablą tak śmiało, że niejeden z guzem potężnym powrócił do domu.

Tymczasem ksiądz rektor dowiedział się o naszej nauce i zgromił sekretnie pana profesora. W skutek tej perory posmutniał kapitan, a my z nim i znowu wrócił dawny porządek jeograficzny, zaczynając od Marengo.

Krucho było z nami; profesor jak skała nie da się zmiękczyć niczem: ani Ratysbona, ani Lipsk już wpływu na niego nie wywiera i tylko czasem, gdy wchodzi do klasy poważnie, a spostrzeże niedobrze trzymaną linię przy prezentacyi, wyrzeknie z udaną flegmą, hamując uniesienie:

— Franuś, prościej rękę! Lipski! głowę do góry! Szlaski, nie garb się!—i na tem koniec.

Upłynął tym sposobem miesiąc, kończył się już i drugi — nastała zima, a pan profesor ani pomyśli o mustrze; głuchy na pokusy, dyktuje, egzaminuje i przy każdej wzmiance o wojnie spogląda z trwogą na drzwi, czy go rektor nie słyszy.

Ciężko to było jakoś chłopcom, że minęły tak błogie chwile zabawy, suszyli płodne w figle mózgownice nad sposobem wzruszenia profesora, lecz nic skutecznego wynaleźć nie mogli. Mnie to może najbardziej zajmowało, bo jakoś żal mi było owej rozkosznej mustry, która mi się więcej podobała, niż wyliczanie kilkudziesięciu księztw niemieckich, od którego język łamał się tak, jak dobrze zahartowane żelazo, gdy go zanadto zgiąć usiłujemy.

Pamiętam, było to w sobotę, jeografija przypadała na ostatnią godzinę po południu, a mieliśmy na lekcyę jak raz o Saksonii. Wybiła trzecia godzina, skończyła się arytmetyka i wszedł jak zwykle Solecki z tabakierką w jednej ręce, z chustką czerwoną, zarzuconą przez drugą rękę i małą laseczką czarno pomalowaną, służącą do pokazywania na mapie. Stanął na katedrze, poprawił włosy, spadające z łysiny i zapuściwszy wzrok po całej klasie, upatrywał, kogoby wyrwać. Ja, mając ułożony zamiar i chcąc zwrócić jego uwagę, kryłem się trwożliwie za plecy kolegi, okazując pewien niepokój i żarliwie czytałem z kajetu, kiwając się, jak żyd nad talmudem.

Dostrzegł to pan profesor, uśmiechnął się radośnie, a zacierając ręce i spoglądając po wszystkich, mówił powoli:

— Powie mi, powie mi... Kostecki!

Wystąpiłem na środek, ukłoniłem się nieśmiało i czekałem na pytania.

— Co mamy dziś na lekcyę?

— O Saksonii.

— Wyrysuj mapę i pokaż wszystkie miasta.

Porwałem kredę, starłem tablicę i w kilku śmiałych rysach nakreśliłem Saksonję; potem odchrząknąwszy mocno, cieniutkim dyszkantem zacząłem od granic, rozległości, ludności, klimatu, płodów; przeszedłem na Drezno, a potem na Lipsk. — Lipsk—mówię—miasto handlowe, liczy trzydzieści księgarni, leży nad Elbą, pamiętne w dziejach świata olbrzymią bitwą, stoczoną 1813 r., gdzie tysiące armat, siejąc śmierć i trwogę, huczało przez 3 dni i 3 nocy, gdzie...— stanąłem.

— Gdzie co? — pytał zainteresowany profesor.

— Gdzie pan Solecki, kapitan artyleryi, dokazując w rejteradzie cudów waleczności, padł przeszyty czternastu kulami!...

— Fałsz, malcze! kto ci o tem powiedział?!—wrzasnął zaiskrzony profesor.

— Historyja o tem mówi i tradycyja, a co krzyż Legii honorowej, na jego piersiach błyszczący, dowodzi! — wyrzekłem poważnie, wskazując na wstążeczkę, zaczepioną w dziurce fraka szanownego profesora.

— Przesadzasz, malcze, przesadzasz; zkąd ci się wzięło 14? było ich w samej rzeczy cztery.

— Mniejsza o to - odrzekłem, jakby lekcyę kontynując — dość, że waleczny kapitan upadł krwią zbroczony, na wielką szkodę armii i jego, bo gdyby nie te rany i konieczność przeleżenia roku jednego w szpitalu, dziś byłby jenerałem albo marszałkiem i kto wie, jakiby obrót wzięła bitwa pod Waterloo?

— Co ci się uroiło, mój kochany Kostecki! kto ci to powiedział? bo niepodobna, abyś to z siebie mówił, niepodobna, to nad wiek!

I stary profesor pokiwał głową z uśmiechem zadowolenia.

— Proszę pana kapitana, ja to z siebie mówię, jak mamę kocham, z siebie; i pewno się nie omylę...

— Ależ, mój drogi — przerwał widocznie wzruszony profesor — zkąd ty wnosisz, że jabym został marszałkiem?

— Bo kto potrafił tak dzielnie uformować karebatalijon w rejteradzie i dotrzeć z nim do samego mostu, ten potrafiłby także całą armię zmienić w kare.

— No, no — mówił do siebie profesor, kiwając głową — dyjabli wiedzą, możeby i tak było, żeby nie ten most na Elstrze, żeby nie ten most na Elstrze, żeby nie ten most... sapristi! no, no, a kto wie? wszak Murat syn oberżysty...

— A pod Smoleńskiem — odezwał się Lipski —komu sam cesarz krzyż przypiął?

— A pod Berezyną? — dorzucił Kowalski.

— Dość, dość, moi kochani—powtarzał pan Solecki zamyślony — dość tych pochwał; starsi nie ocenili... co było—to nie jest! Dawniej się komenderowało, wojowało, a dziś, sapristi! człek wegetuje i jak... A szkoda, szkoda... możeby i pułkownikowskie szlify świeciły tu — mówił, wskazując tabakierką na ramię — szkoda... O marszałkowskie ani dudu, lecz do kroćset... pułkbym uniósł przecie!

I poruszał głową, chodząc po klasie szybkim krokiem; czasem przystanął, wyprężył się jak struna, podniósł na palcach; myśl marszałkowska snać dobrze trafiła do serca, bo i tabaką siał po podłodze i chustka tylko koniuszczkiem trzymała się na ręce, powiewając jak chorągiew bojowa i siwe kosmyki opadły z wierzchu głowy, formującszlify po ramionach; a pan profesor chodził coraz szybciej i coraz żywiej... Cisza zaległa salę, a ja stojąc na środku, nie wiedziałem, co dalej mówić, bo jakaś pomimowolna cześć owładnęła umysłami swawolników, że żaden z nas nie śmiał przerwać podobnych marzeń profesora. Nareszcie jeden odezwał się głośno:

— Kostecki! jakże to było pod Lipskiem?

— Widzisz, jak Sasi przeszli na stronę sprzymierzonych — mówiłem, zwracając mowę do pytającego — zaczęła się okropna i krwawa rejterada: pułkownik zginął, podpułkownik głowę stracił, a pan kapitan jak krzyknie: „formuj kare!!!...“

— Co to jest kare? - przerywa Stalski.

— Ot, robi się trójkąt...

— Bredzisz, malcze! Tfu! kto widział tak mówić! – zawołał pan Solecki, który odbywając swój spacer po sali, usłyszał ów wyraz „trójkąt. — Nie wiesz-to —mówił coraz żywiej, stawając przedemną i pukając tabakierką po ramieniu - nie wiesz-to, że kare znaczy kwadrat!

— A jakże to się robi? — zapytał któryś z uczni.

— Poprostu komenderuje się: w prawo, w lewo, formuj kare! i żołnierze zachodzą flankami w dwa szeregi, jedni naprzód, drudzy w tył, inni na prawo, inni na lewo, i tak maszerują, strzelając do nieprzyjaciela.

— Proszę pana profesora, to ci, co są w środku, postrzelają tych z brzegu?

— Ale gdzież znowu? — odpowiedział, robiąc kwaśną minę Solecki — w środku przecież mieści się artylerya, sztab.

— Nie rozumiem, jak to być może.

— Oh, ciasna głowo! zaraz ci pokażę: niechno tu wyjdzie kilku na środek.

Lecz zamiast kilku, wybiegło kilkunastu, skacząc przez wierzch ławek i z hałasem zeskakując na podłogę.

— Po co was tylu, dosyć czterech; a cicho, psotniki! jeszcze rektor usłyszy i znowu bieda będzie.

— Proszę pana profesora, dziś sobota, ksiądz rektor zajęty tygodniową wypłatą.

— Ja widziałem, jak spać poszedł — mówił jeden.

— Podobno chory na rękę — krzyczał drugi.

— Ma zastępstwo w czwartej klasie na górze—dodał trzeci.

— No, no! dosyć! tylko cicho, przez Boga, pójdźcie już, a nie po ławkach.

Wysunęło się ze dwudziestu na środek—exkapitan ustawił ich we dwa szeregi, a że okazała się mała liczba, przywołał znowu czterech, i zaczął ich obracać, pokazując jak to potrzeba się skręcać, by utworzyć czworobok. Gdy wszyscy zdawali się doskonale już pojmować, stojąc jak mur w szeregach, profesor usunął się do katedry i wziąwszy w rękę ową pałeczkę, do wskazywania na mapie służącą, uroczyście zawołał: „formuj kare!“

Chłopcy zrobili obrót; częć udała się na prawo, część w lewo, mieszając się bez porządku; bo nie mogąc rozstawić się w cztery szeregi z powodu szczupłości miejsca, skupili się w jednę masę, wcale nie wyglądającą na kwadrat.

Ex-kapitan krzywił się i cmokał ustami z niezadowolenia, brał każdego za ramię, popychał w różne strony, chcąc ułożyć czworobok, lecz widząc, że zamiast porządku coraz bardziej się mieszają, machnął ręką syknąwszy:

— To na nic się nie zdało! widocznie ciasno; kiedyindziej wam pokażę: na miejsca chłopcy!

— Proszę pana kapitana, zsuniemy ławki pod okna—zawołał jeden.

— Do czego znowu hałasy robić, dajcie pokój, usłyszą!

— Kto usłyszy, panie kapitanie? my cichutko zsuniemy!

I nie czekając pozwolenia profesora, rzucili się do ławek, jeden za bok, drugi za wierzch, trzeci za środek, ten za podnóżek, rwali, szarpali, popychali; dość, że w minutę uprzątnięto salę, nakurzywszy porządnie, powalawszy się jeszcze lepiej, bo to były dość grube i ciężkie ławki, może od lat 10 nieruszane.

— Co robicie chłopcy! dajcie pokój! czy to potrzebne? a co to za nieposłuszni!—wołał profesor, stojąc na katedrze i pocierają łysinę.

— Teraz, panie kapitanie, w czterdziestu!

— Po co tylu, po co, dość dwudziestu czterech, reszta do ławek!

Lecz oni już stanęli w dwa szeregi z liniami i tak jakoś porządnie, prościutko się ustawili, tak wołali „panie kapitanie!“ że pan profesor, zmiękczany co chwila tym kapitanem, już się i nie sprzeciwiał, tylko wyszedłszy wolno z katedry, objaśniał zwroty wykręcając się na wszystkie strony i posuwając rękoma, tak, jakby całe szeregi poruszał.

Pierwszy obrót się udał; uwijając się niezgrabnie, sklecił jednak czworobok,—lecz przy podobnej krętaninie dość hałasowali, krzycząc, popychając się i stukając nogami. W tem zaszeleściało coś na korytarzu — któryś zawołał „rektor“ i dziatwa jak spłoszone stado jeleni, rzuciła się w największym nieładzie na miejsca, a pan Solecki jeszcze szybciej zemknął do katedry.

Nastała chwila ciszy... wszyscy z natężonem uchem czekali co dalej nastąpi — lecz szmer ustał, a jeden z odważniejszych uchylił drzwi i przekonano się, że nikogo nie było. Więc znowu wszystko sypie się na środek, ale przestraszony profesor już nie chce powtarzać nauki.

— Dość, dość tego; stukacie jak pułk kirasyerów: nie można, nie można!

— Mój panie kapitanie, jeszcze raz! — wołały ze wszą̨d piskliwe głosiki — już cichutko będziemy się sprawiać!

— Ale nie można — mówił zakłopotany profesor — stukacie butami...

— To zdejmiemy!—zawołał któryś z grona.

— To zdejmiemy! — powtórzyli chórem — i nie czekając pozwolenia, gdzie który stał, siadał na podłodze, operując nogi.

— Czyście poszaleli chłopaki!? do czego to podobne; na miejsca mi zaraz! — wołał półgniewnie profesor — a to koniec świata!

Lecz głos jego ginął wpośród pięćdziesięciu głosów; — rozkaz nie trafił do przekonania, bo za chwilę już wszyscy z zaiskrzonym wzrokiem i twarzą pałającą radością stanęli w szeregi bosemi nogami, prezentując improwizowane karabiny.

— A niechby też nadszedł rektor — wymówił kapitan — śliczna by się wywiązała awantura.

— Nie przyjdzie! nie przyjdzie! — wołali chłopcy.

— Nie można, moje dzieci, ubierzcie się natychmiast, bo i ja musiałbym pukać; moje buty jeszcze wojskowe, całe podbite gwoździami...

— Niech i pan profesor zdejmie — zawołał Lipski.

— I pan profesor! - gruchnęła dziatwa, klaskając w ręce.

— Sfiksowali! jak Boga kocham, sfiksowali!

— Mój panie kapitanie! mój złoty! mój tysiączny, mój kochany! — błagali, składając ręce i zbliżając się do katedry.

— A idźcież sobie z Panem Bogiem! dajcie mi święty pokój! — wołał pan Solecki, nie mogąc się opędzić malcom, którzy obstąpiwszy go dokoła, całowali po rękach, po nogach, powtarzając prośby; gdy tymczasem żarliwsi ciągnęli buty z całej siły.

— Dajcież pokój szaleńcy! co robicie! — krzyczał, szamocząc się na wszystkie strony — a rektor! rektor się dowie?

— Nie dowie się, nie powiemy, mój panie profesorze, nikomu a nikomu.

— Ale ja chodzę po wojskowemu, moje skarpetki są...

Lecz wszystkie nalegania, prośby, groźby, gniewy były naprożno. Swawolnicy już ciągnęli buty, porwali między siebie, a wydzierając jeden drugiemu, zmykali po kątach. Kapitan zdesyerowany, nie wiedział co robić z nogami, chował je biedny pod katedrę, zakrywał, zasłaniał chustką, dziennikiem, nawet połami od fraka, wił się jak wąż w fotelu, a nie śmiał wystąpić z katedry dla odzyskania obuwia, wstydząc się pokazać uczniom wojskowe skarpetki nie pierwszej całości. Tymczasem młodzi rabusie, chcąc zapewne przysłużyć się panu profesorowi, zanieśli z tryumfem owe buty do pieca, a że były mokre, otworzyli drzwiczki i ustawili na gorących węglach dla osuszenia.

Wszystko to odbyło się w jednej minucie. 'an Solecki już nie groził, lecz prawie błagał ıalców, aby się uspokoili i przynieśli mu wyarty zabór; lecz krzyki, śmiechy, stukania, causy, prośby, głuszyły i pochłaniały jego wyazy. Zamieszanie doszło do najwyższego stonia. Naraz uderza czwarta, dzwonek odzywa ięna korytarzu i wszystko, co żyje, zmykając na ıiejsca, rzuca się do ubierania. Ma się rozuıieć zapomniano tu o profesorze; każdy rad jak najprędzej wymknąć się do domu, szukał ten książek, ten czapki, ten butów, ten linii, a profesor, krzywiąc się najkomiczniej, siedział jak przykuty na katedrze, czekając zmiłowania Bożego, gdyż nie wiedział nawet, co się z jego butami stać mogło.

Ale nie tu był koniec jego frasunków, bo gdy już miano wychodzić i gdy gromada malców z książkami pod pachą, tłocząc się ku drzwiom do wyjścia, zdołała takowe otworzyć, ukazał się na progu sędziwy rektor, a wchodząc do klasy, wrócił wychodzących i drzwi zamknął za sobą.

Wszyscy stanęli jak wryci, nie śmiejąc słowa przemówić; rektor czas niejaki popatrzył po sali, nie mógł pojąć, co znaczy taki nieporządek, co znaczą te ławki do ścian pozsuwane; nareszcie zwróciwszy się do profesora, siedzącego wciąż na katedrze, groźno zapytał:

— Co się tu dzieje, panie Solecki? kto te ławki pozsuwał?

— To, to, to—bąknął, czerwieniąc się, profesor — panie rektorze... jeografija!... — lecz nie ruszył się z miejsca.

Ubodło to widać rektora, iż profesor zapomina dla niego winnego uszanowania, zagniewało i to, że nie może się dowiedzieć powodu zamieszania, zbliża się więc szybko ku katedrze, bierze profesora za rękę, a obracając się do struchlałych uczni, mówi rozkazująco:

— Na miejsca! czekać — a do Soleckiego ciszej: — Panie profesorze, proszę ze mną! — i ciągnie go ku drzwiom za rękę.

Solecki, pomieszany do najwyższego stopnia, trzyma się mocno drugą ręką poręczy krzesła, wsuwa jeszcze dalej nogi w zakryty róg katedry i odpowiada drżąco rektorowi:

— Daruj, panie rektorze, ale ja wyjść nie mogę.

— Dlaczego? — woła przelękniony staruszek — panie Solecki, dla Boga! co panu jest? czy pan zasłabłeś?..

— Nie, nie — odpowiada profesor — ale wyjść nie mogę.

— Co się to ma znaczyć, mój panie? — krzyczy zaiskrzony rektor i szarpie mocno za rękę profesora.

Ten pociągnięty siłą, aby nie upaść z krzesłem, zerwał się na nogi, a rektor ze zgrozą wtedy zobaczył, iż pan profesor bez butów.

— Pan bez butów chodzisz do klasy!! — wrzasnął na całe gardło, odskakując od niego.

— Nie, panie rektorze — odrzekł śmielej Solecki — tylko mam ranę na nodze, która nie pozwala mi siedzieć w butach.

— Co znowu, co znowu? – mruczał rektor, kiwając głową — kto widział, panie, jak to można?

W końcu obrócił się do uczniów, wołając:

— Do domu!

Malcy rzucili się ku drzwiom; jeden przez drugiego, przytuliwszy uszy, zmykał co tchu starczyło na ulicę, a ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, skupili się wszyscy przed szkołą, radząc niespokojnie co z tego będzie.

— A jaki poczciwy pan kapitan: nie wydał nas.

— Prawda, prawda — powtórzyli wszyscy.

— Szkoda go; biedak tak się zawstydził.

— Jak ty mówisz? wyda się to?

— Co się ma wydać?

— To będzie źle.

— Oj, źle.

Te i tym podobne wykrzyki wyrywały się z gromadki zatrwożonych malców, gdy tymczasem pan rektor siedział wciąż w klasie z profesorem, chodził po sali, krzyczał, rozkładał rę-

ce — jak donosili niektórzy, szpiegujący pod oknem.

— Czekajmy na niego — zawołał jeden.

— Czekajmy! — powtórzyła reszta; i podsunąwszy się w boczną uliczkę, wyglądali z za węgła domostwa, rychło profesor się ukaże.

Wybiło wpół; wybiła piąta na wieży miejskiego kościoła, a profesora jak niema, tak niema.

— Gotów go do kozy wsadzić rektor—odezwał się jeden,

— Fe, co znowu, profesora? — rzekł drugi.

— A cóż ty myślisz, taki złośliwy?! – mówił trzeci.

— Wiecie co! — zawołał Lipski — źleśmy zrobili, będzie bieda; otóż niema innej rady: tylko po mszy jutro wszyscy pójdziemy do klasy, tak jak tu jesteśmy i będziemy siedzieć sobie w kozie do wieczora. Zgoda?

— Zgoda! zgoda! przyjdziemy jutro z książkami — wołali pocieszeni chłopcy i rozbiegli się do domów.

Nazajutrz była już trzecia z południa, gdy w klasie trzeciej zgromadzonych pięćdziesięciu uczniów siedziało jeszcze na swoich miejscach, cichuteńko, jak makiem zasiał.

Lipski przy tablicy powtarzał jeografiję, wszyscy słuchali z zajęciem! Jeden odpowiedział, wychodził drugi i tak następnie. Żołądki malców kurczyły się z głodu, niektórym nawet niedobrze się robiło, lecz żaden ani pomyślał o wyjściu. Tymczasem gospodynie po stancyjach, nie widząc przy stole swoich chłopców, a koledzy nie wiedząc, gdzie się podzieli, niepokoili się o nich i już zamyślali donieść rektorowi o zniknięciu trzeciej klasy, gdy poczciwy Solecki dowiedziawszy się o tem, przypomniał sobie, że widział po mszy, jak jeden za drugim cichaczem wsuwali się do klasy; uśmiechnął się więc radośnie, zatarł ręce, poprawił łysinę — i pobiegł do rektora.

Właśnie ostatni z uczni już kończył powtarzanie jeografii, już ściemniać się na dworze zaczęło, gdy rektor wraz z panem Soleckim podeszli cicho pode drzwi i wpadli niespodzianie do klasy.

— Co wy tu robicie? — krzyknął niby groźnie rektor.

— Proszę pana rektora—siedzimy w kozie.

— Kto wam kazał?

— Samiśmy sobie kazali — odpowiedział Lipski — bo zrobiliśmy źle, proszę pana rektora, więc się też karzemy za to.

— A dawno tu już jesteście?

— Od dziewiątej z rana.

— To zadługo, zadługo chłopcy; idźcie do domu, ja się wcale na was nie gniewam, tylko przeproście serdecznie pana profesora i nie róbcie głupstw więcej! Dobrze, dzieci, dobrze -- mówił po chwili rozrzewniony — tak lubię, tak lubię; poznaliście złe, samiście sobie wymierzyli karę; ale po cóż tak długo? No, idźcie, idźcie!

Dopieroż jak się posunie dziatwa; jak zacznie przepraszać rektora, profesora, całując po rękach, po nogach, wieszając im się po szyi, to starcy do łez się rozczulili.

— Dobrzy to będą ludzie — mówił drżący od wzruszenia rektor do pana Soleckiego, wychodząc z klasy.

— Sapristi! A nie mówiłem, panie rektorze? nie mówiłem? Zaręczam, oniby sutannę z księdza rektora ściągnęli, a niby im ksiądz rektor nie mówił: to istna pokusa.

— Prawda, prawda, panie profesorze! Ale już zmiłuj się, zaprzestań mustry.

— Daję panu rektorowi kapitańskie słowo — odrzekł poczciwy Solecki.

— Wierzę, wierzę, mój panie, szczególniej temu kapitańskiemu. Dobranoc.

— Dobranoc.

I rozeszli się obaj; kapitana profesora wszyscy odprowadzili do domu z oznakami najszczerszej radości. Przez całą drogę nie mogli się nacieszyć z szanownym starcem; ale gdy go już żegnali przed sienią, pan Solecki przemówił uroczyście:

— No, moje dzieci, bądźcie zdrowi! idźcie do domów! tylko nie mówcie o tem przed nikim i nie wspominajcie nigdy w klasie o mustrze, bo, jak was kocham serdecznie, musiałbym się pogniewać.

— Nie będziemy, nie! nie! — zawołali jednozgodnie.

I wiernie tego dotrzymali, bo jeografija szła odtąd jaknajlepiej, żaden ani pomyślał w klasie, o mustrze; tylko co do tajemnicy, ta na drugi dzień zaraz rozniosła się po mieście i pokazało się w końcu, że pan Solecki po owej rozprawie z rektorem, nie mogąc znaleźć butów w piecu będących, zmuszony był przesiedzieć tam do nocy, a wtedy, pożyczywszy ogromnych sandałów od kalafaktora, sunął cichaczem do domu.

Albert Wilczyński. (p. t. I s. 197).

Kapłon.

* *O mnichu co kapłona według pisma rozbierał.*

Do dworu szlachcica jednego przyjechał mnich, którego ów pan na obiad prosił. Gdy już do stołu nagotowano, posadził na wyższem miejscu mnicha, sam podle niego, potem panny, żona i dwaj synowie siedli przed stołem. Gdy pieczyste przyniesiono, weźmie pan kapłona z misy, położy przed onego mnicha, aby rozbierał. Mnich położy znowu kapłona na misie mówiąc, że tego nie umie. Pan zaś kapłona wziąwszy, położy przed mnichem, mówiąc, że to być nie może, jedno aby go rozebrał. Odpowie on mnich: „Ponieważ się tak W. P. uparł, tedyć ja tego kapłona będę rozbierał wedle pisma“. Rad temu pan, bo choć przy dworze bywał, tedy nie widział jako wedle pisma kapłony rozbierają, przytyskuje mu, aby co rychlej rozbierał. Urznął naprzód mnich on głowę, położy przed panem, szyję też urznąwszy, położy przed panią na talerz, pannom dał po podskrzydełku, synom po udziku, ostatek sobie wziął i jadł. Pyta go on pan, w którymby to piśmie było tak rozbierać kapłona? Odpowie mnich: „Ja to z pisma wywiodę. Dla tegom ci dał głowę kapłonią, żeś ty jest głową domu twego, jako Paweł św. powiada. Paniej twojej dałem szyję, że z tobą za jednego człowieka jest, jako napisano. I będą dwaj w jednym ciele, jako ta szyja u kapłona z głową. Dziewkom twoim podskrzydełka dałem, a słusznie, bo myśli w nich latają, jakoby co rychlej szły za mąż. Synowie, iż są jako podpory i fundamenta domu twego, przeto dałem im kolana, które też wszystkiego kapłona nosiły; ostatek wziąłem sobie dla tej przyczyny, iż jako kapłon przez szyje i podskrzydełków jest coś dziwnego, tak mnichowi, który między ludźmi jako dziw jaki, słusznie ostatek przynależał mi“. Tym sposobem on mnich panu swe rozbieranie kapłona wywiódł. Częstował go w domu swym i dobrze opatrzył. A też on wierszyk prawdziwy:

Snadnie łaskę kupi,
Kiedy kto nie głupi.

„Perły humoru polskiego.“

Kapral.

* W czasie amerykańskiej rewolucyi jechał konno oficer w cywilnem ubraniu ku oddziałowi żołnierzy, zajętych naprawianiem małej forteczki. Dowódzca tej gromadki wydawał podwładnym rozkazy, mające na celu wywindowanie belki na wierzch fortecy. Belka jednak była zbyt ciężka i mały człowiek do wielkich rzeczy komenderował nieustannie raz tak, raz inaczej, nie osiągając skutku.

Przybywszy na miejsce, oficer zatrzymał konia i przekonawszy się, że mała garstka ludzi wielką kłodę drzewa ledwie poruszyć mogła, zapytał dowódzcę:

— Dla czego pan im nie pomożesz?

— Panie — odrzekł wyniośle zagadnięty, widocznie tem zapytaniem zdziwiony i obrażony—ja jestem kapralem.

— Czy tak—odrzekł oficer—tego nie wiedziałem — to mówiąc zdjął kapelusz i nizko się skłonił—miej mnie za wytłumaczonego.

Zeskoczył z konia, uwiązał go i zaczął dźwigać razem z innymi, aż pot mu wystąpił na czoło. Gdy już belka na odpowiednie miejsce się dostała, zwrócił się oficer do kaprala z temi słowy:

— Panie kapralu! gdy jeszcze kiedy będziesz miał podobną robotę do załatwienia a ludzi ci zabraknie, przyszlij do naczelnego wodza a ja zaraz na pomoc pospieszę.

Kapral stał jak piorunem rażony. Jeźdźcem był Waszyngton.

Kapusta.

* Żołnierz gwardyi przyszedł prosić o dymisyę generałów dywizyi, z których jeden był hrabią de Fougère, drugi hrabią de Luzerne.

— Cóż to widzę — rzekł jeden z nich sarkastycznie — chcesz opuścić służbę wojskową, by się zamknąć na wsi i sadzić kapustę.

— Tak jest, panie jenerale — odrzekł żołnierz—wolę sadzić kapustę niż paproć (fougère) lub lucernę (luzerne).

Kara.

* Pewien chińczyk stanął po śmierci u wrót raju.

— Czyś był w czyśćcu--pytał go Brahma.

— Nie — odpowiedział chińczyk—lecz byłem żonaty.

— W takim razie możesz wejść. Te kary są sobie równe.

Karczma.

* Bautru powiada, że karczma jest miejscem, gdzie szaleństwo sprzedają na butelki.

Chamfort.

* Karczma z przodu jak korab, z tyłu jak świątynia:
Korab, istna Noego czworogranna skrzynia,
Znany dziś pod prostackiem nazwiskiem stodoły;
Tam różne są zwierzęta, konie, krowy, woły,
Kozy brodate; w górze zaś ptastwa gromady
I płazów choć po parze, są też i owady.
Część tylna, nakształt dziwnej świątyni stawiona,
Przypomina z pozoru ów gmach Salomona,
Który pierwsi ćwiczeni w budowań rzemiośle
Hiramscy na Syonie wystawili cieśle.
Żydzi go naśladują dotąd we swych szkołach,
A szkół rysunek widzimy w karczmach i stodołach.
Dach z dranic i ze słomy, spiczasty, zadarty,
Pogięty, jako kołpak żydowski podarty.
Ze szczytu wytryskują krużganku krawędzie,
Oparte na drewnianym licznych kolumn rzędzie.
Kolumny, co jest wielkie architektów dziwo,
Trwałe, chociaż wpół zgniłe i stawione krzywo,
Jako w wieży pizańskiej, nie podług modelów
Greckich, bo są bez podstaw i bez kapitelów.
Nad kolumnami biegają wpółokrągłe łuki,
Także z drzewa, gotyckiej naśladowstwo sztuki.
Z wierzchu ozdoby sztuczne, nie rylcem, nie dłutem,
Ale zręcznie ciesielskim wyrzezane sklutem,
Krzywe, jak szabasowych ramiona świeczników;
Na końcu wiszą gałki, coś nakształt guzików,
Które żydzi, modląc się, na łbach zawieszają,
I które, po swojemu, cyces nazywają.
Słowem, zdaleka karczma chwiejąca się, krzywa,
Podobna jest do żyda, gdy się modląc kiwa:
Dach jak czapka, jak broda strzecha roztrząśniona,
Ściany dymne i brudne, jak czarna opona,
A z przodu rzeźba sterczy, jak cyces na czole.

Mickiewicz. Pan Tadeusz. (p. t. I s. 19).

Kardynał.

* Kardynał Albani udał się na obchód uroczystości Trzech Króli do Kolegium Propagandy w Rzymie.

Jeden z seminarzystów, cudzoziemiec, zwrócony w stronę kardynałów, zaczął recytować swoją barbarzyńską litanię, rozpoczynającą się od słów *gnaja! gnaja!* Robiło to takie złudzenie jak gdyby mówił *kanalia! kanalia!*

Słysząc to Albani, zwraca się do towarzyszy i powiada półgłosem:

— Jakto?... więc on nas zna!...

Goethe, Memoires.

Karlsbad.

* Pewien nauczyciel opowiadał swemu uczniowi, że w Karlsbadzie nie ma wróbli i że to zjawisko jest do dziś dnia zagadką dla naturalistów, a chłopak z otwartemi ustami słuchał opowiadania. Na przyszłe lato uczeń z nauczycielem pojechali odwiedzić ojca w Karlsbadzie, chłopak gapił się na wszystkie strony, nagle zobaczył przelatującego wróbla. Zdziwiony, oczom swym nie wierząc, pokazał dobrze znajomego ptaszka nauczycielowi: „Co to się znaczy, proszę pana?“ zapytał. Nauczyciel zmieszany, widząc zachwianą swoją teoryję wobec ucznia, odrzekł szybko: „Widzisz, mój drogi, są tu wróble, ale chore wróble, przybyły tu, aby się napić Szprudla!“

Karmelkowy wiersz.

Bywało dawniej, przed laty,
Sypałem wiersze i kwiaty
Wszystkim dziewczątkom,
Bom myślał, o piękne panie,
Że kwiat lub słowo zostanie
Dla was pamiątką.

Wierzyłem, zwyczajnie młody,
Że jeszcze nie wyszło z mody
Myśleć i czuć,
Że trochę serca kobiecie
Świetnej karyjery na świecie
Nie może psuć.

Aniołków brałem na seryjo
I z śmieszną Don-Kiszoteryją
Wielbiłem lalki,
I gotów byłem, o zgrozo,
Za Dulcyneę z Tobozo
Stanąć do walki!

Lecz dziś komedyję salonu,
Jak człowiek dobrego tonu,
Na wylot znam:
Z serca pożytek nie wielki,
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam.

El...y

Karmen.

* Wyraz, który przebojem wszedł do słownictwa warszawskiego. Jest to cyganka, której hiszpańskie miano jest Carmen. Rozkoszna ta cyganka wieczorami głowę zawracała tym, którzy, pomimo upałów i kurzu, musieli pozostać w Warszawie. Wiele też warszawianek w obawie o głowę swej rodziny spiesznie wróciło do Warszawy. Na szczęście niebezpieczeństwo znikło, bo cyganka wywędrowała do Czech. Oh! jak urocze bywają czasem cyganki!

Karmnik wyborczy.

* W pewnem małem miasteczku niemieckiem, umarł w środku zimy jeden z radców miejskich i dla wybrania zastępcy na jego miejsce ogłoszono nowe wybory. Nie brakowało budynków, ale z pośród nich wyróżniło się szczególniej dwóch poczesnych obywateli miejskich; bogaty piekarz Meler i równie zamożny majster cechu stolarskiego, Józef Hebel. Całe miasto oczekiwało gorączkowo dnia wyborów; obydwaj główni kandydaci byli zarówno lubiani. Meler urządzał wybornie tańcujące wieczorki, a bez jego wybornych bułeczek i placków nikt obejść się nie mógł. Hebel zaś musiał trafić do gustu wszystkim kundmanom, szczególniej narzeczonym, którym urządzał mieszkania; obydwaj zdawali się mieć równe szanse powodzenia. Zdarzyło się jakoś, że na trzy dni przed dniem, oznaczonym na wybory, u państwa Heblów zabito tuczonego wieprza; nie było to wprawdzie nic nadzwyczajnego, bo trafiało się to każdej zimy, jak nie było rzeczą zbyt dziwną, że Heblowie rozesłali próbki wybornych kiełbas, kiszek i t. p. przysmaków swoim sąsiadom i znajomym; był to zwyczaj, przyjęty w miasteczku; wprawdzie tym razem jakoś liczba obdarzonych była nieograniczoną, tak, że całe miasto wzięło udział w fecie Heblów, a pani Heblowa, która zwykle na całą zimę przyrządzała zapasy po takim ważnym akcie, na ten raz prawie nic nie schowała do śpiżarni,

ale to wcale nie popsuło jej humoru, tem bardziej, że w dzień wyborów zachodzące słońce powitało w jej małżonku nowego radnego, którego imię wyciągnięto z urny wyborczej i to z ogromną większością głosów. Nazajutrz po owym dniu pamiętnym 12-to letni syn Heblów spotkał się przed domem szkolnym z 13-to letnim Melerem w obec licznie zebranych współkolegów i z tryumfującą miną zawołał: „Aha, widzisz, mój ojciec został wybranym". Na co młody syn Melera odpowiedział z flegmą: „Prawda, ale mój ojciec ma jeszcze swego *karmnika*".

Karnawał.

* — Jakże się bawisz w tym karnawale?

— Wybornie—nie ma tygodnia...

— Żebyś nie tańczył?

— Nie, tylko żebym na zabawę jakiego wekslu nie podpisał.

* *Drobne wspomnienie karnawału.*

Trzej przyjaciele, którzy na intencyję jakiejś uroczystości, wynająwszy powóz, hojnie przez całą dobę częstowali siebie i woźnicę, około 3-ej po północy umyślili powrócić do domów. Ponieważ każdy mieszkał oddzielnie, a jeden z nich posiadacz nader słabej głowy, już ani rączką ani nóżką ruszyć nie mógł, dwaj więc trzeźwiejsi, lękając się, aby nie zmarzł ciężko struty przyjaciel, umyślili jego najpierwej odstawić do kwatery.

„Chłop strzela, a pan Bóg kule nosi", mówi przysłowie i nie bez pewnej zasady. Chociaż bowiem przyjaciele skaleczonego wykonali wszystko, co im sumienie i rozsądek nakazał, stało się przecież tak, że około 9-ej rano lokaj znalazł przyjaciół trzeźwiejszych w łóżku przyjaciela mniej trzeźwego przed bramą w powozie, na którego koziołku spał woźnica, mając zapewne dużo powodów do nieruszania się z miejsca.

Kolce.

* *Przepisy karnawałowe dla młodzieży salonowej.*

Jeżeli masz dwa albo trzy wieczory jednego dnia, idź tam, gdzie najlepiej jeść dadzą, albowiem żołądek gospodarzem ciała jest.

Jeżeli chcesz sobie zyskać względy domu, w którym bywasz, tańcz z żoną lub córką gospodarza, choćby były brzydkie jak grzech śmiertelny, albowiem próżnością niewieścią zyskasz najwięcej.

Jeżeli chcesz odmienić stare kalosze na nowe, uczyń to, ale zręcznie, albowiem brzydko jest w ten sposób odświeżać garderobę.

O kobietach i damach tańczących nie wygłaszaj do nikogo żadnych złośliwych zdań, bo łatwo możesz trafić na ojca, męża lub brata tej damy, o której nieprzychylnie się wyrażasz.

Do kolacyi nie siadaj nigdy pomiędzy płcią piękną i kiedy wszyscy siadają, udaj skromnego i zostań się w salonie. Skoro gospodarz spostrzeże cię, posadzi cię na końcu i najlepiej wyjdziesz, bo nikt nie będzie zwracać uwagi na to, co kładziesz do gęby, tudzież ile pijesz.

Jeżeli gospodarz nalewa ci wino lub piwo do kieliszka, wołaj przez skromność, że dosyć, albowiem gdy odejdzie, możesz sobie sam nalewać do woli.

Cyrus.

* *Z karnawału w siole.*

W pośród zgiełku, tańców, wrzawy
W karczmisku,
Dostał Maciek chuderlawy
Po pysku.
Tak mu Wojtek zażył ręki
Do gęby,
Aż skoczyły mu ze szczęki
Dwa zęby!
— Toć ci frybra ma kułaki
Siarcysta!
Zęby wybił jakby jaki...
Dentysta!

Na to rzecze karczmarz Icek
Milutki:
— Ty mu Maczek jeszcze za to
Kup wódki,
Bo u panów jak się bije
Pan z panem,
Potem honor każdy myje
Siampanem!
Maciek z Topielu

Karność domowa.

* „Moja mamusiu!“ prosi pięcioletnia Stasia, „pozwól tatusiowi iść dzisiaj ze mną na spacer!“

Flieg. Bl.

Karol I.

* Karol I, dowiedziawszy się, że Szkoci wydali go Anglikom za cenę 800,000 funtów szterlingów, wypowiedział te pamiętne słowa: „Wolę być w mocy tych, co mnie drogo kupili, niżeli tych, co mnie sprzedali nikczemnie.“

Karol II.

* Kiedy Karol II zakładał sławne „Royal Society“ i obdarzał je różnymi przywilejami, przyszła mu ochota dać dobrą nauczkę filozofom i uczonym. „Wytłomaczcie mi, moi panowie — zapytał — czemu, nalawszy do pełna naczynie wodą, tak, że kropla więcej już pomieścić się nie zdoła, można puścić wewnątrz rybę i mimo to woda się nie wyleje?“ Pełno mądrych zdań się posypało; a to ryba tyle wody wypija, ile zajmuje jej obszar cielesny, to znów, że zgęszcza wodę do pewnego stopnia, to znów, że utrzymuje wodę, zakreślając zawsze koło w pływaniu i tak dalej i tak dalej, pomnażała się liczba znajdujących przyczynę i zbliżających twierdzenie w przeciwstawieniu własnej hypotezie — a wszystko ku wielkiej uciesze rozweselonego monarchy. Wreszcie odezwał się dotychczas milczący profesor Wren: „Czy jednak Wasza K. M.,“ zapytał „sprawdził na własne oczy, ów szczególny objaw?..“ „Ach wreszcie!“ wykrzyknął, śmiejąc się Karol II, „masz racyję profesorze, a wy moi panowie, dopóki nie sprawdzicie czegoś dokładnie, nie ogłaszajcie swego zdania, gdyż zawstydziłbym się przywilejów, jakie wam nadałem, ze względu na waszą uczoność i wiedzę!“

Karol V.

* Podczas oblężenia Algieru, w roku 1541, kiedy hiszpańskiemu wojsku zabrakło zupełnie żywności, a mimo to na stół cesarski podano najwykwintniejsze potrawy, Karol V zwrócił się do marszałka dworu, mówiąc: „Nędzniku, czy się nie wstydzisz otaczać mnie zbytkiem wówczas, gdy moi towarzysze umierają z głodu!“ I natychmiast kazał pozabierać półmiski i rozdać delikatne potrawy między chorych i rannych.

* Pewien dowódzca wojsk prosił Karola V o uwolnienie od służby. „Dlaczego pragniesz się uwolnić?“ zapytał zdziwiony cesarz. „Gdyż chciałbym pomiędzy walką życia, a godziną śmierci poświęcić kilka chwil samemu sobie.“ Odpowiedź ta utkwiła głęboko w sercu cesarza, nigdy jej nie mógł zapomnieć, a w końcu nadeszła chwila, że idąc za przykładem swego podwładnego i czując zbliżającą się starość, uczynił to samo.

* Cesarz Karol V długo cierpiał na uporczywą podagrę. Razu jednego po silnym ataku podagrycznym podniósł się i począł się przechadzać po pokoju tam i napowrót wedle swego zwyczaju. Hrabia Maksymilijan fon Büsen, obecny tamże, widząc cesarza, przystającego jak bocian to na jednej to na drugiej nodze, niemógł powstrzymać się od uśmiechu — a cesarz spostrzegłszy to, zapytał go ostro, z czego się śmieje. Hrabia widząc, że cesarz domyśla się przyczyny, upadł mu do nóg, wyznając, że śmiał się z kulejącego chodu monarchy i z tego, że państwo rzymskie, może skutkiem choroby monar-

chy, wkrótce dojść do stanu również szwankującego. Cesarz podniósł z dobrocią kuzyna, mówiąc: „Pamiętaj to tylko, że nie nogi rządzą państwem, ale — głowa.“

Karol XII.

* Hrabia Szulenheng w swoich „Wspomnieniach“ chwali oszczędność, jaką Karol XII zaprowadził pomiędzy swymi żołnierzami. Każdy żołnierz miewał żołd oznaczony, wypłacony we właściwym czasie i złożony do grubego płóciennego woreczka, następnie musiał woreczek mocno zaszyć i nosić zawsze przy sobie. Kiedy potrzebował wydać pieniądze, musiał udać się do dowódzcy, odpruć woreczek, wyjąć część pieniędzy i napowrót równie mocno i starannie zaszyć. Tym sposobem był ów woreczek pewną, lubo uciążliwą skarbonką.

* W bitwie pod Narwą zabito pod Karolem XII-tym konia, natychmiast wskoczył na drugiego i śmiejąc się, powiedział: — „No! ludzie biorą mnie na ciężkie próby — chcąc się naprzykład przekonać, czy potrafię być woltyżerem!“

* Podczas ostatniej nieszczęśliwej wyprawy Karola XII żołnierze szwedzcy narzekali na złe pożywienie, wreszcie jeden z nich wziął raz kawałek chleba w rękę, zaniósł do króla i podając mu go, zapytał. „Czy żołnierz może jeść to?“ Król wziął chleb, zjadł go i rzekł: „Wprawdzie jadłem lepszy, ale i ten da się spożyć.“ Niezadowoleni żołnierze umilkli i uspokoili się odrazu.

Karol (margrabia).

* Założyciel miasta Karlsruhe był księciem nadzwyczaj skąpym: codzień musiano mu przynosić do zatwierdzenia rachunki utrzymania dworu. Jednego dnia znalazł w rubryce drobiu uwagę: „Dziś zdechły trzy włoskie koguty“ i natychmiast w następnym wierszu własnoręcznie skreślił pytanie: „A ile też butelek wina spotrzebowaliście na ich pogrzeb?“

Karol rumuński.

* Książę Karol rumuński, będąc w Paryżu, obiadował raz u pruskiego konsula pana Bamberg'a, który, będąc agentem rodziny Hohenzollernów, po za obrębem zajęć swego urzędu zajmuje się jeszcze handlowemi sprawami. Otóż kursuje po Paryżu następująca anegdota o owym obiedzie.

Było to w hotelu Bristol, gdzie książę mieszkał, mówiono o kwestyi semickiej. Książę w te słowa odezwał się do pruskiego konsula:

— Na dowód, że nie mam żadnej osobistej niechęci do Izraelitów, zapraszam się do pana jutro na obiad. Mam być jutro u księżnej Matyldy w Saint-Gratien, a ponieważ pan tam mieszkasz, zajadę wracając od niej do pana.

— Mości książę — wybąknął Bamberg zaambarasowany — jestem niewypowiedzianie za ten zaszczyt obowiązany, ale ja oddawna jestem protestantem — jako Izraelitę nigdy by mnie urząd pruski posłem swym nie mianował.

— E! — odrzekł żywo książę Karol — dla czegóż mocarstwa żądają, abym był w Rumunii liberalniejszym, niż sam naczelnik mojej rodziny jest nim w toleranckich Prusach?

Karol wirtembergski.

* Karol książę wirtembergski, założyciel wojskowej szkoły w Sztutgardzie, zwiedzał prawie codzień klasy i bywał obecnym przy egzaminach uczniów, którym nieraz osobiście zadawał pytania. Jeden z uczniów tak się okazał słabym w matematyce na jednym z takich egzaminów, że wielki książę zniecierpliwiony krzyknął:

— Wynoś się do stu dyjabłów i wołaj tu Wollzogen'a!

Baron Ludwik von Wollzogen (późniejszy pruski generał piechoty) nie był lepiej wyćwiczony w matematyce od swego poprzednika i obawiał się takiegoż losu, gdy przypomniał sobie na szczęście, że wielki książę sam nie wiele lub wcale nie zna matematyki, więc przy

odrobinie bezczelności łatwo go w pole wyprowadzić. Zaczął więc dowodzić i robić takie porównania, że nauczycielom jak również uczniom włosy na głowie stawały. Wielki książę jednak nie poznał się na tem i po ukończeniu tych andronów pochwalił go i dał całej klasie za przykład:

— Kiedy tak — rzekł do siebie jeden z uczniów, hrabia de Nassau — kiedy bezczelnością można się od kary wywinąć to i ja tego środka przy sposobności muszę spróbować.

Sposobność zdarzyła się wkrótce. W szkole wielkiego księcia, każde wykroczenie ucznia zapisywano na kartce, którą obwiniony własnoręcznie obowiązany był wręczyć księciu. Dnia pewnego przyszedł tenże, prowadząc pod rękę swą małżonkę Franciszkę hrabinę Hohenheim. Hrabia Nassau, który zwykle był w owe kartki zaopatrzony i tym razem długi rejestr przekroczeń podał wielkiemu księciu.

To podrażniło mocno księcia, który krzyknął gniewnie:

— Panie hrabio Nassau, racz powiedzieć sam, cobyś zrobił w danym wypadku, gdybym ja był hrabią Nassau, a ty wielkim księciem?

Nie namyślając się ani chwili, poskoczył delinkwent ku księżnej i wziąwszy ją pod rękę, pocałował w ładną twarzyczkę, mówiąc:

— Jaśnie oświecony książę, takbym zrobił i tobym powiedział: Chodź Franiu, nie warto z tym głupim smarkaczem mówić.

Wielki książę, zdumiony taką przytomnością umysłu i bezczelnością, uznał za najwłaściwsze rzecz przyjąć jako żart i winowajcy zasłużoną karę darować.

Karpiński Franciszek.

* Karpiński Franciszek na starość osiadł w Królewszczyźnie nadanej sobie, nie wychylał się za jej granice, chyba do sąsiada w odwiedziny, albo na odpust do pobliskiego kościoła. Często się to jednak przydarzyło, bo sąsiedzi kochali sędziwego starca, lubili miłe jego towarzystwo, ożywione zazwyczaj wesołością i piosnkami. Nie cierpiał tylko fircyków, pomiatających siwym włosem i paplających po francuzku, a których już podówczas było dosyć. Jak tylko spotkał takiego w towarzystwie, tracił humor i najczęściej cichaczem się wynosił. Raz zdarzyło się (szczegół ten wzięty z życiorysu Karpińskiego), że jeden taki młodzik, wychwalając na cały głos zagraniczne poezyje, zaczął szydzić z polskiego języka, nazywając go grubym, nieharmonijnym.

— Waćpan podobno byłeś poetą — rzekł, zwracając się do Karpińskiego — powiedz mi, jak dobrać rymu do wyrazu cietrzew?

Karpiński stuknął laską w posadzkę, oczy zapłonęły mu ogniem i nie namyślając się, odpowiedział:

„Z pomiędzy drzew
Wyleciał cietrzew,
Szukał bałwana:
Siadł na Waćpana.“

Śmiech ogólny powstał w izbie, młodzik zaczął się zżymać, ale otoczyli go poważniejsi ludzie, wytłumaczyli, że niewłaściwie zaczepił sędziwego i szanowanego starca i jakoś burza wkrótce ucichła, a poeta wyszedł zwycięzko.

Karty.

* *Przegrana w karty.*

Pewna podeszłych lat dama, zapamiętale lubiąca grać w karty, a przytem niesłychanie skąpa — zaskoczona chorobą w dobrach swoich na prowincyi, dla braku lepszego towarzystwa zapraszała proboszcza do zielonego stolika, a że i on nie gardził tą rozrywką, więc bardzo chętnie dotrzymywał placu swej kolatorce.

Ale ksiądz widocznie należał do rzędu tych, którzy w kartach szczęścia nie mają i w krótkim przeciągu czasu kieszeń jego wypróżniła się całkowicie.

Wówczas nienasycona staruszka wpada na pomysł bardzo oryginalny i proponuje, aby postawiono na stawkę koszta jej pogrzebu. Pro-

pozycyja zostaje przyjętą, a ksiądz i tym razem przegrany, wydaje formalne pokwitowanie.

Na parę dni przed śmiercią bogata dziedziczka, przywoławszy syna, doręcza mu ten nieco dziwny dokument — który stosownie do jej zlecenia otrzymuje ksiądz proboszcz zamiast należnego mu honoraryjum za oddanie ostatnich posług zmarłej kolatorce.

(Cousin d'Avallon, *Harpagoniana*).

Karykatura.

* Są twarze w ludach powszechne, c'est tout [clair —
Tłómaczyć przyczyn byłoby to wstydem;
Wreszcie opisze go wam książe Pukler
Muskau — co z naszym podróżował guidem
I pokazywał swą karykaturę
Grekom, wylazłszy nad Parnasów górę;

Który się nie kładł spać, aż biła czwarta;
Który chciał ogród założyć niemiecki
W guście angielskim tam, gdzie była Sparta.
Dla Bawarczyków pozawieszać niecki,
By się hojdając, z krainy Likurga
Mogli przewozić myślą — do Strasburga;

Który — to zawsze mówię o tym księciu,
Niechaj pamięta autor o autorze —
Który, zasnąwszy w wieczór w przedsięwzięciu,
Zbudzony — spytał się: „w jakim kolorze?"
A rząd bawarski, myśląc o sadzonym
W Sparcie ogrodzie — powiedział: „w zielo-

Który się o to obraził... i chwilę [nym..."
Zastanowiwszy się — po kilku chwilach
Tak zadrżał gniewem, że wszystkie motyle,
Na kapeluszu siedzące na szpilkach,
Zaczęły spadać i kłuć w nos Otona.
O zemsto... mówią, żeś słodka—tyś słona!

Adieu, Puklerze, bo mi nie do uszu
Twe imię, w rymów sadzone ogrodzie;
Podróżny w twoim wielkim kapeluszu,
Co tak wygląda, jak żagiel na wodzie,
W górach jak tarcza okrągła Pelida,
Nad ruinami Bogów... jak Egida.

Kasa.

* Sprzęt do przyjemnego użytku, tem r żniący się od kokotki, iż aby mieć tę ostatni trzeba tracić pieniądze, aby zaś mieć kasę, na leży pieniądze oszczędzać.

* *Przy kasie teatralnej.*

— Proszę pana kasyjera, czy dzisiaj graj „Noego?"

— Nie, dziś grają „Halkę."

— Nu to pójdę, jak będą grali tę operę sta rozakonną.

* *Przy kasie zamówień.*

Jaś. Nie wiem, kto to była ta Maryja Stuart?

Staś (bez namysłu). Najmłodsza córka dziewicy Orleańskiej.

Kasyjer.

* Kasyjer jest to jeden z tych wyrazów, które z biegiem historyi ludzkości zmieniły nie tylko znaczenie, ale i istotną treść. Dawniej kasyjerem był ten, komu bezwarunkowo wierzono, dzisiaj temu, co jest kasyjerem, bezwarunkowo nie wierzą. Dawniej też kasyjer pracował przy kasie, dzisiaj manewruje w samej kasie.

* *Bankier* (przyjmując nowego kasyjera). Przystajesz pan tedy na moje warunki?

Kasyjer. Tak jest. Pozwoli pan baron zadać sobie jeszcze jedno pytanie: Jak wysoką przeciętnie była suma, z którą ulatniali się moi poprzednicy?

Kaszel.

* Pewien w podeszłym wieku jegomość jechał koleją i uprzykrzał się swym kaszlem towarzyszom podróży.

— Wiesz pan co — rzekł jeden z nich — pan masz złośliwy kaszel.

— Wiem to dobrze — rzekł staruszek — ale cóż mam począć? To najlepszy, jaki posiadam.

* *Kaszel jako przyczynek do mowy ludzkiej.* (Temat do rozległych studyjów filologicznych).

Czem są depesze szyfrowane w komunikacyi telegraficznej lądowej i podwodnej, tem w mowie naszej jest kaszel, działający, ma się rozumieć, na przestrzeniach nieskończenie mniejszych. Depeszę rozumie ten tylko, kto posiada klucz do odcyfrowania, kaszel zaś na razie bywa wyborną depeszą, zrozumiałą bez klucza. Różnica jest tylko ta, że gdy depesza obchodzi się bez dodatków, to kaszel bywa niekiedy wzmacniany wyrazistem spojrzeniem, trąceniem w łokieć, lub telegrafem mechanicznym, przeprowadzonym pod stołem, notabene jeżeli warunki strategiczne na to pozwolą. Jeden stary bakałarz powiedział, iż „kaszlanie jest suplementem mowy ludzkiej.“ Szanowny pedagog miał racyję, gdyż zaiste jest suplementem nie lada.

Czyście widzieli kiedy sławnego oratora lub kaznodzieję, którýby nie kaszlał przed rozpoczęciem akcyi oblania waszych uszu gorącym potokiem wrzącej elokwencyi? Znacież choćby jednego śpiewaka lub śpiewaczkę, nie kaszlących przed rozpoczęciem śpiewu? Pokażcie mi choć jednego Harpagona, który nie zakaszlnie w chwili, gdy ma zastosować do was udoskonalony system obdzierania żywcem ze skóry.

Zapytajcie się panienek w salonie, co znaczy gruby kaszel cioci Klary, a co krótki i urywany cioci Fipci. Zapytajcie wszystkie mamunie w Europie i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, a pokażą wam cały systemat znaczącego kaszlu, z cieniami, odcieniami i półcieniami.

Przychodzicie do właściciela domu i złożywszy należny jego godności ukłon, ośmielacie się go zapytać:

— Szlachetny panie, te dwie stancyjki na trzeciem piętrze... w oficynie... od tyłu?

Szlachetny pan zaśpiewa wam za nie 200 rubli, ale się poprzednio zakaszle — widocznie tak gruba cyfra nie może się łatwo prześliznąć przez słowiczy gardziołek obywatela kamienicznika—a więc kaszel toruje jej niejako drogę.

Wujaszek bogaty kaszle na widok zrujnowanego siostrzeńca, zanim wypali mu uczoną rozprawę „de parcimonia“ Dewotka kaszle przy kratkach konfesyjonału i po tym dopiero wstępie zaczyna się czyścić z naleciałości światowych i zwątpień duszy nabożnej. Wierzyciel kaszlem poprzedza mowę z dłużnikiem. Nieszczęsny debent, odkaszlnąwszy, ośmiela się zanosić do wierzyciela suplikę o cierpliwość. Spłonione dziewczę, gdy usłyszy wyznanie o matrymonijalnych intencyjach, odpowiada kaszelkiem, a zagabnięty o pożyczkę Krezus, jakby czarodziejską laską dotknięty, dostaje tak gwałtownego kaszlu, że go można o suchoty posądzić. Kaszlemy, gdy nam się trafi palnąć głupstwo (co się niekiedy i najpoczciwszym zdarza). Kaszlem pokrywamy wewnętrzne zadowolenie, które pragnęlibyśmy utaić. Kaszlu wreszcie używamy jako odpowiedzi w kwestyjach, w których samo milczenie nie wystarcza, a wyrazami odpowiadać nie można. W pewnych okolicznościach kaszle mąż zwodzony i żona zwodząca. Kaszle sędzia, zanim ogłosi wyrok. Kaszle zapytany, zanim odpowie i zapytujący, zanim zapyta; jednem słowem — my kaszlemy... wy kaszlecie... oni kaszlą...

A ile indywiduów, ile okoliczności—tyle rozmaitych gatunków tych kaszli. Pewien uczony chiński wylicza grupę podobnych objawów, podzieloną na 9999 cech głównych, z których każda zawiera w sobie tyleż odcieni szczególnych. Jeżeli uczono was podnoszenia do potęgi, to zróbcie kwadrat z tej pękatej liczby, a będziecie mieli słabe pojęcie o wartości hypotezy chińskiego filozofa. — Notabene nie widzę racyi wierzyć bezwarunkowo w wyrachowanie tego mędrca, gdyż kabalistyczny charakter liczby każe przypuszczać, że takowa albo jest zmyśloną, lub też wziętą z rezultatu jakiej dla mózgownic naszych niedostępnej spekulacyi matematycznej chińskiej.

„Są dziwy na świecie, o jakich ani się śniło filozofom.“ Słudzy Eskulapa od czasów nieboszczyka Hipokratesa (który już dosyć dawno nie jest czynnym członkiem żadnej akademii medycznej) suszą sobie mózg, ażeby wymazać kaszel z obrzydliwej długiej listy bólów i dolegliwości człowieczych. Ale zdaje mi się, że ich usiłowania nie będą uwieńczone pożądanym skutkiem. A przytem taki wynalazek spotkałby bez kwestyi silną opozycyję. Mowa ludzka straciłaby na tem ogromnie, ponieważ nie jedno subjectum nie odkaszlnąwszy, nie potrafiłoby przemówić. A ponieważ wiadomo, że wynalazek, nie będący wynikiem ogólnej potrzeby, utrzymać się nie może, przeto można być prawie pewnym, że i kaszel usunąć się nie da.

Byłoby wcale nie od rzeczy, ażeby jaki uczony filolog, choćby wnuk tych, co pisali kolosalne tomy w tak zawiłej materyi, jak np. „de particula de,“ chciał się zająć ułożeniem słownika kaszlowego i gramatyki. Żeby nauczył świat i ludzi, że taki kaszel ma konjugacyje i deklinacyje, że bywa używanym w znaczeniach prostych lub przenośnych etc. I żeby ludzie ten nieodłączny od swej mowy dodatek ujęli w jakieś pewne prawidła i formy, a nie używali go dowolnie jak dotąd.

Wykonanie takiego dzieła zapewniłoby autorowi nieśmiertelność, bo stworzywszy „teoryję kaszlów znaczących,“ możnaby śmiało dowodzić pokrewieństwa wszystkich a wszystkich języków i narzeczy. Mógłby pokazać zdumionemu światu, że kaszlą ze znaczeniem mieszkańcy wysp Filipińskich, kiedy w odległej starożytności to samo działo się w Rzymie i u Hebrajczyków, a dziś można obserwować te objawy tak dobrze w Kozienicach jak i na przylądku Dobrej Nadziei.

Potem... ale przepraszam—słyszę w przedpokoju kaszel; to jeden z 9999 gatunków, wyliczonych przez chińskiego filozofa. Gdybym był poetą, powiedziałbym, iż tam czeka na mnie krokodyl lub grzechotnik; że nim nie jestem, słyszę charakter łagodnego kaszlu Harpagona.

Trzeba rzucić pióro i zakaszlać najsłodziej, najdelikatniej, gdyż to będzie wstęp do tranzakcyi pokojowych, ugruntowanych na fundamencie idealnej cierpliwości, która bogdajby zawsze mieszkała w sercach Harpagonów!

Klemens Junosza. (p. t. I s. 57).

Kat

* Swift, autor Gulliwera, lubił podróżować pieszo.

Pewnego dnia zaszedł do oberży, w której wszystkie izby były zajęte i właściciel zaproponował mu nocleg wspólny na łóżku, na którem spał jakiś wieśniak, przybyły na ostatku.

Zaledwie się położył, rozpoczął rozmowę z swym towarzyszem. Ten ostatni opowiadał o dobrych interesach, jakie porobił na jarmarku.

— Co do mnie, to nie mam się z czego chwalić — powiedział Swift — nie wiodło mi się wcale. Przez cały czas trwania sądów siedmiu tylko powiesiłem.

— Powiesiłeś pan? cóż to za rzemiosło, którem się pan zajmujesz?

— Nie życzę wam wcale zabrać z nim znajomość, chyba tylko w taki sposób, w jaki ja mam z niem do czynienia.

— Kim-że pan jesteś?

— Jestem katem i idę właśnie do Tyburn wieszać dziewięciu rozbójników.

Jeszcze nie dokończył tych słów, gdy już wieśniak był za drzwiami i wyniósł się do stajni na resztę nocy.

* *Kat Karola I.*

Sir Jerzy Stairs, starzec liczący sto czternaście lat, wyznał na łożu śmierci swemu pra-prawnukowi, że powodowany straszną zemstą przeciw królowi Karolowi I, który uwiódł i zniesławił młodziutką jego krewnę, dopuścił się czynu tak dalece hańbiącego, iż nie śmiejąc na-

stępnie w oczy ludziom spojrzeć, żył w dobrowolnem ukryciu, uchodząc za umarłego.

Oto przekupił on kata i zamaskowany zajął jego miejsce, aby mógł własnoręcznie zgładzić ze świata tego monarchę i w taki sposób pomścić krzywdę krwi swojej.

Nie wiadomo, o ile jest wiarogodną ta anegdotka, jak i wiele innych wersyi, krążących o zamaskowanym kacie Karola I.

(*Pièces inter. et peu connues*).

* *Kat i lekarz* (bajka).

Po egzekucyi rzekł do kata lekarz:
— Na czyn twój patrzeć nie mogę zdaleka,
Cios już zadałeś i spokojnie czekasz;
Czego doznajesz, gdy zabijesz człeka?

Kat, milcząc, słuchał, aż wyrzekł w ostatku:
— Żem ja jest zimny — to bardzo być może,
Lecz ty, gdy jesteś w tym samym wypadku,
Czego doznajesz, kochany doktorze?

Paul de Coś (P. Kośmiński).

* *Kat i ofiara.*

Pewien nowo-praktykujący kat, prowadząc winowajcę na szubienicę, zwierza się poufnie.

— Będę się starał wywiązać jaknajlepiej z zadania, ale muszę cię uprzedzić, że ja jeszcze nigdy nie wieszałem.

— Co prawda — odpowiada skazany — to i ja jeszcze nigdy nie byłem wieszany, ale postaramy się oba, aby to poszło gładko.

(*Simoniana*).

Katar.

* Balzac, współczesny Richelieu'go, był niesłychanie próżnym i chorował często na katar.

Bautru tak o nim kiedyś się odezwał do kardynała:

— Jak możesz żądać Eminencyjo, żeby Balzac był zdrów? On tylko o sobie mówi, zawsze przytem odkrywa głowę i dostaje kataru.

Katechizm.

* Pruski inspektor szkół, przybywszy do szkółki wiejskiej w Alzacyi, zaczął egzaminować jednego z chłopców, który mu się najinteligentniejszym wydał:

— Czy wiesz, jak się Zbawiciel nazywa?
— Jezus Chrystus.
— Gdzie on jest?
— Umarł.
— Jaką śmiercią umarł?
— Został zabity.
— Kto go zabił?
— Prusak.

— Co? Prusak zabił Chrystusa? Panie nauczycielu, jakiegoż to ducha zaszczepiasz w swych uczniach? Natychmiast podaję prośbę o uwolnienie pana ze służby i usunięcie z kraju. Jesteś winnym zdrady stanu.

Żona nauczyciela sprowadziła pastora i burmistrza, prosząc, by dziecko wyegzaminowali. Cóż się okazało?

Chłopak widział na obrazie w kościele zbirów w hełmach, którzy prowadzili Zbawiciela na miejsce stracenia. Ponieważ słyszał nieraz w domu, jak na Prusaków wymyślano, a do tego pruscy żołnierze w hełmach chodzili, wywnioskował sam, nie będąc tego w szkole uczonym, że Prusacy Chrystusa zamordowali.

* *Katechizm gospodarski* (podług J. Gołuchowskiego).

Pytanie. Co to jest gospodarstwo?

Odpowiedź. Gospodarstwo jest to uganianie się przez całe dwadzieścia cztery godzin za próżniakami, niedbalcami, pijakami, szkodnikami, złodziejami, nieukami i wszelkiego rodzaju niedołęgami.

P. Jaki jest pierwszy obowiązek gospodarza, jak się obudzi (notabene jeżeli mu dano spać spokojnie).

O. Jak tylko się gospodarz obudzi, zanim się przeżegna i pacierz zmówi, powinien się

uchwycić za rękę i za nogę i przekonać się, czy mu jej nie ukradli.

P. Co to jest gospodarz?

O. Jest to groch przy drodze, który każdy kto tylko chce, rwie.

P. Jakie jest główne zadanie gospodarza?

O. Zadaniem gospodarza jest, aby z piasku bicz ukręcił, a jeżeli piasku niema, aby i piasek jeszcze do tego bicza stworzył.

P. Jaka jest główna cnota gospodarska?

O. Bezinteresowność.

P. Co to się ma rozumieć przez tę bezinteresowność?

O. To się ma rozumieć, aby gospodarz sam dla siebie nic nie miał i o to się nie gniewał, tylko oddał, co się komu należy, a nawet, jeżeli się komu nie należy, a onby sobie to wziął, iżby tego do serca nie przypuszczał, gdyż tego odzyskać i tak nie potrafi, a zgryzota go do reszty dobije.

P. Czem się najtrafniej da objaśnić działalność gospodarza?

O. Najtrafniej objaśnia jego działanie mennica. W niej gospodarz jest stemplem, wybijającym pieniądze, ale dla tego, że to tylko stempel, nic przy nim nie zostaje i wszystko od niego zabierają.

P. Jaki jest śmiertelny grzech gospodarza?

O. Grzechem śmiertelnym gospodarza jest: pieniędzy nie mieć, bo od tego niema już dla niego odpuszczenia. Za to go niemiłosiernie biją, dopóki nie odda ducha, ale nawet i po śmierci tego mu nie darują.

P. Kiedy się gospodarz może uważać za szczęśliwego?

O. Wtedy się może uważać za szczęśliwego, kiedy tylko goły wyjdzie, a przynajmniej całą ma skórę i nikomu nic nie winien.

P. Jaki jest celniejszy przepis co do ubioru gospodarza?

O. Co do ubioru wiejskiego gospodarza jest ten przepis główny, aby nie chodził w rękawiczkach, gdyż angielskie przysłowie niesie: „*kot w rękawiczkach myszy nie złapie.*“

P. Jaka jest walna przestroga dla gospodarza?

O. Taka jest dla niego walna przestroga: aby na siebie nie wydawał trzech groszy, kiedy tylko ma dwa w kieszeni.

P. W jaki sposób ma się gospodarz przygotować do swego zawodu?

O. Przez najściślejszy post, który nie czterdzieści dni, ale czterdzieści lat i więcej trwać może, biczowanie mu się odpuszcza i t. d. i t. d.

Oto wierny obraz gospodarza, z natury zdjęty i najsumienniej oddający rzeczywistość.

* *Katechizm reportera.*

Pytanie. Co to jest reporter?

Odpowiedź. Jest to istota złożona z długich nóg i wrażliwego nosa, stworzona zresztą na obraz i podobieństwo innych ludzi.

P. Do czego służy reporter?

O. Do znoszenia wiadomości plotkarzowi głównemu, zwanemu redakcyją.

P. Czy reporter ma duszę?

O. Ma bardzo bujną imaginacyję.

P. Ile jest rodzajów wiadomości?

O. Dwa rodzaje: sensacyjny i niesensacyjny.

P. Wymień mi przykłady?

O. Sensacyjne czyli piorunujące: np. Znowu donżuaneryja, Jeszcze zbrodnia, Okropna zemsta i t. p., nie sensacyjne zaś: Założenie szkoły, Na cel dobroczynny i t. d.

P. Co powinien robić reporter na wypadek posuchy na wiadomości?

O. Powinien nakłaniać bliźnich, aby czynili rzeczy, mogące zasilić reporteryję, w najgorszym zaś razie czerpać takowe z własnej wyobraźni.

P. Jaka nagroda czeka dobrego reportera w życiu przyszłem?

O. Honoraryjum, wypłacane w peryjodach miesięcznych.

Kaucyja.

* *Kaucyja Niebieska.*

Filip II umierając, kazał w obec notaryjusza spisać akt, na mocy którego jego spowiednik brał na siebie odpowiedzialność za zbawienie Jego Królewskiej Mości. Na wypadek jakiej niedokładności, miała ona iść na rachunek ojca duchownego, nie zaś króla, który zresztą zobowiązywał się być posłusznym mu we wszystkiem.

(De La Place, *Pieces intéressantes*).

Kaunitz.

* Przy księciu ministrze Kaunitzu był zawsze urzędnik służbowy, który nie mógł z biura na chwilę się wydalić i przez cały dzień słuchać musiał paplania ulubionej papugi księcia. Minister pracował zwykle za szklanną przegrodą, od czasu do czasu odzywając się cienkim, ostrym głosikiem. Papuga wybornie ton głosu pochwyciła, powtarzając przytem zwykle słowa, których książę najczęściej używał. Razu pewnego urzędnik, zajęty czytaniem jakiegoś dokumentu, usłyszał cienki głos, wołający: „Zbliż się bliżej! zbliż się bliżej! zbliż się bliżej!“ Urzędnik, myśląc, że odpowiada papudze, krzyknął ze złością: „Stul pysk, przebrzydły ośle!“ — a ta odpowiedź nadzwyczaj zdziwiła księcia; że był jednak w dobrym humorze, nie zażądał wyjaśnienia pomyłki.

* Młody, rozumny i powszechnie poszukiwany w towarzystwach hrabia, późniejszy książę Kaunitz, był w roku 1804 austryjackim ambasadorem i razu pewnego po niespanej nocy siedział w swym fotelu w południowej godzinie, zmęczony i śpiący. Nagle lokaj zaanonsował mu wizytę pewnego niezręcznego dowcipnisia, barona N.

— Ach, Boże!—zawołał wchodzący—Jego Ekscelencyja ziewa, pewno z nadmiaru nudnych wizyt?

— O, nie!— odpowiedział Kaunitz —pan jesteś najpierwszą!

* Książę Kaunitz był to wytrawny szpaczek, który tak mało robił sobie ze względów światowych, że przyjeżdżał ze swoją kochanką do bramy zamkowej, zostawiał ją w karecie, sam biegł na posłuchanie do cesarzowej, a skończywszy interesy, prosto od monarchini wracał do metresy. Maryja-Teresa zrobiła mu lekką uwagę co do jego postępowania.

— Dostojna Pani — odparł nie zmięszany Kaunitz - przyszedłem tutaj, aby mówić o sprawach Waszej Wielmożności, a nie o moich własnych...

Monarchini umilkła, przebaczając ministrowi jego postępek i odezwanie się ze względu na wielkie jego zasługi, podjęte dla dobra państwa.

Kawaleryja.

* *Mądra kawaleryja.*

Ułan (przy kasie teatralnej):
— Chciałbym prosić o bilet.
Kasyjer teatralny:
— Drugie miejsce, czy galeryja?
Ułan:
— Nie, proszę pana, to kawaleryja.

Kazanie.

Kapucyn.

* Hej! hajsa! dydli, dudli, daj!
Tu jest wesoło? w to mi właśnie graj!
I wyż - żołnierze? i wyż - chrześcijanie?
Takież z niedzieli ciągniecie korzyści?
Jesteścież Turcy? albo, odpuść Panie,
Gorsi od Turków antibaptyści?
Za nic dzień święty, za nic postu kwadry,
Jakby to Pan Bóg dostał już chiragry,
Jakby tam w górze miał na twardo zasnąć
I nie mógł na łeb bezbożnikom trzasnąć!..
Wyż to? w tym czasie? skaczecie, jak kozy?
Quid statis otiosi?
Czego stoicie nieczynnie, buhaje?
Już furyja wojny łupi naddunajskie kraje,
Już nieprzyjaciel bębni, a bębni po skórze;

Capnął Regensburg, przelazł bawarskie przed-
[murze;
A wy tu w Czechach ni to walne zuchy,
Siedząc za piecem, wypasacie brzuchy?
Więcej was troszcze w garnku tłusta kura,
Niźli harc wpolu, niźli: „Naprzód! hura?"
Łatwiej z dziewkami posunąć wam walca,
Niźli na Szweda uderzyć zuchwalca?
Łatwiej ze Szwedów wydrabować kaszę,
Jak w polu z nimi rąbać się w pałasze?
Prędzej sto wołów wasz apetyt zmiecie,
Niźli jednego Oksenstierna życie?
Niedługo potrwa, a już kościół boży
Worek z popiołem na łeb sobie włoży
I będzie musiał śpiewać gorzkie żale!
Ale pan wojak nie dba o to wcale,
Cóż go obchodzą kościelne lamenta?
On jedząc, pijąc, na kieszeń pamięta.
Jest to czas płaczu, we łzach oczy mokną!
Po niebie groźno idą znaki gończe,
Pan Bóg wojenną w dół spuszcza opończę,
Kometa miotłę wyściubia przez okno,
Cały świat jęczy, zawodzi z rozpaczy;
Ale to u was wcale nic nie znaczy,
Choć arka wiary we krwi sobie pływa,
Choć kościół boży bardzo cienko śpiewa!
A toż, Boże, zmiłuj się! biedne rzymskie Pań-
[stwo!
Czem ono teraz? zeszło na gałgaństwo.
W nadreńskie granice wróg wszedł grać na
[nice!
Probostwa, klasztory — są ubóstwa wory.
Zamożne kapituły kapią łzy na stuły.
Dobytek biskupi już teraz bies kupi!
A wszystkie niemieckie najbogatsze kraje,
Jak on bochen chleba—bieda nożem kraje!
A wiecież, zkąd to idzie? Ja sęk znajdę w lichu;
To się pisze z bezprawia, wywodzi się z grze-
[chu,
Z pogańskiego życia, z bezecności duszy,
W której pływa pan starszy, pan prosty po u-
[szy.
Bo grzech, jest to magnes, co miasto szeląga
Samo tylko żelazo do kraju przyciąga.
Do każdej sprosności kara się przytuli,
Oko musi zapłakać po gorzkiej cebuli,
Po wesołem A idzie smutne B!
Tego porządku żąda A, B, C!
Ubi victoriae spes,
Si offenditur Deus? możeż być wygrana?
Możecież mieć zwycięztwo od kościoła matki,
Kiedy od mszy zmykacie, jak od kija pies?
Kiedy w karczmie siedząc z wieczora do rana,
Drwinkami nabożeństwu przypinacie łatki?
Grosz zgubiony wszakże
Znalazła niewiasta w Ewanielii;
Saul swego ojca osła wszakże
Znalazł także?
I o tem przecież będziecie wiedzieli,
Co Józef zgubił, a znalazł jednakże?
Ale kto u żołnierzy szuka poczciwości,
Bojaźni boskiej, bliźniego miłości,
Wstydu, pokory—ten się schyla marnie,
Choćby większą niż słońce zaświecił latarnię!
Toć i w ewanielistach czytamy w tej mierze,
Że na kazanie w puszczę biegli i żołnierze,
Ita scriptum est.
I czynili pokutę i brali tam chrzest
I pytali się w głos:
Quid faciemus nos?
Co mamy czynić my, syny Adama,
Abyśmy weźli w łono Abrahama?
Et ait illis, a on tak im rzekł:
Neminem concutiatis,
Nikogo nie będziesz ni skubał, ni piekł.
Neque calumniam faciatis,
Ani oczerniał, ni językiem siekł!
Contenti estote zwyczajnym lennikiem,
Nie szwadronu, ni dyjabłem, ni kadukiem!
Bo przykazano głośno, nie tajemnie:
Nie szastaj mojem imieniem daremnie.
A gdzież większa bluźnierstwa gorczyca, kolen
[dra,
Jeźli nie po kwaterach w obozie Frydlendra?
Wszakci gdyby o każdym a jasnym piorunie,
Który wam z gęby raz po razu runie,
Według świętego oddawna zwyczaju
Chciano we dzwony urżnąć po swojemu:

Gwałtby się straszny rozległ w całym kraju,
Rąkby, powrozów brakło kościelnemu!
Gdyby za każdy tuzin dyjabelskich modlitew,
Które się z waszej niepłukanej gęby
Sypią rzęsisto, jak z woru otręby,
Po włosku tylko chciano rwać wam z głowy,
Byłaby pewnie bez mydła i brzytew
Już jednej nocy czysto wygolona,
Choćbyście mieli harcap Absalona!
Taką chęć macie do kwiecistej mowy.
Toć Jozue także miał urząd sołdata,
Król Dawid zabił na śmierć Goliata;
A przecież w piśmie niema ani kreski,
By takie mieli wyparzone pyski!
Wszak mnie się zdaje, choć się mylę może,
Do wymówienia: „Wspomóż, Panie Boże“,
Nie więcej, nie szerzej gębę się otwiera,
Jak: „Do kroć milijonów“—satis, et cetera!...
Lecz czego gąbka naciągnie przez życie,
Byle ją ruszyć, wyleje obficie!
Znowu jest przykazanie: Zmiłuj się, nie kradnij!
Co o to, nikt was nie oskarży w świecie!
Wszystko w dzień jasny otwarcie bierzecie.
Przed waszymi pazury, przed waszymi szpony
Grosz niepewny jest w skrzynce, choć na klucz
[zamkniony.
O! w tem, nie ma co mówić, w temeście mi-
[strzowie!
Przed wami się i cielę nie osiedzi w krowie,
Taki macie węch tęgi od natury w spadku!
Przy jajach kokoszę bierzecie w dodatku.
A jednak Pan mówi: Estote contenti,
Jedz chleb komiśny, łataj gołe pięty.
Ale jakże tu czeladź nauczyć pokory,
Kiedy przykład zgorszenia idzie smaczno z góry!
Bo jakowe są członki, taką jest i głowa.
Któż w co wierzy, komu wiarę chowa?

Pierwszy Strzelec.

Pan mnich przebaczy! we wszystkiem jest miara:
Nas hańb, oczerniaj; lecz od wodza wara!

Kapucyn.

Ne custodias gregem meam!
To mi jest Ahab, to mi Jerobeam,
Który lud chytrze od prawej nauki
Do bałwochwalstwa wiedzie przez szatańskie
[sztuki!

Trębacz i Rekrut.

Ej-że! przestań gawronie, bo cię zdziobią kruki!

Kapucyn (*szydersko*).

Wielki bohater, wielki zawadyja,
Co zamki, jakby gruszki, kijem z drzewa zbija!
Co się bezbożną gębą przechwalał bezecnie,
Że Stralsund, jak pigułkę, musi wziąć koniecznie,
Choćby łańcuchem w niebo był przykuty!

Trębacz.

Ej-że! milcz, bosy capie, bo ci skroję buty!

Kapucyn (*coraz gorliwiej*).

Ten czarnoksiężnik, który z biesem w spisku,
Ten król Saul, Jehu, Holofern w ucisku—
Piotr, co się mistrza zaprzał w trzy koleje
I znieść nie może, kiedy kur zapieje?

Trębacz.

Mnichu! potwarczą gębę winem ci zaleję!

Kapucyn.

Ten lis czerwony, ten szwagier Heroda!

Trębacz (*i obaj strzelcy przyskoczywszy*).

Ruszaj, ruszaj! powiadam, pokąd cała broda!

Kroat (*broni kapucyna*).

Nie bój się, tatuleńku, nie daj sobie dmuchać,
Gadaj śmieszne przysłowia, ja to lubię słuchać!

Kapucyn (*ośmielony wrzeszczy*).

Ten pysznowzdęty Nabuhodonozor,
Ten sprośnik, kacerz, ten przechwalny ozór,
Co się z pychy zwać każe wielkim Wallenstei-
[nem?
Że nas zwali kamieniem, to nam nie jest tajnem.
Dopóki będzie cesarz miał tego Frydlanda,
Póty pokoju w kraju nie da zbójcza banda!

Szyller.

* Pewien proboszcz na Mazurach takie w Wielki Piątek wygłosił swoim parafianom kazanie:

„Wiadomo wam, słuchacze, że Chrystus Pan był pojony żółcią i octem. Ja też do was z goryczą serca mówić będę.

„Wszystkiego w tym kościele brakuje, trzeba was, widzę, tak upominać, jak niegdyś żydów psalmista Pański upominał: „Masz, pogański synu, ślepie, a nie widzisz, czego księdzu proboszczowi trzeba; masz ręce, a nie przyniesiesz ośle." — Oto przy grobie nawet samego Chrystusa niema lampy, któraby się ludziom i Bogu podobała i ostrzegała was, aby który trąbą i miechem o róg ławki nie uderzył.

„Wszak widzisz, gapiu i pniu, że Chrystus leży nagi, a czy przyniosłeś kawałek płótna, hę? Ubiegasz się, trąbo, za marnościami tego świata; wierzysz w kałdun, jak Mosiek w Mojżesza; starasz się groszem napełnić kabzę, myślisz tylko o swojem grzesznem cielsku, a o duszy ani dudu, hę?.. Łazicie, cymbały, do kościoła Bożego, jak świnie do chlewa, a nie widzicie, co się w nim dzieje, hę?... Zapomniałeś, gapiu i pniu, że powiedział Chrystus: „Cokolwiek dacie proboszczowi, to jakbyście dali mnie samemu". Dziwią się postronne parafije waszemu sknerstwu, że nic kościołowi, nic Chrystusowi, nic proboszczowi nie dajecie; a godziż się to, psiarstwo, hę?... Macie mnie za najgorszego?

„Nadchodzi święto, a ja wam świece robić muszę własnemi kapłańskiemi rękami, a daliście wosku, smolucby, hę?... Wszak wy sami wiecie, że ja ksiądz proboszcz, a nie mydlarz.. Do Ciebie, Panie, moją mowę zwracam, a jeżli ja źle mówię, to Ty, Panie, mów za mnie lepiej — nieprzebrana Dobroci! — Twoja moc, Panie, postanowiła mnie w tej wsi pasterzem, ale – cóż paść będę?... Kiedy te gałęźniki ani kozy, ani barana, ani owcy, ani świni, ani żadnej rzeczy, które Jego są — nie mają?... Może ich samych muszę paść; a gdyby mnie te żarłoczne wilki z kośćmi pożarły? Wszak widzisz, Panie, w jak lichej sutannie chodzę: żaden cham na lepszą nie da; ale ja was też nie proszę, gałgany, jechał was sęk... obejdę się bez waszeci łaski, jeszcze ja nago nie chodziłem i chodzić nie będę; tak ja sobie dobry w tej lichej sutannie, jak ten, co chodzi w atłasowej szubie i żółtych butach. Ja jestem szlachcic z dziada i pradziada; piętnaście herbów z siedmiu pokoleń — albo wy to znacie i rozumiecie, szubrawcy — hę?... Słuchaj-no, błaźnie i pniu, jak to Bóg się żali na ciebie: „Żal mi, żem gapia stworzył": bo też i wy nie obserwujecie przykazania Bożego: na co żyjesz, na co cię ziemia święta nosi? chyba, żebyś kradł drugich i mnie — hę?... Poodbieraliście, wisielce, pola kościołom, pokrzywdziliście mnie, sobaki, i z waszym panem w dziesięcinach — hę?... Przynosicie mi na pogrzeby śmierdzące sery i to, co wam z nosa spadnie — hę?... Będziecie wy też mieli lepsze przysmaki w gorącem piekle, potraktują was tam gorącą smołą, nażrecie się jej do sytości. A czyś to zrozumiał, ty pniu, cymbale, hę?... A nie wiesz to o tem, że kiedy księdza proboszcza krzywdzisz, obdzierasz, to jakbyś samego Boga obdzierał — hę?... Wszak słyszałeś, bezbożniku, co święta Ewangelija powiedziała: „Co jest boskiego — oddaj Bogu, co cesarskiego — oddaj cesarzowi, a co księdzu proboszczowi—i od tego zasie wara!... Ale wy, złodzieje, zamiast mi co dać, toście mi małgorzatki obtrzęśli, płoty połamali, trawę dla cieląt wydeptali; szarpiecie księdza proboszcza, jak psy kabaninę – hę?...

„O, Panie! o gdybyś był tak łaskaw, a przysłał choć jednego z tych łotrów, co z tobą na krzyżu wisieli, a kazał poprzekręcać nogi tym wisielcom, co łażąc do ogrodu, wydeptali mi zagon kartofli! Rozumiesz-że ty pniu, gawronie, hę?... Podparłeś się kijem pod brodę i wywaliłeś ślepie, jak wół; kiedyś tu przyszedł do kościoła Bożego, słuchaj-że słowa Bożego, boś kazania przyszedł słuchać, a nie do karczmy; zatkaj sobie mordę, a nie mrucz, bo żebym tu miał kamień, tobym wam zęby powybijał. Słuchaj-że dalej, cymbale! jak się to Bóg żali przez św. Augustyna: „Mogłem cię, błaźnie, stworzyć bez ciebie, ale cię zbawić nie mogę bez ciebie". A słyszysz-że, gawronie i pniu, hę?... Porachuj-

no się z sumieniem swojem, wieleś to razy skrzywdził bliźniego i mnie?... Ale Chrystus czeka poprawy i mówi do każdego z was: „Pójdźcież do mnie, którzy pragniecie — a ja was ochłodzę". O gdybyś, Panie, wyrwał się z tego krzyża i wstał i wziął bata i tych psów chamów jednego po drugim batem ochłodził!... O! jakżebyś, Panie, dobrze zrobił!... bo też wy, psiarstwo, Boga w sercu nie macie, kiedy mi nic nie dajecie, a ja nie tracę nadziei, bo mi pani baronowa wdowa darowała zagon rzepy i pozwoliła mi w swoim młynie pytlować, kiedy mi się zechce i spodoba.

„Otóż Pan Bóg nagradza, dopomaga mi i dopomagać będzie; ja wam daruję te krzywdy, ale dyjabeł swoim krewnym kresek na byczej skórze nie zmaże. Staraliście się, żeby mnie z tego probostwa wypędzić, ale z tego nic nie będzie. Oszukaliście jeden drugiego, bo ja tu jestem lat 15 i będę aż do śmierci, a was, cymbały, dyjabli pobiorą do piekła, jeżeli się nie poprawicie – co daj Boże, Amen..."

„Perły humoru polskiego."

* Na rozczulającem kazaniu wszyscy obecni płakali, a jeden tylko z pomiędzy słuchaczy stał nieporuszony.

Gdy go więc zapytano o przyczynę tej oziębłości, rzekł:

— Dla tego nie płaczę, że nie jestem z tej parafii. (*Milijon żartów*).

* Uważano ze zdziwieniem, że znany z nieużytości skąpiec słuchał kazania o *miłosierdziu* i *jałmużnie* z pełnemi łez oczyma.

— Jakże dzisiejsze kazanie? — spytał go ktoś na wyjściu z kościoła.

— Tak piękne, tak przekonywające, tak czułe, że gotówbym od dziś dnia sam prosić jałmużny.

John of Dycalp.

* Na odpustowem nabożeństwie w dzień świętego Szczepana pewien zakonnik miał wygłosić kazanie i przygotował je dosyć długie; zebrani księża wiedzieli o tem, a gdy nabożeństwo się przeciągnęło, prosili mnicha, aby naukę swą skrócił, o ile tylko można; stosownie do tej prośby, kaznodzieja, wszedłszy na ambonę, rzekł:

— Kochani bracia! Rok temu powiedziałem wam wszystke szczegóły z życia świętego Szczepana, którego dziś święto obchodziemy; ponieważ od tego czasu żaden nowy szczegół nie doszedł do naszej wiadomości, nie pozostaje mi nic do dodania, jak tylko wezwać dla nas wszystkich wstawiennictwa tego świętego, aby nam uprosił błogosławieństwo Boskie – Amen.

(*Encyklopediana*).

Kaznodzieje.

* Pewien kaznodzieja w Newcostte opisywał dzieciom podczas lekcyi katechizmu piekło, jako niezgłębioną otchłań, pełną wiecznego żaru i nigdy nie wygasającego, straszliwego płomienia... Dzieci tuliły się przerażone, tylko córeczka składnika węgli, okazując wielkie zajęcie, popychała drugich, chcąc stanąć jak najbliżej kaznodziei.

— Czego chcesz, moje dziecko? — zapytał ksiądz — czy chcesz dowiedzieć się większych szczegółów?

— Nie, proszę ojca duchownego – odparło dziewczę—ale chciałabym prosić, czyby ksiądz proboszcz nie mógł tego zrobić, żeby dyjabeł brał węgle z naszego składu?

* Pewien kaznodzieja miał gruby, stary, potłuszczony, lepiący się rękopism, z którego przez lat trzydzieści jedne i też same odczytywał kazania i nauki. Kiedy więc pewnego razu mówił o stworzeniu świata i pierwszego człowieka, tak rzecz kończył:

„Dotychczas Adam był sam jeden na ziemi, przeto rzekł Bóg: „Nie dobrze być człowiekowi samemu, uczyńmy mu pomoc, jemu podobną". Potem przypuścił Pan Bóg sen twardy na Adama i wyjął z niego żebro, z którego uczynił niewiastę: tedy radował się Adam i dał niewieści

nazwę Ewa (tu kaznodzieja przerzucił kartkę i ciągnął dalej) która była na trzysta łokci długa, pięćdziesiąt szeroka, trzydzieści wysoka, a zewnątrz i wewnątrz pakiem wylepiana...“

Tu mówca zastanowił się i spostrzegł, że zamiast jednej, dwie zlepione kartki przewrócił, ale nie tracąc fantazyi, dokończył:

„Że była na trzysta łokci długa, pięćdziesiąt szeroka i trzydzieści wysoka, toć nic dziwnego, boć była matką rodu ludzkiego, ale dla czego wewnątrz i zewnątrz pakiem wylepiana, tego ani ja, ani święci ojcowie kościoła nie wiedzą...“

* Pewien kaznodzieja, chcąc zbyć kazanie, na które przygotować się nie chciał, wylazł na ambonę i powiada:

— A wiecie wy, co ja mam powiedzieć?

Wszyscy odpowiedzieli, że nie wiedzą.

— Otóż, jeżeli wy nie wiecie, o czem mam mówić, to wam nic nie powiem.

Na drugą niedzielę wylazł na ambonę i pyta:

— A wiecie wy, co mam powiedzieć?

Wszyscy powiadają: wiemy.

— Otóż, jeżeli wiecie, to wam nic nie powiem.

Na trzecią niedzielę wyłazi znowu na ambonę i pyta:

— A wiecie wy, co mam powiedzieć?

Jedni powiadają, że wiemy, drudzy zaś, nie wiemy.

— Otóż ci, co wiedzą, niech powiedzą tym, co nie wiedzą.

* Poczciwemu Bernardynowi, który nigdy kazań nie miewał, kazali księża mieć popołudniową naukę na odpuście w dzień św. Rafała. Bernardyn się kręcił i nie wiedział, co z tym fantem zrobić. Dano mu więc kilka jakichś starych kazań, aby na ich wzór ulepił sobie nowe. Nie szło mu to jednak sporo, wziął więc pierwsze lepsze kazanie, jakie mu się nawinęło i poszedł z niem do kościoła. Kazanie miało za temat znalezienie św. Krzyża—pomyślał sobie zatem Bernardyn: „Zamiast św. Krzyż, powiem św. Rafał i będzie dobrze“. O ile było dobrze, niech świadczy ustęp następujący:

„Pojechała tedy cesarzowa Helena do Jeruzalem dla szukania św. Rafała. Chcąc jednak św. Rafała, trudność wielką widziała, bo miejsca, gdzie był grób, znać nie było. Ledwie się jeden, niejaki Judasz, znalazł, który wiedział z podania ojców swoich, gdzie był pogrzebiony św. Rafał. I znalazła się jaskinia ona, a w niej znalazło się trzech Rafałów. Wielką radością byli wszyscy zdjęci, lecz im jeszcze niedoskonałe wesele myśl roztargniona czyniła, bo pomiędzy trzema Rafałami nie mogli rozeznać, który był prawdziwy św. Rafał. Przyniesiono więc wszystkich trzech Rafałów do domu sparaliżowanej niewiasty. I przyłożyli do niej pierwszego Rafała — lecz nic jej się nie odmieniło. Na dotknięcie wtórego już oczy otwierała. I przyłożyli trzeciego Rafała, a niewiasta wstała. I tak poznano, który był prawdziwy św. Rafał“.

„Perły humoru polskiego.“

* Pewien kaznodzieja, wyszedłszy na ambonę w dzień Zaduszny, począł z całego gardła krzyczeć: „pali się! pali się!“ Wszyscy w nogi, a tak gdy z kościoła uciekają, „Stójcie!—znowu zawołał — kiedy dom się pali, jak biegniecie ratować, a jak dusze palą się w czyśću, to wy nie myślicie o podaniu im pomocy?“

* Ten-że kaznodzieja miał zwyczaj silnie ręką uderzać o poręcz ambony. Wiedząc o tem, chłopcy kościelni spłatali mu figla, wsadzając kilka szpilek do poręczy. Kiedy więc, zwróciwszy się ku ołtarzowi, chciał wezwać pomocy świętych, taki ustęp pobożni słuchacze niespodzianie usłyszeli:

„Do was się zwracam, święty Józefie z Kopertynu i święty Franciszku i wołam: (tu ręką w poręcz uderzył) bodaj was wszystkich dyjabli wzięli! a toście, łajdaki, mnie na kpa wystrychnęli.. “

* Inny kaznodzieja, mając o bardzo ważnej rzeczy rozprawiać, wziął strzelbę na plecy i i-

dzie na ambonę. Ludzie patrzą i powiadają, że kaznodzieja zwaryjował. Ale on, stanąwszy na ambonie, zaczyna strzelbę nabijać, podsypał na panewkę prochu i wymierzywszy między ludzi, wypalił, lecz tylko na panewce proch się zajął, a strzelba nie wystrzeliła. On drugi raz podsypał cokolwiek prochu i znowu wymierzył między ludzi, którzy widząc, że to nie żarty, tłumno cisnęli się do drzwi. Wtedy kaznodzieja zawołał:

— Stójcie! widzicie, jak się śmierci lękacie, a grzeszyć nie boicie się?

Nuż tedy kazanie prawić o zbrodniach ludzkich, które na słuchaczów wielkie sprawiło wrażenie.

* Pewien kaznodzieja, wylazłszy na ambonę, począł wołać:

— Upiłem się! upiłem się! ale nie śmierdzącą gorzałką, lub szkaradnem piwskiem, ale upiłem się słowem Bożem, którem i was poczęstować myślę.

* Inny kaznodzieja, pokłóciwszy się z aptekarzem, postanowił się zemścić na nim na kazaniu. Wystawiając więc złe skutki pijaństwa, tak zakończył:

— Prowadzicie sami siebie do upodlenia i nędzy, obrażacie swego Stwórcę i Pana, narażacie się na pośmiewisko dzieci waszych. I wy też pojąć nie możecie! A toć to takie proste, takie jasne: toć to najpodlejsze stworzenie boskie, szewc, aptekarz nawet zrozumieć jest w stanie.

* *Na złego kaznodzieję.*

Bajesz trzy po trzy, mówiąc, że to słowa Boże...
Żeby Pan Bóg tak gadał — czyliż to być może?

Jan Kochanowski. (p. t. I s. 49).

* *O kaznodziei.*

Pytano kaznodzieja: „Czemu to, prałacie,
Nie tak samo żywiecie, jako nauczacie?“
(A miał doma kucharkę) i rzecze: „Mój panie,
Kazaniu się nie dziwuj, bo mam pięćset na nie,
A nie wziąłbym tysiąca, mogę to rzec śmiele,
Bych tak miał czynić, jako nauczam w kościele“.

Kochowski. (p. t. I s. 14).

Kąpiele.

* Kąpiele uważane są, jako najlepszy środek przeciw modnym chorobom; mnoży się też coraz więcej źródeł i miejsc kąpielowych najrozmaitszego gatunku; czy jednak te modne nerwowe choroby dają się wypędzić modnemi również kąpielami lub innymi środkami—na to pytanie odpowiedzieć chyba najlepiej potrafią—modne pacyjentki. Zdałoby się jednak do wszystkich traktatów o kąpielach i ich skuteczności dodać coś o kąpielach, które nic nie pomagają, zastosowawszy do nich starożytne przysłowie: „zawsze coś nowego z Afryki“,*) które już Plinijusz tłómaczył w ten sposób, że w Afryce u wody zgromadzają się najrozmaitsze zwierzęta, wskutek czego zjawiają się nieraz okazy rozmaitych nieprawidłowych dziwotworów. Wprawdzie nie wszystkie nowo wynalezione źródła mają jednakowy przywilej przyciągania gości; dowodem tego pewien zakład, o którym jakiś dowcipniś napisał:

„Te wody nie cieszą się powodzeniem rzadkiem,
Skąpał się tu ktoś wprawdzie, ale wpadł *przy-*
[*padkiem.*“

Morze i rzeki były naturalnie pierwszemi znanemi kąpielami i używali ich już zapewne Adam i Ewa za przykładem zwierząt, widząc, jak im one dobrze robią. Od najdawniejszych też czasów rozpowszechniło się używanie kąpieli, a dla lepszej wygody urządzano je po domach. Pierwszym obowiązkiem gościnności było zaprowadzić przybyłego gościa do kąpieli, co w owych czasach, gdy największe podróże odbywano konno, a nawet pieszo, bardzo było pożądanem. *Circe* starała się rozweselić *Ulissesa* kąpielami: *Andromacha* przyrządzała sama kąpiel dla swojego *Hektora*, a *Herkules*, bożek siły, uważany

*) „Semper aliquid novi ex Africa.“

był także za bożka kąpieli, n. b gorących, tak długo potępianych przez dawniejszych lekarzy. Dawny myt o *Medei*, jakoby odmładzała ludzi, warząc ich w przyrządzonej przez siebie wodzie, oznaczać miał pewnie gorące kąpiele i ich skuteczność. Córka Faraona lubiła, jak się okazuje z historyi, kąpiele zimne i to jej posłużyło do znalezienia Mojżesza, który ją może bardzo blizko obchodził; nie można też wątpić, żeby obecnie używane wody nie były pod tym względem równie skuteczne, jak woda Nilu i niezawodnie niejedne kąpiele w naszych czasach wpłynęły na podobnie cudowne znalezienie niejednego Mojżeszka. Grecy, Rzymianie i wszystkie prawie średniowieczne narody więcej sobie chyba pozwalali hulać, aniżeli my dzisiaj; wschodnie ludy, pomimo braku ruchu i lichego odżywiania, na pewnym punkcie także więcej od nas grzeszą, a pomimo to czy słyszał kto kiedy u nich o przykrym piątym temperamencie, o chorobach nerwów, reumatyzmie i t. p. dolegliwościach, jakie nam dokuczają? Wstydliwe najady i nimfy były kapłankami świętych żródeł, jako godło czystości i przestroga, żeśmy powinni zachowywać tę cnotę nietylko na zewnątrz, ale i na wewnątrz; bo też czystość ciała ma pewien związek z czystością umysłu i serca: dla tego barbarzyńskie i dzikie ludy są mniej czyste od innych. Uczeni powinniby więcej niż kto inny zachowywać czystość dla przykładu i powagi własnej, nie naśladując takiego np. *Mensel'a*, który w kwestyi kąpieli mówił: „Nie używałem, jak żyję, tego garbowania skóry, a przecież żyję przeszło 70 lat.“ Nie baczył na to, że kąpiel nie tylko nie skróciłaby mu życia, ale mogłaby go przedłużyć jeszcze o jakie lat 20. Nie wiadomo, czy *Kant* używał kąpieli, ale ściany jego mieszkania były pokryte taką grubą, szarą warstwą kurzu i kopcia, że można było wyraźnie pisać na nich palcem i takie naturalne tapety podobały mu się lepiej, aniżeli naklejane. Podobne gusta zdarzają się nieraz, szczególniej pomiędzy kawalerami marcowymi; być może, że chcą być przez to podobni do niektórych filozofów. Kąpiele, używane pierwotnie dla utrzymania czystości i zdrowia, z czasem, u Rzymian szczególniej, stały się źródłem rozleniwienia, zniewieściałości i zepsucia obyczajów, aż wreszcie chrystyjanizm wystąpił przeciw tym publicznym kąpielom, jako siedliskom demoralizacyi; kapłani nazywali je „ogniem, rozniecającym wszelkie złe namiętności“; powinniśmy tedy być zadowoleni, że ten ogień zapala się u nas tylko podczas kanikuły. Arabowie wprowadzili znów do Europy zwyczaj częstych, wykwintnych kąpieli, a także i powracający z Azyi rycerze krzyżowi wraz z innymi wschodniemi zwyczajami. Karol Wielki lubił kąpiele, zalecał je wszystkim i kąpał się często w Akwisgranie, tak sam, jak i w towarzystwie całego dworu. W średnich wiekach posługacze kąpielowi chodzili w koło z dzwonkami co Sobota, zachęcając lud do kąpieli, a czeladnicy i chłopcy od warsztatów mieli prawem nakazane kąpać się raz na tydzień. Po klasztorach urządzano dla biednych tak zwane: „kąpiele dla leczenia dusz“ („pro remedio animae“), podczas których zakonnicy moralizowali i nauczali kąpiących się grzeszników, zkąd zapewne powstał niemiecki wyraz „*Salbadern*“, znaczący *nudną paplaninę*. Krzyżowcy używali najdroższych kąpieli w świętych wodach Jordanu, które tem bardziej były im potrzebne, że wielu dotkniętych zostało tamtejszą zarazą trądu; od nich też rozpowszechniło się więcej w Europie używanie kąpieli, aż dopóki nie zarzucono ich znów z obawy innej afrykańskiej zarazy, t. j. dżumy i gorszej może od obydwóch powyższych zarazy, jaką rozpustni francuzi za Karola VIII sprowadzili do Neapolu. Trwoga przed temi chorobami i innemi podobnemi, rozszerzającemi się straszliwie wskutek zdziczenia i rozwiązłości obyczajów, a braku policyjnego nadzoru, sprowadziła zupełny upadek wszelkich kąpieli, które też mniej już były potrzebne, gdy zaczęto nosić pończochy i trzewiki, a szczególniej lnianą bieliznę. Przeszła jednak ta groza i w końcu średniowiecznej epoki zaczęto, w wyższych sferach szczególniej, uważać uczęszczanie do ką-

mieli za modny i konieczny wydatek, a doktorzy wysyłanie do różnych źródeł — za łatwy sposób pozbycia się chorych z imaginacyi; moda ta nie ustała już i tylko coraz większe przybierała rozmiary, aż do naszych czasów. *Poggio* opisuje już, jak się przepędzało czas w Badenie w r. 1450, a ten opis jego wart jeszcze dziś powtórzenia w gazetach i z pewnością zainteresował czytelników. Jak dawniej przestrzegano ściśle postu czterdziestodniowego, tak obecnie czterdziestodniowe kąpiele przestrzegają się, chociażby je przyszło opłacić postem przez resztę roku. Każde miejsce kąpielowe ma swego doktora, przechwalającego własności lecznicze tych wód; coraz więcej ich powstaje, a każde nowo otwarte są cudowne na wszystko; wymieniają nam wprawdzie pacyjentów uleczonych, a nigdy tych, którzy wrócili bez innego skutku, jak wypróżnienie kieszeni, albo nawet z pogorszonym stanem zdrowia. Ale czasy nasze dążą do zbadania ludzkości, co jest nader chwalebną i pożyteczną dążnością, a nic tak nie sprzyja temu zadaniu, jak wielkie zakłady kąpielowe, w których się gromadzą tłumy najróżnorodniejszych osobistości; gdzie przebywa więcej osób chorych moralnie, aniżeli fizycznie cierpiących wiele oryginałów różnego rodzaju, mających szczególniejszą predylekcyę do tych miejscowości, na podobieństwo pewnych roślin, które tylko w wodzie znaleźć można. Kto tylko może wznieść swój umysł do prawdziwie humorystycznego nastroju, nie robiącego sobie nic ze świata, tego żaden oryginał i żadna kopija nie może irytować i jeżeli tylko nie odwyknął od przestawania z ludźmi, to pobyt w jednem z większych miast kąpielowych podczas wielkich upałów znajdzie przyjemniejszym jak gdziekolwiek i może więcej się tam nauczyć, jak na najsławniejszych naukowych wykładach. Mamy kąpiele lądowe (t. j. rzeczne i jeziorowe) i kąpiele morskie. Kąpiemy się we wszystkich żywiołach: są bowiem kąpiele wodne, ziemne czyli mułowe, kąpiele powietrzne, wreszcie ogniowe, czyli parowe; robią też kąpiele elektryczne, magnetyczne, merkuryjalne, krwawe, solne, ziołowe, siarczane i Bóg wie zresztą jakie, ale z tych wszystkich najlepsze i najmilsze są chyba kąpiele morskie; po pierwszej takiej kąpieli czuje się człowiek orzeźwiony nad wyraz, wszelka ociężałość znika, a po kilku jest jakby odrodzonym, pełnym energii i siły, gotów do wykonania dzieł Herkulesowych; ale „nie każdemu dano jest jechać do Koryntu“, jak mówili starożytni („Non cuilibet licet adire Corinthum“), gdzie tak zgrabnie „oczkowano.“

Kelly.

* Muzyk angielski Kelly narzekał, że Anglicy nie dosyć cenią jego talent, postanowił więc zarzucić muzykę, a otworzyć handel winny; poszedł poradzić się w tym względzie Szeridana. „Nic nie mam przeciwko temu — odrzekł poeta — radzę ci tylko, żebyś na szyldzie napisał: „Kelly handlarz muzyki i kompozytor wina.“

Kemble.

* Kiedy Kemble przewodniczył teatrowi w Cowent Garden, odwiedził go pewien pan, chcący ułożyć się o warunki przyjęcia córki swej na scenę. O tej samej godzinie oczekiwał także Kemble odwiedzin handlarza koni, który miał mu przynieść wiadomość co do kupna wierzchowej klaczy, a myśląc, że to właśnie ów faktor, od razu zaczepił go temi słowy:

— W jakim jest ona wieku?

— Skończyła szesnaście lat ubiegłego Maja—odrzekł zapytany.

— O!.. trochę za stara, nie możnaby jej używać do ciężkiej roboty... ale przynajmniej czy spokojna?

— Ah i jak, nie znam łagodniejszego stworzenia pod słońcem — odpowiedział nieznajomy, trochę zadziwiony oryginalnym sposobem wyrażania się Kembla o jego córce.

— Czy od dawna jest w Londynie?

— Od tygodnia; przyjechała ze mną z Grimstead...

— Czy dostatecznie jest przygotowana?

– Pan Thelwell udzielił jej kilkanaście lekcyi...

— Czy przyzwyczajona jest stać między filarami?

— Nie rozumiem doprawdy pana...

— A wreszcie nie warto o tem mówić; jeśli posiada ona te zalety, o których mi pan mówisz, to już sobie z nią poradzę...

— Zostawiam panu to do uznania; ona czeka na dole, może pan dyrektor chce ją widzieć, zaraz ją tu przyprowadzę...

— Tu przyprowadzić! — zawołał Kemble z drwiącym uśmiechem —zostaw to moim służącym, zaprowadzą ją do stajni, tam poczeka, zanim wezmę ją na przegląd...

— Do stajni? — zawołał nieznajomy ze wzrastającem zdziwieniem.

— Naturalnie! a jeżeli, jak pan powiadasz, jest łagodna i dobrze ułożona, a przytem zdrowa, zdecydowany jestem nabyć ją. Mój przyjaciel Wacton pisze teraz melodramat, w którym ja występuję, a więc jeżeli ugoda przyjdzie do skutku, wjadę na jej grzbiecie na scenę...

— Co! co! na grzbiecie mej córki? cóż to, pan mi chcesz ubliżyć?..

— Stokrotnie proszę pana o przebaczenie, ale czyż pan nie przychodzisz z ujeżdżalni Kumberlanda?

— Gdzież tam! przyjeżdżam z Grimstead!

— Z koniem?..

— Nie! z córką.

— Litościwe nieba! — zawołał zmieszany Kemble—więc ciągle byłem w błędzie! No, to przynajmniej dobrze—dodał, zażywając szczyptę tabaki i ukrywając pod nią mimowolny uśmiech—że byliśmy tylko sami i że ten wypadek pozostanie w tajemnicy między nami.

* Kemble, ulubieniec publiczności londyńskiej, syt chwały, usunął się z wiekiem ze sceny, a na jego miejscu wystąpił Kean. Na przedstawieniu Ryszarda III, kiedy Kean grał króla. Kemble w rzędzie widzów słuchał uważnie, a gdy się zapytano, jak sądzi Keana, odrzekł, oddając swemi słowami najwyższe uznanie talentowi kolegi: „Nie widziałem Keana, widziałem tylko króla Ryszarda III.“

* Razu jednego sławny aktor angielski Kemble był na obiedzie u również sławnego tragika francuzkiego Talmy. Towarzystwo składało się z samych artystów, literatów i znakomitości; mówiono o Szekspirze, a później przeszła rozmowa na Kornela, Racina, Voltaira i Krebillona. Michot, dotychczas milczący, zwrócił się do Kembla, mówiąc:

— Ależ panie, czy zapomnieliście o Molierze?

— Owszem—odparł Kemble—ale Moliere nie jest francuzem.

— Jakto! Moliere nie jest francuzem? — zapytał zdumiony Michot, kręcąc się niespokojnie na krześle.

— Nie, panie—odparł sucho Kemble.—Bóg rzekł jednego dnia: „Muszę stworzyć takiego człowieka, któryby, mówiąc prawdę w oczy, mimo to pobudzał ludzi do śmiechu — któryby na scenie przedstawił żywą i działającą społeczność—i stworzył Moliera. Wypadek zrządził, iż Moliere, spadając na ziemię, natrafił w obiegu jej na Francyę, a mógłby tak samo trafić do Anglji, Włoch lub Niemiec. Moliere więc nie jest Francuzem, należy on do całej Europy.

Kiedy.

* Gdy księdza poznasz z dzieł, nie z słów wywodu;
Piwowar wodą psuć nie będzie słodu;
Szlachta pożyczać będzie w dobrej wierze;
Gdy lica płonąć będą, nie kacerze;
Gdy sędzia żadnych brać nie będzie danin;
Bez długów będzie i pan i dworzanin;
Gdy złość porzuci swoje kręte ścieżki;
W ciżbę nie będą wchodzić rzezimieszki;
Lichwiarze w polu liczyć będą wory,
A nierządnice fundować klasztory—

Wtedy przyjdzie do gomonu
W wielkiem państwie Albijonu;
Wtedy czas przyjdzie, że modą dziwaczną
Na nogach u nas ludzie chodzić zaczną.
Szekspir.

Kiełbasa.

* Czytelnicy! czy wiecie, co to jest kiełbasa? Wiecie.

No, to posłuchajcie.

Nie mam bynajmniej zamiaru włazić w drogę Tygodnikowi Kucharskiemu i zapatrywać się na ten produkt-wędlinę ze stanowiska nauk gastronomicznych, jak również psuć ustalonej reputacyi naszym znanym p. p. masarzom, ale chcę wykazać, jak niesłusznem jest uwielbienie połeczeństwa dla tego niewdzięcznego smakołyku.

Poglądy moje będą zbyt może pesymistyczne, ale chciałbym w całej ludzkości wzbudzić taki wstręt dla tej niegodziwej, jakim ja pałam.

Aksjomatem jest, że kiełbasa jest wyrazem nieprzyzwoitym, jak np. drynda, majtki, kokotka, lanie, bryndza, jeometra, sznaps, piernikarz i t. p. wyrazy, których nie wolno używać w każdem damskiem towarzystwie. Słusznie też mój przyjaciel Duduś z Częstochowy, wymawiając ten okropny wyraz, kładzie przed nim lub po nim łagodzące „z przeproszeniem."

Co do pochodzenia wyrazu „*kiełbasa*" uczeni naturaliści nie są pewni prawdy.

Jedni twierdzą, że kiełbasa pochodzi od owych basów-śpiewaków, którzy często spożywając ten gatunek bakalji dla nabrania grubego głosu, nadali mu takie brzydkie przezwisko.

Ta hypoteza wydaje mi się błędną, ponieważ znałem basów ogródkowych, którzy bardzo rzadko jadali kiełbasę, ale za to bardzo często nic nie jedli, a pomimo to nie mieli grubych głosów.

Że kiełbasa jest obrzydliwym owocem, dowodzą tego żydzi, którzy, jadając tak wystawne potrawy jak: kugel, suref, fisz, jojn i t. d., pogardzają kiełbasą, a nawet wyrazy „kielbas, kielbaśnik" są tak ubliżającemi, jak u nas komornik, fagas, idjota i t. p.

Fizycznem prawie niepodobieństwem jest, ażeby kiełbasą można zranić, lub coś zwichnąć.

A jednakże tak jest!..

Kiełbasą zraniłem sobie serce i zwichnąłem karjerę!..

Skończyłem 19-tą zimę życia, a drugą już klasę gimnazyjalną, która była zarazem i ostatnią moją klasą...

Z nauk, które ukończyłem, dowiedziałem się, że Brutus był czarnym charakterem, a Nabuchodonozor wielkim pancernym rycerzem, który, gdyby żył w naszym wieku, byłby zapewne jakim redaktorem; dowiedziałem się, że Homer był trochę większym poetą, niż p. Wysocki z Alkazaru i że walka byków nie była zupełnie podobną do walki p. Kamiennego z p. Lewentalem.

Dałem za wygranę wykładom pedagogicznym i zacząłem się sam kształcić.

Z początku sam nie wiedziałem, do czego się wziąść. Trzy bowiem rzeczy lubiłem bardzo: kobiety, wiersze i flaki garnuszkowe. Postanowiłem sobie zakochać się i... zakochałem się...

Na imię jej było Idalja...

Jak się z nią poznałem, nie pamiętam, byłem wówczas, jak to mówią, ululany, chociaż było to na wełnianym wieczorku u państwa Grzymgrzykiewiczów.

Myśl ożenienia wbiła się w głowę moją i nie dała mi ni nocą ni dniem spokoju, szczególniej w nocy miewałem trapiące sny.

— Mój ojciec był także żonaty i ja powinienem starać się, aby ród nie wygasł—powtarzałem sobie często i to przypomnienie obowiązków ostatniego z rodu dodawało mi odwagi.

Miałem wszystkie kwalifikacyje na męża...

Byłem tak ładny, że kobiety, a szczególniej wieczorem, zaczepiały mię na ulicy.

Tylko... byłem goły, jak święty w Turcyi. Tę jedyną kwalifikacyję miałem wówczas na li-

terata. Mój Boże, czy ja myślałem wtedy, że dziś będę słupem społeczeństwa?!

Mieszkałem z moim dobrym kolegą, również jak ja świeżo wypędzonym z drugiej klasy i również jak ja kandydatem na świętego u muzułmanów. Sprzętów domowych nie mieliśmy żadnych, tłomacząc sobie, że i tak nie długo będzie koniec świata.

Ja byłem nieźle jak na kawalera zagospodarowany, miałem bowiem dwie pary kamaszy, z których jedna przeznaczoną była do wizyt w domu, brakowało jej bowiem niektórych niezbędnych części, a mianowicie podeszew, choć za to odznaczała się całością wierzchów, druga zaś para, choć obcasy wyszły z zakreślonych ręką artysty-szewca granic na bok, służyła do reprezentacyi salonowych i publicznych, jako posiadająca całe wierzchy i podeszwy.

Kamasze są opinją człowieka. Powiedz mi, jakie masz kamasze, a powiem ci, kto jesteś. Wówczas nie myślałem o tem, że kamasze moje odegrają taką ważną rolę w tragedyi życia mojego, którą historyja na przestrogę potomności przekaże.

Oprócz kolegi, fiksatuaru, kamaszy i szczoteczki do zębów—miałem jeszcze ciotkę. Wtrącam tu ciotkę moją, albowiem była to osoba pełna skromności, wstydliwości i innych cnót obywatelskich. Zasłużyła się społeczeństwu bez, przykładną, wzorową hodowlą prosiaków, kurgęsi i innych zwierząt, które potem sama z godnym podziwu i uwielbienia apetytem zjadała. Zmarła biedactwo na niestrawność: objadła się jaj na twardo, napiła się wody i dostała *miserere.* Zawiodła się na jajach kur, które własną karmiła prawicą! O, tak!! na tym zepsutym świecie nie ma wdzięczności!!! Kapki z rozrzewnienia z ócz moich ciekną, gdy wspomnę na tę zacną matronę!

Ciotka moja mieszkała na wsi i była gospodynią... u kogo, wyznać nie mogę, gdyż jest to tajemnica familijna, którą do grobu z sobą zaniosę.

Zacna ta białogłowa zasilała nieraz prowiantem moją śpiżarnię, która znajdowała się w tymże pokoju, co salon i sypialnia... Ale nie uprzedzajmy tragicznych wypadków...

Idalja była piękną. Nie była to pierwszych lat dziewica, ale dojrzała i rozumna niewiasta.

Idalja była panną. Byli tacy, co wątpliwie ten wyraz wymawiali, ale to ci tylko, którzy mi zazdrościli szczęścia. Oh, jak ja ją kochałem!

Dla niej byłbym poświęcił wszystko: fiksatuar, szczoteczkę do zębów, kamasze nawet (te gorsze) i wszystkie inne rzeczy, których wówczas nie posiadałem! Ale los bywa nieubłagany!

Idalja była tak zwaną guwernantką, na wsi pod Warszawą, u bogatych dziedziców, którzy mnie uważali jako narzeczonego i przyjmowali w domu swoim, nie powiem z radością, ale znośnie. Idalja miała posag, uciułany oszczędnością i pracą podczas kilkudziesięcioletniego podróżowania wśród ludzi.

Widywałem się z Idalją często. Często jeździłem piechotą na wieś, lub ona przyjeżdżała do Warszawy.

Pewnego razu sprzedałem kołdrę i dałem na zapowiedzie.

Za miesiąc Idalja miała być moją. W tym to okresie czasu wypadły właśnie jej imieniny. Oh! był to dzień okropny w mojem życiu, dzień, w którym zwątpiłem we wszystko! Byłem bez kopiejki. Jako narzeczonemu, wypadało mi kupić jakiś podarunek dla swej lubej! Rano wyszedłem na miasto i krążyłem wśród tłumów z tą myślą, że może nieba zeszlą mi człeka, który wesprze pożyczką kilku rubli. Gdzie zaś! powróciłem do domu i zastałem mego przyjaciela, rozciągniętego na łóżku i zajętego czytaniem jakiegoś wściekłego romansu. Byłem strasznie blady.

— Co ci to? czyś słaby?—pytał mnie z czułością Jacuś, bo kochaliśmy się, jak żydzi.

— Nic!..—odpowiedziałem rozpaczliwie.

— Była tu właśnie twoja ciotka...

— Ciotka!—krzyknąłem radośnie, *bo myśl naciągnięcia jej na monetę* urodziła się w mej głowie.

— Tak, ciotka... mówiła, że teraz nie może ci zostawić ani grosza, bo sama jest goła, ale zostawiła ci tu wyborną kiełbasę. To mówiąc, wskazał na stojące na stole łubiane pudło.

— W pudełku, oprócz kiełbasy, jest jeszcze list do ciebie—ciągnął dalej Jacuś.

Nie myślałem w owej chwili o jedzeniu i nie ciekawy byłem dowiedzieć się, co pisze ciotka.

— Gdzie jest ciotka? gdzie poszła?—zapytałem gwałtownie Jacusia.

— Nie poszła, ale pojechała na wieś.

— Ah!.. — jęknąłem. Ostatni promyk nadziei zgasł. Padłem na krzesło pogrążony w dumaniach. Wówczas to przyszło mi na myśl pytanie: dlaczego ciotka przychodzi do mnie zawsze w chwili, gdy mnie niema w domu, tylko Jacuś? Nieboszczko! przebacz mi podejrzenia moje!.. Przez otwarte okno moich apartamentów doleciał mnie głos „handel, handel!“ I... nowa myśl powstała w mej głowie, myśl, której się przyczepiłem, jak smoła do buta.

— Jacusiu — rzekłem z zakłopotaniem — wiesz, że potrzebuję na gwałt pieniędzy, ty jeden możesz mi dopomódz do zdobycia ich.

— A to jakim sposobem?

— Pożyczając mi na dzisiejszy dzień swoich butów. Ja sprzedam moje kamasze — rzekłem z rezygnacyją.—Wieczorem dostanę pieniędzy od Idalji i kupiemy sobie obaj nowe buty.

— Dobrze, weź, ale pamiętaj...

— Słowo ci daję...—przerwałem mu.—Handlarz tutaj! — zawołałem, wychylając się przez okno.

Po chwili we drzwiach ukazał się żydek.

— Ny, co jest?

Wydobyłem z pod łóżka kamasze domowe.

— Kup!—wyrzekłem uroczystym tonem.

— Co to jest?

— Kamasze.

— Ny, tu dziura i tu dziura, a kamasze gdzie? Wiele za to kawałek obcas?

— Wiele dasz?

— Ny... cztery grosze...

W jednej chwili stałem się antisemitą.

— Człowieku!—zawołałem—czy ty się nie boisz... pana Jeleńskiego.

— Więcej nie dam.. może pan ma co inszego?

Nastała chwila grobowego milczenia.

— Wiele dasz za te kamaszki, które mam na nogach?—zapytałem i lodowaty pot wystąpił mi na czoło.

Handlarz nachylił się, obejrzał kamasze i wyrzekł:

— Pół rubelka... żebym taki zdrów buł, co więcej nie warty...

— Nie, ten człowiek... nie czytuje Roli — pomyślałem sobie i zadrżałem na całem ciele.

— A za poduszkę?—zapytałem cicho i dwie łzy żalu pociekły po rozpalonych moich policzkach.

Żyd rozpról w rogu poszewkę, obejrzał pierze i ofiarował mi dwa ruble.

Po długich nareszcie targach udało mi się sprzedać za cztery ruble całe mojo mienie, dokładając żydowi jeszcze i szczoteczkę do zębów.

W godzinę po wyjściu żyda już powracałem do domu z kupionym w jednej z pierwszorzędnych cukierni tortem, zapakowanym w łubiane pudełko. Za niewielką chwilę miałem się udać do mojej lubej, na wieś, wynajętą i zadatkowaną już dryndą. Spieszyłem się przeto z ubraniem. Przeglądałem się w lustrze, poprawiałem fryzurę i krawatkę, aż wybiła godzina odjazdu, a z okna usłyszałem turkot zajeżdżającego na podwórze wehikułu.

Porwałem więc pudełko i posyłając całusa Jacusiowi, zbiegłem ze schodów, a po trzech kwadransach już całowałem rączkę mojej Idalji, życząc jej wszystkiego dobrego.

— Cóż tak późno, mój drogi?—mówiła moja narzeczona, robiąc tęskne oczy i wdzięcząc się do mnie.

— Wybacz... interes y..—tłómaczyłem się.—Tymczasem proszę cię, Idaljo, nie odmawiaj i przyjmij to...—mówiłem z chlubą, podając mojej lubej pudełko z tortem.

Idalja może spodziewała się innego prezentu, bo ciekawość przemogła w niej. Chwyciwszy więc pudełko, zawstydzona uciekła do swego pokoju, a ja tymczasem zostałem na konferencyi z panem dziedzicem, który dnia tego był dla mnie nadzwyczaj uprzejmym...

Wtem... wpada zapłoniona Idalja, za nią pani dziedziczka, dalej kupa dzieciaków, a na końcu cała dworska służba. Z oczu Idalji miotały iskry. W jednem ręku trzymała list jakiś, w drugim krąg kiełbasy. Wyglądała cudownie, jakoby owa dziewica Orleańska, z orężem w ręku. Spojrzała na mnie straszliwie, list wypadł jej z ręki, rzuciła mi w twarz kiełbasę i sama... padła zemdlona!!! Nie wiem, co się wówczas ze mną działo... Kiełbasa owiła mi się koło szyi, jak wąż, ssący żydówkę...

Dziedzic podniósł list z ziemi i głosem, który mi wówczas przypomniał ryk lwa, (którego nigdy nie słyszałem) przeczytał te wyrazy:

„Koniu Boży!

Co ty myślisz, że ja za każdy raz, co przy Jadę To ci naprzy Wiozę wiktu, czyto Ja oślica Czy Czo. Ostatni to ras jósz ci pakuje w twoje obrzydliwe garło, bo Muj ciongle na mnie dże się zaTo, co ja cię opycham gałganie jeden a ja tesz nie jezdem głupia jak skarpeć twoja ciotka Bibianna."

O ciotko moja! czemużeś nie została literatką, z takim stylem mogłabyś jaki dziennik prowadzić! Porwałem się z miejsca i począłem uciekać, a krokom moim towarzyszyły głośne śmiechy całego dworu.

Wieczór już był, gdy przybyłem do domu dziki... słaby...: na wpół nieżywy.

Zastałem Jacusia, kończącego już studyja gastronomiczne nad moim tortem.

Oh, długo jeszcze potem byliśmy z Jacusiem... o jednej parze kamaszy...

Iks. Nim. Sok.

Kierunek.

— W jakim kierunku łaskawa pani zamierza kształcić swojego jedynaka?

— Ja, panie dobrodzieju, chciałabym go wykształcić w kierunku dobrego ożenienia się.

Kije.

* Jakiś człowiek, który dostał dawno obiecywane kije, pocieszał się temi słowy:

— Bogu dzięki, przynajmniej pozbyłem się już raz niepotrzebnej obawy,

(*Remide contre l'ennui*).

* Bautru dostał raz kijami za swe epigramaty. Wkrótce potem, składając wizytę królowej, wszedł do niej z laską w ręku, czem zadziwiona, spytała się go, czy cierpi na podagrę?

— Nie, Najjaśniejsza Pani — odparł Bautru.

A siedzący z boku książe de Guéminée, zrobił głośno następującą złośliwą uwagę:

— Bautru, tak jak święty Wawrzyniec ruszt, nosi też godła swojego męczeństwa: to jest kij, którym go obito.

(*Tallemant des Réaux*).

Kiszka.

* Pan Kiszka, litwin, domagał się na sejmie głosu; marszałek zapytał: „A pan Kiszka co?" Ktoś z przytomnych zawołał: „Taki flak, jako i drugi, póki go nie nadzieją."

* *Nadął się, jak Kiszka w sobolach.*
Wlecze się, jak Kiszka do Warszawy.

Kiszka, domu zacnego, litewski szlachcic, za króla Zygmunta III polskiego przyszedł do honoru tego, że wojewodą Wileńskim został, kiedy zaś pierwszy raz na sejm do Krakowa przyjechał, po pańsku w sobolach chodził; że zaś Polacy, ile młódź swawolna, to imię Kiszka z aluzyją do kiszki po polsku śmieszne znaleźli, ztąd urosło przysłowie: „Nadyma się, jak Kiszka w sobolach." Jeden bardzo stary szlachcic powiadał mi, że chłopcy na sejmie temuż Kiszce taki wyrządzili paszkwil, czy swego wynalazku własnego, czy z namowy nieprzyjaciół jego. kiedy szedł do kościoła ten pan w sobolach, po

szli chłopcy wołać: „dziw! dziw! dziw! dziw!“ jako wróble śpiewają, a jeden z pomiędzy nich pytał: „A co za dziw, panowie wróble?“ a oni odpowiadali: „Kiszka w sobolach chodzi“ i rozsypali się po ulicach jak wróble. Ciężka sprawa z chłopcami, a nie wiem, czy rozpustniejszych znajdzie jak w Polsce:

Klamborowski.

* *Ożenił się jak Klam z Borowską.*

Niejaki Klamborowski, szlachcic z Lubelskiego, chcąc uczynić nazwisko swoje interesowniejszem, zaczął w podpisie rozdzielać: Klam osobno, a Borowski osobno. Szlachta na ukaranie próżności wymyśliła wyrzeczone przysłowie.

Podobnie, chociaż w innej myśli, rozdzieliła swe nazwisko Helena Przeździecka. Szczegół ten podał autor złośliwej książeczki, przypisywanej Sewerynowi Uruskiemu. „Helène Radziwil, née Przeździecka, étant déjà fiancée, terminait ses lettres en divisant son nom et signait par plai santerie comme il suit: „Jeszcze Przez dziecka“ ce qui ecrit ainsi, vent dire: „encore sans enfant.“ Ce jeu de mots est caracteristique pour une jeune fille.“ (Notices sur les familles illustres et titrés de la Pologne. Bruxelle 1862—page 166).

Klopstock.

* Klopstock zabrał w młodym wieku znajomość z poważanym powszechnie ministrem Bernsdorfem z Kopenhagi. Po pewnym czasie przyjechał go odwiedzić, ale minister był zajęty i Klopstock musiał się zatrzymać w przedpokoju, a że siedział tam oficer służbowy, wszedł więc z nim w długą rozmowę. Po niejakiej chwili oficer zapytał: „Więc to pan jest tym Klopstockiem, który napisał Messyasza?“ „Tak“, odrzekł poeta. „Ach mój Boże—odrzekł oficer—to dziwne! Pan mówi tak rozsądnie!“

Klasztor.

* Ninon de Lenclos tyle robiła hałasu i tak zawracała głowy najprzedniejszej francuzkiej młodzieży, że wyprowadzona z granic cierpliwości, chociaż nader wyrozumiała królowa-matka, posłała jej rozkaz schronienia się do klasztoru.

Że jednak klasztor wymienionym nie został, Ninon po przeczytaniu listu królowej, rzekła do posła z pełnym wdzięku ukłonem:

— Panie, ponieważ królowa jest tak dobrą, że mi zostawia wolny wybór, proszę jej zatem oświadczyć, iż postanowiłam usunąć się do klasztoru Franciszkanów w Paryżu.

Oniemiały z podziwu wobec podobnej efronteryi poseł, powrócił do królowej z tą ustną odpowiedzią, która ją tak ubawiła, że pozostawiła Ninon w spokoju.

(*Saint-Simon*, *Mémoires*).

Klaryssa.

* *Na Klaryssę.*

U Klaryssy złota mało,
Tyś bogaty, idź do wiana;
Tobie rogów nie stawało,
A jej złota—dobra zmiana.

Szymon Konopacki.

Klasztor.

* Klasztorny na krużganku dzwonek
Już zapowiedział pielgrzymów przybycie.
Widzę na ganku dzwoniącego mnicha, —
Znów karawana idzie w górę — cicha.
Oczy po takiem ciągłem wniebowzięciu
Patrzą w obłoki — a klasztor przed nami,
A mnichów trzysta sześćdziesięciu pięciu
W błękitnych szatach, z czarnemi brodami
Snuło się w słońca złotego odbłysku,
Jak rój komarów — lub mrówki w mrowisku.
Lub jak rój pszczelni — bo tak doskonale
W plastrze tynkowym porobił komory,
Tak poświdrował korytarze w skale,
Wiszącym domkom takie dał podpory,
Tyle zapasów nagromadził w doły,
Że Bóg się spyta — ludzie wy, czy pszczoły?

Czy jakie inne i mniejsze robaki,
Co w przylepionym na skale listeczku
Nagromadziliście wina, tabaki,
Cnót potroszeczku, grzechów potroszeczku,
Czekając jasnej zmartwychwstania chwały,
Gdy cicho listek odedrę ze skały?
I wy myślicie, że ja wam przepuszczę,
Patrząc na tynku odpadłego łatę,
Na korytarze wasze — co jak bluszcze
Idą na skałę kręte, węzłowate? —
Na źródło wasze cudowne, na składy?
O! moje małe bezpłciowe owady!
Wy, którzy świecę zapalacie jasną,
Gdy pielgrzym kładnie grosz swój do skarbony,
Nie obrazowi — lecz na miłość własną
Rzucając blaski, wy, kraczące wrony
W kraju bezpłodnym a pięknego nieba,
Gdzie się i modlić — lecz i orać trzeba!
A tażto beczka? (to wszystko Jehowa
Mówi do mnichów tam, gdzie sąd ich czeka,
A ja powtarzam tylko Boże słowa)
Ta beczka, votum chorego człowieka,
Którą dał biedny — dał nie mnie, Jehowie,
Lecz wam — za cudem odzyskane zdrowie!..
I wasze głupstwo, żeście się chwalili
Z takiego daru i wasza ciemnota —
Życie podobne do próżniackiej chwili —
I wasza grubość chłopska, nie prostota —
I wasze kłamstwo cudów—i tam dalej...
Weź Lucyferze! niech ich piekło spali!

Klątwa.

* *Klątwa na fortunę.*

Losów szafarko, okrutna bogini,
Co też zawziętość twoja ze mną czyni?
I kiedyż na mnie wypogodzisz czoło?
Kiedy ukażesz twarz swoją wesołą?
Od samych prawie niemowlęcych czasów
Nie jestem wolny od twoich tarasów,
Wieleż to razy, a z twojej przyczyny,
Małom nie poległ ręką Libityny.
Nieraz mnie wiodłaś między ognie, miecze,
I dotąd jeszcze gniew twój serce piecze.
I choć cię proszę, i choć ci się żalę,
Choć ci się skarżę, ty nic nie dbasz wcale.
Rzewnym mym płaczem kruszyłbym opoki;
A ty zaś chciwa jesteś mej posoki!
Nie będę odtąd tobie się już kłaniał,
Będę klął, łajał, od siebie odganiał.
Bodajeś szyję złamała, skręciła,
Żeś mnie od mojej miłej oddaliła!
Bodajby ciebie jasny piorun ubił,
Żeś mi nie dała być przy tej, com lubił!
Niech cię nakoniec wszyscy dyjabli wezmą,
Że bez kochanki mnie nudno i tęskno!
A pan Kupido, co me serce suszy,
Niechaj i jego paraliż naruszy!
Żyłbym szczęśliwie, nie znając niewoli,
Wyście mnie do tej złej wprawili doli,
Iż w smutku pędzę dni moje i lata,
Jęczę i wzdycham — byście zjedli kata!
W noc zaś bezsenną, gdy każdy śpi cicho,
Ja płaczę zawsze—żeb was wzięło licho!
Wypuść mnie, proszę, już z swojej opieki,
Niech mój los dźwigam od ciebie daleki,
Albo łaskawszą bądź mi w swojej dani,
Będziesz królowa, będziesz moja pani.
Bo ja ci mówię, że drwinek nie lubię,
Gdy mnie rozdrażnisz, to kiedy wyczubię,
A kiedy jeszcze rozgniewasz mnie wiele,
To ci przysięgam, że jak psu w łeb strzelę.

Rękopism z XVIII w.

Klemens.

* *Co sobie pan Klemens wyśpiewał po wilii u państwa Michalskich.*

Pan Klemens była to dusza nawskroś artystyczna. Śpiew stanowił jego żywioł i od śpiewu nic na świecie powstrzymać go nie mogło.

Nie bacząc, że głos miał niewielki, ale za to piskliwy, nie bacząc, że mała a chuda jego twarz, otoczona długą grzywą i brodą (którą usiłował strzydz à la Mierzwiński), stawała się niewypowiedzianie komiczną przy wykonywaniu przezeń jakiego „kawałka“—on śpiewał ciągle i śpiewał zawsze.

Natura artystyczna, każda bez wyjątku, bywa zarozumiałą, choć nie ma z czego, a cóż dopiero, kiedy ma z czego. Pan Klemens przed trzema laty zaproszony został przez swego przyjaciela chórzystę, z którym grywał w domino w kawiarni „Pod daszkiem," do wzięcia udziału w odśpiewaniu „Salve regina" na grobie jakiegoś szewca i tak się dzielnie spisał, że odtąd zawsze gdy jego przyjaciel urządzał „Veni Creator," brał go na chór ze sobą. Że zaś tenże przyjaciel mu nie płacił, duby smalone mu za to plótł o jego talencie do śpiewu, od czasu do czasu do pochwał dodając jakąś arję lub piosnkę, mniejsza o to, czy piosnka była na sopran, tenor, baryton, czy bas—dla Klemensa to było wszystko jedno.

— Dla artysty jak się patrzy, to fracha! — sam powiadał, gdy mu zwracano uwagę i na warunki śpiewu i na skalę głosu.

— Co tam warunki! —mawiał Klemens wtedy — ja zawsze posiadam warunki, bo zawsze chcę śpiewać, a co do skali, to ją mam tutaj.

To mówiąc, tryumfalnie wyjmował z kieszeni przy sercu kamerton, z najczystszej stali wyrobiony własnemi rękoma, bo pan Klemens z profesyi był ślusarzem.

Z tego, co się powiedziało wyżej, już każdy wnosić może, jakim pożądanym gościem bywał pan Klemens w wielu towarzystwach. Szczególniej zaś kobiety, a zwłaszcza niezamężne nie szczędziły starań i podejść, aby go do siebie zaciągnąć. Uczyły się od niego śpiewek, a nie jedna myślała nawet i o tem, jakby go na męża złapać, nie bez pewnej słuszności mając prawo sądzić, że z nim życie upłynęłoby... *śpiewając*.

To też rozjaśniały się, jak lampy oświetlone naftą, kupioną u katolika i za gotówkę, oblicza panien Trztyprztyckich, gdy im starsza ich siostra, zamężna już pani Machalska, oświadczyła, że pan Klemens będzie u nich na wilii.

— A to ci prawdziwa furda! — zawołała młodsza, podczas gdy druga, pogardliwie mierząc ją oczyma — mruknęła:

— Ale nie dla każdego. Obiecanka—cacanka, a głupiemu radość...

Nie trzeba zdaje się mówić, że pomimo tego drobnego nieporozumienia, wilija była jak się patrzy. Zielona ze złości panna Eulalija wierciła mak z takiem poświęceniem, że się stała jak burak czerwoną, na które to poświęcenie patrząc i kamień mógłby się zakochać.

Starsza panna Józefa, widząc to, ze swej strony własnoręcznie zaczęła smażyć sandacza, przez co i tak już różowa ze szczęścia, stała się czerwoną jak... dwa buraki. Machalski, po krótkiej konferencyi z żoną wyszedł z domu, a gdy po chwili wrócił z butelką araku i gdy butelka owa dopełniła sporej już bateryi butelek, to miał minę tak tajemniczą i tak spoglądał na dziewczyny z uśmiechem, iż każdyby się założył, że w niedługim czasie napewno co najmniej jednej z nich się z domu pozbędzie.

Wszyscy już byli w pełnym rynsztunku, a nawet pani Błażejowa, matka chrzestna Eulalci, a wdowa po rzeźniku, miała czas szepnąć słów parę o braku uszanowania dla starszych „osobów," gdy pan Klemens się zjawił. Machalski wybiegł doń prawie na próg z kieliszkiem wódki, a panna Józefa z rumieńcem, pełnym dziewiczej skromności i z czarującą prostotą rzekła:

— Takeśmy długo na pana czekały, że aż sandacze pewnie się przypaliły.

— To nic, dla przyjaciela, to i sandacz bagatela — odpowiedział, nie tracąc kontenansu pan Klemens.

— A choćby się przypaliły, to i co?...—porwany jego fantazyją zawołał Machalski—chwalić Boga i tak by przecie wystarczyło dla wszystkich. No, do was, panie Klemensie!

I przepił do artystycznej duszy, nie zważając, że przez ten czas żona jego ślubna szeptała do Błażejowej:

— Niby też to udaje, że tak mu o sandacza nie idzie, a jak mi dziś pięciu głupich rubli do wilii zabrakło, to się nawydziwiał, że Panie odpuść...

Szanowna matrona słuchała tych słów z namaszczeniem, a litując się nad losem Machalskiej westchnęła:

— Oj te mężczyzny!..

— A cóż pani Błażejowej te mężczyzny zrobili?.. — zainterpelował Klemens...

— O! niedoczekanie ich, abo to ja, choć nieprzymierzając biedna wdowa, nie mam siły, czy co?.. Znam ja was gagatki: przed ślubem, to każdy z was tylko by skakał i śpiewał... a po ślubie, to jak nie skaczesz podług jego woli, to zaraz się do kija bierze...

— Ho, ho, zaraz do kija...

— Nie ho... ho... ja na to praktykantka jestem: trzech mężów, Bogu dziękować, pochowałam... Lepiej się w ziemię zapaść, niż za chłopa iść...

Rozmowa, jak z poprzedniego widać, zaczynała przybierać drażliwy charakter... Szczęściem, że ją przerwał Lutek, wielki przyjaciel Klemensa, pełniący zaszczytne obowiązki chłopca w drukarni, a zarazem młodszy brat panien...

— Gdzieżeś latał, nicponiu — zawołał Machalski, kontent, że ma na kim gniew swój wywrzeć...

— Chodziłem z bukietem do jakiejś pani...

— To pewnie do artystki — podchwycił Klemens — bo jakiem był raz na włoskiej operze, to jednej takiej marmuzeli trzy kosze kwiatów rzucono na scenę...

— Czy ja wiem, czy tam ona artystka, dosyć, że ładna dziewczyna i basta...

— A bo ty się znasz na dziewczynach? — przerwała Eulalcia.

Brat za całą odpowiedź pokazał jej język i ciągnął dalej:

— Wiecie, że dzisiaj to żadnego posłańca nie rusz przez rękawiczek, a smaruj go miodem, to nie przylgnie. Otóż powiada do mnie jeden taki pan: Słuchaj, pójdziesz do jednej pani i oddasz jej bukiet — i dał mi rubla... Ja ci poszedłem, a ta pani, zobaczywszy, że to sam tylko bukiet, jak nim nie rzuci o ziemię, ażem się przestraszył. Dopiero potem powiada mi: - Weź i odnieś temu panu to zielsko... A chcesz zarobić rubla?..—Chcę.—A wiesz gdzie jest ten pan... Wiem...—No to odnieś bukiet i powiedz temu panu, że jest osioł... Wziąłem rubla i tu jestem.

— A gdzież bukiet?

— A dałem go pannie Justysi, co mi kredytuje w sklepiku... Dziewczyna aż mnie chciała pocałować, tylko, że siedział ten ślusarz, co ją teraz kocha, a potem się z nią ożeni...

— Szczęśliwe — westchnęła Eulalcia. . — dostają bukiety.,.

— Niech się panna nie martwi, to ja pannie potem coś pokażę — przerwał, chcąc ją pocieszyć, Klemens...

Eulalija chciała podziękować, ale nie mogła, gdyż w tej chwili zawołała ją siostra za przepierzenie do kuchni... Przez ten czas Machalski zdążył nalać kieliszek Klemensa, a Józefa trącić go w łokieć i powiedzieć:

— Niech jej pan nic nie pokazuje, tylko mnie... czy dobrze?..

— Jak pani chce, to i pani pokażę... ha, ha, ha!.. Ja tam nie taki...

— No, dobrze już — zaopinijowała pani Błażejowa — a teraz do zupy, bo nieprzymierzając ostygnie... A ja nie lubię zimnej. Ho, ho, ile tośmy się nasprzeczali z moim drugim nieboszczykiem... On lubił zimne, a ja gorące... A dziś nieborak leży pod zimnym śniegiem... I pani Błażejowa zaczęła trzeć oczy, ażeby wywołać z nich łzę, która jakoś na wspomnienie drugiego nieboszczyka nie uważała za stosowne się ukazać...

— Dajcie pani pokój, pani Błażejowa, nie płaczcie, ot lepiej napijcie się z nami po kieliszku, bo mokrość zawdy lepsza, kiedy na wnętrzu...

Kieliszek poszedł w koło... Za nim karp i sandacze, nieprzypalone wcale i kapusta i grzyby i śliwki... Klemens, jak prawdziwy artysta, jadł co się zmieści i pił odpowiednio... naśladując w tem zresztą niewolniczo resztę obecnych..,

Atmosfera w ciasnym pokoju stała się duszną... Machalski otworzył lufcik.

Nie uważała na to artystyczna dusza, nakładała sobie albowiem w tej chwili trzecią porcyję przenajsłodszych klusek z makiem i jadła je z takim apetytem, aż się uszy trzęsły...

Fakt ten, jak to się zaraz okaże, najgorsze miał następstwa.

Gdy wstano od stołu, Eulalcia i Józefa zaczęły się napierać Klemensowi, by im pokazał, co obiecał... Ten nie dał się długo proisić... Sięgnął ręką do kieszeni od pantalonów i wyjął kamerton...

— Ah! zaśpiewaj pan — zawołały na wyścigi dziewczyny...

— A możeś pan, tego, jak się nazywa, nie przy głosie — zainterpelowała pani Błażejowa, bełkocząc już trochę — bo i mój nieboszczyk, tylko, że nie pamiętam który... czasami, gdy się zmartwił, albo gdy go wół ubódł...

— Co? ja nie przy głosie? ja zawsze przy głosie! — zawołał obrażony Klemens i z siłą uderzył kamertonem w stół.

Stal wydała dźwięk sobie właściwy, ale co do głosu, jaki za tym dźwiękiem wydał pan Klemens, to nawet pobłażliwie sądząc, nie można go było zaliczyć do tonów, właściwych ludziom... Był to świst lokomotywy w połączeniu ze skrzypieniem ciężko naładowanego wozu...

Wszyscy spojrzeli po sobie, a Klemens rozzłoszczony po raz drugi walnął tak kamertonem, że aż dwie szklanki zleciało... ale napróżno ..

— Ha — zawołał, zbliżając się do okna — to mi się po raz pierwszy trafia. Ale wiem, co to jest—to lufcik. Kto go otworzył, dajcie mi go tutaj, to go rozerwę...

— To Lutek — pośpiesznie rzekł Machalski, nie liczący się do odważnych...

— Dajcie mi go!

Ale Lutka już dawno nie było .. Widocznie poszedł się przekonać, czy przy Justysi jeszcze ślusarz siedzi.

Rozpacz Klemensa, który na razie nie mógł się zemścić, nie miała granic... Rwał sobie włosy i wołał:

— Nie mam już nic, cóż ja teraz będę robił bez głosu?

— Ożeń się — przerwała mu Błażejowa — bo jak kto bez głosu, to nie przymierzając, na męża najlepszy.

— A pani śmiech z ludzkiej biedy... Czy pani myślisz, że się nie ożenię—otóż właśnie, że się ożenię, na złość pani się ożenię!

— Nie irytuj się, Klemens — perswadował mu Machalski — napij się araku, to ci przejdzie.

— Dobrze, napiję się, ty jeden jesteś dobry i porządny człowiek, a masz dwie dziewczyny, oprócz żony na karku. Otóż widzisz, ja ci jedną z niego zdejmę... ale którą?

— Którą chcesz, dla mnie to wszystko jedno, ty wiesz, że ja niczego nie pożałuję, żeby ci tylko zrobić satysfakcyję...

— A ja dla ciebie wziąłbym nawet obie.

— Ha, to dwóch się panu zachciewa, ładna miłość z dwoma się żenić — przedrzeźniała Błażejowa.

— Otóż właśnie nie z dwoma, tylko z jedną... Która z panien kluski z makiem robiła, to z tą się ożenię, bo ja kluski bardzo lubię.

— To ja — uradowana wykrzyknęła Eulalcia, podbiegając do pana Klemensa — a ten na jej ręce wycisnął taki długi pocałunek, że aż pani Błażejowej przypomnieli się wszyscy trzej nieboszczykowie od razu, a Eulalcia szepnęła wzruszona:

— Już ja panu będę tak przez całe życie wiercić, panie Klemensie.

— Będziecie sobie wiercić, aby na chwałę Bogu i pożytek ludziom — zakonkludowała po chwili Błażejowa — a ja mojej chrześniaczce dam salopę z futrem na wyprawę...

Jeżeli myślicie, że Klemens tego wieczora nie śpiewał, to się mylicie bardzo, a choć, jak to stoi w kantyczkach „dobywał wdzięcznego głosu baraniego,“ nie tamowało to wesołości rodzinnej.

Dziś śpiewa już rzadziej i to przeważnie przy kolebce młodszego synka, którego chce wykierować na artystę. Zanim się jednak odzwyczaił od śpiewu, było mu to bardzo przykro i dziś jeszcze łzy mu stają na wspomnienie dawnych tryumfów.

Kleofas.

* *Historyja prawdziwa o grubym Kleofasie, wiedeńskim fortepianie i dwunastu zbójcach.*

Pani Kleofasowa większą część swego życia spędziła przy fortepijanie i to nie jako zwykła wykonawczyni „*Modlitwy dziewicy*“ — lecz jako kompozytorka.

Z wiedzą, czy może bezwiednie, starała się ona wprowadzić do muzyki pierwiastek naturalistyczny, zkąd też tony, które tworzyła, miały z niewolniczą ścisłością naśladować szum wiatru, rżenie koni, krzyk parobków, a nawet kichanie ekonoma, który odrzekłszy się na spowiedzi picia wódki, zażywał tabakę z ciemiężycą białą.

Symfonija pani Kleofasowej „*Pożar w folwarku,*“ odegrana kilkakrotnie na imieninach kompozytorki, miała w sobie rzeczywiście coś przerażającego.

Słychać w niej było trzask walących się belek, płacz, krzyki, jęki, a nawet przeraźliwy kwik pieczonego żywcem prosięcia, co było rzeczywiście arcydziełem harmoniji. Z drobniutkich, z piorunującą szybkością następujących po sobie nutek, tworzyła się tak wierna imitacyja natury, że aż prawdziwe wieprze, chodzące pod oknami, wtórowały jej naturalnym głosem.

Również arcy-świetną kompozycyją pani Kleofasowej była elegija pod tytułem „*Gradobicie,*“ utwór pełen niezaprzeczonej oryginalności układu. W tem dziele fortepijan przestał być sobą samym, stał się natomiast werblem i trzeszczał przez dwadzieścia minut sucho, równo, miarowo — sprawiając takie złudzenie, jak gdyby rzeczywiście gęsty i silny grad tłukł w dno pustej beczki, albo też groch sypał się na podłogę.

To były świetne rzeczy.

Że ludzkość nie poznała się na nich, nie pani Kleofasowej w tem wina, zresztą nie jeden genijusz nie był oceniony za życia, a były też i takie, których ani za życia, ani po śmierci wcale a wcale nie znano.

W pewien piękny dzień czwartkowy, o szarej godzinie, niezmordowana artystka siedziała przy fortepijanie, pracując nad nowym, jak go zwała, obrazem muzycznym p. t. „*Souvenir de Kozienice.*“

Natchnienie do tego utworu znalazła w przejeździe przez to piękne miasteczko w dzień szabasowy.

Kilka akordów minorowych, powtarzanych w odstępach czterotaktowych, miały wyobrażać uroczystą ciszę, a po tej ciszy, lekko, jak spłoszone wróble, zrywały się pierwsze nutki majufesu, które w końcu obrazu zlać się miały w potężnym chórze.

Biedna artystka!! Biedna, niezrozumiana, nie pojęta dusza wyższa!! Ale któż jej winien?!

Czyż kobieta wyższego polotu ducha powinna była wyjść za mąż za grubego Kleofasa, za szlachcica safandułę, który od żony wymagał, ażeby była tylko gospodynią i matką!!

Ale cóż robić?! dzieją się rzeczy niezwyczajne, są na świecie łzy i mezalijanse!!

Kleofas nienawidził fortepijanu i był w porządku, nie znałem bowiem w życiu ani jednego Kleofasa, któryby szanował ten harmonijny instrument.

To była prozaiczna dusza!

On umiał przerwać żonie chwilę najszczytniejszego natchnienia obrzydliwem zapytaniem: czy podlana kapusta? czy wydojono krowy? lub czy przygotowano papkę dla cieląt?

Wówczas kompozycyja zostawała przerywana — pani kładła się na sofkę ze spazmatycznym płaczem, a Kleofas klął coś pod wąsem i pa-

trzył na fortepijan wzrokiem takim, jakim wilk zgłodniały spogląda na tłustego prosiaka...

„*Souvenir de Kozienice*“ tworzyła pani Kleofasowa w bardzo szczęśliwych warunkach. Mąż przez cały tydzień sam pilnował krów i cieląt, sam stał przy podlewaniu kapusty i ani jednem głupiem zapytaniem nie przerywał chwil natchnionej twórczości...

Było jednak coś złowrogiego w tej ciszy... Jakiś demon osiadł na twarzy gipsowego satyra, zdobiącego kominek i zdawał się szydzić z czystej harmonii tonów, które płynęły z pod paluszków pani Kleofasowej majestatycznie — powoli...

Zdrajca Kleofas!! On coś zamyślał...

Czyby mu przyszło do głowy urządzić w Popychadle teatr amatorski?!

Zamknął się w swojej kancelaryi, pokoju tak zwanym dla tego, że nie było w nim żadnych materyjałów piśmiennych prócz kredy — czernił sadzami twarz ekonomowi, ubierał w maski parobków i fornali, nabijał prochem broń... widocznie wybierał się na maskaradę...

Tymczasem zapadła noc...

Kleofas już spał i chrapał, aż się rozlegało, a pani w powłóczystych batystach, niby duch Rossiniego, lub Banóa, przechadzała się dumnie po obszernym salonie.

„*Souvenir de Kozienice*“ było skończone... Rękopism spoczywał tuż obok fortepijanu w pięknej machoniowej szkatułce, spoczywał przy „*Gradobiciu*,“ „*Pożarze folwarku*“ i przy „*Głosach przepaści*.“

Pani Kleofasowa przyszła do swego buduaru i usnęła...

Tak usnął Napoleon pod Piramidami — z tą tylko różnicą, że nie wysmarował sobie gęby gliceryną, jak pani Kleofasowa...

Słodkim jest sen artysty po skończonej pracy...

Śni mu się zwykle, że siennik jego wypchany jest bobkowemi liśćmi... poduszka zasypana wieńcami... że tłumy oklaskują jego utwory...

Ale co to?!

Jakiś szmer koło domu!.. ktoś probuje otworzyć okienice!.. ktoś rozbija je drągiem żelaznym.

— Mężu! Fasiu! ratuj... ratuj!

I pani w negliżu, bosą nóżką wyskakuje z pościeli: wygląda, już nie jak duch Rossiniego w powłóczystej szacie białej, lecz jak duch Rossiniowej w wielkim czepku nocnym...

Okno się otwiera...

Wpada przez nie wiatr chłodny... srebrny promień księżyca... i ukazuje się czarna, przerażająca twarz zbira...

Zbir jest uzbrojony — za nim wchodzi do pokoju kilkunastu drabów, odpychają zemdlałą damę, przebiegają pokój sypialny i już są w salonie.

Pan Kleofas z dubeltówką w ręku wbiega do buduaru żony...

Strzela dwa razy do zbójców... i zostaje wzajemnie przywitany przez nich gęstą salwą strzałów. Wśród błysków ognia, okurzony czarnym, gryzącym dymem prochu, otula żonę w swoje szopy i jak małe dziecko zanosi ją na ręku do kuchni folwarcznej...

Oddaje biedną, ledwie żywą z przestrachu, pod opiekę wiernych, chociaż nie mniej przerażonych służebnic, a sam spieszy bronić swego mienia.

— Nie, ty się nie narażaj mężu! — szepcze żona, tuląc się do niego...

— Ale, pójdę! pójdę! oho! te huncwoty gotowi są nas zrabować... Nie dam się, dalibóg, niedam!

Wyrywa się z objęć żony i biegnie...

Znowu rozlega się suchy trzask strzałów, słychać wołania, krzyki i przekleństwa...

Dziewki w kuchni płaczą straszliwym głosem, a pani w mężowskich szopach, w czepku nabakier wzywa wszystkich męczenników i wyznawców na pomoc...

Nie śmiem przesądzać, ale zdaje mi się, że najpoważniejszy ze świętych, sam Ś-ty Hieronim roześmiał by się, widząc panią Kleofasowę w tym stroju...

Po kwandransie strasznej, przerażającej trwogi powrócił pan Kleofas i oświadczył, że już wszystko w porządku.

Zbójcy nie mogli wytrzymać gęstego ognia z lefuszki pana Kleofasa i ze szturmaka gajowego i podali tył, pędzeni przez parobków z widłami i inną bronią ręczną, jaką można było znaleźć na prędce. Zdaje się, że nie mieli czasu zrabować kosztowności, a cenne papiery zostawili nienaruszone, co im zresztą wyszło na pożytek, gdyż w biurku oprócz wezwania od komornika innych papierów nie było...

— Chodź duszko — mówił do żony Kleofas — ubierz się, weźmiemy światło, zobaczymy po śladach, gdzie zbrodniarze uciekli...

Przy świetle pochodni i latarni wszyscy wyszli do ogrodu szukać śladów zbójców...

— Tędy, panie, tędy—wołał pastuszek... — znać koła, wozem bestyje jechali...

Przeszli przez ogród, za którym niedaleko rozciągało się wielkie jezioro. Nad brzegiem jeziora jeszcze znać było ślady; widocznie w tem miejscu wóz zawrócił a zdobycz uniesiono na łodziach.

— Świeć na wodę! — wrzasnął pan Kleofas.

Pastuszek wdrapał się na drzewo, podano mu pochodnię, która z wysokości oświetliła tonące w zmroku jezioro...

— Zbójcy! zbójcy! — zawołano z brzegu...

Rzeczywiście na samym środku jeziora płynęła ogromna krypa, na której stał... fortepijan!!

— Stój, bo strzelę! — krzyczał pan Kleofas—dalej chłopcy do łodzi! gońcie tych zbrodniarzy!

Tymczasem zbójcy z filozoficznym spokojem przesiedli się na małe czółenko, przewrócili krypę i fortepijan wraz ze szkatułką, pełną kompozycyi, poszły na dno jeziora...

Poczem zbrodniarze, już nie ścigani przez nikogo, wylądowali szczęśliwie na przeciwnym brzegu...

Rozpacz nieszczęśliwej artystki nie miała granic...

Biedna, rada nie rada, musiała zstąpić z olimpijskich wyżyn ducha, zająć się dziećmi, konopiami i oborą.

Kleofas gruby uśmiechał się złośliwie...

Nie stać go było na kupno fortepijanu.

— Pociesz się jednak, duszko — mówił do żony — jak się pszenica obrodzi, kupię ci angielską gitarę w Lublinie...

Zdrajca Kleofas!!

Klimat.

* Temperatura powietrza, na którą wpływają góry, morza, grunt, jego uprawa i panujące wiatry, jest tem dla człowieka, czem ziemia dla roślin. Najpiękniejsze drzewo w ciepłych strefach, karłowacieje pod biegunem; kwiaty tracą swą piękną barwę, mchy i pleśnie pełzają po ziemi, podczas gdy południowa palma wznosi się w niebo wysmukła i wspaniała, chwasty zamieniają się w piękne kwiaty, koty stają się tygrysami i lwami, jaszczurki—krokodylami. Te same zwierzęta są czarne lub brunatne na południu, a białe lub szare na północy; pies w południowej Ameryce traci głos i szerść swoją; a wspaniałe wzrostem i kształtem konie z okolic Neapolu przemieniają się na północy w małe szkockie koniki. Matka natura okazała się jeszcze najłaskawszą pod względem klimatycznych warunków dla człowieka. Żyje on i rozwija się w każdym klimacie; przepędza życie pod ziemią w kopalniach, lub na szczytach gór, a nawet pod wodą jako nurek; wytrwać może wśród największych mrozów, jak i wśród zwrotnikowych upałów i przyjmuje się wszędzie jak trawa i chwasty. Klimat przerabia synów Adama, dzieci jednego ojca, na europejczyków i murzynów, na kałmuków, trokanów, malajczyków i t. p. na białych, czarnych, żółtych, miedzianych i brunatnych ludzi; klimat robi ludzi leniwymi lub czynnymi i wpływa też na bystrość lub przytępienie umysłu. Pory roku wywierają

już znaczny wpływ na cały ustrój fizyczny a nawet moralny, a cóż dopiero klimat! Za bardzo może przeceniali wpływ ten *Bodinus*, *Montesquieu* i *du Bos*, a przed nimi jeszcze *Plato*, który dziękuje bogom, że mu się dali urodzić w Grecyi, a nie w jakim barbarzyńskim kraju i do tego w Atenach, a nie w Tebach; *Wilson* i *Falconer* traktowali tę kwestyję z większem umiarkowaniem, ale *Helvecius* i *Home* przypisują znów wszelkie różnice charakterów jedynie przyczynom moralnym, coby mogło być istotnie w strefach umiarkowanych; ale ostry klimat północy musi wyrobić w mieszkańcach większą przezorność, zapobiegliwość i skrzętność, tak, jak piękna, bogata, południowa natura czyni człowieka leniwym i lekkomyślniejszym. Klimat oddziaływa też i na religiję, która w krajach południowych jest więcej fantastyczną; nawet środki lekarskie zastowane być muszą podług klimatu; doza emetyku np. ledwie wystarczająca dla szwajcara, mogłaby zabić indyjanina. Pod równikiem księżyc nawet oddziaływa szczególniej na słabe konstytucyje; promienie księżyca, tak jak gdzieindziej słoneczne, sprowadzają silny ból głowy. Mieszkańcy krajów nadmorskich cieszą się najdłuższem życiem; żołnierze, pełniący długi czas służbę w Indyjach wschodnich, prawie wszyscy oddają się rozpuście i pijaństwu. Gęste mgły listopadowe sprowadzają najwięcej samobójstw w Anglii; we Włoszech najwięcej morderstw popełnionych bywa w czasie kanikuły; zwierzęta także im bliżej równika, tembardziej stają się drapieżne i jadowite. Wynika z tąd, że tak lekarze, jak prawodawcy i sędziowie powinni zwracać baczną uwagę i mieć wzgląd na warunki klimatyczne. Wprawdzie rządy, religija i obyczaje sprowadzały także wiele zmian znacznych, niezależnie od klimatu; lapończycy i murzyni nie zrobili żadnych postępów, ani żaden uczony nie zjawił się wśród nich, ale paryżanie żyją dotąd pod tym samym klimatem, co za czasów Julijusza, który ich chwali, jako „ludzi poważnych i surowych obyczajów“; ktoby to dziś powiedział? Dla czego Ateny nie wydają więcej takich Platonów, Arystotelesów, Anakreonów lub Zeuxisów? Rzym, zamiast Scypionów, Cezarów, Katonów, Cyceronów i Liwijuszów, ma dziś tylko moc księży i mnichów; Cyceron zaś pytał się z ironiją, gdzie są filozofowie w W. Brytanii — a dzisiaj musiałby schylić głowę przed nimi. Baran pod wpływem klimatu jest na swoich górach odważnem zwierzęciem, zwanem muflanem; u nas zmienia się na łagodne, trwożliwe stworzenie; na wschodzie dostaje gruby, tłusty ogon, co go ociężalszym robi; w Islandyi zaś ma 4 do 6-ciu rogów. Tak samo klimat przemienia greckie postacie Apolina, Junony i Wenery na lapończyków i samojedów. Dowcip, humor i skłonność do śmiechu nikną całkiem pod biegunami. Upały robią człowieka poważnym, ociężałym i ospałym; zimna: przytępionym i obojętnym; jedne i drugie wpływają także na mowę: w ciepłym klimacie usta roztwierają się szerzej, co wyrabia więcej samogłosek, a z niemi język zaokrągla się i łagodnieje; wśród mrozów niechętnie się usta otwiera, więc mowa staje się twardszą, złożoną z mnóstwa połączonych spółgłosek. Pewien ksiądz na północy w czasie dokuczliwych mrozów straszył grzeszników piekłem zimnem nad wszelkie pojęcie, w którem ludzie będą zawsze na wpół zmarznięci, a gdy mu ktoś zrobił uwagę o fałszywości tej nauki, odrzekł: „Gdybym mówił, że w piekle jest gorąco, toby wszyscy tam lecieć chcieli.“ Nic też dziwnego, że mieszkańcy podzwrotnikowi widzą siedlisko piekła w słońcu, które podbiegunowcy uważają za bóstwo dobroczynne; w Makao jest przysłowie: „Tylko karta papierowa dzieli nas od piekła.“ Upały wyrabiają w ludziach apatyję, poddanie się losowi i pogardę śmierci, której można im pozazdrościć. Pewien indyjanin, widząc europejczyków śpiewających, grających i tańczących rzekł: „Czego oni się tak męczą? Czy nie mogą kazać to robić swoim służącym?“ Zimna nie oddziaływają źle na stronę moralną, ale nie usposabiają do wesołości, czyniąc człowieka mnie

czułym na wszystko, tak, że chcąc go połechtać, trzebaby mu wprzód skórę zedrzeć, a dzicy są nieczuli nawet na cierpienia i rany: całemi dniami siedzieć oni mogą na ziemi, bez poruszenia i bez odezwania się; Robinson uczy tańczyć kozy i koty, a papugi gadać, aby przecież mieć się z czego pośmiać. Róże stref gorących są tak odmienne od róż północnych, jak arabskie konie od fryzyjskich stępaków. Mieszkaniec północy jest roztropny i przezorny, ale zimny i skryty; nie ma tej idealnej i jowijalnej natury, jaka ożywia południowca; południe wydało Homera, północ—Ossyjana; tutaj widzimy idealny pendzel Rafaela, tam mięsożerne istoty Rubensa. Pewien francuzki ambasador, wróciwszy z posady, piastowanej przez sześć lat w jednem z państw północnych, spotkał się z Fryderykiem, który go zapytał, ile ma lat: „50, Najjaśniejszy Panie," odpowiedział; „Jakto być może?" rzekł na to Fryderyk, „miałeś już chyba tyle, udając się na północ?" „To prawda, Najjaśniejszy Panie, ale myślę, że Pan Bóg nie porachuje mi tych sześciu lat, spędzonych w takim klimacie!" Pod gorącem znów niebem, gdzie rzeka, lub chłodzący wiatr od morza uważane są jak dobroczynne bóstwo, mieszkańcy zwykli mówić: „Lepiej jest leżeć niż stać, lepiej spać, niż czuwać, a śmierć lepsza nad wszystko!" Szczęśliwymi się więc czuć powinni mieszkańcy stref umiarkowanych, wyjąwszy chyba anglików, którym wieczna mgła i wilgoć daje się dobrze we znaki i wpływa na splen narodowy; gdy cokolwiek jaśniej zrobi się na dworze, anglicy mówią: „a very fine day!" (bardzo piękny dzień!) a gdy słońce zaświeci: „a glorions day!" (cudownie piękny dzień!) Upały wywołały na wschodzie prawo, nakazujące kąpiele i mycie jakoteż zakaz używania świniny i trunków. My też przez wzgląd na dnie kanikuły mamy feryje szkolne i sądowe; jeden z profesorów podał nawet projekt, aby wakacye szkolne stosować do nastających upałów, podczas których uczniowie zasypiają przy lekcyjach; przytaczał nawet, że i jemu raz zdarzyło się usnąć z gorąca podczas wykładów, a gdy ocknąwszy się, rzekł: „No dzieci, dalej. co do Koryntów.." ale w tem podniósł oczy i spostrzegł, że w sali nie pozostało żywej duszy. Królestwo roślinne zdaje się także stosować do klimatu dla wygody ludzi, i tak: na północy mamy drzewa iglaste, a w ciepłych stronach liściaste; im bliżej równika, tem bardziej rozrastają się drzewa, tworząc, jak np. *banany,* naturalne parasole, ocieniające całe wioski; w czasie upałów także dojrzewają wszędzie orzeźwiające owoce. Nieprzyjazne warunki klimatyczne usposabiają tylko źle ludzi, którzy, traktowani po macoszemu przez naturę, stają się pochmurni i nie lubią towarzystwa; Jean Jacques Rousseau, sam posępny, mawiał: „Na północy pierwsze słowa były: „pomóż mi," a na południu: „kochaj mnie." Pod szarem niebem północy lęgną się puste myśli o czarownicach i duchach; dusza jest pełna żałoby i goryczy, jak dusza Ossyjana; gdy mgły rozpościerają się w koło, wiatr wyje po lasach, a śnieg zasypuje okna—„brutta cosa" („brzydka rzecz") mówi Włoch, chociaż kraina jego nie zna jeszcze przepysznych palm i kwiatów lotosu. Na wschodzie noc jest tem, czem dzień dla nas; poeci opiewają noce; arabowie rachują czas na noce, a persowie czytają przy świetle księżyca. Pod boskiem niebem południa religija nawet staje się łagodniejszą; pod takiem to niebem rzekł Jezus do grzeszącej Magdaleny: „Wiele jej jest przebaczone, bo wiele ukochała." Wszystko tu tchnie miłością; na północy trzeba uczuciu temu otwierać drzwi i okna. A jednak mimo to wszystko duch błąka się tylko w pewnych granicach i lubuje się w miejscach, do których przywykł. Murzyn, tak samo jak lapończyk, umierają z tęsknoty do kraju.

Klingston.

* Księżna Klingston życzyła sobie uzyskać wstęp na dwór berliński; w tym celu udała się do ministra z prośbą, aby przemówił do króla kilka słów na jej korzyść. Minister przychylił się do jej żądania, nadmieniając przytem królo-

wi, „że księżna ma wielkie majątki we Włoszech, statki handlowe w Wenecyi, ale... serce w Berlinie." Król, usłyszawszy to, uśmiechnął się, mówiąc: „Kłaniaj się księżnej odemnie i powiedz jej, że obawiam się, iż nas obdarzyła najmniejszą cząstką swoich dóbr doczesnych!"

Kloc.

* Przyjaciele zachęcali pana F., żeby poszedł razem z nimi złożyć wizytę pani fon O., pan F. jednak odmówił, usprawiedliwiając się temi słowy: „Marznie się w jej salonie, bo kładą tylko zawsze jeden kloc drzewa do kominka." Doniesiono o tem pani fon O... Po niejakim czasie złożył jej wizytę pan F., a kiedy kamerdyner zameldował gościa, zawołała pani O· tak głośno, żeby przybywający to usłyszał: „Jeden kloc więcej!"

Kluski.

* *Kilka kluseczek, zaczerpniętych druszlakiem doświadczenia z juszki życia.*

Głupi nie wyłysieje, ale łysina nie daje jeszcze patentu na mądrość.

—o—

Serce kobiety swawolnej podobne jest do śniegu: wystawione na żar namiętności, traci swą białość nieskazitelną, topnieje szybko i ostatecznie przemienia się—w kałużę błota.

—o—

Wielkie to jeszcze pytanie, czy kobieta oddaje się mężczyźnie dla tego, że go kocha, czy też kocha go dla tego, że mu się oddaje?

—o—

Gdzie „ręka rękę myje" — tam muszą być obie brudne.

Kneller.

* Sławny malarz Gotfryd Kneller mieszkał w Lubece i posiadał tamże prześliczny ogród. Sąsiad jego, doktór Radcliff, często posyłał służącego do ogrodu Knellera po kwiaty; zniecierpliwiony tem malarz, polecił oznajmić doktorowi, iż furtka odtąd będzie zamknięta. „Powiedz panu Knellerowi, oświadczył Radcliff, że niech robi, co chce, aby tylko furtki nie pomalował..." „No, no—odrzekł malarz—zanieś swemu panu tę odpowiedź: że jeżeli on ma wstręt do moich farb. ja nawzajem nie przyjąłbym nigdy jego lekarstw."

Kłamca.

* — Ale pan masz tu bardzo piękne pamiątkowe rzeczy — dodałem, zwracając rozmowę na porozwieszane po ścianach rupiecie, które nie tyle na zbrojownię wieków średnich, ile raczej na pociejowski kramik starzyzny wyglądały.

— Ja myślę!... — odrzekł z dumą gospodarz, zacierając sążniste swe łapy.—Cieszę się bardzo, że w szanownym delegacie widzę amatora archeologii, bo tu w tym naszym kącie niema się przed kim z takimi zabytkami pochwalić. Ta szabla — począł, zdejmując z gwoździa zwykły kawaleryjski, ale dobrze zardzewiały pałasz—jest szablą hetmana Jana Tarnowskiego, z bitwy pod Obertynem, w której był rannym piętnaście razy; — datuje z piętnastego wieku (pan Polikarp chybił o całe stulecie i rany przez trzy pomnożył). — Te ślady czerwone na niej... to nie rdza... nie!... to jest krew Wołocha, którą zakonserwowałem jaknajskrupulatniej.

— I sam pilnowałeś tej krwi na szabli, że tak za nią ręczysz?—zapytał Feluś.

— Sam... słowo honoru!... jak oka w głowie.

— Przez całe trzy wieki?

— Ale daj-że mi pokój, mój kochany!—zawołał, spostrzegając się, zaperzony szlachcic—profanom nie odpowiadam, a znawca się na tem pozna... Mój delegacie, co to jest? rdza, czy krew?

— A no... tak jest... coś rzeczywiście!... — odrzekłem zakłopotany, bo trudno mi się było zdobyć na potakiwanie wymysłom bujnej imaginacyi pana Polikarpa.

— Ten egzemplarz jest już późniejszy... ja to sam zaraz przyznaję — ciągnął dalej, biorąc

jakąś siekierę do ręki — to oszczep mego pra-pra-dziadka, towarzysza chorągwi husarskiej z czasów Stefana Czarneckiego i pocłodzi z pod Monasterzysk, gdzie mój pradziad poległ w szesnastym wieku (i tu połknął znów całe stulecie).

— A jakżeż się to wam dostało? — zapytał z uśmiechem Baryłkiewicz.

— Bardzo prostą drogą — odparł Pływalski. — Towarzysz tej samej chorągwi zachował tę drogą pamiątkę i przywiózł ją mej prababce, która mu za to darowała wieś na Ukrainie, przezwaną od owej pory Pamiątkowem. Ta szczerba, co ją tu pan widzi—dodał, zwracając się do mnie — pochodzi z pod Rudnika, gdzie się hetman z moim praszczurem odemścili za Monasterzysko; powstała ona przy wyrąbaniu bramy domu, w którym się Szwedy zatarasowały.

— A wiesz, Karpiu — przerwał Baryłkiewicz—że ten twój praszczur to dyjable mściwa sztuka, skoro nawet po śmierci Szwedom nie darował.

Pływalski wargi zagryzł, udając, że nie słyszy dowcipnej tej uwagi i zdejmował tymczasem z kołka jakiś koński ogon, na długim osadzony drągu, podobny zupełnie do wiechci, używanych przy myciu powozów.

— To jest buńczuk turecki z pod Chocima, odebrany samemu Buram-baszy przez jednego z moich antenatów w sposób zadziwiający. Było to po obiedzie, w dzień skwarny. Leniwy Turek, nażłopawszy się opium i wypaliwszy dwanaście fajek prawdziwego tureckiego tytuniu, zasnął był sobie w najlepsze. Mój praszczur podjechał podeń konno, notabene na najgorszej, ślepej, wyranżerowanej z pułku szkapie i założywszy kobyle worek z obrokiem na łeb, żeby spokojnie stała, wsunął Turkowi w łapę jej ogon, wyjąwszy mu natomiast ten buńczuk, z którym też i drapnął. Co tam potem Turek mówił, gdy się obudził, trzymając ślepą szkapę za ogon... nie wiem; ale to wiem, że gdy się król Jan o tym figlu dowiedział, darował ten buńczuk memu praszczurowi na pamiątkę, zkąd też się do mnie dostał, a nadto do herbu Lodzia dodał mu na odmianę pęk buńczucznych włosów.

— Śliczna... śliczna pamiątka!—wstrzymując śmiech, rzekłem Pływalskiemu, który z dumą wywijając tym wiechciem w powietrzu, widocznie na kompliment czekać się zdawał.

— Te dwie strzelby—ciągnął dalej archeolog, wskazując na dwie zwykłe, zardzewiałe pojedynki — są rzadkością, którą się żadne muzeum nie poszczyci. Jedna była własnością Stefana Batorego... tu nawet były cyfry S. B. R., to znaczy Rex... król... ale się starły; druga Jana Zamojskiego... także były cyfry J. Z., ale przez oglądanie zeszlifowały się. Chodzili oni z niemi na cietrzewie. I co powiecie? ta oto dziś jeszcze bije kupą na 80 kroków. Miałem z nią szczególny wypadek.

— Jakiż to? - zapytałem.

— Byłem jeszcze młodym chłopcem — począł Pływalski—a za moich czasów łgarzewskie lasy słynęły na okolicę; sosny czterech chłopów nie objęło, a dęby były takiej wielkości, że w jednym z nich, do połowy tylko zmurszałym, pachciarz łgarzewski ze swą rodziną wygodną sobie kuczkę urządził. Otóż za owych to czasów wilki trapiły całą okolicę. Były ich niezliczone stada... nocami wycie było tak straszne, że szyby w oknach dzwoniły... a przejeżdżający zdaleka sądzili nieraz, że do jakiegoś miasta się zbliżają, gdy tymczasem te tysiące światełek były poprostu ślepiami wilków żerujących. Wilki napadały po drogach, zjadały nieraz podróżnych, konie, pocztylijona, konduktora... wpadały w biały dzień do chałup... porywały dzieci z kolebkami... kury z kojcami...

— Wieprze z chlewami—wtrącił Feluś.

— Co?... a... przesadzasz, mój Felusiu — mruknął Pływalski. — Jednem słowem robiły tak straszne spustoszenia, że nikt z domu nie wyjeżdżał, a o wypuszczeniu gromady w pole i myśleć nie można było. Ojciec mój, któremu zarzucali, że jest temu poniekąd przyczyną, nie tępiąc wilków, zarządził ogromną obławę; sprosił całą okoliczną szlachtę ze służbą dworską...

komendanta siły zbrojnej z okręgowego miasteczka z całą kompaniją wojska... i zaczęło się polowanie. Ja, jako faworyt ojca, a przytem namiętny już wtedy myśliwy, porwałem z kołka Batorówkę i pobiegłem za strzelcami na stanowisko. Pamiętam, jak dziś: przez środek lasu rozciągnięta była sieć... z jednej strony szła obława, z drugiej myśmy stali.

Wtem patrzę... jedzie ogromne wilczysko na sztych... Ja za strzelbę... klap!... do dyjabła!... przypominam sobie, że nie nabita... Nabijam więc ją czemprędzej... mierzę wilkowi w czoło... walę... bach! bach! dwa razy...

— Z jednej lufy?—zapytał Feluś.

— Co powiecie?—kończył, nie zważając na złośliwe zapytanie, rozpłomieniony łgarz—wilk spiął się na zadnie nogi, potrząsając łbem, nad którym wznosił się stempel nowej strzelby przez zapomnienie nie wyjęty. Zaczął łbem walić w drzewo na prawo i na lewo, chcąc się pozbyć niedogodnego przyboru; ale strzał był tak celny, a nabój prochu tak mocny, że stempel zarył mu się w czaszkę do połowy, nie zrządziwszy jednak szkody na zdrowiu, bo ani kropelka krwi z rany nie wyszła. Obława się tymczasem zbliżała... Wilczysko, spłoszone jej krzykiem i strzałami, które się tu i owdzie po lesie rozlegały, rzuca się całą siłą w sieć... stemplem, jakby rogiem, rozrywa takową i dalej w las!... Przeleciał koło mnie o parę kroków, ale ja strzału dać nie mogłem, bom stempla do przybicia naboju nie miał. Obława udała się jako tako... około mendel wilków zabito; ale dziesięć razy tyle zostało ich jeszcze w lesie. Postanowiono więc zjechać drugi raz po tygodniu, skoro się przepłoszone wilki uspokajać zaczną. Jakoż w tydzień zjeżdżają znów wszyscy... obława rusza... strzelcy na stanowiskach... robimy zakład jeden... drugi... trzeci... ale wilka ani na lekarstwo nie widać... Co to jest?—pyta mój ojciec—czy się w ziemię wryły?... czy ich dżuma wytępiła?... A na to dopiero stary gajowy, który przez całą obławę stał niedaleko mnie, trzymając się za boki od śmiechu, objaśnił nas, że wilków już od tygodnia niema, bo widział na własne oczy, jak nocami całe ich stada, stuliwszy ogony, uciekały z naszych lasów, gonione przez jakiegoś potwora, napozór do wilka podobnego, ale odróżniającego się ogromnym rogiem na głowie... Był to mój wilk... mój strzał... mój stempel... dzięki któremu cała okolica raz na zawsze tych nieproszonych pozbyła się gości.

Baryłkiewicz, choć to już może poraz setny słyszał, parsknął na widok rozpłomienionego Pływalskiego śmiechem, któremu i ja się oprzeć nie mogłem. Tryumfujący pan Polikarp w nieustającej swej werwie, poskoczył do ściany, porwał za jakiś młotek i, wywijając nim, rzekł znowu:

— A wiecie, zkąd ten młotek datuje?

— Pokaż go... — odparł Feluś, oglądając stary młotek — na bardzo starych rzeczach to i ja się czasem poznam... Czekaj-no... czekaj... Aha!... wiem, wiem!... To są młotki ciesielskie z epoki budowania wieży Babel!... prawda?

Pływalski spojrzał nań niedowierzająco, a zarazem tak głupią nastroił minę, żem już śmiechu powstrzymać nie mógł.

Jordan. (p. t. I s. 209)

* Dwaj czeladnicy wybrali się na wędrówkę. Jeden z nich był wesołym krawcem, lubił zaglądać do kieliszka i dla tego też często zaczepiał ludzi, prosząc o wsparcie. Drugi był z zawodu introligatorem, żył skromnie, przyzwoicie i oszczędnie tak, że nie był bez grosza i nie potrzebował narzucać się drugim. Gniewało to jego towarzysza, posądzał go więc o dumę i zarozumiałość. Pewnego dnia przechodzili koło jakiegoś probostwa. Krawiec, widząc kurzący się dym z komina, poczuł ślinkę w ustach i nuże namawiać introligatora, by prosili proboszcza o obiad. Ten czuł się również głodnym, a nie widząc w pobliżu oberży, zgodził się wreszcie na podszepty kolegi. Służąca wpuściła obu czeladników do pokoju, a ksiądz przywitawszy ich bardzo uprzejmie, spytał krawca o wyznanie. „Katolik, katolik“ — odpowiedział

tenże pośpiesznie, chcąc sobie tem zjednać łaskę księdza, choć w rzeczywistości był protestantem. Introligator przecież wyznał prawdę, jako należy do kościoła reformowanego. Proboszcz poszedł do kuchni. „Głupcze!—zawołał krawiec, skoro tylko za odchodzącym zamknęły się drzwi—dla czego nie powiedziałeś, że jesteś katolikiem? Zobaczysz, jak cię skąpo poczęstuje klecha, boć pewno nie lubi protestantów.“ „Nie zaprę się wiary—odrzekł zagadnięty spokojnie —dla kawałka mięsa.“ Był to właśnie dzień piątkowy i na probostwie gotowano z postem. Po chwili wrócił proboszcz, a za nim kroczyła kucharka, niosąc w jednem ręku miskę kartofli z masłem, a w drugiej na talerzu kawał zimnej pieczeni. „Oto dla ciebie postne jedzenie—rzekł proboszcz do krawca — a to dla ciebie mięso, boć protestanta nie obowiązuje post katolicki.“ Krawiec spuścił nos na kwintę, introligator zaś uśmiechnął się i rzekł do niego: „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.“

* Ażeby zawstydzić kłamcę, trzeba lepiej niż on skłamać. Pewien student opowiadał, iż przyjaciel jego, mający lat 24, po nagłem zmartwieniu, w jednej chwili osiwiał jak gołąb. „Eh! to nic—odparł obecny temu młody oficer—mojemu bratu czarna peruka posiwiała, skoro dowiedział się o śmierci żony!“

* *Na portret kłamcy.*

Mówią, że nie trafiony. Trafiony jest wcale:
Kłamstwo widać w portrecie i oryginale.

Ad. Pełka.

Kłamstwo.

* Kłamstwo jest szkaradną plamą ludzkiej natury, prawdziwym darem szatana, niestety, tak wspólnym z ludźmi, że w najdawniejszych księgach znajdujemy o nim szerokie wzmianki i narzekania na tę wadę, zarażającą ludzkość całą; jest to pierwszy występek, który sprowadził wszystko złe na ziemi, a Dawid już mówi: „Dlaczego tak jesteście próżni i tak miłujecie kłamstwo?“ Wśród prostych, nie zepsutych ludzi znaleźć można jeszcze zamiłowanie prawdy; cywilizacyja dopiero i oświata wyrabia pewien wstręt do prawdy, istnie moralną chorobę, jak wodowstręt u psów wściekłych. Prawda jest córą nieba, dla tego rzadko kiedy spotyka się ją na ziemi. Kto teraz miłuje prawdę i kto się za nią ubiega? Leży ona pogrzebana w błocie kłamstwa i wybiegów różnych. Przyznać trzeba, że kłamstwo przynosi więcej korzyści, aniżeli prawda, a nie każde da się sprawdzić w ten sposób, jak kłamstwo pewnej służącej, oskarżającej kota o zjedzenie całego funta masła; niezbyt łatwowierna pani zważyła mniemanego winowajcę i biedna kocina ważyła cała tylko $^3/_4$ funta. Prawdę przedstawiają nago; mówi się też zwykle o „nagiej prawdzie“, jest tedy za uboga, aby mogła figurować w wysokich towarzystwach i utrzymać się w drogich miastach, gdzie za to znajdują się prawdziwi wirtuozi kłamstwa. Klufeland utrzymuje, że prawda w charakterze jest jednym z głośnych środków przedłużenia życia, dla tego to chyba tak mało obecnie spotyka się bardzo starych ludzi. Słówko „*może*“ jest jeszcze najprawdziwszem w naszej mowie; gdyby słynna książka „Des erreurs et de la vérité“ (o błędach i o prawdzie) odpowiadała zupełnie tytułowi, to pierwsza jej część powinnaby zawierać z 50 folijałów, a druga pół stronnicy. Dawnem jest przysłowie łacińskie: „Kocham Platona, kocham Arystotelesa, ale więcej jeszcze kocham prawdę“. Dawniejszem jednak jeszcze jest kłamstwo i oszukaństwo. Dzicy najlepiej określają kłamstwo, nazywając je: „rzeczą, której niema“. Starożytni filozofowie i Ojcowie kościoła nakazują „prawdę bez wyjątku“; dozwalają jednak na kłamstwo z „potrzeby“ w dobrym celu, czyli kłamstwo pobożne kościoła i legend, a Plato, który brzydzi się kłamstwem, usprawiedliwia je u lekarzy. Patryjarcha Abraham kłamał, mówiąc do sługi: „Zostań tu, ja pójdę z moim synem na górę, aby się tam pomodlić i powrócimy zaraz“. Święty Augustyn dzieli kłamstwo na osiem klas,

które wszystkie mniej więcej zabijają duszę; nie usprawiedliwia on nawet kłamstwa w żarcie, ani tego, co w kościelnej mowie nazywają: chęcią podobania się za pomocą przyjemnej mowy. Nie znał on i nie przypuszczał może nowoczesnej zasady: „jeżeliś zrobił co złego, zaprzej się". Dzieci kłamią już z naturalnego popędu; chłopiec opowiada o swoim drewnianym koniu, jak jeździ, rży i zajada siano lub owies, a dziewczynka o swojej lalce, jak z nią rozmawia, jak jest grzeczna lub uparta; matki i bony uczą same kłamstwa, mówiąc dzieciom, gdy są niegrzeczne: „Prawda, żeś ty tego nie zrobił? to ten szkaradny pies to stłukł", albo: „to kotek zjadł" i t. p.; dziecko zastanowi się nad tem i zrozumie bardzo prędko, że przez kłamstwo może się uwolnić od odpowiedzialności i kary, i tak urabia się kłamca na dalsze życie. Bajki nieprawdopodobne rozbudzają wyobraźnię i uczą tworzenia fantastycznych opowieści. Pewien misyjonarz sam przyznawał się do kłamstwa, tłumacząc je w ten sposób: „Nie uwierzycie, jaką to robi przyjemność, gdy 20,000 ludziom opowiada się rzeczy, w które się samemu nie wierzy, a których wszyscy słuchają z otwartemi ustami". Wychowanie Persów zasadza się na czterech rzeczach: „Dobrze strzelać, dobrze jeździć konno, nie pożyczać i nie kłamać". Dwie pierwsze sztuki zna dobrze każdy żołnierz, ale wykonanie dwóch drugich jest nader ważne i trudne, a trzecia prowadzi zwykle do czwartej. Cała teoryja naszej grzeczności czyż nie zasadza się na kłamstwie? Herodot pisze cały rozdział na tekst: „Gdzie się musi kłamać, tam kłamać trzeba". Kłamstwo, które nie szkodząc nikomu, może zrobić coś dobrego czy nam samym, czy drugim, nie uważa się już za kłamstwo, a przynajmniej nie jest niemoralnem. Kłamstwa można podzielić na cztery kategoryje: 1. Kłamstwa ex officio, Lukryjanie przysięgli Sycylijczykom wieczną przyjaźń, „dopóki mieć będą głowy na plecach i ziemię pod stopami", ale do tej przysięgi przygotowali się naprzód w ten sposób, że nasypali sobie ziemi w obuwie i włożyli za plecy po główce cebuli, co po wykonaniu przysięgi zaraz wyrzucili. Karol V przy traktowaniu z Franciszkiem I rzekł: „Wola brata mego Franciszka będzie i moją", a że Franciszek żądał Medyjolanu, Karol żądał go także. Timur przy oblężeniu Sebastyi przysiągł, że jeżeli miasto się podda, nie wyleje ani kropli krwi i po poddaniu się kazał wszystkich żywcem zagrzebać. Podczas wojny kłamstwa są też niezbędne, wiedzieli o tem dobrze tak Napoleon, jak i Fryderyk. Kłamać muszą nieraz i księża, a cóż dopiero adwokaci, doktorzy i t. p., to wszystko ex-officio, jako kłamstwo konieczne. Drugą kategoryję składają kłamstwa estetyczne, czyli literackie, z których składa się nietylko cała poetyczna literatura, ale i dziennikarstwo, recenzyje przyjacielskie lub opłacone, ogłoszenia wydawców i t. p.; kłamstwa znajdują się także i w anegdotach historycznych, a Goldoni nazywa to: „Dowcipnym wymysłem bujnej wyobraźni i genijuszu". Tę płodność wyobraźni posiada też w wysokim stopniu wielu podróżopisarzy, bijografów i innych bohaterów pióra i pałasza. Falstaf opowiada, jak go napadło dwóch rozbójników, a gdy to nie wywołało dostatecznego efektu, mówi dalej o czterech, siedmiu, nakoniec jedenastu, których wszystkich pobił. Do trzeciej kategoryi należą kłamstwa prywatne, wśród których te, które popełniamy z dobroci serca, dla wybawienia bliźnich z kłopotu, mogą być zaliczone do cnót. Czwartą kategoryję składają kłamstwa z grzeczności i chęci przypodobania się, które można nazwać najniewinniejszemi; galanteryja jest niczem innem, jak delikatnem kłamstwem przez miłość. Kłamstwa grzeczności, nazwane w ich prawdziwej ojczyźnie „komplementami", są pierwszym krokiem do zbliżenia serc, do szczęścia i powodzenia. Słynny kupiec; szląski *Hasenclewer*, przebywający w Hiszpanii, spotkał się w Kordubie z jakimś dygnitarzem duchownym i pomógł mu wysiąść z powozu, przyczem poznał w nim wielkiego inkwizytora,

który go zapytał: — Jesteście zapewne francuzem?—Nie, panie, jestem niemcem.—A to może znacie mojego wuja, hrabiego Basquez, który jest jenerałem w Wiedniu? Ciekawy jestem, jak się on miewa?—O, bardzo dobrze, tylko reumatyzm dokucza mu czasami —rzekł Hasenclewer, który co prawda, nawet o nazwisku takiem nigdy nie słyszał. Ale to małe kłamstwo bardzo mu się później przydało. Takie kłamstwa w danej okoliczności są nieraz bardzo potrzebne dla tego, komu jest miły spokój, lub kto chce być dobrze widzianym. Dobrze już jest umieć milczeć, ale jeszcze korzystniej znajdować wszystko pięknem, dobrem i wybornem, a dobry Bóg, który wszystko widzi, takich kłamstw z grzeczności nie zapisuje chyba w księgę grzechów.

Prawdziwym przedstawicielem wszystkich kłamców i trzpiotów (co zwykle razem chodzi) jest gaskończyk, który wszystko wie, wszystko widział i był nawet przy stworzeniu świata; kłamie on zupełnie bezwiednie, a hyperbola leży w jego naturze, śmieszna próżność jest cechą jego charakteru, a jego kłamliwe przechwałki i trzpiotowatość nie szkodzą nikomu; szpada jest dla niego kluczem, otwierającym wszystko, a jego Garonna piękniejsza i większa nad wszystkie rzeki w świecie, a gdy mu ktoś wspomniał przytem o Tybrze, zawołał oburzony:

„Tyber! taka nitka wody?
To mi dopiero cud wielki!
Gdyby chciał płynąć przez moje ogrody,
Kazałbym go wlać do butelki“.

Materac gaskończyka wypchany jest brodami nieprzyjaciół pobitych, a gdy ktoś opowiadał o miejscu, mającem zadziwiające echo, które powtarza wymówione wyrazy sześć do siedmiu razy, przytomny temu gaskończyk rzekł: „Wielka mi rzecz! u mnie jest także echo, że gdy kto zawoła: „jak się masz?“ odpowiada: „czekam, do usług“. Brantome opowiada o radamontadach hiszpanów, równających się tym gaskonadom: gdy we Włoszech pytano pewnego oficera hiszpańskiego, jak liczny jest jego korpus, odpowiedział: „Mamy 3,000 włochów, 3,000 hiszpanów i 6,000 żołnierzy“. Inny, którego się pytano o jego czyny wojenne, zamiast odpowiedzi, dobył do połowy swą szpadę i rzekł: „O, gdybyś ty, mieczu, umiał mówić!“ Inny opowiadał, że podczas bitwy ma zawsze zamknięte oczy, bo rąbiąc ciągle na wszystkie strony, nie może patrzeć na latające w koło głowy, ręce i nogi. Jakiś znów mówił, że gdzieś na północy, gdy go noc zaszła niedaleko kościoła, przywiązał konia do słupa, a sam, owinąwszy się płaszczem, usnął. Nad ranem obudziło go rżenie konia: patrzy —aż tu jego szkapa wisi na wierzchołku wieży kościelnej; ujął tedy pistolet, odstrzelił uzdę i pojechał dalej. Najlepszy jednak był ten, który opowiadając o swoim pojedynku, rzekł: „Mój przeciwnik i ja byliśmy tak dzielnymi strzelcami, żebyśmy się niezawodnie pozabijali razem na śmierć, gdyby nie to, że gdyśmy wystrzelili razem, kule nasze powpadały do luf pistoletów“. Sanszo Pansza opowiadał, że w swojej słynnej napowietrznej podróży widział ziemię tak małą, jak ziarnko gorczycy, a ludzie, chodzący po niej, nie byli więksi od laskowych orzechów; a gdy mu księżna zarzucała nieprawdopodobieństwo, rzekł: „Wytłomaczyć tego nie potrafię, ale co widziałem, to widziałem“. Gdy zaś kiedy czuł, że zabrnął zadaleko i trudno mu wywinąć się z tego, zwykł był mawiać: „Pan Bóg mnie rozumie“. Nasi przodkowie mawiali: „Dla poparcia jednego kłamstwa potrzeba dziewięciu innych“. Pewien gaskończyk opowiadał, że dowodził jedną z pływających bateryj pod Gibraltarem i powoływał się na świadectwo swego kamerdynera, który odpowiedział: „Wasza Wielmożność zapomina, że mnie zmiotła pierwsza angielska kula“, na co nie zmięszany gaskończyk dodał: „Ach! tak, prawda, i w nagrodę zrobiłem cię moim kamerdynerem“. Najlepiej udają się kłamstwa podróżnym i jak mówi francuzkie przysłowie: „*a beau mentir qui vient de loin*“; Lucyan wyszydza już te kłamliwe opisy podróży, ale jeszcze lepszą satyrą byłyby „Podróże Münhausen'a“, gdyby nie grzeszyły zbyt płaskim dowci-

pem w ostatnich trzech tomach. Nie można się nie śmiać, czytając te opisy, np. o czarnym lisie, którego tak długo smagano biczem, aż wyskoczył ze swej skóry, pozostawiwszy ją w całości; o charcie, który długą służbą tak sobie zużył nogi, że został wkońcu taksem; o tym wilku, który napadał Münhausena, jadącego konno i uwiesiwszy się u konia, gryzł go ciągle po kawałku tak, że się posuwał na jego miejsce i w końcu jeździec, zamiast na koniu, na tym wilku wjechał do Petersburga; o owym jenerale, który mając czaszkę, wprawioną ze srebra, nigdy nie mógł się upić, bo gdy tylko czuł, że mu wino uderza do głowy, podnosił srebrną czaszkę i wszystka moc upajająca ulatywała. Jest tam także wspomnienie o rogu myśliwskim, w którym głos zamarzał na polu podczas polowania, a gdy w domu postawiony za piecem odmarzał, zaczął sam trąbić dalej; o stangrecie, który swoim biczem w powietrzu kreślił bardzo wyraźnie G. i B., a gdy Münhausen, znalazłszy kiedyś w swojej podróży zmarzniętego człowieka, zdjął z siebie płaszcz i otulił nim biedaka, usłyszał wyraźny głos z nieba: „Niech mnie dyjabeł porwie, Münhausen'ie, jeżeli ci tego nie wynagrodzę“. Nawet podczas swojego uroczystego pogrzebu Münhausen musiał ostatniego figla wypłatać, bo gdy zebrana publiczność wołała: „Niech żyje Münhausen!“ — umarły podniósł się i odpowiedział: „Na wieki“.

Niżej wszelkiej krytyki są „Podróże i opowieści barona Münhausen'a młodszego, z roku 1812“; jak i „Podróże Kociołkiewicza do Kłamcogrodu“ z roku 1790. Godne tych są też opisy podróży pewnego włocha, który między innemi mówi o Tybrze, że woda tej rzeki jest gotową lemoniadą i to bardzo naturalnie, bo płynie pośród lasów cytrynowych, cytryny wpadają ciągle do wody, a przytem wpada tam także wiele słodkiego drzewa i owoców, które osładzają kwas cytrynowy. Najlepiej robi Mandelslohe, który w swoich opisach podróży pod osobną rubryką zamieszcza: „Rzeczy, którym sam wierzyć nie mogę“. *Demokritos*, *Weber*.

* *Kłamstwa wojskowych i myśliwych.*

Wojskowi podobni są do podróżnych w opowiadaniach swoich; miłe są wspomnienia przebytych trudów, a w opowiadaniach, dla lepszego efektu, dodaje się wiele i z czasem wierzy się w te własne kompozycyje tak, że sam bohater w końcu nie wie, co w jego opowiadaniu jest prawdziwem, a co dodanem. Pewien strzelec, chwaląc się z celności swoich strzałów, opowiadał, że kiedyś, gdy mu zabrakło ładunku, nabił fuzję kluczem od mieszkania, który nosił w kieszeni—wracając do domu, nie mógł klucza wydobyć, więc wycelował do drzwi i strzelił tak trafnie, że klucz wpadł od razu w dziurkę właściwą we drzwiach, z tego impetu sam się zakręcił i drzwi się otworzyły. *Arkon* Wirgila dokazywał jeszcze więcej, strzelając z łuku, bo wziąwszy na cel włos, przeciął go strzałą na dwoje. Pewien pruski oficer opowiadał o swoim doboszu, że był obdarzony tak delikatnym słuchem, iż po odgłosie bębna poznawał, czy skóra naciągniona na nim była z rocznego, lub z dwurocznego cielaka; inny znów był tak silny, że gdy wchodząc w bramę Brandeburgską, przerzucił przez bramę laskę swą ze srebrną gałką, miał czas wejść do miasta, kupić owoców za kilka groszy i uchwycił dopiero laskę, spadającą z góry. Pewien junkier, zapalony myśliwy, w czasie wojennym nie mógł polować w dzień, więc wymykał się w nocy, przywiązywał psu latarkę do ogona i gdy pies stanął, przy świetle latarki zabijał po tuzinie kuropatw na raz; innym razem wziął z sobą sukę szczenną, która ruszyła zajęczycę również kotną i podczas pogoni patrzy, aż tu gonią się dwie pary, jedna za drugą: stara suka pędzi za starym zającem, a maleńkie szczenie za nowo ulęgniętym zajączkiem. Le Vaillant opowiada wiele nadzwyczajnych epizodów ze swojej podróży po południowej Afryce; jednym z lepszych jest spotkanie jego z majestatycznym królem zwierząt; gdy się niespodzianie znaleźli jeden naprzeciwko drugiego, spojrzeli sobie groźnie w oczy i popatrzywszy tak czas jakiś, rozeszli się z wzajemnym dla siebie szacunkiem.

Pewien stary jegomość, obsłuchany z podobnemi historyjkami, miał zwyczaj na takie kłamstwa odpowiadać jeszcze większemi; i gdy ktoś opowiadał, że ze strachu będąc w niebezpieczeństwie życia, raptem kompletnie osiwiał, rzekł: — Cóż dziwnego, mnie kiedyś w podobnym wypadku zupełnie nowa peruka osiwiała na nic. A gdy inny dowodził, że na wysokiej wieży widzi doskonale siedzącą muszkę, dodał: — Ja ją nawet słyszę brzęczącą. W kłamstwie jest pewien urok, odurzający samego blagiera tak, że rozpromienia się, opowiadając rzeczy wesołe i płacze nad wspomnieniem nieszczęść, które tylko w jego imaginacyi egzystowały; jeden z takich mistrzów, który nigdy nie wyjeżdżał z kraju, opowiadał często o swoim pobycie w południowej Afryce, gdzie ożenił się z Hotentotką i był bardzo szczęśliwym mężem i ojcem, aż pewnego razu napadł go ojciec żony i pożarł mu wszystkie dzieci, czem tak był przejęty, że za każdym razem przy tem opowiadaniu gorzkie łzy wylewał. Z takich fikcyj śmiać się tylko można, ale na przechwalaczy dobrze jest, gdy się znajdzie ktoś taki, co im nosa zetrzeć potrafi, jak książę N., który odpowiedział nowo kreowanemu pułkownikowi, chwalącemu się, że dostał tę rangę, nie zrobiwszy ani jednego kroku za tem. — Wierzę najzupełniej, bo kto się czołga, ten kroków nie robi. Wiemy już naprzód, że sprawozdaniom wojennym tylko ledwie przez pół wierzyć można. Grecy kłamali już dobrze, opisując bitwę pod Maratonem, gdzie 10,000 ludzi pobiło 600,000-ne wojsko persów, tak, że 200,000 persów, a tylko 192 ateńczyków poległo na placu boju; lepiej jeszcze było z Xerxesem, który wysadził na ląd 5,281,000 żołnierzy, a grecy w kilku bitwach wybili ich wszystkich, jak kury. Poważni Rzymianie potrafili tak samo blagować, opisując, jak Maryjusz pobił 140,000 Cymbrów, 60,000 wziął do niewoli, a stracił przytem tylko 300 ludzi; gdybyśmy mogli czytać równoczesne opisy o tych bitwach, sporządzone przez Persów, Kartagończyków i Cymbrów, wiele z tych zadziwiających czynów Greków i Rzymian okazałyby się patryjotycznemi kłamstwami. W naszych czasach pełno jest kłamców we wszystkich stanach, ale dzisiejsza wydelikacona mowa nazywa kłamstwo najwyżej przesadą i idealizowaniem. Wielu z takich „idealistów" mają swoje szczególne cechy, po których poznać można, gdy wchodzą w krainę fantazyi; jeden mruga oczami, drugi patrzy w górę, inny — w ziemię, ten poprawia ciągle krawat, jakby go coś dusiło, ów ma do czynienia z palcami, jak gdyby je rachował, a żaden nie spojrzy słuchaczowi prosto w oczy. W jakichkolwiekbądź warunkach i okolicznościach, kłamstwo jest zawsze brzydką wadą, pozbawiającą nas wiary i szacunku u ludzi; a że mówić prawdę często bywa niebezpiecznie, pozostaje nam w pewnych razach, jako ochronny środek — milczenie.

* Otwórz jedne drzwi dla prawdy i kłamstwa, a możesz być pewny, że kłamstwo przejdzie pierwsze.

Feuillet de Conches.

* Pewien młodzieniec, znany powszechnie z kłamstwa, chciał razu jednego opuścić niepostrzeżenie towarzystwo, zatrzymano go jednak, nalegając, aby przedtem powiedział, gdzie idzie. Młodzieniec, przybierając minę, wiele dającą do myślenia, wzbraniał się od wyznań... „Powiedz że, powiedz — zawołał jeden z jego kolegów — i tak nikt ci nie uwierzy!"

* Pewien znany kłamca chwalił się w towarzystwie, że przejeżdża zwykle pół mili w ciągu pięciu minut. Nie dowierzając chwalcy, odniesiono się do obecnego tamże berajtera z zapytaniem, czy on mógłby dokazać tej sztuki. „Moi państwo — odparł berajter — jeździć tak nie mógłbym, ale kłamać tak, bardzo łatwo."

* Pewien szlachcic francuzki obiecał trzem swoim służącym sowitą nagrodę, za wymyślenie na prędce najlepszego kłamstwa.

„Ja nigdy jeszcze nie skłamałem" — odezwał się pierwszy. „Ja choćbym chciał, nie potrafię skłamać" — usprawiedliwiał się drugi. „O! moi

koledzy mówią świętą prawdę"—przytwórował trzeci i ten otrzymał przyrzeczoną nagrodę.

* *Kłamstwo ukarane.*

Mały Karolek, jadąc z rodzicami koleją, wygląda ciągle oknem. „Ostrożnie chłopcze, odejdź od okna, bo ci wiatr porwie z głowy kapelusz", przestrzega ojciec, ale to mało skutkuje; po chwili dziecko znów wychyla głowę; wtedy ojciec delikatnie zdejmuje mu z głowy kapelusz, chowa go po za siebie i mówi: „A widzisz! nie mówiłem, teraz niema kapelusza." Chłopiec w płacz—ojciec tedy pociesza go, mówiąc: „No, czekaj, jak ja zagwiżdżę, to kapelusz powróci", i zagwizdawszy, wydobył niepostrzeżenie kapelusz ku wielkiej radości syna. Po jakimś czasie, gdy rodzice, zagadawszy się, nie uważali na Karolka, ten zdjął kapelusz, wyrzucił go sam przez okno i woła: „Ojcze, gwizdnij znowu na mój kapelusz."

(*Flieg. Bl.*).

Kłódka i kluczyk.

* — Co ty sobie myślisz, niedołęgo, że na to ci poświęciłam moją młodość, żeby mnie ten raz palcami wytykali... Chlipalscy wystąpili z mrożonym szampanem, u Prtutrumkiewiczów jarzyny wprost z Paryża sprowadzone, a u nas ciągle tylko polędwica i indyk... Nic i zawsze nic... Ale dobrze mi tak, trzeba się było tego spodziewać, idąc za ciebie.

— Ależ moja duszko!..

— Nie odzywaj się do mnie, ty tylko to jedno umiesz: „Moja duszko i moja duszko..." Cokolwiek i kiedykolwiek zażądałam od ciebie...

— Jeżeli nie mogę...

— Co mi tam do tego, że nie możesz... Dosyć ci już ustępowałam, ale na teraz na najpierwszym wieczorku u nas musi być coś paryzkiego—rozumiesz!.. Inaczej, popamiętasz mnie długo... Oh, czemużem nie wyszła za Alfreda!!

. . . .

Pani Helena, która prowadziła powyższą rozmowę ze swoim podtatusiałym już Jacusiem, była osóbką młodą i pełną życia, a tak pociągającą i tak piękną, gdy żaliła się, że mąż nie zawsze ją zadawalnia, że... na to, by nie zrobić, czego chciała, trzeba było być chyba z kamienia.

Nic więc dziwnego, że Jacuś miał minę zafrasowaną i że na czarnej kawie zdziwił przyjaciół grobowym wyrazem twarzy... Zdziwienie to wzrosło, gdy milczący dotąd Jacuś rozpromienił się, ujrzawszy wchodzącego właściciela apteki i miał z nim długą konferencyję, po której już zupełnie uspokojony opuścił cukiernię.

Wieczorem ani śladu już nie było zmartwienia, gdy powrócił do domu z wielkiem a pachnącem pudłem pod pachą. Powiedział coś swej zachwycającej żoneczce, a ta... o dziwo, uściskała... go!

Co było powodem, zobaczymy później...

Tymczasem przejdziemy do oświetlonego salonu państwa Jacentostwa. W salonie pusto, wszyscy w jadalnym pokoju. Na stole polędwica i indyk jak zwykle, ale Jacentowa nie zważa na to, iż Chlipalska półgłosem żali się Prtutumkiewiczowej na *menu* kolacji, nie zważa, iż radca Kleofas zabiera się do wypowiedzenia toastu na cześć gospodarstwa, toastu zresztą już znanego przez wszystkich na pamięć, tylko karmi własnoręcznie i własnoręcznie prowadzi do fortepianu ociemniałego muzykusa, a uczyniwszy to, wzywa wszystkich do kotyljona...

— A gdzież przybory—pyta miejscowy Fikalski—uprzedzam panią, że figury „z oślą głową" robić już nie będę... I tak już mnie nazywają oślą głową...

Prtutumkiewiczowa szepce coś Chlipalskiej, a uśmiech ma wielce ironiczny... Pani Helena z pewnością będzie musiała się usprawiedliwiać aranżerowi tańców... Co za radość, widzieć jej pomięszanie...

Tymczasem pani Helena nie zarumieniła się nawet... odpowiada z uśmiechem:

— Panie Arturze, myślałam o tem, a na dowód masz pan...

I podała skryto dyskretnie za firankami okna ogromne pudło, owo pachnące, które na przeprosiny przyniósł Jacenty.

Przyjaciółki zbladły ze złości, a Artur z tryumfem odkrył wieko... Okrzyk wyrwał się z jego piersi... Wszyscy otoczyli go kołem i rozległo się ogólne:

— Ach!..

W okrzyku czuć było po części niewiadomość, jak zwykle we wszystkich okrzykach, przez tłum wydawanych...

Faktem jednak pozostało, że się dziwili.

W pudle znajdowało się kilkanaście złoconych kłódek i kilkanaście również złoconych kluczyków.

— Ach jakie ładne! —wołały panienki, chwytając to za kłódki, to za kluczyki i oglądając je ciekawie.

Micia Chlipalska, dwudziestodwuletnia pannica, której mama liczyła jednakowoż dopiero lat szesnaście, chciała postąpić jak inne...

— Miciu, nie ruszaj kluczyka — zawołała stara Chlipalska.

— A kłódkę można, mamo?

— Ani kłódki; dobrze wychowane panienki nie powinny nic brać w rękę, dopóki im starsi nie pozwolą.

I stara Chlipalska zbliżyła się do pudła, snać dla obejrzenia, czy w kłódkach owych i kluczykach nie mieści się co dla młodego wieku niewłaściwego.

Pan Artur dumał... Nigdy wódz, układający plan kampanji, nie był bardziej zamyślony. Nareszcie zawołał: „mam" i zbliżając się do pani Heleny, zapytał:

— Czy pani nie ma jakiego ciemnego pokoju?

— Na cóż to panu?

— Do figury.

— Jakto?..

— Uważa pani, chciałem paniom dać kluczyki, a nam kłódki, żeby potem panie dobierały, ale pani Chlipalska na to nie pozwala, wymyśliłem więc inny sposób: oto wszyscy udamy się do ciemnego pokoju i tam z pudła każda i każdy wybierze jedną sztukę, będzie to rodzaj loteryi...

— Przepysznie!..

— Ależ Helciu, czyby nie można było, żeby panowie oddzielnie poszli, a panie oddzielnie.

— Nie wtrącaj się do tego, czego nie rozumiesz... każę zgasić światło w buduarze... a za chwilę pójdziemy tam wszyscy...

Projekt przyjęto z uznaniem; nowo wymyślona figura obudziła taki zapał, iż nawet stary radca zbliżył się do czternastoletniej Józi.

— Czy mogę panią prosić?

— Z przyjemnością, ale ja jeszcze dobrze nie umiem...

— Nic nie szkodzi i ja także już zapomniałem...

Gdy wracano z wyciągniętemi losem emblematami kotylijonowemi, twarze wszystkich były nadzwyczaj ożywione... Nawet Micia Chlipalska, pomimo zakazu mamy, wcisnęła się za innymi i rozpromieniona była jak wszystkie, a nawet bardziej niż inne, może z tego powodu, iż choć mama zabraniała, jej właśnie do ręki dostał się największy kluczyk.

Kto z kim będzie tańczył, stało się teraz kwestyją, palącą... buzie płomiennem oczekiwaniem.

— Mój Boże — szeptała w kąciku śliczna blondynka Zosia do wysmukłego a wysokiego bruneta—czy my się dobierzemy..! Patrz pan, jaka to mała kłódka.

— Jakoś to będzie.

Panią Helenę już za rękę trzymał Artur, figura miała się rozpocząć, gdy w tem odezwał się głos z pod pieca.

— Przepraszam, jeszcze nie można zaczynać.

— Dla czego?..

— Dla tego, że ja jeszcze nie mam kluczyka...

Interpelantką była trzydziestopięcioletnia panna Klotylda.

-- Bójcie się Boga, szukajcie kluczyka do kłódki panny Klotyldy, bo inaczej nigdy nic zaczniemy...

— Jacuś, gdzieś ty podział kluczyk?—spytała męża pani Helena...

— Albo ja wiem, może mi w składzie nie dodali, a może zginął...

— Nie powinien był zginąć, za karę tańcz sam...

I biedny Jacuś puścił się w tany...

. . . .

Jak się kotyljon odbył, na cóż opowiadać, czyście nie widzieli nigdy kotyljona?..

Dla ścisłości dodam chyba tylko, że pani Helena, która niezmordowanie tańczyła do końca balu z panem Arturem, tak jest zadowoloną aż dotąd, że męża o nic już nie nudzi...

Bodaj to francuzkie figielki!

Gwynplaine.

Kłótnia.

* Od chwili, gdy zaczęli czarci z nieba spadać,
Kłócą się dotąd, kto z nich ma niebo posiadać.

Mickiewicz.

* *Kłótnia o pierwszeństwo.*

Dwie damy z dworu Karola V sprzeczały się o pierwszeństwo.

Cesarz, którego na sąd wezwały, rozstrzygnął, że starszej pierwszeństwo się należy.

Sprzeczka ustała natychmiast i nie ponowiła się więcej.

Kobieta.

* Wyraz, bez którego żadna encyklopedyja obejść się nie może. *Określenie* jednak istoty tej staje się coraz trudniejszem w obec tego, iż od wieków najdawniejszych istotę ową *kreślono* słowami, piórem, ołówkiem, pędzlem i dłutem, *wykreślono* z rzędu uprawnionych osobistości, *zakreślono* jej taki lub inny krąg działalności, niejeden myśliciel, *skreśliwszy* swe pojęcia o tej istocie, natychmiast *pozakreślał* to, co napisał i pisał co innego; przy tem zaś wszystkiem istota ta pozostała pojęciem zagadkowem. Niechaj zatem zostanie zagadkową.

* Adam, ujrzawszy Ewę, powitał ją wykrzyknikiem radości: „Oto kość z moich kości, i ciało z mego ciała“ — rzekł; czy długo jednak zachował to radosne uczucie i nie żałował pierwotnej samotności, na którą się wprzód skarżył? O tem nic pewnego nie wiemy, ale przypuścić chyba można, że pierwszy sen naszego praojca był dlań ostatnią chwilą prawdziwego spokoju. Wkrótce też ujrzał się pod pantoflem, gdy za namową Ewy ugryzł podane mu przez nią jabłko, do czego nie wstydził się sam przyznać, tłomacząc się przed Bogiem słowy: „Kobieta mi je dała i jadłem.“ Być może, że po wypędzeniu z raju starał się zemścić na swej połowicy, używając względem niej gwałtu przemocy, traktując ją pogardliwie, jako słabszą i bardziej upośledzoną istotę; ale kobiecie została skryta broń chytrości i podstępu, których pierwszą lekcyję wzięła była w raju od szatana, przemienionego w węża, gdy nie wahał się kusić ją pod tą postacią, ale do Adama nie udał się sam, tylko wysłał Ewę. Odtąd też zaczęła się odwieczna, nie ustająca dotąd walka sił niby bardzo nierównych, w której jednak strona słabsza na pozór, bierze górę najczęściej podobno; do dziś dnia utrzymuje się też przysłowie: „Gdzie dyjabeł nie może, tam babę pośle.“ Przeczuwali to snać pierwsi ojcowie nasi i wysilali się na poniżenie kobiety, jak to widzimy z historyi i praw dawnych. Patryarchowie w obejściu ze słabszą płcią mało się różnili od zwierząt. Czcigodny ojciec Abraham, przyjmując aniołów, woła na Sarę: „Biegnij żywo, rozczyń mąki i napiecz placków“, niema jednak mowy, aby zasiadła z nimi do stołu; za to też podsłuchiwała pode drzwiami i kłamała gładko, zapierając się swego śmiechu ze słów pańskich, obiecujących jej syna. Mojżesz, mówiąc o stosunku męża do żony, wyraża się: „I on będzie twoim panem“, a dalej: „Twoja wola podległą ma być woli twego męża,“ co dzisiaj możemy sobie przypominać

jako sprzeczność z rzeczywistością, łatwiej jest bowiem wydać pewne prawa, aniżeli zniewolić do ich wykonania; a jeżeli Hymen uzyska przychylny wyrok, kto się podejmie wykonania go, jeżeli sam sobie rady dać nie może? A tymczasem strona apeluje do bożka Amora, który trzyma w ręku zapaloną pochodnię, gdy niewinność siedzi na beczułce, napełnionej prochem! Salomon był nie wiele grzeczniejszym od Mojżesza; może popsuły mu humor zagadki królowej Saby; a Pan Bóg wie, co to były za zagadki! Może kobiety co wiedzą o tem, bo i dziś jeszcze zadają nam zagadki różne, a często same są zagadkami dla mężczyzn. Apostoł Paweł mówi: „Kobieta powinna milczeć na zebraniach,“ co mu jeszcze darować można, ale dalej dodał: „Kobiety! bądźcie podległe waszym mężom“, na co się strasznie oburzała pewna wysoka dama, twierdząc,że zaraz znać, iż to był prosty bez wychowania człowiek, chociaż apostoł. Chrystus odpowiedział Maryi, udającej się do Niego z tem, że weselnicy wina nie mają: „Co ja mam z tobą, niewiasto“, ale w końcu usłuchał jej i dostarczył wina z wody. Rebeka użyła podstępu dla postawienia na swojem, bo gdy Izaak nie chciał dać błogosławieństwa z przywilejami pierworodztwa jej faworytowi, Jakóbowi, zabiła dwoje koźląt, skórką z nich pokryła ręce ulubionego syna i tym sposobem ślepy Izaak oszukany został, a Jakóbek stał się ojcem dwunastu pokoleń. Wskutek tej szczególnej miłości matki, Jakób nauczył się widać galanteryi dla dam, jakiej dał przykład, najprzód skoczywszy na pomoc Racheli przy studni, następnie służąc siedm lat dla dostania jej za żonę; a gdy zamiast niej dano mu Leę, starszą i brzydszą, daje podwójny dowód względności dla płci pięknej, nie odtrącając jej, co mu było bardzo łatwo, ale czekając drugie lat siedm w ciągłej służbie dla Racheli. W Egipcie, Grecyi i Rzymie nie działo się lepiej. Egipcyjankom nie wolno było wychodzić z domu inaczej, jak boso, dla tego pewnie, żeby więcej w domu siedziały; czytamy też w kronikach egipskich, że córka Faraona przeznaczona była w nagrodę za ustawienie piramidy; jeden zaś z Faraonów, dotknięty ślepotą, radził się wyroczni, która mu kazała przecierać oczy śliną kobiety niepokalanej; szukał więc takiej na wszystkie strony i tysiąc prób robił napróżno, aż nareszcie znaleziono jakąś starą chłopkę, której ślina zrobiła żądany skutek. Najgorzej wyraża się Symonides o kobietach, porównywając je z lisami, małpami, psami i innemi nierogatemi stworzeniami. Eurypides maluje je nie o wiele lepiej, a Sofokles, którego się pytano, dla czego tak dobrze przedstawia kobiety, kiedy Eurypides tak źle o nich pisze, odpowiedział: „Ja je przedstawiam takiemi, jakie być powinny, a Eurypides takiemi, jakiemi są w istocie.“ Demokrytos był jeszcze względnie grzeczny, bo ożeniwszy się z kobietą bardzo małego wzrostu, mówił: „Ze złe trzeba wybierać najmniejsze.“ Plato jeden przemawia za równouprawnieniem kobiet, tak co do wychowania, jak co do piastowania urzędów i godności; robi on przytem niezbyt pochlebne porównanie, mówiąc: „Psy pilnują trzody i strażują koło domów, a czyż się kto pyta o to, czy tam szczeka pies czy suka, byleby dobrze strzegł od złodzieja.“ Plutarch chwali także kobiety, chociaż nie mówi o wysokich stanowiskach dla nich; a inny grek objawia zdanie, że ta kobieta jest najlepsza, o której najmniej mówią. Cezar utrzymuje podobnież, że „kobieta nietylko powinna być uczciwą, ale i wyglądać na taką.“ Za to hetery grały świetne role: Aspazyja rządziła Grecyją; Sokrates i Perykles składali ofiary gracyjom w swoim domu; Demostenes porzucił trybunę dla Fryny, którą Praksyteles brał za model do swojej Wenery; stawiano jej ołtarze, jak w zepsutym Rzymie Florze. Metellus w swojej publicznej mowie wyraża się między innemi: „Gdyby natura dała nam rozmnażać się bez kobiet, obeszlibyśmy się bardzo dobrze bez tych uciążliwych towarzyszek; małżeństwo jest ofiarą, składaną przez nas państwu.“ W Azyi uważano na prawdę kobiety, jak jedno ze zwierząt domowych; dla tego też nie spotykamy ni-

gdzie w starożytności wzmianki o miłości nieszczęśliwej, o zdradzanych mężach, lub o samobójstwach z miłości. Matrony rzymskie były więcej szanowane, ale nie wychodziły prawie po za próg domu, podczas gdy ich mężowie dnie i noce bawili się z heterami; w takich warunkach nie mogło być mowy o szlachetnej, prawdziwej miłości, tem najwyższem szczęściu śmiertelnika. Gdy Rzym zapanował nad światem, zaczęła się epoka zepsucia obyczajów. Agrypiny, Fulwije, Messaliny i t. p., odgrywały role, jakich żadna z podobnych dam nie odegrała dotąd nawet w Paryżu; Popea Nerona potrzebowała co rano mleka z 50 oślic dla kąpieli; cały Rzym święcił Florealija na pamiątkę pewnej pięknej Flory, która przekazała bogactwa swoje skarbowi państwa. Za to w poważnym, nie zepsutym Rzymie, błyszczały takie kobiety, jak matka Koryjolana, Weturia i żona jego Wolumnija; a w ten czy tamten sposób, zawsze pantofel był górą. Wśród zacnych, dawnych kobiet, wspomnieć należy matkę Grachów, która, gardząc wszelkiemi zbytkami, nazywała swych synów jedynym skarbem; także Porcyę, Aryę, Agrypinę i tę młodą Rzymiankę, która ojca w więzieniu mlekiem swojem karmiła i te obywatelki, które za czasów Brenusa i Hanibala swoje klejnoty składały na użytek ojczyzny. Na wschodzie kobiety są jeszcze do pewnego stopnia szanowane; mąż nazywa żonę swoją rolą, ale kręci głową na wolne zwyczaje zachodu, mówiąc: „Czy masło, wyniesione na słońce, może się nie stopić.“ Mahomet zamyka niebo przed kobietami: sadowią się one tylko u bram nieba; ale w takim razie mężczyźni zatrzymywaliby się długo koło nich, zanimby weszli do miejsc, sobie przeznaczonych i ścisk byłby nie lada, tem bardziej, że po śmierci i stare stają się młodemi. Tatarzy wyrażają zdanie następujące: „Kobiety muszą być podległe mężom, bo inaczej biorą ich za łeb i robią z nich niewolników; nie znają one bowiem pośredniego wyjścia, tylko muszą albo słuchać, albo rozkazywać.“ Nigdzie kobiety nie są tak godne politowania, jak między dzikimi ludami Ameryki, gdzie żona pracować musi od rana do nocy koło domu i wszędzie, gdy mąż tylko spoczywa, a jeśli wychodzi na polowanie, żona nieść musi za nim wszystko, co mu potrzeba, chociażby przytem dźwigać musiała dziecko jedno lub więcej, a gdy wieczorem powrócą, mąż układa się do spoczynku, wołając na żonę o spieszne przyrządzenie jego „chica“, poczem się upija i bije ją w dodatku; dla tego też jedna z tych nieszczęśliwych, opowiadając misyjonarzowi życie swoje, zakończyła temi słowy: „Powiedz sam, ojcze, czy nie powinnyśmy przez miłość macierzyńską zadusić własnemi rękami każdą przychodzącą na świat córkę.“ Nie o wiele lepiej traktują u nas niektórzy chłopi swoje połowice i mawiają o nich, gdy kto ich strofuje: „One mają dusze rogate i wiele przetrzymać mogą, a prędzej się kij złamie na grzbiecie baby, aniżeli jej upór“ *). Turek nie jest tak zły, ale za to zamyka żony i chodzi między niemi, jak kogut pomiędzy kurami, których przynajmniej nie każe pilnować kapłonom. Przyznać trzeba Celtom, czyli Niemcom, (na których nasze damy zwykły kręcić noskiem), że pierwsi wyzwolili kobiety z niewoli egipskiej, po przyjęciu chrześcijaństwa; a co zaczęła religija Chrystusa, to dalej galanteryja rycerska podniosła do najwyższych poetycznych uniesień. Rycerze kruszyli kopije na cześć swoich wybranych, walczyli z olbrzymami, ze smokami, z wiatrakami i t. p., dla jednego uśmiechu, przyjaznego spojrzenia dam, których kolory nosili, a które wznieśli do ideału, wyżej od dawniejszych bogiń; tak nastał przewrót w obyczajach świata: kobieta stała się czemś świętem! Egipcyjanie i Rzymianie mieli swoje Sybille, Grecy zaś Pytonisy, które przepowiadały przyszłość, siedząc na trójnogu; u dzikich ludów magja, medycyna i ceremonije religijne spoczywają w ręku kobiet; Rzymianie dawni, podczas swoich

---

*) A stare chłopskie przysłowie mówi:

„Orzech, osioł, jak kobieta—
Nic nie warta, gdy nie zbita.“

igrzysk, przemieniali niewolników w panów, ale był to żart, trwający zaledwie kilka dni; Francuzi zaś posadzili kobietę na tronie i czcili ją rok cały, kosztem rozumu i cnoty. Król Franciszek I-szy zawinił bardzo wiele; ojciec jego, Ludwik XII-ty, mawiał był o nim: „Ten gruby chłopak znowu wszystko zepsuje" i rzeczywiście był on gorszym od Justynijana, który nosił więzy Teodory, wprowadził on bowiem na dwór kobiety; pełen galanteryi Brantome, nazwał dwór bez dam— ogrodem bez kwiatów; Malherbes zaś mawiał: „Znam tylko dwie piękne rzeczy: kobiety i róże, i dwie rzeczy dobre, t. j. kobiety i melony." To wprowadzenie dam do dworu stało się powodem ciągłych intryg i źródłem nieszczęść dla Francyi. Kochanki królewskie stanęły odtąd na czele rządu; szereg ten rozpoczęła Agnieszka Sorel, a była to jeszcze najlepsza; gorzej było za Henryka IV, a jeszcze gorzej za Ludwika XIV i XV, którzy nie byli tyle taktownymi, co Henryk IV, który pomimo nalegań swojej Gabryeli, nie chciał oddalić nieprzyjaznego jej, a swego zaufanego, Sully, mówiąc: „Lepiej stracić dziesięć kochanek takich jak ty, aniżeli jednego takiego sługę, jak Sully." Z czasem jednak piękna czarodziejka dopięła swego). Ludwik XVI, który znał wszystkie skandale pani du Barry, nie grzeszył wcale zbytnią galanteryją, a jednak i za niego rządziły kobiety, był bowiem za słaby, żeby się zdobyć na takie słowa, jakiemi Karol XII, król szwedzki, zgromił swoją małżonkę: „Wzięliśmy cię, pani, za żonę na to, abyś nam dała dzieci, a nie na to, abyś się mieszała do rządów." Francuzi nie mogą obejść się bez kobiet, które są tam duszą towarzystwa, a jeśli się zdarzy czasem, że goście trafią na obiad nie zbyt obfity, gospodyni nagradza to dowcipną rozmową, jak pani de Maintenon, której służący w podobnym wypadku szepnął: „Niech pani opowie jeszcze jaką historyjkę, bo pieczeni dziś niema." Po bitwie pod Hochstädt, wpadło w ręce nieprzyjaciół 34 wozów z samemi kobietami. Po dworach i większych miastach powtarzało wiele kobiet tę modlitwę za przykładem Ninony: „Panie! zrób mnie uczciwym człowiekiem, ale nigdy uczciwą kobietą!" Słabość mężczyzn bez charakteru jest siłą kobiet i powodem mięszania się ich w nie swoje rzeczy, ale są i silne z innej strony charaktery, które miękną na widok pięknych oczu i czarownego uśmiechu, bo „gdzie dyjabeł nie może, tam pośle babę," które to przysłowie jest dziś tylko na wpół prawdziwe, dyjabeł bowiem zmądrzał i wybiera teraz tylko młode kobiety na kusicielki, wiedząc, że takie prędzej dopną celu.

*Niechaj się żadna z kobiet nie łudzi, niechaj wie, że jedynie sprzedaje osobę swoją, gdy się zaślubia chętniej bogatemu, niż ubogiemu mężowi; niewieście takiej należy się raczej zapłata pieniężna, niż miłości cześć.

Heloiza do Abelarda.

* Kobieta jest kresem i królową wszelkiego stworzenia; jest jego ozdobą, doskonałością i sławą.

Agrippa.

* Ktoby się przysłuchiwał lub przypatrywał kobiecie w jej wszystkich przemianach, dziwiłby się ustawicznie, cieszył lub gniewał, lecz nigdyby nie znudził. Jedna zajęłaby dziesięć tysięcy lat.

* Kobieta, mająca piękne białe zęby, więcej się naprawi od Cycerona, od Demokryta naśmieje.

Anonim.

* Piękność kobiety jest to list rekomendacyjny, którego kredyt nie bardzo trwały.

Anonim francuzki.

* Kobiety są jak ptaki różnopióre; w domu są szpaki, za domem pawie, w cztery oczy gołębie—a czasem krogulce. Jak ptaki, pamiętne są na piórka swoje; w dzień kilka razy dziobkiem ochędożają, ogładzają, oskubują, choć nie ma tego potrzeby.

Anonim niemiecki.

* Serce kobiety światowej jest nakształt róży, z której każdy kochanek po listku odrywa, tak, że dla męża tylko cierń pozostanie.

Zofia Arnould.

*....... Kobiet to zwyczaje:
Na pozór, niby nie chce, krzyczy, burczy, łaje,
Dąsa się, dąsa, fuka... zwyczajnie kobieta,
A w duszy, jak chmiel tyki, tak się mężczyzn [chwyta.

I. Aśnikowski.

* Nie będzie przyjacielem kobiety, kto może być jej kochankiem.

* Kobiety mają podwójną pamięć: anielską i szatańską.

* U młodej niewiasty, której serce jest czyste, a miłość pozostała dziewiczą, nawet uczucie macierzyństwa podlega głosowi wstydu. Wstyd nie jestże samą kobietą?

* Kobiety nie kochające mają krew starego adwokata.

* Gdy kobiety nas kochają, wszystko nam przebaczą, nawet zbrodnie nasze, lecz w przeciwnym razie nic nam nie darują, nawet cnót naszych.

* Jednakże bywają kobiety cnotliwe! Tak, te, których nigdy nie kuszono, i te, które umarły z pierwszego połogu, przypuszczając, że wyszły za mąż dziewicami. Tak, te które są szpetne, jak Kaifakatary „Tysiąca i jednej nocy“ i t. d.

Balzac.

* Mężczyzna kocha mało a często, kobieta wiele, a rzadko.

* Kobieta, która miłość swoją opłacać każe, sprzedaje to, czego nie posiada.

Basta.

* Niewiasta jest narzędziem szatana.

Święty Bernard.

* Pod rządem niewiasty trzeba zawsze płakać albo tańcować.

Bernatowicz.

* W miłości cnotliwa kobieta mówi *nie*; namiętna *tak*, dziwaczna *tak* i *nie*; kokietka ani *tak*, ani *nie*.

Karol de Bernard.

* Pewien mówca, każąc na temat ewangelii o Samarytance, rzekł:

— Nie dziwcie się, słuchacze, że ta ewangelija jest tak rozwlekła, albowiem przemawia z niej kobieta.

(*Biblioth. de société*).

* Głębokie zbadanie mód stanowi literaturę wielu kobiet.

* Kobiety chętniej lubią wzbudzać miłość, aniżeli szacunek; być może nawet, iż czują tajemny wstręt ku tym, którzy tylko szacunek dla nich żywią.

Beauchêne.

* Pytano niegdyś Sokratesa, czemu tak cierpliwie znosił gniewy i mruki żony swej, Ksantypy? Odpowiedział: „A ty kwoczki doma nie cierpisz? jajka nosi i kurczęta potem wylęgiwa, mówisz: a mnie najmilsze syny Ksantypa dała.“

Fabjan Birkowski.

* Kobiety gorse są od biesów,
A najbardziej te młode mężatki, co starych
Mężów mają, takie wej lubią straśnie chłopców [jarych.
I choć się człowiek broni, ony wej tak musą
Onacyć i onacyć, ze chłopaka skusą.

Wojciech Bogusławski.

* Gdyby każdy mężczyzna, którego zdradziła amantka, miał się zarazzabić, już by dotychczas żadnego nie było na świecie.

Bogusławski.

* Jeżeli powiem źle o kobietach w ogólności, wszystkie się oburzą; jeżeli tylko o niektórych—wszystkie przyklasną.

Bougeart.

* Jeżeli sława ma pewne niedogodności dla mężczyzn, tedy dla kobiet jest prawdziwą klęską.

Adela Boury.

* Zawsze byłoby coś nowego do powiedzenia o kobietach, chociażby tylko jedna z nich pozostała na ziemi.

Boufflers.

* Szczęśliwość rodu ludzkiego zawisła od kobiet, w całem tego słowa znaczeniu.

Rétif de la Bretonne.

* Kobieta nie dotrzymuje zarówno przyrzeczenia, gdy przysięga kochać zawsze, lub gdy przysięga nie kochać nigdy.

K. Briffant.

* Mało jest żon tak doskonałych, aby mężowie ich nie żałowali przynajmniej raz na dzień, że je mają, lub nie uważali za szczęśliwych tych, co nie zawarli związków małżeńskich.

* Nieczuła kobieta jest ta, która nie widziała jeszcze tego, kogo kochać będzie.

* Większa część kobiet nie ma prawie żadnych zasad; one się powodują sercem, a ich obyczaje zawisły od tych, których kochają.

La Bruyère.

* Od pijanych a białychgłów tajemnice wszystkie rade wychodzą.

Kallimach-Buonacors.

* Serce kobiece jest gruntem, płodnym w czułe uczucia.

* Serce kobiety jest cząstką nieba; lecz również jak widnokrąg, zmienia się we dnie i w nocy.

Lord Byron.

* O mulieres! mulieres! po dyjable z wami interes.

Ignacy Chodźko.

* Kobieta jest to samowar: póty kipi i szumi, póki jej ognia staje.

(C...)

* Kobieta, wychodząca za mąż bez żadnej wiadomości, odpowiedniej prawom i obowiązkom małżonki i matki, podobną jest do człowieka, któryby przyjął ster okrętu, nie znając ani mapy, ani igły magnesowej.

Catalani.

* Zdaje się, że przyroda, dając mężczyznom niczem nie pokonany pociąg do kobiet, odgadła, iż bez tej ostrożności pogarda, jaką wzbudzają wady tej płci właściwe, a mianowicie ich próżność, stałaby się wielką przeszkodą do utrzymania i rozmnożenia rodu ludzkiego.

* Co to jest kochanka? Kobieta, przy której zapominasz o tem, co umiesz na pamięć, to jest zapominasz o wadach jej płci.

* Jakkolwiek mężczyzna źle myśli o kobietach, niema kobiety, którąby gorzej jeszcze o nim nie myślała.

* Pewna dowcipna kobieta powiedziała mi słowo, które mogłoby się uważać za tajemnicę jej płci; t. j. iż każda kobieta przy wyborze kochanka większą wagę przywiązuje do tego, jak go uważają inne kobiety, aniżeli jak się on jej samej wydaje.

* Skoro się kobieta znajdzie pomiędzy dwoma mężczyznami, z których jeden prawić jej będzie czułości, drugi zaś wygadywać na jej współzawodnice, ona uśmiechać się będzie do pierwszego, ale słuchać drugiego.

Chamfort.

* Między kobiecem *tak* i *nie* zaledwie koniec igły zmieścić się może.

Cervantes.

* Niemasz pochlebstwa, któreby było albo zbyt rażące, albo zbyt przykre dla kobiet. Wszystko połykają one z chciwością... Czy bardzo piękne, czy bardzo szpetne, lubią pochwały, oddawane ich umysłowi; te zaś, które nie są ani szpetne, ani piękne, wolałyby, aby mówiono o ich wdziękach i piękności.

Chesterfield.

* Kobieta jest lepem zatrutym, którego szatan używa dla opanowania dusz naszych.

* Kobiety są to dyjabły, które nas prowadzą do piekła przez wrota raju.

Święty Cypryjan.

* Kobiety są to tylko zwierciadła odbijające przedmioty, jakie im własna wyobraźnia nastręcza.

J. Fen. Cooper.

* Kokietka, która kochać zaczyna, jest to mocarz, składający koronę.

Pani de Coigny.

* Znikomym się staje promień miłości w sercu kobiety, skoro względy i pieszczoty przestaną go zasilać.

Dante.

* Co mężczyzna obmyśli przez rok, kobieta obali jednego dnia.

Demostenes.

* Kobiety wierzą i kochają więcej niż my, a więc poświęcają się więcej. A im więcej się kto poświęca, tem jest większy. Oto wyższość kobiet.

Emil Deschanel.

* Kobiety zgodziłyby się raczej cierpieć niż nie czuć.

Demoustier.

* W miłości kobiety zawsze więcej dają, niż obiecują.

Lud. Desnoyers.

* Najcnotliwsze kobiety mają w sobie coś takiego, co nigdy nie jest czyste.

* Piękna a nieprzyzwoita kobieta jest pewnym rodzajem potworu, któryby najwłaściwiej porównał do wściekłej owcy. Jest to rzecz nadzwyczajna.

Diderot.

* Często to, co zwykli uważać za ostatnią fantazyję kobiety, bywa jej pierwszą namiętnością.

A. Delrien.

* Nigdy kobiety nie są silniejszemi, jak wówczas, gdy się przybiorą w swą słabość.

* Próżność więcej gubi kobiet, aniżeli miłość.

Pani du Deffant.

* Przyroda i sztuka razem zjednoczone, uczyniły z kobiety nierozwiązaną zagadkę.

* Kobiety mają wogóle więcej dziwactwa, niż skłonności, więcej gustu niż namiętności.

* Kto nie sprzyja kobietom, nie najlepsze daje wyobrażenie o swoim umyśle i sercu.

* Nie jest dowiedzionem, czy kobiety więcej kochają aniżeli mężczyźni; lecz to nie podlega wątpliwości, że umieją lepiej kochać.

* Słusznie możnaby powiedzieć, że kobieta jest miłą i tkliwą tajemnicą, którą wszyscy uwielbiają a nikt nie zna.

* Słońce i kobieta, rzekłbyś, podzielili między sobą panowanie nad światem: pierwszemu zawdzięczamy dnie, które druga przyozdabia.

* Mężczyźni nieustannie badają kobiety, nie mogąc ich poznać; kobiety zaś nie mają potrzeby nas badać, gdyż odgadują nas.

Sanial Dubay.

* Największymi nieprzyjaciółmi kobiet są sameż kobiety.

Duclos.

* Piękne kobiety, ale złe i zgryźliwe, podobne są do alabastrowych naczyń, napełnionych octem.

Dyjogenes.

* Kobieta, która jeszcze nie kochała, tak się wstydzi swej pierwszej słabości, że sama przed sobą chciałaby się ukryć; z drugą miłością ukrywa się tylko przed innemi kobietami, trzeciej zaś przed nikim nie stara się ukryć.

* Dziwnem jest zaiste, iż nie umiemy mówić o kobietach z należnem umiarkowaniem; zawsze mówimy o nich albo za wiele, albo za mało; o cnotliwych niewiastach mało mówimy, wiele zaś o tych, co się wcale cnotliwością nie odznaczają.

Dufresny.

* Pewna kobieta wpadła w strumień i utonęła; mąż jej przybiegł szukać jej zwłok i od miejsca, gdzie wpadła, szedł wciąż przeciw prądowi strumienia.

— Szaleńcze! — wołali obecni — czyż nie wiesz, że żona twoja musiała z falą popłynąć?...

— Nie sądzę—odparł nieborak—za życia była sprzeczna, to i po śmierci pewnie płynie przeciw prądowi.

* Pisarze satyryczni nie szczędzą przygany pięknej połowie ludzkiego rodzaju; nazywają kobiety biczem Bożym, ale jak pobożni branini, tak i oni bicz całują i na jedną chwilę bez bicza Bożego obejść się i żyć nie mogą.

* Kobiet języki są nieprzyjaciele,
Kiedy nim która bez potrzeby miele.

Drużbacka.

* Ze wszystkich istot, obdarzonych życiem i myślą, kobiety są najnieszczęśliwsze... Mężczyzna, gdy znudzi się domowem ogniskiem, może wyjść z domu i ulżyć ciężarowi swej duszy w towarzystwie przyjaciół i rówieśników. Lecz my, kobiety, patrzeć tylko możemy na swe własne serce.

Eurypides, Medea.

* Płci, którą mądry pogardza — ach! oby nigdy, ani w mojem nieszczęściu, ani w dniach mej pomyślności, kobieta nie mieszkała pod moim dachem!

Eschylos.

* Oprócz mej matki nienawidzę cały ród niewieści.

Eurypides.

* Doznałem, iż niewiasta gorszejsza jest niżeli śmierć, która jest sidłem łowców, a serce jej niewód, ręce jej są pęta. Kto się Bogu podoba, wybiega się od niej; ale kto grzeszny jest, będzie od niej pojman... Męża jednego prawego z tysiąca; lecz niewiasty ze wszech nie znalazłem.

Ekklezyjastes.

* Płeć, co nam ulegając, panuje nad nami
Łagodnością, dowcipem, czułością, wdziękami,
Co niosąc nam do zgonu pomoc od powicia,
Jest źródłem, wsparciem, szczęściem i pociechą [życia;
Co stwarza bohaterów, talentom wzrost daje,
Kształci gust, sieje wdzięki, słodzi obyczaje:
Płeć ta u nas ofiarą była przez wiek młody
Srogości, pieszczot, dziwactw, przesądów lub [mody.

Alojzy Feliński.

* Wszystkie kobiety gwałtem chciałyby przybrać swego kochanka w mężowski szlafrok. Widzimy nieznośnych uczonych, którzy ścinają piękny kwiat, rosnący na słońcu, aby zeń uczynić wysuszoną starzyznę w zielniku: to samo czynią kobiety.

* Kobieta każda, jeśli nie służy Chrystusowi, służy Wenerze.

Oktawjusz Feuillet.

* Starość jest piekłem dla pięknych kobiet.

Saint-Evremond.

* Zdaje mi się, że większa część kobiet wolałaby raczej, by źle mówiono o ich cnocie, aniżeli o dowcipie i piękności.

* Piękna kobieta jest rajem dla oczu, piekłem dla duszy i czyśćcem dla kieszeni.

* Skromność kobiet wielce dla nich jest korzystną; podnosi piękność, a szpetność zakrywa.

Fontenelle.

* Osobliwszej przykrości i nader surowa
Niewola tam jest, kędy rządzi białogłowa.

J. M. Fredro.

* Bądź co bądź kobiety mogłyby się jeszcze obejść bez nas; ale my nigdybyśmy bez nich się nie obeszli. Gdzie ich niema, tam niema przyjemności... Ci zaś, co są tak zuchwali, iż publicznie głoszą ich wady, są częstokroć do tyla słabi, iż hołdują ich wdziękom na osobności... Słowem, jeżeli niewiasta jest złem, jak się niektó-

rym twierdzić podoba, jest przynajmniej złem,
bez którego się obejść nie można.

C. de la Ferrière.

* Żadna nie wie co kura, co jaja, kurczęta,
Nie wie co mąka, krupy, a wiersze pamięta.

* Kobiety, przyjacielu, mówiąc między nami,
Jest to piękny twór Boga, ale bardzo słaby;
Żądza pochwał, odmiany i znaczenia w świecie,
Często najszlachetniejsze w nich czucia przy-
[gniecie.

* O, dziewczyno płocha!
Któż ci, kiedyś bogata, nie powie, że kocha?
Znam ja dobrze paniczów teraźniejszej chwili,
Co już w szesnastym roku pół życia przeżyli.
Paryż! kochany Paryż, to ich hasło lube:
Pędzi jeden i drugi, jak na swoją zgubę,
A gdy tam, co posiada, wszystko wraz utraca,
Pełen najdroższych wspomnień, ale goły wraca,
I kiedy już ostatki swej spuścizny trwoni,
Jak pies gończy za lisem, za posagiem goni.
Dla takiego i przysiądz znaczy bardzo mało,
Byle mógł, choćby kosztem szczęścia i spokoju,
Żyć czas jakiś i huczno i w przyjaciół roju.

* Pierwszy mój uśmiech usta do kobiety wzru-
[szył,
Pierwszą łzę moją oddech kobiety osuszył,
Pierwsze słowo jej mowa kształciła pieszczona,
Do kobietym najpierwej wyciągnął ramiona,
I kiedy w mgle dzieciństwa matkę poznawałem,
Nie wiedząc co kobieta, kobietę kochałem.
A jeśli później ojca surowe nauki
Uczyły, jak żyć trzeba i cierpienia sztuki,
Jeśli im winien jestem miłość, stałość w cnocie,
Nie mniej możem jest winien i matki pieszczocie:
Dobroć, miłość, cierpliwość—najświętsze zasady
Wpajała w młode serce własnemi przykłady,
I poznałem, gdym przejrzał lat młodych ciem-
[noty,
Że życie dobrej matki—pierwszą szkołą cnoty.
Upodobanie stałe tej samej zagrody,
Gdzie jakby sen pieszczący przesunął się wiek
[młody,
Powab, co z blasku świata i sławy zapału
W cichy obwód rodziny przyciąga pomału,
Władzę, co lekkiem tknięciem duszę naszą budzi
Drażni, aby nagradzać, by upewnić ludzi,
I ta pewność, ta pewność, szczęścia czyste
[zdroje!
Żem zyskał drugie serce, że jest calkiem moje,
Tę pewność, że w dwóch sercach jedno tylko
[bicie,
Komu winni jesteśmy — jeśli nie kobiecie?

Al. hr. Fredro.

* Niech w piekle cierpi ból wieczysty,
Ten, co kobiety uczył pisać listy!

Al. hr. Fredro w komedyi „List.“

* Oj dziewczęta, dziewczęta—wszystkieście *szpakami karmione.* Chcę, nie chcę—a ty kochanku stój na smyczy: trafi się smuklejszy modniś, z loczkiem na czole, z zakręconym wąsikiem, z szlifowanym pazurkiem—a do budy ty ze smyczy: ale jak się nic lepszego nie nadarzy, chodź i waszeć do ołtarza. — Dobry chleb, kiedy nie ma kołacza.

Al. hr. Fredro w „Jowialskim.“

* Wstydliwość jest najtkliwszym wdziękiem, jaki przyozdobić może niewiastę; jest pewną rękojmią niewinności i cnoty.

Pani Genlis.

* Kobiety prawdziwej nie masz na świecie. Są jeszcze matki, ba, więcej ich nawet jest, aniżeli dawniej. Są siostry, kochanki, przyjaciółki, towarzyszki, oszczędzicielki, gospodynie, są jako żywo *megery*, lecz kobiet niema na świecie ucywilizowanym. Zaiste, cóż to jest prawdziwa kobieta? Jestto istota słaba, ograniczona, bojaźliwa i leniwa, która nie mogłaby być sama przez się, która lada słówkiem się strwoży, która na jedno spojrzenie się zarumieni, która się obawia wszystkiego, nic dokładnie nie zna, ale którą delikatny instynkt oświeca, która działa z natchnienia, co jest daleko lepszem, niż doświadczenie; —jest to tajemnicza istota, lubująca się w pięknych kontrastach; z ograniczonem

pojęciem łącząca gwałtowne namiętności; której próżność jest nienasyconą, a niewyczerpaną wspaniałość, bo kobieta prawdziwa jest jednocześnie i tak dobrą jak święta i tak złośliwą jak bogini; — istota, której całe życie jest uosobieniem dziwactwa i niekonsekwencyi; która płacze z radości, a śmieje się ze złości; która kłamie niezgrabnie, lecz wybornie zwodzi; którą nieszczęścia urozsądniają, a przeciwności aż do szaleństwa egzaltują; której naiwność wyrównywa wiarołomstwu, a bojaźliwość z zuchwalstwem graniczy; istota wreszcie niepojęta, mająca wielkie przymioty tylko przypadkiem i to li w takich razach, gdy one są na dobie, a obok tego umiejąca okazać swoje miłe wady, owe skarby nadziei i obawy, co porywają, przywiązują, niepokoją i którym oprzeć się niepodobna. A teraz, wieleż znajdziecie kobiet podobnych do tego wizerunku? Niestety! nie wolno pięknym kobietom mieć tych wszystkich pięknych wad; musiały się zrzec ich mimowolnie na rzecz mężczyzn, którzy je sobie przyswoili.

Emilija de Girardin.

* Towarzystwo kobiece jest żywiołem dobrych obyczajów.

* W nieszczęściu nawet, zaledwie kobieta przyjdzie do siebie, wnet ją stroje i wstęgi zajmują.

Goethe.

* Kobiety zawsze są słabsze w nienawiści, aniżeli w miłości.

Goldoni.

* — Kobieta—to puch marny! — wyrzekł poeta.

— Dyjabłać tam marny, kiedy droższy od łabędziego.

* Bóg stworzył kobietę, a my damę. Ewa, pierwotna mieszkanka raju, nie miałaby wśród nas powodzenia; żaden wąż nie kusiłby się o jej pozyskanie i raczej rzucałby na nią jabłkiem, niżby jej takowe miał ofiarować.

Leon Gozlan.

* By mąż nie miał mieć i szeląga w kalecie, by miał on kamienicę, dom, przyszło się zadłużyć, tedy pani to przewidzi, jeśli widziała u której miłościwej pani suknię nowym krojem, zawicie nowe, pas jaki foremny, czapkę, płaszczyk, szubkę, płaszcz podszyty gronostajami, bobra wyśmienitego, łańcuch robotą nową, tkankę perłową nową robotą i inne rzeczy, to jej wszystko mieć. A jeźli mąż nie chce sprawić, to się dąsa, sapa, z mężem nie sypia do kilku niedziel, chorą się czyniąc, albo jeśli jaka nierządna, dostawszy z babą jaką towarzystwo, przystanie do jakiego pana młodego, a co noc będzie inszy i tak zdobędzie się na ubiór: a spyta jej mąż, gdzie to wzięła? „Od pani matki, abom też sobie zdawna grosz do grosza stulała". Niechże kto jedzie do wielkiego miasta, nie rachując radzieckich żon, ani kupieckich, ujrzysz bednarkę, szewcowę, krawcowę, kołodziejkę i insze małego stanu ludzie, abo ich córki w sobolach, łańcuchach, w manelach, sukniach adamaszkowych, kitajkowych, w portugale, w pasach, w perłowych tkankach, koronach dziwnie robionych, a nie o jednej sukni, abo łańcuchu, ale co święto, co wesele, to odmiana. Jakoż temu zapobiedz? Odpowiedź: Takbym rozumiał: już sobie suknię sprawi, abo co kosztownego, żeby się opowiadały do urzędu, a przyniosły z sobą szacunek onego klejnotu i suknie. A urząd, obejrzawszy i obrachowawszy dobrze, żeby na rzecz pospolitą, do skarbu I. K. M. połowicę onej taksy odebrał, *sine ulla misericordia.* A jeśliby która uparta była, żeby się urzędowi nie prezentowała, tedy, gdy w owym nowym pójdzie ubiorze, bądź na wesele, bądź do kościoła, żeby ją *publice* z onego ubioru aż do koszule zewleczono, a to pobrano na rzplitą.

Bibl. 1622. Pisma Wojciecha Gostkowskiego.

* Cóż jest kobieta?—próżność! ach, próżność [bez końca!
Niedość, gdy jej przyświeca blask jednego słońca,
Do najbliższej z gwiazd niebios sięgają jej oczy,
I tęsknią, czemu wszystkich blask jej nie otoczy;

I niechaj która gwiazda, wzrokiem jej ujęta,
Rzuci drogę, co prawem przedwiecznem wy-
[tknięta,
Niech się zbliży - a wtenczas z wyziewów pow-
[stały,
Niech zabłyszczy meteor, chwilę tylko trwały;
Nowy ten blask ziemianki gotów oczy zwrócić,
Za nim goniąc, gotowa wszystkie gwiazdy rzucić.

Antoni Górecki.

* Bo to jest białychgłów obyczaj, a inaczej nie umieją, jedno albo nader miłować, albo nader mieć w nienawiści.

Łukasz Górnicki.

* Szukaj, szukaj dobrze—a na dnie wszelkich żądz, wszelkich zamiarów, wszystkich czynności mężczyzny zawsze spotkasz kobietę.

Au. Guyard.

* Bezwstydnej kobiety nie ustrzeżesz, a skromna straży nie potrzebuje.

Święty Hieronim.

* Kobiety są tak fatalne dla rodu ludzkiego, że uczciwe nawet są nieszczęściem mężów swoich.

* Kobieta jest to szerszeń, spożywający słodki miód, który pszczoły zrobiły.

* Kobieta – to nieczystość.

Hezyod.

* Z odzieżą niewiasta się ze swego wstydu wyzuwa.

Herodot.

* W stanie panieńskim najwięcej góruje *ja*, w stanie małżeńskim *my*, w stanie macierzyńskim *on* lub *ona*.

* Są tak niezręczni ludzie, co, nie mogąc dosiąść stojącego konia, uczą go przyklękać: są podobniż mężowie, którzy, mając zaślubić szlachetne i zacnie urodzone niewiasty, nie starają się je uczynić uczciwszemi i lepszemi, lecz wolą je raczej poniżyć wówczas, gdy wypadałoby podtrzymać godność niewiasty — a więc niby wolą naturalną pozycyję rzeczonego wierzchowca, i li tylko w razie potrzeby uzdy używać. Nie czyńcie tego: wasza niech utrzymuje serce swoje w pokoju, życzenia w umiarkowaniu, czułość w karbach rozsądku. Nad nauką niech ile może najmniej jednym ciągiem siedzi, niech się nie uczy rzeczy niepotrzebnych i błahych, równie jak zbyt na jej umysł głębokich i niedostępnych: niech się stara o to, żeby dobrze zrozumiała, co czyta, czego się uczy, co pisze.

* Kobieta powinna mieć naukę bez pedanteryi, talent bez pretensyi, cnotę bez dumy, szczęście bez świadków, wesołość bez wielbicieli.

* Nie dla niewiasty są sprawy rządu; najgorliwsze w tych razach więcej złego niż dobrego zrobią; bo utrzymać roli swej nie potrafią, ponieważ są wielomówne, nieostrożne, wreszcie zbyt tkliwe.

* Gdzie szczęśliwy naród? Tam, gdzie mężczyźni swobodni, a kobiety czyste.

* Męztwo jest cnotą nietylko mężczyzn, ale i kobiet; i kobiety mają swoje dni bitwy.

Kl Hofmanowa.

* Serce kobiety podobne jest do katedry: główny ołtarz w chórze, lecz ileż kaplic pobocznych!

Arseniusz Houssaye.

* Patrzysz na gwiazdę z dwóch powodów: bo jest świetlana, bo jest nieprzenikniona. Masz przy sobie jeszcze milszy promień światła i tajemnicę jeszcze większą- -kobietę.

* I w najpiękniejszej kobiecie jest szkielet.

* Błędy kobiet, dzieci, sług, słabych, biednych, prostaczków—są błędami mężów, ojców, panów, możnych, bogaczów i uczonych.

Wiktor Hugo.

* Kobieta—to choroba.

Hypokrates, a za nim *Michelet.*

* Co jest kobieta?— Jest to piękny liczman! Listek osiny! Próżność uosobiona! Gorzka oliwka! Posąg Pigmaliona! Przyczyna elektryczno-

ści! Świętej pamięci Flogiston! *Perpetuum mobile!* i t. d. Oto są niektóre z nienader łaskawych i nienader poetycznych określeń płci pięknej! Liczba ich jest nieskończona, sprzeczność zadziwiająca, stosownie do usposobienia umysłu, w jakiem zostawał, i rodzaju figla, którego stał się ofiarą określający filozof. Cała też to zemsta, zadosyćuczynienie i pociecha umojżeszowanych mężów, oszukanych sędziwych hrabiów i upośledzonych kochanków-poetów, że mogą sobie osłodzić zniewagę osobistą, zniewagą całej płci nadobnej *in concreto.*

* Stary jakiś potwarca wyrzekł: że kobiety, witając się, całują się ze zwyczaju, a żegnają się z radości.

Placyd Jankowski.

* Kobieta—puch marny, kobieta niebianka,
Kobieta—to anioł, to raju mieszkanka—
To wietrzna istota—serc ludzkich królowa,—
To rodu ludzkiego piękniejsza połowa...
Kobieta—A ja wam powiadam zaiste,
Gdy serce ma takie, jak błoto nieczyste,
Gdy próżnych uniesień, zachcianek jest pełna,
Gdy ciągnie tam tylko, gdzie czuje, że wełna,
Gdy pieniądz wyłudza na bale i stroje,
Gdy życie prowadzi nie w dwoje, lecz w troje—
O! wówczas kobieta—ta niby niebianka—
Jest dyjabła i piekieł prawdziwa posłanka!...

Z teki Starego Jelonka.

* Jakkolwiek cnotliwą byłaby kobieta, dziwactwo przecież nie traci w niej praw swoich.

Jony.

* Zaspokoić ciekawość kobiety, jest to napełnić wodą przetak.

Jordan.

* Dla nikogo zemsta niema tyle wdzięku, co dla kobiety.

Juvenalis.

* Z kobietami to samo będzie co z namiętnościami: nie przestaną na nie się uskarżać, a przecież zawsze do nich powracać będą.

E. Jony.

* Kobieta powinna być czysta jak kropla rosy niebieskiej, powinna być święta, jak uroczysty dzień Matki Najświętszej, powinna być wspaniała, jak wieża gotycka, unosząca się natchnionemi myślami swojemi do nieba; ale przy tem wszystkiem powinna przecie... jakby ci to powiedzieć?— powinna mieć przecie choć troszeczkę pieprzyku w sobie...

Zygm. Kaczkowski.

* Treścią wszelkiej kobiecej nauki jest — człowiek.

Em. Kant.

* Przyjaźń dwóch kobiet jest zawsze spiskiem przeciwko trzeciej.

* Każda kobieta mniema, iż osiągnęła stopień możliwej cnoty i czystości.—Każda dowodzi, choć nikt ją o to nie pyta, iż kobieta, mniej od niej mająca cnoty, jest nierządnicą; mająca zaś więcej—skromnisią i *quasi* cnotliwą.

* Kobiety po większej części nie kochają nas; nie dla tego oddają pierwszeństwo mężczyźnie, iżby go kochały, lecz dla tego, że lubią być kochanemi przez niego. Kobietom podoba się miłość powszechna, lecz mało jest takich, którychby osobiście kochały.

* Jeżeli kobieta ci wymawia, iż źle myślisz o kobietach, zwróć rozmowę na znajome jej niewiasty, a przekonasz się, że o *innych* kobietach gorzej jeszcze trzyma od ciebie.

* Kobiety mają jedną cześć, jedną wiarę, a tą jest to, *co im się podoba;* to zaś, co się im podoba, jest świętem; poświęcają mu wszystko z najtkliwszym heroizmem.

Alfons Karr.

* Kobieta nie jest kobietą—jest to maszynka do opróżniania serc i kieszeni.

* „Kołaczcie, a będzie wam otworzono“, mówi Pismo święte. Nadskakujcie, a zdobędziecie najlepiej obwarowane serce kobiety.

M. K.

* Źle się w tym domu dzieje,
Gdzie pietuch jaja niesie, a kwoka zań pieje.
Kochowski.

* Białogłowy na to nas ćwiczyły,
Aby nas za nos prostaki wodziły.

* Zmienną duszę niewiastom przyrodzenie dało:
Równie u nich nienawiść, jak miłość niestałą.

* Temu się jedno nie mogę wydziwić,
Skąd tę niestałość białogłowy mają,
Że się jako wiatr letni odmieniają.
J. Kochanowski.

* Kobietą jest to, co jest na świecie najzepsutszego i najbardziej psującego.
Konfucyjusz.

* Trzymać kobietę za słowo, a piskorza za ogon—na jedno wychodzi.

* Pewna dama utrzymywała, że kobieta jest doskonalszem stworzeniem od mężczyzny, albowiem jest ostatniem dziełem Stwórcy, a zatem w niem umieścił doskonałości innych stworzeń. Obecny dowcipniś odrzekł, że Stwórca był wielkim architektem, który ukończywszy swój gmach, umieścił chorągiewkę.

* Gdyby się kobiety tak często modliły, jak się często stroją, wszystkieby poszły do nieba.

* Wygaduje człowiek na kobiety, co wlezie. A jak się która nawinie, to się kryguje jak koń na munsztuku i zaraz chciałby być młodszym i ładniejszym—tfy, głupia natura!

* Nie należy przesadzać w oskarżaniu kobiet. Większość serca i miłość powinności kryje się czasem pod miękkiem łonem, wzywającem do rozkoszy.

* Kobiety póty szczęśliwe, póki się domyślają.
J. Korzeniowski.

* Skoro kobiety dobre - to środek trzymają pomiędzy aniołem i człowiekiem, gdy zaś złe—mają w sobie coś męzkiego i szatańskiego zarazem.

* Kobieta ciągle się odmienia. Jestto kameleon z ludzką duszą i anielskiem ciałem. Gdy ktoś prosił Grzegorza Piramowicza o opisanie pewnej niewiasty — „A której? — zapytał — chcesz mieć wizerunek, czy tej co na wsi, czy tej co w mieście?“
Kotzebue.

* Nie są lękliwsze niewiasty od mężczyzn, i kto wie, czy równej odwagi nie mają; ale płeć męzka lepiej niż one umie kryć bojaźń.

* Mimo tak wielkie płci naszej zalety —
My rządzim światem, a nami kobiety.
Ig. Krasicki.

* Każda z nich, jak tylko do fałszu nada się, gdyby do płodzenia go była stworzona! Oj! kobiety! miał słuszność ów Jezuita, gdy mówił: *Fe! mina!*

* Któż odgadnie myśli kobiety i myśli kota?

* U kobiety słowo dzisiaj na ustach—jutro pod nogami.

* Kobieta jak oranżeryjny kwiat; prędko rozkwita i prędko więdnieje.

* W każdej kobiecie jest kilka odmiennych, które występują po kolei: najuboższa ma przynajmniej trzy twarze na zawołanie.

* Kobiety tak wierzą w siebie, że najbrzydsza z nich nie zdziwiłaby się, gdyby ją ktoś przypadkiem nazwał Wenerą.
J. I. Kraszewski.

* Kobieta jest istotą najbardziej nieokreśloną. Przebiegnijcie wszystkie ludy, kulę ziemską zamieszkujące, a nie znajdziecie dwóch kobiet, któreby miały jednakowe idee. W Afryce kobieta jest niewolnicą, czołgającą się przed swoim panem. W Indyjach jest to dość zabawna machina, ożywiająca się li tylko dla rozkoszy jakiegoś brzydala. W Turcyi jest to piękny klejnot, łatwo mogący się zatracić, a więc, który trzymać należy pod kluczem i którym - co większa—handlować można. W Hiszpanii kobieta jest rodzajem niebezpiecznego wroga, którego

bardzo dobrze trzymać w zamknięciu. W Rosyi jest to nieszczęśliwa towarzyszka, którą nieźle wybić kiedy niekiedy; w Anglii również uległa, lecz otoczona szacunkiem i miłością; w Polsce jest to pani wszechwładna; we Francyi wreszcie kobieta jest bóstwem, przez wszystkich uwielbianem.

* Kobiety stają się dowcipnemi tylko kosztem swej cnoty.

Pani Lambert.

* Kobiety, poczytywane za najzimniejsze, są częstokroć najbojaźliwsze.

Labouisse.

* Mówią, że i hrabianki, po dwudziestu latach,
Kochają się z potrzeby nawet w literatach,
Że w pannach salonowych serce z wiekiem [wzrasta,
Że choć zwyczaj—zwyczajem, niewiastą—nie- [wiasta...

Jerzy Laskarys.

* Można częstokroć widzieć kobiety, co cudownie uniknąwszy niebezpieczeństw młodości i piękności, tracą owoce wszystkich swoich poświęceń, wtenczas właśnie się oddając, gdy nikt już ich nie atakuje. Jest to niby warownia, która dopóty mężnie odpierała wszelkie ataki, dopóki głód nie zmusił jej do kapitulacyi.

Latena

* Szczerość ich (kobiet) otwartszą jest od naszej, lecz gdy zamilkną, są niezbadane.

* Władza kobiet trwalszą jest i pewniejszą niż mężczyzn. Cóż się oprze jej spojrzeniu, łzom i westchnieniom? Biada im, gdy się zapalczywością i gniewem uniosą! Natychmiast władza ich niknie i stają się nienawistnemi.

Lavater.

* Między miłością kobiet a pieniędzmi, ta jest różnica, że za ostatnie można coś nabyć, pierwszą zaś zawsze przepłacić trzeba.

* Szczęście podobne jest do kobiety: uśmiecha się do bogatszych.

* Kobiety z tego względu godne są politowania, że oprócz rzetelnych zalet serca, potrzebna im jeszcze powierzchowna piękność.

* Afektacyja, przesada, udawanie boleści, spazmy, fałszywe łzy, westchnienia i kaprysy, są to maski, w których na przemian pokazuje się płocha, próżna, głupia i ze złem sercem kobieta na karnawale tego świata. Podobni do niej, stawiąc nań sidła, jej przyklaskują; roztropni i cnotliwi gardzą; a ci, którzy z nią żyć muszą, wiodą życie prawdziwie męczeńskie.

Ig. Legatowicz.

* Kobiety bardzo kochają dzielnych, ale więcej jeszcze zuchwałych.

Lemesle.

* Gdybym uczestniczyła na radzie Stwórcy, gdy tworzył człowieka, poradziłabym mu umieścić zmarszczki pod piętą.

Ninon de Lenclos.

* Więcej pochlebstwo niż miłość gubi kobiety; gdy się zaś pierwsze nie udaje, to nie pochlebstwo, lecz pochlebca winien.

Lévis.

* Można zręcznie i delikatnie pochwalić kobietę, mówiąc źle o jej rywalkach.

* Żeniąc się, małżonkowie przysięgają sobie wieczną miłość; czyliżby dla szczęścia swego nie powinni zarazem poprzysiądz, że się jedno drugiemu będzie starało zawsze przypodobać.

Król Stanisław Leszczyński.

* Turkot pojazdu, ogień z bicza, rżenie i parskanie koni przede dworem—to jakby artyleryja, wytoczona na zdemontowanie okopów i murów fortecznych serca niewieściego.

* Dzieła kobiet są jak przedruki, tylko że prawem nie zakazane.

K. Liebelt.

* Jakkolwiek cnotliwą byłaby kobieta, zawsze atoli pochwała jej cnoty najmniej ją cieszy.

Książę de Ligne.

* Serce rozkochanej młodej niewiasty jest to świątynia złota, w której częstokroć gliniane bóstwo panuje.

Paulin Limayrac.

* Piwo bez chmielu, masło bez soli, koń bez ogona, kobieta bez cnoty—jednakową mają wartość.

Litewskie przysłowie.

* W szesnastej wiośnie kobieta więcej dokaże swoim wzrokiem, niż w innym wieku wszelkiemi pokusami.

De Livry.

* Prędzejbym pogodził całą Europę, aniżeli dwie kobiety.

Król Ludwik XIV.

* Kobieta — to kwiat w cieniu pachnący.

Lamennais.

* Ci, co mówią dobrze o kobietach, nie znają ich dostatecznie; ci zaś, co o nich zawsze źle mówią—zupełnie ich nie znają.

Pigault-Lebrun.

* Kobieta jest arcydziełem wszechświata.

Lessyng.

* Kobiety w ogólności, daleko więcej są warte od mężczyzn; i rzeczywiście z naszych występków rodzą się wady kobiet; wszystkie prawie ich występki; naszem są dziełem, wtenczas gdy ich cnoty i dobre przymioty należą do nich i tylko do nich.

Montgaillard.

* Towarzystwo kobiece psuje obyczaje, ale kształci smak.

* Zręczne kobiety czynią z dziewictwa kwiat, który więdnieje i odnawia się nieustannie, a zrywa się po raz piąty boleśniej jeszcze, jak po raz pierwszy. Są inne, co nadrabiając sztuką wszelką niesprawiedliwość czasu, umieją na twarz wywołać piękność, która zdolna jest zachwiać, ba, ściągnąć nawet ze szczytu starości do najpierwszej młodości.

Montesquieu.

* Kobiety, najmocniej powstające przeciw despotyzmowi mężczyzn, są to zazwyczaj te, które najwięcej nadużyły wolności.

Mouchot.

* Pierwsza rada kobieca najrozumniejsza, ostatnie ich postanowienie bardzo niebezpieczne.

* Jeśli kobieta uśmiecha się na swoją krzywdę, musi być jedno z tego dwojga: albo wstyd utraciła, albo jest pewną swej zemsty.

* Umysł kobiet—żywe srebro; ich serce to wosk.

Myśli chińskie.

* Gdy do niej przyjdzie konkurent z ukłonem,
Aż ona zaraz wyjeżdża z zakonem.
Nie kłamie jednak, gdy tak mówi dama:
Chce być w zakonie świętego Adama.

J. E. Minasowicz.

* Kobieto, puchu marny! ty wietrzna istoto!
Postaci twojej zazdroszczą anieli,
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli...

Adam Mickiewicz.

* Serce kobiety jest najczynniejszem i najpotężniejszem narzędziem, tak do dobrego, jak i do złego.

Józef de Maistre.

* Zdanie dozorcy drogowego: Droga, to jak kobieta — trzeba dużo łożyć na jej utrzymanie.

Maxime du Camp.

* Zawsze należy pamiętać, że kobieta, panna czy mężatka, jest białym kwiatem, na listkach którego najmniejszy pyłek pozostawia ślad brudny. Wieleż to kwiatów pył splugawił, a przygniotłszy swoim ciężarem, pochylił do dołu i wdeptał nakoniec w błoto!

Antoni Marcinkowski.

* Kobieta, zdobna pięknością, jest jak dziedziczka sławnego imienia, do wielu cnót obowiązana; z tego spadku świętego powinna zdać rachunek światu, który na nią oczy ma zwrócone. Piękność więc niewieścia nie jest bezmyśl-

nym zlewkiem miłych oku barw i wdzięcznych zarysów, lecz jest zwierciadłem pięknej duszy, i li tylko pod tym warunkiem kobieta piękną być może.

L. Au. Martin.

* Sławna Chloe kazała zbudować mauzoleum dla swoich siedmiu mężów z tym napisem: „*Chloe fecit.*“ Możeż być co prostszego?

Martialis.

* Miłym są widokiem obyczaje poczciwej niewiasty.

Menander.

* Daleko łatwiej rządzić krajem, niż kobietą.

Milton.

* Niech co chcą mówią, lecz gachy tylko wówczas napadają kobiety, gdy te pragną tego. Słodziuchna ich minka tak na nich działa, jak miód na muchy—uczciwe zaś niewiasty od razu umieją się od nich uwolnić.

Molière.

* Niewiasta jest uzupełnieniem dzieł Boga: stworzył ją po tem wszystkiem co istnieje, jakby chciał przez to wyrazić, że zamyka swe wzniosłe dzieło arcytworem stworzenia.

Mirabeau.

* W pośród łez gotowa
Zdradzić białogłowa.

* Trzy rzeczy, w których żądza nie ustawa:
Ziemia się nigdy dość wodą napawa,
Niesyty ogień, niesyta niewiasta,
Nie rzeknie: basta!

* Moc tam piękności zazwyczaj ustaje,
Gdzie nie są piękne w damie obyczaje,
Niech ją pochlebne chwalą, jak chcą, usta,
Sama się gani, kiedy w niej rozpusta.
Kiedy w niej humor lekkomyślny, płochy,
Wnet się przymila, już ci stroi fochy,
Raz się ognisto stawia, wnet ozięble,
Jakby też z łaźni kto skoczył w przeręble,
Nie wiedząc, że te postępki ją szpecą
I gaszą miłość, którą wdzięki niecą.
Nie chwali takiej, kto ma rozum zdrowy,
Chyba półmędrek, albo trzpiot bez głowy:
Lecz z oziębłością i wzgardą pogląda
Na tę, co wszystkim podobać się żąda
Przez swe umizgi, przymilenia, wdzięki,
Temu nie skąpiąc ust, owemu ręki,
Na tego oczkiem pociągając z boku,
Temu spokojnie stać nie dając w kroku,
I lgnąc za lada stąd z owąd zaczepką,
Niestałem sercem do wszystkich przylepką
Zgoła mieć sprawy nie chcę z damą letką,
Co być *kokietką* woli niż *kobietką*.

J. Minasowicz.

* Gdyby natura była dość szczodrą i dawała nam życie bez pomocy kobiet, chętniebyśmy się pozbyli nieznośnego ich towarzystwa.

Metellus.

* Wstyd jest męztwem płci pięknej. Milczenie i rumieniec —wymową.

Myśl chińska.

* Kobieta, kochanka, córka, siostra, małżonka, matka, babka: w tych wyrazach mieści się to, co serce ludzkie zawiera najsłodszego, najcudniejszego, najpewniejszego, najczystszego i najniewymowniejszego.

Massias.

* Nieszczęśliwy naród, którym rządzi niewiasta.

Mahomet.

* Bez obmowy kobieta nigdy nie pochwali.

* Milczeniem nigdy sobie kobieta sprawy nie popsuła.

Myśli chińskie.

* Miłość kobiet jest śmiercią mądrości.

* Nie tyle wierz kobiecie, mówiącej zawsze *nie,* ile tej, co zawsze mówi *tak.*

* Oblicze kobiety tak jest zwodnicze, jak odbicie przedmiotów na powierzchni wody.

Myśli wschodnie.

* We Francyi cnota kobieca była i zawsze będzie podejrzana.

* Piękna kobieta podoba się oczom, dobra zaś podoba się sercu; pierwsza jest klejnotem, druga skarbem.

Napoleon I.

* Uszły te czasy na złamaną szyję,
Co nam rodziły czyste Lukrecyje;
Za Penelopy, wzór wstydu jedyny,
Sprośne się teraz rodzą Messaliny.

Czy się myśl moja w swych zapędach myla?
Czy się starzejąc świat coraz wysila,
Że ledwie widać, by które z płci białej,
Z starożytnemi damami zrównały?

Nie narażały owe to mężatki
Swoich małżonków na srogie wydatki,
By dla wędrownej z obcych krajów mody,
Drugi ojczyste zaprzedał ogrody.

Twarz nie szukała ozdoby z bielidła,
Nie stały blaskiem na głowie trzęsidła;
Włos budowany w piętra i blondyny,
Co są brabanckie nie znał pajęczyny.

Nie była nigdy ludziom na widoku
Nagość, trucizna poczciwego wzroku,
Nie zamiatały długiemi ogony
Ziemi, z krwi kmiecej kupione robrony.

Nie było słychać o żadnej niewieście,
Aby samopas latała po mieście,
Tłukąc kołami niepotrzebnie bruki
I mrożąc biedne w późną noc hajduki.

Dopieroż aby, o świecie przewrotny!
W odzieniu męzkiem, siadłszy na koń lotny,
Harcować miała u boku z tasakiem
Pomiędzy gachów rozpustnym orszakiem!

Mąż jej był świadkiem niewinnego życia,
Czy się bawiła w kącie koło szycia,
Czy dom sprawiała pilna gospodyni,
Czy się modlitwą bawiła w świątyni.

Ale Bóg za to prostactwo mniemane
Spuszczał na dom jej skarby nieprzebrane:
Wszystko się w ręku mnożyło czeladki,
Liczne i pewne rodziły się dziatki.

Wiara z miłością strzegła pilnie łoża,
Żyzność stokrotne oddawała zboża;
Pełność mnożyła obory, spiżarnie,
Nic się na zbytki nie rozeszło marnie.

Ktokolwiek na jej postępki poglądał,
W związku żyć takim i umierać żądał.
Bo cóż być może w tem życiu mizernem
Słodszego, niż żyć z przyjacielem wiernym?

Adam Naruszewicz.

* Chceszli upowszechnić jakąś opiniję, udaj się do kobiet, one łatwo ją przyjmą, bo są niedoświadczone, łatwo ją rozpowszechnią, bo lekkomyślne; długo ją zachowają, bo uparte.

Pani Necker.

* Gdyby u kobiet serce zawsze zgadzało się z głową, nieżonaci poumieraliby z głodu; co jednak jest bez przykładu.

Stefan de Neufville.

* Historyja miłości jest historyją rodu ludzkiego.

* Zauważono, że ze wszystkich zwierząt kotki, muchy i kobiety najdłużej trawią czas u gotowalni.

Karol Nodier.

* — Jakie kobiety są najbardziej natrętne?
— Hiszpanki, bo często nawet na brodach u mężczyzn się lokują.

(„*Noworocznik wolnych żartów*").

* O! jak urocza, jak silnie zwycięzka
W oczach kobiety jej łza czarnoksiężka!
Broń jej słabości—razem miecz i tarcza—
Jak do obrony, do zwycięztw wystarcza.
O! nie patrz na nią!—Cnota z drogi zboczy,
Mądrość się zbłąka, gdy w nią wlepi oczy.

Lord Byron, tł. *Odyńca.*

* Bądź przekonany, że niema kobiety, któraby nie uległa; nastaw tylko sieci, a powpadają w nie. Prędzej na wiosnę ucichną śpiewy pta-

ków, a latem polnych świerszczów, prędzej zając popędzi przed sobą przelękłego psa, aniżeli kobieta oprze się czułemu i zręcznemu kochankowi. Ta, któraby się zdawała najtrudniejszą, nie będzie taką. Płoche miłostki równie się kobietom jak mężczyznom podobają. Mężczyzna nie umie ukryć swoich uczuć, kobieta zaś jest skrytszą, nie mniejsze atoli są jej żądze. Gdyby mężczyźni postanowili nie czynić pierwszego kroku, prędkobyśmy ujrzeli u swych stóp pokonane i błagające kobiety.

* Kobiety odmawiają tego, o co je proszą, a dają to, o co ich nikt nie prosi.

Owidijusz.

* Proś kobiet zawsze o coś innego, aniżeli o to, co chcesz otrzymać.

Saint-Omer.

* Prędko się popsuje białogłowa w swobodzie, kiedy stróża niema.

Opaliński.

* Religija kobiet zasadza się po większej części na służeniu Bogu, nie gniewając dyjabła.

Oxenstiern.

* Uciekaj od tych, którzy w kobiecie matki swej nie szanują. Podepcz nogami te książki, w których nieobyczajne i grubijańskie pióro płeć kobiecą znieważa.

Silvio Pellico.

* Odmówić kobietom wszelkiej cnoty byłoby głupstwem. Nie mówiąc o ich czystości, rozsądku, o ich sprawiedliwości, wierności, mnóstwo oczywistych przymiotów azaliż nie dowodzi dostatecznie, iż siła, śmiałość i wielkość są im wrodzone? Zdolne do wszelkich cnót, miałyżby być niezdolnemi do przyjaźni! Lecz zarzut ten jest nierozsądnym! One kochają swoich małżonków i swoje dzieci. Te przymioty są im wrodzone, rodzą się w ich sercu, niby na płodnym gruncie, kędy łacno wzrasta czułość, co większa, podnosi je jeszcze dar wdzięków i przekonania.

Plutarch.

* Próżność nie opuszcza kobiet nawet w najświetniejszych religijnych ćwiczeniach.

L'abbé Prevost.

* Najsroższego zwierzęcia zrozumiesz naturę,
U tej — jeden czart w sercu, drugi—wlazł za [skórę.

Bartosz Paprocki.

* Ten tylko jest prawdziwie złym człowiekiem, kto nie szanuje starszych, kobiet i nieszczęścia.

Parini.

* Kobiety są to kwiaty żywota, których owocami są dzieci.

Bernard de Saint-Pierre.

* Złoto próbują przez ogień, kobietę przez złoto, przez kobietę mężczyzn.

* Kto upadnie, stanie się kobietą w życiu przyszłem.

Platon.

* Największym nieprzyjacielem człowieka jest kobieta, która go z musu zaślubiła.

Plaut.

* Choćby kobieta sto wad miała, nie bij jej nawet kwiatem.

Prawo indyjskie.

* Wszystkiej białej płci to służy:
Słuchać najkrócej, gadać najdłużej.

Potocki.

* Serce kobiety jest to instrument: zależy od tego, kto się doń dotyka.

* Życie niewiasty możnaby podzielić na trzy epoki: w pierwszej marzą o miłości, w drugiej kochają, w trzeciej żałują miłości.

Saint-Prosper.

* Kobieta nieczuła jest błędem przyrodzenia.

* Łagodność kobiet, jak mleko, podlega skwaśnieniu.

Kawaler de Propiac.

* Utrata wieczna—niewiasta niestateczna.

Przypowieść.

* Długo ten puka, kto babę oszuka.

Przypowieść.

* Chłopiętom do sadu, białejgłowie do tajemnic, kosterze do pieniędzy — nie powierzaj klucza.

Przypowieść z XVI i XVII wieku.

* Co gospodarz wozem luśniowanym do stodół naprowadzi, to niewiasta garścią wypro wadzi.

Przypowieść z XV w.

* W białejgłowie zakochanie, nałóg, towarzystwo—nie łatwo zbyte rzeczy.

Przypowieść z XVI i XVII w.

* Zawsze radzą dla pokus, ba i dla obmowy:
Każdy się strzeż w rozmowach starej białogłowy.

Przypowieść z XV w.

* Kiedy pies śpi, żyd przysięga, pijany się modli, a białogłowa płacze—rzadko wierzyć trzeba.

Przypowieść z XVI w.

* Niewiasta piękna a głupia, jest jako kolce złote w pysku u świni.

Przypowieść Salomona.

* Wróbla na lep, niemca na chleb, żyda na dukaty, naszych na magnaty, francuza na cacko, byle strojne, kozaka na wojnę, a na zazdrość białogłowę—to lada urwiszątko złapać gotowe.

Stara przypowieść.

* Czterech rzeczy najbardziej pragnie biało-
[głowa:
Gładkości i dostatku, szat i dobrego słowa.
To jej świat, gdy się stroi, gdy za gładką mają,
Gdy ma tyle, ile chce—gdy jej dowierzają.

Przyp. u Zabczyca.

* Kobieta powinna mieć cnotę w sercu, skromność na czole, łagodność w ustach, a robotę w ręku.

Przysłowie.

* Jedna córka to dosyć; dwie to za wiele; trzy córki i matka do wściekłości ojca przyprowadzają.

* Czego kobieta chce, Bóg tego chce.

* Słuchaj pierwszej rady kobiecej, a nie drugiej.

Przysłowie francuzkie.

* Prędzej wypijesz wody całego morza, aniżeli poznasz charakter kobiety.

Przysłowie litewskie.

* Ci, co ukochawszy prawdę, na ciemnem serca dnie czytali, wiedzą dobrze, że jeżeli kobieta zasmucona zapomni, wbrew przyzwyczajeniu i przekonaniu, zajrzeć ukradkiem po przez łzy w zwierciadło — to już smutną jest nie na żarty.

Puszkin.

* Panna jest przedmową kobiety.

* Dziś milczących panien między nami nie widać, bo panny bodaj przegadały mężatki i prześcignęły nie jedną.

Księżna G. Puzynina.

* Piękną jest ta kobieta, która dobrze jest rosła i nie jest członków krzywych, która nie lata myślą po powietrzu, dziwnych kółek nie kreśląc sobie we łbie.

Mikołaj Rej z Nagłowic.

* Niema ani jednej kobiety, którаby pozostała miłą i piękną dla swojego męża.

Pani *Reybaud.*

* Serce kobiety—jest to otchłań, której nikt do dna nie zgłębił.

Pani *Riccoboni.*

* Gdy kobieta kocha, to kocha bez przerwy, w każdej chwili; lecz mężczyzna ma swoje antrakty.

* Kobiety bardzo są podobne do osób, którychby nic tak nie zmęczyło, jak powtarzanie słówka *tak;* w każdym razie starają się je wymówić tylko po *nie.*

* Kochać swoich nieprzyjaciół, mówią kobiety, jest to oddawać wizytę nieprzyjaciółkom swoim i pić z niemi herbatę! Wówczas, gdy mężczyzna usilnie poszukuje towarzystwa, któreby jednakowy z nim miało pogląd w rzeczach naukowych i politycznych i gdy unika osób, nie podzielających z nim jakiej idei, kobiety przeciwnie, chętnie odwiedzają te osoby, które dla nich ani pociągu, ani najmniejszej życzliwości nie mają.

* Trudno poznać serca niewieście, a nadewszystko dziewicze; wolałbym odgadnąć dziesięć matek, niż dwie dziewice.

* Gdyby mężczyźni nie gubili kobiet, gubiłyby je romanse.

* Zbyt delikatne kobiety podobne są do pszczół—tylko się za kwiatami i młodemi odroślami upędzają. Mniej wyrafinowanej czułości— są jak szerszenie: tylko się do owoców przywiązują.

* Kobiety są podobne do domów hiszpańskich, w których mnóstwo drzwi, a mało okien; łacniej dostać się do ich serca, aniżeli w niem czytać.

* Kobiety są podobne do przedmiotów z kości słoniowej: nic nie jest tak białem i gładkiem, lecz nic też łatwiej nie żółknieje.

* Tylko kobiety umieją kochać, bądź Boga, bądź człeka.

* Godną pogardy jest kobieta, co mając dzieci, znać może nudę.

* Nic lepszego nad serce młodej dziewicy i masło świeże; szkoda tylko, że jedno i drugie jełczeje, starzejąc się i nabiera goryczy. Młode dziewczęta są, jak kwiaty, stare kobiety—jak owoce: pierwszych dotkniesz się, nie straciwszy świeżości, drugie przez samo zbliżenie udzielają zgnilizny.

* Im bardziej niewiasta jest niewiastą, tem jest bezinteresowniejszą i życzliwszą.

Jan Paweł Richter.

* Zawsze prawie kobiety zwierzają się swoim mężom z małych rzeczy, by się z wielkich nie zwierzać.

Rochebrune.

* Jakiekolwiek byłoby wahanie się kobiety, przychodzącej na miłosną schadzkę, już dla tego, że przybywa, wszystkiego się od niej spodziewać możecie. Bojaźliwa zrazu, ustąpi wprawdzie nie bez trudności, lecz w każdym razie ustąpi; co większa, ona nawet przyszła w tym zamiarze, ażeby ustąpić kochankowi, jest tam li dla tego, by go uszczęśliwić.

Pani *de Rieux.*

* Bez nas nie bylibyście ani cnotliwymi, ani kochanymi, ani miłymi, ani szczęśliwymi; zachowajcie tedy wszelką sławę i władzę; my zaś nie chcemy inaczej władać, jak przez obyczaje, ani pragniemy gdzieindziej panować, jak tylko w sercach waszych.

Pani *Roland.*

* Surowość kobiet jest ozdobą i barwą, jaką przydają do swej piękności. Jest to miły a delikatny wdzięk, jest to łagodność przebrana.

* Mało jest uczciwych kobiet, którymby się nie sprzykrzyła ich uczciwość.

* Kobiety kochające łatwiej przebaczą wielką płochość, niż małą niewierność.

* Nie na wiele się przyda kobiecie być młodą, nie będąc piękną i być piękną, nie będąc młodą.

* Niema kobiet, którychby wartość dłużej trwała, aniżeli piękność.

* Uczciwe kobiety po większej części są to skarby ukryte, które dla tego są bezpieczne, iż nikt ich nie szuka.

* Uczciwość kobiet pochodzi częstokroć z zamiłowania własnej opinii i spokoju.

La Rochefoucauld.

* Kobiety nie są stworzone do biegania, uciekają więc, aby być złowionemi.

* Najcudniejszym utworem natury jest miła i cnotliwa kobieta; lecz kędyż się ten boski utwór znajduje?

* Kobiety mają wszystko przeciw sobie: nasze błędy, swoją bojaźliwość i swoją słabość.

* Kobieta jest mężczyzną w tem wszystkiem, co się płci nie dotycze.

* Niemal zawsze brzydkie kobiety wprowadzają mody, którym piękne nierozsądnie podlegają.

* Zamiast się wstydzić swej słabości, kobiety się nią popisują; udają, że nie mogą podjąć najmniejszego ciężaru, wstydzą się okazać silnemi. Dla czego? Nie dla tego tylko, aby okazać swą delikatność, lecz przez daleko lepiej obmyśloną ostrożność: zawczasu przygotowują sobie wymówki i prawo okazania się słabemi przy nadarzonej okoliczności.

J. J. Rousseau.

* Niewiasta spartańska, mająca pięciu synów w wojsku, oczekiwała wiadomości z pola bitwy.

Przybywa Helota; zapytuje go drżąca:

— Pięciu twoich synów poległo.

— Podły niewolniku! otożem ciebie pytała?

— Otrzymaliśmy zwycięztwo!

Matka biegnie do świątyni i zanosi bogom dziękczynne modły.

Oto obywatelka!

* Biada temu domowi, gdzie krowa doboda wołowi.

Mikołaj Rej z Nagłowic.

* Cnota kobiety być może skutkiem jej temperamentu.

La Rochefoucauld.

* Wady kobiet wypływają z ich słabości i czułości, są to niby plamy na księżycu, niby parowy, kwieciem umajone. Wady zaś mężczyzn pochodzą z ich egoizmu i nieużytości, podobne są do plam na słońcu, które, jak wiadomo, są suchemi i wapiennemi jego częściami.

* Gdy kobieta ma coś w głowie, trudności tylko powiększają jej żądzę i czynią ślepą na następstwa.

J. P. Richter.

* — Żono, pójdźmy do kościoła.

— Nie mam w czem, miły.

— Pójdźmyż do karczmy.

— Dziewko! daj stare buty, są tam gdzieś pod ławą.

* Kiedy Wenus w domu rządzić będzie, być Marsowi z kurami na grzędzie.

Rysiński.

* Im mniej kto dba o łaskę kobiet, tem więcej one lgną.

Henryk Rzewuski.

* Gdzie niema miłości, tam kobiety niema.

George Sand.

* Kobieta jest miodem w komórkowej pawęzi życia, jest groszkiem cukrowym w strąku istnienia, oczkiem pozłoty na chudym rosole żywota, wątróbką ze szczupaka podczas wielkiego postu na świecie, gwiazdką ustrojoną dla dzieci ludzkości, cudowną i tajemną sprężyną w wielkiej machinie świata.

* Porównywają kobiety z magnesem, a przecież... magnes nigdy złota nie przyciąga...

Saphir.

* Kto niewiasty obronić nie zdoła, nie wart jej serca.

* Wszystkie niemal kobiety są poniekąd wieszczkami. Zdaje się, iż delikatne ich zmysły przeczuwają wypadki, skoro te wielkiej dla nich mają być wagi.

* Najbojaźliwsza kobieta zawsze jeszcze dosyć ma odwagi, by obmawiać.

L. Schiller.

* Nie należy wierzyć temu, co kobieta mówi innej kobiecie: zawsze bowiem one mają słabość wierzyć, że zyskają sławę, innym ujętą.

Pani *Sartory.*

* Lituję się nad płcią piękną, albowiem kobieta nie ma i mieć nie może przyjaciół. Tylko mężczyźni znają przyjaźń.

Scheffer.

* Kobiety rządzą nami, starajmy się więc je udoskonalić: im będą światlejsze, tem więcej będziem oświeceni. Od uprawy umysłu niewieściego zawisła mądrość męzka.

Sheridan.

* Nienawiść kobiety da się tylko porównać z nienawiścią innej kobiety.

Schiller.

* Mało jest kobiet, któreby, zostając matkami, nie traciły niektórych wad i nie zyskiwały nowych cnót.

De Segur.

* Mężczyźni stanowią prawa, kobiety - obyczaje.

Sieyès.

* Kobieta jest źródłem wszelkiego złego.

Sokrates.

* Gdyby kobiety nie miały kilku pięknych wadek, nie wiedzielibyśmy, jak z niemi począć, ani jak się ich pozbyć.

* Nie dość kochać kobietę; najrozsądniejsza pragnie jeszcze, aby ją bawiono; cóś jej szepcze do ucha, że zbytek jest jednym z wdzięków jej płci i że najszczęśliwsza zyskuje jeszcze, będąc zadowoloną. Zawsze w kobiecie jest dziecko.

* Łagodność kobiety — to niby łapka kocia: ściśnij ją nieco, a uczujesz pazurki.

* Niektórym kobietom ani wspominaj o rozkoszy poczciwej i łatwej, rozkoszy prostej, tej dobrej, głupiej rozkoszy, którą się codzień ma pod ręką, która nic nie kosztuje i o której powiedziano: „że dosyć się schylić, by ją posiąść.“ Rozkosz kosztowna, rozkosz rujnująca, zużywająca, zabijająca, rozkosz niebezpieczna i wzbroniona, rozkosz wreszcie niemożebna—owóż dla niej rozkosz prawdziwa!

* W miłości kobieta, mówiąca *nie* kocha częstokroć więcej, niż ta co mówi: *tak*.

* Głowa kobiety jestto twierdza w warownym mieście. Dopóki się ona opiera, dopóty miasto może stawić opór.

* Przyjaźń kobiety z mężczyzną jest częstokroć miłością, ukazującą się w profilu.

* Nie wierz w zimno kobiety: nic tak prędko nie taje jak lód.

* Zimna kobieta jest to dom, w którym architekt zapomniał wschodów, jestto lampa bez oleju, latarnia bez światła, komin bez ognia.

* Jeżeli oko mówi *tak*, a usta *nie*, słuchaj tylko oczu.

* Można być bardzo śliczną kobietą, nie będąc wcale piękną.

* Najlekkomyślniejsza kobieta staje się poważną, gdy się znajdzie w obec tej ważnej kwestyi: „Jak się ubiorę tego wieczora?“

* Kobieta z umysłem i sercem może przebaczyć niewierność, lecz nigdy nie przebaczy niewdzięczności.

* Kobieta wzruszona nawet wtenczas jest wymowną, gdy milczy.

* Kobiety nigdyby nie zamilczały, gdyby samo milczenie nie było dla nich wymową. One to wynalazły sztukę mówienia wiele, nic nie mówiąc, i nic nie mówienia, mówiąc wiele.

P. J. Stahl.

* Macierzyństwo jestto rewolucyja w istnieniu kobiety, a własnością rewolucyi: jest rozbudzenie wszelkich potęg żywotnych. Trzebaby było przypuścić najzupełniejszy upadek moralny, żeby w tem bolesnem przesileniu twórczej natury kobieta nie uczuła zapału poświęcenia, tętniącego w łonie swojem. Pierwsze kwilenie dziecięcia jest niby wyrocznią, przez którą się przejawia własna jej wielkość... To bolesne poczucie mocy rodzących, ta dziwna praca przekazania słabości, owe nadzieje, niepokoje, nie-

słychane wysilenia, co ją uciskają, potęgują i w jednym zarazem wybuchają jęku; wreszcie ta ostatnia konwulsyja, po której wnet następuje wspaniały spokój natury, uspokojonej po spełnieniu wielkiego czynu — wszystko to nie jest jak powiedziano, ani żadną karą, ani też oznaką niższości tej płci. Owszem to bliższe uczestnictwo w sprawach przyrodzenia, te dreszcze życia w jej wnętrznościach są dla kobiety najwyższą inicyjatywą, co ją stawi wobec prawdy bożej, do której mężczyzna li długiemi manowcami się zbliża, walcząc i ze skomplikowanemi środki i surowością nauki.

* Oby błogosławieństwo Boże spłynęło na całą płeć piękną! Nikt jej więcej odemnie nie kocha. Pomimo wszystkich słabości, jakiem widział w kobietach, pomimo wszystkich satyr, jakie czytałem przeciwko nim, zawsze je kocham. I mocno jestem przekonany, że mężczyzna, nie mający pewnego przywiązania do nich wszystkich, żadnej nie kochał, jak się należy.

Daniel Stern.

* Złoto i brylanty mają niemą wymowę, która nierównie silniej porusza serce kobiety, aniżeli piękne słówka.

* Wszystko, co jest złem w mężczyźnie, od kobiety pochodzi. Jej on zawdzięcza kłamstwo, pochlebstwo, oszukaństwo, bezwstyd, myśli sprośne: wszystko to od niej pochodzi i od niej tylko jedynie, również jak mściwość, ambicyja, łakomstwo, dziwactwo, złośliwość, niestałość. Wszystkie wady, jakie można wyliczyć i jakie tylko piekło zna, wszystkie lub przynajmniej większa ich część pochodzi od kobiety; co mówię? tu niema wyjątku — wszystkie od niej pochodzą. Jej bowiem niestałość graniczy z występkiem, a występek, dopiero powstały, natychmiast w nowy się zamienia.

* Oj! te kobiety, kobiety! Niech się im tylko co zamarzy, dopóty będą snuły, knuły, przemyślały, dopóki nie postawią na swojem; niech tylko im wlezie co w głowę, muszą dokazać swego, chociażby od tego miała pęknąć i sama głowa.

* O! wolałbym raczej powierzyć Holendrowi masło, Irlandczykowi flaszę z wódką, wolałbym powierzyć złodziejowi wierzchowca do ujeżdżania, niżeli powierzyć kobietę jej własnej straży.

* Kobieta lekkich obyczajów, wyzyskując skłonność wielbicieli swoich, zapewniała z kolei każdego z kochanków, że jest wyłącznym przedmiotem jej uczuć.

Jeden z nich, przekonawszy się o niewierności zmiennej kokietki, na czynione jej w tym względzie wymówki, odebrał odpowiedź:

— Skoro przestałeś być zaślepionym, możesz tu więcej nie przychodzić; przyjmuję u siebie tylko dotkniętych utratą wzroku.

* Obrazki z was za progiem domu,
Damy w pokojach, dzikie koty w kuchni,
Święte, jeśli same co zbroicie,
Dyjablice, gdy kto wam w czem nie dogodzi.

Szekspir, tł. Paszkowskiego.

* W jednem towarzystwie męskiem rozmawiano o kobietach i rozprawa była o tem, co one lubią najlepiej: jedni mówili, że kochać; drudzy, że iść za mąż; trzeci, że tańcować. Jeden, który milczał ciągle, odezwał się nareszcie: „To wszystko szczegółowe gusta, ale ja wam powiem, co one wszystkie najlepiej lubią: oto panować."

Wacł. Szymanowski.

* O kobiety! nie obchodzą was zgoła rany, które zadajecie. Gdybyście były czyste, miałybyście przynajmniej wstyd; gdybyście były miłosierne, miałybyście przynajmniej litość. Lecz nie mniej jesteście bezwstydne, jak okrutne!

Tertulian.

* Kobiety, rzekłbyś, wymknęły się z rąk przyrodzenia, gdy jeszcze w ich tworzywo wszedł tylko ogień i powietrze.

Thomas.

* Kto chce opisać kobiety, musi znać rzeczy [rozliczne,
Mimo ich wielkie zalety, są to istotki mistyczne.
Podług mnie, sto lat niewiele, by poznać kobiet [chimerki,
Przed ślubem aniołki w ciele, a po ślubie Lucy- [perki.
Lecz nie cały ród niewieści tak być może po- [chwalony,
Wszak i dobre się w nim mieści: skromne pan- [ny, wierne żony.
Przecież kto dwakroć się żeni, ten ma w czubku czere-mere.

Teatr.

* Najwyższa pochwała, na jaką może zasłużyć kobieta, jest ta, że o niej mówią ani źle, ani dobrze.

Thucydydes.

* Płeć piękna ma w swojej istocie coś z natury sroki i lubi równie błyskotki, jak plotki.

* Igła i garnek są jedynem przeznaczeniem kobiety.

Br. Trentowski.

* Pragniecie poznać moralne i polityczne stanowisko jakiego ludu? Zapytajcie, jakie miejsce zajmują tam kobiety. Wpływ ich obejmuje całe życie.

Fr. Trębicka.

* Kobiety umieją dochować tajemnicy. Skoro jedna z nich, wzięta na tortury, mogła odgryść sobie język, by nic nie wyjawić, to już tem samem okazuje się, jaką mają władzę nad sobą!

Lopez de Vega.

* Cywilizacyja przedewszystkiem jest uczczeniem niewiasty. Wszelki naród, kędy kobieta nie jest uszanowaną — jest barbarzyński.

Ojciec Ventura.

* Wszystkie rozumowania nie warte jednego uczucia kobiety.

* Im gdzie więcej będzie żonatych, tem mniej przestępstw. Przejrzyjcie okropne rejestra naszych kryminalnych sądownictw, a znajdziecie tam stu bezżennych powieszonych lub wplecionych w koło na jednego żonatego. Małżeństwo czyni człowieka cnotliwym i mędrszym. Ojciec rodziny nie zechce rumienić się przed swojemi dziećmi. Obawia się pozostawić im hańbę w spuściźnie. — Żeńcie swoich żołnierzy, a nie będzie zbiegów. Przywiążcie ich do rodziny a będą przywiązani do ojczyzny. Żołnierz bezżenny jest najczęściej włóczęgą, dla którego obojętną jest rzeczą, czy służy królowi Neapolu, czy też królowi Marokańskiemu.

Voltaire.

* Romansowi kochankowie nie są tak oziębli jak zwyczajni; biją głową o ścianę, byleby mucha koło ich miłostek przeleciała.

* Przez wszystkie dobrego tonu kobiety uznaną to jest prawdą, iż nic nie ma nudniejszego nad prawdziwie kochającego się człeka.

Wiadomości Brukowe.

* Jak co kobietom wjedzie do głowy, to czterema końmi nie wyciągniesz.

Wilczyński.

* Kobieta zawsze jest zmienną i niestałą.

Wirgiliusz.

* Wolę niewiastę bez świata, jak cały świat bez niewiasty.

Wal. Wielogłowski.

* Przyjaźń pomiędzy pięknemi a złemi niewiastami jest to samo, co zamki, widziane w obłokach.

Yszmintas, mędrzec Litewski.

* Kobiecie prędzejby język zmarzł w gębie, niż żeby swego dopiąć nie miała.

* Koń, kobieta, to bryka, to nawyka, a jak weźmie na kieł, powieś uzdeczkę na kołku a sam pieszo idź, póki ci się podoba.

* Kobiety na gryzienie mężczyzn tak są, jak szarańcza na zboże.

Fr. Zabłocki.

* Nie próżno to niejeden mąż mówi: „Moja droga, moja najdroższa żono!“ bo niejeden zapewne opłacić się jej nie może.

* Kobietom nie można powierzać sekretów, bo mają uszy przekłute.

* Kobiety są plenipotentkami wiosny i lata, bo choć u nas Grudzień, choć Marzec, to na ich twarzach kwitną róże, lilije, nawet w nosie mają muszki, co się tylko w największe gorąco przydarzyć może.

* Stary Alwar powiada, że kobietki płoche należą do *generis masculini*, szalejący za płcią niewieścią mężczyźni są: *generis feminini*, skromne dziewczęta są: *generis neutrius*.

* Kobietki podobne są do chorągiewek: póty się kręcą, póki nie zardzewieją.

* Nietylko teraz worki i kieszenie są próżne, ale nawet: kobiety.

Alojzy Żółkowski.

* Kobieta jest istotą,
Złożoną z falban, tiurniury;
Posiada wdzięk niektóry
I fochów fury.
Lecz mniejsza o to.
Kobieta jest niewiastą,
Tak zwaną „piękna płeć,“
I tylko jedna na sto —
Nie życzy męża mieć,
I obcą jej zła sieć.
Kobieta jest to postać
Odmienna od mężczyzny,
Bo do późnej siwizny
Chce zawsze młodą zostać,
Choć starość znaczy swe blizny.
Gdybym ja była poetą,
Nie zaś kościarką,
Wnet opisałabym szparko
Ciebie kobieto.
Jako twa cała figura,
Z nędznych jest szmatek złożona.
Ach, muzo, lepiej daj nura,
Mowa chybiona
Jest moja, bowiem przykrości
Znoszę za to, żem jest kobietą.
Dawniej bywało nie to,
Był wdzięk, ba i mamona
A dzisiaj nie do...
Kości kupuję, kości!

Z uszanowaniem
Jakóbina Kościarka.

* *Kobiety uczone.*

„Pytasz, dla czego nie chcę nazwać cię mą żoną? Oto niestety! Jesteś zanadto uczoną!“ Kokieteryja, czyli żądza przypodobania się, wytworzyła wśród kobiet jeszcze jeden nieznany dawniej rodzaj: kobiet uczonych. Gdy prababki nasze nie znały innych książek, jak modlitewnik i kantyczki, dzisiejsze damy nie kontentują się nawet beletrystyką, ale wertują dzieła poważne, ekonomiczno-polityczne i filozoficzne, ażeby szumną paplaniną o tych kwestyjach zakasować mniej wysoko pod tym względem stojące współzawodniczki, które traktują z pogardliwem lekceważeniem, garnąc się jedynie do towarzystwa mężczyzn, chcąc ich olśniewać uczonością swoją. Krystyna Szwedzka była jedną z najuczeńszych kobiet swego czasu i ze wszystkich przedstawicielek płci swojej znosiła jedynie towarzystwo Ninony de L'Enclos. Znajdzie się zawsze dosyć osobników płci brzydkiej, werbujących się do orszaku takiej dwupłciowej istoty, od której wszakże prawdziwie rozumny człowiek odwraca się z niesmakiem, przypominając wspomnienie Moliera, który damy podobne tak świetnie odmalował w swoich: „Femmes savantes“ („Kobiety uczone“) i w „Ecoles des femmes“ („Szkoła kobiet“); w tej ostatniej komedyi jedna z tych kobiet jest tak obcą kwestyj powszedniego życia, że:

„W swojej niewinności pytanie wywodzi,
Czy dziecko na świat przez ucho przychodzi?“

Sawantki podobnie jak i histeryczki, są prawdziwym krzyżem pańskim dla otaczających.

Kobiety uczone, sentymentalne, damy z półświatka i dewotki—są to cztery odrębne plagi, które z pewnością skuteczniej oddziałałyby były na Egipcyjan, jak dziesięć plag Mojżeszowych. Każda z nich, osobno wzięta, zdolną jest przemienić rozumnego człowieka w idyjotę, a szczęśliwego w najnieszczęśliwszego na świecie. Nie można stawać w obronie zepsutych rzymian, porzucających swe żony, ani usprawiedliwiać Paulusa-Emiliusa, że się rozłączył ze swoją Papirią; przyjaciele jego nawet ganili mu to, mówiąc: — Papiria jest mądrą i piękną, dla czegóż ją rzucasz? Ale Paulus w odpowiedzi wyciągnął nogę i rzekł: — Przypatrzcie się temu trzewikowi; jest piękny i dobrze zrobiony, ale mię ciśnie do niewytrzymania, więc rzucić go muszę. Otóż pantofel sawantki musi chyba najdotkliwiej ugniatać i znośniejsze już są te kobiety, o których pisze Terencyjusz: „Na ubieraniu i strojeniu schodzą im lata całe". Jest to prawdziwe „desertio malitioso" („opuszczenie złośliwe") kiedy kobieta poświęca męża, dzieci, ład i byt domowy, dla dzienników i książek różnego rodzaju i prawo powinnoby uważać takie „najzłośliwsze opuszczenie" jako punkt do rozwodu; jak tylko uda się szatanowi wyciągnąć na Helikon kobietę, może tryumfować słusznie, bo zrobił sobie z niej wierną służkę. Orfeusz wyprowadził swoją Eurydykę z otchłani piekielnej, ale gdzie się znajdzie Orfeusz, któryby swoją żonę sprowadził napowrót z wysokości Parnasu do kuchni, igły i kolebki? Płeć piękna jest już i tak aż nadto wymowną, czy nie dosyć jej ust i oczu? chce jeszcze piórem przemawiać? Obwiniano niektóre z naszych prababek, że robiły wycieczki na miotłach na Łysą górę; czy nie gorsze są obecne wycieczki niewiast, za pomocą piór, na górę muz? Kant, jakkolwiek stary kawaler, nie znał się wcale na galanteryi; zmieniał on bieliznę ledwie parę razy na miesiąc, a jeden kapelusz służył mu przez lat 20; po jego śmierci kupił go na licytacyi pewien anglik za 25 guldenów; gdy która z dam zwróciła się do tego filozofa z dyskusyją naukową lub polityczną, zamiast odpowiedzi, zadawał jej pytanie, dotyczące ludzi lub budżetu domowego. „On ma nas wszystkie za kucharki!" — mówiły obrażone; ale bo też nie jedna z zarozumiałych sawantek jest w stanie wyjechać z zapytaniem arcynaiwnem, np. „czy to Horacyjusz napisał te piękne poezyje Wirgilijusza?" lub „dla czego też tak wielki człowiek, jak Cezar, nie został chrześcijaninem?" Inne przekręcają nielitościwie nazwy i imiona: „Biedna ta *Maryja Stutgard*" (zamiast *Stuart*)—odezwała się jedna—taka młoda i piękna i tak nieszczęśliwie skończyła!" Druga, posyłając książki do oprawy, piszę do introligatora: — Musisz pan oprawić *in folio*, czy *in quarto* lub *in octavo*, wszystko mi jedno, byle nie zbyt drogo. Gdy ktoś zarzucał Miltonowi, dla czego nie każe córki uczyć obcych języków, odpowiedział: — O, jedna mowa jest aż nadto dostateczną dla kobiecych języków! I miał poniekąd racyję, bo obca mowa bardzo często jest źle zastosowaną; i tak, pewna dama, słysząc, że po francuzku króla nazywają „*Sire*", mówiąc o królowej, nazwała ją „*Sirène*". Lichtenberg opowiada o jednej pannie, że chcąc się popisać ze swoją wolnomyślnością, rzekła:—Przysięgam na Boga, że jestem ateistką. Druga dziwiła się, że malarz Inn malował tylko Chrystusa na krzyżu; inna znów dowodziła, że *Da Capo* jest wielkim kompozytorem. Jednej literatce zaprezentowano pewnego człowieka z nadmienieniem, że jest niezmiernie uczony i dowcipny; uszczęśliwiona taką znajomością, przysiadła się do niego, obsypywała go komplementami i rozmaitemi cytatami naukowemi, a gdy odszedł, rzekła:—Zasłużoną ma opiniję ten pan N.; nie zdarzyło mi się spotkać tak miłego i rozumnego człowieka. — Pan N.? — odezwał się jeden z przytomnych — ależ on jest głucho-niemy! Można sobie wyobrazić minę uczonej damy na te słowa; wytłomaczyło jej to oryginalne zachowanie się owego „arcyrozumnego człowieka", który przez cały czas ani słowa jej nie odpowie-

dział. Godne wzmianki są też korespondencyje kobiece, w których główną rolę grają: papier ozdobny, piasek kolorowy lub złocisty, pieczątka z godłem i t. p., a najważniejsze rzeczy mieszczą się w „*postscriptum*". Jedna pisała do przyjaciółki: „Żegnam Cię! Ach! ten niewierny zdrajca będzie przyczyną mej śmierci! Ostatnie moje słowa są dla Ciebie!" a w *postscriptum*: „Gdy będziesz pisać do mnie przez pierwszą okazyję, nie zapomnij o nowym kapelusiku dla mnie. Czas mamy okropny! Boże! zlituj się nad moją duszą!" Inna, wdowa po zawiadowcy małej stacyi kolejowej, pisze do mianowanego zastępcy (nb. kawalera) w sprawie, dotyczącej tego urzędowania, a w postscriptum umieszcza te słowa: „Jestem nad wyraz znękana moją stratą! Miałam tylko jedną dziecinę i ta niedługo żyła, cóż mi teraz zostaje, pomimo, że mam majątek i lat 22 zaledwie!" Mamy wiele poważnych dzieł „O kobietach"; dla czego żadna z piszących kobiet nie wydała traktatu „O mężczyznach?" Byłożby to skutkiem przebiegłego wyrachowania? Molière tylko kładzie w usta Armandy te słowa, jako radę dla siostry: „Zamiast zostać podległą mężowi niewolnicą, lepiej, kochana siostro, oddaj się filozofii". Kant mówi jeszcze o kobietach, że powinny być podobne do ratuszowego zegara z akuratności, ale nie z tego, że dużo i głośno dzwoni; a także powinny być podobne do echa w tem, że odzywa się tylko wtedy, gdy go zapytają, a nie w tem, że zawsze chce mieć ostatnie słowo; przytem przypomina bajkę Boufflera o szczurze w Ratopolis, który, zakradłszy się do biblijoteki, najadł się tyle książek, że nie mogąc ich przetrawić, przypłacił życiem to rzucanie się na pokarm niewłaściwy. To wszystko stosuje się do ogółu płci pięknej, a bezwarunkowo słabszej; porywając się na nie swoje rzeczy, kobiety dla wątpliwych tryumfów zaniedbują najpierwsze swe obowiązki, jako żony, matki i gospodyni; są bowiem wyjątki, jaśniejące niepospolitym talentem i odznaczające się w literaturze, jak panie: Stael, de Genlis, Dudeffant, ale jakież to były żony? Oczywiście trudno jest nadzwyczaj pogodzić jedno z drugiem! Najpochlebniejszem świadectwem czynności kobiecej był niejaki rycerz d'Eon, kobieta całkiem po męzku wychowana, która pod powyższem nazwiskiem była jurystą, oficerem, posłem i autorem, a wszystko to spełniała z niepospolitą zdolnością. Cała Europa brała udział w sprzeczce o jej rzeczywistej płci; anglicy robili ogromne zakłady i mogła była z tego osiągnąć wielkie korzyści, gdyby nie to, że przez ambicyję odrzucała wszelkie nalegania o wyjawienie płci swojej. Ludwik XV odwołał ją z Londynu, ale gdy ją chciał zmusić do przywdziania kobiecego stroju, odpowiedziała: — Będąc długi czas kapitanem, czyż mam nakoniec zostać *kornetem?* (*cornette*—wyraz znaczący rangę podoficera, albo rodzaj kobiecego czepka). Gdy wybuchła rewolucyja, chciała znów wstąpić w szeregi, jako oficer, ale gdy jej odmówiono, powróciła do Londynu i tam zakończyła życie prawie w nędzy; został po niej zbiór pism. W niemieckim języku genijusz jest rodzaju nijakiego, co jest najwłaściwiej; nie jest on bowiem wyłącznie udziałem mężczyzn lub kobiet, a także nie bywa zależnym od wyższego lub niższego urodzenia. Można wprawdzie kochać się w kobiecie uczonej, w literatce czy poetce, ale żenić się zawsze lepiej z taką, która umie dobrze przyrządzać zupę i inne potrawy, zna się w ogóle na gospodarstwie, jak i na szyciu i utrzymaniu wszystkiego w porządku. Pitagoras już każe się mieć na ostrożności przed muzami, „które wszystkie dziewięć razem nie warte są jednej gracyi" i groził losem Pierydów, zamienionych w sroki; lepsza już sroka głupia, niż sroka uczona, i znośniejsza żona, która się stroi i maluje, niżeli literatka z palcami, zawalanemi atramentem. Czasy przedrewolucyjne we Francyi można nazwać epoką inteligentnych kobiet, wśród których pani Stael-Holstein odznaczała się, jako dowcipna autorka; w ślady jej wstąpiła też lady Morgan, która Napoleonowi mówić chciała o organizacyi Francyi, ale ten przerwał jej, zapy-

tując: — Kto też wychowuje pani dzieci? Tak jak pani de Staël, gdy się go pytała, jaką kobietę najwyżej ceni, rzekł: — Tę, która ma najwięcej dzieci. A nb. wiedział, że ta mądra dama wcale ich nie ma. Innej z pań, pytającej się go o jakąś polityczną kwestyję, odpowiedział szorstko: — Nie lubię, jak kobiety mięszają się do polityki. — Dobrze, jenerale — odrzekła — ale w kraju, gdzie im ścinają głowy, mogę się spytać: „Dla czego?“ Listy pani de Sévigné odznaczają się ubóstwem treści, ale kobiety lubią je za tkliwość macierzyńską, jaka się w nich przebija; mężczyźni przekładają listy pani de Maintenon, gdyż zawierają więcej zajmujących rzeczy i całe są więcej po męzku pisane. W dawnych pensyjonatach klasztornych dziewczęta uczyły się zbyt mało, ale czy dzisiaj nie przesadzają znów zbytkiem nauk?

„Porzuć, córko, pióro i spal papier swój,
A zajmij się domem, bo to zawód twój;
Aby złowić męża, którego chcesz mieć,
Nie z pióra, lecz z nici wyrabia się sieć“.

* *Panowanie kobiet.*

Proboszcz z Sainte-Opportune przyrzekł ofiarować na post worek grochu każdemu z mężczyzn w parafii, który mu dowiedzie, że nie jest pod pantoflem u swojej żony.

Ale zwołani mężowie trzymali się jakoś zdaleka, nie ważąc się sięgać po ofiarę.

Jeden tylko z nich, tragarz z profesyi, podszedł do księdza śmiało i wytrzymawszy surowy egzamin, dostaje pozwolenie nabrania sobie grochu.

— Przyjacielu, dla czego taki mały worek przyniosłeś? — pyta go proboszcz.

— Ba... ja chciałem wziąć większy, ale mi żona nie dała.

— Ta...a...ak? mam cię, ptaszku!... no, powracaj-że i ty z próżnemi rękami do domu!

(*Tallemant des Réaux*).

* Księżna de Bourgogne, obecna temu pewnego wieczoru, jak król i pani de Maintenon, cieszący się nadzieją pokoju w początkach panowania królowej Anny, roztaczali przesadne pochwały o dworze angielskim — skacząc i kręcąc się w koło nich, wyrecytowała jednym tchem:

— Moja ciociu, nie ulega wątpliwości, że w Anglii królowe rządzą lepiej, niż królowie, ale czy wie ciocia, dla czego?... Oto dla tego, że pod panowaniem królów rządzą kobiety, zaś pod panowaniem królowych — mężczyźni.

(Saint-Simon, *Mémoires*).

* *Sekret i kobiety.*

Opowiadają następującą dykteryjkę:

Ksieni i matki dyskretne z Fontevrault prosiły przejeżdżającego tamtędy papieża Jana XXII, aby im dał pozwolenie spowiadania się jedna przed drugą, bowiem, mówiły, zakonnice miewają swoje pewne uchybienia, które daleko będzie składniej kobiecie wypowiedzieć przed kobietą, niż przed mężczyzną.

— Nie miałbym nic przeciwko temu — odpowiada Jan XXII — ale powszechna opinija twierdzi, że kobiety nie umieją dochować sekretu, a tajemnica spowiedzi jest rzeczą tak świętą...

— Ależ, Ojcze Święty — zapewniały — to są niecne plotki, my lepiej od mężczyzn milczeć potrafimy!

W parę dni po tem uroczystem zaręczeniu papież powierza tym pobożnym niewiastom małą puszkę do przechowania, przy czem daje im swoje papiezkie słowo, że żądanej dyspensy użyczy, jeśli nie zdradzą sekretu, na dnie tej-że zawartego.

Zaraz na drugi dzień przybywa Jan XXII, prosi o zwrot zostawionej puszki, otwiera ją ostentacyjnie w obec całego zgromadzenia i zapytuje:

— A cóż się stało z czeczotką, którą w tej puszce zamknąłem?... Otóż widzicie, taki sam los spotkałby niezawodnie i tajemnicę świętej spowiedzi; zatem o dyspensie niema już mowy pomiędzy nami.

(Rabelais, *Pantagruel*).

* *Byłoby dobrze.*

Gdyby naszym kobietom podczas ślubu księża
Nie jedną tylko rękę, lecz wiązali obie,
Bo tak myślą, że jedną należą do męża,
A z drugą, niby wolną, pozwalają sobie.

Świąteczny.

* *Omne trinum perfectum.*

Kobieta powinna mieć trzy rzeczy białe: ząbki, rączki i ciałko. Trzy rzeczy czarne: rzęsy, brewki i włoski (do tego liczy się i kok). Trzy rzeczy różowe: lice, buzię i paznokietki. Trzy rzeczy drobne: ząbki, paluszki i nóżki. Trzy rzeczy długie: włoski, kibić i ramionka. Trzy rzeczy krótkie: nosek, bródkę i stopkę. Trzy rzeczy słodkie: oczki, buzię i serduszko. Trzy rzeczy duże... Przepraszam, kobieta nie powinna mieć żadnej rzeczy dużej, ani nosa, ani buzi, ani rączki, ani nóżki, może jednak mieć duży posag, kamienicę dużą, lub majątek ziemski duży.

Świąteczny.

* *Kobiety i mężczyzna.*

— Dla czego nie bywasz pan w świecie? — pytałem pana M.

— Kobiet nie lubię, a mężczyzn znam nadto dobrze—odpowiedział.

Chamfort.

Kobyła.

* Zwierzę, za pomocą którego można orżnąć na jarmarku najserdeczniejszego przyjaciela.

Kochać.

* Kocha się kwiaty, ptaki, taniec, kochanka, czasami męża.

Jony.

* Z dykcyjonarza:—Kochać—słowo czynne na wiosnę, a nijakie w zimie.

Szczęście jest w dykcyjonarzu rzeczownikiem; w księdze żywota ludzkiego jest to część mowy, odmieniająca się w czasie przeszłym ze słowem wspominać, w czasie przyszłym ze słowem: mieć nadzieję, a nie używane w czasie teraźniejszym.

Leon Gatages.

Kochanek.

* *Kochanek szalony.*

Poeta Linière wypił wszystką wodę z kropielnicy, w której jedna z jego ukochanych umoczyła końce swych pięknych paluszków.

(*Carpentériana*).

* Panna de Feldtbruck, znudzona komplementami, które jej prawił hrabia d'Ouwerkerke, galopujący na pięknym wierzchowcu obok jej powozu, powiedziała mu, że na oświadczynach miłosnych nie zbywa nigdy grzecznym kawalerom, ale skoro idzie o dowody przekonywające, to liczyć na nich nie bardzo można.—Gdybym naprzykład zażądała, abyś się pan rzucił z tego mostu, przez który przejeżdżamy? Żywy kochanek nie odrzekłszy słowa, spiął konia ostrogami i skoczył z nim w rzekę. Szczęściem rumak jego był silnem zwierzęciem, a hrabia dzielnym jeźdźcem, więc cugli z rąk nie puścił i do brzegu dopłynął.

Panna de Feldtbruck mogła powinszować sobie jednego z dwojga: albo że jest istotnie kochaną, albo że ma kochanka waryjata.

(*Comte de Pallnitz*, *Memoires*).

* *Kochanek nieszczęśliwy.*

Książe de Chauvelin, mała figurka z wielkim obosiecznym garbem, ale żywy, sprytny i śmiały efront w stosunkach z kobietami, znalazłszy się raz sam na sam z panią de Nantouillet, zaczął się do niej tak natarczywie zalecać, że oburzona i przerażona, szarpnęła za dzwonek, na odgłos którego ukazał się we drzwiach słusznego wzrostu barczysty kamerdyner.

— Posadź księcia na kominie — wydała krótki ale stanowczy rozkaz.

Kominek był wysoki i szeroki, a książę wątły i bezsilny, więc pomimo gwałtownej protestacyi z jego strony, służący spełnił wolę swej pani...

Położenie galanta nie zabawnie się przedstawiało; najprzód obawiał się by karku nie skręcić, skacząc z tak znacznej wysokości; po drugie zmuszonym był słuchać cierpliwie wybuchów wesołości swojej tyranki; a co najgorsza, mógł się na wieki okryć śmiesznością w razie jakiejś nieprzewidzianej wizyty.

(*Genlisiana*).

* Jakiś angielski złoty młodzieniec czynił wymówki Drydenowi za to, że Kleomenes, bohater jego tragedyi, pozostawiony sam na sam z kochanką, zabawiał ją rozmową, kiedy mógł w praktyczniejszy sposób tę okoliczność wyzyskać.

— Ja—rzecze—ilekroć się znajdę w podobnem położeniu, nie tracę czasu na próżne słowa.

— Wierzę panu — odpowiedział Dryden—ale też pan nie jesteś .. bohaterem.

(*Panckoucke*).

Kochanka.

* Pewien pan, który dawniej codzień bywał w teatrze, zaprzestał nagle przychodzić, ale za to co wieczór widziano go w kasie teatralnej, zadającego pytanie: „Czy on ją otrzyma, czy on jej nie otrzyma?“ (pod wyrazem „on“ rozumiał kochanka w sztuce, „ona“ znaczyła kochankę). Jeżeli odpowiedź brzmiała: „Otrzymają“, powracał do domu, jeżeli powiedziano: „On jej nie otrzyma“, kupował bilet, mówiąc: „Eh! muszę to zobaczyć! Tyle tysięcy ludzi uzyskało swoje bogdanki, że do licha muszę wiedzieć, dla czego ten swojej nie zdobył!“

Kok i Marynka.

* Póki Marynka nie miała koka,
Każdemu była miłą dla oka;
Niestety! wkrótce prostota zbrzydła,
Dziś więc gdy nakształt w grochu straszydła,
Kręcąc wciąż główką jak pusta fryga,
Pęk końskich włosów Marynka dźwiga —
Każdemu wpada do ust ta zwrotka:
To nie Marynka, to już kokotka.

Kokieteryja.

* Nie zupełnie jeszcze stara, a bardzo jeszcze piękna lady, przyglądając się sobie z przyjemnością w lustrze, rzekła do swej córki:

— Cóżbyś nie dała za to, żebyś była równie piękną jak ja?

Młoda osoba odpowiedziała na to:

— Cóżbyś nie dała za to, droga matko, żebyś była równie młodą jak ja?

(*Omniana*).

Kolacyja.

* — O pani! czy mogę się spodziewać szczęścia, abyś zezwoliła mi zjeść kolacyję tête a tête.

— I owszem—każ pan sobie podać główkę cielęcą.

Kolbuszewska.

* Pani Kolbuszewska idąc na teatr, wzięła ze sobą dla okazałości lokaja, któremu zapłaciła wstęp na galeryję. Znalazł się on tam między wielu swymi kolegami, a ponieważ po raz pierwszy zdarzyło mu się być w teatrze, przeto bardzo dziwaczne swoim kolegom dawał pytania. W końcu przedstawienia zaczęto wywoływać aktorów po imieniu. „A to co?“—pyta nowicyjusz swoich kolegów. „To każdy lokaj wywołuje teraz swego pana lub panią“ —odpowiedzieli mu, żartując, koledzy. On tedy z całego gardła począł wołać z mazowiecka: „Pani Kołbusewska! Pani Kołbusewska! ja tutaj!“

Kolega.

* *Po śmierci kolegi Misiewicza.*

W biurze instytucyi prywatnej rozeszła się smutna wiadomość, że starszy referent Misiewicz, człowiek wielkich zdolności i „nieoszacowanego“ charakteru (choć za życia nikt go o to nie posądzał) przeniósł się na łono wieczności.

— Mój Boże! — krzyknął kancelista — tak poczciwy kolega!.. zawsze mi pożyczał scyzoryka do skrobania kleksów.

— Jezus Maryja, co za straszna strata! — jęknął dziennikarz, podnosząc chustkę do oczu.

— Panowie—zaczął młodszy referent—panowie... nieboszczyk był, że tak powiem... nie... boleść nie pozwala mi mówić... miesza mi wyrazy... dokończę innym razem...

— Pan Misiewicz—rzekł dyrektor biura poważnym głosem—był zdolnym, pracowitym i zastąpić go będzie bardzo trudno, panowie... o, bardzo trudno...

Po tych słowach nastąpiło grobowe milczenie, przerywane westchnieniami boleści.

Pierwszy kancelista usiadł przy stoliku i zaczął obliczać w myśli, jakiego może spodziewać się awansu z powodu śmierci nieodżałowanego Misiewicza.

Dziennikarz schował chustkę, zwilżoną łzami i pomyślał:

— Jeżeli awans pójdzie kolejką, zostanę pomocnikiem referenta.

Młodszy referent, chociaż boleść przerwała mu mowę, odzyskał ją niebawem na myśl, że „awans go nie minie. Bo i jakżeby mógł minąć? Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy.“

A dyrektor?

Dyrektor powrócił do domu w doskonałym humorze i przy obiedzie odezwał się w te słowa do swojej siostrzenicy, panny Pulcheryi:

— Pulcherciu, zawakowała posada; tysiąc rubelków pensyi, mieszkanie i... dochodziki. Teraz, rozumie się, wsadzam twego Alfonsa na tę posadę, daję ci męża z pozycyą i uszczęśliwiam cię... cóż ty na to?

Panna Pulcheryja aż podskoczyła z radości.

— Drogi wujaszeczku, czy to prawda tylko?

— Najprawdziwsza prawda, koteczko. Misiewicz, starszy referent, umarł nieborak dziś rano. Chociaż o jego posadę będą mnie atakować moi podwładni z biura, ale twoja przyszłość najwięcej mnie obchodzi, Pulcherciu. Na to przecież jestem dyrektorem, abym pomagał krewnym.

Dyrektor zjadł obiad z podwójnym apetytem, zapalił cygaro i wziąwszy do rąk jedno z pism codziennych, przeszedł do swego gabinetu.

Zaledwie zaczął czytać ciekawy artykuł znanego literata Z. o przewróceniu się baby z ciężarem na Nowym Świecie, w przedpokoju odezwał się dzwonek i lokaj oznajmił gościa.

Po chwili wszedł do gabinetu pan Aktowicz, archiwista biura i ucałowawszy ramię pana dyrektora, odezwał się w te słowa:

— Panie dyrektorze, z powodu śmierci kolegi Misiewicza, przychodzę przypomnieć panu dyrektorowi dane mi przyrzeczenie, że przy pierwszym wakansie...

— Nie przypominam sobie, panie Aktowicz —wtrącił dyrektor.

— Słowa pana dyrektora mam zanotowane w pugilaresie... było to dnia 15 Marca o godzinie 12 i pół—rzekł niezmięszany Aktowicz, sięgając do kieszeni.

— Nie rób pan sobie subjekcyi, wierzę pańskiemu słowu... ale o cóż panu chodzi?

— Chodzi mi o posadę po nieboszczyku Misiewiczu.

— Pan jesteś kawalerem, panie Aktowicz?

— *De facto* jestem kawalerem.

— No, to pensya dzisiejsza aż nadto powinna panu wystarczyć... co innego żonaty.. dzietny...

— Panie dyrektorze—przerwał Aktowicz— jeżeli nie mogę awansować dla tego, żem kawaler, to za cóż się wreszcie ożenię?

— A cóż panu po żonie?

— Choćby dla awansu... zresztą pan dyrektor dał mi słowo...

— No, no, kiedy dałem słowo, to go dotrzymać muszę. Zróbże pan podanie i złóż mi jutro osobiście. Tylko zastrzegam sobie, żebyś pan o tem nie pisnął nikomu ani słówka, bo to rozumiesz pan, roztrąbią wnet w biurze, że jesteś moim protegowanym.

Uszczęśliwiony Aktowicz złożył podziękowanie, znowu pocałował w ramię dyrektora i wyszedł z wesołą miną.

Zaledwie dyrektor zaczął powtórnie czytać ciekawy artykuł znanego literata Z. o przewróceniu się baby z ciężarem, znów odezwał się dzwonek i za chwilę nowy gość wszedł do gabinetu.

Był to pan Golewicz, dziennikarz biura.

— Co pan mi powiesz, panie Golewicz?—zapytał dyrektor wchodzącego.

— Ośmielam się prosić pana dyrektora o posadę po nieboszczyku Misiewiczu. Wiadomo panu dyrektorowi, że mam żonę i sześcioro drobnych dzieci: Adaś, Julka, Franuś, Zosia, Michałek, Andzia, w sperandzie zaś...

— Ożeniłeś się pan niepotrzebnie — przerwał dyrektor i teraz, jak widzę, chciałbyś awansować po każdem dziecku.

— Od pięciu lat nie dostałem ani za grosz awansu ani gratyfikacyi, tymczasem urodził się Franuś, Zosia, Michałek, Andzia, w sperandzie zaś...

— Radzę ci szczerze, panie Golewicz, nie miej już więcej dzieci, bo na utrzymanie takiego potomstwa żadna pensyja wystarczyć nie może.

— Życzenie pana dyrektora będzie moim obowiązkiem, ale ponawiając prośbę, ośmielam się jeszcze raz zapytać, czy mogę spodziewać się posady po Misiewiczu?

— Zdaje mi się, że są od pana starsi w służbie: Aktowicz, Bajdalski, Pomyłkowski...

— Nie, panie dyrektorze, z prawa starszeństwa mnie należałaby się ta posada.

— No, jeżeli tak, to pan dostaniesz ją bez kwestyi. Zróbże pan podanie i złóż mi jutro osobiście. Tylko, zastrzegam sobie, żebyś o tem nie pisnął ani słówka, bo to rozumiesz pan, roztrąbią wnet w biurze, że jesteś moim protegowanym.

Uszczęśliwiony Golewicz dał słowo honoru, że pary z ust nie wypuści, i podziękowawszy dyrektorowi za dowód łaski, wyszedł z wesołą miną.

Po tej wizycie dyrektor wziął się do czytania po raz trzeci; skończył studyjować artykuł o przewróceniu się baby na Nowym Świecie— i właśnie zaczynał zajmujący traktat o załataniu dziury na flizach przed ś. p. Kopernikiem, gdy lokaj zaanonsował gościa.

Po chwili wszedł do gabinetu pan Pomyłkowski, młodszy referent biura X., ukłonił się pięć razy, odchrząknął i w stojącej postawie zaczął w te słowa:

— Aczkolwiek śmierć kolegi Misiewicza napełniła niewypowiedzianym smutkiem moje serce – wszelako z uwagi, że ja zwykle za niego odrabiałem czynności, bo to był próżniak jakich mało...

— Tego nie powiem, panie Pomyłkowski — przerwał dyrektor.

— Panie dyrektorze, że był próżniak, Panie świeć nad jego duszą, to ja tylko zaświadczyć mogę, bom przez osiem lat pracował za niego, jak kowal; zważywszy więc tę okoliczność wnoszę, że do posady po nim ja najwięcej mam prawa i kwalifikacyi.

— Są od pana starsi — wtrącił dyrektor.

— Tak... ale niech pan dyrektor raczy zwrócić uwagę, że mnie się lata służby liczą podwójnie: moich 8 i nieboszczyka 12, ogółem lat 20, bom przecie za niego odrabiał czynności.

— Tak? przez dwanaście lat odrabiałeś pan za Misiewicza czynności, choć jesteś dopiero w biurze lat osiem?—rzekł śmiejąc się dyrektor.

— Jak Boga jedynego kocham, panie dyrektorze, siedziałem po nocach, straciłem zdrowie, na mojej głowie były wszystkie referaty, wszystkie numera... wszakże za tę pracę mam prawo prosić o jego posadę.

— No, dobrze już, dobrze, panie Pomyłkowski, wiem, że jesteś pracowity i posadę po Misiewiczu dostaniesz. Zróbże podanie i złóż mi jutro osobiście. Tylko... panie Pomyłkowski, nikomu o tem ani słówka, bo powiedzą w biurze, że jesteś moim protegowanym.

Po tych słowach uszczęśliwiony Pomyłkowski, podziękowawszy za obiecaną posadę, wyszedł na miasto z wesołą miną.

. . . .

W dwa tygodnie po opisanej scenie miała się rozstrzygnąć kwestyja, kto otrzyma posadę po nieboszczyku Misiewiczu. W biurze oczekiwano rezultatu z ciekawością, chociaż nikt w sprawie tej nie podnosił głosu. Każdy spodziewał się posady, zachowywał milczenie i pewny był zwycięztwa.

Wreszcie o godzinie 12 minucie 35 po południu wpadł do biura zadyszany kolega Bajdalski i nie zdejmując paltota, zawołał:

— Panowie! posada po Misiewiczu obsadzona!

Jakby prądem elektrycznym dotknięci, wszyscy zerwali się z krzeseł i okrążyli zadyszanego Bajdalskiego, zarzucając go pytaniami.

— Uciszcie się, panowie — zawołał Bajdalski — bo nic się pomyślnego nie dowiecie... Posadę dostał jakiś pan Alfons Czyżewicz, podobno protegowany dyrektora.

— To nieprawda! — krzyknął Aktowicz — dyrektor dał mi słowo, że ja dostanę tę posadę.

— Przepraszam — przerwał Golewicz — to mnie dyrektor dał słowo i kazał mi nawet zrobić podanie.

— I mnie, jak Boga jedynego kocham — wrzasnął Pomyłkowski — jeszcze, wystawcie sobie panowie, nie kazał mi o tem wspominać nikomu ani słowa.

— I mnie! i mnie... i mnie! — powtórzyły naraz prawie wszystkie głosy.

Po tych słowach przekonano się, że każdy prosił o posadę, choć wszyscy przysięgali na wszystkie świętości, że żadnych starań nie robią. Jeden tylko kolega Bajdalski, który o posadę po Misiewiczu żadnego nie robił starania, roześmiał się na całe gardło i zakonkludował sprawę następującą sentencyją:

— Każdy z was, panowie, prosił o posadę po ś. p. Misiewiczu i każdy otrzymał przyrzeczenie, że ją dostanie. Ponieważ niepodobieństwem jest, aby jedną posadę dostało kilkanaście osób jednocześnie, przeto zostaliście puszczeni w tak zwaną „trąbę.“ Pamiętajcie, że dyrektor bardzo kocha swoich krewnych i że w takich okolicznościach osobista prośba i zasługa bardzo małą ma wartość na giełdzie protekcyjnej.

* *Pomiędzy kolegami.*

Lyonnais wszedł w modę z powodu wyleczenia pieska pani de Pompadour, wskutek czego uzyskał następnie tytuł nadwornego doktora psiarni Jego Królewskiej Mości Ludwika XV, z pensyją 1200 franków.

Dumny ze swego stanowiska, wziął je tak dalece na seryjo, że uzdrowiwszy raz małego *Toutou*, faworyta jednego ze znakomitych lekarzy, odmówił przyjęcia honoraryjum, mówiąc: — „Cóż znów, panie doktorze, za cóż mi chcesz ubliżyć, przecież pomiędzy kolegami...“

(V. Fournel, *Spect. popul.*).

* Garat, uwięziony w początkach rewolucyi, osładzał sobie nudy, śpiewając całemi dniami, czem w zachwyt wprawiał towarzyszy niedoli, którzy gromadami wystawali pod jego oknem i na korytarzach.

Otóż razu jednego wchodzi do jego celi jakiś jegomość i obsypawszy go najprzód gradem komplementów, oświadcza następnie, że i on jest artystą, tylko obecnie pozbawionym przyjemności uprawiania swego talentu z powodu uszkodzenia instrumentu. Ale przypuszczając, że człowiek tak wysoce uzdolniony wszystkiemu zaradzić potrafi, przychodzi do niego z prośbą o narządzenie mu jego instrumentu, za co użyczy mu go chętnie, a nawet akompanijować będzie.

Po tej długiej przemowie nieznajomy wydostaje z pod płaszcza... piszczałkę.

Ujrzawszy to, Garat wybucha śmiechem tak gwałtownym, że kilku zaciekawionych więźniów wpada i dowiedziawszy się o przyczynie wesołości, podziela ją z nim.

Zdumiony i oburzony właściciel uszkodzonego instrumentu wyszedł pospiesznie i stawszy się zaciętym wrogiem Garata i nie nazywał go odtąd inaczej, jak szarlatanem.

(M-lle Ducrest, *Mem. sur Josephine*).

Kolej.

* *W wagonie kolei za Skierniewicami.*

Chudy jegomość do sąsiada. Pan dobrodziej z Warszawy?

Tłusty jegomość. Tak panie, obywatel, obywatel.

Chudy jegomość. Bardzo mi miło. Ja jestem ze Skierniewic, lecz nie obywatel.

Tłusty: Szkoda, bo miałbym towarzystwo.

Chudy. I tak możemy porozmawiać. Cóż tam słychać w Warszawie?

Tłusty. A co ma być słychać. Te gazeciarze panie tego! wymyślają na obywateli, że podnoszą komorne i basta.

Chudy. Mają widać słuszność.

Tłusty. Co mi pan głupstwa gadasz. Podnoszę komorne, bo teraz drożyzna. W zeszłym tygodniu za dwie suknie dla żony i córki zapłaciłem trzysta rubli, przegrałem w baczka czterysta no i potrzeba mi pieniędzy na wystawę paryzką. Ciężkie czasy panie tego, ciężkie czasy!

Chudy. Więc pańskie przyjemności mają opłacać biedni lokatorowie?

Tłusty. A któż ma opłacać? Przecież nie ja! Od czego jestem właścicielem domu.

Świąteczny.

* *Familijno-parafijalna kolej.*

Rzecz dzieje się na stacyi X.

Na gmachu kolejowym, podobnym do bardzo eleganckiego gminnego aresztu, wisi tablica z napisem: „pociąg spóźnił się minut 10.“

Pan naczelnik stacyi przechadza się mocno zamyślony. Przy dzwonku stoi, trzymając sznurek w ręku, szwajcar stacyjny Srul w długiej kapocie.

Pasażerowie siedzą w wagonach i na to wszystko patrzą się nadzwyczaj ciekawie.

Naczelnik stacyi. Srul, daj dwa (techniczne wyrażenie, oznaczające dwukrotne uderzenie w dzwonek).

Konduktor 1-szy. Panie naczelniku! pan radca Góronoski z Wydmibrzucha dopiero siadł do zrazów.

Naczelnik stacyi. Srul, zaczekaj.

Upłynęło pięć minut.

Pan radca zjadł już zrazy i wsiadł do wagonu.

Naczelnik stacyi. Srul, daj dwa.

Konduktor 2-gi. Panie naczelniku, zdaje mi się, że jedzie pan Kluskiewicz z Flitkowa.

Naczelnik stacyi. Srul, czekaj.

Upłynęło znowu drugie pięć minut.

Pan Kluskiewicz z Flitkowa zajechał truchcikiem przed stacyję, wtoczył się powoli do wagonu i pociąg ruszył.

Na następnej stacyi wywieszono tablicę z napisem:

„Pociąg spóźnił się 15 minut.“

Świąteczny.

* *Wagon 3-ej klasy (w nocy).*

Tłusta jejmość (do pasażera). Przepraszam, niech pan nie pali papierosa, bo się uwędzę.

Pasażer 1-szy. Przecież pani dobrodziejka nie szynka.

Tłusta jejmość. Ale mam szynki na pryncypalnej ulicy.

Pasażer. No to w takim razie dym pani nie zaszkodzi, bo pani jest zakonserwowana w spirytusie.

Pasażer 2-gi (do tłustej jejmości). Pani! pani! niechże mnie pani nie kopie nogą w bok. Proszę nie leżeć, tylko siedzieć. A to ci panie ma łapę słoniową!

Tłusta jejmość. Mój panie, jeżeli leżę, to dla tego, że moja tusza potrzebuje świeżego powietrza.

Pasażer 2-gi. To trzeba było wsiąść do damskiego przedziału.

Tłusta jejmość. Zostawiam panu damski przedział. Patrzcie, będzie mi tu mówił o damskim przedziale. Impertynent!

Kupcowa. Panie konduktor! panie konduktor! niech pan wstrzyma pociąg, bo potrzebuję usiąść na osobny wagon.

Pasażer 3-ci. Ależ tu konduktora niema.

Kupcowa. Co to nie ma? za co niema? On jest od tego, żeby pilnował ważne kwestyje.

Pasażerka stara panna. Fi mun die! po co ja tu usiadłam pomiędzy taką hołotą. Kładą się spać, jak u siebie w domu. Mój panie, proszę usunąć swoje kolana. To także śmiałość! Pan nie wie, z kim pan ma do czynienia.

Kupiec. Gewałt, nadeptała mnie pani na sam but! Aj! aj!

Konduktor. Stacyja Grodzisk! cztery minuty!

Kupcowa. Cztery minuty! cztery minuty! Żegnam państwa, ja tu wrócę za sześć minuty.

Tłusta jejmość. Aj! przygniotła mi łydkę.

Pasażer 1-szy (do tłustej jejmości). Nie bij że mnie pani nogą w zęby.

Tłusta jejmość. A! ja tu nie wytrzymam. A to nieporządek na tych kolejach. Pasażerowie nie pozwolą się bić w zęby. Cóż to? czy tłustym osobom podróżować nie wolno?

Konduktor. Proszę siadać, pociąg rusza.

Kupcowa (z innego przedziału woła). Czekaj pan, czekaj! niech on nie rusza. Ja nie będę jechać w taki nieprzyzwoity wagon. Och! on już pojechał, a ja tu zostałam. Ach! tu niema żaden porządek.

Świąteczny.

* *Pociąg pasażerski w śniegu.* (Rzecz dzieje się późną nocą o 12 wiorst od najbliższej stacyi).

(Pociąg stanął i nie pomaga mu ani powiększenie ciśnienia pary, ani cofanie się w tył dla rozpędu, ani rozpinanie pociągu. Maszyna sypie iskrami z nozdrzy. Napróżno! Natura drwi ze sztuki! Nakoniec nadkonduktor oznajmia podróżnym, że niepodobna jechać dalej, że pociąg musi zanocować w polu).

Pasażer klasy 1. A to miła niespodzianka! Pociągnijcie nas chociaż do najbliższej stacyi.

Pasażer kl. 4. Co tam do stacyi! Powleczcie się do jakiej karczmy.

Konduktor. Niepodobna ruszyć z miejsca.

Pasażer kl. 3. Co u nas za porządek! Na zimę powinniście całą kolej dachem nakryć... jak... parasolem.

Pasażer kl. 1. Panowie maszyniści, nas tu w klasie 1-ej jest kilka osób—możebyście samą lokomotywą dowieźli nas do stacyi?

Pasażer kl. 3. Cóż to za przywilej dla pierwszoklasistów? Niepozwalam — wszyscy, albo nikt!

Pasażer kl. 4. Słusznie, panie dobrodzieju—paniątka, eleganty, arynsztokracyja! zjedli sto tysięcy...

Pasażer kl. 4. Hej! chłopcy! Ażebyśmy na ten przykład wziąwszy się, popchnęli kolej z tyłu?

Pasażer kl. 3. Co pleciesz, przyjacielu? — albo to drynda?

Pasażer kl. 4. Nie umiecie brać się do rzeczy—puścić wodę gorącą przed kołami, to machina ruszy...

Pasażer kl. 3. Masz go! zdrów! Czy to pan myślisz o maszynie do parowych kiełbasek?

Pasażer kl. 4. Może pan chodziłeś z taką maszyną po Saskiej *Kępie* — ale ja jestem ślusarz i znam się na tem...

Pasażer kl. 3. Tak — jak krowa na kompasie.

Pasażer kl. 1. Panie nadkonduktorze, całą noc nie mogą nas bawić ci... panowie. Należy coś radzić.

Nadkonduktor. Nic tu nie poradzimy. Musimy czekać na pomoc z ludźmi, to nas wydobędą ze śniegu.

Pasażer kl. 1. Przecież możnaby zaraz to samo zrobić przy pomocy pasażerów klasy czwartej?

Pasażer kl. 4. Patrzcie go! Cóż to pan myślisz pańszczyznę zaprowadzić w pociągu?!

Pasażer kl. 3. Brawo! ma racyję czwartak!

Pasażer kl. 1. Przepraszam — kiedy to dla dobra ogółu...

Pasażer kl. 4. Kiedy tak—to daj pan przykład. Panowie kolejnicy, dajcie łopatę temu panu.

Pasażer kl. 2. Do pioruna! zimno! Żeby chociaż szklankę herbaty...

Pasażer kl. 4. Wolałbym sznapsa...

Pasażer kl. 3. Wiktoryja! Mam funt herbaty.

Pasażer kl. 3. A ja głowę cukru.

Pasażer kl. 2. Wybornie! ale gdzie zrobić herbatę?

Pasażer kl. 4. Zaparzyć w kotle machiny—to zupełnie, jak w samowarze—ja się znam...

Pasażer kl. 3. Tak—na pieprzu... No, a cóż nas pociągnie, jak wodę wypijemy?

Pasażer kl. 4. Alboż to śniegu niema. Dalej, chłopcy, walmy śnieg do maszyny.

Pasażer kl. 2. Czekać—wpierw zaparzmy..

Maszynista. Proszę *nie mięszać* się do maszyny—herbata nie da się tu zrobić.

Pasażer kl. 4. Co nam po herbacie? nie ma kto sznapsa?

Pasażer kl. 2. Lekceważenie publiczności! Jak na okrętach szalupy, tak na kolei w pociągach powinny być sanie, konie...

Pasażer kl. 3. Drobnostka! tak sto sań i dwieście koni!

Pasażer kl. 3. Panowie służba! rozgatunkować płeć; kobiety i dzieci spać chcą...

Pasażerka. Nie potrzeba! Ja boję się wilków gorzej, niż mężczyzn.

Pasażerka. A ja z moim rozdzielić się nie dam.

Pasażer kl. 2. Możeby kto z panów pulkę preferansa?

Pasażer kl. 3. Amator! panowie służba! światło zgasło!

Pasażerka. Tu coś po ciemku łazi i łapie za nogi!

Pasażer kl. 3. Pewnie zwierz jaki przed zimnem chowa się pod...

Pasażer kl. 2. Eh! to musi być domowe bydlę.

Pasażer kl. 3. Masz tobie! wszędzie gasną światła i pogrążeni jesteśmy w ciemnościach desauskich!

Pasażer kl. 2. Niech służba rozpali ognie.

Głosy. Tak, tak, ognie palić!

Konduktor. Drzewa zabrakło, spalone pod maszyną.

Pasażer kl. 4. O sobie tylko pamiętają, kolejarze psiejuchy!

Pasażer kl. 3. Powinniście wozić zapas drzewa.

Pasażer kl. 4. Nie tylko drzewa, ale wiktuałów i... napitki.

Pasażer kl. 4. Hej! panowie! jest drzewo! Spalemy jeden, albo dwa wagony.

Głosy. Racyja! spalić wagon! spalić!

Nadkonduktor. Cierpliwości, szlachetni panowie! Od godziny podane są sygnały pomocnicze. Zdaje mi się, że słyszę już świstawkę.

Pasażer kl. 4. To wiatr śwista!

Pasażer kl. 4. Nie, to machina, ja znam się na tem.

Pasażer kl. 3. Kiedy tak, wysiadajmy wszyscy, bo jak zrobią karambol, to nas mogą uszkodzić.

Pasażer kl. 2. Co najmniej szkiełka od zegarków...

Nadkonduktor. Proszę nie wysiadać, pociąg jest zabezpieczony.

Pasażer kl. 2. Znam ja wasze bezpieczeństwo. Panowie, radzę zegarki owinąć w chustki, jak ja robię.

Pasażer kl. 3. Tak, tak, i zęby mocno podwiązać.

Pasażer kl. 2. Facetus! całą noc błaznuje.

Pasażer kl. 3. Hej! panie! jak owiniesz zegarek chustką, to włóż go w buzię...

(Słychać świstawkę zbliżającej się lokomotywy).

Głosy. Jest maszyna! jest pomoc! vivat kolej!

(Po półgodzinnej pracy pociąg, oswobodzony z uścisków śnieżnych, ruszył w dalszą drogę przy wesołych okrzykach czwartaków).

* *Powrót pociągu spacerowego z Częstochowy.*

Wagon klasy 4-ej.

Pan Makary. Panie konduktorze, tu „*damy*“ duszą się na dobre...

Konduktor. Co? bije się hołota?

P. Makary. Tylko proszę miarkować, z kim pan masz do czynienia. Tu jest towarzystwo do-

brze... dobrane. A jeżeli powiadam, że damy duszą się, to rozumiem, że tak nas napakowaliście i ugnietli w tym wagonie, jak nie przymierzając *„szkurę“* w obcasie!

P. Onufry. Ani rusz podnieść „gębę do ręki“, żeby kogo oblawszy, nie powalać i nie obrazić, jak na ten przykład czepek pani Piwońskiej.

Pani Piwońska. Mniejsza o głupi czepek, ale przecież trunki ani darmo... ani kradzione...

P. Szymon. Na kolei nie ma poszanowania za dwa ruble... fasują, jak bydło!.. A za dwa ruble mam całą pragską bryczkę z całym koniem i z całą moją familiją, na cały dzień do Grochowa, albo na Pelcowiznę...

P. Makary. Ja panu konduktorowi jeszcze raz melduję, że tu damy duszą się i to... brzydko...

Konduktor. Zkąd-że u dyjabła wzięły się tam damy? Co pan nazywasz damami?

P. Makary. Wszystko, co nie należy do cechu... męzkiego... co nie pali .. nie zażywa i nie gra... w kiksa...

P. Piwońska. Panie Walenty, żona narzeka, że ją coś... ściska... jakby żal...

P. Walenty. Dajcie jej tej cudownej wody od Barbary, musi przejść. Jacuś ma flaszkę.

Jacuś. Kiedy woda wylała się, a wlała się okowita.

P. Walenty. Żonuś, napij się okowity... to jedno...

P. Walentowa. Piłam sześć razy! o la Boga!

P. Makary. Ci kolejarze bez sumienia... Jabym ich nauczył, gdyby tu był w wagonie... cyrkuł.

P. Szymon. A jakie to kanalije harde i uparte...

P. Makary. Myśli, że generał, jak *zawali* szlify i ten szkopek na łeb...

Jacuś. O jej! a nie będzie nigdy nawet kapitanem.

Hiluś. Ani nie doczeka się ostrogów!

Panna Prakseda. Panie konduktorze, proszę sam przekonać się, że tu z ciasnoty kilku osobom wyraźnie... zrobiło się niedobrze.

Konduktor. Nie grymaście państwo, kiedy wam dobrze! Bawcie się, kiedy macie co jeść i pić, a przytem muzykę.

P. Onufry. Prawda! Hiluś, zagraj-no co na harmonii.

P. Piwońska. A nie lepiej to zaśpiewać coś pobożnego?

P. Walenty. Będzie czas i na to.

P. Onufry. Jak wypróżniemy zapasy... Hiluś!

Hiluś. Nie wyciągnę *ręków*... już i tak harmoniją podbiłem oko pannie Salomei i ząb panu Pieprzykiewiczowi.

Konduktor. To stań pan na ławkę.

P. Szymon. Racyja! Hiluś, na ławkę i od ucha!

(Konduktor ogląda się i daje nura do wagonu).

Wagon klasy 3-ej.

Pasażerka 1. Ta blondynka w szkockiej okrywce i binoklach kurzy nam tu papierosami i *drynda się* na każdej stacyi tylko dla tego, ażeby prezentować kolorowe pończochy.

Pasażerka 2. Żeby chociaż miała co, ale płaska noga, jak łopata, a łydka, jak piskorz.

Pasażerka 3. Dajcie panie spokój, to jakaś familija z tym zyzowatym konduktorem, może być awantura...

Pasażerka 1. Wielka mi rysztokracyja konduktor! A czy pani wie, co my za jedni? Mąż tej pani i mój są naczelnicy od rewiru w cyrkule.

Pasażer 1. Uciszyć się, państwo! Szacunek dla dam cyrkułowych!

Pasażer 2. Siedź pan spokojnie, kiedy ci nic nie mówię, że psujesz powietrze, jedząc kiełbasę z czosnkiem.

Pasażer 1. Zaśmieciliście tu cały wagon skorupami od jaj, jak trawnik na Saskiej Kępie, a ja też nic nie mówię.

Pasażer 2. Jaja nikomu nie szkodzą! ale my w klasie 3-ej mamy prawo nie znosić powietrza zepsutego...

Pasażer 1. Co mi pan tu zawracasz głowę!

Pasażerka 1. Co to? nie możesz pan zawołać stójkowego?... chciałam mówić konduktora? Oj! gdyby tu byli nasi mężowie *naczelniki!*

Pasażer 2. Ja lepiej zrobię; panie zawiadowco! przepraszam, czy przepisy dozwalają, ażeby ktoś jadł coś w klasie 3-ej, czego inni sobie wcale nie życzą?

Zawiadowca. Nie rozumiem, o co panu chodzi?

Pasażer 2. Czy temu panu wolno jeść czosnek?

Pasażer 1. A temu panu czy wolno młócić jaja?

Zawiadowca. To zależy od gustu...

Pasażer 2. Panie zawiadowco, tak się nie zbywa pasażerów 3-ej klasy... to nie czwartaki!...

Pasażerka 1. Żeby był *mój*, zarazby go aresztował. Z moim niema żartów!

Pasażer 1. Ba, ba, ba! a że też mąż pani nie schowa do *ula* takiej niespokojnej baby!?

Pasażerka 1. Niech nie dojadę do Warszawy, jeżeli on wacpana nie *capnie.*

Wagon klasy 2-ej.

(Słychać warczenie, a następnie szczekanie psa).

Pasażer 1. To pies schowany pod... pod... fałdy, a ja myślałem z początku, że pani wracasz z Częstochowy po egzorcyzmach bez skutku.

Pasażerka 1. Jakie to bluźnierstwo psa wozić na odpust!

Pasażerka 2. (wypuszczając schowanego psa) Ach! moi państwo, to biedactwo sierota! Żebyście znali cnoty tej psiny! to prawie ma duszę.

Pasażer 2. Dla czego nie? od czegóż mówią: „psia dusza“.

Pasażerka 2. Ale on ma szlachetniejszą duszę! W pożyciu jaki serdeczny a dumny, odważny a czuły! Och! jakie ma czucie!

Pasażer 1. Widocznie, bo poczuł wędlinę w mojej torbie...

Pasażerka 1. Czy ten pan myśli całą drogę łazić po wagonie? To gorsza sprawa jak z psem. Już dwa razy udeptał mnie w nogę i obdarł falbanę.

Pasażer 1. Szanowny towarzyszu podróży, czy nie raczyłbyś usiąść?

Pasażer 3. Przepraszam, nie mogę, będę chodził do samej Warszawy...

Pasażer 2. A jak my wszyscy zaczniemy chodzić, to będzie jazda z karambolami?

Pasażer 3. Jak się państwu podoba. Ja ślubowałem, że piechotą pójdę do Warszawy i... idę.

Pasażer 2. To może pan peregrynacyję tę odbywać na dachu wagonu, albo wynająć koniarkę na własny użytek.

Pasażerka 1. Uff! odcisk! Mężu, czy dozwolisz, ażeby w twoich oczach deptał mnie kto?

Pasażer 3. Przepraszam... Ale dla czegóż pani nadstawiasz nogi? Przyzwoitość nakazuje trzymać nogi pod siedzeniem.

Pasażer 1. Co pan chcesz, ażeby moja żona siedziała po turecku?

Pasażer 3. Pan wyraz „siedzenie“ bierzesz zbyt anatomicznie; powiedziałem: nogi pod ławkę!

Pasażer 2. Jeżeli pan nie przestaniesz wyprawiać tu skoków szalonego, odniesiemy się do miejscowej władzy.

Pasażer 3. Róbcie państwo, co chcecie. Cały batalijon nie zmusi mnie do siedzenia.

Pasażerka 1. Przesiądziemy się do innego wagonu.

Pasażer 2. A, proszę państwa, cóż za racyja, ażebyśmy wszyscy ustępowali dla jednego półgłówka?

Pasażer 3. Pan nie jesteś w stanie obrazić mnie, bo w tej chwili... pokutuję...

Pasażer 1. (cicho do innych) Mente captus! widocznie... zajączki! przesiadamy się na najpierwszej stacyi...

Pasażerka 2. (biorąc psa na ręce). I ja z państwem. Bo uchowaj Boże, coby ze mną się stało, gdyby ten pan rzucił się na mego Biżu?

(Stacyja—wszyscy przesiadają się do innego wagonu—z wyjątkiem pasażera chodzącego i jednej pasażerki cicho siedzącej).

* *Pociąg spacerowy z Warszawy do Częstochowy.*

W powozie klasy 4-ej.

Pani Wojciechowa. Czy to pierwszy raz jedziecie na odpust?

Wieśniaczka. Jušci, masyną piersy raz latoś, ale byliśma jus na odpuście z kompaniją piechto łońskiego roku.

Wieśniak. A cóz Kachna?! ino śmiga! Kobyła nasa hetby została. A źle ci to jechać, hę?

Głosy. Cicho! cicho! (śpiewają) „O Maryja! Maryja!"

P. Wojciechowa. Dla czego to „gwizda?"

P. Łukasz. Choroba go wie! pewnie psie figle.

Wieśniaczka. Rety! rety! jak śmiga ta masyna!

P. Marcin. „Gwizda", żeby mu z drogi zjeżdżali, jak pocztylijon trąbi...

P. Łukasz. Trąbi — dobra myśl. Małgoś! jest tam co z butelce?

P. Wojciechowa. Kiedy śpiewają — jakże pić?

P. Łukasz. I my zaśpiewamy, niech-no kurz popłukę... panie, hej! gospodarzu! do was... albo nie, matko, do was...

Wieśniak. Kachna, nie pij—dajta se spokój z gorzałką, kiedy naród śpiewa.

P. Łukasz. No, to macie tabaki... panie Marcinie, w wasze ręce...

P. Wojciechowa. Panie Obersztyński, do mnie pijcie, dam jaj twardych...

Głos. Cicho, szewcy! śpiewać nie dacie — „O, Maryja! Maryja!"

P. Marcin. Wolno pić i jechać za własne pieniądze.

P. Marcinowa. Szewcy! a tyś co za jeden? łobuz! Pij pani do mnie.

P. Łukasz. Gospodarzu, naści tabaki...

Wieśniak. Bóg zapłać! nie markoćta.

P. Marcin. Bierz, przyjacielu... nie wybredzaj... bo ci w nos wpakuję.

Głos. Uciszcie się! To oni na odpust jadą! Obraza boska!

P. Łukasz. Osły! bydło! Obraza, co z gęby, a nie do gęby... Masz tabaki...

P. Marcin. Nie, zaćmię papierusa...

P. Wojciechowa. Schabu, państwo, nie zjemy? Są jeszcze jaja...

P. Łukasz. Wiesz, Małgoś? zjedzmy i wypijmy resztę... Co to nosić się z taką kruszyną. Pij do pani Wojciechowej—pani, do pani Marcinowej — tak, pociągnąć dobrze, bo... czysta i nie będziemy pili, jak na miejscu. W ręce — później sza i śpiew.

Głos. Ażeby was Pan Bóg sekundował! szewcy! karaluchy! naszczekać się nie mogą! „O, Maryja! Maryja!"

P. Łukasz. Małgoś, dawaj ja! ja im tu dam karalucha... zbombarduję łby...

P. Marcin. Szkoda jaj; pal butelką, kiedy próżna!

P. Łukaszowa. Tego, tego smyka, widzisz, co się chowa...

P. Marcinowa. Dajcie państwo spokój, panie Obrąbalski, przecież to na odpust jedziemy...

P. Wojciech. No, dobrze, ale niech nie wyzywają... bo wagon przewrócę!

Wieśniak. Z przeproszeniem państwa, u nas jak się modlą, to nie piją, a jak piją, to się nie modlą.

P. Łukasz. Gospodarzu, jesteś łebski... masz tabaki...

P. Wojciech. Niech cię uściskam, na płacz mi się zbiera... Tak, dalibóg, nie pijmy już, on ma racyję... śpiewajmy.

P. Łukasz. Niema ani kropli... Tak, śpiewajmy: „O, Maryja! Maryja!..."

W powozie klasy 3-ej.

Ojciec. Państwo, po kawałku pomarańczy, albo bakalii, jesteśmy „zaimprowizowani" w różne różności. Nie rozumiem odpustu bez przyzwoitych zapasów.

Kawaler 1. Rzeczywiście, podziwiam. Państwo zaopatrzeni nie jak do Częstochowy, ale jakby do Jerozolimy.

Matka. Dziękujemy za komplement; ale nie mamy nic wspólnego z żydami i możesz pan jeść bez obrazy koszernego.

Córka 1. Co tam mama mówi, panu Antoniemu tak to wypsnęło się bez żadnej myśli!...

Kawaler 1. Słowo honoru, prawdę pani mówi; chciałem powiedzieć do Jeruzalem, a nie do Jerozolimy.

Córka 2. Niema o czem mówić! Panie Karolu, pójdziesz pan do spowiedzi?

Kawaler 2. A jakże! pocóżbym jechał do Częstochowy?

Matka. Śliczny mi kawaler! Widzisz, Andziu, p. Karol tylko dla spowiedzi z nami jedzie.

Kawaler 2. A... a... pani dobrodziko, niema kuryjera bez dodatku, dla czegóż spowiedź nie może być dodatkiem?

Ojciec. Widzisz, jak ci na miejscu zawrócił! No, kawaleryja, teraz krople, jest miętówka i pomerancen? Co?

Matka. Czekajcie chwilę, Sylwester ma przyjść z kolegą.

Panna 1. Oh! Boże, jak oni przyjdą, kiedy „kolej leci?"

Ojciec. Nie bój się, moja kochana, konduktorzy chodzą, jak małpy...

Panna 2. Już jabym nie chciała być żoną konduktora.

Kawaler 1. A chciałabyś pani naprzykład... korzennika?

Panna 2. Prędzej... niema nic niebezpiecznego...

Kawaler 2. A... pani jaką ma... in... „inklamacyję?"

Panna 1. Ani konduktora, ani korzennika. Pierwszy bałamut, bo ciągle w drodze, drugiego czuć liściami bobkowemi.

Matka. Macie brata konduktora i nie wstyd nam wcale. Chłopak szykowny, nosi gwiazdkę i z czasem będzie nadkonduktorem, albo naczelnikiem od ruchu, jak sam mówi.

Panna 1. Nie wie pan, ile może być osób w pociągu?

Pan 2. Nie wiem, pani, ale myślę, że z jakie 10 tysięcy...

Panna 2. A ile też wagonów ciągnie maszyna?

Pan 2. O, jest co najmniej... paręset.

Ojciec. Kolej piękny grosz zarobi...

Matka. Tylko nie od nas. Jeszczeby też płacić, mając syna urzędnikiem przy kolei!

Pan 1. Zawsze taki pociąg 10 do 20 tysięcy rubli przynosi. Ale to kropla w morzu dla nich. Mówił mi jeden „wyższy urzędnik", co jest przy wadze, że muszą mieć milijon rubli dziennie, ażeby „wyjść na swoje".

Ojciec. Ale też mają i wydatki! Tyle ludzi, maszyn... A nie słyszałeś pan, ile oni mają maszyn i wagonów?

Pan 1. Mówił ten wyższy urzędnik, ale słowo honoru, zapomniałem... Zdaje mi się, kilka tysięcy maszyn i kilka kroć...

Ojciec. Bagatela! państwo, przetrąćmy, bo nie wytrzymam... już mnie woły...

Matka. Czekajmy na Sylwestra... Otóż i on! (Otwierają się drzwi i wchodzi dwóch konduktorów).

Ojciec. Macie szczęście, późno przychodzącym kości się dają.

P. Sylwester. Rekomenduję: kolega Grasiewicz z harmoniją.

Matka. Co to znaczy?

P. Sylwester. To znaczy, że jak brankardy naładujemy, kolega nam zagra „ładne kawałki", bo gra, proszę państwa, jak... jak słowik!

Ojciec. Kiedy tak, to do rzeczy. Matko, zajmij się gospodarstwem, a my pociągniemy. Do słowika—zdrowie!

(słowik kłania się i oblizuje).

Matka. Macie, państwo, co kto lubi, do wyboru: cielęcina, kiełbasa, kurczęta, prosię, szynka, indyk, sztufada, gęś, serdelki, pekelfleisz, kiszka, ozory, bułki, chleb, masełko, rzodkiewka, ser, babka.

P. Grasiewicz. Ajajaj!!! Cała orkiestra! Dusza się raduje, ale czy my to podołamy. .

Ojciec. Nie wierz gębie, połóż na zębie. Już to my tak co rok. Nie rozumiem odpustu bez należytych zapasów. Ale, Sylwester, a z czynnością waszą załatwiliście się?

P. Sylwester. Kazaliśmy smarownikom zastąpić.

Pan 1. Czynność tak ważną czy może zastąpić smarownik?

P. Sylwester. „My" mamy, panie, smarowników, co pokończyli kursa... weterynaryi.

Ojciec. Hm... to ludzie inteli... „intelektualni". I to dobrze, że macie w pociągu pomoc lekarską... Panowie, pogadanka później, teraz do szturmu.

(15 minut milczenie, jedynie przerywane młóceniem szczęk, gnaty lecą oknem gęsto. Płeć nadobna nie zostaje w tyle).

Ojciec. Teraz pokłoniemy się panu Haberbuszowi—Sylwester, weź-no się do antałka.

Pan 2. Pozwolili wziąść antałek do wagonu?

Matka. A to dobre! Kiedy syn urzęduje na kolei...

P. Sylwester. Weźmiemy okseft, jeżeli się nam spodoba.

P. Grasiewicz. U nas jest harmonija koleżeńska.

P. Sylwester. Albo my to niewolniki? Żebyście państwo wiedzieli, jak to się gracko bombluje w bomblu! Pamiętasz, wtedy, między Piotrkowem a Częstochową?

P. Grasiewicz. Ho... ho! (parska śmiechem i pełne usta sera wyrzuca w oczy siedzącej pani z innego towarzystwa).

Pani. Oślepił mnie!! wody! a to porządek na kolei! wody!

Ojciec. Zkąd? Chyba waryjat woziłby wodę na odpust; piwem służę.

Matka. (do syna) Możebyś ty pociąg zatrzymał?...

P. Sylwester. Nie opłaci się, przecież ser to nie wytryolej...

Matka i panny. Pani wybaczy... nam bardzo przykro...

P. Sylwester. Ręczę za kolegę, że wolałby połknąć, jak wypluć, ale to wypadek, kolej nie obędzie się bez wypadków.

Jegomość. Szczególnie, jak konduktorzy nie są na swojem miejscu.

P. Sylwester. Przepraszam, ale co pan mieszasz się w nieswoje rzeczy?

Jegomość. Owszem, panowie konduktorzy wleźli w nie swoje miejsce. Powiem to zawiadowcy na pierwszej...

P. Sylwester. Zawiadowca ma tyle do mnie, nie przymierzając, co i pan. Ale dla spokojnej zabawy, albo przesiądziemy się do klasy 2-ej, albo jeśli pan chce, możemy panu dać inne miejsce, byle zgoda. Tymczasem zapalmy sobie cygara, a ty, kolego, graj co wesołego!

(Słowik gra coś wesołego z „Pięknej Heleny"—towarzystwo przyśpiewuje unisono).

W powozie klasy 2-ej.

Pani 1. Ostatni raz jadę pociągiem spacerowym. Jaka hołota! potrącają mnie po stacyjach, jakby jaką szewcowę...

Pan 1. Trudno, moje życie, nie mamy napisane na czole, co my za jedni.

Pani 2. Ale co taniej, to taniej kosztuje!

Pani 1. To nas nie obchodzi, jesteśmy w stanie extra-pociągiem jeździć...

Pani 2. Fiu! a my to nie możemy, prawda, pa...

Pan 2. (cicho) Nie mów „panie", po co mają wiedzieć?... Czy podać ci karmelki, mój... aniołku?

Pani 2. Aniołku, ha, ha, ha, aniołku! Dobrze, moje, moje ty... ty... bobo! ha, ha, ha!

Pani 1. Ma foi, c'est une grisette.

Pani 2. (cicho) Powiedz mi, mój „mężu", co oni szwargoczą? co to jest gryziet?

Pan 2. Nie uważałem... na honor... ale albo ją co gryzie... albo mówią o jedzeniu...

Pani 2. Ha, ha, ha! gryzie coś... ha, ha, ha!

Pan 3. Szanowni państwo, chciałbym za waszem pozwoleniem, zdrzemnąć się trochę...

Pani 1. To od nas nie zależy, siedziemy spokojnie. Ludzie na naszem stanowisku umieją uszanować...

Pani 2. Śpij pan bez ceremonii, prosiemy...

Pan 3. Pani jesteś grzeczna...

Pani 2. Od urodzenia, panie...

Pani 1. Quelle societé!

Pan 1. Laissez tranquille...

Pani 2. „Mężulku“, czy Pan Bóg mówi po francuzku?

Pani 1. Bóg mówi wszystkiemi językami z wyjątkiem jednego.

Pani 2. Którego? jeżeli pani pozwoli?

Pani 1. Tego, którego pani używasz.

Pani 2. Z żalem widzę, że mój język nie podoba się pani, chociaż go jeszcze nie widziałaś...

Pani 1. Zmieńmy natychmiast miejsce! Jadę z pobożną intencyją, a zmuszona jestem z tą... panią...

Pan 1. Ne causez pas avec elle!

Pani 2. Prrr... stać! pani chce wysiąść! ha, ha, ha!

Pan 3. Szanowni państwo, chciałbym za moje 4 i pół rubla przespać się trochę...

Pan 2. Przepisy drogi żelaznej nie wzbraniają dobrego humoru.

Pani 1. Pańska... „żona“ nie zna wyższego towarzystwa.

Pani 2. Owszem, mieszkam na 4-em piętrze.

Pan 1. Il nous faut changer les places.

Pani 1. Za grzechbybym tu nie została! Jedziemy na odpust z myślą pobożną, a tu... jakaś para...

Pan 2. Gdyby nie „para“, nie jechalibyśmy koleją.

Pani 2. Daj pokój, nie przeszkadzajmy dewocyi pani radczyni.

Pan 3. Komu chce się śmiać, śpiewać, tańcować lub kłócić, wynajmuje oddzielny wagon. Wyjechałem umyślnie, ażeby się przespać...

Pan 2. Należało panu wynająć oddzielny przedział.

Pan 3. Przepraszam, spaniem nikomu nie przeszkadzam, tem bardziej, że nie mam zwyczaju ani chrapać, ani sapać, ani przez sen mówić, ani też innych dawać znaków życia.

Pani 2. Ślicznie! A muchy nie przeszkadzają panu?

Pan 3. Nie, byleby nie brzęczały...

(Pociąg zwalnia bieg—staje).

Konduktor. (otwierając drzwi) Skierniewice! minut 10!

Pan 3. Oka nie zmrużyłem, proszę o miejsce do spania...

Pan 1 i pani 1. Prosiemy przesadzić nas...

Pani 2. My zostajemy i... myślę, że będzie nam dobrze!

* *Przy kasie drogi żelaznej.*

Pasażer 1. Proszę pana kasyjera o trzy bilety: dla mnie, mojej żony i dwóch córek.

Kasyjer. To w takim razie cztery.

Pasażer 1. Ależ panie kasyjerze, żona i mąż to jedno ciało, a zresztą moje córki jeszcze niepełnoletnie, mam metryki. Pierwsza urodziła się w wigiliję do Matki Boskiej Śnieżnej...

Pasażer 2. Proszę pana o bilet.

Kasyjer. Do której klasy?

Pasażer 2. Do tej, co zwykle, przecież ja nie pierwszy raz jadę. Proszę 2-gą klasę do Kogucina.

Kasyjer. Ależ takiej stacyi niema.

Pasażer 2. To koło Przemyśla wieś mojej ciotki, co to Drągalska z domu.

Pasażer 3. Panie kasyjerze, a prędko kolej idzie?

Kasyjer. Prędko, prędko.

Pasażer 3. A jak potrzeba wysiąść, to stanie?

Kasyjer. Stanie, stanie...

Pasażer 3. No to proszę bilet.

Kasyjer. A dokąd?

Pasażer 3. Jakto dokąd? do pociągu.

Kasyjer. Ale gdzie pan chcesz jechać?

Pasażer 3. A co panu do tego, gdzie ja chcę jechać. To moja rzecz.

Kasyjer. Czego ty żydzie ludzi rozpychasz?

Pasażer 4. Co za rozpichasz? to mnie przypichają. Prosię pana o dwa bulety do Tarnowa.

Kasyjer. Klasa?

Pasażer 4. Na co tu pitacz? Trzeci, tu są pieniądzów.

Kasyjer. Brakuje 4 centów.

Pasażer 4. Co brakuje? na co jemu brakuje. Mosie gieb noch vier krajcer. Masz bulet. Nimm di bulet bei dem pisk. No co się pan kasyjer gniewacz, koń ma cztery nogów a upadnie, co to? nie można się omilicz?..

Pasażer 5. Panie kasyjerze, a nie kupiła tu biletu moja córka?

Kasyjer. Nie mam przyjemności.

Pasażer 5. Taka wysoka, czerwona, łepska dziewczyna. A pan kasyjer pewnie panny lubi, to musiał ją widzieć...

Pasażer 6. Panie kasyjerze, proszę o miejsce, a niech pan kasyjer da dobre, to ja dopłacę, bo to panie starość nie radość.

Kasyjer. A dokąd pan jedziesz.

Pasażer 6. A no do żony...

Kasyjer. A gdzie mieszka?

Pasażer 6. Na drugiem piętrze od frontu.

Kasyjer. Ale w jakiem mieście?

Pasażer 6. We Lwowie, panie dobrodzieju.

Kasyjer. Teraz pociąg idzie do Wiednia a nie do Lwowa.

Pasażer 6. A to mnie i tak możecie zabrać. Mnie się spieszy.

Pasażer 7. Kochany panie kasyjerze dobrodzieju. Co jest pierwej: Tarnów czy Jarosław?

Kasyjer. Tarnów.

Pasażer 7. A jak się ze Lwowa jedzie, co pierwej? (trzecie dzwonienie, kasyjer zamyka okienko).

* *W wagonie trzeciej klasy.*

Matka (żegnając się z odjeżdżającą córką). Do widzenia kochana Julciu, jedź z Bogiem.

Jeden z współtowarzyszy podróży. Ależ proszę ja pani! Gdzieby tam pan Bóg jechał trzecią klasą!

* *Sprawy kolejowe.*

W Warszawie.

Mąż. A to licho nadało, powiedziałem mojej małżonce, że dla względów oszczędności, rzadko tylko będę ją odwiedzać, a tymczasem masz! kolej Warszawsko-Bydgoska znowu wysyła *pociągi mężowskie* po zniżonej cenie!..

Teraz już po wesołych wycieczkach świątecznych, pilnuj jak pies swojej magnifiki. Czyżby na tej kolei naczelnikami byli sami kawalerowie?

W Ciechocinku.

Żona. Ładna mi przyjemność! Znowu będą wysyłać te *pociągi mężowskie.* Co tydzień będę mieć przy boku swego gagatka. Że też to nawet w kąpielach wytchnąć nie można.

Ach doprawdy, chyba na tej kolei wśród naczelników niema ani jednego kawalera.

Koleje życia.

* Szekspir mówi, że to życie
Scenicznym bardzo jest podobne zmianom;
Bóg, jako wielki widz, siedzi w błękicie;
Suflerstwo dawnym zostawił kurhanom.
Mimo to jednak jest bardzo obficie
Złych dram... a pierwsze role, dane panom,
Najgorsze!—smętną uderzeni stalą,
Bez żadnej rzymskiej gracyi z nóg się walą.

I gdyby u nóg kochanek, wpatrzeni
W oczy błękitne, albo w czarne oczy,
Rzucali duszę swą pełną płomieni
Z harfy westchnieniem.—Lecz nie... czerw [ich toczy!
Śmierć ich zastaje w szambelańskiej sieni
W zielonym fraku!.. czasem ich przeskoczy
W biegu tańcząca królowa szkieletów,
Takie zrobili niskie progi z grzbietów!

Kolenda.

* *Bodajto kolenda.*

Kolenda to rzecz miła... błogo wstrząsa duszą! Tak, kolenda dla duszy jest radością sporą, lecz nie dla tych bynajmniej, co ją dawać muszą, ale dla tych szczęśliwców, co ją od nich biorą. Niejeden człek w kolendzie namiętnie się kocha, wietrzy ją po znajomych bufetach, szynkwasach, bo czuje to głęboko, że każda darmocha bardzo przydać się może — zwłaszcza w ciężkich czasach.

I ci, którzy ją lubią brać na każdym kroku, którzy pragną rozkoszy kolendowych wrażeń, z upragnieniem czekają zwykle końca roku, ażeby dojść coprędzej do celu swych marzeń. Los jednak nie dla wszystkich jest w życiu wspaniały, nie wszystkich on obdarza pociechą bez granic, więc są tacy, co pragną kolendy rok cały— i w końcu ich nadzieje nie zdadzą się na nic.

Pan Zefiryn Dwinicki nie był to wyjątek, każdej chwili podobno żywił myśli płoche, bo chociaż miał po ojcu porządny majątek, choć miał za co pohulać, lecz lubił darmochę.

Choć jednak jego duma wciąż była przejęta chęcią, żeby otrzymać darowiznę błogą, przez lat dziewięć lub dziesięć gdy nadeszły święta, nie otrzymał kolendy nigdy od nikogo.

Okropnie on się na to żółciował na boku, że tak nieczule losu mijały go względy, zwłaszcza że przez te lata zawsze z końcem roku jego blizki przyjaciel dostawał kolendy.

Ten przyjaciel Izydor, zbudowan bezdennie, lubił smaczne jedzenie, lubił dobre trunki, a więc po wielu handlach grosz tracił codziennie i przez to miał dość liczne z kupcami stosunki.

Otóż łaskawym państwu trzeba o tem wiedzieć, że czyniąc w zeszłym roku zwyczajowi zadość, gdy Zefiryn w wigiliję przyszedł go odwiedzić, widział jak za lat dawnych jego wielką radość.

Bo co chwila na podziw pana Zefiryna, który aż oblizywał w kąciku paluszki, wnoszono to bakalije, to cały kosz wina, to cygara, to jakieś zagraniczne gruszki.

— Człowieku! — rzekł Zefiryn — jakiś ty szczęśliwy, otrzymując co chwila tak miłe kolendy.

Na to odparł Izydor:

— To nie żadne dziwy, bo ja umiem na losu zasługiwać względy. Jeśli do brania kolend chęć cię tylko skłania, to na nie przez rok cały chciej zapuszczać wędy.

— W jaki sposób?

— Jedz codzień po handlach śniadania, a pewnie każdy kupiec przyśle ci kolendę.

— Masz słuszność, to jest pomysł świetny, okazały! Czuję z góry, że moje zaspokoję żądze!

I Zefiryn do kupców chodził przez rok cały, jadł śniadania, pił wino i tracił pieniądze.

A za to, że pił dobrze i zajadał smaczno i że sypał rublami jak prawdziwi głupcy, na upłynione święta kolendę dość znaczną w winie i smakołykach przysłali mu kupcy.

Lecz poznał, że się kupcy zanadto nie skubli, bo gdy roczny wydatek z kolend zliczył miarą, to wypadło za gruszkę po 50 rubli, 100 za butelkę wina i 100 za cygaro.

I dziś biedny Zefiryn zrażony tym balem, opłakuje nie żartem całoroczne błędy i do wszystkich znajomych woła z wielkim żalem:

— Ach! już nie chcę, już nie chcę kupieckiej kolendy.

Świąteczny.

* *Kolenda.* (Z motywów ludowych).

—Oj, posłusną juz jo zawdy
Tobie, Maćku, scyrze będe,
Jeno bądź tez raz wielmożny,
Kup mi chustkę na kolendę...
— Głupiaś babo, nic ci nie dom,
I chuściny ci nie kupię,
Byś do karcmy nie latała,
Jeno siedzić mos w chałupie...
Słuchaj babo carownico,
Cym bydlęciem byle jakiem,

Ze mnie bestasz okrutecnie,
Zwąc omętrem, wisielakiem...
Jako święta cię nie miną,
Tako karo cie nieminie,
A mas babo, a mos selmo,
A mos, na ci po cuprynie...
—A ty zbóju, rabuśniku,
Ty mnie ściros na otręby,
A mos, naci... Widzis zbóju
Wylecioły ci dwa zęby!..
Jak się za łby wodzić jeli,
Baba ksycy: Juz nie będe!
A chłop wali siła wlizie:
— Na ci chustkę na kolende!

Koleżeństwo.

* Do znakomitego aktora Garricka zbliżył się dnia pewnego jakiś nędznie ubrany jegomość, nazywając go poufale kochanym kolegą.

— Nie mam przyjemności znać pana — powiedział zdziwiony Garrick.

— A jednakże nieraz grywaliśmy razem.

— Nie pamiętam, w jakiejże to sztuce?

— W Hamlecie, ja piałem koguta.

Koligacyje.

* *Moje koligacyje.*

Ożeniłem się z pewną wdówką.

Dawna wdówka, a obecnie moja żona, miała dorosłą pasierbicę.

Mój ojciec rozkochał się w mojej pasierbicy i także wziął i ożenił się z nią.

Tym sposobem moja żona, synowa mego ojca, została teściną, czyli świekrą swego teścia, pasierbica zaś moja jest dla mnie macochą a ojciec mój względem mnie, przez swoje ożenienie, został moim pasierbem.

Macocha moja, pasierbica mojej żony, powiła syna, który jest mi bratem, bo synem mego ojca i mojej macochy; ale że on zarazem jest synem naszej pasierbicy, więc moja żona została jego babką, a ja dziadkiem przyrodniego brata.

Moja żona powiła mi także syna, zatem moja macocha jest jego przyrodnią siostrą i zarazem babką, a mój ojciec, jako mąż siostry mego syna, jest szwagrem mojego dziecka.

Koniec końcem ja jestem bratem mego własnego syna, jestem szwagrem mojej matki, moja żona jest ciotką własnego syna, mój syn jest wnukiem mojego ojca, a ja w dodatku jeszcze jestem sobie własnym dziadkiem.

Kolory.

* Będąc potrochu szaleńcem, mam zwyczaj wrażeniom moim nadawać jakieś barwy i cienie. I tak: litość jest dla mnie koloru blado-niebieskiego— rezygnacyja popielata— radość seledynowa—przesyt kawowy—przyjemność różowa—nudy czekoladowe—sen koloru dymu tytuniowego — zastanowienie pomarańczowe — boleść czarna jak sadze — myśl o należności terminowej barwy ołowianej — nadzieja otrzymania pieniędzy jasno ponsowa. Pierwsze rendez-vous jak lekka herbata—dwudzieste rendez-vous jak przeciągnięta herbata, a szczęście... nieznanego mi koloru.

Leon Gozlan.

Kołysanka.

* Śpij spokojnie, chłopcze słodki,
Przymróż oczy swe,
Oto szampan i kokotki—
Śpij więc sobie, chłopcze słodki
One przyśnią się.
Drwij tam sobie z głupiej rzeszy
Z nędzy, z ludzkich łez,
Każdy życiu ulżyć śpieszy,
Drwij tam sobie z głupiej rzeszy,
Żyć—to teza tez—
I niech rozkosz cię utuli,
Luli—chłopcze—luli.

Patrz, całusek przy kolacyi
Spijesz z ładnych ust,

Wszakże mówią nie bez racyi,
Że ty zawsze przy kolacyi
Miewasz dobry gust.
Potem anioł z jasnem skrzydłem
Zniesie milijon ci.
I wnet zerwiesz z tem straszydłem
Pod anioła złotem skrzydłem,
Co się głodnym śni.
Wdzięk i miłość cię utuli,
Luli... chłopcze... luli.

Niechaj Venus piękne córy
Łechcą zmysły twe,
Czcij je tylko—precz Merkury!
Niechaj żyją Venus córy,
Te bez listków—te.
A tak żyjąc i cóż więcej
Pragnąć możesz ty?
Czy pałacyk mieć książęcy,
Chyba tego i nic więcej
I tam śnią się sny.
Tam hurysa cię utuli
Luli—chłopcze—luli!..

Komedyja.

„Ridendo custigare mores."
(Śmiech poprawia obyczaje).

* Wszystko co nie jest tragedyją, należy do komedyi; obie mają się do siebie, jak żart do rzeczy seryjo; jedna tyczy się więcej rzeczy zmysłowych, druga obyczajowych. Dobra komedyja, wprawiwszy nas w usposobienie wesołe, odrywa od posępnych zapatrywań na przeszłość i przyszłość, a ułomności naszego rodzaju, przedstawione komicznie, bawiąc nas, działają jedynie na fantazyę, najwyżej jeszcze na umysł, ale prześlizgują się po powierzchni duszy, nie dotykając głębi serca. Z żartobliwego sposobu zapatrywania się na ludzkość rodzi się pewna wesoła pustota, granicząca z zadowoleniem, a nieposkromiona zmysłowość, stając w sprzeczności z wyższemi wymaganiami rozumu i prawdy, musi wytworzyć działanie komiczne. Pojęcie Arystotelesa o komedyi stosować się może jedynie do jego czasów; utrzymuje on bowiem, że tragedyja powinna przedstawiać ludzi lepszymi, a komedyja gorszymi, niż są w rzeczywistości; daje on komedyi zbyt szczupły zakres i jedyny cel „wzbudzenie śmiechu za pomocą dowcipnych wymysłów, ukazujących ludzkość ze strony komicznej." Aż do Szekspira dramat, skrępowany więzami Arystotelesa, nie mógł rozwijać się swobodnie, a długo potem jeszcze trzymano się ściśle zasady „trzech jedności" t. j. czasu, miejsca i działania; wtedy dopiero szło wszystko prawidłowo, podług reguł; ale reguły są kulami kalek: zdrowi odrzucają je, a genijusz sam sobie stwarza reguły. „Moje sztuki podobają się" — odpowiadał Molière tym, którzy go ganili, a Kotzebue dodawał: „A więc są dobre." Liczba komedyi równa się piasku w morzu; Talija ma wielu wezwanych, ale mało wybranych! Przy równym talencie łatwiej jest napisać tragedyję, niż dobrą komedyję, tem bardziej, że groza i litość wywołane bywają samą sytuacyją, gdy śmiech wymaga więcej dobrej gry i wybucha często za ukazaniem się, ruchem lub miną samą takiego Weston'a, Garick'a, Żółkowskiego. „Dyjabeł kulawy" zawiera scenę między komikiem a tragikiem; pierwszy mówi do drugiego: „Jeżeli komedyja ma być łatwiejszą od tragedyi, dla czegóż nie udaje się nigdy tragikom", na co tragik obrażony rzekł: „Gdybym nie był w pańskim domu, nauczyłbym pana poszanowania dla koturna." „O nie żenuj się pan — odpowiedział komik— jeżeli tylko świerzbią cię plecy, to mogę tak samo wytłuc cię tutaj, jak gdzieindziej." Na komicznej scenie świata przypadek układa sztukę, los wyznacza role i miejsca; bogatym dostają się loże, szlachetnym parter; ubodzy mieszczą się na galeryjach, najubożsi na najwyższych miejscach, słusznie też paradyzem zwanych; wielu też idzie na lampucerów i zamiataczy; w kasie siedzą despoci, rozdający miejsca; bogatsi raczą się winem, ponczem i wszelkiego rodzaju słodyczami; ubożsi wódką, piwem i kiełbasą; gdzieniegdzie mędrzec filozof przygląda się

wszystkiemu ze swego kąta, przyklaskuje lub gwiżdże, o ile to nie jest zabronionem i śmieje się z tej całej pstrocizny i farsy życiowej, aż wreszcie kurtyna zapada; śmierć ściąga z każdego przybranie, jakiem głównie różnią się jedni od drugich, a w grobie równają się na dobre wszyscy! Czasy nasze nie są korzystne dla komedyjopisarzy; cywilizacyjny polor tak wygładza ludzi, że zdają się z jednej formy odlani, przez co zatraca się właściwy, specyjalny charakter, podatny dla komedyi. „Kto widział dziesięciu francuzów, widział ich wszystkich“, mówił J. J. Rousseau; powiedzieć by to można i o innych cywilizowanych ludach, z wyjątkiem chyba anglików; w niższych klasach jeszcze dostarczają sobie ludzie wzajemnie przedmiotów do żartu i śmieją się całem sercem i gardłem, bez żenady i obrazy, ale w sferze wyższej, boją się więcej śmieszności, aniżeli utraty majątku, honoru i życia nawet. To dało powód do nowego rodzaju sztuk scenicznych, nazwanych komedyjami seryjo, czyli wzruszającemi; wprawdzie leży to w naturze ludzkiej, że nieraz śmiejemy się, doznając wzruszenia i łatwo przechodziemy znów z radości do melancholji; Szekspir oswoił nas z taką mięszaniną, a tego wielkiego pisarza krytykować niepodobna; ale są sztuki, na których ani trochę śmiać się nie można, a tylko ziewać trzeba czas cały; o takich powinny oznajmiać afisze: „N. N. pierwsze i ostatnie przedstawienie.“ Lachauffée, żyjący w połowie zeszłego wieku, uważany jest za wynalazcę tych „komedyi wzruszających“; napisał on „Prejugé à la mode“ („Modny przesąd“) która to sztuka była nieźle przyjęta, jak i inne. „Ecole des mères“ („Szkoła matek“) i „Gouvernante“ („Guwernantka“). Piron nazywał go „czcigodnym ojcem“, a Wolter mówił: „Lachauffée trzyma pierwsze miejsce po tych, którzy mają genjusz.“ Diderot napisał w tym rodzaju „Père de famille“ („Ojciec rodziny“) i „Fils naturel“ („Syn naturalny“); Gelert jest niemieckim Lachauffée; uczony ten i zacny ze wszech miar człowiek, nie był wcale genjuszem i więcej są warte jego bajki i moralne dziełka, aniżeli komedyje. Liche utwory zwykły trzymać się reguł, jak pijany płotu; owe wielkie komedyje odznaczają się także sumiennością pod tym względem, ale Plinijusz mówił już o takich autorach, że „wadą ich jest to, że nie mają wady“; w niczem zarzucić im nie można odstępstwa od reguł; trzymają się zasady „trzech jedności“, ale zapominają o ważności czwartej podstawy, t. j. utrzymania interesu czyli zajęcia, od początku do końca; można o wielu z nich powiedzieć to, co Riverol powiedział a propos Mercier'a: „Moje życie jest tak modnym dramatem, jak gdyby je Mercier układał.“ Widząc takiego komedyjo czyli dramato-pisarza z rękopismem w kieszeni, możnaby mu powiedzieć to, co tenże Riverol Floryjanowi: „Uważaj pan, rękopism wygląda ci z kieszeni i ktoś, co cię nie zna, może ci go wykraść.“ Mało który z tych pisarzy zasłużyłby na takie słowa uznania, jakie pewien francuz powiedział o niemieckim Fleck'u; przyjechawszy do Berlina po dłuższej nieobecności, zapytał znajomego: „Cóż porabia Fleck?“ „Umarł“ — odrzekł zapytany. „O to prawdziwa szkoda“—rzecze francuz—„taki wesoły człowiek!“

* *Komedyja angielska.*

Jakkolwiek tragedyje angielskie lepsze są od komedyi, jednakże ponury, oryginalny anglik nadzwyczaj lubi komedyje; usprawiedliwia to zdanie, że teatr u narodów wesołych jest o wiele poważniejszy, aniżeli u posępnych ludów; dla tego też i Szekspir tak często mięszał sceny tragiczne z komicznemi. W komedyjach anglików objawia się wielka siła komiczna; lubią oni naturę i obrazy z powszedniego życia. Swoboda myśli i czynu przebija się u nich i na scenie, gdzie pozwalają sobie daleko więcej, niżby to ujść mogło w innych krajach. Wolność wytwarza genjusz, który jest podstawą charakteru i oryginalności. Żaden anglik nie jest podobny do drugiego; Londyn jest prawdziwą galeryją oryginałów, a ich komiczny dowcip jest nasycony raczej morską, a nie atycką solą. Te-

atr angielski zaczął się, jak wszędzie, od misteryi i moralnych fars, z których pierwszą znaną, z czasów króla Henryka III, jest ulubiona kiedyś farsa: „Every man“ czyli przeciętny człowiek. Pierwszą komedyją angielską jest „Gammergourton's needle“, z roku 1550, nizko komiczna sztuczka, nakształt „Adwokata Potelin“ francuzkiego. Dopiero Szekspir, równie wielki komik jak i tragik, podniósł w Anglii dramat do znakomitej wysokości, tak jak Plantus w Rzymie. Szekspir stoi w stosunku do innych poetów, jak wielki legendowy Krysztof, kroczący przez morze z dzieciątkiem Jezus na plecach; wznosi się on nad wszystkich, jak wieża Ś-go Szczepana nad inne wiedeńskie wieże. Szekspir ujrzał światło dzienne w r. 1566 w Stratford, i zajmował się najprzód handlem wełną, jak jego ojciec; wcześnie jednak zaczął pisać wiersze i gdy ściągnął sobie niechęć sąsiada za satyryczną baladę przeciw niemu, ten podał nań skargę o kradzież zwierzyny, wskutek czego opuścił Szekspir swoje strony i udał się do Londynu, gdzie wnet wkręcił się do teatru jako Cull-boy, czyli awizator; później występował też jako duch w Hamlecie w teatrze „The Globe“, gdzie podłoga posypana była sitowiem, a publiczność piła piwo i paliła tytoń. Do komedyi Szekspira zaliczają się: „Nieporozumienia“, „Ubieganie się o miłość jest daremne“, „To czego chcecie“ i „Wesołe kumoszki Windsorskie.“ Falstaff odgrywa wszędzie rolę klowna i jego to postać zrobiła poetę ulubieńcem narodu, co może jest trudnem do pojęcia dla obcych. Falstaff jest mięszaniną wszystkich wad: hulaka, łgarz, złodziej, przechwalca, pochlebca i tchórz — słowem nic nie wart ladaco; ale dla jego dowcipu i fars przebacza mu się wszystkie wady i niecnoty; gruby jak beczka, jedzenie, picie i sen, jest dla niego wszystkiem, i gdyby był się znajdował pomiędzy pięciotysięczną rzeszą nakarmioną przez Chrystusa, pewnieby tam nie było zostało pięciu chlebów i tyleż rybek. Ten hultaj ma zawsze pełno długów, nie przebierając w środkach dostania pieniędzy, kłamie jak z książki, a schwytany na uczynku, ratuje się znów kłamstwem. Za czasów Szekspira była moda klownów czyli błaznów, nic też dziwnego że i ten genjusz pozwolił sobie tyle takich żartów i płaskich konceptów; ale klown jego często wypowiada bardzo poważne prawdy; w „Antonijuszu i Kleopatrze“ mówi np. „Kobieta jest specyjałem bogów, jeżeli nb. nie przyprawi jej dyjabeł.“ Rzadko znajdzie się człowiek, któryby tak jak Szekspir, był zarówno wielkim mistrzem w komizmie, jak i w poważnym i wzruszającym stylu; jego Mackbet, Lear, Otello, Hamlet, Romeo, Korjolan, Cezar i t. p., wzruszają do głębi, tak jak rozśmieszać muszą każdego sztuczki takiego Falstaffa. Pedanci czepiali się wątpliwej uczoności Szekspira, ale gdyby ten wielki poeta nie czytał był nawet ani jednej książki, to przyznać trzeba, że on znał dokładnie dwie księgi, których pedanci i lepsi niby od niego uczeni nie znają wcale, to jest księgę natury i ludzkości. Szekspir zakończył życie spokojnie w r. 1616, w miejscu swego urodzenia, t. j. w Statford, gdzie spędzał ostatnie dnie życia. Pomnik jego wystawiony jest w Westminster, a lepszym jeszcze są jego dzieła w pysznem wydaniu i tak zwana „Galeryja Szekspira“, t. j. 72 sceny z jego sztuk teatralnych, malowanych ręką najlepszych mistrzów pędzla. Trzeba przyznać anglikom, że ocenić umieli genijusz, przynoszący im chwałę; wszystko co się tycze Szekspira, jest ważnem i świętem w jego ojczyźnie; młodzież uczy się dzieł jego pierwej, niżeli historyi o Herodzie i Piłacie i w tym kraju, gdzie każda kwestyja napotyka na wiele opozycyjnych partyi, zgadzają się wszyscy, gdy idzie o „wielkiego Szekspira“; jeden z jego czcicieli rzekł: „Ja czytam tylko dwie księgi: naturę i Szekspira, z których jedna jest komentarzem drugiej.“ Współczesnymi z Szekspirem komedyjopisarzami byli: Ben Johnson, Beatmont i Fletcher. Pierwszy pisał sztuki charakterystyczne, satyry i farsy, drudzy dwaj stoją wyżej, pisali wspólnie, Beatmont robił plan i sceny poetyczne, Fletcher dodawał dowcipu i ko-

mizmu; nazywano ich Kastorem i Poluxem; najlepszą ich sztuką jest „The spanisch curate“ i „Rule a wife und hawe a wife“, w której ostatni ustęp brzmi:

„Mężowie, gdy szczęśliwe pędzić chcecie życie,
Nauczcie się panować, nim się ożenicie.“

W owe czasy kobiety nie występowały jeszcze w Anglii na scenie, a pewien dyrektor dla uspokojenia niecierpliwiącej się publiczności, wyszedłszy na prescenium, rzekł: „Szanowni panowie i damy, miejcie jeszcze chwilkę cierpliwości, królowa kończy się już golić i zaraz się ukaże.“ Buchingham pisał też dla teatru, ale sztuki jego były liche i bez należnego dowcipu, bo pisał jedynie dla chleba, a w takich okolicznościach trudno stworzyć coś doskonałego. Dowcipniejsi już byli Etherige i Farnquer, ze szkoły Karola II. Whichely napisał tylko cztery sztuki, z których najlepszą jest: „Plain dealer“, która mu też ściągnęła uznanie ogólne; Karol II nawet odwiedzał go sam w chorobie i dał mu 500 funtów sterl. na podróż do Montpelier; miał zostać guwernerem książąt, ale zgubiło go ożenienie z piękną hrabiną, która zatruła mu życie swą bezmierną zazdrością; po jej śmierci, krewni żony wytoczyli mu proces i wsadzili go do więzienia za długi. Jakób II, będąc na przedstawieniu „Plain dealer“, przypomniał sobie Wichely'ego i kazał go wypuścić z wieży, w której siedział siedm lat i wyznaczył mu pensyę, którą jednak przestano wypłacać po ucieczce tego króla; Whichely wpadł znów w nowe długi i z desperacyi ożenił się powtórnie, mając już 65 lat. Przed ślubem mówił jeszcze: „Myśl o ożenieniu jest okropną dla mnie, wpędzi mnie do grobu“ i umarł istotnie w osiem dni po ślubie. Było to oryginalne, prawdziwie angielskie, że, jak opowiadano, nie chciał słyszeć o ożenieniu wprzód, aż kiedy czuł zbliżający się koniec życia i przed ślubem przyjął ostatnie sakramenty, które, jak utrzymywał, poprzedzić powinny sakrament małżeństwa; humorystycznem jest też zalecenie czyli ostatnia wola, jaką zostawił młodej swej żonie, aby nigdy więcej nie wychodziła za starego. Congrewe napisał cztery wyborne komedyje, z których pierwsza dała mu pieniądze i posadę, drugie były jeszcze lepsze i bardzo się podobały; cały zreumatyzmowany i nawpół niewidomy, siłą woli przezwyciężał te dolegliwości i napisał jeszcze w późnym wieku swojego „Gadułę.“ Garick, angielski Rosciusz, którego „fizyjonomija sama była już mową“ (jak się o nim wyraził pewien głuchoniemy), równie wielki w tragedyi jak w komedyi, zyskał sławę głównie jako aktor, gdyż małe sztuczki, które pisał, są bez wartości. Był on szczególniej godnym podziwienia jako mimik; opowiadają o nim, że gdy u Hogartha obstalowano portret zmarłego Fieldlinga i słynny malarz był w kłopocie, czy go potrafi odmalować z pamięci, Garick udał się do niego i usiadłszy w pierwszym pokoju, owinięty cały płaszczem, przywołał Hogartha głosem Fieldlinga i z twarzą zupełnie do zmarłego podobną, tak, że Hogarth zadrżał i zbladł cały, a Garick rzekł wtedy: „No, maluj prędko.“ Autorami nowszych sztuk teatralnych są: Cumberland, Hodley, Colman i Scheridan, ten ostatni, znany jako mówca w parlamencie obok Pit'a, Fox'a i Burke'go, zakochawszy się w aktorce, pisał wcale udatne komedyje; znana jest jego opera komiczna „Duenna“, a najlepszą z jego sztuk jest „Szkoła chytrości“, przedstawiana za granicą z wielkiem powodzeniem. Cumberland, jego współzawodnik, był tak zły z tego powodzenia rywala, że na przedstawieniu tej sztuki, która wszystkich ogromnie bawiła, siedział cały czas zasępiony, a gdy o tem mówiono autorowi, ten rzekł: „Jaki niewdzięczny! ja przecież na przedstawieniu jego ostatniej tragedyi śmiałem się od początku do końca.“ Morphy i Townley, przerabiali francuzkie komedyje na żart angielski; ostatnie czasy nie wydały żadnego wielkiego dramaturga ani komedyjopisarza. W ogóle scena angielska ma lepszych aktorów, aniżeli autorów teatralnych. A jednak znalazłoby się niemało materyjału do dobrej komedyi, gdyby umiał kto opisać narodową zarozumiałość anglików,

ich despotyzm morski i lądowy, ich pogardę dla wszystkiego, co nie jest angielskie, ich zachowanie się za granicą, gdzie ufając swoim gwineom, chcą dowieść tym, co ich wyśmiewają wszędzie, że naród angielski jest najszlachetniejszy, najgodniejszy poszanowania, co nie przeszkadza, że mają oni jak i inne narody swoje wady, a może nawet daleko większe od innych, których chcą zawsze upokarzać. Najodpowiedniejszy tytuł takiej sztuki byłby: „Bezczelność John Bulla."

* *Komedyja francuzka.*

Żaden naród nie ma tak dawnej a tak dobrej i dowcipnej komedyi, jak francuzi swojego „Avocata Patelin" („Adwokat Patelin"); autorem tej sztuczki jest podług jednych Loris, który napisał znaną powieść „De la rose" („O róży") w dwunastym wieku; podług innych ma nim być P. Blanchet z jedenastego stulecia. Późniejszym już był Jubelle, naśladujący pisarzy starożytnych; napisał wszakże i oryginalną sztukę pod tytułem: „Eugène ou le rencontre" (Eugenijusz czyli spotkanie). Henryk IV śmiał się do łez z fars, chociaż sam się widział w nich wyśmianym, za co parlament uważał za stosowne kazać uwięzić aktorów, ale król ich uwolnił. W tymże czasie wenecyjanie pod nazwą „Gligelosi" (Zazdrośni) dawali przedstawienie w Paryżu. Jak wszędzie tak i we Francyi, teatr zaczął się od przedstawienia „Misteryi", ale już za Karola VI utworzyło się towarzystwo wyszydzające śmieszność stolicy, które się nazwało „Enfans sans souci" (Dzieci bez troski); miało ono swego króla, nazwanego „Roi des sots" (Król głupców), a przedstawiane farsy przezywano „Sotisses" (Głupstwa). Ojcem właściwej komedyi był Molière. Nazwisko to przybrał tylko do teatru, a rzeczywiście nazywał się Jan Baptysta Poquelin, urodził się w Paryżu w roku 1620. Ojciec jego był tapicerem dworskim i tandeciarzem. Zamiłowanie teatru, do którego od dzieciństwa uczęszczał, obrzydziło Molierowi rzemiosło ojca; oddał się naukom, a Gasendi, jego profesor filozofii, n. b. czciciel wesołych zasad Epikura i Demokrytosa, wpłynął niezawodnie wiele na Moliera, który też stał się najlepszym moralistą-filozofem i chlubą prawdziwą Francyi. W młodości pisał już sztuki, które jednak nie doszły do nas; poświęcił się cały teatrowi, rywalizując z Corneill'em i Guinault'em, których niebawem prześcignął, bo i do dziś dnia nikt go nie dosięgnął w sławie; można go zawsze czytać i słuchać choćby kilkakrotnie z prawdziwą przyjemnością i pożytkiem. Molière na czele małej trupy teatralnej wyjechał z Paryża do Lyonu i Bérières, gdy protektor jego, książę Conti, został namiestnikiem Langwedocyi; chciał on go wziąść za przybocznego sekretarza, ale Molière wolał zostać przy swojej trupie, zakochany będąc w pani Béjart, której córka zostawszy później jego żoną, zatruła mu całe życie. Przez lat ośm wędrował tak po prowincyi i dopiero w r. 1658 wrócił do Paryża, gdzie pozostał już na zawsze, lubiany przez dwór i przez publiczność. Pomimo powodzenia, starał się doskonalić coraz więcej, a Boileau powiedział z tej okazyi o nim: „Molière podoba się wszystkim, tylko nie sobie samemu," co jest najlepszym środkiem udoskonalenia się. Napisał 30 sztuk ogólnie znanych i cenionych, w których też grał sam główne role. Ludwik XIV wspierał go tak jak Rassyna i Boileau, a Kondeusz i inne znakomite osobistości poszukiwali jego towarzystwa. Był to nietylko wielki genijusz, ale także przyjaciel ludzkości; w swojej willi w Auteuil podejmował często z wielką gościnnością przyjaciół, których też chętnie wspomagał, jak Rassyna i Barona, będąc w ogóle bardzo dobroczynnym. Pewnego razu przez pomyłkę dał żebrakowi sztukę złota, a gdy ten mu ją oddawał napowrót, mówiąc: „Pan się pewnie pomylił", Molière dodał mu drugiego luidora ze słowami: „Boże! gdzie się to gnieździ cnota!" Na jednem z przyjacielskich przyjęć w owej willi w Auteuil, podchmielili sobie raz: Chapelle, Boileau, Lafontaine, Miguard i Lully do tego stopnia, że wyrzekając na nędzę i marności tego świata, po-

stanowili rzucić się razem do Sekwany i wybiegli spiesznie wykonać ten zamiar. Molière, który oddawna już słaby na piersi nie pił nic oprócz mleka, pobiegł za nimi i chwaląc niby ich postanowienie, łajał, że chcą to zrobić bez niego, a w końcu dodał: „Słuchajcie, teraz jest noc; wszyscy powiedzą, żeśmy się popili i potopili jak zwierzęta, czyny bohaterskie powinny być wykonywane w biały dzień, w oczach całego świata, a zatem odłóżmy to do jutra rana.“ Zgodzili się szczęśliwie na tę propozycyję i wróciwszy do willi, przespali spokojnie noc całą, a obudziwszy się wytrzeźwieni, nie czuli już takiego wstrętu do życia i zasiedli do śniadania w wesołych humorach, śmiejąc się sami z siebie. Molière mając około 30,000 liwrów dochodu i wielu przyjaciół, mógł był żyć szczęśliwie, jak na to ze wszech miar zasługiwał, gdyby nie żona, którą kochał namiętnie, a która wcale nie odpłacała mu się wzajemnością i postępkami swemi zatruwała mu życie. Chapelle, słysząc raz narzekania biednego, zdradzanego ciągle małżonka, rzekł do niego: „Jakto? ty, co tak często wyszydzasz biednych słabych mężów, obdarzanych przez żony rogami, miałżebyś sam w życiu odgrywać podobną rolę? Każ zamknąć niewierną żonę i rozłącz się z nią.“ „Ach“—odrzekł smutnie Molière — „widać, żeś nigdy nie kochał. Rozłączyć się! czyż to podobne dla mnie. Tak jak mnie jest niepodobna przestać ją kochać, tak widać dla niej niepodobnem jest pozostać mi wierną.“ „Trzeba być poetą, żeby kochać w ten sposób“—rzekł na to Chapelle, ruszając ramionami. Molière umarł w roku 1673 mając lat 53, właśnie wtedy, kiedy grał ostatnią swą sztukę „Malade imaginaire“ (Chory z imaginacyi). Oddawna już cierpiał na piersi, a przy wyjściu na scenę po raz ostatni, publiczność cała zauważyła, że nie jest wcale tym, którego przedstawia, bo był chory na prawdę. Arcybiskup odmówił pochowania Moliera w poświęcanej ziemi, ponieważ umarł bez ostatnich sakramentów. Ludwik XIV zapytał wtedy, jak głęboko ziemia jest poświęcana. „Do czterech stóp“—brzmiała odpowiedź. „No to pochowajcie Moliera na sześć stóp głęboko“ — rzekł król. I tak pochowano też genijalnego autora-artystę, ale bez śpiewów i dzwonów. Z tej okazyi Chapelle napisał: „Ponieważ w Paryżu odmawiają pogrzebu tym, którzy grają komedyję, dlaczegóż chowają bigotów? wszak oni całe życie nic innego nie robią.“ Książę Kondeusz powiedział zaś pewnemu księdzu, znanemu nieprzyjacielowi Moliera, gdy mu pokazał napisany dla tegoż nagrobek: „Ach! czemuż ten, dla którego napisał te wiersze, nie może napisać nagrobku dla ciebie!“ Z mnóstwa nekrologów, jakie się posypały po śmierci Moliera, najudatniejszym zdaje się następujący:

„Przechodniu! Tutaj spoczywają zwłoki
Tego, co niby miał zakończyć życie;
Lecz czy to jest śmierć, czy też sen głęboki,
Trudno wiedzieć należycie!
Bo był to komedyjant wielki
I udawał rodzaj wszelki;
Bądź co bądź, tutaj Molière spoczywa,
A jeśli tylko rolę zmarłego odgrywa
Po mistrzowsku, jak każdą inną ją oddaje,
I wzorem dla potomnych na zawsze zostaje.“

Żaden z komików tak nie oddziałał na Europę całą, jak Molière i nie wyszydził tak wszystkich śmieszności i głupstw ludzkich. Doktorów z ich szarlataneryją łacińską, uczonych z ich nieznośną pedanteryją, fircyków przesadzających się w galanteryi, afektacyję pyszałkowską nowo uszlachconych, przesadne popisy kobiet uczonych i t. p. Niktby może nie przypuścił, że ten tak umiejący rozśmieszać Molière, był melancholikiem, podobnie jak Carlino. Arcydziełem Moliera jest jego „Mizantrop“, a równej także wartości „Skąpiec“. Przemowę do tej ostatniej sztuki wziął Molière z Plaaut'a: „Śmiejecie się“ — mówi —„ale czy mój złodziej nie znajduje się wśród was?“ Skąpiec nie używa nigdy słowa „daję,“ ale zamiast niego mówi „pożyczam“, co dziwnie brzmi nieraz, jak np.: „pożyczam ci dzień dobry“, „pożyczam ci moje słowo“ i t. p.! raz tylko do mar-

notrawnego syna odzywa się: „daję ci moje przekleństwo“, na co syn odpowiada: „za ten pierwszy od ciebie dar dziękuję, nie mam z nim co robić.“ Gdy spostrzegł, że mu skradziono skarb zakopany w ogrodzie, woła z rozpaczą: „Każę wywieszać wszystkich, a jeśli to nie pomoże, powieszę się sam.“ Najwięcej powodzenia miał „Tartuffe.“ Sztuka ta słusznie oburzyła pobożne dusze, o których mówi Molière, że „spowiadają się ze skruchą z zabicia pchły w przystępie złości“; wskutek intryg dotkniętych dewotów, prezydent parlamentu zabronił przedstawiania tej sztuki, a Molière ogłosił sam publiczności ów zakaz temi słowy: „Pan prezydent nie chce, aby go przedstawiać“ (co można było odnieść do „Tartuffa“ lub do prezydenta). Tytuł tej sztuki przyszedł podobno do głowy autorowi w restauracyi, gdzie się znalazł obok nuncyjusza papiezkiego, który pomimo całej swej powagi, na widok pasztetu z truflami wykrzyknął z zachwytem: „Tartufoli! tartufoli!“ Regnard był pierwszym godnym następcą Moliera, a Wolter słusznie wyraża się o nim: „Komu się Regnard nie podoba, ten nie jest godzien podziwiać Moliera.“ Regnard prowadził prawdziwie paryzkie życie, później podróżował na lądzie i morzu, aż po różnych awanturach dostał się do niewoli w Algierze; tam został kucharzem u pewnego możnowładcy i okazał się tak zdolnym w tym kunszcie, że go bardzo dobrze nagrodzono, ale za to okazał się tak prawdziwym francuzem w awanturkach honorowych, że zagrożony był karą śmierci, lecz na szczęście przed wykonaniem wyroku nadszedł w samą porę wykup oczekiwany i powrócił do ojczyzny wyleczony z podróżomanji, kupił wieś i oddał się muzom, nie porzucając przytem wesołego towarzystwa; umarł wcześnie na niestrawność po dobrym obiedzie w roku 1720. Najlepszą jego sztuką jest „Le Légataire“ (Legataryjusz), pełen wysokiego komizmu; dobrym także był: „Roztargniony“ i „Gracz“; utrzymały się także na scenie jego: „Szaleństwa miłosne“ i „Niespodziany powrót“; inne sztuki były mniej udatne. Lesage, autor „Gilblasa“ i innych powieści komicznych, zajmuje trzecie miejsce; jego „Krypin“ i „Turcaret“ godne są Moliera; na tę ostatnią sztukę zżymali się mocno finansiści, którym też dotąd dają przezwisko „turkaretów.“ Destouches idzie po Lesage'u; najlepszą z jego sztuk jest „Le Glorieux“ (Przechwalca). Po tych czterech przedstawieniach komedyi wymienić należy tragika Rassyna i Woltera, z których pierwszy napisał niezbyt udatnych „Plaideurs“ czyli „Adwokatów“, podług „Os“ Arystofanesa. Ludwik XIV, który sam utrzymywał, że król śmiać się nie powinien, musiał jednak tak się śmiać na tej sztuce, że podług wyrażenia kronikarza „cały dwór był tem niezmiernie zdziwiony.“ Rassyn okazał się w komedyi prawdziwym francuzem, co się mało któremu tragikowi udało; ale okrył się śmiesznością, okazując się zbyt wrażliwym na łaskę monarszą, umarł bowiem ze zmartwienia, że król spojrzał na niego krzywo i to z okna! Fontenelowi nie udała się żadna komedyja, tak samo i Wolterowi, chociaż napisał ich z tuzin; najlepszą jeszcze z jego sztuk jest „Szkotka“, ale żaden szkot ani anglik nie poznałby się w przedstawionych tam ziomkach. Francuzi mieli wiele dobrych komedyi, naśladowanych lub przełożonych z obcych sztuk; Bruys i Palaprat, którzy wznowili komicznego „Adwokata Patelin“, napisali też „Gderacza“ i „Niemowę.“ Palaprat umarł w szpitalu, nazwanym w Paryżu „Hôtel Dieu“ (hotel Boży). Gdy w dzień śmierci zapytał go ksiądz: „Jak też stoisz z Panem Bogiem?“ odpowiedział: „Bardzo dobrze, bo jak widzicie, stoję w Jego hotelu.“ Dancourt, poeta i aktor, pisał wiele; udawały mu się rzeczy nizkiego komizmu, wyjęte z wiejskiego życia. On to powiedział raz dumnemu arcybiskupowi, zarzucającemu mu jego fach: „Ja jestem komedyjantem króla, a Wasza Wielebność komedyjantem Boga, różnica nie jest znów tak wielka.“ Montfleury, Bourseault, Baron i Lamotte należą także do szeregu komedyjopisarzy; pisał także komedyje Boissy i Dufresny; ten ostatni okazywał więcej komizmu

w mowie, aniżeli w sztukach swoich. Gdy pewnego razu praczka prosiła go o oddanie należnych jej 30 talarów, tłomacząc, że jej te pieniądze koniecznie są potrzebne, bo wychodzi za mąż, Dufresny rzekł: „A któż cię wezmie z 30 talarami?“ „O ja mam prócz tego 200“—odpowiedziała. „W takim razie ja się z tobą ożenię i będzie kwita“—zawołał Dufresny. Wkrótce potem, gdy zrobił uwagę jednemu z przyjaciół, że ma brudną bieliznę, ten mu odrzekł: „Nie każdy może ożenić się ze swoją praczką.“ Piron napisał dosyć udatną sztukę pod tytułem: „Metromanija“, Paliset wydał kilka wesołych komedyi, między innemi „Le Cercle“ (Kółko towarzyskie) i „Filozofów“, które to sztuki ściągnęły mu niechęć wielu osób, utrzymujących że chciał w tych sztukach ośmieszyć J. J. Rousseau; w „Filozofach“ mianowicie w jednej scenie pewien filozof melduje się z wizytą literatce Cydalisy i gdy ta daje znak przyjęcia, otwierają się drzwi i wchodzi... Kryspin, ów filozof na czworakach, mówiąc: „Pani! Szczególniejsze zamiłowanie do filozofii, zniewoliło mnie do obrania stanu czworonogów, bo w ten sposób najprzód ciało moje ma lepszą podstawę, a powtóre oczów moich nie razi tak widok głupców.“ Na ten widok powstał w teatrze zgiełk wielki, publiczność bowiem w owym Kryspinie widziała czczonego przez siebie Rousseau'a; później wszakże scena ta była zawsze oklaskiwana. Florjan wsławił się wielu mdłemi, dowcipnemi sztuczkami. Beaumarchais unieśmiertelnił się swoim „Cyrulikiem sewilskim“, a jego „Figaro“ jest znajomym wszystkim przyjacielem. Beaumarchais był synem zegarmistrza, ale miał zbyt wiele rozumu, żeby się wstydzić tego pochodzenia. W przedpokoju ministra pewien baron, czekający razem z Beaumarchais na audyjencyją, podał temu ostatniemu swój zegarek, mówiąc: „Przez ten czas nudnego oczekiwania, chciej pan obejrzeć ten zegarek i powiedzieć, co mu brakuje; musisz się przecie znać na tem?“ „O tak“—odpowiedział Beaumarchais; wziął zegarek, obejrzał go i upuścił w końcu, niby przypadkiem, poczem, przeprosiwszy za swą niezgrabność, wyszedł. Baron, który jako aktor przeszedł Moliera, chociaż nie dorównał mu jako poeta, utrzymywał, że co sto lat zjawia się jeden Cezar, ale takiego Barona wydaje świat zaledwie raz na tysiąc lat. Jeszcze w 70-tym roku życia grał on rolę Brytanikus'a, a gdy będąc nieusposobionym grał ją licho, a parter zaczął szemrać, wystąpił na przód sceny z założonemi rękami i rzekł: „O niewdzięczna publiczności wychowana przezemnie!“ i po tej apostrofie grał dalej swoją rolę. Ulubieńcom swoim i starcom przebacza się wiele, mniej jednak pobłażliwości okazuje publiczność nieznanym cudzoziemcom. Dowodem tego przyjęcie, jakiego doznał pewien aktor z Brukseli, debiutujący w Paryżu w roli Andronikus'a; przez zapomnienie czy przez pomieszanie zaciął się przy tych słowach: „Cóż mam, niestety, począć w tej ciężkiej potrzebie...“ Wtedy jakiś głos z parteru zawołał: „Przyjacielu! weź pocztę i wracaj do siebie.“ Żaden naród nie ma tyle pociągu do teatru, co francuzi. Marszałek Sasti trzymał teatr nawet w obozie z Favart'em na czele, który wiliję bitwy pod Roeroi, na przedstawieniu ogłosił w kupletach „Ordre du jour“ (Rozkaz dzienny). Francuzi opuścili teatr z wykrzykiem: „Jutro bitwa!“, a Fawart wywiesił ogłoszenie na drzwiach teatru: „Jutro przedstawienie zawieszone z powodu bitwy; pojutrze, w dzień zwycięztwa, nowa sztuka.“ Żaden naród nie ma tak delikatnego uczucia i tyle bystrości w ocenieniu sztuki, nie łatwo też osiągnąć w Paryżu powodzenie, tak dla aktora jak dla komedyjopisarza, mianowicie cudzoziemca. Na przedstawieniu sztuki Kotzebue'go pod tytułem: „Nienawiść i żal“, rozpacz Eulalii wywołała wiele łez, mianowicie w lożach; wszyscy byli nader wzruszeni, w tem nagle jeden z widzów, siedzący w krzesłach parterowych, rozpiął parasol nad głową i powstał śmiech i klaskanie ogólne. Dla francuzów, więcej niż kiedyś dla rzymian, potrzebne jest owo: „Panem et Circenses“ (Chleb i cyrk), a podczas rewolucyi był czas, kiedy widowiska zastępowały brak chleba.

Komedyja u starożytnych.

* Naśladowanie i mimika leży w naturze ludzkiej; dzieci bawią się najlepiej, małpując starszych, grają w żołnierzy, w profesorów, w gości, nawet w małżeństwa i chrzciny; gdy podrosną, urządzają sobie często formalny teatr; na scenę wybierają jakie się da wolne miejsce, choćby na strychu lub na dziedzińcu, kurtyna robi się ze starego worka, czy płachty, a na widzach nawet dorosłych nie zbraknie nigdy. Tak też i starożytne ludy urządzały sobie widowiska w czasach przedhistorycznych jeszcze, chociaż nie straciliśmy wiele na tem, że nie doszły do nas szczegóły o przedstawianych wtedy i uważanych za arcydzieła. Helenowie posunęli się już dalej pod tym względem; zawdzięczamy im wszystko, co się odnosi do piękna; zemścili się już na Troi za porwanie im tego, co piękne, a w mowie swej nie mają innego wyrażenia na żadne przymioty, nie tylko estetyczne, ale i moralne, jak słowo: „piękne“. Grecy byli, jak obecnie francuzi, zawsze dziećmi, wiecznie młodymi; oni to podnieśli do znaczenia sztuki surowy genijusz natury, objawiający się w bachanalijach, podczas których, odurzeni winem i tańcem, śpiewali rozmaite pieśni i z twarzą, umazaną osadem winnym, zabawiali się rozmaitemi farsami i maskaradami. W ojczyźnie Sokratesa nauczono się przedstawiać życie w sztuce: grecka filozofija i ekonomija, jak zebrania i uroczystości ludowe, wszystko jednem słowem miało za cel użycie i zabawę. Rzeczy poważne mięszały się z żartem, jak wszędzie w pierwotnych czasach sztuki. Susarion wybierał za przedmiot same wesołe rzeczy, dla tego uważa go Le Sage za wynalazcę komedyi i farsy. Przedstawienia jego miały najmniej powodzenia na wsi, gdzie za wejście płacono figami i winem. Thespis, wynalazca tragedyi, przedstawiał same larwy, za co dostawał kozła; przedstawienia swoje dawał na wozie, podobnie do naszych trup wędrownych, które często grają pod gołem niebem, albo w jakiej szopie; w pewnem państewku niemieckiem świątynię Melpomeny i Talii urządzono w stodole, a gdy przedstawiano Zairę, przy słowach Lusignan'a:

„Gdzież jestem? wzrok mój grube pokryły ciemności!“

Jakiś żartowniś wśród widzów odpowiedział:

„Panie! jesteś w stodole dziedzica tej włości!“

U starożytnych nie wahano się przedstawiać na scenie wypadki codziennego życia i osoby znane i szanowane pod ich prawdziwemi nazwiskami, jak Solona i Peryklesa; odważono się nawet na przedstawienie „Trzydziestu tyranów“, za co wreszcie teatr zamknięto. Ateńczycy, odznaczający się żywą inteligencyją, przytem żądni śmiechu i zabaw, przepadali za teatrem, mianowicie za czasów Peryklesa, Alcybiadesa i Aspazyi. Perykles wydał tak wiele na teatr z kasy państwa, że wszczął wojnę peloponezką, ażeby wywinąć się od składania rachunków, a cała ta wojna mniej jeszcze kosztowała, aniżeli wystawienie trzech sztuk Sofoklesa. Ustanowiono specyjalną komisyję do oceny wartości sztuk i tylko uwieńczone komedyje lub tragedyje przedstawiane były; skarb państwa przeznaczony był tylko na teatr i grożono karą śmierci temu, ktoby się odważył zrobić propozycyję, żeby skarb łożył na koszta wojenne. „Teatra były pełne — pisze Justyn — ale plac manewrów był pusty, bo fundusz, przeznaczony na dowódców, zabierali teraz autorowie i aktorzy“. Arystofanes napisał 54 sztuki, z których jedenaście tylko doszło do nas. Plutarch porównywa go z Menandrem, przekładając tego ostatniego dla jego zacnego charakteru. Arystofanes wyszydzał Sokratesa i parodyjował tragedyje bohaterskie; prawie wszystkie jego sztuki mają tendencyję polityczną. Menander dawał komiczne obrazy obyczajów z życia mieszczańskiego i dramatyczne nowele. Arystofanes, urodzony w Atenach na 400 lat przed narodzeniem Chrystusa, żył w czasie wojny peloponezkiej, która mu dostarczyła wiele materyjału do satyry; dotykał też wiele osobistości w swoich sztukach, które wszystkie odznaczają się dowci-

pem i elegancyją stylu; był to prawdziwy komik, tak jak Homer — prawdziwy poeta. Platon mówi o pierwszym: „Gracyje, szukając naprózno właściwego dla siebie przybytku, obrały siedlisko w sercu Arystofanesa i już go nie opuściły“. Do greckich komików zaliczyć też należy Theofrasta, którego komedyje moralno-obyczajowe znamy zaledwie z wyjątków. Rzymianie zapalali swoje światło u greckiej pochodni, tak jak grecy prawdopodobnie brali wzory od egipcyjan i indyjan. Rzymianie byli przedewszystkiem wojownikami i kupcami, a także doskonałymi prawnikami; we wszystkiem innem okazali się tylko lichymi naśladowcami, chociaż mieli jedną własną, specyjalną komedyję, opartą na obyczajach rzymskich, nazwaną: „Comedia togata“ („Komedyja w todze“), czyli taką, w której aktorzy występowali w togach, a nie w *peplum*, jak u greków. Afranius odznaczył się jako komedyjopisarz za czasów Augusta, pozostał jednak nieznanym dla nas; wogóle rzymianie uważali teatr i sztuki greckie za zabawy, uwłaczające ich powadze i godności i szkodliwie oddziaływające na duch wojenny i surowość obyczajów, w czem się nie bardzo mylili. Kato podał przecież skargę na Murene za to, że go widział tańcującego. Komedyja rzymska znalazła jednak swych przedstawicieli, jak Livius, Andronicus z Tarentu, Lucylius, Novius i Eunius; nie stworzyli oni nic oryginalnego, ale byli pierwszymi tłumaczami greckich komedyi; po nich ukazał się Plantus, umbryjczyk, odznaczający się dowcipem w swoich komedyjach i słusznie nazwany być może pierwszym rzymskim komikiem, jakkolwiek ze 130 jego sztuk większość jest tylko naśladowaniem dramatów greckich. Terencyjusz, wyzwoleniec afrykański, przyjaciel Scypiona i Lentulusa, jest drugim z rzędu prawdziwym komikiem; w osiemnastym roku życia wsławił się już swoją „Andryją“, a „Enuch“ przyniósł mu 800 sestersów. Wogóle zbyt surowy i nie błyszczący oryginalnym talentem, Terencyjusz nie bardzo się podobał nawet swoim współobywatelom w Rzymie; sztuka chyliła się znów do upadku; greckie obyczaje i cały obcy świat przedstawiany w teatrze, nie mógł się podobać pospólstwu, o którego gust Edylowie bardzo dbać musieli. Roscius, pierwszy komik, popierany przez Cycerona i Aesopus, wielki tragik, nie mogli wystarczyć wymaganiom. W olbrzymim teatrze, mieszczącym 80,000 ludzi, łatwiej jeszcze można było widzieć, aniżeli słyszeć, tak jak w kościele świętego Piotra, gdzie kaznodzieja musi się posiłkować pewnym rodzajem trąby, aby módz być zrozumianym od ludu Ammianus pisze, że sprowadzano obce tancerki (wylicza ich koło trzech tysięcy) i utrzymywać je musiano, podczas gdy wydalano filozofów, mówców i nauczycieli różnego rodzaju. Justynian wyniósł na tron aktorkę z najgorszej kasty kobiet, Teodorę; była to prawdziwie pierwsza Dubarry; ale sztuka nie podniosła się przez to, a wśród ustawicznych walk i rozterek w łonie państwa i kościoła, upadła zupełnie, a z nią resztki mądrości greckiej, zagłuszone brzękiem broni, gwarem bachanalii i kłótliwemi rozprawami teologicznemi.

Demokritos— Weber.

Komedyja średniowieczna.

* Za Karola Wielkiego była już mowa o mimicznych przedstawieniach; pod panowaniem słabych Karlowingów wyszły surowe prawa kościelne przeciwko tak nazwanym „grajkom“, jak również zakaz przywdziewania ubiorów duchownych i klasztornych na scenie w farsach mimicznych, o których wszakże kronikarze nie dają żadnych obszerniejszych szczegółów. Tyle tylko wiemy, że owi „grajkowie“ nie cieszyli się równouprawnieniem, tak jak i aktorzy, aż do XVII wieku; i gdy kto zelżył aktora, najwyżej, jeżeli za karę kazano mu stanąć plecami do słońca, tak aby cień jego padał na ścianę i wtedy za całą satysfakcyję aktor miał prawo wytłuc pięściami ów cień swego prześladowcy na ścianie. Ówczesne przedstawienia były po prostu dziwacznymi monodramami.

z których żaden nie doszedł do nas. Przedstawiały one pojedyncze charaktery, wzięte z niższych warstw społecznych, t. j. pijaka, skąpca, cudzołożnice i t. p. Dziwną jest rzeczą, że ani arabowie, ani hebrajczycy nie mieli żadnych komedyi u siebie. Ludy wschodnie są widać na to za poważne i w Chinach i Japonii przedstawiają same groteski; genijusze, zwierzęta, smoki i inne potwory występują na scenę i mówią: kto ma odejść, podnosi nogę i idzie na bok, to znaczy, że odszedł; a kto wywija prętem trzymanym w ręku, to niby jedzie na koniu. W Turcyi żydzi są aktorami, a ich komizm ogranicza się na samych nieprzyzwoitych facecyjach. Forster widział w Otahaiti farsę, w której ojciec wypędza konkurenta córki, ta potem ucieka z domu, a po pewnym czasie wpada mały, nagi, niby nowo-narodzony chłopak i zaczyna biegać po scenie, za nim przybiega matka, owa zbiegła córka, chce zabrać malca, ale ten ciągle ucieka i wywija się jej tak zręcznie, że widzowie kładą się od śmiechu, co wzrusza nareszcie surowego ojca i przebacza wszystkim. Gdy duchowieństwo w średnich wiekach występowało ostro przeciw komedyjom i farsom, zamieniły się one w tak zwane „Misterye“, czyli przedstawienia z tematów biblijnych, w których ukazywali się święci, aniołowie, dyjabły, nawet sam Chrystus i Bóg Ojciec często najniedorzeczniej pomieszani. Na słynnem konsylijum w Konstancyi angielscy biskupi wydali wielką ucztę, po której przedstawiano komedyję, czyli misteryje, wyobrażające narodzenie Zbawiciela, przybycie trzech króli i rzeź niewiniątek, wszystko z nader kosztowną wystawą. Jakób, Józef i jego bracia byli także ulubionym tematem; w Strasburgu przedstawiano także wyjście izraelitów z Egiptu, cuda Mojżesza, wojsko Faraona i uciekających przed nim żydów; to wszystko z wielką okazałością, bo jak pisze kronika, wydano przeszło sto tysięcy guldenów na same kostyjumy. Anglikom przypisują pierwszy pomysł tych misteryj. Po nich nastąpiły sztuki, zwane „moralistyczne“, zdradzające już pewien plan, jak „Every man“ („Ktokolwiek, czyli przeciętny człowiek“), który zagrożony przez „Śmierć“, ucieka się do „Dobrego towarzystwa“, „Pokrewieństwa“ i „Bogactwa,“, ale to wszystko go zawodzi, więc zwraca się do „Dobrych uczynków“, te prowadzą go do swej siostry „Wiadomości, czyli poznania“, a ztamtąd do „Wyznania“ i „Pokuty“; wtedy ów człowiek słabnie; „Siła“, „Piękność“ i wszystkie „Zmysły“ porzucają go, tylko „Dobre uczynki“ zostają przy nim. Anioł zstępuje wreszcie z nieba, śpiewa „Requiem“, a „doktór“ na końcu mówi epilog. We Francyi za Karola VI wszedł w modę rodzaj amatorskich teatrów po domach zamożnych, w których młodzież w sztuczkach zwanych „Sotisses“ („głupstwa“) wyszydzała śmieszne wypadki, zaszłe w stolicy. Za panowania Franciszka I odznaczył się, jako poeta i aktor Pantalais, trąby ogłaszały początek widowiska, a na ten odgłos biegli wszyscy, nawet z kościoła, tak że raz, podczas kazania kościół nagle się wypróżnił na odgłos trąby, oburzeni księża przybiegli także do budy, w której się odbywały przedstawienia, krzycząc na Pantalais'go: „Kto wam pozwala trąbić podczas kazania?“ na co Pantalais odpowiedział: „A kto wam pozwala mieć kazanie wtedy, kiedy ja trąbię?“ W Niemczech w tym-że czasie powstali „Meistersänger'y. W roku 1204 przedstawiano w Rydze (podług kronikarza) „bardzo dobrze urządzoną sztukę, którą łacińczycy nazwali komedyją, a która miała na celu nauczenie poganów wiary chrześcijańskiej, ale gdy ludzie Gedeona zaczęli się bić z filistynami, poganie przypatrujący się, uciekli z obawy, aby się na nich nie skrupiło“. Rektor Brummer w roku 1572 wystawił „Historyję apostołów“, do której wchodziło 246 osób, a w Gebel przedstawiano „Historyję Saula“ przez Holzwart'a, w której występowało sto osób mówiących, a 500 niemych; nie uważano w tem nic dziwnego, że Pan Bóg egzaminował dzieci Ewy z katechizmu, po czem Abel dostał nagrodę, a Kain ośle uszy; ulubionem widowiskiem było „Stworzenie świata“,

w którem godny wzmianki jest następny dyjalog Adama ze Stwórcą:

Adam: „Dawno nad tem myślę, zkąd ja się wziąłem? Więc powiedz, Panie Boże, z czegoś mnie zrobił?“

Pan Bóg: „Nie ze złota, nie ze srebra, ni z żelaza, ni z ołowiu, ni cyny, ani też ze szkła, bobyś się zaraz stłukł, ani z marmuru, ani z kamienia, więc zgadnij sam z czego?“

Adam: „A to chyba z gnoju?“

Pan Bóg: „Zgadłeś, Adamie i masz ztąd tę korzyść, że jak cię dyjabeł weźmie na widły i zechce wyrzucić na gnój, to się rozśmiejesz szyderczo z jego złości i powiesz sobie: „Ej, gnój, to moja rzecz“.

Księża urządzali zwykle jakieś figle dla podniesienia nabożeństwa i wiary u ludu, ale nieraz im się nie powiodły, jak owemu kaznodziei, który polecił dziadkowi kościelnemu trzymać w zakrystyi gołębia i wypuścić go wtedy, gdy ksiądz przy kazaniu wezwie Ducha świętego, ale gdy przyszło do słów: „Duchu święty, zstąp ku wiernym...“ a ksiądz, zatrzymawszy się, spojrzał ku drzwiom zakrystyi, ukazał się w nich wystraszony dziadek i zawołał: „Proszę jegomości, tchórz się zakradł i porwał gołębia“. Warta wspomnienia jest także pantomina, jaką miasto Augsburg urządziło dla Karola V. Najprzód ukazał się człowiek z wypisanem na plecach nazwiskiem: „Reuchlin“ i rozsypał drzewo; po nim ukazał się „Erazmus“, który starał się te drwa pozbierać, ale nie mógł tego dokazać; aż zjawił się mnich i wysypawszy żarzące węgle na to drzewo, zapalił je; imię jego było: „Luter“; czwartym, jaki się ukazał, był cesarz; ten uderzał w ogień mieczem i berłem, ale płomienie jeszcze wyżej buchnęły; nareszcie nadszedł papież, który starał się ów ogień ugasić, ale w pomięszaniu zamiast wody, wylał flaszkę oleju, co zwiększyło pożar. Po czem wszystkie te maski pouciekały; naprózno ich szukano; sztuka skończyła się.

Komedyja nowoczesna.

* *Komedyja hiszpańska.*

Poważni hiszpanie mają może więcej komedyi, niżeli reszta Europy; nie są oni tak ckliwi, jak włosi, a komizm ich ma gruntowniejszą podstawę. Włosi mają około 4,000 komedyi, hiszpanie więcej jak 25,000. Obok płodności w tym rodzaju, hiszpanie odznaczają się prawdziwą oryginalnością i werwą. Twórcą komedyi hiszpańskiej jest Lopez de Vega, przed nim próby innych autorów składały się z nudnych rozpraw moralnych, albo prostej farsy. Podług Cerwantesa cały przyrząd dyrektora teatru przed Lop'em de Vega składał się z worka, zawierającego cztery kożuchy owczarskie, cztery brody, cztery peruki i cztery kije pasterskie. Niekiedy pośród tej Arkadyi ukazywał się dla urozmaicenia murzyn, waryjat, albo biskajski oślarz. Scena składała się z desek, wzniesionych cztery stopy nad ziemią i ze starej firanki, za którą mieścili się muzykanci, a raczej śpiewacy, bez gitary nawet śpiewający kilka romansów. Inkwizycyja i despotyzm Filipa II zabraniała ukazywania na scenie książąt, a sztuki nie mogły mieć żadnej tendencyi, jak tylko moralno-religijną. Lopez de Vega, urodzony w Madrycie, był prawdziwym genijuszem; żył on w tym samym czasie, co Cerwantes, Orowedo, Calderon i bracia Argensola. Napisał on 2,400 sztuk, które wszystkie były grane; ubóstwiano go i długo, gdy chciano najwięcej pochwalić jaką nową sztukę, mówiono: „To jest podobne do Lope'go“. Poeta ten żył spokojnie i swobodnie, w dobrych stosunkach z dworem i znakomitościami swego czasu i zebrał duży majątek, co się mało któremu poecie uda. Cerwantes'a ośm sztuk i rozgłos, jaki zyskał, dowodzi więcej jego szczęścia, niż talentu. Calderon stoi najbliżej Lope'go. Urodzony także w Madrycie, za młodu odbył kampaniję włoską i belgijską i został kawalerem orderu San Jago. Później przeszedł do stanu duchownego, ale jako ksiądz był zawsze jeszcze dworskim kome-

dyjopisarzem i poetą; umarł w roku 1687, zostawiwszy znaczny majątek, który zebrał, podobnie jak Lope, za swoje sztuki religijne; napisał 127 sztuk scenicznych, nie rachując pomniejszych utworów. Pod Burbonami zatarł się oryginalny narodowy charakter hiszpański w sztuce; cywilizacyja francuzka zajęła jego miejsce i dziś jeszcze zasilają się oni jedynie źródłami francuzkiemi i angielskiemi, gdy dawniej działo się przeciwnie.

* *Komedyja portugalska.*

Portugalczycy, przyrodni bracia hiszpanów, są pokornymi sługami kościoła i księży; nie mogą się też zdobyć na nic lepszego, jak arkadyjskie poezyje i sonety; trzęsienie ziemi w Lizbonie uważano tam za karę niebios, wskutek czego Pombal zrobił pytanie: „Dla czego więc nie zawaliła się ulica „wesołych cór?" Mają wszakże portugalczycy takiego Mirandę, Fereirę, Silwę i t. p., którzy tłomaczyli Plauta i Terencyjusza; bardziej jeszcze odznaczył się Pincente, którego Erazmus porównuje z Plautusem; umarł on w roku 1557. Godne pochwały są komedyje Antonia Joze, żyda, który przez wesołość i popularność przyciągał publiczność do teatru (od 1730 do 1740 roku), za co spalony został w ostatnim auto-da-fé w r. 1745. W Portugalii, podobnie jak we Włoszech, opera rozpowszechniła się z uszczerbkiem komedyi; wpływ Hiszpanii i piękna mowa kastylijska, rozpowszechniona między wyższą klasą w Portugalii, tak jak u nas francuzczyzna, przeszkadza rozwojowi literatury narodowej. W Portugalii role kobiet są często grywane przez młodych i pięknych kastratów i wielu cudzoziemców tracą czas i pieniądze z nimi, wzdychają i usychają z miłości, dopóki—nie dowiedzą się prawdy co do tych istot.

* *Komedyja włoska.*

We Włoszech, z odrodzeniem nauk, wzięto się do odszukiwania dzieł dawnych; Petrarka, Bergeryjusz i inni pisali komedyje, ale po łacinie, i te nie były nigdy drukowane, ani tłomaczone. Książęta d'Est kazali tłomaczyć i wystawiać sztuki Plauta i Terencyjusza; kardynał Bibiena napisał w roku 1490 swoją „Kassandrę", którą uważają za pierwszą komedyję włoską; papież Leon X słuchał z upodobaniem komików ze Sieny i szukał w tem rozproszenia smutnych myśli, jakie mu sprowadzały złe wieści o reformacyi. Śpiewak „Orlanda" napisał także pięć komedyi, które przez to jeszcze zajmują, że są dziełem Ariosta. Ojciec tego poety patrzył z niechęcią na gust literacki syna i łajał go zań ostro. Podczas jednej z takich scen, gdy Ariosto słuchał potoku nagannych słów rozgniewanego ojca, w pełnem poszanowania milczeniu, rzekł do niego brat: „Czemu nic ojcu nie odpowiesz na swoje tłomaczenie?" „Bo widzisz — odpowiedział Ariosto — właśnie potrzebny mi do mojej nowej sztuki wzór ojca rozgniewanego i łającego, zwróciłem więc całą uwagę na studyjowanie tego charakteru w naturze i zapomniałem o tłomaczeniu się". Ruzante wprowadzał (w roku 1530) różne dyjalekty włoskie na scenę, co się bardzo podobało. Aretino, Porto, Cechi, Grazini i t. p. pisali komedyje, które słusznie poszły w zapomnienie; Buonaroti napisał komedyję pod tytułem: „Grubijanie i pyszałki", która miała wiele wzięcia. Włoscy aktorzy roili się wtedy już po wszystkich stolicach, tak jak dziś jeszcze śpiewacy i baletniczki. Goldoni był reformatorem włoskiej sceny; jego „Donna di gerbo" była pierwszą sztuką podług reguł; wystawił ją w roku 1748; większem jeszcze powodzeniem cieszyły się jego „Przebiegłe wdówki", „Prawdziwy przyjaciel" i „Zamieniony chory". W r. 1761 udał się do Paryża, aby tam pracować dla włoskiej sceny; ale został także przytem nauczycielem języków u ciotek Ludwika XV z pensyją 4,000 liwrów na rok. Sztuki jego są więcej dramatyczne, niż komiczne; nie wywołują one śmiechu; niemniej można go nazwać włoskim Molierem. Najlepszą z jego sztuk jest „Le bourru bienfaisant" („Dobroczynny dziwak"), w któ-

rej odmalował J. J. Rousseau. Chiari stoi o wiele niżej od Goldoni'ego, jak również Bili i Sigurelli, którzy też pisali komedyje płaczliwe, czyli wzruszające; późniejszy od tych jest Fryderici, piemontczyk, najpoważniejszy z komików, ale także brakuje mu najpotrzebniejszej rzeczy — werwy komicznej: „Ten naród ma charakter komedyjancki" — mówili Rzymianie o Grekach; w powszych czasach da się to zastosować do Włochów; ale tylko farsy i maskarady znaleźć można u nich; francuzi, anglicy i niemcy mają poważniejszy komizm. Włosi uważają teatr jedynie jako zabawę, a nie jako szkołę życia i obyczajów; ci ludzie zmysłowi nie interesują się charakterem przedstawianych bohaterów; wzruszające obrazy z życia rodzinnego nudziłyby ich; lubią oni jedynie farsę, muzykę, śpiew i tańce; dziś jeszcze maskarady są tam na porządku dziennym. Arlekino i Kolumbino wyprawiają swoje odwieczne żarty; Leljo i Rozaura deklamują swoje miłosne tyrady, a przyprawianie rogów jest najulubieńszym tematem; włosi rozumieją tylko gwałtowne namiętności i wygodne użycie; obce są dla nich rozkosze duchowe, umysłu i serca; fantazyja i poezyja górują nad zapatrywaniem filozoficznem i głęboką satyrą; ale kto się chce bezmyślnie śmiać, może być zadowolony; sam się człowiek dziwi sobie, że się śmiać może z takich błazeństw, a jednak śmiać się musi.

Komedyja.

* *Komedyja z pomyłek.* Szkic z życia amerykańskiego.

Zdarzyłosię przed pięciu lub sześciu laty, że w hrabstwie Marypoza odkryto w pewnej miejscowości źródła nafty. Ogromne zyski, jakie kopalnie podobne przynoszą w Newadzie i w innych stanach, skłoniły zaraz kilku przedsiębiorców do zawiązania towarzystwa, z celem wyzyskiwania nowo-odkrytych źródeł. Sprowadzono rozmaite maszyny, pompy, dźwignie, drabiny, beczki i beczułki, świdry i kotły; pobudowano domy dla robotników, ochrzczono miejscowość *Struck Oil*, i, po niejakim czasie, w okolicy pustej i bezludnej, którą przed rokiem zamieszkiwały tylko kujoty, stanęła osada, złożona z kilkudziesięciu domów i zamieszkana przez kilkuset robotników.

W dwa lata później Struck Oil nazywało się już *Struck Oil city*. Jakoż było to już „city" w całem znaczeniu tego wyrazu. Proszę zauważyć, że mieszkał tu już szewc, krawiec, cieśla, kowal, rzeźnik i doktór francuz, który w swoim czasie we Francyi brody golił, ale zresztą człowiek „uczony" i nieszkodliwy, co już w amerykańskim doktorze znaczy bardzo wiele.

Doktór, jak się najczęściej zdarza po małych miasteczkach trzymał zarazem aptekę i pocztę; miał więc potrójną praktykę. Aptekarzem był równie nieszkodliwym, jak doktorem, albowiem w aptece jego można było dostać tylko dwóch lekarstw: syropu cukrowego i leroa. Cichy ten i łagodny staruszek mawiał zwykle swoim pacyjentom:

— Nie obawiajcie się nigdy moich lekarstw. Mam zwyczaj, że gdy choremu daję lekarstwo, sam zawsze zażywam taką samą dozę, bo rozumuję sobie, że jeśli ono mnie zdrowemu nie zaszkodzi, to nie zaszkodzi i choremu. Czy nieprawda?

— Prawda — odpowiadali zaspokojeni obywatele, którym nie przychodziło jakoś na myśl, że obowiązkiem doktora jest nietylko nie zaszkodzić choremu, ale pomódz.

Pan Dasonville—tak się nazywał doktór—wierzył jednak szczególniej w cudowne skutki leroa. Nieraz, na mityngach, zdejmował kapelusz z głowy i zwracając się do publiczności, mówił:

— Panowie i panie! przekonajcie się, co to jest leroa! Mam lat siedmdziesiąt; czterdzieści lat, jak zażywam codzień leroa i patrzcie: nie mam ani jednego siwego włosa na głowie.

Panie i panowie mogli znowu zauważyć, że doktór nie miał wprawdzie ani jednego siwego włosa, ale nie miał też żadnego, bo głowa jego była łysa, jak klosz lampy. Ale że uwagi podo-

bne w niczem nie przyczyniłyby się do wzrostu Struck Oil city, nie robiono więc ich wcale.

Tymczasem Struck Oil city rosło i rosło. Po upływie dwóch lat przeprowadzono do niego odnogę kolei żelaznej. Miasto już miało swoich urzędników wybieralnych. Doktór, którego lubiono powszechnie, został, jako przedstawiciel inteligencyi, sędzią; szewc, żyd polski, mister *Devis* (Dawid) szeryfem, to jest naczelnikiem policyi, która składała się z szeryfa i z nikogo więcej; pobudowano szkołę, której kierunek objęła umyślnie sprowadzona „School Ma'am" przedwieczna dziewica, mająca wieczną fluksyję; nakoniec stanął pierwszy hotel pod nazwą: United States Hotel.

„Business" ożywił się także niezmiernie. Wywóz nafty przynosił piękne zyski. Zauważono, że mister Devis kazał pobudować przed swoim składem wystawkę szklaną, podobną do tych, jakie zdobią sklepy szewckie w San-Francisko. Na następnym mityngu, obywatele złożyli publiczne podziękowanie panu Devis za tę „nową ozdobę miasta," na które mister Devis odpowiedział ze skromnością wielkiego obywatela: „*Thank you! thank you! Oj wej!*"

Gdzie jest sędzia i szeryf, tam bywają sprawy. Wymaga to pisaniny i papieru, zatem, na rogu Cojotes street i 1-szej, powstało „*stationery*", to jest skład papieru, w którym sprzedawano także dzienniki polityczne i karykatury, przedstawiające Granta w postaci chłopca dojącego krowę, która z kolei miała przedstawiać Stany Zjednoczone. Obowiązki szeryfa nie nakazywały mu wcale wzbraniać sprzedaży podobnych rycin, bo to do policyi nie należy.

Ale nie koniec jeszcze na tem. Miasto amerykańskie nie może żyć bez dziennika; po upływie więc roku drugiego, powstało pismo pod tytułem: „*Saturday Weekly Review*" (Przegląd Sobotni-Tygodniowy), liczące tylu prenumeratorów, ilu było mieszkańców w Struck Oil city. Redaktor tego dziennika był zarazem jego wydawcą, drukarzem, administratorem i roznosicielem. Ten ostatni obowiązek przychodził mu tem łatwiej, że, prócz tego, trzymał krowy i każdego rana musiał roznosić mleko po domach. Nie przeszkadzało mu to zresztą wcale rozpoczynać wstępnych artykułów politycznych od słów: „Gdyby nasz podły prezydent Stanów Zjednoczonych poszedł za radą, której udzieliliśmy mu w zeszłym numerze" i t. d.

Nie brakło więc, jak widzimy, niczego w błogosławionem Struck Oil city. Prócz tego, ponieważ górnicy, trudniący się wydobywaniem nafty, nie odznaczają się ani gwałtownością, ani grubemi obyczajami, cechującemi poszukiwaczy złota, było więc w mieście spokojnie. Nikt z nikim się nie pobił, o „*lynchu*" ani było słychać; życie płynęło spokojnie, jeden dzień był podobny do drugiego, jak dwie krople wody. Rankiem każdy zajmował się „*businessem*", wieczorem obywatele palili śmiecie na ulicach, i, jeśli nie było mityngu, szli spać, wiedząc, że jutro także będą palić śmiecie wieczorem.

Jedynym kłopotem szeryfa było to, że nie mógł oduczyć obywateli od strzelania z karabinów do dzikich gęsi, przelatujących wieczorami nad miastem. „Żeby to była jaka parszywa mieścina—mawiał szeryf—no, to nie mówię, ale w takiem wielkiem mieście pif! paf! pif! paf! to jest bardzo niepięknie."

Obywatele słuchali, kiwali głowami, odpowiadali „*o yes!*" ale gdy wieczorem na zarumienionem niebie pojawiły się białe i szare sznury, ciągnące z gór nad ocean, każdy zapominał o przyrzeczeniu, porywał karabin i strzelanina rozpoczynała się na dobre.

Pan Devis mógł wprawdzie zaprowadzić każdego winnego do sędziego, a sędzia mógł go ukarać pieniężnie; ale nie trzeba zapominać, że winni byli zarazem wrazie choroby pacyjentami doktora, a wrazie podarcia trzewików—gośćmi szeryfa; że zaś ręka rękę myje, więc ręka ręce nie robi krzywdy.

Było więc spokojnie w Struck Oil city, jak w niebie; nagle jednak skończyły się te piękne dni.

Grocernik zapłonął śmiertelną nienawiścią do grocerniczki, a grocerniczka do grocernika.

Tu potrzeba może objaśnić, co w Ameryce nazywa się *„grocery.“* Grocery tedy, czyli grocernia, jest-to sklep sprzedający wszystko. Można tam dostać mąki, kapeluszy, cygar, mioteł, guzików, ryżu, sardynek, koszul, słoniny, nasion, bluz, spodni, szkieł do lamp, siekier, sucharków, talerzy, papierowych kołnierzyków, suszonych ryb—słowem wszystkiego, czego człowiek może zapotrzebować.

Z początku była tylko jedna grocernia w Struck Oil city. Trzymał ją niemiec, imieniem Hans Kasche. Był to sobie flegmatyczny niemiec, rodem z Prus: miał lat trzydzieści pięć i wyłupiaste oczy; nie był otyły, ale dość zażywny; chodził zawsze bez surduta i fajki nigdy nie wypuszczał z zębów. Po angielsku umiał tyle, ile potrzeba było do *„businessu“*, zresztą ani w ząb. Handel jednak prowadził dobrze, tak że po roku mówiono już w Struck Oil city, że „był wart“ kilka tysięcy dolarów.

Nagle jednak pojawiła się druga grocernia. I, dziwna rzecz! Pierwszą trzymał niemiec, drugą założyła niemka. *Kunegunde und Eduard, Eduardund Kunegunde!* Zaraz tedy rozpoczęła się między obiema stronami wojna, rozpoczęła się od tego, że panna Neuman, czyli jak się samanazywała „Niumen, “dała na powitalny *„lunch“* placki pieczone, z mąki pomieszanej z sodą i ałunem. Byłaby tem zaszkodziła najwięcej samej sobie w opinii obywateli, gdyby nie to, iż sama utrzymywała i stawiała świadków, że ponieważ jej mąka nie była jeszcze rozpakowana, więc tę kupiła od Hansa Kasche. Wyszło więc na to, że Hansy Kasche jest zazdrośnik nikczemnik, który zaraz z początku chciał zgubić swoję rywalkę w opinii publicznej. Zresztą było do przewidzenia, że dwie grocernie będą rywalizować ze sobą, ale nikt nie przewidywał że rywalizacyja przejdzie w straszną nienawiść osobistą. Nienawiść ta posunęła się w krótce do tego stopnia, że Hans palił śmiecie tylko wedy, gdy wiatr wwiewał dym do sklepu jego przeciwniczki; przeciwniczka zaś nie nazywała inaczej Hansa, jak *„Doczmen“* (niemiec), co tenże poczytywał sobie za największą obelgę, Z początku mieszkańcy śmieli się z obojga, tembardziej, że żadne nie umiało po angielsku; powoli jednak, skutkiem codziennych stosunków z grocerniami, wytworzyły się w mieście dwie partyje, Hansistów i Neumanistów, które poczęły patrzeć na siebie krzywem okiem, co mogło zaszkodzić szczęściu i spokojności rzeczypospolitej Struck Oil city i sprowadzić groźne na przyszłość zawikłania.

Praktyczny polityk, mr. Devis, pragnął leczyć złe u źródła, więc starał się pogodzić niemkę z niemcem. Bywało nieraz, stanie na środku ulicy i mówi do nich ich rodowitym językiem:

— No! co się będziecie kłócić? Czyż-to nie u jednego szewca kupujecie trzewiki? Mam teraz takie, że w całem San-Francisco niema lepszych.

— Próżno chwalić trzewiki przed tym, który niedługo będzie bez butów chodził — przerywała kwaśno panna Neuman.

— Ja nie robię sobie kredytu nogami — odpowiada flegmatycznie Hans.

A trzeba było wiedzieć, że panna Neuman, chociaż niemka, miała istotnie piękne nogi; więc takie przycinki napełniały jej serce śmiertelnym gniewem.

W mieście dwie partyje poczęły już i na mityngach poruszać sprawę Hansa i panny Neuman; ponieważ jednak w Ameryce nikt w sprawie z kobietą nie znajdzie sprawiedliwości, większość więc przechyliła się na stronę panny Neuman.

Wkrótce Hans obejrzał się, że jego grocernia zaledwie mu się opłaca.

Ale i panna Neuman nie robiła zbyt świetnych interesów, bo znowu wszystkie kobiety z miasta trzymały stronę Hansa; zauważyły bowiem, że ich mężowie zbyt często robią sprawunki u pięknej niemki i za każdym sprawunkiem siedzą zadługo.

Gdy nikogo nie było w żadnym ze sklepów, Hans i panna Neuman stawali we drzwiach, jedno naprzeciw drugiego, rzucając sobie wzajem spojrzenia pełne zajadłości. Panna Neuman śpiewała wówczas sobie pod nosem na nutę *mein liber Augustin:*

— *Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen, Do—Doczmen—men!*

Pan Hans patrzył na jej nogi, potem na figurę, potem na twarz z takim wyrazem, z jakim by patrzył np. na zabitego przed miesiącem kujotę; potem, wybuchnąwszy piekielnym śmiechem, wykrzykiwał:

— *By God!*

Nienawiść w tym flegmatycznym człowieku doszła do tego stopnia, że gdy rano ukazał się przed drzwiami, a panny Neuman nie było, kręcił się, jakby mu czego brakło.

Dawno już miałyby miejsce między nimi pewne zajścia czynne, gdyby nie to, iż Hans był pewny przegranej w każdej urzędowej sprawie, a to tembardziej, że panna Neuman miała za sobą redaktora „*Saturday Weekly Review*“. Hans przekonał się o tem, gdy rozpuścił wieść, że panna Neuman nosi biust sztuczny. Było-to nawet prawdopodobne, bo w Ameryce zwyczaj to powszechny. Na następny tydzień jednak w „*Saturday Weekly Review*“ pojawił się piorunujący artykuł, w którym redaktor, mówiąc ogólnie o potwarzach „Doczmenów“, kończył zapewnieniem uroczystem, jako „dobrze poinformowany“, że biust pewnej spotwarzonej lady jest prawdziwy.

Odtąd pan Hans pijał corano czarną kawę zamiast białej, nie chciał bowiem brać już mleka od redaktora, ale zato panna Neuman brała stale dwie porcyje. Prócz tego, kazała sobie uszyć krawcowi suknię, ktorej forma stanika przekonała ostatecznie wszystkich, że Hans był potwarcą.

Hans, wobec chytrości niewieściej, uczuł się bezbronnym; a tymczasem niemka, stojąc przed sklepem każdego ranka, pośpiewywała coraz głośniej:

— *Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen, Do—Doczmen—men.*

— Co ja jej mogę zrobić? — myślał Hans. — Mam zatrutą pszenicę na szczury, choćbym też jej kury wytruł? Nie! Każą mi zapłacić? Ale wiem, co zrobię.

I wieczorem, panna Neuman, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, spostrzegła pana Hansa, znoszącego pęki dzikich słoneczników i układającego je, jakoby w ścieżkę pod zakratowanem okienkiem piwnicy,

— Ciekawam, co to będzie? — mówiła do siebie. — Pewno coś przeciw mnie!

A tymczasem ściemniło się. Pan Hans ułożył słoneczniki w dwie linije, tak, że środkiem tylko zostawała wolna droga do okienka piwnicy; potem wyniósł jakiś przedmiot okryty płótnem, obrócił się plecami do panny Neuman, płótno z tajemniczego przedmiotu zdjął, pokrył go liśćmi ze słoneczników, następnie zbliżył się do muru i począł kreślić na nim jakieś litery.

Panna Neuman umierała z ciekawości.

— Pewno na mnie coś pisze — myślała — ale niech tylko wszyscy spać będą, pójdę zobaczyć, choćbym miała skonać.

Hans, skończywszy robotę, poszedł na górę i wkrótce zagasił światło. Wówczas panna Neuman zarzuciła naprędce na siebie szlafroczek, wdziała pantofle na gołe nogi i dalejże przez ulicę. Doszedłszy do słoneczników, szła prosto ścieżką do okienka, chcąc przeczytać napis na ścianie. Nagle oczy jej wyszły na wierzch, rzuciła się wierzchnią połową ciała wstecz, a z ust wyrwało jej się boleśnie:

— Aj! aj!

Potem zaś rozpaczliwy okrzyk:

— Ratunku! ratunku!!!

Okno na górze podniosło się do góry.

— *Was ist das?* — rozległ się spokojnie głos Hansa. — *Was ist das?*

— Doczmenie przeklęty!—wrzeszczała panna — zamordowałeś mnie, zgubiłeś! Jutro będziesz wisiał. Ratunku! ratunku!

— Zaraz schodzę — rzekł Hans.

Jakoż po chwili ukazał się ze świecą w ręku. Spojrzał na pannę Neuman, która stała jak przygwożdżona do ziemi, poczem wziął się pod boki i począł się śmiać:

— Co to? To panna Neuman? Ha! ha! ha! Dobry wieczór pannie! Ha! ha! Zastawiłem żelaza na skunksy, a złapałem pannę! Pocoś panna przyszła zaglądać do mojej piwnicy? Umyślnie napisałem na ścianie ostrzeżenie, żeby się nie zbliżać. Krzycz teraz panna; niech się ludzie zlecą; niech wszyscy widzą, że nocami przychodzisz zaglądać do piwnicy Doczmena. *O mein Gott!* krzycz, ale postój sobie aż do rana. Dobranoc pannie, dobranoc!

Położenie panny Neuman było okropne. Krzyczeć? ludzie się zlecą—kompromitacyja! nie krzyczeć? stać całą noc złapana w żelaza, a na drugi dzień dać z siebie widowisko?.. A tu noga boli coraz bardziej... W głowie się jej zakręciło, gwiazdy pomieszały się ze sobą, księżyc ze złowrogą twarzą pana Hansa; zemdlała.

— *Herr je!*—wykrzyknął do siebie Hans—jeśli umrze, to jutro „zlynczują mnie bez sądu.“

I włosy powstały mu na głowie ze strachu.

Nie było rady. Hans poszukał czemprędzej klucza, aby otworzyć żelazo, ale nie łatwo było otworzyć, bo przeszkadzał mu szlafrok panny Neuman. Trzeba było go trochę zawinąć i... mimo całej nienawiści i strachu, Hans nie mógł się wstrzymać od rzucenia oczyma na piękne, jak gdyby marmurowe, nóżki swej nieprzyjaciółki, oświetlone blaskiem czerwonego miesiąca.

Mógłby ktoś powiedzieć, że w nienawiści jego była teraz litość. Otworzył prędko żelazo, a że panna nie poruszała się jeszcze, więc wziął ją na ręce i zaniósł prędko do jej mieszkania. Po drodze znów czuł litość. Potem wrócił do siebie i całą noc nie mógł oka zmrużyć.

Nazajutrz panna Neuman nie pojawiła się przed swoją grocernią w celu śpiewania: *Doczmen, Doczmen, Do—Doczmen.* Może się wstydziła, a może knuła w milczeniu zemstę.

Pokazało się, że knuła zemstę. Wieczorem tegoż jeszcze dnia, redaktor *S. W. Review* wyzwał Hansa na kułaki i, zaraz na początku walki, podbił mu oko. Hans jednak, przywiedziony do rozpaczy, zadał mu tyle straszliwych ciosów, że po krótkim, daremnym oporze, redaktor padł jak długi, wołając: „*enough! enough!*“ (dosyć! dosyć!)

Nie wiadomo jakim sposobem, bo nie przez Hansa, całe miasto dowiedziało się o wypadku nocnym panny Neuman. Po walce z redaktorem w sercu Hansa znowu zniknęła litość dla nieprzyjaciółki, a pozostała tylko nienawiść.

Hans przeczuwał, że go spotka jakiś niespodziany cios z nienawistnej ręki, jakoż niedługo nań czekał. Właściciele grocerni przylepiają często przed sklepami ogłoszenia o rozmaitych towarach, zatytułowane zwykle „*Notice.*“ Z drugiej strony trzeba wiedzieć, że grocernie sprzedają zwykle szynkom lód, bez którego żaden amerykanin nie pije ani whisky, ani piwa. Otóż nagle Hans zauważył, że przestano brać u niego lód zupełnie. Ogromne kawały, jakie sprowadził koleją, złożone w piwnicy, stopniały: szkody było na kilkanaście dolarów. Dlaczego? jak? co? Hans widział, że nawet jego stronnicy brali codziennie lód u panny Neuman; nie rozumiał więc co się to znaczy, tem mniej, że się z żadnym szynkarzem nie pogniewał.

Postanowił tę rzecz wyjaśnić.

— Dlaczego nie bierzecie odemnie lodu?—spytał łamaną angielszczyzną szynkarza Petersa, który właśnie przechodził koło jego sklepu.

— Bo go nie trzymacie.

— Jakto nie trzymam?

— No, bo ja wiem.

— *Aber* ja trzymam lód.

— A to co?—rzekł szynkarz, ukazując palcem na ogłoszenie przylepione na domu.

Hans spojrzał i zzieleniał ze złości. W jego ogłoszeniu ktoś w wyrazie ,,*Notice*“ wydrapał *t* ze środka, skutkiem czego z ,,*Notice*“ zrobiło się ,,*No ice*“, co po angielsku znaczy: niema lodu.

— *Donnerwetter!* — wykrzyknął Hans i cały siny i drżący wpadł do sklepu panny Neuman.

— To jest nikczemność! — krzyczał zapieniony. — Czemuś mi panna wydrapała literę ze środka?

— Com panu wydrapała ze środka? — spytała zgłupia-frant panna Neuman.

— Literę mówię: *t*, mówię! Wydrapałaś mi panna *t! Aber goddam!* to nie może być dłużej. Panna mi musisz zapłacić za lód! *Goddam! goddam!*

I straciwszy zwykłą zimną krew, począł wrzeszczeć jak opętany; na to panna Neuman w krzyk: ludzi się nazlatywało:

— Ratujcie! — wołała panna Neuman. — Doczmen zwaryjował! Mówi, żem mu coś wydrapała ze środka, a ja mu nic nie wydrapałam. Com mu miała wydrapać? nic nie wydrapałam. O! na Boga! wydrapałabym mu oczy, żebym mogła, ale nic więcej. Ja biedna kobieta, sama! On mnie tu zabije, zamorduje!

Tak krzycząc, zalała się rzewnemi łzami. Amerykanie nie zrozumieli wprawdzie o co chodzi, ale amerykanie nie znoszą łez kobiecych, więc niemca za łeb i za drzwi. Chciał się opierać: gdzietam! wyleciał jak z procy, przeleciał przez ulicę, wleciał we własne drzwi i upadł jak długi.

W tydzień potem, nad sklepem jego wisiał ogromny, malowniczy szyld. Szyld przedstawiał małpę, ubraną w pasiastą sukienkę, biały fartuszek z naramiennikami: słowem zupełnie jak panna Neuman. Pod spodem stał napis wielkiemi żółtemi literami:

„Grocernia pod małpą.“

Ludzi naschodziło się oglądać. Śmiechy wywabiły pannę Neuman przede drzwi. Wyszła spojrzała, zbladła, ale nie straciwszy przytomności, zawołała zaraz:

— Grocernia pod małpą? Nic dziwnego, bo pan Kasche mieszka nad grocernią. Ha!

Cios jednak trafił ją w serce. W południe słyszała, jak tłumy dzieci, przechodząc koło sklepów ze szkoły, zatrzymywały się przed szyldem, wołając:

— *O! that's miss Neuman! Good evening miss Neuman!*

Tego było zanadto. Wieczorem, gdy przyszedł do niej redaktor, rzekła mu:

— Ta małpa, to ja! wiem, że ja, ale nie daruję swego. Musi on zdjąć i zlizać tę małpę własnym językiem przy mnie.

— Co panna chcesz robić?

— Idę zaraz do sędziego.

— Jakto zaraz?

— Jutro.

Rankiem wyszła i zbliżywszy się do Hansa, rzekła:

— Słuchaj, panie doczmenie! wiem, że ta małpa, to ja, ale pójdź-no ze mną do sędziego. Zobaczymy, co on na to powie.

— Powie, że wolno mi malować nad moim sklepem, co mi się podoba.

— Zobaczymy to zaraz.

Panna Neuman ledwo mogła oddychać.

— A zkąd panna wie, że ta małpa to panna?

— Sumienie mi to mówi. Pójdź, pójdź do sędziego, a nie, to cię szeryf w kajdanach zaprowadzi.

— Dobrze, pójdę — rzekł Hans, pewny wygranej.

Poprzymykali sklepy i poszli, wymyślając sobie po drodze. Dopiero przy samych drzwiach sędziego Dasonvilla przypomnieli sobie, że oboje nie umieją dość po angielsku, aby sprawę wytłumaczyć. Co tu robić? Ot szeryf, jako żyd polski, umie i po niemiecku i po angielsku. Dalejże do szeryfa.

Ale szeryf siedział właśnie na wozie i zabierał się do wyjazdu.

— Idźcie do *devil!* — krzyknął prędko. — Całe miasto przez was niespokojne! Chodzicie w jednych trzewikach po całych latach! Ja jadę po „*lumber.*“ *Good bye!*

I pojechał.

Hans wziął się pod boki.

— Musisz panna czekać do jutra — rzekł flegmatycznie.

— Ja mam czekać? Pierwej umrę. Chyba że zdejmiesz pan małpę.

— Nie zdejmę małpy.

— To będziesz pan wisiał! Będziesz wisiał, Doczmenie! Obejdzie się i bez szeryfa. Sędzia i tak wie, o co nam chodzi.

— A to pójdźmy i bez szeryfa - rzekł niemiec.

Panna Neuman myliła się jednak. Jeden tylko sędzia w całem mieście nie wiedział ani słowa o ich kłótniach. Bogu ducha winien, staruszek przyrządzał swoje leroa i zdawało mu się, że świat zbawia.

Przyjął ich, jak zwykle przyjmował każdego, z dobrocią i grzecznie:

— Pokażcie języki, moje dzieci!..—rzekł.— Zapiszę wam tu zaraz...

Oboje zaczęli machać rękoma na znak, że nie chcą lekarstw. Panna Neuman powtarzała:

— Nie tego potrzeba, nie tego!

— Więc czego?

Gadali jedno przez drugie. Co Hans słowo, to panna dziesięć. Nareszcie niemka wpadła na koncept pokazać na serce, na znak, że je pan Hans przebił siedmioma mieczami.

— Rozumiem! rozumiem teraz! — rzekł doktór.

Poczem otworzył książkę i jął pisać. Spytał Hansa ile ma lat? — Trzydzieści sześć. Spytał panny—nie pamiętała dokładnie: tak, coś około dwudziestu pięciu. *All right!* Jakie są ich imiona?—Hans - Lora. *All right!* Czem się trudnią? — mają grocernie. *All right!* Potem jeszcze jakieś pytania. Nie zrozumieli oboje, ale odpowiadali *yes.* Doktór kiwnął głową. Wszystko skończone.

Skończywszy pisać, wstał i nagle, ku wielkiemu zdziwieniu Lory, objął ją wpół i pocałował.

Wzięła to sobie za dobrą wróżbę i pełna różowych nadziei, poszła do domu.

Po drodze powiada do Hansa:

— Ja panu pokażę.

— Pokażesz panna komu innemu!—odparł spokojnie niemiec.

Nazajutrz rano przyszedł szeryf przed sklepy. Oboje stali przede drzwiami. Hans pykał fajkę, panna śpiewała:

— *Doczmen, Doczmen, Do -- Doczmen, Do — Doczmen - men.*

— Chcecie iść do sędziego? —spytał szeryf.

— Jużeśmy byli.

— No i co?

— Mój szeryfku! mój panie Devisku! — zawołała panna—pójdźcie się dowiedzieć. Potrzebuję właśnie trzewików. A przemówcie tam za mną słówko do sędziego. Widzicie, ja biedna dziewczyna... sama...

Szeryf poszedł i w kwandrans wrócił. Ale niewiadomo dla czego wrócił otoczony tłumem ludzi.

— No co? no jak? — poczęli wypytywać oboje.

— Wsistko dobrze, oh!—rzekł szeryf.

— No, co sędzia zrobił?

— Ny? co miał złego zrobić? On was pożenił.

— Pożenił?!!!

— Albo to się ludzie nie żenią?

Żeby piorun nagle trzasł, Hans i panna Neuman nie przeraziliby się do tego stopnia. Hans wytrzeszczył oczy, otworzył usta, wywiesił język i spoglądał jak głupi na pannę Neuman, a panna Neuman wytrzeszczyła oczy, otworzyła usta, wywiesiła język i spoglądała jak głupia na pana Hansa. Osłupieli, skamienieli. Potem oboje w krzyk.

— Ja mam być jego żoną!?

— Ja mam być jej mężem!?

— Gwałtu! gwałtu! Nigdy! Zaraz do rozwodu! Ja nie chcę!

— Nie, to ja nie chcę!

— Pierwej umrzeć! gwałtu! Rozwód, rozwód, do rozwodu! Co to się dzieje!

— Moi kochani — rzekł spokojnie szeryf— co tu pomoże krzyk?.. Sędzia daje ślub, ale sę-

dzia nie daje rozwodu. Na co krzyczeć? Czy to wy milijonerzy ze San-Francisco, żebyście brali rozwód? Czy wy nie wiecie, co to kosztuje? Aj! co tu krzyczeć? Mam piękne trzewiki dziecinne; tanio sprzedaję! *Good bye!*

To rzekłszy, odszedł. Ludzie, śmiejąc się, porozchodzili się także; nowożeńcy pozostali sami.

— To ten francuz — wykrzyknęła panna mężatka — naumyślnie nam to zrobił, bośmy niemcy.

— *Richtig* - odpowiedział Hans.

— Ale pójdziemy do rozwodu!

— Ja pierwszy! pannaś mi wydrapała *t* ze środka!

— Nie! ja pierwsza! paneś mnie w żelaza złapał!

— Ja panny nie chcę.

— Ja pana nie cierpię.

Porozchodzili się i pozamykali sklepy. Ona siedziała u siebie, rozmyślając cały dzień, on u siebie. Przyszła noc. Noc przynosi spokój. Oboje jednak nie mogli myśleć o śnie. Położyli się, ale oczy im się nie kleiły. On myślał: „Tam śpi moja żona.“ Ona: „Tam śpi mój mąż!“ I dziwne jakieś uczucia rodziły im się w sercach. Była to nienawiść, gniew w połączeniu z poczuciem samotności. Prócz tego pan Hans myślał o swojej małpie nad sklepem. Jak ją tu trzymać, kiedy to teraz karykatura jego żony? I wydało mu się, że zrobił bardzo brzydką rzecz, kazawszy wymalować tę małpę. Ale znowu ta panna Neuman! Przecie on jej nienawidzi. To przez nią lód jego stopniał. On ją przecie złapał po księżycu w żelaza. Tu znowu na myśl przyszły mu owe kształty, widziane przy blasku księżyca. „No, co prawda, to ona tęga dziewczyna (*myślał*). Ale ona mnie nie cierpi i ja jej.“ Oto położenie! Ach! *Herr Gott!* Ożenił się? I z kim? z panną Neuman! A tu rozwód tyle kosztuje! cała grocernia nie starczy!

— Ja jestem żoną tego Doczmena—mówiła sobie panna Neuman. — Ja już nie panna... t. j. chciałam powiedzieć: panna, ale poszłam za mąż! Za kogo? Za Kaschego, który mnie złapał w żelaza. Prawda i to... że wziął mnie wpół i odniósł na górę. A jaki mocny! Ot! tak sobie wziął mnie wpół... Co to jest? tu jakiś szelest?

Szelestu nie było żadnego, ale panna Neuman poczęła się bać, choć poprzednio nigdy się nie bała.

— Gdyby on jednak ośmielił się teraz... Boże.—Potem jednak dodała głosem, w którym brzmiała dziwna jakaś nuta rozczarowania...

-- Ale on się nie ośmieli. On...

Z tem wszystkiem bojaźń jej wzmagała się. „To tak zawsze kobiecie samej! myślała dalej. Gdyby tu był jaki mężczyzna, byłoby bezpieczniej. Słyszałam o jakichś zabójstwach w okolicy (o zabójstwach panna Neuman nie słyszała). Przysięgam, że mnie tu kiedy zabiją. Ach, ten Kasche! ten Kasche! zamknął mi drogę. Trzeba jednak naradzić się o rozwodzie.“

Tak myśląc, przewracała się bezsennie po szerokiem amerykańskiem łożu i istotnie czuła się bardzo samotną. Nagle zerwała się znowu. Tym razem przestrach jej miał powód rzeczysty. W ciszy nocnej słychać było wyraźne stukanie młotka.

— Jezus!—krzyknęła panna— dobierają się do mojej grocerni!

To rzekłszy, wyskoczyła z łóżka i pobiegła do okna, ale spojrzawszy w nie, uspokoiła się zaraz. Przy świetle księżyca widać było drabinę, a na niej okrągłe białe kształty Hansa, odbijającego młotkiem gwoździe, podtrzymujące szyld z małpą.

Panna Neuman otworzyła zcicha okno.

— Jednak zdejmuje małpę, to poczciwie z jego strony!—pomyślała.

I czuła nagle, jakby jej coś topniało koło serca.

Hans wyciągnął powoli gwoździe. Blacha z brzękiem upadła na ziemię: wówczas zlazł, odbił ramy, zwinął blachę w trąbkę w żylastych rękach i począł odstawiać drabinę.

Panna śledziła go oczyma... Noc była cicha, ciepła...

— Panie Hans — szepnęła nagle dziewica.

— To panna nie śpi?—odszeptał równie cicho Hans.

— Nie! dobry wieczór panu!

— Dobry wieczór pannie.

— Co pan robi?

— Zdejmuję małpę.

— Dziękuję panu, panie Hans.

Chwila milczenia.

— Panie Hans!—zaszemrał znowu głos panieński.

— Co? panno Loro.

— Musimy naradzić się o rozwodzie.

— Tak, panno Loro.

— Jutro?

— Jutro.

Chwila milczenia, księżyc się śmieje, psy nie szczekają.

— Panie Hans!

— Co? panno Loro.

— Bo mnieby pilno wziąć ten rozwód...

Głos panny brzmiał melancholicznie...

— I mnie, panno Loro!

Głos Hansa był smutny.

— Bo to, widzi pan, żeby nie zwłóczyć...

— Najlepiej nie zwłóczyć.

— Imby się prędzej naradzić, temby lepiej.

— Tem lepiej, panno Loro.

— To możemy się zaraz naradzić...

— Jeśli panna pozwoli...

— To pan przyjdzie do mnie...

— Tylko się ubiorę.

— Nie trzeba ceremonii.

Drzwi na dole otworzyły się, pan Hans znikł w ciemnościach, a po chwili znalazł się w panieńskim pokoiku cichym, ciepłym, schludnym. Panna Lora miała biały szlafroczek i była zachwycającą.

— Słucham panny—rzekł Hans złamanym, miękkim głosem.

— Ale bo to widzi pan, jabym bardzo chciała wziąć rozwód, ale... boję się, żeby nas kto z ulicy nie zobaczył.

— Wszak ciemno w oknach...—rzekł Hans.

— Ach! prawda!—odparła panna...

Wówczas to zaczęła się narada o rozwodzie, która już do opowiadania nie należy.

Spokój powrócił do Struck Oil city.

Henryk Sienkiewicz. (p. t. I s. 29).

* *Komedyja w podróży.* (Ustęp z życia ś. p. chirurga filozofii).

Było to w zimie roku Pańskiego 185...

W ciemnej i niegrzeszącej zbytkiem czystości pasażerskiej izbie warszawskiego pocztamtu, o godzinie szóstej wieczorem, zebrało się gronko podróżnych, podążających do Lublina. Opłaciwszy bilety, odważywszy rzeczy, opatrzywszy trynkgeldami wyciągnięte dłonie panów wagmajstrów, pakmajstrów, stempelmajstrów i nie wiem już, jakich tam majstrów, obskakujących pasażerów w chwili ich odjazdu, jak robactwo leśne podczas upałów... podróżni, na sygnał trąbki pocztowej, zabrawszy swoje manatki, sadowili się zwolna w tak zwanej podówczas steinkelerce.

Jeżeli, miły czytelniku, nie znasz podróży do Lublina ówczesnemi karetami pocztowemi, winszuję ci serdecznie, ale i żałuję cię zarazem; winszuję dla tego, że może w buzi więcej dziś zębów liczysz, a tułów twój o jedno lub dwa żeberka jest bogatszym, nie mniej jednak żałować cię nie przestanę, bo podróż kuryjerkami po lubelskim trakcie miała w sobie tyle uroku, tyle rozmaitości i tyle pierwotnej poezyi, przypominającej błogie czasy pokrytej już pleśnią przeszłości, iż wrażeń tego rodzaju postępowa dziś para dostarczyć ci nie jest już w stanie.

Ludzie, podróżujący kuryjerkami, byli, jak owa rodzina Noego, w jednej zebrana arce; nieświadomi przyszłości, jak Noe, powierzali oni swe losy naprzód Bogu, a potem (już nie jak Noe) pocztylijonowi, od którego szlachetności i trzeźwości zależało: raz tylko, albo więcej razy przewrócić, jeden lub więcej słupów wiorstowych obalić, dziesięć lub więcej razy stuknąć o kamień, złamać dyszel na dobre, albo go tyl-

ko ukręcić, wreszcie wybić ci batem jedno tylko oko, albo obydwa.

Wedle słów Pisma świętego pasażerowie lubelscy nie wiedzieli ani dnia, ani godziny, w której przed sądem bożym... chciałem powiedzieć przed poczthalteryją w Lublinie, stanąć im będzie dano. Więc mogła to być tak dobrze siódma rano, jak siódma wieczorem, dwunasta w południe, jak dwunasta w nocy; na czasie nie zależało wtedy tyle, bo jakoś ludziskom nie tak było pilno witać się, żegnać, kłócić, kochać, okpiwać, zbogacać, rujnować i... umierać. Kochanka czekała Adonisa swego cierpliwie, nie wyglądając telegramów, o których się wtedy nikomu jeszcze nie śniło; żona nie obawiała się wcześniejszego lub późniejszego przyjazdu męża i nie szukała w niespokojności swej pociechy u szczerych przyjaciół domu; wierzycielom na prędszej lub późniejszej wypłacie nie tyle zależało; chorzy po parę dni i dłużej zwykli się byli namyślać, nim się nareszcie na rozstanie z tym światem zdecydowali... i szło to wszystko tak jakoś od biedy. Numa doczekała się swego Pompilijusza, Helena... Menelaja... Mosiek... jaśnie wielmożnego dziedzica, wujaszek... swego zdesperowanego sukcesora, a nikomu nie przychodziło wtedy na myśl, aby kiedyś mogło się ludziom naraz tak pilno zrobić, iżby pociąg osobowy, biegnący sześć mil na godzinę, miał już być dla nich za wolnym i żeby aż nocnemi kuryjerowemi cugami przerzucano ich, jako piłki z miejsca na miejsce.

Otóż... w owej to błogiej epoce usadowiło się w kuryjerce trzech podróżnych. Jeden z nich pękaty, o potężnie sterczącym brzuchu, wysokiego czoła, któremu łysina i trochę srebrnego włosa blasku jeszcze dodawały, był doktorem X., magistrem medycyny, chirurgii i akuszeryi; drugi szczupły, ruchliwy, o gęstej czuprynie i świecących, jak u kota, ślipiętach, był adwokatem Y., podobno magistrem obojga, czy też więcej praw; trzeci średniej tuszy, surowego wyrazu twarzy, był znany z wesołości kapelan Z. Wszyscy trzej przyjaciele, zaopatrzeni w sute kożuchy, spadające im po same pięty, wracali z wycieczki do Warszawy, a wracali różowi, purpurowi i pod dobrą datą, bo po wyśmienitym obiedzie u *Marćgo*.

Usadowiwszy się w trzech rogach frontowego przedziału kuryjerki i zrobiwszy po staropolsku znak krzyża świętego, podróżni nasi oczekiwali ruszenia karety z miejsca, gdy nagle przez otwarte drzwiczki wsunął się czwarty pasażer, a był nim... pan August Wilkoński.

Któż nie znał wówczas nieocenionego chirurga filozofii?... Z „Ramotek" znali go wszyscy, bo dziwnym zbiegiem okoliczności, zacofane ówczesne społeczeństwo, nieświadome kolei, telegrafów, akcyj, dywidend, kursów giełdowych i t. p. mądrości, zajmowało się w prostocie ducha czytaniem wszystkiego, co wychodziło w kraju, zwłaszcza też humorystyki, w której pan August był królem. Z „Ramotek" więc znali go wszyscy, zarówno pałaców i dworów, jak i skromnych futorów mieszkańcy; ale było i takich niemało, co go z osoby znali, a w ich liczbie mieścił się i nasz doktór, który całe życie tłukąc się po wsiach, miał raz sposobność widzenia pana Augusta u któregoś z jego umierających koligatów. Pan August, skupiony wówczas widokiem konającego krewniaka, postaci doktora nie zauważył; ale Eskulap, którego śmierć pacyjenta nie wzruszała znów tak dalece (zwłaszcza, że honoraryjum miał już w kieszeni), skorzystał z czasu, by się dobrze przyjrzeć sławnemu chirurgowi filozofii, którego z pism znał już dokładnie.

Ledwie się więc pan August zjawił w karecie, doktór skinął na towarzyszów swoich, nakazując im milczenie i milcząc też, ruszyli wszyscy czterej z miejsca, skacząc zahamowaną karetą po szczerbatym bruku Bednarskiej ulicy, przez którą wtedy w braku dzisiejszego Zjazdu, spuszczać się było trzeba na Pragę. Podróżni nasi przebyli most łyżwowy i wytrzęsieni, jak po paroksyzmie febry, stanęli nareszcie przed rogatkami moskiewskiemi, gdzie się wizowanie paszportów odbyć miało.

Wilkońskiemu zabłysły oczy ciekawością dowiedzenia się, z kim jedzie... pobiegł więc pierwszy do kancelaryi komisarza, by być obecnym przy składaniu i odbiorze pasportów. Zmiarkował to doktór, w dyjagnozie biegły i wydobywszy swój pasport na dworze, oddał go adwokatowi, pasport adwokata wsunął księdzu, a sam, pochwyciwszy pasport księży i zakasawszy spodni po nad cholewy, rzekł do zdziwionych:

— Wiecie wy, kto z nami jedzie?...

— Kto?... kto?—zapytali z niejakiem przerażeniem.

— Wilkoński—szepnął uroczyście.

— Wilkoński?...—powtórzyli zdziwieni.

— Tak, tak, to on sam, w swojej własnej osobie, poznałem go zaraz, choć go tylko raz jeden widziałem. Otóż uprzedzam was, że ma to być bicz boży na doktorów; pewno zechce ze mnie, a może i z was także zakpić, żeby z nas wzorki do jakiej ramotki zebrać; miarkuję to z pośpiechu, z jakim do kancelaryi podążył.

— Ale to byłoby okropne!—rzekli adwokat z kapelanem—na to pozwolić nie można.

— Jakżeż temu zapobiedz? — zauważył doktór — wyciągnie was na słówka, obejrzy, pochwyci śmieszne strony i żywcem potem opisze.

— A niech-że Bóg broni!—mruczał kauzyperda — jabym się przed kratkami pokazać nie mógł.

— No, ale niema na to sposobu? — mówił kapelan.

— Otóż jest sposób!—zawołał doktór—ten właśnie, którego użyć zamierzam. Zamienimy role i zamiast on nas, my jego w pole wyprowadzimy.

— Wybornie! wybornie! — zawołali, chwytając się za ręce.

— Ty więc, kapelanie, masz jego paszport i będziesz adwokatem, ty, mecenasie, doktorem, a ja na dziś księdzem... Dalej za mną! tylko seryjo i śmiało, żeby się z niczem nie zdradzić.

I po tych słowach ruszyli wszyscy trzej do kancelaryi.

Wizowanie paszportów odbyło się z całą ścisłością, znamionującą ówczesnych komisarzy rogatkowych; wiza hotelu i magistratu została należycie obejrzaną, numery do kontroli wciągnięte, stempel i znak wodny pod światło skonfrontowane, podpisy i pieczęcie policyi skonstatowane, daty obydwóch stylów sprawdzone; słowem pan komisarz, pojmując ważność swego stanowiska i poruczonej sobie czynności, nie spuścił z oka najmniejszego szczegółu, zapomniawszy tylko spojrzeć na rysopis i porównać go z osobami pasażerów, co naturalnie za rzecz najpodrzędniejszą uważał. Panu Augustowi, jako najpierw przybyłemu, paszport w milczeniu oddanym został, zaczem komisarz zawołał:

— Doktór X...

— Jestem—odrzekł adwokat, przysuwając się poważnie i odbierając paszport, z rysopisem jak pięść do nosa podobnym.

— Adwokat Y...

— Ten sam — zawołał kapelan z surowością, cechującą ludzi, dla których litera prawa jest ewangeliją.

— Jegomości dobrodzieja długo szukać nie trzeba—zakończył komisarz, wstając—po brzuszku i w piekle bym go poznał... Bodajto zawód duchowny!.. nie tylko on duszy, ale i ciału służy. A nie masz dobrodziej tabaki? bo to wy, księża, miewacie wyborne mieszanki.

— Owszem, owszem, panie komisarzu—odrzekł doktór, tocząc się z rozwartą potężną tabakierką—prawdziwa albanka z francuzką, istny specyjał... Tyle też to tylko naszej uciechy, co człowiek nosem użyje.

— Ho, ho!... *Reverendissime!*—wtrącił pan August, zagłębiając wraz z komisarzem dwa palce w tabakierze — już to tam w Warszawie nie sam nosek używał... Z jegomościnych oczek, a bardziej jeszcze z czuprynki... widać, że i gardziołko nie próżnowało.

— Sprawiedliwie, bardzo sprawiedliwie — zauważył komisarz — zwłaszcza, gdy się jest w towarzystwie, bo panowie przyjechaliście razem, o ile sobie przypominam.

— A razem, razem — odrzekli trzej towarzysze.

— Doktór, ksiądz i adwokat — rzekł pan August—wyborna trójca!.. to wszystko, czego człowiekowi trzeba w ostatniej godzinie: jeden paszport na drogę wieczności podpisze, drugi na nią da krzyżyk, a trzeci postępowanie spadkowe ogłosi.

— Ha, ha!—roześmiał się komisarz—sprawiedliwie, bardzo sprawiedliwie!

— Żart na bok—dodał pan August, widząc, że strony interesowane nie bardzo wesołość komisarza podzielały — winszuję sobie tej miłej kompanii, tem bardziej, że dziś już nawet jechać nie miałem: czułem się jakoś nie dobrze; ale teraz w tak zacnym komplecie już się niczego nie boję.

Wtem na dworze ozwał się sygnał trąbki pocztowej.

— Panowie, proszę siadać!—zagrzmiał we drzwiach konduktor.

— No, jedźcież panowie z Bogiem! – rzekł komisarz, żegnając się z Wilkońskim. — Niech pan doktór pilnuje tego pana w drodze, w razie gdyby mu się gorzej zrobiło—mówił, ściskając ręce adwokata.—Żegnam pana adwokata—dodał, potrząsając dłonią księdza. — No, a ty, jegomościuniu—zakonkludował, klepiąc doktora po brzuchu—daj-no jeszcze albanki z francuzką... wyborna! wyśmienita!... Już to wy, księża artyści, smakosze na nosy! Szczęśliwej drogi!

I kuryjerka ruszyła ku Miłośnie, skrzypiąc po śniegu.

Pierwszych zarogatkowych wiorst kilka pasażerowie nasi odbyli w milczeniu; porozrzucane tu i owdzie domki i zajazdy przy szosie, od czasu do czasu przejeżdżające bryki, fury z sianem lub drzewem i taradajki okolicznych kolonistów, zajmowały dostatecznie uwagę podróżnych, którym na trakcie lubelskim, zwłaszcza w promieniu kilkumilowym za Warszawą, wybredzać bardzo nie wolno.

Ktoby z nieświadomych czytelników próbował kiedy wycieczki do *Miłosny*, w nadziei wyniesienia ztamtąd arkadyjskich jakich wrażeń, gruboby się zaprawdę omylił. Ludziska przez ironię nadali tej posępnej, dzikiej, strojnej w żółte piachy i szare zarośla okolicy, tak uroczą, tak obiecującą nazwę. Gotowiśmy solennie zaręczyć, że najczulsza para kochanków, skazana na przebycie miodowych miesięcy *w Miłosny*, nie tylko miłość, ale i życie by sobie zbrzydziła. Może tam kiedyś tulił szary niedźwiedź kochankę swą do piersi... może wilczysko zatapiało wzrok ognisty we wdzięki swej połowicy... na to zgoda! Ale ludzi tam czeka... zdziczenie, hysteryja, mizantropija, hypokondryja, a już w najszczęśliwszym razie *spleen* tylko.

Wracając się do naszych podróżnych, wyglądali oni przez okno karetki milcząco... bezwiednie... bezmyślnie nawet, a nikt pierwszy rozmowy nie poczynał; może też trzej pierwsi pasażerowie oswajali się w duszy każdy z nowoprzybraną rolą... a czwarty pan August, może układał w myśli przedmiot do rozpoczęcia rozmowy lub plan jakiego figla, w których mistrz ten celował.

Nareszcie długa ta cisza stała się dla ruchliwego jego usposobienia nieznośną; ozwał się więc do doktora:

— Szkaradna okolica, jegomościuniu.

— Ha, i tę Pan Bóg stworzył... i tu ludzie mieszkają.

— To prawda, ale gdyby tak księdzu dobrodziejowi przyszło tu osiąść na probostwie?

— E... jakby mi dali ciepłe probostwo... parafiję liczną... dziesięcinę dostatnią, tobym i tu Pana Boga chwalił.

— Tak się to mówi, bo pewno jegomość dobrodziej mieszkasz w okolicy pięknej?

— Nie o wiele piękniejsza.

— A w której-że parafii ksiądz dobrodziej?

— Ja?... — bąknął doktór nieprzygotowany—a w tem... jakżeż zowie... *Kocku*.

— A, w Kocku... proszę... to sławne miasto. Był tam niegdyś żyd jakiś pułkownikiem...

— Berek... Berek... mości dobrodzieju... on tam zginął.

— A teraz—kpił dalej Wilkoński—ma tam być drugi żyd bardzo mądrym rabinem?

— A no, jak jest rabinem, to musi być żydem...

— To bardzo sprawiedliwie jegomość dobrodziej zauważył .. ale czy istotnie taki mądry?

— Tam tak żydy powiadają.

— No, a ksiądz dobrodziej co o nim trzyma?

— Ja o nim nic nie trzymam; wiem tylko, że skąpa bestyja i za wizytę kiepsko płaci.

— A z jakiego tytułu ksiądz dobrodziej sobie każesz za wizytę u rabina płacić?

— Ja?...—bąknął doktór, który się o mało nie zdradził—przecież o sobie nie mówię. Konsylijarz tu obecny skarżył mi się niedawno, że natłukł biedką kości do niego za marne trzy ruble.

— A już też mnie drugi raz ten kundel nie złapie—wtrącił adwokat, ratując kolegę.

— Może to jego rozumu dowodzi—zauważył Wilkoński.—Ale nie o to mi chodzi... radbym wiedzieć, jegomościuniu, czy on istotnie taki mądry?

— Alboż ja wiem?—bronił się doktór—ja go nie znam.

— Jakżeż można nie znać rabina w Kocku, mieszkając w Kocku?

— A no, widać, mości dobrodzieju, że można nie znać, kiedy ja go nie znam.

— A któryż z was w starym testamencie więcej biegły, rabin, czy ksiądz proboszcz?

— Nie wiem, mości dobrodzieju, ale mi mówiono, że on ciągle w bublach ślęczy...

— To ksiądz wnosi, że on mędrszy?...

— Przeciwnie, z tego wnoszę, że głupszy... bo gdyby więcej umiał, toby nie potrzebował suszyć łba nad bublami.

— Alboż to ksiądz dobrodziej nad brewijarzem nie ślęczy?

— Ja, mości dobrodzieju, mam cały brewijarz w głowie.

— Proszę, proszę—rzekł pan August—a to dyjabla pamięć, cały brewijarz mieć w głowie!

— Od deski do deski.

— I które wydanie brewijarza umie tak na pamięć ksiądz dobrodziej?

— A no... — bąknął doktór — to najtreściwsze, najzwięźlejsze, które wyszło...

— Mechlińskie zapewne — dodał szybko ksiądz prawdziwy, chcąc doktora wybawić z kłopotu.

— A jużcić! mechlińskie.. mechlińskie...

— To i pan adwokat dobrodziej, widzę, biegły trochę w teologii — podchwycił Wilkoński, zwracając się do księdza.

— Uczyło się tego potrosze w uniwersytecie—odrzekł ksiądz—bo to potrzebne przy prawach rzymskich.

— Proszę — odrzekł zdziwiony pan August—nie wiedziałem, żeby teologija potrzebna była prawnikowi.

— Jakto?— odparł ksiądz hardo— a w sprawach rozwodowych?

— A cóż mają sprawy rozwodowe do teologii?

— A no... — bełkotał kapelan — przecież rozwody przechodzą przez konsystorz...

— Dobrze, ale na to nie potrzeba brewijarza.

— Ja też brewijarza, jak żyję, nie czytałem... ale widziałem przypadkiem w biblijotece uniwersyteckiej wydanie mechlińskie i ztąd zapamiętałem.

— Najlepiej pan doktór dobrodziej — ciągnął pan Agust, zwracając się do adwokata — pana konsylijarza to tam ani brewijarze, ani pandekta nie obchodzą... Pilnuje pan sobie swojego *recipe... ut fiat emulsio... detur signum*... co godzina po łyżeczce, aż do skutku i basta! co?...

— Naturalnie—odrzekł adwokat—a jak jedna flaszka nie pomoże, to. . ten tego... *repetita*...

— *Repetatur*—poprawił doktór.

— Ksiądz proboszcz ma racyję—rzekł Wilkoński—*repetatur* jest po medycznemu.

— Ależ, moi panowie — wołał adwokat — przecież wiem o tem lepiej, niż wy obydwa. .

ale nie skończyłem.. chciałem powiedzieć *bis repetita placent.*

— Oj... nie zawsze *placent*, kochany konsylijarzu—mówił dalej pan August—jak przyjdzie w chorobie *bis repetita*... czyli recydywa, to dyjable kiepsko.

— To zależy, w jakiej chorobie ..

— Prawie w każdej... naprzykład w tyfusie.

— No, w tyfusie to się rzadko kiedy recydywy doczeka, bo odrazu kopytek zadziera...

— Przepraszam —rzekł pan August, który miał pasyjkę do medycyny i nie był bez pewnych w niej wiadomości—a co konsylijarz daje w tyfusie?

— Ja?... —bąknął adwokat—ja... walę na przeczyszczenie.

— A żebyś pękł! — krzyknął doktór, zapominając się—a toć gotowy *typhus abdominalis!*

— Ma racyję ksiądz proboszcz!... jak Boga kocham, ma racyję! — zawołał pan August, zwracając się do doktora. — O, ksiądz dobrodziej, widzę, studyjował medycynę potrosze?

— W miasteczku, mości dobrodzieju, gdzie doktora niema, trzeba sobie umieć radzić.

— Ale, mój kapelanie — bronił się adwokat—przerywasz mi, aby gadać... aby się popisywać... *Abdominalis* znam lepiej, niż ty; więc cóż to.. będziesz mnie tu uczył? Czy ja ci w tyfusie, na który tak ciężko chorowałeś, dałem na przeczyszczenie?... co?...

— A no nie—odrzekł doktór—dałeś mi na wymioty... a potem, jak przyszła kryzys, dziewiątego dnia palnąłeś mi kamforę na poty.

— A no widzisz!—krzyczał adwokat—uratowałem cię, choć leżałeś bez przytomności, jak bałwan... gorączka straszna... oczy w słup...

— No, ale pan konsylijarz wyrwał się zprzeczyszczeniem...

— Nie wyrwałem się — odrzekł gniewnie adwokat—ale zrobiłem to umyślnie... bo mnie irytuje, kiedy mnie kto na egzamin bierze.

— Ależ przepraszam — łagodził Wilkoński, któremu na dalszem podpytywaniu zależało—nie mam bynajmniej pretensyi do egzaminowania, bo sam jestem profanem .. Ale będąc w podobnem położeniu jak ksiądz proboszcz... mieszkając na wsi... od Garwolina daleko, lubię chwytać z medycyny, co się da... Czasem, w nagłym razie, dobrze jest coś poradzić.

— No... jeżli tak, to ja też się bynajmniej gniewać nie chcę—rzekł adwokat.

— Więc konsyliarz wierzy w kamforę? - pytał znowu pan August.

— Wierzę i bardzo wierzę—odparł uspokojony adwokat — masz pan na kapelanie najlepszy dowód skuteczności kamfory... Kamfora robi cuda w tyfusie... a nawet nie tylko w tyfusie, lecz w ogóle w chorobach gorączkowych, gdzie poty wywołują transpiracyją i przez transpiracyją... powodują reakcyją chorobliwego usposobienia zaatakowanych organów... Szczególniej wierzę w kamforę, od czasu rozprzestrzenienia jej przez system Rohlwesa...

— Rohlwesa?—podchwycił zdziwiony Wilkoński.

— Raspaila... chciał pan doktór powiedzieć —dorzucił szybko ksiądz udany.

— No, a ja kogo nazwałem? — krzyknął gniewnie adwokat.

— Rohlwesa!.. ha! ha! — zaśmiał się pan August—a toż to lekarz od bydła!..

— Ale przyśniło się panom! — bronił się adwokat—ja miałbym mieszać konowała Rohlwesa, z Raspailem... twórcą słynnej szkoły... cudownego systemu kamforowego?.. Kpicie sobie!..

— Ale tak... tak... konsylijarzu dobrodzieju. Ha!.. ha!.. ha!.. słyszeliśmy to wszyscy.

— No proszę... a to ten przeklęty obiad u Marego tak mi we łbie pomącił... musiał nam dać fałszowane wino.—Rohlwes... Raspail .. ki dyjabeł!.. to jak pięść do nosa podobne.

— Koniec końcem—podpytywał Wilkoński —konsylijarz dobrodziej wierzy w Raspaila?

— Wierzę i bardzo wierzę—ciągnął adwokat. — To jest... jako w metodę uniwersalną... jak naprzykład Leroa... Morrisson... Prysznic... to nie powiem... bo rodzaje chorób są tak ró-

żne i do siebie niepodobne, że zważywszy różnostronność takowych, różnoliczność zewnętrznych przejawów.... różnolitość kompleksyj i brak ściśle systematycznego ujednostajnienia ustroju organicznego natury ludzkiej... trudno przypuścić, aby to, co jest dobre na jedno, mogło być dobre na drugie, wprost przeciwne pierwszemu; i na odwrót, to co jest skuteczne na drugie, może być szkodliwe na trzecie, jeźli ono w niczem do drugiego nie podobne.

— To bardzo jasne — odrzekł pan August, zmęczony tyradą i pocierając czoła—ale niby... w jakiej postaci konsylijarz dobrodziej lubi kamforę zadawać?

— O .. i tego oznaczyć nie można, bo w tej postaci jaką się dzieciom daje, nie można dawać jej starym i na odwrót. Ale ja przedewszystkiem próbuję najłagodniejszej postaci, wąchania... *inspiratio* i wdychania... *inhalatio*, ot naprzykład przez piórko. U nas w Lublinie to tak rozpowszechniłem system piórkowy, że bywało w towarzystwach, na ulicy, w kościele, na spacerze... gdzie nie rzucisz okiem, wszyscy, kobiety, mężczyźni, ba i dzieci nawet... wszyscy chodzili z piórkami w zębach, jak z papierosami.

— U nas w Kocku—wtrącił pseudo-ksiądz —przyjęło się to także; ale mnie konsylijarz dał kamforę w *emulsyi.*

— No sztuka! - odparł adwokat—u jegomości było co innego... piórkiem nie czas już było wojować, boś tak zęby ścisnął, że piórka i wprowadzić by się nie dało... trzeba było wziąć się ostro do rzeczy i lać kamforę *par force* do gardła.

— A mocną dozę konsylijarz dałeś?—spytał pan August.

— Co? a no... spodziewam się... chociaż dziś już nie pamiętam... na tyle pacyjentów, czyż to podobieństwo?..

— O ile pomnę, dałeś mi parę uncyj—wtrącił doktór — już nie było czasu wdawać się w skrupuły... to zbrodnia...

— I kalamburek się zrodził.. —zaśmiał się pan August.

— Jaki?—spytał naiwnie adwokat.

— A no... pomieszałeś skrupuły apteczne ze skrupułami rozwagi—rzekł doktór, depcąc adwokata po nogach.

— A tak, prawda... — odrzekł ten ostatni, nie rozumiejąc ani słowa.

— Ale moi panowie, nie mówmy już o tem —zakonkludował doktór, w obawie, aby się adwokat gadatliwy w dłuższej dyskusyi nie zdradził. — Nie przypominajcie mi tej choroby, bo na samo wspomnienie nie dobrze mi się robi.

— Wierzę... wierzę... jegomościuniu—rzekł pan August—tyfus, a zwłaszcza z *petociami*, to straszna choroba... Nie mówmy już o niej, tembardziej że i ja niezupełnie zdrów jestem, a mam imaginacyi dużo.

— Najgorzej mieć dużo imaginacyi — zauważył adwokat. — Dowiedzionem jest w medycynie. . i to od najdawniejszych czasów... że choroba najprędzej się chwyci takich organizmów imaginacyjnych, wrażliwych, drażliwych i bojaźliwych...

— Czy wie pan konsylijarz — począł znów Wilkoński—że ja, choć niby na oko dobrze się trzymam... prawda?..

— A no w istocie—odrzekł adwokat—cera zdrowa, oczy wesołe...

— Otóż widzisz, kochany doktorze, jak to pozory mylą... Tak jak mnie widzisz, cierpię na wielką chorobę!..

— Tam do dyjabła!—mruknęli pasażerowie, usuwając się nagle.

— Oj tak, niestety!—jęknął pan August—cierpię na epilepsyją i to w najwyższym stopniu... tak, że mnie żadne łóżko, żadna, choćby żelazna sofa, utrzymać wtedy nie jest w stanie. Wystaw sobie, kochany doktorze—ciągnął dalej, ujmując rękę wystraszonego adwokata — wstaję niby zdrów... tylko z lekkim niesmakiem w ustach... coś niby gorzkawo... słodkawo... kwaskowato... Brr! — rzekł spluwając przez okno—dziś właśnie mam taki odrażający smak... jak gdybym jadł jednocześnie śledzia, ser owczy i naleśnik z jabłkami... pojmujesz doktorze...

brr!.. Koło dziesiątej... jedenastej, zaczyna mnie mdlić w dołku... cisnąć... przeć... tak jak dziś od rana:—koło 4-ej po południu lekki ból głowy... potem coraz silniejszy zawrot... i nagle... Oj!.. czuję się nie dobrze!..

W tej chwili żartowniś brwi zsunął, oczy przeraźliwie wytrzeszczył, zębami zadzwonił, a począwszy wywijać nogami niby w kurczach, ścisnął tak konwulsyjnie dłoń adwokata, że ten, wyrwawszy ją z całej siły, począł gwałtownie stukać do okienka, przed którem siedział konduktor.

— Konduktorze!—krzyczał wystraszony — każ stanąć! każ stanąć!

Jeden tylko doktór, poznawszy komedyję, nie ruszał się z miejsca, ale krzykiem swoim wtórował wystraszonym kolegom, pragnąc ubawić się ich kosztem.

Ale karetka, mimo krzyków, toczyła się dalej... piszcząc po śniegu, a śpiący konduktor z pocztylijonem, przeraźliwych głosów nie słyszeli.

Zdesperowany adwokat palnął łokciem w szybę i wybiwszy takową, pociągnął konduktora za płaszcz.

— Co robisz waryjacie—rzekł doktór—zapłacisz rubla za szybę.

— A pal ją dyjabli!—krzyknął wystraszony —wolę stracić rubla, niż siedzieć z epileptykiem i ryzykować oko lub życie... Konduktorze, stój, u miljonset!..

— Stój! stój!—wołali drudzy.

— Cóż to się stało?—zapytał zaspany konduktor, zatrzymując kuryjerkę i podbiegając do drzwiczek—kto tu wybił szybę?

— A to ten pan, co dostał wielkiej choroby —odrzekł przytomny kauzyperda, wskazując na Wilkońskiego, wywijającego nogami.

— O kanalijo!—mruknął sobie pan August, nie mogąc zaprotestować, przez co figiel by się wydał.

— Wszak tylny przedział jest wolny?—pytał ksiądz konduktora.

— A wolny.

— A to my się tam przesiadamy... Ten pan jest mocno chory, potrzebuje miejsca, ciszy i powietrza, a my palimy cygara.

— Dobrze, proszę panów — odrzekł konduktor—przesiąść się można. A jeśli pasażer jest chory, a z ceduły wiem, że tu między panami jest doktór, to możeby choć pan doktór został przy chorym.

— Doktór tu niema co robić! — krzyknął adwokat, wyskakując za kolegami, którzy już byli na szosie—to nie jest choroba, którąby się naprędce w kuryjerce leczyło... Paroksyzm epilepsyi przejść musi... jak się zmęczy, wytrzęsie i nogami wykiwa, to zaśnie i basta!.. prawda?..

— A no, rozumie się—odrzekli doktór z księdzem.

— Ale jakżeż można tak zostawić chorego? —przedkładał troskliwy o pasażera konduktor, przytrzymując adwokata.

— A to go sobie pilnuj, kiedyś taki miłosierny — odparł ten ostatni, wyrywając mu się i podążając za towarzyszami podróży, którzy się już w tylnym przedziale sadowili.

— To może chociaż ksiądz dobrodziej tam przejdzie— prosił konduktor — bo wiem, że tu któryś z panów jest księdzem.

— A po co?—odrzekł ksiądz—religijnej pociechy mu dać nie mogę, bo on już przytomność stracił... Czy nie widziałeś, jakie oczy postawił i jak zębami dzwonił... Olejów też świętych z sobą nie mam...

— Ale co to o olejach świętych gadać — wtrącił doktór — nic mu nie będzie, wyśpi się i... jakby nigdy nic.

— To może pan adwokat zostanie, bo wiem że jeden z panów...

— Powiedziałem już — zakonkludował adwokat—żebyś sobie sam z nim usiadł. Adwokat niema tu co robić, bo testamentu pisać nie będzie. Proszę zamykać drzwiczki i jechać, bo dalibóg zapiszę to wszystko do księgi zażaleń!

— Niech się dzieje wola nieba! — szepnął konduktor, zamykając drzwiczki i wracając na swoje miejsce.

— Czego stoisz, ośle? — zawołał, msząc się na pocztylijonie—jedź!

— Wio! zdechlaki! — krzyknął pocztylijon, ściągnąwszy batem konie i kareta potoczyła się z miejsca...

Pan August zaśmiał się w duszy serdecznie... wyciągnął nogi na obydwóch ławach, jak sułtan na dywanie, choć nieco z mniejszym komfortem; kołnierz od futra podwinął pod głowę, ręce w kieszeniach zatopił i rozkoszując się wygodniejszem siedzeniem, próbował urżnąć śpika. Sen nie przychodził jednak odrazu, bo wspomnienie wystraszonych pasażerów, duszących się w tej chwili jak śledzie, pusty ciągle wywoływało mu uśmiech na usta.

Wkrótce też stanęli przed stacyją pocztową w Miłosnie; z nowych pasażerów nikt nie przybywał, bo był to Piątek... wigilija szabasu, a najruchliwsi podróżnicy pejsaci, utknęli na miejscach, gdzie którego zachód słońca zaskoczył.

Doktór, kapelan i adwokat, wysiadłszy z tylnego przedziału, dla przywrócenia cyrkulacyi zdrętwiałym członkom, zajrzeli też ciekawie do karety, w której się pan August ze śmiercią niby pasował; przewrócone jego oczy... nastroszone włosy i ciągle dzwoniące jeszcze zęby chirurga filozofii, nie wskazywały najmniejszej poprawy w okropnym paroksyzmie.

— Czy atak trwa jeszcze ciągle? — zapytał cichutko adwokat.

— Zdaje się—szepnął ksiądz—co doktorze?

— Naturalnie—odrzekł mu na ucho doktór—to potrwa kilka godzin, a może i dłużej.

— Szkoda człowieka — rzekł adwokat, odchodząc z towarzyszami—taki zdolny, taki genijalny... i trzeba żeby tak cierpiał.

— A co dziwniejsza—dodał kapelan—to to, że w jego pismach tyle jest swobody, tyle wesołego humoru; choroby tam wcale nie znać.

— A cóż ma choroba do jego pism — zauważył doktór — przecież podczas paroksyzmu nie pisze, a jak paroksyzm minie, jest zdrowiuteńki, jakby nigdy nic.

— Chodźmy na swoje miejsca—mówił adwokat—konie już zaprzęgają... trzeba się dusić z tyłu. Niech dyjabli porwą!.. a miałem tam takie wyborne miejsce rogowe, przodem do koni... Tu, w tej przeklętej jamie, siedzę bokiem i ciągle mi się zdaje, że już lecimy na łeb... przytem jakaś sprężyna mnie kłuje...

— To jeszcze dobrze, że cię sprężyna kłuje—pocieszał go kapelan—widać, że twoje siedzenie na sprężynach; u mnie się sprężyny nie domacasz... siedzę na tak twardej desce, że już kości nie czuję.

— Nie narzekajcie—mówił doktór—ty na sprężyny, a kapelan na brak takowych, ja siedzę w takim dołku i to tak głębokim, że się nawet poprawić nie mogę.

— Szkoda naszych miejsc... szkoda!—wzdychali dwaj podróżni.

— A czegóżeście tak zaraz czmychali z karety?—spytał doktór.

— A dziękuję ci za przyjemność jechania z epileptykiem—odrzekł adwokat.

— Nie pojmuję, jak może władza pocztowa pozwalać na przewożenie epileptyków — dodał kapelan.

— No, kiedy i epileptycy mają swoje interesy po świecie—rzekł doktór.

— A to niech sobie przez korespondencyję załatwiają.

— Ależ mój mecenasie... a jeśli to są interesy, które się przez korespondencyję załatwić nie dadzą?

— No, to niech ekstrapocztami jeżdżą.

— A jeśli na ekstrapoczty ich nie stać?

— A cóż u dyjabła taką obronę wnosisz za nimi!—zawołał rozgniewany prawnik—co mnie tam do twoich argumentów? Ja wiem, że mam w kwicie Nr. 2, iż zapłaciłem za to miejsce dwa dni naprzód, a teraz muszę siedzieć z tyłu, ściśnięty jak ser w prasie.

— Dziękuj Bogu—pocieszał go kapelan—żeś przynajmniej zdrów; lepiejże by ci było siedzieć, tak jak ten nieborak Wilkoński, pod Nr. 2, a cierpieć na epilepsyją? co? Pan Bóg wie, co

robi—dodał do milczącego adwokata - jednemu dał rozum, to mu zdrowie odebrał, drugiemu da zdrowie...

— To mu rozum odebrał... chcesz powiedzieć? Dziękuję ci mój kapelanie za kompliment.

-- Kauzyperda zaraz za słówka łapie — przerwał doktór, śmiejąc się. – Nie spierajcie się... dziękujcie Bogu, żeście zdrowi i siadajcie na miejsca, bo czasu szkoda... konie już zaprzężone, a na mnie pacyjenci czekają.

W milczeniu zajęli miejsca, a po danym sygnale ruszyli w dalszą drogę.

Długą tę stacyję odbyli, nie mówiąc prawie słowa, a podczas gdy się pan August śmiał w duszy, rozparty na najwygodniejszem siedzeniu, pasażerowie nasi klęli pod nosem, zmuszeni poprawiać się ciągle, kapelan na desce, doktór na wysiedzianym dołku, a adwokat na kłującej go sprężynie.

Po trzech blizko godzinach, dobiwszy do Dąbrowy, wysiedli by ogrzać się herbatą, którą oberżystka, znana na całym trakcie ze swej przeraźliwej otyłości i pulchnych bułeczek, z czarującym rozlewała wdziękiem. Posiliwszy się dobrze, gdy już czas było wsiąść do karety, zbliżyli się po cichu do okna.

Pan August leżał rozciągnięty na siedzeniu, ze spartemi na ławce nogami, a mocne jego chrapanie dowodziło głębokiego snu.

— Czy żyje? - spytał doktór na ucho kapelana.

— Zdaje się... bo słychać chrapanie.

— Weź go za puls—odrzekł doń adwokat.

— Nie można—odparł cichutko doktór— bo przebudzenie się nagłe mogłoby ponowny atak wywołać.

— To i o wsiadaniu do tego przedziału nie można myśleć.

— Naturalnie że nie.

Westchnąwszy smutno, ruszyli podróżni nasi do tylnego przedziału, lecz tam nowa czekała ich niespodzianka. W kącie karety rozparł się czwarty jakiś pasażer, mocno otyły, a olbrzymia jego wilczura zajmowała całe prawie miejsce.

— Pan dobrodziej tu zajął miejsce? — spytał nowoprzybyłego adwokat.

— Jak pan dobrodziej widzi—odrzekł szlachcic.

— Ale tamten przedział cały wolny... tylko jedna osoba ..

— To prawda—przerwał szlachcic—ale ta jedna osoba ma podobno *wielgą chorobę*, jak mi konduktor mówił, wolę więc ciaśniej siedzieć, a ze zdrowymi jechać.

— Ale my się nie zmieścimy.

— A to niech pan dobrodziej tam siada... ja się ztąd nie ruszę.

Radzi nie radzi, usadowili się jak było można, choć doktór już nawet do swego dołka trafić nie mógł, a adwokatowi sprężyna tak dokuczała, że musiał spierać się na obu rękach i unosić prawie w powietrzu. Jeden tylko kapelan, nie uczuwszy żadnej zmiany w siedzeniu, które jak było twardem, tak też pozostało, zapytał nowoprzybyłego:

— Pan dobrodziej daleko jedzie?

— Jadę tylko jedną stacyję... do Garwolina.

— A to chwała Bogu!—rzekł adwokat, poprawiając się na sprężynie—będzie nam potem przestronniej.

— Byłoby nam i tak przestronniej—wtrącił doktór—bo i Wilkoński tylko do Garwolina zapisany.

— Jakto? - spytał nowoprzybyły szlachcic —alboż to Wilkoński jedzie?

— A tak, tak, August Wilkoński.

— Kto? ten epileptyk?

— Niestety... szkoda tego genijalnego człowieka!..

— Eeee!..—wrzasnął szlachcic—to trzeba mi było zaraz powiedzieć!.. Konduktorze! stój! stój! ja tam siądę.

— Ale szanowny panie—reflektował kapelan—nagłe przebudzenie Wilkońskiego mogłoby spowodować recydywę ataku epileptycznego.

— Ja już się tam jego ataku nie boję... ta jego cała wielka choroba, to tylko psi figiel.

— Co pan powiada?—zapytali społem adwokat z kapelanem.

— Ale, jakem szlachcic, to jego psi figiel i nic więcej! Pana Augusta znam od lat dziecinnych, bośmy z sobą nawet koligaci po kądzieli.. cioteczna siostra jego babki, była przyrodnią siostrą mojej babki... toć jasne!.. Otóż znając go od tak dawna i granicząc z nim o trzecią miedzę, wiem jaknajdokładniej, że on nigdy na wielką chorobę nie cierpiał.

— A niechże tego chirurga filozofii!--zaklęli pasażerowie.

— Chciał się panów pozbyć — mówił dalej szlachcic—chciał się wygodnie przespać w szteinkelerce, więc wam *tego figla wypłatał;* to u niego chleb powszedni.

— No proszę--odrzekł adwokat—a my jak barany daliśmy się złapać... i ty, niby doktór, a tegoś nie poznał..

— Ja to zaraz zmiarkowałem — odparł doktór—ale tak mnie wasz strach ubawił, żem postanowił nie wyprowadzać was z błędu.

— Tak ci teraz mówić wypada—wtrącił kapelan!

— Koniec końców--zakonkludował szlachcic—siedźcie tu już panowie, kiedyście tak długo siedzieli... ale ja się wynoszę. Konduktor! stój! stój!

Ale przymrozek brał na noc, przez co koła karety tak przeraźliwie piszczały po śniegu, że głos szlachcica był głosem wołającego na puszczy. Zresztą choćby i nie ta przeszkoda, konduktora dowołać się było niepodobieństwem, bo on, zwykłym trybem i zwyczajem konduktorów pocztowych, rżnął sobie śpika w najlepsze, wspomagany dzielnie w tej niewinnej funkcyi przez pocztylijona, który, uwiązawszy lejce u kozła, kiwał się także na wsze strony, powierzając losy podróżnych rozsądkowi i wytrawności wdrożonych już koni pocztowych.

Po dwugodzinnych nareszcie torturach podróżni nasi stanęli przed garwolińską *austeryją* i wyskoczyli coprędzej z karety, by wyprostować skurczone i zdrętwiałe członki.

Pan August był już na sali.

— A bodajżeś się nie był rodził!—krzyknął szlachcic w wilczurze, wchodząc pierwszy — przez ciebie i twoją udaną wielką chorobę, dusiłem się jak śledź całą stacyę!

— Pst! ani słowa przed nimi — szepnął mu Wilkoński.—Tak było mi duszno i tak się czułem zmęczonym, że potrzebowałem koniecznie wolnego miejsca, a innego sposobu nie miałem.

— Ale ba! każesz mi milczyć, panie Auguście... a ja już em się przed nimi wygadał.

— Tam do dyjabła!.. toć gotowa awantura!

W tej chwili trąbka ekstrapocztowa, od strony Gończyc dolatująca, oznajmiła przybycie nowego *gościa. Wkrótce też ukazał się na sali* wysoki, tęgi mężczyzna, o wzniesionych w górę ramionach, sumiastych wąsach i do połowy podgolonych bakenbardach; mina dziarska i czupurna. Był to ex-wojak, pan major F., obywatel z Lubelskiego, za którym trzej nasi pasażerowie wtoczyli się także na salę.

— *Poudre de canons!..*—krzyknął pan major, zdejmując szubę—prędzej bym się był kontuzyi spodziewał, jak was tu spotkać na drodze!.. No, *pudrrdekaną!..* jak się macie? jak się masz, doktorze? — rzekł, całując pseudo-księdza—jak się masz mecenasie? — dodał, wstrząsając dłoń pseudo-doktora— i ty kapelanie, *pudrrdekaną!* co tu robisz? — krzyczał, ściskając pseudo-adwokata, który zrzuciwszy z siebie szubę, ukazał się w najduchowniejszej sutannie, czarnym baranem podbitej.

Pan August stanął jak wryty.

— Czegóżeś tak gębę rozdziawił?—zapytał go sąsiad, szlachcic w wilczurze.

— Nie, to być nie może! — mówił chirurg filozofii do siebie.—Jakto? mnie... starego wróbla... mieliby tak na plewy złapać? Dowiem się prawdy!

I z ostatniemi słowy monologu zbliżył się do trzech naszych podróżnych, którzy właśnie koło stołu z panem majorem zasiedli.

— Przepraszam pana dobrodzieja — zapytał tego ostatniego — racz mi pan prawdę powiedzieć... który z tych panów jest doktorem?

— A no ten grubas — odrzekł, wskazując na doktora – dodam nawet bez pochlebstwa, że mimo jego brzucha to nasz najlepszy doktór.

— A pan dobrodziej adwokat? — spytał pan August pseudo-doktora.

— Tak, szanowny panie... magister obojga praw — odrzekł pomięszany nieco kauzyperda.

— I ksiądz dobrodziej także do spisku na mnie należałeś? — zawołał pan August seryjo, tłumiąc wybuch śmiechu. *Et tu Brute contra me?!..*

— Ha! cóż robić? — bąknął kapelan — zakpiłeś i waćpan dobrodziej z nas swoją mniemaną epilepsyją!.. *Quod mihi hodie, cras tibi*... kwita z byka, za indyka!

— A to mi się pierwszy raz w życiu zdarza!.. to wam tak moi panowie na sucho nie ujdzie! — krzyknął chirurg filozofii z taką siłą, zakasując rękawy od surduta, że trzej nasi pasażerowie zerwali się jednocześnie ze stołków, przyjmując obronną postawę. — To tak na sucho nie ujdzie! – dodał, wybuchnąwszy śmiechem. — Wiozę właśnie z sobą do domu pół kosza wina, ale tu je wypić musimy... tu... co do kropelki... na zdrowie improwizowanych komedyjantów!

I to rzekłszy, wydobył pan August z pod stołu tylko co wniesiony koszyk z winem, do którego przysiedli się naturalnie i ów szlachcic otyły i konduktor, który na widok nektaru zmiękł do tyla, iż kuryjerkę całą godzinę na stacyi przetrzymał.

Pan August opowiedział nieświadomym wśród ogólnego śmiechu komedyję przezeń i przez współtowarzyszów podróży naprędce odegraną — którą, jako przyczynek do historyi żywota nieporównanego i nieodżałowanego naszego humorysty i my czytelnikom naszym z małymi tylko *waryjantami* podajemy.

Jordan. (p. t. I s. 209).

Komedyjanci.

* W oberży w Wiedniu, służącej za schronienie aktorom wędrującym, zebrani byli wszyscy na początku wielkiego tygodnia, radząc o przyszłości i czekając nowych zamowień.

Rej pomiędzy nimi wodził aktor rodem z Prus, występujący w rolach bohaterów. Ten tak mistrzowsko kłamał i fanfaronował, że w podziw wprawiał słuchaczy. Między innemi rozpowiadał, że cesarz Franciszek wezwał go do siebie i proponował miejsce w dworskim teatrze z pensyją sześciu tysięcy guldenów.

— To bardzo być może — powiedział komik Tomaseli — pan, panie kolego, tylko w teatrze w Burgu znajdowałbyś się w swojej sferze. Cesarz umie poznać się na talencie i ocenić go.

— Sam tego na sobie doświadczyłem — wyrzekł pruski bohater teatralny, puszczając gęste kłęby dymu.

— Ja tam nie lubię się przechwalać — mówił Tomaseli — jednak nie mogę zaprzeczyć, że to co mnie w zeszłym miesiącu spotkało, jest niezmiernie interesujące.

— Więc i na pana Najjaśniejszy Pan raczył zwrócić uwagę?

— Tak, i to w taki sposób, że zdejmuję kapelusz, ile razy go spotkam.

— Opowiedz nam pan to, jesteśwy ciekawi.

— Posłuchajcie więc: Kilka dni temu o południu stoję sobie na placu przed pałacem w Burgu, przysłuchując się wojskowej muzyce. Wtem cesarz ukazuje się w jednem z okien, odziany po domowemu w watowany szlafrok. Spogląda na mnie, przeciera oczy, jakby nie pewien, czy go nie mylą, potem wyciąga okulary z kieszeni, wsadza je na nos i znów mi się przypatruje.

— Mnie także przez szkła się przyglądał — mówi prusak.

(Cesarz Franciszek nigdy żadnych szkieł nie używał).

— Potem — mówił dalej Tomaseli — zaczyna się śmiać na całe gardło i...

— I do mnie mówiąc, uśmiechał się—mówi prusak.

— Gdy się już naśmiał dowoli, wychyla się przez okno i kiwa palcem.

— Czy być może? kiwnął na pana?

— Zrazu myślałem, że kiwa na kogo innego, oglądam się, niema nikogo, sam jeden stoję na placu. Chcąc się upewnić, pokazuję na siebie palcem i pantominą zapytuję: „Czy to mnie Najjaśniejszy Pan wzywa?“ Cesarz skinął głową zniecierpliwiony i dał znak raz jeszcze. Idę więc nie czekając dłużej do cesarskiego mieszkania i pociągam za dzwonek od kuchni. Wtem słodki kobiecy głosik odzywa się: „Idźcie z Bogiem, nie mamy wam co ofiarować.“ Na to ja mówię z poczuciem obrażonej godności. „Nie jestem żebrakiem moja pani, nazywam się Tomaseli.“ A głosik na to: „Tomaseli? Poczekaj kochanku, w ten moment ci otworzę. Franusiu, czy słyszysz, pan Tomaseli chce się z tobą widzieć.“

— Któż to był?—pyta prusak zdumiony.

— Kto? Cesarzowa we własnej swej osobie drzwi mi otworzyła.

— Nie może być.

— Powiadam wam, pewnie pokojówka poszła była do miasta. „A, witam kochanego pana“—mówi Najjaśniejsza Pani, dygając i głaszcząc mnie pod brodę—„to pięknie, że choć raz nas odwiedziłeś. Dawno bym była łaskawego pana prosiła na szklaneczkę kawy, ale jakoś nie przyszło do tego; nie masz pojęcia, co się nachodzę i napracuję w ciągu dnia. No, chodź pan prędko wypalić fajeczkę lub cygarko z moim starym.“

— Co pan mówisz?

— Zaledwie to cesarzowa powiedziała, otwierają się z trzaskiem drzwi i cesarz woła: „Ach to pan, panie Tomaseli, do usług, do usług.“ „Czy to z panem Franciszkiem mam honor mówić?“—zapytuję. „No tak, musisz pan zjeść z nami łyżkę rosołu. Każ nakryć na jedną osobę więcej Karolino-Augusto.“

— To dopiero osobliwość — woła prusak, któremu ta cesarska poufałość, mimo wszystkiego co słyszał o popularności Najjaśniejszych Państwa, wydawała się jednak podejrzaną.

Tomaseli nie zbity z tropu opowiadał dalej z najpoważniejszą miną.

— Niech trupem padnę w tej chwili, jeżeli to co mówię, prawdą nie jest. Tak, brat za brat jak jestem z wami wszystkimi, tak byłem z cesarzem. Mówiliśmy o tem i o owem; ja o swem życiu pełnem wrażeń, cesarz o dworskich intrygach. „Nie masz pojęcia“—skarżył się mi—„co się tu u nas dzieje! Ministrowie się kłócą pomiędzy sobą, szambelani z damami dworu—jednem słowem taki tu nieraz rwetes i hałas, że kijem ich rozpędzać muszę. Ale tyś pewnie głodny, Tomaseli. Żonko, każ nam dać serdelków z octem i oliwą i—Tomaseli pewnie lubi piwo—każ nam tedy przynieść parę butelek z piwnicy.“

Dotąd słuchacze zagryzali sobie usta, dłużej już nie mogli wytrzymać i cała gospoda zabrzmiała chóralnym śmiechem.

Prusak przekonał się, że wiedeńczyk jeszcze lepiej od niego łgać potrafi, roześmiał się więc, chcąc ukryć swe pomieszanie.

W dowód popularności najjaśniejszych państwa, przytaczamy, że gdy ta niedorzeczna anegdota rozeszła się po Wiedniu, byli tacy, którzy uwierzyli, że cesarz Franciszek i cesarzowa Karolina-Augusta, tak po mieszczańsku i bez ceremonii przyjmowali aktora Tomaselego.

* Ciceron mówił o sławnym aktorze Rosciuszu, że mając tak wielki talent, nie powinien nigdy schodzić ze sceny, a będąc tak cnotliwym, nigdy nie wchodzić na nią!

* Hrabia Rostopczyn wróciwszy do Petersburga z podróży po Francyi, rzekł:

— Jeździłem do Paryża, by zobaczyć zblizka dwóch najznakomitszych komedyjantów naszej epoki: Potier'a i Talleyrand'a.

* Oficer kawaleryi spotkał się w kawiarni z kolegą szkolnym, który poświęcił się sztuce dramatycznej.

Po przywitaniu zaczął koledze robić wyrzuty za to, że przełożył poniżające rzemiosło aktora nad służbę wojskową.

— Mój kochany—rzekł aktor—moje poniżające rzemiosło przynosi mi 25,000 franków rocznie.

— 25,000 franków! — zawołał obrońca ojczyzny—proszę cię—rzekł zniżając głos—jak tylko będzie wakans w waszej trupie, chciej mnie zaprotegować.

* Baron, jeden ze znakomitych i najbardziej zarozumiałych aktorów, mówił:

— Natura raz na sto lat wydaje Cezara, raz na tysiąc takiego jak ja człowieka.

* Sławny Vestris dowiedziawszy się, że syn jego nie chciał popisywać się tańcem na dworze Maryi-Antoniny na jej wezwanie, wpadł w gniew, mówiąc:

— Ten błazen poróżni rodzinę Vestris'ów z rodziną Burbonów.

* Panna de Sainval, przygotowując się do pierwszego występuje na scenie teatru francuzkiego, grała szkaradnie na próbach, a zachwycająco na samem przedstawieniu. Był to zręczny podstęp, którym ochroniła się od intryg i zazdrości koleżanek. Gdyby na próbach zdradziła się była z swym talentem, nigdy do sceny nie zostałaby dopuszczoną.

* Panna Clairon, artystka dramatyczna, została skazaną na więzienie za jakieś wykroczenie przeciw królowi.

Gdy policyja przyszła po nią, aktorka zawołała tragicznie:

— Niech król mi zabierze majątek, życie, ale niech mi nie wydziera czci.

— Pani—rzekł policyjant—gdzie niema nic do zabrania i król nie weźmie (là où il n'y a rien à prendre, le roi perd ses droits).

* Aktor Clairval cieszył się względami margrabiny de Choiseul Stainville. Margrabia, dowiedziawszy się o tem, zagroził aktorowi, że dostanie sto kijów, jeśli choć raz jeszcze spotka go u żony. Margrabina zaś obiecała mu trzysta, jeśli się nie stawi u niej na wezwanie.

— Naturalnie, że powinieneś iść do niej—mówił kolega, którego Clairval prosił o radę—zrobisz dobry interes, bo dostaniesz o dwieście kijów mniej.

* Aktorka, do której się umizgał bogaty starzec, oprowadzała go razu pewnego po swych apartamentach.

— Co za wspaniała sypialnia—rzekł starzec, wskazując pawilon łóżka—wygląda to zupełnie jak kopuła.

— Ale nie u Inwalidów—odrzekła aktorka z drwiącym uśmiechem.

Kometa.

* — Co to jest kometa, proszę pana?—zapytał raz włościanin nauczyciela wiejskiego.

— Kometa — odpowiedział tenże — jest to gwiazda, nie należąca przecie do rzędu gwiazd zwyczajnych, nie ma też właściwej sobie drogi, zjawia się niespodzianie i nie zwiastuje nigdy nic dobrego.

— Ho, ho!—odrzekł oddalając się wieśniak—teraz to już rozumiem... kiedy ostatni raz jechałem do miasta, spotkałem takiego człowieka... miał kometę na czapce!

* Kiedy astrologowie z pojawieniem się komety przepowiadali kardynałowi Mazariniemu niedługą śmierć, tenże odpowiedział im z gorzkim uśmiechem: „O! kometa wyświadcza mi za wiele zaszczytu!“

* *Komety i... kobiety.*

Komety odpowiadają bez pytania wielu mądrym i dobrym celom stworzenia — toż samo czynią kobiety.

Komety są niepochwytne, ekscentryczne, piękne, tak... jak i kobiety. Komety świecą zawsze własnym blaskiem i najciemniejsza noc

nawet nie może pochłonąć ich wdzięków—czyż nie tak z kobietami?

Komety wprowadzają uczonych w błędne koło, jeżeli pokuszą się zbadać ich istotę... kobiety potrafią toż samo. Komety wzbudzają podziw w przemądrzałym filozofie, jak i w gburowatym wieśniaku – ten sam przymiot posiadają kobiety.

Komety i... ale lepiej więcej o nich nie mówić, może i tak czytelnik zawiele o nich myśli...

Komik.

* Zmarły komik wiedeński Scholtz rzadko zdobywał się na dowcip po za obrębem sceny; gdy się to jednak trafiło, jego „bons mots" były olśniewające. Miał on zwykle „pech" w kartach. Podczas gdy robiono składki na wystawienie floty niemieckiej, zapytał go przy wiście partner, co na ten cel ofiaruje?

— Ja—wyrzekł Scholtz obojętnie—ofiaruję niemieckiej flocie to, na co mnie stać—mój pech.

* Jeden z ulubionych paryzkich komików, Laurent, oddał się, jak wielu jemu podobnych, wbrew woli rodziny sztuce dramatycznej. Ojciec zwłaszcza najniechętniejszym był temu jego powołaniu i przebaczył synowi wtedy dopiero, gdy się z gazet dowiedział, że jego pierworodny syn dobił się sławy i został ulubieńcem paryzkiej publiczności. Wtedy dopiero dał mu ojcowskie zezwolenie i nawet zapragnął zobaczyć go na scenie. Wchodząc do teatru, spodziewał się ujrzeć go w roli wielkiego pana, bogato ubranego i sypiącego pieniądze; zamiast tego, Laurent grał rolę służącego i to jakiegoś niezdary, to też ojciec za powrotem do domu wpadł w gniew i rozpacz.

— Co ci jest? — spytała go przestraszona żona.

— Cicho bądź, stara, nie wspominaj mi nawet o tym błaźnie, który nam tylko wstyd przynosi. Wystaw sobie, byle słowo powiedział, wszyscy się od śmiechu zanoszą. Otóż to, po co wychowaliśmy dziecko: po to, by z niego publicznie drwili i wyśmiewali się."

Komisant.

* Pewien jowialny komisant z Szampanii, który często wesołe strony swego interesu dobrym popierał przykładem, otwierając i wysuszając butelki, został raz przez swego współbiesiadnika zapytany, dla czego czerwoność jest stałym przywilejem jego twarzy.

— Cóż chcesz, mój panie, noszę barwy handlowe!—odrzekł bez namysłu komisant.

* *Komisant handlowy.*

Pryncypał. Byłeś pan dwa miesiące w podróży i nie zarobiłeś nawet na koszta; jak to mam rozumieć?

Komisant. Proszę mi wierzyć, panie Rüffelmayer, że to nie moja wina, wszędzie bawiłem bardzo krótko...

Pryncypał. Eh! co mi pan gadasz. Muszę raz pana nauczyć! Przybierz pan taką minę, jakbyś był pryncypałem... A teraz... Czy mam przyjemność mówić z panem Szwermer?..

Komisant. Tak panie, ja jestem do usług!..

Pryncypał. Miło mi poznać. Jeżdżę w interesie domu Rüffelmayer i spółki.

Komisant. Tak! Jeździsz pan w interesie tych oszustów. Proszę w tej chwili wynosić się za drzwi!

Komisarz.

* *Komisarz w porządku.*

Oznajmiono intendentowi marynarki w Brest, że ogień wybuchnął w jednem z jego biur.

— Ach! wiem—powiada— co to jest; to komisarz składa swoje rachunki!

(Colombey, *Esprit des voleurs*).

Komitet.

* *Komitety w Galicyi.*

Jednocześnie z moją nominacyją na prezesa otrzymało tę godność 112-stu obywateli miasta Krakowa. Pan A. został prezesem sekcyi książeczek balowych, pan B. prezesem komisyi, wydelegowanej do utrzymania porządku między

stołami podczas uroczystości ludowej, pan C. prezesem komisyi, nalewającej piwo przy tej-że uroczystości, pan D. prezesem komisyi, mającej wręczyć bukiet pannie Józefinie Reszkównej, pan E. prezesem komitetu herbacianego w kole artystyczno-literackiem, pan F. prezesem jury, oceniającej wdzięki kwiatów wiejskich, mających złożyć się w piękny bukiet dziewiczy w pochodzie wyżynkowym i t. d. i t. d. Oprócz prezesowstwa barszczowego, podpisany ma zaszczyt być członkiem wymienionej na ostatku komisyi, oraz sekretarzem dwóch wielkich komitetów i trzynastu sekcyj, a mianowicie: balowej, kiełbasianej, sekcyi gadania, pamiątkowej, szampańskiej, biletowej, kokardkowej, afiszowej, galarowej, ogni sztucznych, lampionowej, fiakierskiej i dychów cielęcych.

K. Bartoszewicz. (p. t. I. s. 59).

Komorne.

* Jak się Turcy wyprowadzą do Azyi, to może komorne stanieje w Europie.

„Noworocznik wolnych żartów“.

Kompensacyja.

* Dwóch przyjaciół spotkało się po długiem niewidzeniu.

— Jak się miewasz?—zagadnął jeden.

— Nie osobliwie—odpowiada drugi—wiesz, ożeniłem się.

— Dobra nowina! winszuję ci.

— Niema czego! dostałem żonę złośnicę.

— Oh! to źle!

— Niekoniecznie, bo widzisz wniosła mi dwa tysiące luidorów.

— Aa! więc masz się czem pocieszać?

— Ii, niezupełnie, wdałem się w handel, nabyłem za tę sumę baranów, które wszystkie na zarazę padły.

— Do dyjabła! to wcale nie wesoła historyja!

— Ale i nie całkiem smutna, ponieważ za skóry odzyskałem wszystkie swoje pieniądze.

— Zatem jesteś zupełnie w porządku?

— Otóż właśnie, że nie zupełnie; wyobraź sobie: dom, w którym złożyłem cały mój fundusz, zgorzał ze szczętem.

— To fatalny wypadek, żal mi ciebie serdecznie, mój drogi.

— Eh! nie żałuj mnie znów tak bardzo, trzeba ci bowiem wiedzieć, że w tym pożarze zginęła i moja żona.

(Pauckoucke).

Komplement.

* Pewien uczciwy rzeźnik pojechał na wieś, by od pewnego właściciela ziemskiego kupić partyję świń. Wchodząc w dziedziniec pałacowy, spotkał córkę pana domu. Ponieważ była zadziwiająco piękną, zebrał nasz rzeźnik całą swą galanteryję i rzekł, nie ukrywając podziwu:

— Łaskawa panienko, jeżeli świnie pana dziedzica choć trochę są do niej podobne, to nie będę miał dość pieniędzy na zapłacenie ich.

* — Czy słyszałeś, przyjacielu—mówił jeden pan do swego znajomego—że mój szwagier został mianowany radcą stanu?

— Czy być może?—odpowiedział ten-że—Jeżeli tak, winszuję ci. Dziwi mnie jednak mocno, że dzienniki o tem nie wspomniały.

— I owszem, przed kilkoma dniami już o tem pisano.

— Co pan mówisz? ja najregularniej gazety czytam i nic podobnego nie znalazłem. Ale poczekaj pan, być może, że ta wiadomość jest wydrukowana na ostatniej stronie w dziale nieszczęśliwych wypadków, a tej ja tak dokładnie nie odczytuję.

* Marszałek Villars, zwiedzając razu pewnego obóz, usłyszał mówiącego oficera, że idzie dziś na obiad do Villarsa.

— Mój panie — rzekł marszałek, podchodząc — chociażby przez wzgląd na mój wiek i rangę mógłbyś mnie nazywać panem de Villars.

— Do dyjabła—rzekł oficer—jeśli tak, to i Cezara będę nazywać panem Cezarem.

* Książę Marlborough, widząc tęgą minę i postawę jednego z żołnierzy, wziętych pod Blenheim, rzekł:

— Gdyby wszyscy żołnierze francuzcy byli do ciebie podobni, nie dalibyście się tak łatwo pobić.

— Panie marszałku—rzekł żołnierz—nie brakło na dzielnych żołnierzach, ale wodza równego panu nie mieliśmy na nieszczęście.

* Pewien wieśniak, przybywszy do Paryża, zwiedzał Luwr. Wróciwszy do swego zaścianku, opowiadał z dumą, że miał szczęście widzieć króla i rozmawiać z nim.

— Co ci król powiedział?—pytano.

— Ponieważ stałem na przejściu, król powiedział mi: „Zejdź z drogi, głupia bestyjo!“

Wieśniak w prostocie ducha wziął to za najwykwintniejszy komplement.

* Wychodząc z teatru po przedstawieniu Edypa, pan jeden rzekł do Woltera, wskazując jakąś zapłakaną damę:

— Wycisnąłeś pan łzy z tych pięknych oczu.

— Pomszczą się one za to na wielu innych—odrzekł Wolter.

* Gaskończyk pewien, pragnąc wejść do służby wojskowej, przyszedł z ojcem do marszałka de Belle-Isle. Ojciec zaczął się rozwodzić nad mądrością jedynaka, dodając, że umie po grecku.

— Na co mu tam greczyzna? — rzekł marszałek.

— Na co?—odparł młody ochotnik—chociażby na to tylko, by umieć porównać odwrót dziesięciu tysięcy z odwrotem pragskim.

* Marszałek de Berwick przed samą bitwą pod Etlingen zobaczył przybywającego do obozu hrabiego de Saxe.

— Panie hrabio—rzekł—oczekiwałem na znaczne posiłki, ale pan staniesz mi za całe wojsko.

* Marszałek de Boufflers, który się okrył sławą podczas obrony miasta Namur, po zdaniu tegoż został wzięty w niewolę, pod pretekstem, że francuzi również wzięli w niewolę załogę Dixmundy, bez względu na warunki kapitulacyi.

— Jeśli tak—rzekł marszałek—wolno wam uwięzić załogę, ale nie mnie.

— Panie marszałku—odpowiedziano mu— cenimy cię wyżej, jak te dziesięć tysięcy żołnierzy, z których się składa załoga.

* Pan de Saint-Ange, znajdując się razu pewnego wraz z ministrem Turyot w bogatej biblijotece tego ostatniego, rzekł:

— Widzę, że pan inaczej się obchodzisz ze swoją biblijoteką, a inaczej z finansami królewskiemi — powiedział pan de Saint-Ange — bo z tych ostatnich nie zrobiłeś dla siebie żadnego użytku.

* Burmistrz miasta Amieno, przyjmując księcia d'Aumale, wygłosił urzędową przemowę, po której dodał parę słów z własnego natchnienia:

— Jaśnie oświecony książę, miałem szczęście widzieć matkę waszej wysokości. Nie była ona tak wielką, jak wasza książęca mość, ale nieraz się to zdarza, że mała krowa wodzi duże cielę.

* Fontenelle znajdował się razu pewnego w towarzystwie, gdzie pokazywano przedmiot jakiś z kości słoniowej tak delikatnego wyrobu, że z obawy uszkodzenia nikt nie śmiał się go dotknąć.

Wszyscy się nim zachwycali, a Fontenelle powiedział:

— Nie lubię przedmiotów, z któremi z tak wielkiem poszanowaniem trzeba się obchodzić. Nie mówię tego do pani — rzekł, zwracając się do wchodzącej pięknej hrabiny de Flamareus.

* — Czy nie znajdujesz, że się postarzałem?—pytał Ludwik XIV malarza Lebrun, który po raz dziewiąty robił jego portret.

— W istocie, Najjaśniejszy Panie, spostrzegam kilka kampanii na czole Waszej Królewskiej Mości.

* Marszałek Villars ukazał się po raz pierwszy w Wersalu po zawarciu pokoju.

— Przybywasz pan z gałązką oliwną—rzekł król. — Cenię ją na równi, a nawet wyżej, niż twoje wawrzyny.

* Księżna de Fronsac winszowała swemu teściowi zdrowia, upewniając go, że ślicznie wygląda.

— Pani—odrzekł teść--sądzę, że zamiast na mnie, patrzysz w lustro.

* Gdy Mascaron po długiej przerwie ukazał się na dworze Ludwika XIV, obsypano go, jak w czasie jego młodości, oklaskami.

— Panie—rzekł król—wymowa pańska nigdy się nie zestarzeje.

* Ludwik XIV lubił słuchać opowiadań Dugnay-Trouin'a o odbytych wyprawach.

Pewnego dnia opowiadał admirał o bitwie, w której dowodził statkiem Sława (Gloire).

— Rozkazałem Sławie, by mnie ani na krok nie odstępowała—mówił.

— Spełniła wiernie twój rozkaz — odrzekł król.

— * Rzecz dziwna—mówiła pewna znana literatka, pani A.—są ludzie, którzy nas obsypują komplementami, a jednak nie robi to na nas żadnego wrażenia, kiedy czasem przeciwnie, rzuci ktoś od niechcenia jakieś słówko, ale tak trafne, że nas od razu za serce pochwyci. Nie dalej, jak parę dni temu, pan X. powiedział mi:

— Najbardziej mi się podobają oczy pani dla tego zapewne, że odbija się w nich cała jej inteligencyja. Pani masz zupełnie spojrzenie pani de Staël.

Była to bagatelka, nieprawdaż? a jednak zrobiła mi prawdziwą przyjemność... być może przez to, że zawierała prawdę.

(Larcher, *Diction. d'anecd. sur les femmes*).

* Pan de Saint-Ange, tłumacz „Metamorfoz Owidyjusza", złożył wizytę Wolterowi, który wówczas przebywał w Ferney.

Ułożył z góry piękny komplement, którym projektował sobie pozyskać łaski filozofa fernejskiego i w ten sposób przemówił:

— Przyszedłem dziś ujrzeć Homera, jutro odwiedzę Sofoklesa, po jutrze Anakreonta...

— Ach! panie--powiedział Wolter, przerywając — jestem już tak stary, że zobowiążesz mnie niewymownie, składając mi te wszystkie wizyty za jednym razem.

* Na raucie u państwa X. artystka, która skończyła swoją aryję, zbliża się do krytyka.

— Ach! panie, szkoda, żeś nie słyszał tych amatorek śpiewaczek, okropność, jakie głosy! Jakże się panu spodobał mój śpiew? Chciałam odmówić, lecz mię tak usilnie proszono...

— To trudno, proszę pani, jeżeli się wlazło między wrony, trzeba krakać, jak i one.

* Dwóch młodych ludzi przechodziło dnia pewnego koło jakiejś damy.

— To najpiękniejsza kobieta z tych, jakie zdarzyło mi się widzieć—powiedział jeden.

— Żałuję, że panu nie mogę tego samego powiedzieć—powiedziała dama.

— I owszem, zechciej tylko skłamać, tak jak ja to zrobiłem.

* Pewien pisarz, mający wysokie wyobrażenie o swych literackich zdolnościach, przyszedł do znanego humorysty M. G. Saphir'a z rękopismem komedyi, którą chciał mu przeczytać i powiedział:

— Pan wiesz, panie Saphir, że Molier, skoro napisał jaką sztukę, czytał ją zawsze swej kucharce. Był on tego zdania, że ustępy, które wzbudzały śmiech starej kobiety, też same wrażenie sprawią potem na słuchaczach. Otóż chcę przeczytać panu mój utwór w przekonaniu, że to, co zyska pańskie uznanie, spodoba się również wszystkim czytelnikom.

— Dziękuję panu po sto razy za śliczny komplement—odrzekł Saphir—ale miej mnie za wytłumaczonego, że dopóki nie zostaniesz Molierem, ja nie będę twoją kucharką.

* Gdy Jan Bart po odniesionem zwycięztwie wysłał syna swego z raportem do Ludwika XIV, zaprowadzono go przed króla w podróżnem ubraniu i w długich ciężkich butach, w których nie mogąc się utrzymać na gładkiej posadzce, pośliznął się i zachwiał.

Uprzejmy monarcha, wyciągając z lekkim okrzykiem rękę na pomoc młodzieńcowi, odezwał się do niego z uśmiechem dobrotliwym:

— Och! jak to zaraz widać, że panowie Bart są lepszymi marynarzami, niż kawalerzystami.

(*Improvisateur français*).

* Ludwik XIV, mianując Flechiera biskupem w Nimes, powiedział do niego:

— Niech cię to nie dziwi, że wynagradzam tak późno twoje zasługi, ale nie chciałem się pozbawić jak można najdłużej przyjemności słyszenia ciebie.

(*Pauckoucke*).

* *Nieudany komplement.*

Literatka. Przyszłam złożyć panu, jako nowemu redaktorowi, uszanowanie i prosić go, aby był dla moich prac tyle łaskaw, ile jego poprzednik.

Redaktor. Ależ, rozumie się, szanowna pani. Przecież uważamy panią, jako jedną z najstarszych naszych współpracowniczek.

Literatka (oburzona). Mój panie, nie zasłużyłam na tego rodzaju obelgi. Żegnam!

* *Komplement oryginalny.*

Leopold de Mayer koncertował raz na dworze austryjackim, w obecności ojca dziś panującego cesarza, który pod koniec żywota równie miał słaby umysł, jak i zdrowie.

Kiedy po ukończeniu gorączkowej i pełnej ruchu gry, rozległ się szmer pochwalny, monarcha, nie spuszczając z oka czoła artysty, kłaniającego się nizko, podchodzi do niego i z głęboką wiarą, z niewzruszonem przekonaniem powiada:

— Słyszałem Chopina, Liszta, Thalberga, słowem wszystkie znakomitości europejskie, ale nie zauważyłem, aby się który z nich tak pocił, jak pan; pan jesteś zdumiewającą osobistością.

(Ch. Yriarte, *Monde illustré*).

* *Zgrzybiała galanteryja.*

Margrabia de Saint-Aulaire, liczący dziewięćdziesiąt dwa lata, szeptał na ucho hrabinie de Béranger bardzo dwuznaczne komplementy. Odpowiedziała mu z filuteryją:

— Margrabio, tobie nie mam nic do odmówienia...

— Ależ, pani! wygnałabyś wszelką galanteryję, gdybyśmy potrzebowali brać ją dosłownie!...

(*Dictionnaire d'anecdotes*).

* *Komplement kulinarny.*

Kawaler. Pani wróciłaś z podróży? Jakąż pani miałaś drogę?

Panna. Ach! powiadam panu, okropną! Przez trzy godziny musiałam się dusić w karetce pocztowej, następnie drugie trzy godziny piekłam się w wagonie.

Kawaler. Słowo daję, stałaś się też pani jeszcze smaczniejszym kąskiem.

Kompozytor.

* Sławny Rameau miał ucho nadzwyczaj wrażliwe na dźwięki. Znajdując się z nim razem, trzeba było nie tylko śpiewać, ale mówić i szczekać muzykalnie. Będąc raz u pani de Tenan, wyrzucił przez okno ulubionego jej prześlicznego pieska, tłómacząc się tem, że szczeka fałszywie.

Będąc już na łożu śmierci, słuchał ze skruchą słów spowiednika, wtem raptem zerwał się na posłaniu, wołając:

— Wyjdź pan, panie proboszczu, na miłość Boga, wyjdź ztąd, mówisz do mnie zupełnie fałszywym głosem.

Komunały.

* *Kilka komunałów* (ze starych szpargałów przepisał Oskar Młot).

Dla czego mówią często, że człowiek jest w niebezpieczeństwie życia, ale częściej mówią, że jest w niebezpieczeństwie śmierci? Kiedy zasłabnie, to jest w niebezpieczeństwie życia, kiedy jednak doktór przyjdzie, to w niebezpieczeństwie śmierci.

Dla czego Mahomet zabrania wina, a dozwala wielożeństwa? Dla tego, że wie, iż trzeźwy człowiek więcej, jak jedną żonę, nie weźmie.

Dla czego kobiety zostają tak często w małżeństwie na stopie wojennej? Dla tego, że nie wiedzą, iż podczas pokoju niema awansu i tylko w wojnie łatwo dojść do naczelnego dowództwa.

Naznaczają rozmaite nagrody konkursowe za dzieła i wynalazki, lepiejby zrobili, gdyby ustanowili konkurs na pokazanie całego niepoderwanego na zdrowiu i kieszeni młodzieńca.

Pewna pani określiła tak starego kawalera: Jest to martwa litera, światło bez płomienia, dziecko bez nauki, wyspa bez przystani, drzewo bez owocu. Dziękując za tak dobitne określenie, upraszamy, ażeby który z panów określił, czem jest *stara panna?*

Mężczyzna jest jednością, kobieta zerem, a jedność i zero daje dziesięć, dla tego to każda para małżonków stanie za dziesięciu kawalerów.

Mężczyzna w szczęściu puszcza sobie butelkę szampana przez gardło, a kulkę przez głowę w nieszczęściu. Kobiety mają łzy w szczęściu, a modlitwę w nieszczęściu. Któraż właściwie jest płcią silniejszą?

* Zapytano raz pewnego mędrca, jakim sposobem może wielki pan wejść do nieba?

— Gdy ma szczęście umrzeć w kolebce — odpowiedział.

* Mąż, jeżeli widzi swoją żonę nie w humorze, zapytuje zwykle: „co ci brak?“ zamiast zapytać: „kogo ci brak?“

Mąż i żona, mówią zwykle, że to jedno ciało; ja zaś utrzymuję, że mąż, to ciało, a kobieta jest duszą i dla tego właśnie niektórzy z mężczyzn są zagorzałymi przeciwnikami nieśmiertelności duszy.

Najpierwszą parą małżeńską na świecie jest słońce i księżyc; słońce jest kobietą, księżyc mężczyzną, oboje żyją bardzo zgodnie, a to dla tego, że zaraz po ślubie ułożyli między sobą takie prawo małżeńskie: kiedy żona wieczorem udaje się na spoczynek, mąż sobie całą noc spaceruje. Nigdy się więc nie spotykają.

Dla czego nasi literaci tak obawiają się śmierci?

Dla tego, że wiedzą, iż tam na górze tylko dobre dzieła bywają wynagradzane.

Kobiety żyją w ciągłej wojnie. Od 18 do 25 lat prowadzą siedmioletnią wojnę serca z rozumem, a od 25 do 35—trzydziestoletnia wojna natury z krawcem.

Pole filozofii podobne jest do ciemnych chmur: czem głębiej w nie wejdziesz, tem bardziej są ciemne i porozrzucane. Prawnictwo to znów, jak ogród owocowy, tylko że owoce wiszą dosyć wysoko. Medycyna zaś, to pole kartoflane: najlepsze owoce znajdują się pod ziemią...

Jakie podobieństwo zachodzi między wiosną a odczytami naszych prelegentów?

Na wiosnę raduje nas widok pierwszego listka, a w odczytach—widok ostatniego.

Komuś.

* Mówisz, żeś błazna widział, czegoś dawno żądał,
Pono u cyrulika, kiedyś się przeglądał.

Wespazyjan Kochowski. (p. t. I s. 49).

Koncept.

* Książę Henryk pruski, brat Fryderyka Wielkiego, udał się do teatru na przedstawienie *Kastora i Polluxa*, sztuki granej specyjalnie dla niego, a siedząc obok Boufflersa i młodziutkiego Elzeara de Sabran, zachwalanego z bystrości umysłu, bawił się zadawaniem dziecku pytań:

— Wytłómacz mi więc, co to są ten Kastor n Pollux? Widzę, że słuchasz z wielkiem zaiem?

— To są — odpowiedział Elzear — dwaj bracbliźniaki, wyszli z jednego jajka.

— Ale i ty — mówi książe — wyszedłeś też ajka?

Wtedy dzieciak, któremu zlekka podpowia' Boufflers, zaimprowizował taki czterowiersz:

Nie, książę, co do mnie, to bajka—
Raczej tobie powiem,
Żeś wykluł się z jajka,
Orłem jesteś bowiem.
(Ma naissance n'a rien de neuf,
J'ai suivi la commune rigle;
Mais c'est vous qui sortez d'un oeuf,
Car vous êtes un aigle).

(De Ségur, *Mémoires*).

* — Od czego może pochodzić nazwa Maj?
— Zdaje się, że od wyrazu *majonez*.

* W pewnej gospodzie w Atenach towaystwo kuglarzy i skoczków zabawiało biesiaików; wszyscy zanosili się od śmiechu. Anaarsis tylko siedział smutny i milczący. Nagle glarze odsłonili ukrytą dotąd małpę, która emi minami i grymasami i jego nareszcie podziła do śmiechu. Zapytano się wtedy Anaarsisa, czemu dopiero figle zwierzęcia zdołały rozweselić, a filozof odpowiedział: „Bo były turalne".

Taka do dzisiaj zachodzi różnica w naszych bawach: tłum ludzi śmieje się, wykształcony ś człowiek nie tylko milczy, ale cierpi nad m, że jedni udają wesołość, drudzy zaś śmiesię z nich, sami nie wiedząc, dla czego.

* Henryk IV zapytał pewną młodą osobę dworskiego personelu, w której bardzo gustoł, którędy dostać się można do jej pokoju. dpowiedziała mu krótko: „Przez kościół".

* Słynny lekarz hugonota przeszedł na wiakatolicką, skutkiem czego Henryk IV, rozmawiając z Sully'm, odezwał się w te słowa: „Wiesz co, mój przyjacielu, twoja religija musi być bardzo chora, skoro ją opuszczają lekarze".

(Recueil de belles actions de Henri IV).

* Ludwik XIV nie ochraniał nigdy rąk swoich od zimna, nawet w najtęższe mrozy, co widząc raz jeden z dwóch włościan, którzy go spotkali na polowaniu, wyraża z tego względu swoje zdziwienie. Na to mu drugi odpowiada uspokajająco: „Nie troszcz ty się o niego; jemu, widzisz, zawsze ciepło, bo on ciągle trzymaręce w naszych kieszeniach.

* Tyran Denis pytał się raz Arystyppa, zkąd to pochodzi, że filozofowie ubiegają się o łaski książąt wtedy, kiedy książęta nie ubiegają się wcale o łaski filozofów?

Arystypp odpowiedział mu:

— Pochodzi to ztąd, że filozofowie znają swoje potrzeby, a książęta nie znają ich wcale.

(Bibliothèque de cour).

* Pani de Staël opowiada, że młody jakiś facet, usiadłszy raz u stołu pomiędzy nią i panią Becamier, odezwał się do swego vis-à-vis:

— Otóż, jak widzisz, znalazłem się pomiędzy rozumem i pięknością.

— Och! tak, nie posiadając sam ani jednego, ani drugiej — w lot mu odcięła córka Neckera.

* Kiedy Talleyrand był niebezpiecznie chory, wszystkich zaciekawiało pytanie, jak też on się załatwi z duchowieństwem?

Ludwik XVIII, wobec którego mówiono o tej kwestyi, powiedział:

— Pan de Talleyrand zanadto dobrze żyć umiał, aby nie miał potrafić dobrze umrzeć.

* Pan Duprin znalazł się na operze obok sąsiada, który ciągle nucił, co go w najwyższym stopniu niecierpliwiło.

— Co panu jest? pan masz minę człowieka niezadowolonego? — pyta go brzęczący towarzysz.

— Jestem wściekły—odpowiada—na tego łotra Duprez, który mi nie pozwala uważnie słuchać pana.

(*Mosaïque*).

* Jakaś dama kwestując, podchodzi do znanego bogacza, lecz ten daje jej szorstką odprawę i zapewnia, że nie ma nic.

— Och! w takim razie weź pan co dla siebie z tego woreczka, wszakżeż ja zbieram dla biednych.

Koncert.

* *Koncert studencki.*

Oczarował publiczność wysokiemi tony
I oklaski tak grzmiały, jak pęknięcie bomby,
Że zgłuszyły orkiestry sążniste puzony,
Wszelkie skrzypce i flety, wszelkie inne trąby.

I kłaniał się i kłaniał, miał śmiejące lice
I zaśpiewał prześliczne własne dwa romanse,
Dwa razy „Sicilianę“, romans z „Dejanice“,
Siedm razy zaśpiewał, w trzy blizko kwadranse!

Potem włożył na siebie futro sobolowe,
Na nogi nie zmienione, lecz swoje kalosze,
Włożył, ma się rozumieć, kapelusz na głowę...
I pojechał tak z szykiem... że to siadać proszę...

. . . .

Ej, stary to znajomy, nasz pan Jan ceniony,
Włożył sobie frak czarny, czarny, jako heban,
I powiedział przecudnie marsz żałobny „Dzwo-
[ny“,
Jak mówca w parlamencie, lub kazanie pleban.

A pan Michał grał marsza na klawicymbale,
A łzy wszystkim kapały na posadzkę szklistą,
Inni łzy obcierali, co nie ciekły wcale,
Chcąc pokazać swą chustkę jedwabną...i czystą.

Grzmiącą falą oklasków im podziękowali,
Kłaniał się pan Jan najpierw, a potem pan Mi-
Potem obaj odrazu znowu się kłaniali— [chał,
I wciąż jeden drugiego przed siebie wypychał.

. . . .

Jako mały słowiczek, lub kanarek jaki,
Co uroczym szczebiotem rozwesela gości,
Wyszła na front estrady jasnowłosa Czaki,
Aby nam opowiedzieć wszelkie „snu przykrości.“

Ale wielki harmider, krzyki i hałasy,
Czyniły coś z koncertu jakby jarmark jaki,
Więc, choć minką robiła przeróżne figlasy,
Lecz nic słychać nie było, co szczebiocze Czaki!

. . . .

A!... pani Stromfeldowa... ciebie nie pominę,
Nie zapomnę o Tobie i ku Twojej chwale,
Za dobrze wykonaną z „Lakme“ cavatinę,
Sążnisty panegiryk Ci zaraz wypalę:

Byś zbierała swej sławy prześliczne sukcesa!...
Byś śpiewała nam sto lat „Lakme“ Delibesa,
Byś sączyła nam tonów przeczystą krynicę
I nigdy nie drapnęła od nas... za granicę.

. . . .

„Finis coronat opus“ — przysłowie powiada,
Żem na koniec zostawił, niech nikt mnie nie wi-
Próżną tutaj by była pochwalna tyrada, [ni,
Więc krótko wolę krzyknąć: niech żyje Quat-
[trini!

Iks. Nim. Sok.

* *Na koncercie.*

— Mężu, czy ten pan, znajdujący się obecnie na estradzie, śpiewa tenorem, czy też barytonem?

— Ależ, moje dziecko, cóż za dziwne zapytanie? on śpiewa gardłem.

Konduktor.

* Pewien konduktor obwoływał zachrypniętym głosem nazwiska stacyi kolejowych, a pasażerowie zwrócili mu uwagę, iż nikt nie może zrozumieć słów jego.

— Moi panowie—odrzekł konduktor—załóżcie pretensyję do zarządu, może za 80 marek miesięcznie zgodzi wam tenora teatralnego.

Konie.

* *Chciałbym być koniem hr. Ludwika!*

O i ja także byłem na wystawie
I liczne tłumy rozpychałem dłońmi,
Bo się przecisnąć niepodobna prawie.
Gdy przed hrabskiemi stanęliśmy końmi,
Jakaś w nas zawiść panowała dzika
I falowało wciąż z zazdrości łono
I każdy mówił z miną zachmurzoną:
— Chciałbym być koniem hr. Ludwika!

Tu niedaleko emeryt stał chudy,
Twarz piętnowana długiej pracy znojem,
Znać w biurokracyi przebył znaczne trudy,
Patrzy na konie z dziwnym niepokojem.
I jakaś boleść mu duszę przenika,
Krzywi się, jakby pił gorycz z kielicha,
Popatrzył smętnie i szepnął tak z cicha:
— Chciałbym być koniem hr. Ludwika!

Tam znów konduktor z tramwaju swe oczy
Wytrzeszczył, cały owiany zachwytem,
I rzekł w ekstazie: — Ach! lokal uroczy!
Taki dobrobyt jest marzeń mych szczytem!
Nieraz gdy jadę, a koń się rozbryka,
Wytrącą karę i jedną i drugą,
Czyż warto takim u Belgów być sługą?
— Lepiej być koniem hr. Ludwika!

Więc po co w długie wdawać się rozprawy,
Gdy każdy prawie dziś z zazdrości płonie,
Każdy wśród placu rolniczej wystawy
Widzi, że ludzie są gorsi, jak konie!
Ja też wynurzę swe myśli najszczersze,
Bo i mnie zazdrość całego przenika
I w miejsce płodzić tu prozę i wiersze...
Chciałbym być koniem hr. Ludwika!

Saltomortale.

* *Koń szlachecki i koń żydowski.*

W uprzęży, krytej srebrem od dołu do góry,
Koń szlachecki przepyszne prowadził tilbury...
I parskając, zdał z dumą pysznić się przed świa-
[tem,
Że sam szlachcic go drażni eleganckim batem;
Z tej pychy tłusty źrebiec różne czynił sztuki:
Gryzł mundsztuki,
Wstrząsał grzywą,
Dokazywał...
I podkowy pięknie pokazywał.
Jak na dziwo:
Głową ciskał,
Pianą pryskał
I wciąż parskał, jak najęty...
W poprzek szosy koń inny ciągnął wóz ze
[smołą,
Słaby, stary i nie mógł z tym ciężkim pociągiem
Poradzić — tak jak okręt, co wszedł na mieliznę,
Więc się ledwie obraca w owym wozie koło,
A żyd smolarz wciąż krzyczy:
— Fur, fur dy, zdechlizne!
I grzmoci nieboraka w grzbiet dębowym drą-
[giem.
Koń szlachecki zły, że inny zagrodził mu drogę,
Krzyknął: „Na bok, niedołęgo!
Dobrze, że cię grzmocą tęgo,
Bo przez cię biegnąć nie mogę...“
Na to ozwie się szkapa biedna w głos ponury:
„Jaśnie wielmożny bracie, nie drzyj łba do góry:
Bo tak się w świecie wyrabia plan,
Że gdy stracisz siły, zdrowie,
Sprzeda cię szlachcic, jasny pan,
Jak zwykle jaśni panowie.
A ty, mój bratku, chociaż bat cię dzisiaj gniecie,
Będziesz brał także drągiem po wychudłym
[grzbiecie.“

Świąteczny.

Koniokrady.

* *Myśl panny wiejskiej.*

Ach! jak żyć na świecie zdradno,
Gdy w koło konie kradną...
Koniokradów jest tak dużo,
Że się psy i stróże nużą,
A na większe nasze żale,
Pannokradów niemasz wcale.

Konkurent.

* *Konkurent w grochu.* (Ze wspomnień o Syrokomli).

Wiadomo zapewne wszystkim czytelnikom a jeżeli nie wszystkim, to przynajmniej niejednemu, że ś. p. Ludwik Kondratowicz od roku 1841 — 44 pracował w zarządzie dóbr Radziwiłłowskich.

W gronie jego kolegów biurowych znajdował się niejaki pan S., niezmiernie miękkiego i wrażliwego, lecz zarazem tchórzowatego serca.

Od Nieświeża, gdzie się wspomniony Zarząd mieścił, o kilka mil mieszkali państwo P., na których błogosławieństwo Boże spłynęło w postaci kilku aniołków, w języku pospolitym córkami zwanych. Do jednej z nich wzdychał młody kolega Syrokomli, wzdychał zaś potajemnie, gdyż jak powiedzieliśmy wyżej, zdecydować się na krok, zwany oświadczynami, było nad jego siły.

Syrokomla, czy się sam tego domyślił i zwierzenie z kolegi wyciągnął, czy też pomimo woli został powiernikiem sercowych męczarni S., dosyć, że przyrzekł mu swoją pomoc w tej sprawie.

Ponieważ młodość w ogóle ma to do siebie, że nic odkładać nie lubi, wkrótce więc stanął między kolegami projekt, że pojadą razem do państwa P. i Syrokomla oświadczy się za swego nieśmiałego towarzysza.

Nadszedł dzień upragniony. Drogą, wiodącą do majątku, zamieszkiwanego przez państwa P., jechało dwóch młodych ludzi; promienie sierpniowego słońca ozłacały dwie twarze: jedną wesołą, drugą... wystraszoną.

Im bardziej zbliżali się do celu, tem twarz wystraszona nabierała rozpaczliwszego wyrazu.

— Co ci jest? — spytał Syrokomla towarzysza.

— Sam nie wiem, ale... ale ja nie pojadę... ja nie mogę być świadkiem... ja...

— Człowieku, opamiętaj się! O wiorstę drogi jesteśmy i mamy wracać?

— Nie—odrzekł zapytany — ty jedź, ja zostanę...

— Gdzie?

— Tu — i zeskoczył z bryki.

Po obu stronach drogi ciągnęły się łany zasiane grochem.

— Dobrze, niech i tak będzie—odrzekł Syrokomla — z odpowiedzią zaraz powrócę; bądź dobrej myśli i łuskaj strączki tymczasem.

Homo proponit, Deus disponit.

Pomimo przyrzeczenia, nie mógł swat odrazu przystąpić ad rem, po chwili zaś, czy to pod wpływem modrych ocząt, czy też z innych powodów, dosyć, że i o koledze i o nieodprzęgniętych koniach zapomniał.

„Szczęśliwi godzin nie liczą", powiada przysłowie, ale musiał je strasznie liczyć konkurent zostawiony w grochu, skoro aż zbłąkana maleńka chmurka, widząc jego nieszczęście, zapłakała, ale tak rzewnie, jak tylko małe chmurki płakać umieją. Jaśniej mówiąc, deszcz lunął, jak z cebra.

— Panie Ludwiku, cóż to konie pańskie nie odprzęgnięte na deszczu mokną?—wyrzekła jedna z panien P., wyjrzawszy przez okno.

Teraz dopiero tak misyja, z jaką przybył, jako też i położenie koleżki, musiały wyraźnie zarysować się w umyśle Syrokomli; zaczął się bowiem tłumaczyć, że wpadł tylko na chwilkę i że dalej jechać musi koniecznie, co też niebawem uczynił.

O oświadczynach, rzecz prosta i mowy być nie mogło.

A konkurent?

Pozostał z wiankiem, który sam sobie uplótł, chcąc skrócić chwile oczekiwania.

Konopie.

* W tej zielonej, pachnącej i gęstej krzewinie,
Koło domu, jest pewny przytułek zwierzynie
I ludziom. Nieraz zając, zdybany w kapuście,
Skacze, skryć się w konopiach bezpieczniej niż [w chróście;

Bo go dla gęstwi ziela ani chart nie zgoni,
Ani ogar wywietrzy dla zbyt tęgiej woni.
W konopiach człowiek dworski, uchodząc kań-
[czuka,
Lub pięści, siedzi cicho, aż się pan wyfuka.
I nawet często zbiegli od rekruta chłopi,
Gdy ich rząd śledzi w lasach, siedzą wśród ko-
[nopi.
I ztąd to w czasie bitew, zajazdów, tradowań,
Obie strony nie szczędzą wielkich usiłowań,
Ażeby stanowisko zająć konopiane,
Które z przodu ciągnie się aż pod samą
[ścianę,
A z tyłu, pospolicie stykając się z chmielem,
Kryje atak i odwrót przed nieprzyjacielem.

A. Mickiewicz. (p. t. I s. 19).

Konrad.

* *Na przedstawieniu „Konrada Wallenroda“ w Krakowie.*

Rzecz dzieje się przy kasie teatru.

— Proszę o bilet wolnego wejścia...

— Przepraszam... ale...

— Jestem autorem „Konrada Walenroda.“

— Ach, pan dobrodziej! A czy mam przyjemność mówić z panem Mickiewiczem?

— ?!?

* *Na Konrata.*

Milczycie w obiad mój panie Konracie!
Czy tylko na chleb, gębę swą chowacie?

J. Kochanowski. (p. t. I s. 14).

Konserwatyści.

Grali panowie w karty
W klubie w dzień powszedni—
Wszedł dyjabeł i zapytał:
„Coście wy za jedni?“
„Myśmy konserwatyści—
Rzekli—„szlachta stara.“
„A cóż konserwujecie?“ —
„Maczka i baccara.“

Konstelacyja.

* *Baran*, mimo łagodnych, niewinnych skłon-
[ności,
Ma rogi, czołem bije, nie wolen od złości.
Byk, groźniej jeszcze zbrojny, chociaż w pługu
[chodzi.
Pomaga ludziom w pracy, lecz czasem im
[szkodzi.
Bliźnięta: Kastor, Pollux, zgodę znamionują,
A jednak uzbrojonych zawsze ich malują.
Rak naprzód i w tył chodzić równie uzdolniony,
Znaczy, że wszystko w świecie ma dwie różne
[strony.
Lew, co się piania koguciego boi,
Znaczy, że mocny czasem słabym nie dostoi;
Panna z wdziękami, *Waga* z słuszności za-
[letą
Niech czytelniczek moich zostanie planetą.
Niedźwiadek, co jad zgubny nosi w swym ogo-
[nie,
Złe płody wróży, choćby w pięknej ziemi
[stronie;
Strzelec, że kto w lot trafia, gdy dobrze celuje,
Do stogu siana spudłuje.
Koziorożec swawolą, a *Wodnik* z *Rybami*,
Wodny gust znaczą, sprzeczny z naszemi cza-
[sami.

(*Humorysta Warszawski*).

Konsylijum.

* *Na konsylijum.*

Doktór A. A ja powiadam szanownemu koledze, że trzeba zrobić *to a to*...

Doktór B. Przepraszam szanownego kolegę, ale mojem zdaniem właściwsze by było *to a to*...

Doktór A. Mylisz się szanowny kolega.

Doktór B. Pomyłka po stronie szanownego kolegi... ja obstaję przy swojem...

Doktór A. No zobaczymy; pokaże się to za kilka dni przy sekcyi, kto z nas dwóch miał racyję.

Kontrakt.

* *W kontrakcie tego niema...*

Powraca z wód pan bankier –
I zdumiał, że aż strach,
W salonie na kanapie
Przy żonce siedzi gach...
Przygląda się.—Buchalter
To jego własny jest!
Więc bankier oburzony
Rzekł, groźny czyniąc gest:
— A więc pan tu pracujesz?
Mój panie, tego wszak
W kontrakcie z panem niemam,
W kontrakcie tego brak!..

Pojechał Iks daleko,
Gdzie sprawy wiodły go,
A w domu pozostawił
Prześliczną żonkę swą...
Powraca po dwóch latach
I widzi... istny cud!
W kołysce leży synek,
Gdy nic nie było wprzód...
Więc rzecze, patrząc w żonę
Spłonioną gdyby rak:
—W kontrakcie tego niema,
W kontrakcie tego brak!!!

Za starca poszła za mąż
Dzieweczka cudnych lic,
Marzeniem jej są... dzieci,
A tu jak nic—tak nic ..
Raz rzecze mężusiowi:
—Ty snać nie kochasz mnie,
Doprawdy, że to zgroza,
To wstyd, to bla, to fe!
Mąż na to odpowiada:
—To, widzisz... niby... tak...
W kontrakcie tego niema,
W kontrakcie tego brak!..

Gazowe oświetlenie
Wciąż prasa karci w głos,
Nie jeden o latarnię
Na miazgę tłucze nos...
Niedawno temu przecie
,,Gazowych" panów raz:
Ktoś pytał się w sekrecie,
Dla czego gaśnie gaz?..
—Co? ma się palić jasno?..
Wzburzeni rzekli tak,
—W kontrakcie tego niema,
W kontrakcie tego brak!.

Raz piękna baletnica
Wypadek miała... ach!
Zasłabła, tak biedaczka,
Zasłabła że aż strach!
Choć prosi dyrektora
I mówi: przebacz pan!
Dyrektor tańczyć każe,
Hiszpański jakiś tan...
—Nie mogę... wszak pan widzisz...
A on jej na to tak:
—W kontrakcie tego niema,
W kontrakcie tego brak!

Kuryjerki wciąż podają
Nowinek cały sznur,
Na trzy nowiny jednak
Jest trzy... ,,pęknięcia rur".
Na różnych sesyjach naszych
Ich siedzi cały zbiór,
Lecz żadna z tych żyjących
Nie pęknie nigdy rur...
By żywe popękały,
Byłoby lepiej wszak,
A tu w kontrakcie niema,
W kontrakcie tego brak!..

Pan radca chociaż stary
Lecz jeszcze tęgi mąż,
Do pokojówki domu,
Miłością pała wciąż...
I prócz czyszczenia butów
I sukni z różnych plam,
Pan radca coś powiedzieć
Chce Rózi sam na sam...

Lecz ona zawsze mówi,
Dziwaczny robiąc znak:
—W kontrakcie tego niema,
W kontrakcie tego brak!..

P. Kośmiński. (p. t. I s. 349).

Kopeć.

* *Kopeć i Skumina, to jedna rodzina.*

Gra słów, która poszła z fraszki Kochanowskiego, albo może posłużyła mu za temat do niej:

„Daje za pana Kopcia córkę pan Skumina,
Bez dyspensy nie może, gdyż to jest rodzina."

Przydomku Skumin używało kilka rodzin szlacheckich: litewska Tyszkiewiczów, wielkopolska Słoneckich i ruska Mikuliczów; Kopciowie—domy starożytne w W. Księztwie.

Kopernik.

* — Czy widziałeś posąg Kopernika?

— Widziałem.

— Jakże on wygląda?

— Siedzi w szlafroku na kuferku i cytrynę nożem obiera.

(Humorysta Warszawski).

* *Przed Kopernikiem.*

Szczebiotka. Moja mamo! czy *ten Kopernik* to ma sobole na kołnierzu, czy popielice?..

Mama. Sobole, moje dziecko ..

Szczebiotka. Więc to był jakiś bogaty człowiek, moja mamo!..

Mama. Pochodził z *klasy średniej*, ale widzisz wynalazł astronomiję i dostał za to dużo pieniędzy!..

B. Prus. (p. t. I s. 108).

Kopista

* Pewien kopista, pracujący w rządowej kancelaryi, doszedł do takiej wprawy w przepisywaniu, iż odbywał mechanicznie tę czynność, nie biorąc w niej głową zupełnie udziału, t. j. nie wiedząc nawet, co pisze. Razu jednego przez żart kazano mu przepisać trzy razy wyrok, skazujący jego samego z imienia i nazwiska na śmierć; za trzecim razem kopista spojrzał dokoła i wyrzekł, wskazując na gotową kopiję: „Zdaje mi się, że tu idzie o moją głowę."

Korespondencyja.

* *Korespondencyja prywatna.*

Białej róży. Pocósz mam przychodzić na ostatnią maskaradę, kiedy twoja chłodnoszcz robi mi *w duszy żymnoszcz?*

Czarnemu dominu z żółtą obwódką. Był to bardzo delikatny interesik. Nie posądzaj mię o niestałość, bo turczynka była dobrym aniołem, który pożyczył mi kilka rubli na zapłacenie kolacyjki.

Narcyzowi z Miodowej. Przestań się kręcić koło mojej niezapominajki, bo ci kości pogruchoczę.

Świąteczny.

Korn Bogumił. (*)

Ja bardzo lubię sławę popularną,
Lękam się bardzo wymuskanej sławy;
Dlatego każę na bibułę czarną
Bić nowe dzieło – gołe, bez oprawy;
I wyjdzie na świat książeczka pokorna,
Jak gdyby z pod pras Bogumiła Korna.

O moja głupia Muzo, zapominasz
Uszanowania winnego księgarzom!
Ja nie znam Korna – mówią, że luminarz...
A zaś skład jego podobny cmentarzom,
Gdzie sobie cicho autorowie leżą,
Co lato ziemią przysypani świeżą.

A czasem zajrzy Bogumił na cmentarz,
Patrząc, czy kiedy nie zjadł się w letargu
Jaki kalendarz, albo elementarz;
A kogo kocha—tego na świat targu
Drukiem prowadzi... i stawia za kratą,
Wieńcząc go świeżą laurową erratą.

---

*) Znany księgarz i wydawca lipski.

O mój księgarzu wrocławski, o Kornie,
Dokończ tej strofy!.. dalibóg zaczęta
I pindarycznie, żywo i wybornie;
Lecz moje pióro nigdy nie pamięta
O drugim wierszu... wbrew dawnej prze-
[strodze:
Nim pierwszą stawisz, myśl o drugiej nodze.

Julijusz Słowacki. (p. t. I s. 87).

Koryncka architektura.

* Cudzoziemiec przyglądał się portykowi pewnego klasztoru bernardyńskiego we Włoszech.

Zakonnik, który przypadkiem stał opodal, objaśnił, że portyk ów jest w stylu korynckim.

— To mnie mocno dziwi—odrzekł cudzoziemiec — ja byłem pewny, że to jest styl bernardyński.

Korzyść.

* *Korzyści fachu.*

— Ale pan student to się widać nigdy nie myje—mówiła służąca do lokatora—już będzie blizko dwa tygodnie, jak ta sama woda stoi na miednicy i nie da jej pan zmienić.

— *Student.* A no, widzi Maryjanna, ja jestem chemik, to się myć nie potrzebuję, bo się czyszczę chemicznie.

(*Flieg. Bl.*).

Kostyjum.

* Gdy książę Ioinville (trzeci syn Ludwika Filipa) wrócił z dalekiej podróży morzem, siostra jego, księżniczka Klementyna (później księżna sasko-koburgska) wymawiała mu, że nie przywiózł jej kostyjumu dziewcząt z ludu z krajów, które zwiedził.

— Chętnie nosiłabym taki kostyjum — mówiła.

— O, przecież łatwo zadowolić twe życzenia—odpowiedział książę.—Twoje wymówki są niesprawiedliwe, gdyż w istocie przywiozłem kompletny strój królowej dzikich, który prawie nada się do twego wzrostu. Jutro ci go przyniosę.

Następnego dnia przyszedł książę do siostry.

— Nie zapomniałem o obietnicy — wyrzekł—oto jestem.

— A kostyjum?

Nic nie mówiąc, książę Ioinville wyjął z kieszeni coś w rodzaju naszyjnika z czerwonych ziarn i kawałków niebieskiego szkła. Księżniczka wzięła go w ręce i znalazła mimo prostoty bardzo ładnym. Napatrzywszy mu się, położyła na stole i czekała, gdy tymczasem książę oglądał obrazy, wiszące na ścianie salonu.

— Ależ, książę — wyrzekła nakoniec — o czem się tak zamyśliłeś?

— Dla czego pytasz mnie, siostrzyczko?

— Wiesz przecie, na co czekam?

— Nie, nie wiem wcale.

— Na strój królowej dzikich.

— Ależ dałem ci go już.

— Dałeś mi tylko naszyjnik.

— Bo ona nic, prócz naszyjnika, nie nosiła.

Koszer.

* *Z małego miasteczka.*

— Moja pani Ickowa, mam wielgie zmartwienie! powiedział mi pan wójt, co plan na moje nowe chałupe jest *trefny*.

— Nie wielgi kłopot, niech Lejbusiowa da pisarzowi pięć rubli, to un go wnet *okosieruje*

Świąteczny.

Koszula.

* Pruderyja angielek nie pozwala im na wymówienie słowa: „koszula“. Angielka, gdy potrzebuje kupić koszulę lub materyjał na nią skoro zobaczy, że w magazynie są sami mężczyźni, żąda widzieć się z właścicielką zakładu i jej powierza obstalunek.

* — Ile mam koszul? — spytał Henryk IV kamerdynera w dniu wejścia do Paryża.

— Około tuzina, najjaśniejszy panie, a z tych połowa podartych.

— A chustek?

— Pięć.

Historycy powiadają, że w dniu bitwy pod Ivry wielki król był bez koszuli w dosłownem znaczeniu tego słowa.

* Szarlatan pewien, występując na estradę, w ten sposób przemówił do swych słuchaczy: „Moi panowie, złe języki utrzymują, że handel źle idzie. Przeciwnie, idzie jak najlepiej. Na dowód powiem wam, że miałem trzy koszule i dziś rano dwie sprzedałem."

* Dwaj paziowie komandora maltańskiego uskarżali się na brak koszul. „Proszę cię — rzekł komandor, zwracając się do marszałka dworu — napisz do mego dzierżawcy, by kazał posiać konopie, uprząść je, utkać płótno i uszyć koszule dla tych smarkaczów."

* Barbarosa, obległszy miasto Fondi, chciał pochwycić cudnie piękną księżniczkę z rodziny Gonzagów, w tem mieście się znajdującą. Księżniczka zaledwie zdążyła uciec w koszuli, przy pomocy jakiegoś szlachcica, który ją ostrzegł o grożącem niebezpieczeństwie.

Historyja powiada, że wkrótce potem księżniczka kazała zgładzić swego zbawcę, nie mogąc mu przebaczyć, że ją widział w koszuli.

Koszyk.

* Każdy mężczyzna ubiega się za koszykami, odbiera rozmaite i duże i małe, ostatni przyjmuje w dzień ślubu; jest to koszyczek, zakładający się na usta, powszechnie zwany kagańcem.

Kości.

* Pewien piaskarz bawił się ze swoim psem, a zobaczywszy przechodzącego, straszliwie chudego jegomościa, zawołał.

— Azor! weź go! pyff!

— Ty łotrze! — krzyknął z gniewem szkielet — będziesz ty szczuł ludzi! Każę cię natychmiast aresztować, jeśli twój pies zrobi mi krzywdę!

— Eh, bądź pan spokojny — odparł drwiąco piaskarz — mój pies nie przepada za kośćmi!

Kościół.

* *Przed kościołem.*

Żona pastora do swej córeczki. Dziś droga Maniusiu, będziesz ze mną pierwszy raz w kościele, bądź więc grzeczną moje dziecię i siedź cichutko.

Po kościele.

Matka. No, moje dziecko, jakże ci się w kościele podobało?

Mania. Ach bardzo, wszyscy byli tacy grzeczni, tylko papa tak się rzucał i krzyczał...

Koty.

* Kot uważa się za zwierzę domowe zarówno z psem, jest wszakże zupełnie odmiennej od niego natury; koty są pochlebiające i fałszywe stworzenia, zdają się przywiązane do człowieka, ale w gruncie są największymi egoistami i nigdy nie spojrzą nikomu prosto w oczy, tak jak poczciwy pies; są przytem okrutne, bo igrają z biednemi myszami, zanim z nich zrobią swoją ofiarę, tak jak kokietki z sercem swoich czcicieli; koty nie mają pojętności, ani węchu psa, ani też jego wierności; lubią za to czystość, a nadewszystko ciepło i wylegują się w łóżku lub pod piecem; lubią zapachy, mianowicie waleryjan, czyli kocie ziele, które ich wprawia w dobry humor. Wartoby spróbować, czy ziele to nie oddziałałoby równie dobrze na człowieka; piwowarzy mogliby najlepiej zrobić tę próbę, zamiast dodawać do piwa żółć bydlęcą w miejsce chmielu. Kot obłaskawiony stracił wielkość, siłę i chytrość dzikiego, ale obyczaje jego nie polepszyły się przez to: koty należą do zwierząt drapieżnych, jak pantera, hyjena i tygrys, ale to właśnie czyni je pożądanymi po domach, gdzie łapią szczury i myszy, wprawdzie często pożerają zamiast tych szkodliwych zwierzątek, milutkie ptaszki, mięso, kiełbasy i masło; gdyby nie drapieżne azyjatyckie koty, małpy

i antylopy wygnałyby ztamtąd ludzi, jak nas może szczury i myszy. Koty domowe dziczeją prędko, gdy się zetkną z dzikimi swymi braćmi i siostrami, z którymi lubią przestawać, ale można zapobiedz temu, obcinając im uszy, lub tylko przecinając je; pożądanem byłoby, żeby ten łatwy sposób mógł być skuteczniejszym na zdziczały rodzaj ludzki. Koty lubią się bawić, spać i łasować, mają chód lekki, czołgający, jakby się skradały, co zdradza ich chytrą naturę. W pewnym klasztorze kot zjadał zwykle całą obiadową porcyję, pociągnąwszy wprzód za sznurek od dzwonka, aby tym sposobem oddalić kucharza klasztornego. To chytro-mądre stworzenie ściągało do klasztoru wielu ciekawych, co nagrodziło sowicie popełnianą szkodę, a szkodnika podniosło do wysokiej wartości, tak że go szanowano jakby jednego z braciszków; kot pewnego naturalisty był tak mądry, że wsadzony przez swego pana pod pompę powietrzną, kładł łapę w otwór, zkąd mu groziło niebezpieczeństwo; ten spryt koci stwierdza też przysłowie: „kot raz oparzony boi się wody zimnej“. Koty mruczą, miauczą i drapią; widzą lepiej w ciemnościach, niżeli we dnie, a w futrze ich mieści się wiele elektryczności, przez co mają pewne podobieństwo z płcią piękną. Lud ciemny widzi w kotach, szczególniej czarnych, czarownice; zapewne dla tego, że największa porcyja sublimatu zabić ich nie może i że w jakikolwiek sposób ich rzucić, zawsze staną na nogach, a twardość, czyli wytrzymałość ich życia weszła w przysłowie. Mężczyźni w ogóle nie lubią kotów, ale za to kobiety faworyzują je, jakby na dowód, że mają z nimi coś wspólnego. Kotom się zdaje, że mają naturalne prawo pastwić się nad szczurami i myszami (jak niektórzy ludzie nad słabszymi bliźnimi), a najmniej godne są sympatyi za to, że nie przywiązują się nigdy do człowieka, tylko do domu, w którym się chowają. Egipcyjanie czcili kotów, jak bóstwa. Kambires wyzyskał ten ich zabobon, rozkazawszy swoim żołnierzom nieść naprzód koty i tym sposobem zdobył Pelysium. Całe rodziny nosiły żałobę po kotach; balsamowano je, jak wielkich panów i grzebano z wielkiemi religijnemi ceremonijami. Mahomet lubił niezmiernie koty i pewnego razu, gdy kot usnął na jego ubraniu, wołał uciąć róg tej szaty, niż obudzić ulubieńca; może miał wtedy na myśli francuzkie przysłowie: „Il ne faut pas éveiller chat qui dort“ („nie trzeba budzić śpiącego kota“). Zdawało mu się, że nie może zrobić większego honoru przyjacielowi swemu Abderam'owi, jak dając mu przydomek „Abuhareiro“, czyli „Ojca kotów“. Za dawnych królów Walii, gdy kto zabił kota, musiał za karę dostarczyć tyle pszenicy, żeby nią zasypał kota, zawieszonego za ogon. Znajdują się matrony, bynajmniej niepodobne do wróżek, które całe mieszkanie zapełniają kotami, jedzą i sypiają z nimi, kąpią je, myją, czeszą i pieszczą, jak dzieci; wiele osób dla tego omija dom ich z daleka. Panna Pius (zmarła w roku 1678) zapisała swojej kotce dożywotnią pensyję i włożyła na swoich spadkobierców obowiązek składania raz na tydzień wizyty osieroconej faworytce; spadkobiercy wystąpili o unieważnienie tego zapisu, ale sąd przyznał kotce przeznaczoną pensyję, zniósł tylko wymagane odwiedziny. Stare panny i starzy kawalerowie mogą jeszcze w tej kwestyi robić, co im się podoba, ale gdy kobieta, mająca męża i dzieci, otacza się kotami i mopsami, musi mieć bardzo dobrodusznego męża, żeby to znosił spokojnie. Mamy jednakże i ojców kocich; w Padwie widzieć można do dziś dnia zachowany szkielet ulubionego kota Petrarki, a norymbergski adwokat dr. Neufwille miał sześciu kotów, którym przeznaczył w testamencie po 12 krajcarów tygodniowo na utrzymanie i 24 guldeny na opał; swojej gospodyni zostawił także legat dosyć znaczny z obowiązkiem pielęgnowania tych kotów; przeszedł go jednak jeszcze kaznodzieja Feller, który trzymał 24-ch kotów; aż konsystorz wdał się w to i kazał mu zredukować liczbę tych faworytów do połowy. Śmieszni naprawdę są tacy kociarze, jednakże mniej jeszcze warci nagany, aniżeli ludzie, nie umiejący nic kochać, prócz swego

worka i widzący całe szczęście i cel życia w napełnieniu go. Mowa nasza wykazuje, o ile koty są zespolone z nami, mamy bowiem mnóstwo przysłów o tych stworzeniach, jak np. „Łasi się, jak kot“. „Łakomy, jak kot na mleko“. „Żyją, jak pies z kotem“. „Kupić kota w worku“. „Po nocy wszystkie koty są szare“ i t. p. Mélange mówi o kotach: „Kot umiał znaleźć pośrednią drogę pomiędzy niezależnością a niewolnictwem; jego przebiegłość i niechęć dla wiernego psa, złość i okrucieństwo, z jakiem obchodzi się ze swoim łupem, gust do wygód i zbytków, upodobanie w wysokich miejscach, dar postawienia się zawsze na nogach, choćby po najgorszym upadku, nieufność, skrytość i obojętność względem ludzi—wszystko to dowodzi, że kot od najdawniejszych czasów musiał zamieszkiwać ziemię, a może już w najodleglejszej starożytności wyuczył się roli dworaka“. Niewiadomo, o ile prawdziwą może być wersyja, że kot miał zadusić przez zemstę kaznodzieję Mariette'a, ale to pewna, że nie jedno dziecko było we śnie zaduszone przez koty i że te często, wygrzebując węgle z pieca lub kuchni, stały się przyczyną pożaru. Strzedz się więc należy tego chytrego stworzenia (jak i wszystkiego, co chytre i fałszywe), jego wąsów i pazurów, jego przymilań i złości; jakkolwiek jego „Pattes de velour“ (aksamitne łapki, które kot robi, gdy się przymila) kryją pazurki nie umiejące może tak boleśnie zadrasnąć, jak to inne stworzenia i bez pazurków zrobić potrafią. Jednakże na pewnym nagrobku rzymskim, z bardzo dawnych czasów, stoi ten napis: „Przechodniu, znajdziesz tu ofiarę dziwnego rodzaju śmierci: zły kot, którego pociągnęłam za ogon, ugryzł mię w palec i—umarłam“. A więc—strzeżcie się i nie chwytajcie nigdy—za ogon.

* Pani D. miała prześlicznego kota, którego pan von G. zabił dla przyjemności. „Kiedy brakuje sarn, bije się zające, kiedy braknie zajęcy, dobre i koty“, tak mówi przysłowie i tak sobie powiedział pan von G., podnosząc szlachetną zwierzynę—pani D. zaś milczała, ale w duchu poprzysięgła zemstę. Coprędzej wysłała z prośbą do znajomych, przyjaciół i krewnych, o dostarczenie jej jak największej liczby żywych myszy. W kilkanaście godzin zebrała przeszło sto żywych egzemplarzy, które zamknęła w pudle i wysłała przez umyślnego posłańca do pani von G. Owa dama, wielka elegantka, sądziła, iż pani D. przysyła jej jakieś suknie, czy staniki najświeższej mody, sama więc pośpieszyła otworzyć kuferek. Ale zaledwie podniosła wieko, omal z przestrachu nie omdlała: masa myszy poczęło wyskakiwać na pokój i rozpraszać się po całym domu... Kiedy pan von G. przyjechał i dowiedział się o całem zdarzeniu, poszedł obejrzeć pudło i na jego dnie znalazł ten bilecik: „Szanowna Pani! Mąż Pani zabił dla rozrywki mojego kota, ośmielam się więc z tej przyczyny odesłać Szanownej Pani wszystkie moje myszy!“

* Pewna wiejska dziewczyna, przywieziona prosto ze wsi na kucharkę do miasta, ugotowała państwu na obiad rybę, a nie chcąc, żeby wystygła, ułożyła ją na cynowym półmisku i postawiła przy ogniu. Pod działaniem gorąca cyna się rozpuściła i spłynęła w ognisko, a ryba się została. Dziewczyna, powróciwszy z pokoju do kuchni, ze zdziwieniem zawołała: „Jakież to dziwne te miejskie koty — nasz Maciek zjadł półmisek, a rybę zostawił!“

*—Córuś moja, dziecię moje, co u ciebie szepce?
—Pani matkodobro dziejko, kotek mleko chlepce;
Oj, kot, pani matko, kot, kot
Narobił mi w pokoiku łoskot.
—Córuś moja, dziecię moje, co u ciebie stuka?
—Pani matko dobrodziejko, kotek myszki szuka;
Oj, kot, pani matko, kot, kot
Narobił mi w pokoiku łoskot.
— Córuś moja, dziecię moje, czyma ten kot nogi?
— Pani matko dobrodziejko i srebrne ostrogi;
Oj, kot, pani matko, kot, kot
Narobił mi w pokoiku łoskot.
Pieśni ludowe. *Wacław z Oleska.*

* *Kot i wilk.* (Bajka).

Urągał kot wilkowi, jak jaki oszczerca,
Że względem swoich ofiar nadto jest bez serca;
Na to wilk: — Któż z nas serce ma dzisiaj nie [z głazu?
Ty się bawisz, nim zdusisz, ja duszę odrazu.

Duduś (Józef Waśniewski). (p. t. I s. 30).

Kotłubaj.

* Póki mieli na Łojowie,
Zwali się Kotłubajowie,
A jak Łojów nic nie daje,
Stali się zwać Kotłubaje.

Kotłubaje, rodzina litewska, z której Edward Kotłubaj, pisarz współczesny, jest autorem kilku prac historycznych, a między niemi Galeryi Nieświeżskiej portretów Radziwiłłowskich. Tak jak wiele podobnych, gra słów stanowi rdzeń epigramatu. Nie znam miejscowej pamiątki, która do niego należy.

Kowal.

* *Myśl kowala.*

Widziało się różne rzeczy kute, ale takiej kutej baby, jak moja, to jeszcze nikt na świecie nie widział.

Świąteczny.

Kotzebue.

* Kotzebue miał zwyczaj przychodzić na próby swoich komedyi; posiadał tak wyborną pamięć, że najmniejsze chybione słówko nie uszło jego uwagi i zaraz mówił aktorowi lub aktorce: „Stójcie, ja tak nie napisałem, tam jest inaczej“ i recytował cały ustęp z pamięci. Tym sposobem, chwytając aktorów na gorącym uczynku, doprowadzał ich do niezmiernej dokładności. Jeżeli próba szła gładko i dobrze, rozjaśniała się twarz Kotzebuego, a najwyższą oznaką uznania było, kiedy laską ciągle ust dotykał, jakby pieszcząc ją i całując; widząc to, aktorzy tem więcej się starali i tem częstsze były oznaki entuzyjazmu u aktora, tak że w końcu laska tonęła w pocałunkach. Niezadowolenie zaś Kotzebuego uwidoczniało się poruszaniem czapki na głowie, to na prawą, to na lewą stronę, na przód i w tył, tak że chwili spokojnie biedna czapka uleżeć nie mogła. Była to pierwsza oznaka złego humoru autora, ale aktorzy mieli jeszcze nadzieję zażegnać nadchodzącą burzę, kiedy jednak Kotzebue zmiętoszoną czapkę zdjął z głowy i położył przy sobie, najodważniejszym mimikom zamarły słowa w ustach, gdyż wiedziano, jakiego huraganu ten znak jest zwiastunem.

Kozieł.

* *Kozieł i lis.*

Już był w ogródku, już witał się z gąską,
Kiedy skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbierano;
Ani pomyśleć o wyskoczeniu,
Chociaż wody nie było i nawet nie grzązko:
Studnia na półczwarta łokcia,
Za wysokie progi.
Na lisie nogi;
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznogcia,
Postaw się teraz w tego lisa położeniu!
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy,
Wołając gromu, ażeby go dobił:
Nasz lis takich głupstw nie robił;
Wie, że rozpaczać, jest to zło przydawać do zła.
Zawsze maca w koło zębem,
A patrzy w górę. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,
Stojącego tuż nad zrębem
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije;
Cmoka mocno, głośno chłepce
I tak sam do siebie szepce:
„Oto mi woda! Takiej nie piłem, jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie!
Chce mi się całemu spłukać,
Ale mi ją szkoda zbrukać,
Szkoda!
Bo co też to za woda!“

Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać,
„Ej!—krzyknął z góry—ej! ty ryży kudła,
Wara od źródła!"
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
A z rogów na drąg i w nogi.

Adam Mickiewicz. (p. t. I s. 19).

* *Kozieł ofiarny.*

Mąż. Moja żono, raz trzeba koniec położyć tym ustawicznym hałasom. Odpraw Franciszkę, bo jak słyszę, ona zawsze winna wszystkiemu złemu.

Żona. Właśnie dla tego nie mogę jej odprawić, bo jak potem się co stanie, to kogóż będę patrzeć? Na kogo złożę winę?

Kpiny.

* Muzyk muzyka szanuj, dworzanin dworaka,
Nie kpij duda z balwierza, ni woźnica z żaka.

Dzwonkowski.

Krach.

* Wkrótce po owym sławnym wiedeńskim krachu, podróżny, jadący ze stolicy, zajechał do małego prowincyjonalnego miasteczka.

— Cóż tam słychać nowego? — spytano go—jak idą interesy panów bankierów i giełdowych spekulantów?

— O! — odpowiedział podróżny — wielu z nich na nogi stanęło.

— Czy być może? Więc interesy nie najgorzej idą?

— Nie to chciałem powiedzieć, tylko, że ci, co trzymali konie i powozy, muszą teraz chodzić piechotą.

Krakowiaki.

* *Krakowiaki warszawskie.*

Z tamtej strony Wisły
Stoi stróż przy bramie.
— Niech mi pan da spokój,
Ej, bo powiem mamie.

Po Saskim ogrodzie
Lata wróbel szary.
— Nie zawracaj panna
Mi z mamą głowy...

Trzech chłopców na dryndzie,
Ciężko biednej szkapie.
— Masz się ze mną żenić,
Powiedz o tem papie.
Jedzie tramwaj, jedzie,
Od stacyi się wraca.
— Niech mi panna z papą
Głowy nie zawraca!

Oj, stały choinki
Wedle Kopernika,
Chłopiec pannę goni,
A panna umyka.
Na rogu Wierzbowej
Na chodniku ślizko,
Nie uciekaj panno,
Bo już chłopiec blizko.

* *Krakowiak panieński.*

Urzędnika nie chcę,
Bo cóż mi tam z tego?
Kochałby mnie, ale
Tylko... na pierwszego!
Wioślarza ja nie chcę,
Choć to ładni chłopi,
Bo zaraz po ślubie,
Jeszcze się utopi...
Reportera nie chcę
Z tej prostej przyczyny,
Że niósłby do gazet
Domowe nowiny.
Nie chcę ja być żoną
Farmaka z apteki,
Bo w miejsce obiadów,
Dawałby mi... leki.
Cukiernika nie chcę
I innym nie życzę,
Boby wnet pozjadał
Najlepsze słodycze!

Na traktyjernika
Mam chęci najszczersze,
Cóż, gdy zamiast sznycli,
To on robi... wiersze...
Chociaż kolejarze
Mają ku mnie pociąg,
Cóż, kiedy z nich każdy
Jest straszny... piwociąg!
Męża literata
Nigdybym nie chciała,
Bo coby napisał,
Chwalićbym musiała!
Na jednego tylko
Mam chęci ogniste,
Pójdę za mąż, ale
Za... kapitalistę!...

P. Kośmiński. (p. t. I s. 349).

* *Krakowiaki sezonowe* (w języku najwięcej u nas używanym).

Orże Maczej pole,
Pługiem sobie orże,
Miszli, co na role
Będzie rosnąć zborże...
Głupi Maczej, głupi,
Nie pomogą pługi,
Icek na pniu kupi,
Albo potrzebuje tradować z komornikiem!

Polują po lesze
Syny bankierowe;
Każdy ma z kurakiem
Kapelusz na głowe...
Wiskoczyła żabe,
Jużo sze przestrachał,
Miszlał, co to niedźwiedź
I potrzebował sobie schowacz!

Szedży sobie wróbel
Na wagon z kołei,
Chocz tam żarna nima,
Jest mase nadżei...
Po co głupi wróbel
Szedży na wagonie?
Nu, bo un se miszli,
Co dostanie od dyrekcyje gratyfikacyje!

Mówi raz pan bankier
Do kantorowicza:
— Weź, Izydor, kassa
I jedź do Łowicza!
Izydorek sobie
Zrobiał bardzo lepiej,
Zmylił sze o stacyje
I pojechał do Ameryke!

Krakowskie wybory.

* Od kilku tygodni sławetni obywatele miasta Krakowa stali się nadzwyczaj uprzejmymi. Najwyższej godną pochwały jest ich grzeczność, połączona z wygórowaną delikatnością i z tym odcieniem serdeczności, co to podbija i zniewala. Nie dalej np. jak wczoraj, jeden z profesorów uniwersytetu, tolerujący zaledwo dotychczas moje znajdowanie się na tym padole dodatków do podatków, spotkawszy mnie na ulicy, pierwszy odsłonił niebotycznej uczoności łysinę, łącząc z tym ruchem słodki uśmiech przyjaźni. Jeszcze większego zaszczytu doznałem onegdaj w ogrodzie strzeleckim, adwokat bowiem Zdzieralski swoim własnym kosztem postawił przedemną szklankę piwa johnowskiego, a radca Pantofliczek, ująwszy mnie pod ramię, wtajemniczał moją kronikarską osobę w stan majątkowy i wartość duchową swojej siostrzenicy, dając do zrozumienia, iż gdyby kodeks karny wykreślił wsteczny paragraf o dwużeństwie, z przyjemnością przyjąłby mnie do grona swej rodziny. Również godnym podniesienia jest fakt, iż wszyscy moi bliżsi lub dalsi znajomi, będący obywatelami państwa austryjackiego i mający skończonych lat trzydzieści, od pewnego czasu są bardzo troskliwi o zdrowie pani kronikarzowej i zachwycają się pięknością i rozumkiem małych kronikarząt.

Zauważyłem jednocześnie u krakowian niezwykłe zainteresowanie się sprawami publicznemi, a zwłaszcza dobrem miasta. Każdy prawie

myśli o podniesieniu przemysłu, o zaprowadzeniu targów na rogatych i nie rogatych towarzyszy człowieka, o kanalizacyi, o wybudowaniu teatru, o wodociągach, o upiększeniu miasta, oświetleniu elektrycznem i o systemie Tallarda. Zgoda wreszcie na wszelkie projekty jest tak wielka, iż kiedy zaproponowałem w pewnem towarzystwie zbudowanie w Krakowie przystani morskiej, wszyscy jednomyślnie uznali myśl moją za świetną, godną poparcia i przyrzekli wpływami swemi skłonić delegacyję do podniesienia tej sprawy w Radzie państwa i przeprowadzenia jej pod zagrożeniem zerwania z szczęśliwie nam obecnie panującym c.-k. rządem. Uszczęśliwiony takim obrotem rzeczy napomknąłem o potrzebie subwencyi krajowej i państwowej na wydawnictwo ,,Przeglądu lit. i art.", co wzbudziło prawdziwy zapał między słuchaczami i uznanem zostało za conditio sine qua non lojalnego zachowania się kraju.

Uprzejmość ta i grzeczność stały się do tego stopnia zaraźliwemi, że nie dalej jak wczoraj, spojrzawszy przypadkiem w lustro, uczyniłem machinalny ruch ręką ku głowie i z całą uniżonością zawołałem: ,,moje uszanowanie panu dobrodziejowi!"

Co za przyczyna tego niezwykłego objawu — trudno mi wyrozumować. Ludzie złośliwi, do których serc uczucia wyższe nie mają żadnego przystępu, posądzają szlachetnych mieszkańców naszego grodu o bezwstydną obłudę, o ubieganie się jakoby za popularnością z powodu nadchodzących wyborów połowy rady miejskiej. Przypominają oni, że tak było przed trzema laty, przed sześciu, przed dziewięciu i t. d. Jeden z nich, najwyraźniej nihilista, utrzymywał, że za trzy lata dr. Jordan będzie tak słodki, jak malaga i postawi cztery Lille Wenedy na plantacyjach, dwie Balladyny na Małym Rynku i dwunastu apostołów przed Sukiennicami.

Z oburzeniem odpychając te podejrzenia anarchistów i malkontentów, muszę jednakowoż zaznaczyć niesłychane roznamiętnienie umysłów, wybierających i wybranymi być chcących. W dzień powołania ,,mężów zaufania" do komitetu przedwyborczego dowodził mi jakiś pan Korek czy Obcas (nazwiska sobie dobrze nie przypominam), że w razie przejścia listy ,,reformistów" ukaże się na niebie krzyż czerwony, zapowiadający cały tuzin klęsk wielkich, przechodzących swą okropnością siedm plag egipskich i katastrofę w Krakatoa, którą z tego powodu ,,Czas" tak szczegółowo opisywał. Tegoż samego dnia pan Petarda czy Bomba (również nazwiska sobie dokładnie nie przypominam) przysięgał się na wszystkich świętych liberalnych, iż w razie zwycięztwa „baraniarzy" i ,,czasowników" zaprowadzoną zostanie w Krakowie święta inkwizycyja, skazująca na stos każdego, kto nie wierzy w pana Pawła Popiela, profesora hrabiego doktora Tarnowskiego, w doktora Jordana i pana Swieczkę, najmłodszego męża stronnictwa. Trwoga mną owładnęła, nie poszedłem wcale na wybory, a dowiedziawszy się o ich wyniku, to jest o zwycięztwie listy excellencyjno-dyrektorskiej, szeptałem tylko ułożone na tę okoliczność wyznanie wiary:

Odtąd lżej mi się zrobiło i śmielej też spoglądam w przyszłość, zwłaszcza dowiedziawszy się o zwiększonej liczbie „mężów zaufania" przez nowe a nieznane dotąd nabytki.

* Wybory — śliczny temat! Ale nie w Krakowie...
Odbędą się bez walki nawet plakatami,
Nikt hecy nie urządzi, nikt mówki nie powie,
„Czas" nie będzie ostrzegał przed patryjotami —
I wybrani posłani będą z łaski boskiej:
Pan Weigel, prezes Majer i Leon Chrzanowski.

Kto wie jednak, czy zgodnie wypadną wybory:
Dochodzą mnie albowiem wieści ze stron wiela,
Jakoby akuszeryi przezacne doktory
Chcieli posłem uczynić swego przyjaciela
I agitują w mieście z wieczora do rana,
Aby wysłać do Lwowa doktora Jordana.

Inna znów część tych mężów, tak zwana ,,piersiowa",
Twierdzi, gdzie tylko może i kto słuchać zechce,

Że w doktorze Pareńskim mąż stanu się chowa,
Że chętka zostać posłem serce jego łechce,
Że najlepiej byłoby pokazać go światu
I na dziewięć miesięcy wysłać do Rajchsratu.

Księgarzy myśl ukryta nie jest dla mnie tajna:
Ci dwaj, co rozpostarli się na linii A—B,
Pragną uczynić posłem zacnego Friedleina.
Ci znów, co leczą zęby swoich ziomków słabe,
Krzyczą: raz na poselskim trzeba stanąć szcze-
[blu!
Czy słyszysz, nasz kochany, ubóstwiany Goe-
[blu?

O! jakaż w tem oznaka wzajemnej miłości!
Jak wspaniale latorośl wzrasta koleżeństwa!
Jeden drugiego kocha, a nikt nie zazdrości,
Każdy chce na kolegę sypać dostojeństwa
I każdy na dnie duszy to życzenie chowa:
Mój najdroższy koleżko—wyjedź-no z Krakowa!

Szczęściem, że damy dotąd nie nabyły prawa
Wybierać z pośród siebie posłów do Rajchsratu.
Toż byłaby pozycyja nasza nie ciekawa,
Coś, jak gracza, gdy wpadnie na totus bez atu,
Bo gdyby wybierały „białogłowy wszystkie“,
Posłowałyby piękne, a zostały brzydkie.

Kraków.

* Kraków i dzisiaj uważa się za jakąś odrębną prowincyję. Za czasów rzeczypospolitej zaś, każdy mieszkaniec Krakowa był tego przekonania; otóż razu jednego paliło się na Podgórzu, tuż przy samej Wiśle, a trębacz z wieży Panny Maryi wołał:

„Nie miejcie państwo turbacyi,
To się pali w Galicyi“.

Krapuliński i Waszlapski (w odpowiedzi wiedeńskiemu „Figaro“).

Krapuliński i Waszlapski
Chociaż gonią już ostatkiem,
Mogą dumnie głowę wznosić,
Bo nie żyją obcym statkiem.

Wojowali oni niegdyś;
Ich taktyka była przednia—
Raz tam ponoś nawet kiedyś
Aż pod muru zaszli Wiednia.

Krapuliński i Waszlapski
Zadziwiali świat przepychem,—
Dziś są goli—nie ustrzegłszy
Mienia swego przed witrychem

Krapuliński i Waszlapski,
Zadzierając nos do góry,
Chwalą narodowość własną
I z niemieckiej drwią kultury.

Dumni z sztuki swej rozkwitu,
Szczycą wielce się „Kszpantern,“
Co choć bazgrze—jednak nie jest
Jak Piloty denuncyjantem.

Krapuliński i Waszlapski
To owieczki wełnodajne,
Ale wara ich zaczepiać,
Bo w pysk biją... *vide* Heine!..
„*Szczutek.*“

Krawiec.

Petrycy.

Chcesz sukni? Dobrze.—Pójdź tu, krawcze,
[pokaż.
O miły Jezu, cóż to za cudactwo!
Co to jest? Rękaw? Chyba śmigownica!
Ukarbowany u góry i dołu
Jak ciasto z jabłek. A co tu wykrawek,
W ząbki i trąbki, w esy i floresy!
Jak u fajerki w zakładzie balwierza.
Jak ty to krawcze nazywasz, u dyjabła?

Krawiec.

Kazał ją przecie wielmożny pan zrobić
Najnowszym krojem, według świeżej mody?

Petrycy.

Prawda, kazałem: ale czym powiedział:
Zepsuj ją według mody? Jako żywo!
Wracaj mi wasze zaraz, zkąd przyszedłeś,

Bo odtąd we mnie straciłeś kundmana.
Precz! nie chcę tego: zrób z tem, co chcesz.

Katarzyna.

Nigdym
Piękniej zrobionej sukni nie widziała,
Gustowniej, zgrabniej i staranniej! Chceszli
Wystrychnąć mnie na maryjonetkę?

Petrycy.

Właśnie
On chce wystrychnąć cię na maryjonetkę?

Krawiec.

Ona mówiła, z przeproszeniem pańskiem,
Że to wielmożny pan chce ją wystrychnąć
Na maryjonetkę.

Petrycy.

Czelna zuchwałości!
Kłamiesz, ty nitko, ty naparstku, łokciu,
Trzy ćwierci łokcia, pół—ćwierć—łokcia, cala!
Ty pchło, ty gnido, ty zimowy świerszczu!
Niciany motek będzie mi urągał
W mym własnym domu? — Precz łatko! Od-[krawku!
Albo ci łokciem tak przemierzę plecy,
Że ci się fąfrów odechce na zawsze,
Mówię ci, żeś tę suknię zfuszerował.

Krawiec.

Myli się Wasza Wielmożność: ta suknia
Była robioną według obstalunku
Najakuratniej; Grumijo dał instrukcyję.

Grumijo.

Jam dał materyję, instrukcji nie dałem.

Krawiec.

A jakżeś żądał, żeby była szytą?

Grumijo.

Ta jużci, igłą i nitką, nie inak.

Krawiec.

Ale jakimżeś krojem ją zamówił?

Grumijo.

Waszeć krajałeś już na różny sposób?

Krawiec.

Tak jest.

Grumijo.

Ale jeżeli teraz kroisz na to, żeby się mną zasłonić, to ci się nie uda. Powiadam ci, kazałem twojemu majstrowi skroić suknię, ale nie kazałem jej na kawałki pokrajać; czego kłamiesz?

Krawiec.

Oto kartka obstalunku na dowód.

Petrycy.

Przeczytaj ją.

Grumijo.

Ta kartka łże, na czem świat stoi, jeżeli mówi, że ja tak obstalowałem.

Krawiec (*czyta*).

„In primis, suknia wolno popuszczana.“

Grumijo.

Jeżelim ja o popuszczaniu choć słowo powiedział, to niech mnie pan każe zaszyć w obrąbek u tej sukni, zatłuc na śmierć kłębkiem szarych nici. Powiedziałem tylko: suknia wolna.

Petrycy.

Dalej!

Krawiec.

„Z małym okrągłym kołnierzem.“

Grumijo.

Przyznaję się do kołnierza.

Krawiec.

„Z buchatym rękawem.“

Grumijo.

Przyznaję się do dwóch rękawów.

Krawiec.

„Rękawy wytwornie wycinane.“

Petrycy.

Otóż tu jest szelmostwo.

Grumijo.

Ta kartka łże, panie, ta kartka łże! Kazałem, żeby rękawy były wycięte, a potem zszyte na-

powrót i dowiodę tego na twojej skórze, chociaż twój mały palec jest uzbrojony w naparstek.

Krawiec.

Nie mijam się z prawdą w tem, co mówię i sambyś przyznał, gdybym cię miał pod ręką gdzieindziej.

Grumijo.

Gotów ci jestem służyć zaraz: nie jesteś w surducie kortowym.

Krawiec.

Tak jest.

Grumijo.

Masz więc kort przy boku; daj mi swój krawiecki łokieć i pokaż mi, gdzie raki zimują.

Petrycy.

Bądź jak bądź, suknia ta nie dla mnie.

Grumijo.

Juści
Ona dla pani.

Petrycy.

Zdejm ją, niech z nią majster
Zrobi, co zechce.

Grumijo.

Ani się waż! Jakto?
On ma zdejmować suknię mojej pani,
Aby z nią jego majster, co chce robił?
To być nie może.

Petrycy.

Idź wasze, zabierz to; precz, ani słowa!

Szekspir. (p. t. I s. 92).

* *U krawca.*

Szesnastoletni Artiurek. Dałem panu pół łokcia korciku, czekam trzy tygodnie, gdzież moja kamizelka?

Krawiec. Pan dobrodziej sam ten kort kupował i bardzo nieszczęśliwie trafił.

Artiurek. Jakto nieszczęśliwie?

Krawiec. Pan dobrodziej wie, że przy stępowaniu, na każdym postawie pół łokcia sukna się ustępuje.

Artiurek. No wiem.

Krawiec. Otóż to pan dobrodziej tak nieszczęśliwie właśnie też same pół łokcia kupił i w stępowaniu całe się ustąpiło.

Artiurek. No, to już na to, tak jak ja trzeba być nieszczęśliwym!

Świąteczny.

Krebillon (1674—1762).

* Poeta Krebillon dostał gwałtownej gorączki, podczas gdy pracował nad jedną ze swych tragedyi; wezwany doktór uprzedził go, że jest niebezpiecznie chory i prosił żeby, jeżeli umrze, przekazał mu napisaną świeżo sztukę jako honoraryjum, na co Krebillon odpowiedział mu wierszem z Radamista:

„Jakto! Czyż zbójca ma brać spadek po swojej ofierze?“

(*Bibl. Humoru*).

* Pytano Krebillona, autora „Atrei“, dla czego obrał sobie rodzaj straszny, malując w swej sztuce okropności piekielne. „Nie miałem wyboru“ — odpowiedział — „Corneille zabrał niebo, Rassyn ziemię, pozostało mi więc tylko piekło i uchwyciłem się go.“

(*Encyklopediana*).

Kredyt.

* — Na kredycie świat stoi, jest to główna i konieczna podstawa handlu, tego, mój przyjacielu, uczy nas niejedno dzieło ekonomiczne.

— Dla tego też ja najwięcej biorę wszystko na kredyt i istotnie jest mi z tem bardzo dobrze, zwróć zatem twoją naukę do mego krawca, który już zaczyna coś przebąkiwać, że mi nie zrobi nowego tużurka na kredyt.

(„*Humorysta Warszawski*“).

* *Upadek kredytu.*

— Icku, zmiłuj się, pożycz mi dziesięć rubli.

— No! co ja mam panu pożyczać, kiedy pan nie ma z czego oddać?

— Ależ Icku kochany! daję na to słowo honoru, że ci oddam.

— E! daj pan spokój, teraz tak kredyt upadł, że nawet jak komu dadzą w pisk, to on ani myśli o oddaniu.

* Pan de Malesherbes mówił zawsze żebrakom, którzy obiecywali modlić się za niego: Eh nie czyńcie tego, wydaje mi się, że macie w niebie za mało kredytu".

Kreucer

* Kiedy po bitwie pod Kalmem wziętego do niewoli jenerała francuzkiego Kreucera przewieziono do Pragi czeskiej, ozwał się pewien żydek z przekąsem: „Cóż nam z Krajcara... (*) tff! trzeba było przywieźć Suwerena!" (**)

Krew.

* *Zimna krew.*

Tiers w swoich szkicach opowiada: „Regiment litewskich dragonów, złożony z wyborowych ludzi i koni, podczas jednej z ważnych bitew Napoleońskich, stał prawie pół godziny pod ogniem nieprzyjacielskich kartaczy. Padło już wiele ofiar—nagle dragon nazwiskiem Kubillis zachwiał się na siodle—oficer, stojący niedaleko, myśląc że dragon raniony, poskoczył ku niemu, pytając, co mu się stało. „Nic, nic, panie pułkowniku—odrzekł Kubillis—tak mi się znudziła ta daremna strzelanina, że aż się trochę zdrzemnąłem."

* *Zimna krew uczonego.*

Pewiem uczony, zajęty pracą w swym gabinecie, ujrzał służącego, który wpadając z wielkim przestrachem, zawołał:

— Dom się pali!

— Idź—odrzekł spokojnie mól książkowy—zawiadomić o tem moją żonę; wiesz przecie, że ja się nie mięszam do gospodarstwa domowego.

Kropka.

* *Kropka nad i.*

Na co wiążem rymy w snopki
Przez świąteczne w roku dni,
Nas, co zawsze dla parady
Wystawiamy ludzkie wady...
Zastanowił dziś brak kropki
Nad i.

Mała rzecz, a w nosie kręci,
Boć to zawsze brzydki znak...
Czem jest paszport bez pieczęci?
Czem oczy bez pięknych powiek?
No, i wreszcie czem jest człowiek
Gdy mu w głowie kropki brak!
Ach! to lalka z wielkiej szopki
Ptak bez skrzydeł, płacz bez łzy...
Koń bez nogi—kwiat bez woni
Łapownik bez wielkiej dłoni,
Gdy mu braknie małej kropki
Nad i.

Znamy panny urodziwe,
Kiedy wchodzą w życia szlaki,
Niby kwiaty barwne, świetne,
Ozdobione w cnoty setne...
Dziś je bielą włosy siwe,
Bo im było kropki brak.
Próżno biedne czynią hopki
W karnawału huczne dni,
Nie zwalczą tej prawdy nagiej:
Że dla panien tem posagi,
Czem dla pisma małe kropki
Nad i.

Znamy panie silne w cnocie,
Nie pojmują życia wspak,
Błyszczczą niby perły w złocie,
Lecz cóż z tego? Świat złośliwy
Opowiada jakieś dziwy,

(*) Krajcar—moneta.
(**) Suweren—moneta i cesarz.

Że im małej kropki brak!
Niosą pełne plotek snopki
Kumoszki, co złość w nich tkwi
I o pani nieskażonej
Opowiadać chcą androny,
Że jej raz zabrakło kropki
Nad i.

Ach ty kropko, punkcie drobny,
Ty fatalny jesteś znak;
Na wielkiej płaszczyźnie liter,
Ty jaśniejesz jak soliter,
Czynisz efekt niepodobny,
Gdy cię mała kropko brak!
Świat by zbierał szczęścia snopki
W pomyślności złote dni,
Szlachcic na wsi by miał „listy“,
Chłopek by nie trąbił *czystej*,
Gdyby nie brak małej kropki
Nad i.

Świąteczny.

Kropla.

* *Kropla w morzu.*

Jest kroplą w morzu dla Ignalka
Ogromny posag żony.
Jest kroplą w morzu jedna lalka
Dla Zosi rozpieszczonej.
Jest kroplą w morzu dla pijaka
Kieliszek sznapsa tęgi.
Jest kroplą w morzu dla biedaka
Morał czerpnięty z księgi.
Nadzieja świetnych bardzo plonów
W zieleniejącem zbożu,
Jest ziarnkiem piasku wśród zagonów,
Jest tylko kroplą w morzu.

Świąteczny.

Krowy.

* *Krowy robocze.*

Galicja jest krajem przeważnie rolniczym. Odkrył to pewien ekonomista, na którego cześć dotychczas nie wybito medalu. Nie wynagrodzono mu nawet kosztów podróży do Krynicy i do Zakopanego, przedsiębranych co roku w celu zbadania tej kwestyi.

Kraje rolnicze poświęcają się, jak wiadomo, przeważnie produkcyi zboża, wskutek czego mają do walczenia z posuchą, słotą, powodziami, pożarami i innemi przyczynami ogólnego nieurodzaju. W dalszym ciągu dokuczają im taryfy kolejowe; a wszystko zabija nakoniec konkurencyja amerykańska.

Inni sławni ekonomiści odkryli, że kraj rolniczy ochronić się może od tych wszystkich klęsk, rzucając się przeważnie na chów bydła. I tutaj wprawdzie wchodzi w grę konkurencyja amerykańska, ale zawsze jeszcze można we Lwowie mieć porcyję sztuki mięsa z sosem sardelowym za cenę nie o wiele wyższą od tej, jaką u Delmonika w Nowym-Yorku zapłacić potrzeba za bażanta z truflami, albo za *canvas back duck*, to jest kaczkę nie dziennikarską.

W chowie bydła tedy leży przyszłość Galicyi. Pojęli to ludzie genijalni i usiłowania statystów, poetów i beletrystów naszych zwróciły się wszystkie w tym kierunku. Słychać jeden wielki ryk na całej linii bojowej.

Jeden z braci moich po piórze napisał rzecz o „roboczych wołach.“ Galicyjskie Towarzystwo gospodarskie dotychczas nie uwieńczyło tej pracy. Niewdzięczność jest cechą nietylko wielkich monarchów, ale i małych stowarzyszeń.

Lubię niewdzięczność. Pozwala mi ona pozować przed mojem zwierciadłem. Usprawiedliwiałaby mnie ona, gdybym konsumował koniak w takich ilościach, jakie mi imputuje pewien wielki moralista, zdobiący stolicę Galicyi. Wolę wszakże topić gorycz, jakiej doznaję, w filiżance Sou-chong albo Pecco. Gorycz chińska łączy się z goryczą rodzinną i to sprawia mi pewne zadośćuczynienie.

Pracujmy dalej na niewdzięczność kraju.

W okolicy Rawy ruskiej widziałem konia i krowę w jednym zaprzęgu. Pytałem mędrców i biegłych w piśmie; nikomu nie wiadomo było

o tem, że mamy robocze krowy. Orzą one, włóczą i zbierają plon, a kto inny go spożywa.

Jak wszystko w świecie zwierzęcym, tak i robocza krowa ma swój prototyp ludzki. Do prototypu tego zbliża się żona, która sama gotuje, pierze, prasuje i sprząta, obchodząc się bez sługi, ażeby pan mąż miał więcej pieniędzy na swoje małe przyjemności.

Ale odkrycie właściwego prototypu roboczej krowy jest także zasługą pewnego męża pióra.

Urodził się on w tych sferach, w których młodzieniec, gdy ma lat 24, otrzymuje od ojca bryczkę najtyczankę i parę koni, ażeby jechał i szukał żony z posagiem.

Młodzieniec jeździł i szukał, ale nadaremnie. Najtyczanka i konie sterały się wśród tej Odyssei. Ojca już nie było, na nicby się tedy nie było przydało podpisywać go na wekslach. Młodzieniec spadał tedy ze szczebla na szczebel drabiny społecznej i upadł w końcu tak nizko, że został pisarzem w jakimś banku, a gdy go i ztamtąd wypędzono, poświęcił się literaturze.

Literatura obchodziła się z nim jak macocha, zwłaszcza gdy obrał sobie specyjalność, która nigdzie nie popłaca. Komponował prawie wyłącznie tytuły dzieł, które miał kiedyś napisać. Wydawcy, ludzie bez serc, skąpili mu honoraryjów za tę pracę i kazali pisać coś więcej. On zaś był konsekwentnym i pisał coraz mniej, bo coraz mniej myśli przychodziło mu do głowy, a coraz więcej tytułów. Im zaś mniej pisał, tem mniej jadł i tem mniej kamizelek dostarczał mu jego krawiec.

W tem rozpaczliwem położeniu przypomniał sobie dawne czasy, kiedy jeszcze jeździł najtyczanką i parą koni szukać posagu. Spojrzał z westchnieniem dokoła; posagu nigdzie nie było. Wtem oczy jego zawadziły o niewiastę, która z książkami pod pachą, spieszyła z jednego końca miasta na drugi. Niewiasta była jeszcze młoda i miała także oczy, które zawadziła o naszego młodzieńca. Ten zaś miał wzrost, barki i wąsy, jakich wymagać może słaba istota, potrzebująca podpory w świecie. Każda niewiasta z biegiem lat dochodzi do kresu, na którym czuje potrzebę takiej podpory. Niewiasta, o której mówię, uczuła ją w tej chwili.

Młodzieniec poszedł za nią i dowiedział się, że od ósmej rano do ósmej wieczór uczy ona cudze dzieci, biegając z domu do domu, za co zarabia przeszło sto reńskich miesięcznie. Młodzieniec, jako były pisarz bankowy, obliczył natychmiast, że przedstawia to procent od kapitału 24 tysiące zł. gotówką. Ściśle rzecz biorąc, był to tedy posag, tem atoli różniący się od widzianych dawniej tu i owdzie, że nie mógł zniknąć wskutek spadku papierów i że nie unikał uścisków młodzieńca, jak to czyniły inne posagi.

Odbył się cichy ślub w kościele, a nazajutrz rano nowozamężna niewiasta pospieszyła do swoich lekcyj, zaopatrzywszy wybrańca swojego serca w gotówkę na cygara i inne drobne wydatki. Wybraniec poszedł do kawiarni i począł zadziwiać swoje towarzystwo tytułami dzieł, które napisać zamierza. Od tego czasu wszystko idzie tym samym trybem. Żona daje lekcyje i zajmuje się przy tem obiadem, bielizną, dziećmi, pomieszkaniem, krawcem i szewcem swojego męża. Co może, składa do kasy oszczędności na złe czasy, ale jest to bardzo mało, bo pan mąż lubi dobre cygara i ubiera się tylko podług najnowszej mody. Niechajby atoli kto spróbował wytknąć mu cokolwiek i znaleść, że nie jest on wzorem męża, jaki być powinien. W takim wypadku robocza żona wzięłaby śmiałka na rogi i podeptałaby go nogami.

Robocza krowa jest arcydziełem stworzenia w swoim rodzaju. Za jej odkrycie należy się nagroda nietylko naszemu młodzieńcowi, ale i mnie, który o tem zdałem sprawę ku pożytkowi kraju, dla zwalczenia konkurencji amerykańskiej.

Jan Lam. (p. t. I. s. 80).

* *Krowa dojna.* (Myśl pisarza gminnego).

Hrabia dostał srebrny medal za dojne krowy. Toż sprawiedliwość! Nie wiem, czy jest na

świecie dojniejsza krowa nad moją gminę—a jednakże nikt mi za nią nie dał medalu...

Świąteczny.

Król.

* *Król w niełasce.*

Stary arcybiskup z Tours, Bertrand de Chanse, miłował bardzo Ludwika XIII, który ze swej strony pragnął całem sercem ubrać go w kapelusz kardynalski, tylko... Richelieu nie chciał. To też arcybiskup mawiał:

— Gdyby król był w łaskach... zostałbym kardynałem.

(*Tallemant des Réaux*).

* Pytano się razu pewnego Miltona:

— Dla czego król może się koronować w 14-ym, a żenić dopiero w 18-tym roku życia?

— Dla tego—odpowiedział ślepy poeta—iż łatwiej rządzić krajem, aniżeli kobietą.

Świąteczny.

* *Chory król i lisy.*

„Na ukaz Jego Lwiej Mości,
Dany do nas (z Jaskiniewska
Zbójskiego, gdzie dla słabości
Zdrowia ma Jego Królewska
Mość pobyt), do gabinetu
Ministrów, My, z ich kompletu
Zamianowani być przy Nim
Na służbie, wiadomo czynim:
Po pierwsze: Z obywatelstwa
Drapieżnego, tudzież stanu
Bydlego, wybrać poselstwa
Z tem: iżby wskutek uchwały
Powiatów, one udały
Się, Najjaśniejszemu Panu
Życzyć, w najpoddańszy sposób,
Co jak najdłuższego życia.
  Dan, rezydencyja letnia,
  Jaskiniewsk, 1-go kwietnia.
Przyczem, ministra rozkazem,
Postanowiono zarazem:
Posłom z ich towarzyszami,
W tej podróży nadzwyczajnej,
Kazać jechać z paszportami
Z Lwiej kancelaryi tajnej;
Zaczem: niech się nikt nie waży
Ani z policyjnej straży,
Ani nawet z dygnitarzy,
Posła ukąsić lub drapnąć,
A tem mniej w pół drogi capnąć."
Na ten rozkaz ode dworu,
Barańswo, tudzież stan ośli,
Pierwsi sejmikować poszli;
Pilnując się onych toru,
Wszyscy inni z pól i z borów,
Zgromadzić się mają dzisia;
Tylko jedna giełda lisia
Wstrzymuje się od wyborów.
Zkądże im ta taktyka i co jej powodem?
Wydał to jeden stary urzędnik, lis rodem.
„Uważam, rzekł, dawno trop wszelkiego zwierza
Przed i za Jaskiniewskiem; upewniam was o tem:
Że pełno zewsząd śladów ku Monarsze zmierza,
Ale żadnego nie widać z powrotem."

Adam Mickiewicz. (p. t. I s. 19).

* *Zręczkowiny królewskie.*

Księżniczka Ludwika, córka Franciszka I, urodzona 1515 roku, przeznaczona jeszcze w kolebce królowi Hiszpanii, zmarła 1518 r. Siostra jej Charlotta, urodzona 1516 r., żyć przestała w 1524 r.

La Rochebeaucourt, ówczesny ambasador przy dworze hiszpańskim, w sposób zupełnie poważny opowiada zabawną rozmowę Karola V z panem de Chièvres, nauczycielem, z okazyi śmierci narzeczonej.

— Jakto, panie de Chièvres, więc to moja żona? Jestem straszliwie zagniewany! To wielkie nieszczęście!

Ale po chwilowem milczeniu podnosi głowę i rzecze:

— Czyliż nie napisano w naszych traktatach, że w braku księżniczki Ludwiki, mam poślubić księżniczkę Charlottę?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie — odpowiada pan de Chièvres.

— A o wieleż lat jest młodszą od siostry?

— O jeden rok.

— To więc jest — odpowiedział Karol prawie pocieszony — cały rok stracony; niemniej ja się z nią ożenię, aby zawsze utrzymać jaknajlepsze stosunki z królem, moim teściem.

(B. Hauréau, *François I et sa cour*).

Królewna.

* Miała na twarzy tęsknotę,
Kibić powiewną.
Często goniłem sny złote,
Upojon mową jej śpiewną.
I patrząc w oczy tej dziewy,
Szeptałem minstrel prawdziwy:
„Moja królewno.“
Minęła wróżka snów—wiosna,
Ta pora rzewna;
Urocza doba miłosna
Pierzchła, jak mara powiewna,
Krążą pogłoski wśród rzeszy,
Że trzecim mężem się cieszy,
Moja królewna...

Królowa.

* *Królowa-dewotka.*

Małżonka Ludwika XV-go była dewotką, lecz zarazem zwolenniczką najweselszych komedyj i to tak dalece, że po jej zgonie, weszło w zwyczaj mówienie na dworze podczas czytania lub przedstawiania jakiej sztuki w treści bardzo lekkiej: „To z repertuaru nieboszczki królowej.“

Krupa.

* Król Jagiełło bił Krzyżaki,
I pan Krupa chciał być taki,
Na co porwał się, nieboże,
Krupa jagłą być nie może.

Podług podania miejscowego, Krupski czyli Krupa zwany, bogaty człowiek, miał się bronić uporczywie we wsi swojej Krupe przeciw Jagielle, nie chcąc go uznać za króla polskiego. Zachował nam to zdarzenie Jan Kochanowski w powyższym wierszu, żartując z zuchwałości tego Krupy.

Krynolina.

* Podczas jakiejś uroczystości w Tuillerach, jedna z dam dworu spytała marszałka Canrobert:

— Jak też mnie pan znajduje w krynolinie, którą dziś włożyłam?

— Wyglądasz pani wspaniale — odrzekł uśmiechając się marszałek.—Dla mnie strój ten ma szczególny powab. Przywodzi mi na myśl wspomnienie przedmiotu, który był dla mnie bardzo cennym i zawierał w sobie cel wszystkich moich ziemskich dążności.

— Przestań pan — przerwała pani — albo kończ prędzej, bo wystawiasz moją ciekawość na ciężką próbę. Pałam chęcią poznania przedmiotu, który cię takim zapałem przejmował i który moja krynolina ci przypomina.

— Zaraz zaspokoję ciekawość pani — odrzekł ironicznie marszałek. — Pani krynolina przypomina mi namiot, w którym jako głównodowodzący mieszkałem w Krymie. Gdybyś pani jeszcze chorągiewkę przymocowała na głowie, miałbym zupełne złudzenie, że mój namiot ożył i tu za mną do Paryża przywędrował.

* *Nec locus ubi crenolina fuit* (fragment).

Był czas, kiedy damy idąc z biegiem mody,
Po sto łokci nosiły u sukien obwody,
I każda z nich wydęta, jak balon ulotny,
We wdziękach i powadze zysk miała stokrotny.
Ale czas ten uroczy już zniknął, ej minął—
I szkoda krenoliny, bo za nią człek ginął...
Dzisiaj gust się przemienił i moda nie taka,
Co spojrzysz na kobietę, myślisz, że pokraka:
Garb z przodu, garb od tyłu, a reszta opięta —
Przysiągłbyś się, że idzie turkiestańska święta,
A tak się przytem schyla, tak grzbietem kryguje,
Że myślisz, iż ją pewnie coś w żołądku kłuje!

T. O. z Mazowiecka.

Krytycy.

* Ludzie, którzy twierdzą o twórczości, jak mężczyźni o porodzie, sami bowiem boleści porodowych nie przechodzą. Dlatego też, gdy który z nich sam co na świat wyda, to zazwyczaj jest to płód poroniony albo nieprawy.

* Prześliczna strofa! mógłbym zacząć od niej
Nowy poemat, jak sąd ostateczny;
I przy Eumenid pokazać pochodni,
Jak jest grzech każdy dziwnie niebezpieczny;
Jak w jasnem niebie daleko jest chłodniej
Niż w piekle, kędy płonie ogień wieczny;
Lecz wolę dzieło to porzucić na później,
Bo do porządku mnie wołają woźni.
Ci woźni są to krytycy... kolego!
Byłżeś w Arkadyi tej, gdzie Jezuici
Są barankami?.. pasą się... i strzegą
Psów... i tem żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszcza?.. Kraina niczego!
Pełna wężowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutej... Niebieska kraina!
Co za pieniądze bab... truć nas zaczyna.

* Do pracowni sławnego portrecisty Girardet w Paryżu przyszedł raz znany krytyk i znawca sztuki Scudo, który odznaczał się wielkiem roztargnieniem, a często naiwnością. Przed chwilą właśnie wykończył Girardet portret naturalnej wielkości; Scudo przypatrywał mu się uważnie, a potem rzekł:

— Czy wiesz, kochany Girardet, że to znakomicie zrobione; rysunek wzorowy, poza czarująca, koloryt i oświecenie przepyszne, ale powiedz mi, po co taki szkaradny model obrałeś?

— To moja matka — odpowiedział malarz spokojnie.

— Ach, przepraszam cię po sto razy,— wybąknął Scudo zaambarasowany—mogłem przecież się tego domyśleć, gdyż jesteś uderzająco do portretu podobny.

* — Jakimże się to stało sposobem – zapytał Kant—że pan M., który jako krytyk, wskazuje i wytyka błędy, przedtem jako autor, nie dawał najmniejszego dowodu swych zdolności?

— Widzisz, kochany profesorze — odparł ktoś z otoczenia — zły pisarz może być dobrym krytykiem, podobnie jak kiepskie i skwaśniało wino przerabia się na doskonały ocet.

* Kästner skrytykował tak raz jedno dzieło: Książka ta jest wydana na bardzo złym papierze, gdyż... szkoda ładnego!

* *Obraz doskonałego krytyka w dwóch wierszach skreślony.*

Onego czasu chodził mąż niektóry
I pilnie w całem wyszukiwał dziury.
Świąteczny.

O krytykach.

* Młody, utalentowany, a nieznany pisarz, przyniósł raz krytykowi teatralnemu, panu Molé, sztukę, z prośbą o jej przejrzenie i o wydanie sądu, czy może być wystawioną na scenie. Po niejakim czasie, pan Molé zwrócił rękopism autorowi, mówiąc, iż znalazł w sztuce wielkie braki, które czynią ją zupełnie niezdatną na scenę, a młody człowiek skłoniwszy się, odszedł. Po sześciu miesiącach przychodzi nasz młodzieniec ze zwojem papieru i składa go w ręce pana Molé, oświadczając, że pracował usilnie nad ową sztuką i ma nadzieję, że teraz zadowolni wymagania krytyka. Pan Molé przyjął uprzejmie rękopism, ale znów po kilku dniach oddaje go autorowi, przyznając, że sztuka wiele zyskała, lecz przedstawić jej jeszcze niepodobna; radzi przecież, żeby młody człowiek się nie zniechęcał, pracował, działał i t. p. Po wysłuchaniu tej przemowy, młodzieniec rozwinął milcząc zwój papierów, ukazując zdumionemu i zmieszanemu krytykowi kilka zupełnie czystych niezapisanych liber!

* Pewien młody modny literat napisał dziełko pod tytułem: „Pigułki przeciw snowi“ i przesłał je staremu uczonemu, niegdyś swemu pro-

fesorowi, do przejrzenia. Po kilku dniach otrzymał swój manuskrypt z następującym listem: „Mój młody przyjacielu! Nieprędko zapewne znajdę książkę, której byłoby tak mało do zarzucenia jak twojej, potrzeba tylko zmienić w całej treści jedno słówko i to w tytule: zamiast „Pigułki przeciw snowi“, trzeba napisać: „Pigułki na sen.“

* Kiedy pewien krytyk po ciągłem przezwyciężaniu samego siebie, dojechał nareszcie do końca studyjowanego, niedowarzonego utworu, zawołał bez tchu: „O Boże! dzięki Ci! nareszcie spostrzegam ziemię!“

* *Na krytyków.*

Niech jeszcze dobre niebo tem Polskę obdarzy,
By miała mniej krytyków, a więcej pisarzy; —
Bo z naszem gospodarstwem podobieństwo [mają:
Jeszcze drzewa nie wzrosły, a już wycinają.

Antoni Górecki.

Krytyka.

* Dawid wystawił w Luwrze jeden z swych najlepszych obrazów i wmieszawszy się w tłum, słuchał sądów publiczności.

Wtem człowiek jakiś, z ubioru sądząc, woźnica, popatrzył na obraz pogardliwie i wzruszył ramionami:

— Widzę, że obraz nie podobał się panu — powiedział Dawid, podchodząc do woźnicy.

— No tak—odparł tenże.

— I dla czego? Przecież cała publiczność podziwia go.

— Publiczność to zgraja głupców; powiedz mi pan, czy zdarzyło ci się kiedy widzieć konia bez wędzidła, z pyskiem pełnym piany?

Uwaga była słuszną. Dawid umilkł, ale jak tylko salon zamknięto, usunął pianę.

* Młody poeta napisał dramat, nader surowo przyjęty przez krytykę; naturalnie autor bardzo nad tem cierpiał i przy sposobności uczynił nawzajem zarzut krytykowi, że dostatecznie nie zna trudności zadania, że bezwzględnie zdanie swoje wyraża i dobrze by było, aby sam starał się ułożyć parę wierszy choćby dla próby.

— Dobrze - odparł wesoło krytyk i napisał następujący dwuwiersz:

Twój utwór ma mniejsze i większe rozdziały,
Sztukę krótką, lecz nudę tem dłuższą zdziałały!

* *Krytyka delikatna.*

— Panie profesorze! jak się panu podobają sztuki mojego zięcia.

— Przyznać trzeba, że charaktery są doskonale naśladowane, mianowicie złodzieje są wybornie oddani, bo nawet rozmowy ich są całe kradzione!

* *Krytyka dla pewnego poety.*

Twa pieśń na Pegazie naprzód iść się boi!
Ma płynąć jako woda—a na miejscu stoi,
Zieje ogniem, płomieniem, a piersi nie grzeje,
Sypie kwiaty na kwiaty, a wonią nie wieje,
Składa wiersz do wiersza, a miarę do miary.
Wszystko jest, prócz poezyi! tej nie ma, mój [stary!

* *Także krytyka.*

— Cóż, byłeś na „Lohengrünie?“

— A jakże i muszę wyznać, że mi się bardzo spodobały sztuczne łabędzie...

— Nic dziwnego, ponieważ stosownie do idei Wagnera, są to łabędzie... przyszłości.

* Dwaj młodzi pisarze, z których jeden poświęcał się belletrystyce, drugi polityce, złożyli swoje prace u doświadczonego krytyka, z prośbą o wydanie sądu co do prac ich i o zatytułowanie obu manuskryptów. Niezadługo otrzymali swe rękopisy, z których jeden nosił tytuł: „Ziarnka maku na bezsenną noc“, drugi zaś: „Fidybus do fajki politycznego palacza.“

* Pewien młody uczony żyd przyniósł mądremu rabinowi swe własne komentarze nad ża-

lami Jeremijasza do przejrzenia. Po kilku dniach rabin wydał o nich taki sąd: „Żałuję, że Jeremijasz nie może ożyć i poznać twych komentarzy, gdyż z pewnością napisałby nowe treny!“

* Młody poeta prosił Byrona, żeby przejrzał jeden zeszyt jego dzieła. Po kilku dniach Byron odnosi poezyje.

— Jakto! — woła młody poeta z zadowoleniem – nigdzie ani krzyżyka?..

— Ach mój panie — odrzecze Byron — czy chciałbyś, żebym zamienił w cmentarz twój manuskrypt...

* W Hamburgu pewien młody człowiek, nazwiskiem Babel, oddał krytykowi teatralnemu swoją sztukę do przejrzenia; w parę dni później otrzymał taką odpowiedź:

Kochany panie Babel!
I sztuka i Fabel
Wszystko miserabel!

* W New-Yorku w krytyce teatralnej tak osądzono śpiew niejakiego pana Rambotton: „Jednem słowem pan Rambotton tak śpiewa, jakby wsadził nogę w gardło i stratował nią swój własny głos.“

* *Jak się piszą krytyki?*

— Otóż, dzięki Bogu, dostałem dzieło pana W.; obetnę go, obetnę, wychłostam porządnie! Uważcie czytelnicy, że się to mówi zwyczajnie wprzódy, nim do dzieła zajrzało, nim je otworzyło, nim można wiedzieć, co ono jest i czy godne chłosty, czy pochwały. W tym wykrzykniku jest cała dzisiejszej krytyki historyja, najwięcej mówiące jej godło.

Krytyka zna pana W., ale nie zna jego dzieła. Pan W. jest nieprzyjacielem, jest przeciwnej opinii, jest innego od nas sposobu widzenia człowiek, a więc bijemy systematycznie na niego.

Toż to sumienie, proszę was?

Zapewne, że to nie sumienie, ale to zwyczaj i reguła. Siada się do czytania z uprzedzeniem; czyta, poszukując słabości; naturalnie znajdzie się je łatwo i chłosta potem tego nieszczęśliwego pana W., który Panu Bogu ducha winien.

Dzieło wszelkie gorsze lub lepsze, wszystko porównoważywszy, dziesięć razy tyle żyje, co krytyka; krytyka więc, ta efemeryda, co rodzi się, płodzi i zamiera w jednem trwaniu jakiegoś tam promienia (wątpię o słonecznem) – krytyka musi się uwijać i dobrze ukłuć, aby egzystencyję swoją czemś oznaczyć—krytyka, moi mili panowie, rzecz zupełnie dowolna.

Ot tak: siądźmy obaj do jednego dzieła; ja będę szukał świateł, Pan szukaj cieniów; napiszemy obydwa sprawozdanie po części sprawiedliwe, w którem z jednej strony będą same wady, z drugiej same przymioty dzieła. Nic prostszego w świecie. Każde pismo, każdy utwór z tego i tego się składa. Gdybyśmy wzięli Ilijadę Homera; ty będziesz bił na długie wyliczanie okrętów i nieprzebyte gawędy bohaterów, łających się i czczących na przemiany; ja ci będę wskazywał cudowne miejsca tej nieśmiertelnej księgi — obydwa będziemy mieli słuszność za sobą.

Ktoś trzeci jednak będzie rozumniejszy od nas obu, bo zważy przymioty i wady i zakonkluduje, co to przecie warto.

Doskonałe było dawniej za czasów dysput przysłowie: *Plus negare potest asinus, quam probare philosophus.*

Jabym to zapisał na każdej niemal dzisiejszej krytyce. Nic łatwiejszego jak *negare.* Daj mi co chcesz, a dowiodę ci, jak dwa a dwa cztery, jasno jak słońce, że to nic nie warte. Niema arcydzieła, któregoby krytyka nawet bardzo mierna, do góry nogami wywrócić nie mogła; bo zawsze *negare* jest najłatwiej. Dla tego, kto ma kropelkę dowcipu, trochę śmiałości a mało sumienia, nic niema łatwiejszego, jak podjąć się pisać całe życie krytyki; co przy nabytej wkrótce wprawie, z pomocą epizodów, uskoków, dywagacyj, eksploracyj, porównań etc., da się ciągnąć *ad infinitum.*

Bądźcie też łaskawi i grzeczni, powiedzcie mi, kiedy komu na co przydała się jakakolwiek krytyka?

Słyszałem o kilku biednych, co sobie z powodu krytyk w łby wypalić raczyli; i dobrze zaprawdę uczynili: łby, które krytyka rozkruszyć mogła, nie wiele musiały być warte; ale czy słyszeliście, proszę, kiedy o jakim innym skutku krytyki?

Gdybyście się mogli dowiedzieć, raczcie mi donieść, abym zapisał do akt babińskich; tymczasem zostaję w mocnem przekonaniu, że krytyki są wyborne do obwijania świec i innych domowych maleńkich użytków — więcej nic.

Mylę się; krytyka ma jeszcze jeden użytek: ona niepojęcie uwesela, raduje, rozpromienia i uszczęśliwia autora. To niechybne! Potem ona go wywyższa w oczach ludzkich, tak, jak wywyższa skoczka na linie wszelki śmielszy wybryk, zyskujący mu frenetyczne ludu oklaski. Nareszcie, jakem już powiedział, krytyki są wyborne do oprawiania świec, obwijania pieprzu i t. p.

Czy może być w świecie mniej znacząca, a łatwiejsza do zrobienia rzecz, nad krytykę?

Drwa rąbać, buty szyć, to się przecie choć trochę uczy, a pisać recenzyje? po co? Siada się (nie czytając) i pisze.

Oto tak:

Naprzykład, popada ci się książka historyczna, dwutomowa, obejmująca opis jednego wypadku historycznego. Otwierasz ją w tomie pierwszym i w tomie drugim. W pierwszym znalazłeś fakt niedokładnie opisany, w drugim—zaczepkę przeciw duchowieństwu. Autor, dodajmy, jest ci nieprzyjazny.

Tych *danych* już dosyć, siadasz i piszesz recenzyją na arkuszu, w tym sposobie naprzykład:

„Doszło nas tutaj nowe dzieło uczonego M., w którem nie odstępuje od dawnego sposobu widzenia rzeczy i krąży w tem samem kole (*circulus vitiosus*) (NB. cytaty łacińskie są wybornego użycia w recenzyi, jest to szpikowanie, jak dowcip solą). Zbadanie faktów, na których oparty cały wywód autora, mogłoby być sumienniejszem i dostarczyć całe przeciwnych wniosków, że tylko zacytujemy jedno. Tom... karta...“ (Następuje fakt).

Chcemy koniecznie ukąsić autora? więc mu wyrzucamy zaczepkę duchowieństwa, niedokładność faktów (w wyrazach ogólnych zawsze, aby bardzo nie pracować nad krytyką, bo pracuje się chyba już z ostatniej złości i gniewu). Jeśli styl gładki, potoczysty, płynny i skromny, wymawiamy mu, że bezbarwny i chłodny, że nic nie maluje; jeśli gorący, kolorytu pełen, fantazyi, poezyi, dowcipu—zarzucamy niestosowne jego w historyi użycie; jeśli autor doskonale zbadał źródła i zagłębia się w krytykę faktów, dowodzim mu oschłości, pedanteryi; jeśli haftuje na tle historycznem, wyrzucamy dowolność, romansowość i niedokładność. Słowem, że zje licha, żeby się krytyce wychodzić mógł. On w prawo, ona w prawo; on w lewo, ona z lewa zaskoczy; on prosto, ona go z tyłu pochwyci — a wykręcić się, nie wykręci.

Teraz na odwrót, chcesz-li autora chwalić? — nic łatwiejszego. Niech dzieło będzie zupełnie a zupełnie nic nie warte, znajdziemy sposób pochwalenia go albo z naiwności (kiedy bardzo głupie), albo z fantazyi (kiedy zupełnie sensu braknie, a pretensyi wiele), albo z erudycyi (jeśli *a propos du bottes* poprzyczepiano łachmany cudze); to nareszcie z okładek i litografii, z pomysłu, a choćby z tego, czego w niem nie ma. Dość, że kiedy się recenzent uprze chwalić, to wychwali.

I tak dalej, i zawsze tak.

Dawniej był doskonale naiwny zwyczaj. Oto naprzód występowała zwykle krytyka, ale nie dzisiejsza rozczochrana, kusa, pijana, szalona i bez ceremonii wychodząca z cygarem w gębie i rękami pod boki lecz wyczesana, wypudrowana, grzeczna a kąśliwa, jak pies wściekły, uśmiechająca się i kłaniająca, a podsuwająca ci nogę, abyś się wywrócił — słowem, stara, klasyczna, zoilowska krytyka.

Ale na tem nie koniec.

Na krytykę wychodziła w *Monomachii* anti-krytyka żwawa — oko w oko, nos w nos, pięść w pięść.

Nuż tedy, stanąwszy przeciw siebie, pluć sobie w oczy, gadać sobie grubijaństwa:

— Ty taki — a ty taki — a ty taki.

Publika budowała się słuchając i czekała, czyje będzie na wierzchu, jak mówią po prostu; kto ostatni wyłajał, ten zwyciężył.

Teraz całkiem co innego.

Krytyka rusza w świat, plecie co chce, i nikt jej nie słucha, nikt nie odpowiada; uczy się jak Demostenes deklamacyi, sama siebie słuchając tylko. Ona jest zawsze na wierzchu; ale daremna praca — dzieło dziełem, ona niczem.

Zawsze się mylę. Zdała się na coś przecie, to jest do obwijania i oprawiania świec i do wynoszenia krytyków. Krytycy przez nie stają się wielkimi ludźmi, nic nie uczyniwszy i uwieńczeni mnóstwem laurów, spoczywają na nich syci chwały i oklasków — pewni, że przejdą do potomności. Jakoż istotnie przechodzą, tylko nie do potomności, ale do kredensu i spiżarni na funciki, co zresztą może się nawet największemu człowiekowi przypadkiem trafić.

Krzyk.

* *Choć na mnie krzyk to wywoła...*

Choć na mnie pewnie krzyki to wywoła,
Pragnę oznaczyć, jaka jest granica,
(Której nie widzą demokraci zgoła)
Chłopa od pana, pana od szlachcica.

Tu rodowodu zakryto początki,
Ledwo pod zmysły nam podpadające,
Że chłop okpiwa człeka na dziesiątki,
Szlachcic na setki, a pan na tysiące.

Ztąd wniosek, który podziwu nie wzbudzi,
Choć niejednemu on trafi do gustu,
Że jeden książę więcej okpi ludzi,
Jak tysiąc chłopów, lub szlachciców dwustu.
Żyd tylko silnem swem postanowieniem,
Od wszystkich wyżej jest uposażony,
Bo ten okpiwa z równem powodzeniem
I tych na setki — i tych na milijony.

Krzyżowa robota.

* *Nieprzyjaciel krzyżowych robót.*

— Słyszałem, że twoja małżonka jest mistrzynią w krzyżowych robótkach?

— A tak... już od lat piętnastu robi mi drogę krzyżową.

Świąteczny.

Kserkses.

Skarby obiecał Kserkses nierozumny
Temu, kto znajdzie dlań rozkosze nowe.
Iście, kto znalazł, mógł być bardzo dumny
I zabrał skarbca pewno choć połowę.
Ja jestem sobie wieszcz spokojno-umny,
Lubię miłostki (rozrywką je zowię).
Nie żądam nowych rozkoszy, bo stare
Dla mnie wystarczą, byle trwały w miarę.

Byron.

Ksiądz.

* Razu jednego ksiądz irlandzki zapomniał na pogrzebie, jakiej płci był umarły. Kiedy doszedł w przemowie do miejsca „nasz drogi brat czy siostra", zwrócił się szybko do jednego z niosących trumnę i spytał: „Czy to brat, czy siostra?" „Żadne z dwojga — odparł irlandczyk — to jest całe bractwo."

* Ksiądz proboszcz wezwawszy do siebie Macieja i Szczepana, dwóch niezłych rzemieślników, ale największych pijaków z całej parafii, długi czas prawił im naukę moralną o złych skutkach próżnowania i pijaństwa, a o korzyściach trzeźwości i pracy. Wreszcie zakończył temi słowy: „Sprobójcie tylko, a doświadczycie, jak słodkie owoce w, daje praca". „Proszę jegomości — odezwał się na to Maciej — my to dobrze wiemy, ale przyznawszy się Bogiem a pra-

wdą, to obadwaj lubimy się napić i zbyt trudno od tego odwyknąć, a wiadomo, że wszyscy pijący mają wstręt do słodyczy, więc nam się też tych słodkich owoców spróbować nie chce."

(*Flieg. Bl.*).

* *O pasterzu co był plebanem.*

Pan jeden miał w dzierżawie swej plebana, na którego był złej woli, ale przyczyny mieć nie mógł, jakoby mu plebaniją wziąć. Czasu jednego kluczki nań szukając, wezwał go przed się i jął mu mówić: „Księże plebanie, toć rozkazuję, abyś mi na to troje pytania moje odpowiedź do trzeciego dnia dał; jeśli mi na to nie będziesz umiał odpowiedzieć, wiedz, żeć plebaniją wezmę, a inszemu ją dam. Naprzód mi powiedz, jako mię sobie uważysz. Druga, abyś mi powiedział, gdzie jest środek wszystkiego świata? Trzecia, jako dalekiej różnice są od siebie szczęście z nieszczęściem. Dobrzeż to sobie rozważaj, a trzeciego dnia odpowiedz mi na to." Przyjdzie pleban do domu, frasuje się, biega jako ogorzały kot, to tam, to sam, rozkłada wijatyk, aby to mógł znaleźć. Klechy jął radzić, a klecha też był jako pleban przeuczył. Pastuch jego, bacząc to, iż się ksiądz frasuje, a był przekęsitytel ucząc się przed tym w szkole, ale dla łotrostwa tak się odarł, że musiał u plebana woły paść — pyta księdza, o coby się frasował. Rzecze mu pleban: „Nic tobie po tym, bo mi najmniej w tym nie pomożesz." Rzecze pastuch: „A co ty wiesz, czasem ci też i prostak przegada doktora." „Powiedz mi jedno—rzecze pleban. Nasz pan trzy rzeczy mi zagadł, żebych mu na każdą rzecz trzeciego dnia odpowiedział." I powiedział mu wszystkie trzy punkta. Pastuch księdzu rzecze: „Bądź dobrej myśli i nie troszcz się najmniej, odpowiem ja panu na to, tylko mię w swe szaty ubierz." Trzeci dzień przyszedł, ksiądz ubrał pastuchę w rewerendę, czapkę aksamitną nań wdzieje, wijatyk pod pachą. Idzie do dwora pod wieczór, aby go pan nie poznał, stanie w cieniu, pan go przywita: „Witaj księże plebanie, czemu to tak pod wieczór?" Odpowie pastuch: „Myśliłem o tym, coś mi zagadł." Rzecze pan: „Powiedz-że najpierwsze moje pytanie, jakiejem ja ceny u ciebie?" Odpowie pastuch: „Szanuję cię sobie na dwadzieścia ośm groszy." Pyta czemu nie drożej. Odpowie pastuch: „Drożej cię szanować nie mogę, bo za Chrystusa żydowie Judaszowi trzydzieści groszy dali. Króla tedy szacuję na dwadzieścia dziewięć, ciebie na dwadzieścia i ośm." „Dobrześ mi to salwował" — pan rzecze. Powiedz drugą: „Gdzie jest pośrodek wszystkiej ziemie?" Odpowie pastuch. „Plebanija moja jest w pośrodku wszystkiej ziemie, a jeśli nie wierzysz, tedy rozmierzaj na wszystkie strony, a przyznasz, że prawdę powiadam." Nie chciało się panu mierzyć, przestał jako mu powiedział. Trzecią powiadaj: „Jako daleko od siebie chodzą nieszczęście z szczęściem?" Odpowie pastuch: „Nie daleko, tylko jednym noclegiem od siebie, wczoram ja był pastuchem, a dziś plebanem." Obaczy pan, że nie pleban z nim mówił, ale że rzetelnie odpowiedział na pytanie, kazał mu na *ordines* dawszy mu onę plebaniją, a stary pleban u niego wikaryjem. Obacz ztąd, że

Nie patrz na to, że płaszcz ubogi,
Może tam być rozum drogi.

Książki.

* Książki wychowawcze i kucharskie ten sam los spotyka: z początku czytane są z zajęciem, później porzucone, następnie zaś gotuje się obiady i chowa dzieci według własnej fantazyi.

Księgarnia.

* Dom rodziny, w którym jest wiele córek, podobny jest do księgarni—ludzie się schodzą, oglądają książki, czytają tytuły, oceniają oprawę, czasem przerzucą kilka kartek, rzadko jednak kupują książkę i zabierają ją z sobą do domu. Książki mają tę wyższość nad dziewczętami, iż raz, najwyżej dwa razy, zmieniamy ich oprawę, dziewczęta zaś niemal codzień potrzebują nowego stroju. Kupując książkę, mamy tę

korzyść, iż otworzywszy ją za lat dziesięć, znajdujemy w niej tęż samą cenną treść, nabywając zaś dziewczę na własność, ileż razy po czterech tygodniach pożycia, spostrzegamy w tych lazurowych oczach zamiast łagodnego wyrazu niewinnego baranka, otwarte i śmiałe wypowiedzenie wojny.

* *W księgarni.*

— Czy mogę dostać „Dwóch muszkieterów" Dumasa.

— Są pani...

— A ile kosztują?

— Dwa ruble, pani.

— Czy obydwa?

* — Prosiłabym o kurs literatury angielskiej.

— Jakiego autora pani sobie życzy?

— Tego zwykłego, w zielonej okładce.

Księżyc.

* W księżycu złe „siedzi",
A ten kto go nazwał „czystym", ten się myli;
Bo słońce, chociaż pół ziemi odwiedzi
W dniu owym długim, co się z nocą sili,
Ani połowy tych psot nie wyśledzi,
Którym przez parę godzin jest przytomny
Pyzaty księżyc, choć zda się tak skromny.

Byron.

* *Podróż na...*

W kraj szczęśliwy, kraj boski,
Gdzie się żyje bez troski,
Podróżujmy wesoło, jak dzieci!
Rozegrzanym po winie
Niech się skrzydło rozwinie,—
Hej! na księżyc wyprawa poleci!
W kraju pięknej nadzieje
Niech się z losów pośmieję,
Niech zbuduję rozkoszne pałace.
Co za ziemia szczęśliwa!
Mlekiem, miodem opływa
I używam i grosza nie płacę.
Po podróżnej fatydze
Gmachy z tortów już widzę:
Jak Luwr pyszny podnoszą swą głowę:
A przy każdym filarze,
Zbrojne warty i straże,
W ich ręku halabardy cukrowe.
Co za słodka systema!
Tu z żelaza nic niema,
Z cukru nawet armaty i działa;
Z jagód, fruktów i kwieci
Malowidło się świeci,
Mozajka, rzeźba wspaniała.
Stańmy nieco przed placem:
Tu arlekin z pajacem
Wyprawiają ludowi igrzyska;
W środku bije fontanna,
To nie woda źródlana,
Ale wino pieniste wytryska.
Długi szereg kucharzy
Mięso piecze i warzy.
Prawa uczty pogwałcać nie można;
Bo kto jeno przekroczy,
Stawią kodeks przed oczy,
Każą kręcić pieczyste u rożna!
Tam w pałacu zasiada
Tucznych mężów obrada,
Składa hołd wesołości, swej pani.
Rzeczy dobre snać idą:
Wenus, bożek Kupido,
Słowem, wszyscy okrągli, rumiani,
Wszystko szczęściem oddycha,
Twarzy nie dmie im pycha,
Niema spojrzeń ukośnych, poswarek;
Wszyscy prości a szczerzy,
Równi wobec wieczerzy;
Warto z nimi wychylić puharek!
Pięknych niewiast rój hoży,
A żadna się nie sroży,
Postać uczty zaprawdę godowa;
Szklanka o szklankę brzęka,
Szumi rzeźwa piosenka
Lub figlarna a pusta rozmowa.
Mąż po sutej biesiadzie
Na stół głowę swą kładzie,

I zasypia, nie marząc zawistnie;
Choć wzrok matek ponury
Wciąż wlepiony na córy,
Lecz pod stołem się ręka uściśnie.
Wszyscy życiem natchnieni,
Każda twarz się rumieni,
Tu nie ujdzie twarz chmurna i blada.
Gdy godzina uderzy,
Każdy kontent z wieczerzy,
Spokojniutko do snu się układa.
Jaka tam miłość braci!
A nikt długów nie płaci,
A w miłostkach o stałość nie pyta!
A gdzie dusza szczęśliwa,
Wiek powoli upływa,—
Sto lat żyją, szczęśliwi do syta.
Na księżycu w tej sferze,
Człowiek życia nabierze...
Ale cóż to?.. znów żywot powszedni!
Kto z marzenia mię budzi?
My w gospodzie... wśród ludzi..
Płaćmy z karty rachunek obiedni!
Beranger (tłom. *Syrokomla*).

Kukułka.

* Niedawno spytał się profesor ucznia na publicznym egzaminie: „Czem różni się kukułka od innych ptaków?“ Uczeń pomyślał chwilę, przypomniał sobie o tem, że kukułka gniazda nie lepi, że jaja swe składa w gniazda innych ptasząt i wreszcie, zwyciężając swoje zakłopotanie odpowiada: „Ona nigdy sama jaj nie znosi.“

Kucharka.

* *Pani.* Moja Maryjanno, zkąd ci znów przyszło do głowy o dziesiątej rano nogi sobie moczyć?

Maryjanna. A bo proszę pani, mam się dzisiaj iść fotografować.

Kucharz.

* *Pan i kucharz* (bajka).

Nie sądź, gdy sam nie piszesz, mówią autorowie,
Słuchajmy, co w tej mierze nasza bajka powie.
Pewien pan raz swojego kucharza strofował,
Że mu obiad zbyt kwaśny i pieprzny zgotował,
Że wszystko ta nieszczęsna popsuła przesada.
„O zgrozo! o zgorszenie! — kucharz odpowiada —
Jakże można, mój panie, tak dalece błądzić,
Nie umiejąc gotować o potrawach sądzić?
Pańskie zdanie zupełnie śmieszne i opaczne,
Musisz jeść co ci daję i wierzyć, że smaczne.“
Fr. Morawski.

* *Kucharz-polityk* (bajka).

Gdy w skwar wielki podniecał żar dmuchaniem [kucharz,
Rzekł polityk: — Zbytecznie wasze tak znów [dmuchasz!..
Na to kucharz: — Polityk nie jesteś, lecz .. głu- [piec,
Większy ogień, to większą pieczeń można upiec.
Józef Waśniewski. (p. t. I s. 30).

* *Myśli dymisyjowanego kucharza.*

Powiedz mi, co jadasz — a ja ci powiem, kto jesteś.

Kiedym służył na wsi u pana Onufrego, przez lat sześć przegotowałem, przesmażyłem i przepiekłem dwa folwarki w doskonałej glebie z budynkami, dwadzieścia dwie włóki dębowego lasu i dwunastoletnią propinacyję. Potem lichwiarze wysmażyli pana Onufrego i oba poszliśmy na grzyby, on umarł — a ja rozmyślam.

Piękny młodzieniec podobny jest do kalafijora: głowa ślicznie ufryzowana, a pożytku z niej nie wiele.

Główka cielęca w cieście przypomina mi pewnego męża, który uchodził za bardzo uczonego w oczach własnych.

Galareta z ryb podobną jest do niewzruszonej słabości zasad pewnego jegomości.

Bażant w piórach przypomina mi bardzo kogoś, wszystkim wam dobrze znanego — pióra piękne, a smak zwyczajnej kury.

Gdym robił zupę z żółwia, myślałem, że gotuję obraz krajowego postępu.

Korniszony są wiernym obrazem starych panien: cierpkie, ostre i zamarynowane na amen.

Życie ludzkie jest to wielka kuchnia, z której jednym dostają się frykasy, a drugim ledwo... pomyje.

Może to za bardzo realnie, ale kto ma mniej do czynienia z poezyją—aniżeli kucharz?

Świąteczny.

Kujawiaki prawdziwe. (Z motywów ludowych).

Na Kujawach powiadają,
Że tam dobry posag mają:
Miska klusek, dzban maślanki
Całe wiano kujawianki.
Ozenił się —nic nie mają,
Posagu się spodziewają,
Cyś nie wiedział, chłopce, głupce:
Cały posag na skorupce.

Ty dziewcyno podkasana,
Masz pod pachą wiązkę siana,
A daj ze mi konia popaść,
Bedziemy się lepiej kochać.
Nie dam ja ci siana wiązki,
Boś mi nie dał na podwiązki,
A i będę zapłakana,
Jak koniowi zbraknie siana.

Za góreczką, za niemiecką,
Między rowami, rowami,
Udusiła baba miemca,
Piezynami, piezynami.
Jak go męcy, tak go męcy,
Nie psychoć tu miemce więcej —
A na płocie zapiał kuras,
Idź do domu, nic nie wskóras.

Nie uważaj chłopce na to,
Że ja jestem piegowato,
Tylko zimą pod piezyną,
To mi zaraz piegi zginą.
A i to ci ja powiadam,
Robić nie mogę, nie mogę,
A do tańca pójdzies, Jadam,
To ci pomogę, pomogę.

Widziałeś ty Kujawiacku,
Siedzi Jagna na chojacku;
Będę ja ci tzy dni młócił,
Azebyś mi Jagnę zzucił.
Tzy dni młócił, dwa dni grabił,
Byś mnie ino z nią obabił,
A jak se z nią nie poradzę,
Na chojaka wsadzę.

zebrał

Duduś.

Kulisy.

* *Za kulisami.* (Scenka z życia aktorów ogródkowych).

— Koleżanko! kto ci kupił serdelasa i piwonii? Daj no łyk tego nektaru, który twojej anielskiej się dotykał buzi!

— Nie zawracaj mi kolega filadelfii, ja dobrze, że sama złapałam frajera na kufelek...

— Patrzaj Stelka, jest ten, co to wisz wtedy w dryndzie....

— Ale!.. Ah, moje uszanowanie panu dziedzicowi dobrodziejowi...

— Szacuneczek, łaskawczyni moja...

— Państwo, proszę ze sceny, bo zmiana..

— Wicek, podawaj szprajsy i psistawki...

— Panie reżyserze, gdzie bandzie stojał kuminek?

— Cicho Zośka, kiedyś się urżnęła, widzisz że *derektur* patrzy...

— Panie dyrektorze, czy można będzie po spektaklu coś pomacać...

— Jakto?

— Niby z kasy?..

— Czy pan kpisz? niby to nie wiesz, że Lipfest zagarnia wszystko na stare grzechy...

— Ależ... więc cóż będzie...

— Nie wiem, zapytaj pan Stefuchny...

— Cóż u dyjabła, przecież darmo bohaterów panu grywać nie będę; jakiem był u Krzyżakiewicza...

— Panie dyrektorze, Piesoński chce gaz przykręcić, dopóki pan tych fajgli mu nie wyliczy..

— Panie derektorze, ta nowa nie chce tańczyć mazura, powiada, że jest *niedysponent*, a ona to wczoraj mogła... (*mówi coś do ucha*).

— No już ty musisz zawsze plotki rozpuszczać...

— Tylko ty nie zawracaj, bo powiem swemu, to ci sprawi...

— O, macie ją... mężatka! bardzo się twego boję!

— Ależ dajcie spokój pędraki...

— Państwo, proszę ze sceny...

— Nie zaczynać!

— Dla czego, panie dyrektorze? Już trzy kwadranse antraktu...

— Ale jeszcze całego antałka nie wypito w bufecie.

— Panie derektorze, tam przy wejściu biją się o kontramarkę...

— Gdzie? (*wybiega*).

— Uciekł, żeby gaży nie zapłacić...

— Nie wolno panu nic gadać na mego mężusia!

— A pani dyjabli do tego, ja z panią nie, mam kontraktu...

— Nos mi utrzeć pańskim kontraktem!

— Cicho! bo kurtyna w górę...

— Czekajcie, przecież jeszcze trzech huzarów tu stoi... aż pójdą...

— Macie go... a jak będą nocować?

— Państwo ze sceny! Pan Staroski już gra awanturę...

Dzwonek. Kurtyna do góry.

Biedajło.

* *Za kulisami w teatrzyku.*

— Irenko! a spoglądaj tam ze sceny czule... jest jeden bogaty pan...

— E, niech mama nie zawraca...

— Klapsikowski!.. na scenę...

— Jakto na scenę? Przecież pożyczyłem kamaszy Bajdorskiemu...

— Co? Bój się Boga...

— Panie dyrektorze! Nie będę w towarzystwie! (*płacze*).

— Dla czego znów?

— Bo Irenka robi oko do tego w jasnym surducie, co siedzi w pierwszym rzędzie, a on na mnie leci...

— Każ się pani wyasfaltować i idź do wszystkich...

— Proszę pana dyrektora...

— Co, fryzyjerskie dziecko..!

— No, jakże to może być. Miałem spirytus do grzania żelazek do fryzowania...

— No, więc cóż?

— No i ten pijak, co to gra... tego... jak się nazywa... wypił mi... panie tego...

— Panie Fijołkiewicz, odczep się pan ze swoim spirytusem...

— Żandziu! Bałamutko!

— Odejdź pan, mówię...

— No, cóż się tak bronisz, święta niewinności. .

— O! golec jakiś...

— Dawaj prędzej sprajsę, pokrako, bo się zaczyna!..

— Panie sufler! trzymaj mnie pan...

— A jakże będzie z tem?..

— No, no już będzie, będzie...

— Patrzaj, patrzaj—jest ten czarny za kulisami z tym blondynkiem...

— Czekaj, zaraz każe on coś dać ..

— Paniusie pozwolą się prosić na skromną kolacyjkę...

— I owszem, ale nie w tym ogródku, bo dyrektor zobaczy...

— Ależ naturalnie, gdzie panie rozkażą...

— Dobrze... pod kometą...

— Czekamy zatem po przedstawieniu...

— Mańka! ty jesteś także ananas, trzeba się było trochę podrożyć, przecież cię do handlu więcej kosztuje...

— E, głupiaś, dobre i to...

— Panne Manusze, co ja pani przyniosłem, to ajaj...

— No, pokaż pan...

— Proszę pani...

— Róża, owa! nie nas brać na róże...

— To może pani chce... piwonie?

— No, wolę...

— Chłopak! przynieś no dwa piwonije z bufetu, tylko w duże kufel... Pójdżemy dziś na szpacer?..

— E, ja mam swego....

— Ny, to un potrzebuje brać hawelok i pójszcz do domu...

— Panie derektorze...

— Cóż znowu?...

— Biją się w garderobie... chłopaki od maszynisty...

— To jak jeden będzie zabity, to przyjdź i powiedz mi...

— Mańka! wiesz co?

— No?

— Ten czarny z tym blondynkiem zrobili nam trąbę...

— Jakto?

— No, bo wyszli z jakiemiś facetkami z teatru...

— Czekaj! ja im pokażę...

— E, nie rozbijaj się... lafiryndo...

— Co? besztasz mnie?! Panie dyrektorze... Jutro przychodzę do obrachunku... nie jestem w towarzystwie...

— Tem lepiej... O, dolo dyrektora!

— Drugi dzwonek!

— Kto dzwoni? Kto? Jeszcze Nelsońska nie ubrana!

— Powiedz jej pan, że zaczynamy bez niej.

— Kiedy ona dopiero naciąga...

— Ona nie dopiero, bo ona oddawna już naciąga, zaczynamy!...

— Dliń, dliń, dliń!

— Gdzie maszynista?

— W bufecie...

— A żeby was jasne pierony! O, dolo dyrektora!

— W górę!...

Dyrektor osobiście chwyta za sznur i podnosi kurtynę. Wchodzi maszynista, dyrektor przyskakuje i słychać klaśnięcie...

Kurtyna idzie w górę jeszcze bardziej...

Kulturträger.

(Sylwetka, dawnym volapükiem napisana).

Rzekł mi Vater: „Lieber Sohn,
Musisz jechać w drogę,
Ja swą śmierć przeczuwam schon,
Ruszyć ztąd nie mogę —
Aber to znów nie jest źle,
Dasz ty sobie radę,
Czy ja będę żył, czy nie,
Das ist ganz Pomade!“

„Jedź nach Pohlen—to jest kraj,
Jak już niema drugi:
Tam dla niemców istny raj,
Tam są złota strugi.
Pohle dummer ist als kloc,
On ci będzie rade,
Jedź nach Warschau, Kalisch, Łódź,
Das ist ganz Pomade!“

Und mein Vater miała Recht,
Gdy rzekł taka mowa.
Ja, tu wcale nie jest schlecht
Dla mnie—ani słowa.
Bardzo dobrze jest mi hier,
Choć jest jedne wade:
Że tu niema dobry Bier —
Nu,—das ist Pomade!

Ohne Bier też można żyć;
Ja mial taka sila,
Aby Sehnsucht dobrze skryć,
Co mein Herz trawiła.
— „Jak ja groszę zrobię hier,
Nach Heimath pojadę,
By się napić bayrisch—Bier—
Jetzt—ist es Pomade.—

Choć ja była goła smyk,
Kiedy przyjechała,
Za lat kilka, już Fabrik
Moja tu powstała.

Schlecht und theuer! taką ma
Zakład mój zasadę—
Okpić, kto się tylko da,
Mir ist ganz Pomade!

Vaterland'u dobry syn
Ja będę i w grobie:
Majstrów moc aus Berlin
Sprowadziłem sobie.
Dumme Pohlen za to mi
Robią krzyk i zwadę,
Lecz ja gardzę takiem Vieh,
Mir ist ganz Pomade!

Ich bin hier schon zwanzig Jahr,
Lecz z tutejsza mowa,
Z barbarzyński polski gwar
Nie rozumie słowa.
O, ich ruble dobrze znam,
Co je w kieszeń kładę,
Lecz co oni mówią tam,
Mir ist ganz Pomade!

Chciałem żyć tu długi czas,
Aż milijon zarobię—
Ale stał się głupi Spas:
Każą jechać sobie...
Ach! to jest niedobra rzecz!
Ade! Pohlen, ade!
Że ja muszę iść ztąd precz,
Das ist—nicht Pomade!

Adam A. Smyk.

Kumedyjant.

Cytoł panic dziś we dwoze
Gozetę z Warsiawy,
Ze jakiści kumedyjant
Narobił tam wrzawy.

Bo bez latek juz pięndziesiąt
Wyprawował štuki,
Ale nie dla pośmiewiska,
Ino dla nauki.

Panów, co spijają wino
I ciągiem siachrują,
Pokazywał na tyjatrze,
Jak grose marnują.

Więc tyz panom siła wstydu
I straśny był smutek,
A kumedyjant z tego grania
Dobry zrobił skutek.

I paniców pokazował,
Co wciąz doją zyda,
A ten graty im zabierze
I panicom bida.

Tyz nie jeden zapłaciwszy
W tyjatrze dwa złote,
Stracił całkiem do hulania
I zbytków ochotę.

Niechaj taki kumedyjant
Zyje lat dwie kopy,
Tego zycą mu od serca
Mazowieckie chłopy.

Kumoszki.

Magdalena.

* Dzień dobry, Maciejowa! Imajmy-że, proszę,
Że właśnie po rzodkiewkę do pani przychodzę.
Prawda, że tu i owdzie zabiegłam po drodze,
Zaszłam do przyjaciółki, a potem nad rzekę,
Ani się domyślając, że raka upiekę.
Fi! imajmy-że imość... nie skromni rybacy:
W negliżu porankowym biorą się do pracy.
Uciekłam zapłoniona—poszłam do doktora,
A ztamtąd do apteki, bo panienka chora:
To musi być z kochania...
Ej, co to kochanie!
Panienka ma naukę, gra na fortepianie
I pacierz z francuzkiego mówi dykcyjonarza,
Ale cóż to pomoże?... męża Bóg nie zdarza.
Bo co to mężczyźniska!... ot, uczciwszy uszy,
Niechaj ich wszystkich ciężki paraliż naruszy

Do zalotów gotowi—chłopiec czy żonaty,
Nasz pan hrabia naprzykład... nic, że szpako-
[waty,
A jak jejmość nie widzi, a przemknie się sługa,
Na ładną pokojówkę romansowo mruga.
Uśmiałam się onegdaj... ale co ja plotę!
Po czemu te rzodkiewki?

Maciejowa.

Za kopę trzy złote.

Magdalena.

Ale co chciałam mówić?... Aha! do zalotów
Imajmy, moja pani, każdy z mężczyzn gotów:
I za rączkę cię ściśnie i coś szepnie z cicha
I wzdycha z głębokości... dalipan, że wzdycha.
Niby to jemu wierzyć, chowaj, Panie Boże!
Lecz u nas nudne życie—nudne, jak w klaszto-
[rze.
Wprawdzie bywają goście... Pan sędzia ponury,
Pan major z garnizonu, z wąsami do góry,
Pan Franuś, co jak spojrzy, to aż w oczach
[świetlej,
I młody Rzępolewicz, co gra na basetli.
Wszyscy kawalerowie—patrzą tak słodziuchno!
Panienka gra im polki, że aż rączki puchną,
Jegomość poi wszystkich winem i herbatką,
A panienka jak nie jest, tak nie jest mężatką.
Lecz któż widział tak robić?... Ten stary nasz
[hrabia,
Zamiast myśleć o córce, dziwactwa wyprawia.
Jak się zbiorą mężczyźni, to w długiej gawędzie
Poczynają rozmawiać: co za sto lat będzie?
A zawsze o podstępach—myślą nie rozgarnę,—
Czy lepsze będą proste, czy humanitarne?
Cały wieczór gadają górnie, niedościgle,
Że ludzkość w socyjalne przelewa się tygle,
Że scentralizowawszy przyszłości oznaki,
Chłopi zrzucą siermięgi, a pokładną fraki.
Rzępolewicz dowodzi, jako rzecz widoczną,
Że ludzie, zamiast gadać, kiedyś śpiewać poczną.
Pan Franuś chwali jakąś myśl utylitarną.
Pan major wszędzie widzi stopę militarną.
Nasz pan hrabia, jak winem czuprynę rozbudzi,
Zaraz poczyna płakać na nierówność ludzi.
A pan sędzia, gdy w zdaniach zgodzić się nie
Potakuje każdemu i kołysze nogą. [mogą,

Maciejowa.

To jakiś mądry człowiek...

Magdalena.

Bóg wie, co ma w głowie,
Lecz nigdy do panienki i słowa nie powie;
Ani on, ani major, ani Franuś hoży,
Żaden do niej nie przyjdzie i ust nie otworzy.
Więc pytam, cóż panienka pocznie nieszczę-
[śliwa?
Od nudów czyta książki lub polki wygrywa.
Tu potrzeba anielskiej cierpliwości ducha,
Grać polki cały wieczór, kiedy nikt nie słucha.
Nie prawdaż, moja jejmość?

Maciejowa.

Staroświeckim wzorem,
Niechaj święty różaniec odprawia wieczorem—
To zejdzie jak najmilej wieczoru ostatek.

Magdalena.

Będzie czas, jak dożyje jejmościnych latek.
Po czemu te rzodkiewki?

Maciejowa.

Za kopę trzy złote.

Magdalena.

Muszę śpieszyć do domu, pilną mam robotę.
Ale co chciałam mówić?... Ha!... o jegomości.
Otóż, kiedy wesoło zabawia swych gości,
Nim wszystko pilnie zważą na rozumnej szali,
To wieczerza ostygnie lub na proch się spali.
Zawczora była sprzeczka o równości ludzi,
A każdy chce dowodzić, a każdy marudzi,
Że nim cała dysputa odbyła się dziarska,
Przeszła dymem kuchennym pieczenia huzarska.
Pan hrabia, wpadłszy w zapał, co się często zda-
Kazał humanitarnie ochłostać kucharza. [rza,
Żal mi było doprawdy nieszczęsnej ofiary!
Choć mię nic nie obchodzi—żonaty i stary,
Lecz zapłakałam nad nim... tak... z litości serca.

Syrokomla (*Kondratowicz*). (p. t. I s. 108).

Kupidynek.

* Był bożkiem miłości i dzieckiem miłości,
(Jak o tem zaświadcza i Wenus i Mars),
A gdzie się pokaże—gdzie tylko zagości,
Tam mnóstwo wyrabia figielków i fars,
Ów piękny jak Wenus i śmiały jak Mars.

Miał kołczan na plecach i strzały w kołczanie,
Na oczach przepaskę, a w rączce zaś łuk,
I która dziewczyna tą strzałą dostanie,
Serduszko się budzi i robi puk! puk!
Bo w samo serduszko niósł strzały ten łuk...

Dziś inne są czasy i inni bogowie,
Bo każde stulecie właściwy ma duch,
Dzisiejszy Kupido w peruce na głowie...
Ma kształty mniej zgrabne, potężny ma brzuch,
Bo każde stulecie właściwy ma duch.

Kupido dzisiejszy strzał nie ma w kołczanie,
Lecz za to w kieszeni banknotów aż strach!
Banknotem, jak strzałą, gdy w serce dostanie,
Dziewczyna się chwieje i woła: ach! ach!
A piękny Kupido ma tego aż strach!

Bo inne dziś czasy i inni bogowie,
A każde stulecie właściwy ma duch,
Dzisiejszy Kupido w peruce na głowie...
Podbija serduszka choć wielki ma brzuch,
Bo każde stulecie właściwy ma duch.

Kupiec.

* Pewien kupiec zrobił reklamę swojemu sklepowi we wszystkich pismach, zaczynając anons od słów: „Taka okazyja więcej się nie przytrafi“. Pewnego poranku zastał kasę pustą, a w opróżnionej przez złodzieja szufladzie leżał dziennik z podkreślonemi słowami jego anonsu: „Taka okazyja więcej się nie przytrafi“.

* Pewien kupiec obstalował kolacyję w Tivoli dla siebie i całej rodziny, kiedy właśnie nadszedł pan X., życząc im z uprzejmym ukłonem dobrego apetytu. „Może zechcesz pan z nami wieczerzać?“—rzekł kupiec zachęcająco. „Wybacz pan, ale nie mogę jeść wieczerzy, gdyż od kilku dni niedomagam i dziś dopiero coś nie coś dziobnąłem w domu na obiad, jeżeli pan jednak pozwoli, skosztuję co przez ciekawość“. I pan X., wziąwszy krzesełko, usiadł przy stole. Następnie rozpoczęło się smakowanie, a tak trudno było panu X. dojść do zamierzonego przez chorobę smaku, że potrawy znikały jedne po drugich i zakończyły się dopiero sążnistym rachunkiem, zapłaconym naturalnie przez gościnnego kupca. Nie można się dziwić, że oszczędny w gruncie przemysłowiec wpadł w zły humor i że powiedział na odchodnem panu X.: „Kochany panie, wielką zrobiłeś nam przyjemność swoją osobą, ale na przyszłość wolelibyśmy, żebyś kosztował w domu, a przyszedł dziobnąć coś nie coś w Tivoli“.

* „Jakież wrażenie wywołała opera?“—zapytał ktoś kupca, wychodzącego z przedstawienia Don-Żuana. „Dobre, dobre, tylko na końcu było czuć okropnie kalafonię, powinniby brać ją odemnie, mam duży zapas i to w najlepszym gatunku po 3 talary 16 groszy centnar!“

* W pewnem małem miasteczku północnego Szlezwigu żyją dwaj kupcy, którzy przez czytanie romansów i powieści nabrali tak powieściowego obejścia i stylu, że nie można wstrzymać się od śmiechu, słysząc ich rozmawiających. Przeszłej jesieni przyjechał do miasteczka fabrykant spodni i wstąpił do jednego z owych kupców, pytając, czy nie potrzebuje towaru do swego sklepu. Kupiec, zamiast mu wprost powiedzieć, że na wiosnę nowe fasony i desenie zwykle wchodzą w modę i wtedy trzeba się zgłaszać — zawołał w najwyższem zdumieniu: „Co? mówisz o spodniach?... nie! mój kochany! kiedy słońce wiosenne pierwsze pączki na drzewach rozwinie, kiedy skowronek zaśpiewa pieśń swą w niebiosach, wtedy pomówimy o tych rzeczach“. Kręcąc głową, poszedł fabrykant do drugiego kupca i jakże się zdziwił,

kiedy znów na swoje pytanie o spodniach, usłyszał te słowa: „Kiedy słońce ogrzeje pierwsze pączki na drzewach, kiedy słowik zaśpiewa w gaju pieśń miłości, wtedy pomówimy o... spodniach".

* *Syn znakomitego ojca.*

Nie miszl pan sobie, że ja wronie z pod skrzydła wypadłem, mój dziadek był to bowiem solidarny kupiec i stary zasłużony weterynarz w handlowym zawodzie.

Świąteczny.

* *Która kupia nacięższa?*

Puściło się kilku kupców okrętem z Gdańska do Szweciej. Powstała potem na morzu wielka nawalność, że wszyscy zwątpili o sobie. Oni woleli szwankować na kupiej, niźli na zdrowiu, aby okręt był lekszy, kupią jęli miotać do morza. Drugi desperak, porwawszy żonę swoję, ciśnie ją w morze, powiadając, że w okręcie nie miał nic cięższego nad nią. To mi wierz, że gdy trafisz na złą, będziesz jej miał skaszel. Może tu być taki wierszyk:

Ciężkie ten nosi centnary,
Który miewa z żoną swary.

Kupno.

* Obywatel z prowincyi wszedł do sklepu w Warszawie i kazał sobie pokazać nankinu na spodnie dla synów. Kupiec, chcąc go nakłonić do kupienia innego towaru, zaczął mu je zachwalać i co moment powtarzał: „To jest najmodniejsze płócienko *à la Welington;* to kort *à la Kodrington*; to *à la Nelson*; to *à la Żyrafa*; to *à la Greque* i t. p. Znudzony obywatel takiemi pochwałami, rzekł z niecierpliwością: „Proszę mi dać nankin *à la Bartek*, *à la Szymek*, *á la Maciek* dla moich chłopców, byle tylko był mocny i nie plamisty, bo to fundament, a te tam *Welingtony*, *Kodringtony* sprzedaj W. Pan tym, co mają tony, a mnie za gotowe pieniądze daj, czego żądam i basta!"

„*Śmieszek*".

* Dolar wszystkiem dziś na świecie,
Kto inaczej sądzi—głupi...
Furda zacność! furda wiara!
Mądry człowiek wie to przecie,
Że się wszystko sprzeda... kupi
Za dolara!

Za dolara kupisz żonę,
Przyjaciela, druha, brata...
Za dolara—uciech czara
I rozkosze nieskończone...
Można kupić dziś pół świata
Za dolara!

Każde serce i sumienie
Za dolara kupisz snadnie...
W obec złota cnota—mara!
A gdy jego lśnią promienie,
Każdy twarzą w kał upadnie...
Dla dolara!

Z polsko-amerykańskiego „Kukuryku".

* *Drogie kupno.*

Opowiadano o marszałku Soult'cie, że wspaniała kolekcyja obrazów, którą przywiózł z Hiszpanii, była kradzioną.

— Mówią — powiedział raz marszałek, pokazując przyjaciołom swoję galeryję—że ja rabowałem kościoły i klasztory i kradłem te arcydzieła mistrzów. Jest to kłamstwo, wierutne kłamstwo! Każdy z tych obrazów jest przezemnie kupiony.

— Czy i ten również?—spytał jeden z panów, wskazując obraz, o którym wiele słyszał nawet od oficerów Soult'a.

— Ach! tak, to sławny obraz Murilla, przedstawiający „Paralityka" — odpowiedział marszałek, któremu oczy się zaświeciły.—Kupi go, moi panowie, kupiłem za wysoką cenę.

— Pan kupiłeś go?

— Tak, kupiłem i zapłaciłem drogo. Ten obraz kosztuje mnie dwóch tłustych mnichów: opata i przeora. Opowiem wam tę historyję. Pewnego wieczoru znalazłem się na czele mego

oddziału u bram klasztoru i zażądałem (najmniejsza zwłoka była groźną, gdyż miałem Wellingtona za plecami) dla siebie i moich oficerów kwatery i posiłku. Z rana dowiedziałem się, że mnichy otruli w nocy dwudziestu dwóch moich grenadyjerów, którzy w kaplicy klasztornej byli pomieszczeni. Fakt był spełniony i najlżejsza wątpliwość nie zachodziła. Wezwałem więc mnichów—było ich stu—i powiedziałem: „Za każdego z otrutych żołnierzy powiesić każę jednego z was. Niech więc los rozstrzyga, kto ma umierać.“ Ciągnięto losy i dwudziestu dwóch mnichów wyprowadzono ze stryczkiem u szyi. Żebrali litości, ale ja byłem niewzruszony. Gdy kat miał już zacząć egzekucyję, uchwycił mnie jeden tłusty mnich za rękę.

— Jestem—rzekł—opatem tego klasztoru, a ten oto mój towarzysz—przeorem. Czyż zechcesz dwóch dostojników ukarać tak haniebną śmiercią?

— Ba—odrzekłem—przyjemnie mi będzie bardzo widzieć was na szubienicy.

— Mam—mówił dalej opat przytłumionym głosem—„Paralityka“ Mürilla w moim klasztorze; jest on jednak ukryty przed wzrokiem profanów. Jeśli mnie i przeorowi darujesz życie, zaprowadzę cię do tej kryjówki.

— Moi panowie—kończył Soult—propozycyja była zanadto ponętna. Co prawda, cena była wygórowana: opat i przeor, ale słyszałem tyle o tym obrazie, tak mi był potrzebny do mego zbioru, że uległem pokusie. Darowałem życie dwom mnichom, a gdy egzekucyja na dwudziestu pozostałych była dokonaną, poszedłem do owej kryjówki i zabrałem obraz. Widzicie więc, moi panowie, że nie powinniście wierzyć, gdy wam mówią, że kradłem te arcydzieła. Daję wam słowo, że każde z nich drogo mnie kosztuje.

Kupon.

* *W pewnej szkole.*

— Powiedz mi, kochanku, co to jest cielę?

— To jest kupon.

— Jak to kupon? od czego kupon?

— Od krowy.

Świąteczny.

Kura.

* *Zepsucie między kurami.*

Pewien restaurator, gdy mu gość zarzucał, że jajka podane nie są świeże, tłómaczył się, że obecnie nie tylko między ludźmi, ale i pomiędzy kurami takie panuje zepsucie, że nawet żadna kura porządnego jajka znieść nie potrafi.

Świąteczny.

Kuracyja.

* Pani Anais jest młodą i czarującą kobietą, małżonek jej zaś jest deputowanym i naturalnie zakochanym w swej żonie. Ponieważ pani ma dużo sprytu, a mąż dużo zazdrości, więc samo przez się rozumie się, że ona woli swojej nigdy prostą drogą nie przeprowadza. Zeszłej zimy tańczyła pani bardzo wiele z młodym oficerem, którego pułk zaraz potem został do Melem przeniesiony. Obecnie więc nie tańczy i zdaje się być cierpiącą.

— Droga przyjaciółko—mówi zrozpaczony małżonek—zanadto męczyłaś się, potrzebujesz wzmocnienia, wypisałem więc pięćdziesiąt butelek portwejnu.

— Jesteś bardzo dobry — odpowiada pani słabym głosem.

— Będziesz zatem pić wino?

— Jak to, pięćdziesiąt butelek?

— No tak.

— Jeżeli ci to robi przyjemność, będę pić, ale mi to nie pomoże.

— Dla czego?

— Nie wiem.

Zaniepokojony mąż sprowadza lekarza, który niezwłocznie się zjawia. Jest to młody człowiek, cokolwiek blady, ale elegancki i dystyngowany, ma obejście pełne powagi, ale dźwięk głosu muzykalny, uśmiech ujmujący, typ prawdziwego lekarza damskiego, jak to zaraz zobaczymy. Podchodzi do prześlicznej pacjentki,

składa ukłon z dystynkcyją markiza z XVIII wieku, ujmuje rączkę, która ku niemu się wyciąga.

— Nakoniec przyszedłeś, doktorze!

— Nakoniec? Czy to wyrzut?

— Zasługujesz nań, doktorze, gdyż dla książęcych chrypek i katarów zapomniałeś o mnie. Dla przedmieścia Saint-Germain zaniedbujesz chorych z Chausse d'Antin.

— Czy pani jesteś istotnie cierpiącą?

— Najistotniej, doktorze, czyż nie widzisz tego?

— Widzę, jesteś pani mizerną, uważam nawet lekką gorączkę.

— Czy jest w tem co groźnego?

— Może w przyszłości, trzeba spróbować rozrywek.

— Za nic, doktorze.

— Więc spacerów.

— I to nie.

— Podróży.

— Toby było nie złe, tak, tego mi właśnie brak: świeżego wiejskiego powietrza.

— Sądzę, że powietrze Pyrenejów byłoby zbawienne dla pani.

— O, nie!

— Więc Delfinatu.

— I to nie.

— Czy nie macie państwo posiadłości w Delfinacie lub Pyrenejach?

— Gdyby i tak, cóż to, czy pobyt w swej posiadłości ma być uzdrawiającym?

— Więc może w okolicy Paryża?

— Zgadłeś, doktorze.

— Okolice Paryża są bardzo zdrowe. A więc Wersal lub Fontainebleau?

— O, nie.

— Może Melan?

— Tak, tak, doktorze. Pomyśl tylko, że upatrzyłam tam śliczną posiadłość z parkiem o trzydziestu pięciu morgach—mały miluchny pałacyk i mąż mój nie chce nabyć tego, gdyż jak powiada, nie może naruszać swych kapitałów. Niech pan powie, czy podobna uważać na drobnostki, gdy moje zdrowie wymaga, żebym odetchnęła powietrzem w Melan.

— W istocie, nie rozumiem tego uporu męża pani, który jest, o ile wiem, amatorem pasztetu z węgorza.

— Ach! doktorze, liczę na pańską wymowę, pomyśl, że idzie tu o ważną dla ciebie kuracyję, która ci zrobi reklamę.

— Takim pięknym oczkom i usteczkom niepodobna się oprzeć, nawet doktorowi.

Doktór zatem idzie do pokoju męża.

— Pańska żona potrzebuje troskliwych starań—mówi z miną ponurą i zamyśloną.

— Pan mnie przerażasz.

— Uspokój się pan, niema dotąd nic groźnego, ale pańska żona jest wątło zbudowana— rozrywki zeszłej zimy zbytecznie ją wyczerpały — musi najśpieszniej Paryż opuścić i odetchnąć powietrzem Pyrenejów lub Delfinatu.

— Ach! mój Boże! niepodobna żeby jechała bezemnie!

— Więc jedź pan z nią.

— To być nie może, moje obowiązki zatrzymują mnie tu, zapowiedziałem mowę moim wyborcom.

— Żałuję mocno, ale zdrowie pani wymaga stanowczo oddalenia od miasta. Czy nie możnaby nająć coś w okolicy?

— O, najmować, to zły interes, doktorze, wolę już kupić na własność.

— Jak się panu podoba, mogę mu właśnie coś odpowiedniego pod samym Paryżem zaproponować.

— Pod samym Paryżem?

— Prawie, w trzy kwadranse dojeżdżasz pan tam koleją; możesz więc pan tym sposobem, dzięki parze, politykę z miłością pogodzić. Przytem pan podobno lubisz węgorza, a tam właśnie doskonale się poławiają.

Małżonek jest rozbrojony, z wybuchu wdzięczności ściska rękę lekarza swej żony, przywołuje notaryjusza, kupuje miluchny pałacyk wraz

z parkiem, a pani umacnia się w przekonaniu, że powietrze w Melan jest jedynym środkiem leczniczym na jej cierpienia.

* *Szczęśliwa kuracyja.*

Pewien młody jeszcze człowiek ożenił się z bogatą wdową, ale daleko od niego starszą. Po kilku latach przykrego pożycia imaginacyjna żona zaczęła się trapić myślą, że mąż szuka sposobu pozbycia się jej zupełnie.

Pewnego razu zajęta silniej, niż zwykle tą myślą chorej wyobraźni, czując się nadto cokolwiek osłabioną, zawołała:

— Jestem zgubioną! o! czuję, że mnie otruto...

— Otruto?—zapytał mąż—kogóż więc obwiniasz o tę zbrodnię?

— Ciebie—odpowiedziała z wyrzutem żona.

— To kłamstwo—rzekł młody małżonek—będę koniecznie wymagał, ażeby cię egzenterowano, a wtedy przekonamy się o prawdzie.

Na takie zapowiedzenie żona nagle zamilkła i nigdy już nie mówiła o truciźnie.

* *Kuracyja potajemna.* (Przepis dla żon, mających mężów skłonnych do otyłości).

1. Często upuszczać coś na ziemię, aby grzeczny małżonek zrywał się i schylał dla podniesienia tej rzeczy.

2. Prosić męża o częste przestawianie mebli, zawieszanie inaczej luster i obrazów.

3. Gdy mąż wychodzi z domu, schować mu klucz od zatrzasku i gdy jest już na dole, dopiero wołać, aby się po takowy wrócił, np. na trzecie piętro.

4. Wyjeżdżając koleją, żona ma zapomnieć w domu szala lub kluczy od kufrów lub coś podobnego koniecznie potrzebnego, dopiero mąż musi wracać po to do domu, śpiesząc się tam i napowrót, aby zdążyć na czas.

5. Robić mężowi często różne niesłuszne zarzuty, mianowicie posądzać go o niewierność, przez co wpada w wściekłość.

Używając tych i tym podobych środków, żona oszczędzi mężowi kosztu kuracyi w Maryjenbadzie, bo już w krótkim czasie okaże się znaczna różnica w jego objętości i ciężkości.

* *Pierwsza wizyta.*

Doktór. I cóż to pani brakuje właściwie?

Młoda dama. Ach! doktorze, nudzę się straszliwie, jestem chora i zdenerwowana.

Doktór. Trzeba zrobić jakąś wycieczkę za granicę, może do wód lub gdzie pani woli.

Dama. Ech! co mi to pomoże! mój mąż będzie mi wszędzie towarzyszył...

* *Druga wizyta.*

Doktór. No, jakże łaskawej pani dzisiaj?

Dama. Czuję się coraz bardziej chorą i zdenerwowaną.

Doktór. Trzeba pani koniecznie jakiejś zmiany w trybie życia.

Dama. O, tak, koniecznie!

Doktór (po namyśle). Muszę pani męża do wód wysłać, tak, to mu dobrze zrobi, niech się przejedzie.

Dama. O, tak, masz zupełną racyję, doktorze, to mu doskonale zrobi (na stronie) i mnie także.

* — No i jakże panu zrobiła ta kuracyja?—spytał doktór starego jegomościa, który wrócił z zaordynowanej mu wycieczki — czy panu jeszcze co brakuje?

— Niestety, doktorze, nic mi nie brakuje, mam zawsze ten sam ból głowy, ten sam reumatyzm, a kaszlę chyba jeszcze więcej, więc nic nie zgubiłem w drodze, przywiozłem napowrót to wszystko, z czem wyjechałem, oprócz wydanych pieniędzy.

* — Na co też mogą cierpieć te dwie panny, córki prezesa X., które tu przyjechały na kuracyję? wyglądają przecież tak zdrowo?—pyta jeden z kąpielowych gości drugiego.

— Niestety! zdaje się, że mają dosyć trudną do wyleczenia chorobę, t. j. gwałtowną chęć wydania się za mąż— odpowiada zapytany.

* Pewna piękna baletniczka, nie mająca wielkiego talentu, a trapiona wzrastającą tuszą, udaje się do doktora, mówiąc: „Ulituj się, doktorze, przepisz mi jaką skuteczną kuracyję, bo zdaje mi się, że nie długo nie będę mogła wcale tańczyć; potrzebuję koniecznie schudnąć“. Doktór, pomyślawszy przez chwilę, rzekł: „Jeżeli pani chcesz naprawdę schudnąć, mogę pani poradzić niezawodny na to środek: spróbuj pani ze dwa miesiące żyć jedynie tylko ze swej gaży“.

* Pewien doktór wzywany był kilkakrotnie do młodej i pięknej panienki, która cierpiała na zadawniony ból gardła, a gdy kilka użytych środków nie przyniosło pożądanego skutku, a pacyjentka była tem zaniepokojona, rzekł jej pewnego dnia doktór: „Jedyny środek, jakiby panią mógł prędko wyleczyć, jest—broda“. „Żartujesz sobie, doktorze — rzecze na to panna —cóż mi po środku, którego zastosować nie mogę, przecież brody nie zapuszczę, bo chociażbym nawet chciała, to mi nie wyrośnie“. „To prawda, ale... gdybyś pani tylko chciała...—dodał doktór z galanteryją—mógłbym pani ofiarować moją“. Wkrótce potem doktór z pacyjentką byli pożenieni, a kuracyja okazała się skuteczną.

(*Bibl. humoru*).

* Pewien hypokondryk przez długie lata dręczył swoją rodzinę najosobliwszemi przywidzeniami. W końcu oświadczył, że nie żyje i zesztywniał. Lekarz, po którego z brzaskiem dnia posłano, znalazł pacyjenta wyciągniętego na łóżku, z oczami zamkniętemi i rękami skrzyżowanemi na piersiach.

— I cóż, jak się pan miewa? — spytał doktór żartobliwie.

— Jak się miewam? — powtórzył hypokondryk słabym głosem. — Jak można o to pytać umarłego?

— Umarłego?—spytał doktór zdumiony.

— Tak, umarłego, przekonaj się pan tylko. Umarłem o pierwszej po północy.

Doktór wziął za puls, dotknął zlekka czoła, jak gdyby chciał się o tem przekonać. W końcu rzekł bolejącym głosem:

— To prawda, już po nim, trzeba go jak najprędzej pochować. Janie! zbliż się. Twój pan nie żyje; idź obstalować trumnę, ale sporą, bo twój pan był tęgiego wzrostu, w obecnej ciepłej porze prędko rozkład ciała się zacznie.

Służący pobiegł i wkrótce powrócił z trumną. Rodzina pacyjenta rozpoczęła głośny lament, stosując się do wskazówek lekarza. Hypokondryka włożono w trumnę, a na prędce sprowadzeni i przypuszczeni do tajemnicy tragarze, ponieśli go na cmentarz, W drodze spotkali kilku na ten cel umówionych znajomych pacyjenta.

— A co, biedny Blitter naprawdę umarł?—rzekł jeden z nich.

— Tak, umarł zeszłej nocy o godzinie pierwszej—odrzekł doktór, wzdychając.

— Szkoda, że nie umarł dwadzieścia lat temu—powiedział drugi—żył tylko na udręczenie i nieszczęście drugich.

— Co prawda, to prawda—powiedział trzeci—ma teraz to, na co zasłużył.

— Nikczemny osioł! — krzyknął umarły, kręcąc się niespokojnie.

— Cieszę się, żeśmy się go nakoniec pozbyli; całe miasto jest mego zdania—rzekł znowu inny — głupiec był tylko bezużytecznym sprzętem tu na świecie.

Tego już było zanadto naszemu umarłemu, porwał się, zrzucił wieko od trumny i wyskoczył, wołając:

— Co? ja jestem głupcem? nieużytecznym sprzętem? Czekajcie, niegodziwe łotry, ja wam tu pokażę, na jakie podziękowanie zasłużyliście!

Przyjaciele wzięli nogi za pas, a umarły gonił ich, łając i klnąc. Spotniałego i ziajanego przyprowadzono do domu. Hypokondryja znikła bez śladu, a prawidłowa dyjeta, ruch fizyczny

i wesołe towarzystwo zupełnie zdrowie przywróciły.

Kuryjer.

* *Kuryjer przejęty.*

Do potomności Jan w darze
Wysłał swą odę, lecz ją wśród drogi
Przejęli wczoraj piekarze
I zabrali pod pierogi.

Antoni Górecki.

Kuzynek.

* *Zapieczętowany kuzynek.* (Zdarzenie prawie prawdziwe).

Żony! pamięć swych mężów czcijcie zawsze godnie i chociaż we wdowieństwa smutno żyć poranku, zaklinam was: nie myślcie o żadnym kochanku, aż minie od pogrzebu choćby... dwa tygodnie.

Zastanówcie się bowiem, że to bardzo brzydko, tak od razu na kołek nowe wkładać sitko i kiedy łzy, łzy słone leją się jak z beczki, użyć do ich otarcia kochanka chusteczki.

Zastanówcie się bowiem, że to jest nieładnie, gdy opinija na sławie zaciąży ołowiem; gdy na wdowę nieszczęsną szyderstwo upadnie, jak się zdarzyło w sprawie, którą tu opowiem.

Pewna pani, nim jeszcze do wieczystej chwały mąż się przeniósł, sercowych podbojów nie syta, przyjmowała ze śmiechem, jak zwykle kobieta, kiedy jej wyznawano miłosne zapały.

I dla tego jedynie tak ją obgadano, z łaski ludzi, co widzą i na słońcu plamy; ztąd kokietki przylgnęło do niej zdradne miano, w świecie, który obmowie nie zwykł stawiać tamy.

A jednak mogę na to dać honoru słowo, że wdowa czystą była... nim została wdową, choć na dnie jej serduszka w najgłębszym kąciku krył się kuzynek, chłopiec o jasnym wąsiku.

Lecz mąż umarł...

Tłum gachów z pociechą wnet śpieszył, bo wszak pocieszać w smutku, to cnotliwe dzieło...

Lecz to było najgorsze, że kuzyn już cieszył, gdy ledwie kilka godzin od śmierci minęło.

Wdowie szybka pociecha do smutku przypadła, łzy jej oschły... wyrazom kuzynka nie przeczy...

O! czemuż nieszczęśliwa tego nie odgadła, że przybędzie komornik pieczętować rzeczy!!!

Gdy zapukał ktoś do drzwi, nieszczęśliwa wdowa, nie wiedząc, ktoby do niej przyszedł wczesnym rankiem, kuzynka w gabinecie nieboszczyka chowa, by nikt nie rzekł, że zastał ją razem z kochankiem.

Struchlała, gdy komornik zaczął swe zajęcie i aby nikt nie zajrzał w gabinetu wnętrze, na drzwiach jego położył dwie wielkie pieczęcie (a gabinet, niestety, był na trzeciem piętrze...

Biedna wdowa! Nie dawszy do grzechu powodu, musiała tajemnicę odkryć słudze prawa, bo nie chciała, by czuły kuzyn umarł z głodu...

Wdowy! niech wam ten przykład wciąż w pamięci stawa.

Kwadratowa powieść.

* Powieść niniejsza, osnuta na tle jednego z licznych wypadków, odznacza się prawdą, gimnastyką i biegłością matematyczną.

Zalecamy ją przeto naszym czytelnikom.

O!
Ach!
Strach!
Pan radca raz
Już nocną porą—
Poszedł odwiedzić
Lubę bardzo chorą.—
Cichutko wchodzi do szczęścia
Niebiańsko-złotych lubej swojej bram.
Z radości pełną duszą, sercem, głową,
Z nadzieją rozkoszy, co miał ich doznać tam,
I żądny uścisków, całusów i ziemskich rozkoszy,
Szedł śmiało do celu, gdzie drogę znał już dobrze,
Pewny siebie i tego, że nikt nie przeszkodzi, nie spłoszy,
Zastukał do drzwi lubej. Lecz cisza nastała, jak w grobie,
I echo pukania ozwało się w sieni ciemności —
Więc sądził, że luba kochanka nie słyszy
I czekał spokojnie wśród nocy ciszy —
Aż począł znów stukać ze złości.
Wtem głosy w pokoju usłyszał,
Zębami zgrzytnął i dyszał,
Wśród myśli rachuby,
Kto inny siedzi
U lubej,
Gach!
Ach!
O!

Epilog powyższej powieści znaleźć można w „Czatach“—z tą tylko różnicą, że tu nie było „kozaka z gwintówką“ i strzały odbywały się z innej broni.

Kwadratura koła.

Tak dawno szukana kwadratura koła wynalezioną została przez obrzynających dukaty, bo który im dostanie się kołem, pewno kwadratem od nich wychodzi.

„Humorysta warszawski“.

Kwakier.

* Uwagę moją zwróciła pewna para kwakierska. Oboje są chudzi, milczący, posępni, starzy. Jego twarz o zapadłych policzkach i wytrzeszczonych, jakby z powodu solitera oczach, jest typem twarzy hypokryty i łakomcy; ona ma fizyjognomiję kwaśnej dewotki, wodzącej męża za nos i patrzącej na wszystko, co jest młodością, wiosną, uśmiechem i wesołością, ze stanowiska ogniw czyśćcowych.

Pod koniec obiadu, kiedy podają słodycze, oczy biednego kwakra przybierają wyraz nieopisanej pożądliwości, a na twarz występują mu rumieńce. Radby jeść kompot, a nie chciałby iść do piekła, jednakże kręci się; łyżeczka w jego ręku drga niespokojnie i nieszczęśliwy pożądliwym wzrokiem odprowadza każdą śliwkę, którą skazany na potępienie wiekuiste sąsiad jego niesie do ust, słowem: cierpi męki Tantala. Żona spogląda wówczas na niego złośliwie i słodkim głosem mówi ze wspaniałą ironiją: „Pozwól sobie, dla czegobyś nie miał sobie pozwolić? Zjedz śliwek, a o resztę nie dbaj!“ Biedaczysko wzdycha i kładzie łyżeczkę na swojem miejscu.

Henryk Sienkiewicz. (p. t. I s. 29).

Kwalifikacyja.

* *Nowy rodzaj kwalifikacyi.*

— Jakie dane posiada nowomianowany pan X. na dyrektora?

— Pali od trzech lat dyrektorskie papierosy.

Kwesta.

— Pani baronowa raczy co ofiarować na dom poprawy...

— Już od ośmiu lat ciągle coś daję na ten cel. Czy ci ludzie jeszcze dotąd się nie poprawili?

Kwestyja.

* *Dwie niepalące kwestyje.*

I.

— Co to jest piła drewniana?

— Jest to słodki głos żony, proszący raz na miesiąc o nową sukienkę.

II.

— Zkąd się wziął wyraz opieka?

— Od słowa opiekać. Ztąd też najczęściej sieroty wychodzą z pod opieki tak upieczone, że ledwie z nich kosteczki zostają.

* *Ostatnie słowo w kwestyi kobiecej.*

— Cego ty mnie, Wojtek, bijes, kiedy wielmozna dziedzicka powiada, ze chłop juz teraz nie moze bić kobity, bośwa się wymacypowały i mamy równe zaprawienie.

— Głupiaś, Magda; jak ja pódę do dziedzica i poradzę mu, zeby dziedzickę tak samo, jak ja ciebie, wyłoił, to jej się na pewnika odechce równego zaprawienia.

Bolesław Prus. (p. t. I. s. 108).

* *Kwestyja na czasie.*

Czy łapówka, wzięta przez rękawiczkę, plami rękę?

Świąteczny.

* *Kwestyja prawnicza.*

— A jednak, mój panie jurysto, są przestępstwa, których prawo przewidzieć nie może, a tymczasem ubezkarnia je niejako.

— O, przepraszam. Od czegóż jest analogija i w ogóle naukowa interpretacyja? Tą dro-

gą każdy nieprawidłowy objaw można podciągnąć pod przewidzianą sytuacyję.

— No, ciekawym. Zgodzisz się pan zapewne, że noszenie tiurniur nie jest objawem prawidłowym, a tymczasem, czy możesz pan zwolenniczki tej mody karać sądownie?

— Dla czego nie? Owszem, z największą ścisłością, wszakże mamy art. 560 K. K. G. i P. Za pierwszym razem kara pieniężna w ilości...

— Przepraszam...proszę zacytować artykuł.

— Owszem. „Ktoby mięso w celu nadania mu lepszego pozoru nadymał...“

— A, no, patrzcie państwo, prawda.

(*Kolce*).

* *Rozstrzygnięta kwestyja.*

Filozofowie starożytni, średniowieczni i współcześni nie mogą się zgodzić na jedną w palącej kwestyi odpowiedź na pytanie: „Na czem świat stoi?“

Otóż dowiadujemy się z niemałą pociechą, że kwestyję tę pomyślnie bardzo rozwiązał Berek Milchsauer, pachciarz, który utrzymuje, że świat wcale nie stoi, lecz siedzi w żydowskiej kieszeni.

Kwilenie słowika.

* Wiosna nadchodzi, słonko dopieka,
Zieloność słodkie rozlewa wonie,
Słowiczek jednak ciężko narzeka
I w smutku tonie!

W maleńkiej łapce trzyma manatki,
A pod skrzydełkiem tekę z nutami
I jako dziecię po stracie matki
Zwilża się łzami...

— Czemuż, słowiku, płaczesz tak srodze?
Rozpakuj rzeczy na letniej leży,
Spocznij po ciężkiej zamorskiej drodze,
Jak się należy.

— Jakże nie płakać—rzekł słowik mały—
Gdy moje gniazdko płynie ku Gdańsku,
Sprzedał niemcowi pan las swój cały...
To nie po pańsku!

Więc po utracie ciepłego gniazdka
Tak się zmyliły mych marzeń szyki,
Że wnet spakuję rzeczy i—jazda
Znów do Afryki!

Kyan.

* W pewnem poufnem kółku była mowa o kuracyjach sympatycznych i ich mniemanym dobrym skutku; Kyan, komendant saskiej twierdzy Königstein, znany jako niemiecki Don Kiszot, utrzymywał, że nic a nic w te środki sympatyczne nie wierzy, ale wie o różnych domowych środkach, które mu wyświadczyły już nie jedną przysługę.

— A propos — zapytała jedna z dam obecnych — czy nie wiesz pan jakiego środka na kolki?

— Nie powinnaś pani nigdy wstrzymywać się, gdy masz ochotę się dać słyszeć.

* Gdy Kyan ciężko zachorował, jeden z przyjaciół rzekł do niego:

— Jakto być może, żeby taki stary, nieulękniony żołnierz tak bardzo bał się tej kościstej damy, nieprzyjaciółki ziemskiego życia?

Na co Kyan odpowiedział:

— Moja trwoga nie jest tak bardzo wielką, jak ci się wydaje, chciałbym tylko mieć zręcznego szpiega, któryby mógł naprzód zbadać siłę tego nieznanego nieprzyjaciela i powiadomił mnie o rezultacie swych badań. Wyświadczyłbyś mi wielką, prawdziwie przyjacielską przysługę, gdybyś się chciał podjąć tej misyi; tylko nie powinieneś wtedy zapominać o powrocie, jak tylu innych.

(*Bibl. humoru*).



Labiche.

* Bogaty francuz, którego ogromnie okradają pewni *farserzy*. Nie dochodzi on jednak nigdy swoich szkód i strat, bo wie, że za granicą nikt nie ma za złe temu, kto okradnie francuza.

Lablache.

* Śpiewak Lablache opowiadał, iż razu jednego przyjechał do Wiednia dawać koncert u dworu, w drodze jednak takiego dostał kataru i duszności, że wyszedłszy na estradę, nie mógł jednego czystego tonu z gardła wydobyć i musiał odłożyć koncert na później. Obecny temu król neapolitański Ferdynand, zawołał do siebie ulubionego śpiewaka, mówiąc: „Chcesz być wkrótce zdrów?“ „Ach! dałyby to nieba!“ „Znam niezawodny środek“. „Ach! ratuj mnie, szlachetny królu!“ „Weź czarnej rzodkwi... Znasz czarną rzodkiew?...“ „Bardzo dobrze!“ „Weź więc czarnej rzodkwi, pokraj ją w cienkie plasterki, posyp suto cukrem i zostaw kilka godzin w spokoju, żeby sok odciekł...“ „Doskonale!“ „Na wieczór, do poduszki, weź łyżkę tego soku, nazajutrz rano drugą...“ „Później?...“ „Niema później! później będziesz zdrów!“ „Pokornie dziękuję Waszej Wysokości!“ Po dwóch dniach wystąpiłem i śpiewałem świetnie; król Ferdynand bił zapamiętale brawo; po pierwszym akcie zawołał mnie do loży. „No, cóż? nie powiedziałem ci?—rzekł tryumfująco—używałeś mego przepisu?“ „Tak, królu!“ „Jakże to urządziłeś?“ „Kazałem przynieść rzodkwi, pokrajałem ją w plasterki, posypałem cukrem, pieprzem, solą, polałem octem i oliwą i zjadłem, jako sałatę“. „Ach! ty łotrze!“—zawołał rozgniewany król, nie mogąc przecie wstrzymać się od śmiechu.

Lacrima Christi. (Łza Chrystusa).

* Kiedy anieli strąceni zostali, Lucyper spadł na ziemię, aby tam założyć królestwo swoje i porwał w upadku kawałek raju. Wypadkiem cząstka owego czarownego ogrodu spadła nad brzeg morski w okolicach Neapolu i patrząc na nią, dziś jeszcze przychodzi na myśl mistyczne gniazdo ludzkości. Kiedy Chrystus,

roznosząc naukę swą po świecie, przebiegał Włochy, zatrzymał się zdumiony pięknością tego kawałka ziemi, mieniącego się rajskiemi barwami w promieniach słońca... Wkrótce rozpoznał najcudniejszą część raju, wydartą mieszkańcom nieba chytrością szatana... I zapłakał Jezus i szedł powoli, a przeczyste łzy Jego padały z cicha na ukwieconą ziemię. Gdzie łza Chrystusa spoczęła, wyrastał na tem miejscu krzew winny, a na nim jagody, nie mające sobie równych na całej ziemi pod względem słodyczy i szlachetności soku... Do dziś dnia przez całe stulecia odnawiają się nowe szczepy winogradu, a napój z nich otrzymany po dziś dzień nazywa się: „Lacrimae Christi“ („Łzy Chrystusowe“).

* Pewnemu niemcowi, podróżującemu po Włoszech, podano na próbę lampkę wina Lacrimae Christi. „Cóż to za pyszny napój?! — zapytał zdumiony niemiec. „To Lacrimae Christi, łzy Chrystusa“ — odrzekł mu przyjaciel. „Ach! Boże mój! — wykrzyknął, patrząc w niebo zachwycony niemiec — czemużeś nie zapłakał w mojej ojczyźnie?!...“

La France.

* Piękność uderzająca, ale trochę podstarzała. Był czas, gdy zawracała głowę starym i młodym, których na każde zawołanie u stóp swoich miała. Obecnie poczyna wychodzić z kursu, choć ma w sobie tyle jeszcze uroku, iż gdy ubierze się *decolté* i dobrze wyjdzie za mąż, może znowu mieć powodzenie. Ciekawem jest to, iż kobieta ta w najstarszym nawet wieku nigdy nie będzie dewotką.

Lafontaine.

* Lafontaine Jan, słynny bajkopisarz, był nadzwyczaj roztargnionym. Razu jednego siedział w swoim gabinecie ze starym przyjacielem, doktorem Dupin, kiedy młody Lafontaine, syn jego, wszedł do pokoju. „Chodź! — zawołał Dupin wesoło — nie wstydź się! jak w swoim własnym domu; wszak nie bierzesz mi za złe, że dotrzymuję towarzystwa twemu ojcu?“ Lafontaine, który w ciągu całej rozmowy myślał o czem innem, pyta z cicha doktora, kto jest ten młody człowiek. „Co?!—pyta zdumiony Dupin — nie poznajesz własnego syna?...“ „Ach! prawda — odrzecze szybko zawstydzony Lafontaine — przecieżem powinien był poznać, że go gdzieś już przedtem widziałem!“

* Razu jednego małżonka Lafontaina znalazła go we łzach przy biurku; kiedy zapytała o przyczynę troski, Lafontaine odczytał jej przerywanym głosem rozdział powieści, w którym zacny bohater upada prawie pod ciężarem nieszczęść i niemożności zyskania ukochanej. Małżonka autora rozpłakała się także i nareszcie wyrzekła proszącym tonem: „No, daj-że mu ją, daj-że mu ją, proszę cię...“ „Nie mogę!--odparł, łkając, Lafontaine — gdyż jestem dopiero w pierwszym tomie!“

Lahon.

* Lahon nigdy nie strzygł brody, a pytany o przyczynę, odpowiedział: „Im dłuższą mam brodę, tem pewniejszy jestem, że nie zapomnę, żem mężczyzną i z każdym dniem będę pragnął być godniejszym mego rodzaju“.

Lakoniczne.

* Pewna młoda francuzka taki napisała list do oddalonego męża: „Piszę do ciebie, gdyż nic innego nie mam do roboty i kończę mój list, gdyż nie mam nic więcej do pisania“.

Lalka.

* *Do warszawskich lalek.*

O, wy! cudowne i uśmiechnięte,
W powiewne gazy spowinięte
Panienki!
Których stan cienki
O zazdrość przyprawia osy!
Wy, których złociste włosy
I oczy barwy szafirowej

I wypieszczone drobne rączki
Zdolne są sprawić zawrót głowy...
Kto wy jesteście?!
Czy strojne we wdzięki niewieście
Jakie wędrowne niebianki?
Czyście Apolla kochanki?
Czy wreszcie
Domowych ognisk kapłanki?
Czy świętych ogni westalki?...
Nie—wyście lalki!

. . . .

O zgrozo!
Cóż za waryjat! krzykniecie,
Dla czego chodzi po świecie?!
Niech go do czubków zawiozą,
Niech skarzą grzywną i kozą!
— Jak chcecie...
Niech przyjdzie grzywien poborca,
Niech moje pióro straduje,
Niech cyrkułowy dozorca
Na dno mnie kozy wpakuje...
Każcie mnie oddać na męki...
Ale was nazwę lalkami...
Bo wy! bogate we wdzięki,
A dumne swemi cnotami...
Wy, najpiękniejsze kwiateczki
Z miłej Warszawy ogrodu,
Coście robiły za młodu?...
— Laleczki!!
A później, gdyście podrosły,
Nabrały wdzięków i siły,
Gdyście na głowie wyniosłej
Wprawiony warkocz nosiły,
Gdy na zabawy i bale
Wzięli was mama i tata,
Stroiłyście się do świata,
Może nie prawda?—jak lale.
A potem,
Kiedy już syte zabawy,
Z niemałym ojców kłopotem,
Kosztem wesela, wyprawy:
Wyszłyście za mąż, prześliczne,
Miałyście córki poetyczne,
Toście w miłości zapale
Córki stroiły, jak lale,
I głównem waszem zadaniem
Było je zdobić ubraniem,
By wasze Józie, Natalki,
Chodziły zawsze, jak lalki.

. . . .

Żal! ach! żal!
Lecz choć smutek serce pęta,
Wyższa nad to prawda święta,
Co przebija się przez żale,
Żeście panie z lalek lale
I mamunie małych lal.

Świąteczny.

Lalande.

* Słynny astronom Lalande podczas rewolucyi w r. 1789 ocalił życie kilku duchownym, zamknąwszy ich w swojem obserwatoryjum i podając ich za astronomów. Kiedy zaś księża prosili go, żeby nie narażał się na kłamstwo przez względy dla nich, Lalande odpowiedział: „Moi panowie, czyż nie zasługujecie na miano astronomów? nikt prawie więcej od was nie zajmuje się niebem!“

* Przez cały czas strasznej rewolucyi, astronom Lalande siedział w obserwatoryjum, zajmując się nauką, a kiedy później dziwił się ktoś, iż uszedł zajadłości Robespierra, uczony odrzekł z pogodnym uśmiechem: „Zawdzięczam to moim gwiazdom“.

Lamartine.

* Szanowny proboszcz D. przyszedł razu pewnego odwiedzić mieszkającą w sąsiednim zamku swoją parafijankę, kobietę ogólnie cenioną, u której zbierało się zwykle najwytworniejsze towarzystwo okoliczne. Wszyscy uradowali się na widok ukochanego kapłana i jednogłośnie prosili go, żeby został cały dzień w zamku. „Bardzo radbym był temu — odrzekł duchowny — ale dziś sobota, nie mam na jutro przy-

gotowanego kazania i muszę być cały wieczór w domu, żeby je należycie obmyśleć“. „Kazanie!—zawołał młody 12-letni chłopiec, przyglądający się przez okno błyskawicom — niech ksiądz proboszcz powie mi tylko tekst, a już ja podejmuję się je napisać“. Wszyscy roześmieli się z pewności chłopaka. Proboszcz jednak powiedział mu tekst jutrzejszy, robiąc jednocześnie w myśli projekt napisania kazania w nocy po powrocie z zamku. Chłopiec usiadł przy stoliku, położył papier przed sobą, oparł głowę na ręku i wpatrzył się marzącym wzrokiem w chmurne niebo. Wieczorem, kiedy duchowny miał powracać do domu, zbliżył się doń nasz chłopczyk, mówiąc wyraźnym, dziwnie na wiek swój pewnym głosem: „Oto jest kazanie!“ „No, przeczytajmy dziś na próbę moją piękną mowę jutrzejszą“ — odrzekł żartobliwie proboszcz, poczynając napuszonym głosem czytać pobożne wypracowania. Po kilku jednak zdaniach głos mu spoważniał i z przejęciem wśród zdumienia słuchaczy przeczytał zbiór głębokich myśli i trafnych porównań.

Lambert.

* Uczony Lambert, członek akademii umiejętności w Berlinie, miał zwyczaj chodzić codziennie na kawę do cukierni w ogrodzie Zoologicznym. Razu pewnego siedział w sali jak zwykle w pośród wielkiej liczby gości, naraz zerwał się z takim impetem, że szpada od boku aż stanęła do góry, a obecne temu damy zaczynały już krzyczeć ze strachu, że uczony zwaryjował. Po chwili przecież Lambert usiadł spokojnie na miejscu, wydobył notatnik z kieszeni i szybko coś zapisał. Nazajutrz akademija otrzymała nowy pogląd na łamanie się światła, a skoki filozofa i jego szpady były objawem radości wynalezienia nowej teoryi w dziedzinie nauki.

Lament.

* *Lament karnawałowy poety.*

O, poezyjo! ty nie grzejesz,
A tu takie ciężkie mrozy:
Dobrze jeszcze tym, co mają
Ciepłe futra i powozy,
Lecz nam, dzieciom Apollina,
Strasznie zimno być zaczyna.

Poezyjami palić trzeba,
Drzewo bowiem podrożało,
A te dużo dają dymu,
Ale za to ciepła mało.
Najognistszą paląc odę,
Zamroziłem w piecu wodę...

O, szczęśliwy ten śmiertelnik,
Co się zrodził milijonerem,
Co przy cytrze swego mienia
Jest ostatniem wielkiem zerem.
Bo on właśnie o tej porze
Jest u hrabstwa na wieczorze.

W salonowej dam cieplarni,
Pośród kwiatów egzotycznych,
Sam zakwita purpurowo
Przy libacyjach ustawicznych
I podziwia dziewic gracyję,
Oczekując na kolacyję.

Tak mu dobrze, tak mu ciepło,
Hrabia jemu rękę ściska,
A hrabina—ta z nim tańczy,
Panny chcą go widzieć z blizka,
Robiąc przytem spostrzeżenie,
Że ma piękne ułożenie.

Blaskiem spojrzeń czarujących
On się pieści i ogrzewa,
A ja z domu uciec muszę,
Bo mi całkiem brakło drzewa.
Poetyczna wena skrzepła,
Trza u ludzi szukać ciepła.

Pędzę szybko przez ulicę,
Palto wiatrem mam podszyte,
Jest to smutna ostateczność
Iść się ogrzać na wizytę,

Ale cel uświęca środki,
A więc idę grzeczny, słodki...

W jednym domu, w drugim domu
Odpowiada mi służący,
Że dziś państwo są na mieście
Na herbacie tańcującej.
Na to tylko ten karnawał,
Żebym ludzi nie zastawał!

Aż nareszcie, gdy skostniałem,
O, radości! o, rozkoszo!
W jakiem czwartem, piątem miejscu,
Lokaj mówi: „Państwo proszą".
Gdybym był, ach! demokratą,
Uściskałbym jego za to.

Wchodzę śpiesznie do salonu,
Cieplej niby, niż na dworze,
Ale pani jakaś kwaśna,
Panna także nie w humorze
I chłód wieje nieustanny
Z twarzy pana, pani, panny.

A rozmowa, jak po grudzie,
To podskoczy, to ustanie,
Choć dom cały błyszczy w świecie
Przez wykwintne wychowanie
I w ogólnem tu pojęciu
Jest przybytkiem muz dziewięciu.

Rozmawiamy więc o wszystkiem:
O Bulwerze i Kaulbachu,
O muzycznem towarzystwie;
O Mozarcie, Glucku, Bachu,
O Alhambrze i Walhalli
I tam dalej i tam dalej.

Panna bowiem co minuta
Z ust wyrzuca wielkie imię,
Ja powtarzam, ale widzę—
Na fotelu pan już drzymie;
Chcę odchodzić, gdy w tem matka
Mówi do mnie: „Jest herbatka".

Ach! herbata, ta herbata!
Co podają nam we Lwowie,
Ta nikomu wyjść nie może
Na pożytek i na zdrowie,
Biedny jesteś, nieboraku,
Co ją pijesz bez araku.

Trzeba było jednak spełnić
Ocukrzoną czarę do dna,
Szczęście jeszcze, że na drugą
Prosić tutaj rzecz nie modna.
Nie odniosłem zatem szwanku,
Cieplej było po rumianku.

Aż tu widzę: panna idzie
Z miną dziwnie zamyśloną
I przynosi wielką księgę,
Bardzo ładnie oprawioną,
Z trwogą patrzę się tajemną,
Że ją kładzie tuż przedemną.

I wspierając się o stolik,
Z wielkim wdziękiem się kołysze,
Mówiąc do mnie: „Ja słyszałam,
Że pan zdolnie wiersze pisze;
Do albumu więc mojego
Pan wymyśli co ładnego.

Jest tu dużo wielkich ludzi:
Gapczykiewicz, Totumfacki
I ten Gucio, co to robi
Lepsze wiersze, niż Słowacki,
Tylko brak mi jeszcze pana,
Ale jego grzeczność znana..."

Ha! co robić? za herbatę
Trzeba album wziąć przez grzeczność
I powracać z nim do domu
Smutna, smutna ostateczność,
Tak więc dźwigam wielką księgę,
Klnąc te mrozy na potęgę.

Spać zawcześnie, to mię zmusza
Do miejskiego wejść kasyna

I spotykam mego krawca,
Co o dług się upomina;
A tam krawcy znaczą tyle,
Co w Egipcie krokodyle...

Asnyk. (p. t. I s. 4).

Lampa.

* *Lampa Alladyna.*

Złoto!... O, skąpcze, kto cię zwie biedakiem?
Twoją jest rozkosz, co nigdy nie blednie.
Jest ona liniją okrętową, hakiem,
Który rozkosze hamuje poślednie.
Kto przy obiedzie ciebie ladajakim
Widzi, jak skromnie ucztujesz i biednie,
Dziwiąc się, jak być może bogacz—sknera,
Nie zna widm, jakie wstają z skórki sera.

Miłość osłabi, wino zdrowie stera,
Ambicyja wstrząsa, w grze majątek znika;—
Ale kto złotko zwolna, zwolna zbiera
I jeden dukat za drugim zamyka
Do skrzyni, zwolna, zwolna, nim wypiera
Miłość, grę, wino, próżność, polityka.
O, złoto lube! Milsześ, niż papiery,
Zbiorniki dymu, ulotne chimery.

Kto dzierży wagę światowych zapasów,
Lub kto dyktuje na kongresach kreski?
Kto wznosi w górę gołych gierylasów
I wywołuje pism codziennych piski?
Co jest rozkoszą, nędzą wszystkich czasów?
Kto polityków wwodzi na tór ślizki?
Czy wielki, chrobry duch Bonapartego?
A!—nie: Żyd Rotszyld i Baring, kum jego.

Ci z liberalnym i wiernym Lafittem,
Są Europy wyrocznią, zakonem.
Spekulacyjami są pożyczki;—przytem
Jednak ludami władają i tronem,
Dają ton nawet rzeczompospolitym;
Nawet Columbia sama ma patronem
Meklera; nawet Peru złote miny
Dziś dyskontują możne Żydowiny.

Czemuż ma skąpiec być zły i przeklęty?
Jak powiedziałem, wiedzie skromne życie,
Za które byłby cynik albo święty
Wielbion, któreby czczono w eremicie,
Do kalendarza byłby za nie wzięty.
Więc za co chudy jego byt ganicie?
„Nikt nie chce odeń—mówisz—głodomarcia?"
Większa zasługa więc samo—zaparcia.

Pod rózgi, rozpacz któremi ich smaga.
Wtedy się cieszy, gdy tak przed nią leży
Skrwawiona postać... a potem powaga
Śmierci, bo nowy Werter prosto mierzy
W serce;—i oto kokieteryi głupstwo:
Nie nierząd, lecz już moralne porubstwo.

Lecz się w gadułę zmieniam. Kończmy żwawo.
Następny szkopuł poważnej natury:
Mężatka, która bez względu na: „prawo
I kościół" miłość ukartuje z góry,
Pierwszy raz jeszcze to kobiecą nawą
Nie wstrząśnie—pomnij, turysto—lecz córy
Tej starej Anglii, gdy się puszczą ino,
Wnet Ewę w biegu do piekła wyminą.

Kraj gazeciarski, adwokacki, płaski,
Tam, gdy dwaj ludzie młodzi i rówieśni,
Zawiążą przyjaźń, zaraz świat niesnaski
Wszczyna i zaraz zgoda się rozcieśni.
Potem obrazy, procesy i wrzaski
I smutny finał romantycznej pieśni.
Obrońcy, w sądzie mowa ckliwo-słodka,
Dla czytelników kuryjera-łakotka.

Ale tak błądzi młódź początkująca
Jedynie; kilka genijalnie ostrych,
Obłudnych słówek zbawia cześć tysiąca
W tej kobieciarni angielskiej wielmożnych.
Znajdziesz ich wszędzie; nie jeden się trąca
Z tobą kieliszkiem, siedzi śród pobożnych
Hrabiów, sam czysty, przyjemny, kochany—
A wszystko, że jest „taktowny i—szczwany".

Byron.

Lampucer.

* Uprzejmość znakomitej artystki, pani Amelii Haizinger, jest powszechnie znana. Było to podczas jednego z jej występów gościnnych, który jak inne najświetniejszem powodzeniem został uwieńczony. Po skończonem przedstawieniu odbierała artystka zostawione powinszowania; najprzód tedy od koleżanek i kolegów, potem od służbowego personelu. Na końcu zjawiło się indywiduum, bardzo niepocześnie wyglądające, które jednak w tyle za innemi pozostać nie chciało.

— Kto jesteś, mój kochany? — spytała z najmilszym uśmiechem artystka.

— Ja? ja jestem lampucerem.

Pani Haizinger umilkła na chwilę, potem skinęła główką i z miną bardzo poważną wyrzekła:

— Wiesz co, kochanku? dużo już lampucerów znałam, ale żaden mi tak, jak ty, pięknie lamp czyścić nie umiał.

Landsknecht.

* *Oda do landsknechta.*

As—króla, a król—damę i niżniki wali,
Tak przynajmniej za dawnych czasów gracze
[grali,
Kiedy to smakowały zraz, bigos i kasza,
Kiedy grywano w ćwika, kiksa i marjasza.
Dziś, mości dobrodzieju! powiadam wam szcze-
[rze,
Że u nas wielkie głupstwo strasznie górę bierze:
Dwójka, gdy pierw od asa wyciągnięta bywa,
Choć najmłodsza z kolei, to ona wygrywa.
Prawda, że dzisiaj bieda i dość ciężkie czasy,
Nie możemy rachować na damy i asy,
Sądząc z wielką słusznością, że człeka wzbogaca
Tylko szczera, sumienna i poczciwa praca—
Na nią może z pewnością każdy człek rachować,
Choćby kart całe życie nie umiał tasować—
Przy niej będzie spokojny—bo właśnie dla tego
Wątpliwe „moja?—twoja?“ upewni, że jego.
Ale są jeszcze ludzie w pracowników kole,
Co z ochotą siadają przy zielonym stole,
A naśladując innych—modo polonico—
Nieborak z nieboraka—jak może drze łyko;
Maszerując z drugimi, zagranicznych wzorem,
Nieszczęsny dług kartowy nazywa honorem.
Landsknechcie!... wydrwigroszu!... rozważywszy
[ściśle,
Po co tu, u kaduka, osiadłeś przy Wiśle?
Po co między polaków wścibiłeś się z nosem,
Z twym bratem faraonem i wujaszkiem sztosem,
Kiedy za dawnych czasów, prawda jak Bóg
[w niebie,
Było bardzo wygodnie i dobrze bez ciebie?
Pan Karol!... no!... pan Karol?... kawaler przy
[sztosie,
Choć się tam kiedy przegra, podrapie po nosie,
Nie mając obowiązków na mizernym świecie,
Chociaż tam pustki będą w jego portmonecie,
Taki Karol—Syngelton i mości dobrodziej,
Co po padole płaczu w pojedynkę chodzi,
Czy wygra... lub w nieszczęściu straci grosz o-
[kropnie,
Nic to całkiem nie szkodzi — niech go tam gęś
[kopnie!
Ale siada pan Paweł przy zielonym stole,
Co dla swojej rodziny ma uprawiać rolę
I pracować—a wstawać razem z ranną rosą,
Aby żona i dzieci nie chodziły boso.
Tu nie siada pan Paweł, lecz ojciec rodziny,
Co traci niesumiennie do pracy godziny;
A chociaż mu tam szczęście czasem w kartach
[błyśnie,
To szczęście nic warto—kiedy łzy wyciśnie;
Szczęście takie — nieszczęściem — jeżeli przez
[karty
Ja siebie zadowolnię—a bliźni?—obdarty!
Landsknechcie! puchu marny! — ty wietrzna
[istoto!
Co swoich amatorów wiedziesz w straszne
[błoto,
Cofnij się, zkąd przyszedłeś — bo dziś ciężkie
[czasy,
Nie wzbogacą nas dzisiaj dwójki ani asy—

Talija kart dla rodziny nie stanie w obronie,
Tylko pług silnie wzięty w pracowite dłonie.
— Prawdę mówi Ex-Bocian—mój panie Karolu!
Rzecze na to pan Paweł.—Trzeba pracy w polu,
Trzeba się do niej zabrać poczciwie i szczerze,
Ale nim to nastąpi— niech-no sąsiad zbierze,
Nim kto więcej nadjedzie—zagramy w ecarte,
Gdy takie ciężkie czasy, straszne i uparte—
Jeśli jeszcze dwóch zjedzie, toć rzecz oczywista,
Jak będziemy w komplecie—spróbujemy wista,
A potem—po kolacyi—zrazach i bigosie,
Pomyślim o landsknechcie, faraonie, sztosie.
Ale złodziej ekonom i próżniak karbowy,
Musi być jutro świtem do pracy gotowy,
Bo tak stare przysłowie gospodarzy uczy,
Oko pańskie najlepiej pono konia tuczy!
Ja, mości dobrodzieju, dobrze to pojmuję—
Ale... nie traćmy czasu! . . . .
. . . . Niech sąsiad tasuje!

„Kolce.“

Langenbek.

* Słynny doktór Langenbek nie mógł znosić, gdy kto z jego pacyjentów robił jakieś ceregiele przy konsultacyi. Pewnego dnia wezwany został do księżnej N., przybyłej umyślnie z zagranicy dla poradzenia się znakomitego doktora; Langenbek, przyszedłszy ze swoim asystentem, rzekł sucho: „Proszę się zupełnie rozebrać“. Księżna zaczęła to robić pomału i z pewnem wahaniem. „Zupełnie, zupełnie do naga!“ — wołał doktór już niecierpliwie, a gdy księżna zawahała się znowu dłużej, (a nb. była to osoba niezbyt piękna, ani kształtna) Langenbek dodał znów z całą szorstkością: — „No, proszę, bez żadnych ceremonii, nie odgrywamy tu żadnego romansu, księżna nie jest drożącą się pięknością, ani ja jej adoratorem“. Te słowa podziałały skutecznie. Po konsultacyi księżna rzekła słodko-kwaśnym tonem: „Panie profesorze, nie zważyłeś w swojej gorliwości, jak byłeś niegrzecznym; nie mówi się przecież nigdy tak otwarcie żadnej damie, że się nie jest jej wielbicielem“.

* Pomiędzy 1850 a 1870 rokiem praktykował w Pardubitz w Czechach prosty chłop, nazwiskiem Hecker, jako chirurg; zdobył on sobie renomę, że potrafi naprawić najbardziej zadawnione zwichnięcia, którym już nikt poradzić nie umiał; miewał on często nawet bardzo bogatych pacyjentów; zdarzyło się też, że córka bogatego bankiera wiedeńskiego przyjechała do niego na kuracyję i dopiero po trzech miesiącach pobytu w Pardubitz, gdy żadnego nie doznała polepszenia po tej chłopskiej kuracyi, zdecydowała się jechać do Berlina dla poradzenia się Langenbeka. Sławny doktór, wysłuchawszy całej historyi kuracyi, odezwał się szyderczo do pacyjentki: „Nie mogę się podjąć leczenia pacyjentki, która udaje się do mnie po odbytej kuracyi u takiego pana, ale radzę pani udać się do moich kolegów, specyjalistów od leczenia waryjatów“. I nie można go było nakłonić do zmiany decyzyi ani prośbami, ani przyobiecaną wysoką sumą pieniędzy; za nic nie chciał prowadzić kuracyi pacyjentki, która wprzód powierzyła się takiemu fuszerowi.

* Na jednym z dworskich balów zauważono, że Langenbek trzymał się ciągle obok młodego i eleganckiego oficera gwardyi. Gdy jeden z książąt cesarskiego domu zapytał go o powód tej asystencyi, Langenbek odpowiedział z figlarną miną: „Przyznam Waszej Cesarskiej Wysokości całą prawdę: oto właśnie mam w kuracyi pewną młodą i bardzo ładną damę, która na moje przybycie ubiera się w coraz inne, zachwycająco piękne szlafroczki; chciałbym jej choć raz powiedzieć jaki zgrabny komplement co do jej tualety i chcę podsłuchać tego pięknego oficera, jak on się do tego bierze i nauczyć się od niego takich pięknych słówek“.

(Bibl. humoru).

Lanie.

* *Co się naszym paniom dziś uleje?..*

Gdy Andrzeja dzień nadchodzi,
Leją sobie starzy, młodzi,

Suberetki, panny z kiosku,
Wdówki, panny i mężatki,
Leją sobie z cyny, z wosku,
Kotki, pieski, żaby, kwiatki,
Inne jeszcze liczne cuda,
Czy się chłopca ulać uda?

Stara panna myśli, marzy
O chłopczyku gładkiej twarzy,
Myśli, jak on pod jej stopy,
Zniesie kieskę i znaczenie,
I w szczęśliwe horoskopy
Wierzy, jakby nie w marzenie.
Lecz w Andrzeja niknie kieska,
Bo ulała sobie... pieska!

Ta babinka, choć ją dreszcze,
Przenikają już śmiertelne,
Ona także, choć raz jeszcze,
W dzień ten chwyta za patelnię
I rozpuszcza wosk zawzięcie,
Chce się chłopca .. a więc dmucha...
Wosk rozpływa się!.. przeklęcie!
W miejsce chłopca jest... ropucha.

Mężateczka dalej w rzędzie,
Frasobliwa jest jej minka,
No, bo nie wie, co też będzie:
Czy chłopaczek, czy dziewczynka?
Więc w Andrzeja z wosku leje,
Boć to jest proroctwo przecie!
Wnet wesoła, wnet się śmieje,
Bo wylała sobie .. dziecię!

Ta starego męża zwodzi,
Więc pan Alfred pod pozorem
Interesu, tu przychodzi
Po obiedzie lub... wieczorem...
A w Andrzeja, w jej pokoje,
Tajemnemi bieży drogi,
Z nią sam na sam, tak we dwoje...
Mężulkowi leją... rogi.

Niechaj kipi na fajerce,
Cały obiad i śniadanie,
Wszak kucharka też ma serce,
Więc odprawić musi lanie!
I w zachwycie ona cała,
Pieści lubą się zabawką,
Bo marzenie swe wylała,
Ot, strażaka ze sikawką!

I kamelja w nocnej dobie,
O rozkoszach życia marzy,
I chce także wylać sobie,
Choć cokolwiek .. co się zdarzy...
I udało się jej lanie,
Patrzy z puchów swej kozetki,
Najwyraźniej cień na ścianie,
Cień faceta co ma... setki!

Gdy znalazła chwilkę wolną,
„Madame" się nie dowie przecie,
Że rzuciła książkę szkolną,
I pobiegła lać w sekrecie.
Biło serce jej dziecięce,
Cienie jej się ukazały,
Niby nogi .. niby ręce...
Potem... potem... chłopiec cały!

Gdy Andrzeja dzień nadchodzi,
Leją sobie starzy, młodzi,
Suberetki, panny z kiosku,
Wdówki, panny i mężatki,
Leją sobie z cyny, z wosku,
Kotki, pieski, żaby, kwiatki,
Inne jeszcze liczne cuda,
Co się której ulać uda!

Paweł Kośmiński. (p. t. I s. 349).

* *Ale... trzeba sprawić lanie...*

— Ach, nasz krytyk!... Jak się mamy?..
— Nieźle, nieźle, sługa pański...
— Słyszeliście, posiadamy
Wreszcie słynny bank ziemiański;
Rzecz wyborna... I zaiste
Pewno piękne wyda plony
Gdyż majątki będą czyste...
— No tak... tylko... z drugiej strony...

Co zyskają ztąd ziemianie?
A więc... trzeba sprawić lanie...

— Cóż Matejki d'Arc Joanna?..
Cudna, prawda?.. Jaka siła...
Osób ciżba nieustanna,
Ludu masa ją zwiedziła?
Jak myślicie o obrazie?..
Prawda, śliczny?..
— Niezły wcale,
Tylko... jednak... w każdym razie...
Niby niezły... wszakże... ale...
Jednem słowem, że ja, panie
Muszę jemu sprawić lanie...

— Wiesz pan, konkurs już skończony!
Dla zrównania paraleli,
Już w tym roku inne plony —
I rzeźbiarze premija wzięli...
Bo też przyznać muszę szczerze
Dali bardzo ładne rzeczy...
— No, tak... tego... bardzo wierzę...
Niby... temu nikt nie przeczy...
Lecz są lepsze robić w stanie...
A więc... trzeba sprawić lanie...

— Suchorowski tęgi malarz,
Apetyczne jego „Nany",
Jakże obraz? Czy pochwalasz
Te „Marzenia" pan kochany?..
Dużo prawdy... co za ciało!
Akcesoryja... atłas... puchy...
Prawda?..
— Tak... lecz to za mało...
I ten obraz... jakiś... suchy...
I pieniądze chce nie tanie...
A więc... trzeba sprawić lanie...

— Cóż w muzyce?.. Do Lublina
Michałowski się wybiera..
Michałowski mistrz to dzielny
Czci go znawców naszych sfera...
Jak pan myślisz? powodzenie
Mieć powinien ten pianista?..
— No, tak... ale... zda się... że nie...
Gra to biegła lecz... nie czysta...
Błędne pańskie o nim zdanie
Trzeba będzie... sprawić lanie.

— A w teatrze?.. Na „Żorżecie"
Był szanowny pan zapewne,
„Messalinę" zna pan przecie
Są ustępy silne, rzewne...
Ładna sztuka? co pan mniema?
— Et, niepowiem... nic dobrego...
U aktorów jakaś trema...
Grają nieźle... ale... tego...
Ich efekta grube, tanie...
Że wyprawić... trzeba lanie...

— A cóż tam w literaturze
Jakże Prusa się „Placówka"
Podobała?
— Wady duże...
— Co? ah, panie, puste słówka!
Ja tam szczerze rzecz tę chwalę...
— Lecz to utwór panie blady,
Niby tego... dobre... ale...
Brak tendencyi... inne wady...
Dziwne chłopów malowanie,
Więc... wyprawić trzeba lanie...

— Ale pańskie rzeczy za to,
To są pyszne artykuły,
Ozdobione stylu szatą,
Przytem ton ich taki czuły.
Wiesz pan, jestem zachwycony...
Dzielny z pana wódz szermierki,
Tylko niby... z drugiej strony...
Są tam wady i usterki...
— Co? co? wady? eh, mój panie...
Czekaj, sprawię ja ci lanie!

Paweł Kośmiński. (p. t. I s. 349).

Landsale.

* Hrabia Landsale, posiadacz wielu małych miasteczek, ktore miały prawo podawać członków swych do parlamentu, miał tym sposobem

w parlamencie aż dziewięciu głosujących, nazywanych powszechnie kręglami lorda. Razu pewnego odezwał się któryś z nich z mową nadzwyczaj lichą, na którą Burke odpowiedział w tak dowcipny sposób, iż całe audytoryjum pękało ze śmiechu. Na to wchodzi Fox. „Co się tu dzieje? — pyta Szeridana — z czego się tak śmiejecie?“ „Ach to nic wielkiego—odpowiada Szeridan — Burke przewrócił jednego z kręgli Landsale'a.“

Las.

* Był szlachcic-pan, ale to pan całą gębą. Dobra krew, ogromna fortuna, ogromna fantazyja; słowem wszystko Bóg dał, niczego nie odmówił. Ożenił się z córką magnata, wziął dobra ogromne i wyjechał za granicę.

W dobrach tych szczególniej cenne miał lasy: starodrzew! sosny gubiły w niebie wierzchołki, a dęby, a buki, a wszelki rodzaj drzewa!

Wśród tych lasów była fabryka, co lasom nadawało olbrzymią wartość, w tych bowiem czasach jeszcze kamiennego węgla nie używano.

Otóż Icek Papycek postanowił sobie kupić te lasy.

Kupić? Łatwo powiedzieć. Ale jak kupić? Właściciel bogaty jak Krezus, siedzi za granicą i ani myśli sprzedać.

Jak ktoś czego nie chce sprzedać, to na pozór zdaje mi się, iż tego kupić poprostu niepodobna.

Wszelki rozum w obec takiej alternatywy przestaje działać.

Tak, wszelki, ale nie Icka Papycka.

Wyobraźcie sobie zdziwienie naszego szlachcica-magnata, gdy pewnego poranku otwierają się drzwi pysznego numeru w Grand Hôtel na bulwarach w Paryżu i wchodzi kto? Icek Papycek.

Tak, tak, Icek Papycek w Paryżu, z pejsami, w chałacie i z fajką porcelanową, wyglądającą wygiętym cybuszkiem z tylnej kieszeni.

Uradowała się dusza naszego magnata. Zobaczyć w Paryżu coś tak *par excellence* swojskiego, któżby się nie uśmiał i nie ucieszył. Zerwał się:

— Icek, jak się masz?!

— Padam do nóg Jasnego Pana.

— Co ty tu robisz?

— Ja za interesami. Ot, jak zwiczajny Żyd.

I rozmowa potoczyła się żwawo; aż po niejakim czasie Icek mówi:

— Ja mam do Jasny Pana wielgą prośbę.

— Co takiego?

— Ja mam tu dwieście tysiąców franków, co odebrałem po żonie po jej krewnych. Tyle pieniędzy! ja się boję. Tu same złodzieje i rozbójniki. Niech jasny pan mi to schowa. Ja może za pół roku, może za rok przyjadę znowu i odbiorę.

Jasny pan nie chciał, wzdragał się, wreszcie ustąpił i pieniądze schował.

Icek Papycek wyjechał z Paryża i wkrótce pan o nim zapomniał.

W Paryżu, jak w Paryżu, jest dużo wrażeń, robi się wiele znajomości. Nasz magnat porobił nawet znakomite, poznał się bowiem z członkami świty zmarłego cesarza Napoleona III.

Byli to gentlemani, niektórzy wysoce urodzeni, wszyscy bogaci, świetni, wspaniali; używali życia, podróżowali, uwodzili kobiety i polowali; jeździli na wyścigi, grali.

Grali nawet gracko.

Raz, nasz rodak, skuszony może widokiem złota, może chcąc szczęścia spróbować, usiadł z nimi do gry.

Przegrał.

Przegrał 800,000 franków i zapłacił częścią swoją gotówką, częścią Icka.

Na drugi czy trzeci dzień zjawia się Icek.

— Padam do nóg Jasnego Pana.

— A! to ty. Co powiesz?

— Chciałem Jaśnie Pana prosić o swoje pieniądze. Trafia mi się geszeft na las. Ech! co za geszeft. Jaki las, drugi raz się taki nie zdarzy; miliony zarobię.

Magnat przechodził się szybkim krokiem po pokoju. Nagle stanął.

— Co? co?

— Eh, jaśnie panie, co za las! Ce, ce!

— Czego ty masz kupować u obcych. Kup u mnie.

— No, jeśli jaśnie pan tanio sprzeda...

Reszty domyślacie się czytelnicy. Psycholog Icek Papycek znał grunt, na którym budował. Icek Papycek był wielkim dyplomatą, wielkim w swoim małym rodzaju wodzem. Wygrał ogromną kampaniję, zrobił ogromną fortunę i dziś cieszy się wielkiem uznaniem, tych zwłaszcza, którzy jeszcze mają lasy do sprzedania.

H. Sienkiewicz. (p. t. I s. 29).

Lato.

* Jest to część roku, której wybitną cechą jest gorąco, od którego, według prawa fizyki, rozszerzają się wszelkie ciała, zarówno terytoryja państw europejskich, jak i blaga dziennikarska.

Latreille.

* W roku 1793, błądził pewien młody trzydziestoletni człowiek w okolicach Bordeaux, zaniedbany, opuszczony, prześladowany przez rząd. Złowrogie czasy nie odebrały mu dotąd jedynej jego namiętności, t. j. zbierania owadów .. Klasyfikacyja tych małych stworzonek, tajemnice ich życia obudzały zajęcie w młodym podróżnym i pocieszały go w niedoli. Wchodząc do miasta, został zatrzymany przez bandę obdartych, wpół pijanych kobiet, które zaprowadziły go do rewolucyjnego więzienia, a po sześciogodzinnym procesie, młody człowiek został skazany na karę śmierci, którą jutro miano na nim wypełnić. Przy wieczerzy stróż więzienia począł z nim rozmawiać, opowiadając, jak to nadużycie i gwałt odebrały berło sprawiedliwości z rąk prezydenta, że uczciwy ten i uczony człowiek chciałby złożyć co prędzej swój krwawy urząd, a poświęcić się badaniu chrząszczów i motyli, gdyż to zajęcie lubi nadewszystko. Wtedy więzień wydobył szybko ze swego zbioru rzadki okaz chrząszczyka i przytwierdził go szpilką do korka tkwiącego w butelce trzymanej przez więziennego stróża. Widocznie dozorca zauważył w tem jakiś niebezpieczny zamiar, gdyż w tej chwili opuścił celę, biegnąc z butelką, korkiem i chrząszczem wprost do prezydenta. Za chwilę sam prezydent wszedł do więzienia, a w pięć minut później, obaj zoolodzy, zapominając o całym świecie, utonęli w przyjacielskiej rozmowie, szperając w tajnikach nauki, która zrównała sędziego ze skazanym. Chrząszcz ocalił życie więźniowi. Nazajutrz młody człowiek, obdarzony listem bezpieczeństwa i pieniędzmi, otrzymał wolność, z zastrzeżeniem, żeby używał jej dla dobra nauki. Był to późniejszy sławny naturalista.. Latreille!

Lawater i Cagliostro.

* W roku 1780 sławny szarlatan Cagliostro bawił w Strasburgu, zwiedzał szpitale, obdarzał chorych radą i pieniędzmi, własną ręką opatrywał najwstrętniejsze rany, mimo to wieść, że brata się z szatanem, towarzyszyła mu wszędzie, a sam Lawater uznawał w nim jakąś nadprzyrodzoną istotę, obdarzoną nadzwyczajnemi przymiotami. W tem przekonaniu napisał raz do niego list z następującym adresem: „Do pana hrabiego Cagliostro, anioła ciemności w Strasburgu.“ W Bazylei spotkali się ze sobą osobiście, w pośród licznego towarzyskiego zebrania. „Na czem polega twoja sztuka?“ — zapytał słynny fizyjonomista Cagliostra. „In verbis, in herbis, in lapidibus“ (na słowach, ziołach i kamieniach) - odpowiedział szarlatan, poczem Lawater wpatrzył się w niego uważnie, a Cagliostro ujął uczonego za rękę. „Rysy twoje mówią mi, że wynalazłeś dla siebie eliksir długiego życia“ — przemówił wreszcie Lawater. „A twoja ręka mi wskazuje, że umrzesz nienaturalną śmiercią“ — odparł mu Cagliostro. W rzeczy samej sprawdziły się te przepowiednie; Cagliostro żył długo, a Lawater umarł, trafiony kulą przy wzięciu Zurychu przez Massenę.

* Sławny fizyjonomista Lawater jechał raz dyliżansem w towarzystwie nieznajomego jegomościa, którego miły i dobrotliwy wyraz twarzy szczególną w nim wzbudzał sympatyję. Chcąc zrobić próbę swojej umiejętności, zapytał w ciągu podróży nieznajomego, jak się sprawuje jego trzódka, na co towarzysz podróży odrzekł, iż wcale nie jest pasterzem. „Tak, nie jesteś pan pasterzem w zwykłem znaczeniu tego słowa, ale pasterzem w służbie Bożej. Pobożna praca zdobywania i dusz prowadzenia ich do Królestwa Niebieskiego, ozdabia twe czoło świętą aureolą. Jesteś pan księdzem, nie zgadłem?“ Możemy wyobrazić sobie smutek i wstyd fizyjonomisty, kiedy w odpowiedzi na to pytanie dowiedział się, że jego towarzysz podróży jest... katem.

Lawirowanie.

* Nauka, wykładana specyjalnie młodym ludziom, wchodzącym na tor pracy dziennikarskiej. Najlepszy profesor tego kunsztu, jest prawdziwym majstrem słowa i prawdziwą chorągiewką pod względem przekonań.

Lecznicze zakłady.

* *Lubień.*

Zdrojowisko najlepiej położone ze wszystkich zdrojowisk w Galicyi. Dostatecznie blizko Lwowa, by goście mogli codzień jeść obiad u Żorża; dostatecznie daleko od rady miejskiej, by nie słyszeli wywodów Świsterskiego. O pół mili Gródek z koszarami ułanów.

* *Morsztyn.*

Zdrojowisko odległe o trzy mile od wszystkich miejscowości, położonych w trzymilowym promieniu. Wody czyste, naturalne, wyborne we wszystkich wypadkach, nie wymagających wodnej kuracyi.

* *Sassów, Zawałów.*

Zdrojowiska wcale nieszkodliwe. Wrzawa ruch, lub spokój i cisza, stosownie do upodobania publiczności. Kuchnia i towarzystwo wedle wyboru gości. Powietrze znakomite; dyrekcyja zakładu nie wymaga za nie osobnego wynadgrodzenia. Nudy darmo.

* *Truskawiec.*

Wody nadzwyczaj skuteczne dla kieszeni swych właścicieli. Położenie nader przyjemne. Odległość od stacyi kolejowych dostateczna, aby panie nie były narażone na niespodziewany przyjazd mężów. Kuchnia wedle kasy; zabawy wszelkiego rodzaju, wedle tego, jak to sami sobie urządzą szanowni goście.

* *Krynica.*

Najweselsze ze wszystkich galicyjskich zdrojowisk. Ulubione *rendez-vous* polskiego *high life'u.* Wody nadzwyczaj skuteczne dla osób, cierpiących na niezaspokojony popęd do stanu małżeńskiego. Kawalerowie z tytułem lub bez tytułu, stosownie do posagu aspirantek. Panny z posagiem od 60 do 100 tysięcy (NB złotych polskich).

„*Różowe Domino*“.

Lefevre.

* W jakiś czas po wzięciu Danii, marszałek Lefevre wezwany został do Napoleona wczesnym rankiem. Przyszedłszy, zastał cesarza rozmawiającego z jenerałem Berthier, zatrzymał się więc w przedpokoju, a oficer służbowy pobiegł go oznajmić. „Dobrze, dobrze — powiedział Napoleon — powiedz wielkiemu księciu Danii, że za małą chwileczkę będziemy jeść śniadanie.“ „Najjaśniejszy Panie — odparł oficer — niema tam żadnego księcia, jest tylko marszałek Lefevre.“ „Mój panie—rzekł cesarz —jeżeli nazwę kogo księciem, to nie jest już marszałkiem“, a widząc pomieszanie oficera, dodał łagodniej; „oznajm pan wielkiemu księciu Danii, że za dziesięć minut siadamy do stołu.“ Rzeczywiście marszałek spożył śniadanie z cesarzem, myśląc, że go tenże żartami ciągle nazywa księciem, kiedy jednak po skończonym posiłku odchodził, Napoleon wręczył mu nie-

wielki pakiecik ze słowami: „Słyszałem, że pan jesteś wielkim amatorem czekolady, pozwól sobie w dowód przyjaźni ofiarować kilka tabliczek.“ Lefevre skłonił się i wyszedł zachwycony gościnnością i dobrym humorem cesarza. Jakież było jednak jego zdziwienie, kiedy rozwinąwszy paczkę w domu, znalazł w niej dyplom na księcia Danii i 300,000 fr. biletami bankowemi.

* Marszałek Lefevre, zwycięzca i wielki książe Danii, był prostym żołnierzem, a żona jego praczką. Przez czyny bohaterskie i łaskę losu doszedł do stopnia marszałka i księcia; żona jego nie mogła się nigdy odzwyczaić w zupełności dawnych manier i grała rolę wielkiej damy w dosyć grubijański sposób. Przecież wrodzona prawość, wdzięczność i dobrotliwość, tkwiąca w charakterze obojga, jednała im szacunek ludzki. Pewnego poranku w mieszkaniu księztwa stary oficer odprawiony został odedrzwi przez szwajcara i odszedł smutny, zostawiwszy swoją kartę wizytową. „Patrz!—zawołał biorąc ją marszałek—nasz dawny major złożył nam wizytę. Przykro mi bardzo, że go nie wpuszczono.“ „Co?—zawołała porywczo marszałkowa — nasz stary major! któż go nie wpuścił? Głupcze!—dodała, zwracając się do szwajcara—machaj i sprowadź mi tu mego majora, albo idź z Bogiem, czy wiesz, że bez niego nie bylibyśmy tem, czem jesteśmy!“ Szwajcar nie mało miał trudu, żeby znaleść majora, nareszcie sprowadził go do swych państwa. W rozmowie dowiedzieli się księztwo, że major wyszedł ze służby i zajmuje jakąś mizerną posadę przy uniwersytecie. „Wystaramy ci się o lepszą, majorze“ – zawołała marszałkowa i pobiegła do Józefiny i różnych wpływowych osób, prosząc o zajęcie dla swego protegowanego. W kilku dni później przysłano od cesarzowej Józefiny zaproszenie marszałkowej na grę w karty. „Niech idzie do dyjabła z swoją grą w karty!—zawołała marszałkowa — czemu nie umieści mi mojego majora!“ Odpowiedź ta doszła do uszu Józefiny, a rozśmieszona cesarzowa bezwłocznie postarała się o miejsce dla inwalida w biurze ministeryjum wojny.

* Razu jednego do jenerała Lefevre, księcia Danii, przybył dawny przyjaciel młodości, który z zazdrością spoglądał na bogactwa i honory, otaczające tego niegdyś prostego żołnierza. Spostrzegłszy to jenerał, odezwał się do niego: „Słuchaj bracie, oddałbym ci to wszystko z wielką ochotą za tę cenę, za jaką ja to otrzymałem. Więc zrób próbę, idź do ogrodu i przechadzaj się tam i napowrót, a ja postawię naprzeciw ciebie kompaniję piechoty i każę strzelać. Jeżeli wyjdziesz cało, wszystko to będzie twoje!“

Legat.

* *Szczególny legat.* (Prawdziwe zdarzenie).

Hipcio nic nie miał, ale miał bogatego, bardzo bogatego stryja.

Stryj ten wprawdzie nie był bezdzietnym, ale że był bardzo bogatym, więc mógł cośkolwiek dzieciom swoim uszczuplić, aby uszczęśliwić synowca.

Szło tylko o to, żeby ów stryj nie zapomniał, że to może uczynić, a że Hipcio był przezorny, więc postanowił przypominać mu o tem jaknajczęściej.

Co rok, w sam dzień noworoczny, przypadały imieniny i urodziny stryja, który przyszedł na świat dnia 1 stycznia 1801 roku i otrzymał na chrzcie świętym imię, jakie sobie przyniósł—Fulgencyjusz. Była więc w dniu noworocznym potrójna okazyja winszowania stryjowi i z tej okazyi Hipcio już od lat siedmiu nigdy tego nie zaniedbywał.

A przy każdem powinszowaniu Hipcio ze zręcznością dyplomatyczną starał się tak nakierować rozmowę, ażeby niby przypadkowo zawadziła o testament i żeby była sposobność przymówienia się o legat.

Stryj staruszek, ile razy usłyszał taką przymówkę, marszczył czoło.

— Czy mi życzysz tak prędkiej śmierci? — zapytywał.

— O nie, stryjaszku, słowo honoru daję, nie — przysięgał się Hipcio — wszakże przed chwilą setnych lat stryjaszkowi życzyłem... mówię to tylko tak sobie, na przypadek... gdyby wola Boża miała nas dotknąć tym ciosem, żeby drogi stryjaszek nie zapomniał o mnie w testamencie.

— Zkądże możesz wnosić, że mnie przeżyjesz?

— Znikąd, stryjaszku, słowo honoru daję, znikąd. Owszem, przypuszczam, że może wprzód ja umrę i na ten przypadek zrobiłem już testament, w którym stryjaszkowi zapisuję wszystko, co posiadam.

— A cóż ty posiadasz?

— Nic, słowo honoru daję, nic.

— No, to i ja nie gorszy jestem od ciebie —odparł stryj Fulgencyjusz—zrobiłem już testament, w którym ci zapisuję...

— Ile, stryjaszku, ile?.. — pytał Hipcio zaciekawiony.

— Tyle, że choćbyś z największą marnotrawnością używał, i choćbyś żył najdłużej, wystarczy ci tego na całe życie.

— Czy tak? No to stryjaszek musiał bardzo, bardzo dużo zapisać, bo trzeba stryjaszkowi wiedzieć, że ja jestem wielki utracyjusz, słowo honoru daję, okropny utracyjusz i gotów jestem, za przykładem stryjaszka, żyć strasznie długo.

— Wiem o tem i dla tego zapiszę ci bardzo dużo, żeby ci na najdłuższe życie wystarczyło. Wszystkiego, widzisz, zapisać ci nie mogę, bo mam dzieci i wnuki, ale tyle co mogę wystarczyć.

— Oh! jakżem wdzięczny stryjaszkowi!... Ale stryjaszek dobrodziej nie żartuje?

— Nie żartuję.

— Daje stryjaszek słowo honoru?

— Daję słowo honoru!

Taka rozmowa powtarzała się od lat siedmiu nietylko na każdy nowy rok, ale także przy wielkanocnem jajku, oraz w rocznicę ślubu stryjaszka Fulgencyjusza, Hipcio bowiem nie opuszczał żadnej sposobności do złożenia mu powinszowań i przypomnienia o legacie.

Co do utracyjuszostwa swego Hipcio nie kłamał.

Rzeczywiście pieniądze go się nie trzymały. Jeżeli miał wiele, wydawał wiele, a jeżeli miał mało, wydawał także wiele—licząc na legat.

Nareszcie los chciał, że powinszowanie, które Hipcio złożył stryjowi w dniu 1 Stycznia roku bieżącego, miało być powinszowaniem ostatniem.

Stryjaszek na swoje tegoroczne urodziny i imieniny był już chory, kwękał, mimo to Hipcio zaczął tę samą co zawsze rozmowę i takie same co zawsze otrzymał zapewnienie.

Po Nowym Roku pogorszyła się choroba i pięć dni temu stryj Fulgencyjusz zakończył swoją 77-letnią po tym padole płaczu wędrówkę.

Pochowano go onegdaj, a wczoraj otworzono testament, który brzmiał jak następuje:

„Cały mój majątek zapisuję sukcesorom swoim w linii zstępnej, to jest dzieciom i wnukom, do podziału według prawa. Co do synowca mego Hipcia, który mi trzy razy do roku dawał do zrozumienia, że powinienbym prędzej umrzeć i jemu znaczną część majątku zostawić, ponieważ dałem mu słowo, że mu coś zapiszę, pragnę tego słowa dotrzymać. Wskutek takiego postępowania uważam, że synowiec mój, chociaż się myje i czysto ubiera, jest wewnątrz *brudny*, a że, choć nie jestem lekarzem, wiem tyle z medycyny, iż dla usunięcia brudu należy używać środków czyszczących, zapisuję mu zatem to, co się znajduje w wielkiej szafie w niebieskim pokoju, do osobistego wewnętrznego użytku."

Hipcio przerażony pobiegł do niebieskiego pokoju, otworzył gwałtownie wielką szafę i zobaczył w niej olbrzymi gąsior pełen jakiegoś

płynu, z przylepioną na froncie etykietą, na której wielkiemi jak wół literami wypisane były dwa wyrazy łacińskie: *Oleum ricini.*

„*Kolce*“.

Legenda.

* *Legenda pierwszej miłości.*

Ja ją kochałem, tak mi się zdaje,
Bo cudną była w szesnastej wiośnie,
Umiała patrzeć na mnie miłośnie
I rwać mi serce w nadziemskie kraje —
A więc w jej oczach pełnych tęsknoty,
Tonąłem wzrokiem i tak na jawie
Śniłem o różach, które ciekawie
Po nad jej włosów wybiegły sploty,
Tak, że je zrywać ustami chciałem,
I byłbym przysiągł, że ją kochałem!
Ja ją kochałem, ach! jestem pewny!
Bom często błądził w noc księżycową,
Przypominając mojej królewny
Każde spojrzenie i każde słowo;
A w gwiazdy patrząc wpół nieprzytomnie
Widziałem usta zwrócone do mnie,
Że aż mnie brała wielka pokusa,
W wonne powietrze rzucić całusa,
Lecz się obrazić skromnej lękałem,
I dość mi było, że ją kochałem...
— Oj! oj! figlarko—myślałem z cicha, —
Nie chcesz mnie słuchać na głos i w oczy,
Za to twój uśmiech mówi uroczy,
I pierś, co mocniej teraz oddycha.
Nie chcesz mnie słuchać, bo w serca drżeniu
Czujesz, że staniesz cała w płomieniu,
Gdy ci wypowiem z schyloną twarzą
Słowa, co w ustach moich się ważą—
Wtem ona widząc, żem zadumany,
Rzecze: „Pan jesteś dziś niewyspany.“
I tak mnie nieraz mała psotnica
Zbijała z toru krótkiemi słowy;
Jam się w anielskie wpatrywał lica,
I w usta pełne niemej wymowy,
I myśl czytałem, co z oczu strzela,
A serca mego tamując bicie,
Czułem, że nic nas już nie przedziela,
Że toniem razem w marzeń błękicie,
Lecz gdy się tylko spojrzałem tkliwiej,
Pytała: „Czemu pan się tak krzywi?“
I coraz bardziej i coraz więcej,
O jej prostocie myśląc dziecięcej,
Pytałem siebie, czy jestem godny
Takiej miłości czystej, łagodnej?
Lecz czułem tylko, że byłbym dla niej
Gotów me życie poświęcić w dani,
I byłbym rzucił wszystko—gdy trzeba
I poszedł za nią prosto do nieba,
I byłbym poszedł za nią do piekła...
Gdyby nie... była z drugim uciekła...

Asnyk. (p. t. I s. 4).

Lekarstwo.

* Emetyk, który uzdrowił Ludwika XIV z nagłej niemocy w Calais, sprowadził śmierć Mazariniego; skutkiem czego zrobiono uwagę, że lekarstwo to po dwakroć uratowało Francyję.

(*Proverbiana*).

* *Lekarstwo na smutek.*

Młoda mleczarka stoi z wesołą miną obok swego osła, zaprzężonego do wózka z mlekiem; zaczepia ją przechodzący dandy.

— Ej dziewczyno, musiał cię wycałować twój narzeczony, kiedyś taka wesoła?

Mleczarka. Alboż to pocałunek rozwesela?

Dandy. Naturalnie, pocałunek młodego chłopca... (*nachylając się ku niej*) Może spróbujemy jeszcze.

Mleczarka. O nie, ja już jestem dosyć wesoła, ale pocałuj pan mojego osła, bo on taki smutny.

* *O Polaku co od grochu ozdrowiał.*

W Rzymie rozstękał się Polak, posłał sobie po doktora, by mu dał lekarstwo, po onym lekarstwie w taką chorobę wpadł, że on doktór odstąpił, powiadając mu, że „trzeci dzień nie wynidzie, a ty się pożegnasz z światem“ On

Polak tak opuszczony nic sobą nie trwoży, wszakże grochu co go medyk jadać zakazował, kazał garnek niemały uwarzyć, który chętnie zjadł; od tego czasu jęło mu się na zdrowiu poprawiać. Trzeciego dnia Włoch, mimo onę kamienicę idąc gdzie Polak leżał, pyta kiedy onego Polaka schowano. Powiedzą mu, że się lepiej ma i ku zdrowiu przychodzi. Włoch się temu bardzo zadziwuje. Wstąpił tam, coby za lekarstwo zażywał pyta, Polak rzecze: „Grochu mi się zachciało, zjadłem go garniec i zaraz mi się jęło na zdrowie polepszać.“ Szedł Włoch do domu, ruminując sobie, że Dyoskorydes tej mocy do grochu nie wiedział, co napisał to, taki tytuł dawszy: *Recepta contra mortem. R. Olla Pini bene cocta comediatur tria non morietur.* To po polsku się rozumie: Lekarstwo doświadczone przeciw śmierci. Weźm garniec grochu, dobrze go uwarzywszy, niechaj chory wszystek zje, tedy nie umrze.“ Nie długo potym się trafiło, że leczył on medyk Włocha *in desperatis casibus*; a widząc że mu nie pomagało, uciekł się do recepty, jako do pewnej, że go miał od śmierci zachować. Kazał mu uwarzyć garniec grochu, i przez gwałt kazał mu go zjeść. Włoch zjadłszy groch, tegoż wieczora umarł; widząc to medyk przyszedłszy do domu i wziął one księgi swe, i poprawił sobie onej recepty: *Recepta contra mortem, sed pro Polonis tantum.* Jakoby rzekł: „Lekarstwo dobre przeciw śmierci, ale dla Polaków tylko.“ Nie wszyscy Włosi mądrzy, choć tam po rozum jeżdżą. Naucz się tego z tej przypowieści:

Kto rozumu mieć nie będzie,
We Włoszech go nie nabędzie.

Lekarz.

* Pytano pewnego doktora, co się dzieje z jego przyjacielem N. „Jakto? nie wiecie państwo o tym wypadku—odpowiedział spokojnie —tydzień temu obiadowaliśmy jeszcze razem, nazajutrz mój biedny przyjaciel zachorował; leczyłem go; przedwczoraj umarł, dziś go egzenterowałem, a jutro go zabalsamuję.

* „My jesteśmy podobni do dorożkarzy— mówił jeden lekarz do drugiego—znamy wszystkie ulice doskonale, ale nic nie wiemy, co się dzieje wewnątrz domów.“

* Gourwille spotkał raz w lasku bulońskim swego przyjaciela doktora, idącego z fuzyją na ramieniu. „Gdzie idziesz?“ — zapytał go. „Do chorego w Auteuil“ — odpowiedział. „I widać boisz się, aby twoje lekarstwa nie chybiły“ — dodał Gourville, spoglądając znacząco na fuzyję.

(*Encyklopedyjana*).

* Mamy tu doktora... Użyj jego pieczy,
A wnet cię ze wszystkich... pieniędzy wyleczy!

* *Lekarz i natura.*

— Co czyni każdy lekarz?
Ktoś naiwny pyta.
Naturze nie da chorych—
Zabijać—i kwita.
Słuszna to uwaga,
Lecz ztąd się wywija
Inna—i słuszniejsza—
Że... sam ich zabija!..

Lenistwo.

* Żądza wyniesienia u człowieka powstrzymywana bywa lenistwem.

Baudrillant.

* „Ej wstańcie wżdy mój panie“—rzecze kto [z kompanów;
Ażci się tandem porwie, ziewa a na łóżku
Siedzi, oczy wygniły, z gęby śmierdzi piwsko,
W paszczęce kleju pełno a w czuprynie pierza—
Toż dopiero do portek. Ubiera się przez dwie
Albo przez trzy godziny, aż dadzą śniadanie,
A za nim prędko obiad, po którym już pije,
I leje w się jak w beczkę. Zatym podwieczorek,
A nakoniec wieczerza, po wieczerzy szlaftrunk.
A tak cały dzień znijdzie śpiąc, jedząc, a pijąc;
Rzecze kto: wsieśćby na koń i przejeździć by się

Odpowie: Nie czuję się sposobnym do jazdy,
A koń też ciężko nosi.—Więcby się po ranu
Księgą zabawić, albo przepisaniem czego.
— Oczy mnie zaraz bolą, gdy pocznę co czytać.
—Więcby z pieskami w pole.—Nie dobre dziś
[pole!
— Więcby z kopiją skoczyć.—Niebezpieczno
[biegać,
Nie mam konia po temu.— Wymówek aż nazbyt.
Oj błaźnie nad błaznami do tegośmy przyszli?
A na cóż taki żywot? Czemuż się nie każesz
Powić, a tak w powiciu w kołebeczkę włożyć,
Żeby nad tobą mamka śpiewała: lulajże!
Lulaj, lulaj chłopieczku. Czemuż się w bawełnę
Zawinąwszy, w pudełku nie zamkniesz słonio-
[wym.
Cóż mi to te wymówki przynosisz? O ciebie
Idzie, gnijesz chudzino, albo raczej giniesz.
Podobieneś do garca niewypalonego,
W który, gdy próbując go, zabrząkasz, nic a nic
Dźwięku nie da. Tak i ty jeszcześ prostą gliną,
Terazby cię formować i w kole obracać,
Aby wżdy co wyrobić z ciebie wybornego.
—Ale mam swój dostatek z ojca jaki taki,
Kontentuję się choćby o chlebie, o soli,
Mam co jeść i pić doma, co mi po ćwiczeniu?
Drugi rzecze: że „idę z dziadów i pradziadów
Zacnych i starożytnych. Mam stryja marszał-
[kiem,
Mam wuja pieczętarzem, albo więc biskupem.“
Cóż z tego? to już przez to gębę odąć trzeba?
I nic nigdy godnego nie robić na świecie?
K. Opaliński.

* *O leniwcach, obżartuchach i pijanicach.*

Z drugiej strony obżarstwo drugie dziecię nosi,
Co to ledwie przed spaniem i głowę podnosi.
Co jest marne stworzenie, lenistwem je zową,
Które władać nie może niczem, ani głową.
A gdy rozum człowieku na to najwięcej dan,
Aby od innych zwierząt był w sprawach ro-
[zeznan;
Patrzajże, gdy jako wieprz jedno leżąc tyje,
Jeśliże nie podobien do innej bestyje.
Bośmy nie tak stworzeni, byśmy jeno żarli,
A otkawszy brzuch młotem jako świnie marli,
Ale byśmy pomiernie wszego używali,
A na wszem się rozumem w cnotach sprawowali.
A zwłaszcza gdy ożralstwem jeszcze się kto
[bawi,
Już nie masz nic tak złego, co się w nim nie
[zjawi.
Wszak jawnie w każdym widać kiedy łeb zaleje,
Jeśli lepiej niż dzikie zwierze nie szaleje.
Wnet tam rozum on wdzięczny już swoj urząd
[straci,
Już się tam szalona myśl ze wszystkiem złem
[zbraci,
Już tam żadnej baczności, ni żadnej pamięci,
Kiedy we łbie zaszumi, przystępcie i święci.
Kto się chce podziwować a patrzeć, przełaje,
Jeśli w którem zwierzęciu takie obyczaje.
Azaż tam co ze wstydem w szalonym łbie znaj-
[dzie,
By siedział z Bernardynem, z każdym w burdę
[zajdzie.
A zaś ręce co czynią, albo język mówi,
Aby wżdy co podobno było k'rozumowi.
Jednym razem zamruczy, a drugi raz szepcze,
A czasem jako bocian zjadłszy żabę klekce.
Łaje, wrzeszczy, kołace, a sklenice tłucze,
Bo stracił od rozumu i kłódki i klucze.
Więc podrze, więc popluska, a drugie rozdaje,
A kiedy kto nie chce wziąć, tedy mrucząc łaje.
Ale sobie po ranu zasię powracajmy,
Pijanego wieczora dziś nie wspominajmy.
Owa, co przez cały rok nań wyrobią chłopi,
To on za jeden tydzień wszystko w brzuch za-
[topi.
O nędzny to jest żywot człeka takowego!
Który powinowactwa zapomni swojego;
Jako ino dziki wieprz tak leży w barłogu,
Już ni ludziom, ni sobie niegodzien, ni Bogu.
Bo się już więc tam wszystkie zmysły pomie-
[szają,
A też patrz jako wszyscy wdzięczne zdrowie
[mają.
Ręce drżą, łeb się trzęsie, a nogi zapuchną,
One wdzięczne wonności z gęby, z nosa cuchną.

Owa równo z nim siedzieć jako na wychodzie,
A on wszystko pomazał jako świnia w smrodzie;
A przecież to za rozkosz sobie poczytają,
Otóż masz swoję panią, co jej ten czynsz dają,
Rozkosz leżeć we błociech a tłuc się po kąciech,
Taczając się po ścianach by szkapy w chomą-
[ciech.
A przecież by najlepiej wszyscy poszaleli,
Rano wstawszy, powiedzą, iż byli weseli.
A ono drugi z wesela we łbie sobie skubie—
Bardzo mu przeplewiono jakoś włos na czubie.
I tu się przepleniło bardzo na czuprynie,
Na nosie łyska siedzi, a guz na łysinie.
Więc zasię potem z tego wnet lenistwo roście,
Że i głowy nie może czasem podnieść proście.
Acz jest rzecz przyrodzona człowieku każdemu,
A nad wszystkie rozkosze to jest pierwsza jemu,
Aby sobie po pracy wdzięcznie odpoczynął,
Aby go też on frasunek który miał, ominął.
Bo to jest przyrodzenie zwierzęcia każdego,
Aby odpoczynęło też czasu swojego.
Bo i orzeł latając bujno pod obłoki,
Kochając się, a patrząc tu na świat szeroki,
Musi upaść na ziemię, z czasem odpoczynąć,
Bo, by nie to, musiałby każdy z pracy zginąć.
Bo to wdzięczna rzecz ciału by odpoczynęło,
A onym snem rozkosznym cichuczko zasnęło.
Nie owak z opiłym łbem, gdy jako wilk chrapie,
Macając podle siebie kogo znajdzie, drapie,
Kaszle, mruczy, wierci się, łoże pod nim trze-
[szczy,
A obiema końcoma, co się ruszy, wrzeszczy.
Rano wstawszy drze oczy, ano mu zalnęły,
Knafle wiszą na brodzie, co z nosa płynęły.
O jakież to rozkoszne tam było wyspanie,
Mógłby go gdzie za węgieł prosić na śniadanie.
Albowiem jakie w panie sprawy i postawy,
Takieby też miały być właśnie i potrawy.
Po co wczoraj postno jadł dawno zrzucił
[skwarne,
A nietylko zająca, mógłby gonić sarnę.
Więc też nie dba o czeladź, by mu wody dali,
Już mu dawno pieskowie gębę ulizali.

Mikołaj Rej. (p. t. I s. 12.

Leon X.

* Pewien chemik dzieło swoje, w którem przekonywał wszystkich o możności zrobienia złota, dedykował papieżowi, Leonowi X, spodziewając się, iż otrzyma za to od niego jaki kosztowny podarunek. Jakoż papież przysłał mu duży, lecz pusty worek z napisem: „Aby było w co włożyć zrobione złoto“.

Leopold.

* Leopold, książę Anhalt-Dessau, dał raz piśmienny rozkaz adjutantowi, którego tenże, nie mogąc przeczytać, odniósł napowrót do księcia, prosząc o wytłómaczenie kwestyi. Leopold napróżno usiłował zrozumieć własne hieroglify, wreszcie rozgniewany zawołał: „Cóż u licha! nie piszę rozkazów dla siebie, tylko dla ciebie, możesz sam nad niemi łamać głowę!“

* Leopold, książę Anhalt-Dessauski, szedł razu jednego przez ulicę, kiedy zauważył chłopaka z zabrudzonym nosem. „Utrzyj sobie nos, malcze“ — powiedział książę. „Kiedy nie mam chustki“ — brzmiała odpowiedź. Książę wyjął z kieszeni guldena i dając go chłopcu, rzekł: „No, masz! kup sobie chustkę...“ Nazajutrz na tem samem miejscu, przez które zwykle książę przechodził, zebrał się tłum chłopaków „ze świecami w nosie“, lecz książę, śmiejąc się tylko, przeszedł koło nich i ku wielkiemu ich zawodowi poszedł dalej.

* Jako podrastający młodzik, Leopold, książę Dessauski, strofowany był raz przez nauczyciela za nadmiar użycia trunków. Młody zapaleniec w uniesieniu chwycił pistolet i zmierzył do swego mentora. „Dobrze, zabij mnie, książę—odezwał się zimno starzec – ale pamiętaj, że historyja po wieki nie zapomni ci tego czynu, a dom Anhaltski, który tronowi tylu wielkich dostarczył regentów, splami się twojem wspomnieniem!“ Leopold na te słowa opuścił na ziemię pistolet, wołając: „Masz racyję! dziękuję ci, wierny przyjacielu!“

Lesseps.

* Inżynier francuzki, Lesseps, zajmujący się kanalizacją, od pana Lindleja, inżyniera, również kanalizacją się zajmującego, różni się narodowością, gdyż *nasz* inżynier, *comme de raison*, jest anglikiem. Zresztą niema między nimi różnicy. Obaj znają zarówno dobrze inżynieryję, po śmierci też obu wdzięczne narody przyślą im na trumnę wieńce z napisem: „Wdzięczni urządzeni za kanalizacyję“.

* *Lesseps i Lindley.*

Ktoś zrobił odkrycie, że dwaj ci inżynierowie bardzo, ale to bardzo podobni są do siebie, bo jak nazwisko Lessepsa, tak i nazwisko Lindleja zaczyna się od L.

Świąteczny.

* *Korespondencyja znakomitych ludzi.*

Szach perski do Lessepsa:

„Obdarzam cię, wielki mężu, orderem lwa i słońca“.

Lesseps do szacha perskiego:

„Dziękuję Ci, wielki monarcho! Domyślam się, że łaskę, jaką mnie obdarzyłeś, zawdzięczać mam zbudowanemu przezemnie kanałowi Suezkiemu“.

Szach perski do Lessepsa:

„Wcale nie za kanał Suezki obdarowałem Cię orderem lwa i słońca. Łaskę moją zawdzięczasz temu, że będąc takim starym, niedawno zostałeś ojcem dziesiątego dziecka“.

Świąteczny.

Lessing.

* „Wybacz mi—pisał Lessing do przyjaciela — że piszę dziś list tak długi, ale nie mam czasu na napisanie krótszego“. Dla tegoż powodu sławny polygraf Lasaubou napisał list łacińskiemi hexametrami, gdyż czasu mu nie stało na zwykłą prozę. Herder tak się wyraził o krytyce Kanta: „Książka byłaby o wiele krótsza, gdyby i tak nie była krótka“. To znaczy: „im większe studyjowanie — tem krótsze kazanie“, ale za to treściwsze, bardziej skupione i większy wywierające efekt.

* Sławny filozof Lessing miał służącego, o którego wierności i uczciwości rozmaicie ludzie mówili. Z początku Lessing nie dawał ucha obmowie, wreszcie uległ jej i właśnie opowiadał swemu przyjacielowi, iż wziął sługę na próbę, zostawiwszy garść pieniędzy na stole niby przez zapomnienie. „A policzyłeś je?“ — zapytał go przyjaciel. Lessing spojrzał na niego zdumiony i pomieszany; zapomniał, lub nie domyślił się, iż trzeba było je policzyć.

* Naumann, przyjaciel Lessinga, bardzo słabo uposażony pod względem rozumu i po macoszemu obdarzony także szczęściem życiowem, napisał dzieło pod tytułem: „O rozumie i szczęściu“ które dedykował Lessingowi. Kiedy filozof wziął książkę do ręki i spojrzał tylko na tytuł, zawołał zdumiony: „Człowieku, jakże możesz pisać o dwóch rzeczach, których nigdy nie zaznałeś?“

* Razu jednego Lessing, siedząc w oberży, zaczął pilnie pisać, nie zwracając uwagi na kilkakrotne pytanie oberżysty, kim jest. Wreszcie, kiedy natrętny gospodarz stanął obok niego i patrząc przez ramię na to, co Lessing pisze, zapytał ponownie, kto on jest, Lessing zniecierpliwiony odpowiedział: „Jestem ewangelista Łukasz, możesz się pan domyśleć, dla czego“. Niedomyślnemu oberżyście ktoś usłużny dopiero wytłómaczył, że malują tego ewangelistę z wołem przy boku.

* Na przedstawieniu „Solimana Drugiego“ dyrektor grał rolę sułtana, a żona jego była Roxolaną. „Jak się panu podoba dzisiejsze widowisko?“ — zapytał ktoś Lessinga. „O, bardzo — odrzekł krytyk — cieszy mnie to, że raz przynajmniej dyrektor ukoronował swoją żonę, a zwykle od niej jest koronowany“.

* „Znów narobiłeś oślich uszów u tej książki?“—rzekł stary Lessing do syna. „Ach! tatusiu, ona ma wszelkie prawo do oślich uszu“ — odrzekł przyszły znakomity krytyk.

* Kiedy Lessing mieszkał w Berlinie, jeździł zawsze na tak małym koniku na spacer, iż okrywszy się długim i szerokim płaszczem w czasie deszczu, zasłaniał też i konia w zupełności. Razu jednego, jadąc tak podczas ulewy przez plac targowy, zaczepił nieszczęśliwie o stragan przekupki i zrzucił jej dwa kosze z owocami w błoto. „Trzymajcie, trzymajcie tego niezgrabnego grubasa!“ — wołała przekupka, biorąc konia i Lessinga za jedno.

* Lessing cieszył się całe życie wybornym snem i zapewniał zawsze wszystkich, że mu się nigdy nic nie śni. Dobro to zachował do ostatniej chwili życia, a na kilka dni przed zgonem utrzymywał, iż przespawszy cały dzień, cieszy się nadchodzącą nocą, to jest, że po tylorazowej próbie błogiego snu chwilowego, nie przeraża go sen wiekuisty...

Lerassor.

* Kanonik Lerassor brał razu jednego udział w koncercie dobroczynnym na rzecz biednych parafijalnych. Po koncercie proboszcz zaprosił go na śniadanie, a Lerassor znalazł w swojej serwecie w skorupce od jaja, sztucznie złożonej, 5 napoleondorów. „Ach! księże proboszczu! — zawołał, śmiejąc się, artysta — lubię w samej rzeczy gotowane jaja, ale ksiądz proboszcz o tem nie wie, że lubię tylko białka, żółtka zaś zostawiam dla biednych“.

Lewis.

* Lewis opowiada następującą anegdotę. „Ponieważ oznaki zmyślności zwierząt bardzo mnie zawsze zajmowały, zadziwił mnie jeden niezwykły rys, o którym opowiedział mi znajomy kapitan okrętu. Kiedy zarzucili kotwicę przy brzegach Jamaiki, podpływały do okrętu wilki morskie, samce i samice, bawiąc się i figlując. W tych zapasach jedna z samic utraciła życie, a mąż jej nie posiadał się z rozpaczy. Jak się bez niej obszedł, niewiadomo, ale chcę powiedzieć, jak się z nią obszedł. Zaledwie wydała ostatnie tchnienie, zagłębił zęby w trupa i zaczął go pożerać. Sami majtkowie, zadziwieni tym dziwnym objawem miłości, chcieli pomódz czułemu małżonkowi do spełnienia smutnego obowiązku, szarpiąc ciało na części hakami. Widząc te przygotowania, wilk morski odciągnął swą ofiarę jak najdalej od statku, pożerając ją wciąż z krwiożerczą zajadłością. Wątpię, czy myślał o tem, że każda ukochana cząstka przejdzie w ten sposób z żołądka prosto do serca, ale ręczę, że powtarzał sobie w duchu: „jakaż dobra była za życia i jak dobra jest po śmierci!“ Nie sądzę, czy kiedykolwiek roczniki hymenu wydały światu przykład tak pełnej zaparcia się czułości i wierności małżeńskiej?

Liberyja.

* Uniform, posiadający tę szczególną własność, iż czuć takowy na ludziach, nawet gdy go nie noszą. Dla tego spostrzedz go można w artykułach, pisanych przez autorów w negliżu.

Licencia poetica.

* Dorat, poeta francuzki XVI wieku, zakochał się był, mając lat 80, w młodziutkiej dziewczynie, gdy zaś go o to strofowali przyjaciele, odpowiadał:

— Moi drodzy, niech to będzie moja ostatnia licencia poetica.

Lichtenberg.

* Profesor Lichtenberg, będąc raz w bardzo nudnem towarzystwie, chciał je niepostrzeżenie opuścić, kiedy jeden z gości zatrzymał go, mówiąc: „Powiedz nam pan przedtem jakiś dowcip, dopiero pana uwolnimy“. „No, dobrze, opowiem państwu jedną historyjkę. Zakradł się

raz złodziej do kościoła, skradł kielich i zamierzał wyjść, kiedy znalazł drzwi zamknięte. Spostrzega sznur, chce po nim wdrapać się do okna, ale był to sznur od dzwona i na odgłos dzwonienia zbiegła się cała wieś i ujęła złodzieja. Wtedy złodziej spojrzał się z wyrzutem na dzwon i powiedział: „O, ty głupcze z pustą głową, a gadatliwym językiem, tyś winien memu nieszczęściu“. A teraz, moi państwo, polecam się waszej łaskawej pamięci“.

Lichwa.

* Pewien żebrak prosił przechodnia o wsparcie, zachęcając go słowami, że uprosi dla niego u Boga długie zdrowie i życie. Podróżny dał mu kilka groszy z taką odpowiedzią: „Proś Boga za siebie samego, gdyż ja nie daję pieniędzy na lichwę“.

Lichwiarz.

SCENA IV.

Łatka—Twardosz.

Twardosz (*powoli, oczy w dół zawsze i bez najmniejszego poruszenia w twarzy — na str.*)

Hm, nie widzi—w dół spoziera—
Pacierz mówi—stary sknera!
(*zbliżywszy się*)
A, przepraszam (*chce się cofnąć*).

Łatka (*udając zdziwienie*).

Jaś kochany!...

Twardosz.

Zabłądziłem...

Łatka.

Ale czekaj...

Twardosz.

Numer czwarty tu wskazany.

Łatka.

Ależ, Jańciu, nie uciekaj!
(*bierze go za barki i z czułością w oczy patrzy*)
A bodaj ci nóżka spuchła!
Jakiś ładny—jak serduszko—
Ty młodniejesz co godzina.
(*ściskają się kilkakrotnie*)
Mój Jasieńku, moja duszko!
Siadajże-no—pogadamy—
(*odbiera mu kapelusz i siadają obydwaj*)
Ot tak, ot tak! (*kładąc mu rękę na kolanach*)
[Poczciwina!
Cóż nowego dzisiaj mamy?

(*Twardosz siedzi bardzo wyprostowany, skrzyżowane nogi kryjąc pod krzesło, oczy nieustannie w dół spuszczone, patrzy na kręcące się w koło palce—cały, jak z kamienia*).

Twardosz.

Nic.

Łatka.

Wiatr dzisiaj—źle się dzieje—

Twardosz.

Źle.

Łatka.

Dla czego?

Twardosz.

Bo wiatr wieje.

Łatka (*n. s.*)

A na kupno głosu niema,
Wziął mnie za łeb—wziął i trzyma.
(*głośno*)
Aj, aj, Jasiu, grzech prawdziwie,
Że nie zajrzysz nigdy do mnie,
Zjadłbyś czasem skromnie, skromnie,
Ale w dobrej komitywie.
(*na str.*)
Zbój przeklęty, jak za wałem.

(*Łatka w następnej mowie za każdym wierszem, jakby czekał odpowiedzi. Twardosz za każdym razem wstrząsa głową, jakby mówił: Ha, mniejsza z tem*).

Nie skończyłeś kupna rano,
A w godzinę więcej dano,

Ale jednak nie przedałem
I odwlekłem jeszcze chwilę,
Bo z przyjaciół mych urazą
Nie chcę zysku największego.

Twardosz.

Ja już teraz nie dam tyle.

Łatka (*zrywając się—potem siadając*).

Nie dam tyle, nie dam tyle!
Jasiu, Jańciu, nie mów tego,
Bo jak gdybyś rozpalone
W moje serce pchał żelazo!
Nie dam tyle! nie dam tyle!
Czy mam zmysły zakłócone?
Czym farmazyn, czym libertyn?
Czym już bankrut?! Nie mów tego,
Jasiu, Jańciu, nie mów tego,
Bo mi z żalu dusza pęknie.

Twardosz.

Ja nie mówię.

Łatka.

Więc dla czego?

Twardosz.

Bo Birbancki nie jest zdrowy,
Klapnie pewnie...

Łatka (*jakby podrzucony na krześle*).

Niech-że ręka
Boska broni drogiej głowy!...
(*śmiejąc się z przymusem*)
A bodaj ci, drogi Janie,
Nóżka spuchła, nie jest zdrowy!
To Herkules, jak rydz, panie,
Matuzalem będzie nowy—
Co to, panie, za budowa,
Co za piersi, co za głowa,
Co za kości, jak olbrzyma,
Drugich takich w świecie nie ma!
A bodaj ci, drogi Janie,
Nóżka spuchła z taką mową!
(*zrywając się*)
Ale wiesz co? powiem słowo—
Słowo—słówko—a nic więcej.
(*bierze Twardosza obiema rękami za głowę*)
Dasz zarobku (*całując go w czoło*) sto tysięcy?
(*odskakując, przypatruje mu się; Twardosz kręci głową, że nie da, Łatka przyskakuje i uderzając go po ramieniu*).
Dziewięćdziesiąt (*gra jak wyżej*) Dasz ośmdziesiąt?
(*jak wyżej*)
Jasiu, duszko, duszko droga!
Co ty myślisz, bój się Boga,
Ty chcesz mojej wiecznej zguby,
Ty mnie w krwawe bierzesz szruby,
(*szarpiąc go za suknie i wstrząsając nim*)
Człeku, człeku, miej-że przecie
Litość w sercu, miej sumienie,
Łatwy handel na tym świecie,
Lecz pamiętaj na zbawienie,
Daj siedmdziesiąt! (*jak wyżej*) w tym sposobie
Chcesz mnie zarżnąć, zarżnąć srodze,
To weź lepiej brzytew sobie,
(*nadstawiając gardła*)
Rżnij, rżnij—na, rżnij—rżnij, jak ciele,
Tu na gładkiej rżnij mnie drodze,
Kiedy stracić mam tak wiele,
Albo wytnij w łeb maczugą,
Niech się nie męczę tak długo.
(*Twardosz chce wstać, Łatka go pociąga tak, że gwałtownie siada i do dawnej wraca pozycyi*)
Daj sześćdziesiąt (*jak wyżej*) Słuchaj, Janie,
Niech paralisz (*wskazując gardło*) tu mi stanie,
Niech mi w czworo złamie nogę,
Niech mi kości powyciąga,
Jeśli szeląg spuścić mogę,
Jeśli spuszczę pół szeląga.
Z pięćdziesięciu...
(*gdy Twardosz chce wstać, Łatka pociąga go na miejsce i mówi z pośpiechem*)
Daj czterdzieści.
(*szarpiąc za suknię*)
Co? czterdzieści? co? i to nie?
Na matkę siedmiu boleści!
Miej-że litość, człeku srogi!
(*coraz czulej, aż do płaczu*)

Ja nieszczęsny, ja ubogi,
Ledwie jeszcze resztką gonię,
Wkrótce nagi, bez osłony—
A ty niszczysz do ostatka—
Ja familiją obarczony:
Ojciec stary, ślepa matka
Żyć przestali na mem łonie,
Żona, dzieci wkrótce będą,
Miej-że wzgląd na niemowlęta,
Na niewinne me pisklęta,
Jasiu, Jańciu, Bóg nad nami,
Nie wypychaj mnie z torbami!

(*Twardosz wstaje, dobywa pugilaresu — milczenie*)

Twardosz.

A więc powiem słówko, słówko,
(*milczenie—służący wchodzi z flaszkami lekarstwa w ręku*)

I bez zwłoki dam gotówką—
Na stół zaraz.

Służący (*stając za Łatką*)

Proszę...

Łatka (*z niecierpliwością*)

Czego?...

Służący.

To dla pana Birbanckiego
Te lekarstwa...

Łatka (*zatrzymując rękę Twardosza, chowającą pugilares i zasłaniając sobą służącego - do Twardosza*)

Wiele, wiele?

Służący.

Czy tu?

Łatka (*w samo ucho służącemu*)

Idź do dyjabła! (*do Twardosza*) Wiele?
(*służący stawia flaszki i wychodzi*)

Twardosz (*biorąc kapelusz*)

Niech się chory wprzód wyleczy.

Łatka.

Chory, chory! Jakto chory?
Co do głowy ci przypada?
Zbytek zdrowia w nim doktory
Osłabiają przez ochłody,
To są nasi przyjaciele
(*bierze flaszkę i mówiąc, pije*)
Patrzaj, patrzaj! limonada!
Spróbuj tylko, limonada!
Sam pokosztuj—patrz, jak piję,
A wiesz przecie, że zdrów żyję,
Dobra, przednia, patrz, jak piję!

Twardosz.

Servus, servus (*odchodzi*).

Łatka.

Ha, cyganie!
Żydzie! Turku! renegacie!
I sam dyjabeł w swym warsztacie
Grosza z ciebie nie dostanie!

(*wstrząsa się i spluwa*)

Jak kark skręcisz, dam gromnicę...
Lub gromnicy obietnicę (*spluwa*).

„Dożywocie", *Aleks. hr. Fredro.*

* *Lichwiarzowi.*

Tu leży stary lichwiarz—łotr pełen niecnoty,
Co okradał swych bliźnich, obdzierał sieroty—
Przyszło przecie nakoniec temu zbrodniarzowi,
Przyszła śmierć i łeb ścięła, tak jak Herodowi,
A z rozkazu Bożego, że był człek obrzydły,
Zaraz po łba ucięciu wziął go czart na widły.
Bez żadnej wątpliwości, choć się rzucał wściekle
Na madejowym łożu, leży teraz w piekle,
Nie pomogą wotywy, ani wypominki,
Ni pobożnie klepane wieczne odpoczynki—
Nie pomogą modlitwy, ani wszyscy święci,
Bo się ztamtąd łotr taki nigdy nie wykręci.

Kolce.

* *U lichwiarza.*

— No, panie Szmulu, przyszedłem po te tysiąc rubli, które mi obiecałeś dziś pożyczyć...

— Przykro mi jest, panie hrabio, ale dalibóg, nie mogę...

— Jakto pan nie możesz? Wszak obiecałeś, kazałeś dziś przyjść, a teraz pan kręcisz...

— Przepraszam pana, panie hrabio, ja nigdy nie kręcę...

— Ależ to są żarty nareszcie!...

— Ja nigdy nie żartuję...

— Ja muszę mieć te tysiąc rubli. .

— Odemnie? niepodobna! bardzo mi przykro...

— Co mi tam z pańskiej przykrości, pan mi zrobiłeś zawód! nie godzi się tak postępować.

— Prawda, obiecałem, bo byłem pewny, że dziś odbiorę tysiąc rubli z jednego miejsca, zawiedziono mnie, dla tego i ja nie mogę panu hrabiemu dotrzymać obietnicy, nie moja wina...

— Ale zechciej tylko, panie Szmulu, znajdziesz drugie tysiąc rubli...

— Daję słowo honoru—nie mam!

— Fiu, fiu! od jakiegoż to czasu żydzi lichwiarze dają słowo honoru?...

— Od tego czasu, jak brat pana hrabiego, pan hrabia Adolf, za tysiąc rubli zastawił je u mnie i nie wykupił, a dziś właśnie był termin... Bardzo przepraszam, słowo honoru, nie mogę...

* Ślub się odbył; piękna oblubienica opuszcza kościół, by wsiąść do czekającego powozu, gdy w tem jakiś nieznajomy zatrzymuje ją, wykrzywiając swą szkaradną twarz jaknajuprzejmiejszym śmiechem. Przerażony ojciec młodej pani podbiega, pytając, o co idzie.

— Pańska córka—mówi nieznajomy, uśmiechając się ciągle — jest obecnie panią S. i ma prawo na równi z mężem do rozrządzania wspólnym majątkiem; otóż prawo nakazuje jej za długi męża oddać naszyjnik, bransolety, kolczyki i inne kosztowności; oto jest dokument (wyrok sądowy).

Ojciec rzuca wściekłe spojrzenie na zięcia i zapytuje o sumę długu, ale córka przerywa, uśmiechając się:

— Proszę o głos—mówi.—Karol zwierzył mi się ze wszystkiem; jest to dług lichwiarski, gdyż mój mąż i ósmej części tych pieniędzy nie dostał. Ponieważ oddawna wiedziałam, co ci panowie dla skompromitowania mego męża ukartowali, a do czego prawo ich, niestety, upoważnia, postarałam się przeciw temu zabezpieczyć. Przysądzono im moje klejnoty na umorzenie długu. Wszak prawda?

— Tak, tak jest w istocie, oto papier urzędowy! — zawołał uradowany wierzyciel, chowając z chciwością klejnoty do kieszeni.

— A więc—powiedziała pani—starajcie się, by wam je jak najwyżej ocenili, bo wszystkie są z najpiękniejszych „Pierres de Strass“.

I wśród grzmiących oklasków tłumu pojechała piękna pani do domu.

Licytacyja.

* *Licytacyja żon.*

Tło: Sukiennice. Za kratkami stoi kilkanaście niewiast w ponętnych pozach. Przy biurku siedzi komisarz sądowy, obok niego stoi woźny z dzwonkiem w ręku. Kratki otacza kilkuset przedstawicieli rodu męzkiego, przeważnie stara kawaleryja. Woźny zaczyna wywoływać:

„Pani Pulcheryja Niewiernowska. Wydanie miniaturowe z roku 1859. *) Wysokość stóp 4 cali 8. Żona adwokata. Oko czarne, włos płowy. Brak jednego zęba trzonowego — reszta w porządku. Objętość w pasie 1 $^1/_2$ stopy. Gra na fortepianie i mówi po francuzku. Głos miły, ruchy sympatyczne. Zwiedziła Egipt i Arabiję. W ortografii polskiej pozostawia nieco do życzenia, mianowicie pod względem używania *o* kreskowanego. Płeć biała i delikatna. Na niewierności małżeńskiej schwytana razy 13. Cena wywołania 1844 złr. i centów 22. Kto da więcej?“

Albo też:

„Pani Kandyda Zdrajczyńska. Wydanie z roku 1846. Egzemplarz dobrze zachowany. Druk

*) Kronikarz był raz tylko na licytacyi i to książek, ztąd wplątały mu się mimowoli fachowe wyrażenia.

wyraźny, papier gruby. Żona doktora medycyny. Kartki środkowe nieco pomięte. Przedmiot posiada język niemiecki, polskim włada wprawnie i nieustannie. Włosy własne, zęby żółte, lecz silnie osadzone. Lokal serca zdolny pomieścić 4-ch do 5-ciu naraz lokatorów. Znajomość 4-ch działań zupełna. Oczy piwne, wzrost bujny, waga funtów 152. Niewierności małżeńskiej dowodów 148. Wartość szacunkowa 62 złr. Licytacyja powtórna niżej ceny szacunkowej rozpoczyna się od sumy 44 złr. 18 centów. Kto da więcej?"

Ceny wywołania, jak to widzą czytelnicy, byłyby dość przystępne, co się tłómaczy ilością towaru nie proporcyjonalną do zbytu. Kurs prawdopodobnie poszedłby z czasem w górę, gdyż srogość ustawy wpłynęłaby na mniejszą produkcyję wyrobów rogowych. Licytacyje takie powinny się odbywać w lecie, gdyż saison morte należałoby uprzyjemnić i urozmaicić.

* *Z poezyi Pinkusa Steinerkopf.*

Idź w pole

Dziecię wątłe! dla czego nie pójdziesz na pole?
Słońce świeci... w powietrzu świeżej woni pełno,
Sosna szumi na górze... wre potok na dole...
Pasą się białe owce z długą, miękką wełną. .
Pójdź tam... pójdź, wątłe dziecię, gdzie kwilą [ptaszęta,
Gdzie zieleń miłym chłodem, słońce ciepłem [darzy...
A może się podniesie twa pierś zaklęśnięta
I rumieńce wykwitną na wybladłej twarzy...
Idź, Szmulku, idź, pobiegnij na godzinę w pole...
Muskuły twe się wzmocnią i krwi cyrkulacyja...
— Rebe Pinkus... ja tutaj w mieście zostać [wolę...
— Dla czego?
— Bo tu zaraz będzie licytacyja!

Liczby.

* Rzecze ktoś: Razy *pięćdziesiąt* mówiłem
Waćpanu—znak to, że go gniew unosi;
Rzecze poeta: Wierszy ukropiłem
Pięćdziesiąt—strach ci, że je wnet wygłosi,
Bandę *pół-setną* zawsze obejdź tyłem;
Miłość *pół wieczną* prędko niemoc skosi,
Ale że miłość u dam tanią ma być,
Można za złotych *pięćdziesiąt* ją nabyć.

Byron.

Ligne.

* Graffer opowiada w swoich pamiętnikach, że książe de Ligne wyśmiewał się zawsze z kanału, który kazał wykopać dla ułatwienia komunikacyi, a w którym tak mało było wody, iżby nikt tam nawet niemógł się utopić... Razu jednego doniesiono mu jednak, że wpadł ktoś do kanału i utonął. „Bah!—powiedział książe —chyba to uczynił, żeby mi się przypodobać!"

Likurg.

* Kiedy zapytano raz Likurga, czemu zakazał obdarzać posagiem wychodzące za mąż dziewczęta, odpowiedział: „Dla tego, aby biedne nie pozostawały staremi pannami, a bogate nieszczęśliwemi żonami, będąc często wybrane li tylko dla posagu. Ulegając wydanemu przezemnie prawu, każda z dziewcząt charakterem i cnotą musi zdobyć sobie czyste i bezinteresowne przywiązanie mężczyzny." Dla tychże samych przyczyn ugruntowania i uszczęśliwienia rodziny spartańskiej, Likurg wygnał z kraju zwyczaj używania różu i bielidła.

* Prawodawcy spartańskiemu Likurgowi trudno bardzo było z początku odzwyczaić współobywateli od zniewieściałego i swobodnego życia, a wdrożyć do cnoty i obowiązku. Chcąc dać im żywy przykład swych zasad, wziął dwoje szczeniąt od jednej matki i wychowywał, ale w odmienny sposób. Pierwszemu z piesków wolno było swobodnie biegać, wylegiwać się całemi dniami, karmić się łakociami; drugi dostawał proste pożywienie, w nocy pilnował domu, w dzień chodził z panem na polowanie, tropiąc i znosząc zwierzynę. Kiedy oba psy wyrosły, Likurg wziął je z sobą na plac miejski, gdzie zawezwani też zostali mieszkańcy Sparty.

Wtedy słudzy poustawiali na misach łakocie i wypuścili żywego zająca. Psy poszły za nabranem przyzwyczajeniem: jeden rzucił się do smakołyków, drugi pomknął za zającem, schwytał go i przyniósł do nóg pana. „Współobywatele! — odezwał się wówczas Likurg — macie przykład, co uczynić może sposób życia i wychowania; wszak to szczenięta z jednego gniazda, jednym jedynie rządziła natura, do ileż wyższego stopnia doskonałości przyszedł drugi, którym kierowała nauka i doświadczenie!“

Lindley.

* Znikł ojciec Lindley, a zjawił się syn,
Bo jaka woda, takim bywa młyn;
Syna, którego chce nam wydrzeć świat,
Chwilowo niby zastępuje brat.
A że Lindlejów jest na świecie huk!
Więc chyba u nas będzie robił wnuk.

Świąteczny.

Lingwistyka.

* *W kwestyi lingwistycznej.*

Ponieważ ludzie mają nie łapy, tylko ręce, przeto zamiast „*łapówka*“, należałoby mówić „*rękawka.*“

Ponieważ śpiewacy częściej miewają chrypkę niż zwyczajni ludzie, przeto zamiast „*śpiewak*“, „*śpiewaczka*“, należałoby mówić: „*chrypak*“, „*chrypaczka.*“

Świąteczny.

Link.

* Botanik Link, który od roku 1815 do 1851 był profesorem berlińskiego uniwersytetu, a przytem członkiem wyższej komisyi egzaminacyjnej, był postrachem studentów, którzy po większej części przepadali na jego egzaminach. Pewnego razu przyszedł do sali egzaminacyjnej mocno zakatarzony, a gdy przyszła na niego kolej do dawania zapytań, odezwał się do kandydata zupełnie ochrypłym głosem w te słowa: „Słyszysz pan, w jakim stanie się znajduję. Powiedz tedy, cobyś mi zaordynował, gdybyś był moim lekarzem?“ „Przedewszystkiem, panie profesorze — odpowiedział bez wahania zapytany—byłbym panu poradził nie wychodzić wcale z domu w takiej porze (było to w zimie), gdyż to może tylko złe skutki sprowadzić.“ Można sobie wystawić, jaki śmiech powstał między słuchaczami na te słowa. Link roześmiał się także i rzekł: „Przyznaję panu zupełną racyję.“ Dalsze zapytania nie przyniosły tą razą złych skutków dla kandydata, który wbrew oczekiwaniom, odpowiadał na wszystkie przytomnie i dobrze.

(*Bibl. humoru*).

Linkoln.

* Linkoln, prezydent Zjednoczonych Stanów Ameryki, na długi czas przed dojściem do tego wysokiego dostojeństwa był proszony przez jednego z sąsiadów o żerowanie wekslu, ale Linkoln wówczas już pełen sprytu i przezorności, wzbraniał się, choć z całą grzecznością, od zrobienia sąsiadowi dogodności. Ten nalegał coraz natarczywiej, mówiąc, że dla niego jest to drobnostka, jemu zaś samemu wielką korzyść przyniesie. Linkoln trwał w oporze niewzruszony, w końcu zaś znudzony naleganiem, powiedział: „Chciej posłuchać mnie, Janie i zrozum, o co mi chodzi. Gdy położę moje nazwisko na tym dokumencie, nie ty zapłacisz tę sumę, ale ja będę zmuszony. Naturalnie w takim razie poróżnimy się z sobą; jeżeli więc zgodzisz się na to, to ja wolę poróżnić się zaraz, póki jeszcze mam pieniądze w kieszeni.“

Linneusz.

* Linneusz miał za zasadę zbywać krytyków milczeniem. Jego najbardziej zawziętym wrogiem był Browall, który z początku okazywał się względem niego do zbytku pokornym, tak, że Linneusz nowo wynalezioną jakąś roślinę nazwał „Brovallia demissa“ (pokorna Browallia). Następnie Browall zmienił swój system, okazu-

jąc się dumnym, niedostępnym względem Linneusza, a ten znowu ochrzcił jakąś nową roślinę mianem „Brovallia clata" (dumna Browallija). Rozgniewany Browall, zaczął otwarcie pisać gwałtowne krytyki przeciw Linneuszowi, a ten odwzajemnił mu się, nazywając nową roślinę „Brovallia alienata" (chwiejna Browallia), mszcząc się tym sposobem po wieki na nieszczęśliwym krytyku.

Lis.

* —Trafił swój na swego, mówi przysłowie.— Lis widząc koguta, siedzącego na grzędzie z kurami, chciał go zwabić do siebie pięknemi słówkami, mówiąc: „Panie kogucie, mamy ci coś nowego powiedzieć, oto zwierzęta zawarły między sobą wieczny pokój, zejdź do mnie, a jako dobrzy przyjaciele, uroczyście będziemy obchodzić ten wypadek." Kogut, większy filut od lisa, spiął się i oglądał na wszystkie strony. „Cóż tam widzisz?" „Widzę dwa psy biegnące ku nam." Na te wyrazy pan lis dalej w nogi. „Słyszysz — woła za nim kogut — czego uciekasz? wszakże wieczny pokój zawarły z sobą zwierzęta?!" Lis uciekając co miał siły, odrzekł: „Może te psy nie wiedzą jeszcze o tem."

* Kiedy księżniczka Anhalt (późniejsza cesarzowa Rosyi, Katarzyna II), wyjeżdżała do Rosyi, żartował z niej książe Henryk, brat Fryderyka Wielkiego: „No, Kasiu, będziesz żyć teraz w całkiem innym świecie, niedźwiedzie będą ci usługiwać!" „To jeszcze mnie nie przeraża—odparła księżniczka—abym tylko z lisami nie miała do czynienia!" Była to aluzyja do obu braci, którzy, a szczególniej Fryderyk, nigdy nie umieli sobie zjednać jej przyjaźni.

* *Bajka o starym lisie.*

Żył raz rozpustnik stary lis,
W dwóch wierszach skreślę jego rys:
Miał w nogach ból, na głowie łys,
A w gębie nie miał, czem by gryzł.

Raz sobie rzekł: „Ot z ciebie leń,
Chłopczyku czas ci, żeń się, żeń,
Bo dobra żona, wierzaj mi,
Przydatną jest na stare dni."

Pewnego dnia usłyszał rad,
Że będzie bal, że piękny świat,
Że na nim dziewcząt będzie kwiat.
Pojechał więc bogaty dziad.

Pomimo bólu, przez schód na schód,
Na piętro wlazł, stukut, stukut,
I widząc liczne grono dam,
Pomyślał: „Wolny wybór mam."

Wnet się u dziewcząt zmienia szyk,
Jedna za drugą z sali myk,
Chichocząc w kącie, aż ten śmiech,
Tak im zganiły matki ich.

„Już moje panny śmiechów dość,
Spogląda na was złoty gość,
I krąży tu pogłoska ta,
Że dziś on żonę wybrać ma."

To słysząc, najpiękniejsze trzy,
By starca zamiar został czczy,
Postanowiły z niego drwić,
By się zalotów jego zbyć.

Gdy więc nasz stary zbliża się,
I czułe słówka mówić chce,
Rózia orzeszków wziąwszy pięć,
Tak swoją mu objawia chęć:

„Z orzeszków ziarnka lubię jeść,
Ale ich gryźć—nie mogę znieść,
Zgryź mi pan tych orzeszków pięć,
Bo mam istotną na nie chęć."

I cóż miał robić biedny człek!
Nie było zębów! Z gniewem rzekł:
„Tak sobie panna z innych szydź,
Ja nie chcę twą wiewiórką być!"

Nadchodzi Basia. Wdziękiem swym
Odrazu miłość wzbudza w nim.

Na chudem ręku pierścień miał,
A w nim soliter wielki tlał,
Co widząc Basia patrzy w bok,
I mówi: „Blask ten razi wzrok.“

Adonis na to odrzekł jej:
„O pani, pierścień przyjąć chciej,
Obrączkę ślubną z niego zrób,
Co mam, to złożę u twych stóp.“

A Basia na to: „Nie chcę, nie,
Zbyt piękny dar, ja tylko chcę
Obrączkę z włosów twoich mieć,
Nie mogę żadnej innej chcieć.“

Już w złości chciał zejść z oczu im,
Gdy piękną Zosię ujrzał w tym.
„Pani—czem przypodobać ci?
Poświęcę temu życia dni!“

„O! łatwo to się zrobić da,
Właśnie orkiestra walca gra,
I kto mi się podobać ma,
Niech tańczy walca na dwa pas...“

O żmije! o! mnie za was wstyd!
Twarzyczkom swym ufacie zbyt.
Prędko przekwitnie wiosny kwiat
I „starą panną“ nazwie świat!“

I z bólem w nogach przez schód na schód
Zeszedł z dwóch piętr, stukut, stukut.
Żył z gospodynią kopę lat,
Na rękach jej pożegnał świat.

List.

* *List p. Agapita Szlagońskiego do swojej zacnej połowicy.*

Wiedeń w Lipcu 1876 r.

Kochana Basiu!

Stanąłem tedy w Wiedniu — miasto panie co się zowie, budynki wielkie, ulice szerokie, tylko drą Niemcy bez miłosierdzia. Stanąłem w gospodzie jakiegoś Prynca, trzy guldeny płacę za dzień, a wygody człek niema żadnej. Największa bieda, że nie umiem szwargotać po niemiecku, aleć ja zawsze miałem wstręt do tego języka. Sztukuję brak ten jak mogę, to gestami, to kilkoma wyrazami, jakie w pamięci połapać mogłem. Opowiem ci, jakie miałem z tego powodu kłopoty.

Spaceruję wczoraj po *Folksgartenie* i pytam się grzecznie jakiegoś opasłego niemczury, patrzącego ustawicznie na zachmurzony firmament. *Sagen zu nich ob wird hajle doner wetter zajn?* A niemiec wzruszył tylko ramionami i wyrzekł z uśmiechem: *ich ferszteje nicht.* Domyśliłem się, że mnie nie zrozumiał, biorę się więc na sposób, wskazuję palcem na obłoki i wołam: *Brum, Brum, pif, paf! ja oder najn?* Niemczysko parsknęło śmiechem, ale widocznie zrozumiał, bo odpowiedział: *najn.*

Wychodzę z tego ogrodu i widzę jakiś sklep, przed którym wiszą wywieszone różne części dziecinnego ubrania. Wchodzę tedy chcąc kupić coś dla naszego Adasia i zastaję w sklepie jakąś niemłodą, czerwoną jak ćwikłę niemkinię. Kłaniam się grzecznie i pytam: czy tu fabryka dziecinnych strojów (*Hir ist di fabrik von Kinder*), a baba jak nie wrzaśnie, jak nie zacznie wymyślać — „Ha! trudno! to nie kupię“, odpowiedziałem po polsku i wyszedłem jak niepyszny, trzasnąwszy drzwiami.

Że to już była pora obiadowa, idę sobie do jakiejś garkuchni, ale z kelnerem ani się rozmówić. Jeszcze o zupę się dogadałem, ale najgorzej było z pieczystem. Chciałem zjeść kurczę, ale na nieszczęście zapomniałem jak ono się zwie po niemiecku. Biorę więc kredę i rysuję na stole kurczę, ale że nigdy w rysunku biegłym nie byłem, nakreśliłem więc jakiegoś ptaka, którego kelner wziął za gęś, bo gdym ukończył moje arcydzieło, facetus ów zawołał: *ja, ja, ich ferszteje, die gence.* Więc kiwam głową przecząco i myślę, jakby mu dobitniej wytłomaczyć; wtem przychodzi mi szczęśliwa myśl do

głowy, zapiałem kikiryki, poczem kelner kiwnął głową i odszedł, ale mimo tak wyraźnej wskazówki, przyniósł mi nieznośnie twardą kurę... widocznie za grubo piałem...

Kiedym wychodził, przyczepił się do mnie jakiś biednie ubrany człowiek, domagający się gwałtem *grajcarka*. Sumituję mu się, że nie mam grajcarka przy sobie, że go zapomniałem wziąć z domu, ale ten nic, tylko prosi i prosi. Pozbyłem się więc natręta, podarowawszy mu całego guldena, aby już kupił sobie gdzie ów upragniony grajcarek. „Ich danke her graf!" zawołał, a ja sobie pomyślałem, jak to na człowieku to i Niemcy poznać się umieją.

Wieczorem poszedłem do teatru. Śliczny, powiadam ci, moja Basiu, ale o tem za powrotem. W teatrze spotkałem poczciwego Jędrusia z Baraniej Wólki, który mnie pouczył, gdzie mam się stołować, wskazał mi mianowicie jedną traktyjernię, której właściciel i kelner rozumieją po polsku, a gdzie, co najważniejsza, można dostać świńskiej głowizny, tej mojej, jak wiesz, ulubionej potrawy.

Poszedłem tam tedy dzisiaj.

— Hej, mocidzieju — zawołałem na kelnera — dawajno porcyję świńskiej główki, tylko prędko.

— Saras, saras.

Po tem zaraz — upłynęło jakie dziesięć minut.

— Hej, hej! a gdzie moja główka?

— Saras, saras — i znów pauza długa jak przedtem.

— Ależ mociumdzieju — krzyknąłem ze złości — cóż ta moja główka?

— A fiem, świńska, saras bezie i pobiegł do kuchni.

Czekam i czekam, a tu jak niema, tak niema, a burczenie w brzuchu było już podobne do rotowego ognia. Ha! tego już za wiele, jak nie krzyknę: „Panie gospodarzu!", tak mój niemiec aż pobladł i przytoczył się do mnie.

— So fielmożny pan każe?

— Mociummmdzieju! Czekam już pół godziny na porcyję świńskiej głowy i nie mogę się doczekać; trzy razy prosiłem...

— Ach! Herjej! niech pancki daruje, ale to ten huncwot Filip tylko nie *od konopi*, ale *do konopi*, bo lajdak na konopiach skonsi, on winien. Filip! Filip!

Filip posłyszawszy głos gospodarza, przybiegł struchlały.

— Ach, ti kanalija! ten pan (tu gospodarz wskazał na mnie) szwinia glofa raz, a ty nic! ten pan szwinia glofa drugi raz, a ty nic! ten pan szwinia glofa trzeci raz, nic! (w tem miejscu zaczęło się cąbrzenie czuba kelnerowskiego w takt do każdej sylaby crescendo) galgan, niezdatna do sluzby, paszol won!

Tu gospodarz otworzył drzwi i przy zgrabnym, jak na takiego grubasa, ruchu prawej nogi, wyrzucił Filipa za drzwi, a sam pobiegł do kuchni.

Odetchnąłem. Będę więc jadł. W parę minut przybiegł gospodarz:

— Bitt um Ferzajen Ajer Gnaten.

— Co? co? mów pan po polsku.

— Ah! Psiprasiam! Szwinska glofa już nima. Bila pancka ale ten tangenichts spóźnil się i pan regirungsrat szwinska glofa, a nie pan. No, aber co innego...

— A cóż jest? — zapytałem ze złością.

— Polnische Bletter kichelchen, Blonde Kalbflajsz, Kartofelmus, Marterkrebse in Kokillen-szalen, Pupleten fon Zeecungen, Profiterolles mit Salpicon, gesztircter Wurcelsalat...

— Niech was jasne pioruny trzasną z waszą kuchnią! — krzyknąłem, złapałem czapkę i w kwadrans w swoim numerze w hotelu gryzłem zapamiętale kiełbasę, coś mnie nią moja poczciwa Basiu na drogę zaopatrzyła..

(Reszta listu zaginęła)

Z. Harapa.

* *List Augusta Wilkońskiego, pisany do Faustyna Świderskiego w r. 1846.*

Najszanowniejszy Dobrodzieju!

Na pisanie Waszej Miłości, z dnia 29 czerwca b. r. odpowiedziałem w miesiącu Lipcu, a dzisiaj przy końcu miesiąca Października dowiaduję się, że mój pokojowiec, świeżo wzięty od pasania bydła, pisać i czytać nieumiejący, głupiuteńki za dwunastu bliźnich swoich, odnosząc list na pocztę, spotkał się z wiejskim przyjacielem ze stron ojcowskich i taką z nim miał rozmowę:

— Pietrek! czy to ty?

— A juści, że ja.

— A cóż ty tu porabias?

— Psyjechołem z Dobrodziejem, bo ja teros na probostwie słuzę do koni. A u kogo ty teraz obstajes?

— Jestem za lokaja u brata Garzeńskiego szlachcica, tego, co to książki robi w Warszawie, u pana Jaugustyna.

— Lokajem jesteś, a jeszcze ci się nos od lizania talezy nie spłascył.

— Bo jesce. A długo wy zabawita w Warszawie?

— Zaraz pojedziewa, ino nam przyniosą od panica nasego dziedzica jakąś sksynkę.

— Słuchaj Pietrek! Kiedy zaraz jedzieta, to najpierw napijewa się słodkiej gorzołki, a potem będę cię prosił, żebyś tam ojców moich za nogi obłapił i oświadcył, że mi jus chyba w niebie będzie lepiej — ino ze mi tęskno na wieś i przez matusi — i sama pani to mi okrutnie doskwiera edukacyją, to nie tsymaj tego tak, to postawiłeś źle, to zrób tak i od rana do wiecora cłek jakby na musterunku, a wiecorem kaze jesce pan, zebym mu litery cytał na lamentozu, i juz mnie naucył cytać z drukowanego i rachować. Jantkowi powidz, że ja się tutaj codzień ślizguję na podłodze, ale musę wprzódy scotki załozyć na bose nogi i tak przez godzinę chlustom we czworo izbach.

Podczas tej rozmowy zaszli do szynkowni, napili się słodkiej gorzałki i przy pożegnawczym uścisku (dyjabeł mojemu błaznowi resztę rozumu odebrał), prosił Pietrka, aby mój list do Ciebie dobrodzieju pisany, ojcom oddał, mówiąc:

— Niech sobie ojcowie kazą u pana gminnego psecytać, to się już wszyćkiego dowiedzą, bo tam mój pan pewnikiem wszyćko opisał. Gesagt-gethan; jak powiedział, tak zrobił, list mój Pietrakowi doręczył i do domu powrócił.

— Oddałeś list?

— Oddałem.

— Niechże ci dadzą co przetrącić, bo pójdziesz do Botanicznego ogrodu.

Działo się to 1-go Lipca o 7-mej z południa.

Wczoraj, 27 Października, doręczono mi list następujący:

Wielmożny Panie Dobrodzieju!

Bywszy od lat pięciu zastępcą Wójta Gminy Dubr Smolice Wielkie i Dudny, w powiecie Łukowskim, gubernii dawniej Podlaskiej, a przez postanowienie do Nr. 11735/431 do gubernii Lubelskiej wcielonej, mam chonor odesłać Wielmożnemu panu i Dobrodziejowi list, który, jak się z protokularnego śledztwa wykryło, fornal od Księdza Proboszcza z Pestkowa odebrał, jakoby dla jego ojca w Smolicach na Rudkach mieszkającego, jako wyrobnik komorny, tenże list długo do przeczytania odnosząc, mnie nakoniec uprosił, abym mu od syna odczytał, a zaś znalazłszy ten list, ręką cudzą do osoby trzeciej pisany, o tylem dołożył starania, że go W-mu panu przez jadącego do Warszawy tegoż samego proboszcza, zwracam. Pietrek zaś w mojej przytomności, przez właściwego Wojta Gminy Dubr Pestkowa 15-tu plagami ukarany został za odbieranie cudzych listów. Do wyśledzenia Pańskiego pomieszkania, przyczynił się zwłaszcza co najwięcej adress jaki W-ny Pan w liście swym opisał i Jaśnie W-ny hrabia Zbijński, który ma chonor znania JW-go Pana.

Jan Turkiewicz

p. o. Zastępcy Wójta Gminy dubr Smolice Wielkie i Dudny.

Smolice Wielkie dnia 29 Września (11 Października) 1846 r.

Listu mojego z dnia 10 Lipca wczoraj mi zwróconego, nie przesyłam Kochanemu Panu, bo strasznie zasmolony, znać go wiele ludzi w Smolicach czytało. Na świeżo więc łaskawemu panu odpowiadam.

To, coś mi Dobrodzieju, w Twoim uprzejmem pisaniu z dnia 29 Czerwca donosił, mniej więcej dosłownie w moich Ramotkach z roku 1845 wydrukowałem, niemniej przeto, powtórzyłbym tę tak gorzką prawdę, gdybyś swoim obrazom szersze dał ramy. Racz Dobrodzieju spisać obszerniej wszystko i przysyłaj, a wydrukuję cię z głową i nogami.

O ile można wrzeszcz i krzycz w swojej okolicy, aby bracia szlachta książki kupowała i sylabizowała, albowiem ćma umysłowa jak była przyczyną naszych wszystkich niesforności i upadku, tak i dzisiaj jest główną przyczyną do alleluja. Gangrena nieuctwa toczy żywot nasz, głupota nas zabija. Rzecz niepojęta, że reprezentanci kraju, że ci ludzie, którzy przyświecać winni, strzegą się naukowości jak morowego powietrza; wszystko kupi, na wszystko pieniądze wyda—tylko nie na książki. Z małemi, zaszczytnemi wyjątkami, lubią wszyscy rządzić, ale się uczyć nie chcą, i po za murami maximum klas sześciu, sądzą się być ludźmi skończonymi i już ani na krok w widzeniu i pojęciach nie idą dalej.

Pije, je, trawi i śpi, śpi i śpi. Rozkazuje, daje chłopom pańską opiekę (głupiuteńką), albo taką, jaką dajemy bydłu, iżby od głodu nie zdychało, aby było zdolne do pracy. O założeniu szkółki wiejskiej żaden nie pomyśli nawet; w roku 1846, jeden tylko na kraj cały obywatel w Augustowskiem, szkółkę wiejską dobrowolnie założył i hojnie uposażył, jak świadczą akta w Okręgu Naukowym za osobliwość pokazywane. Głupota nas zgubiła, głupota nas pogrzebie, bo nikt się uczyć nie chce, a dyjabeł też każdemu szepce: „patrz pieniędzy, ale nie nauki, żeń się bogato, ale nieuczciwie.“ Przed godziną był u mnie obywatel, który się pienił ze złości, gdym mu wspomniał o oświacie; przeklęty człowiek, on widzi upadek, gdzie jest jego jedyne moralne i materyjalne zbawienie, niech więc gnije w obroży, którą gwałtem ręką ślepego samoluba ciśnie.

Dyjabli mi zesłali Szlacheckiego Szlachcica, ze złości i z oburzenia, napisałem ustęp przydługi, bez ładu i bez składu, posądzisz mnie o brak logiki, o bzika mózgowego. Pisz i przysyłaj. Uścisk bratni.

Au... Wi...

Ul. Bielańska Nr. 609, Warszawa, 28/10 1846.

* *List jednego z naszych publicystów do pewnej arystokratycznej damy.*

Szanowna pani hrabino!

Wyprzężony chwilowo z kieratu, przy którego literackim dyszlu obracam jedną z większych społeczno-politycznych młocarni, serdecznie pragnąłem zdjąć z siebie uździennicę obowiązku, wyzwolić się z chomonta odpowiedzialności i całym grzbietem ducha wytarzać się na wonnej trawie odpoczynku. Właśnie już schyliwszy do ziemi grzywę mej chęci, miałem radośnie wierzgnąć kopytami swobody, gdy bicz pamięci przypomniał mi, że mam pociągnąć lekki faetonik listu do szanownej Pani i pospieszyć z torbą wiadomości warszawskich. Niestety! jakkolwiek nie wątpię, że już zawiesiłaś Pani różowe swe uszko na szczerozłotym ćwieczku uwagi, niemniej jednak czuję się skrępowanym postronkami obawy, ażali ta papierowa misa słów moich przypadnie do dzisiejszego menu ciekawości pani hrabiny. Nie chciałbym, co prawda sztucznemi zębami zgryźliwości gryźć pustych orzechów frazeologii, tem bardziej, że jak Pani wiadomo, styl mój odziewam zawsze w szlafrok prostoty, a nawet niekiedy pozwalam mu nosić czerwony fez zaniedbania z kutasikiem pewnej nonsealancyi... W tym tedy pakunku sytuacyi, wielbląd mych dobrych chęci zgina przednie kolana skupienia ducha i dźwignąwszy ciężkie juki pamięci, spieszy przez pustynię no-

win do szczęśliwej oazy, w której rośnie wdzięczny daktyl ciekawości.

. . . .

P. R. Z porady jednego ze znakomitych lekarzy, dalszego ciągu niniejszego listu drukować nie możemy, aby nie stać się przyczyną epidemicznego bólu głowy w kole szanownych naszych czytelników.

Świąteczny.

* *List otwarty prenumeratora wiejskiego do fabrykantów wojny w Warszawie.*

Moi panowie! choć ja piszę gratis,
Chciejcie mi wierzyć, że mam także duszę,
Więc dziś koniecznie verba veritatis
Palnąć wam muszę.
Od lat już wielu, moi najłaskawsi,
Prenumeruję waszych gazet kilka,
Bo człowiek nie chce, chociaż siedzi na wsi,
Grać roli wilka.
W pismach tych waszych, często się spotyka
I piękne myśli i najlepsze chęci,
Ale ta wasza, wielka polityka,
W nosie mi kręci.
Jak tylko kwartał ma się ku końcowi,
Każda redakcyja, mocno niespokojna,
Chce jak na dłoni dowieść szlachcicowi,
Że będzie wojna.
Nic nie wiadomo, kto komu nos utrze?
Może na Londyn napadną Zulusi,
Lecz w rezultacie jutro lub pojutrze
Wojna być musi.
Niejeden nawet, chcąc przekonać szczerze,
Jak się rozmacha, jeszcze dalej jedzie,
I gotów przysiądz, że się wojna zbierze
Na poobiedzie.
Eeeee! moi drodzy, pismo nie jest czynem,
Gdy kwartał minie, będzie po harapie,
Więc się już na to, nawet pod Rypinem
Szlachta nie złapie.
A zamiast wojnę przewidywać w dali,
Lepiej by było, mości dobrodzieje,
Gdybyście o tem w gazetach pisali,
Co się tu dzieje?
Gdy będzie wojna, wtenczas ile chcecie
Piszcie o wojnie—to wasza pszenica,
Lecz po co wojną robioną w gazecie
Dręczyć szlachcica?
I tak już ledwie kredyt u nas dyszy,
A na wieść wojny, choćby na bibule,
Wnet się po norach chowają jak myszy
Mośki i Szmule.
Dla was to żarty i tam w miejskim tłoku
Wojna was bawi, politycy młodzi,
Lecz nam tu na wsi, przy tak ciężkim roku
O życie chodzi.
Zmiłujcie się więc, gdy przez miłość sztuki
W robieniu wojny zapał was unosi,
Nie kraczcie naprzód, jak złowieszcze kruki,
O to was prosi:

Prenumerator wiejski.

* *List pana Procha, dyrektora orkiestry w mieście Warcie.*

Jaśnie Wielmożna Pani!

Słysiałem z doniesienia Szanownych Gościach ze wkrótce ma być wesela J. W. P. Kochanej Corki. A zatem ja Proch muzykant na Warcie J. W. P. ma honor przedstawiać się z swoją orkiestrą pomimo tego wiadoma Szanownym Gością że mi griwami w całej naszej okoliczności, a nawet za okolicznościami raczy mi łaskawą przyjęcia służyć J. W. P. grać na wesela i proszę się o zawiadomienie mnie o to czy J. W. P. zgadza się naszym przedstawienia i kiedy to ma być na którą noce ręczam że J. W. P. wraz z Gościami będą najokropniej rozwolnieni nami można nawet o tym dowiedzieć się zostaję gotowanym do usługi

dyrektor orgiestry na Warcie
J. Proch.

* *List Kopijowicza, dependenta, do kochanki.*

Najukochańsza Basiu!

Wiadomo ci czynię kochana Basiu, iż mając sobie list twój 26 Września (8 Października) r. b. datowany, przez pana Gapiewicza, we wsi

Mydłowku mieszkającego, tu do Warszawy na dniu dzisiejszym, celem załatwienia interessów jego processu, w Trybunale pko Wyrokiewiczowi pertraktującego się, dotyczących, przybyłego, doręczony, takowy wraz z annexami, a mianowicie:

a. Woreczkiem z kordonków robionym,

b. Pugilaresem na tak nazwanej kanwie przez twoje miłe rączki uskutecznionym, i

c. Piórkiem od zębów, które lubo mi nie bardzo potrzebne, gdy atoli od Ciebie pochodzące, przeto bardzo dla mnie szacowne,

odebrałem — i za te przedmioty, ruchomości i utensylija najczulej ci dziękuję. Wierz mi, kochana Basiu, że nim nowe te dokumenta twojej miłości, dowodzące, iż takowa peremcyi jeszcze nie uległa, zreponowałem do kuferka, każdy z nich najmocniej uściskałem i ucałowałem.

Co się tycze tyle razy w listach twoich wzmiankowanego naszego związku małżeńskiego, względem którego często przez ciebie jestem excytowany, do związku tego, najdroższa Basiu, jestem na pogotowiu i czekam tylko konsensu twoich Rodziców, mam jednak w tym przedmiocie niemałą obawę, zwłaszcza, że kilka już razy rzeczeni rodzice stanowczo odmówną udzielali mi rezolucyję, z innej jednak strony,

Zważywszy:

że ex re possessyi twojego serca i bliższych stosunków naszych, nabyłem prawa do wieczystego posiadania twojej rączki;

Zważywszy dalej:

że jako kandydat na posadę komornika do Leszczydołu, chlubnie wyższej władzy przedstawiony zostałem;

Zważywszy nakoniec:

że mój niegodziwy Adwokat, dlatego, że czasem myśląc o tobie, zrobię żyda na replice, zagroził mi exmissyją z domu swojego.

Na tych więc opierając się zasadach, śmiało wnosić mogę, że takie położenie rzeczy upoważnia mię do przedsięwzięcia exekucyi naszego wspólnego szczęścia.

Przy tej okazyi posyłam ci dymki na fartuszek, którą przyjmij tytułem alewjacyi i wynadgrodzenia za szkody w spokojności twego serca przezemnie zrządzone.

Chciałem jeszcze coś dodać, ale pan Adwokat wzywa mnie, abym akta sprawy na dniu dzisiejszym w Trybunale tutejszym wprowadzić się mającej, pofolijował.

Ściskam Cię etc.

Skrybisław Kopjowicz.

P. S. Rodzicom twoim, a respective ojcu i matce w załączeniu przesyłam mój szacunek.

(*„Humorysta Warszawski“*).

* *List otwarty.*

Wszak rehabilitacyja nikomu nie szkodzi—
Ja Adam i ma Ewcia gdyśmy byli młodzi,
„Kolców“ w raju z nas żadne wcale nie czytało,
Bo wyśmiewać bliźniego dla nas nie przystało.
Żeśmy z raju wygnani, nie jest naszą winą,
Lecz Srul, handlarz z Nalewek, główną jest [przyczyną.
Watykan nas wyrzucił mimo naszej woli
Z liczby świętych, dlatego... żeśmy byli goli.
I dziś, gdybyśmy chcieli o swe prawa krzyczeć,
Moglibyśmy świętymi zostać w Turcyi przecie,
Lecz nie warto do takich dziś świętych się liczyć,
Bo i tak ich zanadto wędruje po świecie.

Adam i Ewa.

* Niech w piekle cierpi ból wieczysty
Ten, co kobiety uczył pisać listy!

Aleksander Fredro. (p. t. I s. 67).

* *List ubogiego dzięcioła do utalentowanej i wielkiej naszej poetki.*

Szanowna pani Maryjo Dobrodziko!

Pisze pani dobrodzika że:

„Jak obłoczek opalowy,
Woń się wzniosła z róży kwiatu,
Dzięcioł uniósł ciężkiej głowy
Od koronek swych warsztatu.“

Otóż pozwoli pani dobrodzika, że przeciwko ostatniemu wierszowi, w imieniu całego naszego rodu zaprotestuję.

Nie jestem ja ani pająkiem, ani co gorzej, panną na wydaniu, żebym się miał trudnić wyrabianiem takiego bezużytecznego towaru, jak koronki.

Od świtu do nocy tłukę twardym dziobem w sosnę i z pod kory wydobywam bardzo smaczne, białe i tłuste robaki, które zaraz na miejscu zjadam.

Tem się wyłącznie zajmując, koronek żadnych jak życie moje nie fabrykowałem i fabrykować nie będę.

Dziękuję więc pani dobrodzice za to, że pani o mnie, ubogim ptasisku, w koronkowych wierszach wspomnieć raczyła, dziobię nóżki i rączki pani poetki dobrodziki i pozostaję z głębokiem uszanowaniem

sługa *Dzięcioł*.

Świąteczny.

* *List pewnej znakomitości współczesnej.*

Droga żono!

Kiedy ty w południowej Francyi ratujesz drogocenne zdrowie, dom nasz przechodzi ciężkie koleje. Zbankrutowałem na 100,000 rubli; upadek kompletny; wierzyciele dostali 22 za sto, przegraliśmy całą kampaniję... Nie martw się jednak i ratuj dalej twoje drogocenne zdrowie, albowiem wszystko stracone oprócz kapitału.

Twój dozgonny przyjaciel

X. X.

Świąteczny.

* *Odsyłając klacz Mamuzę i woźnicę Franka.*

Mój Juljanie
W tym rydwanie
Z Mamuzą i Frankiem;
Wczora cwałem,
Zajechałem
W Załuczu przed gankiem.

Wyliczałem że należy
Być mi wczora z rana,
Ale szkapa nie tak bieży,
Jak myśl rozdąsana.
Nie dba o to, że mnie niszczy
Niepokój widocznie;
To podskoczy, to zapiszczy,
To nieco wypocznie.
A tu błoto, wiatr ze słotą,
Czapkę z głowy ździera,
Tam kamienie,
Tam strumienie,
A tam et caetera ..
Sam Ulises, mędrzec taki,
Jakem to gdzieś czytał,
A od Troi do Itaki
W dziesięć lat zawitał.
Choć mu podróż nie daleka,
Choć nie lały deszcze,
Choć małżonka wierna czeka,
On marudzi jeszcze.
O małżonków wzorze tęgi!
Mądry Ulisesie!
Gdy cię wreszcie kres włóczęgi,
Już do domu niesie...
Nie tak było ci przyjemnie,
Jak mnie humor służy,
Kiedym stanął tuż przy Niemnie
W domowej kałuży,
Chociem w sercu wiózł gorycze,
A na grzbiecie guza,
Z całej siły wesół krzyczę:
—Niech żyje Mamuza!

Syrokomla (L. Kondratowicz). (p. t. I s. 128).

* *Wyjątek z listu panny Filomeny Podrygalskiej do przyjaciółki.*

(List ten dogadza pewnym lingwistom, którzy pragną, aby wyrazy cudzoziemskie pisać ortografiją polską, tak jak się wymawiają).

„Imażyne, kochanko, że było u nas onegdaj sua re, na którem znajdował się, ę nom for bo e rysz, który mi dość wyraźnie asystował, ale ta czarna Mańka Kopciszewska uwzięła się i kut

kikut postanowiła go złapać dla siebie, ale ma fua! powiedziałam do cioci, że ja atupry mieć go będę i również kut kikut zostanę panią Pacalką. O skutku ci doniosę, tymczasem że tambras mil fua tutawu.

Filomena.

Świąteczny.

* *List wieszcza farmaceuty.*

Czem woda wśród upału, pieniądz w pośród [biedy,
Czem na kolki i kłucia Cauvin, kantarydy,
Czem plumbi acetici, gdy na razie wzięty,
Czem na poty kwiat z lipy, lub też odwar z mięty,
Czem cuprum sulphuricum, lub aluminatum,
Gdy chorobę przedłuża nieprzeparte fatum,
Tem dla mnie twe spojrzenie, gdy je rzucasz [w dani,
Ach! pani!
Gdy pomyślę o tobie, choć kręcę w słoiku,
Zaraz w sercu mi kipi, tak jak w alembiku,
Boś ty dla mnie jest wszystkiem, moja wy- [pieszczona,
Słodszą stokroć, niżeli lukrecyja smażona,
A przy woni, jaką daje twój włos ciemno-płowy,
Niech się nawet w kąt schowa korzeń fijołkowy.
A nawet gdy przez ciebie ukarze mnie fatum,
I zmusi hydrargyrum brać protojodatum,
I wtedy, zamiast skargi, wyleci z mej krtani,
Och! pani!

* *List z prowincyi do księgarni panów X. X.*

Upraszamy o łaskawe nadesłanie nam następujących dzieł w oprawie:

1. Ojciec Prokop ze złoconym grzbietem.
2. Dr. Majcher, domowy lekarz w oślej skórze.
3. Autorka 365 obiadów, w angielskiem płótnie, wierzch ozdobny.
4. Poradnik dla niewiast z wyciskami na skórze i z klamrą.
5. Upraszamy także o Gospodynię wiejską, dwa razy na miesiąc.

Świąteczny.

* *List do panny Z., artystki teatru wileńskiego.*

Mnie tu męczą kaszel, katar,
Mnie tu dręczą dzieci, płacze,
A tam hrabia August P...
Pewno do drzwi twych kołacze.
Pożar rodzi się z iskierek,
I na wierzbie bywa gruszka,
Strzeż się pani, bo P....
Niebezpieczny dla serduszka.

Syrokomla (L. Kondratowicz). (p. t. I. s. 128).

* *List do Stanisława M.*

Miłościwy Stanisławie
Dzisiaj całe miasto prawie
K' maskaradzie
Szaty kładzie.
Mąż, niewiasta,
Matki, córy,
Ślą do miasta—
Po ubiory.
Na koncepty suszą głowę:
Kleją nosy papierowe:
Stary i młody
Nakleja brody;
Jedni ubrani
Jako Hiszpani
Lub Bisurmani.
Żydy i chłopy,
Lud z Europy,
Swojski i dziki
Naród z Afryki.
I z antypodów
Do twoich schodów
W ciżbie ochoczej
Hurmem się tłoczy.
Lecz co ja mówię!
Nawet ptaszkowie
Zawitać rade
Na maskaradę;
Nawet kogucie
Kipi uczucie,
Nawet kokosze
Czują rozkosze!

Kiedy się obok lubego ptaka
Po twym salonie pląsa i gdaka.
A dopieroż pole widzę
Czułym szeptom i intrydze:
Ci tłumem biegą
Bliźniego swego
Wywieść na fryca;
Drugich zachwyca
W sam nos argusa
Spłatać psikusa,
Z jakąś mężatką
Spotkać się gładko;
Z panną lub wdówką
Zamienić słówko;
Słowem każdy tu odżyje,
Wedle swego kondycyje.
Jeden wśród sali,
Drugi w bufecie
Swą biedę gniecie—
Kielich wychyla;
Trzeci kadryla
Pląsa ochotnie,
Aż mu łeb spotnie.
Wszyscy przytomni
Omnes et omni
W dobrym humorze
Każdy jak może
Spędza ochotę
Za cztery złote.
Lecz nie każdy i nie wszędzie
Na złotówki się zdobędzie;
A tam odźwierny,
Rozkazom wierny,
Biedne hołysze
Nie wpuszcza słyszę.
Czy frak, czy maska,
Nic nie ugłaska,
Nic nie przekona
Twardego łona,
Nikt jego duszy
Wierszem nie skruszy,
Ni dźwiękiem lutni,
Choć mu łeb utnij.
Wir zabawy dziś mię niesie,
Na te dziwy patrzeć chce się.
A tu za katy
Moje intraty
Z góry parnasu
Nie miały czasu
Nadejść w tej chwili.
Transport spóźnili
Turkowie dzicy,
Co na granicy—
A więc otwarcie
Wyznam, że mię w ten sposób Islamcy zuchwali
Na swego świętego kanonizowali,
Czyli mówiąc po prostu (bo na cóż wykręty)
Jestem dzisiaj tak goły, jak turecki święty!
Mości Stanisławie,
Ty dopomóż mi w tej sprawie,
Daj mi paszport ku zabawie;
Wydaj rozkaz, niech margrabia
Dziwów ze mną nie wyrabia,
Kiedy wejdę jako hrabia,
Na mój widok w tejże chwili,
Niech pokornie drzwi uchyli.
Więc zrozumiej mię tu panie,
Przyślij bilet przez chłopaka,
O to prosi ojciec Baka.

* *List miłosny zeszłowiecznego palestranta do wybranki serca jego* (odnaleziony w starem archiwum).

Wielmożna mi wielce mości dobrodziko!

Gdy na tylekrotne osobistości mojej komparacyje i werbalne merita w procedurze matrymonijalnej konjunkcyi u kratek trybunału serca wielmożnej pani dobrodziki deponowane, nie odebrałem dotąd z melodyjnych ust jej pożądanej repliki—umyśliłem więc utrzymywane na akcesoryjach wezwać na konferencyję sympatyczne sentymenta i adoracyje moje dla jej persony, resplendującej inkorporowanemi u niej perfekcyjami i uczynić literalną manifestacyją affektu i faworów, które w pektoralnych litifundyjach moich od tak dawna wysiadują superesseryją na rzecz wielmożnej pani dobrodziki.

Apelując zaś do najwyższej instancyi rozumu i perspinacyi pani mojej, śmiem wnosić, iż dekret chociaż kontumacyjnie ferowany, nie skondemnuje mnie, i owszem, faworalną przyniesie mi solucyją.

A ponieważ wakująca po ś. p. Miecznika Inflandzkiego konubialna posada wzbudziła o jej rękę kilku pretendentów, heredowanie zaś tak precyjonalnego remanentu ani konkursowi potieritatis, ani kompromisarskiej exdywizyi, a tylko jednemu ze trzech aspirantów adjudykowane być może, przeto najuniżeniej suplikuję w. panią dobrodzikę, ażebyś kontrowersyjnie współpretendentów impatycyje przeważyć raczyła na szali imparcyjalnej Temidy i personalnym o-onych kwalifikacyjom intensekularny położywszy walor, zadeklarowała: kto z nas legalnie formować może prawo do aktoratu i skoncentrowała swoją wolę na tego, który kordyjalnego jej aplauzu jest najgodniejszy.

Miałżeby być nim imć pan Starosta?.. Rekuzuję i admitować tego nie mogę. Czyliż tak delikatnych sentymentów dama zdoła akordować dla istnego gladyjatora, jakim jest podczaszyc dworu Rowińskiego, którego wocyferacyje i klamory razić powinny subtelny symptom uszu, używanych jedynie do słuchania miłosnych infleksów i suspirów.

Co się zaś tyczy imć pana majora, usiłującego miodopłynną elokwencyją konwinkować w-ną panią dobrodzikę i tylko militarnym uniformem bez exhibicyi dokumentów chcącego insynuować opiniją o heroicznych swoich imprezach—taką mam jedynie zrobić względem niego delacyją, jaką powziąłem z oficyjalnych kwerend i komunikacyi, albo że: w owych siedmioletnich germańskich Bellony, inwazyjach i expedycyjach zajmował on przy saxońskich kohortach oficium nie wielkiego splendoru subalterna medycyny, vulgo cyrulika, a co najgorsza, że jest apostatą alias neofitą, o czem nawet jego familijna hognominacyja do supponowania podaje asumpt.

Owóż jacy są antagoniści moi!

Modestia nie pozwala mi produkować się egotycznym panegierykiem, abym nie popadł w kategoryję onych indywiduów, o których mówią prowerbijalnie, że mają złych sąsiadów, gdyż sami swojej famy są proklamatorami, ale na własną w-ej pani dobrodziki delibracyją zostawiam zrezolwowanie tego argumentu: czyli dyscypół i socjusz znamienitych trybunalskich mecenasów i juryskonsultów, licencyjat i possesyjonat z antenatów tej prowincyi, nie godzien jest preferencyi nad owymi adwokatami od fluminów Narwy i Jordanu, których filijacyja jest problematem, exystencyja axiomatem, a substancyja trudną do zlikwidowania kwestyją.

Konkludując tedy uniwersalnie akceptowanym axiomatem: „Cedant arma to gae", to jest „Armatury z drogi ustąpcie dla togi", śmiem suplikować w. p. dobrodzikę z sentencyjonarza swojego, abyś tym godnym expulsyi intruzom zgłosić raczyła awizacyję do rumowania jej domiciliów faworem zacniejszego intromitenta.

W expektatywie zaś fortunnego perswazyi mojej sukcesu, paląc aromatycznie serce kolorem ust przed ołtarzem afrodyzyjalnych wdzięków w. p. dobrodziki, prostermując facyjatę moją u jej piedestałów, submituję moje powolne służby, z głębokim respektem i akkomodacyją, gotowy na rozkazy genfluktujący adorator i uniżony sługa

Manu propria
Roch Rogala Rogaliński.
„*Kolce.*"

* *List pana Damazego.*

Kochana Panno Pulcheryjo Dobrodziko!

Zmartwiałość i różne dyskursa chodzą do mojej głowy o Wielmożnej pannie Pulcheryi Dobrodzice, jakoby już inny zajeżdża do niej, ja nie miałem czasu być u Pani, bo teraz żniwa, a że nasz arendarz przyjedzie do Warszawy ze skórkami, to ja proszę przez niego upewnić mnie co do mego chcenia i co do miłości uszanowania Pani Dobrodziki. Nikomu jeszcze nie wystawiałem mojej miłości, boję się, żeby nie było

w tem rozejścia. Sąsiedzi znają mnie dokumentnie, mam ja trochę i światłości, przez którą mogę czytać i pisać. Wie to panny Ciotka, jaki ja kawaler jestem rezolutny, więc proszę o miłość wzajemności.

W gazecie piszą, że miłość nie jest to żarty, ale do wszystkiego człowieka doprowadza: do życia i do zastrzelenia się czyli wypalenia do siebie z pistoletu. O! co za rozpacz będzie porzucać ten świat, kiedy na grobie moim wyrżną: „Stracił życie i śmierć nie przez inną okazyję, tylko przez miłość i kochanie jednej panienki!“

A jakiby to ja był szczęśliwy, żeby ja usłyszał, co pani mnie kocha! proszę niech mi pani odpisze, albo powie arendarzowi, żebym wiedział, za co się mam trzymać.

O! czekam listu albo arendarza z płaczem, wzdychaniem i tam dalej—jeżeli będzie dobrze, to przyjadę z wywózką a jeżeli nie, to się wszystko skończy i będę leżał na klepisku od zabicia i wystrzelenia z pistoletu, a potem z rozpaczy ożenię się z panną Barbarą, co mnie do tego namawia pachciarz z Wólki.

Teraz całuję wszystkie paluszki wszystkich nóżek i rączek po siedem razy i przyciskam do mego delikatnego serca a nakoniec nie wiem, co się ze mną stanie.

Zostaję z bardzo wielkim defektem, wzdychając do panny Pulcheryi Dobrodziki, przyjaciel od grobowej deski, najniższy podnóżek.

Damazy, rządca.

NB. Z uwagi, że w Warszawie znaleźć się może niejedna panna Pulcheryja Dobrodzika, dla uniknienia więc nieprzyjemnego qui pro quo, załączamy dokładny adres, znaleziony na kopercie powyższego listu:

„Wielmożnemu memu kochanemu aniołowi, Pulcheryi Dobrodzice w Warszawie, gdzie fabryka tokarska, różne parasole i parasolki, laski spacerowe i inne, oraz przyjmuje się wszelka reperacyja.“

* *Trudna odpowiedź.*

W tych dniach znany w szerokich kołach handlowych negocyjant otrzymał od jednego z młodszych kolegów w zawodzie list tej treści:

Hamburg d...

Wielmożni B. Kalafior i Syn
w Warszawie.

Po zasięgnięciu najlepszych referencyi, reflektujemy o rękę córki pańskiej Reginy, na warunkach umówionych poprzednio. Po otrzymaniu odpowiedzi, zgłosimy się niezwłocznie.

Z poważaniem
B. W. Lampenbrenner et C-ie.

Pan Kalafior długo dumał, co zrobić z tą ofertą, ale nie mógł nic postanowić; dopiero panna Regina wyprowadziła go z kłopotu, napisawszy rączką własną:

Warszawa d...

Wielmożni B.W. Lampenbrenner et Comp.
w Hamburgu.

Akceptujemy na nas samych i na córkę naszą, z powodów jednak prawnych, do ukończenia tranzakcyi zgłosić się może tylko jeden prokurent, jako konkurent. Kochające serce gotowe na Październik, loco Warszawa. Transport obciąża reflektanta.

Z poważaniem
B. Kalafior i Syn.
Świąteczny.

* *Pierwszy list wiernego ekonoma do jaśnie pana, bawiącego podczas karnawału w Warszawie.*

Jaśnie wielmożny dziedzicu
i chlebodawco dobrodzieju!

Dusza moja się wzdryga, gdyż te słupki, co była owczarnia podstęplowana, na szczęt wzięli i zgnili, a że Bóg Najwyższy dał wiater, nie przymierzając dyjabelski, tedy się w nocy do ciężkiego licha takowa zawaliła, narobiwszy baraniny, jak lodu, tudzież psa Kurtę, tam-że śpiącego, zabiwszy, a zaś Onufry owczarz, piwszy całą noc w karczmie, życie Bogu dzięki ocalił,

za co mu rubla z pensyi, jako przy owcach nie był, wytrąciłem, tudzież byk od hrabiego zdechł śmiercią nagłą, którego, że był dobrej rasy, kazałem grubo wapnem w dole przysypać, ażeby zarazy nie roznosił, jako Magda fornala Jacentego, córka, co dwoma fartuchami ze spichrza wynosiła, za co do sądu podałem i dwa razy po zębach dawszy, znowuż ona do sądu podała za zabójstwo, co jej doktór bez dwa dni wizum repertum oglądał i zaświadectwo z maścią i z bańkami dała mu rubla, nie doiwszy krów i nie bywszy u cieląt pojenia —jako Michał jaśnie wielmożnego dziedzica stangret, kobyłę srokatą ochwaciwszy i wszystkośmy, co rozum ludzki pokazuje, z nią cudowali i wóz jej do ogona przywiązawszy, ganiali bez mała czego dwie godziny, aż właśnie, jak w samo południe dzwonili, kopyto wyciągnęła, skórę na belku w spichlerzu powiesiwszy, tudzież grzywę i ogon dla jaśnie wielmożnej dziedziczki na materace fornale się pokładli i spali, jak zarżnięte, że do roboty ani napędzić, bo gebę na szczęt wykrzyczałem przy poniedziałku na czczo, bywszy tem bardziej, że list jaśnie wielmożnego dziedzica, jak relikwije święte chowałem, a szelmy żydy pacanowskie grosza dać nie chcieli, że zatem za skórki z padliny owczej mnie nieco kapnie, padając do zacnych stóp jaśnie wielmożnego dziedzica przy dobrem zdrowiu i wesołych zapustach, że u nas wszystko po staremu i dzięki Bogu dobrze, tylko co się czworak do szczętu spaliwszy, jako zawsze wierny i uniżony sługa

Mateusz Gamajda.

* *Drugi list ekonoma do jaśnie wielmożnego dziedzica, bawiącego w Warszawie.*

Jaśnie wielmożny dziedzicu i chlebodawco dobrodzieju, przez urazy duchownej osoby i drukowanego pisma, co stoi czarne na białem, głowa moja głupia jest na to, czyby się na to, mówiąc nasz kanonik wielmożny zmówił z kalendarzem, czy nie przymierzając kalendarz z wielmożnym kanonikiem, bo oba powiedzą, że post święty tera i ludziom się do kartofli po pół kwatereczku oleju daje do sagana rzepakowego, gdy tymczasem jaśnie wielmożny dziedzic do tej pory na warszawskich zapustach siedzący, więc musi być jeszcze nie z postem, jako my tu (kobiety omijając) wedle możności pracujemy szczerze, omijając się rzekło, gdyż te cztery dziwki, co się ostały, są przez urazy uszów na nic, a piąta za stolarzem, co trumnę dla starej Jacentowej robił, uciekła, bo jej się zmarło na kolki — jako my biedne sieroty przez jaśnie wielmożnego dziedzica przy ciepłości nadchodzącej wiosny wytrzymamy, bo nawet gnój, co go po same krokwie po oborach leży dla trzech par koni zdechnięcia i dwóch kobył do reszty okulawienia, na polu nie bywszy, co się pługi i sochy rozlecieli, a kowal Franciszek, choć i majster przez żelaza nie okuje, bo Jankiel z Pacanowa opowiadał, że jakiś tam stary kredyt umarł, ale że ja tego żyda nie znałem, że ziarka do siewu mamy tyle, co statku w Kaśce, jako żadnego słuchu niema, bo co się od ordynaryi zostało, to resztę myszy wzieni i zjedli, bo dziury wielkie są, jako jaśnie panu zaportowałem, jako przy nadchodzących świętach pełną wędzarnię dymu przysposobić kazałem, że się dla zgniłości wiórów gmina cała mało nie zapowietrzyła, tylko że się gadziny przez urazy w folwarku nie znajdzie na lekarstwo, więc może jaśnie dziedziczka jakich szynek ze sobą przywiezie, a temczasowie, jako w litanii wołamy, jaśnie wielmożny dziedzicu, zmiłuj się nad nami i wracaj, bo wszyscy z głodu pomrzemy, za coby jaśnie pan pewnikiem z zasług potrącił.

Ścielę tu do stóp jaśnie wielmożnego dziedzica, bo komornik od Icka dwa razy przyjeżdżał, nic nie zająwszy, bo i nic nie było.

Mateusz Gamajda.

* *Trzeci list wiernego ekonoma do jaśnie pana, bawiącego dotychczas w Warszawie.*

Jaśnie wielmożny dziedzicu i chlebodawco dobrodzieju, donoszę, że z łaski Boga Najwyższego jesteśmy wszyscy zdrowi, tudzież bydło, które nie zdechło, jeszcze dla maleńkiego po

nad rowami i mokradłach trawki pokazania skubie ziemię świętą, czem go bez cały dzień okpiwam, żeby myślało, że jest najedzone, jako jaśnie wielmożny dziedzic sam to dokumentnie w swojej głowie rozważy, Bogu Najwyższemu dzięki, już i bocian z bocianichą przyleciawszy, na stodole naszej siedzą, a wpółzmarznięte żaby przez urazy jedzą, bo przymrozki rankami trwając ciągiem, tudzież kaczków, krzyżówków i cyranków ze psem wyszedłszy, na bagienku troje stad widziałem i ptactwo małe śpiewające po lesie aż dudni, a jaśnie państwo zawdy na tych zapustach siedzą, które iż się chyba i za ruski miesiąc nie skończą, jako żydy, co się raz wraz o jaśnie pana pytają, że ledwie bez dwa dni dla mokrości gruntu z sochami wyszedłem, co w błocie na szczęt woły się mało nie potopili, więc rola czeka, za co Bogu miłosiernemu dzięki, gdyż do siana nie mamy owsa ani ziarnka, grochu na lekarstwo, jęczmienia co kot napłakał, a zaś tatarki ni krzty, tudzież kartofle zgnili, że tylko błoto z fetorem szkaradnym bez te mrozy dostojało i z tego, żeby zdechł, do sadzenia nie wybierze, tylko co ogrodnik od proboszcza pożyczywszy sałaty krzynkę, nasiał dla wesołości i smaku jaśnie wielmożnych państwa, jak na lato przyjadą, że zaś zasiać czem niema, to ja, choćbym duszę jaśnie panu oddał, tabakę nie zasieję, bo i tę jużem het wyniuchał, a dla pensyi nie odebrania i łuta popiołu kupić nie mogąc, chyba, żebym broń Boże ukradł, na co honor sumienia i wiary świętej przy spichrza szkaradnej pustości nie pozwala, tak mi Panie Boże we zdrowem skonaniu duszy mojej grzesznej dopomóż, bo trzy psy gończe się wściekli i żyda pokąsali, co do sądu ma podać, ale że ja mam świadki, jako żyd z maleńkości był wściekły, bo tu do nas po pięć razy w tygodniu jak kot z pęcherzem latał i dokazywał, że jaśnie wielmożnego dziedzica straduje, co życząc we zdrowiu, do nóg jaśnie pana padając, dyspozycyi siewów jarzynowych, jako Salomon z pustego nie lejąc, oczekuję

Mateusz Gamajda.

* *Czwarty list wiernego ekonoma do jaśnie pana, bawiącego na kuracyi w Warszawie.*

Jaśnie wielmożny dziedzicu,
panie i chlebodawco dobrodzieju!

W karkulancyi szpekulowania, jakąś miałem dyspozycyję względem łbem w mur tłuczenia, a siewu jarowego obsiania i kartoflisków wsadzenia, że żebym na to mówiąc, zdechł śmiercią nagłą w dyferencyi kłopotów takowego, że owszem innego nie bywszy sposobu, zara między chłopstwo gębę puściłem według trzeciego snopka, gdzie po gnoju, a według spółki zaś, gdzie gnojenia nie było, więc swojem sprzężajem zaorali i ziarnem swojem zasieli gospodarze z Sapimiechu od swojej granicy, a z Dudków ode młyna Moszkowego i Bolibrzuch Walenty z kolonii chłop znowu kartofli kupę przysadził od wygonu w tem polku, co jaśnie wielmożny dziedzic łońskiego roku do zająca strzylając, babę krzynkę śrócinami opruszył, co powiada, że do tej pory w niej siedzi i że ją kaducznie świdruje we gnatach, pyskiem niepoczciwym pomstując, które że na głupie babskie gadanie zważać nie stoi, skutek z pomocą Boga miłosiernego przy tym skręcie piekielnym z siewem zrobiwszy, jąłem się do ugorów, podkładki które że dla znowuż siwego wołu zdechnięcia, co go Judka dorzynał, ale jako mu się stryfił, po sześć groszy ledwie za funt chłopom powtykałem i dziedzic z Kołowrota, co miał konsolacyję z fajerkasy i panów w gościnie pięciu posładki im też wedle interesu wesołości zabrał co mi do ugoru podkładania przez wołu trudno i żebym się Boga Najwyższego nie bojał, to jużbym nie przymierzając i we świnie orał, żeby tylko jeść co było, czego przy przednowku obrzednio u nas bardzo i przez to ludzie do spania niż do roboty są zawzięte, a Pawłowa gospodyni na starość też oszalała i co nawet pisać nie będę, żeby czasem jaśnie wielmożna dziedziczka do serca sobie nie wzięła i markotności tudzież wstydu nie miała, że w inszej starej babie złe siedzi i takową opętawszy, że mało za chłopa-

kami ze skóry nie wyskoczy, względem tego, czy co wystawić mamy, co jaśnie wielmożny pan pyta, toby się zdało u nas wystawić stodołę, co już het spruchniała i owczarnię, jakoby ją wiater jeszcze w zimie obalił, ale że przez pieniędzy i przez drzewa na taki czas nie przymierzając i psiej budy nie sklepie, tedy według racyi umiarkowania mojego nic chyba teraz wystawiać nie będziemy, bo przez żadnego sposobu jaśnie wielmożnego dziedzica w oczekiwaniu i ufności, jako się kiedyś dobrami swemi ucieszyć przyjdzie, donoszę, że jakieś tu papiery woźny przywiózł bardzo pilne i położywszy na kredensie, kolana jaśnie wielmożne całuje, szczerze wierny

Mateusz Gamajda.

* *Piąty list wiernego ekonoma do jaśnie pana, bawiącego jeszcze na wodach w Warszawie.*

Jaśnie wielmożny dziedzicu
i chlebodawco dobrodzieju!

Bez te muchi, co atrament wypili, tudzież insze robactwo, jako przy gorącości wielkiej, zresztą wysechł i dzieci też na bazgranie wypaskudziwszy, o mało dla interesu nagłości szuwaksem do jaśnie wielmożnego pana nie pisząc, gdy Judka pachciarz nie jako u żyda wszystkie go dostanie, sam mi atramentu przyniósł i z pilności pośpiechu pisać kazawszy, jako Icek Wałach, ten co siedem lat temu rzepak kupił, do dnia dzisiejszego tenże nie odebrawszy, bośmy już bez lat dziesięć rzepaku nie sieli, do sądu podał i ma na jaśnie wielmożnego dziedzica prawo, że w hypotekę wlezie, ale nie z jego nosem byli i włazili i po dziś dzień chwalić Boga miłosiernego siedzą i nas nie zjedli, żeby wychorowali, a i ten drugi żyd, co jeszcze gorszy w piątek bywszy, gębę rozpuścił, że aż mu moja żona kurę za pozwoleniem dała, żeby pysk stulił, tudzież czereśniów garniec i jajków dwa mendle, że nie pomstował i czeka bez dwa tygodnie pod chairem się zarzekł, że na takie wielkie słowo nawet żydowi wierzyć można, więc chłopy z Wielgolasu: Drut Michał, Konewka, Walenty i Śledź Benedyk krowów trzynaście, kobył dwie i świń za pozwoleniem czworo w łąkę wegnali, co jest stratowane, że do sądu podałem, które że przez świadków skutku nie bywszy, tylem wskórał, żem wieprzowi Benedyka ogon przy samej ćwierci uszlachtował, co że świadki byli, on znowuż podał do sądu i mnie rubla za ogon kazali zapłacić, która świnia sto złotych nie stojała i żem użytku nie miał, bo owczarzowy pies takowy zaraz na polu jak kluskę z przeproszeniem łyknął, że mu jeno ze dwa razy w zębach zatrzeszczało, coby człowiek za swoją krzywdę choć grochowczyny chlipnąć, a przytem, że się zaraza na bydło pokazuje, które nam trzy sztuki dorżnęli, a reszta co nie wyzdychała, to dzięki Bogu zdrowa, jak jaśnie państwo w tej Warszawie dla wesołości uciechy siedząc, tymczasem łąki sprzątnąwszy, że siana obrzednio, zatem dla pieniędzy nie dostanie, z chłopami we spółkę kosiłem, że która kopica trzecia, to im za sprzęt, a która pierwsza, to nasza, a która druga, to Mendel, ten co przez nosa w Pacanowie siedzi, zara brał z jaśnie wielmożnego dziedzica przykazu, które że koni do grochu nie przeżywiemy, miąkuje, że deszcze byli i dużo kopiców zgnoili, co tak mnie Boże skarz, żem się spieszył, jak głupi, a chmary dyjabli zkąd wiedzą wybazili, że zatem jaśnie wielmożny dziedzicu spieka piekąca nastawszy, które już żyto gdzie na piaskach żółcieje, że zatem do żniwów przystąpienia żeby konał pieniędzy nie miawszy, że parobki o ordynaryję pomstują i o pensyję, a najgorzej dziewki mi za pazury wleźli, od żony nawet po gębie dostawszy pranie, co się jaśnie panu wyznam, żem tego chamstwa słuchu nie nauczywszy, kobieta powiedziała, że jak Boga ukrzyżowanego kocham w tej dyfamacyi honoru i prozapii, z której się wiodąc, takiego respektu nie zaznawszy, wołam jaśnie wielmożny dziedzicu, przyjedź, bo już się nam sierotom chyba na suchej wierzbie obwiesić, ile że piorun dwa jedyne stogi spaliwszy, co pewnie żydowska mechanika w tem

była, jako się uwzięli dobra jaśnie wielmożnego dziedzica przez jego pozwoleństwa przedać, że zresztą we zdrowiu i błogosławieństwie Bożem do nóg jaśnie wielmożnego padając, jako majorek z Pacanowa za sad czterdzieści rubli złotych cztery i groszy dwanaście dawszy z wielkim targiem, które Bóg mnie skarz nie wiem, w jaką dziurę mam wsadzić, że takowych się do milijona kotów narobiło, jako wierny zawsze

Mateusz Gamajda.

Ps. Które że jako jaśnie wielmożnego dziedzica posłuchy na mój honor dojdą, żeby co pies szczeka nie uważać.

M. G.

* *Szósty i ostatni list wiernego ekonoma do jaśnie pana, bawiącego jeszcze dla wypoczynku w Warszawie.*

Jaśnie wielmożny dziedzicu,
panie i chlebodawco dobrodzieju!

Nie donoszę, co się bez te deszcze zgnoiło, które że snopki zrośnięte, jako nie do zrośnięcia i nie do snopków myślenia nasze, które że niechby się wszystko wygnoiło i pozdychało i cały na to mówiąc folwark się wściekł, żydowska to już mitręga, które się bez tydzień na naszym dziedzińcu co jaśnie pan lajgroszem z tymotką siać kazał, kozy pasą, co je Judka z Pacanowa przywiózł, które na tych darninowych ławeczkach, co na nich sobie bywało jaśnie wielmożna dziedziczka za pozwoleniem siadała teraz pierzynów i poduszków, tudzież różnych betów i bebechów żydy nawaliły jak siana, że już od grobli bieleje i czerwienieje do zawrotu dojeżdżając, że mi serce omal nie pęknie, zaś żona moja z żalu jako owaryjowana ryczy, że przeperswadować nie mogę, bo wiadomo, że cynamonu nie przetrze, a takiego lamentu i oczów zalania byle czem nie obetrze, które jako się już stało wola Boga miłosiernego powiedziałem niech się i świat zapadnie, które żydy zeszłego tygodnia z komornikiem zjechali i wójt też w mendalu stojał i jak zdrowego skonania pragnę, choć chłopisko proste, że het ślipie rękawem obcierał, bo i jemu łzy kapali na takie zmarnowanie i zatracenie, że jako przyjechali we czternastu na dwóch furach i zara Berek ten gruby zlazł i powiedział, że on sam tera za dziedzica tu będzie, co ja mu też, żem ze zmartwienia jeden kieliszczynę chlapnął, za brodę takową porwawszy, prać go chciałem, co gwałtu narobił, a pan komornik przyświadczył, że to prawda, a że ja nie wiedząc tłómaczyłem, żem bez pomyłkę za takową brodę darł, co wójt przyświadczył, bom nic o licytacyi jako Berek w hypotece za całego dziedzica stoi, nie wiedziawszy, zara mi się żydy kazali pakować, fury nie dawszy, że mi chłopi dopiero poradzili i furów sześć mi dali, które żem jeszcze z żółci ulania żydów nabeszta co wlazło i potem ze zmartwienia co jako w obowiązku nie będąc, się spiwszy, jak nieszczęście, tydzień leżałem, dla czego listu nie pisząc, zara znów żydy na mnie o zabójstwo podali, które ich niedoczekanie, żebym w kryminale miał siedzieć i na to nam jaśnie wielmożny dziedzicu przyszło, że tera w pałacu karczmę zrobili i zara znów licytacyja była, co jaśnie wielmożnego dziedzica kanapa i fotele już sprzedane, a nasz powóz ten co przez drzwiczków żydy dla pacanowskiego rabina kupiły, które ja zawsze wielmożnemu dziedzicowi perswadowałem, że w chałupie siedzieć, Boga chwalić, siać i żąć, a chleb jeść, za co mnie jaśnie wielmożny dziedzic od starych durniów zdyfamował, co że teraz skutek paskudny z tego bywszy, już ja nic na to, choćbym duszę dyjabłu zaprzedał, nie poradzę, jako z tej pensyjki, com jej nie odbierał nigdy, tyle tylko złożywszy, co nawet ledwie na biedną dzierżawkę wystarczy, zatraconego zdrowia nie rachując i ksiądz nasz kanonik kazał jaśnie wielmożnego dziedzica pozdrowić i użalał się nad jaśnie wielmożnym dziedzicem, co jaśnie wielmożny dziedzic nie jak jaśnie wielmożny dziedzic, ale jak za pozwoleniem dziecko małe z ogniem igrawszy, aż się jaśnie wielmożny dziedzic oparzył, które my, do nóg jego padając, płaczem głosem wielkim i lamentem, jako jaśnie wielmo-

żnego dziedzica żydy zjadły i śmieją się tera, co ja zawsze mówiłem, wierny do samego skutku życia, żeby był jaśnie wielmożny dziedzic po Warszawie, ale zapustów, wystawów i kuracyjów nie siedział, tobyśmy teraz pszenicę żęli, zdrowia i wielkiego majątku życząc.

Mateusz Gamajda.
Świąteczny.

* *List znakomitego korespondenta do wielmożny pan dżedżyc w Kozienogi.*

Nie ziczam wielmożnego dżedżyca włażyc do tech spółków, co ma bicz psiedanego zborzia, psie tego, co uni nie zrobiom wielmożnego pana tech dogodnoszczów i psijemnoszczów, jak zwiczajny kupiec. Niech wielmożny dżedżyc na takie swoje delikatne rozum zmiarkuje, czy takie spółkie zdejmie przed wielmożnego pana ciapkie, cy będzie takie delikatne, jak my i cy, jak niech Pan Bóg zbroni, wielmożnego pana nie bedzie miał zborzia—to mu będzie czerpliwa, jak jej wielmożny dżedżyc da dwa gięszów albo korziec kartoflów. Te spółków majom grubiańskie nature i psie tego ziczam wielmożnego pana trzimacz się w stare znajomoszcz i psijaczelstwo, jak dawno buło, co nijakiego psiez nasz ziadne zborzie nie psiedał, żeby ja tak buł zdrów i wielmożnego pana wrogi tak zdrowe nie byli, co to wsistko jest prawde sprawiedliwe, psiez żadne omułkie, a na tego rziepak, co za stodułem jest w polu, zara mogę wielmożnego pana zapłacić z gotowiznem, psiez ziadne odwłóczenie i Berek Wasser za spólnika tyż jest, z wielgie ufnoszcze sługa wielmożnego pana

Icek Dancygier
od Pacanowie proszy odpowiedzi bez Śmula, co ten sam tyż jest.

* *List miłosny.*

Weksel bez waluty i bez stałego terminu. Wystawca musi płacić tyle razy, ile zapragnie okaziciel. Protest może mieć miejsce tylko w prawnem zamieszkaniu okaziciela.

* *List książęcy.*

Książę d'A... list tej treści napisał do bogatego mieszczanina:

„Panie, jestem księciem d'A... potrzebuję pięciuset franków i proszę pana o pożyczenie mi tej sumy. Tak się panu wiedzie we wszystkiem, że zapewne i w odebraniu tych pieniędzy szczęście panu dopisze".

* *Listy polecające.*

Profesor. Powiadasz pan, że w swojej wędrówce widziałeś ludożerców i rozmawiałeś z nimi? daruj pan, ale nie wierzę.

Turysta. Ależ tak jest. Na dowód powiem panu, że mego towarzysza podróży w moich oczach na kawałki rozszarpali i skonsumowali z kośćmi.

Profesor. A jakim-że sposobem pan dobrodziej wyszedłeś cało?

Turysta. Ja?... ja... no, ja, łaskawy panie, miałem do tych dzikich *listy polecające!...*

* *List Maryśki z Warszawy do Kaśki w Patykowie.*

Kłaniam się tobie, Kasiu i ojcowi Michałowi i matuli i braciom, Piotrowi, Stachowi i Maćkowi i stryjowi Jacentemu i ciotce Kogutowej i wszystkim przyjacielom zdrowia dobrego życzę i co sobie od Boga Najwyższego żądacie i to pismo posyłam, jako tu we słuzbie ostałam się u państwa Fikalińskich, co można trafić zara od mostu na lewo i tu bez trzy ulicόw na prawo i tam zara się włazi w bibus i staje dych kiele tej chałupy. Oj, markotno mi, Kasiu kochana w tych pokojach wielgich i pani mi ciągiem gada, zem niedźwiedź i niezgrabijos. Ni tu kawałka płota, ni podwórka, ni stodoły, ni cego na cem powiesić, ni się gdzie z cem podziać. Tak tu te ludzie zyją nie po ludzku przez krowy i przez prosięcia, ta i nie przymiarkiem psa poczciwego nie obacys, bo choć nasa pani ma niby jakiegoś scenioka, ale to takie małe, jak pięść, a kudłate, jak co złe i spi se w łóże-

cku na poduskach, jako nie przymierzając dziecko. Wikt marny, jazem juz ściencała, kiej patyk, co rano charbaciny dadzą ciepłej, zamiast barscu, a na południe, co tu bywa pod wiecór, to okrusek mięsa pani da i kartoflinów kapnie, jak kot napłakał, ze mnie jeno ćmi juz bez dwie niedziele, bo i chleb taki, co Kraków przez niego obacy. Oj, nie idź ty, Kasieńku, do onej Warsiawy, lepiej u ojców świnie paś, bo tu bardzo kiepskie zycie na świecie, wcoraj mi pani powiedziała, zem niedźwiedź, a pan mi ciągle dogaduje, zem jananas. Jak zycie, tak paskudnego słowa nie słysałam. a po drugie, ze panie, co we skole je, tyz za mnom łazi, jak ciele za krowom i jeno ocy wytrzysca. Oj, Kasieńku, takie tu ludzie paskudne i zacypne, ze tylko obraza Boga miłosiernego i kłaniam ci się, Kasieńku, i ojcom i matuli, proś, zeby mi bez zyda choć z bochenek chleba przysłali, bo juz światu bozego nie widzę i wszystko odzienie wisi na mnie, kiej torba, a Maćkowi powiedz, Kasiu, niech się nie frasuje, niech się ino od wojska wykpi, to ja zara duchem do Patykowa uciekną, jeno zebyś ojcom nie gadała.

Maryjanna Saganek.

* *Drugi list Maryśki z Warszawy do Kaśki w Patykowie.*

A więcz, kochana Kasiu, puściłam moją panią w trąbę. Już nie mogłam dłużej znosić różnych głupich grymasów. Do teatru nie pozwala mi chodzić co dzień, pana naczelnika od beczki wypędziła z kuchni, a jak potrzebowałam iść do magazynu, żeby szobie przymierzyć nową szuknię, to ona kazała mi froterować pokoje. Czo zanadto, to niezdrowo, a tamta pokojówka dobrze mówiła, ze w Warsiawie panów jak piasku i ze porządna panna służąca zawsze sobie dobre miejszcze znajdzie. Jednego mi tylko żal, to panicza, bo bardzo grzeczny chłopak. Kupił mi parę kolczyków i broszkę z czerwonemi brylantami, a od mojego naczelnika dostałam znowu cztery łokcie akszamitu na kaftanik, co powiedział, że znalazł na ulicy. Jestem tera w bardzo dobrem miejszczu u jednej pani, co sama mieszka przez pana, ale kilku bardzo grzecznych panów do niej przychodzi. Ta pani ma szukien jak ściana i jednę od niej dostałam za to, co jak jeden stary pan przyszedł, a u mojej pani był jeden młody pan, to ja powiedziałam, że moja pani poszła do jednej pani, co u niej bywają tamte dwie panie, co pani wie. Takem zgrabnie zełgała i jeszcze ten stary pan dał mi rubla na szpilki, a moja pani dała mi szuknię żółtą, czałkiem nową, tylko przez ogona, a tamten młody pan dał mi na czukierki, ale ja nie głupia, bo u nas czukierków, jak śmieci, a tu już karnawał nie długo, więc kupiłam szobie złote pantofelki do tańcza i pończoszki czarne jedwabne adziurowe i perfumów nie kupowałam, bo jeden aptykarczyk mojej pani garncami przynosi, to i dla mnie z pół kwarty się dostanie. Dobrze mi tu jest bardzo, kochana Kasiu, i proszę cię, żebyś przyjechała, ja cię tu wnet na taką panią wykieruję, że nie tylko u nas pisarka, ale nawet dziedziczka na Wielganoc tak się nie zestroi, jak ty na wielgi piątek, tylko mi już o Maćku nic nie pisz, bo czo jabym z takim niezgrabnym parobkiem robiła, ja tu się przed szamemi hrabiami i panami opędzić nie mogę, a ty mi takim chamem kontramarkę zawracasz! A ojczowi powiedz, że jak do Warsiawy przyjedzie, to zeby do mnie nie przyłaził, bo to nie paszuje, tylko zeby przysłał posłańcza, to ja szama zakryję się chustką i przyjdę do sztarego na targ, żeby nikt nie wiedział,

Całuję cię serdecznie i czekam przyjazdu.

Maryjanna Szagańska.

* *Trzeci list Maryśki z Warszawy do Kaśki w Patykowie.*

Oj, moja Kasiu złocista, byłam ci ja wczoraj w tyjatrze, wyrznęłam się w szuknie z turniurą i jedna znajoma pożyczyła mi kapelusza, ale ty, proszta chłopka, pewnie nie wiesz, co to jest ona turniura – to taki statek, co się go z tyłu nosi wedle obserności i warsawskiego syku. Poszłyśmy z tą pokojówką i z jej bratem na on

tyjatr, a zara tam się zdybał jeden grzeczny pan, co miał ci na głowie kaśkiet złocisty, jak samowar, i był okropnie przyścipny, zara mi powiedział, ze się nazywa Ignaczy i ze jest starszym naczelnikiem od beczki i jeździ na takich ognistych koniach, jak nasz dziedzic. Bardzo ten pan Ignaczy grzeczny, bo mi kupił dwa szerdelki i pomarańcze i innych słodkości, tylko prosił, zebym jutro cekała na niego kele bramy, jakoś to mnie nie uchodzi, ale ta pokojówka powiedziała, ze tera taka moda w Warsiawie. Co tam za ślicności pokazywali, to ci nawet opisać nie moge i nie umiem, tańcowały panny całkiem w takich kusych spódnickach, jakby przez zadnego odzienia, były i panowie jakieś, za dyjabłów poprzebierane, takie ci cudeńka dziwne dokazywali, ze juzem mało oczów nie wypatrzyła i kapela rznęła, ze gdzie naszemu organiście, on moze i nie słyszał takiego grania. A ten pan naczelnik od beczki, co miał na łbie samowar, powiedział, że mi na drugą niedzielę bilet kupi, ale ja miarkuję, że pani może nie pozwolić, tylko znów ta pokojówka mówiła, ze jako ino pani zacznie grymasić, to zebym ją zara w trąbę puściła, bo tu w Warsiawie panów, jak piasku, a porządna panna do wszystkiego wnet miejsce galante zdybie, a jak pani powie jedno, to jej trzeba powiedzieć dziesięć, zeby mustrunek znała. Przyjechaliśmy do domu we dryndzie, bo mnie sam pan naczelnik odwiózł i tak mi o róznych rózności ach gadał przyścipny chłopak, jeno zebyś Maćkowi nie gadała, bo co takie ciemne chłopisko zna, co jest przez żadnej alegancyi. Ledwie co stróż bramę zamknął, poszłam na schody, a tu panicz juz na mnie czekał, bo on tak ciągle za mną łazi, że spokoju z nim nie mam i powiada, ze mi kupi jakiś ci tam brylant. Niech go tam marności z brylantem, kiedym juz się najadła pomarańczy z serdelkami od naczelnika, ale jak jest tak jest, wymiarkuj ty se, Kasieńku, mozebyś i ty na słuzbe tu przyszła, bo tu zawdy wesołość insza i okropnie ludzie grzeczne i porządne, każdy się tylko śmieje do człowieka, a jenszy to ci i po francuzku gada. Kłaniaj się, Kasiu, ojcowi i matuli i bratom i siostrom i ciotce Kogutowej, bo choć oni proste ludzie i nie polityczne, ale zawsze krewne i jak będziesz chciała do Warsiawy przyjechać, to proś pisarza, niech ci nie pisze w praśporcie Kaśka Sagankówna, jeno Katarzyna Szagańska, bo tak ładnie, a po chłopsku nazywać się nie pasuje. Całuję cię, mój aniołku.

Maryjanna Szagańska.

* *Czwarty list Maryśki z Warszawy do Kaśki w Patykowie.*

Kłaniam się tobie, Kasiu, i Bóg zapłać za chleb, coś mi przysłała bez zyda, alem co mało jadła, bo jakoś bardzo czarny i gruby teraz chleb macie, co jakoś w gębę nie lezie i do charbaty mi nie smakował i posyłam ci za to krzynkę mąki, co se nasa pani gębę swą smaruje, zeby jej się nie świeciła i jak będzie w Kobylej Wólce odpust, to se też, Kasiu, tą mąką krzynkę gębę wysmaruj, to będziesz bieluchna, jak mleko, bo tu u nas w Warsiawie nie politycznie z czerwoną gębą chodzić i bez to każda je biała. Dostałam od pani zasługi i pan mi też z łaski na uciechę rubla wetknął i zara kazałam se usyć suknie, bo tu u nas w chłopskiem odzieniu chodzić nie politycznie i trzewiki tez sprawiłam ślicności, ze az ci w ślipiach jasności widzę, jak w nie wlizę i z taką śtuką we środku, co noga je maluśka, a tak się idący śtuka, kiejby koza kopytkami i panic nawet powiedział, ze jezdem wielki syk, jak się to gada po warsiawsku. Pani casem gada jesce, zem niedźwiedź, ale jak pani poleci gdzie na Warsiawę, to zara pan mi znów gada różności, że się tylko czerwienię i obiecał mi dać bilet do tyjatru, co tam różne komedyjanty śtuki pokazują lepiej, niż gdzie u nas na jarmarku, pewnie w niedzielę pójdę, bo tu wszystkie ludzie do onego tyjatru chodzą w piątek i we świątek lepiej, niż do kościoła. Moja Kasieńku kochana, śnił mi się Maciek, jeno mu nic nie gadaj, bo mi się bez sen taki zdał niezgrabny, jakby nasz stróż, lub ten,

co węgle wozi, a jak idzie, to przez zadnej zgrabności, jeno jak wolisko stąpa, ale mu nic nie gadaj, boby mu było markotno. Już się trochę przyuczyłem do roboty i co ranek kiele pokojów porządek robię i do gościów posługuję i bez cały tydzień tak ci mi zgrabnie idzie, ze tylo pięć śklanek stłukłam i talerzyków coś ze cztery, pani się gniewała, ale mi drugie sługi z kamienicy gadały, zeby nic na to nie zważać i ja tez nie zwazom se tego, boć od tego ćkło je, zeby się stłukło. Poznałam się tu z pokojówką z pirsego piętra; ładna dziewka, a sukniów ma galantych lepiej, jak nasa dziedzicka we dwoze, ale powiada, ze ma brata, co je pisazem we fabryce, to on jej het sprawia, ładny chłopak, taką miał na łbie rurę świecącą, kiej kumin, i chodzi se przy zegarku, a co niedziela w dryndzie jeździ, jaż mu zęby dzwonią z tą pokojówką. Casem mi jesce za wami markotno, pewnie tam tera tatulo młóci, a ty, Kasieńku, z matulą przędziesz kiele komina, kłaniaj się ta im wszystkiem i napis, cy nasa krowa cerwona jesce je, cy ją tatulo przedali.

Maryjanna Szagańska.

* *Piąty list Maryśki z Warszawy do Kaśki w Patykowie.*

Ma treszer Katarzyna! Nie piszałam już kawałek czaszu, bo nie miałam kiedy i oko mnie bolało, bośmy się pobiły z tą panną, co u niej byłam. Przekonałam się, że to nie dla mnie towarzystwo, a że bardzo szobie pozwalała i miała dużą gembę, więc raześmy się trochę przemówiły i od szłowa do szłowa taka się zrobiła szopka, żem jej pół grzywki oberwała; ona myślała, że trafiła na frajerkę, ale ja ją zaraz tyż puściłam w trąbe, kiedy jej się chciało takie kawały urządzać. Później byłam bez tydzień u państwa Piperkuglów, czo mają cztery szklepy i dwa domy na Franciszkańskiej, ale że szkąpe i przez żadnego szyku i szamemi śledziami żyłam przez porządnego sztołu, więcz powiedziałam szobie, że nie głupiam i rzuciłam zara, a tera znów jestem u jednego wdowca, nawet byłoby mi tam nieźle, bo pani niema i żadnych grymaszów nie potrzebuję szłuchać, ale sztary bardzo nudny i zazdroszny, jak piesz, chciałby, żebym cały dzień siedziała, jak żamurowana i żebym nawet nie spojrzała na nikogo. do teatru nie chcze ze mną chodzić, ani na żaden konczert, choć mam garderobe nie gorszą od tych paniów, czo tam siedzą w krzeszłach, ale mi się już te obowiązki naprzykrzyły, a że jesztem bardzo ładna i mam głosz na cztery rejesztry, jak mi powiedział taki żnawcza, czo jest urzędnikiem od biletów i od lornetków przy tyjatrze, więcz będę szobie szama i wsztąpie do tyjatru i wykieruję się na artysztkę. Jak tylko pogadam z derektorem i zosztanę artysztką, tak zara napiszę, żebyś przyjechała, a tymczasem całuję cie z całego sercza.

Tutawu

Maryla Szagańska.

* *List Walentego Sagana, gospodarza rolnego z Patykowa do panny Maryli Szagańskiej w Warszawie.*

Niech będzie pochwalony! jako ociec kochający, według zrozumienia dziecka swego jako chtóre żeśmy ze sołtysom przeczytali coś ty bestyjo do Kaśki wypisywała zbereześnstwo i takie pomsty roznakie co jak Patyków Patykowem nikt tego nie widzioł i nie słysoł które jako ty się sama od torniurów i od jantyrstków nie wstydzis wyzywać, miarkuje ja moja coruś gdzie cię złe na moje niescęście zaniosło i bez to jako ociec przykazuje ci zebyś mi zaro duchem do Patykowa powracała bo choć się ojca chłopa wstydas ze ci się juz do scętu we łbie psewróciło jako w torbie ze sieczkom owies to jak mi bez tydzień nie przyjdzies do chałupy to som do Warsiawy przyjade i takie ci krzciny bicyskiem sprawie z grubsego końca obróciwszy, że i tarniury i jantyrstki i syćko paskudztwo z ciebie obleci co ci przyrzekom i obiecuję jako kochający cię ociec + + + Walenty Sa-

gan krzyżami podznaczył a za nieumiejącego pisać podpisał

Jantoni Gołąbek,
sołtys z Patyków, gminy Racice Wielgie.
Świąteczny.

* *Jak się dawniej listy pisały.*

Było to późną jesienią. Podkomorzy Wereszczaka, powróciwszy z małej w pole wycieczki, dla obejrzenia posiewów, jak się one przed zimą prezentowały, chodził po wielkiej izbie gościnnej, w której nigdy bardzo ciepło nie bywało, a dnia tego szczególniej przenikliwy chłód czuć się dawał.

Podkomorzy, który na cierpkiem powietrzu i wietrze ostrym trochę już był przemarzł, nogami tupał, ręce zacierał, poruszał się, wyciągał, a rozgrzać nie mógł.

Na dworze zmierzchać zaczynało. Przed domem z okien widać było dziedziniec szeroki, prawdą a Bogiem, dosyć niedbale utrzymywany. Z jednego boku przypierały do niego stajnie, przed któremi zawsze coś stało, albo prosty wóz drabiniasty, albo ze zwieszonemi na ziemię smutnie hołoblami odarta bieda.

Nie mówię o tem, że siano rozsypane, słoma roztrzęsiona i inne nieuchronne następstwa pobytu koni zdobiły część podwórza bliższą stajen. Z drugiej strony duża oficyna służyła za dom folwarczny, czeladni, kuchnią, praczkarnię i na wszelki użytek, do którego dom nie starczył.

Naturalnie też okolice jej zbyt czysto utrzymać się nie mogły. Tu rąbano drewka, szczepano skałki, wyrzucano węgle i popioły, pozostałości kuchenne, wylewano pomyje, a psy gończe podkomorzego, ilekroć je wypuszczono, same podobno ten śmietnik z grubszego oporządzały.

Wprost naprzeciw okien były wrota, stojące tak nałogowo otworem, iż byli ludzie, co powątpiewali, czyby je już zamknąć można. Nabrały od tej nieruchomości fizyjognomii dziwnej, zdawały się walić — lecz stały tak już od bardzo dawna i wrósłszy w ziemię, obiecywały trwać lata.

Gdy podkomorzy chodził, rozgrzewając się po izbie, temi wrotami właśnie wjeżdżał konny, w którym najniewprawniejsze oko mogło poznać posłańca.

Jest to postać przedpotopowa, dziś już zaginiona i z tradycyi tylko znana, ale dawniej istnieli tacy ludzie, co przez całe życie sprawiali obowiązki posłańców – było to ich powołanie. Takiego „umyślnego“ poznać było można zaraz z fizyjognomii. Człowiek to zwykle bywał śmiały, z ludźmi obyty, dróg świadomy, zahartowany na wszystko i chętnie przewożący różne wiadomości. Nie gardził on kieliszkiem w szynku i koń jego miewał zwyczaj nawet przed każdym się zatrzymywać *prioprio motu.*

Więksi panowie mieli takich bojarów wielu, szlachta wybierała zdolniejszych z włościan.

List, który zwykł był posłaniec przywozić, często do rąk własnych adresowany, zawijany był w szmatkę, trzymany za nadrą, niekiedy pod koszulą na gołem ciele, aby go czuł zawsze poseł, czasem zatykał się w baranią czapkę, między dwie jej ściany.

Pismu niekiedy towarzyszyło ustne pozdrowienie i jaki dodatek słowny. Przyjmowano posłańca różnie, ale najczęściej i kieliszkiem i miską. Czasem garść jaka i konikowi się dostała, który albo szedł do gościnnej stajni, lub drzemał u płotu.

Podkomorzy Wereszczaka w nadjeżdżającym konno, na srokatym koniu człowieku, który szkapę do kołka przywiązał i nie zważając na szczekanie psów, odprowadzających go do dworu, skierował się ku gankowi, poznał zaraz posłańca.

Od kogo? to było dlań tajemnicą, lecz bądź co bądź — zafrasował się. Posłaniec wiózł list, który potrzeba było przeczytać—a co gorzej—odpisać nań. A trzeba wiedzieć, że od czasu, gdy go u Jezuitów w Lublinie zmęczono pisaniem, podkomorzy równie manipulacyi samej,

jak tego wytężenia myśli, którego pisanie wymaga, cierpieć nie mógł.

— Otóż masz!—rzekł w duchu.—Posłaniec i list! a jejmości w domu niema.

W istocie podkomorzyna była u córki... a Wereszczaka sam w domu.

W sieniach już słychać było, jak się ów posłany zaczął targować ze służącym Jakóbem. Podkomorzy drzwi otworzył.

— Co tam?

Z odkrytą głową łysawą stojący poseł szybko odpowiedział:

— Z listem do jaśnie pana.

— Od kogo?

— Od podskarbiego.

To mówiąc i czapkę położywszy na ławie, posłaniec sięgnął za nadrę, wyjął z niej czerwoną chustynkę, rozwinął i dobywszy z niej na szarym papierze z wielką pieczęcią list, z pokornym wręczył go ukłonem.

Podkomorzy przyjął go zmartwiony. Przewidywał widać, iż z odpowiedzią ciężko mu będzie, bo się po chwili odezwał łagodnie:

— Niech Jakób powie, aby konia do stajni wzięto, a posłańca na folwark.

I szepnąwszy coś staremu słudze, podkomorzy drzwi zamknął. W pokoju szaro już było, list położył, a raczej rzucił na stół kwaśny.

— Jezu mój miłosierny!—stęknął—czego on znowu pisze? Pewnie o sejmik i swojego kandydata! ale niechby go z nim... dałbym głos i ja i mo:, żeby mnie listami nie nasyłał. Co tu teraz robić bez podkomorzyny?!

Oprócz starego Jakóba, który był i sługą i rodzajem majordoma, podkomorzy miał chłopca—Jaśka, do tych usług pomniejszych, jak naprzykład zdejmowanie butów, nader zawsze mozolne, któremu przekleństwa i stękania towarzyszyły - przynoszenie drewek na komin i t. p.

Tym razem właśnie Jasiek wyprawiony był po suche drewka i miał na kominie zapalić. Poszedł, lecz była to rzecz znana powszechnie, że mimo kuksów, jakie za to odbierał, Jasiek wszelkie po za oczyma odbywane funkcyje pełnił z niezmierną czasu stratą.

Co robił w czasie tych wycieczek—nie było docieczono dokładnie. Wedle pory roku i zmiennych okoliczności, drażnił indyka, niekiedy do najwyższej doprowadzając go pasyi; pędzał kury, dłubał w nosie, wymykał się ku ogórkom i t. p.

Dnia tego nie można go było o co innego posądzić, chyba o kaczany od kapusty, na które był też łasy. Klucznica przysięgała się, że marchew surową jadał, cóż dopiero słodkie kaczany!

I nie było go, choć drewka leżały na drewutni w szopce tuż około kuchni; a podkomorzy klął i gderał. Miał ten zły zwyczaj, chociaż skutkiem częstego powtarzania doz, nie robiły one skutku.

Wołał półgłosem:

— Gdzie ta jucha Jasiek? kiedy poszedł? a dotąd nie wraca! Ażeby go...

Tu następowało wyliczenie wszystkich plag egipskich, których życzył Jaśkowi. Wchodziły w lik—deptanie kaczek, zcześnięcie marne, skiśnięcie i t. p. Podkomorzy miał wielką tych wyrażeń obfitość.

Jakkolwiek list zbyt ciekawym być nie mógł, drażnił jednak i niecierpliwił, leżąc zawarty. Podkomorzy bez świecy go czytać nie mógł, a nawet przy niej nie obchodził się bez okularów.

Zawołał Jakóba, aby przyśpieszył powrót Jaśka. Jakób leniwy równie jak poczciwy, pofatygował się tylko na ganek i huknął na stróża, rozkazując mu, aby dezertera przyprowadzili za uszy.

Lecz wtem i on sam ze ścierką ogromną, pełną drewek na plecach, uginając się pod jej ciężarem, ukazał się od strony drewutni. Wyłajał go naprzód stróż, potem Jakób po drodze, naostatek sam pan przypadł, któremu żywo począł coś Janek prawić niezrozumiałego i rzuciwszy drewka, pobiegł po świece.

Świece te dla podkomorzego nie było łatwo tak na zawołanie podać.

Rurkowe, łojowe, jakich na codzień używano, miała klucznica pod swem zawiadywaniem, trzeba więc było biedz na folwark po nie, potem je w papier oprawić, zapalić, lichtarz z umbrelką oczyścić i szczypce zawsze pełne, fundamentalnie z knotów wczorajszych wychędożyć.

A że Jasiek zwykł to był czynić, nie śpiesząc się, zwlokło się zapalenie świec tak. że podkomorzego niecierpliwość do tego stopnia urosła, iż Jaśkowi, wnoszącemu światło i wedle zwyczaju odzywającemu się w progu „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, pięścią pogroził.

Teraz należało krzesło przysunąć, podać stołeczek pod nogi.

Podkomorzy usiadł.

— Podaj okulary.

Z okularami od niepamiętnych czasów była zawsze turbacyja niesłychana. Wereszczaka dbał niezmiernie o te okulary, które sobie do oczów dobrał z niemałą biedą, czasu swej bytności w Warszawie; chował je, ale nigdy nie pamiętał, gdzie położył.

Miały one dwa czy trzy miejsca, przeznaczone dla siebie, w których się jednak nigdy nie znajdowały. Urzędowe ich ulokowanie było w szufladce przy kartach od maryjasza i kabały, niekiedy znajdowano je na komodzie około niebieskiej filiżanki, czasem walały się na dużym stole, a raz nawet przydybano je na oknie, co podkomorzego oburzyło, choć sam je tam położył.

W kieszeni od kapoty extra rzadko się trafiały.

Poczęło się poszukiwanie okularów, macanie po ciemku, bo duże łojówki z umbrelką niedaleko światło rzucały i klątwy. Szukał podkomorzy sam, Jasiek, zawołano Jakóba. Rozstąp się ziemio! okularów ani słychu.

Powstała burza. Przybiegła stara Dorota ze stoczkiem w ręku na pomoc i udało się jej prawdziwym cudem, albo dziwną domyślnością niewieścią, odkryć je, utkwione pomiędzy komodą a ścianą.

Tu dopiero potrzeba było posłuchać dociekań, czyją winą one się tam dostały, bo rzecz oczywista, same one, jak powiadał podkomorzy, wleźć tam nie mogły, ale ktoś sprzątający na komodzie, z lekceważeniem karygodnem sprzęt ten drogi nie dość, że zrzucił, lecz nawet występku tego nie był świadom... lub... mogła w tem być niepoczciwa złośliwość.

Przekonawszy się dopiero, że zsunięcie się za komodę okularom nie zaszkodziło i futerał ich tylko szwankował nieco, podkomorzy włożył je na nos, kopertę rozciął, list dobył, zbliżył go do świec i z uwagą rozpoczął czytanie od intytulacyi.

„Jaśnie wielmożny podkomorzy dobrodzieju, a mnie wielce miłościwy panie a bracie!“

Zwykłe listy, tylko dla formalności pisywane na ćwiartce papieru, rzadko zajmowały więcej, niż jedną stronicę i obrachowywane bywały tak, że podpis w pewnym odstępie u dołu mieszczący się wypadał jeszcze nie na samym skraju. Z przerażeniem dostrzegł naprzód podkomorzy, iż na pierwszej tej stronie nie tylko nie było podpisu, ale ani nawet formuł go poprzedzających, odwrócił niespokojnie papier i przekonał się, iż list miał trzy całe stronnice, a opatrzony był jeszcze postscriptem.

Oczywiście kuso nań odpisać, *per dominum pstrum*, nie godziło się, zwłaszcza podskarbiemu; sprawa być musiała *magni momenti*, ważna.

Opadły mu ręce.

— Masz tobie! — rzekł w duchu — nie mówiłem?

Podkomorzy w istocie nie mówił nic, lecz zwykł był wyrażenia tego używać, pocieszając się w każdym kłopocie przenikliwością swoją.

Bądź co bądź, potrzeba było zacząć czytać. Operacyja ta niewprawnemu podkomorzemu, który i z powodu oczów i dla wstrętu do papieru, zawsze się kimś posługiwał, nie przychodziła łatwo z drukowanego, a cóż dopiero z tych

zygzaków kancelaryi podskarbiego, którego *„amanuensis“* grzebał jak kura.

Wereszczaka, któremu przed chwilą było zimno, potnieć zaczynał, a nie stało się to od ognia rozpalonego na kominie, bo Jasiek ledwie go rozdmuchał, lecz z niezmiernego wysiłku wszystkich władz umysłowych, jakiego odczytywanie i sylabizowanie wymagało.

Przerywał sobie tylko.

— A niech-że go! Oto pisze! Cóż to znowu jest? Niema końca.

Sprawa była skomplikowana dosyć. Nie szło o sejmik, ale o dawny proces z powodu zbiegłego poddanego, którego tożsamości Fleming dowodził, a podkomorzy przeczył.

Rzecz ta uśpioną była przez czas jakiś, teraz ją wznawiano.

Pomijając to, że sama rzecz niemiłe czyniła wrażenie i groziła procesem, potrzeba było odpisać.

Przenikliwy podkomorzy odgadywał, że wznowienie pretensyi było tylko sztuką, ażeby kosztem umorzenia jej pozyskać sobie na sejmiku poparcie.

Należało więc tak odpisać, aby i nie dać poznać, że się zwąchało pismo nosem (wyraził się podkomorzy) i podrożyć się... a potem..

Podparłszy się na łokciu, Wereszczaka dumał i wzdychał długo. Zwlekać z odpowiedzią i po dniu, albo dwóch dopiero, wysłać ją drugim umyślnym do Terespolu nie wypadało.

Dowiodłoby to, że się zbyt namyślano i strwożono. *Stante pede* należało odpowiedzieć.

W tem był sęk.

Nadchodził czas wieczerzy, po jedzeniu zaś miał Wereszczaka za stałe prawidło wstrzymywać się od wszelkiej pracy umysłowej, oprócz wieczornego pacierza.

Trzymał się też reguły starożytnej: *mille passus meabis* i chodził, pisać więc nie mógł.

Musiał natychmiast zasiąść do listu, wieczerzę odroczyć, kieliszkiem tylko ratafii się pokrzepić i zbyć się tego licha.

Zawołał Jakóba, który stanął u progu.

— Słyszysz, stary — rzekł — ten list przeklęty od podskarbiego! Oto mi w porę! Muszę zaraz odpisać... a tu wieczerza, a ja po wieczerzy nie mogę.

— Niech z tą kolacyją zaczekają, czy co?

Jakób ręką zamachnął.

— A toż kaczka na rożnie—rzekł -to się w niwecz spali.

— Bodajby go z tym listem — zamruczał podkomorzy i dodał z heroizmem: — No, to niech się spali. Kat ją bierz... Daj mi kieliszek ratafii, z wieczerzą czekać.

Wereszczace, gdy tym tonem mówił, niepodobna było już żadnych czynić uwag. Jakób poszedł po ratafiję.

Podkomorzy przygotowywał odpowiedź swą, nie szła mu..

Natchnienia nie miał. Dać je mogła ratafija ale różnie i z tem się trafia. Bywa, że co ma pokrzepić, to w głowie zamęt sprawi.

Jakób przyniósł chleb, sól i flaszkę owej ratafii, którą podkomorzy badawczem okiem zmierzył, bo mu się coś zdawało, że ostatnią razą we flaszce jej zostawił więcej.

Podejrzenie padło na Jakóba, lecz czasu nie było się o to spierać.

W chwilkę potem, zakąsiwszy chlebem, w istocie uczuł podkomorzy, iż w głowie mu się wyklarowało...

Wyrazy i wyrażenia ustawiały mu się jakoś zręcznie, przybiegały na zawołanie, wiązały z sobą pięknie; uśmiechał się niektórym z nich.

A chociaż listby był mógł w takiej chwili natchnienia zaimprowizować śmiało, ponieważ szło o sprawę z podskarbiną, bezpieczniej było i namyśleć się i brulijon sobie zostawić. Raptularz taki przydać się może.

Szło więc już tylko o pisanie.

Stęknął biedny Wereszczaka, bo ręce miał zawsze trochę nabrzękłe i pióro brał ze wstrętem. Lecz *dura necessitas*.

Otworzył szufladę, w której zawsze bywało kilka arkuszy papieru, jeśli nie rygałowego, to

wcale przyzwoitego... Spojrzał, wpuścił rękę, dobył, ale zamiast białego — siny, prosty, gruby, regestrowy, na którym wstyd było odpisywać.

Gorączkowe wypróżnienie szuflady z łona jej wydobyło nożyczki stare, kłębuszek wyporków, nawinięty na asa kierowego, kawałek wosku, naparstek podkomorzyny, dwie stare koperty, już na kwitki do arendy poobrzynane i lineał.

Papieru białego ani śladu.

Krzyknął podkomorzy: — Jakób! — aż na drugim końcu domu wszystko się poruszyło — Jakób!

Stary, którego już odroczenie wieczerzy podrażniło, wszedł nadąsany.

— Gdzie papier? papieru niema? Gdzie się mógł podziać? kto śmiał ruszyć? Sześć arkuszy tu, w tej szufladzie, sam włożyłem.

Jakób o papierze nie wiedział wcale, pobiegł po Dorotę. Dorota zaklinała się wcześnie, że z papierem nie miała do czynienia nigdy, a na wielkanoc pod placki, oprócz starych regestrów, żadnego innego nie brano. Być wszakże mogło, iż pani podkomorzyna, obawiając się nadużycia, zamknęła go do swojej komody, której klucz wzięła z sobą.

Wereszczaka w taką już wpadł rozpacz, iż Jaśka natychmiast wykomenderował na wieś po ślusarza, aby komodę otworzył gwałtem—Dorota protestowała — nie pomogło. Jasiek już ruszał, gdy Jakób poważny i milczący z drugiego pokoju przyniósł znalezione prawdziwem jasnowidzeniem trzy arkusze papieru, które w stoliku samej podkomorzyny spoczywały.

Było ich tylko trzy... lecz mogło się to później wyjaśnić, podkomorzy ochłonął i siadł...

Rozkazał Jakóbowi przynieść kałamarz.

Sprzęt ten, rzadko bardzo będący w użyciu, szeroki u dołu, z szyjką zwężoną, zwykle zatykany korkiem, stał zawsze od czasów niepamiętnych na komodzie w sypialni. Jakoż znalazł się w swem miejscu, zapylony, ale bez korka...

Pomimo szkła ciemno-szafirowego, z którego był odlany, przeciw świecy okazał się próżnym, atramentu nie było w nim ani kropli.

Lecz na to znany był sposób, wlewało się trochę wody ciepłej, a osad na dnie przyschły dawał wcale przyjemnej barwy ciecz szarawą, z pruszynkami pyłu, która na papierze przybierała kolor niezdecydowany, lecz czytelny. Dorota podjęła się wskrzeszenia inkaustu.

Teraz dopiero Wereszczaka przypomniał sobie, że oprócz papieru i atramentu, potrzeba było koniecznie pióra do pisania. Jakób poszedł ich szukać i znalazł dwa. Jedno z długim ogonem białym, pokaźne na oko, lecz gdy mu się Wereszczaka przy świecy przypatrzył, okazało się tragicznie rozdarte na dwie części i każda z nich wykręconą była tak, jakby zaprzysięgła, że papieru nigdy nie dotknie.

Drugie pióro, mało obcięte, jak więźniom głowy strzygą, było długie, wyglądało na dające się zużytkować, lecz rozeschłe, starte na końcu, nie spuszczało wcale i pierwszym jego owocem był żyd, którego podkomorzy, papieru żałując, po studencku językiem zlizał.

Splunął zaraz, lecz smak mu pozostał potem tak niemiły, że musiał sobie kazać dać kapkę ratafii i chleba z soli pruszynką. Dopiero to przeszło.

Zamachnął się już poczynać raptularz i Jakób uspokojony szedł do progu, gdy krzyk się dał słyszeć, który podkomorzy tylko w chwilach zupełnego zapomnienia się wydawał:

— A! wciornastkiby cię...

Jakób stanął.

— Nie pisze, szelma!

I cisnął w stół piórem tak, że gdyby nawet potem chciało mu się akomodować, nie mogłoby, gdyż zdruzgotał je w kawałki.

— Biegaj mi zaraz do ekonoma na folwark... pióra! na rany boskie! pióra! Żeby też w domu jednego poczciwego pióra nie było! A to skaranie! a to nieszczęście jakieś! ..

Jakób wyprawił Jaśka po pióra, a chłopiec nie miał zwyczaju się spieszyć. Przy tem spra-

wa z ekonomem przedstawiała, mimo prostoty swej, niektóre trudności wykonania.

Ekonoma nie było w domu. O tych absencyjach jego wieczornych, ponieważ był nie żonaty, chodziły wieści różne, zwyczajnie plotki. Oficyjalnie zaś ekonom miał się znajdować u arendarza z powodu wątpliwości o wódkę, znajdującą się w beczce. Posądzano go o dolewanie pokryjomu sprowadzanej.

Jasiek więc musiał biedz do karczmy, a karczma znajdowała się o dobry kawał od dworu. Przyszedłszy tu, ekonoma nie zastał, tylko co się oddalił, lecz gdzie był, nie wiedziano.

Tymczasem podkomorzy klął, a że upływały kwadranse, wpadł na pomysł genialny pisania raptularza ołówkiem.

Egzystencyja ołówka w domu, mytyczna trochę, nie dawała się dowieść.

Dorota przysięgała, że raz tylko maleńki kawałek jego widziała, którym, śliniąc go mocno, deseń na perkalu panna Petronela rysowała. Nie wiadomo jednak było, czy ołówek ten jej był własnością, czy skarbową.

Jakób mówił odważnie, że ołówka nie znał żadnego, bo nikt go tu nie potrzebował.

Podkomorzy przypomniał sobie, iż coś walającego się w szufladce, podobnego do ołówka, na swe oczy widział.

Strzęsiono wszelkie możliwe kryjówki, w których ołówek miałby prawo spoczywać – nie znaleziono nic.

Tymczasem co się działo z ową kaczką, już na rożnie będącą, strach pomyśleć.

Jasiek wrócił w dobre pół godziny, ze trzema piórami, używanemi, zamazanemi, z których jedno zalecał ekonom szczególniej, jako piszące dobrze, lecz zawczasu zastrzegał się, że on sam nigdy piór temperować nie umiał, scyzoryka po temu nie miał i zwykle pióro dostawał od krewnego swego dominikana w Brześciu.

Przeciwko świecy wzięte pióro owe polecone, jako dobrze piszące, zdawało się mieć wszelkie warunki wymagalne. Ani zbyt spisane, ani zbyt świeże, z nosem trochę przytartym, rozłupane miernie, wyglądało sobie na przyzwoite pióro ekonomskie.

Podkomorzy umoczył je, otrząsnął, przyłożył do papieru – pisało! Odetchnął.

Cienkich rysów nie można było nim nakreślić, ale z gruba, równo mazało znośnie.

Natychmiast Wereszczaka wystylizował: „Jaśnie wielmożny podskarbi dobrodzieju, mnie wielce miłościwy panie a bracie!“

Lecz tu był sęk. Fleminga niektórzy zwali grafem, inni ze względu, iż w Polsce równość szlachecka tytułom się przeciwiła, tego saskoniemieckiego atrybutu odmawiali mu.

Nie ulegało wątpliwości, iż graf musiał Flemingowi smakować, z drugiej strony było to przylizywanie się magnatowi, o które nie chciał być posądzonym Wereszczaka.

Położył pióro i uderzył w palce.

— Niech go kaczki, dać mu grafa, kiedy mu to miłe.

Skasowawszy więc intytulacyję, napisał na nowo:

— Jaśnie wielmożny grafie, panie podskarbi dobrodzieju, mnie wielce...

Znowu sęk. Miał-li grafa nazwać bratem? Ten tytuł nie dopuszczał już braterstwa.

Wereszczaka wstał zmęczony i przeszedł się parę razy po izbie.

Potniał, na zegarze było w pół do dziewiątej. Kaczka — nie chciał myśleć o kaczce, choć była to cyranka, po której palce sobie oblizywać.

Musiała się spalić na węgiel.

Siadł do pisania, lecz sprawę tytułu braterstwa i tak odkładając na później, począł układać raptularz dalej.

Myśli, które w pierwszej chwili po ratafii tak żwawo i ochoczo mu przychodziły, znikły gdzieś, pochowały się, szło jak z kamienia.

— „Zaszczycony szacownym listem J. W. Pana, dla którego estymacyi mojej i wysokiej weneracyi zawsze...

Znowu sęk.

Czy weneracyja powinna była być głęboką, czy wysoką? Podkomorzy zaciekał się, splątał i zaczęło mu się robić na przemiany zimno i gorąco.

Rozstrzygnięcie między wysoką a głęboką mógł tylko stanowić *usus*, potrzeba więc było szukać w listach. Wereszczace zrobiło się zimno. wolał już cały ten początek obrócić inaczej. Zmazawszy więc, rozpoczął na nowo.

Nie dalej, jak w czwartym wierszu, zaszła trudność nowa; utknął.

Położył pióro, westchnął, wtem wszedł Jakób i chrząknął.

— Cóż będzie z kolacyją?—spytał.

Wyglądało to na urągowisko — krew się w nim poruszyła.

— A idź-że ty mnie, trutniu, do kroć sto tysięcy!... nie przeszkadzaj, słyszysz?

Mężny Jakób nie wahał się jednak dodać:

— Blizko dziewiątej.

— Choćby i dwunasta była!—zawołał podkomorzy i pochylił się nad stołem.

Lecz przerwa w pracy umysłowej, ciąg myśli rozbity, przytem samo poruszenie gniewne działa zwykle fatalnie. Podkomorzy pogubił wszystko, co miał już przygotowanem, połapać się nie mógł, odczytał, co napisał, dalej ani rusz. Jednym zamachem przekreślił całą robotę swoją i zniszczył ją. Musiał począć raz jeszcze na nowo.

Szło nadzwyczaj tępo, stało przecież półczwarta wiersza ukośnie i fantastycznie nagryzmolonych, tak że jedne od drugich uciekać się zdawały, bo podkomorzy, pojechawszy zanadto do góry, posuwał się potem nadto w dół, powracał do pierwszego i t. d. Wtem, odczytując redakcyję tę, która mu się nową wydała, postrzegł się, że powtórzył tylko najpierwszy swój koncept. Zdumiało go to, bo nie miał poczucia plagijatu, popełnionego na samym sobie.

Rozmyślał więc, jakim trybem się to stać mogło, a czas upływał.

Listu jak nie było, tak nie było, bo to, co raz się wydało złem, pomimo recydywy, znajdował podejrzanem.

Pot kroplami spadał mu z czoła, czynił wymówki opatrzności, która go naraziła na tak nieprzyjemny wysiłek. Czekał natchnienia—nie przychodziło.

Upokorzony, ze smutkiem w duszy, pochylił się i rozpoczął czwarty raz, dając sobie słowo, że bądź co bądź wypadnie, nie będzie się już wysilał nadaremnie i *praeter propter* odpowiedziawszy, wyśle podskarbiemu, co Bóg da.

Tym razem po słowie, zwolna stawiąc, kreśląc, zmieniając, o pół dziesiątej dokończył mozolnie sklejoną odpowiedź.

Odczytując, chociaż nie był nią zaspokojony, znajdował uchodzącą. Jasną nie była, ale interes wymagał, aby wątpliwości rzucić umyślnie. W kilku miejscach styl do życzenia coś zostawiał, lecz do piękności wysłowienia podkomorzy nie miał żadnej pretensyi. Szło o to, aby czarno na białem przeciw sobie nie wydać świadectwa.

— Pal go licho!—rzekł, wzdychając—jeżeli nie zrozumie, niech głowę łamie. Moja rzecz odpisać, a jego tłumaczyć sobie i ciągnąć z tego konsekwencye, jakie chce.

Szło tedy teraz już tylko o przepisanie.

Podkomorzy obciął trzęsącą się ręką papier nie zupełnie równo, poprawił linije krzywe i zasiadł, trzymając w lewej ręce raptularz za świecą, a prawą rozpoczynając, „Jaśnie...

Papier nie przytrzymywany, poruszeniem ręki prawej pociągnięty, zjechał na dół, a „Jaśnie Wielmożny" niepostrzeżenie ruszył tak szpetnie w górę, że oparł się na samej krawędzi.

Wereszczaka zajęty kaligrafowaniem, nie widział co robił, i pióro dopiero spadające na podłożony arkusz, oznajmiło mu, że się zaawanturował.

Ćwiartka papieru była zepsutą.

Wprawiło to Podkomorzego w taką rozpacz, że, nie zważając na to, iż się przydać mogła na

notatki, kwitki, na pomniejsze listy, zdusił ją w garści namiętnie i cisnął w komin.

Papier, jak wiadomo, jest rzeczą zapalną. W zetknięciu z ogniem zajął się płomieniem, i stoczył na posadzkę tak nieszczęśliwie, że, nim Podkomorzy ruszył się z krzesła, zapalił zwieszoną ku ziemi serwetę na stole.

Ogień ten potężną garścią zdusił zaraz Wereszczaka, ale co się z nim działo, niepodobna opisać. Szalał po prostu.

Ręce mu się tak trzęsły, że obcięcie drugiego półarkuszka przyszło z większą jeszcze trudnością, niż pierwszego, a po brzegach był powykąsywany obrzydliwie.

— Niech sobie kancelaryja się śmieje – mówił w duchu — nie jestem tak wielkim panem, żebym trzymał gryzipiórków, skryptorów, darmozjadów...

Tym razem tytuł wyszedł, z opuszczeniem jednej litery niedostrzeżonem—jako tako. Podkomorzy spieszył się, bo nawykły do regularnego życia, obdarzony apetytem znakomitym, czuł głód nie żartem. W żołądku odzywały się głosy, owo charakterystyczne burczenie, które było jakby przemówieniem natury do sumienia! Trzeba było jednak naprzód raz koniec położyć temu nieszczęśliwemu pisaniu.

Do połowy szło jako tako, gdy zmuszony uciec się do chustki do nosa i przerwać kopijowanie, Wereszczaka ani się opatrzył, jak pół wiersza już napisanego, powtórzył *iterum*...

Dopiero kończąc ten duplikat, powziął podejrzenie.

— Masz tobie!

Nastąpiła chwila zwątpienia takiego, że ktoby był naówczas poczciwego Wereszczakę zobaczył, miałby litość nad nim.

Przepisywać raz jeszcze?– nie miał już siły. Przemazać te wyrazy, było to przyznać się do błędu, i obrazić Podskarbiego wysłaniem pisma tak niedbale wykonanego.

Podkomorzy powiedział sobie, że mógł to gnorować.

Zresztą powtórzenie wyrazów, ściśle wzięte, nie było tak wielkim grzechem.

Jednakże, siadając pisać dalej, Wereszczaka narzekał na los, który mu się dał rodzić w epoce, gdy listy ludzie pisać musieli.

Wrażenie tego usterku tak podziałało na rękę jego, że prawie wyrazu jednego nie mógł napisać teraz, któryby coś do życzenia nie miał. Jednym brakło liter, drugie nadto stały ściśnięte, inne zbyt luźne. O interpunkcyi mowy nie było, gdyż Podkomorzy zawsze ją uważał za zbyteczną. Pieścić tak czytelnika, żeby mu pokazywać, gdzie się miał wstrzymać, gdzie głos zawiesić, gdzie się myśl jedna kończyła, druga poczynała -- znajdował Wereszczak rodzajem rozpusty.

Do końca pierwszej stronicy dojechawszy, odetchnął. Spojrzał na dokonane dzieło. Nie wyglądało ono wprawdzie lepiej nad inne współczesne, ale też nie gorzej.

— Ujdzie — rzekł w duchu — pal go tam... z elegancyją...

Wziął pióro w rękę i razem półarkuszek dla odwrócenia go, spostrzegłszy dopiero, że grubego pióra rysy nie były jeszcze suche.

Tak się już czuł znękanym i był nieprzytomnym, iż jakimś studenckim dawnym zwyczajem bezmyślnym, jak gdyby piaseczniczkę miał przed sobą, z najzimniejszą krwią atrament wylał na papier. Postrzegł zapóźno swój błąd i krzyknął.

Z kałamarza wytoczyła się rzeczułka czarna i kreśląc kilka meandrów na papierze, a słuchając prawa ciężkości, z arkusza listowego polała się na czysty, a z niego na kolana Podkomorzego...

Wereszczaka dłonie załamał, podniósł oczy Jakób skrzywiony stał przed nim. Pokazał mu co się za nieszczęście przytrafiło, lecz niepodobieństwo było temu zaradzić, bo pod ręką miał tylko Jakób serwetę, a wiadomo, jakiej reputacyi zażywają plamy atramentowe. Ruszył p ścierkę.

Wereszczaka zdrętwiały i zrezygnowany siedział—czekając. Jasiek ze ścierką, i to starą, Jakób dla dozoru, a Dorota przez ciekawość ze stoczkiem w ręku zjawili się przy stoliku.

Tymczasem Wereszczaka w stoliku dopytał kawałka bibuły, i list nią uwalniał od resztek powodzi atramentowej; decydowany trzeci półarkuszek obcinać i pisać nanowo.

Nikt nie zaprzeczy, że dawał dowody anielskiej cierpliwości.

Już miał zabrać się do pisania, gdy Dorota, jak wszystkie niewiasty, przewidująca, wzięła do rąk kałamarz, i naprzeciw świecy patrząc, przekonała się, iż suchuteńki był, atrament z niego wylał się do kropli...

— A co?—zapytał z obawą Podkomorzy.

— Nie ma nic...

— Dolać wody... ciepłej—rzekł Wereszczaka—albo z listem, na folwark do ekonoma posłać po atrament.

— Gdzie u niego atrament! — zamruczała zostająca w niedobrych z nim stosunkach panna Dorota i wyszła.

Podkomorzy miał czas odetchnąć.

Zegar wybijał dziesiątą.

Tymczasem papier został ostrzyżony na nowo. Podkomorzy nie tracąc chwili, usiadł tak gotów, że mu nic nie pozostawało, tylko pióro umoczyć. Jakoż zanurzył je natychmiast, lecz był to dzień feralny (kalendarz stary, stuletni, świadczył o tem), panna Dorota przepełniła już poprzednio spłukanego staruszka i miasto atramentu, stał się barszcz, jak mówił Podkomorzy.

Dorota utrzymywała nadąsana, że właśnie taki blady atrament najlepiej czernieje, zresztą innego nie było. Siadł pisać Wereszczaka, chociaż pismo zaledwie było znaczne.

— Pal go, niech sobie oczy psuje! Co mi tam!—rzekł w duchu Podkomorzy—pisać moja rzecz, jego czytać.

Tym razem szło nierównie lepiej, ręka nieco nabyła wprawy przez poprzedzające próby, przy odwracaniu stronicy zachował wszelkie należyte ostrożności, dobił się aż do respektu i estymacyi z którą zostawał, zakreślił zygzak ku dołowi, podpisał się z tytułem i *manu propria*, położył datę... odetchnął...

Odczytać list nie było sposobu, lecz nie czuł się też Podkomorzy w obowiązku.

Teraz szło już tylko o skrojenie koperty, której teoryja była znaną Podkomorzemu, lecz w praktyce nastręczało się trudności nieprzewidzianych mnóstwo. Stare nożyczki, których bez miłosierdzia wszyscy nadużywali, krajały jeszcze, nie tak jednak gładko i równo, jakby były powinny.

Koperta wyszła fantastycznie i krzywo, lecz tem się już Podkomorzy nie frasował. Sygnet herbowny na krwawniku, *ut ducet* rżnięty, miał na palcu. Szło o lak.

Klasnął w ręce na Jakóba.

Stary przywlókł się z posępną twarzą.

— Nie wiesz gdzie lak?

-- Jaki?

— Głupi! a jakiż ma być? Lak do pieczętowania... bałwan!

— Laku u nas dawno niema — odparł Jakób spokojnie.

— Jakto niema!

— Bo wyszedł - mówił sługa.—Pani Podkomorzyna ostatni raz gdy chciała pieczętować list do kanonika, to wiem, że odrobinę znalazłszy, na pióro nasadziła, żeby palców nie popiekła i pióro osmoliła... a na pieczątkę nie starczyło...

Dzień był najwyraźniej feralny.

Podkomorzy zażądał opłatka. Był to jedyny surogat możliwy; Dorota znalazła szczątki czerwonego na komodzie i Wereszczaka się wziął do zalepiania koperty...

Dzieło to nie zupełnie się szczęśliwie powiodło, lecz szło o to, aby się do Terespola trzymały z sobą końce. Drżącą ręką położył adres podkomorzy i głosem grzmiącym zawołał o wieczerzę. List do jutra rana miał pozostać na stoliku, gdyż atrament był tak blady, iż należało po dniu sprawdzić czy zczernieje, wedle zapewnienia Doroty.

Kluseczki na mleku, przydymione, zjadł Wereszczaka z apetytem, po nich nastąpiła wysuszona cyranka, którą na głodny ząb przyjąć było potrzeba. Podkomorzy wstał, przeżegnał się i z przerażeniem spostrzegł, że on, co regularnie po pacierzach o godzinie dziewiątej bywał w łóżku, miał jeszcze przed sobą *mille passus* i pacierze, a na zegarze północ dochodziła...

A no! dobrze że się jeszcze i tak skończyło.

Wróciwszy do pokoju, w którym list leżał na stoliku, chcąc się przekonać o czernieniu atramentu, Wereszczaka wziął go do rąk i dostrzegł tylko że... przeciwnie, atrament jakby pobladł... Ale nie mogło to być, po dniu się on musiał wydać inaczej.

Jak potem zasnął znużony, jak okrutnie chrapał, jakie miał sny, w których przypominało się owo pisanie, opowiadać nie widzimy potrzeby. Obudziwszy się rano, pierwszą myślą było odprawić posłańca... Zaledwie się przeżegnawszy, pobiegł do pokoju, chwycił przygotowane pismo i z nim pospieszył do okna.

Okulary wziął, nałożył... patrzy... adresu położonego ani śladu .. atramentu ani znaku, papier przybrukany, więcej nic.

Uniósł się niepotrzebnie Podkomorzy i w drobne kawałki podarł wczorajszą pracę.

— Jakób, Jakób!

Jakób z nieodstępnym Jaśkiem biegli oba...

— Posłańca z Terespola mi wołaj!

— On tu już w kredensie czeka od rana...

Podkomorzy w palcach dusił dobytego z sakiewki najpaskudniejszego tynfa, jakiego miał.

U drzwi stał kłaniając się poseł.

— Kłaniaj się, moja duszko, panu Podskarbiemu i powiedz, że ja z odpowiedzią ustną sam przyjadę...

To mówiąc, wręczył tynfa posłańcowi i dodał:

— Każ-że sobie dać półkwaterek gorzałki!.

Tak skończyła się ta historyja, w życiu pana Wereszczaki pamiętna, listu do Podskarbiego, a gdy pani Podkomorzyna wróciła, miała czego słuchać, bo wszystkie tragiczne jej przejścia opowiedział żonie i długo, długo wydychać jej nie mógł.

J. I. Kraszewski. (p. t. I s. 350).

* *Do pana Abrahama, ex re kupionych dóbr ziemskich na licytacyi.*

Abrahamie! puchu marny, ty wietrzna istoto!
Nieraz grzmiłeś przez zaspy, zawieje i błoto,
Nieraz się namartwiłeś, nakręciłeś głową—
Jak generał Benedeck w bitwie pod Sadową.
Nieraz się nawłóczyłeś po tym głupim świecie.
Aby zebrać to wszystko, co masz w portmonecie
Ileż to było obaw, nadziei i trudów,
Ile to wyczekiwań, utrapienia, nudów,
Zanim ci pozwoliły Jehowy niebiosa,
To, co dzisiaj posiadasz, wpakować do trzosa.
Kieszeń twoja, to dla nas nieprzebrana studnia,
Kiedy się prędko zbliża pierwszy tydzień Gru- [dnia,
A ex-dziedzic dóbr ziemskich, jak zmarznięty [kołek,
Jak każdy z nas, stroskany i chudy pachołek,
Oczekuje wyroku, co się wkrótce stanie?
Przyjmij zatem słów kilka łaskawy Abramie,
Pan Bóg co błogosławi, może nas verlassen;
Boć man muss leben przecie, und soll leben [lassen.
A choć ci wystawiają dobra w pięknem świetle,
Głupstwo wszystko, jak dyjabli wezmą banko- [cetle.
Co ci po gospodarstwie w takim ciężkim czasie?
Dzisiaj śpiewasz ot sobie cicho po szabasie,
Macając swe kieszenie z wesołem obliczem,
Ale kiedy zostaniesz dóbr ziemskich dziedzicem,
Jak spojrzysz, jako dziedzic, na ten płaczu padół,
Nos, coś nosił do góry, musisz zwiesić na dół;
Zaśpiewasz gorzkie żale i Veni Creator,
Jak zajrzy przy szabasie w dom twój sekwe- [strator,
Podrapiesz się po głowie i mina ci zgaśnie,
Jak zagrzmi w ciężkiej chmurze, jasny piorun [trzaśnie,

Grad sypnie tak, jak z'worka, lunie nawałnica—
Bo to są przyjemności wiejskiego dziedzica.
Prawda—czasem dziedzicom trybularzom kadzą,
Ale lepiej posłuchać, kiedy dobrze radzą,
Kiedy człowiek wyjść może z interesu z chwałą,
Kiedy będzie wilk syty, owca będzie całą.

Świderski Faustyn z powołania rolnik, humorysta szlacheckiego autoramentu, pisał specjalnie wierszem, był jednym z założycieli i głównym współpracownikiem „Wolnych żartów", w których pisywał pod pseudonimem *Bociana z nad Narwi.* Zmarł przed paru laty, a po zamknięciu „Wolnych żartów" zasilał swem piórem wszystkie prawie nasze pisma pod pseudonimem *Ex-bociana.* Jest on ojcem znanego komedyjopisarza Leopolda Świderskiego.

* W pewnym domu w Wiedniu, wyłącznie przez finansowe potęgi i giełdowe wielkości odwiedzanym, grało wieczoru jednego trzech panów w wista; czwarty przyglądał się grze, i niebawem się oddalił. Partyja była skończoną, grający powstali i wyszli. Jeden z nich, młody, silnej budowy mężczyzna, począł wciągać palto, robiąc przytem osobliwe ruchy, podnosił i wyciągał ramiona, jakby mu było za ciasno; a jednak to był jego własny surdut, tenże kolor, te same guziki, kieszenie i mimo to wszystko, jakoś mu niewygodnie w nim było. Sięgnął do kieszeni zaniepokojony i odetchnął swobodniej znalazłszy w niej list, którego za żadne skarby by nie oddał, ani zgodził by się widzieć w cudzych rękach.

Wyszedł. W przedpokoju wyjął list z kieszeni, popatrzył nań z nieopisaną czułością, przycisnął do ust. Potem go otworzył, by raz jeszcze spojrzeć na ukochane pismo, godzinę i miejsce schadzki wrazić sobie w pamięć.

Ale o nieba! to nie był ten sam list, to było inne, znane mu dobrze pismo, treść jednak ta sama. Rumieniec gniewu przemknął po jego obliczu, grube krople potu wystąpiły na czoło, stał jak piorunem rażony. Konwulsyjnym ruchem zmiął list w zaciśniętej pięści. Tego było już za wiele!

I znowu uczuł krople potu, występujące mu na skronie. Co się stać mogło z tamtym listem? W czyje wpadł ręce? Szło tu o cześć kobiety, wysoko w opinii stojącej! Ten cios dał mu prawie zapomnieć o własnem cierpieniu. Przeczytał adres listu, własnym oczom niedowierzając.

Wtem śpieszny chód dał się słyszeć, drzwi rozwarły się z trzaskiem i wpadł przez nie blady jak trup, drżący na całem ciele mężczyzna, ten sam, który się grze przypatrywał, a którego widok jak najmniej teraz był pożądany gdyż był to mąż ukochanej przez naszego bohatera kobiety.

— Nikczemny uwodzicielu! — krzyknął, chwytając go za piersi i list mu do oczu podnosząc. —Musisz mi dać zadosyćuczynienie!

— Najprzód muszę panu oddać jego palto — odrzekł z zimną krwią napadnięty —w którem ten oto list znalazłem.

Napastnik znał widocznie treść listu. Zmieszany, zagryzł usta. W końcu obaj parsknęli głośnym śmiechem.

Mieli się z czego śmiać, obaj bowiem miłosne bileciki swych żon, jeszcze przed nastąpieniem pierwszej schadzki przeczytali.

* *List ekonoma do dziedzica.*

Co do kasztanka, według zlecenia Jaśnie pana, którego kazałem okuć na obie przednie nogi, ten już sprzedany, kwotę odebraną przesłałem Jaśnie pani, która była w trzyrublówkach.

Chociaż Jaśnie pani kazała sprzedać i siwkę, której rozkazy są dla mnie tak szacowne jak samego Jaśnie pana, lecz kupców na nią nie było. Racz jasny pan mnie zainformować, czy jabłka zakupione dla panienek, które już przejrzały i pomarszczyły się, mam takowe przez idące konie przysłać pannom, które teraz dla oszczędności nie jedzą owsa, tylko prawie samym wywarem żyją.

Najniższy sługa
Kacper Gawronowski.

* *List handlarza bydłem do rzeźnika w Warszawie.* (Przedruk z przedruku).

Przyjacielu ogromne cielę, panu kupiłem. Woły otrzymujesz pan że serce tryska tęgie i zdrowe jak cała familija moja która się kłania. Na św. Michał przyślę panu bydło w dwóch listach; naznaczyłeś pan przecież ten termin. Bydło wypasane! Krowa jak pańska żona, obstalowała.

Moje kozy są tego roku schudniałe wieprze, na drugi tydzień mogę panu odpuścić partyję moich flaków. Barany tymczasem zatrzymam w pugilaresie, mam weksel na pana. Moja córka ma ogromne nogi, do sprzedania. Kończąc nareszcie posyłam panu wiele ukłonów od mojej żony i córki, ważą one około 9 centnarów i stają na Pradze.

Najniższy
Maciej Osioł wczoraj mi zdechł.

Świąteczny.

Listonosz.

* *Listonosz myśliciel.*

Było to z rana.

Pan X., literat, leżał jeszcze w łóżku i z wysileniem szukał w mózgu materyjału do feljetonu.

Wtem wszedł do pokoju listonosz, znany w Warszawie gawędziarz i oddając list panu X., rzekł z uśmiechem:

— He! he! to zapewne liścik od ładnej kobiety.

— A tobie co do tego—odparł pan X.

— E! bo ja się znam na listach.

— Cóż ztąd?

— Ha! znając się na listach, znam się także na kobietach i mógłbym panu coś o nich powiedzieć.

— I cóż mi powiesz?

— Oto proszę pana, zastanawiałem się nad kobietami bardzo długo i doszedłem do przekonania, że kobieta i list, to jedno.

— Jakim sposobem?

— Bardzo prostym. I tak: kobicta zamężna, to list doręczony według adresu; panna, to list jeszcze niewyekspedyjowany, a stara panna to list, który nie znalazł adresanta.

Pan X. zerwał się z łóżka, rzucił się na szyję listonosza, poczem pobiegł do redakcyi, wołając z radością:

— Mam feljeton!

Tym sposobem najzwyczajniejszy listonosz stał się autorem gazeciarskiego artykułu.

Świąteczny.

Liść.

* *Liść figowy.*

Ach, miała ona postać knidyjskiej Wenery!..
Jakby gwiazdy, świeciła cudnych ócz jej para,
Zapatrzona w błękitów nieba górne sfery...
A na białych jej ramion marmur di Carrara
Spadał jasnych i miękkich splotów chaos płowy
I osłaniał jej śnieżne, falujące łono...
Miała postać anioła, majestat królowej;
I na model piękności była snać stworzoną—
Bo uśmiech jej ubarwiał świeżych ust malinę,
Bo miała kokieteryję egipskiej Almei,
I powaby, i wdzięki bladolicej Fryne,
Połączone z tebańskiej kształty Radopei!..
Lecz milcz, pieśni ognista, nie bądź nazbyt [śmiała!
Com już wyrzekł—przepadło! wyrzekłem i kwita!
Dość jej wdzięki uwielbiać!.. Chwała pięknej, [chwała!
Bom na cześć jej wyśpiewać ja wszystko goto- [wy...
Byś ty, pieśni, jak ona była przyzwoita,
Więc w tem miejscu i tobie kładę... liść figowy!

* *Co mi opowiedział listek opadły.*

Mama natura ubrała mnie w zieloną sukienkę nadziei, spodziewałem się więc, że życie moje przejdzie mi wesoło, że ptaszki pieśnią swoją do snu mnie będą kołysać, że rosa poranna okryje mnie zawsze swemi pocałunkami, a deszcz majowy ochłodzi po skwarnych uściskach słońca.

Niestety, zapomniałem o tem, że na świecie oprócz nas listków, są także i ludzie...

Nie myśl, żebym miał do ciebie pretensyję i żal, żeś mnie nadeptał przed chwilą. Inni, którzy mi nic złego nie zrobili, byli daleko gorsi...

Przeznaczenie przytwierdziło mnie na gałęzi tuż nad ławką w alei westchnień, dla czego tak nazwanej, nie wiem, albowiem westchnień nie słyszałem w niej wcale...

Słyszałem za to i widziałem wiele, wiele innych rzeczy...

Pewnego pięknego poranku usiadło przedemną dwóch siwych już i starych ludzi z kufelkami w ręku. Przywitali się, zażyli tabaki, naregulowali swoje zegarki i patrzeć zaczęli na przechodzące panienki okiem satyra.

— Cukiereczek—mówił z nich jeden, oblizując się, jakby po czemś niesłychanie dobrem...

— He, he, he—przywtarzał mu drugi, wytrzeszczając także o ile sił, zamglone już przez wiek oczy.—Na honor, że nie wytrzymam...

— Idź się pan napić wody, panie Salezy.

— A pan, panie Wojciechu?..

— No to dobrze, to chodźmy razem...

I drżącym krokiem udało się ku studni dwóch starców, którzy, o zgrozo, zamiast o grobie, o dziewczętach, co ja mówię, o dzieciakach prawie, między sobą wiedli rozmowę, która rumieniła ich obwisłe policzki i w szybszy ruch wprawiała ich bezzębne szczęki.

Zaledwie oni odeszli, na ławce usiadła inna parka.

On w niebieskim mundurku, ona w bronzowej sukience .. On miał lat czternaście ona trzynaście najwięcej.

— Panno Maryjo - mówił niebieski mundurek — nie uwierzy pani, jaki ja jestem szczęśliwy, żem panią spotkał... Mam pani tyle do powiedzenia... Udało mi się naciągnąć na trójkę belfra od matematyki i wczoraj wywołaliśmy naszą protegowaną jedenaście razy...

— Jak to musi być przyjemnie chodzić do teatru; mnie mama nie chce wcale brać z sobą, powiada, żem na to jeszcze dziecko... każe mi się bawić lalką, grać w zielone...

— A możebyśmy zagrali?

— Owszem, ale o co?

— Jak ja przegram, dam pani funt cukierków, a pani...

— Ja nie przegram, pan mi nie dasz przegrać, panie Józiu! I trzynastoletni smarkacz tak się spojrzał na niebieski mundurek, jak najwytrawniejsza kokietka... Józio zapłonił się po białka oczu...

Następnie nic nie odpowiedział, tylko zerwał dwa listki obok mnie wiszące i jeden z nich podał Mani, przyczem jej rączkę zatrzymał w swojej tak długo, aż dziewczę zapłoniło się z kolei...

Potem każde z nich poszło w swoją stronę, pewno do szkoły, a jam myślał długo o tem, co to będzie z czternastoletniego bębna, który *naciąga belfrów*, ma swoje protegowane w teatrze i ściska za rączki pensyjonarki .. Z zamyślenia dopiero obudził mnie płacz kilkoletniego dziecka, którego bona zajęta była bardzo żywą rozmową z jakimś naczelnikiem świeżego powietrza w Saskim ogrodzie...

Bonie powiedział reprymendę przechodzący tamtędy stary jegomość, za co dzieciak dostał parę klapsów i znowu zaniósł się od płaczu... a jam myślał o losie dzieci, wyprawianych do ogrodu pod opieką bon, które ze swej strony szukają opieki naczelników świeżego powietrza, dopóki same nie zostaną oszukane.

Za nadejściem zmroku jeszcze dziwniejsze wyprawiały się w mojej obecności historyje.

Przedemną siedziało zarumienione dziewczę którego serce przyśpieszonem uderzało tętnem, a do uszka słowa zdradliwe słał jej jakiś przedęty baryton.

— Antosiu, duszko, czemu mi nie chcesz, zaufać, spojrz w moje oczy, czy one kłamią?..

Spojrzałem przed Antosią... w oczach barytona wyczytałem coś niedobrego.

Zaszeleściłem tedy z całej siły.

Dziewczę przestraszone zerwało się z ławki.

— Puść mnie pan—rzekło—mnie już czas do domu, tam mnie czeka mama i mali trzej braciszkowie.

I bez pożegnania szybko ku wyjściu z ogrodu dążyć zaczęła...

Powinszowałem sobie mej odwagi, gdy usiadła podemną jakaś inna para.

— A cukierki? — zapytała osoba płci żeńskiej.

— Przyniosłem, a jakże! ale panna Mańka da mi za to buży..

— Fe, panie Izydor, wstydź się pan takie głupstwa gadać...

Gdyby nie moja odwaga, Antosia może stałaby się taką Mańką, zabraniającą gadać głupstwa panu Izydorowi.

Ale co ja tam będę pana nudził swojem opowiadaniem, dosyć, że widziałem kobiety bijące parasolkami mężczyzn, mężczyzn bijących kijami kobiety, procentowiczów oszukujących pośród zieloności i młodych dudków, oszukiwanych przez byle kogo .. Nareszcie upadłem na ziemię przed paru dniami, przestraszony strzałem, jaki się rozległ w ogrodzie.

Był to odgłos petardy, rzuconej przez jakichś smarkaczy, którzy nią chcieli nastraszyć ogrodowego stróża, a których szkoda, że dobrze nie nastraszono rózgą.

Nadeptałeś mnie pan nogą, ale nie mam o to żalu do pana i tak już uschłem ze zgrozy na to, na co się patrzeć musiałem, bo proszę pana, czyż to warto być listkiem w Saskim ogrodzie, w którym takie ciągle się dzieją historyje?

Nie zaprzeczyłem listkowi i poszedłem dalej. Czy listek miał racyję—odpowiedzcie sobie sami czytelnicy.

Gwynplaine.

* *Liść pokrzywy.*

. . . .

W tem miejscu protokulista kichnął. Zanim inspektor policyi zdołał wymówić: na zdrowie! dwie świece stearynowe zgasły.

Kopalski kichał silnie...

Ciemność zaległa izbę, w której prowadzono śledztwo.

Sołtys zawołał: baczność! i dwaj stróże nocni, pilnujący aresztowanych, skrzyżowali we drzwiach dwie pałki, celem przeszkodzenia możliwej ucieczce podejrzanych indywiduów.

Ohydna ciemność panowała w stancyi, *potworne* milczenie powiększało *okropność* chwili.

W atmosferze izby czuć było zbrodnię, ciemność powiększała zgrozę.

Kopalski sięgnął do kieszeni.

Przypomniał on sobie, że kiedyś nosił zapałki.

Tym razem nie włożył do kieszeni pudełeczka, w którem zwykł je nosić.

Ale nieprzewidziane są zrządzenia losu.

Protokulista szukał zapałek.

Macał po stołach i po stołkach, pragnął znaleźć choćby jeden kawałek fosforu.

Gdyby miał pod ręką pakę z dynamitem, nie wahał by się uderzyć w nią pięścią, aby rozjaśnić potworne cienie izby...

Sołtys byłby skrzesał ognia krzesiwkiem, ale w tej chwili zażywał tabakę.

Trudno było pogodzić dwie czynności tak sprzeczne...

Protokulista wciąż macał.

Nareszcie jakiś przedmiot miękki i lekki nasunął mu się pod rękę...

Uczuł kłucie w palcach i zdawało mu się, że schwycił nitkę zawikłanego kłębka zbrodni,

Nie widział, co trzyma w ręku, ale trzymał a im mocniej ściskał, tem przypuszczenia jego przybierały wyraźniejsze kształty.

Nie była to logika, nie był dowód, ale było przeczucie.

On znał ważność przeczucia.

Wiedział, że w każdej zbrodni należy szukać kobiety.

Teraz zdawało mu się, że trzyma tę kobietę za suknię.

Zdawało mu się, chociaż przedmiot, który trzymał w ręku, był kolący i niepodobny do sukni.

Trzymał w palcach ślad, wyraźny ślad zbrodni okropnej, której sprawcę, bądź co bądź, postanowił odszukać.

Ten ślad parzył go.

Ale protokulista był dzielny.

Pomimo bólu, nie wypuszczał z rąk śladu...

— Ognia! —krzyknął z wściekłością.

Zapalono świece.

Protokulista zbliżył się do stołu.

— Już go mam! – szepnął do inspektora policyi.

Inspektor spojrzał znacząco.

Protokulista złożył na stole liść.

Patrzył długo na zieloną jego powierzchowność i marzył o tem, jak nieraz małe rzeczy prowadzą do wielkich odkryć.

— Będę wielkim jak Lecoq—myślał sobie— a autor, który opisze moje odkrycie, wsławi się bardziej niż Gaboriau.

— Poprosić doktora—rzekł.

Po chwili lekarz wszedł do izby.

— Czy panu znanym jest liść tej rośliny?

— Bardzo dobrze.

— Nie wątpiłem o tem — rzekł Kopalski, spoglądając na inspektora, a potem zwrócił się do lekarza:

— Czy nie byłbyś pan łaskaw zadyktować do protokułu swe zdanie o tym liściu nieszczęsnym, uprzedzam pana jednak, że zdanie to jest niesłychanie ważnem, jesteśmy na tropie.... przed nami jest ciemny labirynt... przedewszystkiem więc—rzekł maczając pióro—co to jest za roślina?

— Należy do rodzaju pokrzywowatych, Urtica urens, pokrzywa parząca...

Protokulista zamyślił się.

— Przysięgam — rzekł — że zbrodnia nie mogłaby się ukryć w fijołku; obrzydliwą pokrzywę owiał *ohydny* oddech przestępstwa.

— Co więcej, panie konsylijarzu?

— Zdaje się, że to już wszystko, co mogłem o tym liściu powiedzieć; są jeszcze pokrzywy jawańskie i indyjskie, Urtica urentissima, crenulata, stimulans...

— Dosyć; jak dawno ten liść może być zerwany?

— Przypuszczam, że nad ranem.

— Akurat w godzinę zbrodni... Kto tu był o piątej rano?—zapytał protokulista sołtysa.

— Magda - odrzekł stanowczo zapytany.

— Zawołać tę dziewczynę.

Do izby weszła dziewczyna silnie zbudowana, wejrzenie miała niepewne, oczy spuszczała ku ziemi, czerwone jej ręce mogłyby zamordować atletę.

— Jak się nazywasz?—zapytał protokulista.

— Magda.

— Ale nazwisko twoje?

— Po matce Chrabąszczanka.

— Ale jak się twój ojciec nazywał?

— A tatulo to się przezywał Jędruch Pędrak.

— Więc Magdaleno Pędrak, ile masz lat?

— Będzie na Gody dwadzieścia...

— Tak młoda i już zbrodniarka—pomyślał protokulista.

— Coś robiła w tej izbie o godzinie piątej rano.

— A dyć dopraszam się łaski prześwietnego sądu, to bez tę Pietrową gospodynię musiałam...

— A więc byłaś namówioną do tego.

— Ale namówioną! kiedy mi ta Pietrowa gospodyni pięściami wygrażała.

— Więc działałaś pod przymusem?

— Nie przymusem, prześwietny sądzie, ino sprawiedliwie siekacem.

— Jakto siekaczem! takiem tępem narzędziem zamordowałaś człowieka?

— O la Boga Świętego, a dyć ja siekałam zielsko dla wieprzka, bo mi gospodyni tak kazała...

Inspektor policyi uśmiechnął się znacząco — protokulista wpadł w głęboką zadumę.

. . . .

Klemens Junosza. (p. t. I s. 57).

Litanija.

* *Nowa litania dla tych żon, które na wszystkie Zbrodnie y niecnoty rospasały się.*

Wy! złe Żony! *Wysłuchaycie mię.*
Wy! złe Żony! *Wysłuchaycie mię.*
Ty! zła Żono! *Popraw się.*
Ty! Plotko! *Popraw się.*
Ty! Zbiorze wszystkich przeklęstw i Złorzeczenia! *Popraw się.*
Ty! hańbo Honoru twego Męża!
Ty! potworze wszelkiey rospusty!
Ty! Zwodzicielko wszystkich serc!
Ty! Zwierciadło wszystkich złych Namiętności!
Ty! Okrutnico Męża Twego!
Ty! Widowisko wszystkich bezwstydnych Kobiet!
Ty! Wężu zaraźliwy!
Ty! Gorzki Aloesie!
Popraw się.
Ty! Śmierdzący Koźle!
Ty! Paląca Gorzałko!
Ty! Przeraźliwa Piszczałko!
Ty! Fałszywie brzmiąca Liro!
Ty! Trzeszczący Kołowrocie!
Ty! Ryczący Lwie!
Ty! Straszliwy Grzmocie!
Ty! Głupi Ośle!
Ty! Obosieczny Mieczu!
Popraw się.
Ty! Nieznośny Krzyżu domowy!
Ty! Bodzący Ciołku!
Ty! Niezgodny Organie!
Ty! Okropna Burzo!
Ty! Pieniące się Morze!
Ty! Wściekły Psie!
Ty! Pośle dyjabelski!
Ty! Skarbie wszystkich zdrad!
Ty! Arko wszystkich niecnot!
Ty! Nieustanna katuszo!
Ty! Znamię katowskie!
Popraw się.
Ty! Podnieto wszystkich niezgód!
Ty! Zaraźliwy kąkolu!
Ty! Śmiertelny stryczku twego Męża!
Ty! Więzienie twego Męża!
Ty! Mieczu, serce Męża twego raniący. *Popraw się.*
Ty! Śmierć twego Męża! *Popraw się.*
Ty! Poczwaro wszystkiego stworzenia! *Popraw się.*
Od wszystkich złych Żon;
Od nienawiści i gniewu złych Żon;
Od szemrania i mruczenia złych Żon;
Od ich hałasu, zgryzoty;
Od ich pożądliwości;
Od ich posępney twarzy;
Od ich wyniosłości;
Od ich oszukania;
Od ich fałszywego podchlebstwa;
Od ich chytrości;
Od ich zdrady;
Od ich obłudnego przymilenia!
Od ich złości!
Od tego doczesnego ognia;
Od tego zimnego piekła;
Od tego nieznośnego krzyża domowego;
Od ich obłudnych języków;
Od ich bezpotrzebnego narzekania;
Od ich uporu;
Od ich zuchwałości;
Bądźcie wybawieni Mężowie.
Od tey katuszy;
Od tego znamiona katowskiego;
Od krzyku Niewiast;
Od ich fałszywego Nabożeństwa;

Na tem musimy zakończyć powyższą litaniję, ponieważ brak nam kartki w odnalezionym, nadzwyczaj starym rękopisie.

(*Redakcyja*).

Litera.

* *Litera nocet, litera docet.*

— Cóż to, panie Antoni, widzę, żeś stracił pierwszą literę swojego tytułu?

— Jakto, panie hrabio?

— No, znałem cię, jak byłeś prezydentem, a teraz jesteś rezydentem.

— A tak, tak, panie hrabio! ja też znałem pana hrabiego, jak byłeś posłem.

* „Radca Ubezpieczeń X. zajmuje wysokie stanowisko w społeczeństwie“.

To samo z małym błędem gramatycznym:

„Radca U bez pieczeń zajmuje wysokie stanowisko w społeczeństwie“.

Dziwna rzecz wynika ztąd,
Prawda mieszka tam, gdzie błąd.

Świąteczny.

Literaci.

* Biskup Godeen, który wiele pisał, mawiał, że dla autora rajem są chwile twórczości, czyśćem poprawianie swoich utworów, a piekłem prawdziwem — korekta błędów drukarskich.

(*Encyklopedyjana*).

* Dotychczas znajdują się ludzie, którzy lekceważą stan pisarski, a przecie literatka odrzuciła kiedyś rękę króla. Ferdynand VII bowiem otrzymał kosza od autorki „Prawdy i kłamstwa“.

* Dziwną jest rzeczą, że nasi literaci nie oblekli się dotąd w latającą postać, skoro pióra ich grają, pióra ich ubierają i od szybkości i wzlotu piór byt ich zależy...

* — Wiesz pan—rzekł Ramota do zasłużonego literata — że już wydaję czwartą edycyję moich ulotnych wierszyków, a pan podobno nie przedałeś jeszcze połowy pierwszego wydania twojego głębokiego traktatu o sztuce?

— Nic dziwnego, z pewnością można obliczyć, że corocznie sto tysięcy razy więcej zjedzonych jest żołędzi, niż ananasów; ale kto zjada jedne, a kto drugie?

(„*Humorysta Warszawski*“).

* *Biedny literat.*

— Cóż to, panie Ignacy, masz takie oczy czerwone?

— A, sforsowałem wzrok na nic.

— Cóż znowu? czyżbyś został literatem na starość?

— A tak, zostałem literatem, bo musiałem przeczytać caluteńki regestr sprawunków, które żona poleciła mi kupić na święta.

Świąteczny.

Literatura.

Każdy, co pisze dla zysku lub chwały,
Zysku nie znajdzie wcale, albo bardzo mały,
I choćbyś był Homerem, gdy pieniędzy nie [masz,
Twój rękopism w szufladzie do śmierci zatrzy- [masz:
Albo nareszcie drukarz, gdy poprosisz czule,
Z długim zmyłek regestrem wyda na bibule.

Al. Fredro. (p. t. I s. 67).

* *Jan wydał książkę.*

„Prędko wyszła z pod prasy książka“—Jan się [chwali.
Ktoś mu rzekł: „wyszła prędko, zajdzie nie naj- [dalej“.

* *Z literatury.*

— Czytałaś, moja najdroższa, śliczny romans „Monte-Jezu?“

— Chyba chcesz powiedzieć „Monte Christo?“

— To wszystko jedno.

* Pewien *uczony*, będąc w biblijotece publicznej, zobaczył dzieło, na którem był napis: „Opera Ciceronis“.

— No, proszę! —zawołał—ani pomyślałem o tem, że *Cicero* pisał opery.

(„*Humorysta Warszawski*“).

* *Z literatury i nauki.*

Dowiadujemy się, że znany i szanowany nasz uczony X. X. pracuje obecnie nad olbrzymiem dziełem, które nosić ma interesujący tytuł: „Historyja blagi w XIX wieku“. Dzieło rzeczone będzie tem więcej ciekawem i zajmującem, że główną jego treścią ma być autobiografija autora.

—o—

Jednemu z najsprytniejszych naszych reporterów udało się wykryć wielki sekret, a mianowicie, że powszechnie ceniony Q. Q. pracuje od lat czterech nad ułożeniem sześciowiersza, który wypowiedzianym będzie na uroczystym obchodzie pięćdziesięcioletniej działalności panny Czosnowskiej.

Jeżeli ta wiadomość jest nieco zawczesną, to tem większa zasługa naszego reportera.

— o —

Ten-że sam nasz wszechwładny reporter dowiedział się, że znana nasza poetka liryczna i nowelistka panna Y. Y. kreśli obecnie na głębokiej obserwacyi życia oparty romans p. t.: „Zdeptana czekoladka, czyli kroki fałszywe".

Na schodach pięknej i sympatycznej literatki roją się tłumy wydawców.

Świąteczny.

Lochman.

* Jan Henryk Lochman, pułkownik szwajcarów, zostających w służbie Ludwika XIV, znany był ze swojej zimnej krwi i niczem nieustraszonej odwagi. Razu pewnego towarzyszył on królowi na polowaniu. „Pułkowniku! — odezwał się monarcha — wiem, że nie ustąpiłeś nigdy w polu nieprzyjacielowi, ale ciekaw jestem, czy stawiłbyś śmiele czoło odyńcowi?" „Niech Wasza Wysokość raczy wystawić mnie na próbę" — odrzekł skromnie Lochman. „Dobrze! a więc zobaczymy!" — zawołał król, a naznaczywszy pułkownikowi stanowisko przy drzwiach pustej kaplicy, odjechał polecić w tajemnicy strzelcom, aby pierwszego dzika pędzili wprost na stanowisko Lochmana. Stało się wedle woli królewskiej. W jakiś czas później nadjeżdża król z orszakiem do pustej kaplicy; na widok stojącego na stanowisku Lochmana król woła zdaleka: „A nie widziałeś tu dzikiej świni?" „Owszem, najjaśniejszy panie". „A cóż się z nią stało?" — ciągnął król dalej. „Zamknąłem ją żywcem w kaplicy" — odrzekł, uśmiechając się, pułkownik. „Co ty mówisz, człowieku?!" — zawołał zdumiony monarcha. Tu opowiedział Lochman, że słysząc w oddali charkanie i tratowanie gałęzi i korzeni, szybko otworzył drzwi kaplicy, stanął w nich, starając się wszelkim sposobem zwrócić na siebie uwagę odyńca, a kiedy rozjuszony zwierz, popędził wprost na niego, przypuścił go do siebie o dwa kroki, później usunął się nagle, a zwierz, zaślepiony wściekłością, wpadł do środka. „Wtedy zamknąłem drzwi coprędzej i oto stoję na straży mojego jeńca, najjaśniejszy panie!"

Locke.

* Locke, sławny filozof angielski, znalazł się raz w towarzystwie kilku lordów, którzy po krótkiej z nim rozmowie zasiedli do kart. Locke siedział przy nich długi czas, zwracając na grę uwagę, później zaś wyjął notatnik z kieszeni i począł pisać coś w nim z pośpiechem i uwagą. Któryś z lordów zapytał, co pisze. „Mylordzie! — odrzekł uczony — staram się wynieść korzyść z waszego towarzystwa, oddawna oczekiwałem chwili, w której będę mógł obcować z wyższemi duchami i nareszcie, otrzymawszy to szczęście, chcę je zużytkować, utrwalając na piśmie rozmowę waszą, słowa i myśli; oto mam już treść główną rozmowy, toczącej się od kilku godzin". Na prośbę lordów, Locke zaczął czytać notatki, lecz po kilku już wierszach lordowie spostrzegli całą śmieszność, na którą się wystawili, porzuciwszy więc grę, starali się uprzejmością i gościnnością zatrzeć niekorzystne wrażenie, jakie wywarli na wielkim filozofie.

Lodomeryja.

* Kraj, w którym łatwo zostać wielkim, byleby być niczem. Miłość bliźniego dochodzi tam do tego stopnia, iż się wszyscy nawzajem nienawidzą i jeśli obywatele nawzajem się jeszcze nie zjedli, to tylko dla tego, iż obawiają się niestrawności.

Logika.

* „Hipokrates — mawiał Scaramonche — każe dla zdrowia upijać się raz na miesiąc; w oba-

wie, ażebym nie dość ściśle wypełniał ten przepis, odbywam próby trzy razy na tydzień, byle mi tylko Hipokrates nie miał nic do zarzucenia".

* *Dziecięca logika.*

Nauczyciel. Powiedz mi, Stasiu, co trzeba przedewszystkiem zrobić, ażeby uzyskać odpuszczenie grzechów?

Uczeń. Trzeba zgrzeszyć.

(*Kolce*).

Lokomotywa.

* *Wyścigi z lokomotywą.* (Humoreska kolejowa).

Na dobre pół godziny przed odejściem pociągu osobowego, w sali pasażerskiej siedziało przy śniadanku trzech obywateli z Miechowskiego i czystej krwi warszawiak. Po dwóch czy trzech butelkach ożywiła się rozmowa, w następstwie której, niewiadomo historyi, zkąd przyszło do zakładu między warszawskim panem Hubertem Frantskim z jednej strony, a panami: Serwacym Gawrońskim, Pankracym Gułajskim i Bonifacym Gamulińskim z drugiej, że pierwszy, wyruszywszy *per pedes* równocześnie z pociągiem, wyprzedzi go i w Piotrkowie u kupca N. oczekiwać będzie na trzech adwersarzy z zamówionym obiadem.

— Cóż ty kpisz, czy o drogę pytasz? — dowodził Gawroński — nielada szkapy wyścigną maszynę, a ty ze swemi kiepskiemi warszawskiemi pedałami ..

— Czy ty, Hubertku, znasz „nieczystą siłę?" —dodał Gułajski.

— A może to jaki warszawski „kawał?"

— Jakiż tu może być „kawał?" Ruszamy razem, wy pociągiem, ja pieszo... Wreszcie... jak chcecie... Cóż, zakład trzymacie?

— Trzymamy, bo przewalisz, Hubciu.

— Kiedy tak, to muszę kupić cygar na drogę.

— Bierz z bufetu.

— Nie mają mego gatunku — i wyszedł z sali.

— Ej, on nam jaką sztukę urządzi—zauważył Gamuliński.

— Jaką sztukę?

-- A jak drapnie końmi?

— Jakież to konie wytrzymają mil kilkanaście?...

— Wreszcie, ekscypujem konie...

— Jeżeli on wygra, to chyba nieczystą siłą ..

— Vivat! Hubert! — wrzeszczą szlagony do powracającego Frantskiego. Masz swoje cygara?

— Pocóżbym wychodził?

— Hubercie, szkoda nóg twoich, pozwalamy ci cofnąć się.

— Ale ja wam nie pozwalam; zakład prawomocny.

— No, to masz bzika...

— Zobaczymy, kto go ma.

– Co to? już dzwonią na nas? a bilety?

— Jeszcze panowie mają dużo czasu; to pierwszy dzwonek—objaśnił usłużny garson.

— A ileż tych dzwonków?

— Najmniej trzy.

— Daj butelkę na strzemiennego.

— Daj cztery, weźmiemy trzy na drogę.

-- Weź, Hubercie, jedną, będziesz płukał gardło z kurzu.

— Ciężar zbyteczny w tak szybkim biegu.

— On zwaryjował!

— A może się urżnął?

Wypicie butelki i obrachunek tyle zajęło czasu, że kiedy wstali od stołu, dzwon po drugi raz dał się słyszeć na peronie.

— Zabierajcie butelki i pakujcie się do wagonu, ja wam przyniosę bilety.

Według zwyczaju europejskiego, kasyjer po drugim dzwonku zamknął okienko, w które próżno stukał Gawroński.

— Cóż u dyjabła, czy wszyscy mamy iść piechotą? panie kasyjerze, 3 bilety do Piotrkowa, a prędko, bo nie mam czasu...

— Kasyjer już nie sprzeda, musisz pan iść do zawiadowcy — doradził jakiś poczciwiec bluzowy, stojący blizko kasy.

Gawroński jakby z procy wyleciał na platformę.

— Gdzie tu jest pan zawiadowca? — zapytał dzwonnika.

— Tu niema zawiadowcy, ino naczelnik, ten w czerwonej czapce.

— Panie naczelniku, proszę o trzy bilety do Piotrkowa.

— Do kasy!

— Zamknięta! powiedziano, że pan naczelnik...

— Której klasy?—zapytał naczelnik z jowiszowską miną.

— Drugiej, jeżeli łaska pana nacz...

— Zapłacisz pan 30 kopiejek kary od osoby.

— Zgoda, chociażby po 40. Oto pieniądze, panie naczelniku.

— Pan dowcipkujesz? — i Jupiter... chciałem mówić naczelnik stacyi, sypnął pioruny wzrokiem. — Siadaj pan, zapłacisz w Pruszkowie...

Gawroński nie dał sobie dwa razy powtarzać i pobiegł do pociągu.

— Pankracy! Bonifacy!—krzyczał z całego gardła. — Hu! ha! gdzieżeście u dyjabła powłazili?

— Chodź, chodź, prawdziwy gawronie i nie hukaj, jak w lesie.

I pociągnął go Frantski do powozu, w którym siedzieli już Gułajski i Gamuliński.

— A teraz dajcież mi te parę minut „for“ przed pociągiem. Wysuwam naprzód, do widzenia w Piotrkowie!

Nie czekając na danie buzi, do czego rwali się nasi szlagoni, Frantski ruszył, jak to mówią, „z kopyta“.

— Niech go siarczyste! jak wyrywa!—mówił Gawroński, układając się w powozie. — Smiałbym się, żeby wygrał...

— Może wyścignie jedną, dwie stacyje, a potem zje dyjabła... klapnie.

— Chyba nieczysta siła... Serwacy, widzis kto z nami jedzie?

— Ach! kochany nasz sąsiad Fujarsk Przepraszam, ale tak zaalterował mnie ten n czelnik od kolei, że nie mogę przyjść do siebi Wiecie, chciał mnie zjeść?

W tej chwili uderzono w dzwonek po ra trzeci. Maszynista, a właściwie jego maszyn gwiznęła przeraźliwie. Naczelnik stacyi, zawsz z olimpijskiem namaszczeniem, oddał jakiś pa pier naczelnikowi pociągu, który skromnen dmuchnięciem w niewinną piszczałkę pociąg w ruch wprowadził.

— Jazda! ostro z bata!—krzyczał Gułajski

— Może dogonimy Huberta.

— Szkoda! trzeba było mechanikowi da piwne. Niechby smarował a jechał...

— Nie rozumiem nic sąsiadów—odezwał si milczący Fujarski.

Tu nastąpiło kordyjalne powitanie, zabawa z buteleczką i opowiadanie od A do Z o zrobionym zakładzie.

— Moi sąsiedzi, czyście powaryjowali, czy tylko upili? Jakto? chcecie, ażeby jeden mizerny człowiek maszynę...

— Pruszków! pięć minut! — zaintonował konduktor—proszę panów do kasy wykupić bilety...

— Naczelniku od.. biletów, oto masz 25 rubli i wyręcz nas, jak widzisz, sfatygowanych—prosił Gawroński.

Konduktor uprzejmy oburącz chwycił papierek (już to konduktorzy na całym świecie czują dziwną słabość do papierków).

— Ale, ale, panie zawiad... zawiadujący naczelniku, z przeproszeniem, naczelnikujący zawiadowco!—krzyczał, nachylając się z powozu, Gułajski — bez obrazy kochanego pana... nie widziałeś przypadkiem naszego przyjaciela Hubcia, jak biegł przed maszyną?... wysoki... blondyn?...

— Musi już być daleko—odpowiada, uśmiechając się, zawiadowca — widziałem go przed kwadransem.

— A to szelma szmiga! — huczał Gawroński, trzęsąc się ze śmiechu i tupiąc nogami z radości.

— Oto reszta z 25 rubli, proszę pana dobrodzieja, a trzy bilety do Piotrkowa zatrzymam przy sobie.

— Słusznie i sprawiedliwie, zatrzymaj także rubelka na pamiątkę, naczelniku, jeżeli cię to nie obrazi...

— Proszę częściej, panie dobrodzieju, my oswojeni z taką obrazą.

— Żebyś „skonał!" jesteś zuch! masz tu butelkę na próbę.

Butelka znikła, jak orzech w przepaścistej kieszeni. Kiedy pociąg ruszał ze stacyi, konduktor nasz wdrapał się do budki hamulcowej, w której siedział już jego kolega.

— Janku, uwaga! napijemy się wina, a dalza funda w Piotrkowie.

— Zrobiłeś interes?

— Czekaj na podobny rok i sześć niedziel! zlagon „meldowany" dał 25 rubli, ażeby wykupić te 3 bilety do Piotrkowa, rozumie się kupiłem do Skierniewic, ażeby „*przejechać Kiwaz*". Tym sposobem zarobiło się uczciwie kilka papierków i jeszcze głupi szlagon dorzucił rublijona i tę flaszeczkę.

— Idzie dalej—w ręce twoje.

. . . .

— Jakto? wy przypuszczacie, że ten nasz przyjaciel prześcignie pociąg?

— Już piekielnik prześcignął! nie słyszałeś sąsiad, co mówił zawiadowca?

— Utknie nosem na następnej stacyi, zobaczycie.

— Chyba nieczysta siła...

— Bonifacy, patrz ty na lewo, a ja na prawo, dogonimy Frantskiego.

— Ty na prawo, ja na lewo, Pankracy prost, a sąsiad Fujarski w tył...

Nie upłynęło pięć minut, a już sfatygowani podróżni chrapali w wspomnionym kierunku.

. . . .

W Rudzie Guzowskiej obudziło czterech braci szlachty nagłe otworzenie drzwi powozu i głośne zapytanie:

— Czy tu „czasem" nie jedzie pan Gawroński?

— A no bo co? ja jestem Gawroński.

— Depesza do pana ze Skierniewic—mówił jakiś mundurowy facet.

Gawroński przeczytał głośno:

„Kłaniam się wam ze Skierniewic, a do widzenia w Piotrkowie. Nie spóźniajcie się, bo szkoda obiadu—Frantski".

— A co?

— A co?

— Dyjabeł!

— Ej! panowie sąsiedzi, w tem figiel siedzi!

— Tere—fere! a depesza? a zawiadowca ślepy?

— Więc cóż myślicie?

— Myślimy, ażeby sąsiad z nami pozostał w Piotrkowie.

— Zostań, sąsiedzie kochany, przekonasz się o nieczystej sile...

— Chociaż mi pilno, muszę zostać, nie wierzę w dyjabła, ale... ale...

— No, cóż? alboż my to dzieci? a jednak jest coś...

W Radziwiłłowie niecierpliwy Gawroński wygląda z okna i głosem najmilszym pyta zawiadowcy:

— Panie naczelniku, za pozwoleniem, czy pewien blondyn wysoki, nasz przyjaciel, przez pańską stacyję dawno przeleciał?

— Zapytaj pan o to „naczelnika". Ja, zawiadowca, powiem panu, że według przepisów, pasażerom nie trzeźwym jazda wzbroniona, a dla waryjatów, jadących pod dozorem, oddzielny przedział wynajęty być powinien! Zrozumiałeś pan? Trzy!

Dzwonek wali „trzy", pociąg od minuty w biegu, dopiero oprzytomniał Gawroński.

— Co? ten... serdel waryjatem, czy pijakiem mnie zrobił? Widzieliście, jak on zaindyczył się? Czy ja mu od rzeczy co powiedziałem, że mnie chciał połknąć?

— Bo nie zna treści zakładu... ten... pomidor...

— I nie chce być naczelnikiem, to pewnie zawiadowca.

— A dyjabli ich wiedzą, który z nich naczelnik.

— Na kolei wszyscy „naczelniki“.

. . . .

— Skierniewice! piętnaście minut! — zapowiedział konduktor.

— Panowie, mamy dosyć czasu, napijemy się—zaproponował Fujarski.

— Zgoda! Ale wpierw muszę zapytać tego... No, jakże go zwać, naczelnik, czy zawiadowca?

— Jakaś gruba sztuka!

— Pal mu „naczelnik“.

— Za pozwoleniem pana naczelnika...

— Hę?!

— Odebrałem depeszę od mego przy...

— Do telegrafu!

— Przyjaciela Frantskiego, blondyn, wysoki... Czy szanowny pan naczelnik nie zauważył przypadkiem, jak dawno wyprzedził on nasz pociąg? Czy pieszo, czy końmi?

Naczelnik stacyi, jako czystej krwi „naczelnik“, nie bez wdzięku ujmuje się pod boki, z politowaniem spogląda na Gawrońskiego i nic nie odpowiedziawszy, oddala się z powagą.

— Masz go! Z temi grubemi naczelnikami ani rusz!

— Jak on mnie mierzył... uważaliście?

— Ale bo widzisz, to musi być inne licho, ma pelerynę!...

— Niech go tam... z peleryną... chodźcie do bufetu.

. . . .

W miarę zbliżania się do Piotrkowa, niecierpliwość i ciekawość rosła w naszych podróżnych, a kiedy pociąg, dochodząc do stacyi, zwolnił bieg, klęli „niedołężną jazdę“. Nareszcie konduktor huknął basowym głosem:

— Piotrków! piętnaście minut!

— Już jest!

— Gdzie? nie widzę go!

— Ależ w handlu ma czekać!

— Spóźni się, zobaczycie!—zapewnił „najmądrzejszy“ Fujarski.

Wysiadającym z powozu zastąpił drogę znowu jakiś umundurowany facet i zapytał:

— Za pozwoleniem, czy między panami jest pan Gawroński?

— Cóż nowego? ja Gawroński od urodzenia.

— To jest zapewne i pan Gomuliński?

— A jakże, jak mnie pan widzisz.

— W takim razie poważam się spytać o pana Gułajskiego.

— Panie naczelniku, ja się tak *wabię*.

— Ponieważ mam zaszczyt oglądać wszystkich trzech panów, nie pozostaje mi, jak wywiązać się z danego mi polecenia i oświadczyć wszystkim trzem i... każdemu z osobna...

— Mów-że pan, bo nam się spieszy...

— Że przyjaciel pp. Gawrońskiego, Gomulińskiego i Gułajskiego, jeżeli się nie mylę, panów Serwacego, Bonifacego i Pankracego... pan Frantski...

— No, co? co? co?

— Że pan Frantski od godziny przybył do Piotrkowa i z niecierpliwością oczekuje panów w miejscu umówionem.

— Jakto? on przybył?

— Końmi?

— Balonem?

— Machiną piekielną?

— Nie, najzwyczajniej, tak sobie, na nogach.

Wszyscy osłupieli, a Gułajski aż się zatoczył, mrucząc:

— Nie mówiłem... nieczysta siła...

— A niech go siarczyste...

— Zgłupiałem.

— Ja już dawniej...

I staliby rzeczywiście odurzeni nie wiem jak długo przy pociągu, gdyby *„najmądrzejszy“* Fujarski nie pociągnął ich na miasteczko.

. . . .

Na kanapie na wpół leżał Frantski, czytając gazety. Ubranie na nim w pewnym nieładzie, nie mniej buty mocno zakurzone świadczyły o długiej i forsownej podróży. Za wejściem przyjaciół, Frantski wcale nie podnosił się, jakby już mu na to sił nie wystarczało.

— Wszelki duch... tyżeś to, Hubciu? — zapytał Gawroński.

— Czy ty, czy dyjabeł w twojej skórze? — dodał Gomuliński.

— Nie witam się bez wody święconej—dokończył Gułajski.

— Woda w kościele, a tu wino.

— Słyszycie? szatan o kościele mówi! Niechże cię siarczyste!... umieramy, konamy z ciekawości; powiedz, jeżeli chcesz nas żywych widzieć, jak odbyłeś tę podróż?...

— Jak? na tych moich własnych nogach.

— Żebyś ty skośniał, jeżeli to prawda...

— Powiedz na łopacie, albo na ożogu, to uwierzymy.

— Jest tu jakiś psi figil! ale, muszę was zapoznać; pan Frantski, od dziś Twardowski, pan Fujarski, nasz sąsiad i przyjaciel.

— Bardzo mi przyjemnie poznać osobistość nadprzyrodzoną.

— Nie żartuj pan ze mnie i z moich przyjaciół! jestem sobie najpospolitszym warszawiakiem—rzekł Frantski, zrywając się z kanapy.

— A jednak ta podróż cudowna?...

— Odbyłem ją na moich własnych nogach, pod słowem honoru!

— Nie czujesz ty od niego smoły, albo siarki?—zapytał Gułajski.

— No, to opowiadaj od początku; wygrałeś, przegraliśmy i basta!

— Opowiedz, opowiedz!

— Przedewszystkiem obiad, z którego przekonacie się, że miałem dosyć czasu, ażeby nie oszczędzać waszych kieszeni.

— Warteś sto obiadów!

— Dwieście!

Obiad był znakomity, a ciekawość z jednej strony, trudy podróży z drugiej, bynajmniej nie odbierały apetytu; to też pięciu biesiadników jadło za dziesięciu, a piło za piętnastu. W pół godziny po obiedzie rozczulone szlagony ze łzami w oczach prosili Frantskiego, ażeby nareszcie odkrył tajemnicę swojej podróży, a Gułajski, rzuciwszy się na kolana i głośno becząc:

— Zaklinam cię na ławę szkolną! — zawołał—powiedz, czy masz co wspólnego z nieczystą siłą?

Na takie prośby i zaklęcia, Frantski zaczął opowiadać:

— Wygrana przy mnie, chociaż z was zażartowałem.

— Co? ty z nas żartowałeś? z nas szlachty?

— Pocóżeście gawrony?

— Gawroński, do ciebie pije.

— Cóż to? myślicie, że ja nowej edycyi Twardowski, ażeby pociągi prześcigać? Ja najprzyzwoiciej z wami razem jechałem.

— Co? co? jakie razem?

— Cóż to? za ślepych nas masz?

— Mówię „razem“, to jest w jednym pociągu. Wy klasą drugą, a ja czwartą. Wyszedłszy po cygara, kupiłem bilet 4 klasy i podałem tę oto depeszę. Czytajcie.

Fujarski czytał:

— „Kupiec N. w Piotrkowie. Po pociągu osobowym z Warszawy, przygotować obiad na 4 osoby: wódki, ostrygi, kawior etc. bulijon, paszteciki, ryby, drób, zwierzyna, et cet. wina najlepsze, szampan w lód etc. Na pociąg lekki powóz i dobre konie. Frantski“.

— Jeszcze nic nie rozumiem, albo mało co—przyznał się Gułajski.

— Mów dalej.

— Po naszem pożegnaniu się w Warszawie, obiegłem pociąg i wsiadłem na 4 klasę z drugiej strony pociągu.

— A depesza ze Skierniewic?

— Konduktor napisał ją w Grodzisku i oddał wam w Rudzie.

— A zawiadowca, co widział cię przed pociągiem?

— Zakpił z was, niecnota!

— Cóż znaczył ten facetus, co nam mówił, że czekasz od godziny w Piotrkowie?

— Ten sam konduktor, namówiony, zatrzymywał was, ażebym przed wami tu zdążył urządzić, co wypadnie.

— No, a ubranie i buty zakurzone?

— Ucharakteryzował mnie zawsze ten sam ajent konduktor.

— Za pozwoleniem! A twoje słowo honoru, że na własnych nogach odbyłeś podróż?

— Mogę to samo powtórzyć. Cóż to, nie wiecie, że 4-tą klasą jedzie się, jak bydło, stojący?

— Brawo, Hubert!

— Wiwat, Frantski!

— Ale trzech nas, trzy głowy i to jedne z lepszych w powiecie, żeśmy też na tę myśl nie wpadli.

— Biedny wasz powiat!

— Psi figiel, ale dobry! dalibóg dobry! Wart oblania chociażby do białego dnia!

Jak się rzekło, tak się stało.

Lombard.

* Pani von Kanz była na obiedzie u przyjaciółki, pani von Hiz, która ku wielkiemu jej zgorszeniu pomiędzy innemi, kilka dość rubasznych sąsiadów ze wsi zaprosiła. Gdy podano deser, jeden z owych domorosłych kawalerów zaczął przypatrywać się wspaniałemu brylantowemu pierścieniowi, który zdobił arystokratyczną rączkę pani von Kanz. Olśniony blaskiem kamieni, spytał:

— Łaskawa pani, podziwiam ten przepyszny dyjament. Czy tylko prawdziwy?

— Czy prawdziwy? — powtórzyła piękna właścicielka ze zdumieniem — czy prawdziwy? Spodziewam się, że tak jest, skoro mi na niego tyle już razy w lombardzie po pięćdziesiąt dukatów na zastaw dawano.

Longue.

* *A la longue.* (Recepta na popularność).

Furda talent, wiedza, cnoty;
Ja ich nie mam— co mi tam!
Na przynętę dla hołoty
Inny, lepszy środek mam.
Niechaj kto chce, świata zdroje
Na tłum ślepy zlewa w krąg—
Ja wciąż plotę głupstwa swoje,
Ale plotę... *à la longue.*

W tem króciutkiem jednem słowie
Niezawodny system tkwi,
Który powstał w mojej głowie
Za młodzieńczych jeszcze dni.
Byle czelnie i z odwagą
Burczeć, huczeć wciąż, jak bąk,
Kłamstw się nie bać, zżyć się z blagą
I pleść swoje—*à la longue.*

Sensu, logiki, powagi
Stale się, jak zdrady, chroń.
Rozumowej w sądach wagi
Nie używaj—Boże broń!
Jest na efekt sposób nowy:
Niech twe zdanie, niby drąg,
Wali silnie w tępe głowy,
A przekonasz - *à la longue.*

Patrz na błazna: krzyku niema,
Kiedy pierwszy zrobi skok;
Tamten ziewa, ten się zżyma,
Ów gdzieindziej zwrócił wzrok.
Lecz za piątym—wszyscy śledzą,
Po dziesiątym—*bravo* w krąg!
Zjednał tłumy—sercem, wiedzą?
Nie—kozłami *à la longue.*

Patrz na muchę, gdy natrętnie
Na twym nosie usiąść chce:
Zrazu spędzasz obojętnie,
Po minucie złościsz się,

Jeśli jeszcze kilka razy
Wróci—nie znasz gorszych mąk
I wściekłymi klniesz wyrazy
Jej natręctwo *à la longue.*

Ot i cała tajemnica:
Jak ten błazen kozły rżnij
I jak mucha natrętnica
W najdotkliwsze miejsca tnij.
Skandal, potwarz, fałsz, obrazy
Spędzą plony do twych rąk.
Wszak i woda żłobi głazy,
Jeśli kapie *à la longue.*

Lord.

* Bogatemu lordowi, pędzącemu wesołe życie w stolicy, przyszła razu pewnego chętka zrobić wycieczkę wraz z przyjaciółmi do odległych, leżących na północy swych dóbr.

W tej więc myśli napisał do intendenta, zarządzającego majątkiem, by wszystko na przyjazd pana i licznych gości przygotował.

Intendent, któremu prawdopodobnie to niespodziane przybycie pana nie dogadzało, odwrotną pocztą odpowiedział:

— Czuję się w obowiązku zawiadomić Waszą Łaskawość, że obecnie grasuje tu zaraza pomiędzy bydłem i że wzgląd na zdrowie Waszej Łaskawości i dostojnych gości powinienby wpłynąć na odłożenie na przyjaźniejszą porę tej podróży.

Loteryja.

* Rzymianie wynaleźli loteryję dla uświetnienia swoich Saturnalii. Oktawian August dawał tylko małe fanty. Neron rozrzucał między lud 1,000 biletów, wygrywających nieraz nadzwyczaj kosztowne, czasem złote podarki; Heliogabal dostarczał osobliwszych fantów, np. sześciu niewolników, sześć much, wspaniałą wazę, gliniany garnek i t. p. okazy swoich dziwacznych poglądów.

* Kaznodzieja, którego audytoryjum składało się przeważnie z wieśniaków, wypowiedział w dosadnych słowach swe oburzenie przeciw loteryi:

— Zajmujecie się tem w dzień, marzycie o tem w nocy i przyśnił się komuś naprzykład numer 89 lub 72, natychmiast biegniecie do lombardu zastawiać sprzęty, bierzecie bilety, trwonicie chleb własnych dzieci i w skutek tego nędza i rozpacz przekraczają wasze progi".

Czcigodny kaznodzieja schodził z ambony po tej wzruszającej przemowie, przekonany, że nie jedną zbłąkaną owieczkę naprowadził na dobrą drogę, gdy wtem staruszka jakaś zbliża się do niego, mówiąc:

— Proszę dobrodzieja, wszak 89 i 72 numer wymieniłeś. Czy dobrze słyszałam?

* *Scena małżeńska.*

— Ej, Wojtek! ciągiem latas do tego karcmiska! ino buty po próżnicy drzesz, jakbyś ich znalazł.

— Ale ty, to ino tyrkoces, jakbyś gębę na loteryi wygrała.

* *Dziwne podobieństwo.*

Pierwsza klasa loteryi podobną jest bardzo do pierwszych klas gimnazyjum.

I do jednej i do drugiej ani rusz dostać losu.

Lowelas.

* *Niezręczny Lowelas.*

Krzyś miewa często niefortunne pomysły.

Znudzony powodzeniem w salonach, zapragnął gwałtem sielanki na Saskiej Kępie.

Wybrawszy się więc tam pewnej niedzieli *incognito*, zaraz z kopyta zapoznał się z dwiema przysadzistemi panienkami.

Grzeczność nakazywała zaprosić panienki na fundę.

Krzyś jest wprawdzie bardzo grzecznym, lecz obok wielkiej grzeczności, jest także wielce oszczędnym.

Panienki nie tylko, że fundę przyjęły, lecz z całą otwartością wyznały, że im się jeść i pić chce porządnie.

Krzyś naprędce ułożył *menu* i po kwadransie panienki zostały nasycone kwaśnem mlekiem, po zjedzeniu którego, jako trunek i napój wystąpiła woda sodowa.

Odprowadzając panienki na statek, Krzyś otrzymał od nich obietnicę, że nazajutrz stawią się o umówionej godzinie w Saskim ogrodzie. Na wszelki wypadek wymienił swój adres.

Niestety! nazajutrz panienki nie przyszły, a wieczorem doręczono Krzysiowi bilecik tej treści:

„Niech się pan wstydzi, po pańskim częstunku obydwie dzisiaj chore jesteśmy na kurcze żołądka.

Zosia i Józia".

Lubić.

* *Co kto lubi.*

Chodzi Malcia do kościoła
W każde święto i niedzielę,
Ale skromna, nie ma czoła
Naprzykrzać się Bogu wiele.

Choć wie, że pobożnie trzeba
Stać, gdy kapłan wodą kropi,
Zamiast modły nieść do nieba,
Malcia wzrokiem Filka tropi.

A gdy wreszcie jej spojrzenia
Ujrzał czuły Filomenek,
Rzekli Bogu: „do widzenia"
I... prysnęli do Łazienek.

* *Co kto lubi.*

Niechaj się opój kieliszkiem bawi,
Szuler przy kartach niechaj czas trawi,
Jeździec na koniu niechaj uwija,
Żołnierz na wojnie niech drugich zbija,
Dworak w pałacach niech piętą kręci,
Lichwiarz niech piątki, soboty święci,
Jurysta niechaj z swych kratek gada,
Ksiądz niechaj zdziera choćby i dziada,
Mnich niech po domach sandały gubi:
Bo tak najlepiej, jak kto co lubi.

Kajetan Węgierski. (p. t. I s. 189).

Lublin.

* *Doba w Lublinie.* (Sprawozdanie umyślnie ekstracugiem wysłanego korespondenta, który obecnie spoczywa, potłuczony na kawałki).

Mój platynowy panie Redaktorze!

Lublin!!!

Taki okrzyk wyrwał się z piersi mojej na widok jednej wieży Trynitarskiej, sterczącej po nad małą ilością zakopconych chałup.

Wysłaliście mnie w podróż naokoło Królestwa, niech wam Bozia tego nie pamięta.

Sądząc, że zarobię jak nic z pięć milijardów rubli wybrałem się z radością w duszy i srebrnym humorkiem.

Zajeżdżam tedy do Lublina i myślę sobie, że wytnę tutaj prelekcyjkę (broń Boże o fizyce, gdyż ta stanowczo jest tu nauką ignorowaną), np. o popielatej melancholii, lub też o piękności obcasów szanownych lublinianek, albo sposobie fabrykowania musztardy..

Zawiodłem się.

Prelekcyja jest wyrazem, którego tu zupełnie nie rozumieją i gdy wyraz ten wyrzeczesz do przeciętnego lublinianina, zapyta:

— A z jakim sosem?

Myśli nieborak, że jest to rodzaj zrazów nelsońskich, albo antrikotów.

Chodzę tedy po ulicach i rozglądam się.

Trotuary zalegają tłumy semitów, szwargoczących o *geszefcie.*

Istna Palestyna!

Godzina 1-sza w południe.

Żydzi się coraz więcej mnożą i zalewają sobą ulicę.

Uciekam do narożnej cukierni. Tu oprócz łysego właściciela, sami żydzi...

Nareszcie! Oto wszedł jeden aktor, któremu nie chcą dać kawy na kredyt.

Z po za kontuaru odzywa się głos: Charles Jean! uważać na gości!

Jestem obrażony. Wychodzę.

Ludwik XIV.

* Pewnego razu Ludwik XIV grając w szachy ze swymi dworzanami, zakwestyjonował parę cugów swego partnera i pytał innych dworzan, czy nie ma słuszności. Zapytani rozpatrywali grę i milczeli; wtem wszedł do sali hrabia Grammont.

— Kochany hrabio — rzekł król, zwracając się do wchodzącego—chodź, zobacz, kto z nas dwóch ma racyję?

— Nie masz racyi, Najjaśniejszy Panie! — odrzekł Grammont, nie doszedłszy jeszcze do stolika.

— Ależ—rzecze król z nieukontentowaniem —jakże możesz mówić tak od razu, nie rozpatrzywszy gry?

— Czyż możesz sądzić, Najjaśniejszy Panie, żeby ci panowie milczeli, gdyby choć cień słuszności był po twojej stronie?

* Gdy Ludwik XIV miał zaledwie lat piętnaście, dworzanie wszczęli w jego obecności rozmowę o sułtanie tureckim i jego nieograniczonej władzy, rozszerzając się nad gwałtami, jakie popełnia, rozrządzając podług woli i fantazyi majątkiem i życiem podwładnych. „To mi się nazywa panować" — zawołał na to Ludwik Obecny temu marszałek d'Estrées, który dotąd nie brał udziału w rozmowie, a miał sobie za obowiązek czuwać nad kształceniem umysłu i serca młodego księcia, odezwał się wtedy: „Najjaśniejszy Panie, za mojego życia, już dwóch z tych nieograniczonych władców zostało uduszonych."

* Ludwik XIV wezwał pewnego razu ministra Louvois, który po śmierci Kolbert'a, został także nadintendentem wszystkich budowli, sztuk i przemysłu i strofował go ostro z powodu źle wstawionego okna w jednym z królewskich budynków. Minister odszedł mocno rozdrażniony, a wróciwszy do domu, wylewał przed poufnymi żółć swoją w następujących słowach: „Jeżeli temu człowiekowi, który zdolny jest tyle hałasu robić o takie głupstwo, nie dam jakiego porządnego zajęcia, jestem zgubiony! Tak, muszę mu dać dobre zajęcie; wojna odejmie mu najlepiej te jego zachcianki budownicze i musi mieć wojnę, jak mi Bóg miły! Jeśli on jej nie potrzebuje, to ja jej potrzebuję"

I rzeczywiście Louvois użył niebawem swoich sztuczek dla zerwania związku Augsburgskiego, zawartego pomiędzy Austryją, Hiszpaniją, Szwecyją i różnemi państwami niemieckiemi i cała Europa pustoszona była ogniem i mieczem, dla tego, że jedno okno znalazło się na niewłaściwem miejscu.

* Dnia jednego wszedł król Ludwik XIV z twarzą czerwoną od gniewu do pokoju pani de Maintenon.

— Co się stało, Najjaśniejszy Panie?—zapytała dama, odkładając na bok ręczną robótkę.

— Ach pani—wyrzekł król—to skandal nie do uwierzenia. Lubię margrabiego de Coulanges dla jego wesołego humoru, ale i w wesołości właściwą miarę zachować należy. O, niepodobnym on jest wcale do twej przyjaciółki margrabiny de Coulanges i gdyby nie twoje dla niej przywiązanie, dawno bym się już z jej małżonkiem rozprawił.

— Na miłość Boską, Najjaśniejszy Panie! chciej się jaśniej wytłomaczyć—rzekła pani de Maintenon.

Twarz jej wyrażała niepokój, a piękne czarne brwi ściągnęły się.

— Posłuchaj — mówił król — co mi przed chwilą powiedziano, a o czem cały Wersal rozprawia. Pan de Coulanges przyjechał w odwiedziny do przyjaciółki swej, pani de Saint-Géran, a nie zastawszy jej w domu, zaczął się zabawiać z jej pokojówkami. Na pół rozebrany, kazał sobie okładać plecy serwetami i prasować je gorącem żelazkiem, tak, jakby on sam był deską do prasowania, a to wszystko ku wielkiej dziewcząt uciesze. To nie do uwierzenia, żeby człowiek, stanowiska margrabiego, należący do

mego dworu, takie błazeństwa wyprawiał i do tego jeszcze w garderobie. Wiem, że układa różne dowcipne wierszyki, w których i mnie nie oszczędza; darowuję mu to, ale nie ścierpię lekceważenia przyzwoitości i dobrych obyczajów, których zachowania tak ściśle na moim dworze przestrzegam.

To wszystko wypowiedział król jednym tchem, z oznakami najwyższego niezadowolenia.

Panią de Maintenon bardzo to opowiadanie zaniepokoiło; nie umiała wytłumaczyć sobie tego żartu, jak niemniej nie mogła odgadnąć, dla czego margrabia na tę osobliwą zabawę obrał apartamenty jej przyjaciółki, pani de Saint-Géran. Poprosiła więc króla by się uspokoił, a jej pozwolił zasięgnąć o tej sprawie wiadomości, na co Ludwik XIV z chęcią się zgodził.

Następnego dnia kazała prosić do siebie pana Coulanges. Posłaniec zastał go kończącego pisanie jakiegoś listu; wsunął list do kieszeni, i pośpieszył na wezwanie.

Gdy z ust pani de Maintenon dowiedział się, o co jest oskarżony i że popadł w królewską niełaskę, zbladł mocno; jednak zapanował nad wzruszeniem i rzekł:

— Pani, nie mogę się usprawiedliwić inaczej, jak odczytując ten list, który przed chwilą do pani de Sérigné napisałem. Właśnie miła kuzynka zapytywała mnie, czy zawsze cierpię na podagrę. Odpowiedziałem jej, co następuje: „Nie wiem, co się stało z moją pedagrą, bo już od roku nie czuję jej. Ale na rwanie w plecach i rękach odkryłem nowe lekarstwo, które mi doskonale pomaga. Potrzeba na cierpiącą część przyłożyć kawał płótna i takowy porządnie kazać wyprasować. Wczoraj podczas bytności w Wersalu, dostałem ataku reumatyzmu w plecach. Włożono natychmiast żelazko w ogień, i panny pokojowe pani de Saint-Geran, prasowały po mnie aż miło.“ Jak więc pani widzi, z niewinnego zdarzenia, zrobiono sprawę wielkiej doniosłości.

— Dobrze, już dobrze—odpowiedziała pani de Maintenon, nie mogąc się dłużej wstrzymać od śmiechu.—Poeta, który prasowaniem leczy się od reumatyzmu, nie jest niebezpiecznym dla nikogo. Bądź pan spokojny, biorę to już na siebie, żeby Najjaśniejszego Pana zawiadomieniem o wynalezionym przez pana środku leczniczym rozśmieszyć.

* Kiedy za Ludwika XIV Lille było w oblężeniu, przyszedł do kasyjera wojskowego Herona oficer, prosząc o zaległy żołd; Heron wyjął z kieszeni garść talarów, mówiąc: „Oto cała kasa wojskowa.“ Oficer udał, że uwierzył w ten wybieg, wychodząc tylko, polecił szyldwachowi, pilnującemu domu Herona, aby nie odstępował na krok przebiegłego francuza. Jakoż Heron, jako noszący przy sobie kasę wojskową, nie mogąc uwolnić się ani na chwilę od towarzystwa szyldwacha, zawezwał oficera na drugi dzień i wypłacił mu należną sumę.

* Złodziej pewien, wślizgnąwszy się do apartamentów Ludwika XIV, zdjął z haka zegar wiszący.

W tejże chwili wchodzi król, a złodziej nie tracąc przytomności umysłu, powiada:

— Obawiam się, żeby drabina nie upadła.

Król przekonany, że to któryś ze służby, podchodzi przytrzymać drabinę. W godzinę potem dowiedział się, że zegar skradziono.

— Nie mówcie już o tej sprawie — powiedział—ja jestem wspólnikiem kradzieży, bo podtrzymywałem drabinę w chwili, gdy zegar zdejmowano.

* — Dla czego nie żenisz się pan?—spytał Ludwik XIV marszałka d'Uxelles.

— Najjaśniejszy Panie, nie spotkałem dotąd kobiety, której chciałbym być mężem, ani mężczyzny, którego chciałbym być ojcem.

Chamfort. (p. t. I s. 35).

* Kiedy Ludwik XIV postarzał, stracił też wiele na siłach i apetycie, a tak miał osłabiony żołądek, iż wielu rzeczy wcale strawić nie mógł;

Godzina 3-cia.

Przez trotuar pryncypalnej ulicy pędzą trzodę nierogatą. Damy z krzykiem upadają w rynsztoki, panowie się śmieją, żydzi szwargoczą.

Fijołek lubelski częstuje mnie fijołkami, ale fijołek ten tak pachnie, że zabija zapach trzymanych na talerzu fijołków.

Uciekam.

Godzina 7 i pół wieczorem.

Zmierzch.

Masa kobiet na ulicy, a wszystkie piękne, bo ciemno. Żydzi zaczynają się rozchodzić, szwargocząc.

Idę do teatru.

Ulica Jezuicka nadzwyczaj ruchliwa, szczególniej w punkcie trzech latarni.

Ze wszystkich stron słyszę: pst! pst!

Żydów masa.

Jestem zaczepiony.

— Czy panu nie potrzeba...

— Czego?

— Ny...

— Czego???

— Daj pan pokój! Jo pana znam... I chwalili sobie...

— Jak? co? zkąd? Kto pan jesteś?

— Jo? to pan nie wi? Jo jezdem Salek...

— Jaki Salek?...

— Faktor! od różne prefesyje...

— Idź do dyjabła!

Godzina 8 i pół wieczorem.

Siedzą w tak nazwanym teatrze, gdzie pokazuje tak nazwany dyrektor pan Grabiński, który wbrew wszelkim pogłoskom nie jest anglikiem.

Po chwili robię większy śmiech, niż aktorzy, gdy chrapię jak najęty.

— Tu spać nie wolno! ktoś mi szepce do ucha.

Więc wychodzę.

Za godzinę byłem już na dworcu kolei.

Przeklinam cię, Redaktorze, żeś wysłał mię do Lublina!

Bodajeś... słuchał lubelskiej orkiestry!

„*Kolce*“.

Lucyna.

* *O Lucynie.*

Ile lat ma Lucyna, pytasz mnie o zdanie?
Nie mogę twej uczynić zadość ciekawości;
Nigdym się w całem życiu nie trudnił, mój pa-
[nie,
Badaniem starożytności.

Kretowicz.

Lud.

* *Do panów rzemięśników warsiaskich.*

Moje panowie bracia czeladzie,
jako i terminatory!

Ja tam dużo gęby psuć nie będę, bo co gęba, to nie cholewa, ino tylko jest taki interes, że w Warsiawie jest jedno takie pismo, nie wytykając palcem „Gazeta Przemysłowo-rzemieślnicza“, co to niby dla nas, a nie dla nas. A że ja o niem trochie słyszałem i wszystko zrozumiałem, bo ja, nie chwalący się, mam tyż swój rozum, więc takim sposobem mogię panom braciom coś o niem bąknąć i to i owo, jedno przy drugiem, ażeby ludzie wiedzieli, że my nie bez żadne łobuzostwo, ino tylko bez swój własny, rzemięśnicki ferstand i honur takiego pisma czytać nie mogiemy.

To jest naprzód rzec pirsza, że „Gazeta Przemysłowo-rzemieślnicza“, chociaż z ogródką, ale nam wymyśla od śmirusów i kuflodojów, jako i, z przeproszeniem, od durniów, że my się nie uczymy i nie czytamy i tego i onego. A ja mówię tak: pókim terminował, pótym brał basałygi i uczył się, ale do czytania to już nie, bo ja nie żaden dochtór, ino tylko rzemięśnik.

A po drugie, po co ta Gazeta gada ludziom ni z jakiego fachu, a nie nam, takie rzeczy, jak o nowych maszynach i robotach, i jeszcze chwali potem zagranicznych, że lepszy mają rozum

od naszego brata? To nie štuka, że oni robią to wszystko, bo im wszystko Gazeta wypaple, a oni, wyczytawszy sekret, zaraz biorą się za ten interes, fajt majt i już skończone dzieło.

Jeszcze mówi Gazeta, że rzemięśnika, byle chciał i płacił, dajmy na to 19 rubli na rok, to po śmierci może żonie wyrobić 1000 rs. zapomogi, choćby zaraz po pirszy racie wziął i umarł. To już chyba łgarstwo! a zresztą po co takie rzeczy gadać, kto wprzód umrze? nie raz właśnie tyż majstrowa wprzód schodzi, a majster zostaje... A kto komu życzy śmierci, to niech jego wpirw ona spotka!...

I jeszcze dużo innych rzeczy gada, ale to wszystko na nic; są tyż i obrazy, ale nie takie porządne, jak w „Musie".

No, więc takim sposobem powiedziałem już wszystko rychtyg, nawet lepiej, jak tam jest, ale jeszcze powiem trochę, bom ja w pysku twardy i hunoru moim braciom czeladziom psuć nie dam.

Gazeta jest za droga, bo koštuje aż 4 ruble na rok i jeszcze nadręczy i namęczy człowieka, a tu panie za „Muchie", takie porządne pismo, co to i rozsądne i do rzeczy, płaci się tylko 20 groszy na tydzień. To jest na nic! bo człowiek nie po to cały fercentag haruje, ażeby po tem płakał, ale po to, żeby za boki się brał. A więc takim sposobem ja wszystkim radzę tak: kto chce, może sobie kupować i czytać „Gazetę Przemysłowo-rzemieślniczą", a kto nie, to nie, i ja tyż nie. Może tam ona do czyjej głowy lepiej dopasuje, bo do mojej wcale nie pasuje, bo ja tam nie chcę zostać żadnym frantem, ani mechanikiem, ale tem, czem mnie Pan Bóg stworzył raz na wieki wieków amen.

Adiu.

B. Prus. (p. t. I. s. 108).

* *Z motywów ludowych.*

Na kamieniu wedle dróżki
Siedzi sobie wróbel stary;
Warszawianki piękne nóżki
Ukazują nam bez miary.

Na kamieniu siedzą ptacy,
Zając w stoku wodę pije, —
A *galantni* warszawiacy
Pokazują nagie szyje.

Pływa sobie gęś po stawie,
Po nad borem kracze wrona,
Warszawianki na zabawie
Pokazują swe ramiona.

Oj, dziwne to obyczaje,
Lecz u nas inaczej przecie,
Kiej do tańca para staje
W kierezyi i w gorsecie.

„Kolce".

Ludożerstwo.

* Do jednego z misyjonarzy zgłosił się dowódzca dzikich, objawiając gotowość przyjęcia chrześcijańskiej wiary.

Misyjonarz tłómaczył mu, że ponieważ wiara chrześcijańska nie dopuszcza poligamii, więc od sakramentu chrztu przystąpić może z jedną tylko małżonką.

Po pewnym przeciągu czasu dziki dowódzca powraca do księdza i oznajmia, że już ma tylko jedną żonę.

— Dobrze, mój synu, a cóżeś zrobił z innemi?

— Pozjadałem je, mój ojcze.

(*Revue des cours scientif.*).

Ludwik XIII.

* Ludwik XIII spytał razu pewnego Bassompierre'a ile ma lat.

— Pięćdziesiąt, Najjaśniejszy Panie — odrzekł Bassompierre.

— Czy być może?—rzekł król — sądziłem, że jesteś daleko starszym.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł Bassompierre — nie liczę dziesięciu lat, które przeżyłem w Bastylii, gdyż czas nie spędzony w usługach Waszej Królewskiej Mości, uważam za stracony.

— Nic łatwiejszego, jak zaradzić temu — powiedział król, i dla dogodzenia księżycowi zaprowadzono gaz na zamku Berg.

Od tej pory świecił księżyc na suficie królewskiej sypialni tym samym srebrnym blaskiem, co księżyc na sklepieniu teatru.

Ludwik-Filip.

* — Tak, tak, mój panie — mówiła donośnym głosem właścicielka piekarni w Lauzannie do najmującego u niej niewielki pokoik pedagoga — dość już długo czekałam, więc teraz jedno z dwojga, zapłać mi moje ośmnaście franków, lub wynoś się na cztery wiatry i to jutro najdalej.

— Proszę cię o cierpliwość, dobra kobieto, jeszcze tydzień jeden - mówił biedny pedagog — za dni kilka odbiorę pieniądze i oddam ci twoją należność.

— Nie myślę czekać więcej ani godziny, jutro rano płać pan, lub wynoś się, podług tego, co ci dogodniejsze.

Pan Filip, takie bowiem było imię pedagoga, spojrzał z wyrazem bolesnego udręczenia na drzwi, któremi wyniosła się jego prześladowczyni, gdy wtem drugie otwarły się cicho i śliczna twarzyczka czternastoletniego dziewczęcia rozejrzała się po pokoju.

— Czy ciocia już poszła?—spytała.

— Tak, odeszła przed chwilą.

— Niedobra ciotka! Panie Filipie, wszystko słyszałam. Jak można robić tyle hałasu, o marnych kilkanaście franków.

— Ciotka ma racyję, kochana Józiu. Ale ja nie mam pieniędzy i jutro zostanę bez dachu.

— Więc pan nas opuścisz?

— Tak, jutro z rana.

— Panie Filipie, ja na to nie pozwolę.

— Ty?— rzekł z uśmiechem pedagog.

— Tak, ja, przyrzecz mi tylko, że nic cioci nie powiesz i zrobisz, o co cię poproszę.

— Zrobię, co będzie w mej mocy, żeby ci dogodzić.

— Tylko niech się pan ze mnie nie śmieje —mówiła dalej Józia, wyciągając z pod fartuszka woreczek. — Oto są moje oszczędności, całych dwadzieścia franków, weź je pan i zapłać ciotce.

— Nie, dziecię, tego nie mogę zrobić - powiedział stanowczo pedagog.

Józia, która nie spodziewała się odmowy, rozpłakała się.

— Drogie dziecię — rzekł pan Filip, wzruszony dobrem sercem dziecka — z rąk takiego anioła przyjmuję pieniądze, jak gdybym przyjął królestwo.

W jednej chwili smutek dziecka zamienił się w największą radość. Ocierając łzy, wysypała na stół zawartość woreczka.

— Muszę ci na tę należność dać piśmienne zapewnienie—rzekł pan Filip.—Postaram się je jaknajprędzej wykupić.

W kilka tygodni potem znikł biedny pedagog z Lauzanny, zostawiając na stole zaległe komorne dla właścicielki domu i album z rysunkami dla Józi.

Kilka lat upłynęło od tego czasu, na tronie Francyi zasiadł król Ludwik-Filip.

Dnia jednego znajdował się król w sali audyjencyjonalnej, gdy usłyszał sprzeczkę w przyległym pokoju.

— Mówię pani raz jeszcze— mówił adjutant służbowy -że nie prędzej jak za godzinę będę mógł panią zameldować.

— A ja mówię panu, że czekać nie mogę ani chwili — odpowiedział śmiały głosik dziewczęcy.

Król uchylił drzwi do pokoju, zkąd głosy dawały się słyszeć.

— Co pani życzysz sobie?—spytał zatrwożoną dziewczynę.

— Przebaczenia, Najjaśniejszy Panie! — przemówiła drżącym głosem, zsuwając się na kolana.

— Wstań i powiedz, czego żądasz? — przemówił dobrotliwie król.

— Mam narzeczonego, który stoi z wojskiem w Chalons; jutro mieliśmy się pobrać, tymczasem jego pułk wykomenderowano do Algieru.

— To źle, nie będę mógł ci pomódz.

— Czy tak?—westchnęło dziewczę — a jednak musisz mi pomódz, Miłościwy Panie, jeżeli...

— Jeżeli co?—spytał król, zdumiony śmiałością dziewczęcia.

— Jeżeli nie zechcesz złamać danego słowa.

Ludwik-Filip zdumiał się. Dziewczyna mówiła dalej.

— Najjaśniejszy Panie, kilka lat temu, gdy byłeś w Lauzannie, obiecałeś wykupić pewną rzecz, którą od ciebie otrzymałam. Czy zechcesz dotrzymać słowa?

— Czy to być może? — zawołał król, wpatrując się w dziewczynę.—To ty jesteś Józia?

— Ja, Najjaśniejszy Panie, Józia Henrizel.

— Ach, to zmienia postać rzeczy; o bądź pewna, że fant zastawiony wykupię, wypłacając dług wdzięczności.

— Czy doprawdy, Miłościwy Panie?—mówiła dziewczyna, wylewając łzy radości.

— Tak, będziesz widzieć dziś jeszcze twego narzeczonego.

Narzeczony Józi, imieniem Klaudyjusz Beauvais, został za wolą króla uwolniony z wojska i otrzymał korzystne miejsce przy dworze. Królowa Amelja zajęła się wyprawą panny młodej. Wesele odbyło się niebawem, a pomiędzy darami ślubnemi znajdował się srebrny woreczek z portretem króla i napisem: „Pamiątka od Ludwika-Filipa."

Ludzie.

* *Jacy zabawni są ludzie.*

Gdy który wychodzi z kościoła w połowie nabożeństwa, nikt mu tego za złe nie bierze, lecz gdy kto wychodzi z teatru na pięć minut przed skończeniem widowiska, wszyscy się na niego obrażają.

Gdy żona żąda rubla na całodzienne życie, mąż narzeka, że ponosi na nią za wielkie wydatki, lecz gdy kokotka zażąda od niego bransolety z brylantami, pyta się troskliwie, czy jej co więcej nie kupić?

Gdy prasa artystę zgani, artysta wymyśla na prasę, zaprzeczając jej kompetencyi, ale gdy prasa zgani jego współzawodnika, tenże sam artysta twierdzi, że prasa nigdy nie błądzi i zna się doskonale na rzeczy.

Gdy kto kogo chwali, lub wysławia jego wielkość, chwalony chwalącego lekceważy, lecz gdy chwalący zmieni zdanie i chwalonemu wytnie *verba veritatis*, ten zaczyna go szanować.

Gdy jesteśmy u siebie w mieszkaniu, nie możemy znosić miauczących za drzwiami kotów, lecz będąc na koncercie, często grzmocimy im oklaski.

Gdy mamy miłość żony, nie cenimy jej, lecz gdy żona nas zdradza, kochamy się w niej szalenie i jesteśmy o nią zazdrośni.

Gdy mamy jaką korzystną prywatną instytucyję, stawiamy na ogólnych zebraniach takie wnioski, które jej zgubę zgotować muszą, a gdy instytucyja klapnie, ubolewamy na brak w jej członkach poczucia obywatelskiego.

Gdy Warszawa ma koncerty popularne, narzeka, że jej brak dobrej muzyki, ale gdy jest koncert, złożony z dzieł klasycznych, nikt na niego nie idzie.

Świąteczny.

* *Ludzie uczciwi.*

Pewien złodziej w Indostanie, za swe przestępstwa uwięziony i na śmierć skazany, wpadł na szczęśliwy koncept, którym miał nadzieję życie swe uratować. Wezwał do siebie nadzorcę więzienia i oznajmił mu, że jest posiadaczem bardzo ważnej tajemnicy, którą chce królowi powierzyć i że jak tylko tego dopełni, gotów jest umrzeć.

Gdy o tem doniesiono królowi, ten rozkazał natychmiast zbrodniarza do siebie przyprowadzić. Po uroczystej przedmowie, skazany oznaj-

wtedy to pani Manitenon wynalazła środek wzmacniający, składający się z dystylowanej wódki, cukru, soku z pomarańcz i innych ingredjencyi, który to napój był zaczątkiem nowożytnych likierów. Wyborny ten trunek działał znakomicie na zdrowie króla, ale wywołał też ogromne wzburzenie między dworakami i faworytkami, którzy prześcigali się między sobą, żeby nową jakąś potrawą dogodzić monarsze. Z tego czasu pozostały nam: kotlety à la Soubise, Gigot á la Mailly etc. etc.

* Małżonka Delfina, Maryja Anna księżniczka bawarska, miała słynną z piękności siostrę, aślubioną wielkiemu księciu Toskańskiemu. Razu jednego, mówiąc o związkach familijnych, Ludwik XIV odezwał się do żony: „Nigdy nie wspominałaś mi o tem, że masz tak piękną siostrę". „Prawda, Najjaśniejszy Panie — odparła dowcipnie królowa — nie przyszło mi to na myśl, ona bowiem odziedziczyła piękność, mnie zaś szczęście przypadło w udziale!"

* Ludwik XIV odezwał się raz do swego ministra, wskazując mu przepyszne gmachy Wersalu: „Pamiętasz pan że kiedyś na tem samem miejscu stał tylko prosty drewniany wiatrak." „O tak, Najjaśniejszy Panie — odrzekł uśmiechając się dworak — pamiętam doskonale. Dziś wiatraku ani śladu, ale wiatr pozostał."

* Kiedy Ludwik XIV wychodził z Paryża, aby oblegać miasto Mons, rozkazał swoim dwom nadwornym poetom, Racinowi i Despreaux, przybyć niezwłocznie do obozu. Ale poeci, zamiłowani w ciszy i spokoju, nie wyruszyli z domu. Kiedy król powrócił, wezwał poetów, aby mu zdali sprawę ze swego postępku. „Najjaśniejszy Panie — odrzekli dowcipnie faworyci — wybacz! ale mieliśmy tylko szaty dworskie, a zanim krawiec zdążył nam uszyć podróżne ubranie, Wasza Królewska Mość wziąłeś już miasto."

* Ludwikowi XIV przedstawiono raz wysłużonego oficera, z prośbą o przeniesienie go na lepszą posadę. „Ależ to człowiek już w podeszłym wieku" — zauważył król. „Najjaśniejszy Panie — odrzekł oficer — jestem tylko cztery lata starszy od Ciebie, a 24 lat służę już wiernie Waszej Królewskiej Mości." Podobała się królowi ta prosta odpowiedź i zatwierdził oficera na żądanej posadzie.

* Książę Rohan grał raz w karty z Ludwikiem XIV i przegrał znaczną sumę, którą chciał natychmiast wypłacić hiszpańskimi pistolami. Król jednak nie chciał przyjąć tej monety, oświadczając, iż wygrana należy mu się luidorami. Rohan pospieszył przynieść żądaną sumę w luidorach, hiszpańskie zaś pistole wyrzucił za okno, twierdząc, że nie może z nich zrobić innego użytku, skoro król je odrzucił. Kiedy w kilka dni później król rozmawiał z kardynałem Mazarinim o postępku Rohana, kardynał wyrzekł: „Najjaśniejszy Panie, pozwól sobie powiedzieć, że Rohan postąpił jak Ludwik XIV, a Wasza Wysokość jak Rohan!"

* Kiedy w hotelu de Bourgogne wzbroniono komedyjantom włoskim mówić po francuzku, Ludwik XIV kazał do siebie przywołać Barona i Dominiqua, chcąc osobiście wysłuchać skarg zobopólnych.

Baron mówił pierwszy, a gdy skończył, Dominique zagadnął króla:

— Najjaśniejszy Panie, jak mam mówić?

— Mów jak chcesz — odpowiada mu na to monarcha

— To mi wystarcza — woła uradowany Dominique — wygrałem sprawę!

Baron usiłuje oponować, ale nadaremnie. Król przerywa mu, śmiejąc się:

— Przepadło — wyrzekłem.

(*Histoire du Th. italien*).

* Mąż margrabiny de Prie, sławnej ze swych romansowych przygód, będąc razu pewnego w Wersalu, oczekiwał wraz z innymi dworakami na króla. Podczas gdy rozmawiał, zapaliła

mu się peruka od stojącego na konsoli kandelabra. Nie tracąc przytomności, margrabia zerwał perukę, ugasił ogień rękami i włożył ją na głowę. W chwilę potem wszedł król.

— Co tu tak czuć — zawołał — jak gdyby róg spalony?

Na ten nierozmyślny epigramat Ludwika XVI, wszystkich oczy zwróciły się na margrabiego, który wymknął się jaknajprędzej przed żarcikami i śmiechem całego zgromadzenia.

Ludwik XV.

* Kiedy za panowania Ludwika XV-go we Francyi skarb był tak wyczerpany, iż dworzanie nie otrzymywali na czas swoich zasług, przyszli też i śpiewacy królewskiego teatru, z prośbą o zapłacenie im zaległej gaży. „O! moi panowie—zawołał minister, słysząc ich żądanie — musimy naprzód zaspokoić tych, którzy płaczą, a następnie tych, którzy śpiewają!“

* Ludwik XV zapytywał księcia d'Ayen, czy oddał swoje srebra do mennicy, na co książę przecząco odpowiedział.

— Co do mnie—mówił król—odesłałem już tam moje.

— Najjaśniejszy Panie—rzekł książę—gdy Chrystus Pan umierał w Piątek, wiedział dobrze, że zmartwychwstanie w Niedzielę.

Chamfort. (p. t. I s. 35).

Ludwik XVIII.

* Po powrocie Ludwika XVIII na tron francuzki 8 Lipca 1815 r., przedstawiła mu się deputacyja ze szkoły prowincyjonalnej, niosąc adres wiernopoddańczy.

— Jest też między wami wielu Hellenistów? (znających greczyznę)—zapytał monarcha.

— Hellenistów!? — odpowiedział zmięszany mówca — kilku mamy takich między nami, ale zostawiliśmy ich na stronie, Waszą Kr. Mość zaś możemy z całą prawdą zapewnić, że w naszym departamencie jest tylko trzech, albo czterech takich nicponiów, którzy dotychczas wierzą w szaleńca ze świętej Heleny!

Ludwik XVIII z trudnością wytłómaczył mówcy wpośród ogólnego śmiechu jego zabawną pomyłkę.

Ludwik Bawarski.

* Działo się to w końcu 1860 roku. Młody król, Ludwik Bawarski, cierpiał na bezsenność. Otóż pewnej nocy, którą spędzał w swym zamku nad Starenbergskiem jeziorem, przyszło mu na myśl, że to nie zbyt zabawnie patrzeć na ciemny sufit pokoju.

Nazajutrz rano kazał do siebie przywołać maszynistę dworskiego teatru w Monachium.

— Słuchaj, mój kochany—rzekł mu, ponieważ umiesz tak przedziwnie naśladować księżyc i niebo w naszym teatrze, otóż pragnąłbym mieć taki sam księżyc na suficie mego sypialnego pokoju.

— I owszem, Najjaśniejszy Panie, mogę zrobić równie piękny księżyc w sypialnym pokoju Waszej Królewskiej Mości, ale trzeba będzie na ten cel porobić pewne zmiany w suficie.

— Jakie naprzykład?

— Sufit należy podnieść trzy lub cztery razy wyżej, jak jest obecnie, bez tego nie można dokonać złudzenia.

— To jest rzecz do zrobienia; każ zerwać sufit.

Wkrótce obszar sypialni zwiększył się o dwa piętra w górę i maszynista stworzył jakby czarem, wspaniały księżyc u sklepienia pokoju.

W kilka dni jednak zbrzydł księżyc Najjaśniejszemu Panu i maszynista został wezwany telegrafem do zamku Berg.

— Słuchaj, mój kochany — rzekł król. — Twój księżyc świeci pięknie o północy, ale nad ranem znajduję go brzydkim—zmienia on barwę i robi się czerwony.

Maszynista wytłomaczył królowi, że zmiana barwy pochodzi ztąd, że księżyc nie światłem gazowem, jak w teatrze, ale olejnemi lampami jest oświecany.

nił, że zna tajemnicę sadzenia drzew, wydających owoce z czystego złota i że próbę w oczach królewskich zrobić może.

Władca przyjął wiadomość niedowierzająco, bojąc się jednak stracić sposobności, udał się w otoczeniu swego pierwszego ministra, arcykapłana i kilku innych dygnitarzy, posiadających monarsze zaufanie, do oznaczonego miejsca w ogrodzie pałacowym.

Tu począł zbrodniarz wymawiać długie i uroczyste formuły zaklęcia; potem wyjąwszy sztukę złota z kieszeni, oznajmił, że po zasadzeniu, wyrośnie z niej drzewo, dające złote owoce.

— Ale —mówił dalej —ten kawał złota musi być zasadzony ręką, której nigdy nieprawy czyn nie skalał. Moja ręka czystą nie jest i dla tego oddaję go Waszej Królewskiej Mości.

Król wziął sztukę złota, potrzymał ją wahając się w ręce i rzekł:

— Przypominam sobie, że w dzieciństwie nieraz ojcu memu pieniądze ze skarbca wykradałem. Żałowałem tego nieraz potem, ale nie mogę powiedzieć, że moja ręka jest zupełnie czystą. Oddaję zatem sztukę złota memu pierwszemu ministrowi.

— Byłaby nieodżałowana szkoda, gdyby jakaś możliwa pomyłka zniszczyła moc zaklęcia—odpowiedział tenże po krótkim namyśle.— Wybieram podatki z ludu, a będąc narażonym na tyle pokus, czy mogę być pewnym, że zawsze i w każdej sprawie rzetelnym pozostałem? Wolę więc sztukę złota oddać rządcy cytadeli.

— Nie! nie! — zawołał ten ostatni, cofając się — pomyślcie tylko, że ja naszym wojskom żywność i żołd wypłacam. Niech lepiej arcykapłan sztukę złota zasadzi.

— O! — rzekł arcykapłan — czyście zapomnieli, że ja dziesięciny odbieram i wypłacam pieniądze za ofiary.

Tu złodziej zabrał głos.

— Najmiłościwszy królu, ja myślę, a raczej nie mam już wątpliwości, że u nas w Indostanie ani jeden człowiek uczciwy się nie znajduje, każ więc wszystkich wywieszać, lub też nikogo, ani mnie nawet.

Król się rozśmiał i tak dowcipnym znalazł koncept złodzieja, że go niezwłocznie ułaskawił.

Ludzkość.

* Ludzkość jest to wielkie przedsiębiorstwo, którego akcyjonaryjusze wzajemnie się oszukują. Na ogólnych zebraniach przemawiają zawsze najwięcej ci, którzy wcale akcyi nie mają, a którym oddają je na pewien czas, aby mogli głosować. Podstępni ci akcyjonaryjusze przemawiają językiem wzniosłym, z wielkim patosem i uchwalają rezolucyje, do których nigdy nikt się nie stosuje. Dywidendy płatne są w stosownych terminach, mądrzy realizują je zaraz, głupcy zostawiają na później, nie wierząc, aby przedsiębiorstwo źle stało.

Lukullus.

* Bankier rzymski, który dobrze jadł, dobrze pił i lubił bardzo baletnice. Popierał też o ile mógł, sztukę i poetów. Jeden z jego potomków osiadł w Warszawie i rozmnożył tu swój ród, który odznacza się tem, że lubi cytować bardzo zręcznie przysłowia.

Lully.

* Lully słysząc raz w kościele graną aryję z jednej ze swoich oper, westchnął, mówiąc: „Przebacz Panie Boże, to nie dla Ciebie było przeznaczone, nie powinieneś tego słuchać!“

* Proszono w pewnem towarzystwie sławnego kompozytora Lully o zagranie na skrzypcach, Lully jednak odmówił. Wtedy gospodarz kazał zagrać swemu krewnemu jeden z utworów Lully'ego, ale zaledwie młodzieniec przegrał kilka taktów, Lully wyrwał mu skrzypce z rąk i zaczął sam grać, wołając: „Tak grać powinieneś, uważaj, słyszysz...“ i grał całą godzinę, zapominając o odmowie danej obecnym.

Lwów w pieśni.

* Błotem, błotem, co pokotem
Leży zimą jak wał jaki,
Kurzem, kurzem, co przedmurzem
W lecie lwowskie kryje szlaki,
Wóz twój z trudem się przedziera
Hen ku wonnej, ku stolicy,
A pierś drży ci, jak dziewicy,
Co na bal się pierwszy zbiera.
O, powstrzymaj serca bicie,
Zapał twój się wnet ostudzi,
Kiedy poznasz lwowskie życie,
I gdy lwowskich poznasz ludzi.

Ot i Lwów już w majestacie,
Lecz nie prędko tam cię wpuszczą,
Wprzód rozprawa czeka na cię
Z akcyzowych sępów tłuszczą!

Pytasz, co to znaczyć może?
Zaraz poznasz sam, nieboże!

Przy gościńcu jest rogatka,
Przy rogatce budka stoi
A w tej budce jest czeladka,
Co Chrystusa się nie boi!
Kiedy staniesz u rogatki,
Wnet wyskoczy ta czereda
I do słowa przyjść ci nie da
Tylko chwyta twe manatki,
Ciągnie kufry, tłumok taszczy
Do swej budy, jak do paszczy!
A tam wszystko mierzą, ważą,
Zapisują i kosztują,
Wreszcie sobie płacić każą!
Teraz jedź pan w zdrowiu dalej!
I tłum ci się w oczy śmieje,
Boć twe rzeczy splądrowali,
Jakby w lesie gdzie złodzieje!
Szewcka pasyja tobą miota,
Więc zaciskasz zęby w złości
I klnąc zbierasz ruchomości,
Co roztrzęsła ci hołota.
Tu rozbity kufer leży...
Tam tłumoki, tu waliza,
Owdzie stosy twej odzieży,
— Oto lwowska jest akcyza!
Wreszcie siedzisz już na bryce,
Więc splunąłeś im siarczyście,
I w stołeczne się ulice
Wtaczasz ostro, potoczyście!
Teraz już nie wątpisz dłużej,
Żeś we Lwowie nie na żarty,
A za dowód to ci służy,
— Iż na wstępie-ś już obdarty!

Cztery masz dzielnice lwowskie,
Rzekłbyś, córy to królewskie,
Jest Halickie, jest Krakowskie,
I Łyczaków i Żółkiewskie.
Cztery córy to dorodne,
Wszystkie wonne—nadzwyczajnie!
Ludne—jakby ule miodne,
Czyste—jak Augiasza stajnie!
Każda chce z nich być piękniejsza,
Każdą czerw zawiści toczy,
Każda sióstr swych wdzięk umniejsza,
Każda siostrze drze wciąż oczy.
Pełtew płynie za ich śladem
Tocząc fale brudnolice,
Jak królewski więc dyjadem
Stroi dumne krasawice.
Ratusz w środku wzniósł się miasta
Jakby ojciec dzielnie stary,
Wieża gruba i graniasta,
Istny kloc olbrzymiej miary;
Dziwnej gmach ten jest budowy,
Ni gołębnik, ni latarnia,
Więc nad stylem nie łam głowy,
Gdyż bez celu to męczarnia.
Ojcem swym go zwią Lwowianie,
Lecz to pochlebstw trąci dymem,
Bo nie ojcem on im, panie,
Lecz prawdziwym jest ojczymem!
Twardą zda się taka mowa,
Jednak prawdę w sobie mieści,
A nie wierzysz mi na słowa,
To zajdź bracie w głąb przedmieści.

Latem—błoto po kolana,
Zimą—w śniegu brniesz do pasa,
Woda w studniach jak śmietana,
A wyboje—jak wśród lasa!
Woń co krok cię w nos uderza,
Człek więc chodzi bez pamięci,
A łza w oku twem się kręci,
A nos kicha jak z moździerza!
Nocą ciemno tu jak w rogu,
Zaułkami zbój pomyka,
W nogach tylko więc i w Bogu
Życie leży śmiertelnika!
Idąc w strachu człek się tuli,
Bo policyi ani znaku,
Więc obedrą cię z koszuli,
Jak gdzieś na zbójeckim szlaku!

Na zgarbionym karku, hardo,
Dźwiga głowę lud z przedmieści,
A choć dolę ma on twardą,
Przecież strzeże swojej cześci.
Sami tu panowie, panie,
Choć dziurami łokieć świeci,
Chociaż boso i w łachmanie,
Bo to przecież lwowskie dzieci.

Lud natury to szerokiej,
Gdy pracuje—to jak bydlę,
Kiedy śpi—to na dwa boki,
Kiedy łże—to jak po mydle!
Kiedy je—to miski zmiata,
Pije—beczkę jednym ciągiem,
Kiedy kocha—to jak brata,
A gdy bije—to już drągiem!

Chcesz lud lwowski poznać z bliska,
To pod Zamek idź Wysoki,
Gdzie się gwarnie tłum przeciska
Pod „Złodziejskiej" godła „Sroki".

Bal tam wielki co niedzieli,
Kataryna gra, aż dudni,
Naród tańcem się weseli,
Trunki leją się jak z studni!

Lud tu strojny i chędogi,
Masz rozliczny stan, rzemiosła,
Kawalery od podłogi,
Damy są od koromesła.

Masz cywile, masz wojaki,
Wszyscy hołd równości niosą,
Nikt nie pyta, ktoś ty taki?
Byleś tylko nie wszedł boso.

Dym, krzyk, śpiewy, w ciasnym tłumie,
Pot się z czoła leje strugą,
Każdy tańczy tak jak umie,
Byle głośno, byle długo!

—Pójdziesz panna w taniec ze mną?
Tak kawaler się odzywa.
—*Zowszem*, bardzo mi przyjemno,
Lecz pan postaw halbę piwa.
—*Względem* tego bardzo proszę!
Ot i halbę już nalali,
Panna cedzi ją potrosze
I wnet w tańcu mknie po sali.

Każdy tańczyć chce do syta,
Gdy więc pary nie dostanie,
To chłop z chłopem tnie z kopyta,
Lub z „paniami" tańczą „panie."

„Bez" noc całą trwają tany,
Lubo, zgodnie, grzecznie, szczerze,
Aż się dobrze tłum pijany
Do swych czupryn nie dobierze.

Czasem ktoś ubliży „damie",
Czasem znowu ona komu,
A w ślad za tem mszczące ramię
Na łeb spada pędem gromu!

Na to hasło trzeszczą ławy,
Szklanki sypią się w kawałki,
W każdym kącie wre bój krwawy,
Jęczą piersi, świszczą pałki!

Damy biorą udział w walce,
A krwi struga ślad ich broczy,
Paznokciami zbrojne palce
Godzą wprost we wroga oczy!

A wtem wpada na wyścigi
Czerń policyi jakby jędza,
I część ciągnie do furdygi,
A część gości w puch rozpędza!

Tak się kończy bal „pod Sroką“;
Naród lubi takie bale,
Bo choć ci podbiją oko,
Człek się bawi doskonale!

Nie patrz bracie żądnem okiem
Na postronnych ludów grody,
Bo i Lwów nasz lśni urokiem
I wielkości i urody!
Co tu gmachów, co pałaców,
Jak gwiazd na niebieskim szlaku!
Ileż skwerów, ileż placów,
Ile wdzięku, ile smaku!
A choć spotkasz mimochodem
Przy pałacu budę czasem,
Co twój zachwyt struje kwasem,
Krew ci w żyłach zetnie lodem,
Choć masz w Lwowa sercu samem
Stek zaułków takiej woni,
Iż się Pełtew zda balsamem,
A człek z nich jak waryjat goni:
To się nie gryź przyjacielu,
Gdyż to nie ubliża miastu,
A prócz innych względów wielu,
Lwów brud znosi—dla kontrastu!

Bo i na cóż zejdą cnoty,
Gdy nie będzie w świecie złości?
Czem jest piękno bez brzydoty?
Bez fetoru czem wonności?
Czemby ludzkie było zdrowie,
Bez słabości bladolicej?
Bez nędzarzy czem panowie?
A czem Lwów bez Zarwanicy?
W jakiejkolwiek roku porze,
Na ulice wyjść chcesz Lwowa,
Odpraw spowiedź wprzód w pokorze,
Bo śmierć zdławić cię gotowa!
W każdym ona zakamarku
Szczerzy zęby swe do ciebie,
I w mig łeb ci zmiecie z karku,
Że połapiesz się aż w niebie!
Wały śniegu, wód potopy,
Grożą z dachów twojej głowie,
Bruk ci krwią oblewa stopy,
Biały proch pożera zdrowie.
Raz ci stróż podłamie nogi
Na chodniku rąbiąc lody,
Raz znów zleje cię wśród drogi,
Kropiąc chodnik strugą wody.
Kiedy zaś salwując głowę,
Środkiem drogi gonisz w biedzie,
Tam ci grożą klęski nowe,
Bo tam—fiakier cię rozjedzie!

Fr. Konarski. (p. t. I s. 48)

Lysander.

* Do króla Lysandra przyszedł raz dworzanin i zapewniał go o swojem dlań przywiązaniu, wdzięczności, gotowości do poświęceń i t. p. Król, wysłuchawszy wszystkiego, powiedział: „Jeśli mam dwóch wołów, które orzą moją posiadłość, rozróżnię, który jest leniwy, a który pracowity, mimo że oba milczą“ i zamilkł król, a dworzanin odszedł zawstydzony, przyznając w duchu, że czyny najbardziej przekonywającą posiadają wymowę.



Łabaj.

* *Szlachcic z Barcic, pana Łabaja syn.*

Ironiczne wyrażenie o chudym pachołku, chełpiącym się ze szlachectwa. Wieś Barcice nad Bugiem leży między Serockiem a Wyszkowem, w okolicy przez drobną szlachtę, tak zwaną zagonową, zamieszkanej; Łabaj, albo Łapaj, nazwą jest psom dużym dawaną.

Łacinnik.

* *Jan łacinnik.*

„Nie dam się po łacinie przedać, byłem w szko-
[le",
Rzekł Jan. Paweł mu na to: „Są w książkach
[i mole.
Prawda, przedać cię ciężko, bo będzie ten głupi,
Kto cię po łacinie, czy po polsku kupi".

Łagodność.

* *Łagodność sądu.*

Ksiądz (*do siebie*).

Czy to jest gniazdo tych smoków? (*Głośno*) Za pozwoleniem, moi panowie, ja jestem sługą kościoła, a tam stoi tysiąc siedemset ludzi, co każdego włoska na mojej skroni pilnują.

Szwajcer.

Brawo! brawo! dobrze zapowiedział, żeby sobie ciepło żołądek utrzymać.

Karol.

Cicho, kamracie! Mów krótko, księże plebanie, co tu masz do roboty?

Ksiądz.

Mnie tu przysyła prześwietny trybunał, który na życie i śmierć pisze wyroki. Wy, złodzieje, wy podpalacze, wy łajdaki — jadowity jaszczurczy gadzie, co w ciemnościach kroczysz, a z ukradka kłujesz... Wyrodki rodzaju ludzkiego, piekielna hałastro, ścierwo na jadło krukom i owadom, gromado przeznaczona na szubienicę i koło...

Szwajcer.

Psie! przestań łżyć, albo cię... (*Przymierza mu do twarzy*).

Karol.

Pfe, Szwajcer! psujesz mu koncept — on się swojego kazania tak expedite wyuczył. Dalej, mój panie: „na szubienicę i koło..“

Ksiądz.

A ty prześwietny herszcie! Książę rzezimieszków, królu oszustów, wielki mogule wszystkich łajdaków pod słońcem! Podobniusieńki do owego przywódcy, co w tysiącu legijonach niewinnych aniołów buntowny ogień rozdmuchał i za sobą do głębokiej przepaści potępienia zaciągnął. Jęk opuszczonych matek goni za twoim krokiem, krew pijesz, jak wodę, na twojem morderczem żelazie ludzie bańki mydlanej nie ważą.

Karol.

Wielka prawda! wielka prawda — cóż dalej?

Ksiądz.

Co? wielka prawda, wielka prawda! I toż jest odpowiedź?

Karol.

Jakto, mój panie? Czyś się do tego nie przygotował? No, dalej, dalej! Co chciałeś dalej mówić?

Ksiądz.

Bezecny człowieku! Pójdź mi z przed oczu! Czy krew zabitego hrabiego państwa nie przylepła smołą do twoich przeklętych palców? Czyś nie włamał się złodziejskiemi rękami w przybytek pański i hultajską pięścią czyś nie znieważył poświęconych naczyń sakramentu? Jakto? czyś nie rzucił ognia na bogobojne miasto nasze? prochownię czyś nie zwalił na głowy chrześcijan poczciwych? (*Z załamanemi rękami*) Przemierzła, przemierzła zbrodnia! ona aż do nieba zaraźliwy dym wzniesie, uzbroi sąd straszny, żeby gwałtownie zagrzmiał na ziemi. Zbrodnia dojrzała na karę; zawczesna tylko, żeby trąbę dnia ostatecznego obudzić!

Karol.

Dotąd po mistrzowsku wywodziłeś! Ale do rzeczy! Co mi prześwietny Magistrat przez ciebie objawia?

Ksiądz.

To, czego nigdy godny nie jesteś! Oglądnij się, krwawy podpalaczu! gdzie oko twoje zasięgnie, wszędzie cię nasze jeźdźce obsaczyły. Tu niema sposobu ucieczki. Jeźli cię wisznie na tych dębach, a brzoskwinie na tych jodłach zrodzą, wtenczas chyba te dęby i te jodły z tyłu za sobą zostawisz.

Karol.

Czy słyszysz, Szwajcer? Ale mów dalej!

Ksiądz.

Posłuchaj więc, jak dobroczynnie, jak łagodnie chce się sąd z tobą, złoczyńco, obchodzić: jeżeli tej chwili w prochu się czołgać, o łaskę i pobłażanie upraszać będziesz — słuchaj tylko: surowość — miłosierdziem, sprawiedliwość czułą matką ci będzie. Ona przywiera oczy na połowę zbrodni twoich i skazuje cię — pomyśl tylko—na jedną karę koła.

Szyller. (p. t. I s. 281)

Łakomy.

* *Dwu kotu w jeden worek źle sadzać.*

Kanclerz jeden koronny częstokroć zwykł to był mawiać: „Z każdym się zgodzę, jedno z łakomym nie; bo on chce, a ja też chcę.

W. Kochowski. (p. t. I s. 49).

* *Na łakomcę.*

Drżąc na okręcie wśród bałwanów srogich,
Łakomca niebom ślubował w rozpaczy
Darzyć jałmużną przez trzy dni ubogich,
Kogo z nich tylko na lądzie zobaczy.
A kiedy okręt do brzegu zawinął,
A strach naszego łakomcę ominął,
Żeby nie złamać swojej obietnicy,
Nie ukazał się trzy dni na ulicy.

Cypryjan Godebski.

* *Łakotniś ukarany.*

Pewien młody człowiek, powszechnie znany ze swego łakomstwa, pozostawiony chwilowo w salonie Delilla, zjadł jabłko upieczone, które dojrzał stojące na kominku.

Delille, powróciwszy, zauważył tę defraudacyję i udając wielce zaniepokojonego, pyta, co się stało z jabłkiem, czy go nie zjadł przypadkiem. Młodzieniec zaprzeczył.

— Uspakajasz mię—rzecze — napastowany przez szczury, wsypałem trochę arszeniku do tego jabłka, aby je raz wytruć.

Zaledwie tych słów domówił poeta, nasz łakomiec przerażony zrywa się z siedzenia i z oznakami najwyższej trwogi zaczyna wrzeszczeć: „mleka! mleka! przez litość, prędzej mleka!“

Po wielu usiłowaniach zdołał nareszcie Delille uspokoić łakotnisia, przyznając się do niewinnej zemsty, jakiej się dopuścił za zniknięcie swego śniadania.

(*Delilliana*).

* Cousin i Villemain wzrastali razem, dzieląc się wspólnie chlebem i kałamarzem. Villemain, chociaż starszy o dwa lata od Cousina, lubował się w jego towarzystwie; obaj studenci, obaj biedni—och! dobre, szczęśliwe to czasy, pomimo, że nie było czem się odżywiać należycie; na obiad jedno mięso, jarzyna i po jednem jabłku dla każdego.

Ale Villemain urodził się łakotnisiem, więc z nadejściem chwili deseru potrącał znienacka o jakąś interesującą kwestyję...

Zawsze wrzący, zawsze rozentuzyjazmowany Cousin, wybuchał jak korek z szampańskiej butelki, rzucał się w zamęt swoich teoryj, dopadał swoich *dadas* filozoficznych, pędził, poganiał... a Villemain, zasłuchany, uśmiechnięty, zjadał tymczasem obydwa jabłka.

(*Figaro*).

* Pewien przeor, znajdując się raz na wspaniałej, choć postnej uczcie i słysząc, jak się wszyscy delektują jakąś potrawą, zapragnął jej też skosztować, aż tu towarzyszący mu braciszek ostrzega go:

— Mój ojcze, nie jedz tego, widziałem w kuchni, jak zaprawiano tłuszczem to danie.

— Ech! bodaj cię! a po cożeś chodził do kuchni? czy to tam miejsce dla ciebie stosowne?— ofuknął go zmartwiony przeor.

(*Gastronomiana*).

Łapówka.

Spartańskie cnoty jeszcze nie wygasły w syrenim grodzie.

Do powszechnie szanowanego łapownika, pana X., przyszedł interesant z oświadczeniem, że z chęcią da 10 rs. za przeprowadzenie interesu.

— Panie — odrzekł nasz powszechnie szanowany łapownik, pan X. — ja nie chcę i nie mogę być podłym za 10 rs.

* *Z dalekich stron.*

Zwierzchnik. Mój panie, chcesz podwyższenia płacy, a mnie tu dochodzą wcale nie wesołe wieści; powiadają naprzykład, że pan i dwuzłotówką nie gardzisz...

Podwładny (w pokorze). Jak Boga kocham, więcej nie dają, panie naczelniku, biedna okolica!...

(*Kolce*).

Łaska.

* Pewien młody książę zwiedzał szczegółowo swój kraik, zaglądając nawet do więzień. Znalazłszy wszystko w porządku, hojnie szafował swą książęcą łaską, tak nawet, że dożywotnim więźniom ujął po roku kary!

* *Zbytek łaski.*

Poczciwy zakonnik, wierzący święcie temu, że cierpienia są dowodem łaski niebios, rzekł raz do Scarrona:

— Cieszę się wraz z tobą, panie, iż Bóg dobrotliwy nawiedza ciebie częściej, aniżeli drugich.

— Ech! mój ojcze — odpowiada mu na to Scarron—za wiele mi Pan Bóg czyni zaszczytu! (*Memoires anecdotiques*).

Łatwość.

* *Łatwość kredytu.*

Myt bajeczny z czasów przedhistorycznych. Poważniejsi myśliciele i krytycy nie wierzą w istnienie rzeczonej łatwości.

Łgarz.

Poins.

Jak się masz, Jasiu, gdzieżeś to bywał?

Falstaff.

Niech piorun trzaśnie podłych tchórzów i kaci niech ich porwą w dodatku! tak im panie biesie dopomóż, amen! Przynieś mi, chłopcze, kubek wina. Wolę pończochy robić, cerować je i łatać, niż dłużej pędzić takie życie. Niech piorun trzaśnie podłych tchórzów! Kubek wina, hultaju! Czyliż już niema męztwa na świecie?

Ks. Henryk.

Widziałżeś kiedy Tytana, rozczulającego się nad farfurą bigosu? Jeżeliś nie widział, to patrz na ten egzemplarz in folio.

Falstaff.

Ha! łotrze! w tem winie wapno. Samo oszukaństwo teraz pomiędzy ludźmi, nic jak oszukaństwo: ale tchórz, to coś gorszego jeszcze, jak kubek wina z wapnem. Nie masz ty co już robić na świecie, stary Jasiu, możesz umrzeć, kiedy ci się żywnie podoba. Jeżeli męztwo, prawdziwe męztwo, nie jest dziś bajką na całej kuli ziemskiej, to ze mnie śledź holenderski. Ledwo się znajdzie trzech do czterech tęgich ludzi nie powieszonych w Anglii, a ledwo jeden, któremu się udało utyć i zestarzeć. Boże, zmiłuj się! źle na świecie! Radbym zostać tkaczem, albo prządką; mógłbym wtedy śpiewać psalmy lub co innego. Niech piorun trzaśnie podłych tchórzów! jeszcze raz powtarzam.

Ks. Henryk.

No, wańtuchu, co tam mruczysz?

Falstaff.

Ty, syn królewski! Jeżeli ja cię drewnianą szablą nie wypędzę z twego królestwa i nie popędzę przed tobą wszystkich twoich poddanych, jak stado dzikich gęsi, to niech mi włos nie rośnie na brodzie. Ty, książę Walii?

Ks. Henryk.

Co to ma znaczyć, ty pękaty gąsiorze?

Falstaff.

Nie jesteś tchórzem? Odpowiedz mi na to i Poins także.

Poins.

Nędzny brzuchaczu, nadzieję cię na rożen, jak mnie będziesz tchórzem nazywał.

Falstaff.

Ja cię nazywam tchórzem? Prędzejbym cię rad widzieć w piekle, niżbym cię nazwał tchórzem. Ale to pewna, że chętnie dałbym tysiąc funtów, żebym mógł biegać tak, jak ty. Proste masz plecy, nie dbasz więc, czy ci kto tył widzi. Nazywasz to zakrywać tył przyjaciołom? Niech dyjabli wezmą takie zakrywanie tyłu! Dajcie mi takich, co mi prosto w oczy patrzą. Wina, chłopcze! Szelmą jestem, jeżelim dziś wypił choć kroplę!

Ks. Henryk.

O, infamisie, ledwo-żeś usta otarł po ostatnim łyku.

Falstaff.

Wszystko to jedno. (*Pije*). Niech piorun trzaśnie podłych tchórzów! nie przestanę powtarzać.

Ks. Henryk.

Do czego to zmierza?

Falstaff.

Do czego zmierza? Widzisz tu przed sobą czterech ludzi, którzy dziś rano tysiąc funtów zdobyli?

Ks. Henryk.

Gdzież one są, Jasieczku? gdzież one są?

Falstaff.

Gdzie one są? Odebrane nam są. Stu ludzi najmniej przeciwko nam czterem, to nie żarty.

Ks. Henryk.

Stu ludzi na was się rzuciło? Czy być może?

Falstaff.

Szelmą jestem, jeżelim sam na pół długości szpady nie potykał się z dwunastoma przez dwie godziny. Cudem tylko ocalałem. Ośm pchnięć dostałem przez kaftan, cztery przez spodnie; tarcza moja podziurawiona, jak sito, a miecz, jak piła poszczerbiony. Ecce signum! (*Dobywa szpadę z pochwy*). Odkąd z pieluch wyszedłem, nigdym jeszcze dzielniej nie dotrzymywał placu. Niech piorun trzaśnie podłych tchórzów! Spytaj się ich. (*Wskazuje na swoich towarzyszów*). Jeżeli ci powiedzą mniej lub więcej, jak jest w istocie, nazwę ich łajdakami i synami ciemności.

Ks. Henryk.

Powiedzcie panowie, jak to było?

Gadshill.

My we czterech napadliśmy dwunastu.

Falstaff.

Szesnastu ich było przynajmniej.

Gadshill.

I zniewoliliśmy ich...

Peto.

Ależ nie zniewoliliśmy.

Falstaff.

Milcz, ośle! zniewoliliśmy ich poddać się: jeżeliśmy ich nie zniewolili, to jestem żydem, hebrajskim żydem.

Gadshill.

Związawszy ich, przystąpiliśmy do podziału zdobyczy; aliści sześciu czy siedmiu nowych drabów rzuca się na nas.

Falstaff.

I rozwiązują tamtych i tamci łączą się z nimi.

Ks. Henryk.

Jako żywo, walczyliście więc ze wszystkimi?

Falstaff.

Ze wszystkimi? Nie wiem, co nazywasz wszystkimi; ale jeżelim nie walczył z pięćdziesięcioma z pomiędzy nich, to jestem wiązką rzodkwi; jeżeli ich pięćdziesięciu kilku nie siedziało na biednym, starym Jasiu, to nie jestem dwunożnem stworzeniem.

Poins.

Mam w Bogu nadzieję, żeś żadnego nie zamordował?

Falstaff.

Wyrzecz się nadziei: dałem dwom tęgiego feferu, dwom mianowicie łotrom w barakanowych opończach, tego jestem pewny. Opowiem ci, Henryczku, jak się to stało; jeżeli zełgam, to mi pluń w twarz, nazwij mnie hetką pętelką. Ty znasz moją metodę w spotkaniu: takem się zasłonił, a takem się złożył. Czterech łotrów w barakanie wpada na mnie...

Ks. Henryk.

Czterech? Dopiero, coś powiedział dwóch.

Falstaff.

Czterech, Henryczku, mówiłem czterech.

Poins.

Tak, tak, czterech powiedział.

Falstaff.

Ci czterej atakują mnie z frontu z szatańską natarczywością, a ja, ja zwyczajnie myślę sobie: zjecie dyjabła i tarczą przyjmuję na raz siedm szpiców — ot tak.

Ks. Henryk.

Zkąd-że siedm, kiedy było czterech napastników?

Falstaff.

W barakanie.

Poins.

Tak jest, czterech w barakanowych opończach.

Falstaff.

Siedmiu, na tę klingę, żebym ztąd nie wyszedł.

Ks. Henryk.

Daj mu pokój, będzie ich zaraz więcej.

Falstaff.

Słuchasz-li, Henryczku, czy nie słuchasz?

Ks. Henryk.

A jakże, Jasiu, i pojmuję nawet.

Falstaff.

Dobrze czynisz, bo rzecz tego warta. Ci tedy dziewięciu, o których ci mówiłem...

Ks. Henryk.

A więc dwóch im przybyło?

Falstaff.

Widząc, że im prysły szpice...

Poins.

Wypuścili mopsów.

Falstaff.

Zaczęli ustępować; ale moje nogi i ręce nie pozwoliły im ujść daleko, posunąłem się za nimi i w oka mgnieniu siedmiu z tych jedenastu padło.

Ks. Henryk.

Rzecz niesłychana! z dwóch barakanowych łotrów wylęgło się jedenastu.

Falstaff.

Ale wtem szatan sprowadza mi na kark trzech nowych hultajów w seledynowych kubrakach; zdaje mi się trzech, ale nie ręczę, czy nie więcej, bo tak było ciemno, żebyś był, Henryczku, swojej dłoni nie widział.

Ks. Henryk.

Te kłamstwa podobne są do ojca, który je spłodził; równego mu rozmiaru, równie bezczelne, dotykalne. O, ty, zakuta głowo, brzuchata góro głupoty, plugawa, wszeteczna bryło sadła!

Falstaff.

Cóż to? Czyś oszalał? czyś oszalał? Niemaż być prawda prawdą?

Ks. Henryk.

Jak mogłeś rozpoznać, że te łotry miały seledynowe kubraki, kiedy tak było ciemno, żeś swojej dłoni nie mógł widzieć? Wytłumacz się z tego, wytłumacz!

Poins.

Tak, tak, wytłumacz się, wytłumacz.

Falstaff.

Jakto? W sposób przymusowy pociągacie mnie do tłumaczenia? Nie, choćbyście mnie wzięli na tortury i sztyfty mi bili za paznogcie, nie wyciągniecie ze mnie niczego w sposób przymusowy. Wy raczej sami się tłómaczcie, co was upoważnia do używania przymusu? Choćby tłomaczyć się było tak łatwo, jak zjeść porcyję bigosu, nikomu w świecie tłomaczyć się nie będę w sposób przymusowy.

Ks. Henryk.

Nie chcę być dłużej igraszką tej grzesznej fasy, tego żarłocznego tchórza, tej prasy łóżek, tej plagi końskich grzbietów, tej olbrzymiej sztuki mięsa.

Falstaff.

Cicho mi bądź, ty chudzielcze, ty skóro na buty, ty wędzony ozorze, chuchraku, sztokfiszu, tchu mi nie staje na wypowiedzenie wszystkich twoich podobieństw, ty krawiecki łokciu, ty zszarzana pochwo, dziurawy kołczanie, słomiany rapirze.

Ks. Henryk.

No, no, wysap się, wypocznij, a jak tchu nabierzesz, będziesz mógł zacząć na nowo; nim

się jednak na nowo znużysz porównaniami, posłuchaj mnie tymczasem.

Poins.

Uważaj, Jasiu.

Ks. Henryk.

My dwaj, ja i Poins, patrzyliśmy na to, jakeście we czterech rzucili się na tych czterech biedaków, jakeście ich związali i obdarli. Uważ teraz, jak prosta was spotyka przygoda. Widząc to, my dwaj, jak nas tu widzicie, rzucamy się na was czterech i w krótkich wyrazach zmuszamy was obrócić się tyłem do zdobyczy, która się staje naszym udziałem i jest tu pod tym dachem do dyspozycyi waszych oczu, jeżeli się chcecie o tem przekonać. Co się ciebie tyczy, Falstaffie, uniosłeś z tej afery twój brzuch tak szybko, tak zwinnie, jak brzemienna łasica i biegłeś, biegłeś, rycząc litości, jak spłoszone cielę bawole. Co za nędznik z ciebie, żeby łamać swoją szpadę i prawić potem, że ci ją w walce strzaskano. Jakiż wykręt wynajdziesz, jaki kruczek, jaki koncept na pokrycie tego jawnego, dowodnego bezwstydu?

Poins.

Mów-że, Jasiu, słuchamy. Zabrakło ci rezonu?

Falstaff.

Dalipan, poznałem was odrazu, jak ten, co was spłodził. Chciejcie mnie wysłuchać, moi panowie: godziłoż mi się zabijać przypuszczalnego następcę tronu? Miałżem podnieść oręż na pierwszego książęcia krwi królewskiej? Ty wiesz, żem waleczny, jak Herkules, ale posiadam instynkt; sam lew nie tknie się prawdziwego księcia krwi. Instynkt jest wielką rzeczą; przez instynkt zostałem tchórzem: póki życia, nie będę miał siebie i ciebie za nic innego, jedno siebie za prawdziwego lwa, a ciebie za prawdziwego księcia.

Szekspir. (p. t. I s. 92).

* Stańczyk powiadał, że niemasz większych łgarzów w Polsce, jeno arcybiskup Gamrat, a Maciejowski, biskup krakowski; bo ów opowiadał wszystko: wiem—a nic nie wiedział; ten zaś mówił rad: wiele nie wiem—a wszystko wiedział.

W. Kochowski. (p. t. I s. 49).

* Jedno dziesięć poetów, a drugie młynarzów,
Trzecie myśliwców, mówią, że pół kopy łga-[rzów.

W. Potocki. (p. t. I s. 13).

Łgarstwo.

* Pewnego dnia, kiedy cytowano różnorodne kłamstwa, marszałek de Grammont pochwalił się, że ma w jednym ze swoich majątków młyn do golenia, u którego golą się jego wasale, przykładając policzek do tego aparatu.

(*Tallemant des Réaux*).

Łysina.

Antyfolus z Syrakuzy.

Powiedz mi, czy obiad gotowy?

Dromijo z Syrakuzy.

Nie panie, jeszcze pieczeni brak tego, na czem mnie nie zbywa.

Antyfolus z Syr.

Czego jeszcze brak pieczeni?

Dromijo z Syr.

Dobrego skropienia.

Antyfolus z Syr.

Będzie więc twarda?

Dromijo z Syr.

To proszę, nie jedz jej, panie.

Antyfolus z Syr.

Dla czego?

Dromijo z Syr.

Bo jeżeli będzie twarda, to będzie niestrawna i gotowa zrobić cię cholerycznym, i znowu gotówbyś mnie skropić, zamiast pieczeni.

Antyfolus z Syr.

Doskonale. Naucz się żartować we właściwej porze. Jest czas na wszystko.

Dromijo z Syr.

Śmiałbym temu przeczyć, gdyby pan mój nie tak był choleryczny.

Antyfolus z Syr.

Z jakich powodów?

Dromijo z Syr.

Z powodów tak jasnych, jak jasna łysa czaszka samego tatusia Czasu.

Antyfolus z Syr.

Słucham.

Dromijo z Syr.

Nie ma już czasu na odzyskanie włosów dla człowieka, który naturalnie ołysiał.

Antyfolus z Syr.

A czy nie mógłby ich odzyskać przez kaucyję i przysądy?

Dromijo z Syr.

I owszem, składając kaucyję za perukę, a przysądzając sobie stracone włosy innego.

Antyfolus z Syr.

Dla czego Czas tak skąpy włosów, choć to wyrost tak pospolity?

Dromijo z Syr.

Bo zostawił to błogosławieństwo nierozumnym bydlętom, a co ludziom we włosach ustąpił, to im w dowcipie przysporzył.

Antyfolus z Syr.

Nie mało jest przecie ludzi, mających więcej włosów, niż dowcipu.

Dromijo z Syr.

Nie znajdziesz, panie, między nimi jednego, coby nie miał dosyć dowcipu na ich stracenie.

Antyfolus z Syr.

Utrzymywałeś jednak przed chwilą, że człowiek włosisty, to prostaczek bez dowcipu.

Dromijo z Syr.

Ale i on nie łysieje bez pociechy.

Antyfolus z Syr.

A jakaż to jego pociecha?

Dromijo z Syr.

Ma ich aż dwie, panie, a obie równie dobre.

Antyfolus z Syr.

Powiedz je.

Dromijo z Syr.

Pierwsza, że nie będzie już tracił pieniędzy na trefienie, a druga, że przy obiedzie nie będą mu w zupę wpadały.

Antyfolus z Syr.

Ale chciałeś mi dowieść, że nie ma czasu na wszystko.

Dromijo z Syr.

I dowiodłem, dając za przykład, że nie ma czasu na odzyskanie włosów, straconych przez naturalne wyłysienie.

Antyfolus z Syr.

Dowód nie był dla mnie jasny.

Dromijo z Syr.

Więc na dobitkę utrzymuję, że sam Czas jest łysy, a więc do końca świata będzie miał łysych towarzyszy.

Antyfolus z Syr.

Wiedziałem, że się na łysej skończy konkluzyi. Lecz cicho! Kto tam znaki nam daje?

Szekspir. (p. t. I s. 92)

* *Dwaj łysi.*

Dwaj łysi w dobrej przyjaźni i zgodzie
Chodzili z sobą po Saskim ogrodzie;
A że w rozmowach czas słodko upływa,
O dawnych sobie dziejach powiadali,
I jak to zwykle w naszej Polsce bywa,
Na ciężkie czasy łajali.
Gdy w tem, nieszczęściem, właśnie w owej dobie,
Kiedy najbardziej poświadczali sobie,
Jakieś cacko, świecidełko,
Niby złoto, niby szkiełko,
Nagle przed niemi
Błysło na ziemi,
I jużci kłótnia i zwady i boje:
Puszczaj—nie puszczę—to nie twoje—moje;
Jak dwa zażarte tygrysy,
Walczy z łysym łysy.
Aż wreszcie jeden rzadkim darem losów,
Na wiekopomny zwycięztwa zadatek,
Wydarł drugiemu kilka biednych włosów:
Lichy i śmieszny ostatek.
Wiecież, o co był ten bój tak potężny:
Oto o grzebień mosiężny.

Fr. Morawski.

* *Po powrocie z wód.*

— Tak pani, ozdrowiałem i odnowiałem.

— Proszę! to nie do uwierzenia! ale jak też pan wyłysiał.

— Przysłowie powiada: „głupia głowa nie łysieje.“

— Właśnie dla tego też tak się dziwię.

Łyżka.

* Pewien żydek stał na targu z wózkiem pełnym łyżek, zachęcając publiczność do kupna. „No cóż Jakób, jak ci tam idzie?“ zapytał jego współwyznawca. „Co ma iść — odparł zniecierpliwiony żydek — rychtyg jak choremu, co godzina po łyżce!“

Łzy.

Najprędzej łzy schną, wiedzcie o tej dobie:
Panny przy ślubie, wdów przy mężów grobie.

Mateusz Hieronim Kochanowski.

* *Łza preferansisty, wylana na posadzkę resursy.*

Był człowiek okrągły dokładnie,
Jak ziemia kulisty w obwodzie,
Warg swoich nie plamił we wodzie
Lecz kąpał je w winie i miodzie,
W szampanie perlącym się ładnie.

Miał domek, co zwracał się frontem
Do pięknej ulicy i skweru,
Wetknięty kamiennym trójkątem
W szeregi kamienic szpaleru,
A blachą pokryty, nie gontem.

Wygodnie mu żywot upływał...
Co kwartał miał pracę nie lada,
Bo grzbiet swój w szlafroczek odziewał
I pukał do drzwiczek sąsiada,
Tam trybnt komorny zdobywał.

Wieczorem ogolon jak trzeba,
Z panami od handlu i bursy.
Zasiadał pracować dla chleba
W ozdobnych salonach resursy,
A grosze padały jak z nieba.

Miał karty za chlebek powszedni;
A znał je jak kodeks jurysta,
W preferku był z niego gracz przedni,
Wyborny strategik do wista...
W pikiecie też nie był pośledni.

Na tłustym policzku onego,
Jak róże, kwitnęły uśmiechy,
Bo czegóż miał smucić się, czego?
Gdy żadne nie truły go grzechy,
Gdy dumny był z fachu swojego.

Szacunku dość syty i względów,
Protektor przytulisk, ochronek,
Piastował bez miary urzędów,
Obojga resursów ów członek,
Ów pełen szlachetnych popędów.

Raz spokój przerwano mu błogi,
Gdy kawę wyborną lał w gardło,
W poddaszu gdzie nędzne barłogi,
Jakiejś babie tej nocy się zmarło,
A na kredyt dał lokal ubogiej.

—Ha trudno, rzekł rządcy, cóż począć,
Ta hołota nie w porę umiera,
I nie da po pracy odpocząć.
Niech pan graty po zmarłej zabiera,
A na pogrzeb to dadzą z Kuryjera. .

I uśmiechnął się słodko a szczerze,
Że interes załatwił tak składnie,
Że od baby należność odbierze...
I z dochodów grosz mu nie przepadnie,
Grosz, co go miłował tak szczerze...

A wieczorem tak spieszył, aż skakał,
Stawić czoło grającemu światu.
Lecz o nieba! toż hańba i zakał!
Bez dwóch wleciał na siedm bez atu...
I z rozpaczy serdecznie zapłakał.



Maccaroni.

* Siedział przy niej i rączkę jej trzymał w swej [dłoni
Ukradkiem pod obrusem; — na stół zaś podano
Dymiące na półmisku włoskie *maccaroni*
Con parmeggiano.

Służący właśnie obszedł cały stół z półmiskiem,
Gdy nagle lampa zgasła. Szybko w oka mgnie- [niu
Zapalił ją—a skoro zajaśniała błyskiem,
Goście dziwne zjawisko ujrzeli w zdumieniu:

Oto od ust rumianych tej młodej panienki
Aż do wąsów młodego tego kawalera,
Coś, niby pajęczyna, niby włosek cienki—
Ciągnęła się cieniutka, długa nitka sera.

Maciek.

* *Maciek i wszyscy święci.* (Dykteryjka).

Powracał se Maciek z targu,
Mocno był urżnięty,
Chciał się wdrapać na kobyłę:
„Pomóż, Jacku święty!...“

Ale gdzie tam!... Święty głuchy,
A Maciek w kłopocie,
Wleźć nie może, tedy krzyknie:
„Pomóż, święty Procie!“

Znów napróżno... „Dopomóż-że,
Święty Hieronimie!“
I co chwila tak powtarza
Coraz inne imię.

Aż jak ryknie: „Dopomóżta,
Człeku, wszyscy święci!.“
Szust—i już ci u kobyły
Na grzbiecie się kręci.

Aż na drugi bok się schylił,
Mało nie spadł płazem,
Tedy woła: „Hola! hola!...
Dyć nie wszyscy razem!“

H. Ćwiek.

Maimon.

* Salomon Maimon, filozof, miał psa, za którego zapłacił talara, a wkrótce potem dawano

mu zań odstępnego 3 talary. „Zdaje mi się — zauważył obecny temu zdarzeniu znajomy Maimona—iż większy majątek zrobiłbyś na handlu psami, niż twemi dziełami...“ „Nic dziwnego — odparł zimno Maimon—pochodzi to z tej przyczyny, iż znawców psów jest daleko więcej, niż książek...“

Maj.

* *Z majowych dumań.*

Po nad czystych wód krynicą
Lekki zefir dmucha,
Tam słowiczek z słowiczychą
Na drzewinie grucha...
I coś szepce jej do ucha,
Wznosi wzrok do góry,
Słowiczycha mile słucha
I trzepocze póry...
Ej, słowiczku, uwikłały
Cię miłosne pęta,
Więc zapłacisz za zapały
Później... alimenta!...

„*Kolce*“.

* *Maj w siole.*

Mruczą żaby w brudnym stawie
Na pełnię,
A na dworze ciemno prawie
Zupełnie;
Po nad stawem, gdzie komarów
Są roje,
Siedzą sobie Wojtek z Magdą
We dwoje...
Wojtek śpiewa—a Magdusia
Go słucha,
Aż wtem komar ją ukąsił,
Psia jucha!...
Wojtek pięścią jak nie zmierzy
Do gęby,
Aż Magdusi wybił przednie
Dwa zęby...
W złości myślał, że komara
W proch zetrze,
A tymczasem komar uciekł
W powietrze...
. . . .
Siedzi Wojtek z Magdą sobie
Pod gruszą –
I oboje zęby suszą,
Oj, suszą...
Wojtek zrzucił z karku świtkę
I rzecze:
— Oj, jak ci mnie gorąc piece,
Oj, piece!...
Magda, zdjąwszy chustkę z pleców,
Się śmieje
I tak peda:—Słonko grzeje,
Oj, grzeje...
Jak zrzucili to, co ich tak
Paliło,
Jeszcze bardziej im się ciepło
Zrobiło,
Oj, bo głupie nie wiedzieli
Nic o tem,
Że nie słonko oblewało
Ich potem...

„*Kolce*“.

Majewski.

Fijołek i kółko,
Majewski z pigułką
I kura na grzędzie,
Wiele tego będzie?

Wierszyk o Majewskim, doktorze licealnym krzemienieckim, chodził w przysłowiu za czasów istnienia tej szkoły. Dowcip polski wysilał się niekiedy na koncepcyje, w których brak wszelkiego sensu główną stanowił zaletę. W dzieciństwie słyszałem tego rodzaju fraszkę z upodobaniem powtarzaną:

Raz w kuchni
Dwaj spuchli
Trzeciego,
Jeden był mały,
A drugi gały
Do niego.

Majówka.

* U niejednej jeszcze główki
Zielenina i majówki,
Święte słowa, a na dowód
Na to zdanie, podam powód:
Mniejsza o dom i ulicę,
Żyła para—mąż ze żoną,
Mieli wielką kamienicę;
Cała z lichwy, z fantów pono,
Bo publiczne głosy prawią,
Że się starzy lichwą bawią.
A w tym domu tak na oko
Elegancko a szeroko,
Choć wskroś wicher dmie w czeluście,
Lecz pokoje wyklejone
Obiciami w dobrym guście,
Wedle wskazań jegomości;
To jak w bańki nacinane,
To w obręcze, jak na balii,
To nieznanej roślinności
W jakieś kwiaty z Australii.
Za to stróża znów nie było,
Bo stróż chodził w miasto z piłą,
A gdy wrócił (człek ułomny
Różne zwykle ma przywary),
To też i ów *piłat* stary
Był obecny, nieprzytomny.
Lecz odbiegam coś od rzeczy—
I to także przywar człeczy.

„Wiesz co, żonko?—raz pan powie—
Czas jest piękny, co się zowie,
Brzęczy chrabąszcz, lata krówka,
Słowem istna już majówka.
Jutro po mszy pójdziem z rana,
Ja... ty... kosz, a z nim Zuzanna“.
„Gdzież jegomość chcesz znów lecić?
W domu waści nie poświecić,
Co dzień robisz sobie gale,
Co dzień idziesz waść na piwo,
To pod „Lipkę“, pod „Walhalę“, (*)
To na kręgle na „Zieloną“, (**)
W domu samą trzymasz żonę;
Ja nie pójdę, jako żywo“.
„Już znów plotek jejmość słucha,
Co ci muzyk jakiś plecie,
Niech się aśćka udobrucha,
Patrz, jak pięknie jest na świecie:
Każdy na przechadzkę zmierza;
Hej, Zuzanno, jutro z rana
Weźmiesz funt szynki z pęcherza,
Porcyję kiełbasy wędzonej
I bawara trzy flakony,
A pamiętaj całą siłą,
By nadmienić czem też było,
Chcę tu mówić o kropelce
Aquae vitae, lubię wielce.
Sacum, *pacum*, *finis* sprawy,
Jutro na wieś w pola, trawy.“
Człowiek strzela, ale kule
Pan Bóg niesie,
Więc tatule
Rankiem wyszli—sługa z nimi.
„Czekaj jejmość, troszkę zjemy“.
Ledwie wyszli za rogatki,
Rozkładają już manatki.
Idą dalej. „Duszko, życie,
Jam spragniony“. Znowu picie—
I jegomość, słaba głowa,
Toczy się do Mokotowa;
W Wierzbnie już na dobre ziewa
I na ławie spać zachciewa.
Usiadł... zasnął w śnie rozkoszy,
Chrapie, że aż wróble płoszy;
Jejmość zła, lecz cóż ma czynić?
Pijanego bić lub winić?
Czeka, czeka—a pan chrapie;
Wstaje wreszcie, bo deszcz kapie.
„Co? południe?!... daruj, duszko,
Bo z tą ławką, jak z poduszką“.
Połowica zębem zgrzyta;
O, z majówek... basta, kwita,

(*) Bawaryje: przy ulicy Przejazd jedna, druga istniała na ulicy Senatorskiej.

(**) „Góra Gnojowa“ zwaną była przez Starego-Miasta mieszkańców „Zieloną“—była tam bawaryja.

A pan domu sapie troszkę
I chce gwałtem wziąć dorożkę.
„Dobrą waszmość dajesz radę“.
„Hej, dorożka!“ „A co, panie?
Za pół rubla to pojadę“.
„A to hultaj, to skaranie!“
I choć mokro, kawał drogi
Poszli, wziąwszy za pas nogi.

Ale co się w domu dzieje!
Nawiedzili go złodzieje.
Wśród rannego zamięszania
Nie zamknęli drzwi mieszkania.
Pusty małżeński przybytek!
„Masz jegomość swój napitek,
Masz majówkę, masz...“ „Lecz cicho,
Skradli, wzięli—bierz ich licho,
Mąż twój przecież jeszcze z głową,
Z twarzą umną, kwadratową,
W niej masz myśli cudotworne,
Wszystkim podwyższę komorne.“ *)

Humor jednak zacnej pary,
Kwaśny jak z *cremortartary*,
Nie zgasł wcale po tej szkodzie,
I dziś z sąsiadów namówki
Głośno mówią o rozwodzie.

Ot i rozwód dla majówki.

J. H.

(*Kuryjer Warszawski Nr. 140 z d. 30 maja 1855 r.)*

* *Majówka na Saskiej Kępie.* Rzecz ujęta z wysokości lipy.

— Panie Andrzej, dymaj w harmonike, panny do kotrydansa!

— O wa, jaki mi derektur, nie takich widziałem, kiedy w Chinach bywałem!

— Panie Antoni nie wydziwiaj, jeno włóż kamasze, bo puszczamy się w taniec.

*) Przed 30 przeszło laty zaczęto w Warszawie podwyższać komorne.

— Co mi tam panna Rozalija będzie wedle nogów zawracała, abo to ja Kopernik.

— Pirsza figura, damy anawant z fantazyją!

— Nie pchaj mnie pan w turniurę, bo się przewale!

— Ihi, toby było widowisko, palce lizać!

— Zara poznać co pan je z cukierni, bo by cięgiem lizał!

— Państwo, samowar już gotowy, do teju, do teju!

— Pietram się pić gorące!

— Jaka delikatna, jak niepobielany rądel.

— Cóż ty młynarskie pokolenie gębe sobie panną Agatą wycirasz?

— Ho, ho, tysz bym nie miał gusztu!

— Już ja ci pejdam odtryń się od pożądnej kompanii...

— Do domu, do domu, państwo, za mną marszem. .

— Nie kołysz pan Walenty łódką, bo wlecę do wody.

— Nic nie wadzi, będzie pannie mokro.

„Kolce.“

* *Rozkosze majówki.*

Mieliśmy ruszyć z domu wczesnym rankiem, ja, moja żona, Zosia ze swym Jankiem, Bibcio i jeszcze innych osób kilka... Lecz się ściągnęła przygotowań chwilka tak, że dopiero wyszliśmy na miasto, gdy zegar wybił trzy na jedenastą.

Skwar był okropny i przez całą drogę kurz nam lazł w usta, oczom robił ciemnie, nie dziw, że radca zwichnął sobie nogę w dziurze, na szosie ukrytej przyjemnie. A że nie wiedzą na wsi co felczerzy, musiał do siebie wracać aż na Złotą, (chłop, co znać rządził się litości cnotą, wziął za furmankę tylko rubli cztery).

Strapieni mocno, siadamy pod drzewem, ażeby zagryźć taką brzydką sprawę, aż w tem! gospodarz chaty wpada z gniewem, że mu zupełnie poniszczymy trawę.

Próżno mu mówią panowie i panie: „Gdy my wstaniemy, to i trawa wstanie“—chłop cią-

gle wrzeszczy i w głowę się drapie i żąda by mu wynagrodzić szkody. Za krzyk, odchodząc, miał dwa ruble w łapie, chociaż nam nie dał ani szklanki wody; bo trudno przecie jest z chłopem się wadzić, który chce gwałtem do wójta prowadzić.

Poszliśmy dalej.

By wiosny powaby wśród cienia lasku uczcić jak potrzeba, mleko zaprawne sprzedały nam baby, zgorzkniałe masło i stęchłego chleba. A gdy zerwała Zosia fijołeczków parę, by z nich przyszłości snuć wróżbę tak miłą, wyrósł z pod ziemi drab, krzycząc, że karę, aby zapłacić zmusi nas choć siłą. Wnet też nadbiegli, by nas wziąć do kozy, chłopi, mający kije i powrozy, i znów nam sporo nałowili groszy.

— Wracajmy!—rzekłem —dość już tej rozkoszy! Lecz prośby rzewną ozwały się nutą, a przed wszystkimi krzyczał Bibcio mały, któremu wiejskie chłopaki sprzedały za czterdziestówkę fujarkę zepsutą.

Idziem więc dalej, bo i panny pragną trochę poskakać, lecz przepadł nasz zapał, bowiem wpadliśmy prawie po pas w bagno i pan gajowy za kołnierz nas złapał. Aby chwil drogich naprózno nie tracić, zwłaszcza że febra i wilgoć nas trzęsła, trzeba się było znów grubo opłacić.

Chcemy się suszyć, widzim płotu przęsła, niestety! któżby się tego spodziewał?

Nawet płot suknie nasze porozrywał!..

O ludzie z miasta! zacni, najłaskawsi! czemuście zawsze łupem ludzi na wsi? czemu gdy chcecie wytchnąć odrobinę, na każdym kroku płacicie daninę?

Czemu w was widzi chłopski rozum zdrowy, nie swoich braci, ale... dojne krowy?

Świąteczny.

Majówkowicze.

— Ach! słuchaj tylko jak cudownie skowronek cieniutko wyśpiewuje: „ciur, ciur, ciur, pi, pi, ciaf, ciaf, ciaf, tiu, tiu, tiu, świr."

— Boże! jak mi to przypomina smażącą się na patelni kiełbasę.

Majtek.

* *Majtek nazbyt obdarzony.*

Majtek ubogi, tak śliczną jak zorze
Małżonkę mając, puścił się na morze,
Chciał szukać zysku, zwiedzić trochę świata,
Nic nie zyskawszy, powrócił w trzy lata,
Idzie do siebie z miłością gorącą,
Zastał swą żonkę przed domem stojącą,
Wita, całuje, ledwo się nie wściecze,
—Jak mi się miewasz? co tu robisz?—rzecze—
Czyj to ten dom jest? zaspokój me troski.
—Nasz to jest, mężu, z Opatrzności boskiej.
Co słysząc wchodzi w dom, i w każdym progu
Szczerze się modli opatrznemu Bogu.
—Boże! nie zgaśnie wdzięczność w mej pamięci
Niechaj się to Imię Twoje święci.
Kto ci dał perły, klejnoty, manelki?
—Bóg.—O! jakże Bóg w dobroci jest wielki!
—A te obicia, zwierciadła, kobierce?
Kanapy zkąd są? powiedz moje serce?
—Wszystko to z boskiej dobroczynnej ręki;
—Ach! żono! klęknij! złóżmy Bogu dzięki.
Zkąd te srebra? gotowalnia droga?
—Od Boga.—Żono! żono! chwalmy Boga!
A gdy tak majtek boskie wielbi dary,
Wchodzi z piastunką syn, dwa lata stary.
Ciekawy majtek, zkąd to dziecię pyta?
—Łaska mi boska dała go obfita.
—O! co w tem żonko! muszęć mówić śmiele,
Bóg w moim domu rządził się za wiele!

Z ręk. „Ulanowskiego."

Maksyma.

* Choć to grzech, jak ludzie plotą,
Kokieteryja dla mnie—cnotą,
Bez niej panna, Boże święty,
Jest to wędka bez ponęty,
Bez konfitur legumina,
I butelka lecz... bez wina.

* *Maksymy życia.*

Miej więcej, niż zapowiadasz,
Więcej wiedz, niżeli gadasz;
Mniej pożyczaj, niż posiadasz,
Zyskuj więcej, niż zakładasz;

Porzuć kubki i kobietki,
Pilnuj domu i kaletki,
A rachunek będzie letki:
Gdy w dwustu, dwie znajdziesz setki.

Szekspir. (p. t. I. s 92).

Maksymilijan Bawarski.

* Król Maksymilijan Bawarski był miłośnikiem baletu.

Nuncyjusz papiezki, znając słabostkę króla, wyrzekał często w wyrazach gwałtownych na nieskromny strój baletnic i nieobyczajność ich tańca.

To drażniło księcia. Dowiedział się, że wysoki dygnitarz kościoła odwiedzał od czasu do czasu i w godzinach niewłaściwych pewien dom, którego mieszkanki nie były westalkami. Rozkazał policyi śledzić nuncjusza i w stosownej chwili wejść do owego domu, w celu zabrania którejkolwiek części ubrania temu nowemu Tartuffowi. Agenci policyjni spełnili rozkaz i zdołali pochwycić chustkę do nosa nuncyjusza.

Wkrótce potem, niewiadomo już z jakiej okazyi, dawał król audyjencyję posłom państw zagranicznych, którzy znajdowali się w Monachium. Z każdym z nich rozmawiał uprzejmie. Na zakończenie, raz jeszcze zwrócił się do nuncyjusza:

„Mam ci parę słów do powiedzenia, Ekscelencyjo.“ Mówiąc to, wyciągnął ową chustkę z kieszeni i podał ją zaambarasowanemu dygnitarzowi.

„Jeżeli kiedy spotka cię przykrość widzieć nieprzyzwoicie ubrane baletniczki, to zasłoń sobie tą chustką oczy.“

Malarz.

...Zatętniało koło mnie, szlachcic powracał z pola na koniu podjezdku, i zaczepił:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

— A co to Aść za jeden?

— Zwierzę z gromady ssących, według Linneusza. Policyjny porządek zaregestrował mnie w księgi ludności do gatunku malarzy.

— Chwała Panu Bogu, pomaluj mi Asześ trzy izdebki w odnowionym dworku.

— Olejno? Alfresco?

— Jak Aść chce, tylko żeby zdążyć, nim Jejmość powróci z Częstochowy na swoje imieniny...

— A co jegomość zapłaci?

— Co chcesz od pokoiku?

— Po tysiąc dukatów.

— Matko Boża Rodzicielko! Aść oszalał, czy co?

— I ja tak myślałem, ale gdy się zgłosiłem do Bonifratrów na ochotnika, wypchnięto mię za drzwi po egzaminie.

— Cóż Aść chce malować?

— Zobaczymy, jakie przyjdzie natchnienie.

— Ale przecie?

— Namalowałbym najprzód głupiego szlachcica, który w bielonej wychowany komnacie, pełen czystości i wstydu, odziera się wszystek z świętości; a potem, żeby biała ściana nie odbijała jego brudu, wala te ściany rozliczną farbą i szablonowym deseniem.

— Zjadł Asze dyjabła! A potem?

— Namalowałbym Anioła Stróża uciekającego z domu, w którym bieluchnej brakło czystości, a po jego ucieczce wprowadzającą się pychę na froterowaną bydlęcą posoką podłogi, na palisandrowe kanapy, na wyczupiradloną Jejmość...

— Bodaj cię piorun! a potem?

— Dalej namalowałbym szlachcica, wypędzonego z dworku przez pychę, leżącego pod płotem, a żydowstwo szabasujące w jego dawnej bawialni. Namalowałbym Boga Rodzicę, która niegdyś adorowana w sypialni szlacheckiej nigdy nie gasnącem światłem, uchodzi z szlacheckiego dworku do gaju i tam osiada na sośnie; chłopek przed jej obrazem klęczy i modli się: „Dźwignij mnie, królowo niebieska, a zbuduję Ci święty przybytek.“

— No, to nieźle, a potem?

— Namaluję grób szlachecki w cichem ustroniu, którego lękają się ludzie, a szlachecka dusza drży na myśl sądu ostatecznego i błąka się po manowcach, przypada do każdej Bożej męki, wołając: „Ratuj Chryste Jezu, bo zmarniał mi żywot wszystek w próżności, gdy Tobie służyć przestałem.“

— A bodajże asana!.. a potem?

— Namalowałbym chatkę schludną przy ruczaju i sadzie, w obfitości i kwiecie. Chata jako śnieg biała, ustrojona łabuziem zielonem; przed nią kwitną słoneczniki i lilije błękitne. Dzieci drobne bawią się z jagnięciem i pieskiem, starzec modli się na różańcu, czuwając przy dziatwie, a za chatą, na polu, pracują żniwiarze. Drużyną idzie bernardyn szary, pędzi gęsi stado, a słońce zachodzi pogodnie, wróżąc na jutro przecudną pogodę:

— Daj go katu! śliczny obraz! a na nim ani kawałka szlachcica?

— Potem namalowałbym noc pogodną, księżycową i tajemnicę Bożą zapładniania życiem, wdziękiem i cnotą. Błękitem płynęłaby Urszula święta, rozsypująca perły rosy na białość i woń konwalijom i lilijom, na obfitość pszenicznemu polu, na miód dla pasieki, na zieloność drzewom, a ludziom na wesele i szlachetność, przy darów bożych obfitości.

— I znowu bez szlachcica?

— Potem namalowałbym ranek, a z porankiem różanym ludzie do kościołka drewnianego zdążają, bydełko w pole, gołąbki kąpią się stadem w błękicie, a na polu, na górce, przytulone do krzyża mogiłki, kwieciami strojne. Wśród mogiłek zielonych i nagrobki czerwone, herbami postrojone. A u bramy cmentarza pątnik siwy, schylony, pilnuje bram cmentarnych.

— A potem co? mów Asze...

— Chcesz, to ci namaluję, choć szkoda białej ściany, bo szlachectwo najpiękniejsze było onego czasu, kiedy w białych, bielonych chowano je komnatach, biała rosła w niem dusza...

— A ty po coś malarzem?

— Ja maluję obrazy.

— Moja rybko! mój złoty! wstąp do mnie na dni parę, namaluj mi Jadwisię, najśliczniejsze dzieciątko. Bo kto wie jak wyrośnie, a dzisiaj rozkosz sama. A jak żona powróci, to ucieszy się bardzo.

— A potem?

— Co chcesz namaluj potem, a ja zapłacę dobrze, byleś trafił Jadwisię.

— Namaluję małżonkę...

— Nie trafisz jej kochanie, bo jej lica jak lica, ale serce to złote!

— Mam i złote kolory. Potem zrobię szlachcica, niby portret Jegomości dobrodzieja...

— Na koniu! moje życie!..

(*Cześnikiewicz: „Galeryja obrazów szlacheckich“*).

* Właściciel oberży w małej wiosce angielskiej zapytał pewnego razu wędrownego malarza, który u niego dni kilka się zatrzymał:

— Co żądałbyś pan za wymalowanie mi na szyldzie niedźwiedzia, ale ślicznego, białego, którego widok ściągałby mi liczną klijentelę?

— Zrobię to dla pana za cenę czterech gwinei—odpowiedział malarz.

— Jakto, pan żądasz aż cztery gwineje? Pański kolega Wiljam chce malować niedźwiedzia za trzy tylko.

— Jakto? pan mi chcesz wmówić, że on za trzy gwineje zrobi panu białego niedźwiedzia?

— Tak mi powiedział.

— Czy to ma być dziki, czy oswojony niedźwiedź?

— Dziki.

— Z łańcuchem, czy bez?

— Bez łańcucha.

— To dobrze, jeżeli bez łańcucha, gotów jestem wymalować panu niedźwiedzia w cenie trzech gwinei.

W tydzień potem powieszono nad drzwiami wchodowemi oberży duże drewniane ramy, w których, na tle czarnem, odznaczał się pysz-

ny niedźwiedź biały. Niedźwiedź ten został wkrótce podziwem całej okolicy.

Nie trwało to długo. Pewnego wieczoru wybuchła po nad wioską straszna burza, która wkrótce na ulewę się zamieniła.

Z rana otwiera oberżysta okna i rzuca niespokojne wejrzenie na nowo wywieszony szyld i o zgrozo! niedźwiedź znikł bez śladu.

Zrozpaczony oberżysta biegnie coprędzej do malarza i powiadamia go o tym fenomenie.

— Czy to był dziki, czy oswojony niedźwiedź? — pyta artysta.

— Dziki.

— Czy był na łańcuchu przykuty?

— Niestety, nie.

— Jakżeś pan mógł przypuścić, że dziki niedźwiedź na taką burzę będzie siedział noc całą na miejscu, nie będąc przykutym. Niema na świecie niedźwiedzia, któryby to zrobił. Daj mi pan cztery gwineje, a zrobię ci niedźwiedzia na łańcuchu, który nie poruszy się z miejsca w najstraszniejszą burzę i ulewę.

Oberżysta dał żądane cztery gwineje, a malarz wymalował mu nowego białego niedźwiedzia, z łańcuchem na szyi.

Ten już nie był, jak jego poprzednik, wodnemi farbami, ale fundamentalnie, olejnemi zrobiony.

* *Dowcip malarza.*

Bogaty Neapolitańczyk kazał się malować Łukaszowi Giordano, ale potem odmawiał mu wynagrodzenia z powodu, jakoby portret nie był podobny.

Malarz wywiesił go przed domem i podpisał: „*Wiszę tu, bo niemam pieniędzy.*“

Można się domyśleć, jak prędko ów Neapolitańczyk pośpieszył z wysłaniem zasiłku pieniężnego swemu wizerunkowi.

* Malarz angielski Liversadge szukał bezustanku modeli do swych obrazów. Potrzebował raz typu pijaka i znalazł go w jednym szewcu, który mieszkał na tej samej ulicy. Zabrał go d[o] pracowni, ułożył we właściwej pozie, dał flasz[-] kę wódki w rękę i zachęcał do picia, chcąc g[o] jak najprędzej widzieć w stanie odpowiedni[m] do obrazu, jaki chciał malować. Szewc nie da[ł] sobie mówić dwa razy i wkrótce flaszkę wypró[-] żnił. Druga flaszka, którą artysta podał swem[u] modelowi, uległa temuż losowi, jednak rezulta[t] nie objawiał się, szewc był trzeźwiuteńki i żą[-] dał ciągle spirytusu.

— Wynoś się do stu dyjabłów — zawołał roz[-] gniewany malarz — spojenie ciebie będzie mni[e] więcej kosztować, niż za cały obraz dostanę!

* *Rachunek pewnego malarza.*

Stosownie do ugody, wykonawszy różne ro[-] boty w sali obrazowej, wymieniam je, wra[z] z należytością, jak następuje:

1. Ponieważ babka jejmościna straciła zupełnie kolor na twarzy, przeto na nowo pomalowałem ją czerwono, nadto dorobiłem jej korki do trzewików i poprawiłem jej czub na głowie, za co mi się należy . . . . fl. 1
2. Dworakowi z łaski wypadłemu dodałem torbę na grzbiet i kij w rękę, których już tylko ślad pozostał . . „ 1
3. Na obrazie, przedstawiającym ucztę, spędziłem muchy z miodu, na półmisek dodałem parę kotletów; siedzącym przy stole, stosownie do potrzeby, jednym porobiłem rumieńce, drugim usta śmiejące, innym zamrużone powieki; jakiemuś tłustemu jegomości, dławiącemu się kawałem pieczeni, rozdartą trochę gębę skleiłem, innemu zaś szpilkę z zębów wyjąłem, za co fl. 6
4. Za przyprawienie wąsa jeźdźcowi i pół ogona koniowi . . . . „ 1
5. W palącej się Troi powiększyłem płomienie, a Anchyzesa, dźwiganego przez Eneasza, poprawiłem na grzbiecie i za to . . . . „ 1

6. Za naprawienie buta synowi marnotrawnemu, z którego mu palce wyłaziły . . . . „ 6
7. Za zrobienie rzęsistych łez pannie młodej, idącej do ślubu . . . . . „ 6
8. Elegantowi naprawiłem dziurę we fraku, a jego kochance ubieliłem pończochy, za co . . . . „ 9
9. Za wprawienie dwóch zębów szczekającemu Cerberowi . . . . „ 4
10. Ptaszkom w klatce usłałem gniazdka, dodałem siemienia i odmieniłem wodę „ 8
11. Za odświeżenie skąpcowi czterech łat różnokolorowych . . . . „ 8
12. Muzykusowi pękniętą kwintę spoiłem „ 1

* *Malarze nowocześni.*

„Zdarzyło mi się szczęśliwie dostać za nic u handlarza taki wspaniały but!“—mówi do siebie młody malarz, spoglądając na spoczywający na stole wykoszlawiony, wysoki chodak. — „Pyszny okaz, słowo daję! muszę go zużytkować i zabiorę się zaraz do odmalowania obrazu z bajki „Kot w butach.“

* *O malarzu.*

Pochwycony raz malarz na kradzieży z licem,
Peda, że pictoribus nam omnia licent,
Którą regułę tak mu mistrz profos wywodzi:
Godzi się kraść malarzom i wisieć się godzi.

* Pewna dama, pragnąc się odmalować, udała się do jednego ze słynnych malarzy.

— Pani—odrzekł artysta—ja tylko historyję maluję.

— A do licha!.. A któż mi domaluje resztę?

Malarstwo.

* *Przegląd współczesnego malarstwa.*

Najprzód idzie **Matejko**,
Za nim inni kolejką.

Cóż rzec o **Siemiradzkim?**
Jest mistrzem, ale—nie lackim.

Wie Warszawa, wie i Cherson,
Że wybornie *pisze* **Gerson**.

Pan **Andrioli**
Nazbyt smoli.

Wart **Miller** Lessera,
A **Lesser** Millera.

Szkoda, że nie jest **Chełmoński**
Bardziej ludzki, a mniej... koński.

Zdolnym mistrzem jest **Pillati**,
Gdy do własnej doszedł chaty.

Panie **Krzesz**,
Manjery się strzeż!

Wart **Maleszewski**
Niewieściej łezki,

I wart **Kostrzewski**
Nabitej kieski.

Równie dobrze zna **Gierymski**
Świat warszawski, jak świat rzymski.

Któż rumaka i wojaka
Zrobił lepiej od **Kossaka?**

Pan **Lewi**
Krewi.

Dziwną igraszkę czyni **Sypniewski**,
Strojąc w pancerze... kije i deski.

Próżno, próżno, panie **Perle**,
O malarskiem marzysz berle!

„*Kolce.*“

Malinowski.

* Gól panie Malinowski, lekką rękę masz.

Malinowski, jest to nazwisko balwierza, z nieznanej mi miejscowości, a powodem do przysłowia był trafunek jakiegoś opoja, zupełnie podobny do tego, który Kochowski opisał:

„Zmordował Wasil głowę rączych szklanek [biegiem,
Więc mu ława namiotkiem, odwieczerz noclegiem,
Wczas ma doskonały, bo mu głowa wisi,
Wtem mu przyjdzie polizać gębę wyżeł czyjsi

On spiąc, na cyrulika woła o wygodę:
— Pomału szermuj brzytwą, byś nie zarżnął
[w brodę."

Jest jeszcze o innym Malinowskim pamiątka w dwuwierszu, przysłowiowie używanym, dla wyrażenia wielkiego podziwu:

Co ja widzę, co ja słyszę,
Malinowski wiersze pisze!

Malkontent.

Znany nasz komedyjopisarz, który nigdy z niczego nie jest zadowolony, postanowił w tych dniach wykąpać się, lecz wszedłszy do wanny, natychmiast z niej wyszedł, gdyż znalazł, że tam jest za mokro.

Świąteczny.

Malowanie.

* *O tych, które sobie dla piękności twarz farbami maluią.*

Skarżysz się, że Antoni twóy iest bardzo hardy,
Że ci zamiast czci winney, częste czyni wzgardy,
Wiedz, że on iest Heretyk, z tym się zawsze
[chlubi,
Że żadnych malowanych obrazów nie lubi.

* *O tychże.*

Mówisz, że twa Klorynda ma wdzięków nie
Więcej na gotowalni ich ieszcze zostało. [mało,

*(Żarty dowcipne
z zabawek poetyckich wyjęte).*

Małpa.

* Achilles Harley, prezes parlamentu paryzkiego, znany był z dowcipu i uszczypliwości.

Jedna dama z arystokracyi, brzydka i stara, przyszła prosić go o coś, ale znalazłszy, że urzędnik nie dość był dla niej uprzejmym, powiedziała, przechodząc przez przedpokój:

— Niech dyjabli wezmą tę starą małpę!

Dama wygrała proces i przyszła dziękować panu Harley.

Ten ostatni, ponieważ mu powtórzono owe słowa wymówione przez nią w przystępie nieukontentowania, powiedział:

— Nie masz mi pani za co dziękować, cóż nadzwyczajnego, że małpa zrobiła grzeczność małpie.

* Pewien finansista, zarówno bogaty, jak szpetny, zamówił swój portret u znanego malarza.

Gdy artysta skończył portret, giełdowy Krezus zapytał o cenę.

— Pięćset rubli - odrzekł malarz.

— To za drogo; dam dwieście.

— U mnie niema targu, łaskawy panie...

— No, to pan sobie zatrzymaj portret, bo ja tyle nie dam. Nie chcesz pan dwustu rubli, to nic nie będziesz miał...

— A to dla czego?

— Bo portretu nikt nie kupi, tylko ja, ponieważ to mój portret.

— Mylisz się pan — podchwycił malarz. — Dodam tylko ogon do obrazu i będzie prześliczna małpa, za którą dostanę nie pięćset, ale tysiąc rubli.

Finansista zbladł i zapłacił.

* — Żono! jeżeli dziecka nie ubierzesz inaczej, to nie pójdę z wami na spacer, bo nie myślę z małpą pokazywać się na ulicy — mówi mąż do żony.

Zawiązuje się żywa wymiana słów, mąż prosi, żona gniewa się, dziecko płacze, w końcu mąż ustępuje i wychodzą.

— Rób sobie jak chcesz — mówi mąż — ale ja zawsze powtarzam, że Franuś wygląda jak małpa.

W progu spotykają przyjaciółkę, która wita się, całuje czule Franusia i mówi:

— Wasz Franuś, to żywy portret ojca.

* *Małpa na reducie.*

Pewien miłośnik natury,
Co zwiedzał wszystkie lasy i góry,

Między ciekawościami w swoim gabinecie,
Nie wiem co na to powiecie,
Miał małpę w wzroście, postawie,
Tak dużą, jak człowiek prawie,
W puszczach Afryki dobrze ona znana,
Imieniem orangutana.
Mędrzec nasz był trochę pusty,
Umyślił małpie suknie sprawić sute,
A że nadeszły same mięsopusty,
Wziąść ją z sobą na redutę.
Więc sprawia małpie domino różowe,
I bajutę koronkową,
Na łeb jej, szorstki z natury,
Kładzie kapelusz ze strusiemi pióry,
Rękawiczki na ręce, na nogi trzewiki,
By lepiej jeszcze utaić twór dziki,
Nos błękitny i twarz płaską—
Wenecką okrywa maską.
Biorą dryndulkę i już w północ samą
Stają przed teatru bramą,
Wraz się koło nich kłócą latarniczki,
Kto ma otworzyć im drzwiczki.
Wchodzą, już liczne znaleźli zebranie,
Tysiączne światła, gwarliwe gadanie,
Muzyka i poncz, co woń swą rozszerza,
Wszystko ich zmysły uderza,
Każdy, jak gdyby obrany z rozumu,
Ciśnie się w sam środek tłumu,
Jeden drugiemu pod nosem
Niesłychanym piszczy głosem,
Snują się różne figury rojami,
Lecz jak na świecie zwodne jedynie strojami.
Nieraz konował w peruce doktora,
A krawiec z piórem autora,
Szarmantka, której mowa ojczysta nieznana,
Była za polkę przebrana,
Artystka, co śpiewa w chórze,
W Westalki przyszła ubiorze,
Żyd za rycerza z kokardą niedużą,
A adwokat pasterzem z flecikiem i różą.
Wśród tego ścisku nasi przyjaciele
Chodzili także z maskami na czele,
Każdy spojrzy na mędrca i wraz go pominie,
Małpa w różowem dominie
Milcząca, zimną udając powagę,
Wszystkich zwróciła uwagę.
Lecz choć kto do niej zagada,
Spojrzawszy z góry, nic nie odpowiada.
To uporczywe milczenie,
Postać, chłód niepospolity,
Coraz to większe wzbudza zadziwienie.
Głos się wszędy wznosi liczny:
„To pewnie jakiś książe zagraniczny.“
„Nie, rzeknie drugi; patrz, jaki ton pański,
To ambasador hiszpański!“
„Mylisz się—woła inny—w twojem rozumieniu,
To lord angielski, widać po milczeniu,
Może senator, feldmarszałek jaki,
Widno w nim wielkie dostojeństwa znaki.“
Tak gdy się każdy pochlebia,
Już jej aktorka swój bilecik wścibia,
Doktór swój adres, malarz swe mieszkanie,
Kupiec swe towary tanie.
Każdy gdy się pod małpy protekcyje ucieka,
Na uczonego nikt nie spojrzy człeka.
Naówczas mędrzec, zdarłszy z małpy maskę,
„O nędzna trzodo, o stworzenie płaskie!—
Zawoła—patrzaj, komu bijesz czołem,
Podłość jest twoim żywiołem;
Rozum, nauka, zasługa prawdziwa,
Wszystko u ciebie cenę swoją traci,
Przekładasz zwierzę, co w dumnej postaci
Milczeniem głupstwo pokrywa.“

(*„Perły humoru polskiego“*).

* *O małpie, co pana ozdrowiła.*

Mało nie na ten kształt trafiło się onemu Kalimachowi, który Albrechta, króla polskiego, był preceptorem, że też od śmiechu ozdrowiał, jako i ten pan. Trafiło się, że się rozstękał na śmierć, prawie tak, że go doktorowie byli odstąpili, abowiem mu onej melancholiej, którą miał, żadnym sposobem wybić z głowy nie mogli, jedno leżał, nic nie mówiąc, jakoby umarły. Słudzy jego, widząc, że już pan żyw być nie może z powieści doktorskiej, tuż przy jego oczach, brał każdy, który mógł co zachwycić. Miał ten Kalimach małpę na łańcuszku, która wszystko

widziała, co owi słudzy czynili, a widząc, że już w onej komnacie gdzie leżał, nic nie zostało pościeli, doskoczy do pana i ciągnie poduszkę z pod głowy od niego i w kąt imie kryć. Piesek, co u niego na łóżku leżał, jął na małpę szczekać o onę poduszkę, na co Kalimach patrząc, roześmiał się, mówiąc: „Miły Boże, jeszczem żyw, a już się o puściznę wadzą.“ Od którego czasu jęło mu się zaraz poprawiać. Nie śmiesznać to facecyja, ale się też godzi czasem niestatkiem statek przeplatać.

Zawsze do zdrowia dobrego, trzeba serca wesołego.

Małżeństwo.

Życie jest sztuką, a życie w małżeństwie najdelikatniejszą i najtrudniejszą częścią tej sztuki. Od trzech tysięcy lat aż dotąd poeci i autorzy komiczni nie wyczerpali tematu o kobietach i małżeństwie i nie przestają pisać o tem i śmiać się. Belsagor, arcydyjabeł Machiawela, wybier się sam w podróż na ziemię dla przekonania się o słuszności zarzutów, jakie robią kobietom, zwalając na nie wszystkie winy; ale znalazłszy się między ziemskimi mieszkańcami, wnet ożenił się sam, poczem jeszcze prędzej czmychnął napowrót do piekła. Śmieją się wszyscy z fars podobnych, bo są śmieszne, ale swoją drogą żenią się ludziska, bo małżeństwo jest instytucyją pożyteczną tak dla pojedyńczych indywiduów, jak i dla kraju, a liczba małżeństw jest probierzem obyczajności narodu. Człowiek-zwierzę staje się dopiero na prawdę człowiekiem, wchodząc w życie rodzinne. Ojciec, matka i dziecko stanowią prawdziwą trójcę człowieczą. Prawnicy i teologowie złożyli się na nabazgranie całej biblijoteki konsystorskiej, ale czy się to zdało na wiele? Rewinan, znany z szorstkości i braku wszelkiej galanteryi, mówi o kobiecie, że „jest świętą w kościele, aniołem przy pierwszem zbliżeniu, szatanem w domu, sową w oknie, sroką we drzwiach, a kozą w ogrodzie“. Wzajemne wspieranie się w małżeństwie inaczej bywa tłumaczone w 25-ciu latach, a inaczej w 5-ciu. Pani Sevigné mówi w kwestyi wyposażenia swej córki: „Jakto? mam dać tyle pieniędzy panu de Grignan za to, żeby żył z moją córką? No, prawda, żyć z nią musi nie jeden dzień tylko, ale i jutro i pojutrze i miesiące i lata całe! w takim razie pięćdziesiąt tysięcy nie jest zawiele“. Małżeństwo dobre jest dla każdego wieku: żona jest panią dla młodego, towarzyszką dla statecznego człowieka, opiekunką dla starego, albo, jak się wyraża Pasquier, który miał trzy żony: „żona potrzebną jest najprzód dla przyjemności, potem dla interesu, w końcu dla opieki“. Wielu starych żeni się, aby, jak mówią, miał im kto oczy zamknąć; żony zastosowują się też do tego. Właściciel i posiadacz, czyli użytkujący, nie zawsze mieści się w jednej osobie, nawet gdy się tyczy nieruchomości, a cóż dopiero, gdy idzie o rzeczy ruchome? Natura ustanowiła miłość, a rozsądek małżeństwo, a co Bóg złączył, człowiek nie powinien rozłączać. Rodzina jest podstawą państwa, a głównym celem małżeństwa, o którem tyle i tak uczenie rozprawiano, jest wychowywanie dzieci, a nie jak jakiś wesoły francuz powiedział:

„Wspólne mieszkanie, jedzenie, picie —
Oto małżeńskie życie“.

Komiczną jest nienawiść kobiet Eurypidesa, który wszakże, podług twierdzenia Ateniusa, nie zawsze okazywał ją w praktyce. Niemiecki poeta, Götz, miał żonę i dzieci, a jednak napisał taki epigram:

„Pierwszy raz do Hymenu kto wejdzie świątyni,
Wybaczyć mu to można, bo nie wie, co czyni;
Za prawdziwego śmiałka się uważa,
Kto po raz drugi na to się odważa;
A jeśli jeszcze trzeciej zaprzysięga wiarę,
Wart dostać sto żon za karę“.

Peregryn Pikle z prawdziwie żeglarskiem brutalstwem przyrównywuje żonę do statku pięknie pomalowanego zewnątrz, ale podziurawionego w środku, którego mąż przez całe życie nie jest w stanie załatać. Johan Secundus zaś mówi:

„Niebezpieczeństwo grozi w trzech rzeczach na świecie: w ogniu, w wodzie i w kobiecie“. A podobnych zdań znajduje się bardzo wiele. Thomas Morus wyraża się, że człowiek, zamyślający wstąpić w związki małżeńskie, podobny jest do tego, który ma wybrać węgorza z worka, mieszczącego 99 żmij, a tylko jednego węgorza; pomimo to, wielu idzie za przykładem Adama i zamyka oczy, gdy ma dostać żonę. Owidiusz daje Hymenowi strój żółty, mający zapewne oznaczać żółtaczkę, a któryś z nowszych pisarzy porównywuje małżeństwo z zakonami i mówi, że człowiek żeniący się wstępuje najprzód do zakonu Benedyktynów (błogosławionych), dalej przechodzi do zakonu kaznodziei, a następnie do reguły biczowników, a często braciszków bosych. To porównanie zakonne często da się zastosować, a z sakramentem małżeństwa łączy się zawsze sakrament pokuty. Kto nie dźwigał nigdy jarzma małżeńskiego, nie ma prawa chwalić się z cnoty cierpliwości, której najlepszymi nauczycielami są kobiety. Przed ożenieniem, czy też zamążpójściem, zna się wszystko tylko niejako z profilu, dopiero po ślubie widzi się dokładnie i jasno. Pewna wdowa po młynarzu, mając ochotę wyjść za młynarczyka, zapytała o radę proboszcza, który jej kazał wsłuchiwać się w dźwięk dzwonów, to one jej odpowiedzą; kobiecina nadstawia tedy ucha i słyszy wyraźnie, jak dzwony głoszą: „weź młynarczyka, weź młynarczyka“; ale gdy wyszła za tegoż, wszystko jakoś źle iść zaczęło; młynarzowa idzie znowu ze skargą do proboszcza, a ten jej mówi: „musieliście źle słuchać dzwonów, spróbujcie tylko posłuchać raz jeszcze“; i rzeczywiście, gdy znów uderzono w dzwony, usłyszała w ich dźwięku tym razem najwyraźniej: „nie chodź za niego, nie chodź za niego“. Ale było już za późno! Pewien francuz z charakterystyczną lekkomyślnością twierdzi, że żona, jak kalendarz, dobra jest na jeden rok, a małżeństwo jest najgorszym z siedmiu sakramentów. Ale jeżeli pożycie małżeńskie staje się często krzyżem domowym, czy nie dzieje się to często z winy męża? Czy nie nadużywa on zbyt często mniemanych swoich przywilejów, rozdrażniając tem żonę i pobudzając ją do zemsty i odwetu? Wszyscy jesteśmy grzesznikami, ale największymi chyba są bezżenni.

„A gdy zgoda małżeńskie pożycie umila
I ćwierć wieku przechodzi, niby jedna chwila“.

Trzy dni są najważniejsze w życiu człowieka: dzień urodzenia, dzień śmierci i dzień ślubu. O dwóch pierwszych naturalnie nic nie wiemy, a i trzeci zakryty jest pierwej tajemniczą zasłoną. Trudności w osiągnieniu pożądanego szczęścia podnoszą jego wartość i użycie, ale do harmonijnego duetu mięszają się wnet fałszywe tony, gdy zacznie się odzywać dyszkant dzieci, mrukliwy bas żony, z akompanijamentem teściowej i innych czułych krewnych, a mąż wtedy napróżno takt wybijać usiłuje. Symbolicznym ptakiem miłości jest gołąb, ale małżeństwo ma długonogiego klekocącego bociana. Wielu mianuje szaleństwem małżeńskie śluby, a jednak mądrzy ludzie radzą zawsze młodemu człowiekowi: „unikaj kobiet, a szukaj żony“, ale nie każdy słucha tej dobrej rady i naśladując lekkomyślnego motyla, przelatuje z kwiatka na kwiatek, aż znużony upada i zamiera... w błocie. Czy to nie pięknie módz powiedzieć w ostatnich latach życia, gdy ktoś wcześnie się ożeni: „Moja córko, powiedz córce swojej córki, że jej dziecko płacze“. Nie zawsze wprawdzie znajduje się niebo w małżeństwie, ale też w niebie małżeństw niema, co skłoniło wolnomyślnego Albrechta Durer'a do powiedzenia: „Nie chcę iść do nieba, kiedy tam niema kobiet; cobym ja tam robił z samemi skrzydlatemi główkami“. Małżeństwo jest najważniejszym krokiem w życiu, dla tego nie trzeba go robić bez długiego namysłu, nie przesadzając znów w tem jak Leibnitz, który uważał, że trzeba się namyślać lat 40. Namyślał się więc, aż póki jego wybrana nie namyśliła się także i nie wybrała innego. Prawdziwe piekło dla męża zaczyna się wtedy:

„Gdy żona wkrótce po ślubie
Pretensyje swoje wywodzi:
„To lubię“, „tego nie lubię“
I za nos biedaka wodzi.
A gdy niewinne kwilenie
Naraz ojcem go mianuje,
Dręczy go znów przypuszczenie,
Czy się nie iluzyjonuje
I wertuje kalendarze,
Czy go nie dotkną potwarze“.

Ale czy i wtedy nie sam sobie winien? Najprzód powinien słuchać rady mędrca, który mówi:
„Mężowie, gdy mieć chcecie szczęśliwe pożycie,
Nauczcie się panować, nim się ożenicie“.

A potem, po co pozwalać sobie na złe przypuszczenia? Wprawdzie mądrość Salomona potrafiła odgadnąć prawdziwą matkę, ale trudniej byłoby mu z całą swą mądrością dowieść prawdziwego ojca; mądrość jurystów wynalazła wszakże zupełnie uspokajające prawo, które orzeka, że „mąż jest ojcem dziecka urodzonego w prawnie zawartem małżeństwie“. Nie możemy zresztą być zbyt wymagającymi, jeżeli sami potrzebujemy wiele pobłażania. Pytano raz Chamfort'a, czy nie myśli się żenić. „Nie“ — odpowiedział krótko. „A dla czego?“ „Byłbym złym mężem“. „Dla czego?“ „Byłbym zazdrosnym“. „A to czemu?“ „Bobym dostał rogi“. „Zkąd-że to wnosisz?“ „Bo na nie zasługuję, jest to bowiem chleb oddany: „cornua qui fecit ne cornua ferre recuset“. Czem kto grzeszył, tem go Bóg każe; unikając więc tego, wolę się nie żenić“. W razie najgorzej dobranego małżeństwa mąż może jeszcze mieć tę korzyść, że się w końcu nauczy filozofować, jak Sokrates. Nazwa połowicy, czyli połowy, jest bardzo trafnem wyrażeniem, gdy tyle jest żon, które tylko w połowie należą do męża, a jak już kiedyś pewien francuz powiedział: „Jest to śmiechu godną mrzonką chcieć posiadać żonę całą, kiedy ona jest tylko połową“. Kwestyja, czy się ma wybrać na żonę blondynę, szatynkę, czy brunetkę, nie ma żadnego znaczenia:

„Czarne, czy niebieskie oczy,
Kiedy mają blask uroczy,
Zawsze wywodzą nas w pole,
Zwiększając nasze niedole“.

Zresztą nie należy wierzyć w ostateczności; małżeństwo nie jest ani niebem, ani piekłem, a mały czyściec każdemu przydać się może. Małżonkowie w jednym tygodniu wypowiedzą sobie wzajem więcej prawd, niżeliby w ciągu lat kilku usłyszeć ich mogli, będąc bezżenni. Wiele jeszcze znajduje się małżeństw, w których mąż i żona, jak Filemon i Baucis, pół wieku żyją z sobą w miłości i szczęściu; nie słyszy się wprawdzie o nich, ale dla tego właśnie, że nie dają tematu do plotek, dramatów i tragedyi. Najpiękniejszym obrazem Ostades'a jest ten, na którym wymalował się sam, trzymający żonę za rękę i otoczony ośmiorgiem dzieci; a wszystkie te dziesięć twarzy rozjaśnione są uśmiechem zadowolenia, świadczącym o szczęściu domowem. W chorobie, starości i różnych próbach i dolegliwościach życia żona i dzieci są jedynymi przyjaciółmi, którymi obdarzyła nas matka natura. Kobiety miewają wprawdzie swoje grymasy i humory, ale te wypływają z ich delikatniejszego organizmu i zasługują na pobłażanie i wytłumaczenie, tembardziej, że i mężczyźni nie są od nich wolni, a przytem jakże nie równo podzielone są ciężary małżeńskie, mianowicie w wyższym stanie! O ileż więcej dzieci kosztują matkę, niż ojca! Wysłuchawszy wszystkiego, co się mówi za i przeciw małżeństwu, młody człowiek może być naprawdę zakłopotany; bije się z myślami i stuka palcami o palce, pytając, żenić się, czy nie żenić? i nie łatwa na to odpowiedź, bo wszystkiem kieruje los, przeznaczenia, opatrzność, jak kto chce to nazwać, dosyć, że wyższa niezależna od nas siła, wreszcie można to nazwać szczęściem lub nieszczęściem, przywiązanem do człowieka i nie jednemu przepowiedzieć można: „czy się ożenisz, czy się nie ożenisz, cokolwiek przedsięweźmiesz, będziesz tego żałował“. Nie jeden stary kawaler narzeka: „Ach! czemuż się nie ożeniłem, nie mam żony, ni dzie-

ci, nie mam nikogo, jestem sam, opuszczony od wszystkich". A z drugiej strony nieszczęśliwy małżonek woła: „Cóżem zawinił, że znosić muszę taką żonę, taki krzyż domowy!" Fontenelle narzekał przy końcu życia, że się nie ożenił, ale spokój, jakiego używał przez blizko sto lat życia, równał się pożyciu z najlepszą żoną. Na pogrzebie Adissona, który się ożenił z hrabiną Warwick i przy tej Ksantypie rozpił się ze zgryzoty, przyjaciel jego Steele zawołał: „O gdybyś się był nie żenił, żyłbyś był jeszcze!" Milton dla tego tyle pisał o rozwodzie, że sam chciał się rozwieść. Gdy wśród zebranych młodych ludzi pewien żonaty człowiek rozwodził się nad przyjemnościami małżeńskiego życia, zachęcając do niego kawalerów, jeden z nich mu odpowiedział:

„Gdybyż to prawdą było, mój kochany! Ale
To tylko piękne marzenie;
Życie w małżeństwie nie jest poematem wcale,
Lecz prozą niezaprzeczenie,
Bo mąż i żona (wszak na to patrzymy),
Rzadko tworzą zgodne rymy!"

Minęły te czasy, kiedy żony były podległe mężom, jak Sara Abrahamowi; minęły czasy, kiedy skłonność łączyła istot dwoje na wspólne dalsze życie; obecnie małżeństwa zawierają po większej części dla pewnych widoków, dla pieniędzy, interesów, stosunków; cóż dziwnego, że cierpi na tem dom, rodzina i obyczaje! Zbytki i stosunki towarzyskie zubożyły nas wielce, a niestety ubóstwo materyjalne wytwarza nieraz i moralne. Nie jeden mówi sobie podobnie do owego szafarza z ewangelii: „pracować nie mogę, żebrać się wstydzę, wiem, co uczynię, ożenię się bogato". Dla tego też małżeństwo jest najczęściej tylko kontraktem, przyznającym mniej lub więcej naładowany worek majątkiem ruchomym lub nieruchomym, z dodaniem przez rodziców lub pośredników narzeczonego i narzeczonej. Okoliczności są naszym złym duchem; któż zdoła go odpędzić? O mądry Salomonie! ty nazwałeś prawdziwie szczęśliwym człowieka, posiadającego dobra i cnotliwą żonę; ale zapewne dla tego miałeś trzy tysiące żon, aby wśród nich znaleźć jedną doskonałą! Tyle się wymaga przymiotów od męża i żony, że w jednej osobie niepodobna ich znaleźć; czuje się więc zawsze braki, rodzące niezadowolenie wzajemne i ztąd wynika taki rezultat, że gdy ktoś ubolewa nad stratą żony, znajdzie się z tuzin przyjaciół, którzy mu mówią z całą szczerością: „Tak mi przykro widzieć cię rozpaczającego nad tą stratą, że pragnąłbym z całego serca, aby twoje nieszczęście mnie lepiej spotkało". A jednak rzadki wdowiec nie żeni się powtórnie, gdy straci żonę i dziecko, bierze drugą, aby znów z nią „pracować w winnicy Pańskiej" i nie można mu tego brać za złe; po większej części drugie małżeństwa szczęśliwsze bywają od pierwszych, bo się je zawiera z lepszą świadomością rzeczy; tracić na tem mogą tylko dzieci, pozostałe z pierwszego małżeństwa, gdy, jak mówi przysłowie: „Kto dostaje macochę, zamienia też ojca na ojczyma". Katon po wojnie punickiej zakończył swoją mowę temi słowy: „Po tem wszystkiem głosuję za zburzeniem Kartaginy"; my zaś kończymy, głosując za małżeństwem.

(*Weber-Demokritos*). (p. t. I s. 4).

* — Przyjacielu — mówił znajomy do znajomego — widzi mi się, że gotujesz się do nader ryzykownego kroku, zaślubiając szesnastoletnią dziewczynę wtedy, gdy sam masz już lat przeszło pięćdziesiąt?

— Cóż robić — odrzekł spokojnie zagadnięty — w moim wieku małżeństwo z młodą, czy ze starą, jest zawsze rodzajem samobójstwa, a skoro raz przyszedłem do tego wniosku, wolę odebrać sobie życie ostrym sztyletem, niż zardzewiałym ożogiem.

G. D. Lavue.

* Furda! zwykłe to w dziewczynie,
Że jak zbliżysz się w zaloty,
To ci najprzód nosek kręci,
Potem różne stroi psoty,

Niby za mąż nie ma chęci;
W końcu w zakon się wybiera,
W świętem niby żyć panieństwie;
Wtedy mądry, kto dociera,
Bo już myśli o małżeństwie.
Dzien. literacki.

* Małżeństwo jest lazaretem, w którym mąż stęka, a żona rumianek gotuje.

* Pan Hersz Feitel z Poznania i pan Jakób Szerlitzer z Brodów, zapoznali się na wielkim targu w Lipsku i długą między sobą prowadzili rozmowę. Kiedy porozumieli się doskonale co do handlu, Hersz zapytał: „Masz ty dziecko, Jakób?“ „Mam dziecko“ — była odpowiedź. „Jak stare?“ „20 lat“. „Nu, ja mam też dziecko, co ma 18 lat“. „Możemy pożenić nasze dzieci, co?“ „Dla czego nie? Ile dajesz?“ „Nu, ja dam 4 tysiące talarów“. „Co to znaczy 4 tysiące talarów? Tyś bogaty kupiec! Ja sam daję mojemu dziecku 5 tysiących, a ty możesz dać sześć“. „Kiepskie czasy! nu, dam pięć!“ „Nic z tego! dasz sześć?...“ „Nu, niech ja dam sześć, ale i ty dasz sześć?“ „Zgoda!—zawołał Herszek i w rozwartą dłoń Jakóba swoją dłonią uderzył—na przyszły jarmark przywieziemy nasze dzieci. niech się poznają i pożenią“.

Nadszedł jarmark; Jakób Szerlitzer siedział w izbie u Brula, a koło niego jego dwudziestoletni syn Efraim, naraz drzwi się otworzyły i wszedł Hersz, a za nim chłopiec 18-letni, syn jego. „Co to znaczy? — zawołał Jakób—co mi tu prowadzisz swój bachor? gdzie córka?“ „To jest moje dziecko“—odrzekł Hersz. „A to jest moje dziecko!“ — krzyknął Jakób, wskazując na swego syna. „Nu, nikt nam nie pożeni dwóch chłopców“. „Na co żenić? po co żenić? a spółki to oni nie mogą lepszej zrobić, niż mąż i żona?“

* Pytano się raz młodego człowieka, który oddawna starał się o pewną śliczną panienkę, czemu się z nią nie żeni.

— Dla tego, że pałam ku niej nieśmiertelną miłością, a małżeństwo pozwala tylko na przemijającą.

* Małżeństwo jest następstwem miłości, jak dym wynikiem płomienia.
Champfleury.

* Kwiat pomarańczowy — symbol małżeństwa; kwiat ma biały, ale owoc jego kwaskowy.
An. Gaiffe.

* *O małżeństwie.*

Z mężem żona
Połączona
Całość składa.
Więc wypada
Wyznać sądu dekret szczery,
Że ta całość ma nóg cztery.
A. Kaczkowski. (p. t. I s. 19).

* *Nisi ambobus paribus.*

Ślub dając młodzieńcowi ksiądz jednemu z babą,
Widząc korzyść z małżeństwa że mieli mieć [słabą,
Gdy przyjdzie do owych słów: „Roścéie, a mnóż- [cie się“,
Widząc nierówną równość, z agendą cofnie się,
Lecz że się tych słów w ślubie omijać nie zdało,
Rozdzieli ich w ten sposób, że się różnią mało:
„Rośń (pry) i mnóż się, mężu“, a do niej rze- [telniej:
„A żona twoja ziemię wprędce niech napełni“.

* *Małżeństwo i miłość.*

W pierwszej miłości *kochanka* kobieta
Kocha, w następnych już miłość jedynie;
Serca w jej dłoni, jak drobna moneta,
Miłość się zsuwa lekko, jak dziewczynie
Z rąk rękawiczka; wrażliwość już nie ta,
Co dawniej; dawniej w uściśnieniu ginie,
Dziś się z wieloma uściśnieniem splata,
Czując, że jej ten ciężar nie przygniata.

Nie wiem, po której błąd zaznaczyć stronie;
Lecz to wiem pewnie: kobieta dojrzała,
Jeśli w dewocyi życiem nie utonie,
Musi koniecznie mieć czciciela ciała.
Wprawdzie jej pierwsza miłość więcej chłonie
Uczuć; w niej tonie wspomnieniami cała;
Są, których duszy nie skaził jagnięcej
Gach, lecz gdy skaził raz, przyjdzie ich więcej.
Śmieszna doprawdy rzecz, która dowodzi
Ludzkiej słabości, głupia, prawie wstrętna:
Że miłość w parze z małżeństwem nie chodzi,
Choć w nich z natury jedne biją tętna.
Miłość w małżeństwo, jak wino przechodzi
W ocet; przelewka cierpka, kwaśna, mętna,
Napój zmieniony z ambrozyi różowej
Na specyjał godny apteczki domowej.
Czują coś, jakby antypatyję czepce
Niewiast do wianków na dziewiczej głowie,
Którym nie pięknie płaszczą się pochlebce;
Dziewczę o prawdzie zapóźno się dowie
I wtedy cóż?... Ha! serce żal rozdepce.
Ot, jaka zmiana znaczeń w jednem słowie;
Wiemy: namiętność w kochanku jest wzniosła,
Lecz z męża robi, jakby to rzec?... osła.
Mąż się zbytniego rozkochania wstydzi,
Czasem też taka miłość jest nużąca,
(To rzadziej) a więc żonę sobie zbrzydzi,
Boć trudno jedno uwielbiać do końca.
Stoi w zakonie, który mają żydzi
I my, że śluby tylko śmierć roztrąca,
Smutno! żonę grześć, różę pośród cierni
Życia i służbę domu widzieć w czerni!
Ja się miłością niestateczną brzydzę
I gardzę ludźmi, których serca prawie
Z żywego srebra, że lada intrydze
Ulegną. Snać na złej stoją podstawie.
Za to dozgonną miłość mile widzę...
A przecież zeszłej nocy na zabawie
Maskowej śliczną gdy ujrzałem włoszkę,
Serce się do niej rozbujało troszkę...
A wtem nadchodzi Filozofija krewka.
„Co zamyślasz?—szepce.—To rozpusta!"
„Wiem, Filozofijo; wiem, stara to śpiewka,
Ale jej oczy... Nieba!... jej usta!...
Chcę tylko wiedzieć, mężatka, czy dziewka,
Czy ni to, ni to... ot, ciekawość pusta..."
„Stój! —Filozofija wrzaśnie z giestem greckim,
Choć była w stroju, jak pomnę, weneckim.—
Stój!" Więc stanąłem. Teraz idę dalej:
To, o czem miano: „niestałość" opiewa,
To jest hołd tylko należytej skali,
Złożon przyrodzie, co na przedmiot zlewa
Wybrany dary swe; a jak się chwali
Obraz czy posąg, z kamienia, czy drzewa,
Tak dziw dla piękna jest miarą stopniową
Tego, co ludzie „beau ideal" zową.
Jest to pojęcie piękna erotyczne,
Subtelne wszystkich władz duszy rozwicie,
Uniwersalne, dziwne, platoniczne,
Zlane z gwiazd, w nieba cedzone błękicie,
Bez czego serce może się sceptyczne
Stać—słowem, jest to ócz mądre użycie,
Które zmysłami poparte dowodzi,
Że ciało ogień i z ognia się rodzi.
Bo zkądże-by się wszelka wina brała,
Jeśliby człowiek gust miał ladajaki?
Gdyby wam jedna miłość wystarczała,
Zadawalały was jedne przysmaki,
Byłoby serce całe, kieszeń cała.
A tak czujecie nieustanne braki,
Ach! gdy do śmierci jedna się podoba
Tylko, jak zdrowe serce i wątroba!
Serce, jak błękit w niebie ma mieszkanie.
W niem się, jak w niebie zmiany dzieją codnia,
Chmury je ściemnią, gromy padną na nie,
Czarna zamieszka w nim groza i zbrodnia.
A kiedy zgore, pęknie, bić przestanie,
Wtedy jak burza we łzy się rozwodnia,
A gdy serdeczna krew zmienia się w wodę,
To z życia robi angielską pogodę.

Byron.

* *Dobrane małżeństwa.*

Nigdy nie zgłębiałem, co stanowi istotne szczęście w małżeństwie; mniemam jednak, że dwie osoby dobierać się powinny, jak para koni; równy chód, równy zwrót, równy ogień, wtedy dobrze się jeździ, a mniej się morduje.

Ale kiedy jeden bystry, a drugi leniwy, ten miękki, tamten twardo-usty, ten ciągnie, tamten skacze—to dyjabła warto.

Al. hr. Fredro. (p. t. I s. 67)

* Pytał ktoś: gdzie małżeński stan błogosła-
[wiony?
Powiedziałem, tam gdzie mąż głuchy ślepej
[żony,
Bo ani ów dosłyszy, kiedy mu złorzeczy,
Ani owa ciekawie wgląda w jego rzeczy.
Gdzie żona ostrowidzem, a małżonek kotem,
Ustawicznie się muszą mordować kłopotem,
Najlepiej być obojgu żurawiami, co się
Nie poswarzą, trzymając twardy kamień w no-
[sie.

Wacław Potocki. (p. t. I s. 13).

* *Dzisiejsze małżeństwa.*

Zysk małżeństwa kojarzy, żartem jest przysięga,
Lubieżność spaja węzły, niestatek rozprzęga.

A. Naruszewicz. (p. t. I s 330).

* Cóż są wasze małżeństwa, jeśli nie łańcuchy,
Które związują tylko ręce, a nie duchy?

A. Mickiewicz. (p. t. I s. 19).

* Zadko teraz znaleźć zonę,
By była poćciwą;
Chocias człowiek kocha onę,
Jednak podejzliwo.
A najbardziej, kiedy stary
Młodą se dobieze,
Wkrótce pójść musi na mary
Lub rogi psybieze.

W. Bogusławski (w Krakowiakach i Góralach).

* *Czułe małżeństwo.*

Państwo D. żyli źle z sobą, ich małżeńskie nieporozumienia były często przedmiotem rozmowy znajomych.

Pewnego wieczoru mówiono o tem na balu u pani C.

— A propos—powiedziała pani domu—czy wiecie, że pani D. o mało nie utonęła w zeszłym tygodniu. Płynęła wraz z mężem łódką do Asnières, gdzie mają swoją posiadłość, wtem nachyliła się po jakiś kwiat i wpadła w rzekę. Nie tracąc ani chwili, pan D. rzucił się w wodę i wyciągnął żonę.

— Czy być może?

— To dopiero wypadek—powiedziała pani C. — widocznie pan D. ze strachu stracił przytomność.

* *Małżeństwo przez list.*

Niemiec jeden trzy lata nie widziawszy żony,
Dowie się, że bez niego syn już i ochrzczony.
„Nie wierzyłem, co w rzeczy widzę oczywistej—
Odpowie—żeby miały tak wielką moc listy;
Kilka pełnych miłości napisałem do niej,
Już to drugie podobno, bo pierwszem poroni".

Wacław Potocki. (p. t. I s. 13).

* *Korzyści małżeństwa.*

Pewien nauczyciel rysunku, małego wzrostu człowieczek, poślubił bardzo wysoką pannę, a kiedy jeden z uczni wyraził swe zadziwienie z tego powodu, nauczyciel odpowiedział: „Widzi pan, ja i moja siostra jesteśmy oboje małego wzrostu, teraz mamy przecie kogoś w domu, kto może zamykać okiennice".

* *Zdania o małżeństwie.*

Małżeństwo — śpiewają poeci — to poemat Byrona, dopełniony przypisami... Rozbickiego.

Małżeństwo—wzdychają pensyjonarki—to ogon, tiurniura, kilku paziów, teatr, koncerty, zabawy i niezależność.

Małżeństwo—dumają koncypienci—to regularny obiad, groszowy preferans, światło, opał i pranie.

Małżeństwo — powiadają artyści — to duet na rozstrojonych instrumentach, ciągła próba opery źle napisanej i jeszcze gorzej rozdanej.

Małżeństwo—marzą lwy—to rozszerzenie kredytu, szampan, niewinny maczek, pełen zacności dyjabełek, to życie w pełnym rozwoju.

Małżeństwo — wzdychają starzy kawalerowie — to rumianek we właściwej porze podany, kataplazm na reumatyzm, ciepłe ubranie i ochrona od kataru.

Małżeństwo – powiadają kupcy—to przeniesienie sklepu na główny punkt miasta, to olbrzymie szklanne tafle w oknach, to ogłoszenie w dziennikach: „Powróciwszy z Paryża, przywiozłem najnowsze i t. d.“

Małżeństwo – powiada ironiczny lekarz—to niedomykalność zastawki dwukończystej.

Małżeństwo—twierdzi matematyk—to udowodnienie zasady, że dwie liczby pomnożone przez siebie wydają trzecią.

Małżeństwo—twierdzi polityk—to kwestyja wschodnia.

Małżeństwo—duma szlachcic galicyjski—to tytuł hrabiego, gra na giełdzie: „I znów dwie szlachetne latorośle starożytnych domów Gapiałów Pędratyckich i Fujarów Pępczyńskich połączyły się z sobą ku zadowoleniu Pana nad Pany, ku szczęściu królestwa Golicyi i Głodomoryi“.

Małżeństwo — powiadają ludzie praktyczni, prawi synowie XIX wieku—to taki dobry interes, jak każdy inny, to współka firmowa dla podniesienia dochodów, to przedsiębiorstwo tak dobre, jak wydzierżawienie dochodów propinacyjnych, skład z cygarami, lub fabryka wódek słodkich.

(„*Perły humoru polskiego*“).

Manija.

* *Manija curaciosa.* (Obrazek z życia u wód).

Odbycie pielgrzymki do wód stało się od niejakiego czasu zwyczajem i potrzebą wszystkich, którzy mają się za wykształconych, bez względu, czy ich fundusze na tego rodzaju przyjemności wystarczają.

Powiedzcie mi, co znaczy porządny człowiek w porządnem towarzystwie, który choćby raz jeden nie był za granicą i który w rozmowie salonowej nie może wtrącić: „Jak byłem w Paryżu, mieszkając w Wenecyi...“ i t. p. Mam przyjaciela, zresztą bardzo porządnego człowieka, który bawiąc w wagonie nieznajome damy, powracające z zagranicy, rozpowiadał im o swoich przygodach w Hiszpanii.

— Zlituj się, jak ty możesz tak kłamać? — pytam go na stronie.

— Dla czego nie mam im zaimponować: one się chwalą Szwajcaryją, niech ja będę górą, zwiedziwszy Sewillę i Alhambrę... Na Paryżu, który pewnie znają, mogłyby mię złapać, ale co do Hiszpanii jestem spokojny. Mam żal do ciebie, żeś mi przerwał opowiadanie, jak się przyrządza w Kadyksie sałata, a właśnie byłem już gotów razem z Dumasem starym przeprawić się do Maroko... Szarpiąc mię za rękaw, zbijasz mnie z toru...

— I cóż ci z tego przyjdzie? — rzeknę uśmiechnięty.

— Kto wie... ta blondynka, to panna Melanija Z., bardzo romantyczna i ciepła panienka; jej ładna rącia i bez długów Kopaczówka, nie do pogardzenia.

Przyrzekłem temu panu być więcej dyskretnym, a tymczasem wracam do moich uwag o pielgrzymce.

Mniejsze salonowe żabki, nadstawiając do kucia swe nózie, jeżeli nie mogą wyjechać na plac z Hiszpaniją, jak mój przyjaciel, to niepodobna, aby nie wspomniały o Karlsbadzie, a w ostateczności, choć bardzo pokornie, o Szczawnicy, Zakopanem lub Krynicy. Byłby to grzech nie do darowania, formalne prostactwo, zasługujące na litościwe wzruszenie ramionami.

Wiadomo, że my Polacy jesteśmy na te wszystkie drobnostki nadzwyczaj drażliwi; wiele rzeczy można nam zarzucić, ale tonu i szyku nikt nam nie odmówi — dla tego niema wód w Europie, gdzieby podczas lata kolonii polskiej spotkać się nie zdarzyło.

I nic dziwnego: wśród tak ciężkiej pracy restauracyjnej musieliśmy odnieść szwank na zdrowiu powszechnem, nabawiliśmy się chorób, o których szczęśliwym naszym pradziadkom ani się śniło przed laty—potrzebujemy więc kuracyi, odpoczynku, wreszcie odświeżenia umysłowego. Bo kto dziś zdrów zupełnie? Chyba starzy, z dawniejszej generacyi, chyba sędziwe babunie, zaopatrujące wnuków skarpetkami domowej roboty, chyba wreszcie kołatający się po dworach podolskiej szlachty rezydenci, którym robota wierszy okolicznościowych nie pozwala chorować. My sami, nasze żony, synowie, córki, a nawet kuzynki na opiece, jesteśmy tak rozstrojeni fizycznie, tak zmęczeni życiem i zapasami o chleb powszedni, że zkąd wziąść, to wziąść, a na lato trzeba wyjechać za granicę.

Z mężczyznami to jeszcze pół biedy — ci utrzymują się lepiej; ale co do kobiet naszych, szczególniej młodych mężatek, te wszystkie są chore bez wyjątku. Migreny, bezkrwistość, ogólne wycieńczenie, zawrót głowy, nieokreślona apatyja i tym podobne dolegliwości złośliwej natury, wiadome i niewiadome, są na porządku dziennym u każdej mężatki, najdalej w trzecim roku po zamążpójściu. Będąc pannami na wydaniu, kwitną jak róże; zakochanemu konkurentowi wydają się Herkulesami zdrowia: trzy noce z rzędu potrafią tańczyć do upadłego, tańczyłyby i czwartą, gdyby kawaleryja dotrzymała placu. Lecz niech-no dostaną męża, doktór nie wychodzi z domu; za oknem, w kuchni, formuje się bateryja flaszek aptecznych, a pudełek po lekarstwach nazbiera się taki zapas, że przybywającym malcom nigdy zabawek do mierzenia piasku nie zbraknie.

Z mężatkami zatem rzecz skończona: wszystkie są chore, prócz tych, które nie mają za co się kurować. Ale po co wożą panny do wód? Na to pytanie jest jedyna, stereotypowa odpowiedź: „wypada pokazać je światu.“ Towarzyskie życie domowe znika coraz bardziej, młodzi mężczyźni stronią od zabaw tego rodzaju, kobietom przeszkadza brak odpowiedniej toalety; przyjęcia w domu, wobec wymagań młodzieży, są coraz kosztowniejsze, a tu stagnacyja i ciężkie czasy. Cóż więc robić z pannami na wydaniu, gdzie i komu pokazać ten biedny towar, wychodzący z mody? Kupcy bławatnych sklepów mają na to sposób: dawniejsze wyroby, ponętnie udrapowane, stawiają za lustrzanemi szybami swych okien. Otóż taką lustrzaną szybą dla panien są wszelkie publiczne zebrania, a każde miejsce kąpielowe, to nieustająca wystawa nowości, codziennie świeża — prawdziwa poezyja życia. U wód wszyscy się bawią od rana do nocy, wszyscy weseli, przyjemni — kuracyja—to także swojego rodzaju zabawa dla przyjemności.

Otóż nie zapuszczając się w dalsze wywody przyczyn wędrówek letnich, wolę od razu przerzucić czytelników do Krynicy i zaproponować im przyjęcie gratisowej loży na przedstawienie jednoaktowej komedyi, odegranej przez amatorów. Bądźcie spokojni, za grzeczność tę nie żądam wywołania autora, nie wymagam napisania przychylnej recenzyi do dziennika, proszę tylko o cierpliwość wysłuchania do końca; pragnę bowiem mieć widzów dla sztuki, na którą komisyje konkursowe nie zwróciły uwagi.

Rzecz dzieje się w połowie lipca, to jest w kulminacyjnym punkcie sezonu kąpielowego. Nieznośny upał od samego rana dokucza gościom, tak, że z uderzeniem dziewiątej godziny deptak jest prawie pustym, choć czeska kapela wygrywa monotonnie chrapliwe kuranty, a dwóch trębaczy, osadzonych pod świerkami w przeciwległym parku, niby sztuczne echo podaje zmęczonej publiczności te boskie tony czeskiej muzyki.

Cały świat kąpielowy chroni się do mieszkań, część jego spożywa śniadanie przed hotelem Sejferta i pod Barankiem, inna, zwłaszcza poetyczne panienki, zajmuje się czytaniem romansów w cieniu drzew, za dworcem kąpielowym, i tylko gromadka dzieci, pod dozorem otyłej bony, swawoli koło fontanny, nie zważa-

…ąc, że kroplisty pot oblewa ich rumiane i pucołowate twarzyczki.

My, odszukawszy dom pod Holofernesem, podnieśmy kurtynę.

Na lewo stoi tam drewniany piętrowy domek, jaki się zwykle w Krynicy, dla ochrony od wielkiego deszczu, za drogie pieniądze wynajmuje; domek ten ma jedne drzwi, wiodące do ogródka, ma trzy okna na dole, a cztery na górze, wraz z misternie wykrojoną balustradą balkonu.

W ogródku, pod oknami, stoi ławeczka, przed nią stół wkopany w ziemię, kilka krzeseł góralskiej roboty i kilka krzaków okwitłego już bzu, tulących się pod skrzydła domorosłej wierzby. W głębi sceny zielone sztachety oddzielają ten ogródek od ulicy spacerowej, na którą po kilku schodach i przez furtkę umieszczoną w tych sztachetach dostać się można.

Na owej ławeczce, opierając się łokciami na stole, siedzi młoda jeszcze i bardzo sympatycznej powierzchowności kobieta. Ubrana w elegancki ranny szlafrok, zapuszcza melancholiczne spojrzenie pięknych czarnych oczu, w przeciwległą górę, lasem świerkowym porosłą, na której wierzchołku sterczy biały krzyż, ręką pobożnych górali ustawiony.

Pani Matylda, a nie żadna artystka teatralna, jest wdową, ma lat dwadzieścia kilka i mimo smętnego wzroku nie liczy się do nieszczęśliwych, choćby dla tego samego, że jest młodą i piękną. Nie, ona rzeczywiście jest słabą: zmęczyła się ranną przechadzką; dopiero co wypiła kawę, bo właśnie stoi przed nią tacka z przyrządami do śniadania, a obok niej szafirowy kubek do wody mineralnej.

Nie długo pozwolimy jej odpoczywać, bo oto z furtki ogródka wybiega jak ptaszek, młoda, czerstwa, z rumianem obliczem pokojówka, prawdziwy typ warszawskiej subretki, której zawsze i wszędzie wesoło na świecie.

— Pani, proszę pani—woła już zdaleka—nasz pan Stanisław przyjechał!

— Chyba ci się przywidziało, moja Fruziu, nie może być?—odpowiada, ożywiając się, pani Matylda.

— Ależ, proszę pani, przyjechał. Dopiero co wysiadł z pocztowej karety; on sam, pan Stanisław, brat pani. Posługacz niesie za nim ten żółty tłomoczek i idą tu wprost od ulicy...

Ledwie domówiła tych słów, gdy rzeczywiście ze drzwi domu wszedł młody człowiek dziarskiej i wesołej miny, a rzucając się na szyję Matyldy, woła uradowany:

— Droga siostrzyczko!

— Jak się masz, Stasiu?—rzecze całując go z uczuciem.—Co się to stało, że przyśpieszyłeś swój przyjazd, pisałeś, że za trzy tygodnie...

— Zachorowałem—odpowiada swobodnie, zdejmując z ramienia podróżną torbę i kładąc ją na stole.

— Co znowu? wyglądasz jak pączek...

— Otóż dobrze, że przypomniałaś mi o pączku...

— Fruziu! Fruziu! — woła uchylając drzwi domu, w których, jakby tylko czekała na to wezwanie, zjawia się zarumieniona pokojówka.

— Otóż to mi jest prawdziwy pączek — dodaje pan Stanisław, głaszcząc ją poufale pod brodę—dalibóg, świeżutki pączuś...

— Dajże pokój z temi karesami... Wstydź się, Stasiu. Krynica, bardzo przyzwoite miejsce kąpielowe, zobaczy kto...

Ale pan Stanisław zdaje się nie słyszeć tych uwag siostry i z całą swobodą mówi dalej:

— Pączusiu kochany, jestem głodny jak wilk i jeżeli nie chcesz, żebym cię zjadł, każ mi dać filiżankę kawy... albo czekaj... czegóż uciekasz?.. może lepiej czekolady, jeżeli można dostać.

— Biegnę do cukierni — odpowiada już we drzwiach fertyczna Fruzia—dla pana musi być wszystko.

— No, no, Fruziu, mówisz ogólnikami — rzecze, grożąc jej palcem. — To wszystko ma szerokie znaczenie, pamiętaj...

— Stasiu — wtrąca, udając zadąsaną, Matylda — robisz się strasznie romansowym i nieprzyzwoitym. Usiądź-że przecie tu obok mnie, i powiedz o tej chorobie. Gdzie ona jest?

— Tu, droga Madziu—mówi, pokazując ręką na serce.

— Taka choroba!? przestraszyłeś mię tylko... nie dobry jesteś...

— Na seryjo ci mówię, zakochałem się, ale to tak, po same uszy, tak, że albo ona, albo żadna...

— A niechże cię uściskam, mój ty amorowy braciszku—rzecze wesoło Matylda. — Wyborny jesteś z twojemi miłościami... Mówże przynajmniej gdzie? kiedy? jak?

— Powiem ci w trzech słowach, jak Cezar, to jest ona sobie to może powiedzieć: *veni, vidi, vici...* Ma mnie, formalnie ci mówię, ma mnie całego z duszą, z ciałem, z kośćmi... Blondynka z przepysznemi szafirowemi oczami, z filuterną grzywką, z figlarnym uśmiechem...

— Z czemże jeszcze, z czem?—dopytuje się żartobliwie pani Matylda.

— Z żółtkiem! — odpowiada wchodzący w tej chwili stary Jakób z tacą, na której stoi filiżanka czekolady — tak, z żółtkiem — powtarza dobrowolnie—bo śmietanki zabrakło.

Ten Jakób, to sobie jest nie młody już, łysy i przygarbiony sługa pana radcy, ojca rozmawiających, którego zabrano do Krynicy na czas kąpielowy, a który przebywając w tym domu lat kilkanaście, uchodzi więcej za członka familii, aniżeli sługę.

— Widzisz Stasiu — rzecze Matylda, gdy stary z powagą ustawiał ową tacę przed paniczem. — Jakób dobrze ci odpowiada... No, z czemże jeszcze?

— Z bułeczką, proszę łaski pani, sucharków także zabrakło.

— Dajno pokój stary, niech ci się nie plecie — wtrąca pan Stanisław, zabierając się do czekolady—pani się pyta o pannę, w której się zakochałem, a tobie się gada o żółtku.

— Przepraszam panicza, przepraszam .. a, a, a, jeżeli idzie o pannę, to pewnie bogata... samo się rozumie, że musi być z posagiem.

— Właśnie, że bez posagu—odpowiada zapijając z apetytem — mówię ci, Matyldo, cud piękności, Madonna Rafaela...

— A musi być zdrowa, z przeproszeniem — wtrąca Jakób—bo nasz pan radca tylko o zdrowej synowej myśli. I wczoraj, kiedy go rozbierałem do łóżka, mówi do mnie: „żeby choć ten nasz panicz wziął sobie jaką zdrową i tęgą żonę... widziałeś, jakie to tu wszystko nędzne, wymokłe...—starszy pan mówi — miłosierdzie Boże, jak wyglądają.“

— Ale, ale, zapomniałem o ojcu, jakże się ma?

— Widzisz, jaki z ciebie egoista — rzecze Matylda—ojciec znacznie lepiej, apetyt mu się poprawił.

— I mnie się kapitalnie poprawił... Jakóbie, daj drugą bułkę... albo lepiej — dodaje po chwili Stanisław – przynieś dwie odrazu.

Jakób wyszedł po owe bułki, a pani Matylda, zająwszy miejsce obok brata, pyta ciekawie:

— Mówisz, mówisz wiele, a nie wspominasz, po coś tu przyjechał?

— Jakto po co? Gonię za swoim ideałem. Ideał do Krynicy i ja do Krynicy...

— Więc zobaczę to cudo z filuterną grzywką?

— Naturalnie, zobaczysz i będziesz tak jak ja zachwyconą. Ideał a nie dziewczyna... Wszak ty mię zawsze kochasz, Madziu?

— Czy wątpisz?—odrzekła wdowa.

— Więc musisz i ją natychmiast pokochać!

— Zobaczymy.

— Bardzo cię proszę, bez tych „zobaczymy.“ Musisz, to samo z siebie wynika, rzecz postanowiona, bo nawet los nasz spoczywa w twojem ręku.

— Żartujesz, Stasiu.

— Nie, nie, jak ciebie kocham, nie żartuję; daję ci słowo, tylko w twojem ręku... Ale cóż ten niedołęga bułek nie przynosi, czekolada na nic wystygnie; Fruziu, Fruziu! — woła

zbliżając się do drzwi domu — a powiedz tam Jakóbowi, niechże daje te bułki.

— Zaraz, zaraz — odpowiada dźwięczny głos z sieni—tylko poszedł pożyczyć talerza.

— Na co mu talerz? — mówi do siebie Matylda.

— A jakże, proszę pani—rzecze wchodzący Jakób z dwoma bułkami na talerzu—miałem tak w ręce przynieść, to niepolitycznie...

— A bodajże cię, jaki z ciebie służbista, mój Jakóbie!—zawołał młody człowiek, klepiąc go po ramieniu.

— W tej przeklętej dziurze, z pozwoleniem, jak ta Krynica, to nic niema. Słyszaneż to rzeczy, takie głupie naprzykład piwo sprzedają tylko na butelki... wielkie mi delicyje piwo... tfu, taki kraj, gdzie kufelków nie znają; w Krakowie co innego...

— Prawda — mówi zajadając Stanisław — bułki jak wołowe oczy, nie ma co ugryźć.

— Skończże już to jedzenie i mów! jestem zaciekawiona. Jakóbie, zabieraj to wszystko.

Z wielką niechęcią, że mu nie pozwalają wygadać się do woli, sprząta stary lokaj przyrządy śniadaniowe i mrucząc wychodzi.

— No, teraz mogę ci spokojnie powiedzieć wszystko—rzecze oddychając pan Stanisław.— Nie chce iść za mnie!

— Jakto, już się oświadczyłeś?

— Najformalniej w świecie; ja nie lubię zwlekać, moja droga; robić to robić. Powiedziała mi, kocham cię... wszystko, to i owo, jak wiesz, w takich razach, ale w końcu mówi: wujaszka opuścić nie mogę.

— To ożeń się i z wujaszkiem — przerywa śmiejąc się Matylda.

— Ba! ożeń się—odpowiada, kręcąc papierosa Stanisław—kiedy on mieszka w Krakowie, a ja w Warszawie przykuty jestem do tego biura technicznego. Trudno, rozedrzeć się nie mogę. Więc uradziliśmy, że musimy wprzód ożenić wujaszka.

— Głębokie plany... romans książkowy... miłość z przeszkodami...

— Nie będą głębokie — rzecze z przymileniem braciszek—jeżeli pani Matylda, anielskiej dobroci kobieta, zechce dopomódz.

— Ciekawa jestem w czem?

— Pójść za wujaszka — kończy puszczając kłęb dymu Stanisław.

— Zwaryjowałeś, czy co?

— Dla czego? Wszak ty chcesz iść za mąż. No, no, nie rób takiej miny, wiem, wiem...

— Stasiu—rzecze obrażona Matylda.

— Nie żenuj się, moja droga—mówi, całując figlarnie jej szyję.—Cóż ze mną będziesz ceregiele robiła? Jesteś młodą, zachwycającą wdówką. A któraż kobieta, nawet nie taka milutka jak ty, nie chciałaby pójść za mąż...

— Ja nie chcę...

— Bo to prawda? — zaprzecza pociesznie braciszek.—A ten wuj Maryni, to jeszcze młody, przystojny brunet, z matową cerą; broda czarna jak heban, uczony jak Arystoteles... zupełnie taki, w jakich gustujesz...

— Stasiu, zanadto tych żartów, proszę cię, mówmy na seryjo — przerywa Matylda. — Dla czego wuja nie chce opuścić?

— Bo ten wuj ją wychował, bo ona sierota, jemu wszystko zawdzięcza... Z tego już możesz sądzić, jakiej to musi być zacności ten człowiek.

— Więc go ty nie znasz? — pyta ciekawie siostra

— Naturalnie, bo on tu jest w Krynicy na kuracyi... Ale nie lękaj się, on nie jest chory, tylko uroił sobie, że chory, i dla tego wymaga ciągłej opieki, a jakby Maryni zabrakło?..

— Ależ wy, doprawdy, dziecinni jesteście —rzecze nieco urażona Matylda.—Dla swojego szczęścia chcielibyście poświęcić mnie na siostrę miłosierdzia... Szczególniejszy pomysł...

— Eh, bo ty tak wszystko zaraz na rozum bierzesz! Mówię ci, zdrów jak ryba, filozof, uczony... tylko przyczepiła się go manija... Ale

ja wiem dobrze, że rozsądna żoneczka prędko go z tej choroby wyleczy. No i cóż, droga Madziu, nie dąsaj się... sto razy więcej cię będę kochał, jak będziesz jeszcze młodą wujenką... Dziś zaraz muszę być u niego z wizytą... oświadczę się. Marynia nie wątpi o jego zezwoleniu; zapoznam cię z wujaszkiem, zapoznam z Marynią... Ty mię znasz, Madziu, że jestem trochę narwanym; proszę cię, radź, pomagaj, bo daję ci słowo, jestem zdecydowany: albo Marynia, albo kula tu!—kończy, pokazując na czoło.

— Zawsze ten sam — rzecze, śmiejąc się lekko — wesoły kochany desperat. Stasiu, serce moje, idź no do pokoju ojca, przebierz się z drogi, pójdziemy do parku. Pokażę i ja ci mojego bohatera... mówię na seryjo... wczoraj prawie mi się oświadczył... porządny człowiek, doktór filozofii, i powiem ci pod sekretem, dość mi się podobał.

— Nie chcę słuchać, nie chcę wiedzieć o żadnym doktorze!—zawoła, wstając nagle i zatykając sobie uszy palcami. — Za wujaszka pójdziesz, tylko za wujaszka!..

W tej chwili, przez furtkę w sztachetach, wchodzi do ogródka małego wzrostu zgarbiony staruszek. Już na schodach zdejmuje słomiany kapelusz z głowy, z pod którego widzimy, zamiast oczu, dwa talarowej wielkości ciemno-zielone szkiełka okularów. Staruszek idzie żwawym krokiem, rozpinając krawat na szyi.

— To się panie schodziłem, miłosierdzie boże! — woła, kładąc laskę i siadając z przyjemnością na ławce. — Zrobiłem dwa kursy, tam i napowrót, ze Słotwinki... Ha, jaki upał!.. dajcie kwaśne mleko! A to co?.. Staś? — pyta po chwili, spostrzegłszy młodego człowieka.

— Ja, drogi ojcze—odpowiada, całując staruszka w rękę.

— Fruziu, Fruziu! — woła tymczasem pani Matylda do drzwi mieszkania — kwaśne mleko dla pana starszego!

— Cóż ty tu robisz? — pyta dalej radca, zdejmując okulary z nosa.

Objaśniam, że staruszek jest urzędnikiem na pensyi, z tytułem radcy stanu.

— Nudno mi było w Szczawnicy, zatęskniłem za wami, zresztą nie jestem zdrów...

— No, cóż ci takiego? — mówi radca, wachlując się kolorową chustką.

— Co mu ojciec wierzy!—wtrąca Matylda, a spojrzawszy na brata, dodaje:—Dałbyś pokój z tą chorobą, tylko ojca martwisz...

— Naprawdę, chory jestem; od niejakiego czasu nic a nic sypiać nie mogę...

— Nawet zmizerniałeś mi trochę... Mówię ci, jedz kwaśne mleko i chodź, chodź dużo, tak jak ja. To nic, tylko humory biją do głowy... moja natura... i ja kiedy byłem w twoich latach, tak samo cierpiałem.

— Co ojciec go słucha — odzywa się znów Matylda—zakochał się tam gdzieś...

— U was, kobiet, to tylko same kochania w ustach! — rzecze drażliwiej radca. — Co ma brak snu z zakochaniem?.. Ja pamiętam, jak się starałem o nieboszczkę waszą matkę, to właśnie sypiałem najlepiej... Więc jakże ci się robi, powiedz?

— Nic, tylko spać nie mogę; położę się do łóżka, w najlepszej myśli, że usnę natychmiast, a tu nic...

— I zdaje ci się, że tu coś cięży, jakby kamieniem?—egzaminuje dalej staruszek, pokazując na ciemię głowy.

— Rzeczywiście tak jest.

— A widzisz, to wszystko humory — konkluduje uśmiechnięty ojciec.

— Oj, ty figlarzu! — mówi Matylda, uprzątając stół przed ojcem.

— Moja kochana — odzywa się z niejaką wymówką staruszek — ty, bo nikomu nie wierzysz, ale sama to potrafisz jęczeć: tu mię boli, tam mię boli, ach, och... nie mogę tego... nie mam sił. I dobrze ci tak, zawsze będziesz cherlać, cherlać, dopóki trzymać się będziesz doktorów. Słuchaj mię, Matyldo, rzuć te wszystkie ich żelaza, ich chiny, fosfory, dyjabłoty... a weź się do mleka kwaśnego... zobaczysz...

— Jakóbie, Jakóbie!—woła tymczasem córka—a dajcież raz to mleko dla pana!

— Zaraz, proszę pani, w ten moment—daje się słyszeć głos lokaja.

— Kiedy, kochany ojcze—mówi, zwracając się do radcy, Matylda — to kwaśne mleko nie może być jeneralnem lekarstwem na wszystkie choroby.

— Właśnie że na wszystkie, mówię ci to z doświadczenia—przerywa staruszek. — Tylko nie trzeba tak odrazu pakować w siebie całemi talerzami, ale stopniowo zacząć, od łyżki stołowej. Mnie, jak widzisz, to tylko trzyma na nogach. Mleko czyści krew, proszę was, reguluje żołądek; a żołądek, moje dzieci, to gospodarz... Gdybyś mię słuchała...

— Dysputujcież tu państwo o tem mleku, a ja idę przebrać się, jak kazałaś, Matyldo, i zaraz będę na twoje usługi.

Wchodząc do drzwi domu, spotyka się Stanisław z Jakóbem, który na wielkiej tacy wnosi pompatycznie talerz mleka i kawał razowego chleba na spodeczku.

— Pan to się kiedy z tem mlekiem doigra, oj, doigra!—rzecze stary, stawiając mleko przed radcą—kto widział...

— Znowu nakładli śmietany na mleko—zawoła staruszek. — Miłosierdzie boże! czego ci ludzie raczą mnie śmietaną!

— Proszę poczekać, ja zaraz ojcu zbiorę—rzecze Matylda, zdejmując łyżką śmietanę i wylewając na spodeczek.

— I to grymasy, czyste grymasy — zapewnia sensacyjnie Jakób — przecie ze śmietaną lepsze. Czy to sposób, tak chude mleko lać w siebie trzy razy na dzień, jak pan radca... Będzie kiedy bieda...

— Co ty wiesz, stary niedołęgo — odpowie staruszek, zasłaniając się po szyję serwetą. — A kaszlesz po całych nocach, kaszlesz; nie bój się, słyszę ja dobrze przez ścianę. Mówię ci, jedz kwaśne mleko...

— Czy dobrze tak będzie? zdaje się, już nic niema śmietany—rzecze córka, przysuwając talerz.

— Oczywiście, ci panowie, to teraz na chłopów się przemieniają; wszystko co chłopskie, w modzie. Gdzieby tam dawniej jaki pan jadł chleb razowy, albo skosztował taką, z przeproszeniem, bełtugę. Psom się dawało z osypką, ludzie czasami w kuchni jedli, a teraz, to mnie każą na tacy nosić, jakby jakie delicyje...

— Gderaj stary, gderaj zdrów — mruczy radca, delektując się swojem mlekiem. — Przepowiadam ci tylko, że jak mnie nie będziesz słuchał... to niedługo będzie z tobą fik! rozumiesz?

— Niech ta będzie i fik—rzecze z rezygnacyją Jakób — a mleka taki jeść nie będę! bo to ja chart, z przeproszeniem?..

— Idźno już stary, idź! bo oto i pan doktór nadchodzi z wizytą—rzecze Matylda, kłaniając się uprzejmie wchodzącemu z ulicy konsylijarzowi.

Elegancko ubrany, pełen giętkich i dystyngowanych ruchów, zbliża się na palcach prawie młody jeszcze doktór kąpielowy. To pan Dyonizy, na ten sezon najmodniejszy lekarz, któremu pani Matylda powierzyła swoją kuracyję.

— Całuję śliczne rączki pani dobrodziejki, jakże dziś zdróweczko? Dzień dobry panu radcy.

— Dzień dobry, dzień dobry — odpowiadają naraz oboje, a młoda wdówka z uśmiechem podaje mu rękę na przywitanie i wskazuje krzesło.

— Dziękuję panu—rzecze poprawiając fałdy swej sukni — zdaje się lepiej, tylko zawsze jeszcze brak sił.

— Powoli, pani dobrodziejko, powoli i siły się wyrobią, tylko cierpliwości...

— Dyjabła się tam wyrobią—wtrąca staruszek, mając pełne usta chleba—jak się dwa razy na dzień będzie moczyć w tej kąpieli i jak będzie chodzić tyle, co od ławki do ławki. Woda, panie, to wysysa siły...

— Ojcze kochany, ależ ja nie mogę...

— Co to nie mogę; jak trzeba, to wszystko można.

— Bezkrwistość — rzecze doktór—formalnie brak krwi.

— Ciekawym, łaskawy panie, gdzie ją podziała? Ja, panie, ojciec jej, choć stary jestem, a mam krwi zanadto, a ona moja córka... Nie obrażaj się, panie, ja sobie jestem człowiek stary, ale otwarty i nic a nic waszym gadaniom nie wierzę. Kwękałem tak samo lat dziesięć, dopóki was słuchałem... Pisali, macali, pukali, karmili lekarstwami, miłosierdzie Boże jak mię męczyli! Aż tu prosta, panie, wiejska baba mówi mi: weź pan radca tej oto białej gorczycy raz łyżeczkę na czczo, drugi raz na noc, rób tak przez tydzień... Usłuchałem, panie, i jakby ręką odjął, wszystko ustało..

— Bo ojciec zawsze był zdrów i jest zdrów...

— Co, ja byłem zdrów?! — krzyknie zaperzony staruszek, kładąc łyżkę na stole — ja zdrów byłem, skoro mię trzy razy przynosili z biura do domu jak nieżywego.

— Musiało być chwilowe uderzenie do głowy — odzywa się z politowaniem pan Dyonizy.

— Tak, tak, chwilowe, u was wszystko chwilowe; a dlaczegóż, kochany panie, męczyliście mnie lat dziesięć?..

— Przecież nie pan konsylijarz...

— On czy nie on, ale tacy sami jak on... każdy doktór jeden...

— A apetycik jakże? — egzaminuje doktór, udając, że nie słyszy dowodzeń radcy.

— Troszkę lepiej, tylko zawsze ten zawrót w głowie, ten szum w uszach...

— Humory, nic innego, tylko humory biją —to u nas familijna choroba! I mnie tak samo do dziś dnia biją—rezonuje staruszek—słyszałaś, że i Stasiowi biją i nieboszczce żonie także biły... Niech tylko żołądek będzie w porządku...

— Może pani za wiele pije wody mineralnej?—zapytał doktór.

— Nie, ot po tę kreskę — odpowiada pani Matylda, pokazując na obrączkę, otaczającą kubek.

— To za wiele, łaskawa pani... to za wiele —rzecze konsylijarz.—A jakże pulsik?..

— Wszak sam pan konsylijarz kazałeś mi pić taką ilość — mówi wdowa, podając rękę doktorowi.

— A, skoro ja kazałem — odpowiada z powagą, licząc uderzenia pulsu — to nie za wiele o, nie za wiele... No, pulsik znacznie lepiej. A języczek? Śliczniutki — kończy, przypatrując się z zajęciem wysuniętemu naprzód językowi.

— Bezsenność mię tylko męczy...

— Bo nie chodzisz—wtrąca odwiązując serwetę radca. — Jak to można żyć bez agitacyi. Idź, tak jak ja, dwa razy tam i napowrót do Słotwinki, a zobaczysz jak będziesz spała—jak kamień...

— Może łóżeczko niewygodnie usłane, może myśli wiele?—pyta pan Dyonizy, patrząc się w oczy pacyjentki.

— I to nie—odpowiada Matylda—owszem, wszystko wygodne, kładę się ze spokojną głową, staram się nie myśleć...

— Tak, tak, tylko wprzód nagada się tyle z tym profesorem z piąterka przez cały wieczór —dodaje radca.

— A widzi pani? — rzecze z wymówką doktór.

— Ojciec tylko żartuje...

— Jak cię kocham, tak nie żartuję. Ja już dawno leżę w łóżku, a oni tu na ławeczce mru, mru, mru; mru, mru, mru... Powiedz mi, co wy tam macie z sobą tyle do gadania? Cały dzień gadają, całe wieczory gadają, miłosierdzie Boże, jak was usta nie zabolą.

— Pan radca ma zupełną słuszność — odzywa się doktór, wstając z krzesła i biorąc do ręki kapelusz.—O dziewiątej powinna pani być już w łóżeczku... tak, tak, u nas w Krynicy inaczej nie wolno. A tymczasem, od jutra można już pić po trzy kubeczki wody, kąpiołka z rana jak zwykle, w czystej wodzie, po południu z błoteczkiem... Nie męczyć się spacerami.. No, całuję rączki łaskawej pani, tylko proszę mieć humorek dobry... Upadam do nóg pana radcy.

— Miłosierdzie boże, jacy oni nudni!—zawoła staruszek, podnosząc się z ławki — tylko ich słuchaj i rób, co każą, to zajmą ci swoją kuracyją caluteńki dzień Boży, a wszystko to psu na budę się nie zdało. No, moja Madziu—mówi dalej, całując ją w głowę—dziękuję ci za śniadanie, uraczyłaś mię po królewsku. Teraz chyba już mogę być spokojnym do południa. A na obiad co kazałaś podać?

— Jak zwykle, zamówiłam rosół z kaszką.

— Dobrze, a co więcej?

— Pieczeń baranią z kompotem...

— Czy to nie będzie za ciężkie na mój słaby żołądek, hę? Ale niech zostanie... Przepraszam cię, moja duszko, że ja cię nudzę i tak szczegółowo wypytuję, bo widzisz, muszę się do tego co będzie, zastosować. A na trzecie?

— Myślałam że kompot...

— Kompot do pieczeni... hm, coś powiem pani... cienko.

— Może drugie jakie mięso? — proponuje Matylda.

— Zdało by się, tak coś delikatnego, kurczę niewielkie, tylko uważasz, pulchniuteńkie, tak obsypane bułeczką—mówi staruszek, pokazując gestem dłoni przypuszczalną objętość kurczęcia.—Ja, bo widzisz, jeszcze dziś jestem na dyjecie; wczoraj brałem bernardyńskie krople... dobrze mi robi ten kordyjał. Ci bernardyni mają praktyczny rozum...

— Całuję rączki pani dobrodziejki... panu radcy moje uszanowanie—odzywa się z balkonu domu sąsiad, pan Klemens, którego czytelnicy jeszcze nie znają.

Jest to trzydziestoletni mężczyzna, brunet, szczupły, wysoki, z twarzą bladą, choć szlachetną, z czarnemi, błyszczącemi oczyma i czarną, swobodnie rozrastającą się brodą. Cała powierzchowność pana Klemensa ma w sobie coś melancholicznie cierpiącego, do czego przyczynia się jeszcze ciemny plaid angielski, którym pan doktór filozofii troskliwie owiązał ramiona i cały żywot, jakby na dworze było przynajmniej kilka stopni mrozu.

— Dzień dobry panu!—odzywa się z wdzięcznym uśmiechem wdówka — jakże zdrowie dzisiaj?

— Zawsze toż samo — odpowiada pan Klemens z dziwacznym grymasem na twarzy. — Zawsze tu ssie i ssie — dodaje, pokazując ręką na żołądek. — Apetytu nic, w ustach gorycz... ważyłem się rano, tylko sześć łutów więcej...

— Chwała Bogu, zawsze to postęp — rzecze Matylda z uśmiechem nadziei — liczę, że codzień będzie lepiej...

— Eh, co to znaczy sześć łutów na takiego mężczyznę, wstyd nawet chwalić się z tego — przerywa radca. — Żebyś pan zjadł tak jak ja funt razowego chleba, spałaszował jeden, drugi talerz mleka i potem się zważył, toby przybyło... ale tam kiepskie jakieś sześć łutów...

— Żeby to można, co jabym dał za to, żebym mógł strawić. Bamberger w najnowszym wydaniu, które sobie właśnie sprowadziłem, powiada...

— Nie słuchaj nic, co on tam powiada — rzecze z irytacyją radca.

— Ale to najznakomitsza dziś powaga...

— Żeby on dyjabła zjadł z tą swoją powagą — przerywa energicznie staruszek — ty rzuć za piec tego Bramberga, posłuchaj mnie a zobaczysz!..

— Jabym umarł, mój radco — mówi z uśmiechem politowania Klemens.

— Jakże można, kochany ojcze, takie rzeczy jak mleko kwaśne radzić choremu; ojciec zdrów, to wszystko służy...

— Nie umrzesz, zaręczam ci, nie umrzesz!— ciągnie swoje radca, nie zważając na perswazye córki — Co, śmiejesz się, niedowiarku, załóżmy się, o co? o co? -- woła w zapale wyciągając rękę ku balkonowi.

— I dreszcze nie ustąpiły? — pyta Matylda, chcąc zwrócić rozmowę na co innego.

— Tak samo trzęsę się...

— A to już kompletne kpiny, miłosierdzie Boże! Upał trzydzieści gradusów, oddychać trudno, a on się obwija jak mumia egipska...

No i jakże pan możesz być zdrów... niepodobna.

Gdy radca tak sobie mruczy, machając ręką z irytacyi, wchodzi do ogródka z drzwi domu elegancko przystrojony Stanisław, a zapinając rękawiczki, nuci wesoło:

„I na tej-to pajęczynie, która sią tak wątłą zda,
Oj udało się dziewczynie...“

— Stasiu, Stasiu, proszę cię — woła, pociągając go za rękaw Matylda — spojrzyjno do góry, przedstawię cię naszemu sąsiadowi, panu Klemensowi... Brat mój, Stanisław — dodaje, gdy ten zobaczył na balkonie sąsiada.

— To ten doktór filozofli—szepnie do ucha Matyldzie — ależ to prawdziwy Piotrowina!.. Bardzo mi przyjemnie, bardzo mi przyjemnie poznać pana doktora filozofii — mówi, kłaniając się żartobliwie panu Klemensowi i wyciągając rękę do przywitania...

— Za wysoko, daruj pan...

— Przyjmuję dobre chęci — rzecze z całą uprzejmością Klemens — i cieszę się, żeś pan zawitał do nas. Znając pana z opowiadań szanownej siostry, bardzo sobie życzyłem poznać go osobiście... tylko spodziewaliśmy się jego przybycia dopiero za dwa tygodnie.

Stanisław mimo tak czułych zapewnień bierze się znów do zapinania rękawiczek i ciszej pyta siostry:

— To on?

Matylda kiwa potwierdzająco głową.

— Poczekajże, mój Piotrowino — mówi do siebie — ja ci się tu dam poznać i Matyldę bałamucić.

— Chory biedaczysko — wtrąca ojciec — sypiać nie może.

— Gdzie tam! — dodaje uśmiechnięta Matylda.

— Owszem, znać po panu, wygląda na to.

Radca tymczasem wydobywa z kieszeni paltota flaszeczkę z lekarstwem, z drugiej pakiecik czystego płótna, macza jeden płatek wodą z flaszeczki i z całą powagą kładzie na oko.

— Jeżeli pan pozwolisz — rzecze znów Klemens — mam na bezsenność wyborną radę, środek niezawodny...

— Daruje pan — mówi żywo Stanisław, operując ciągle rękawiczkę — ale w chorobie mam zwyczaj słuchać rad doktorów, ale doktorów medycyny...

— Tak, tak, słuchaj ich, a wyjdziesz dobrze jak ja, jak Matylda, jak pan Klemens — odzywa się pan radca, zajęty maczaniem drugiego płatka. — Otóż z porady szanownego sąsiada mam wodę na oczy i jak mi pomaga! Matyldo, masz zegarek — mówi oddając jej ten ostatni—mamy teraz dziesięć minut po wpół do jedenastej, proszę cię, powiesz mi, jak będzie dziesięć minut po jedenastej... pamiętaj... I usadawia się z powagą na ławce pod ścianą przechyla głowę w tył, nakrywszy zmaczanym płatkiem drugie oko.

— Widocznie — rzecze dalej pan Klemens z balkonu — pan jesteś z tych, co ślepo wierzą patentowanym lekarzom...

— Naturalnie, więcej niż pseudo-lekarzom, których opanowała manija *curaciosa*...

— Daj pokój, Stasiu — szepnie mu Matylda.

— Wierz, wierz patentowanym...—odzywa się z pod ściany radca.

— Masz pan oczywisty na mnie dowód — prowadzi rzecz swoją Klemens, — Jak mnie zaczęli leczyć na solitera, to soliter został soliterem, a nabawili mnie takiego kataru żołądkowego, że dziś już nic trawić nie mogę.

— Eh, proszę pana — odzywa się Stanisław — i soliter jest fikcyją i katar żołądka jest fikcyją, wylęgłą w głowach hypokondryków, co sami się leczą.. (Coś podobnego — mówi ciszej do siostry — jest i z wujaszkiem Maryni). Ażeby pana przekonać, że tak jest, podam mu jeneralny środek na wszystkie w świecie katary... niezawodny...

— Powiedzno... — rzecze radca.

— Pewnie jakie głupstwo — dodaje Matylda.

— Słuchamy, słuchamy—odzywa się z powagą Klemens.

— Przez trzy dni z rzędu — deklamuje seryjo Stanisław — zażywać naczczo łyżeczkę kopiastą prawdziwej francuskiej tabaki. Żołądek się wykicha i rzecz skończona... już po katarze!

— Pan sobie pozwalasz żartów! — zawoła gniewnie pan Klemens.

— Wolno panu tak sobie tłumaczyć.

— Ależ to impertynencyja, Stasiu — mówi przestraszona Matylda.

— Może to i praktyczne... tabaka... prawda nosowi służy — mruczy sobie pod ścianą radca.

— Przepraszam państwa — rzecze prędko, chowając się w drzwi balkonu, pan Klemens — ale nie jestem w stanie prowadzić rozmowy z ludźmi, którzy przychodzą z instancyją ubliżania... Darujesz pan, nie mogę.

Drzwi balkonu zabrzęczały silnie pod ręką zirytowanego sąsiada i ten zniknął w głębi pokoju.

— Cóż tobie się stało? jak można coś podobnego zrobić!—zawoła przestraszona Matylda. — Stasiu, zkąd przyszła ci do głowy myśl podobna... Obraził się...

— A niech się obraża... ależ to egzemplarz... Jak Boga kocham egzemplarz z zielnika... Cha, cha, cha... czysty Piotrowina... jakiś pedant medyczny... winszuję... winszuję... Madziu kochana, masz gust... niechże cię uściskam... no, no...

— Matyldo — zawoła ojciec, wydobywając ostrożnie książeczkę notatkową z bocznej kieszeni i podając ją córce — proszę cię, zanotuj mi tę tabakę... jak to, jak? przez trzy dni naczczo łyżeczkę kopiastą ..

— Zmartwiłeś mnie jak nigdy — mówi siostra do Stanisława — anim się spodziewała po tobie takiej brutalności... Niechże ojciec da pokój z tą książeczką, on żartował.

— Nie, nie, jest w tem logika; zanotuj, proszę cię...

— Ja tego człowieka tak szanuję -- powtarza swoje Matylda, odbierając machinalnie książeczkę z rąk ojca — ja tak go stawiam wysoko... zacny, szlachetny... Nie mogłeś mi zrobić większej przykrości...

— Przepraszam cię, Madziu — rzecze Stanisław, usiłując pocałować wymykającą się i zagniewaną siostrę. — Cóż zrobię, nie podobał mi się i kwita! Nudziarz, hypokondryk, nic więcej... zobaczysz mojego wujaszka... to wcale inny człowiek... ma tam swoje wady... ale nic to .. Wiesz, wyborna rzecz, gdybyś ty miała iść za niego. To mi szwagierek! No, idziemy na spacer?

— Idź sobie sam!

— Nie gniewaj się, wielka rzecz, żarty...

— A któraż tam godzina, Matyldo? — woła radca, siedząc wciąż nieruchomie na ławce.

— Dopiero piętnaście minut... Widzisz — mówi wracając do brata — nie mogę odejść od ojca.

— Zatem do widzenia, kochana turkawko, idę szukać Maryni, już musiała przyjechać. Cóż znowu? Widzę gniewasz się naprawdę!.. Dajże pokój... cóż, żartowałem, ale go przeproszę, jeżeli ci o to idzie... no, przeproszę najformalniej, daję ci słowo honoru.

I mimo dąsów pani siostry, zapaliwszy papierosa, poprawiwszy krawatkę, nasz bohater skierował się ku furtce ogrodowej, nucąc jakby nigdy nic nie było:

„Oj udało się dziewczynie,
Że mię w swojej mocy ma.“

Ledwie że schował się za sztachetami ogródka, zasapany pan Klemens wyszedł ze drzwi domu, a stawiając kapelusz na stole, rzecze prędko do Matyldy:

— Darujesz pani, choć to jej brat, ale dziwnie... dalibóg jeszcze mi się nic podobnego w życiu nie przytrafiło.

— Nie śmiem usprawiedliwiać, doprawdy jestem zdumiona... serce jak najlepsze, ale szczególniejsza lekkomyślność.

— Fiksat czasami! mówię ci, panie Klemensie — wtrąca ojciec—on to trochę ma po matce swojej, i ona też czasami miała takie napady...

— Powiadam pani, tak się zirytowałem. że cały drżę; co ci ludzie sobie teraz myślą ..

— Nic, panie, nie myślą i rzecz skończona! Dobrze zjeść, dobrze wypić, ładnie się ubierać i nic nie robić... bieda z tą młodzieżą.

— To po co pan wychodzisz z domu—prosi Matylda — nie lepiej spocząć?

— Jestem przekonany, że ubyło mi przynajmniej pół funta z tej awantury, ale muszę; właśnie odebrałem telegram, że kuzynka moja z guwernantką dzisiejszą pocztą przyjedzie; dyliżans przychodzi o jedenastej... Nie spodziewałem się takiego spotkania z bratem pani .. żegnam, do widzenia.

— Co mi ten Stasio narobił – zawoła pani Matylda, załamując ręce po odejściu Klemensa – słyszał ojciec? Jak można tak ni ztąd ni zowąd nieznajomemu człowiekowi robić takie wyraźne niegrzeczności.

— Chcesz, moje dziecko, to ja mu powiem za to ojcowską reprymendę — rzecze staruszek — choć Bogiem a prawdą, oni teraz nie bardzo słuchają starszych, mają rozumy wielkie, straszne rozumy! A nie żałowałem pieniędzy na edukacyją, był i w Liége, a żadnego poloru...

— Formalnie zdrętwiałam — mówi jakby do siebie Matylda.

— Bo czemuż nie powiedziałaś mu, że to twój narzeczony; widzisz, trzeba go było uprzedzić. Ja, kochanie moje, byłbym mu powiedział, ale nie kazałaś... kiedy sekret, więc niechże będzie sekret... Nie martw się nic... Wiesz co, Matyldo?

— Nic nie wiem.

— Plecy mię bolą, ta ściana taka twarda, że już wysiedzieć nie mogę; ile jeszcze?

— Dziesięć minut... zawołać Jakóba, dobrze?..

— A zawołaj, niech mię odprowadzi...

Jakoż za chwilę zjawia się przygarbiony Jakób i wziąwszy pod rękę pana radcę, prowadzi jak ociemniałego do pokoju...

— Doigra się pan z temi oczami, doigra.. Kto to widział, mając taki dobry wzrok, kurować się i kurować... Żebym to ja zrobił, co już liter na książce nie zobaczę, ale pan...

— Ha! trzeba ci było wcześniej pomyśleć nad tem, teraz już klamka zapadła.. Ale to u was niedbalstwo takie, miłosierdzie boże... nic się nie myśli o przyszłości... mądry Polak po szkodzie...

Scena z panem Klemensem widocznie zmartwiła na seryjo Matyldę, bo po wyjściu ojca usiadła zadumana na krześle i nie spostrzegła, jak z furtki w sztachetach weszło kilka nowych osób do ogródka.

— Panie profesorze, proszę mi podać rękę, upadnę z tych schodów – odzywa się już niemłoda, dobrej tuszy kobieta, niosąc w jednej ręce torebkę podróżną, a drugą przytrzymując małego szpica, który usiłuje wyrwać się na ziemię. — Filuś, nie kręć się!

— Jakiż to śliczny ogródek! — woła młoda, lat może siedmnastu panienka, zbiegając szybko na środek i rozpatrując się dokoła.

— Prawda, że ładny — odzywa się znany nam pan Klemens, sprowadzając ostrożnie ze schodów pierwszą damę. — Tu właśnie z panią Matyldą przepędzamy dnie całe..: Ale otóż i ona...

— Przedstawiam pani — rzecze, zbliżając się do krzesła, na którem siedzi Matylda — siostrzenicę moją, Marynię, a to pani Hortensyja, nasza przyjaciółka i ochmistrzyni...

Gdy panie podają sobie wzajemnie ręce na powitanie, panna Hortensyja dodaje:

— Wykwalifikowana nauczycielka do szkół wydziałowych...

— Serdecznie rada jestem — odzywa się z wdzięcznym uśmiechem Marynia — z poznania pani, i choć do tego mam najmniejsze prawo, proszę, racz przyjąć podziękowanie moje za łaskawą opiekę nad wujem.. — a do Kle-

mensa ciszej: — nie przesadziłeś, kochany wujaszku, nadzwyczaj ujmująca powierzchowność.

— Cóż to za cera pargaminowa — szepcze do ucha Maryni Hortensyja — schorowana... Przepraszam państwa, ale ja muszę usiąść, jestem zmęczona.. Co te góry mają do siebie, że zawsze jest się zmęczoną i głodną... Ale, ale, wiesz pan profesor, ubyło mnie dwa funty... Filuś, proszę być grzecznym...

— Jakiż to cudowny krajobraz!—szczebiocze Marynia, zdejmując kapelusz i rozglądając się dokoła — ta góra pokryta świerkami, które wyglądają jakby jeden rósł na drugim... a ten biały krzyż, stercz.cy na samym szczycie... cudownie, cudownie tu w Krynicy!

— Pozwoli pani — odezwała się do Hortensyi Matylda — że na początek chcę odegrać tu rolę gospodyni i zaproponuję śniadanie. Nasz służący przyniesie z restauracyi co panie zadysponują...

— Marynia, wątpię, aby co jadła; ona już piła kawę na stacyi; ale ja lubię potrawy pożywne, prowadzę życie hygieniczne... mięso i mięso... to pokarm najwięcej zbliżony do natury człowieka... Filuś, bo cię wyrzucę precz!.. Moja zasada: nie dopuścić choroby... unikać, o ile można unikać... bo w zdrowym ciele zdrowa dusza... I żebym miała większą władzę nad panem profesorem, żeby mnie chciał słuchać, byłby tak zdrów jak ja...

— I codzień ważyłby dwa funty mniej, jak pani — wtrąca śmiejąc się Marynia.

— Więc może polędwicę? Jakóbie, Jakóbie! — woła do drzwi mieszkania Matylda, a gdy ten pokazuje się we drzwiach, mówi dalej: — proszę cię, idź do restauracyi i przynieś porcyję...

— Sztuki mięsa z sosem kartoflanym — dodaje Hortensyja — tylko, mój staruszku, wybierz kawałek od kości, bez kwiatka, rozumiesz! Tłuszcz, jako nierozpuszczalny, szkodzi...

— Po co jej tam kwiatka — mruczy sobie Jakób — byłby jak przy kożuchu.

— Jakże się pani podoba Marynia? — pyta ciszej Klemens, zbliżając się do Matyldy.

— Milutkie dziecko — odpowiada również półgłosem — prawdziwa wiosna życia, rozkosz...

— Prawda, kochana pani -- odzywa się Marynia, obejrzawszy cały ogródek — że po obiedzie zaraz idziemy w góry na spacer. Będziemy biegać, wdzierać się na szczyty, i wujcio z nami i panna Hortensyja musi, to bardzo zdrowo. I on jak przyjedzie, mówię wójciowi, dzielny chłopiec, drapie się jak kot po skałach...

— Żałuję bardzo, kochana pani — rzecze Matylda — ale ja nie mam sił na takie wycieczki...

— Żebym ja mógł — dodaje wzdychając wujaszek — żebym mógł... Ha, jeżeli jeszcze *Pontraracaco* nie pomoże, to już przyjdzie powiesić się na pierwszej lepszej gałęzi...

— Jestem przekonana, że pomoże — wtrąca Marynia — takie lekarstwo z Indyj, zachwalone... Konsul je przesłał do Anglii...

Tymczasem pokazuje się Jakób z tacą, którą z całym respektem stawia przed Hortensyją.

— Śliczne mięso... a soli?.. Ja bo mogę iść pod górę... a nawet bardzo zdrowo... Filuś, szkaradniku, mówię ci, bądź grzecznym... Ja, dzięki hygienicznemu życiu, nie doświadczam braku sił... Ależ ty, Filuś, zwaryjowałeś, fe... nie napieraj się...

-- To to lekarstwo z Sumatry, o którym wujcio pisał? — zapytuje Marynia.

— Toż samo, które doktór zapisał przed miesiącem z Anglii... wszyscy się zgadzają, że niezawodne...

Wśród tej rozmowy i, że tak powiem, rozkoszowania się sztuką mięsa przez pannę Hortensyję, Matylda zajęła miejsce naprost drzwi wchodowych od domu tak, że idący przez sień Stanisław mógł ją zobaczyć zdaleka.

— Dowiedziałem się! już przyjechała o jedenastej!.. — woła rozpromieniony młodzian, wpadając żywo do ogródka.

— Pan Stanisław! — odzywa się nagle zarumieniona Marynia i nie zważając, czy to będzie przyzwoitem dla młodej panienki, zrywa się szybko z krzesła, chwyta za rękę Stanisława, ciągnąc go w stronę wujaszka. — Wujciu kochany, to właśnie pan budowniczy!

— Tam do dyjabła — pomyślał sobie zaskoczony tem nieprzewidzianem spotkaniem młodzieniec, a straciwszy kompletnie fantazyję, mógł tylko wybąknąć:

— A, a, a, a... to pan wujaszek!..

— A, a, a, a... to pan łyżeczka tabaki! — odpowiedział również zdziwiony pan Klemens z miną marsowatą.

— Radzę panu, panie Stanisławie, zawsze tu jadać sztukę mięsa... delicyje... mówię panu, delicyje...

— Cóż wujcio taką minę zrobił i mówi o jakiejś tabace? — rzecze Marynia, trzymając za rękę Stanisława. — To pan Stanisław, o którym wujciowi pisałam.

— Zginąłem! — szepnie brat Matyldzie. — Kto się mógł spodziewać, że Piotrowina... zlituj się, ratuj!

— Omyliłaś się, moje dziecko — przemawia wolno z całą ironiją pan Klemens — pisałaś mi, że on jest budowniczy, a ja tego pana, jako brata pani Matyldy, poznałem przed godziną w charakterze doktora medycyny.

— Panie Stanisławie, co to jest? — pyta zatrwożona panienka.

— Bardzo brzydko ukrywać swoje powołanie! — wtrąca Hortensyja — fe, jak można kogoś mistyfikować. Filuś, mówię ci raz ostatni, za karę nic nie dostaniesz!

— Mój brat — odzywa się wdowa do Maryni — nie wiedząc, że sąsiad nasz, pan Klemens, jest wujem pani, był bardzo dla niego niegrzecznym...

— Powiedz pani: impertynenckim, wtedy, gdy ja chciałem mu okazać najżywszą życzliwość.

— Niestety, prawda! — krzyknie z desperacyją Stanisław — jestem brutal... jestem waryjat! jestem... i jeżeli pan profesor zrobi mi tę łaskę i pozwoli się przeprosić...

— Wuju! — rzecze błagalnie Marynia.

— Panie Klemensie! — dodała takimże tonem Matylda.

— Przepraszam moje panie, pan Stanisław, jak widzę, jest pełnoletnim i człowiekiem zajmującym w świecie już pewne stanowisko, a zatem powinien wiedzieć, że błagać o przebaczenie mogą tylko dzieci...

— Ależ ja kocham pannę Maryję!.. ja bez niej żyć nie mogę... ja się zabiję! — krzyczy z rozpaczą Stanisław.

— Nie żartuj pan — mówi chłodno Klemens — cała ta miłość, to tylko mania sercowa. Pozwól, że za jego radę odwdzięczę mu się daleko lepszą radą: Każ pan sobie przez trzy dni naczczo wbijać po kilka prawdziwie dębowych klinów do głowy, a zaręczam, wybijesz sobie kompletnie myśli o mojej siostrzenicy... Radzę panu to zrobić, ja, wuj i opiekun Maryni...

To powiedziawszy, kłania się etykietalnie pan Klemens i z całą powagą wchodzi do drzwi domu, zostawiając całe towarzystwo w nieopisanym zdumieniu.

— Widzisz, coś narobił — mówi z wyrzutem Matylda.

— Mój Boże, mój Boże, jakie nieszczęście! — desperuje Marynia, chodząc szybko po ogródku.

— Moje dziecko, Maryniu — rzecze, chwytając ją za rękę Hortensyja — tylko bez irytacyi.. I mnie bardzo przykro co słyszę, wierz mi... martwiłabym się tak samo, ależ po jedzeniu nie mogę... całe trawienie na nic, żółć działałaby nad miarę.

— Matyldo droga — rzecze błagalnie Stanisław — ty jeszcze możesz to wszystko naprawić.

— Wuj nie da się przeprosić, ja go znam: obraźliwy.

— Wyborny ten sos kartoflany, szkoda zostawić — mówi do siebie Hortensyja, wracając do stołu; a wziąwszy kawałek chleba na widelec, macza nim w talerzu... — wyborny!..

Wtem nagle za jej plecami otwierają się obie połowy okna, i rój much, pędzony ręcznikiem z wewnątrz pokoju, opada ją gradem i topi się w pozostałym jeszcze sosie na talerzu.

— A sio! a sio! — woła zacietrzewiony radca, machając wciąż ręcznikiem. — Miłosierdzie boże! a sio, natręty! a sio!..

— Co to jest? — krzyknie zaczerwieniona Hortensyja, obracając się ku oknu,

— Wypędzam muchy! — odpowie radca, machając ciągle ręcznikiem i nie zważając, że ubiór jego wcale nie odpowiada temu, w jakim się damom prezentować należy.

— Bardzo grzecznie... wrzucać mi muchy do sosu... a to facecyje...

Radca ani słyszy groźnych słów panny, lecz wypędziwszy muchy, zamyka nagle okno i spuszcza roletę.

— Cóż to za facet jakiś? — pyta Hortensyja, zwracając się ku Matyldzie.

— Przepraszam panią za niego, to mój ojciec.

— Ani sposób wysiedzieć teraz w pokoju! — mówi do siebie radca, wychodząc już ubrany w palto ze drzwi domu i co chwila dając sobie klapsa w łysinę. — A masz, a masz!.. miłosierdzie boże, co one mają za satysfakcyję siadać na łysych głowach... Przepraszam acanią dobrodziejkę — ciągnie dalej radca, zwracając się do Hortensyi — nie widziałem; ależ bo gryzą, chyba ma się na burzę... A to co? — pyta Matyldy — czegoście tak zachmurzeni, czy i u was zbiera się na burzę? Stasiu, czego ty latasz jak postrzelony? Kto są te panie?

— Acan dobrodziej... — zaczyna Hortensyja.

— Przepraszam uniżenie — przerywa staruszek z wymuszoną a grzeczną ironią — ja jestem, mościa dobrodziejko, radca stanu, kawaler...

— A ja jestem panna Hortensyja Maciejowicz, patentowana nauczycielka do szkół wydziałowych, a nie jakaś acani; a to uczennica moja, panna Maryja...

— Ojcze kochany, jestem w rozpaczy! — zawoła patetycznie Stanisław, zbliżając się do starego — przepadło wszystko, już nie masz syna

— Jakto nie mam, a gdzieżeś się podział?

— To właśnie jest panna Maryja — rzecze Matylda, prowadząc za rękę do ojca zasmucone dziewczę — ta sama Marynia, o którą stara się Stanisław, a która właśnie jest siostrzenicą naszego pana Klemensa.

— Świeżutka jak róża... i widzę, że zdrowa jak rybka... pójdźże moja panno, niech cię ucałuję — mówi radca, kładąc patryarchalnego całusa na jej czole. — Tylko moje dziecko pamiętaj, jakbyś kiedy zachorowała, nie radź się doktorów, zepsuliby cię zupełnie; oho! oni potrafią w trzy dni z tej brzoskwinowej cery zrobić twarz jak bibułę,.. A, a, a! — zawoła stary, pukając palcem w czoło — jestem w domu! Rozumiem wasze kwaśne miny, rozumiem..: Widzisz, Stasiu, potrzeba ci to było błaznować i narażać sobie tak szanownego człowieka jak pan Klemens... cierp teraz, bratku! Pamiętasz, jak ci od maleńkiego mówiłem zawsze: słuchaj starszych, szanuj... i nieboszczka matka: bądź grzeczny Stasiu, dla każdego.. co, nieprawda?

Drażliwą tę scenę moralizowania i zasępiania całego towarzystwa, przerywa wejście od furtki ogrodowej znanego nam doktora, pana Dyonizego. Zapomniawszy o swojej powadze i dystynkcyi, szanowny Eskulap idzie żywo a podniósłszy do góry sporą i ozdobnie oblepioną buteleczkę, woła już z progu:

— Już nie ma solitera! panie profesorze, panie Klemensie... A gdzież profesor? — pyta, rozpatrując się w gronie obecnych.

— Czy to lekarstwo z Indyj? — pyta Matylda.

— Oryginalne Pontaracaco, dopiero otrzymałem z poczty, cudowny środek... niezawodny... Ale mówcież państwo, gdzie profesor?.. Co ja widzę, Stanisław, koleżka szkolny... Jak się masz, co tu robisz?

— Przyjechałem na kuracyję — odpowiada, ściskając doktora.

— To mój brat, panie konsylijarzu...

— Za pozwoleniem pana dobrodzieja — wtrąca radca zaintrygowany oryginalnym opakowaniem flaszeczki — co to za lekarstwo, nie można zobaczyć?

— I owszem, niech pan radca przeczyta; jedyny nieomylny środek na solitera — mówi oddając staremu flaszeczkę. — No, jakże zdrowie, Stasiu? powiedz, co ci brakuje?

Tymczasem Marynia, Matylda i Hortensyja otaczają starego, przypatrując się ciekawie owemu lekarstwu, gdy ten z całym zajęciem odczytuje nazwę, powtarzając Pontaracaco, czy koko, bo nie wie, jak się to wymawia.

— Mój Dyonizy — rzecze Stanisław, odprowadzając na bok doktora — powiem ci krótko o mojej chorobie: zakochałem się na zabój w tej oto panience, siostrzenicy profesora.

— Śliczna dziewczyna, dalibóg, winszuję... żeń się, jej wuj ciepły i zacności profesor...

— Ba! — odezwie się z desperacyją Stanisław.

— Jakie ba? oświadcz się i rzecz skończona...

— Kiedy przed godziną tu na tem miejscu, nie wiedząc, że to ten mantyk jest jej wujaszkiem, obraziłem go, kpiąc z jego choroby, i ani chce słyszeć o mnie...

— Drobnostka... przeproś go...rzeczywiście zacny człowiek.

— Nie pozwala się przeprosić, jestem w rozpaczy...

— Czekaj, ja z nim pomówię — rzecze doktór.

— Zlituj się, Dyonizy, zbawisz mię...

— No, no, bądź dobrej myśli... ja go przekonam. Cóż-to, nie znam twoich figlów jeszcze z gimnazyjum?.. Zresztą — mówi ożywiony doktór – nie dam mu lekarstwa, daję ci słowo, nie dam, jak ci nie przebaczy.

— Do śmierci będę ci wdzięczny — kończy już wesoło Stanisław, rzucając mu się na szyję.

— Bądź spokojny... Panie radco, proszę o tę buteleczkę... gdzież profesor?

— U siebie na górze — mówi Matylda.

— I powiadasz, konsylijarzu — pyta zaaferowany radca — że to niezawodne... hę?

— Pięć kropel trzy razy dziennie przez trzy dni, a żeby soliter był taki jak wąż grzechotnik, musi zginąć.

— A, jaka to szkoda — odzywa się widocznie zmartwiony staruszek, macając się po brzuchu — że ja, panie, nie mam solitera, zarazbym zażył... Co to, panie, tylko pięć kropel...

— A ja zażyję – rzecze seryjo panna Hortensyja. — Czy mi zaszkodzi? Najlepiej uprzedzać choroby zawczasu... Dziś nie mam, ale kto wie, czy nie dostanę kiedy solitera. .

Doktór tymczasem odebrawszy flaszeczkę, biegnie do domu wołając: panie profesorze! — i za chwilę wbiegają obadwaj z panem Klemensem do ogródka.

— No jestem uratowany! — mówi profesor z niezwykłem ożywieniem, od którego nawet rumieniec pokazuje mu się na wybladłem licu. — Doktorze, daj!

— Nareszcie będziesz zdrów, wujaszku drogi! — woła uszczęśliwiona Marynia, całując jego ręce.

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem — rzecze z powagą pan Dyonizy, chowając za siebie flaszkę z lekarstwem. — Warunek jeden, maleńki warunek...

— Pozwolisz mi pan spróbować? — pyta wciskając się między nich radca — ja tylko pięć kropli...

— Pewnie idzie o koszta — rzecze nieco oschłym tonem profesor — wiem, drogo wypadnie... jednak mimo to wdzięczny będę...

— Koszta... drobnostka! — odpowiada figlarnie doktór — lekarstwo dam, za skutek głową ręczę, ale wprzód, szanowny profesorze, przebaczysz mojemu szkolnemu koledze Stanisławowi... No, no, nie warto się gniewać, to figlarz z natury, i choć czasami miewa niesmaczne żarty, ale to najpoczciwszy chłopiec pod słońcem...

— Panie Klemensie — wtrąca radca — proszę zauważyć, że powiedziałem mu już od siebie taką reprymendę... prawdziwie ojcowską reprymendę...

— Jeżeli moje słowo coś znaczy... — odzywa się z figlarnym uśmiechem wdowa.

— Przez pamięć mojej drogiej matki — dodaje Marynia.

— Alboż ja to cesarz jaki! — rzecze uśmiechając się pan Klemens - żebyście się do mnie wszyscy modlili... No, panie Stanisławie — mówi zwracając się do stojącego w śmiesznie pokornej pozie młodzieńca — podajmy sobie ręce... zapomniałem...

Stanisław z radości koniecznie chciał pocałować w rękę, lecz profesor nie pozwolił, a wziąwszy za rękę Marynię, oddał ją Stanisławowi mówiąc:

— Oddaję ci mój skarb jedyny, kochaj ją i szanuj... ale co do posagu - kończy z uśmiechem — to nie spodziewaj się nic więcej jak łyżeczkę prawdziwej francuzkiej tabaki...

Za pozwoleniem, kochane czytelniczki, proszę nie ruszać się z miejsca... kurtyna jeszcze nie zapada... proszę o chwilkę cierpliwości... jeszcze nie koniec, bo oto Marynia, wzorowa siostrzenica, wcale nie akceptuje woli opiekuna.

— Ja wujcia opuścić nie mogę! — woła rzucając mu się na szyję — poczekamy, prawda, panie Stanisławie, poczekamy... wujcio jeszcze potrzebuje mojej opieki...

— A ja? - pyta zdziwiona panna Hortensyja, wysuwając się naprzód. — Cóż-to, zapomniałaś o mnie? Kto lepiej odemnie zna wszystkie przyzwyczajenia pana profesora? Kto hygieniczniej potrafi mu dom prowadzić?

— Drogie dziecię — odzywa się do Maryni rozrzewniony profesor — już znalazłem sobie godniejszą od ciebie zastępczynię. Oto jest — mówi dalej, zbliżając się do Matyldy — przyszła moja opiekunka, którą daj Boże, abym mógł uszczęśliwić.

— A ja co? — zawołała czerwieniąc się z gniewu Hortensyja, gdy narzeczone pary oddawały się wzajemnej radości.

— Niechno pani się nie kłopocze — tłumaczy jej na stronie radca. — Da Bóg, nie długo trzeba czekać, a komuś z nich przybędzie coś małego; będziesz pani miała, jak się to nazywa, to, to *haganiczne* zajęcie. Ja żebym mógł.,. ofiarowałbym pani dobrodziejce... ale jak panią szanuję... słowo honoru daję, już...

— A to wyborna rzecz!.. Jaki to świat teraz! — mówi do siebie rozczarowana Hortensyja — szukajże tu wdzięczności czyjej... bądźże tu zdrową, żyj hygienicznie, kiedy dziś tylko schorowane w modzie... Filuś! pójdź precz!..— krzyknie zniecierpliwiona, rzucając pieska na ziemię — kręci się i wierci się...

Sądzę, że czas zakończyć, zapuszczając kurtynę na dalsze losy moich artystów amatorów— a łaskawym czytelnikom pozwalam już zabierać się do wyjścia z loży bez wywołania autora. Proszę, bardzo proszę, nie robić sobie subiekcyi — daję wam słowo honoru — nie wyjdę Wysoko cenię wasze względy, samą tylko wdzięczność mam dla was za serdeczne przyjęcie prac moich — ale darujcie, nie potrafię wam za to wszystko podziękować dla bardzo prostej przyczyny: *Kłaniać się nie umiem!*

A. Wilczyński. (p. t. I s. 197).

Marcin.

* *Pan Marcin.*

—Niech licho porwie karty i picie,
Już mi takie zbrzydło życie,
Muszę się całkiem poprawić,—
Tak mi pan Marcin i chory i zgrany,
A więc na się zagniewany,
Nie przestawił prawić.
A ja mu na to: Piękne to zamiary,
Lecz przebacz bratku, że im nie dam wiary;
Wszakżeś to samo przyrzekał mi nieraz,
A zawsześ skrewił.—Prawda jest, lecz teraz
Poprawię się niezawodnie.
—I kiedyż?—Kiedy... ot za dwa tygodnie.
—Czemu nie zaraz?—Są tego przyczyny.
—I jakie przecie?—Jacka imieniny,
Spił się na moich, jak mu nie odpłacić,
Kamienną na to trzebaby mieć duszę;
Wreszcie choćbym miał grosz ostatni stracić,
Rewanż mieć muszę.
Ale zaledwie słów tych dopowiedział,
Doszedł do chłopa, co nad rzeką siedział
I spytał: Cóż tak marzysz mój kochanku?
A chłop mu na to: siedzę tu od ranku,
Chciałem przez rzekę powrócić do domu,
A tu ni łódki, ni promu;
Czekam więc mój panie,
Aż rzeka płynąć przestanie.
—Otóż jest, rzekłem, twój obraz Marcinie,
I ty tak czekasz, aby się nawrócić.
Gdzie przejść nie można, trzeba wpław się rzu-
Bo rzeka zawsze popłynie. [cić,
F. Morawski.

* *W dzień świętego Marcina.*

—Tak trwać dłużej nie może!
Trzeba działać co żywo.
Dziewczę miłe i hoże
I nie patrzy się krzywo,
Tylko moja nieśmiałość
Już ją nudzić poczyna —
Raz oświadczyć się muszę
W dzień Świętego Marcina.

I marzenie wnet skore
Gładko snuję rzecz całą:
Jak za rączkę ją biorę
I zaczynam nieśmiało,
Jak od zwierzeń namiętnych
Cała płonie dziewczyna..
Ach! ja zdobyć ją muszę
W dzień Świętego Marcina.

To też w dzień ten od rana
Serce biło, jak młotem;
Jakaś troska nieznana,
Czoło zlała mi potem.
Gdym pomyślał, że oto
Już się zbliża godzina,
Która los mój rozstrzygnie
W dzień Świętego Marcina.

W obiadowej godzinie
Wszedłem wreszcie. Z obawy,
By kto nie zgadł po minie,
Jakie z sercem mam sprawy,
Byłem zimny. Do stołu
Siadła cała rodzina,
Ja się bałem rzec słowo
W dzień Świętego Marcina.

Jak tu bawić się w gronie
Biesiadników wesołem,
Gdy drży serce—twarz płonie,
Troska wisi nad czołem?
Więc się rzucam z rozpaczą
Na jedzenie i wina—
No—i jadłem za czterech
W dzień Świętego Marcina.

Po obiedzie.. my sami...
Czas się zabrać do dzieła!
Już nadzieja mnie mami,
Że myśl moją pojęła...
Już wyznanie gorące
Z ust mych płynąć poczyna...
Już mam paść na kolana
W dzień Świętego Marcina.

Wtem — okropne wspomnienie!
Coś zdławiło mię w krtani;
Rzucam błędne spojrzenie
Naokoło mej pani...
Twarz skrzywiłem boleśnie...
Ach, przeklęta gęsina!
Nie skończywszy — uciekłem
W dzień Świętego Marcina.

Po tak smutnem zdarzeniu
Serce skrzepło na wieki,
Odtąd cierpię w milczeniu
Od swej lubej daleki;
A na gęsi wspomnienie
Krew mi w żyłach się ścina,
I nie znoszę obiadów
W dzień Świętego Marcina.

„Kolce."

Margrabina.

* *Margrabina w żałobie.*

Margrabina D. mówiła do swej panny służącej:

— Śmiertelnie nudzi mnie ta żałoba. Dziś właśnie kończy się dwa tygodnie, od chwili, jak ją włożyłam. Ale, a propos, po kim to ja jestem w żałobie?

Markiz.

* Pewien markiz został przedstawiony damie z wielkiego świata w ten sposób przez jednego młodzieńców, lubiących frazesy rzucać dla dowcipu:

— Oto markiz de Tierceville, nie jest tak głupi, jak się wydaje.

— To właśnie cała różnica, jaka zachodzi między mną a nim — odparł dowcipnie markiz, dosłyszawszy uwagę aroganta.

Marmelade.

Panna Marmelade, czyli dwaj fornale.

* Nie wiem, dla czego ta kobieta miała tak miękie nazwisko, bo doprawdy, fizycznie była mocno kościstą, a moralnie także twardą jak krzemień. Tak przynajmniej stoi w pamiętnikach pana Wojciecha, u którego bohaterka niniejszego opowiadania... była guwernantką...

Jeżeli rzeczywiście miała w sobie coś usprawiedliwiającego dziwaczne jej nazwisko, to tem czemś, było chyba serce słodkie, miękie, serce, które stanowiło nie lada przynętę dla much, a raczej dla bąków, w które obfituje zazwyczaj każda okolica naszego północnego, „barbarzyńskiego kraju.

Panna Marmelade była to osoba wielce wykształcona: umiała po francuzku, ma się rozumieć, i po francuzku umiała i umiała po francuzku — i więcej nic. W naszym wszakże kraju to dość, aby pobierać trzysta rubli na rok, wszelkie wygody i wygadywać niestworzone rzeczy na swoich chlebodawców.

Pannie Marmelade przykrzyło się życie, nie dla tego, żeby ono rzeczywiście przykrem być miało, lecz ztąd, iż w Lipinkach byli sami tylko starzy ludzie i dzieci, a wskutek tego miękie serce nie znajdowało dla siebie żadnego a żadnego pokarmu. Sam pan Wojciech, łysy jak dynia, rządca siwy jak gołąb, a pisarz prowentowy, który grywał nawet na gitarze i najwięcej do romantycznych przygód okazywał skłonności, był tak znów szpetnie brzydki, że nietylko grymaśna francuzica, ale sam nawet dyjabeł nie mógłby się w nim zakochać. Natura z tym człowiekiem obeszła się po macoszemu i dała mu jedno tylko oko i dwa nosy, miękkie i ruchliwe, jak u tapira. Nosy te wyrastały jeden na drugim i tworzyły arcykomiczną piramidę, z brodawką i trzema rudemi włosami na końcu...

Lecz, na szczęście, mieszkańcy Lipinek byli nabożni i jeździli regularnie co święto do kościoła, gdzie zbierała się, *comme de raison* cała śmietanka towarzyska obszernej parafii. Panna Marmelade też w domu Bożym jedynie znajdowała sposobność strzelania oczami i po licznych pudłach, nareszcie raz trafiła w samo serce pana Stanisława, który objąwszy świeżo po zmarłym ojcu gospodarstwo, przekładał jeszcze

czarne, palące źrenice kobiety, nad widok żyznych łanów pszenicy i żyta.

Wejrzenia wystarczyły tym siostrzanym duszom do porozumienia się wzajemnego, ale cały stosunek na westchnieniach kończyć się musiał, gdyż pan Stanisław w Lipinkach nie bywał, a pan Wojciech, statysta i ponurych obyczajów człowiek, panny, chociaż guwernantki i do tego doletniej, z domu samej nie wypuszczał, ażeby, broń Boże, do czego złego sposobności nie miała. Nie pozostawało więc młodej parze nic więcej, jak tylko powierzyć swe troski cierpliwemu papierowi i na różowych, woniejących piżmem liścikach opowiadać sobie nawzajem dzieje serc uciemiężonych i pragnienia dusz zamkniętych.

Na wsi miłość nie ma posłańców pięknych i skrzydlatych — ale ma takich, jacy się pod ręką znajdują. Żyd co jeździ ze smołą, dziad co się po żebraninie włóczy, stara cyganka, brzydka jak czarownica — oto lekkie zefiry, unoszące łzy i westchnienia kochanków.

Są w życiu ludzkiem chwile, w których człowiek trzyma, ale też nadchodzą takie godziny, w których już wytrzymać nie sposób. Gorąca miłość, to niby wulkan w sercu: wre w niem i kipi, aż kiedyś wybuchnąć musi, a gorąca miłość dwojga serc, to niby dwie chmury, które przy spotkaniu błysną ogniem i wybuchną rozdzierającym głosem piorunu...

Okropny to był wieczór 15 lipca: powietrze ciężkie, duszne, parne... zanosiło się na burzę, barometr opadł całkiem, a później zrobiło się tak ciemno, że na dwa kroki przed sobą nic widzieć nie było można.

Pan Wojciech coś pisał. Nie łatwo mu to przychodziło, gdyż okropnie przy tej czynności sapał i ciągle koniec pióra przygryzał. Potem zawołał Jacentego fornala i zapowiedział mu, gdzie ma jechać, oraz nakazał, aby się tak cicho sprawił, żeby się, broń Boże, pani nie obudziła.

Panna Marmelade jeszcze nie spała. Kiedy wszyscy udali się na spoczynek, w niej budziło się właśnie serce. Poszedłszy do swego pokoiku, dziesięć razy odczytywała bilecik ukochanego, bilecik, który ją błagał o spełnienie obietnic i przysiąg. Konie o godzinie jedenastej czekać miały przy ogrodowej furtce. „Wybacz, moja najdroższa — pisał (ma się rozumieć po francuzku) pan Stanisław — że nie przysyłam karety; prosty wóz nie wzbudzi podejrzenia i będziesz bez przeszkód w progach tego, który z niecierpliwością liczy sekundy, oddzielające go od twego przybycia, sekundy długie jak wieczność!“

W głębokiem milczeniu panna Marmelade zapakowała tłomoczek, otuliła się czarnym szalem i zeszła do ogrodu.

Tuż przy furtce oczekiwał wielki wóz drabiniasty; panna Marmelade wsiadła, uroniła w milczeniu dwie łzy i fornal powoli, noga za nogą, wyjechał z dziedzińca, przebył groblę, a dopiero jak się wydostał za młyn, na szosę, wypuścił konie z kopyta.

Wóz warczał po szosie, ciemność była okropna, w czarnych chmurach huczało coś złowrogo.

Natura lubi w przerażający sposób akompanijować dramatom serc ludzkich.

Wicher wył, pioruny uderzały jeden po drugim, a ulewa była tak straszna, jakiej nawet starzy ludzie nie pamiętali.

Kiedy przejeżdżali przez most, tak się strasznie błysnęło, że fornal wykrzyknął: „Wszelki duch Pana Boga chwali“ i popędził jeszcze prędzej, gdyż był pewny, że dyjabła zobaczył, a panna Marmelade zemdlała...

Nieprzytomna zupełnie leżała na słomie, nie wiedząc dokąd jedzie i co się z nią dzieje.

Tymczasem Jacenty, mówiąc pacierze i żegnając się nabożnie dla odpędzenia złych duchów, wjechał w wązką, a błotnistą ulicę miasteczka i zatrzymał się przed domkiem, w którym mieszkał eskulap. Narzuciwszy na pannę Marmelade zmoczoną derkę, zaczął silnie dzwonić... w oknie ukazało się światełko, klucz zgrzytnął w zamku i w otwartych drzwiach stanął tłuściutki, łysy jak melon staruszek, w panto-

flach i grubym, watowanym szlafroku, w duże palmy tureckie.

— A co to?—zapytał.

— A to, wielmozny konsylazu, z Lipinek, przywiozłem babę i pismo od wielmoznego dziedzica.

— Tak nagle, po nocy?

— A juści.

— Dawajże no prędzej ten list, niechże go zobaczę... co to może być?..

Fornal wydobył z za sukmany papier owinięty w chustkę.

Doktór cofnął się do pokoju i rozerwawszy z pośpiechem kopertę, czytał co następuje:

„Wielmożny Doktorze Dobrodzieju!

Kucharka moja, Wojciechowa, ta sama, której zdolności do gotowania niejednokrotnie chwaliłeś, jest mocno słaba; ma silną gorączkę, nogi jej popuchły i zdaje mi się, że to jest róża. Żona moja nie chce pozwolić na umieszczenie jej w szpitalu, więc wysyłam ją w sekrecie w nocy, tem bardziej, że o ile sądzę, baba może drygnąć i narobić mi ambarasu. Przyjmij ją więc doktorze pod swoją opiekę, a zarazem bądź łaskaw, daj mi znać, kiedy będziesz potrzebował owsa dla swoich kasztanków, które, o ile słyszałem, cokolwiek zołzują, czego ci też szczerze życząc, pozostaję etc.“

— Hm! hm!—mruczał stary doktór—wysyłać chorą babę w taką ulewę, to też, panie dobrodzieju... to też! No! gdzież ta baba jest?

— A dyć leży na wozie kiej kłoda, wielmożny doktorze, ale widzi mi się, że ona wnet *dojdzie,* bo mało co już i dycha.

— Więc wprowadź że ją tu żywo!

Jacek ze zgrabnością sparaliżowanego niedźwiedzia skoczył do woza, a chwyciwszy na ręce francuzkę, przyniósł ją do pokoju.

— Tu, tu, kładź ją na sofę — rzekł doktór i zbliżył się do panny Marmelade, która istotnie leżała zemdlona. Ujrzawszy jednak zgrabne buciki i ponsowe, w czarne kraty pończoszki, krzyknął zdumiony:

— Co to jest? to ma być Wojciechowa?

Jacenty tak zbladł, jak ściana.

— O la Boga, nieszczęście!—zawołał—toć mi ta na moście dyjabeł babę przemienił... jak się wielmożny panie łysnęło, jak zagrzmiało... ja bojałem się obejrzeć, bo mi tak bez plecy mróz poszedł, a we wozie ino się zakotłowało... a później się taki siarczysty smród zrobił, dycht jako po smole...

— Co ty pleciesz?

— A juści, plotę, niby to przez oczów byłem, dyjabeł panie, dyjabeł i tylo...

Odkrywszy woalkę, trzeźwił doktór pannę Marmelade, jak umiał, aby ją do przytomności przyprowadzić.

— A mnie się zdaje — rzekł — że to wasza guwernantka.

— O la Boga, miemka! a juści miemka; nie darmo też ludzie powiadają, że dyjabeł z miemcem, to jedność.

Co było dalej, łatwo sobie czytelnik wyobrazić może.

Panna Marmelade, przyszedłszy do przytomności, zemdlała da capo.

Jacenty za żadne skarby świata nie chciał jej zabrać napowrót do Lipinek, ponieważ nad służbę droższe mu było zbawienie duszy...

Doktór obraził się śmiertelnie i napisał do pana Wojciecha bardzo ostry list, w którym powiedział, że ma wnuki i że jest za stary i za poważny na to, aby mu przysyłano w nocy przemokłe francuzki...

Wojciechowa, przywieziona do pana Stanisława, przy zsiadaniu z woza została ucałowana przez dziedzica, który ją, poznawszy omyłkę, natychmiast *retro* wyprawił...

Panna Marmelade wyjechała do Warszawy, a pan Stanisław przez pół roku nie wyjeżdżał z domu.

Gdy się wszystko wyjaśniło, doktór pogodził się z panem Wojciechem i obadwaj staruszkowie później często wspominali o swojej przygodzie.

Ale, ale... Jacenty fornal odprawił się w środku roku, gdyż za nic w świecie nie chciał się więcej widywać z dyjabłem.

H. P.

Marmontel.

* Kiedy Marmontel podawał do druku swoje powiastki, ówczesny cenzor d'Eon dopuścił się następującej złośliwości:

„Czytałem z polecenia pana kanclerza powiastki moralne *Marmontela* i nie znalazłem w nich nic", — udając, że zapomniał dopisać: „wzbronionego przez cenzurę".

(*Paris, Versailles et les provinces aux XVIII siècle*).

Marsz.

* *Marsz żałobny.*

Na koncercie, urządzonym przez Berlioza, wykonywano same dzieła tego mistrza; między innemi orkiestra pod jego dyrekcyją zaczęła grać marsz żałobny, ale tak długi, że się zdawał bez końca; publiczność zaczęła wreszcie ziewać, jak na komendę i dawać oznaki niecierpliwości; wtedy Panseron, przyjaciel kompozytora, siedzący obok, pociągnął go za połę od fraka i rzekł głośno: „Słuchaj, kolego, zdaje się, że cmentarz musi być dyjabelnie daleko ztąd?" Słowa te wzbudziły śmiech ogólny i rozweseliły usypiającą publiczność, ale o skończeniu żałobnego marsza nie mogło już być mowy.

Marzenia.

* Jeszcze chwilka, o dziewico!
Na dobranoc oczkiem błyśnij,
Niech cię słodkie sny pochwycą,
Co się przyśni, to przyciśnij!
Może piesek ulubiony,
Kosz cukierków albo wiśni,
Może jaśnie oświecony,
Co się przyśni, to przyciśnij!
Może jeńcy starej daty,
Podagryczni, lecz korzystni,
Może kwiaty lub dukaty,
Co się przyśni, to przyciśnij!
Może zbrojny but w ostrogi,
Może nawet ci się wyśni
Ten, co drogi, lecz ubogi,
Co się przyśni, to przyciśnij!
Bal, czy chatka, którą marzą
Wierszokleci nierozmyślni,
Lub zwierciadło z własną twarzą,
Co się przyśni, to przyciśnij!
Gdy otworzysz piękne oczy,
Snów z pamięci nie rozpryśnij,
Bo w nich będzie sen proroczy:
Co się przyśni, to przyciśnij!

Syrokomla (*Kondratowicz*). (p. t. I s. 128).

* — Co ci to, Lorciu?—pyta zatrwożona matka, zastawszy córkę wzdychającą i patrzącą w niebo załzawionemi oczyma.

— O mamo! czytałam tę piękną powieść i myślę sobie: Ach! gdyby to nie był zmyślony romans i gdybym to ja była tą nieszczęśliwą Eulaliją!

— A to dla czego, moje dziecko?

— Ach! bo wreszcie, na ostatniej stronicy, owa Eulalija wychodzi za mąż!

Flieg. Bl

* *Marzenia poranne.*

Siedziała w ogrodzie w pół świetle, w pół cieniu,
Przy blasku wschodzącej jutrzenki,
Wśród ciszy porannej, oddana marzeniu,
Słuchając słowika piosenki.
Marzyła o szczęściu, miłości—tak trocha,
Bo o czem-że możnaby innem?
Wszak każda dziewczyna, choć jeszcze nie kocha,
Marzeniem się bawi niewinnem.
Tęsknota, niepokój i dziwne żądania
Nieznanych, a słodkich upojeń,
Budziły w jej sercu odblaskiem świtania
Girlandy tęczowych urojeń.
I piła skwapliwie te wonie, te fale
Powietrza, co pierś jej wznosiły
I mocniej błyszczały jej ustek korale
I żywiej się oczy paliły.

Patrzyła na kwiaty, co jasne z uśmiechem
Skłaniały kielichy miłośnie
I dzieląc się wonnym rozkoszy oddechem,
Szeptały o szczęściu i wiośnie.
Widziała konwaliję dziewiczą, jak drżała,
Łzy lejąc z drobnego kielicha,
W objęciach wietrzyka, a choć tak nie śmiała,
Jednakże coś pragnie i wzdycha.
A dalej narcyzy tak piękne, urocze,
Że muszą samotne pozostać,
Więc główki zwiesiły nad wody przezrocze,
Ścigając odbitą w niej postać.
Tam znowu fijołki kryjące się w trawie,
Tak dobrze tej cichej roślinie!
Nie myśli o próżnej wielkości i sławie,
Lecz żyje dla siebie jedynie.
Tak marząc o kwiatkach i tonąc w marzeniach,
Oparła na ręku swą głowę
I chmurki śledziła w słonecznych promieniach
To srebrne, to znowu różowe.
Wtem widzi zdziwiona: że z słońca promieni
W jej oczach gmach staje złocisty,
Z kopułą z szafirów, z ścianami z zieleni,
A cały jak kryształ przejrzysty.
Kolumny, to palmy splecione w arkady,
Przez ściany i bluszcze wiszące,
Schodami—srebrzyste ściekają kaskady,
Posadzką—mozajki kwitnące.
I widzi strwożona, jak kwiatów kielichy
Ludzkiemi się mierzą oczami.
I widzi rój sylfów skrzydlaty i cichy,
Jak igra w powietrzu z tęczami.
A jeden z narcyzów, rosami wilgotny,
W pięknego młodzieńca się zmienia,
Lecz skrzydeł nie dostał i usiadł samotny
Nad brzegiem srebrnego strumienia;
I widzi wzruszona, jak wiatrom się skarży,
Że nie ma na świecie nikogo
I słyszy westchnienia i w myślach się waży,
A tak jej jest smutno i błogo.
Nad litość, nic niema na ziemi świętszego,
Więc litość skłoniła dziewczynę,
Że wstała powoli i poszła do niego
Zapytać o smutku przyczynę.
Słyszała, jak przez sen wyrazy namiętne,
Co śpiewnem pieściły ją echem,
I oczy widziała tak piękne a smętne,
Że odejść byłoby, ach! grzechem.
Słyszała, jak mówił: „Ty jesteś wybraną,
By nowe ukazać mi życie
I duszę, na wieczną tęsknotę skazaną,
W niebieskim pogrążyć zachwycie.
Ty jedna, ach! możesz na ziemi, ty jedna,
Otworzyć mi nieba podwoje,
Twa miłość nam władzę cudowną wyjedna
I skrzydła dostaniem oboje“.
To wszystko słyszała, jak w sennem marzeniu
I uciec i zostaćby chciała,
Aż wreszcie uległa słodkiemu wzruszeniu
I rękę nieśmiało podała.
Podała i nagle spostrzega z podziwem,
Że lecą oboje dłoń w dłoni,
Złączeni swych skrzydeł tęczowem ogniwem,
W obłoku jasności i woni.
A wszystko się przed nią roztapia w blask słońca,
Pierś samą oddycha rozkoszą,
Kraina cudowna, bez końca—bez końca,
A skrzydła ją w górę unoszą;
I płyną wciąż razem w błękitne etery,
Po szlakach przestrzeni gwiaździstych,
A pieśni—nadziemskie śpiewają im sfery
O ducha pragnieniach wieczystych,
Więc czuje, że serce wysuwa się z łona,
Że nadmiar uczucia pierś tłoczy,
Wśród jasnych błękitów gwiazd złotych stęsknio-
Na niego podniosła swe oczy. [na—
I wzrokiem spoczęła w młodzieńca spojrzeniu,
Co ognia płonęło falami
I w sennej ekstazy bezbrzeżnem pragnieniu
Ust jego dotknęła ustami.
Wtem wszystko przepada i widzi, o dziwy!
Świat jasnych urojeń znikomy
I siebie zmienioną w krzak brzydkiej pokrzywy,
A młodzian stał w oset zmieniony.
W rozpaczy i wstydzie chce płakać—nie zdoła
Cóż będzie nieszczęsna robiła?...
Wtem słyszy z radością, że matka ją woła
I nagle się ze snu zbudziła.

I poszła do matki zapytać, co znaczy
Sen dziwny o takiej przygodzie?
A matka z uśmiechem swej córce tłómaczy,
Że marzyć nie trzeba w ogrodzie.

El...y.

* *Marzenie spirytysty.*

— Chciałbym być Dyjogenesem.

— A to dla czego?

— Mieszkałbym w beczce piwa.

Świąteczny.

Maskarada.

* Pewien żartowniś, przebrawszy się za księcia de Conti, który się odznaczał charakterystycznym garbem, udał się na maskaradę i usiadł obok niego. Zdziwiony książę pyta swojego sobowtóra: „Kto jesteś, masko?“ Na co mu maska odpowiada: „Jestem księciem de Conti“. Zamiast się obrazić, książę uśmiechnął się łagodnie i robiąc minę dobroduszną, odezwał się w te słowa: „No, proszę, jak to czasem fatalnie człowiek mylić się może; od lat przeszło dwudziestu przekonany byłem, że to ja jestem księciem de Conti“.

* Na jednym z balów maskowych pewna tajemnicza maska doprowadziła do wściekłości hrabinę d'Egmont, wyliczając najdrobniejsze szczegóły z jej życia i gdy w końcu poważyła się powiedzieć pani hrabinie, że ma czarny mały znaczek na lewem udzie, pani d'Egmont, wychodząc z granic cierpliwości, skinęła na służbę, rozkazując wyrzucić za drzwi śmiałka, który pozwala sobie jej ubliżać. Wówczas zagadkowy intrygant zdejmuje maskę, a zdziwiona dama poznaje stojącego przed sobą własnego ojca, marszałka de Richelieu.

* — Idziesz na siódmą maskaradę?

— Ani myślę; kuryjer doniósł, że będą na niej żywe zniewagi...

— Ależ nie zniewagi, tylko obrazy.

— Mój kochany, czy zniewaga, czy obraza, to prawie na jedno wychodzi.

* *Na maskaradzie.*

— Pozwolisz się czem ochłodzić, maseczko?

— Z przyjemnością.

— Garson, porcyję luftu.

Świąteczny.

* — Dla tak cudownej maski gotów jestem wszystko uczynić...

— No, to mi pan oddaj te *trzy* ruble, coś mi winien za rękawiczki.

* *Po maskaradzie.*

Żona. Znowu powracasz o czwartej rano, ach! doprawdy, to nie do wytrzymania. Powiedz mi, Karolu, cobyś powiedział, będąc na mojem miejscu, gdyby twój syn wrócił kiedy tak późno do domu.

Mąż (patetycznie). Powiedziałbym: idź, synu, spać, bo teraz nie pora do gadania.

* *Maskarada w ciemnym kurytarzu.* (Romans z okolic Powiśla).

I.

Za węgłem domu jednego z zaułków Powiśla dwa cienie ludzkie toczyły następującą pogawędkę:

— A wisz ty, brachu, że majster takie m ci znów sprawił wciranie, co ha! Kilka razy tak mnie tarachnął w bebech, że niech go ćwikła...

— E, nie gadaj? A to ci dopiro mikroba choleryczny.

— Ja tam ci sobie więcej nie dam w kluski napluć, jak ci Boga tego kocham, jak mi jeszcze raz wlizie w sianse i będzie imał się pocięgla, to jak ci śtrabancla dmuchnę w tramwaj, to jaże mu pasażyry powylatują i nafta z latarni wycieknie – bo, macie go, ananas, zły za to na mnie, że ja lizę czasem do Kasi.

— Do jaki Kasi?

— A no, do tej, co sługowała u dryndziarza, co sobie tera chałupę kupił, a tera sługuje u radcego z majstratu.

— Aha!

— Otóż widzisz, ile razy stary wyleje parę śnapsów do żondołka, to zara przychodzi, jak bela i do pocięgla. Dzisiaj właśnie byłem chwileczkę u Kasi, żeby się z niom rozmówić wedle maszkary, co mamy iść razem na Twardom, czy na Waliców, a stary mię zobaczył, jakem zlatywał z góry, a leciałem prędko, bom zobaczył rządcego i gospodyniom, co także coś tam z sobą za romanse prowadzą pokryjomu w ciemnym korytarzu; więc skoczyłem ze trzech schodów i wprost staremu na pysk, a on ci mnie chwycił za boże poszycie i ciągnie do warsztatu. Jakieśmy tam oba przyszli, on za pocięgiel, a ja: panie majster! a on: bisurmanie! a ja: panie majster! a on: łup! łup! aże mi kości zagruchotały, jak nie przymierzając w jakim Cynizelim... Ja ci do niego, a on krzyczy: odknaj, parchu!

— No, a ty?

— A ja warknąłem jeszcze parę razy: panie majster i potem zaczonem mu wymyślać...

— E, cóżeś mu szczekał?

— Powiedziałem mu: panie... majster!!! i... poszedłem.

— A toś mu nasobaczył, jak się należy!

— Poskoczyłem ci znów do Kasi, a ona uchyliła drzwiów od kuchni i pojedziała mi: „Przyńdź wieczór, to dostaniesz odemnie kieckie i kaftan, przebierzesz się za pannę i pójdziem na maszkarę, a tera się wynoś, bo pani przyńdzie, a nie zapomnij postarać sie trzewików i pończochów“. Ja też ci, jak ino majstrowę choroba spać zaniosła, wzionem jej pończochy i trzewiki i nura, ale cóż, kiedy wstąpiłem do Brajera na śnapsoniję i tam ci pończochy w chluścika przedyndoliłem, jak byk...

— Ot, ci Piłat dopiro! a co tera bendzie?

— A no, punde przez pończochów...

— A majstrowej co oddasz?

— Abo to ona ma jedne pończochy, ona ma ci ich masami, może ze dwie pary...

— A masz kopijansy na maszkarę, albo co?

— Naprawiłem ci dwom faczetom przyścipki i zarobiłem dwie dwóje.

— Ej, Jędrek, śtrabanclu, skórko na buty, mnie się widzi, co ciebie czeka nocleg w ulu!

— Głupiś! co mi ta będzie...

— No, pamiętaj, dobranoc! Zdaje mi się, że cię kiszki zabolom!

— Orewuar samowar...

Rozeszli się.

II.

Przez ciemne podwórze domu szedł człowiek.

Człowiek ów zatrzymywał się co chwila, przystawał, oglądał się, jakby brzydki jaki zamiar, jakby okrutny robak toczył jego serce.

Nareszcie, pomacawszy kilka razy ścianę, potarł o nią zapałkę i usiłował podpalić... trzymany w ustach niedopałek cygara. Światło owiało jego lica, które ujrzeliśmy jaknajdokładniej.

Był to pan Marcin, majster kunsztu szewckiego. mieszkający w tym-że domu, a Jędrek, z którym przed chwilą mieliśmy zaszczyt zapoznać czytelników naszych, był w charakterze terminatora na ukończeniu, albowiem za pięć kwartałów miały nastąpić jego wyzwoliny.

Pan Marcin nie szedł jednakże do sieni, z której wchodziło się do jego cichej siedziby, gdzie w błogim śnie spoczywała pani Marcinowa, ale krążył koło oficyny, w której „sługowała“ Kasia.

Kasia była to filuterna kuchareczka, która rozumiała interes własny, w wolnych więc godzinach od gastronomiczno-kulinarnych zajęć, przyjmowała pana Marcina, jak sama mówiła, „wedle protekcyi dla Jędrka“, którego kochała nad życie, a że pan Marcin nieraz był i „wedle wypitku obecny“, więc nieraz też podchmieliwszy sobie, odwiedzał Kasię w jej buduarze przybytku rondli i patelni.

Po co tam pan majster chodził i co robił u Kasi, jest to dla nas niezbadaną tajemnicą, a jednakże możemy zapewnić czytelnika, sprawiały mu pewną przyjemność te wizyty.

Ona zaś, melancholijnie pucując rondel lub też inne naczynie, nieraz rzuciła piwnem okiem z okna pierwszego piętra w okienko warsztatu pana Marcina, w okienko z czterech szyb, z których dwie były zalepione papierem, a jedna zatkana watówką pani Marcinowej... poświęcającą piękną tę część kobiecego stroju na tak szlachetny cel z narażeniem swoich członków na odmrożenie.

Nieraz z piersi Kasinej wyrywało się ciche westchnienie, tak ciche, „jak krowa na kompasie“, jakby powiedział nasz znany operator finansowy i ulatało do okienka warsztatu, przez szparę pomiędzy watówką, a ramą okna, wdzierało się do izby i padało prosto na piersi Jędrka...

A Jędrek?

Jędrek puszczał wówczas trzymaną w zębach skórę, roztwierając szeroko zasmoloną gębę i... dumał dopóty, dopóki go pan Marcin pocięglem nie sprowadził z krainy marzeń do ziemskiej doczesnej rzeczywistości.

— Ej, złodziejski portrecie, hyclowski fotografie! doczekasz się, że ci takie pijawki sprawię, że popamiętasz ty ruski miesiąc, aż ci się pająki smażone przyśnią!...

— Ależ, panie maj...

— Panie maj... w to mi graj! — mawiał zwykle pan Marcin i dodawał:—Ja ci mówię zasię, żebyś ruszał Kasię!

Jak widzimy, pan Marcin był poetą! Ba, alboż to takie talenty giną marnie? ot, nie jeden co mógłby być pierwszym wieszczem w kraju, musi kotlety i rozbratele smarzyć... Tak to na świecie!

III.

Pan Marcin, jakeśmy już powiedzieli w powyższym rozdziale, wszedł do sieni, gdzie „sługowała“ Kasia i zataczając się, pełznął po schodach na górę, następnie wszedł w kurytarz i przyświecając sobie cygarem, zapukał trzykronie do drzwi.

— A któż tam znowuj?—zapytał z wnętrza kuchni cichy głos.

— To ja!—sapnął pan Marcin.

— Jędrek?

— Aha!... Jędrek — szepnął pan Marcin — dam ja ci Jędrka, co aże ci pod ziebrem załaskocze...

— Czekaj! żara...

To mówiąc, Kasia uchyliła drzwi. Na kurytarzu panowały kanałowe ciemności.

— Masz tu kieczkie i kaftan, ubierz się w to, bo pójdziemy na maszkarę.

I rzuciła panu Marcinowi odzież, trzasnąwszy mu drzwiami przed nosem.

— Na maszkarę?—mruczał pół senny majstrunio—a no, to na maszkarę...

I począł wdziewać spódnicę.

Kiedy ubrany już był w kieckę Kasi, usiłował wdziać kaftan, ale nie tak to łatwo było zrobić, jak się mówi.

Włożył już obie ręce w rękawy, ale kaftan omotał mu się koło głowy, a zapalone cygaro paliło mu policzki.

Panu Marcinowi zdawało się, że go ktoś za łeb trzyma.

— Kto to? — krzyknął na całe gardło, a szarpnąwszy się, niby z cudzych rąk, runął na przeciwległe drzwi, które z trzaskiem otworzyły się na wewnątrz i głowa pana Marcina znalazła się na raz w pokoju pana radcy.

W tej chwili ukazał się pan radca, pani radcowa, radcówny w grubych negliżach, radczątka, powstał harmider, krzyk i gwałt.

— Stójkowy, rewirowy!—ryknął pan radca.

Roztworzono bramy domu, a po chwili pan majster, szamocząc się i wydzierając policyi, z głową owiniętą kaftanem, wśród okrzyków tłumu powędrował do cyrkułu...

Kasia ze strachu skryła się głęboko pod pierzynkę i nie wyszła wcale.

— Kto jesteś? — pytano w cyrkule pana majstra, który w żaden sposób nie chciał pokazać oblicza.

Wtem do kancelaryi wpadła pani Marcinowa na „bosaka“, narażając się na katar.

— To ten złodziej Jędrek, co chodzi do tej bałamutki Kaśki, co i mojego mi... On mi nawet, panie naczelniku, skradnął ciżmy.

Po chwili wpadła Kasia, zaniepokojona o losy Jędrka.

— Gdzież Jędrek?—zawołała.

— Jezdem! — krzyknął.

Marcinowa i Kasia roztworzyły szeroko gęby, a pan Marcin odsłonił oblicze.

— Marcin... cin... cin!...

— Panie majster!

— O la Boga! — krzyknęli jednocześnie, a pan Marcin począł zdejmować spódnicę, ukazując dziurawe na kolanach pantalony...

IV.

Cała kawalkata pociągnęła ku domowi.

Kiedy przybyli przed sień, pani Marcinowa zaczęła coś szeptać mężowi, a po chwili wiatry tylko, poruszające zepsutemi rynnami domu, słyszały kilka oklasków...

Wiatry mówiły, że to pani majstrowa biła brawo na buziaczku pana majstra za dobrze wykonaną rolę „panny“.

A Jędrek z Kasią udali się do kuchni i...

Ho! ho! Jędrek już dawno się z Kasią ożenił i mają podobno... pięcioro małych Jędrków!

P. Kośmiński. (p. t. I s. 349).

* *Nowa maskarada w obłokach.* (Szkic karnawałowy).

Koleją Nadwiślańską przyjechał do mnie kuzyn.

Kuzyn ten ma lat dwadzieścia dziewięć, nazywa się Grzmisław Bąkowski, gospodaruje w Wielkich Bąkach nad granicą pruską, zaręczony jest z panną Jadwigą, córką majętnego dzierżawcy z sąsiedztwa, lubi polowanie, taniec i płeć piękną.

Kiedym go ujrzał zaraz po przyjeździe, zdziwiłem się niezmiernie widząc, iż uzbrojony jest od stóp do głowy, jakby się wybierał na turków a przynajmniej na dziki.

-- Kochany Grzmisiu—spytałem—co znaczy ta dubeltówka, ten karabinek, te dwie pary pistoletów i te noże myśliwskie?

— Jakto, co znaczą? Przecie u was mordują ludzi na ulicach.

— Któż ci o tem powiedział?

— Ojciec panny Jadwigi. A zresztą stoi przecie jak wół w *Kuryjerce* (kuzyn nazywał *Kuryjerką* jeden z Kuryjerów), że niedawno zamordowali jakiegoś lekarza...

— Ależ to odwieczne rzeczy!

— Odwieczne nie odwieczne, ale zawsze strzeżonego Pan Bóg strzeże!

I przy tych słowach błysnął mi przed oczyma olbrzymim, wyostrzonym jak brzytwa kordelasem.

Kiedy się już rozgościł i wedle jego słów „nauczył się chodzić po *psim* bruku warszawskim,“ zaproponował mi, żebyśmy poszli na jaką publiczną zabawę.

— Zgoda — rzekłem — ale na jaką?

— Na jaką chcesz, byle tylko można się na niej trochę rozruszać.

— Jeśli pragniesz rozruszać się, to chodźmy na ślizgawkę Jacht-klubu,

— Dajże mi pokój! Naślizgałem się już do syta na waszych trotuarach.

— Może wolisz śpiewy francuzkie w Eldorado?

— Wywietrzała mi już z głowy francuzczyzna, to nic nie zrozumiem.

— Więc do teatru?

— Nie głupim. Trzeba siedzieć kilka godzin kamieniem, jak za pokutę!

— Teraz już wiem, czego ci trzeba. Czy lubisz maskarady?

— Dalibóg lubię, choć przyznam ci się, że jeszcze na żadnej nie byłem. To musi być *galante* zabawa!

-- Jak dla kogo.

— No, wiesz co kochasiu, rżnijmy na maskaradę!

— Zgoda — ale dopiero pojutrze.

— Dlaczego?

— Bo dziś jest piątek, a maskarady odbywają się w niedzielę.

— Masz tobie! A ja chciałem się rozruszać dzisiaj koniecznie! Co tu począć? Radź kochasiu, co począć?

Przechodziliśmy właśnie koło szafki z afiszami. Rzuciłem okiem na różnokolorowe ogłoszenia i przypomniałem sobie, że nie tylko sale redutowe są areną igrzysk maskaradowych...

— Jesteś ocalony! — rzekłem do kuzyna, i pokazując mu pstre afisze, dodałem: — Wybieraj!

Rozradowała się dusza jego, i zatrzymując palec na najczerwieńszym z afiszów, zawołał tak głośno, że aż przechodnie stanęli:

— Kropniemy się *tamój?* Zgoda?

— Zgoda.

I *kropnęliśmy się* też rzeczywiście.

Wspomnieć muszę, iż gdy wybieraliśmy się na zabawę, Grzmisław w sposób zupełnie poważny objawił życzenie zabrania ze sobą... zgadnijcze czego?

Oto ni mniej ni więcej tylko dubeltówki!

Kiedy mówiłem mu, że naraziłbym się tym sposobem nie tylko na śmieszność, ale i na odpowiedzialność sądową, rzekł z ultra-płocką dobrodusznością:

— Już ty się nie bój kochasiu. Ja bym ją tak ładnie schował pod futerko, że i sam dyjabeł by nie dojrzał. Zresztą jakby, spytali na co ta fuzyja, powiedziałbym, że idę na polowanie i kwita!

Z trudnością przyszło mi przekonać kuzyna, że tego rodzaju ostrożności są zupełnie zbyteczne, gdyż jeszcze nie było zdarzenia, żeby na baliku tańcującym napadano na ludzi z nożami, że o wypadku podobnym nawet „Kuryjerka“ nigdy nie wspominała.

Gdyśmy o samej północy weszli na salę, która miała być sceną naszej, a raczej Grzmisławowej tylko zabawy, dostrzegłem ze zdumieniem, iż raźny dotąd mój kuzyn stracił nagle rezon i zamilkł, jakby mu usta zamurowano.

Był to zwykły skutek przygnębiającego wrażenia, jakie na prowincyjonalistów, świeżo przybyłych koleją Nadwiślańską, wywiera rażące światło gazu.

Orkiestra grzmiała skoczną polkę — jeżeli mię pamięć nie myli, *Sześciogroszówkę* mego przyjaciela Niemira — i trzy, powtarzam *trzy* pary kręciły się po dość dużej sali, która w skutek panujących w niej pustek wydawała się obszerną, jak pola elizejskie.

Grzmisław, całkowicie zdekonfiturowany, siadł w kącie na ławie, i wytrzeszczywszy bardziej jeszcze swoje, z natury już wytrzeszczone źrenice, milczał jak kamień.

Przemówiłem do niego kilka słów pokrzepiających, ale mi nic nie odpowiedział.

Nagle zerwał się, jakby go żmija ukąsiła i szepnął mi do ucha:

— Chodź, napijemy się czego...

— A co wolisz: limonijadę czy wodę sodową z sokiem?

— Litewkę — odrzekł głucho.

W bufecie na użytek spodziewanych konsumentów przygotowano wszystko, co się trunkiem nazywa, począwszy od *czystej* („jak łza“) a skończywszy na winie szampańskiem i przesłodkim *Saint-Emilianie.* — Litewki tam jednak nie było.

A Grzmisław domagał się koniecznie Litewki — tylko Litewki, niczego oprócz Litewki.

Właściciel bufetu zmuszony był wysłać na miasto parobka, który w kwadrans później przyniósł upragnioną przez kuzyna ambrozyję.

Grzmisław wlał w siebie trzy duże kieliszki owej Litewki, zakąsił trzema butersznitami z zimną pieczenią, podkręcił rudawe wąsy, uśmiechnął się, i rzekł wyraźnym już głosem:

— Teraz będę tańczył.

Pierwsza „maseczka,“ którą zaprosił do polki, odpowiedziała mu impertynencko: „nie ma głupich“ i odwróciła się do niego tiurniurą.

Druga odrzekła, że nie może tańczyć, gdyż osi żałobę po dziadku swojej stryjenki.

Trzecia nic nie odrzekła.

Grzmisia, który w swojej parafii uchodził za *unsera* pierwszej siły, trzykrotne to niepowo- ;enie dziwnie zbiło z tropu... Wąsy na dół puścił i począł zmierzać do ustronnego kąta, óry poprzednio zajmował...

Widząc to, postanowiłem przybyć mu z po-)cą. Rzekłem więc do zbliżającego się ku nam mina:

— Co wolisz, piękna maseczko: zająca)uraczkami czy kotlety w papilotach?

— Jedno i drugie — odpowiedziała rezolu- ...e piękna (któżby wątpił) nieznajoma, uderzając mnie po przyjacielsku wachlarzem.

— A wino? — dodałem, zupełnie już pewny siebie.

— Słodkie przy kolacyi, a na deser szampańskie.

— Wybornie — odrzekłem i wskazując na Grzmisława, który wytrzeszczał oczy w sposób niemożliwy opisania, dodałem:

— A zatem mam honor ofiarować maseczce zająca, kotlety, dwa gatunki wina — i tego młodzieńca w dodatku.

Tym razem uderzenie wachlarzem dostało się kuzynowi.

Kolacyja przeszła bez nadzwyczajnych wypadków.

A! prawda! były wypadki.

Najprzód, gdy rozpromieniony Grzmisio schylił się, żeby podnieść upuszczoną przez maseczkę rękawiczkę (nb. maseczka zdemaskowała się zaraz przy wejściu na stół zająca i dziwnym doprawdy trafem, nie była ani stara ani brzydka), z bocznej kieszeni jego fraka wypadł... pistolet.

Olbrzymi skałkowy pistolet, jeden z dwóch antyków ze wsi przywiezionych!

Dama krzyknęła, a ja spojrzawszy z wyrzutem na kuzyna, jąłem uspakajać ją, zapewniając, że to tylko pistolet z czekolady. Z trudnością jednak odwiodłem ją od zamiaru ugryzienia kawałka na próbę...

Drugim nadzwyczajnym wypadkiem było podanie, i co gorsza, zapłacenie „rachuneczku" za kolacyję, który wynosił rs. 17 kop. 99.

Muszę dodać, że Grzmiś, który miewa porywy wspaniałomyślności, zapłacił całkowite 18 rubli.

Niepowszedni ten wydatek nie zdawał się zbytecznie go trapić, do czego przyczyniała się zapewne niepowszednia również przyjemność, jaką znajdował w towarzystwie łaskawej dla niego piękności.

Piękność ta, wysączywszy do kropli ostatni kieliszek szampańskiego, wstała, obu nam uprzejmie skinęła głową i opierając się w sposób zachwycający na ramieniu Grzmisława, rzekła:

— Wróćmy na chwilę do sali, zobaczymy, czy dużo domin przybyło.

Zakryła twarz maską i weszliśmy na salę.

W tej chwili panował tam tłok jak na odpuście. Wszystko krzyczało, śmiało się, tańczyło. Grzmiś chciał także tańczyć, ale piękność wymówiła się bólem głowy. Pozostawił więc ją na mojej opiece, a sam porwawszy przemocą prawie jakąś krakowiankę podobną do cyganki przebranej za żydówkę, puścił się szalonego walca z hołupcami...

Rozdarłszy pięć sukien i nadepnąwszy na pięćdziesiąt odcisków, powrócił wreszcie do swej *donny* spocony, zdyszany i dziwnie skłonny do miłości. Oświadczenia jego przybierały coraz gorętszy i coraz wyraźniejszy charakter, szerokie dłonie coraz silniej ściskały drobne palce maseczki, oczy amorowym ogniem rozpromienione coraz bardziej na wierzch wychodziły, zdając się wyskakiwać z orbit — gdy wtem...

Wtem... stała się rzecz najzwyklejsza w świecie.

Do maseczki zbliżył się blady, ospowaty młodzieniec, który dotąd drzemał w jakimś mrocznym kącie sali bufetu i rzekł spokojnym acz dziwnie przekonywającym głosem:

— Pożegnaj Andziu panów. Trzeba już iść do domu.

Grzmisław osłupiał — ja byłem bardzo blizki tego samego.

A Andzia?

Podniosła się, ujęła ramię ospowatego młodzieńca i szepnąwszy z pod maski: „Bardzo było mi przyjemnie poznać panów“ — znikła wprzód, zanim zdążyliśmy przyjść do siebie...

. . . .

Grzmisław nazajutrz wieczornym pociągiem wyjechał w strony rodzinne, uwożąc ze sobą, prócz lekkiej portmonetki i ciężkiego serca, to niezbite przekonanie, iż nie tylko strzelby, pistolety i noże myśliwskie, ale nawet cały arsenał wojenny nie jest dostateczną obroną przeciw napaściom, praktykującym się w Warszawie!..

Chochlik. (p. t. I s. 223).

* *Rady dla maskaradowiczów.*

Jeśli chcesz zabawę miłą mieć a szczytną,
Nie wdawaj się chłopcze z maską aksamitną.
I nie pij kochanku z maską atłasową,
Bo to dość kosztuje i nie jest zbyt zdrowo.
Nie zadaj się wreszcie z maską czarnej mory,
Bo ci kością w gardle staną te amory.

Świąteczny.

* *Precz maski!*

Świat—to nie scena zapustnej swawoli,
Gdzie szał bezmyślny rządzi duszą mas;
Swiat nie jest płochą dziewczyną, co gwoli
Pustej intrygi z tobą spędza czas;
Świat się omamiać długo nie pozwoli
I obojętnym zostanie, jak głaz;
Wie, komu rozdać palmy i oklaski,
Widzi — przez maski.

Próżno obłudnik wzrok zatapia w niebie
I świętą miłość głosi wszystkim nam,
Mówiąc o cnoty i światła potrzebie:
Bo jego życie zada cnotom kłam,
Bo każdy promyk światła on zagrzebie
I przeklnie drogę do wszechwiedzy bram,
Każdą myśl świeżą zagłuszy przez wrzaski,
A więc—precz maski!

Próżno ten drugi na zapał się sili,
Wołając: światła, postępu ja-m druch!
Ten krzyk puchacza nikogo nie myli, —
Bo czując w sobie praktyczności duch,
Umie hołdować złym instynktom chwili
(Przez co nieznacznie sam porasta w puch)
I chce postępu pierwsze gasić brzaski,
A więc—precz maski!

Próżno społecznych pasożytów fala
Za dobro kraju niby stacza bój,
Głośno swe wielkie zasługi wychwala
I wdziewa na się majestatu strój;
Tchnienie zefiru ten kolos obala,
Pod którym pełza żądz poziomych rój
I egoizmu szatan bez przepaski,
A więc—precz maski!

I próżno tłum tu wciąż sławę ogłasza,
Że jego panem sumienie i cześć,
Że za swe słowa gotów jąć pałasza
I za swój honor życie w dani nieść;
Znaną nam dobrze jest sprzedajność wasza,
Zrobicie podłość, byle dobrze zjeść,
Łotrowi dacie hołd dla jego łaski,
A więc—precz maski!

Więc precz z udaniem! Na wasze sztandary,
Weźmijcie godła swych istotnych chceń!
Nie bądźcie, niby jakieś senne mary,
Które rozprasza we mgłę jasny dzień;
Niech świat wie, jakie spełniacie ofiary,
By dla swych bliźnich raj utworzyć zeń,
A zobaczycie czy da wam oklaski,
Ale—precz maski!

„Kolce.“

* *Co powiedziały maski Fisiowi na drugiej maskaradzie.*

Turczynka. Znam cię, zawijasz cynadry z melanżem, aż ci się uszy trzęsą.

Cyganka. Nie dłub sobie w zębach, jakbyś był po kolacyi, bo i tak według twego zwyczaju skończysz na kiełbaskach parowych.

Krakowiak. Oszoł.

Pielgrzym (z miną tajemniczą) Czy nie masz przypadkiem papierosa?

Mnóstwo masek. Kup mi kolacyję.

Masa.

* — Z jakiej masy ta szkatułka? — pyta przechodzący żydka, niosącego ładnie wyrobioną szkatułką.

— Z masy upadłości Kleingeld & C. Kupiłem na licytacyi, mogę panu odprzedać.

(*Flieg. Bl.*).

Matematyk.

* Matematyk jeden sławnym
Zawsze się być mienił,
Liczył, aż się przerachował,
Bo się raz... ożenił...

* *Bartek matematyk.*

— A to ci zatracony wrzescy! mógłbyś też i ty trochę pokołysać—boć to psecie tys twoje dziecko.

— A juści... to ty twoją połowę kołys, a moja niech ta wzescy.

Świąteczny.

Matematyka.

* *Matematyka w miłości.*

Narzeczona. Ach! jestem tak szczęśliwa, że chciałabym uścisnąć świat cały!

Narzeczony (profesor). W takim razie ramiona twoje musiałyby mieć 20.035 kilometr. długości!

Materyjalizm.

* Gdy biskup Berkeley rzekł: „Materyi niema“
— Niemateryjalne było takie zdanie.
Mówią jednakże, że próby wytrzyma;
Najsubtelniejszy mózg za wiotki na nie;
Ale wierzyć w nie? Gdy swemi oczyma
Zobaczę, że się ciało niczem stanie,
Uwierzę, że świat jest duchem, że zdrowy
Rozsądek noszę, chociaż niemam głowy.

Co za wspaniały pomysł świat przedstawić
Powszechną „jaźnią“: mówić, że substratem
Jego duchowe „Ja!“ Chcę w zakład stawić
Taki świat, schizmy że nie znajdziesz na tem.
Wątpienie! Jeśliś wątpieniem, jak prawić
Radzą uczeni—(ja wątpię)—pryzmatem
Jesteś dla słońca prawdy. Rajski ginie,
Nie kuś mię, bo się w tobie mózg rozpłynie.

I tak niestrawność już wnętrze mi tłoczy,
Ten „nienajsłodszy Ariel“ i nadaje
Uczuciom polot wcale nie uroczy,
A co prawdziwą torturą się staje,
To to, że niema, gdzieby zwrócić oczy,
Bo o gatunki nie tknąć i rodzaje,
Planety, słowem: zagadkowe dziwo
Świat—co jest zresztą omyłką szczęśliwą.

Jeśli go stworzył przypadek. Jeżeli
Racyję ma pismo święte—tem ci lepiej,
Już i tak swarzą, żeśmy nazbyt śmieli,
Że się nam każda nowość głowy czepi.
Słusznie; zbyt krótkie życie, byśmy mieli
Zrozumieć wszystko, nieudolni, ślepi;
Zwłaszcza, że „ów cień“ wszystko nam wyjawi.
A gdy nie przyjdzie? W wiecznym śnie zo- [stawi.

Więc filozofija precz i ten zwodniczy
System, gdzie wszystko polega na wietrze.
Co *jest*, to—sądzę—*jest*. A co się tyczy
Tej prawdy, ufam, że jej nikt nie zetrze.
Ja się zrobiłem jakiś suchotniczy,
Przyczyną, nie wiem co – może powietrze—
Ale uważam, im bardziej mizerny,
Tem się gorliwiej staję prawowierny.

Najpierwszy atak dowiódł mi istności
Boga, weń zresztą wierzę—i w szatana,
Drugi: mistycznej w Matce dziewiczości,
Trzeci: powstania grzechu według znanej
Wersyi, a czwarty na Trójcę w jedności
Okazał dowód tak nieprzełamany,
Że chciałbym te trzy na cztery rozszerzyć,
By tem pobożniej i tem pewniej wierzyć.

Byron.

Matka.

* *Matkom zdechlaków.*

O Matki nasze! rad tutaj wam kilka
Udzielić pragnę, które tkwią mi w łonie,
By zwykły baran udawać mógł wilka,
Lub lwa pustyni — zdechlaczek w salonie.
Dziwi was może, że gadam nie pytan,
Lecz dbam o losy generacji młodej,
Pragnę by każdy był silny jak Tytan
I zwalczał śmiało życiowe zawody...
By młodzi byli potężni, jak... konie,
By się krzepiły i wzmacniały rody,
By silne były i głowy i dłonie,
I Spartańczyków starożytnych śladem
Szli, nie jak owce śród zbłąkanej trzody
O pyszczku chudym, trwożliwym i bladym,
Ale jak lewki o wspaniałej grzywie
Szli, nie jak dotąd ospale, leniwie...

Kiedy z atłasów i puchów kołyska,
A w niej potomek, a zwłaszcza po szabli,
Stanie w sypialni twojego ogniska,
Chociaż ma wygląd coś mizernie dyjabli,
Nie zważaj, matko, jednak wcale na to,
Głupie są bowiem wsze hygijeny szepty,
Wszak synek zrodzon twój arystokratą,
Więc według swojej go chowaj recepty...
Zawczasu nie kładź mu inexprimabli,
Lecz maż olejem, owijaj go watą,
Aby chłopskiego nie dostawał pyska,
Ale by pańskiej nabywał maniery;
Buduar bowiem, to nie chata nizka,
Gdzie karmią dziatwę kapustą i kaszą,
Wszak dziecię twoje, to pan wyższej sfery,
Wpisany w księgę starych rodów naszą...

Wierz w swe matczyne, szlachetne przeczucie,
Że syn twój będzie zawsze panem z pana,
Ucz go więc tańczyć, jak małpę na drucie,
By aranżować potrafił kankana,
Ucz po francuzku parlować go mile,
A lat piętnaście, gdy strzałą przeleci—
Przypnij mu skrzydła z banknotów motyle,
Niech zagranicą swym herbem zaświeci,
Gdzie pruski kelner w hotelu go trafem,
Obdarzy mitrą, lub da tytuł słodki,
Zowiąc zdechlaczka ciągle „polskim grafem."
Ucz go, by czynił tak jak jego przodki:
Jadł, pił, bezczynnie pędząc życia chwile
I wspierał mieniem cuchnące kokotki...
I gdy on pieniądz rzuca na wsze strony,
Ty, matko, wówczas szukaj jemu... żony...

Nie ucz go kochać—to uczucie głupie...
Gdy lat dwadzieścia przeminie mu z górą
I czas w tej serce wyziębi skorupie
I czoło zajdzie bruzd i zmarszczek chmurą,
Gdy grosz ojczysty puści do ostatka
I ziemię ojców odda w dłoń niemiecką,
Ty wówczas wystąp jak matrona-matka,
Dbała o swoje wpółstrupiałe dziecko,
Żeń go z bankiera bogatego córą
Bo, gdy pieniądze z rąk teściowych przejmie
Będzie z swą wiedzą i mądrością grecką,
Gdzieś w Głodomeryi posłować na sejmie..
Dalej już pójdzie wszystko, gdyby z płatka,
Ozdobion będzie on tytułów furą,
I wśród honorów i wieńców z wawrzynu
Syn twój zasłynie, jako... człowiek czynu.

Ty nie wierz, matko, że są jakieś prawa,
Co coś nam kochać, co czcić coś nam każą.
Życie — to rozkosz, życie — to zabawa;
W knajpie gdy siedzi syn twój z bladą twarzą,
Ty ciesz się matko, bo to twoja chluba:
Patrzaj, rej wodzi, a rezon ma jaki,
Widzisz swojego cudnego cheruba
Szefem — zdechlakiem pomiędzy zdechlaki..
Ty ciesz się, matko, swem dzieckiem kochanem,
Dałaś istotę na świat nieudolną,
Istotę z herbem, co zowią ją „panem",
Takiej nie kochać i nie czcić nie wolno...
A gdy w łeb strzeli gdzie sobie w Monaco,
Pomnik mu ustrój w kwieciste kobierce —
A na pomniku dewizę daj taką:
„Kochał i cierpiał — miał głowę i serce..."

Paweł Kośmiński. (p. t. I s. 349).

Maurepas.

* Podczas gdy Maurepas był ministrem, jakiś szlachcic gaskoński, znany mu cokolwiek, ziawił się podczas audyjencyi z miną arogancką i pewną siebie. Ubiór jego był wytarty, przenicowany, tylko świecące guziki były widocznie nowe.

Chcąc zaimponować obecnym poufałym stosunkiem z ministrem, powiedział donośnym głosem:

— Panie hrabio, chciej mnie powiadomić, co zrobiłeś z białym koniem, którego dosiadałeś, gdyśmy dziesięć lat temu lato razem spędzali?

— Łaskawy panie – odpowiedział z powagą minister — kazałem go przenicować i przyszyć doń nowe guziki.

Maurycy.

* Kiedy Maurycy Saski, wracając raz z dalekiej podróży, zatrzymał się przy rogatce Paryża, aby dopełnić zwykłej rewizyjnej formalności, urzędnik kazał woźnicy jechać dalej, oświadczając z szacunkiem marszałkowi „iż dotąd niema cła na wawrzyny!“

* Wielka siła marszałka saskiego powszechnie jest znaną. Kiedy znajdował się on razu pewnego w tłumie, uczuł, że rzezimieszek, chętnie korzystający z takiej okazyi, wsadza mu rękę do kieszeni. Marszałek coprędzej sięga i chwyta obcą rękę na gorącym uczynku. Nie wiele myśląc, ściska w swojej żelaznej dłoni palec nieznajomego, który pęka z trzaskiem, następnie przechodzi do drugiego i do trzeciego... „Marszałku! — mówi ktoś do niego — stoi za tobą jakiś człowiek w konwulsyjach!“ „Nic nie szkodzi—mruknął obojętnie marszałek—już jestem przy ostatnim palcu“.

* O nadzwyczajnej sile Maurycego Saskiego opowiadają różne anegdoty. Chcąc raz dać jej dowód w obec kilku młodych paniczów, wszedł z nimi do kuźni, pod pretekstem okucia konia. Kilka podków leżało przygotowanych.

— Czy nie masz lepszych jak te, mój przyjacielu?—pyta kowala, a ponieważ ten go zapewnia, że są doskonałe, marszałek łamie je po kolei.

Kowal milczy i podziwia; w końcu hrabia udaje, że jednej z nich złamać nie może i każe kuć konia.

Po skończonej robocie rzuca na kowadło talara.

— Przepraszam—rzecze kowal—ja dałem panu dobrą podkowę, więc proszę o dobrego talara...—co mówiąc, przełamuje talar, ponawia tę próbę kilkakrotnie.

— Do kata, masz słuszność—powiada marszałek—licha warte moje talary, ale oto jest luidor, zdaje mi się, że powinien być dobry.

Młodzi panowie uśmieli się z tej przygody, a Maurycy Saski przyznał, że trafił frant na franta.

(*Paris, Versailles et les provinces au XVIII siècle*).

Mazaraki.

* We Lwowie, na ratuszu,
Siedział dudek w kapeluszu.
Jam zapytał: kto to taki?
— Pan kapitan Mazaraki.

Wierszyk, który zdaje się wyszydzać śmieszność, czy strój dziwaczny jakiegoś urzędnika. Nie znam przywiązanej do niego pamiątki.

Weryho-Darowski.

Mazepa.

* Jednego czasu przyszedłem przed pokój, przed ten ostatni, gdzie był król. Zastałem tam Mazepę; nie było, tylko kilku dworskich; przyszedłem wtedy dobrze podpiły i mówię do niego. „Czołem, panie asawuło!“ On też zaraz, jako to była sztuka napuszysta, odpowie: „Czołem, panie kapral!“ (z tej racyi, że mię to Niemcy wartowali w Grodnie); a ja nie wiele myśląc, jak go wytnę pięścią w gębę, a potem odskoczyłem zaraz. On się porwał za rękojeść, ja też także; dworscy skoczyli: „stój! stój! król tu za

drzwiami.“ Żaden dworski przy nim nie stanął, bo go też niedawno nawidzili, że to był trochę szalbierz, a do tego kozak, nie bardzo nobilitowany. Moją też wiedzieli słuszną do niego urazę i respektowali mię, bom się już był z nimi pokumał i nie kurczyłem się też dla nich w każdem posiedzeniu. Uczynił się tedy rozruch. Wszedł jeden do pokoju i mówi: „Mości królu, pan Pasek dał w gębę Mazepie.“ A król go też zaraz w gębę: „Nie praw lada czego, kiedy cię nie pytają.“ Biskup się zdumiał, widząc, że to zbrodnia gardłowa, i spodziewał się, że mnie spotka jaka wielka kara, więc przystąpiwszy do mnie, rzekł: „Nie znam Waści, ale dla Boga, życzę, uchodź Waść, bo to kryminał wielki w pokoju królewskim dworzaninowi króla dać w gębę.“ Ja odpowiadam: „WM. Pan nie wiesz, co mi ten zdrajca winien.“ Znowu biskup: „Jakożkolwiek bądź, ale na tem miejscu nie godzi się porywać; uchodź Waść, póki jest czas i póki się król nie dowie.“ Ja mówię: „Nie pójdę.“ Mazepa poszedł z pokoju ledwie nie z płaczem, bo nie tak go bolało uderzenie, jako że się za nim dworscy nie ujęli, jako za kolegą. Powiadam tedy biskupowi powód urazy, aż tu wyszedł podkomorzy koronny, dając znać biskupowi, że już może wnijść do króla, a idąc, pogroził mi palcem po nosie; jam się domyślił, że to tam już wiedzą. Weszli oni do króla, a ja też poszedłem do gospody. Nazajutrz był to dzień sobotni, nie poszedłem na zamek; bałem się przecie, a zwłaszcza po trzeźwości, inna już w człowieku uwaga. Pytam się zdaleka, jeźli się do króla nie doniosło. Powiadają mi, że król wie o tem, ale się nie gniewa, i owszem, uderzył po gębie pazia, co mu o tem doniósł, mówiąc: „Naże też i tobie, kiedyć się tam nie dostało; nie powiadaj mi lada czego.“ W niedzielę poszedłem do podkomorzego i pytam, jeżeli się tam królowi mogę pokazać. Powiedział, że król o gniewie i nie myśli, i owszem, mówił: „Nie dziwuję mu się, bo to potwarz bardziej boli, niżeli rana; jeszcze dobrze, że się gdzie w drodze nie spotkali. Dobrze też, że Mazepa tem tego zbył, niech na drugi raz wie, jak to źle, fałszywe udawać rzeczy.“ Ja wszedłem właśnie, kiedy królestwo jedli. Obaczywszy mię, król rzecze: „Daj go Bogu, spysznieliście coś, już was czwarty dzień nie widzę; trzeba was będzie wraz z panami posłami cienko chować, to wy się często będziecie prezentowali w pokoju.“ Odpowiadam: „I tak już, miłościwy królu, narzekają posłowie, choć mają dosyć ludzkości i traktamentu W. K. Mości; gdyby ich zaś miano subtelniej chować, nie osiedziałbymci się tam z nimi.“ Potem w inszych materyjach dyskurował król z różnemi osobami. Ja byłem rad, że się na mnie i nie zmarszczył o owego Mazepę. Stało posłów i żołnierzów siła. Wtem dano wety. A był tam niedźwiadek, inaczej w postaci niedźwiedziej człowiek, około lat 13 mający, którego, w Litwie parkany stawiając, Marcin Ogiński żywcem osacznikom kazał do sieci nagnać i złapać, z wielką jednakże strzelców szkodą, bo go niedźwiedzie srogo broniły, osobliwie jedna wielka niedźwiedzica najbardziej broniła, znać, że to była jego matka; tę skoro osacznicy położyli, zaraz też i chłopca złapano, który był właśnie taki, jak powinien być człowiek, nawet u rąk i nóg nie pazury niedźwiedzie, ale człowiecze paznogcie były; tem się on tylko od człowieka różnił, że był wszystek długimi, tak jak niedźwiedź, obrosły włosami, nawet i twarz cała, oczy mu się tylko świeciły; a o którym różni różnie sądzili; jedni, że się to musiało zawiązać ex semine viri cum ursa *), drudzy zaś mówili, że to znać niedźwiedzica porwała gdzieś dziecko bardzo młode i wychowała, które, że jej piers ssała, dla tego też owo przybrało podobieństwo zwierzęcia. Nie miało to chłopczysko ani mowy, ani obyczajów ludzkich, tylko zwierzęce. W tymże to czasie podała mu królowa łupinę z gruszki, pocukrowawszy ją; on z wielką ochotą włożył to do gęby, a posmakowawszy wyplunął na rękę i z ślinami cisnął królowej między oczy. Król począł się śmiać okrutnie.

---

*) T. j. że to był mięszaniec, złajnik.

...lowa rzekła coś po francuzku; a król jeszcze bardziej w śmiech. Ludwika, jako to była gniewliwa, poszła od stołu; król też na owę furyją, kazał nam wszystkim dać wina, kazał pić, muzyce grać, fraucymerom przyjść i nuż się ochocić. Dopiero przy owej okazyi kazał Mazepę zawołać, kazał się nam obłapić i przeprosić, mówiąc: „Odpuśćcie sobie z serca, boście już teraz obadwa sobie winni"; i takci dopiero nastąpiła zgoda i siadaliśmy potem z sobą i pijali; aleć po staremu, Mazepa z konfuzyją wyszedł z Polski w drugim roku, a to z tej przyczyny: Na Wołyniu miał wioskę w sąsiedztwie z Falbowskim, któremu znęcił się był do domu, nie wiem po co; że zaś tam przebywał często, kiedy Falbowski wyjechał, dopowiedzieli o tem panu domownicy, ci osobliwie, co karty zapraszające nosili i byli świadkami owych konwersacyi. Pewnego czasu założył sobie drogę jakąś daleką Falbowski, pożegnał się z żoną i wyjechał. Stanął zaś na tym trakcie, którędy Mazepa przejeżdżał, aż tu bieży z kartą ten, co zawsze zwykł bywać posłańcem i sam o tem panu powiedział. Falbowski wziął kartę, przeczytał, jako się tam zapraszają na ochotę, oznajmiając zarazem, że JMość wyjechał w drogę i t. d., i t. d. Oddawszy Falbowski tę kartę owemu tajnemu sekretarzowi, rzekł: „Jedź, a proś go o odpis, mówiąc, że JMość prędko kazała." Tak uczynił, a pan go czekał, póki nie powrócił z odpowiedzią, bo dwie mile było biegać. Skoro tedy tam go wyekspedyjowano, skoczył przodem i oddał panu kartę, w której Mazepa deklaruje swoją do usług gotowość i obiecuje się zaraz stawić. Jakoż po chwili jedzie Mazepa. Potkawszy się: „Czołem!" „Czołem!" Pyta pan Falbowski: „Dokąd jedziesz?" Powiedział, że gdzieindziej. Falbowski: „Proszę na wstęp." Wymawia się Mazepa, że pilną ma drogę i pyta: „W. M. Pan też widzę jedziesz gdzieś." Falbowski: „O, nie może być," a wtem cap go za kark, pytając: „A to co za karta?" Mazepa zdechł ze strachu; nuż prosić, że to pierwszy raz dopiero jedzie i że tam nigdy nie postał. Falbowski woła owego sekretarza i pyta: „Chłopie! siła razy tam był w mojej niebytności?" Odpowiada: „Ile na mojej głowie włosów." Dopiero Falbowski kazał Mazepę wziąć, a jadąc mówił do niego: „Obieraj śmierć!" Prosił, żeby go nie zabijać i przyznał się do wszystkiego. Takci Falbowski nacudował się nad nim i namęczył, a rozebrawszy go do naga, przywiązał go na własnym jego koniu, zdjąwszy kulbakę, i obrócił twarzą do ogona, a tyłem do głowy, ręce opak związał, nogi pod brzuch koniowi podwiązał, a potem bachmata, dosyć z przyrodzenia bystrego, potężnie zhukano, kańczugami osieczono, a jeszcze mu nadgłówek zerwawszy ze łba, kilka razy nad nim strzelono. Tak tedy bachmat jako szalony skoczył ku domowi, dokąd trzeba było jechać gęstymi chrustami: przez głóg, leszczynę, gruszczynę i ciernie, a nie drogą przestronną, lecz ścieżkami, którędy koń drogę do domu pamiętał, bo często tamtędy chodził, jak to zwyczajnie na czaty, nie gościńcem, ale manowcami jeżdżą i trzeba się tam bardzo często uchylać, choć cugle w ręku trzymając, mijać złe i gęste miejsca, a po staremu czasem i po łbie gałąź dała i suknię rozdarła, a tu dopiero nagiemu, tyłem do głowy siedzącemu, na tak bystrym i rozhukanym koniu, który od strachu i bólu oślep leciał, gdzie go nogi niosły. Ileż się tam nie dostało specyjałów, dopóki owych szerokich chrustów nie przejechał, snadnie domyślić się można. Owej jego asystencyi, co z nim dwaj czy trzej jechali, nie puścił, żeby go nie miał kto ratować. Przypadłszy tedy przed swe wrota ledwie żyw, woła stróża. Stróż poznał głos i otwiera, lecz obaczywszy straszydło, co tchu zamknął i uciekł. Wywołał wszystkich ze dworu; ci zaglądają drzwiami i żegnają się; on się zwierza, że jest ich pan prawdziwy; oni nie wierzą; gdy już jednak mało co rzec mógł, będąc zbity i zziębły, puścilić go. Do żony zaś przyjechawszy Falbowski, wiedział już wszystkie sposoby; zakołatał więc w to okno, którędy Mazepa wchodził; otworzono i przyjęto jako wdzięcznego gościa; ale co za to ucierpiała, tego nie

godzi się tu opisywać, osobliwie jednak od ostróg na to przygotowanych i umyślnie tu gdzieś koło kolan przywiązanych. Dosyć, że to był znaczny i sławny przykład, na ukaranie i upamiętanie ludziom swawolnym. Mazepa ledwie też nie zdechł, a wysmarowawszy się należycie, z samego wstydu wyjechał z Polski.

Cudzołóztwo i szalbierskie fochy!
Widzisz, Mazepa, jak to handel płochy,
Szpetnie łgać i kraść zostawszy szlachcicem.
Nie smaczna to rzecz, cudze wracać licem *)
Na szlachectwo cię król nobilitował,
Na rycerstwo zaś Falbowski pasował.
Mościwa pani, doświadczyłaś tego,
Jak piękna rzecz mieć męża rozumnego!
Zachorowałaś na świerzbienie ciała,
Wnet cię skuteczna recepta spotkała:
Raj **) drugim damom specyjał tak drogi,
Na taki defekt rajtarskie ostrogi.

Tak tedy dwóch znacznych dworzan królewskich namieniwszy, kozak uciekł z Polski, niedźwiedź zaś nie wiem w co się obrócił, czy z niego był człowiek lub nie był; to tylko wiem, że go oddano na naukę do francuzów i począł się już mowy dobrze uczyć.

(*Pamięt. Jana Chryzost. Paska*).

Mazur.

* *Mazur z kobyłą.*

Kiedy się w niezwyczajne suknie król oblecze
Na łowy, aż się szlachcic na kobyle wlecze:
„A dokąd panie bracie?“ król szlachcica pyta,
Nie wiedząc mazur, kto go tak pięknie przywita:
—Do Warszawy, do króla — A po co?— Po [wójcie
Zmarłym, by mi przywilej dał. - A król: „Po- [stójcie,
Kiedy go też wam nie da, miejcie w tym omył-
A ten: „Niech całuje pod ogon kobyłkę.“ [kę?..
Wraz słyszy: w Marymoncie król, że nie [w Warszawie.
Tymczasem dał król pokój onej swej zabawie
Myśliwskiej, ale skoro szlachcic skoczył [spieszną
Drogą, król manowcami, by mógł tak rzecz [śmieszną
Zakończyć. W Marymoncie przyjechawszy [z łowu,
Przebiera się czemprędzej w suknie z złoto- [głowu
I każe warcie, aby: „Gdy w takiej odzieży,
Jako powiadam, szlachcic do nas tu przybieży,
Puścić go wolno.“ Zaczym, gdy mazur przy- [będzie,
Idzie, dziwiąc się, że go przepuszczają wszędzie,
Wreszcie mu pokazują kędy król zostaje,
Ale ten skoro wnijdzie i dobrze uznaje,
Strwożył się, lecz to król Jan pokryć umie- [jący,
Wesołą twarz ukazał, a wójtowstwa chcący
Nie śmie słowa wymówić i jak wryty stanie:
„Zgrzeszyłem, jest kobyła, jestem i ja, Panie
Miłościwy, rób co chcesz.“ Gdy się winnym [daje,
Król się rozśmiał, a szlachcic wójtowstwo do- [staje.

Wacław Potocki. (p. t. I s. 13).

Mazurek.

Odśpiewany na tańcującym wieczorze u państwa Kogelmogel przy ulicy Metalowej Nr. 75, gdzie sprzedawane są pożyczki na raty, a także jest potrzebna dobra kucharka, w odpowiednim stopniu posiadająca języki obce, grę na fortepijanie, oraz krawieczyznę, połączoną z metodą fröblowską:

Hulaj bracie, tnij hołupce,
Bo tu tańczą same kupce,
Nie szanujcie kamasz swoje,
Gdy masz grosze, tańcz jak goje,
Aj waj, aj waj,
Szlepe muzyk ostro graj!

*) *Lice* w prawie: rzecz nosząca świadectwo winy, np. ukradziony wół.

**) Raj zn. radź.

Izydorek łap za panne
Tnij hołupce nieustanne,
Gdy sze zmęczysz wypij wina!
Co po dukat butelczyna!
Oj waj, oj oj!
Tego dżyś nie pije goj!
Katołyckie nudne bale,
Uni jeszcz nie dają wcale,
Tańczą słabo, bo herbata
Po żołądku próżnym lata!
Aj waj, aj waj!
Bal wyprawiasz, mięsa daj!

* Cały dzionek główkę łamię,
Czy powiedzieć o tem mamie,
Co dziś Stasio mówił mi?
Powiem, powiem, niechaj sama
Wyłaje go za to mama.
Cały dzionek główkę łamię,
Czy powiedzieć o tem mamie,
Że za rączkę ścisnął mnie?
Powiem, powiem, niechaj sama,
Ukarze go moja mama.
Cały dzionek główkę łamię,
Czy powiedzieć o tem mamie,
Że za bardzo śmiałym jest?
Nie, nie powiem, bo to sama
Domyśli się moja mama.

„*Kolce.*“

Mądrość.

* *Mądrość ludzka.*

„Być—albo nie być. Oto mi pytanie“—
Powiada Szekspir, co jest dzisiaj modny.
Na Hefestyona mnie już dziś nie stanie,
Nie jestem sławy abstrakcyjnej głodny.
Wolę ja swoją strawność w skromnym stanie,
Niż *królewskiego* raka. Choćbym płodny
Był w zwycięztwa, przynoszące chwałę
Lub wstyd, cóż po nich, gdy zdrowie nie trwa- [łe?
„*O dura ilia messorum*“. „O trzewa
Wytrwałe żeńców. Wiersz zaczerpnion z zdro- [ju
Mądrości, temu niech służy, co miewa
Często niestrawność, ten wynik rozstroju
Trzew, co w wątrobę cały Styks przelewa.
Majątek lorda wart chłopskiego znoju.
Ten się dla chleba, ten dla złota trudzi,
Lecz kto śpi smaczno, najszczęśliwszy z ludzi.
„Być albo nie być“.—Nim się na coś zgodzę,
Co „być“ oznacza, raczcie mi powiedzieć,
Zbyt rozpuszczamy spekulacyi wodze,
Myśląc, że *widzieć*, to jest *wszystko-wiedzieć.*
Ja tam na żadną stronę nie przechodzę;
Muszą się naprzód te kwestyje zasiedzieć
Ruchliwe. Myślę ja czasem, że życie
Jest śmierć—nie sprawa płuc, jak rozumiecie.
„Que sais-je?“ „Co ja wiem?“ To było Mon- [taique'a
Najmilsze motto i akademików.
Że niepewnemi są wszystkie wierzenia,
Najoczywistszy był z wszystkich pewników.
Zaiste, wiele dla uspokojenia
Duszy zdziałałaby pewność wyników
Wiedzy. Lecz mało tak o przyrodzeniu
Wiemy, iż wątpię o samem wątpieniu.
Miło z Pirronem w rozigrania chwili
Przepływać błędnej spekulacyi szlaki,
Omyłkę! „Zbawco ludów niezbawionych“,
„Swobodzicielu nieoswobodzonych!“
Skończyłem. - Idź-że jeść ze złotej miski,
Którą cię cesarz brazylijski darzy,
A bądź litośny i rzuć choć ogryzki
Szyldwachom, co u wrót stoją na straży
Głodni— bili się—lecz nie dla nich zyski.
Na głód podobno lud się także skarży...
Słuszna, abyś miał swoją część, nie przeczę,
Lecz narodowi daj trochę... człowiecze!
Ganić cię nie chcę. Wyższy nad nagany
Jest taki wielki mąż, jak ty, mój książę!
A Cyncynnata czyn, co to Rzymiany
Wodził—z historyją naszą się nie wiąże,
Lubisz kartofle—sercem im oddany
Każdy irlandczyk—lecz z różnicą tą, że
Pięćset tysięcy dochodu z twej włości,
O.. zbyt zawiele.—Mówię to bez złości.
Wielcy się ludzie nigdy nie bogacą.
Epaminondas Teby oswobodził,
Zmarł, a nie było go pochować za co.
Washington'owi chór tylko nagrodził

Naokół brzmiącej sławy. Sławny pracą
Ekonomiczną też się nie wyrodził
Pitt. Mądrą ministeryjalną głową
Darmo zrujnował Angliję finansowo.
Kto kary godniej chwilę stracił, zużyć
Mogąc—nad ciebie i Napoleona?
Twa szabla zdolna była trony zburzyć
I już na wieki być błogosławiona.
A tak czem zwie ją świat? Mam ci powtórzyć?
Dziś, gdy mniej wrzeszczy już zgraja spodlona,
Idź, zajrzyj w głodem zniszczone dziedziny,
Słuchaj, co mówi świat—i klnij wawrzyny.

Byron.

* *Z ksiąg mądrości.*

Mucha jest najnieznośniejsza na jesieni, wierzyciel najnudniejszy przed szabasem w piątek, stara panna najgderliwsza w pięćdziesiątym roku życia.

* *Nowe księgi rodzaju.*

Zapałka zrodziła kramik, kramik zrodził gotówkę, gotówka zaś zrodziła pacht i braci jego przed wprowadzeniem się do karczmy, zaś po wprowadzeniu się do karczmy pacht zrodził propinacyję, propinacyja zrodziła geszeft zbożowy, geszeft zrodził las, a po wyprowadzeniu się z karczmy las zrodził mały banczek, mały banczek zrodził duży bank, duży bank zrodził akcyje.

A panowanie akcyi objęło świat i akcyja stała się złotym cielcem, któremu kłaniają się narody.

Aliści powiada mędrzec jeden, że inną byłaby postać świata, gdyby chłop krzesał był po dzień dzisiejszy ogień krzesiwem, a szlachcic nie wstydził się tych, którym imię: kwarta i łokieć.

—o—

— Zkąd się wziął wyraz „konował?"

— Jest on bardzo malowniczy, a pochodzi od tego, że konował chorego konia najczęściej wali z nóg.

— Co jest lepiej: czy powiesić się, czy objąć gospodarstwo bez pieniędzy?

— Wszystko jedno, rezultat zawsze ten sam.

—o—

Że też żaden kantor pogrzebowy nie wpadł na myśl utrzymywania stałego lekarza dla wygody swoich przyszłych klijentów.

Rzucamy tę myśl—klijentela może się znacznie powiększyć.

—o—

— Powiedz mi, za co krowa rodzi cielęta?

— Za to, żeby nasze żydki na nich zarobiuli.

—o—

Człowiek bez nauki jest jak folwark bez inwentarza... musi zjałowieć.

—o—

— Dla czego grzyby rodzą się po deszczu?

— Ponieważ przed deszczem nie mają czasu.

—o—

— Dla czego wdowy chętnie wychodzą za mąż?

— Dla wspomnień, pragną one tylko, aby drugi mąż był żywem przypomnieniem pierwszego, którego kochały.

* *Z mądrości narodów.*

Pan Alfons miał się żenić; co wieczór przy herbatce panna obiecywała mu szczęście, a teść mnóstwo pieniędzy.

Po ślubie Alfons znalazł w żonie nieszczęście, w teściu zaś... golijata.

Sens: która krowa...

—o—

Józio był to łgarz wielki koronny. Co powiedział, to skłamał.

Stało się, że raz wyrzekł prawdę, ale nikt nie chciał mu wierzyć.

Sens: Nie przepieprzaj, Piotrze, wieprza pieprzem, bo przepieprzysz etc.

—o—

Pan X. złożył na ołtarzu miłosierdzia podartą chustkę do nosa.

To się stało rano.

Wieczorem pan X. stracił 25 rubli na wino.

Sens: małe strumyki tworzą wielkie rzeki.

— o —

Bibcio Mydłykiewicz starał się o posadę.

Nie pomogła protekcyja, nie przydały się na nic stosunki.

Bibcio chciał się powołać na swoje zdolności.

Roześmiano mu się w oczy.

Zrozpaczony poszedł do Józi, a dobra ta dziewczyna, ulitowawszy się nad jego losem, wyrobiła mu posadę natychmiast.

Sens: Gdzie dyjabeł nie może...

* — Rabi—pytał się bachur—za co nasze ple-
[mię
Nosi chałaty brudne, długie aż po ziemię?
Czemu nie wdzieje fraka albo szaty modnej?
Czyż Izrael jest nawet ubrania niegodny?
Podobno król Salomon,jako mówi prorok,
Trzy szlafroki z atłasu sprawiał sobie co rok,
Nie licząc tych, co zwykle nosił w dzień po-
[wszedni,
Czemuż nam zakazano mieć strój odpowiedni?
Na to mądry pan szkolnik rzekł, drapiąc się
[w udo:
— Ciemne są twoje oczy, maleńki Pehudo,
Synu Peheskielowy—i mowa twa głupia,
Bo w kieszeniach chałatów cały świat się sku-
[pia.

Mąż.

* — W Południowej Ameryce—czytała pewna dama swemu mężowi—znajdują się okrutni handlarze ludzi, którzy lekceważąc najświętsze związki rodzinne, rozdzielają mężów z żonami, sprzedając ich osobno w oddalone strony.

— Ach! — odrzekł, wzdychając, mąż, który słuchał czytania — co za szczęśliwy kraj! O! czemuż nie jestem niewolnikiem w tej błogosławionej Ameryce i to u najokrutniejszego z handlarzy ludzi!

* — Arturze—mówiła żona do męża—zaledwie sześć tygodni upłynęło od naszego ślubu, a ty mnie kochać przestałeś. Nie przecz napróżno! Jeśliś chciał, by ci żona wierzyła, należało ci głupszej poszukać.

— Nie znalazłem takiej — odrzekł czuły małżonek.

* — Tak, szanowna pani, biorę szczery udział w jej nieszczęściu, gdyż stracić takiego męża, jak pani...

— O, mój panie—przerwała wdowa—mój mąż był zacnym człowiekiem w całem słowa znaczeniu, a moja boleść tem jest większą, że nie wiem, kogo na jego miejsce dostanę.

* — Czy chciałbyś—pytał przyjaciel przyjaciela—aby żona na wypadek twej śmierci weszła po raz drugi w związki małżeńskie?

— O, naturalnie, żebym chciał — brzmiała odpowiedź — bo wtedy byłby choć jeden człowiek, coby mnie szczerze żałował.

* Pewna jejmość, której mąż był w podróży, napisała do niego pełen tęsknoty list, zaczynający się od ustępu: „Wszędzie czuję twoją nieobecność, drogi Adolfie! czy chodzę, czy siedzę, czy na jawie lub we śnie; budząc się, gdy spojrzę na szlafrok twój, na gwoździu wiszący, pierwsze moje westchnienie jest: „O! gdyby to mój poczciwy Adolf tu wisiał!“

* *Mąż tłomaczem.*

Żona. Powiedz mi mężu, czy jest w polskim języku przysłowie odpowiadające francuzkiemu: *Ce que femme veut, Dieu le veut?*

Mąż. Owszem duszko, jest, tylko w wolnym przekładzie: gdzie dyjabeł nie może, tam babę pośle.

Świąteczny.

* *Mąż uczonej żony.* (Wielce żałosne intermedyjum z wieku XVI).

I.

Kto zacz był Roch?

Roch był krwi zacnej, mąż tęgi a setny,
Animusz dzielny, owszem i nieszpetny;
Nie był on jętką, albo-li ślimakiem,
Nie był też osłem, Jowiszowym ptakiem;
Lecz wrzekomo kaczor, albo kur stateczny,
Żył sobie cichy—trafunków bezpieczny.

II.

Jak się pan Roch ożenił i co ztąd wynikło?

Na półzegarzu Rocha, gdy wybiła
Latek czterdziestka, umiłował siła ..
I sprawił sobie Hymenowe gody
Z panną szlachecką, podlejszej urody,
A gdy uwikłał się w onej podwice,
To wszystek żywot wyszedł mu na nice...
Więc w animuszu srodze pomizerniał,
Schmurniał na licu—na duszy poczerniał...
I jak obite chłopię w kąt się chowa—
A na świeczniku z Wzdychalskich Rochowa.

III.

Kto zacz była pani Rochowa?

Wżdy też zaprawdę z Wzdychalskich Rochowa
Ósmy cud świata—phoenix-białogłowa,
Nie jej w rogówce albo czepcu chodzić,
Lecz w hajdawerach ussarskich rej wodzić!...
Ona to dzierży wszystko w swojej dłoni,
Mężowi działać, ba, ozwać się broni;
A gdy się ozwie - przemówi w nim dusza
Ona go zfuka i ramiony rusza,
Iże się stało, że w czasie dość krótkim,
Roch niefortunny narzeczon jest dudkiem.

IV.

Jako pani Rochowa była wielce uczoną niewiastą i co z tego wyszło?

Niech-no przypadkiem u Rochów w gościnie
Kto się niebacznie ozwie o łacinie,
To w dwie niedziele w piśmienników tłumie
Rochowa całe „Tirocinium" umie.
A niech Rochową kto muśnie po żebrze
O astronomiey, albo o algebrze,
To w całym domu rozgardyjasz i zamęt,
W głowie jej, w uściech, nic, jeno firmament,
A logarytmy, Keppler a Kopernik,
W dłoni tryanguł, abo do gwiazd wziernik;
Toż z medycyną, toż z architekturą!...
Wiwat, Hippokrat!... Archimedes górą!...
Rochowa w księgach całe dnie przesiada,
Matce-przyrodzie „arcana" wykrada—
Włos rozczochrany—bielizna dwuznaczna -
Po kątach śmiecie - brzydota opaczna—
Rochowa łapie uczonych po mieście,
Zbierając na skroń siedmiu mędrców czeście;
(Chociaż rozsądni, co rzecz widzą zdrowo,
Wzdychali jeno i kiwali głową,
I uciekali—z pośród słów powodzi—
Jak przed zarazą—kędy pieprz się rodzi!)
A Roch, co mężem był takiej matrony,
Chodził, jak widmo, przybity, zgarbiony,
W nędznym kubraku, a gęsto o głodzie,
Zmuszon żołądek ratować w gospodzie,
A że sturbowan, niby łomem Tatrów,
Żywie w delicyjach syt u Bonifratrów!...

Epilogos.

Roch z swą niedolą zakończył certamen,
A ona?—sanskryt studyjuje .. i... Amen!...

* *Mężowie posłuszni.*

Siedmiu biesiadników zabawiało się do późna w nocy w handlu. „Ej! co też powiedzą nasze żony, gdy tak późno wrócimy do domu?" — odzywa się jeden z nich. „Niech sobie mówią, co chcą!" — rzekł na to drugi. „Wiecie co? — mówi trzeci — zrobię wam pewną propozycyję: Oto ten z nas, który nie wykona zaraz tego, co mu żona każe, gdy powróci do domu, zapłaci cały nasz rachunek. Jutro o dziewiątej rano zejdziemy się tu znów wszyscy i wtedy każdy z nas wyzna pod słowem najświętszem honoru i sumienia, co uczynił podług rozkazu swej żony?"

Wszyscy jednogłośnie przystali na to i rozeszli się do domów. Następnego poranku zeszli się wszyscy o umówionej godzinie. Przedewszystkiem sześciu zebranych towarzyszy okrążyli ze zdumieniem siódmego, leżącego w przewróconej pustej beczce u drzwi winiarni. „A ty co tu robisz?“ — zapytali. „Wypełniam to, co mi żona wczoraj rozkazała, bo jak tylko wszedłem do domu, zawołała: „Wróć się lepiej i przenocuj w beczce, ty pijaku!“ więc usłuchałem jej“. „A ja—rzekł drugi - kiedy wszedłem do pokoju, potknąłem się o stołek, wtedy moja żona zawołała: „Tak, rozbudź jeszcze dzieci i pokaż tym biednym robakom, jakiego mają ojca opoja!“ Ja też tak zrobiłem; obudziłem dzieci i różne figle z niemi wyprawiałem, z czego miały wielką uciechę“. „Ja także—odezwał się trzeci z kolei — wchodząc, trąciłem stół, na którym stała lampa, talerze i inne naczynia, które gdy zabrzęczały, moja żona krzyknęła: „Zruć lepiej wszystko ze stołu i potłucz, ty hałaburdo jakiś!“ Ja też, nie wiele myśląc, przewróciłem stół i wszystko poszło w drobne kawałki“. „Ja znowu—zaczął opowiadać czwarty z towarzyszy—wchodząc do domu, nuciłem sobie, jak mam często zwyczaj, urywek z jakiejś piosenki, co usłyszawszy żona, zawołała: „Bardzo pięknie! wyśpiewuj tak na cały głos swoim ślicznym basem wszystkie knajpiarskie piosenki“. „Z największą przyjemnością“—odpowiedziałem i wyśpiewałem, co tylko umiałem z 15-tu piosnek z naszego repertuaru“. „To było wspaniałe! — rozśmiał się piąty z towarzyszy—ale ja też zrobiłem rzecz nie gorszą; trąciłem, wchodząc, o dzieżkę z rozczynionem ciastem, którą chyba umyślnie na drodze postawiono, a żona zaraz woła: „Wleź lepiej z nogami w ciasto!“ Co też zrobiłem; wskoczyłem nogami, aż się wszystko rozleciało i dzieżka i ciasto z niej“. „Mnie - rzekł szósty—powiedziała żona: „Teraz mi już na głowę wleziesz!“ ale że stała na środku pokoju, mówiąc to, przyniosłem drabinkę i oparłszy ją o plecy mej połowicy, zacząłem wchodzić: cóż, kiedy się ruszyła, a ja upadłem razem z drabiną i potłukłem się“. „Wszystko to pięknie — odezwał się nareszcie siódmy i ostatni — wszyscyście wypełnili rozkazy żon waszych; otóż widzę, że ja będę musiał zapłacić za wszystkich, bo ja jeden tylko nie mogłem wykonać tego, co mi moja kazała“. „To musiało być coś dobrego“ — rzekli towarzysze chórem. „O, jestem pewny, że na mojem miejscu każden z was by się tak samo cofnął. Oto, gdy wszedłem, żona mówi: „Pewnie ci się, biedaku, jeszcze pić chce? Idź do kuchni, kochaneczku, i wypij ze dwa kubły wody, to ugasisz dopiero pragnienie“. Otóż, osądźcie sami, czy mogłem to zrobić? Chciałem nawet spróbować: nalałem już wiadro, ale na widok tej wody taki mnie wstręt opanował, że powiedziałem sobie: „Nie, raczej Bóg wie, ile zapłacę, a wody nie wypiję!“

* *Niebezpieczna argumentacyja.*

— Tak, no... ale widzi pan... w każdym razie... mąż.

— Ach! pani zawsze tam o swoim mężu.

No, bo postaw się pan na chwilę w jego roli.

— Ach! pani, tego też najbardziej pragnę.

* *Mąż za 10 talarów.*

Młoda wieśniaczka z Normandyi, mająca chęć do stanu małżeńskiego, otrzymała od swej pani dziesięć talarów na posag.

Wkrótce zaprezentowała swej pani narzeczonego, garbusa o odrażającej twarzy.

— Ach! moje dziecko—powiedziała pani—toż dopiero męża wybrałaś sobie!

— Niestety, proszę pani, cóż lepszego mogłam dostać za dziesięć talarów?

* *Jak dostać męża.*

Statystyka wylicza, że w Paryżu znajduje się około trzykroć stu tysięcy fortepijanów. Pewna pani, mająca fortepijan i muzykalną córkę,

otrzymała list następującej treści od sąsiadującego z nią artysty:

„Pani! Jestem kompozytorem i muszę późno w noc pracować. Co rano budzi mnie córka pani marszem pogrzebowym Berlioza. Umiem cenić jej wysokie muzykalne zdolności i pozwalam sobie w przekonaniu, że każda przyjemność winna być opłaconą, wynagrodzić tę, której doświadczam podług możności. Załączam pięćdziesiąt centymów i dnia każdego takąż sumkę będę miał zaszczyt przesłać pani.

Artysta.“

Oburzona matka dyletantki chciała zrazu odesłać owe pięćdziesiąt centymów, ale po namyśle postanowiła całą sprawę ignorować. Ile razy młoda panna spotykała artystę na schodach, nie zaniedbała rzucić mu piorunującego spojrzenia i co rano odbierała wynagrodzenie za swą grę.

Gdy się to działo, wystawiono po raz pierwszy operę młodego artysty. Publiczność przyjęła ją z zapałem a młoda dziewczyna nie szczędziła oznak zachwytu, nie znając naturalnie nazwiska autora. Gdy się o nim dowiedziała, odesłała odebrane od niego pieniądze w sumie 40 franków z listem następującej treści:

„Pieniądze załączone chciej pan użyć na jaki użyteczny cel, chociażby na kupienie bukietów dla artystek, które dopomogły panu do powodzenia jego opery. Uważam się za szczęśliwą, że wkrótce będę mogła opuścić dom, w którym pan mieszkasz!“

Odebrawszy taki list artysta zamyślił się na seryjo i użył całego dnia na pozbieranie wiadomości o pannie i jej rodzinie. Wieczorem odpisał w tych słowach:

„Pieniądze, które ośmieliłem się złożyć w ręce pani, dołączam do sumy ofiarowanej mi przez wuja w nagrodę powodzenia, jakie uzyskała moja opera, a które w części i pani zawdzięczam. Ofiaruję pani moją rękę i dziesięć tysięcy liwrów dochodu rocznego.“

Wkrótce potem odbyło się wesele.

Pięknym czytelniczkom życzymy sąsiedztwa kompozytorów, mających uznanie publiczności i bogatych wujaszków.

* *Mąż i żona.*

Ząb za ząb z mężem kłócąca się żona
Tak krzyczała rozzłoszczona:
„Obyś gdy ja legnę w grobie,
Taką żonę obrał sobie,
Coby wprost z piekieł przybyła,
I szatańską córą była.“
A mąż jej na to z uśmiechem zawoła:
„Wiem ja kochanko, co mi życzysz szczerze
Cóż, gdy nikt, podług ustaw kościoła
Siostry po siostrze nie bierze.“

* Pismo święte powiedziało:
„Mąż i żona jedno ciało!“
Jednakowoż mąż nie czuje,
Jak mu kto żonkę całuje.

Medal.

* *Na wsi.*

— Czegóż to Wojciechu nie posłałeś swojej karej kobyłki na wystawę do Warszawy, byłbyś dostał medal.

— Wielga rzec, jak ostane wójtem, to i przez kobyły mendal mi dadzom.

Świąteczny.

Melancholija.

O! Melancholijo! Nimfo! skąd ty rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?
Skąd przyszłaś do nas? Co ci jest powodem,
Że teraz nawet szlachtę okoliczną
Zarażasz? Nimfo! za twoim przewodem
Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną!
I jestem dzisiaj... niech cię porwie trzysta!
Nie Polak, ale istny Bajronista.

J. Słowacki. (p. t. I s. 87).

Meldowanie.

* W arystokratycznym domu stolicy dawano bal kostyjumowy.

Gospodyni domu powzięła myśl oryginalną meldowania gości podług kostyjumów, np: Dyjana! — Muszkieter! — Hebe! — Motyl! — Hidalgo! i t. d.

Pomiędzy maskami zjawiły się dwie panie, krewne gosdodyni, ubrane w zwyczajne wieczorowe stroje.

Zamierzały one przypatrzyć się chwilę temu jaskrawemu tłumowi i wrócić wcześnie do domu.

— Jaki kostyjum mam zameldować?—spytał służący.

— My nie mamy żadnego kostyjumu.

— Dwie damy, które nie mają żadnego kostyjumu! — zameldował z niewzruszoną powagą lokaj, stojąc w drzwiach salonu.

Melodyja.

* *Z sielskich melodyi.*

Oj, wyje wiatr bez komin,
A kwicy prosię w chlewie,
A baba moja wrzescy
I po co sama nie wie.

Zatknąłem komin szmatą,
Prosięciu pysk też michą,
I przestał wiatr piszcenia —
I prosiak był już cicho.

A baba ciągiem krzycy
I rady nimasz bracie...
Oj, zebyś ty kominem
Czmychnęła na łopacie!

* Oj kwicy wieprzok w chlewie,
Oj kwicy psia bestyja,
Dam ja ci smarowanie:
Maryśka daj no kija.

— Cego chces gospodarzu —
Kwiczący wieprz odeprze —
Ja płaczę, że szacunku
Nie mają dzisiaj wieprze.

Mój tatuś był kupiony
Przez miemca do Berlina,
Bo miemcom smakowały
Kiełbasy i słonina...

Matula pojechali
Aż kędyś do Jafryki
A z babki francuzowie
Zrobili kotleciki.

Dziś dyjabeł nie zapyta
O syna albo wnuka
I miemiec z pełnym trzosem
Już wieprzków tu nie szuka.

Wieprz marnie pędzi życie
I świata nie obaczy,
Oj dawniej było lepiej
A dzisiaj jest inaczej!

Ażeby też zmarniała
Ta podła stagnacyja!..“
Gospodarz się zasromał:
— Maryśka, nie trza kija!..

P. Kośmiński (p. t. I s. 349).

* *Z melodyi nie-biblijnych.*

Szparko płynie bystra rzeka oblewając gród...
Wicher szumi, po ulicach bieży dzielny lud. —
Lud to musi być nie żartem możny i bogaty,
Idzie niewiast tysiąc strojnych w aksamitne [szaty...

Co za pióra, co za stroje, co za wdzięk i gust,
Jaki żywy humor tryska z uśmiechniętych ust!
Dobrze musi być tej rzeszy... gdy taka wesoła,
Gdy jej żaden żal i troska nie zachmurza [czoła...

. . . .
. . . .

Nie wierz, nie wierz ty ogniowi, co w ich oczach [skrzy,
Są tam na dnie troski ciężkie, boleści i łzy.
Oh! nie jeden tak się kręci, jak żakowska fryga,
Gdy go widmo wierzyciela wciąż trapi i ściga,

Gdy mu siedmiu synów Judy codzień zbija [próg,
I kupczący z rachunkami stoją w poprzek [dróg.
Jest to boleść nad boleści, gdy wróg drzwi [uchyla
I nad twą niedolą płacze łzami krokodyla!

. . . .

. . . .

Ale to jest filozofii esencyja i szczyt,
By się zębom wierzycieli nie poddawać zbyt...
Są sposoby na sposoby, po co nam frasunek,
Lepiej nam się bawić w panów, niżeli w ra- [chunek.

Ménage (1613 — 1693).

* Uczony Ménage był ciężko chory; gdy przyszedł do zdrowia, jeden z jego przyjaciół powiedział mu:

— Wiesz, mój drogi, powinieneś mieć się na baczności, bo jeden z twoich lekarzy wyznał mi poufnie, że wyzdrowienie twoje zalicza do cudów.

— Przyznaję mu zupełną słuszność co do tego – odpowiedział Ménage — miałem dziesięciu doktorów, a jednak żaden nie zdołał mnie uśmiercić.

(*Bibl. humoru*).

Menu.

* *Menu obiadowe na jesień.*

1. Kalosze zgubione w gęstym błocie.
2. Zupa deszczowa z szyldami spadłemi na głowy przechodniów.
3. Oczy podbite parasolami z guzami od ślizgawicy.
4. Kaczki dziennikarskie z garniturem reklam ulicznych.
5. Piwo nawarzone przez towarzystwo kanalizacyjne ku spożywaniu przez nieszczęśliwych warszawiaków.

Mérimée.

* W jednym z arystokratycznych paryzkich salonów było tańcujące zebranie. Toalety pań odznaczały się wykwintnym gustem, elegancyją i przepychem, niektórym tylko można było zarzucić brak materyjału w stanikach. Te niezmiernie wygorsowane suknie zwróciły ogólną uwagę.

— Czy widziałeś pan kiedy w życiu co podobnego? — spytał ktoś znakomitego historyka i powieściopisarza Mérimée.

— Nie — odpowiedział — nie widziałem od czasu jak zostałem odłączony.

Mesyjasz.

* Znany z rozrzutności Fox popożyczał znaczne sumy na wszystkie strony, rachując na sukcesyję po bogatym wuju, który nad wszelkie spodziewanie, w późnym już wieku ożenił się i został ojcem. Dowiedziawszy się o narodzeniu małego kuzynka, Fox wykrzyknął: „To dziecko jest prawdziwym Mesyjaszem; przyszedł bowiem na świat na zgubę żydów.“

(*Encyklopedyjana.*)

Metaloskopija.

* Sympatyczny nasz uczony dr. Ochorowicz leczy niemoce ludzkie za pomocą metaloskopii.

Nic dziwnego! — Iluż to dotkniętych nieuleczalnym paraliżem golizny, odrazu postawiła na nogi garstka złotych blaszek?

Świąteczny.

Metamorfoza.

* Gdzie brzozy płaczą w dolinie,
Gdzie lilije kwitną,
Gdzie w olch gałęziach wiatr ginie,

Gdzie strumień przejrzysty płynie
Wstęgą błękitną,
Tam ją ujrzałem!

Myślałem, że jest pokrewną
Lilijom wodnym,
Albo zaklętą królewną,
Albo rusałką powiewną
Z uśmiechem wdzięcznym lecz zwodnym,
Lub widmem białem...

Motylów orszak skrzydlaty
Biegł za jej śladem —
Ubrana w zioła i kwiaty,
Z złocistych włosów, bogaty
Miała dyjadem
Nad śnieżnem czołem.

. . . .

Później słyszałem, że ona,
Ta piękna, święta,
Ta wymarzona, wyśniona,
Została żoną szlagona
I pielęgnuje kurczęta
Z kaczkami społem.

Kiedym odwiedził tę stronę
Gaj i dolinę,
Jedząc obiady proszone,
Wolałem szlachcica żonę,
Niżli ondynę
Z powiewną szatą.

Bo choć przy blaskach księżyca
W motylów tłumie
Piękną jest blada dziewica —
Lecz nie mniej człeka zachwyca,
Gdy smacznie przyrządzić umie
Pieczeń z sałatą!

* *Rozpaczliwa historyja.*

Tak ją kochał nieboraczek, że się na jej widok mienił, aż nareszcie przywdział fraczek, oświadczył się i ożenił.

Co za szczęście, co za chwila, będzie obok swej gołąbki, co tak ślicznie się przymila, tak perłowe szczerzy ząbki, co ma włosów falę złotą, jak snop pszenny świeżo ścięty.

— Umarłbym dla niej z ochotą! - wołał biedak szczęściem zdjęty.

Ślub się odbył, mama córkę wiedzie w apartament nowy... żonkoś ciekaw, do alkowy zagląda przez zamku dziurkę... lecz w tem blednie — znów się mieni — chce zawołać: rety! gwałtu!—mama zdjęła snop promieni z głowy córki... z biustu kształtu, gdy odpięła strojny stanik... coś się stało, że aż zgroza! włosy znikły i biust zanikł!.. okropna metamorfoza.

Wtem mamunia dłonią wprawną, pragnie ząbki wyjąć córce — widząc akcyję niezabawną — nie wytrzymał już przy dziurce, odsunąwszy rygiel gładko, wpadł w alkowę rozjątrzony i z rozpaczy ryknął:

— Matko, zostaw choć kawałek żony!

Świąteczny.

Metampsyhoza.

* W pewnem towarzystwie mówiono o metampsyhozie, czyli przechodzeniu dusz. Pewien finansista sadzący się na dowcip, rzekł:

— Ja sobie przypominam, że byłem kiedyś złotym cielcem.

— Straciłeś pan więc tylko pozłotę — odpowiedział jeden z przytomnych.

(*Encyklopediana*).

* Pewien poważny człowiek, znany z trafnych i dowcipnych uwag, odezwał się raz:

— Kiedy widzę mężczyznę, jak na klęczkach przed kobietą wybraną ofiarowuje jej swe serce i rękę, zaczynam wierzyć w metampsyhozę i myślę, że w tego człowieka przejść musiała dusza wielbłąda, który przyklęka wtedy, gdy ma wziąść na siebie największy ciężar.

Metodysta.

* Pewien stary ksiądz metodysta porównywał zawsze młodość z przecinkiem, wiek doj-

rzały ze średnikiem, starość z dwukropkiem a śmierć z punktem. Punkt bowiem zamyka zdanie, po punkcie kładł jeszcze długą kreskę—myślnik, wyrażający przyszłość i wieczność!

Metryka.

* O! jakie płacze i gniewy i krzyki,
Gdy do kobiecej kto wgląda metryki.
Morgenbesser.

Metternich.

* Znakomity pisarz Adalbert Stifter był za swych młodych lat nauczycielem księcia Metternicha, późniejszego posła przy dworze francuzkim.

Pewnego dnia kazał on swemu uczniowi w obecności księżnej matki robić następujące zadanie:

— Ile łyżek, z których każda ma po dwanaście łutów, zrobić można z trzynastu tuzinów łyżek, ważących po trzynaście łutów?

Młody książe liczył i liczył, ale w żaden sposób nie mógł dojść do właściwego rezultatu.

— Mój kochany panie Stifter — wyrzekła jaśnie oświecona matka, widząc jak się synek poci nad zadaniem — po co mu tem głowę zawracasz: u nas jeśli się coś podobnego zdarzy, przyseła poprostu złotnik rachunek, a my płacimy, nie łamiąc sobie nad tem głowy.

Meyerbeer.

* W miesiącu Październiku 1831 r. mały, szczupły, elegancko ubrany z pąsową wstążeczką w dziurce od guzika mężczyzna wszedł do mieszkania odźwiernego jednego z domów, znajdujących się w pobliżu kościoła świętej Magdaleny.

— Czy jest tu mieszkanie do najęcia?—zapytał.

— Jest nawet kilka do wyboru — powiedział odźwierny, patrząc na elegancką powierzchowność przybyłego. Najprzód na pierwszem piętrze jest piękny apartament o bogatych obiciach, angielskich kominkach.

— Nie potrzebuję go—przerwał pan.

— Aha, już wiem, czego pan potrzebuje. Na trzeciem piętrze jest mieszkanie, złożone z trzech pokoi, bardzo wygodne, z kuchnią i —

— I te dla mnie niedogodne, chcę mieć pokój na poddaszu.

— Na poddaszu? Ależ to nie dla pana — tam wiatr świszcze jak na dworze—dość wejść, żeby się zaziębić.

— To mi wszystko jedno. Co to kosztuje?

— Kiedy pan żąda koniecznie — cena jest sto franków rocznie. Zdaje mi się jednak, że taki pan jak —

— Nie mam czasu medytować nad tem, co się panu zdaje; chcę natychmiast zająć ten pokój — przerwał wyniośle nieznajomy, rzucił na stół luidora i oddalił się szybko, wsiadłszy do ekwipażu, który czekał u drzwi.

Odźwierny tymczasem zabrał się do przygotowania pokoju. Poomiatał pajęczyny, wymył szyby w jedynem oknie i izbę jakkolwiek wyporządził.

Po kilku godzinach zjawił się nieznajomy a za nim tragarz, niosący kufer z drzewa hebanowego.

Kufer był dziwnego kształtu, długi jak trumna.

Gdy tragarz, zaniósłszy owe czarne pudło na górę, powracał, zaczepił go odźwierny, pytając co się w niem mogło znajdować.

— Nie wiem — odrzekł — ale to dyjabelnie było ciężkie.

— Może to był trup — zawołała ze zgrozą małżonka odźwiernego.

— Być może — odrzekł małżonek. — Kiedy pan, przyjeżdżający takim ekwipażem, najmuje nędzną dziurę na mieszkanie, dowodzi to jakichś strasznych zamiarów.

Wtem nieznajomy stanął w progu.

— Nie chcę tu przyjmować żadnych odwiedzin — wymówił grobowym głosem; — jedne-

go tylko mężczyznę wpuścicie do domu. Jest on dobrego wzrostu, lat około czterdziestu, twarzy ponurej i odstręczającej.

— A nazwisko tego pana?

— Nie potrzebuję je wymieniać. Nie chcę, aby ktokolwiek wiedział, że on u mnie się znajduje.

— Rozumiem, ale nie znając tego pana, mogę wpuścić kogoś nieoczekiwanego.

— Ten, którego czekam, powie umówione słowo.

— Jakie?

— Chcę widzieć się z dyjabłem.

Odźwierny i jego połowica cofnęli się z przerażeniem.

Nieznajomy powrócił do izby na poddaszu.

Tego samego dnia przyszedł zapowiedziany gość. Była to postać wzbudzająca obawę. Twarz ponura, czarne brwi, ogniste, ruchliwe oczy, twarz trupio blada, do tego czarny podszyty pąsowem płaszcz – składały się na zjawisko, mogące niejednemu strachu napędzić.

— Chcę widzieć się z dyjabłem — rzekł głosem basowym, na dźwięk którego wszyscy zadrżeli.

— Proszę wejść tędy — rzekł trzęsąc się odźwierny — ten pan jest w domu.

Ów straszny człowiek ukazywał się codzień o jednej godzinie. Przebywali obaj z sobą znaczną część dnia, śpiewając tak bezbożne pieśni, że przechodzącym włosy na głowie stawały. O godzinie piątej odchodzili, by nazajutrz to samo powtórzyć.

W końcu przebrała się cierpliwość odźwiernego. Postanowił koniecznie dowiedzieć się, co oni tam robią całemi godzinami, zamknięci z owym kufrem. Przyłożył więc ucho do dziurki od klucza.

To co usłyszał, było przerażające.

— Na szatana! zbierz odwagę — mówił jeden.

— Łatwo ci to mówić — odparł drugi. — czy myślisz, że to tak łatwo dyjabłem zostać?

— Jest to trudne, ale nie niemożliwe.

— Bez odpowiednich środków nie będę mógł być dyjabłem.

— Musisz nim zostać w końcu.

— Dobry Boże! — jęknął odźwierny, — to dopiero łotry. Widocznie z dyjabłem umowę zawarli!

— Kochany przyjacielu — mówił właściciel mieszkania do swego gościa — dyjabeł jest piękniejszy, niż sobie wyobrażasz. Będziesz miał moc wskrzeszać umarłych.

— Jakież to przerażające! — mówił odźwierny, dzwoniąc zębami.

— Będziesz wzywać księcia piekieł i wszystkich jego dyjabłów. Całe piekło będzie pod twemi rozkazami.

— Boże! miej litość nad moją duszą — wyjęczał odźwierny i w najwyższem przerażeniu zbiegł ze schodów.

Natychmiast pobiegł do komisarza policyi, opowiedział mu przybycie nieznajomego, wniesienie czarnego pudła, bezbożne śpiewy i rozmowę o dyjabłach.

W chwili wymawiania zaklęcia, przyzywającego wszystkich dyjabłów piekła, zapukano do drzwi izby na poddaszu.

— W imieniu króla proszę otworzyć!

Otworzono natychmiast. Komisarz policyi wszedł wraz z towarzyszami; w głębi korytarza stał odźwierny, jego połowica i kilku lokatorów domu.

— Nazwisko pańskie?—spytał komisarz.

— Giacomo Meyerbeer—odpowiedział gospodarz pokoju uśmiechając się.

— A pańskie? — zwrócił się komisarz ku drugiemu.

— Mikołaj Levasseur, pierwszy bas wielkiej opery.

Komisarz zdumiony zdjął uprzejmie kapelusz.

— Szanowni panowie — rzekł — oskarżają was o czarnoksięztwo. Nie wierzyłem wprawdzie baśniom, opowiadanym przez odźwiernego,

ale sam fakt wynajęcia nędznego pomieszkania przez ludzi mających pozory bogactwa, zwrócił moją uwagę. Nieraz bowiem w tych warunkach zbrodnie popełniano. Sławne w świecie całym nazwiska panów pomyłkę wyjaśniają.

— Ale — przemówił cienkim głosem odźwierny — po co ten oto wyzywał dyjabła i co znaczy ta czarna trumna?

Meyerbeer otworzył kufer; zawierał on partyturę opery, na której czytano wielkiemi literami: „Robert Dyjabeł.“

— Nająłem tę izbę — mówił sławny maestro, zwracając się do komisarza — w celu wyuczenia pana Levasseur roli Bertrama, którą ma grać w mojej nowej operze. W moim lokalu w hotel des Princes nie możemy się muzykalnym studyjom oddawać.

Wkrótce potem, na pierwszem przedstawieniu „Roberta Dyjabła,“ znajdował się wśród tłumu komisarz i odźwierny. Ten ostatni klaskał jak szalony; ale gdy w trzecim akcie, w scenie przyzywania dyjabła, rozwinął Levasseur całą potęgę cudownego głosu, zadrżał odźwierny i mruknął:

— Nie, ja tego dotąd niewiem, czy to jest człowiek czy dyjabeł w swej własnej osobie.

Mezalijans.

* Szajgec jeden z Staszowa pojął żonę młodą,
Zrodzoną w Łysobykach uroczych nad wodą,
Lecz choć ją karmił rzodkwią i pieścił namiętnie,
Sura patrzyła na świat ponuro i smętnie,
A nawet wystrojona w święty dzień szabasu,
Miała oczy czerwone—jakby z niewywczasu...
Smutek ten mocno martwił młodego Szajgeca.
— Sure—pytał z lubością—cóż to znów za heca?
Czyliżbyś w sercu jakie nosiła tajniki?
Lub czyli żal ciężarem legnął ci na głowie?
— A Szmulu, jam rzuciła piękne Łysobyki,
By mieszkać w takiem małem i brudnem Sta-
[szowie.

Świąteczny.

Mezzetin.

* Mówią że Mezzetin, aktor Comédie Italienne, dedykował napisaną przez siebie sztukę księciu de Beauvilliers.

Spodziewając się gratyfikacyi od księcia, poszedł do niego dnia pewnego zrana, ale szwajcar, domyślając się o co mu chodzi, nie chciał go wpuścić. Mezzetin chcąc go ułagodzić, ofiarował mu trzecią część tego, co dostanie od księcia.

Kiedy przybył na peron, ta sama scena powtarza się z lokajem a potem z kamerdynerem, który stał u drzwi sypialni księcia, tak, że dla biednego autora nic już nie zostało.

Dostawszy się w końcu do księcia, Mezzetin powiada:

— Mości książe, oto moja praca, którą ci śmiem ofiarować wraz z prośbą obdarzenia mnie stu kijami.

Książę nie rozumiejąc mistyfikacyi, żądał tłomaczenia, a gdy Mezzetin opowiedział mu swoją przeprawę ze służbą, książe uśmiał się serdecznie. Żonie autora posłał sto luidorów, a służącym zapowiedział, że jeżeli podobna scena się powtórzy, karze im wypłacić w naturze wynagrodzenie, przyobiecane Mezzetinowi.

Miara.

* *Dwie miary.*

Raz chłop gorzałką w karczmie upił się obrzydle,
Panowie się wzdrygnęli i rzekli:
— Toż bydlę!
Pan się zdoił szampanem z swymi przyjacioły
I powiedziano na to:
— Toż człowiek wesoły!
Z bajki tej płynie morał, równie jak świat stary:
Że dla różnakich ludzi—są różnakie miary.

Świąteczny.

Miasto.

* Tam gdzie szabla rdzewieje, a rydel się świeci,
Gdzie do kościołów błotem nanoszone progi,

A ścieżka trybunalska trawami zarasta,
Kędy prochownie próżne, a pełne są brogi,
Tam gdzie piekarz w pojeździe, doktór pieszo
[leci,
Gdzie na podsieniach starce bawią się i dzieci—
Tam jest mądrość burmistrza a pomyślność
[miasta.

K. Brodziński. (p. t I s. 278).

* *Stare miasto.*

Na placyku głośno, gwarno,
Hałas, rwetes, krzyk,
Do straganów tam się garną
Ludzie różnych klik.

Maciejowa wpośród gwaru
Nęci dziewczyn kosz,
Bo w rabacie od towaru
Daje szósty grosz.

Na chodniku pan Walenty,
Zna go cały świat,
Jak zazwyczaj mocno cięty
Szewców ten pan brat.

Kuchareczkę, idąc, trąca
Nieostrożny fryc,
A Marysia, krew gorąca,
Wali w czub, jak nic.

Andrus mały, wróg „burego,"
Rżnąć „artychę" rad,
Bacząc, czy nie skubnie czego,
Na tę scenę wpadł.

Za nim radca honorowy,
Zwalniając swój chód,
Szuka chustki fularowej
Co mu andrus „zmiótł."

Dwie więc na raz awantury,
Zbiera się już tłum,
Ale nie wie jeden „bury,"
Czy podoła dwóm.

Z tego zajścia cna dewotka
Romans snuje już
I po targu płynie plotka,
Rosnąc wszerz i wzdłuż.

A reporter od „Kuryjera"
Temu bardzo rad,
Skrzętnie te ploteczki zbiera
I wypuszcza w świat.

Na placyku głośno, gwarno,
Hałas, rwetes, krzyk,
Do straganów tam się garną
Ludzie różnych klik.

Miasteczko.

* *Obrazek z miasteczka.*

Wiadomo wam, kochani czytelnicy moi, że w każdem z małych miasteczek naszych, kilka tylko murowanych domków, schludniejszą, wapienną sukienką okrytych, z prostemi ściany, całym mniej więcej dachem i takiemiż szyby u okien, mają zaszczyt tytułowania się kamienicami. I tak: na pierwszem miejscu kładzie się zawsze kamienica aptekarza, zwykle w rynku posadzona, dalej przezacny magistrat, dalej kamienica pocztowa, a czasami i kamienica, w której handel korzenny roztwiera gościnne połowy swych podwoi.

Otóż, nie trudząc was oglądaniem tych wszystkich arcydzieł prowincyjonalnej struktury, zaprowadzę do jednego z nich, nie w rynku, ale na końcu miasteczka położonego.

Na wzgórku, obok szerokiej drogi, czyli tak nazwanego traktu, widzimy jednę z powyższych kamienic, kształtem dawniejszych szlacheckich dworków zbudowaną. Dach wysoki, mchem porosły, okrywający przysiadłe już zrębisko, wygląda coś jakby futrzana czapka na wybielonej głowie starca, bo i ganek wązki, kapiasty, różowo pomalowany, wśród czterech, także różowo obwiedzionych okienek, w bujnej wyobraźni może się wydać potężnym nosem po szyję w ziemię zapuszczonej głowizny.

Ale przyszedłszy doń bliżej, skoro przeczytacie z sążnistych kulasów fantastycznie ułożony napis: „Stacyja pocztowa,“ a ujrzycie jeszcze żółto pomalowaną trąbkę starego fasonu, co niby złocisty wąż dwoma sznurami skrępowany, wije się koślawo po gankowej facyjacie, jesteście już pewni, że ta głowa, ten dom, a raczej miejscowa kamienica, w czasie pogodnym dostarcza schronienia dwom ociemniałym szkapom, jednemu pocztylijonowi, jednemu poczthalterowi, jednej bryczce, jednej trąbce i koniecznie jednemu pisarzowi pocztowemu.

Wyobrażam sobie w tej chwili, jakie to dreszcze przebiegają po ciele twojem, łaskawy czytelniku, na samo wspomnienie podobnej stacyi, albo na samą myśl, że może fatalizm jakiś zapędzi cię kiedyś z extra-pocztą pod jej opiekuńcze skrzydła. Wierzę ci, o, bardzo wierzę! bo proszę sobie wystawić, że ja od pół-czwartej godziny, dźwigając na szyi podróżną torebkę, siedzę i chodzę, siedzę i od much się opędzam, chodzę i cygara palę w kancelaryi pocztowej, słuchając najcierpliwiej strzegotania polnego konika, krzyku dziatwy, kaczek i gęsi wielmożnego poczthaltera, monotonnego cykotania zegara i dość peryjodycznego siekania, zapewne mięsa na zrazy, w sąsiedniej kuchence. Co pół godziny regularnie wpada zaspany poczthalter, ocierając usta i z imponującą miną tłomaczy mi najwyraźniej, że on niema obowiązku dawać extra-poczty na boczne trakty, że owies drogi, konie z paszy trawnej słabe, ogromne roboty w polu, że bryczka mu się rozeschła, że parę koni wysłał na pocztę do sąsiedniej stacyi, a drugą zwozi snopki do stodoły; że on tylko dla mnie robi tę grzeczność, odrywając konie od roboty, (czego wszakże nie wypełnia), że pisarz jego ma febrę, żona na wesele się przysposabia, syn u burmistrza pisuje i t. p. Ja słucham z całym zasobem cierpliwości, czekam z zupełną rezygnacyją, a koni wszelako jak niema, tak niema.

Wybiła siódma godzina, pan pisarz powrócił ze stodół, zdał najsumienniejszy raport o ilości zboża, przejrzał papiery i kalendarze, założył pióro za ucho, a przyglądając mi się ciekawie, usiadł za stolikiem.

— Już, proszę pana – odezwał się wreszcie, nie odwracając głowy — dzisiaj trudno będzie panu dobrodziejowi wyjechać, radziłbym pomyśleć o noclegu.

— A to dla czego? — krzyknę przestraszony.

— Bo konie prędzej jak na wieczór nie wrócą z pola i to dobrze zmęczone, a po deszczu drogi zepsute, więc nocą daleko nie zajedzie.

— Masz tobie—pomyślałem, siadając z rezygnacyją przy oknie—ja chciałbym na skrzydłach ptaka przelecieć owe trzy małe milki, dzielące mię od drogich osób, ja sobie już tyle na dziś poukładałem planów, jak moją matkę przyjemnie zadziwię niespodzianym przyjazdem, jak razem cieszyć się będziem po dziesięcioletniem rozstaniu; gdy tymczasem poczta obdziera listek po listku z całej gałązki nadziei i do tego o głodzie i chłodzie, każe nocować w lichej mieścinie, pośród słynnego z porządku żydostwa.

Gdy tak siedzę, dumając o przykrem położeniu mojem, od strony rynku sunie się widać jakaś obywatelsko-gospodarska figura, bo płócienną, paskowaną kapotą odziana, w żółtym, słomianym kapeluszu na głowie, dużych pobłoconych butach, a stukając zamaszyście sękatą laską, usiada nie zbyt lekko na jednej z ławek gankowych. Otarłszy pot z twarzy, która, powiedziawszy nawiasem, wśród biało mlecznych faworytów wyglądała jak czekoladowa galareta kremem obłożona, wydobywa dużą, płaską tabakierkę z bocznej kieszonki, pociąga z niej dobrze, a spojrzawszy ku głównej drodze, mruczy:

— Hm.... mosendzieju .. nie widać tędy...

Ledwie że się ten uspokoił nieco, aż tu z tej samej strony ciągnie drugie, podobne mu indywiduum, zbliża się do ganku i milcząc siada obok niego. Za chwilę pokazuje się i trzeci, figura wcale miejscowa, z czerwonym pomido-

rem miasto nosa i w urzędowym magistrackim surducie, nie pierwszej może całości, lecz zawsze urzędowym.

— I cóż dziadek Karol dobrodziej myśli o tem? — odzywa się ów drugi, wygolony jak butelka, sięgając ręką do otwartej tabakierki pierwszego.

— Dałbyś ojciec pokój z tym dziadkiem, do kaduka!—ofuknie zaczepiony — cóż to, mosendzieju, wnuki mnie opasują, czy co?

— Ale — przerwie mu pierwszy ze znaczącym uśmiechem — jest nadzieja, jest, panie dobrodzieju: pojutrze wesele...

— Eh, wesele, wesele, ale jak dla kogo, miarkujesz, ojcze dobrodzieju; mnie już dopóty siedzi — odrzekł, pokazując palcem po szyi. — A jeszczeby z wydatkami pół biedy, ale, słyszę, te nasze imoście strasznie się coś sadzą na ubiory, a człowiek... ot, miarkujcież ojciec dobrodziej, chudy pachołek, z roli tylko żyje, to to jakoś będzie wyglądać, jak kwiatek przy kożuchu.

— Oj, prawda, prawda—ozwie się radny, spluwając potężnie. — I moja stara tak mi suszy głowę, że, Panie odpuść, i zły jestem na ciebie, mój panie Karolu. U mnie lepiej ot zjeść porządnie, napić się, niżeli tam wieszać po sobie koronki, blondyny, kwiaty, wstążki; tu człeku przynajmniej zdrowie posłuży, a tu i psu na budę się nie zdało.

Dziadek westchnął, zażywszy tabaki; drugi, ów nauczyciel emeryt, uśmiechał się tryumfalnie, a mój pan pisarz, niechcący zaczął się przybliżać ku oknu i słuchając pilnie, pomrugiwał oczami, zacierając ręce. Wreszcie, snać ośmielony moją ciekawością, z jaką nadstawiałem ucha, odważył się przemówić ciszej:

— Bo to, widzi pan dobrodziej, ten stary, co to laską wywija, jutro wydaje córkę za mąż za urzędnika z powiatu. Nasza arystokracyja niewieścia sadzi się na stroje, bo ma być huczne wesele, i tego i owego już naskupywali od tygodnia; stary, panie dobrodzieju, choć to tak wygląda niepozornie, ale dusi grosze, panie dobrodzieju; ho, ho, ja wiem dobrze! Folwark niezły, stary gospodarz całą gębą, cóż, kiedy nosa okropnie zadziera. Wszędzie bywa tu w okolicy u obywateli, u burmistrza, u doktora, u aptekarzowej nawet; a córka? hm, tak sobie, nie zła, nie dobra; kiedyś, to znaliśmy się bliżej—dodał z pewnym znaczącym uśmiechem — ale od pewnego czasu, na bakier ze starym jesteśmy...

— Hej, panie Sadłowski!—przerwał w tej chwili ów stary gospodarz, wymawiając ten wyraz „Sadłowski“ z pewnym naciskiem—czy myśli przyjść dzisiaj poczta, czy nie?

— Jak Bóg da—odrzekł pan pisarz, nie patrząc się w tę stronę.

— A to, miarkujecie państwo, zwaryjować tu przyjdzie z wami, tego!.. U mnie żniwa, u mnie wesele, u mnie siano, a ty czekaj po trzy godziny i doczekać się nie możesz; tfu! miarkujecie, z taką pocztą, z takim porządkiem!!

— Niechno dziadek dobrodziej pozwoli...

— Co ja mam pozwalać za swoje własne pieniądze! cóż to, nie płacę za gazetę?i

— Ależ, tabaki — przerwał uśmiechnięty emeryt, trzymając za guziki niegdyś mundurowego fraka — poczta pocztą przyjdzie, a jeżeli dziadek dobrodziej masz robotę w polu, to idź; ja, nie wymawiając się, gazetę tego odbiorę, odniosę...

— Jutro, ale nie dziś! Ja, miarkujecie, płacę, a potem na trzeci dzień mam odbierać?!

— Eh, nie bardzo to i prawda — wtrącił radny.

— Panie święty!—zawołał pan Karol, zrywając się z ławki — już też chyba oczu ja nie mam, czy co? a patrzajże wasan, patrzajże! — wołał, pokazując pęk wydobytych z kieszeni gazet i podstawiając mu pod oczy. — Co to komu nos wsadzać do cudzej sprawy, pilnowałbyś wasze piórka lepiej i tego...

— I czego?—powtórzył głośniej, zrywając się radny.

— I tego ot—domówił pan Karol, puknąwszy palcem po gardle i obracając się ku ścianie.

— Ha, ha, ha! masz waspan zapłatę za mój frak z długiemi szosy, tak, tak, tak, nie wyśmiewaj.

— Widzę, że panowie bierzecie mię tu na fundusz—odezwał się urażony radny, lecz widząc, że to oświadczenie żadnego wrażenia nie robi, dodał, wskazując na zatłuszczony kołnierz swego surduta – czy wy wiecie, co to jest tu?

— No i cóż, kołnierz ponsowy — odrzekł emeryt.

— A ten co znaczy?

— Znaczy, miarkujesz, panie: komplet z nosem waćpana - dodał, gniewny już obywatel.

— Bo to, widzicie panowie — wtrącił wychylając się przez okno pisarz pocztowy — pan sekretarz temu nie winien; tylko jak jeździł na wojaż, dawniej, to się umył na czczo w morzu Czerwonem...

— Chyba w araku—mruknął emeryt.

— I od tego czasu ani sposób się wymyć.

— Idzie, idzie!—krzyknął na to radny, wybiegając z ganku.

— Kto idzie? — powtórzył za nim obywatel — co, daleko?

— Zkąd idzie? — szepnął, powtarzając emeryt.

— Zaraz tu się rozstrzygnie, pan prezydent, pan prezydent.

— A bodajże cię! ja myślałem, że poczta.

— I ja także.

— I ja—dorzucił ekspedytor, gdy oburzony sekretarz zbliżał się ku prezydentowi.

W istocie od strony rynku, w elastyczno-żywych podskokach stąpał szanowny naczelnik miasta, człowiek dość jeszcze młody, a jak na burmistrza, to dość szczupłej budowy, w białym płóciennkowym surduciku, w czapce z ponsowym lampasem; śmigając gutaperkową szpicrutą, oganiał się na wszystkie strony towarzyszącej mu zgrai żydów, żydówek i mieszczan, którzy z odkrytemi głowy, kłaniając się do nóg szanownego prezydenta, zanosili wzajemne a gorące skargi.

— Co ja tu z wami będę się *harmidrzył*, przed żoną takie sprawy, przed żoną, tymczasem do kozy i basta!

A nie pozwalając skrzywdzonemu sekretarzowi wyjawić osobiste zażalenia, rozkazał zapakować całą świtę do aresztu. Żydówki w krzyk, dzieci w płacz, a stary jakiś mieszczanin, włożywszy siwą czapkę na głowę, odwracając się, potrząsł nią tak silnie, że boczne wstążeczki poruszyły się prawie jednocześnie z podniesieniem grożącej ręki.

— A co, panowie—odezwał się wesoło, zasiadając w ganeczku—taką mieć żonę, jak moja, to ha! patrzcie-no jaki prezent mi wygotowała, jak honor kocham, hrabiowski -i przy tych słowach wyciągnął na przód obie, monstrualnej wielkości nóżęta, na których lakierowane trzewiki zabłysły.—Jak honor kocham, nikt takich niema w całej okolicy, to jakby w oliwie umaczał, nieprawda?

— Jakby - dorzucił obojętnie emeryt.

— A zkąd to? a co kosztują pana prezydenta? a przez kogo? a jakie dzielne – trzepał zaintrygowany mój pisarz, oglądając z skwapliwością trzewiki. — Niech mnie gęsi zdepczą, jeżeli nie zgadnę, że to z Warszawy!

— Naturalnie – bąknął prezydent – jak honor kocham, tak jestem szczęśliwy, że to ha! Ale, ale, wiecie też panowie, co to za przemyślne te moje żydziska, ha, ha, ha!..

I roześmiał się tak serdecznie, że nawet zagniewany opóźnieniem się poczty pan Karol zapytał:

— I cóż? cóż?

— Powiadam panom, hece, jak honor kocham, czyste hece. Przed godziną do Fajbusiowej zajechał ten Szymulski młody, syn rewizora tabacznego, znacie go panowie, ha, ha, ha! pęknę, jak honor kocham, pęknę...

— Ale cóż? no i jakże?—pytali obaj siedzący, a pan pisarz:

— Kto? ten poczciwy Kasperek?

— Kasperek, Kasperek... jak honor kocham... to doskonałe... ha, ha, ha! wartałoby

do gazet podać, bo wystawcie sobie, że go tu żydzi nie znają; to stara Janklowa, co się to wszędzie musi wśrubować, dalej do niego: a może wielmożny pan kart potrzebuje, a może cygarzech:—on też na to jak na lato—dawaj, dawaj, dobrze. Żydowica do domu znosi, jak honor kocham, coś z dziesięć tuzinów kart, ze sześć pudełek cygar, a kiedy już wszystko Szymulski pochował, dopiero do niej:

— Idź precz! ja syn rewizora, ojciec tu zaraz przyjedzie.

— Awa! awa!—Janklowa w krzyk i do mnie.

— A, brzydko!—przerwał pan Karol—jaki podstępny!

— Ja też myślę, co się tam będę wtrącał do tego.

— No, ale cóż się zrobiło?

— Żona kazała żydówce powiedzieć: róbcie co chcecie, tylko ostrożnie! ona też po żydach szwaru, szwaru, żydzi pomiędzy sobą i dalej w prośby do pana rewizorowicza. Jeden, drugi, dziesiąty, przychodzą, kłaniają się, nawet mu tam coś i w łapę suną; ale gdzietam, gadać nie chce z nimi, odbił już jedno pudełko, zapalił cygaro i śmieje się z figla. Aż tu jednym razem żydzi jak się nie zmądrzą, buch na niego; w usta chustkę pakują, kładą na ziemię, a drudzy wszyściutko wynoszą i jeszcze pono coś mu sypią na pamiątkę... ha, ha, ha! co? nie doskonałe historyje? On do mnie z płaczem, ale szukaj tam żydów; jak honor kocham, gada, że mnie zaskarży, a moja żona dalejże na niego obcesem: co wasan za jeden, hę?—chłopak jak trusia, uszy po sobie i na brykę. Zuch kobieta, niema co powiedzieć; jak honor kocham, drugiej takiej nie znajdzie!

— Tak, tak — pomruknął, śmiejąc się, pan Karol—tylko żebyście wy z tą aptekarzową nie zadzierali, bo jak ona...

— No i cóż mi tam aptekarzowa zrobi?

— Nic nie zrobi, tylko to w jednem mieście, tak jakoś, miarkujesz, nie wypada ..

— A skoro ona chce tu być panią, trudnoć, jak honor kocham; pan dobrodziej wiesz, jaki ja człowiek: byle komu z drogi nie schodzę; ona koniecznie się pakuje do pierwszej ławki, a to panie trudno, żeby moja żona miała być coś gorszego; że ona ma swoją kamienicę, cóż wielkiego? i ja przy pomocy Boga dorobić się mogę, ale jak honor mój kocham, nie ustąpię ani na tyle, ani na włos; przed wszystkimi ogaduje, że moja żona taka a taka, że mną i miastem rządzi, że nie szlachcianka, a co jej kroć dyjabłów do tego? Sami panowie widzicie, jakie to potulne, jak baranek jaki; niech każdy tylko ma taką żonę; życzę mu, jak honor kocham, tak prawda, życzę z całego serca.

— Poczta!—krzyknął mój pisarz, odwracając się do okna.

— Poczta! poczta!—powtórzyli wszyscy, ruszając się żwawo.

— A ciekawym co też tam, panie, z Ludwikiem się zrobiło?—mówił emeryt, kończąc zażywanie tabaki i chowając chustkę do kieszeni.

— Tysiąc razy gadałem waćpanu—odrzekł gniewnie pan Karol—że jemu tego niedługo.

— Oho, nie! — mruknął, ruszając głową emeryt—mądra to sztuka, stryjaszek go uczył u anglików; nie da się, nie da!

— Co to nie da!—krzyknął prezydent—policyjanta żona pośle i zapakują...

— Kogo zapakują, Ludwika Napoleona?

— Albo to o nim panowie mówicie?

— O kimżeby? czy to nie ciekawa rzecz? ja z panem Karolem założyłem się o dwie szklanki ponczu u Łykiewicza: zobaczymy. Francuzy, to prawda żywe sztuki; pamiętam jednego guwernera u Starzyckich, bestyja jak ogień, kręci się, jak gdyby go kto oparzył.

— Bredzisz wasan i nic nie miarkujesz. Nie ma to tam *Szangarnego, Kubanaka*, niech krzykną...

Ale wtem bryczka zatoczyła się przed stajnię i wszyscy trzej na wyścigi biegli do pocztylijona.

— No i cóż, jest poczta, jest, hę?

— Za pozwoleniem, co się tam panowie wtrącacie!—zawołał pisarz, odpychając rewizo-

rów bryczkowych, a szczególniej szarpiąc niechętnego mu pana Karola.

— A to co znowu?—krzyknął rozgniewany —nie dość, że płacę za gazety, jeszcze na nie mam czekać, hę? To, panie, miarkujesz, jak świat światem nie pozwolę.

I porwał szybko zapakowany worek, staremi i nowemi pieczęciami oblepiony, a że był za ciężki, więc emeryt dopomógł ciągnąć za różki, prezydent znowu, jako głowa miasta, dzierżył sam sznurek, trzymający pieczęcie. Z takim tedy tryumfem i trudem niemałym, wyrzucili go z bryczki, a niosąc ku gankowi, wśród niemego podziwienia i ukrytej złości pana pisarza, zdawali się już zazdrościć jeden drugiemu pierwszeństwa otworzenia. Skoro więc ułożono go na podłodze, każdy z nich, nie puszczając wcale trzymanych końców, począł drugą ręką szukać po kieszeniach snać scyzoryka do przerżnięcia sznurków.

— O, co tego, to zanadto!—wrzasnął zrozpaczony pisarz—panowie, zdaleka!—i przyskoczył do nich, z zamiarem odebrania worka.

— Idźże sobie, idźże sobie, a idźże sobie waćpan—wyrwało się naraz z trzech ust szanownych aspirantów, gdy ręce jeszcze silniej dzierżyły zabór.

— Proszę pamiętać, panowie, że jak co zginie, ja nie odpowiadam, a teraz idę do pana naczelnika.

— Dobrze, dobrze—mruknęli, szukając na wyścigi nożyków.—A czy cię tam dyjabli nadali tak wiązać — syczał pan Karol, szarpiąc za sznurki.

— Ot, tak go — dorzucił niecierpliwy emeryt, pokazując, że on zębami najprędzej by rozwiązał.

— Ale na co się tu waćpan wtrącasz! — krzyknął zniecierpliwiony pan Karol, odsuwając go na bok—gazety nie prenumerujesz, to tu dla ciebie nic nie ma.

— Co to niema? listu się spodziewam!

— No, to idźże sobie z Panem Bogiem!

I szarpnąwszy mocno, rozpruł z boku worek, gdy prezydent tymczasem porwawszy go za oba przeciwne boki, wysypał cały zapas listów ekspedycyi i gazet na ziemię.

Jak zgłodniałe stado wilków na swoją ofiarę, tak i nasi trzej ciekawscy rzucili się do podejmowania paczek. Najpierwszy pan Karol schwycił za gazetę krajową, emeryt w braku tych za listy, patrząc wszakże co tam pan Karol wyciąga, a prezydent zobaczywszy na pudełku adres swojej żony, krzyknął:

— To z Warszawy, jak honor kocham, to dla mojej żony! hej, hej, chłopiec, pójdź-no sam, leć co duchu do pani prezydentowej i powiedz, że na poczcie jest dla niej pudełko!

Tymczasem pan Karol, założywszy na nos okulary i rozwinąwszy drżąco gazetę, usiadł w kąciku, jakby nigdy nic nie było i zaczął czytać, począwszy od środka. Emeryt schylony nad listami, zaglądał ukradkiem z pod spodu, a prezydent wahając się, czy rozpakować lub nie żonine pudełko, patrzył głupowato na czytającego Karola, po którego twarzy, jak po skórze kameleona, przebiegały coraz to inne giesta i rumieńce.

Wtem z bocznej stancyjki, ocierając usta, wypada zasapany poczthalter w asystencyi swego pisarza, a zobaczywszy zasłaną podłogę różnego rodzaju paczkami, krzyczy:

— A to co? kto śmiał!

Lecz nasi rabusie zajęci gazetą, ani pomyśleli o odpowiedzi; więc on znów jeszcze głośniej:

— No, kto? kto?

I tym razem jakby do słupów przemawiał, bo pan Karol uśmiechając się w najlepsze i nie odrywając wzroku od gazety, po chwili zawołał:

— A nie mówiłem, miarkujecie państwo, nie mówiłem, ot, tak, dobrze... strzelił!...

— Gdzie? gdzie? gdzie? — pytał emeryt, podsadzając od dołu głowę swą pod jego ręce.

— Kto? komu? — szeptał prezydent, pociągając za rożek gazety, trzymając jednak żony pudełko.

— A tak, tak tu stoi, jak wół... dobrze mu...—mruczy pan Karol, poprawiając kapelusza i machinalnie rejterując z ganku z coraz wyżej unoszoną gazetą.

— Ależ ceduła gdzie?—krzyczy opamiętały poczthalter, ciągnąc z drugiej ręki pana Karola sino porubrykowaną kartę.

— A idź-że sobie acan do sto par beczek! cóż-to? za swoje pieniądze gazety przeczytać nie mogę?

— Ależ cedułę pan zabierasz, to napad oczywisty rozbijać zamki!

— Eh! głupstwo, panie! — ofuknął pan Karol — chybił... a niech-że go kaczki rozdepczą, tfy! głupiec, miarkujcie, trzy kroki...

Tu już emeryt, nie mogąc powstrzymać palącej go ciekawości, szarpie za środek gazety, urywa ją, zostawiwszy koniec w ręku pana Karola i w nogi. Pan Karol z ognistem spojrzeniem za nim, a prezydent z pudełkiem pod pachą, także trzymając za róg gazety, pakuje się w nowych lakierowanych butach w sam środek potężnej przedgankowej kałuży. Sam tylko poczthalter niewiele myśląc, zbiera po ziemi rozrzucone ekspedycyje.

— Pudełko, pudełko jeszcze! — krzyknął pisarz.

— Prawda, pudełko, prezydencie!

— To moje, to do mnie, a strzelił, no i strzelił? ktoby się też spodziewał....

— Trzeba pokwitować, tak nie można! — wołał poczthalter.

— Głupstwo .. do mnie i tego, czekaj-no, a czy was tam... oddasz, czy nie, no, bo jak... miarkujesz, no?

I tak szarpiąc się, wydzierając na podobieństwo tego astronoma z bajki, brnęli coraz to głębiej w ową kałużę. Nareszcie pierwszy prezydent, obaczywszy pomaczane lakiery, a emeryt, uczuwszy potężne szarpnięcie po ramieniu, cofnęli się napowrót, zostawiając samemu panu Karolowi zaszczyt czytania wśród błota swojej gazety.

Miarkując z podobnie gazeciarskiego zapału, że ja najprędzej zostanę tu ofiarnym kozłem i koni się nie doczekam, uzbrojony w cywilną odwagę, wychodzę do ganku. Poczthalter ani słucha mej prośby, bo klnąc i gazety i pocztę i prezydenta i pisarza, zbiera, gatunkuje, notuje porozrzucane szpargały; stoję więc przed nim z miną prawdziwie kłopotliwą, gdy wtem huknie mi ktoś nad uchem:

— Gdzie moje pudełko z Warszawy?

Skoczyłem, jak oparzony i patrzę, aż tu przedemną ogromna kobieta, jak najtęższy gwardyjski grenadyjer, macha rękoma, dopominając się o pudełko.

Słowo wam daję, czytelnicy, struchlałem, albowiem wystawcie sobie ponsową kulistą twarzyczkę, najmniej trzy ćwierci łokcia średnicy mającą, osadzoną na tęgich barach, w tej chwili nie bardzo skromnie przystrojonych i złoto-bronzowy czepek suto wstążkami okraszony, a do tego stosowny wzrost, figurę, rączki, nóżki, to nic dziwnego, że ja nie żaden personat, a do tego niezbyt odważnego serca, zapomniałem języka w ustach, jak ten studencik, złapany przez dyrektora na jakiejś swawoli. Wkrótce atoli, opamiętawszy się nieco, zauważyłem, że i prezydentowa, spojrzawszy na mnie surowo, zwróciła się do męża, szepnąwszy:

— Co to za jeden?

Na to zapytanie prezydent, pan Karol i emeryt popatrzyli na mnie, a ja wzajemnie dostrzegłem, że i na nich wpływ szanownej naczelnikowej miasta nie mało skutkował, bo pan Karol spuścił gazetę, emeryt, prostując się, zapinał guziki fraka, a drogi mężulko, wyjąwszy cichaczem chustkę z kieszeni, ocierał powalane błotem lakierki.

— Proszę pana, coś pan za jeden? — spytała imponująco, rozwiązując sznurki, ściskające pudełko.

— Ja, pani... jestem z Warszawy.

— Cóż to, że z Warszawy, ale świadectwo czy masz pan?

— Mam—odrzekłem, wydobywając mój urlop biurowy i to przyznam się z największą skwapliwością, by mnie nie spotkał podobny los, jak poczciwego Wilkońskiego w Galicyi.

— A tak, a tak, pan dobrodziej z Komisyi spraw wewnętrznych, bardzo przepraszam, bardzo; widzi pan, u nas taka się masa złodziei zagęściła, że nic dziwnego, jesteśmy ostrożni, a pan sam urzędnik, to wiesz, jaka tu grozi odpowiedzialność.

— Tak, tak, odpowiedzialność — powtórzył uśmiechnięty mężulko — i zapewne pan czekasz na konie?

— Nie czekaj pan darmo—wtrącił, słysząc to, poczthalter—dziś koni nie dam.

— A dla czego, jeśli wolno spytać? — wyrzekła prezydentowa, rzucając groźne spojrzenie.—Ach! co za prześliczne ubrania! ach! lecę, idę przymierzyć.

I nie czekając odpowiedzi, zawiesza na ręku wyjęty z pudełka czepek, biegnie z nim ku domowi, ciągnąc małżonka, gdy dwaj pozostali, idąc wolno ku przeciwnej stronie, czytali jeszcze gazety, potykając się co kilka kroków o wystającą grudę nierównej ulicy.

Zdesperowany, widząc się zupełnie opuszczonym, zabieram podróżne manatki i idę ku miastu szukać jakiego na noc schronienia. Ale nimem doszedł rynku, spotyka mię zadyszany prezydent i w najniższych ukłonach zaprasza do siebie, dodając, iż żona jego koniecznie sobie tego życzy.

— Trudna rada—pomyślałem—prezydentowa sobie życzy, trzeba przyjąć.

Lokują mię tedy w kancelaryi magistralnej, znoszą stosy pościeli na twardą sofkę, częstują czemś podobnem do herbaty, słowem, odbieram nadspodziewane honory, dla czego i za co? to niech się czytelnicy domyślą.

Naprzeciw kamienicy magistrackiej, jak raz okno w okno stała kamienica aptekarzowej, wedle twierdzenia mej gosposi, od niepamiętnych lat w stanie wdowieństwa jeszcze zostającej. Pani prezydentowa tedy, roztworzywszy okna z kancelaryją graniczącego salonu, po raz setny może przymierzała i zdejmowała owe z Warszawy przysłane ubranie, a przechylając się co chwila na zewnątrz, spoglądała w przeciwległe mieszkanie, koniecznie chcąc być widzianą.

— A co, nie pęknie z zazdrości, Ignasiu?

— Pięknie, pięknie, jak honor kocham—powtórzył Ignaś, przeglądając się w lustrze.

— At, masz pan z takim mężem! jak Boga kocham, mówię, że on do niczego; najprzód, panie, głuchy...

— Nieprawda.

— Nieprawda? tak, tak? nieprawda? i to się podobnemi wyrazami odpowiada żonie? słyszysz pan? czy to w Warszawie...

— No, to przepraszam cię, moja żonusiu...

— Cicho bądź, kiedy ja mówię! dalej, proszę pana, żeby nie ja, coby się tu w mieście działo!... ale jest... patrzcie, patrzcie państwo, z za firanki spogląda... a co, śliczne, śliczne, śliczne, moja pani aptekarzowo! zobaczymy, jak wasani się wystroisz!—wołała, kląskając w ręce z pewnym rodzajem przysiadań.—Moje ubranie z Warszawy, Halka, dawaj zaraz! Ignasiu, jak Boga kocham, patrz-no... ale, ale, figę wasani będziesz miała, figę — i złożywszy palce w stosowny kułak, wysadziła je za okno. — Aha, to jej się wydarzyło! aha, kto górą, pani aptekarzowo?

Spojrzę i ja ku oknu, w samej rzeczy, blada, pomarszczona, a ściągła twarzyczka miga się za firanką przeciwległej kamienicy, z częstego zaś uchylania i szybszego jeszcze zamykania okiennic wnosiłem, że naprawdę w niezbyt przyjacielskich obie panie zostawały stosunkach.

— Moja żonusiu — przemówił pan prezydent, całując ją gracyjonalnie w rękę—czy my to nic jeść nie dostaniemy?—i spojrzał ku mnie prosząco.

— No, widzicie, moi państwo, a to dopieroż żarłok! fe! nie wstydzisz się?

— Cóż, kiedy... uważasz żoneczko... tak na kurczęta mam dyjabli apetyt.

— To zabić... Halka, cztery kurczęta zabić!

— Niema już, proszę pani.

— Jakto niema? a te, co tam chodzą pod oknem?

— To nie nasze.

— Nie nasze? doprawdy, nie nasze? — wyrzekła z przekąsem, szturgnąwszy ją potężnie.— Co tu w mieście nie nasze, hę? złapać i zabić!

Sługa odeszła, a pani do mnie:

— Proszę pana dobrodzieja, co tu za miasto! kurcząt dostać nie można, bo pan prezydent malowany...

— A daj-że pokój! — syknął przestraszony mężulko, ciągnąc ją za suknię — to z komisyi...

— A i cóż z tego? ten pan jest grzeczniejszy od ciebie i pewno paplać nie będzie... bo, mój panie... ale jakże ci na imię?

— Jan, do usług.

— Mój panie Janie, nie chwaląc się, ja tu w mieście wszystkiem, wie pan? ekspedycyje sama komponuję, a jakie? to się pan przekonaj?

I to mówiąc, wyciągnęła z szafki plikę akt magistrackich, czytając jednę za drugą.

— Prawda, prawda, doskonałe, wyborne— powtarzałem, słuchając przez pół godziny magistrackich wezwań i odpowiedzi.

— I uważasz, panie Janie, są tu w mieście tacy, a raczej takie panie, którym się zdaje, że są coś lepszego odemnie; otóż niedaleko szukać, ta piękna chuda aptekarzowa nosa zadziera dla tego, że ma tam kilkanaście flaszek z kwaśnemi lekarstwami. A wszędzie jest, wszędzie ze strojami, to z Radomia, to z Końskich... Nie tak, moja imość, nie; ja, nie chwaląc się, proszę pana, znam się w Warszawie z panem naczelnikiem i z panią naczelnikową, a jakże, bo niech-no się pokażę u nich, to, panie, miejsca znaleźć mi nie mogą; ot i teraz przysłała takie śliczne ubranie, że to... obejrz pan, wszystkie zakasuję.

— Ale co też kosztuje?—wtrącił mąż.

— No, cóż kosztuje? albo ty wiesz, co kosztuje, kiedy grosza przy duszy nie masz. Ja, proszę pana, za pozwoleniem, buty mu kupuję, bo on do niczego.

Wtem otwierają się drzwi od sieni i jakaś obdarta dziewczyna wbiega, wołając:

— Moje kurczęta, moje kurczęta!

— Co, co? jak śmiesz!

— A kiedy mi Halka złapała kurczęta — mówiła z płaczem dziewczyna.

— To cóż wielkiego? zapłaci się.

— Kiedy mamunia wybiją...

— Powiedz mamuni, że i ją wybiją, rozumiesz? No, idź sobie precz! — dokończyła, wypchnąwszy ją za drzwi, a potem, jakby nigdy nic nie było, mówiła dalej: — jutro mamy tu u nas wesele w mieście; stary Kukalski... nie zna go pan?

— Nie znam—wyrzekłem, ziewając.

— Ten stary, co to gazetę sam z poczty odbiera, wydaje córkę za jednego tu urzędnika z powiatu, rachmistrza naszego.

— Mamo, mamo! wie też mama — mówiła, wpadając do pokoju, może dwunastoletnia dzieweczka, istny portrecik pani prezydentowej, a zobaczywszy mnie obcego, zaczęła szeptać jej do ucha, z czego usłyszałem tylko wyrazy: „o ubraniu... aptekarzowa“, a potem odgłos dobrego policzka.

— To i ty szpiegować mię będziesz! na coś powiedziała jakie? na co?

Dzieweczka w płacz i wymówki, a pani prezydentowa już zmartwiona samą myślą, że jej przeciwniczka może coś podobnego kazać sobie zrobić, nie poprzestała wygadywać na takie zuchwalstwo.

— Pan nic nie wie, jakie tu u nas biedne jest życie: gdzie się ruszysz, wszędzie plotki, komeraże i inne nieprzyjemności; w kościele naprzykład, moja wielka pani do pierwszej ławki, a idzie imość o dziesiątej, żeby jej kto przypadkiem miejsca nie zajął; mój Boże wielki, myślałby kto, że to z nabożeństwa, ale my wiemy

o wszystkich jej sprawkach; ciągłe, proszę pana, zgorszenie w mieście, już nie chcę tu mówić, ale spytaj się pan pierwszego lepszego mieszczanina, co tu u niej co wieczór gości, a z subjektem jej... ach! dajmy temu pokój, powiadam panu, uszy bolą słuchać! I to czupiradło chce tu jeszcze imponować, podmawiać drugie uczciwe kobiety, na mnie wygadywać?

— Proszę pani — zawołała taż sam Halka, wpadając do pokoju — aptekarzowa płacze i mdleje.

— A dobrze jej tak, niech płacze; tak, tak, tak, skręć się, babo, a na wesele takiego ubrania już nie dostaniesz!—odrzekła uszczęśliwiona prezydentowa, pokazawszy jeszcze raz swój stroik w oknie.

— Przyznam się pani—wyrzekłem nieśmiało—uwierzyć nie mogę, żebyście państwo w jednem miasteczku tak nieprzyjaźnie żyć mogli.

— To wcale, proszę pana, nie nieprzyjaźnie; przecież bywaliśmy u siebie, ale od czasu, jak mi zrobiła afront...

— Cóż to za afront?

— Oh! afront, afront — odezwał się, przebudzając naczelnik miasta—omało się na rozlewie krwi nie skończyło.

— Albo to nie było, co? nie było? nie zranili cię?

— A poranili, jak honor kocham, tak okropnie, że niech łaska Boska broni.

— I za cóż tak?

— Eh! Pan Bóg ich wie, za co, oczywiście przez zemstę, bo wiesz pan dobrodziej, prezydent dbać powinien o bezpieczeństwo miasta, a tu zajeżdżał ciągle jakiś jegomość po nocach do apteki; myśmy to uważali i kazałam policyjantowi raz go wyprowadzić tam het, precz, bo świadectwa, ani urlopu nie miał żadnego. Aż tu w kilka dni potem mój wraca od Kukalskich w nocy ze mną, proszę pana, ze mną, tak pod rękę, no wprawdzie nie trzymał się on tak dobrze na nogach, ale cóż to szkodzi? razemśmy byli, każdemu się zdarzy w dobrem towarzystwie.

— Oj, arak też był dzielny, powiadam jegomości, to szczery ogień z nieba — przerwał prezydent, mlaskając ustami żeby takiego dostać teraz, jak honor...

— A cicho-że, ty opoju; słyszysz pan, on tylko myśli nad tem, jak się ululać i nic więcej, a na mojej głowie wszystko, za to cię też porządnie wytrzepał.

— Ależ kto?

— My nie wiemy dobrze, bo ciemno było, ale któżby, jak nie ten jej gagatek? Proszę pana, z dziesięć razy go uderzył kijem, ale takim grubym, jak jest... ot tu moja ręka.

— No i cóż dalej?

— A nic dalej, bo i mnie się dostało — mówiła z płaczem — i jeszcze nawygrażał się, nawymyślał, co mu tylko ślina do gęby przyniosła.

W tem miejscu znowu otworzyły się drzwi od sieni i zgarbiony staruszek, snać miejscowy policyjant, bo z czapką ponsowym lampasem obszytą, jednak bez butów i w podartej kapocie, wchodził powoli, kłaniając się nieustannie z miną tajemniczą; za nim zaś, widać było zaglądającą ciekawie głowę starej żydówki.

— No, co powiesz?

— Niech-no wielmożna pani wyjdzie tu do sieni.

— Po co?

— Eh... ale. .—i zaczął się skrobać po głowie, nie śmiejąc przy mnie mówić.

Prezydentowa wybiegła za nim, a mój mężulko, odetchnąwszy wolniej, zerwał się z krzesła czemprędzej, skoczył do szafki, od której kluczyków zapomniała wziąć małżonka i jednym haustem pociągnął dobrze, stawiając flaszkę w zwyczajnem miejscu.

— Ha! pyszna, może i pan, co?

— Dziękuję.

— No, pójdź, pójdź, jak honor kocham, co tam ceremonie! tylko prędko, bo ona ci tu nie pokaże tej flaszki.

— Nie, dziękuję.

— No, to uważasz, panie, jak przyjdzie, nic nie mów, a lepiej jeszcze poproś o to wino, co tam w piwnicy około okna stoi; mój panie, co ci to szkodzi, poproś, a nie będziesz żałował, jak honor kocham, takie, żeś w życiu ani kosztował.

— Nie, nie—pokiwałem głową, bo pan prezydent myk na swoje miejsce, a luba połowica, wracając z sieni i chowając coś pod chustką, mówiła:

— Wiesz pan dobrodziej, osądziłam już sprawę bardzo polubownie, przekonasz się pan— oddając zaś kluczyk policyjantowi, rzekła: — przyprowadzić tu obydwóch!

Za chwilę tedy otworzyły się znowu te same drzwi i jeden za drugim wsunęli się, żyd i mieszczanin, których przy domku pocztowym prezydent kazał popakować do aresztu.

— No, przeproście się zaraz! — krzyknęła moja jejmość, stając przed nimi zuchowato; lecz widząc, że oni wcale nie myślą o tem, a tylko jeden żyd coś mamrocze pod nosem, powtórzyła, tupając prezydentowską nóżką: — zaraz mi się pocałować!

— Co? ja żyda będę całował za to, co mnie jeszcze wyprał?!

— Mówię, pocałować się, bo do kozy napowrót!

— To niech idę, a nie pocałuję — odrzekł z rezygnacyją mieszczanin.

— Ny, a na co się całować, wielmożna pani, ja... mi tam na ulicy się przeprosim.

— A ja nie chcę; bo skoro zamiast sprawiedliwości, co mię żydzi pobili...

— Co ty tu mówisz o sprawiedliwości, hę?!— zawołał, zrywając się, prezydent — co to moja żona ma być niesprawiedliwą? precz!—i wyrzucił obydwóch do sieni.

— No — pomyślałem — dobry sąd polubowny, jeden pokrzywdzony i wybity, a drugi winowajca, równo ukarani.

* * *

Na drugi dzień o dziesiątej z rana, przy pomocy szanownych prezydentowstwa, wyjeżdżałem z miasteczka, obdarzony dwoma kurczętami z owych czterech biednej dziewczynie porwanych, za co? to sam nie wiem i z solennem zaproszeniem, abym powracając, nie ominął skromnej chaty, prostych, ale poczciwych sobie, jak się wyraziła prezydentowa, mieszczuchów.

Kontent więc, że przecie potrafiłem się wydobyć z miasteczka, każę podcinać konie, śpiesząc ku domowi, a rozpuściwszy wodze mej wyobraźni, już witam się z familiją, całuję, ściskam, rozpowiadam o dziesięcioletniej rozłące naszej, gdy oto wysuwa się z zakrętu mała pocztowa bryczułka, a w niej młody i przystojny mężczyzna w letniej bluzie i słomianym kapeluszu. Spojrzę baczniej: twarz mi znajoma, spojrzę raz drugi, a tu: stój! stój! i w tej samej chwili czuję na mej twarzy serdeczno-ślinny pocałunek z okrzykiem: „Jak się masz, Jasiu, jak się masz, kapeluszu (bo tak mię w szkołach nazywano) no, cóż, nie poznajesz... nie poznajesz kolegi? — pytał młodzieniec, trzymając mię za oba ramiona—no, pamiętasz Macielskiego?“

— A, a, a!—zawołałem, roztworzywszy na rozcież usta; i dalej-że znowu całusy.

— Gdzie jedziesz? co porabiasz? jak się miewasz?

— Jadę do matki, urzęduję w Warszawie, a mam się, jak zwykle, w dobrem zdrowiu, przy pustej kieszeni; ale ty też, coś na księdza się sposobił?

— Pal tam sześć i księżostwo! ja, człowieku, teraz najszczęśliwszy z ludzi!

— No, to chybaś wygrał duży los?

— Ee, coś lepszego jeszcze; żenię się pojutrze.

— A, to co innego, mój Kaziu, winszuję ci wygranej, choć z odwrotnej strony.

— Dla czego, dla czego?

— No, bo wielki los daje pieniądze i ziszcza nadzieje, a małżeństwo odbiera je, a za to nadziei masz bez końca.

— Widzę, wyrobiłeś się, bratku — odrzekł, klepiąc mię po ramieniu — ale żart na stronę, dobrze się żenię, córka właściciela ziemskiego, dziewczyna, jak drugi anioł...

— No, to zawsze nie pierwszy, musisz, albo musiałeś znać pier...

— Fe, fe... nie poznaję cię, Jasiu, okropnyś szyderca i za karę musisz pojutrze być na mojem weselu.

— Gdzie?

— Tu, tu w mieście.

— Ależ, bój-że się Pana Boga, ja po dziesięciu latach...

— Żeby po dwudziestu, przyjedziesz — przerwał mi, zatykając usta i całując w oba policzki—konie przyszlę po ciebie, bo matka twoja jeszcze mieszka w N., tak?

— Tak, tak, ależ...

— Nic ależ, przyjedziesz na pół dnia, nagadamy się, no... i... zabawimy... dobrze? dobrze? Teraz bywaj zdrów, pojutrze o 8-ej rano będą konie, bo mnie się śpieszy. Julka czeka, a czasami to i kaprysi.

* * *

Przyznam się wam, czytelnicy moi, że mimo owych próśb kolegi i zapraszań pani prezydentowej, wcale nie miałem zamiaru ozdobić moją nieszczęśliwą personą jego szczęśliwe wesele, ale że to człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi, więc na trzeci dzień ni ztąd, ni zowąd, wypadała potrzeba bytności mojej w tem samem miasteczku i to z powodu interesu do poczthaltera. Prawie w tym-że samym czasie, co pierwszym razem, przyjeżdżam do owej kamienicy—i gdybym mógł uwierzyć, że czas w swym biegu cofać się może, to powiedziałbym, że moja pierwsza bytność odtworzoną tylko została. Albowiem w ganku kamienicy pocztowej jak raz zastaję też same osoby, w tych samych ubiorach, w tej samej pozycyi i w tej samej niecierpliwości. Pan Karol jeszcze wyżej wspina się na palce, dopatrując, czy poczta nie nadchodzi, prezydent rozpowiada o przymiotach żony, jej polubownych wyrokach i szafirowo-żółtem ubraniu na głowę, emeryt wertuje onegdajsze gazety, a pan pisarz z piórem za uchem, chodzi coś weselszy, zaciera ręce, krzywi ustami i spluwa coraz częściej za okno.

Szanowny pan naczelnik miasta, poznawszy mię zdaleka, ucałował jak można najczulej, dziękując już za pamięć o nim i szepcząc o weselu dzisiejszem, o winie, jakie tam będzie, bo żona stęskniła się bezemnie i spodziewa się, że na weselu towarzyszyć jej będę.

-- Darmo, dobrodzieju, my tu już wiemy o wszystkiem: pan dobrodziej jesteś kolegą pana młodego—a ciszej—ona wie, że pan dobrodziej tańcujesz, jak lalka, a to, panie, kobiety, choć nie bardzo młode, no i nie bardzo lekkie, nie są od tańca.

Zaraz i pan Karol łaskawie mnie przywitał, ponawiając przyszłego zięcia zaproszenie. Ja się wymawiam, jak mogę, że tylko na parę godzin przyjechałem za interesami, że matka mię czeka, że na mojej bytności w domu wiele zależy, ale wszystko to napróżno: musisz pan, musisz, i na tem koniec.

Wkrótce nadjechała poczta, pan pisarz biegnie naprzód ku zbliżającej się bryczce, nasi amatorowie za nim, niosą worek, rozpakowują, pan Karol zabiera gazetę i biegnie do domu, za nim emeryt, a prezydent, zobaczywszy list pod adresem swoim, porywa go w jedną rękę, mnie pod drugą i ciągnie ku domowi.

— O! coś bardzo pilnego z Warszawy, będzie czytać dopiero — szeptał, oglądając pobazgraną kopertę—to, panie dobrodzieju, aż miło mieć taką żonę, ona tam wszystkiem się trudni; co ja wolę, niech czyta, panie dobrodzieju, z tego tylko kłopoty w odpisywaniu, a ja przyznam się panu dobrodziejowi, tak wyszedłem z tego, że jak honor kocham, trudno mi arkusz zapisać.

— Prawda, ależ pan jesteś urzędnikiem.

— To i cóż? wszak widzisz pan dobrodziej, że dobrze idzie, bo Pan Bóg zesłał mi takiego anioła; żeby tylko nie była taka skąpa, bo sło-

wo honoru panu dobrodziejowi daję, pod słońcem szukaj drugiej. Naprzykład i wczoraj u nas był jarmark, a pan dobrodziej wie, co u nas jarmark, i bijatyk bez końca, i tu trzeba i tam trzeba, że aż strach bierze pomyśleć, żebym ja temu wszystkiemu dawał radę. Ona zaś, mości dobrodzieju, jednego za kark, drugiego do kozy, od innego tak coś... uważasz pan, i dobrze jest. A te znowu żydziska i karczmarze chcieliby co tydzień robić jarmarki, choć słyszą, że przepis jest o sześciu na rok. Ale ktoby tam, panie dobrodzieju, z kobietą trafił do końca, ona jak ruszy konceptem, to i jarmarków jest ze trzydzieści i nikt jej słowa powiedzieć nie może.

— Ciekawym, jakim sposobem?

— Jakim? tak, jak wczoraj. Ludzi się zebrało dosyć, targ się rozpoczął, mrowiska tego się roją, brzęczą, jak w ulu, a moja imość policyjantowi bęben na siebie i marsz w miasto ogłosić, że z powodu małego zebrania, jarmark się na przyszły tydzień odkłada — hę, co, nie dobrze? A tak się, panie dobrodzieju, odkłada z tygodnia na tydzień, bo tam podobno jest jakieś na to pozwolenie.

Przychodzimy do kancelaryi, a tu około okien, w sieni i wewnątrz, żydów, żydówek i żydziaków co niemiara. Pośród nich dwóch wysokich strażników i pani prezydentowa kłócą się w najlepsze. Pan prezydent, który widać w takich razach miał sobie już wydaną instrukcyję, krzyknął; wszystko się uciszyło i sprawa się wytacza: że oni wczoraj przyprowadzili do magistratu furę z kontrabandą, czyli tak nazwanym *szwarcem*, a dziś, mimo nieruszanych pieczęci, w workach zamiast tytuniu, zgrzebne płótno się znalazło. Zamiana dla strażników nie bardzo przyjemna, ale pieczęcie całe, więc w cuda magistrackiej władzy uwierzywszy, wychodzą, jak niepyszni, a prezydent do mnie ciszej:

— Bestyje żydówki, jakie sprytne, ktoby się domyślił, że one rozpruły w nocy worki z tyłu... no i... wiesz pan dobrodziej dalej?...

— Prawda — pomyślałem — prawda, choć pani prezydentowa śmiała się z tego dowcipnego wynalazku, a witając mię serdecznie, zaprasza na obiadek gospodarski i za towarzysza na wesele zamawia.

— List z Warszawy, list, żonusiu, bardzo pilny!—woła prezydent, dając go żonie.—Ale moje życie, za to napijemy się ot z tym panem pestkówki, bo narzekał, że mu niedobrze.

Pani prezydentowa rozpieczętowała list i zaledwie rzuciła nań okiem, widzę blednieje, drży, ogląda się, czy jest stosowne miejsce i pada na sofę omdlona, jak ten dąb stuletni, przewrócony gwałtownym huraganem.

— Ach!... ach!... ach!... ratujcie! — i zsuwa się na podłogę.

Mąż, który kończył przy szafce stosowne śniadanie, ja, sługa i córka biegniemy naraz, krzycząc: wody, wody, doktora! — Chora coś bardziej krzyczy, aż sinieje, rzuca się, ja też nie wiele myśląc, łap za konewkę z kuchni i nie żałując wody, lunąłem nań sowicie. Baba się zerwała na równe nogi i dalej na sofę z płaczem, wołając:

— Nie pojadę, nie pojadę.

— Ale gdzież, żonusiu moja, gdzie?

— Gdzie! to czytaj, ty, malowany! — wrzasnęła z wściekłością — ot, panie, mąż broi, dokazuje, a ja nieszczęśliwa istota mam za niego cierpieć! Ach! co ja cierpię, co ja cierpię, to Ty jeden, wielki Boże, widzisz! ubranie, ubranie, na cóż się zdało?

I znowu nowy atak mdłości i znowu jedna konewka wody oblewa pulchne ciało prezydentowej.

— Panie!...—wołała, klękając przedemną—ratuj, jak możesz, ja umrę, umrę dziś, tu, jeżeli pojadę!

— Ale powiedz-że pani, o co chodzi? jakie nieszczęście się przytrafiło?

— Bierz pan, czytaj, a ratuj, bo zginę na zawsze aptekarzowa mię zgnębi!

Wziąłem ów list, przyczynę całego nieszczęścia i wyczytałem, co następuje:

„Szanowna pani dobrodziejko!

Pojutrze na sesyi ma być zdecydowaną dymisyja dla męża pani, z powodu zaniesionych nań licznych zaskarżeń. Jako przyjaciel prawdziwy, ostrzegam i radzę natychmiast po odebraniu tego listu przybywać do Warszawy, gdyż najmniejsza zwłoka zgubą dla nich być może. Wsiadaj pani na kolej i wprost do mnie, a radzić będziemy. Przytem etc. (podpisano) Kubarski naczelnik“.

— No i cóż, panie, i cóż? — pytała, patrząc mi w oczy, jakby tam chciała wyczytać ułaskawienie wyroku śmierci.

— Nic... — odpowiem — radzę korzystać z ostrzeżenia i jechać.

— To się doczekałam pociechy! o, ja nieszczęśliwa, jużem zginęła na zawsze! tak, tak, zginęłam; ona zatryumfuje dopiero! Ale—rzekła po chwili, uderzając ręką w stół — niech się co chce dzieje, nie pojadę.

— Żonusiu, żonusiu, bój się Boga, zginiemy!

— To giń, mazgaju, skoro głupstwa robisz; giń, giń, a ja nie pojadę: za moje dobro, za moją pracę tak mi odwdzięczasz!

I zaczęła rozwodzić szeroko swe żale, wymyślać na biednego małżonka i to w wyrazach do tyla przyzwoitych, że ich tu powtórzyć nie mogę.

Jednakże strach o utracenie kawałka i to tłustego kawałka chleba przemógł próżność kobiecą; zdecydowała się jechać, podarłszy wprzód w drobniutkie kawałki owo żółto-niebieskie ubranie, wybiwszy policyjanta, służącę, córkę i samego pana prezydenta, przy czem choć wprawdzie nie byłem, ale plotka miejska za największy pewnik rozniosła. Korzystając bowiem z powszechnego rozstroju i przygotowań podróżnych, zdołałem wymknąć się cichaczem, a że konie pocztowe tego dnia nie zwoziły snopków, więc dalej na brykę i marsz do domu.

* * *

W dwa lata potem, przyznam się, że zapomniałem w najlepsze o prezydentowej i jej nieszczęśliwem zdarzeniu i kto wie, czy niniejsza ramota wyszłaby kiedybądź z pod pióra mego na znudzenie cię, kochany czytelniku, gdyby nie następujące spotkanie.

Mając konieczną potrzebę widzenia się z jednym z tutejszych mecenasów, a nie zastawszy go w mieszkaniu, pobiegłem według wskazanej mi informacyi do pałacu Krasińskich, gdzie senat rządzący czynności swe odbywa...

Biegnę więc, skacząc po trzy schody na raz, gdy wtem chwyta mię ktoś za ramię, wołając: „Za pozwoleniem pana, za pozwoleniem!“ Oglądam się niecierpliwie, a to moja pani prezydentowa, wystrojona, jak na wielkie święto, dyga najwdzięczniej, powtarzając:

— Nie poznaje mię pan dobrodziej, co, nie poznaje?

— Poznaję, poznaję, ale przepraszam, wrócę za chwilkę, tylko się zobaczę z mecenasem.

Jakoż powracam wkrótce i po serdecznych przywitaniach, wzajemnych komplimentach i troskliwem dopytywaniu się o zdrowie całego miasteczka, pytam jej, co za szczęśliwa gwiazda raczyła sprowadzić ją do naszej stolicy.

— Interesy, panie dobrodzieju, interesy, sprawy, których trzeba pilnować osobiście.

— I jakież to sprawy, nie możnaby wiedzieć?

— A z tą aptekarzową, panie dobrodzieju, z tem mojem utrapieniem jedynem; bo pan dobrodziej nie wie, co to za jedna kobieta, co ona mi nie nadokuczała w życiu, ale przecie raz z nią zakończę! wpakuję do kryminału.

— A to za co?

— Panie dobrodzieju, za wstyd, za oszukaństwo, fałszerstwo i inne jeszcze historyje. Wie pan, ona mię na dudka wystrychnęła wtedy; pamięta pan dobrodziej ten list z Warszawy przed weselem?

— No, pamiętam.

— Otóż ten list był fałszywy, wszystko nieprawda, żadnej skargi na męża nie było, tylko ona tak się zmówiła ze swoim gagatkiem i z tym pisarkiem z poczty, ułożyli, ukartowali cały ten interes, aby mnie nieszczęśliwą kobietę poniżyć.

— Zkąd-że pani się o tem przekonałaś?

— Zkąd? dla-Boga, przeciciężem jak szalona przyleciała do Warszawy; zajeżdżam do naczelnikowstwa, on ani wie o czem, ani pisał listu jako żywo. Panie dobrodzieju, wierz mi, dziś jeszcze wszystko się we mnie gotuje, jak ona w radomskim czepku paradowała na weselu, a ja głupia swój w drobne kawałki podarłam. No, ale jej też zapłacę!

— Dziwna rzecz — mówię do niej — tak daleko się posuwać, o co? o błachy czepek!

— Ano, widzisz pan, widzisz! tak też i ja myślałam, przyjechawszy do domu; a co mię droga kosztowała, tobym materyjalną najpyszniejszą suknię za to sprawić mogła, a co zmartwienia było, złości, irytacyi, tego już nie liczę, choć ciężko tę zniewagę odchorowałam. Jednakże później myślę sobie, żeby nie wiedzieć, co było, ja to wyśledzę i widzisz pan dobrodziej, jak zaczęłam szperać, szukać, pytać — jest na dłoni wszystko. Ona terazby się przeprosiła, ja wiem, przysyłała, ale ja nie taka sobie, nie, już sprawa będzie w senacie i żebym sobie nogi poschodziła, żebym w ostatniej koszuli miała zostać, postawię na swojem, ona musi być w kryminale.

Pożegnałem więc rozirytowaną prezydentowę, nie dowiadując się później o zakończeniu tej sławnej w swoim rodzaju sprawy. To jednak szanownym czytelnikom donieść mogę, że przed niedawnym czasem przejeżdżając znów przez miasteczko, prezydentowstwa już nie zastałem, a aptekarzowa swoją drogą wodziła i wodzi rej przed wszystkimi, bo nowy prezydent jest kawalerem, a innym urzędnikom żony na cholerę wymarły.

Albert Wilczyński. (p. t. I s. 197).

Michał-Anioł.

* Kiedy Michał-Anioł ujrzał po raz pierwszy syna malarza Francia, przepięknego młodzieńca, rzekł do niego:

— Twój ojciec lepiej umie tworzyć postacie żywe, niż malowane.

(Passavant, *Raphaël d'Urbin*).

* *O Michale.*

— Co sądzisz o Wirgilim, kochany Michale?
— Nic tak osobliwszego nie widzę w nim [wcale,
Są wprawdzie miejsca piękne, lecz kto w nim [poszpera,
Znajdzie, że bardzo wiele wypisał z Woltera.

Mickiewicz.

* Steckiewiczowi, nie umiejącemu lekcyi, podpowiedział w roku 1809 Mickiewicz, co następuje:

Niedaleko Damaszku
Siedział dyjabeł na daszku,
W kapeluszu czerwonym,
Kwiateczkami upstrzonym.

* Frejenda, który z podmówienia kolegów nadzwyczaj szybko grał na flecie, Mickiewicz tak się pyta:

Czyż mnie, koledzy, o nieba,
Chcecie wystrychnąć na głupca?
Przy takiej nauce potrzeba
Językiem trzepać hołubca.

* Jednemu z improwizatorów, gdy dwa ostatnie wiersze kończyły się na *kapłański i certamen*, a zakłopotany improwizator dalej sobie dać rady nie umiał, Mickiewicz domówił wśród serdecznego śmiechu:

Mówcie, bracia, Anioł *Pański*,
Bo już, widzę, będzie *amen*.

Midas.

* *Król Midas.*

Żył ongi Midas, Frygii król,
Słodkie to było życie!
Nie bał się bomb, ni min, ni kul,
Nie śnił o dynamicie.
Sto żon mu rocznie, jak sto róż,
Cywilna niosła lista,
Tysiączki wołów dwie pod nóż,
Małmazyi beczek trzysta.

Nie nękał króla rządów znój.
On ojców czcił zwyczaje
I kochał szczerze naród swój,
A kij mu rządził kraje.
Tak więc hulanki, rozkosz, śmiech
Dni snuły temu księciu,
I pił, jak szewc, i jadł za trzech,
A kochał za dziesięciu.

Wtem pada z jasnych niebios grom...
Apollo bowiem z Panem
W królewski zdradnie wchodzą dom,
Okrywszy grzbiet łachmanem.
Kapelę Jowisz w niebie miał,
A w niej ku bóstw ochocie
Apollo na gitarze grał,
Pan dmuchał na fagocie.

A spór był wściekły mnogo lat,
Kto większym z nich artystą,
I zeszli wreszcie na ten świat,
Chcąc stanąć raz na czysto.
Król Midas sądzić miał ich dwóch,
Bo twierdził świat muzyczny,
Że król, to artystyczny duch,
Zmysł iście ma krytyczny.

Lecz złe języki—gdzież ich brak?—
Szerzyły wieść po drodze,
Iż król o tonach sądził tak,
Jak ślepy o kolorze...

I podjął król się godzić spór
Nieznanych obszarpańców;
Na tronie zasiadł, zebrał dwór,
Dał znak—grać kilka tańców.

I jęli grać, aż pałac grzmiał,
Jęczały tonów krocie—
Apollo na gitarze grał,
Pan dmuchał na fagocie,
Apollo czarów zlewał zdrój,
Pan dudlił, jak rzępoła—
Lecz król miał punkt widzenia swój
I sąd odmienny zgoła.

Gdy więc ogłosił wyrok im,
To w imię wyższej racyi—
Pan z dudą w sztuce odniósł prym
I hołdy admiracyi.
Padł niespodzianie wyrok ten,
Jak gromu lotna strzała...
Wtem—wszystko znikło, jakby sen,
A kupa szmat została...

Osłupiał na to wszystko lud,
Mróz ściął królowi nogi,
Bo zdjął mu łuskę z oczu cud
I w drabach poznał bogi.
Dosięgła go też wkrótce moc
Apolla mściwej duszy:
I oto mu przez jedną noc
Wyrosły—ośle uszy.

A choć je król szlafmycą krył,
Gruchnęła wieść w krainie
I Midas sławnym z uszu był
I dziś z nich jeszcze słynie.
Lud rzewnie z królem smucił się
I hańbę czuł takową,
A gdy te uszy ujrzał gdzie,
To smutnie kiwał głową...

Gdy doszedł wreszcie król dni swych,
Starości zbielon szronem—

Przyjęty w poczet bogów cnych,
Krytyków jest patronem...
. . . .
Krytyku zacny, niech cię wzgląd
Na los patrona wzruszy,
A kiedy wydasz o czem sąd,
Pomacaj się za uszy.

„Szczutek“.

Miesiące.

* Mężczyźni są kwietniem przed ślubem, a grudniem po ślubie. Panny są majem, gdy są pannami, ale zmienia się niebo, gdy zostały żonami.

Szekspir. (p. t. I s. 92)

Mieszkanie.

* Młody człowiek, potrzebujący zmienić mieszkanie, obchodził tańsze dzielnice Wiednia i w końcu na jednem z przedmieść znalazł odpowiedni lokal.

Jakież było jego zdziwienie, gdy właściciel tegoż, na zapytanie, co zań żąda, wymienił cenę czterystu guldenów, niesłychanie wysoką w stosunku do małego obszaru mieszkanka i miejscowości, w której się znajdowało.

Po chwilowym namyśle i kiwaniu głową, oznaczającem zdumienie, spytał młodzieniec:

— Czy jest stajnia przy tem mieszkaniu?

— Na co panu stajnia? — odpowiedział właściciel. — Przecież pan nie ma koni?

— Ja co prawda stajni nie potrzebuję — odpowiedział młody człowiek z miną zupełnie seryjo — chciałem się tylko dowiedzieć, czy pan ją posiadasz, by mieć gdzie postawić osła, który czterysta guldenów za to mieszkanie zapłaci.

Mięsożerni.

* Wszak mięsożerna człowiek jest istota:
Musi jeść, a ma tę wadę nieszczęsną,
Że jeść nie może, jak dżdżownica, błota,
Ale jak tygrys, haja — strawę mięsną,
Anatomiczny wprawdzie skład żywota
Znosi jarzyny, ale wnet zaklęsną
Od nich żołądki; człowiek, co pracuje,
Musi jeść mięso i wół mu smakuje.

Byron.

Mikołaj.

* W południowej Francyi święty Mikołaj uchodzi za patrona małżeństw. Z tego powodu ma on wielką wziętość u młodych dziewcząt z ludu.

W departamencie Maine-et-Loire żyła młoda dziewczyna, która kupiwszy sobie posążek znakomitego świętego, zanosiła doń codzień gorące modły o pięknego i dobrego męża.

Ale święty widocznie był zdania, że „co nagle, to po dyjable“ i nie spieszył z wysłuchaniem zanoszonych doń próśb.

Młodej dziewczynie zbrakło w końcu cierpliwości i pochwyciwszy posążek świętego za nogi, wyrzuciła go w pasyi na ulicę.

Tymczasem ulicą przechodził młody człowiek z sąsiedniej wioski. Zraniony w samo czoło, zaniósł na mieszkankę domu, z którego pocisk wyleciał, skargę do sędziego pokoju.

W tydzień potem oskarżyciel i oskarżona stanęli przed sędzią pokoju, ale skoro młody człowiek ujrzał śliczną i strwożoną twarzyczkę młodej dziewczyny, cofnął skargę i w parę tygodni potem młoda para stanęła przed ołtarzem.

— Święty Mikołaju - szeptała młoda dziewczyna przy ślubie — dziękuję ci, że za twą pomocą męża nakoniec dostałam.

Milijoner.

* *Zapoznany milijoner.*

Mama. Nie mogę panu dać Weronisi za żonę, bo pan nie masz żadnego majątku.

Kawaler. Jakto, pani dobrodziejko, przecież mam 5 włók ziemi pod Warszawą.

Mama. No, tak, ale to same piaski.

Kawaler. I cóż z tego, przecież chociażby licząc tylko po 5 groszy woreczek, niech-no pani dobrodziejka obrachuje, jakie to milijony uczyni.

Miłość.

* We wszystkiem musim mieć miarę:
Czasem się przyda kochanie,
Ale kochać baby stare,
Trzeba być głupim, mospanie.
Prawdę mówiąc i babule
Mają też swoje powaby:
Jeśli ma złoto w szkatule,
Można znaleźć wdzięk u baby.

* Miłość daje do wielkich czynów natchnienie, lub jest do nich zaporą.

Aleks. Dumas (*syn*).

* Święta miłości smacznej polędwicy,
Czują cię tylko żołądki wytrawne.
Poparta wdziękiem zamożnej piwnicy,
Rządzisz tym światem - mażesz grzechy dawne.
Nie jeden cymbał zrodzony w szlafmycy,
Dzięki wam obu – zyskał imię sławne,
Byle cię tylko co dzień mieć i jadać,
Nie żal, prócz życia, resztę czci postradać.

Ig. Krasicki. (p. t. I s. 5).

* Miłość jest kwiatem zachwycającym, ale trzeba mieć odwagę zrywać go nad brzegiem przepaści.

H. Beyle.

* Miłość jest jak zaraźliwa choroba: im kto więcej się jej obawia, tem łatwiej jej ulega.

Champfleury.

* Miłość jest zajęciem próżniaków — rozrywką wojskowych—skopułem dla monarchów.

Napoleon 1-szy.

* Miłość jest historyją w życiu kobiety — epizodem w życiu mężczyzny.

Pani de Stael.

* Miłość jest żyznym gruntem, zasłanym kwia-
[tami,
Lecz zbyt często, niestety! polewany łzami.

Gillert.

* Miłość obdarza rozumem tych, co go nie mają, dodaje rozumu tym, co go mają nie wiele, odbiera rozum tym, co go mają dużo.

Figaro.

* Miłość zamiera zwykle nie wskutek niedostatku, ale wskutek przesytu.

Ninon de l'Enclos.

* Miłość prawdziwa jest jak zjawisko duchów: wszyscy o nich mówią, nikt ich nie widzi.

La Rochefoucauld.

* Miłość jest nie wiem czem — przychodzi, nie wiem zkąd—kończy się, nie wiem jak.

Panna de Seudery.

* Miłość jest nieustanną walką — dla tego zwykli mówić: miłość nieprzezwyciężona.

Pani Necker.

* Miłość to jak opera; człowiek się na niej nudzi, ale do niej powraca.

* Dla duszy pospolitej miłość jest zdobyczą, dla duszy wzniosłej—poświęceniem.

Custine.

* Miłość jest chwilową gorączką: zaczyna się od dreszczy, kończy na ziewaniu.

Basta.

* Miłość jest poezyją zmysłów.

Balzac.

* Tak jak dzieci miłości są najpiękniejsze, tak dzieła autora, tworzone w natchnieniu, są najdoskonalsze.

* Miłość taka, jaką się spotyka w naszem społeczeństwie, jest tylko wymianą dwóch zachcianek, zetknięciem dwóch epiderm.

Chamfort. (p. t. I s. 13).

* Królowa Elżbieta, zauważywszy dowody niezwykłej odwagi i męztwa młodego Mediany w turniejach, przypisywała je uczuciom, żywionym w sercu dla wybranej bogdanki i zapragnęła poznać osobę, będącą celem myśli dzielnego rycerza. Mediana bronił się czas jakiś od wyjawienia jej nazwiska, ulegając jednak żądaniom królowej, przyrzekł przysłać portret ukochanej kobiety. Nazajutrz królowa odebrała lusterko, które odbijając jej rysy, zdradziło miłość rycerza.

* Miłość zyskiem się nie zraża,
Oczkiem z żądzy zysku skrzy,
W miłości, jak u lichwiarza,
Dwa razy jeden jest trzy...

Świąteczny.

* Pewna panienka powiedziała tak razu jednego do narzeczonego: „Byłeś pan ostatnim, któregobym mogła pokochać...“ „Tem lepiej — odrzekł przyszły małżonek — wcale od pani tego nie wymagam, żeby po mnie był jeszcze jeden...“

* Pewien młody człowiek, który zakochał się po uszy w nadzwyczaj szczupłej panience, zapytany przez przyjaciela, czemu nie umieścił swoich zapałów w tłuściejszym ideale, odrzekł dowcipnie: „Widzisz, mój drogi, ponieważ Maryla jest bardzo szczupłą, jestem bliżej jej serca i mam doń krótszą drogę do przebycia“.

* Pewna dama, która niegdyś pędziła bardzo wesołe życie, wpadła w ciężką chorobę. Spowiednik jej przyszedł ją odwiedzić i w rozmowie rzekł: „Musi pani zapomnieć teraz o przeszłem swem życiu, a oddać się cała miłości Chrystusa...“ „Ach! drogi księże — odrzekła smutnie dama — niepodobna mi myśleć obecnie o żadnej nowej miłości“.

* Razu jednego w towarzystwie pań utrzymywano, że pierwsza miłość jest bojaźliwa i w sobie zamknięta; na to ozwała się pewna młoda panienka: „Kiedy tak, to widzę, że ja się nigdy pierwszy raz nie kochałam“.

* *Porucznik:* „Więc mówisz pani, że ojciec ma dwa majątki na Szląsku?“ *Panna:* „A dwa w Pomeranii — tak“. *Porucznik:* „I jakże wątpić pani możesz o mojej dla niej miłości?...“

* Młody i majętny pan B., znudziwszy się hulaszczem kawalerskiem życiem, postanowił ożenić się. Wybrana przez niego żona była zachwycającej urody, pan B. ubóstwiał ją i chcąc użyć swobodnie swego szczęścia, wywiózł żoneczkę na wieś, by tam z nią zimę przepędzić.

Miesiąc zszedł jako tako, ale po upływie sześciu tygodni samotność zbrzydła zakochanemu małżonkowi do tego stopnia, że postanowił pod jakim bądź pozorem wymknąć się do stolicy.

Przyzwoitość wszakże nie pozwalała wyznać żonie rzeczywistego powodu wycieczki, przybrawszy więc strapioną minę, w te słowa odezwał się do niej:

— Najdroższa, interes nie cierpiący zwłoki powołuje mnie do Hamburga, jadę więc i za dwa tygodnie będę u twych stóp.

Taką wykomponowawszy historyję, popędził niegodziwiec do stolicy.

We dwa tygodnie otrzymała pani B. list ze stemplem hamburgskim, w którym mąż donosił, że interesy tak się powikłały, iż jeszcze parę miesięcy będzie musiał przepędzić w oddaleniu od niej.

Z początku młoda pani rozpływała się we łzach, odebrawszy tak smutną wiadomość; że jednak ciągle płakać nie można, otarła oczy i szukając w myśli pociechy na swą niedolę, przyszła do wniosku, że nic w tem nie będzie złego, jeśli parę tygodni spędzi w stolicy, nie spowiadając się z tego mężowi.

Następnej niedzieli ukazała się na publicznym balu i wchodząc do sali, spotkała się oko w oko z mężem.

Pan B. własnym oczom nie chciał wierzyć; przetarłszy je gwałtownie i schwyciwszy żonę za ramię, krzyknął:

— Co ty tu robisz?

Pani B. zbladła, ale prędko opamiętawszy się, nawzajem spytała:

— Czego pan chcesz odemnie? Nie mam zaszczytu znać go.

— Czego chcę? — krzyknął — jak śmiałaś pokazać się tu bez mego zezwolenia?

— Mój panie—odezwał się towarzysz pani B. — jakiem prawem obrażasz panią? ja na to nie pozwolę!

— Do dyjabła! ta pani jest moją żoną!

— To nikczemne kłamstwo! - zawołała pani w oburzeniu.

Zrobił się skandal, policyja się wmieszała i państwo B. poprowadzeni zostali do komisarza.

— Panie komisarzu—przemówiła pani B.— broń mnie! Nie rozumiem sceny, którą mi zrobił ten człowiek. Mój mąż jest obecnie w Hamburgu i mam na szczęście przy sobie list, który od niego ztamtąd otrzymałam.

To mówiąc, wyjęła list z kieszeni i podała go komisarzowi.

Pan B. rzucał się, jak wściekły, ale ponieważ nie miał przy sobie papierów legitymacyjnych, zaaresztowano go i wsadzono do kozy.

Żona niezwłocznie wróciła do domu na wieś, gdzie za nią wkrótce i mąż pośpieszył, ale różowy zefir miłości zamienił się w wicher jesienny i oboje niedawno czule kochający się małżonkowie podali prośbę o rozwód.

* Pewien młody człowiek, na którym wielkie wrażenie zrobiły wdzięki bardzo ładnej panienki, rzekł raz do niej:

— Mama pani jest tak wyśmienitym stróżem, że gdybyśmy się pokochali, nie moglibyśmy nigdy zostać sam na sam.

— Oh! nie frasuj się pan o to — odpowiedziało dziewczę — niech-no ci się tylko uda pozyskać moje względy...

(*Dictionnaire d'anecdotes*).

* Żona pewnego literata zarzucała mu, że zanadto oddaje się czytaniu, wyrażając przytem życzenie, że chętnie chciałaby się zamienić w książkę, byle być częściej z nim.

— Owszem, owszem — odpowiedział czuły małżonek — zamień się w kalendarz, przynajmniej będę mógł odmieniać cię co rok.

(*Recueil de bons mots*).

* *Miłość zbiorowa.*

Lecz u Polaków tak: ciągną, jak słomki,
Za oczkiem jakiej Marysi lub Wandy,
Która im różne rozdaje przydomki,
A wiosną listkiem cyprysu, lewandy
Z nimi w zielone gra lub wiąże słomki,
Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,
Które za każdym wody pluskiem płyną,
Skosztują, haczyk obaczą — i miną.

Lecz u Polaków tak: widziałem całe
Przy jednej pannie gimnazyja, licea;
Ta miała często rączęta nie białe,
A złość tak wielką w sercu, jak Medea;
A zaś korzyści z tych miłości małe
I małe bardzo na później trofea.
Rozdały wiele włosów, łez, podwiązek,
Żadna nie weszła ztąd w małżeński związek

A ztąd przestroga, że takie zbiorowe
Miłoście nic są w miłości nie warte,
Że lepiej serce zawrócić, niż głowę;
Serca w miłości bowiem są uparte,
Choć głowy stokroć bardziej romansowe
I stokroć bardziej ogniście zażarte;
I często widząc, że na świecie źle tym.
Z rozpaczą kończą tak, jak Werter w Goetym.

Więc z drugiej strony w tem jest kompensacyja
Dla tych, co dzisiaj są staremi panny,
Gdy na rozstajnej drodze jaka stacyja
I kamień—i trup w białą czaszkę ranny,
Świadczą, że każda z nich, jako akacyja,
Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,
Brzęczała w koło pszczół zalotnych wieńcem
I ma kochanka w pickle — potępieńcem.

Takim sposobem wnet jest heroiną
I poeci ją rymami zaszczycą:
Już jej nie nazwie nikt w pieśni dziewczyną,
Lecz musi nazwać posępnie dziewicą.
A kochanek jej, jak Fingal lub Ryno,
W chmurach skłębionych igra z błyskawicą
I śpiewa wichrom piekielny tryjolet,
Mając łzy w oczach, a w ręku pistolet.

J. Słowacki (p. t. I. s. 87).

* *Miłość bliźniego.*

Rewolucyjoniści francuzcy z roku 1792 powtarzali: —Wszelkie drzewo, nie wydające owocu dobrego, będzie wycięte i w ogień wrzucone. — Taki jest dosłowny tekst ewangelii. — Wszelkie drzewo, nie wydające owocu dobrego, niech będzie szczepione i hodowane starannie.—Taki jest duch nauki Chrystusa.

Noel Parfait.

* *Miłość własna.*

Żebrak prosił o wsparcie przechodniów; jeden z nich odezwał się z wymówką:

— Wstydziłbyś się żebrać, mogąc jeszcze pracować.

— Prosiłem o jałmużnę, nie zaś o morały—odparł żebrak urażony.

* „Świętą jest miłość rodzinna i słodki pocałunek siostrzany“ —deklamował pewien idealista. „O tak—odrzekł sucho prozaik—ale kiedy niemasz siostry, udaj się do kuzynki, a przekonasz się, że i to wcale nieźle smakuje“.

* *Co to jest miłość?*

Łańcuch, który dwa serca chwyta w swe ogniwa,
Aż go często ksiądz stułą przy ślubie rozrywa.

* *Miłość dla sztuki.*

Okręt, którym płynął do Rzymu Józef Vernet, został zaskoczony burzą. Korzystając z tej przygody, sławny malarz wymógł na kapitanie, aby go kazał przywiązać u szczytu najwyższego masztu, — chciał bowiem widzieć w całej pełni grozę burzy na morzu. — Nie wymalował jej co prawda na poczekaniu, ale obraz ten widocznie dobrze wrył mu się w pamięć, skoro tyle pięknych rzeczy stworzył następnie.

(Grimm, *Correspondance*).

* *Miłość dla pieniędzy.*

Glück kochał się w pieniądzach, w dobrem jedzeniu i li tylko muzyczne ideały pojmował. To też zapytany raz ten Michał Anioł symfonii, co najbardziej miłował na świecie, odpowiedział:

— Trzy rzeczy: pieniądze, wino i sławę!

— Jakto, sławę kładziesz na trzecim planie? — zauważył ktoś — daruj, ale nie jesteś szczerym.

— Ależ w zupełności — odparł Glück, — pieniądze dają mi wino, wino pobudza geniusz, z którego wypływa sława!

(Jouvin, *Ménestres*).

* *Miłość, nadzieja i wiara.*

Płynąca z falą tradycyi
Bajka to znana i stara,
Że ludzkość zbawią trzy słowa:
„Miłość, nadzieja i wiara.“
Tak było... Dzisiaj tradycyja
Rozumny prąd upośledza,
Dziś dla ludzkości jest hasłem:
„Szacunek, pewność i wiedza“.
Wziął bowiem wreszcie przewagę
Mistrz — rozum pośród ludzkości
I szydzi sobie w najlepsze
Z wiary, nadziei, miłości.
Miłość, powiada, jest duszą
Szalonych — bo wykoleja,
Wiara dewizą jest ślepych
A matką głupców — nadzieja.

„Szczutek.“

* *Szaleństwo z miłości.*

Bussy poszedł raz w towarzystwie dam oglądać dzikie zwierzęta w Tuileriach. Jedna z nich była tak nierozważną, że go zniewo-

liła, aby podjął rękawiczkę, którą wrzuciła do klatki lwa.

Poszedł ze szpadą w ręku i podniósł rękawiczkę wobec lwa leżącego spokojnie, ale oddając ją damie, dotknął zlekka jej policzka, mówiąc:

— Oto jest — na drugi raz wszakże nie radzę ci pani nadużywać odwagi ludzi z sercem w tak niewłaściwy sposób.

(Tallemant des Réaux).

* *Miłość i całus.*

Kto całuje bez miłości,
Głupi ten,
Niech na grobie swego szczęścia
Nuci tren...
Lecz kto kocha bez całusa
(O, sromota!),
Ten nad wszelkie głupce głupi
Jest — idyjota...

„Szczutek“.

* *Miłość i chustka do nosa.*

Płakałem dzieckiem — kiedym ząbkował,
Chodząc do szkoły — jam szlochał —
Równiem serdecznych łez nie żałował,
Kiedym mą Rózię pokochał.
I dziś bym płakał w rozpaczy szale
Z całą szczerością młokosa,
Gdy ciebie tracę — o piękna! — ale
Szkoda mi chustki do nosa.

* *Miłość przyrównana do... węża.*

Miłość jest wężem, co się w kwiatach chowa,
Który się gładko wsuwa w dziewcząt łono.
Julcia! twe oczko, staniczek i... mowa
Wydają, że cię już ukąsił pono...

„Perły humoru polskiego“.

* *Miłość dzisiejszych panien.*

— Patrz, kochana Lauro! — rzecze młody człowiek do narzeczonej — ten co teraz wchodzi właśnie, taki mały, trochę garbaty, to mój kolega Leon X. Nie piękny i niekształtny to prawda, ale niezły chłopak i ogromnie bogaty.

— Biedny chłopiec, zaprezentuj mi go.

W miesiąc potem ten sam Leon prowadzi pod rękę Laurę, a spostrzegłszy przechodzącego przyjaciela, mowi do niej: — Patrz Lauro, oto twój eks-narzeczony; patrząc na tego ładnego chłopca, nie mogę pojąć, jak mogłaś poświęcić go dla mnie, który jestem o wiele brzydszy!

— O! kochany mój Leonie! Ty masz jednak wiele piękniejszych przymiotów, aniżeli tamten! — odpowiada Laura.

* *Miłość królowej.*

Spowiednicy Maryi Teresy, żony Ludwika XIV, powiadają, że zapytana przez nich, czy nie uległa pokusom miłości na dworze hiszpańskim, odpowiedziała im: — I jakże mogłam pomyśleć o czemś podobnem: alboż tam był król jaki inny prócz mego ojca.

(Bibliothèque de Societé).

* Małgorzata szkocka, żona delfina Francji, późniejszego Ludwika XI, przechodząc przez salon, w którym usnął na ławie Alain Chartier, przezwany ojcem wymowy, złożyła pocałunek na jego ustach wobec całego orszaku, a gdy powstało ztąd ogólne zdziwienie, albowiem był on najbrzydszym z ludzi, rzekła:

— Nie pocałowałam mężczyzny, tylko usta, z których wyszło tyle słów pięknych i zdań mądrych.

(Recueil de dits et faits mém.)

* *Miłość Boga.*

Sześćdziesięcioletnia pani de Boufflers, znana z żywości i ruchliwości, w wiecznej była kolizyi ze swoim synem księdzem, do którego raz rzekła:

— Próżne są twoje usiłowania, nie uczynisz ze mnie dewotki i powiem ci prawdę, że wprost nie rozumiem, jak można kochać istotę całkiem nieznaną....

— Ręczę za to — zawołał w uniesieniu ksiądz — że gdyby Pan Bóg został po raz drugi człowiekiem, wnet byś go pokochała!

(Collé, Journal.)

* — Za mało znam Boga — mawiała pani de Créqui — abym go miała miłować nad wszystko, a bliźnich za dużo, aby ich kochać jak siebie samą...

(*Grimm, Correspondance.*)

* *Miłość egoistyczna.*

W dzień śmierci kochanki swej pani de Châteauroux, zasmucony i zgnębiony Ludwik XV wypowiedział te pamiętne słowa, wyrażające dziwną mieszaninę żalu połączonego z egoizmem:

Więc mam być nieszczęśliwym w ciągu dziewięćdziesięciu lat, gdyż jestem pewny, że tego wieku dożyję!

(*Chamfort*).

* *Miłość macierzyńska.*

Pewna dama w Wenecji oddawała się strasznej rozpaczy po śmierci swego jedynego syna. Jakiś duchowny pocieszyciel, chcąc upamiętać rozżaloną, przypomniał jej, że Bóg dla miłości swej kazał Abrahamowi dobrowolnie poświęcić syna. Ach mój ojcze — zawołała niepocieszona -czy sądzisz, że Bóg rozkazałby matce uczynić coś podobnego!

(*Dictionn. d'anecdot*).

* *Prowizoryczna miłość.*

— Wiesz Maniu, ten prowizor z apteki który to miał się żenić z Natalcią w karnawale, zerwał z nią bez najmniejszego powodu, a przecież on ją tak gorąco kochał?...

— Moja droga, cóż chcesz, taki *prowizor* może tylko *prowizorycznie* kochać.

* *Miłość i próżność.*

Podżyła dama, której kochankiem był młody chłopak z niższej sfery, rzekła do swojej przyjaciółki:

— Księżne nie miewają więcej nad lat trzydzieści — dla mieszczuchów.

(*Grimm, Correspond.*)

* *Miłość i rozsądek.*

Pewna dama kameliowa w Madrycie zamordowała swego niewiernego kochanka. Zaprowadzona przed króla, przyznała się do winy, opowiadając mu wszystko ze szczegółami.

— Jesteś wolną — powiedział ten sędzia — bowiem ukochałaś tego człowieka, aż do utraty rozumu.“

(*Menagiana*).

* *Miłość ludzi roztargnionych jest często bolesna.*

Pewien artysta, znany z bardzo dobrej strony, jest, jak wszystkim wiadomo, wielce roztargniony — i przez to choć go zalet znaczna liczba zdobi, często bez złych zamiarów tęgie głupstwa zrobi.

I tak:

Raz wyglądając oknem na parterze, chciał rzucić na ulicę dwie śliwki nie świeże, lecz że mózg jakąś myślą okrutnie zamroczył — rzucił je do pokoju, sam oknem wyskoczył.

Innym razem spotkała go młoda mężatka, a w tej chwili w oddali przeszła jego matka, więc biedak zamyślony cmoknął w twarz mężatkę, będąc w tem przekonaniu, że całuje matkę.

Raz lokaj zameldował mu miłego gościa, a gdy artysta ujrzał tego jegomościa, z uściskiem do lokaja rzucił się w zapale, a do gościa rzekł zcicha:

— Wynoś się cymbale.

Ale to wszystko fraszki, bo przez roztargnienie, nie może o małżeńskim śnić dzisiaj hymenie i szczęścia w życiu pewnie nie znajdzie ni trocha, bo obraził panienkę, którą bardzo kocha.

Rzecz się tak miała.

Były panny imieniny, więc pragnąc swój ideał ucieszyć jedyny, artysta nabył bukiet nie wielki, lecz płaski i z bukietem do panny szedł przez Ogród Saski.

A idąc, tak zajęty snów młodzieńczych marą, palił grube i mocno tlejące cygaro, palił i szeptał sobie.

— Ach, jak mi się spieszy, bo wiem, że się mój anioł bukietem ucieszy.

Wtem gdy zmierzał do bramy, gdzie teatru strona, patrzy aż idzie z matką jego narzeczona, więc natychmiast myśl taka wlazła mu pod ciemię, żeby rzucić ogniste cygaro na ziemię a pannie jednocześnie podać bukiet z ręki, dla szybszego uśmiechu, dla szybszej podzięki.

Biegnie tedy do panny, aż mu tętnią płuca i bukiet w roztargnieniu zdala od niej rzuca, a nieszczęsne cygaro, co się żarem płoni, pakuje dosyć silnie w sam środek jej dłoni.

— Aj! aj! — krzyknęła panna — czy to złość czy drwiny?

— Ach! pani, ten prezencik przyjm na imieniny.

— Bardzo panu dziękuję — panna z płaczem gruchła. — od takiego prezentu cała dłoń mi spuchła.

Mama, gdy córka boleść otrzymała gratis, wypaliła artyście verba veritatis i dziś płacze artysta nad okrutnym losem, bo mu drzwi swego domu zamknęła przed nosem.

* *Miłość własna.*

Napoleon I, obecny na pierwszem przedstawieniu jakiejś sztuki Paera, przywołał artystę, do którego rzekł opryskliwie:

— Za dużo hałasu, za dużo hałasu! może pańska muzyka jest piękną, ale ja nie chcę temu wierzyć, ponieważ nuży mię.

— Tem gorzej dla Waszej Casarskiej Mości — odparł muzyk z nizkim ukłonem.

(M-me de Bassauville, *Salons d' autrefois*).

* Po przedstawieniu swego wodewilu, który pozostał jedynym jego utworem, August Supersac upojony powodzeniem, chwyta pod rękę obok siedzącego przyjaciela i wyprowadza go z teatru.

— Chodź, chodź! pójdziemy do siebie ulicą du Temple.

— Dla czegóż nie przez bulwary, przecież to o wiele bliżej.

— Ale bo widzisz mój drogi, chcę ci zaraz pokazać dom, w którym ujrzałem światło dzienne.

* Wolter dawał swą sztukę *Rome sauvée* w jakimś teatrze w okolicach Genewy.

Prezydent de Montesquieu obecny na przedstawieniu, usnął sobie w krześle.

Oburzony autor ciska mu kapelusz na głowę — wołając...

— Na honor! jemu się zdaje, że jest na audyencyi.

* Napoleon na wyspie Ś-tej Heleny kazał czytywać głośno wieczorami swoje pamiętniki, ale gdy razu pewnego jedna z dam zdrzemnęła się w trakcie słuchania, zaniechał tego zwyczaju, tłomacząc się w ten sposób przed Las-Cases'em:

— Cóż chcesz, mój drogi, we wnętrznościach każdego autora odzywa się zawsze ambicyja jego.

(Las-Cases, *Mémorial de Sainte-Hélène.*)

* *Sposób na miłość.*

Na dworze Stanisława Augusta, jak wiadomo, wysoko pod względem romansowym usposobionym — był Sas, stary kawaler — tytułowany szambelanem, który wszelkiemi siłami opierał się pokusom i pomimo przyjętego zwyczaju, do żadnego nie wzdychał ideału. Zagadnięty przez jednego z dworaków królewskich, — jak może być pomiędzy tylu znakomitemi pięknościami zimnym i obojętnym — odpowiedział:

„Kiedi ja bensie robisz szi razi szein Compliment et une attention comme il faut! — to ja bensie miecz Satisfaction na szi mieszonca i niepotszebuje ani kochania — ani miloszci!“

* *Wierna miłość.*

Admirał holenderski Nil de Bombell był z początku parobkiem u właściciela Bombelles na Szlązku, uciekł ztamtąd z powodu jakichś

nieczystych sprawek, wszedł do marynarki holenderskiej i w krótkim czasie zrobił fortunę. Wtedy napisał do biednej służącej z Emerles:

„Droga moja Greto!

Jeżeli myślisz jeszcze o mnie, jak niegdyś, kiedy służyliśmy razem w Bombelles, to przyjedź do Hagi a pobierzemy się. Jestem teraz admirałem holenderskim.

Nil de Bombell, przedtem Nil Ipsen
twój wierny narzeczony".

Dziewczyna zapakowała coprędzej swoje rzeczy, pojechała do Hagi i została admirałową.

* *Miłość małżeńska.*

Niejaki B. stracił żonę i odprowadził zwłoki jej na sam cmentarz. Wieczorem przyjaciel odwiedził nieutulonego w żalu wdowca i uspokajał go zwykłemi sposobami, używanemi w tych wypadkach: „Nie pogrążaj się w apatyi mój drogi — mówił — zwłaszcza w twoim stanie zdrowia nie powinieneś się zaniedbywać, wiesz, że ci nadewszystko ruch potrzebny."

— A tak, rzeczywiście — robi uwagę B.— dziś rano ten mały spacer na cmentarz bardzo dobrze mi zrobił.

* Jako kontrast tych dwojga czułych, powyżej wymienionych małżonków, zacytować można królowę Artemizę, która codziennie potrochu zażywała popioły swego męża, i tym sposobem stała się grobem dla niego!

* *Miłość zaszczepiona.*

Niedawno pewien doktór w Chicago odkrył znowu chorobliwy grzybek, czyli bakcyllusa miłości i zaszczepił go znacznej liczbie osób. Szczepienie to przyjęło się u wszystkich, co się okazało przez natychmiastowe rozmaite objawy.

Pięćdziesięcioletni stary kawaler kazał sobie tego samego dnia wprawić nową szczękę, obstalował jasny garnitur z angielskiego materyjału i kupił gitarę; 39-o letnia panna odbiła skarbonkę, w której oddawna składała swoje oszczędności, wydobyła 100 dolarów i wydała je na „Eau de Lys" i inne kosmetyki; sprawiła sobie nową tualetę, jasno-blond fryzurę i zgodziła na rok młodego nauczyciela śpiewu. U młodszych osób działanie bakcyllusa objawiło się znów inaczej: siedmnastoletni subjekt nalał syropu do torebki papierowej zamiast do flaszki, a sam usiadł na koszu z jajami zamiast na stojącem obok krześle; mało co od niego starszy fotograf, po zdjęciu podobizny młodej panienki, ucałował pierwszy okaz zaledwie co wydobyty z kąpieli chemicznej, czem o mało co się nie otruł; młoda 15-o letnia służąca położyła do kolebki kota, a spowite dziecko zabierała się wyrzucić oknem, gdy szczęśliwie nadeszła w samą porę pani domu, wyrwała jej z rąk dziecko, położyła je w kolebce, i wyrzuciła kota przez okno a służącą za drzwi.

Władze miasta Chicago zwróciły uwagę na te i tym podobne wypadki, i z właściwym sobie brakiem zmysłu ściśle naukowego, byłyby z pewnością zakazały doktorowi dalszych prób z bakcyllusem miłosnym, gdyby on sam wprzód po szczęśliwem zaszczepieniu miłości swojej owdowiałej gospodyni i jej młodziutkiej córce, nie opuścił miasta w nocy w towarzystwie tej ostatniej pacyjentki.

(*Bibl. humoru*).

* *Miłość w historyi.*

Miłości, której Owidyjusz kapłanem,
Adeptem Cezar, sługą był Antoni,
Uczniem Horacy, Katull — Tytus panem,
Sawantka Safo kapłanką — (kto po niej
Ślub zechce z siwym zabrać oceanem?...
Nikt... Ha! Leukadya dziś się za was płoni...)
Miłości! nazwę cię bóstwem... Niecnoty,
Bo cię dyjablicą zwać — nie mam ochoty.

Ty doprowadzasz stan małżeński do met
Nieprawych; śmiejesz się z czół wielkich ludzi
Cezar, Pompejusz, Belizar, Mahomet,
Patrz — gwoli którym dotąd pióro trudzi

Historyja, którzy błyszczą nakształt komet,
A czas nie prędko takie duchy zbudzi,
Patrz... przecie w jeden ich punkt zniosły fale:
Wszystko to mędrcy, zdobywcy... rogale!

Z ciebie Arystyp, Epikur ród bierze —
Owa przesławna materyjalna dwójca,
Co teoryjami wygodnemi k'wierze
Do niebieskiego chce nas wwieść ogrójca,
Czy tylko dyjablim szponom nas odbierze
Ten piękny system biozofii ojca?...
„Jedz, pij, miłości jasne ognie zapal!“
Tak mawiał mędrzec a król: Sardanapal.

Byron.

* *Pierwsza miłość.*

O, pierwsza miłość!... Tej wiernym obrazem
Jest zamienienie serc bez interesu!
Tej ideałem jest latanie razem
W krainie, w której niema końca, kresu.
Potem się człowiek głupi staje płazem...
Mimo krew zimną, z każdego karesu
Mogą wyniknąć rzeczy złe i zdrożne,
O których książki już mówią nabożne.
Za takie rzeczy nie rozumiem zgoła,
Dla czego w Rzymie nieszczęsne grzesznice
Sadzą do zamku Świętego Anioła...
Prócz tych... ta strofa musi zakryć lice;
Wstydzi się, że tę myśl wzięła od czoła,
Nie zaś z profilu.

J. Słowacki. (p. t. I s. 87).

* *Pierwsza miłość gimnazisty.*

— Basta, panowie! — zawołał młody mężczyzna, wstając od zielonego stolika, przy którym siedziało trzech jego przyjaciół.

— Ależ, jeszcze partyjkę — zachęcał drugi — Felek, jako gospodarz, gotów słusznie powiedzieć, że do takiej gry świec palić niewarto.

— A ty, mając dzisiaj wenę, chcesz trzymać się przysłowia: „czas to pieniądz..“ Dziękuję ci za łaskawą propozycyję... Felek wybaczy, ale mam już dość zielonego stolika.

— Ty?... jakto?... ty, co masz serce jak omnibus, wyrzekasz się zielonego stolika... przecież na nim tyle „serc“ leży, a sam kolor jego sukna wielką rolę odgrywa w miłości...

— W każdym razie o wiele mniejszą, niż w twej głowie...

— Na miłość Boską!... — wtrącił Felicyjan — nie bądź tak obraźliwym, Józiu, bo doprawdy nie masz się o co gniewać; bierz przykład z Zygmunta, któremu się odciąłeś należycie... zresztą, co się tycze przegranej, nie jest ona tak wielką, żebyś się miał wyrzekać preferansa.

— Tak — odparł Józef — w istocie nie przegrałem dzisiaj tak wiele.... ale jeżeli dodam do tego cały deficyt z ostatnich czasów, i to, co mogę w niedalekiej przyszłości stracić przy prześladującym mnie ciągle *pechu*, to za lat parę może mi nie zostać nic, oprócz... poważania u Turków.

— I pociechy, że każdy będzie myślał, iż miałeś szalone powodzenie u kobiet.

— No, to prawda — rzekł nieco udobruchany Józef — ile razy durzyłem się, zawsze szczęśliwie...

— Więc czemuż się dotychczas nie ożeniłeś?...

— Bo tylko durzyłem się, ale nie kochałem prawdziwie...

— I powiadasz — odezwał się dotąd milczący Bolesław — że cała twoja karjera miłosna składała się z samych tylko tryumfów... utrzymujesz, iż nie spotkało cię nigdy żadne niepowodzenie w podobnego rodzaju sprawach...

— Doprawdy, nie przypominam sobie...

— A wtenczas, kiedy jeszcze byliśmy w gimnazyjum... nie pamiętasz?... sam mi o tem kiedyś wspominałeś... pani rejentowa...

— A! prawda... ale to już dawne dzieje, więc wyszło mi z pamięci... tak... tak... była to pierwsza moja miłość i bardzo niefortunna... o! nawet zabawnie niefortunna...

— Cóż takiego? — zapytał Felicyjan.

— E, to długa historyja...

— Nic nie szkodzi...

— Musisz nam ją opowiedzieć.

— Niech to będzie dla ciebie karą za to, żeś nam popsuł preferansa — dodał Zygmunt.

— Ha! jeżeli chcecie koniecznie...

— Koniecznie...

— Wyrok zapadł stanowczy.

— Opowiadaj! opowiadaj!

— Uwodzicielu — zadecydował Felicyjan — siadaj na ławie oskarżonych, to jest na tym fotelu; wybiła dla ciebie godzina kary.

— Józef ma głos!...

— Niech zaczyna — słuchamy!

— Ha .. cóż robić!... nie apeluję od wyroku i zaczynam. Panowie sędziowie, raczcie nadstawić uszu!

— Muszę wam najprzód powiedzieć, iż będąc chłopcem piętnastoletnim, miałem usposobienie dość melancholiczne i nie grzeszyłem śmiałością w obejściu... jeżeli nie wierzycie, zapytajcie Bolka.

— W istocie — potwierdził Bolesław — z tego nawet powodu nieraz koledzy żartowali z ciebie... pamiętam że cię nazywano trapistą.

— O! ten przydomek otrzymałem dopiero w klasie przedostatniej.

— Za cóż takiego?

— Za to, że gdy wielu koleżków chorowało już wtenczas na zdobywców serc niewieścich, ja w szeregach tych mężnych rycerzy nie miałem nawet prawa do godności pachołka...

Pamiętam, jak po powrocie z wakacyi, zaczęli się oni chwalić przedemną ze swych tryumfów. A były to w ich mniemaniu tryumfy nielada. Henryk, wyobraźcie sobie, dwa razy towarzyszył na przechadzce pani sędzinie... Adolf niósł kiedyś przez dwie godziny parasolkę pani pisarzowej; a Zyzio... Zyzio — trącił łokciem kucharkę swej matki, za co dostał od ojca porządnie za uszy... choć się do tego nie przyznał.

Jakżeż ja byłem niepodobny do tych zwycięzców!... Te też, gdy opowiedzieli wszystko, co im się zdarzyło i nie zdarzyło, gdy znużone języki zaczęły już odmawiać posługi, zapytali mnie w końcu, jaki tryjumf ja odniosłem. Rumieniąc się ze wstydu, musiałem powiedzieć, że żadnego. Parsknęli na to śmiechem i zaczęli ze mnie stroić żarciki.

Trwało to przez rok cały; aż mi się sprzykrzyło być prawie ciągle na końcu języka koleżków. Postanowiłem wreszcie dowieść im, że ten „niedołęga“, jak mnie zaczęli nazywać, potrafi dokazać tego, co i oni a nawet, jeżeli zechcę, zakasuję samego Zyzia. I myśląc o tryumfie nad kolegami, zacząłem pisywać listy miłosne...

— Do kogo? — zapytał Felicyjan.

— Do nikogo .. tak sobie... na wszelki wypadek.

Nareszcie przyszedł koniec roku szkolnego... Zaczęliśmy się rozjeżdżać z Warszawy, ci mianowicie, których rodzice, jak moi, mieszkali na prowincyi. Przed wyjazdem musiałem jeszcze się nasłuchać porządnej porcyi żarcików, któremi mnie żegnali koledzy, mówiąc, że jeżeli się przez wakacyje nie poprawię, to za powrotem ofiarują mi... czepek i fartuszek...

— Poczekajcie — powiedziałem sobie w duchu — zobaczymy, kto z kogo śmiać się będzie.

Wkrótce potem wyjechałem do rodziców, zabrawszy z sobą oczywiście cały arsenał listów miłosnych.

Wprawdzie w drodze przyszła mi myśl, iż może się obejdzie bez listów. A jeżeli, idąc za przykładem Zyzia, rozkocham w sobie służącą matki? Plan ten zaczął mi się uśmiechać. To też gdy po przybyciu do domu ucałowałem serdecznie rodziców, prawie zaraz zerknąłem ukradkiem na służącą.

Miała ona lat... pięćdziesiąt kilka... Mimo całej mojej naiwności, ostygłem odrazu i postanowiłem oczywiście zwrócić atak w inną stronę.

Nie byłem wybredny w wyborze: blondynka czy brunetka, wszystko mi było jedno; mało mnie również obchodziła twarz i postać... byleby ładniejszą była choć trochę od pani Twardowskiej, to mi wystarczy, mówiłem sobie. Co

do wieku przyszłej kochanki, naznaczałem mu dość rozległe granice: od lat czternastu do czterdziestu pięciu.

Ziszczenie się tych marzeń zdawało mi się dość łatwem! A jednak!... niestety! nie znalazłem pomieszczenia dla moich listów... a raczej, nie śmiałem go szukać, bo wszystkie kobiety takim mnie przejmowały strachem, że na samą myśl wręczenia którejbądź z nich choć jednego z owych płomiennych listów włosy mi się jeżyły na głowie.

A tymczasem wakacyje upływały. Jakże się pokażę kolegom — bez jednego zwycięztwa, bez jednej choćby drobnej, jak ziarnko maku awanturki miłosnej? Byłbym doprawdy popadł w rozpacz, gdyby pewnego dnia, po upływie kilku tygodni nie była mi przyszła myśl do głowy, iż mogłem swoje zamiary urzeczywistnić, zwracając się z afektem do pani Bębnowskiej... zdziwiłem się nawet, żem o tem wprzód nie pomyślał... Lecz zanim przystąpię do dziejów tej pierwszej mojej miłości, z początku muszę wam powiedzieć, kto była owa pani Bębnowska.

Pani Bębnowska bywała u moich rodziców regularnie cztery razy na tydzień, matka zaś moja spędzała u niej trzy pozostające wieczory każdego tygodnia. Była ona żoną rejenta w tem samem mieście, gdzie mieszkali moi rodzice.

Matka moja i ona przepędzały zwykle ze sobą sześć do siedmiu godzin, siedząc naprzeciw siebie z pończochą w ręku i od czasu do czasu wymawiając parę słów na dowód, że nie zapomniały mówić. Rozmawiały codzień o jednem i tem samem i zawsze o tej samej godzinie. Słowem, odwiedziny odbywały się według regulaminu, raz na zawsze postanowionego i ściśle wykonywanego.

Nie umiałbym odpowiedzieć na zapytanie, czy pani Bębnowska była ładną lub brzydką. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, czy ma lat trzydzieści czy pięćdziesiąt. Dla mnie była ona panią Bębnowską, prawie sprzętem domowym, który przyzwyczaiłem się widzieć zawsze na tem samem miejscu.

Wyobraźcie sobie kobietę wysokiego wzrostu, ubraną w obcisłą, czarną suknię jedwabną. Miała ona u nas w szufladzie czepeczek siatkowy, który kładła na głowę natychmiast po zdjęciu kapelusza. Pończochę do roboty przynosiła w torebce, wyszywanej paciorkami, którą przewieszała przez ramię na długim sznurku zielonym. Włożywszy czepeczek i usiadłszy naprzeciw mej matki, pani Bębnowska zawieszała zawsze torebkę z tyłu, na poręczy krzesła.

Na miejscu tak niepoczesnem torebka stawała się prawie niewidzialną.

Okoliczność ta jest bardzo ważną. Była ona bowiem przyczyną wszystkich moich niepowodzeń, kolebką nadziei, grobem szczęścia.

Pani Bębnowska nie okazywała mi wcale jakichś względów nadzwyczajnych, jednak obdarzała mnie zawsze dobrotliwem spojrzeniem i często mówiła do mej matki, poziewając:

— Twój Józio nie będzie brzydszy od innych.

Na co matka, również poziewając, odpowiadała:

— Zdaje się, bo przecież, nie jest ani kulawy, ani garbaty, dzięki Bogu.

Rzecz szczególna, że pani Bębnowska i moja matka ziewały zawsze, ilekroć siedziały razem z pończochami w ręku. Była to widocznie ich rozrywka po pracy.

Byłem, na moje lata, dość nizkiego wzrostu.

Pani Bębnowska przewyższała mnie o całą głowę. Gdy wchodziła do naszego domu, zdaleka już było słychać jej zamaszyste stąpanie po schodach. Nosiła skórkowe trzewiki, zazwyczaj wyszuwaksowane starannie, których podeszwa miała cal grubości. Cieszyła się zdrowiem tak kwitnącem, że, gdy szła przez ulicę, wszystkie niemowlęta wyciągały do niej rączki...

Taką była pani Bębnowska.

Pewnego dnia, a było to już przy końcu wakacyi, matka moja rzekła do pani Bębnowskiej:

— Paulina, moja droga, podaj mi nożyczki.

Paulina! imię to sprawiło na mnie szczególniejsze wrażenie. Doznałem jakby zdumienia, streszczającego się w zapytaniu:

— A! więc pani Bębnowska jest kobietą?

Myśl ta wydała mi się z początku nieprawdopodobną i niedorzeczną.

Jednak spojrzałem ukradkiem na panią Bębnowską.

Najprzód wzrok mój spoczął na pończoszkach śnieżnej białości, wyglądających z pod nieco krótkiej sukni i osłaniających nóżki, swobodnie mogące się poruszać w zbyt obszernych trzewikach.

Następnie przeniósł się dalej.

Rączka, machinalnie poruszająca druty pończochy, była wprawdzie trochę za duża i muskularna, lecz w każdym razie bardzo biała; oczy łzawe i jakby przymglone, miały dziwnie łagodny wyraz; wreszcie z pod siatkowego czepeczka wymykały się jasne, bardzo ładne włosy.

A przytem wszystkiem, jak mi się zdawało, nie mogła mieć więcej nad trzydzieści pięć lat.

Gdy patrzyłem na nią, ziewnęła właśnie, chcąc mi widocznie pokazać ząbki olśniewającej białości.

Miałem więc przed sobą cel upragniony...

Teraz dopiero przejrzałem...

— Tak, powiedziałem sobie, pani rejentowa zostanie moją boginią! Toż to dopiero śmiać się będę z kolegów!

Powstałem. Krew żwawiej zaczęła krążyć w mych żyłach. Spotniałem cały. Prędko poszedłem, a raczej prawie pobiegłem do mego pokoiku na drugiem piętrze.

Otworzyłem szufladę u biurka i wyjąłem mój arsenał listów.

Przerzuciłem wszystkie i nareszcie wybrałem z pomiędzy nich najładniejszy, najczulszy, a nadewszystko... najzuchwalszy.

Pisząc te listy, roztropnie zostawiłem okienka na wpisanie imienia mej przyszłej, nieznanej zdobyczy.

Na tych miejscach popisałem teraz wszędzie dźwięczne imię Pauliny.

Potem zbiegłem na dół, przeskakując naraz po cztery schody, i ostrożnie, zręcznie, niepostrzeżenie wsunąłem list do torebki, wyszywanej paciorkami.

Tak jest, dokonałem tego bardzo zręcznie, bo nie obudziłem niczyjego podejrzenia.

Byłem wzruszony, tak że mi oddech zamierał w piersiach.

Usiadłem na drugim końcu pokoju, ażeby lepiej przypatrzeć się nieszczęśliwej kobiecie, której spokój zabiłem oczywiście na zawsze.

Około godziny piątej *moja* Paulina odezwała się, jak zazwyczaj:

— Wątpię, ażeby mąż przyszedł dziś po mnie.

Na co moja matka również, jak zwykle, odpowiedziała.

— Zdaje się, moja droga, że przyjdzie.

Mąż! o! źle... nie pomyślałem dotąd wcale o panu Bębnowskim...

Zapomnienie nie do darowania.

Sam doprawdy nie wiem, jak mogłem o nim zapomnieć.

Pan rejent był silnie zbudowany, brunet, o bardzo marsowatej minie, która zdawała się niedobrze wróżyć dla autora takich, jak mój, listów.

W przystępie gniewu, co mu się często zdarzało, przy jego popędliwem usposobieniu, zgrzytał zębami i najeżał wąsy.

Zgrzyt ten przypomniałem sobie teraz i przed oczyma natychmiast przemknęła mi się postać groźnego małżonka, nie lubiącego wcale żartować.

Uczułem, że pot zimny występował mi na całem ciele.

Zdawało mi się, że pan Bębnowski chwytał mnie już za kołnierz, ażeby dać mi zakosztować świeżego powietrza za oknem.

— Ależ do kata — powiedziałem sobie — czyż mam być głupszym od Adolfa? a przecież Adolf nie boi się pana pisarza!...

Tymczasem Paulina zatknęła we włosy drut od pończochy. Czyniła to zwykle, gdy chciała

powiedzieć coś ważnego, coś przekraczającego zwykły zakres codziennej rozmowy:

— Wątpię, ażeby Marcin i Grzegórz przyjechali we czwartek.

— Zdaje się, moja droga, że przyjadą.

Zaćmiło mi się w oczach. Nie śmiejcie się; wierzajcie mi, że jeszcze nigdy w życiu nie doznałem takiej trwogi.

Marcin i Grzegórz byli to bracia pani Bębnowskiej. Marcin, istny typ wieśniaka obywatela, dzierżawił znaczny majątek ziemski, Grzegórz służył w huzarach w randze kapitana.

Cichaczem wsunąłem się za krzesło pani Bębnowskiej, którą przestałem już w myśli nazywać „moją" Pauliną i usiłowałem sięgnąć ręką do torebki, dla wydobycia z niej nieszczęsnego listu.

— Co tam robisz Józiu? — zagadnęła pani Bębnowska przeciągłym głosem, który mnie jeszcze bardziej przestraszył.

Widziałem już olbrzymie pięści dzierżawcy i jego muskularne ręce... słyszałem już szczęk szabli kapitana i przeraźliwe zgrzytanie zębów rejenta...

Ach! jak mogłem pomyśleć o zamąceniu spokoju tak okropnej rodziny!

Zaledwie zdołałem wyjąkać:

— Podniosłem chustkę pani z ziemi.

I drżącą ręką podałem jej chustkę, którą wyciągnąłem z torebki zamiast listu.

— Dziękuję ci, Józiu — wyrzekła.

Matka spojrzała na mnie.

Byłem nawpół umarły.

Przez dwie godziny krążyłem koło złowrogiej torebki.

Napróżno! Listu z niej wydobyć nie zdołałem.

— Co ci jest Józiu? — zapytała mnie wreszcie pani Bębnowska — czego się tak ciągle kręcisz i stroisz takie miny, jakby cię żołądek bolał?

— Rzeczywiście — odparła surowo matka, przestając szyć — wybacz mu, moja droga; jakaś mucha mu w nos wlazła.

I zwracając się do mnie, rzekła nakazująco:

— Idź natychmiast do swego pokoju.

Nie możecie sobie wyobrazić, jaki olbrzymi uczyniłem wysiłek, ażeby powstrzymać okrzyk rozpaczliwy, który chciał gwałtem wydrzeć się z mej piersi.

Udałem się do mego pokoiku, pozostawiając w torebce wyrok mojej śmierci, własną moją ręką napisany. Z płaczem zacząłem się żegnać ze sprzętami, które mieściły się w mojem skromnem mieszkanku.

Do kolegi, który mi najbardziej dokuczał, śmiejąc się z mego „niedołęztwa", napisałem obszerny list, w którym wyrzucałem mu to postępowanie i poprzysięgałem zemstę — nawet po za grobem:

„Wśród bezsennych nocy — opiewał list — widmo moje ukazywać się będzie twoim oczom; głos mój bezustannie wznosić się będzie z głębi grobu i t. d."

List ten chowam dotąd na pamiątkę.

Zeszedłszy na dół, do wieczerzy, zapytałem matkę:

— Czy zabrała torebkę?

— Co on mówi? — zapytał ojciec.

— Widocznie coś bredzi — odparła matka — idź spać, chłopcze.

Łatwo to było powiedzieć: idź spać! ale jakżeż trudno było mi to uczynić!

Do północy nie mogłem zmrużyć oka. Złowrogie myśli spędzały mi sen z powiek.

Nareszcie Bóg zesłał mi myśl pocieszającą.

Torebka pani Bębnowskiej była bardzo obszerna; przedmioty wkładane do niej tonęły jak w morzu. Trzeba je było wyławiać z niemałym trudem.

List mój mógł więc uledz podobnemu losowi i pozostać na dnie torebki, aż do śmierci jej obecnej właścicielki, aż do zgonu jej męża, dzierżawcy i kapitana huzarów.

Zasnąłem.

Nazajutrz, obudziwszy się, zapomniałem o wszystkiem.

Zabierałem się już właśnie do wstawania, gdy wtem zapukano do drzwi.

Pot zimny znów wystąpił na mnie. Wspomnienie dnia wczorajszego, jak widmo, stanęło mi przed oczyma.

— Proszę nie wchodzić! — zawołałem przerażony — jestem w koszuli.

Zdawało mi się, iż za drzwiami stoi kapitan z pałaszem u boku, spodziewałem się jednak, że będzie do tego stopnia grzeczny, iż nie wejdzie, słysząc, że jestem w tak pierwotnym stroju.

Wszelako, pomimo zakazu, drzwi się otwarły.

Ujrzałem przed sobą małego chłopca z kancelaryi pana Bębnowskiego.

— Panie Józefie — rzekł do mnie — oto liścik dla pana.

Położył list na stole i odszedł.

Moja Paulina przysłała mi odpowiedź.

Krótki jej liścik brzmiał:

„Kochany Józiu!

Za godzinę oczekiwać cię będę przy bocznej bramie parku.

Twoja do śmierci

Paulina."

Naznaczała mi więc schadzkę. Ród niewieści jest przewrotny!!!

Byłem zdziwiony, a nawet zakłopotało mnie to szczęście niespodziewane.

Nie była mi na rękę ta godzina. Po cóż ułatwiać wszystkim mieszkańcom naszego miasta podejrzenie, że mieliśmy schadzkę miłosną? Chciałem już przynajmniej, ażeby Paulina przybyła na tę schadzkę w mniej obszernem obuwiu i bez torebki.

W każdym razie zapóźno było się cofać przed schadzką; włożyłem więc świeżą bieliznę, wyczyściłem kredą guziki u munduru i wysmarowałem włosy resztą pomady.

Sądzicie może, iż pani rejentowa chciała ze mnie zażartować, obiecując przyjść na schadzkę.

Bynajmniej.

Czekała na mnie, stosownie do obietnicy, przy bocznej bramie parku.

Miała na sobie nową suknię, trzewiki prunelowe i maleńką torebkę z czarnej materyi.

Nie mogłem już powątpiewać; miłość nauczyła ją kokieteryi.

— Mój Józiu — odezwała się do mnie, gdy stanąłem przed nią z rumieńcem na twarzy i niewymownie zakłopotany — czy ty mnie kochasz?

— Zdaje się — odparłem, jak zwykle była mawiać poczciwa matka moja.

Traciłem już przytomność.

— Więc pocałuj mnie — mówiła dalej.

Nadstawiłem jej policzek, jak zwykle mali chłopcy.

— Ależ nie tak, mój Józiu.

Już mi się na płacz zbierało.

Ona ciągnęła dalej:

— Mój Józiu, wątpię nawet, czy ty wiesz, co to jest miłość?

— Wiem — odparłem — widziałem, jak jeden z kolegów romansował... z kucharką.

— Ha! ha! zabawnyś, mój chłopcze.

Wzięła mnie pod rękę i zapuściliśmy się w głąb parku.

Park ten, stanowiący prawdziwą ozdobę miasta, mającego ludność urzędniczą, fabryczną i handlującą, był w godzinach porannych prawie całkiem pusty.

Szliśmy w milczeniu.

Nie śmiałem spojrzeć w oczy „mojej" Paulinie.

Powodzenie w przygodach miłosnych wydawało mi się teraz rzeczą bardzo straszną.

— I cóż, mój Józiu? — rzekła do mnie czule Paulina — nie ściskasz mnie za ręce? Wszak to, mój drogi, rzecz konieczna w naszem położeniu.

— Zaczekaj pani chwilkę — odparłem — daj mi trochę czasu.

— Czy cię nie dręczy czasem wyrzut sumienia, mój Józiu, żeś mnie sprowadził z drogi obowiązku?

Myśl ta pochlebiała mej próżności.

— Cóż znowu! — zawołałem — obowiązki! nie myślmy o nich, moja droga, to niepotrzebne przesądy!

— I ja tak sądzę - odpowiedziała Paulina — lecz czy zdołasz obronić mnie w razie nieszczęścia?

— Naturalnie — odrzekłem zuchwało.

— Wątpię, czy wiesz o tem, że mój mąż jest zazdrosny, jak tygrys.

Od dnia wczorajszego nie pomyślałem o rejencie.

Wydało mi się znowu, iż słyszę przeraźliwy zgrzyt jego zębów.

Wszelako, zdobywając się na odwagę, przybrałem minę zuchwałą.

— Jeżeli jest złym mężem, tem gorzej dla niego.

— Mój brat Marcin również nie lubi żartować — mówiła dalej Paulina.

— Przecież jestem mężczyzną! — szepnąłem głosem, który, pomimo mojej woli, drżał w sposób straszliwie kompromitujący moje męztwo.

— Lecz Grzegórz — dodała Paulina – gdy się rozgniewa, jest jeszcze strasznieiszy od nich.

Trudno sobie wyobrazić, jak olbrzymiemi wydały mi się w owej chwili pięści dzierżawcy i jakich rozmiarów nabrała w mej wyobraźni szabla kapitana huzarów.

Jakże gorąco pragnąłem teraz uciec czemprędzej!

— Wahasz się? — rzekła Paulina.

— Zkądże znowu! — odparłem — trzech przeciwników... wielka mi rzecz!

— Dzięki ci, mój jedyny Józiu... więc czujesz i jesteś pewnym, że zdołasz bronić mnie, słabej kobiety, przeciwko wszystkim moim tyranom? — zawołała z zapałem, którego się po niej nie spodziewałem.

— Nie lękaj się niczego!— wycedziłem przez zęby.

A w duchu pomyślałem sobie:

— Gdyby tak naprzykład zachorować nagle?

Szliśmy wówczas w cieniu drzew rozłożystych, w najodleglejszej, ustronnej części parku.

U stóp naszych płynęła rzeka, poza którą rozciągało się prześliczne błonie, z porozrzucanemi tu i owdzie kępami drzew, które wiankiem swym okrążały łąkę dokoła i zasłaniały widok na przedmieście.

W godzinach porannych przechodzień był tu osobliwością.

Paulina badawczo rozejrzała się dokoła, następnie odezwała się:

— Józiu, zbliż się do mnie... niech cię przytulę do serca. O! jakże tego pragnę!

Chciałem czemprędzej zemknąć.

Lecz już było zapóźno!...

Ta słaba kobieta, której ja miałem bronić, ujęła mnie silnie wpół i wzięła pod pachę, jak parasol, w ten sposób, że miałem wszelką swobodę oglądania jej barczystych pleców.

Następnie, korzystając z mego położenia arcyniedogodnego, prędko odpięła mi szelki.

Niepodtrzymana niczem, niższa część mego ubrania opadła.

Głośny klaps przerwał harmonijną ciszę natury... za nim rozległ się drugi, trzeci i cały grad razów, wymierzonych szelkami...

Moja Paulina nie żałowała ręki, która mi się wydała teraz istną łopatą!

Nareszcie, zmęczywszy się, położyła mnie oszołomionego na murawie i rzekła czule:

— Mój Józiu! widzisz, to jest miłość! A teraz kochanku mój, zapnij szelki natychmiast. Będę dzisiaj u twej matki i przyniosę znowu tę torebkę, którą znasz tak dobrze! Postaraj się włożyć w nią liścik do mnie z oznaczeniem nowej schadzki. Odtąd należę już do ciebie. Ilekroć będziesz szukał rozrywki, nie wstydź się, daj mi tylko znać, a natychmiast przybędę na schadzkę.

To powiedziawszy, odeszła spokojnie.

Przywróciwszy do porządku ubranie, rzuciłem dokoła błędnem okiem.

Przez chwilę byłem okropnie przygnębiony.

Błagałem ziemię, aby się rozstąpiła podemną.

Lecz ziemia pozostała głuchą na me wezwania, a ja rad nierad musiałem wracać do domu.

W drodze zdawało mi się, że całe miasto spogląda na mnie ironicznie.

Sądziłem, że wszyscy czytają w mem zakrwawionem sercu.

Mniemanie to jeszcze się bardziej umocniło we mnie, gdy piekarka, która stała we drzwiach sklepiku, odezwała się do mnie:

— Co tam u pana słychać, panie Józefie?...

Byłbym ją udusił!

Na domiar wszystkiego, kucharka rodziców gdym wchodził do mieszkania, rzekła do mnie:

— Tylko co była tu pani rejentowa; kazała się panu pokłonić i powinszować tego, co pan już wiesz.

— Czy widziała się z matką? — jęknąłem.

— A jakże... Obie bardzo się śmiały.

Powziąłem zamiar nieodwołalny...

Matka siedziała w pokoju swoim z pończochą w ręku.

— Czy pistolety ojca są w szafie? — zapytałem ponuro.

— Zdaje się — odpowiedziała mi — jeżeli nikt ich ztamtąd nie ruszał; zamknij drzwi, bo przeciąg... boję się zawiania.

Zamknąłem drzwi, a następnie otworzyłem szafę.

Wyjąłem z niej dwa, rdzą okryte, skałkowe pistolety, bardzo cenne pod względem archeologicznym.

Odciągnąłem kurki wobec matki, która przypatrywała się, nie przestając robić pończochy.

— Wypoliczkowano mnie — odezwałem się do niej.

— A! — odrzekła — więc ty to nazywasz policzkami?

— Jestem shańbiony!

— Zdaje się, że będziesz istotnie shańbiony, jeżeli nie zmienisz postępowania.

— Do tego nie dojdzie... zabiję się!

Kochana mateczka nie przestała wprawdzie robić pończochy, ale rzekła do mnie bardzo czule:

— Głupiś, mój Józiu!

— Mamo, jesteś kobietą — wykrzyknąłem — nie pojmujesz, co to jest hańba!...

I palnąłem mówkę o okropności hańby.

Mówki tej już nie pamiętam, czego mocno żałuję.

Przypominam sobie tylko, iż mówiłem z gorączkowym zapałem i że matka wysłuchała do końca, nie ziewnąwszy ani razu.

Skończywszy tę świetną mowę, schwyciłem za pistolety i wybiegłem po schodach do mej izdebki, mocno przekonany, że poczciwe matczysko rzuci się za mną i przytrzyma mnie za poły surduta.

Ale matka robiła dalej pończochę.

Szedłem po schodach z początku bardzo prędko, później trochę wolniej, a wreszcie żółwim krokiem.

Spodziewałem się ciągle, że matka przybiegnie.

W miarę, jak zbliżałem się do izdebki, wymagania moje stawały się coraz skromniejsze.

Przy przebyciu ostatnich stopni, byłbym się zatrzymał nawet po usłyszeniu prostego *pst!*

Tymczasem cisza była zupełną!

O! czyż są matki tak wyrodne!

Więc byłem zmuszony palnąć sobie w łeb, bo nikt nie wyrywał mi z rąk owych przeklętych pistoletów!...

— Józiu!

Doprawdy, potrzeba było słuchu do tego stopnia wytężonego, jak mój, ażeby usłyszeć to wołanie, dalekie i ciche jak westchnienie.

Jednym skokiem byłem na dole.

— Wołałaś mnie, mamo?

— Zdaje się — odpowiedziała mi oschle.— Powiedziałam ci przed chwilą wyraźnie, iż boję się przeciągu... a ty zapomniałeś zamknąć drzwi za sobą!...

O! tego już było zawiele.

Pociągnąłem za cyngle, u obu pistoletów jednocześnie, aby być pewniejszym skutku!...

Strzał jednak nie padł.

Mimo to padłem na podłogę... z odwagi.

Poczciwe matczysko wzięło mnie na kolana i na wpół obumarłego zaczęło pieścić.

— Oj głuptasku, czyż byłabym cię puściła na górę, gdyby pistolety były nabite? — rzekła.

I dodała:

— Niechaj ci ta nauczka posłuży na całe życie.

Temi słowy Józef zakończył opowiadanie.

Minister.

* Pan de Corbières, minister francuzki podczas Restauracyi, odznaczał się żywym temperamentem i oryginalnością, które, nie przeszkadzając mu być zasłużonym mężem stanu, często były groźne dla jego karyjery, jako dworaka.

Pewnego dnia, gdy Ludwik XVIII przewodniczył na radzie ministrów i debatowano o kwestyjach największej wagi, wyjął pan de Corbières z kieszeni tabakierkę i zażywszy niuch tabaki, postawił ją przed sobą na stole, potem zrobił to samo z chustką do nosa.

Król Ludwik ściśle przestrzegał etykiety a de Corbières, były adwokat, na prowincyi praktykujący, nie wiele się na niej znał: niepodobało się królowi, że minister tak sobie nie robił ceremonii, zmarszczył więc brwi i powiedział z dotkliwą uszczypliwością:

— Panie de Corbières, jak widzę, wypróżnisz wkrótce obie kieszenie.

— Najjaśniejszy panie! — odpowiedział de Corbières ze zwykłą przytomnością umysłu — czy nie właściwiej dla ministra Waszej Królewskiej Mości wypróżniać kieszenie, niż wypełniać je?

Król rozśmiał się serdecznie z tej odpowiedzi, gdyż będąc sam pełnym dowcipu, lubił widzieć dowcipnych ludzi w swem otoczeniu.

* Podający prośbę przychodzi do ministra i odzywa się w ten sposób:

— Ekscellencyjo, ośmieliłem się prosić o krzyż zasługi i zarazem wyrazić ból, jaki mi sprawiło kilkakrotne odrzucenie mych najniższych próźb.

— Czy tak? — odpowiada zimno minister— doznajesz pan bólu z powodu, żeś dotąd krzyża nie dostał. Udaj się z tem do lekarza. on prędzej niż ja pomoże ci na ból krzyża.

* *Polscy ministrowie.*

Definicyja wszystkich ministrów polskich w czterech wierszach:

Wędzikiszka, hołota, szubienicznik, cnota.
Ślamazarnik, gawęda, filut, rewerenda,
Sardanapal, bogacz, intrygant, rogacz,
Pijak, klarinecista, basałyk, psalmista.

Objaśnienie porządkiem jak są wypisane epitety:

Wiersz 1. Podskarbiowie:
Książe Stanisław Poniatowski, w. litewski.
Dziekoński, nadworny litewski.
Książe Adam Poniński, w. koronny.
Roch Kossowski, nadworny koronny.

Wiersz 2. Marszałkowie:
Michał Wandalin Mniszek, w. koronny.
Gurowski, w. litewski.
Raczyński, nadworny koronny.
Potocki Ignacy, nadworny litewski.

Wiersz 3. Kanclerze:
Książe Sapieha, wielki litewski.
Hjacynt Małachowski, w. koronny.
Ksiądz Garnysz, podkanclerz koronny.
Joachim Chreptowicz, podkanclerz litewski.

Wiersz 4. Hetmani:
Branicki, wielki koronny.
Ogiński, wielki litewski.
Tyszkiewicz, polny litewski.
Seweryn Rzewuski, polny koronny.

J. I. Kraszewski. (p. t. I s. 350).
„Pamiętniki Seweryna Bukara."

Miotła.

* Pewien bogaty właściciel ziemski, który potępiał bardzo modne wychowanie młodych panien, starał się przy każdej sposobności wy-

robić w swym synu nieufność do kobiet, mających za cel życia stroje i zabawy. Nieraz mówił mu:

„Musisz sobie wybrać rządną i pracowitą kobietkę na żonę. Broń cię Boże od strojnisi, którąby się do miotły nawet nie dotknęła".

Naukę tę wziął młody człowiek do serca. Pewnego pięknego dnia wiosennego, gdy ojciec liczne towarzystwo do siebie na wieś zaprosił, kazał on podczas gdy goście siedzieli u stołu, dużą miotłę w poprzek schodów położyć.

Po obiedzie, gdy całe towarzystwo wybierało się na spacer do lasu, stanął wraz z swym przyjacielem w pobliżu drzwi i powiedział:

„Uważaj proszę; ta miotła pomoże mi wybrać żonę. Ta z młodych dziewcząt, która będzie wiedziała, jak z nią postąpić, zostanie moją żoną."

Za chwilę wyszło całe towarzystwo. Większa część pań przeszła przez miotłę, inne potknęły się o nią; nakoniec nadeszła ładna młodziuchna panienka, która miotłę podjęła i postawiła na odpowiedniem miejscu.

Młody człowiek dotrzymał słowa, oświadczył się o dzieweczkę i otrzymał przyrzeczenie. Nigdy nie żałował wyboru, gdyż jego żona posiadała wszystkie przymioty, mogące zacnego człowieka uszczęśliwić.

Miód.

* Miód zastępował u starożytnych miejsce cukru, Rzymianie używali go do pieczywa i potraw, do przyprawy win i jako ulubiony napój. Szacunek ich dla miodu był nadzwyczajny. Wirgiliusz nazywa go „donum coeleste", t. j. darem niebios, był on zwykłą potrawą Pytagoresa; Demokryt zaleca go wszystkim, którzy chcą żyć długo. Pliniusz opowiada o stuletnim starcu, nazwiskiem Tedius Pollio, który się cieszył w tak późnym wieku pełnią sił i zdrowia. Został on przedstawiony cesarzowi Augustowi, który go się zapytał, jakim sposobem zachował takie zdrowie i do tak późnego doszedł wieku.

„Intra mello, extra oleo" — odparł starzec, to znaczy: „Wewnątrz miód — zewnątrz olej."

Mistyfikacyja.

* Zaaresztowano człowieka, który z twarzy podobny był zupełnie do rysopisu poszukiwanego złodzieja, a ponieważ przy badaniu milczał, kazano go położyć na ławce i obdarzyć porządną porcyją rózeg. Zdziwił się sędzia, widząc go śmiejącego się serdecznie; „Ah! ah! dopieroż wyprawiłem wam psikusa, na darmo mnie biliście, nie jestem ja wcale tym, za którego mnie bierzecie!"

Mizantrop.

* *Z teki mizantropa.*

Świat szeroki, jak twierdzą — a przecież to jasno,
Że dwom głośnym artystom na świecie już ciasno.

Cnota! Wszak z niej kobieta bywa dumną przecie,
A jednak... niecnotliwą lubi być... w sekrecie.

Rozum wielki do tego człowieka prowadzi,
Aby mógł swego brata okpić jak najgładziej.

Mówisz że brak poświęceń! Hola z łaski pańskiej
Poświęcono niedawno... knajpę na Bielańskiej.

I szacunek dla starców rzadki dziś twem zdaniem:
Płać, a każdy natychmiast jest z uszanowaniem.

* *Mizantrop opowiada:*

Wypłowiały pożółkły świat oblekł się w zwiędłą szatę suchych liści, górą płynęły ciężkie ołowiane chmury, mięszały się z sobą i zlewały w jednę ciemną masę. Wicher mroźny, przeciągły, syczał ponurą, piekielną, dantejską pieśń, w której można było rozróżnić i hukanie puhaczy i jęk utraconej duszy wisielca i zgrzyt rot potępieńców i złorzeczenia przeklętych...

Dokoła była noc ciemna, a nagie, strome, dalekie skały kończyły ponury horyzont bezrodnej, samotnej pustyni. Jedna tylko żyjąca dusza ludzka błąkała się po tych ciemnościach,

na grobie zamierającej natury, chcąc ukoić cierpienia nutą żałosnej pieśni wichrów jesiennych. Niewidzialne zastępy duchów krążyły nad nią, a całe jej jestestwo ogarnęło śmiertelne znużenie... Zastępy duchów zaczęły nabierać w cieniach zarysów i wieńcem skrzydlatym otoczyły ją dokoła, a jeden z nich usiadł jej na ramieniu.

— Kto jesteś?—zapytała ludzka postać.

— Jam jest smutek—odrzekł duch—ogarnę ci duszę smętnicą, oplotę w wieńce grobowe, okryję kirem i nie dam ani jednej łzy uronić.

— Nie chcę cię! — odrzekła postać — jestem już bez ciebie smutny.

Skrzydła zatrzepotały, zjawił się inny.

— Jestem fantazyja—rzekł - dam ci myśl mędrca, serce poety, polot marzyciela, duszę filozofa, zaprowadzę cię w czarowną krainę nadziemskich światów...

Postać ludzka zaprzeczyła ruchem ręki.

— I tego nie chcę — rzekła — to dla głupców.

Duchy się zmieniły i stanął znów inny.

— Ja ci dam, czego zapragniesz: sławę, skarby, majątek, zaszczyty, jestem ziemskiem szczęściem.

— Ach!... jeżeli tak wygląda szczęście, to i ciebie nie chcę, jesteś nudny.

Ten zniknął, zjawił się nowy.

— Ja jestem rozum—rzekł—bezemnie nic nie zdziałasz, ja kieruję światem, idę od wieków naprzód, uszlachetniam ludzkość i podnoszę ją do bóstwa, bierz mnie...

Postać ludzka żachnęła się.

— Cóż mi po tobie, rozumie, kiedy mi nie wyjaśnisz najprościejszego pytania. Powiedz mi więc; co jest za gwiazdami, powiedz, gdzie jest początek wszystkiego, a gdzie koniec, powiedz mi, co jest wieczność?

Duch zatrzepotał skrzydłami i zleciał, by ustąpić miejsca drugiemu.

Ten uśmiechnął się figlarnie i rzekł:

— Jestem rozkosz, dam ci czarę uciech i co tylko jest najsłodszego. Dam ci czarującą kobietę...

— A toś się wybrał — odparł człowiek — dziękuję, mam ich już dosyć.

Przyleciał inny duch i począł przekonywująco:

— Jesteś kapryśny, cierpisz na spleen, ja zaś jestem ideałem oryginalności i sportu. Pójdź ze mną, obdaruję cię sforą psów Akteona, koniem Aleksandra, dam ci małpę kawalera Bare'a, widowiska piekielne i walkę centaurów...

— Ach! idź z tem do dzieci.

Inny zjawił się—zaśmiał się i rzekł:

— Odpędzę ci chmurę z czoła, rozjaśnię oblicze, jestem dobry humor, najlepszy przyjaciel ludzi...

— Ach!—rzekła ludzka postać—nie męczcie mnie, nie potrzebuję was, ani ciebie smutku, ani ciebie wesołości, nie chcę ani rozkoszy, ani rozumu, potrzeba mi czegoś zupełnie innego.

Z rzeszy duchów frunęło białe zjawisko z różczką palmową i uśmiechnęło się bosko.

— Wiem—rzekło—czego ci trzeba! Ja jestem spokój, lecz tego na ziemi nie osiągniesz nigdy...

Ludzka postać wyciągnęła za niem ramiona—widzenie jednak znikło.

Pozostał tylko świat nudny, czczy i ciemny, a wicher jesienny roznosił dalej smętną, żałosną pieśń, której ostatnie akordy rozbrzmiewały bezbrzeżną tęsknicą...

R. Teodorowicz.

* *Myśl mizantropa.*

Jeżeli masz całą koszulę, możesz się obejść bez opinii, ale jeżeli chcesz zdobyć opinję, musisz mieć koniecznie całą koszulę.

Mleko.

* Mleczarka przynosiła mleko do pewnego domu, zawsze w jednakowej ilości i w temże samem blaszanem naczyniu.

Pewnego razu pani, odbierając naczynie z mlekiem, znalazła je lżejszem niż zwykle i podniosłszy pokrywę zobaczyła, że do połowy jest napełnione wodą.

— Co to znaczy? spytała — tu jest woda zamiast mleka.

-- Niech pani wybaczy—powiedziała naiwnie mleczarka — tak dziś byłam zajęta, że zapomniałem mleka jak zwykle dolać do wody.

* *Macierzyńskie mleko.*

Piotr Pindar, znany satyryk. cierpiał na uporczywy kaszel; doktór zaordynował mu picie oślego mleka, ale Pindar śmiał się z takiego lekarstwa i nie chciał nawet spróbować; gdy różne inne środki nie przynosiły polepszenia, doktór nalegał znów, aby pacjent koniecznie na ośle mleko się zgodził. „Jest to najpewniejsze, najskuteczniejsze lekarstwo", mówił, „ja sam cierpiałem długo na przykry kaszel i nic mi tak nie pomogło jak mleko ośle." „To niczego nie dowodzi," odrzekł rozdrażniony Pindar, „tobie, kochany doktorze, mogło to pomódz jako macierzyńskie mleko."

Młodość.

* Instynkt młodych nasuwa im przekonanie, że świat razem z nimi istnieć zaczął; wierzą tylko w teraźniejszość i w przyszłość. Starzy znowu błądzą niekiedy, przywiązując zbyt wielką wagę do czasów przeszłych, a nie biorąc w rachubę faktów spełnionych i konieczności postępu.
Montlosier.

* Młodość nie dość jeszcze cierpiała, iżby smutnych pocieszać mogła.
E. Legouvé.

* Umysł nie starzeje się, póki serce młode.
Ch. de Remusat.

O! jakże smutno w jasnej życia wiośnie
Być tak samotnym jako Pan Kazimierz!
Gdy świat przed tobą w nieskończoność rośnie,
Gdy wszystko tęczą; lecz czego się imiesz
Błotem. Dopóki serce wre miłośnie,
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzemiesz;—
Gdy zgaśnie, wtenczas zaczynasz dopiero
Pojmować, że ten cały świat satyrą!

Dopókiś młody, bawią cię ballady,
Poezyja gminna nadzwyczaj zachwyca,
Lubisz w wierszykach chmury, księżyc, gady;
Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica
W mgle, w której wiersze brzęczą jak owady
I brylantują myśl blaskiem księżyca;
I myślisz;, że to sam poeta roi,
Skrzy się i błyska i leci? — On stoi.

Ty sam te wiersze niesiesz w kraj marzenia,
W tej mgle twych własnych myśli tęcza świta,
W tych dumkach twoje latają westchnienia;
Potem z tych wszystkich wierszy, dumań—kwita,
Potem trzy wiersze Danta, pełne cienia
Ale rozumu, serce twoje chwyta,
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcyja,
Która poezyi uczy, jest dyssekcyja.
Słowacki. (p. t. I s. 87).

* Miłe nadzwyczaj w młodości obrazy!
Młodość albowiem świeża, jak Mahomet,
Pantheistyczną jest, i wszystkie głazy
Zmienia w kobiety, w ogień topi kruszce,
Huryski widzi zamiast ziarnek w gruszce.

A tu odsyłam mego czytelnika
Do Alkoranu, gdzie stoi przypisek,
Że w raju każda się gruszka odmyka
I cztery z siebie wydaje Hurysek.
Chciałbym tam na czas być za ogrodnika,
I z tych owoców co dnia mieć półmisek;
Zwłaszcza, że w każdej gruszce, do wyboru,
Masz cztery panny różnego koloru.

Słowem ideał nasz kochanek białych,
Tęczowym jest na Wschodzie dogmatycznie.
U nas liczono by do rzeczy śmiałych,
Gdyby kto nawet tworząc poetycznie.
W rymach malując jedną z tych przestałych
Owoców, starą pannę seraficznie
Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozwagi
Rzekł: płeć zieloną miała jak szparagi.

A jednak wielki poeta i prorok
Powiedział to w koranie, i krytyka
Milczy, krytyka owa, która w rok
Tyle wad w moich utworach wytyka,
Jako ostrowidz lub jako nosoróg;
Bo widzi ostro i rogiem przenika;
Szczęśliwa, gdybym dbał i był gorący!
I włożył imię jej w poemat drwiący.

Słowacki. (p. t. I s. 87).

* *Młodość w pojęciu rozpustnika.*

W. Sędzia.

Żeby ci powiedzieć prawdę, Sir Dżon, w wielkiej żyjesz infamii.

Falstaff.

Kto się pasem moim ściska, nie może żyć w mniejszej.

W. Sędzia.

Dochody twoje są szczupłe, wydatki nad stan ogromne.

Falstaff.

Pragnąłbym, żeby było odwrotnie, żeby moje dochody były ogromne, a stan mój szczuplejszy.

W. Sędzia.

Sprowadziłeś z dobrej drogi młodego książęcia.

Falstaff.

Mnie raczej z drogi sprowadził; ja jestem ślepym, a wielkim brzuchem, a on psem moim.

W. Sędzia.

Zresztą, nie chciałbym odnawiać świeżo zagojonej rany; twoja dzienna służba pod Szrewsbury ozłociła trochę twoje nocne sprawki w Gadshill. Możesz podziękować burzliwym dzisiejszym czasom, że ci płazem uszła ta sprawka.

Falstaff.

Milordzie?

W. Sędzia.

Ale skoro wszystko się skończyło szczęśliwie, zostaw rzeczy jak są, nie budź śpiącego wilka.

Falstaff.

Budzić wilka równie jest źle, jak trącić lisem.

W. Sędzia.

Zresztą, jesteś jak świeca, której najlepsza połowa już spłonęła.

Falstaff.

Łojowa to świeca, milordzie, sam tylko łój; choć gdybym powiedział jarząca, miałbym do tego prawo, boć jestem jary.

W. Sędzia.

Każdy biały włosek na twojej twarzy powinienby ci dodawać powagi.

Falstaff.

Wagi, wagi, wagi.

W. Sędzia.

Na krok nie odstępujesz książęcia, jak jego zły anioł.

Falstaff.

Bynajmniej, milordzie, Zły anioł jest lekki, a dość na mnie spojrzeć, aby mnie wziąć bez ważenia. Jednakże pod pewnym względem muszę wyznać, że nie mam dziś obiegu: cnota w tak małej cenie w dzisiejszych kramarskich czasach, że prawdziwa zasługa musiała się zrobić niedźwiednikiem: wszystkie inne przymioty, właściwe mężowi, dzięki przewrotności wieku, nie warte są ziarnka agrestu. Ty, milordzie, co jesteś stary, nie masz na względzie popędów, nas, co jesteśmy młodzi, mierzysz gorącość naszej śledziony goryczą własnej żółci, gdy my, co jesteśmy w samem zarzewiu młodości, muszę wyznać, lubimy krotofile.

W. Sędzia.

Jakto? Ty wciągasz twoje imię na rejestr młodzieniaszków, gdy wszystkie charaktery wieku zapisują cię do starców? Czy oko twoje nie wilgotne? Czy ręka nie sucha? Nie żółte policzki? Nie biała broda? Czy nie ubywa ci łydek, a nie przybywa brzucha? Czy głos twój nie głuchy? czy nie krótki oddech? nie podwójny

podbródek, a nie prosty rozum? czy każdy zmysł twój nie przytępiony starością? A chcesz się jeszcze nazywać młodzieniaszkiem? Fe, fe, fe, sir Dżon, wstydź się!

Falstaff.

Milordzie, przybyłem na świat około trzeciej po południu z siwą głową i niezgorzej zaokrąglonym brzuchem. Co do mojego głosu, straciłem go, śpiewając w niebogłosy kantyczki. Dowodzić dłużej mojej młodości nie widzę potrzeby. To tylko prawda, że jestem stary sądem i rozumem. Kto chce przewracać ze mną koziołki o tysiąc grzywien, niech mi tylko zaforszusuje tę summę, a radzę mu trzymać się na baczności. Co do kułaka, którego ci dał książę, dał ci go jak nieokrzesany książę, a ty go wziąłeś jak lord, pełny roztropności. Dobrą mu za to dałem burę, a młode książątko pokutuje teraz tylko nie w popiele i włosiennicy, ale w nowym ed wabiu przy starego wina szklanicy.

W. Sędzia.

Daj Boże księciu lepszego towarzysza!

Falstaff.

Daj Boże towarzyszowi lepszego księcia! Nie mogę się od niego odczepić.

W. Sędzia.

Na szczęście król się odczepił od księcia Henryka. Słyszałem, że ciągniesz z lordem Janem Lankastrem na arcybiskupa i hrabiego Northumberlanda.

Falstaff.

To prawda, dzięki waszemu słodziuchnemu dowcipowi. Ale proście Boga wy wszyscy, którzy całujecie w domu panią Spokojność, żeby nasze armije nie spotkały się w dniu gorącym, bo biorę z sobą dwie tylko koszule, a nie myślę pocić się nadzwyczajnie. Na przypadek upału, jeśli będę machał czem więcej jak butelką, niech nigdy więcej białą śliną nie splunę. Ledwo że jaka niebezpieczna wyprawa wychyli głowę, muszą mnie zaraz w nią wścibić; nie mogę przecie trwać na wieczne czasy. Ale stary to zwyczaj naszego angielskiego narodu, że jak ma co dobrego, to niem wszędzie szafuje. Jeśli gwałtem chcecie utrzymywać, że jestem stary, to powinniście mi dać spoczynek. Dałby Bóg, żeby imię moje nie było tak straszne nieprzyjacielowi, jak jest teraz! Wolałbym, żeby mnie rdza na śmierć przetrawiła, niż żebym zniknął wiecznem szorowaniem.

W. Sędzia.

Dobrze, dobrze: bądź tylko uczciwy, bądź uczciwy, a niech niebo błogosławi waszej wyprawie!

Falstaff.

Czyby mi Wasza Dostojność nie raczyła pożyczyć tysiąc funtów na mój wojenny rynsztunek?

W. Sędzia.

Ani szeląga, ani szeląga, i tak już dosyć jesteś ciężki. Bądź zdrów! Poleć mnie względom mojego kuzyna Westmorelanda.

(*Wychodzi z dworzaninem.*)

Falstaff.

Jeśli to zrobię, pozwolę dać sobie szczutka młotem. Nie łatwiej rozdzielić starość ze skąpstwem jak młodość z rozpustą; obie obejdą się bez mojego przekleństwa. — Paziu!

Paź.

Panie?

Falstaff.

Ile jest gotowizny w mojej sakiewce?

Paź.

Dwa grosze i siedm szelągów.

Falstaff.

Nie mogę znaleźć lekarstwa na te suchoty sakiewki. Pożyczka przeciąga tylko konanie, ale choroba zostaje nieuleczona. Oddaj ten list lordowi Lankastrowi, ten księciu, ten hrabiemu Westmorelandowi, a ten starej Urszuli, której raz na tydzień przysięgam, że ją wezmę za żonę od czasu, jak znalazłem pierwszy biały włos

na mojej brodzie. Ruszaj! Wiesz, gdzie mnie znajdziesz. *(Wychodzi paź).* Nic w tem złego, że kuleję; wojna moją wymówką, a moja pensyja wyda się tem sprawiedliwszą. Sprytna głowa umie ciągnąć korzyści ze wszystkiego: z choroby zrobię kapitał.

Szekspir. (p. t. I s. 92).

* *Na młodość.*

Jakoby też rok bez wiosny mieć chcieli,
Którzy chcą, żeby młodzi nie szaleli.

J. Kochanowski. (p. t. I s. 14).

Młodzież.

„Dzieci są dziećmi i zajmują się tylko dziecinnemi rzeczami".

Dzieci, młodzieńcy, dziewczęta i kobiety śmieją się daleko łatwiej aniżeli mężczyzni i starzy. Owa bajka rabinów, jakoby Pan Bóg przeznaczył najprzód człowiekowi 30 lat życia, a dopiero na jego prośby o wiek dłuższy, dodał mu 20 lat z życia osła, tyleż lat odjętych psu, a nakoniec małpie, nie jest całkiem pozbawiona sensu. U młodzieży doświadczenie jest nowe, wyobraźnia wielka i gorąca, współczucie słabe, a rozwaga jeszcze słabsza. Starzy żyją więcej w przeszłości, młodzież rwie się naprzód z okrzykiem: „użycia! użycia!" Symbolicznym obrazem młodości jest tańcująca parka, chłopiec i dziewczyna, w ogrodzie pełnym kwiecia; w głębi wschodzące słońce, po rogach zwierciadła dla dziewczęcia i baranek jako godło niewinności. Dziecinnemu wiekowi właściwe są rzeczy zmysłowe, powierzchowne; dorosłej młodzieży uczuciowe i intelektualne; ludziom dojrzałym obyczajowe; starym zaś religijne. Wiek ma stopnie na podobieństwo termometru: od wrzenia aż do zamarzania oznaczonego właściwie zerem. Najlepiej przedstawia cztery pory życia człowieka rycina, załączona do historyi naturalnej Buffona (les quatre ages de l'homme), przedstawiając je jako cztery pory roku: wiosnę, lato, jesień i zimę, t. j. dzieciństwo, młodość, wiek dojrzały i starość; pomiędzy 24-ym a 80-ym rokiem (vingt-quatre et quatre-vingt) jest wielka różnica. Pierwsze dzieciństwo zbliżone jest do zgrzybiałej starości; obie te epoki życia, podobne są do białych kart, które introligator umieszcza na początku i na końcu książki. Pierwsze odetchnienie dziecka jest boleśniejsze może, aniżeli ostatnie umierającego starca. Po pierwszym krzyku, jakim dziecko świat wita, następuje sen, przerywany jedynie głodem; ważną epoką jest następnie ząbkowanie i robaki, jeszcze ważniejszą próby stania i chodzenia, w których już widzieć można niejakie wskazówki przyszłego charakteru, jak i w początkach mowy i śmiechu, które dzieci tak miłemi czynią. Z tych pierwszych prób mowy badacze" języków mogą się wiele nauczyć, bo jest to prawdziwie pierwotna mowa tych, którzy jeszcze mówić nie umieją i których dla tego Rzymianie nazwali „infantes" czyli „niemowlęta". Badacze językowi są wszakże daleko rzadsi, aniżeli nauczyciele języków. Przeznaczeni jesteśmy przez rozum i cnoty wychowywać się dla towarzystwa, co nas czyni tak niezaradnymi i zależnymi, jak żadne inne zwierzę; cóżby z nas było, gdybyśmy tak odrazu w pierwszych tygodniach życia mogli od rodziców odbiedz, odpłynąć czy odlecieć jak młode pieski lub kotki, gąski albo inne ptaki. Zaledwie około 20-go roku życia rozum zaczyna brać u młodzieńca przewagę; około 40-go przychodzi prawdziwa roztropność, nakazująca rachować się z drugimi dla własnego interesu; mądrość ustala się dopiero koło 60-go roku (i to nie zawsze) wtedy, gdy już nie wiele czasu zostaje do korzystania z niej. Młodzi są winnemi jagodami, starzy rodzenkami. Dawna przypowieść mówiła:

„Młodzian bez świetnych nadziei,
Dziewczę bez miłości,
Wielki jarmark bez złodziei,
A żyd bez chciwości,
Stara stodoła bez myszy,
Owca co nie beczy —
O tem mało kto usłyszy
Bo to rzadkie rzeczy".

W zaraniu życia nie troszczy się nikt o niebo, ani o ziemię; żadna namiętność ani troska nie mąci uniesień radości; bujna wyobraźnia ulata w krainę marzeń o przyszłych rozkoszach, a żadne zawody nie zachmurzają jeszcze pogodnego horyzontu życia; choroba, śmierć, są to słowa nieznaczne, nie mogące jeszcze budzić obawy; zkąd można wtedy co wiedzieć o maksymie owego szczura, który na widok leżącego w piwnicy, niby martwego kota, przysypanego mąką, mówi: „Nieufność jest matką niebezpieczeństwa.“ Dni dziecka są jak przedmioty jego życzeń: wesołą zabawką, tęczową grą kolorów w mydlanej bańce; cały świat spoczywa w różowej woni pięknego poranku; cała przyszłość przedstawia się jak ponętny kobierzec, utkany z kwiatów nadziei i radości, zabawy i użycia, samych róż bez cierni. Szczęśliwy to perjod życia, w którym cała przeszłość zowie się „wczoraj“, cała przyszłość „jutro“, a dalej — dalej przychodzi fantazja ze swemi ideałami, po nad któremi wznosi się uśmiechnięta para — młodzieniec z dziewczyną; żyje się wtedy w świecie stworzonym przez siebie, a zatem — w raju. W wieku tym rozbudzony umysł jest tak skłonny do śmiechu, że byleco go wywołuje, nawet rzeczy poważne, nazwy i imiona historyczne; niektóre dzieci, słuchając z należną uwagą i czcią historji o trzech mężach, którzy wrzuceni w piec ognisty wyszli cało, nie osmoliwszy sobie włosów ani brody, nie mogą się powstrzymać od śmiechu, gdy chcą powtórzyć ich imiona: „Sodrach“: „Mesuch“ i „Abednocho“, tak się im wydają komiczne; nawet starość, przed którą Spartanie powstawali na znak uszanowania, jest dla nich przedmiotem śmiechu: nie pochodzi to wcale ze złego serca ale ze zbytniej łaskotliwości organu śmiechowego. Podobni są w tem do Tyryntian, którzy udawali się do wyroczni po radę na taką niezmierną skłonność do śmiechu; wyrocznia powiedziała im: „Rzućcie na cześć Neptuna żywego byka w morze, ale uczyńcie to nie śmiejąc się wcale.“ Okazało się to jednak niepodobnem do wykonania; śmieli się wszyscy już na sam projekt, a gdy jeszcze jakiś odganiany chłopiec zawołał: „czy się boicie, abym wam nie zjadł waszego byka“? śmiechom nie było końca, i musieli zaniechać spełnienia ofiary z tak trudnym warunkiem. Sam zakaz śmiania się pobudza młodzież do śmiechu, czego przykład dał młody francuzki oficer floty przy ceremonji całowania pantofla Ojca świętego. Kapitan jego był mocno zambarasowany jego śmiechem, ale papież Benedykt XIV rzekł: „Uspokój się pan, jestem wprawdzie papieżem, ale nie mam mocy powstrzymania francuzów od śmiechu.“ Dozwólcie dzieciom śmiać się: śmieje się w nich niewinność, którą ciągła nagana odbiera im zawcześnie, i zostaje wtedy kwiatkiem bez woni. Długa cisza pobudza już dzieci do śmiechu, a nawet i dorosłych, zwłaszcza jeżeli następuje po poprzedniem większem ożywieniu; młodość nie ma jeszcze doświadczenia, nie zna jeszcze wiele rzeczy, dla tego śmieje się ze wszystkiego, co ją uderza, tak samo jak lud prosty; przyczem u wielu łączy się dar naśladowania a raczej małpowania, co w późniejszym wieku zamienia się w śmiejącą krytykę czyli satyrę, a przynajmniej wyrabia talenty recenzyjne. Wtedy dopiero, gdy nadchodzi epoka dojrzałości młodzieńczej, nabiera raptem młody dziwnej powagi, zamiłowania do samotności i ciszy; wpatruje się godzinami całemi w jeden punkt, zatopiony nie w myślach wcale, ale w niewyraźnem, nieznanem dotąd uczuciu; jest to niejako rozpadanie się duszy dziecięcej, przeobrażenie jej w duszę młodzieńczą. Młodość ma pewien nie dający się określić wyraz twarzy, na który składa się niewinność, prawość i serdeczność i dla którego przebacza się chętnie ów śmiech ustawiczny. Pewna matka żegnając syna, udającego się na uniwersytet, rzekła mu: „Nie przywoź mi nic więcej, jak tylko twarz twoją niezmienioną.“ Taka fizjognomija jedna wszystkich i jest najlepszem pismem jednającem, często jedyną gwarancyją, jaką w potrzebie młodzieńczej dają *„przyjacielom ludzkości,“* ale gdy nieszczęśliwie młodzieniec taki napotka pewne *„przyjaciołki*

ludzkości,“ którego wezmą w opiekę, niepodobna mu już zachować tę fizyjognomiję niezmienioną. Młodość nie zna, co cnota, nie zna wstrzemięźliwości, rwie się tak wcześnie do wszystkiego, że o niejednym mówi się: „ten musiał już być na weselu swego ojca.“ Napróżno nawołuje się: „Chłopcze! oszczędzaj ostrogi i trzymaj krótko cugle!“ Pędzi on nie dbając o nic; wszystko w około siebie rozpala, aż sam się spali w tym ogniu. Ubogi w doświadczenie i znajomość ludzi, a bogaty w ideały, w złotym wieku poetów, młody żyje jak motyl — krótko ale wesoło. Młodość nie zna cnoty, jest pusta i lekkomyślna -- ale czy jej to za złe brać można! Kilku chłopców poszło na ślizgawkę, przyłączył się do nich chłopiec, sprzedający ciastka, który nastąpiwszy na słaby lód, wpadł w wodę; pozostali rzucili się na koszyk z ciastkami — żaden nie pomyślał o ratowaniu tonącego. Młodzież uczy się najlepiej przezorności przez własne doświadczenie, rozliczne wypadki, jakie ściąga swemi szalonemi wybrykami. Ojciec nie powinien łajać syna, gdy zbyt prędko zdziera obuwie lub wraca do domu w podartem ubraniu i z guzami na czole; nagrodzą mu się stokrotnie te szkody, bo zyska na zdrowiu, sile i odwadze; matka niech nie łaje córki za przydeptane lub wykrzywione buciki, bo serce jej jest jeszcze proste. Chłopcy, którzy bez wahania przeskakują płoty, wyrosną z pewnością na innych ludzi, niż ci, którzy je obchodzą lub podleźć usiłują; nawet ubranie dzieci oddziaływać może na charakter; ci, których pobożne matki ubierają w dzieciństwie w zakonne habity, będą niezawodnie innymi od tych, którzy się bawili swobodnie w stroju marynarskim, lub udawali małych bohaterów w huzarskim mundurku i z szabelką u boku, chociażby drewnianą. Prawie wszystkie dzieci są z natury poczciwe, prawe, serdeczne, uczynne; dopiero wychowanie, otoczenie i okoliczności zmieniają je i wyrabiają niższość charakterów. Kto nie popełnia psot i szaleństw w młodości, rzadko odznaczy się wielkiemi czynami w dojrzalszym wieku; życie przechodzić musi normalnie swoje pory; młodość jest wiosną, w której to porze w drzewie wezbrane soki żywotne wypuszczają mnóstwo latorośli, lecz z nich nie wszystkie wydają piękne kwiaty i owoce; ręka biegłego ogrodnika powinna odcinać złe a zostawiać dobre. „Co będzie z tej młodości:?“ pytamy nieraz; dobrego kierunku — tylko dobrego kierunku, a przy pomocy Boskiej wszystko będzie dobrze; zęby mądrości nie wyrastają odrazu; wszystko ma swój czas; piękną jest pora zabaw i tańców, piękniejszą pora przyjaźni i miłości, ale jest jeszcze piękniejszą pora spokoju serca i ducha, właściwej nauki i mądrości, nie tej mądrości, która się izoluje od świata, wszystko krytykuje i nad wszystkiem płacze — ale tej, która wszystko wyrozumie, wszystko pobłaża — zawsze jest dobrą i uśmiechniętą. W osiemnastym roku życia starość wydaje się czemś dziwnem — chyba niepodobnem do urzeczywistnienia! „60 czy 80 lat! czy podobna mieć tyle!“ mówi sobie młodzik w świat wstępujący. Stosownie do wieku różne też są uczucia i pojęcia; to, co młodego zachwyca, często udręcza starych. Najprzód trzeba się uczyć, a dopiero potem filozofować. Młodość jest epoką wzburzenia i fermentacyi. „Marzeń! marzeń!“ woła z zachwytem młody, ale doświadczony żeglarz, który już walczył nieraz z burzą i falami i wzdycha do widoku stałego lądu. Młodość kocha się w ideałach; dojrzałość lubi rzeczywistość — dalej — filozofiję, nauki przyrodnicze, historyję i skończył się ferment wina, zaczyna się ferment octu; większa część obojętnieje w końcu na wszystko; jeden włos wypada za drugim, ząb za zębem się traci; byleby jeszcze nie być chorym; byleby jako tako można jeszcze jeść, pić, spać i spoczywać; aż wreszcie resztki człowieka składają się w skrzynce napełnionej wiórami; tu spoczywa wszystko: dziecko, młodzieniec, dziewczę, mężczyzna, kobieta, starzec czy staruszka i — Adieu! Jeżeli „*Süssmilch*“ dobrze obrachował, to każdemu po dziesięciu latach zostaje tylko jeszcze trzecia część życia; pozwólmy więc młodym śmiać się,

gdy zaledwie wyszedłszy na ten świat, wnet znów napowrót zejść z niego mają; Lessing mówi o tych, którzy młodo umarli: „musieli być mądrzy, kiedy tak prędko uciekli.“ Wielu też skraca sobie dobrowolnie ten ferment życia, niejednemu natura przeznaczyła jakie lat sto, ale żyjąc zbyt prędko, jak Rochester, już w trzydziestym był schorzałym, a w 35-ym pożegnał ziomię. Rochester chwalił się też pewnego razu, że przez pięć lat był pijanym.

Słońce nie zawsze pogodnie świeci,
Więc korzystajcie z jasnego dnia dzieci!

Weber – Demokritos. (p. t. I s. 4).

* *Młodzież dziś tak nie ma sprytu!*

Młodzież dziś tak nie ma sprytu,
Że to przechodzi pojęcie,
Mój subjekt od aksamitu,
Któremu za to zajęcie
Ja płacę dziennie guldena,
Nieraz, gdy stoję—nie wstaje.
Wczoraj była taka scena:
On siedzi, a ja go łaję:
— To pan, mówię, panie Dzbański,
Nie wiesz, że wstawać wypada,
Gdy stoi pryncypał pański?—
On siedzi i nic nie gada;
A więc palę mu kazanie,
On mruczy; ja głos podniosłem:
— Basta, mówię, z bezkrólewiem!
Gadaj mi tu zaraz, panie,
Czy ty jesteś, czy ja—osłem?—
A on odpowiada: nie wiem.
Co tu było gadać dalej?
To tępak. Wszyscy się śmiali.

M. Rodoć (p. t. I s 125).

Młynarz.

* *Przy młynie.*

Obywatel. Hej! a gdzie to jest młynarz?

Młynarka. Proszę pana, poszedł wodę zastawiać.

Obywatel. A to bestyja szczęśliwa! ja ziemi zastawić nie mogę, bo nikt na nią nic nie da, a ten, panie dobrodzieju, wodę zastawia.

Mnożnik.

* *Mnożnik i taksa.*

Kiedyś, przed laty, jakiś bezbożnik
Wynalazł mnożnik.
Dziś wrzeszczy szlachcic, jak mały płaksa:
— Taksa! gdzie taksa?!

Rzecz rozważyli starsi w urzędzie
I taksa będzie...
Lecz, ach! nie mówcie nigdy, przed nikim,
(Złość nie zna granic)
Że kredyt z taksą, czy też z mnożnikiem,
Nie zda się na nic.

Nie dźwignie z gruzu tych posiadłości,
Gdzie „pan“ żyć lubi,
Ale da tylko chwilę jasności,
A potem – zgubi.

Moc.

* *Moc charakteru.*

Fryderyk bardzo lubił dzieci i synom następcy tronu wolno było wchodzić do niego o każdej porze. Kiedy raz pracował w gabinecie, starszy z malców bawił się tuż przy nim wolantem. Zdarzyło się, iż wolant padł na stół królewski, król wziął go, nic nie mówiąc i oddał dziecku. Wkrótce wolant pada po raz drugi przed króla. Król zwraca go znów, ale z wejrzeniem tak groźnem, że przelękniony malec przyrzeka, iż się to nie powtórzy więcej. Tymczasem wolant po raz trzeci wpada i to na ćwiartkę papieru, świeżo zapisaną. Fryderyk tym razem chowa wolant do kieszeni. Mały książę z przymileniem prosi o niego — naprożno. Ponawia umizgi — nadaremnie; zniecierpliwiony, bierze się pod boki, podchodzi do króla z miną dumną i głosem groźby pełnym pyta: „A więc, najjaśniejszy panie, czy raczysz mi oddać mój wolant? czy nie?“ Rozweselony tem znalezieniem się dzieciaka król, dostaje wolant z kieszeni i oddając go właścicielowi, powiada: „Dzielny z ciebie chłopak... jak widzę, nie dasz sobie odebrać Szlązka“.

(*Panckoucke*).

Moda.

* Reguły, dotyczące drobnostek, a zależne od czasu, które nazywamy *modą*, znaleźć można nawet u dzikich i ich małp, tak samo, jak u Europejczyków. Dzicy przechodzą nas jeszcze na tym punkcie, bo zmieniają sobie kształt głowy; jedni chcą je mieć płaskie, inni spiczaste lub okrągłe, a każdy chce poprawiać naturę. O ile się mnożą stopnie towarzyskie i zmniejsza się prostota, o tyle rozszerza się moda; człowiek nagi zniesćby mógł upały i zimna tak samo, jak je znoszą nie okryte ręce i twarz; wreszcie z początku lekkie okrycie indyjanina na gorąco, a skóra niedźwiedzia lapończyka na zimno były wystarczające. Człowiek jednak zaczął się radzić oczu i zwierciadła i tak powstała moda. Jako pierwsze i ostatnie przybranie pozostała zawsze bielizna, czyli kawałek płótna. Zamiłowanie stroju, czyli tego, co się oczom podoba, jest pierwszym stopniem cywilizacyi, a obojętność pod tym względem widzieć można tylko u dzikich lub filozofów, na dowód przysłowia, że ostateczności krańcowe stykają się. Sztuka podobania się leży w instynkcie kobiecym, a ubieranie się jest nie tyle wynikiem wstydu, co próżności ludzkiej. Z okrywaniem ciała wszczęła się moda; wstydliwość i czystość frunęły do nieba, a pozostało wyszukiwanie stroju, czyli powabów. Kobiety niezawodnie wynalazły zwierciadło i sztukę malowania się, którą można także podziwiać u Australczyków. Strój upięknia niezaprzeczenie, ale przesada w nim prowadzi do zbytku i śmieszności, szczególniej zaś u starych, trzymających się często przestarzałej mody. Ptaki i motyle były prawdopodobnie pierwszymi wzorami dla dam, dla tego też najbujniejsze fantazyje w stroju widzieć można w strefach gorących, gdzie się znajdują najpiękniejsze papugi, motyle i kolibry. Dla poważnego myśliciela śmieszne są wszystkie wymysły mody, nawet najpiękniejsze i najnowsze, które Paryż rozsyła na wszystkie strony w swojej puszce Pandory; ale trony i ołtarze strącane bywają we Francyi, a panowanie mody pozostaje nienaruszone. Moda nie da się określić, jest to bowiem dziwotwór, żyjący własnemi utworami, jak Saturn, który pożerał dzieci swoje; dziwotwór ten pochodzi z Francyi, płochość jest jego bóstwem, Paryż jego świątynią, a kaprys—najwyższym kapłanem. Francuzi są jego prawowiernymi czcicielami, inne narody są tylko przez nich pociągnionymi prozelitami i naśladowcami. Zjawisko to ukazało się i rozszerzać zaczęło głównie w świetnym wieku Ludwika XIV, a źródło jego leży w tem, że Francuzi przedewszystkiem zajmowali się drobnostkami, mogli zatem największe odkrycia zrobić w tej sztuce; wtedy to ukazały się modne kolory najdziwaczniejszej nazwy, z których najprzyzwoitsze, dające się przynajmniej powtórzyć, były: „kolor pchły, kapucyński, kolor londyńskiego dymu“ i t. p.; cóż dopiero mówić o sztucznych biustach i turniurach. Mody te wprowadzone przez kobiety na dworze Ludwika XIV, były dla Francyi drugiem Peru, gdy, jak Kolbert pisze, jedna bogato haftowana suknia lyońskiej fabryki kosztowała bajońskie sumy, prawie cały majątek. Nawet urzędowa szata wiejskich proboszczów podlegała przepisom mody; musiała być biała, popielata lub brązowa i wyszywana czarnemi paciorkami. Za Robespierra okropny był ubiór młodzieży; włosy podpięte wysoko grzebieniem spadały na czoło w długich kosmykach; żadnego krawata, krótki surducik tylko zarzucony; pończochy nie podwiązane: oto modny strój ówczesnych elegantów, który się nazywał „à la victime“ (strój ofiary). Za Napoleona wynaleziono wodę upiększającą, którą nazwano „wodą króla rzymskiego“. Rewolucyja zrobiła francuzów cokolwiek poważniejszymi, a wszystkich nauczyła więcej ostrożności i rozumu; ale sama rewolucyja była do pewnego stopnia modą u francuzów; życzyćby należało, żeby rozsądek stał się u nich kiedy modnym. Moda wyrzuca w jednym dniu całe garderoby do handlów starzyzny: suknie dzieci Izraela nie zestarzały się przez czterdziestoletni przeciąg czasu na puszczy i do dziś dnia noszą

je takie same i zdzierają do ostatniego kawałka. Handle starzyzny są cmentarzami mody i widok ich może tak samo ubawić, jak niezliczona ilość pudeł i pudełeczek, towarzyszących damom w podróży. Mody odbierają nieraz sen kobietom i wyrywają głębokie westchnienia z piersi biednych mężów, różnią one nieraz najlepsze przyjaciółki i sprowadzają żółciowe febry. Połowę popełnianych grzechów przypisać można modzie. Prawdziwie modna dama może męża obedrzeć do naga, ażeby się sama ustroić i może powiedzieć, jak Bias: „omnia mea mecum porto“ („wszystko, co mam, noszę z sobą“). Maryja-Antonina przez swoje zamiłowanie mody więcej szkody przyniosła obyczajom, aniżeli pogrążona w prawdziwych występkach Maryja Medicis. Modystka królowej rzekła z dumą do jednej damy, chcącej u niej obstalować wyprawę: „Oto są próbki z ostatniej mojej *pracy* z królową“, niby jaki minister, mówiący o swej pracy z panującym w kwestyjach stanu. „Perły oznaczają łzy“—mówi Emilija Galotti; ale możnaby powiedzieć odwrotnie, że łzy oznaczają perły i inne stroje modne, których mąż kupić nie chce. Zamiłowanie strojów modnych prędzej jeszcze darować można kobietom, których przeznaczeniem jest niejako przypodobanie się; ale śmiech i wstręt obudzić mogą eleganckie fircyki, których porównać można do cynamonowego drzewa, zawierającego jedyną wartość w pokrywającej go korze. Człowiek, który pierwszy posypał sobie głowę mąką (pierwsze tego ślady widziano w Paryżu w roku 1593), musiał niezawodnie być siwym lub rudym (jeżeli nb. nie był idyjotą). Śmiano się z Rzymianek, które posypywały włosy proszkiem złotym, wyśmiewano też żółte włosy Germanów, ale to przynajmniej było naturalniejsze, niżeli posypywanie włosów mąką, która szkodzi tak głowie, jak i sukniom. Śmiejemy się ze spłaszczonych głów u dzikich, a czyż nie równie śmieszny i szkodliwy jest zwyczaj ściskania figury gorsetem? Kolczyki, któremi nasze panie obwieszają uszy, czyż mogą być mniej śmieszne, jak te, które dzicy zawieszają u nosa? Murzynki stroją się w naszyjniki z pięknych zębów lamparta, które są dowodem odwagi i zręczności ich mężów i braci; czyż to nie jest stosowniejsze aniżeli noszenie kolii z pereł korali, złota i drogich kamieni? Czy indyjski fartuszek z piór ma mieć mniej sensu od kapelusza z piórami naszych generałów? A czerwone pióra mieszkanek Australii czy są mniej piękne od naszych czarnych i białych? Dzikie piękności stroją się przynajmniej w swojskie pióra, ale nasze damy noszą pióra strusie, ubierają głowę tem, co ptak na ogonie nosi i dla tego to niewinne stworzenie kłaść musi życie swe w ofierze, aby się elegantki dalekich stron pysznić mogły jego piórami; ustawiczne chwianie się piór jest też niejako symbolem charakteru kobiecego. Wprawdzie jest to gust nieszkodliwy wcale i najwyżej ściągnąć może uwagę w rodzaju tej, jakiej pewien złośliwy dowcipniś pozwolił sobie o damie, mającej szczególniejsze upodobanie do strojenia się w pióra:

„Cóż dziwnego, że w pióra stroi się, nieboże?
Wszakże gęś bez piór obejść się nie może!“

A różnorodne szminki, używane przez nasze piękności, czyż są więcej do wytłumaczenia, jak kolory tęczy na ciele wschodnich indyjanek i maście, któremi pocierają się dla ochrony od zjadliwych owadów? Bogdajby wszystkie wzmiankowane damy spotkało to, co pewną angielkę, która twarz, ręce i szyję wysmarowała obficie wapnem bizmutowem, a gdy poszła do kąpieli w Bath, wyszła z niej czarna, jak sam dyjabeł. Cesarz Józef mówił a propos mężczyzn noszących pierścienie: „Trzeba mieć bardzo piękne ręce, aby nosić pierścionki“. A cóż mówić o mężczyznach, którzy się malują, noszą zawsze w kieszeni lusterko, a często zakładają sobie róże za ucho? Takie ucho wartoby oberżnąć. Był czas, że figury dam dochodziły do kolosalnej wysokości, tak że twarzyczka zdawała się być w środku całej postaci, którą przytem wysokie koki podnosiły tak, że panowie wyglądali przy tych damach tak, jak

karły. Do tego dodawano jeszcze muszki przylepiane, upiększające niby plasterki, zwane „postillons d'amour", rogówki, prawdziwe działa fortyfikacyjne, o których Adisson mówi, że wyglądają, jak egipska świątynia, wewnątrz której widzi się małą czarną małpkę; wszystko to podobało się kiedyś, jak i długie u sukien ogony, które podnosić musiano, jak tłuste ogony azyjatyckich owiec; była urządzona cała maszyneryja z tasiemek do podnoszenia i opuszczania dowolnego tych ogonów; modne damy mogły je rozpościerać, jak paw, a w sprzeczce poruszały niemi nerwowo to w górę, to na dół, tak że często w złości uderzały niemi o nos przeciwnika. To wszystko ustąpiło znów miejsca kosztownym szalom, a co ubyło z długości ogonów, przybyło w wysokości kapeluszy, które w salach teatralnych lub koncertowych sprowadzały prawdziwe zaćmienie i stawały się powodem wielu pomyłek i zawodów, gdy zamiast spodziewanych wdzięków, ukazała się po zdjęciu kapelusza fizyjognomija wcale nie powabna. Panowie nosili wtedy olbrzymie peruki z tupetami i lokami, albo harbeitle i warkocze, kryzy u mankietów i u kolan, pończochy, trzewiki na obcasach, wielkie srebrne sprzączki; na plecach i kapeluszach szerokie plecionki złote lub srebrne, które zmniejszając się stopniowo, wyglądały w końcu, jak wypustka przy kołnierzu; trzciny hiszpańskie z główkami ze srebra, złota lub porcelany, które równały się niemal głowie wyrostka. Tak panowie, jak i panie, nosili jakiś czas swoje herby, wyhaftowane na sukniach, co później zeszło na liberyję. Herby te, na płaszczach wyszyte, były z całą dokładnością heraldyczną, które przez to stawały się nieraz tak ciężkie, jak ów płaszcz hiszpański, który czeladź dworska przywdziewać musiała za karę; po brodach, nastała moda wąsów, która utrzymała się najogólniej i najdłużej. Dzieci ubierano w suknie zakonne, co było dla nich uż dogodniejszem, niż obcisłe suknie francuzkie, które w końcu zastąpiono dla chłopców ubraniem na wzór angielskich majtków. Wiele wybryków mody powstało w skutek jakiejś wady fizycznej, np. muszki wymyśliła pewnie jakaś piękność dla zakrycia przypadkowych wyrzutów na twarzy; krawaty mogły służyć do ukrycia wydętego gardła, jak śmieszne krynoliny dla niedyskretnie wydętej figury; ktoś niezadowolony z koloru swych włosów, musiał wymyśleć puder, jak łysy perukę. Długie lub krótkie sznurówki i tiurniury miały najprzód na celu pokrycie wadliwej budowy. W naszych czasach, pełnych kłamstwa i oszukaństwa, wiele jest fałszywych włosów, zębów, szczęk całych, nawet bioder, oczów i nosów, które się zdejmują na noc i kładą na stoliku przy łóżku, tak samo, jak wkładane wysokie korki. Nie można tak bardzo mieć za złe jednemu z książąt medyjolańskich, jeżeli nie zbyt grzecznie zażądał, aby jego narzeczona dała się wprzód obejrzeć dokładnie przez doktorów (nb. w stroju Ewy), a po tym egzaminie zerwał małżeństwo. Juryści pomieścili też pomiędzy punktem do rozwodu „ukrycie fizycznej wady". Pięknie zbudowane damy musiały wymyśleć modę obnażania szyi i ramion, która z rozmaitemi odmianami utrzymuje się dotąd, a nieraz dochodzi do rozmiarów niezbyt przyzwoitych. Nasze prababki wzięłyby swoje wnuczki, ubrane na bal, za praczki, mające stanąć do balii z obnażonemi rękami. albo za pacyjentki, gotujące się do postawienia paru tuzinów baniek na plecach. Wprawdzie pierwsi nasi rodzice chodzili nago, jak ich Bóg stworzył, a byli niewinni. Gracyje nie nosiły sukien; spartanki ukazywały gołe nogi i uda, co nie szkodziło ich cnocie. A cóż mówić o dzikich? Przywykli oni do swej nagości, bo nie znają się inaczej i nie robi to na nich żadnego wrażenia. Nam jednak podoba się najlepiej fijołek dla tego, że się na pół ukrywa pod liśćmi swemi. Bardzo dobrym pomysłem było wprowadzenie mody wachlarzy, które umiejętnie użyte w ręku dam, miały wielkie znaczenie; zakrywały lub odkrywały dowolnie ich wdzięki, miny, spojrzenia, słowem były drugą mową mimiczną, wyrazistszą może od słownej. Zdobiono je też na-

wet bardzo kosztownie drogiemi kamieniami, perłami, złotem i koronkami, tak że cena ich stanowiła nieraz poważną sumę, nie doszła jednak nigdy sum, wydawanych na koronki, których moda rujnowała na prawdę mężów, a jeden garnitur koronkowy królowej Maryi-Antoniny oszacowany był na ośm milijonów franków. Cóż dopiero mówić o klejnotach? Czyż nie dziecinne prawdziwie jest to upodobanie w świecących kolorowych kamyczkach i trwonienie na nie całych kapitałów? Na szczęście imitacyje doszły dziś do takiej perfekcyi, że możemy zadowolnić gust ten i modę tańszym kosztem, oszukując drugich, a może i siebie. Śmiejemy się z dzikich, że za kolorowe paciorki oddają kosztowne produkty swej ziemi, czyż wiele europejskich piękności za podobne świecidełka nie oddaje nieraz co mają najdroższego? Moda jest rodzaju żeńskiego, dla tego podlega kaprysom i częstym zmianom.

„Wszystko się zmienia, nawet rozumu metody,
Systemy, stroje, wszystko zależy od mody“.

Weber—Demokritos. (p. t. I s. 4).

* Panna Mars, słynna aktorka tragiczna, występowała w Lugdunie w gościnnych rolach. Dnia jednego złożył jej wizytę jeden z bogatych fabrykantów w mieście.

— Racz pani wybaczyć — powiedział — że jej czas zabieram, ale pani możesz mi szczęście przynieść.

— Ja, panie? bardzoby mi to było przyjemnie, ale nie pojmuję, w jaki sposób?

— Przyjmując odemnie ten materyjał—odpowiedział, rozwijając na stole sztukę żółtego aksamitu.

— Ach! mój Boże — powiedziała panna Mars cokolwiek zaniepokojona, gdyż sądziła, że ma z waryjatem do czynienia — co ja mam zrobić z tym aksamitem?

— Zrobić z niego suknię. Gdy raz jeden ujrzą w niej panią, wszystkie panie zechcą mieć podobną i ja zrobię majątek.

— Ależ, mój panie, nikt jeszcze na świecie w takiej żółtej sukni nie chodził!

— Właśnie dla tego; idzie mi o to, żeby ten materyjał w modę wprowadzić. O, pani, racz mi nie odmawiać, błagam o to!

Chcąc się uwolnić od natarczywości fabrykanta, obiecała artystka spełnić jego prośbę; wróciwszy do Paryża, pokazała aksamit ubierającej ją modystce. Ta zawyrokowała, że jest w przepysznym gatunku, ale któżby zechciał w żółtą suknię się ubrać? Byłoby to oryginalne, co prawda, a przytem pannie Mars wszystko ujdzie.

Jednem słowem suknia została zrobioną i przeznaczoną na występ w nowej sztuce pod tytułem: „Gageure imprévue“. Talma miał w niej grać rolę Nikomeda. Panna Mars ubrała się i skończywszy tualetę, spojrzała w lustro.

Krzyknęła z przerażenia i zadzwoniła na pannę służącą:

— Karolino — mówiła z pośpiechem — poszlij natychmiast po reżysera; trzeba „Gageure imprévue“ inną sztuką zastąpić; niepodobna pokazać się publiczności w tej przerażającej sukni.

Zrobiło się zamieszanie w teatrze i pomiędzy zebranymi w foyer aktorami.

Talma, posłyszawszy co się stało, pośpieszył do ubieralni panny Mars. Sławny tragik odznaczał się wytwornym gustem, mógł więc być kompetentnym sędzią w tej sprawie. Słowo jego miało powagę wyroku. Zobaczywszy go wchodzącego, panna Mars wskazała na suknię.

— Patrz pan — rzekła — wyglądam, jak kanarek.

— Jesteś zachwycająca — odrzekł Talma — twoja tualeta jest najwybredniejszego gustu, przypada przedziwnie do twej płci, czarnych włosów i błyszczących oczu. Przecież brunetkom do twarzy w żółtym kolorze.

— Mówisz mi pan to, bo chciałbyś, żebym grała.

— Na honor nie. Ręczę za powodzenie twej sukni, jest zupełnie oryginalną. Wyglądasz

w niej nie jak kanarek, ale jak topaz. Czyż nie jesteś klejnotem Comédie-française?

Uspokojona przez Talmę, wyszła panna Mars na scenę, nie bez bicia serca jednakże.

Natychmiast skierowano na nią lornety i pochlebny szmer przebiegł salę; klaskano i wołano:

— Co za przepyszny strój!

Następnego dnia wszystkie eleganckie panie zapragnęły mieć suknię z żółtego aksamitu i stało się, jak powiedział fabrykant z Lyonu, że panna Mars przyniosła mu szczęście.

* Bogaty cudzoziemiec obstalował u pewnego malarza seryję obrazów, przedstawiających kostyjumy różnych narodowości. Początkowo dostawiane dzieła zadawalały nabywcę; tem więcej przeto był zdziwiony, gdy artysta przyniósł płótno, wyobrażające człowieka w koszuli ze sztuką sukna pod pachą i nożycami w ręku. „Co to ma znaczyć? — zapytał — oczekiwałem z kolei kostyjumu narodowego francuzkiego". „Właśnie go przyniosłem — odparł malarz — tylko ponieważ mody francuzkie zmieniają się tak często, dałem modelowi memu w rękę nożyce i sukno, aby odpowiednie do chwilowej fantazyi przykraiwał sobie ubranie". Cudzoziemiec uznał trafność żartu i za obraz zapłacił.

Modlitwa.

* Pewien ojciec rodziny modlił się często w ten sposób: „O Boże, który odziewasz lilije polne, odziej żonę moją i dzieci!"

* „O wielki Boże! — modlił się pewien człowiek w kościele — zeszlij mi sto tysięcy guldenów! połowę tego zaraz biednym rozdaruję... A jeśli mi nie wierzysz, zeszlij tylko pięćdziesiąt!"

* *Modlitwa kawalera.*

Jak fale wody, tak płyną me lata...
Próżno wytężam wzrok na wszystkie strony,
Zawistny los mi ciągle figle płata,
Kiedyż posażnej doczekam się żony?

Kiedyż na moje westchnienia nareszcie
Z ust je złoconych usłyszę wzajemnie?
Szukałem na wsi, szukam teraz w mieście,
Ale niestety! szukam wciąż daremnie...

Gdym na prowincyi w czortkowskim powiecie
O pięćkrociową starał się Jadwigę,
W zamian za miłość — raz mi na serwecie
Własną swą rączką położyła — figę...

Hrabianka Minia z cztermakroćtysięcy,
Również sny moje rozsypała w gruzy!
Za to, żem kochał ją jak najgoręcej,
Dwa mi przysłała w prezencie — harbuzy.

A gdym w miłosnej trwając wciąż tęsknocie,
Dalej za śnionym gonił ideałem...
Od panny Luni, co ma ze trzy krocie,
W sam dzień imienin — koszyk otrzymałem.

Czyż i na przyszłość figa, harbuz, kosze
Mają me skromne niweczyć żądania?
Wszak już pokornym dzisiaj głosem proszę,
Tylko dwie krocie daj mi z żoną Panie!

Wreszcie kroć tylko, pięćdziesiąt, trzydzieści,
Dziesięć tysięcy! Wszakże to tak mało!
Na mej pozycyi wreszcie w naszem mieście
Uboższą żonę czyżby mieć przystało?

Lecz kiedy ustępstw trzeba jeszcze więcej
I nic nie znaczą me wszelkie zasługi —
Błagam Cię! daj mi — głupich pięć tysięcy,
Abym... przynajmniej... miał czem spłacić — [długi...

„*Szczutek*".

* *Modlitwa skąpca.*

Pewien znany z dziwactwa skąpiec londyński, nazwiskiem Ward, modlił się codziennie temi słowy: „O, panie Boże, ty wiesz, że posiadam w Londynie dziewięć nieruchomości, wiesz również, że niedawno posiadłość ziemską w hrabstwie Essex kupiłem; błagam Cię zatem,

byś oba hrabstwa Midlesex i Essex od pożaru i trzęsienia ziemi zachował. Ponieważ część mego kapitału mam ulokowaną na majątku w hrabstwie Hertford, chciej więc i na to hrabstwo miłosiernem rzucić okiem, co zaś do innych hrabstw, to niech się z niemi co chce dzieje. O, Panie, wzmocnij bank królewski, by mógł wypłacać swe należności, a wszystkich moich dłużników przemień łaską swoją w dobrych i rzetelnych ludzi. Prowadź szczęśliwie szalupę „Mermaid“, którą ja asekurowałem, a ponieważ wyrzekłeś, że dni złych są policzone, otóż ufam, że wspomnisz na swą obietnicę, ponieważ ja dobra ziemskie na wypadek śmierci tego niecnego młokosa pana Jana Liwers kupiłem. Zachowaj moich przyjaciół od ruiny i strzeż mnie od złodziei i rozbójników, pozwól, by wszyscy moi domownicy byli uczciwi i wierni, by zawsze myśleli o mojej korzyści i nigdy mnie nie oszukiwali, czy to w dzień, czy to w nocy“.

Modus.

* *Modus vivendi.* .

Jeżeli kto wyobraża sobie, że Wenecyja jest siedliskiem spokoju i ciszy, w którem tylko w godzinie duchów można co najwięcej posłyszeć jęk ofiar u mostu westchnień, ten jest w wielkim błędzie.

Turkot powozów, tak niemile drażniący uszy mieszkańców wielkich miast, jest niczem w porównaniu z nieustannym hukiem dzwonów, który jest plagą Wenecyjan.

Podróżny, błądzący po tym labiryncie uliczek i mostów, co krok spotyka kościół uposażony w dwa, trzy i więcej dzwonów rozmaitego kalibru, które od godziny trzeciej rano do późnej nocy piekielny hałas wyprawiają.

Obecnie niema sposobu na przerwanie tego okropnego harmidru, lub przynajmniej stłumienia przeraźliwej muzyki dzwonów, inaczej jednak było w epoce, gdy gwiazda wielkiego Korsykanina jaśniała na widnokręgu i bohater potęgą swego genijuszu zmieniał postać świata.

W tym to czasie miało miejsce wydarzenie, które mamy zamiar opowiedzieć.

Wenecka rzeczpospolita została zniesioną przez Napoleona, Ludwik Maniu, ostatni doża, z urzędu złożony, a władza nieograniczona pozostawała w rękach generała, namiestnika korsykańskiego zdobywcy, który obsadził miasto francuzkiemi wojskami.

Generał miał kwaterę w jednym z pałaców, obok którego stała dzwonnica, spełniająca od rana do nocy swoje zadanie.

Generał, który po za godzinami zajęć służbowych był dobrodusznym, najłagodniejszego temperamentu człowiekiem, wpadł w szalony gniew; huk armat na polu bitwy znosił z zimną krwią, słuchać zaś tego przenikającego do szpiku kości jęku dzwonów było nad jego siły. Czuł, że oszaleje, jeżeli to dłużej potrwa.

Na szczęście przypomniał sobie, że jest tu panem życia i śmierci i że skinieniem ręki może dzwony zmusić do milczenia.

Jednak, jako cywilizowany Francuz, wolał sprawę z całą grzecznością przeprowadzić i w tym celu wysłał do patryjarchy swego adjutanta z najpokorniejszą prośbą o zmodyfikowanie tego nieustannego dzwonienia, które mu usnąć nie pozwala.

— Ba! — wyrzekł patryjarcha, który jako Wenecyjanin z krwi i kości nienawidził Francuzów—nie mogę nic na to poradzić, dzwonienie należy do służby kościoła, dzwony są od tego, żeby dzwoniły.

Dowiedziawszy się o rezultacie poselstwa, generał wpadł w złość i poprzysiągł zemstę.

Kazał się pokryjomu dowiedzieć, o której godzinie Eminencyja zwykła odbywać siestę i wydał stosowne rozporządzenia.

Następnego dnia, jak tylko patryjarcha ułożył się do poobiedniego snu, rozległ się tuż pod oknami szatański harmider. Przerażony, zerwał się, by wyjrzeć oknem.

Na Piazza dei leoni (placu lwów), leżącym pomiędzy kościołem ś-go Marka a pałacem patryjarchy, stało dwunastu francuzkich doboszy, bębniących z godną podziwu wprawą.

Jego Eminencyja chciał poczekać z siestą na koniec tej muzyki, trębacze jednak, wybiwszy capstrzyk do końca, rozpoczynali go na nowo, tak że patryjarcha, dostawszy okropnego bólu głowy, musiał wyrzec się nawet nadziei odbycia poobiedniej drzemki.

Wysłał więc posła do generała z prośbą, by ćwiczenia doboszy na innym placu i o innej godzinie kazał odbywać.

— Bon - pomyślał sobie generał — mój środek poskutkował.

Głośno jednak powiedział:

— Nie mogę nic na to poradzić; bębnienie należy do służby wojennej; na to mamy bębny, aby bębniły.

Teraz dopiero rozpoczęły się dyplomatyczne układy pomiędzy księdzem i żołnierzem.

„Non possumus" patryjarchy zrównało się z „non possumus" generała; służba kościoła i służba żołnierska pogodziły się.

Zaczęto mniej dzwonić po kościołach, przestano bębnić na „Piazza" w godzinach siesty.

Obu przeciwnikom zaczęło być lepiej przy nowo wynalezionym „modus vivendi et dormiendi", jak wprzód przy zażartej walce.

* *Est modus in rebus.*

Ktoś kupił osła tresowanego w cyrku; ale osioł ten w żaden sposób nie chciał iść za nowonabywcą, który napróżno zachęcał go to łakociami, to kijem. Zniecierpliwiony nowonabywca zapytał wreszcie, z jakiego kraju pochodzi ten osioł. „Z Francyi" — odpowiedziano. „O, kiedy tak, to mam na niego sposób" — rzekł nowonabywca i skręciwszy arkusz papieru w trąbkę, krzyknął osłu w ucho: „Prusacy idą!" Osioł z kopyta ruszył galopa, tak że nabywca ledwo za nim mógł podążyć.

Świąteczny.

Mogę.

* *„Ja nie mogę"*.

— Mój Filipku, w twojem biurze
Człek pracuje nieszczęśliwy,
Więc mą prośbę ci wynurzę:
Daj mu awans przez twe wpływy.

Karmi matkę swą, niebogę,
Dola jego... to męczeństwo.—
— Ależ przestań... *ja nie mogę*,
Wszak mój kuzyn ma pierwszeństwo.

— Ojcze! Stasia kocham szczerze,
Z nim w ciernistą pójdę drogę,
Pobłogosław. – *Ja nie mogę*.
Bo golcowi nic nie wierzę.

— Panie, cierpię męki srogie,
Więc szpitalne otwórz bramy.
— Bez dowodu, *ja nie mogę*,
My włóczęgów nie puszczamy.

— Luba! rzeknij jedno słowo,
Bo serdeczną czuję trwogę.
— Przynieś koliję brylantową,
Bez niej na bal iść *nie mogę*.

— Gore! Ratuj, bo ognista
Lawa szerzyć chce pożogę.
— Nie pleć bzdurstwa... *ja nie mogę*,
Śpieszę się na partyję wista!

Mokotów.

* *Wycieczka do Mokotowa.*

— Ależ, mój panie!...

— Niema ależ... wysiadać i basta!

— E, to jeszcze zobaczymy!

— Zobaczymy! Ja panu mówię – wysiadać! Czy to ładnie, żeby sama publika...

— Tylko mi pan nie wyjeżdżaj z publiką. Mnie się nie podoba i nie wysiądę.

— A no, to będę zmuszony wezwać policyi.

— A wzywaj pan sobie nawet dyjabła!

— Tak? Dobrze!

— Panie, to sam naczelnik, wysiądź pan lepiej!

— Co mi tam naczelnik! Cóż to ja darmo pchałem wagon na weksel?

— Racyja! Nie wysiadaj pan!

— A dobrze, dobrze, niech pan strażnik sam zobaczy, czy niema miejsca w wagonie..

— Nu, nu!

Strażnik popycha stojącego na stopniach zatłoczonego tramwaju uparciucha. Obu popychają naczelnicy, konduktorzy, niekonduktorzy — słowem tłum ludzi, wśród których poważnieni nikną, zwiększając harmider i hałas, złożony z klątw i śmiechów, ze złorzeczeń i okrzyków „hura“, z gróźb i żartów.

Jest to scena zdobywania szturmem miejsc w tramwajach przy rogatce Mokotowskiej w jedną z wiosennych i pogodnych niedzieli z nadejściem zmroku.

Dziwna rzecz, zkąd się ci ludzie biorą? I to przytem ludzie sami wielcy, pełni gróźb i hardości. Każdy złorzeczy, każdy chce panować, aż w końcu nabija guza sobie i innym i powraca do domu, zmiętoszony, jak gość paradyzowy.

Że Saska-Kępa zwabia same dystyngowane osoby, nic dziwnego, wszak karuzele, huśtawki, strzelnice mają swój urok, ale że z Mokotowa tyle dygnitarzy wraca do Warszawy, doprawdy trudno pojąć.

Proszę sobie wyobrazić miejscowość, najzupełniej nie wyzyskaną pod względem zabaw. Przy rogatkach i wale miejskim plac, zielony step, z nęcącym wprawdzie z oddali budynkiem wyścigowym, ale niestety zawsze—z wyjątkiem sezonu wyścigów—opustoszałych.

Za rogatkami ulica, długa, jak nudna komedyja, z brukiem, żywo przypominającym ciernie i głogi życia i z domkami, nie mającemi bynajmniej pretensyi do estetyczności.

Proszę przedstawić sobie kramy, w których kasza z mąką stanowią jedyny, najgodniejszy wyzyskania proceder, szewca, którego szyld nosi dwuwiersz: „U mnie obuwie dogodne, w lecie zimne, w zimie chłodne“, cegielnię, dosyłającą z oddali woń niegaszonego wapna i wreszcie... wreszcie park.

A otóż punkt kulminacyjny.

Park mokotowski! Bledną Łazienki z ich wieczną dystynkcyją, z tą sztywnością spacerujących, którzy wobec urzędowego regulaminu stąpają nieśmiali i błędni.

W mokotowskim parku, pohulaj duszo, skaczcie nogi, jak w latach dziecięcych. Swobodo—zabłyśnij, jak jutrznia!

Więc dalej, stróżko-cerberko, odetknij zasuwę wrót drewnianych, napróżno chylących się w ziemię, więc dalej, binokle, wyprostujcie się na zasapanym z kurzu nosie — a ty autorze niniejszej opowieści, wkrocz z dumą, boś znalazł piękno prawdziwe.

Stukam. Stróżka mierzy mnie od stóp do głów. Waha się... sięga pod fartuch, wyjmuje klucze... i wraca do budki przy bramie stojącej.

— Pani! pani! — wołam zdumiony, widząc w alei kilkadziesiąt osób i słysząc ich śpiewy chóralne—pani!

Nieczuła nie wraca!

Genialna myśl przyszła mi jednak do głowy — dyska, dyska — ów magiczny środek na stróżów syreniego grodu. Stuknąłem nią o pochylone wrota. Cerberka, jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej, rozwarła wrota i chowając skwapliwie monetę—raczyła wyrzec:

— Bo to, proszę wielmożnego pana... boima się hołoty.

— A więc znowu będę wśród dystyngowanych.

Skrzywiłem się nieco — chciałem bowiem chociaż raz jeden przypatrzeć się z blizka tym, których głos opinii publicznej mianem hołoty oszpecił.

Ale dajmy pokój opini publicznej, a powędrujmy raczej w głąb cienistej alei.

Na lewo drzewa, na prawo drzewa, wprost drzewa, wspak drzewa, na lewo trawka, na prawo trawka i piaseczek i murawka. Aj, aj! jak tam pięknie. Biegnę z górki na pazurki. Wdy-

cham zapach sianka. Patrzę, tam kochanka z swoim lubym szepcze, a tam babcia drepcze z sążnistym różańcem. Tam znów oko tańcem dziatwy się ożywia, serce się roztkliwia i pędzę radosny wśród arcydzieł wiosny.

Aż w końcu przybywam do słupa...

Patrzę, a tu, panie, napis — poprawiam nosościski, wczytuję się baczniej i oto dostaję takiego *piotra*, że... aż.. o mały włos nie padam w głąb zarośniętego trzciną stawu.

Napis brzmi:

„Osobom, nie mieszkającym w Mokotowie na letnich mieszkaniach, spacer po parku wzbroniony, pod rygorem odpowiedzialności w obliczu wójta gminy etc.“

Ładna historyja ..

Zmykajmy...

Brnę tedy pod górę, znowu podziwiam babcię i kochanków, piaseczek, górki, trawkę i drzewa, aż wreszcie, wreszcie, stając na stopniach zatłoczonego tramwaju, zaczynam za innemi:

— Ależ, panie!...

— Niema ależ!... Wysiadaj pan!...

I tak dalej, *usque ad finem*.

B. Londyński.

Molière.

* Molière miał takie wzięcie u Ludwika XIV, że często udawano się do niego z prośbą o uzyskanie jakiejś łaski od króla. Pewnego razu wyrobił probostwo katedralne synowi swego doktora; przy tej okazyi zapytał go król: „Jakto, i ty masz swego doktora, Molière? cóż on ma z tobą do czynienia?“ „Najjaśniejszy panie! — odpowiedział słynny komedyjopisarz— konferujemy z sobą od czasu do czasu, on mi przepisuje lekarstwa, których ja nawet nie każę robić i dzięki temu mam się jako tako“.

Molski.

* Bieży Molski, w ręku oda
Dla Chrystusa, dla Heroda,
A w zapasie wierszy trzysta
Dla przyszłego Antychrysta.

Marcin Molski ur. 1751, zm. 1822, słyn swojego czasu wierszopis. W życiorysie je K. W. Wójcicki mówi: Od roku 1801 do 18 obdarowywał pochwałami wszystkie znakom sze osoby różnych narodowości, które się poj wiły w Warszawie. Wśród zmian polityczny umiał się do każdej nagiąć i zawsze chwal Ztąd jeden z współczesnych, oburzony tą le komyślnością wierszopisarza, tak określił M skiego:

„Idzie Molski, w ręku oda“ i t. d.

Wierszyki, które poszły w przysłowie d oznaczenia ludzi z charakteru tak giętkich i p datnych, jakim był Molski, są początkiem ba dzo dowcipnej satyry I. Wyleżyńskiego pod t tułem: „Kolęda“.

Weryho-Darowski.

Monolog.

* *Monolog pewnego złotego młodzieńca.*

Kto mi zabrał z kretesem majątek wujenki?
Panienki.
Na co poszły me wioski, karety i cugi?
Na długi.
Przez co dziś chodzę struty i brzydko obdart
Przez karty.
Gdzież więc skończę pielgrzymkę bolesną i krw
[wą
Pod ławą.

Świąteczny.

Montesquieu.

* Montesquieu dyskutował o jakiejś sprawie z pewnym radcą parlamentu z Bordeaux który widząc, że nie może przekonać swego interlokutora, zawołał w uniesieniu:

— Panie prezydencie, daję ci moją głowę, jeśli nie jest tak, jak ja mówię!

— Przyjmuję ją chętnie — odparł chłodno Montesquieu — ponieważ według francuzkiego przysłowia... małe podarunki utrzymują przyjaźń.

(*Proverbiana*).

Moralność.

* *Nasi moraliści.*

„O, cnoto! ty w złocistej nie mieszkasz komna-
[cie,
Ni pysznemi rumaki przejeżdżasz po rynku,
Trzeba cię tylko szukać w ubożuchnej chacie!“
Rzekł, westchnął, machnął ręką i... poszedł do
[szynku.

Morfeusz.

(Wyjątki z dzieła, przygotowanego do druku p. t. *Nieomylny Morfeusz*, czyli rozumowany dykcyjonarz snów z wykładem filozoficznym przez Sybillę z Zapiecka).

Cielęciu palcem prawe oko przymykać znamionuje *ból zębów.*

(Wykład: Cielę dorósłszy zamienia się w wołu; wołu prowadzą do szlachtuza, szlachtuzy stoją nad Wisłą, Wisła płynie do morza, w morzu są ryby, ryby mają zimną krew, krew uderza czasem do głowy, uderzenie jest biciem, bicie sprawia cierpienie a cierpienia trafiają się i zębom).

Drzazgi smolnej zamiast chustki do nosa używać znamionuje *wściekłego psa.*

(Wykład: Drzazgi są z drzewa, drzewo układa się w sążnie, sążeń ma trzy łokcie, łokciem mierzy się towar, a o wodzie gorącej mówi się: to war; warr... warr... robią psy, kiedy warczą, psy zaś wściekają się niekiedy).

Flaszką stłuczoną atrament pić znamionuje *reumatyzm.*

(Wykład: Atrament zowie się inkaust po łacinie, łacina pochodzi od łaty, łata zaś daje się tam, gdzie jest rozdarcie, darcia bywają reumatyczne).

Głód pierzem wroniem zaspakajać znamionuje *liczne potomstwo.*

(Wykład: Wrona kracze, od krakania nazwano Kraków, Kraków drogi jest za grosz, kiedy szeląga niema, szeląg jest pieniądzem, pieniądze bywają zakopane w ziemi, ziemia jest matką wszystkiego, matki miewają dzieci, dzieci zaś niekiedy bywa dużo).

Kluski z piasku gnieść znamionuje *małżeństwo.*

(Wykład: Kluski są potrawą, potrawy się koszą, do koszenia używa się kosa, kosa ma kształt cyfry 7, po siedmiu latach tłustych następuje siedem lat głodnych, lata składają się z tygodni, w tygodniu jest wtorek, ostatni wtorek bywa w karnawale, w karnawale zaś ludzie się żenią).

Młotkiem zęby wykłuwać znamionuje *szczęście do handlu.*

(Wykład: Zęby bywają mleczne, mleko jest białe, śnieg jest jeszcze bielszy, po śniegu jeżdżą sankami, sanki są powozem, mającym o jedno koło mniej od Fortuny, komu zaś sprzyja Fortuna, ten musi robić spekulacyje).

Pieprzem fajkę nakładać znamionuje *płacz.*

(Wykład: Pieprz nie jest słodki, słodkim bywa miód, miód nie jest kwaśny, kwaśnym bywa ocet, ocet nie jest słony; słone bywają łzy).

Śliwki na rożnie piec znamionuje *podróż.*

(Wykład: Rożen bywa długi, lecz są rzeczy krótkie, naprzykład kurtki, kurtka miewa rękawy, rękawów zwykle jest para, parą zaś jeździ się po świecie).

Morzkowski.

* Józef Morzkowski, Chorąży Drohicki, najpotężniejszy genijusz prawniczy swojego czasu, będąc deputatem na trybunale Lubelskim, poróżnił się z jednym kolegą swoim, który nie mogąc znieść wyższości jego rozumu, ciągle szukał z nim kłótni, uskarżając się, że mu zawsze przymawia. Inni koledzy i sam marszałek Trybunału usiłowali ich pogodzić. Ów kolega tłumaczył swój żal do Morzkowskiego jaknajmniej zasadnemi postrzeżeniami. Aż ten zniecierpliwiony powiedział: „Naprożno usiłujecie państwo nas pogodzić; nasze usposobienia tak są odmienne, że między nami pojednanie jest

niepodobne. Jegomość jest tak obraźliwy, że gdyby był między stoma ludźmi, a ktoś się odezwał, że między nimi znajduje się jeden głupiec, onby to zaraz wziął za przymówkę do siebie, a ja tak mało jestem dostępny gniewu, że gdybym z nim sam na sam bawił, a ktoś powiedział: „między wami jest głupiec“, bynajmniej bym się nie uraził.“

Motyl.

* *Dobry motyl.*

„Biada mi!“ jęczał pewien, widząc że mu [z siatki
Umknął, pojmany z trudem, motyl arcyrzadki.
„Pociesz się,“ rzekł mu dobry motyl na roz- [staniu,
„Jestem z tych, którzy tracą przy bliższem poznaniu.“

Wacław Pomian.

Motyw.

* *Z motywów ludowych.*

Oj skace szara wrona z kamienia na kamień,
A moja carna krowa tego nie potrafi!
Oj, chodzi wedle dwora prosię, pokwikując,
A dziedzic z Pacanowa przyjechał nie trzyźwy!
Oj, niemaż jak stan chłopa, człek sobie podchmieli
I zaśnie w mokrym rowie, jak pan na pierzynie!

* Tańcowała Małgorzata,
Tańcował i Grzegórz,
— Kiej chcesz ze mną skikać chłopie,
To mię ściskasz cegóż?
Grzegórz na to odpowiada:
— Toś sobie najlepsza!
A dyć miemiec tyz obmaca,
Gdy chce kupić wieprza.

* Jechał Maciek do Warszęgi na welekcyją,
Najął sobie na przedmieściu w karczmie stancyją;

I jęli go przyjaciele na piwo prosić,
A on im się z familiją zaczął wynosić:

„Mój ojciec był wojewodą, bo woził wodę:
Miały żydy po Warszędze z niego wygodę.

A stryjaszek kasztelanem, racyja na to,
Bo miał głowę kieby szkapa kasztanowatą.

A wujaszek był chorążym na tę racyją,
Nosił świętą chorągiewkę przed procesyją.

Starszego też mego brata Bóg szczęściem darzy
Był kucharzem i nielada, bo psom jeść warzył.

A młodszego za cześnika każdy szacował,
Bo on stryczkiem i pałeczką piesków częstował

Jedna siostra kasztelanka, druga sędzionka,
Jedna przędła, druga kradła zgrzebne przę- [dzionka.

Matusia też świętą byli — cuda czynili,
I umarli na gorączkę — bo ją spalili.

Nasza także pani ciotka dobrego pysku,
Żaden pies jej nie przeszczeka w starem karczmisku.

Perły humoru polskiego.

* *Z sielskich motywów.*

Radzi w karczmie chłopów grono
I wciąż chlapią „ocysconą“,
Oj chlapią...
Wojtek becy nad swą dolą —
Jaz go siwe ocy bolą,
Łzy kapią.

I tak zece: „Głupie głowy!
Dzisiok rudy „ucastkowy“
Mi peda:
— Eh, wy hamy, nic nie wicie,
Juz nie długo wase zycie
I bieda

Ukońcy się razem z postem,
Psyńdzie komet machnie chwostem,
Świat cały
W drobny macek juz rozprosy,
A wos wsyćkich popaprosy
W kawały...

Wójt dziś rychtyg już z powiata
Dostał papir końca świata
I basta... —

Ja ci ksyce w niebogłosy,
A znów ze łba drze se włosy
Niewiasta...

Idęć tedy do karcmiska,
By rozpytać o toć zblizka
Lejbusia,

A on kręci pejsy ino
I coś siedzi, z głupią miną,
Jok trusia...

Więc se myśle:—Gdy zyd w strachu,
To juz komet jest na dachu,
Lub w sieni.

Piję śnapsa półkwaterek,
Azem psepił wnet papierek
Z kieseni...

I ci do dom laze wtedy...
Świat jest cały... zadnej biedy
Nie będzie...

Tak jak było chałup stoi,
Ino mi się w ocach dwoi
Coś wsędzie...

Lecz dalibóg wsyćko było
Po staremu, ze az miło...
Toć abo..

„Ucastkowy" nawet rudy
Siedzi sobie jok i wprzódy
Z mą babą..."
Maciek z Topielu.

* Wojtek z Kaśkom wedle stołu
Se piją,
Odprawiają wraz pospołu
Wiliją.
A wichr świscy nad chałupą
W kuminie,
Wojtek kładzie kluski kupą
Dziewcynie...
— Kiejść się Kaśka tak kluskami
Obzarła,
By cię frybra pod zebrami
Nie parła,
Napijwa się jesce jedną
Sklaneckę!.. —
Leje wódkę w dziwkę biedną,
Jak w beckę!
Gdy juz wsyćko glanc ze dzbanka
Wychleli,
Tak pod ławą se do ranka
Lezeli...
Rankiem ociec po łbie kijem
Wywija...
Ej, nima to jok jest na wsi
Wilija!..
Maciek z Topielu.

* Skrzeczą żaby w trzęsawisku,
Klekcze bocian na karczmisku
Klekotem,
Wojtek porwał sierp i grabie
I już stanął hen, przy babie,
Za płotem...
Baba rzecze: — Boćko klekce,
Coś nom znowuj psynieść zekce
Psio wiara!..
— Oj, cego ci znowuj chce sie!
Chyba zabę ci psyniesie
Boś stara!.. —

* Tańcowała Kaśka młoda
W karcmisku,
Az kroplami siadła woda
Na pysku.
Innych chłopów ciągle tera
Omija,
Jeno z Wojtkiem wciąz śtajera
Wywija.
Wojtek lubo w giembe Kaśki
Coś zerka
I bez tsy az rźnie zdrowaśki
Oberka...
Gdy zrobili tsy obroty
Ze sobą,

Zece wojtek: — Słuchaj no ty,
Chorobo!
Chces cy nie chces prać mi chusty,
Mów ino?
Bo niedługo i zapusty
Juz miną...
Do popielca juz nie wiela...
Nadeńdzie...
Cy więc będzie, cy wesela
Nie będzie?..
Nim się pocnie znów na nowo
Ten rocek,
Kuzdy chłopok da ci krowo
Wnet klocek!.. —
Kaśka jednok bis uparty,
Wśród śmiechu,
Zece zaro: — Tylo zarty
Wojciechu! —
Lec do Wojtka białe zęby
Wzdy scezy
I funduje ciągiem gęby,
Bo wiezy...

. . . .

Mijo rocek, jesień, desce,
Omłocka...
A Magdusia dziewką jesce,
Ma klocka.
Lez juz karku jej ten klocek
Nie razi,
Bo nieborak ma juz rocek...
Som łazi.

* Poszedł siciarz za granicę
Co żywo,
Aby zebrać za przetaki
Grosiwo...
Żonkę młodą pozostawił
On w domu,
Na opiekę nie oddając
Nikomu...

. . . .

Minął roczek, minął drugi —
Coś trzyma
Znać siciarza, bo jak niema
Tak niema...

Żonka myśli, że gdzie pomarł
Nieboże,
Lubo w rzece się utopił
Być może...
Lecz jej boćko figla płata
Zdradziecko
Niesie jedno... wreszcie drugie
Jej dziecko...
Dziwują się we wsi inni
Siciarze...
Że te boćki takie szelmy
Figlarze.

. . . .

Od granicy siciarz stary
Wtem spieszy...
Toć się z boćka i prezentów
Ucieszy!...

* Gzi się Magda dziewka z Frankiem
Oj, gzi się —
Wywrócili wodę z dzbankiem,
Zur w misie!
Wyloł zur się, stłukł się dzbanek
I miska,
A Magdusi lezie Franek
Do pyska...
I tok peda: — Bodajze cię
Otręby!
Nimos jak ty w całym świecie!
Daj gęby!.. —
Magda gębę wnet zakryła
Fartuchem,
Franek sepce: — Moja miła! ..
Nad uchem!
— Ej, daj pokój całuj skory
Ignacy...
Bo kto jesce te jamory
Zobacy...
Zeby matuś nie ujzała
Juz wolę
Te moranse odprawować
W... stodole! —

Maciek z Topielu.

Mowa.

* *Mowa do państwa młodych, wypowiedziana na weselu wiejskiem przez Ignacego Kowala.* (Autentyczne).

„Zgromadzeni państwo młodzi tu oboje, jużeście przyśli do ślubu w kumpanii kapeli, jako i przyjechali na furach gospodarze i gospodynie w poduchwałości, co nie kuždemu Bóg użyczył siły na piechotę w stare lata, jako na ten przykład mróz na świecie, co głowa osiwiała i nogi ustali!!!

Już za wolą Najwyższego Pana i Księdza Pastyrza, który więc jest proboszczem u nas, macie zezwoleństwo do siebie stanąć z wesołości i z miłości do małżeństwa.

Ty panie młody Jantoni i panno młoda Salumejo, jako się wyrzekło w kościele naszym chrześcijańskim „Kyrie elejson i Chryste elejson" według akuratności klijastyka pańskiego, że dla pierwszego rodzica naszego Jadama Bóg użyczył świętą Jewę, żeby im było lżej do społeczności nachować dziatek we dwoje, jako i my od nich ztamtąd pochodzimy z raju... bo nam nietylko potrzeba przymileństwa w dobytku, wołu, kunia, krowy, ale i na ten przykład człowieka do profesyi kuždej, jak to po łacinie jest napisane: in sacula saculorum!!...

Upadnijcie do nóg rodzicowi Jochymowi, który tu jest w obecności z karkulacyją i Kazimierz Grzechotka od pana młodego, którzy są w przytomności, jako drużbów i druchny w panieństwie swojem, które kuždemu od Jadama i Jewy jest użyczone z przynależytości do ciała i ducha swojego we środku — na ten przykład nie powróci kurcze do jaja; ino w profesyi do terminu będzie rzemieślnik, co nie kuždemu jest do zrozumiałości.

Nie trza nam nic więcej ino łaski boskiej, w przyjacielstwie ludzi z karkulacyją w dziatkach — niech Pan Bóg spenetruje, żebyście nie pragnęli kawałka chleba ani soli, jak będzie wola wyższa na wysokości gdzie jest słuńce, asztromonija i miesiąc.

Tak i wy uczciwszy Boga i ludzi, co się dziś bierzecie z perswazyi i obserwacyi, pobłogosławcie dziatki, których jeśli wam Bóg użyczy czy na pociechę waszą udających się do ślubu, co jeszcze abyście wnuków doczekali — a po śmierci waszej za wolą najwyższego Boga w rezygnacyi hunoru, jako i wszyscy we zgromadzeniu słuchacze w przyjacielstwie powiemy wam nad grobem: „Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków — czego wam, sobie i kuždemu bliźniemu mojemu życzę, Amen."

* *Mowa Jowisza Dziennikarskiego miana na ogólnej uczcie wszystkich pism peryjodycznych warszawskich.*

W obszernej sali, przy wielkim stole, nakrytym i zastawionym różnemi potrawami i napojami, siedzą wszystkie pisma peryjodyczne warszawskie. Panuje ogólne milczenie. Po chwili wstaje Jowisz i odkalsznąwszy trzy razy — odzywa się w następujące słowa:

„Panowie! W zakomunikowanej Wam proklamacyi wymieniłem powody, jakie skłoniły mnie do wezwania Was na to ogólne zebranie. Zanim jednak przystąpię do wniesienia wymotywowanego bilu, nad którym zechcecie parlamentarnie deliberować — pozwólcie podziękować sobie za miłą harmonię i za rozum polityczny, jakie w zebraniu naszem widnieją... Tak panowie!.. Widzę bowiem, jak „Tygodnik Illustrowany" częstuje „Kłosy" winem reńskiem, „Wędrowiec" prosi o szklankę wody „Tygodnika Romansów i Powieści", a „Kuryjer Świąteczny" częstuje papierosami „Opiekuna Domowego" i fakta te głęboko w mojem dziennikarskiem notuję sercu...

Z różnych stron dochodziły mnie wieści, że panuje pomiędzy Wami, panowie, zaciekła niezgoda, że obrzucacie się błotem, że paszkwile pomiędzy Wami są na porządku dziennym... Mówiono mi naprzykład, że „Gazeta Polska" nazywa „Gazetę Warszawską" „Święto-Jerską

gazetą", dlatego, że tyle jest w niej o Warszawie, ile i o św. Jerzym, że znowu „Gazeta Warszawska" nazywa „Gazetę Polską" „Organem Katarynek" dlatego, że byle katarynka zagra przed oknami redakcyi, zaraz pół „Gazety Polskiej" zadrukowane jest sprawozdaniem muzycznem (Gazeta Polska i Warszawska obracają się do siebie tyłem). Mówiono mi, że „Kłosy" mają „Tygodnik Illustrowany" za ba i bardzo, a „Tygodnik Illustrowany" niema „Kłosów" nawet i za to, że „Przegląd Sądowy" szydzi z pretensyjonalnej uczoności „Przeglądu Tygodniowego", gdy tymczasem „Przegląd Tygodniowy" odzywa się o „Przeglądzie Sądowym" że tak chodzi koło prawa, jak chodzi lis koło drogi, co niema ręki ani nogi — przekonałem się jednak, że to wszystko jest najczarniejszą potwarzą, bo zgoda i jedność panują między wami, panowie (Kurjer Warszawski i Codzienny ruszają ramionami). A co jest najbardziej miłem dla serca mojego, to ta bezstronność, z jaką oceniacie wszyscy wszelkie objawy życia społecznego (Kurjer Warszawski spogląda z pode łba na Kuryjera Codziennego). Bez względu na korzystne, lub mniej korzystne położenie, w jakiem Was umieściła Opatrzność, spełniacie wszyscy z godnością trudne obowiązki. Czy w tak drażliwem i wystawiającem na okropne próby położeniu jak „Kurjer Warszawski", znajdujący się pomiędzy samemi restauracyjami, czy w położeniu literackiego niewiniątka, jak „Kuryjer Codzienny", czy w pośród licznej rzeszy handlujących różnemi ludzkiemi i nieludzkiemi przynależytościami, jak „Gazeta Handlowa", która zachowując cały charakter handlowego organu, musi razem z handlem robić nieraz niebezpieczne piruety i mówić głośno o tem, o czem handlujący, kupcy i przemysłowcy chcieliby, aby cała kula ziemska milczała; czy pomiędzy niesforną gromadką literatów krwio-żerczego autoramentu, jak „Przegląd Tygodniowy", który gdyby nie używał całej despotycznej władzy nad swymi współpracownikami, toby już dawno sam przez nich z głodu był zjedzony: czy w pośród modlących się do do księżyca żydów, jak „Izraelita", stawiający nad posłannictwo zaszywania w brudną poszewkę jeszcze brudniejszych rubli, talmudyczne posłannictwo żydowskiego narodu nad Wisłą; czy wreszcie w nieszczęśliwem położeniu „Ekonomisty" z biednem niemowlęciem przy piersiach noszącem imię „Merkury", owego „Ekonomisty", który przez samo rozpaczliwe wołanie, że jest jedynem pismem ekonomicznem w kraju, powinien zasługiwać na ogólne poparcie, a tymczasem doznaje ogólnego odparcia (Ekonomista ociera łzy i całuje w głowę Merkurego) — wszędzie, z dumą to mogę powiedzieć, zasłużyliście sobie, panowie, na nadgrobki w powszechnym cmentarzu społecznej działalności!..

Zgoda ta i jedność, moi panowie, jest dla mnie największą rękojmią, że proponowane przezemnie reformy wydawnicze jednomyślnie przyjętemi zostaną.

Historyja, jak zwykle, gdzie idzie o fakta doniosłego znaczenia, milczy wymownie kto, gdzie i kiedy pierwszy wynalazł tak nazwane honoraryja dla literatów, artystów i drzeworytników?..

Badając jednak najwiarogodniejsze źródła, dochodzę do tego pewnika, że takich niedorzeczności nie mógł być wynalazcą żaden księgarz, ani wydawca. W grubem podejrzeniu mam, panowie, literatów, których się zawsze głupie trzymają koncepta! (Brawo! brawo!) Bądź co bądź faktem jest dziś, że bez pieniędzy najużyteczniejsze dzieło światła bożego nie ujrzy!.. Honoraryja tak weszły w modę, że ani z literatem, ani z rysownikiem, ani z drzeworytnikiem nie gadaj, dopóki mu nie zapłacisz i to nie podług zasad, przyjętych w redakcyi, ale jak oni łaskawi są ocenić... Panowie, jakkolwiek wiem, że broniliście się mężnie i jeżeli można było, zamykaliście zawsze drzwi przed nosem autorowi, który po honoraryjum do redakcyi przychodził wnoszę jednak, abyśmy sobie dali słowo wcale nie płacić!.. Bo i za co?.. (Przegląd Tygodniowy ściska się za rękę

z Opiekunem Domowym) Porządna powieść oryginalna zapomnieliśmy już jak wygląda nawet (Gazeta Warszawska kiwa głową). I ta „Gazeta Warszawska“, która jest najpoważniejszym u nas organem miejscowego ruchu umysłowego, dlatego właśnie, że nigdy nic o nim nie mówi, bo mędrcy zwykle milczą ta „Gazeta Warszawska“ od lat 15-tu nie może się zdobyć na powieść oryginalną i podobno zmuszona jest powtarzać te powieści tłomaczone, które kiedyś już w fejletonie swoim umieszczała... (Gazeta Warszawska robi giest zdeterminowanego położenia). Z kilku zabłąkanych przypadkiem w Warszawie poetów jedni prowadzą korektę (Kurjer Warszawski wzdycha), drudzy piszą wprawdzie wiersze, ale nie dość, że wydrukowanych publiczność czytać nie chce, ale nawet zecer zżyma się nad ich składaniem, inni znowu tak się zestarzeli, że jak jakiś tam powiedział literat, liczą tylko jamby i choreje, a potem? ...potem znowu... choreje i jamby... O dramacie nie chcę już mówić, o komedyi... dam pokój... o kompozycyjach muzycznych... te już tak same przeraźliwie wrzeszczą, że zdaje mi się, iż to skaleczone muzy wydają krzyki rozpaczliwego bólu.

Krytyków jest wprawdzie bez liku; ale cóż, kiedy nikt na nich nie zważa... Nie pamiętam już, żebyście panowie mieli jakąkolwiek porządną krytykę. (Biblioteka Warszawska niecierpliwie poprawia się na fotelu). Widzę, że „Biblioteka Warszawska“ protestuje przeciwko temu; ja wiem, że w „Bibliotece Warszawskiej“, jest kawał miejsca zostawionego na krytykę, ale chociażbyście i milę kwadratową zostawili, to cóż zrobicie, jak po niej wciąż uganiają się tylko same bąki, jak rośnie bawełna, i od czasu do czasu trzaśnie z bicza jaki stary furman, a potem schowa się w mysią jamę i myśli, że wypełnił obowiązki Arystarcha, bo zabił biczem muchę na nosie jakiegoś autora, który swoją drogą ciągle mieć będzie muchy w nosie... Albo „Kuryjer Warszawski“... (Kuryjer Warszawski: Oho). Pismo, które chociaż publiczność nazywa Morokiem w miniaturze, ma jednak tę zasługę, że dużo chce a nic nie może? (Kurjer Warszawski gwałtownie się porusza). Ale, cóż winien ten „Kuryjer Warszawski“?.. Zgromadził około stołu redakcyjnego tuzin młodych krytyków, kupił im po jednym tomie „Encyklopedyi Powszechnej“, usystematyzował pomiędzy nimi pracę, bo każdemu przeznaczył w „Encyklopedyi“ miejsce od litery do litery, w celu przyswojenia sobie głębokiej erudycyi; można na ulicy poznać krytyka „Kuryjera Warszawskiego“, bo każdy z nich ma jeden tom „Encyklopedyi Powszechnej“ pod pachą, ale cóż, dopóki krytyczna ich erudycyja ogranicza się na wypisach z „Encyklopedyi Powszechnej“, to dobrze; ale jak się puszczą na pole samodzielnej recenzyi, to w jednym wierszu popełniają siedmnaście herezyi (Kuryjer Świąteczny: fiu! fiu!). Zwracam uwagę „Kuryjerowi Świątecznemu“ na niewłaściwość wykrzykników w pośród tak poważnego grona (Kuryjer Świąteczny zawstydzony cofa się nieco w tył z krzesłem i potrąca niem Przegląd Katolicki, który ucieka od Świątecznego i przenosi się na drugą stronę stołu).

Dawni fejletoniści postarzeli się strasznie — zdziecinnieli zupełnie. Jeden pisze o prelekcjach, sztukach, operach, których wcale nie było i dopiero po wydrukowaniu przypomina mu się, że po dobrej kolacyi zasnął, i tylko śnił o tych prelekcyjach, sztukach i operach; drugi donosi w kronice, że w piątek siedziało na gzymsach teatralnych dwunastu gołębi, a w sobotę tylko dziesięciu; trzeci zaprzecza temu faktowi i dowodzi przez całą szpaltę, że on ani w piątek, ani w sobotę żadnego gołębia nie widział. Jedno tylko tak nazwane „Pokłosie“ ma przynajmniej tę zasługę, że służy za wzór piszącym, jak się nie powinny pisać fejletony, żeby nie zasługiwały... na miłosierdzie publiczne... (Kłosy wzdychają i wypijają szklankę wody z cukrem). Nie mówię już o współpracownikach „Kroniki Rodzinnej“, która woła: moralność! moralność! i kładzie do ust ciągle miętowe pastylki, żeby

ją czasem nie zamdliła ta moralność; nie mówię o autorach „Bluszczu" który wydekoltowanym kobietom każe patrzeć w gwiazdy na niebie, a nie chcąc się przeniewierzyć zasadom społecznego puryzmu, w osobnych zapieczętowanych kopertach posyła mamom przetłomaczonego „Człowieka śmiechu" z błagalną prośbą, aby po przeczytaniu spaliły ten „dodatek", żeby się przypadkiem nie dostał w ręce niewinnych córek (Tygodnik mód zaciera ręce). Nie mówię wreszcie, o kaznodziejskich piórach „Przeglądu Katolickiego", bo przyznam się, że nie miałem odwagi przypatrzeć mu się bliżej. Ale zwracam uwagę, jak dzisiaj piszą panowie literaci po polsku. (Kuryjer Codzienny zasłania się wachlarzem). A znajdźcież mi panowie choć jednego dowcipnego człowieka? (Kuryjer Świąteczny kłania się). A artyści, jak oni rysują?.. Bitwy, których nie widzieli, pobojowiska, o których wyobrażenia nie mają. Dowódzców sparaliżowanych z nosem na lewym policzku, żołnierzy bijących się lewą ręką, konie szarżujące bez łbów, armaty, do których jakby szczury były zaprzężone!! I za takie illustracyje każą nam płacić!.. A toż to, za dawnej Rzeczypospolitej greckiej, wypędziliby z miasta podobnych artystów!..

(Tygodnik Illustrowany wzdycha i prosi o kieliszek reńskiego wina — Kłosy jednym haustem wypijają szklankę zimnego ponczu).

A jak zrobią drzeworyt — to zdaje się, że go ptaki podziobały... (Wędrowiec kaszle). Wiadome zapewne panom jest zdarzenie okropne, jakiego ,,Opiekun Domowy" był pomimowolną przyczyną... Wszak wiecie o tem, że kiedy do pewnego domu przyniesiono numer ,,Opiekuna Domowego" z drzeworytem, wyobrażającym ,,Boże Narodzenie", pani domu spojrzawszy na ten okropny drzeworyt, dostała konwulsyi i dziś jeszcze podobno znajduje się w szpitalu. (Opiekun Domowy: już wyzdrowiała!) No, to chwała Bogu!.. Panowie, dosyć tego dobrego! Radykalna reforma jest konieczna! Powiedzmy sobie: *sic volo! sic jubeo! stat pro ratione voluntas!*.. To znaczy: zapłacimy, jak nam się podoba, a nie, to idźcie do djabła! Cóż to, czy my jesteśmy Nababy indyjskie!? (Korespondent Rolniczy gorzko się uśmiecha). Czy mamy jak ,,Gartenlaube" 250,000 prenumeratorów?! (Opiekun Domowy płacze i całuje się z Przeglądem Tygodniowym). Toż przecie kraj nasz rolniczy, a nawet taka nędzna ,,Gazeta Rolnicza". (Gazeta Rolnicza protestuje przeciwko niewłaściwemu wyrażeniu!..) Cofam, chciałem powiedzieć, że nawet w kraju rolniczym, jak nasz, ,,Gazeta Rolnicza" musi pobierać prenumeratę w burakach i kartoflach, bo inaczej nikt jej prenumerować nie chce... A ,,Korespondent Rolniczy" tylko przy silnej protekcyi ,,Gazety Warszawskiej" znajduje się w spiżarniach wiejskich gospodyń... Czyż który z was, panowie, nie pracuje dla wyższego celu? Pytam się, któż z was pracuje dla poziomego zysku? (Tygodnik Romansów i powieści poprawia sobie kołnierzyki). Wiadome mi są wasze szlachetne czyny, panowie. Któż nie uznał zacnych chęci (że pominę nazwisko, niechcąc obrażać skromności) tych, którzy z uszczerbkiem swoich materyjalnych funduszów ogłaszali wysokie konkursy na powieści?.. (Tygodnik Mód rozczula się i całuje w głowę Przyjaciela Dzieci). Wiem panowie, że praca wasza jest nad wyraz mozolna; każdy z was wyjść musi, żeby nawet gromy z niebios biły. Po trzy i cztery razy musicie rozsyłać numery za te same pieniądze... A oprócz tego licz się z prenumeratorami, kup papier, pilnuj druku, zwołuj sesyje djabli wiedzą po co, przy końcu każdego kwartału konaj z niepewności i rozpaczy, rozliczaj wiersze tym wszystkim, co raczyli bazgrać, cale rysownikom i drzeworytnikom i dopiero następuje najprzyjemniejsza rzecz na świecie: wypłata. Jeszcze artykuł nie zejdzie z prasy, już go masz w redakcyi z notatą lub łokciem w ręku... (Opiekun Domowy żywo gestykuluje z Przeglądem Tygodniowym). Tak panowie dalej pozostać nie może; ja zastanawiałem się uważnie nad Waszem położe-

niem i przyszedłem do tego głębokiego przekonania, że będzie z pożytkiem dla literatury, jeżeli honorarja autorskie zupełnie zniesione zostaną. (Wszystkie pisma biją huczne brawo). O eksploatowanie publiczności nikt niema prawa, nikogo z Was posądzać. (Kłosy szepczą coś do ucha Tygodnikowi Romansów i Powieści). Któż nie uznaje zasług „Przyjaciela Dzieci", dającego tak zbawienne nauki ludzkości, która, że się tak wyrażę, w majtkach jeszcze chodzi? Któż nie podziwia wytrwałości „Zorzy" w oświecaniu prostego ludu. Ona tylko jedna może być czytana przez ludzi, którzy czytać nie umieją... Jakim to sposobem robi? Dalibóg nie wiem, szanując jednak jej tajemnice redakcyjne, z przyjemnością oddaję tutaj należny hołd jej pracy dla dobra ogółu (Zorza kłania się). A teraz panowie zanim projekt do prawa o zniesieniu honoraryjów autorskich uzyska Wasze potwierdzenie i zamieni się w prawo dla wszystkich wydawnictw, pozwólcie przedstawić sobie nowego członka wielkiej naszej dziennikarskiej rodziny. Oto mam zaszczyt przedstawić Wam, panowie, nowo-wykwalifikowaną „Gazetę Anonsów i Ogłoszeń". Przyjmijcie ją w grono wasze z otwartem i szczerem sercem, jak to umiecie przyjmować każdego, co po raz pierwszy wstępuje na arenę publicznego życia, lub samodzielnie zaczyna stawiać kroki na polu społecznej pracy!.. Z bezstronności Waszej i braterstwa znani przecież jesteście całemu krajowi!.." (Wszystkie pisma codzienne patrzą na sufit i udają, ze nie słyszą; niektóre pisma tygodniowe podają jej ręce. Przegląd Tygodniowy kładzie ręce w kieszenie i przypatruje się jej; Kuryjer Świąteczny bierze ją za guzik i coś jej szepcze do ucha. Biblijoteka Warszawska klepie ją protekcyjonalnie po ramieniu).

Stenografowali
Iskra i Trzcinka. („*Kolce*")

* *Mowa kandydacka.*

O mało nie wystąpiłem z moją kandydaturą w kurji większych posiadłości. Przygotowałem już w tym celu mówkę, metrykę, dowodzącą, żem się dobrze urodził i zaświadczenie c. k. prokuratoryi, że nigdy nie byłem konfiskowany Mówka moja miała zaczynać się w ten sens:

„Jaśnie wielmożni i prawie jaśnie wielmożni panowie! Chociaż nie jestem ani starostą, ani hrabią, śmiem prosić was o mandat poselski. Nie ołysiałem wprawdzie w pracy parlamentarnej, ale jeżeli zawsze mnie wybierać zechcecie, a Pan Bóg da długie życie i zdrowie, to ołysieję niezawodnie. Świadectwo c. k. prokuratorji zastąpi moje wyznanie polityczne. Winienem dodać, że staram się o posadę dyjurnisty w c. k. starostwie. Jeżelibyście jednak J. W. panowie na tem nie poprzestali, to jeszcze kilka słów dorzucę: starać się będę o wzrost propinacyj, o zaopatrzenie personelu żeńskiego teatru krakowskiego w nowe a cenne na koszt kraju nabytki, rzucę projekt stworzenia baletu narodowego i użyczania pożyczek przez bank krajowy o $^1/_3$ nad wartość dóbr ziemskich, wystaram się o subwencyję dla towarzystwa młodych wdów i dla narodowego cyrku. Taki jest mój program, którego ostatecznym wynikiem: silny rząd tj. zyskać zaufanie rządu, nie utrudniać położenia rządowi, popierać rząd, iść z rządem i stać przy rządzie. Pozwolicie jaśnie panowie, że każdy z przytoczonych punktów mojego programu uzasadnię i szczegółowo objaśnię.

„Co się tyczy propinacyi, to zbyt ona leży wszystkim panom na sercu, abym potrzebował ważność jej podnosić. Pereat mundus — fiat propinacyja, panowie. Jestto najwdzięczniejsze źródło dochodów, dochody są źródłem bogactwa, bogactwo źródłem pomyślności kraju. Bez propinacyi nie będzie nacyi. Sam źródłosłów wskazuje, że nacyja jest częścią propinacyi. L'homme propose et Dieu dispose — człek propinacyjuje, bo tak Pan Bóg dysponuje.

„Punktem drugim mojego programu jest powiększenie ilościowe i jakościowe personelu żeńskiego w teatrze krakowskim. Czem jest teatr, mówili już inni mędrcy przedemną, ale czem jest teatr bez ładnych kobiet, mówić i pi-

sać nie trzeba, bo czujemy to wszyscy. Nie przeczę, że na scenie krakowskiej pojawiają się ładne buziaczki, ale ilość ich nie zadawalnia najskromniejszych wymagań. Dyrektor Staś zbyt się poświęca, abyśmy od niego wymagali systematycznej hodowli pięknych okazów, aniołów ziemi. Kilkanaście tysięcy guldenów, jakie są skromnem wynagrodzeniem za jego pracę i starania, nie pozwalają mu na zaprowadzenie umiejętnej pepiniery. Obowiązkiem kraju jest wesprzeć jego trudy i dać scenie krakowskiej tyle pięknych buziaków, ile tajemnych westchnień wydobywa się do nich z naszego łona. Naród nasz przejrzał dziś estetycznie, wymaga wrażeń w tym kierunku. Niczem się nie kształci tak zmysł estetyczny jak widokiem pięknych kobiet. One wreszcie spojrzeniem swojem rozniecają ogień w żyłach, zachęcają do bohaterskich czynów. Biada temu narodowi, gdzie kobieta piękna jest rzadkością, gdzie zamiast greckiego noska spotykamy kawał ciała, przypominający kartofel lub berę zimową, gdzie pełne i wilgotne ust korale zastępuje blado-różowy pasek, gdzie płaska deska hańbi miejsce, na którem spoczywać winno czarujące i śnieżne łono! Panowie! sztuka nasza, serca nasze i przyszłość nasza domaga się ulepszeń w tym kieruku. Mam nadzieję, że oprócz uzyskania w tym celu funduszów krajowych, wysoki rząd wesprze stałą subwencyją nasze usiłowania."

K. Bartoszewicz. (p. t. I s. 59)

* *Mowa trybunalska.*

Natenczas zbliżyła się do kratek delegacyja młodzi szkolnej, witającej zwykle każdy nowy trybunał. Prowadził ją ksiądz prorektor, a składała się z kilku studentów, paniąt, krewnych lub synów deputackich, i z kolei wstępując na adwokacką mównicę, jeden polską, drugi łacińską, wcześnie przez patrów najtęższych oratorów wysmażone, prawili oracyje.

A tymczasem między palestrą wszczął się niejaki ruch i zamięszanie; hurmem napadali na siebie wzajemnie, pytając się, kto wyznaczony? kto przygotowany do koniecznej od palestry powitalnej mowy? Nikt — zapusty, jak na nieszczęście przed samem rozpoczęciem trybunału przypadłe, odjęły pamięć na ten nieodbity obowiązek palestry: „Wasan panie Janie! Wasan panie Wincenty! Wasan panie regencie!" od jednego do drugiego rzucali się wszyscy. „Wasan mości Skarbniku!" Skarbnik nasz machnął ręką, ani słuchać nie chciał; to nie jego rzecz *ex abrupto* prawić, a jeszcze komplementa. — A toż konfuzyja ostateczna dla palestry! — wołano z cicha — a toż kontempt dla trybunału! a to *Crimen lesae Majestatis!..* Nakoniec okrążono tłumem młodego ale znanego *ex fluida eloquentia* adwokata, pana Mateusza Antonowicza. — Wasan panie Mateuszu!

— Nie mogę — nie przygotowany jestem, trzeba mnie było uprzedzić...

— A na miłość Boga! gadaj! bo zgubisz wszystkich i siebie samego!..

Pan Mateusz spuścił oczy, namyślał się, a wtem go hurmem na mównicę wepchnięto, na której jeszcze miał chwil kilka do namysłu. Bo gdy studenci ukończyli oracyje, wprowadzono ich za kratki; deputaci ściskali ich, pieścili, a marszałek do końca sesyi całą delegacyję zatrzymał.

Pan Antonowicz zarzucił na ramiona wyloty karmazynowego surduta i pokręcał kruczego wąsa. Cała palestra otoczyła go kołem, jako w jej imieniu perorować mającego i z niespokojnością trwożyła się, czyli się mu uda. Publicum nadstawiło słuch ciekawy; a gdy koło urzędu do porządku wróciło, on poprosiwszy o głos marszałka, tak mówił:

„Najjaśniejszy Trybunale!"

„*Luceat lux vestra coram hominibus!* Niech świeci mądrość wasza przed całym światem! Niech świeci! Boście na to wybrani przez braci waszych, dostojni szafarze sprawiedliwości świętej, aby w wyrokach waszych, mądrość i cnota jaśniały, jak słońce na niebie i oświecały nas, cisnących się *sub umbra allarum*, pod skrzydła

opieki i wspaniałości waszej! Witam cię zatem Najjaśniejszy areopagu Litewski! a złożony z mężów godnych zasiadać te kurulskie, jak owe dawnego Rzymu, krzesła! Witam was w imie niu najuniżeńszych sług sądu waszego, prześwietnej palestry trybunalskiej, uchylającej tu czoła swoje (i wszyscy się na te słowa ukłonili), nie tylko jako przed zwierzchniczą swą władzą, ale jeszcze i bardziej, jako przed mężami, których zasługi znakomite w kraju, nowem uczczone dostojeństwem, korroborują i dodają lustru nieporównanej dawności prozapii waszej. Bo któż zaprzeczy wyrazom pisma Św., wskazującym jak na dłoni ród twój JW. a godny zastępco marszałka... Gdy bowiem Bóg wszechmocnością swoją świat ten stwarzał, rzekł dokonywając dzieła: *Et fiat lux!* i stał się... *Zaranek!*“

„I ty pisarzu trybunalski, głosem kolegów twoich wybrany na to, abyś nieomylne zdania ich w księgi nieśmiertelne wyroków waszych wpisywał, sprawiedliwie obok takiego prezydenta usiadłeś: bo gdy on stworzenia świata, ty rodem twoim epoki odnowienia tej ziemi zasięgasz. Twój to protoplasta, propagator po potopie rodzaju ludzkiego, żeglował w arce; a gdy ta osiadła na wysokim Araracie, powiada pismo: *Et primus Noe adoravit Dominum Deum!* I pierwszy Noe był — *Bohomolcem!*“

Zadziwienie i zadowolenie powszechne z dowcipnego obrotu mowy malowało się na twarzach wszystkich.

„Lecz czyliż może podołać moja słaba wymowa na wyjaśnienie tak z kolei i uwielbienie wszystkich zacnych imion, obsiadujących dzisiaj ten stół sądowniczy. Nie zaiste! Otwórz dzieje, kto chcesz, nauki i przekładu; jedno i drugie najdziesz w ich przodkach, jedno i drugie widzisz w obecnych potomkach! A zatem powtórzę Najjaśniejszy Trybunale: *Luceat lux vestra coram hominibus!* Niech świeci mądrość wasza przed światem! a gdy wszelka mądrość od Boga jest, niech więc i wasza będzie bogobojną i sumienną; niech w rozsądzaniu spraw ludzkich tak was prowadzi i ubezpiecza, abyście waszą sprawę wygrali natenczas, gdy zażartym instygatorem na nas, będzie wieczny nieprzyjaciel zbawienia naszego — woźnym, Archanioł z trąbą — palestrą broniącą nas, patronowie święci. Krzyż, laską marszałkowską – a marszałkiem trybunalskim, Jezus Chrystus Pan nasz i Odkupiciel! *dixi.*“

Powszechny aplauz okrył oratora, sądy odwołano na jutro, a pan Zaranek zastępujący i za stołem sądowym i za stołem biesiadniczym marszałka, kolegów, palestrę całą i dzieci z ich przewodnikiem na obiad zaprosił.

* *Mowa organisty, miana w czasie wesela wiejskiego przy odejściu państwa młodych do ślubu.*

„Stoję tu między wami, jak pasterz między stadem owiec, jak kozieł między główkami kapusty. Stoję tu wywyższony na tej ławie, nakształt sokoła wzbitego w górę i spoglądam na was jakby na drobne ptaszyny. I cóż więc? Porozdziawialiście gęby, ponadstawialiście uszy, powytrzeszczaliście na mnie oczy, jak na raroga, ale powiedzcie, czy wy rozumiecie to, o czem ja do was mówić będę?.. Oto mam państwu młodym, nim pójdą do ślubu, wypalić perorę. Lecz znacież wy, gawrony, co to jest ślub, umiecież wy pojąć, co to jest: „generis masculini et foeminini, praeteritum i supinum?“ Otóż to, wiem, że ani słowa żaden nie zrozumiał. Pić tylko, za łby się wodzić, nosy zbijać o ściany, walać się po ziemi, to jest wszystko, co wy umiecie. Ostatni grosz gotowiście zanieść do karczmy na gorzałkę, a jak organista przyjedzie do was, to nie macie za co kwarty miodu kupić! O tempora! o mora! to się znaczy, że wy wszyscy osły jesteście. To powiedziawszy tak dalej rzecz prowadzę: „Bona dies vel bonum mane“, co po polsku tłomaczy się, że żona powinna być posłuszna mężowi, „et dormivisti bene,“ że mąż powinien na chleb pracować.

„Tak jest, potrzeba pracować, bo otworzywszy gębę, nic ci w nią nie wleci, jak tylko komar

albo mucha. Wreszcie bierzcie ze mnie przykład; ja choć to niby organista, choć mam więcej rozumu w palcach, aniżeli wy wszyscy w głowach. a przecież sam sobie muszę gnój wozić i orać w polu, bo inaczej umarłbym między wami z głodu.

„Otóż to jest wszystko, co wam miałem powiedzieć. Pamiętajcie, że jeżeli moje słowa nie przylgną do waszych głów twardych, to wam kuny wyduszą kury, jastrząb porwie gąsięta, a wróble zjedzą pszenicę. A teraz, ty zacny panie młody i ty zacna panno młoda, idźcie i połączcie się na wieki.

„Obyście się kochali, jak dwa gołąbeczki!
Oby wam się mnożyły najmilsze dziateczki!
Oby wam wpośród pracy nieustały woły!
Oby wam nigdy wicher nie zrywał stodoły!
Obyście doczekali przychowku z cielątek!
Oby wam się rodziło po kopie prosiątek!
Oby wam krety w polu nie robiły szkody!
Oby wam nigdy w stawie nie zabrakło wody!
Obyście pełno mieli dobytku w oborze!
Pełno zboża w stodole, legumin w komorze!
A kiedy już te wszystkie zyskacie korzyście,
Nie zapominajcie także i o organiście!"

„Perły humoru polskiego".

* *Mówka pogrzebowa.*

„W nieprzejrzanej strzeni czasów, istnienie jednego człowieka jest jakoby niedziałką, równającą się stnieniu jętki, a jednak jakże olbrzymią jest jego misya, jeżeli odwiekujemy skrzynię rozmysłów, które jego zamknia mózgowa samorodnem wyłonieniem po świecie rozprysła!

„Chłonią się mocarstwa w kończynach swoich, oceany nie przełamią ziemnych krawędzi, któremi je umanifestowała usamowolniona woda lecz potęga umu jednego człowieka wszechświat przewalczyć zdoła, bo w swej emancypacyi do najoddaleńszych kończyn bezmiaru opiera się swą jaźnią na kolosalnej roli ducha i silną prawicą samego sięga bóstwa, targa bezwiednie przesądy zaszarzonych wieków, łamie zapory bezumu swoją silną wiedzą, kruszy gmachy wyrojonych mamideł mythu i depcze kamienną stopą fascynacye przełętnionych olympiad, niewiedzonym usankcyonowane wymysłem! O siło i tego stworzonego ducha! umie jaźni mojej! oby wypryski twojej wiedzy rozżarzyły tlono w cieśniach piersi zżelazniałych! oby rozpłomieniły iskry stnienia mojego, oby wyłoniły śmiało myślność moją, abym ją rozgłosił na stworze świata i godnie z mojej dzisiejszej wywiązał się misyi!"

* *Mowa i myśl.*

Co się mówi:	Co się myśli:
— Droga kochana cociu.	Przebrzydła baba.
— Jak się masz Alfonsku?	Po co ten łobuz tu przyszedł?
— Przyszedłem kochanej cioci powinszować i życzyć sto lat zdrowia.	Już cię też stara mumijo święta ziemia za długo nosi.
— Dziękuję ci, mój aniołku.	A bodajeś kark skręcił!
— O Maryjo! kocham cię, jak nikt cię nie kochał i kochać nie będzie; miłość moja dla ciebie wzrosła w mem sercu, jak kwiat wśród bezludnej puszczy.	Nie ma rady, tylko trzeba się ożenić z tem straszydłem z zaropiałemi oczami, żeby tylko aby prawda była o tych dwudziestu tysiącach rubli posagu.
— Mocno cię szanuję i cenię twoje zdolności, panie Atanazy, to też na przyszły rok myślę ci pensyję podwyższyć.	— Daj mi Boże cierpliwość, żeby się jak najprędzej rok skończył, ażebym mógł tego łotra i bałwana wypędzić.
— Umiem też być wdzięcznym J. W. Panu i gotów jestem dla niego nawet życie poświęcić.	— Życzę ci, żebyś oślepł, stary safandulo, kiedy się tak pilnujesz, że cię na niczem nie można okpić.

— Cóż mężulku, jesteś zdrowszym dzisiaj?

— Dziękuję ci żoneczko, twemu tylko staraniu będę winien moje zdrowie.

Skaranie boskie z tym paskudnym dziadem!

Poczekaj koczkodanie, niech tylko wyzdrowieję, to cię nauczę, jak męża w chorobie doglądać.

Mozart.

* „Nie, nie i jeszcze raz nie!“ wołał czystym wiedeńsikm akcentem piękny młodzieniec o jasnych rozumnych oczach, które teraz pod wpływem uniesienia gniewne rzucały spojrzenia. — Cała twoja gadanina o rozwadze, namyśle i tp. nie warta ni szeląga.

„Ani jednego szeląga! to ci mówię ja Mozart.“

„Ależ Wolfgangu“, przemówił młody człowiek, do którego skierowane były te słowa, „miejże choć trochę cierpliwości, nie odmówiono ci ręki dziewczyny, powiedziano tylko, że jeszcze za młoda.“

„Za młoda? więc mam czekać, aż będzie miała pięćdziesiąt lat? O, jakem Mozart, nic z tego nie będzie.“

„A jeżeli inaczej być nie może?“

„Nie może być? tak myślisz?“ zawołał Mozart namiętnie. — Posłuchaj, nie jestem człowiekiem, który się daje przeznaczeniu za nos wodzić. Niejedną już walkę stoczyłem i wyszedłem z niej zwycięzko. Przypomnij sobie zajście z arcybiskupem w Salcburgu, a i z wiedeńczykami miałem dość kłopotu, zanim się przekonałem, że moja muzyka równie dobra albo i lepsza, jak włoskie trele. Gdy po raz pierwszy wystawiono „Uprowadzenie z Seraju“, niejeden krzywił się i ruszał ramionami, a teraz jednak mówią, że niemiecka muzyka lepiej wnika do serca jak włoska. A ów Stampfl co po wszystkich kawiarniach dowodził, że Mozart nic a nic muzyki nie rozumie, bo tylko Włosi genijusz i natchnienie posiadają, otóż milczy teraz, bo go raz i drugi w kozi róg zapędziłem. Dowodził on, że w jego żyłach włoska krew płynie.

„A to zkąd znowu?“

„Jego matka miała siostrę, a ta znowu miała przyjaciołkę, której mleczny brat odbywał podróż po Włoszech“, odparł kwaśno Mozart. „Ale wyobraź sobie, że ten głupiec robi słodkie oczy do mojej Konstancji, niech się strzeże, bo mu kości połamię.“

„Znowu się zapalasz.“

„Nie, wcale nie, nie boję się go. Konstancja mnie kocha, a choć pani matka wolałaby za zięcia bogatego pana, jak ubogiego muzyka, to Kostusia go nie zechce.“

„Więc możesz czekać cierpliwie.“

„Nie, nie i nie. Każda chwila dla mnie stracona, którą bez niej przeżyć muszę. Moje postanowienie niecofnione, jeśli jej teraz nie dostanę, to mi nic nie pozostaje jak rozpacz, szał, śmierć. — Słuchaj Griesberger — rzekł kładąc rękę na ramieniu przyjaciela — jesteś dobry chłopiec, musisz mi w jednej sprawie dopomódz.“

„Chętnie, jeżeli to jest w mojej mocy.“

„Słowo?“

„Słowo.“

„Słuchaj,“ rzekł Mozart tajemniczym tonem, „znasz „Uprowadzenie z Seraju?“

„Spodziewam się, czyż jest Wiedeńczyk, któryby tego nie znał?“

„Otóż chcę fikcję zamienić w rzeczywistość i sam główną rolę odegrać. Wczoraj matka dała mi kosza, dziś rozmówiłem się z Konstancją, i oto daję przedstawienie.“

„Czy mówisz to na serjo?“

„Ależ najzupełniej.“

„I w nocy chcesz ją porwać?“

„Co znowu, po to żeby sobie policję na kark sprowadzić? W dzień, mówię ci, i to w samo południe.“

„W czemże więc mam ci dopomódz?“

Mozart podparł ręką brodę i zadumał się głęboko.

„O to w tem i sęk, że niewiem w czem“ — odparł — do uprowadzenia bez powiernika nie obejdzie się. „Słuchaj“, krzyknął uradowany, „mam już, znalazłem. Jak tylko uprowadzę Konstancję w bezpieczne miejsce, ty oblecisz wszystkie znane kawiarnie, ogłaszając, że Mozart pannę Weber porwał. Gdy całe miasto będzie już o tem wiedziało, matce nie pozostanie, jak „faire bonne mine au mauvais jeu“ i zezwolenie wraz z błogosławieństwem nam udzielić.“

„To nieźle pomyślane“, powiedział Griesberger, „ale kiedyż działać zaczniemy?“

„Jutro o trzeciej Konstancja będzie sama w domu. Otóż idziemy tam, ty czekasz na dole, ja zaś idę na górę, zabieram mój skarb i w drogę.“

„A ja w drogę do kawiarni.“

„W drogę, w drogę“, zawołali obaj i schwyciwszy się za ręce, zaczęli tańczyć w koło pokoju.

Uprojektowane porwanie młodziutkiej panny Weber nie obeszło się wszakże bez przeszkód. Gdy nazajutrz o umówionej godzinie zbliżali się do domu, gdzie mieszkała, spotkali pod samą bramą rywala Mozarta, któremu ten obiecywał kości połamać. Griesberger zaczął go zabawiać rozmową, a Mozart wśliznął się niepostrzeżenie do domu. Z powrotem było jeszcze trudniej. Nie mogąc przejść z narzeczoną koło stojącego na czatach Stampfla, wpadł na myśl szczęśliwą, wszedł do sklepiku z mlekiem, będącego w bramie i uprosił mleczarkę, by zarzuciwszy na Konstancję swą chustkę, wywiozła ją w umówione miejsce wózkiem, zaprzężonym w osła, mającego rozwozić mleko. Na nieszczęście zanim Konstancja zdążyła usiąść, ktoś spłoszył osła, który zaczął biedz w kierunku miasta. W tej krytytycznej chwili Mozart wyskoczył z kryjówki i przytrzymał osła za ogon, mleczarka przybiegła na pomoc i za chwilę Konstancja już była daleko.

„Mozart, to był Mozart“, krzyknął Stampfl, usiłując biedz za wózkiem.

Griesberger pochwycił go i trzymał go jak żelaznemi kleszczami.

„Co panu po głowie chodzi“, wołał, „co ma Mozart wspólnego z osłem mleczarki.“

„Puszczaj mnie pan, on był tam na górze, a pani Weber nie ma w domu.“

„Zdaje się panu, Mozart gra w kawiarni z doktorem G.“

„Kłamiesz, chcę wiedzieć, co tam Mozart robił na górze?“

„Czy to pana obchodzi?“

„Jesteś pan grubijaninem.“

„Słuchaj pan“, rzekł do Stampfla, „odprowadź mnie na Graben, to ci opowiem po co Mozart był tam na górze. Jeżeli chcesz o nim się czego dowiedzieć, to trzymaj się mnie, co masz sił. Mozart wykradł pannę Weber.

I zostawiwszy na środku ulicy skamieniałego Stampfla, pobiegł rozgłaszać nowinę po kawiarniach.

Mozart tymczasem pośpieszył za narzeczoną i powierzył ją opiece przyjaciółki matki, baronowej Waldstätten, która bez wielkich trudności przebaczenie i błogosławieństwo dla dwojga zakochanych uzyskała. „Uprowadzenie“ było przez długi czas wyłącznym przedmiotem rozmów Wiedeńczyków, a gdy wkrótce potem nastąpiło wesele, całe miasto brało udział w radości i szczęściu wielkiego muzyka.

Mrówki.

Aż niemało czasu
Nabłąkawszy się, wkońcu wszedł w głębinę lasu,
I trafił, czy umyślnie, czyli też przypadkiem
Na wzgórek, co był wczora szczęścia jego [świadkiem,
Gdzie dostał on bilecik, zadatek kochania,
Miejsce, jak wiemy, zwane *Świątynią dumania.*
Gdy okiem wkoło rzuca, postrzega: to ona!
Telimena, samotna, w myślach pogrążona,
Od wczorajszej postacią i strojem odmienna,
W bieliźnie, na kamieniu, sama jak kamienna;
Twarz schyloną w otwarte utuliła dłonie,
Choć nie słyszysz szlochania, znać, że we łzach [tonie.

Daremnie broniło się serce Tadeusza;
Ulitował się, uczuł, że go żal porusza
Długo poglądał niemy, ukryty za drzewem,
Nakoniec westchnął i rzekł sam do siebie z gnie-
[wem:
„Głupi! cóż ona winna, żem się ja pomylił ..”
Więc zwolna głowę ku niej z za drzewa wy-
[chylił,
Gdy nagle Telimena zrywa się z siedzenia,
Rzuca się w prawo, w lewo, skacze skroś stru-
[mienia,
Rozkrzyżowana, z włosem rozpuszczonym,
[blada,
Pędzi w las, podskakuje, przyklęka, upada,
I nie mogąc już powstać, kręci się po darni;
Widać z jej ruchów, w jakiej strasznej jest mę-
[czarni:
Chwyta się za pierś, szyję, za stopy, kolana.
Stanął Tadeusz myśląc, że jest pomięszana,
Lub ma wielką chorobę. Lecz z innej przyczyny
Pochodziły te ruchy.
U blizkiej brzeziny
Było wielkie mrowisko. Owad gospodarny
...ał się w koło po trawie, ruchawy i czarny,
...ie wiedzieć, czy z potrzeby czy z upodobania,
...ubił szczególnie zwiedzać *Świątynię du-*
[*mania.*
Od stołecznego wzgórka aż po źródła brzegi
Wydeptał drogę, którą wiódł swoje szeregi.
Nieszczęściem Telimena siedziała śród dróżki:
Mrówki, znęcone blaskiem bieluchnej pończoszki,
Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać,
Telimena musiała uciekać, otrząsać,
...akoniec na murawie siąść i owad łowić.
...ie mógł jej swej pomocy Tadeusz odmówić:
...zyszczając sukienkę aż do nóg się zniżył,
...sta trafem ku skroniom Telimeny zbliżył...
„Pan Tadeusz“ *Mickiewicz.*

Mróz.

* Mróz jest to jedyny nauczyciel, który ...powodzeniem rozkrzewia umiejętność sypania ...ców na kartofle.

Mucha.

* Jedna mucha uczona, dumne strojąc miny,
Radziła swoim siostrom strzedz się pajęczyny,
Że tam mieszka ukryty pająk bardzo brzydki,
Co je może obedrzeć, do ostatniej nitki.
Gdy sobie zadawała dość przytem mozołu,
Roztargniona w zapale, wpadła do rosołu.
Widząc siostry biedaczkę w tak ciężkiej potrze-
[bie,
Rzekły: zamiast nauczać pilnuj lepiej siebie.

* Gdy w zgromadzeniu spostrzeżono młodą mężatkę z muszkami na twarzy, rzekł pewien jegomość: „Patrzcie, ile ta sobie narobiła wdzięków” „Alboż to są wdzięki, — odezwał się jakiś trzpiot — to są muchy, których będąc panną, miała tak wiele, a które teraz mąż powyganiał jej z nosa.”

Mufka.

* Sto lat temu mężczyzni nosili mufki, tak jak je kobiety noszą teraz.

Zofija Arnould dowiedziawszy się, że kontroler finansów kupił ją dla siebie, powiedziała:

— Co mu tam po mufce, jemu i tak nie zimno w ręce, bo zawsze trzyma je w naszych kieszeniach.

Murzyn.

* Czterech młodych Francuzów malarzy urządziło wycieczkę z Rzymu do Neapolu.

Wesoła gromadka roztarasowała się w znanej gospodzie na Terrazinie. Jedli dobrze, a pili jeszcze lepiej i w końcu udali się na spoczynek.

Jeden z nich, mocno podchmielony, nie mógł trafić do przeznaczonego mu łóżka, zawołał więc na gospodarza, który mu oznajmił, że wszystkie łóżka są już pozajmowane.

Nasz artysta nie chciał się z tem zgodzić, na co gospodarz powiedział, że nic poradzić nie może, jak tylko mu zaproponować, by się położył do łóżka, w którem już śpi jakiś murzyn

Artysta przyjął propozycyję i kazał się do owego łóżka zaprowadzić.

Koledzy podsłuchali tę rozmowę i umówili się zrobić mu figla. Na palcach podeszli do łóżka i jak tylko usnął, pomalowali mu twarz na czarno, tak że nie można go było odróżnić od obok leżącego murzyna.

Raniutko wpadli do jego pokoju, wołając:

„Wstawaj śpiochu, już późno i czas ruszać w drogę.“

Biedny malarz, niewyspany, wstał chwiejąc się na nogach i podszedł do lustra.

Zaledwie jednak ujrzał swe czarne jak węgiel oblicze, parsknął śmiechem i rzekł:

„To dopiero się oszukali, zamiast mnie murzyna obudzili.“

I znowu położył się do łóżka.

Muzycy.

* Znałem ja wielu muzyków i kompozytorów, nawet takich, co jedną operę przez dwadzieścia lat pisali, a jednak z żadnym z nich dłużej nad trzy minuty nie mówiłem. Ja twierdzę, że jest piękna pogoda, a on mi na to, że się uda koncert w ogrodzie strzeleckim. Ja pochwalam zdanie Kopernika, tyczące się kształtu ziemi, a on zaraz obiecuje przeprowadzić tego dowód za pomocą symfonii. Ja wyrażam ubolewanie nad wdową po weterynarzu, który na dur zakończył życie, a on mnie się zapytuje, czy to Es-dur, czy C-dur. Ja o generale Benedeku, a on prawi o generał-basie. Ja o małżeństwie pana Henryka, a on o duecie — ja o pierworodnym jego synie, a on wyraża radość, że piękne złożyło się trio. Ja chcę przejść przez Sukiennice, a on zwraca moją uwagę na śliczne passaże w „Tuptu-tuptu.“ Mów coś o młodzieży, to mu się zaraz „Bettelstudent“ przypomni. Przez cały czas hecy egipskiej śpiewał arje z Afrykanki, na wzmiankę o anti-semityzmie nuci aryję z „Żydówki“. Wspomnij o Hormansztadzie, a on wyjedzie z biografią panny Hermanówny. Z gospodarzem wiejskim miast mówić o mierzwie, wszczyna dyskusyję o Mierzwińskim. Narzeczoną traktuje jako przyszły akompaniament. Powiedz mu, że się nie znasz na muzyce, to użyje całej skali głosu od niskiego *b* do wysokiego *cis*, aby cię obgadać po mieście jako ignoranta, człowieka pozbawionego uczuć szlachetnych i tak dalece niskiego i podłego charakteru, że nawet Wagner nie zdołałby całej ohydy jego wykazać, choćby do tego użył wszelkich łamanych akordów, a nawet najforsowniejszego wydobywania się w górę basów. To też ilekolwiek razy spotkam się z takim panem, po zapewnieniu wzajemnego szacunku i wyczerpaniu wiadomości o zdrowiu, udaję bardzo zajętego, słowem biorę go na fis i urządzam fugę.

Muzyk.

* Hrabia Q. przejął w tych czasach miłosną korespondencyję swojej żony z jednym ze znanych naszych artystów, który jej dawał lekcyje.

Uzbrojony podobnem *corpus delicti*, wpada jak szalony do buduaru hrabiny!

O nieba! zastaje tam klęczącego u nóg jej artystę.

— Precz z mego domu... wychodź ztąd natychmiast! — wrzasnął rozindyczony hrabia.

— Panie hrabio — odrzekł z flegmą i z lekkim przekąsem nasz znany a dowcipny artysta — wychodzę, ale pozwól zrobić sobie hrabio uwagę, że pańscy przodkowie powiedzieliby w podobnej chwili: *wychodźmy natychmiast*...

* * *

Ale hrabia Q. nie odznaczał się ani cywilną, ani wojskową odwagą.

Zamiast krwi popłynęły... strugi szampana.

Zgoda nastąpiła, a nasz artysta otoczony jeszcze większym urokiem, nietylko bałamuci hrabinę, większych jeszcze niż przedtem względów od niej doznając, ale przy lada okazyi szydzi z hrabiego.

Oto temi dniami hrabia, który jest próżny, zarozumiały, pyszny ze swego rodu a przytem

próżniak, marnotrawca i ograniczony, przechwalał się swem nazwiskiem, tytułem, starożytnością swej familii, dziełami antenatów.

A było to w czasie bibki u Bocquerel'a, na której znajdował się i nasz artysta, żyjący w najlepszej komitywie z hrabią po niedawnej katastrofie.

Głowy już były zagrzane.

— Mój hrabio -- odezwie się artysta — według mnie, kto się chełpi swoimi przodkami, zupełnie jest podobnym do kartofla.

— Jakto? do kartofla — pytają się chórem biesiadnicy — no, no, przesadziłeś maëstro, zabawne porównanie.

— Ale prawdziwe — odpowiada artysta -- choćby kartofle czy to w polu, czy w ogrodzie najlepiej wyglądały, to przyznacie jednak, że to, co jest najlepszego, sam owoc, znajduje się w ziemi.

Muzyka.

* *Muzykalna osoba.*

On. Jakże się pani bawiła na wczorajszem zebraniu u pani B?

Ona. Doskonale. Grano kilka godzin z rzędu i to samego prawie Szopena. Czy pan zna Szopena?

On. Żałuję, ale nie; ja znam tylko bezika i geryłasza.

* *W ogrodzie.*

— Przepraszam pana, co grają, symfonię czy walca?

— O nie — pani! To traviata z Żydówki.

* *Kocia muzyka.*

W roku 1848 hrabia Sander, którego żona była córką Metternicha, przyjechał razem z nią do Wiednia i został przyjęty pierwszej nocy kocią muzyką. Nie tracąc śmiałości, otworzył okno i zapytał hałasujących, dla kogo z dwojga nich jest ta kocia muzyka. „Dla żony“ — krzyknął tłum. „No to poczekajcie trochę—rzekł hrabia — zaraz i ja przyjdę wam dopomódz.“

* *Z muzyki.*

— Czem się to dzieje, że kompozytor X. pisze utwory oryginalne, a motywy kompozytora Y. są jakby kradzione?

— Bo kompozytor X. przed napisaniem kompozycyi kładzie wiolinowe i basowe *klucze*, a kompozytor Y.... wytrychy.

Myśli.

* Cierpliwość jest sztuką, której żadna kobieta nie potrafi się nauczyć, chociaż każda po mistrzowsku potrafi jej uczyć innych...

„*Humorysta Warszawski*“.

* Och! kobieta... wina czara,
Rzeczą to jedyną,
Lecz kobieta nie za *stara*,
Nie za *młode* wino!...

Z „*Kukuryku*“.

* *Myśli majowe.*

Słowik tem się różni od wielu primadonn że śpiewa darmo i dobrze.

Maj jest epoką zieleni, który nawet w łysych głowach objawia się niekiedy...

Statystyka uczy, że w maju na każdą minutę przypada 7413 oświadczeń miłości.

Maj jest miesiącem sprzedaży zielonego zboża.

Maj jest wielbionym nawet przez gołych, gdyż pociesza ich nadzieją bezpłatnego ciepła.

* *Myśl dzierżawcy dóbr ziemskich z nad Buga.*

Powiadają, że my nie jesteśmy dziećmi tej żemi. Nu, niech mi kto pokaże dżecko, coby swoją matkę lepiej ssać potrafiło niż my.

* *Myśli zebrane od starych ludzi i ze starych książek.*

Jeżeli delikatność jest cechą wyższych zdolności i wychowania, to najmniej pod tym względem odznaczają się literaci, broniący jakiej sprawy.

Nie ma tak wielkiej niedorzeczności, którejby jaki mędrzec nie popierał, i nawzajem, nie ma nic tak mądrego na świecie, czemuby jaki głupiec nie przeczył — na tej zasadzie usprawiedliwiają się polemiki pism peryjodycznych.

Estetycy zaznaczają dwa rodzaje artyzmu: rozwagi i natchnienia; — recenzenci teatralni należą do ostatnich — tak na nich scena działa, że piszą recenzyę przed widowiskiem.

Ludzkość postępuje na drodze oświaty. Lapończykowie dotąd zjadali łojowe świece, dziś już jedzą stearynowe, — dawniej liczyli do dziesięciu przy pomocy rąk, dziś liczą do dwudziestu przy pomocy nóg; i u nas już można widzieć wielkich ludzi, rozlepionych po rogach ulic, miejmy nadzieję, że z czasem ujrzymy ich na bruku, aby ich łatwiej spostrzedz i uwielbiać.

Towarzystwo uczonych niemieckich zebrało się w Berlinie celem rozjaśnienia kwestyi historycznej: „Czy Ninus, król babiloński, miał prawą rękę dłuższą od lewej, czy lewą dłuższą od prawej?

Wszystkie matki, które się obawiają, aby ich córki nie zakochały się zawcześnie lub niestosownie, niech im pokażą obraz kochanka w osobie jednego z naszych artystów.

Kto kocha jak warjat, niech się ożeni, aby zaczął kochać jak mędrzec.

Dzisiejsze gazety krytykują błędy artystów, — pożądaną by była gazeta, krytykująca błędy krytyków.

Dwojaką drogą dobijamy się rozgłosu w zawodzie artysty: albo wynajdując sobie znakomitych nauczycieli, albo wynajdując znakomitych uczniów; pierwszy jednak sposób jest pewniejszy, bo znakomici nauczyciele albo już spoczywają w grobie, albo daleko mieszkają, z tego powodu nie tak łatwo odkrywa się blaga.

Amfiteatr 1-go piętra zwykle w czasie widowisk jest opróżniony, albowiem kapelusze dam, siedzących w krzesłach, zasłaniają publiczności scenę.

Pierwszym pomysłem o pochodzeniu człowieka natchnęły Darwina kobiety, które dotąd chodzą po mieście z ogonami.

Dawniej artysta czynił na nas wrażenie, później doznawaliśmy wzruszenia, następnie jego talent nas uderza, a niekiedy nawet bije w oczy;— miejmy nadzieję, że nam się kiedyś i po plecach dostanie.

Dawniej odkrycia na niebie tak się stały powszechnemi, że Arago, nie chcąc sobie ubliżać, czynił je przez swego sekretarza, — dzisiaj recenzje teatralne tak są spospolitowane, że niektórzy redaktorowie polecili tę gałęź literatury służbie przy biletach; niezawodnie publiczność na tej zamianie skorzysta, bo sprawozdawcy będą więcej jak dotąd kompetentni.

Każdy zamiar jest do pokonania, ale nie każdy środek do zdobycia, — przysłowie podlaskie naucza, że „zając zadusi konia, jak mu wilk dopomoże.“

Skład artystów naszej opery powiększony został o jedną śpiewaczkę. Dotąd mieliśmy panią Dowiakowską bez tremolów, a teraz mamy jeszcze panią Dowiakowską z tremolami (Lukrecya Borgia); ta jest różnica pomiędzy temi dwiema śpiewaczkami, że pierwsza ma czyściejszą intonacyę.

* *Myśli wyjęte z rozmaitych pamiętników a propos nagrodzenia pomnika Mickiewiczowskiego.*

Akcyonaryusz każe — skryba musi!

(Korespondent stojący po za jury, a piszący sprawozdanie do Wyrazu).

Co to za protest, na którym nie ma mego podpisu. To uzurpacya.

(Generalny dotychczasowy arendarz opinii publicznej).

Moralność jest rzeczą względną, dziś kogoś mogę unurzać w błocie, a jutro posypać go pudrem. Dla tego, niech tam moi ludzie piszą sobie, co im się tylko podoba; za Dykasem, przeciw Dykasowi, za Czartoryskimi i przeciw Czartoryskim — za jury i przeciw jurom, ja wszystko, jak zawsze drukować będę, albowiem pismo winno być śmietnikiem, w którem wszystko się pomieści.

(Król reporterów o dziurawych mostkach).

Napisać własne zdanie nie zawadzi, ale przedrukowywać cudze głupstwa i brutalstwa, jest także dobrą rzeczą—raz z tej racyi, że przedruk zajmie szpalt kilka i nic nie kosztuje, potem że zawsze można będzie się wycofać, a w każdym razie przyczynić do zamętu pojęć ubożuchnych czytelników.

(Ani be, ani me, redakcyja do wszystkiego).

Najlepiej pomnik trzeba było obstalować u niemców, bo nasi rzeźbiarze do niczego. Ja tak zrobiłem z pomnikiem dla mojej matki i prawdopodobnie dla tego zostałem wybrany członkiem jury.

(Jeden z dziewięciopałkowych sędziów jury).

Zawezwany zostałem do grona sędziów konkursowych. Niesłychanie mnie to cieszy. Uniwersalność moja znaną jest bowiem powszechnie. Mogę wyrokować o kanalizacyi i sztukach pięknych, kiedyś służyłem czerwonemu księciu, dziś służę stańczykom, estymują mnie bardzo i wygoda ztąd wielka, gotówki nie braknie, trzeba tylko dobrze wąchać i wiedzieć, zkąd wiatr wieje.

(Specyjalista od wszystkiego, kandydat na członka akademii).

Co to za przemyślny naród te stańczyki — widząc, jak pobudowałem Sukiennice, które gdyby nie żelazne pręty Zyblikiewicza obaliłyby się były niedługo, powołali mnie na członka jury, abym tak dojrzał tego dzieła, iżby niebawem fiknęło. No, przecież to rzecz wiadoma, że Mickiewicz był niepospolitym warchołem.

(Budowniczy od Sukiennic).

Już wiem, dla czego mnie wyznaczyli na członka jury. Pisałem wiele o wodzie warszawskiej i mówiłem o pasożytach. Ta wanienka pomnikowa także wody dostarczać będzie dorożkarzom i innym przeróżnym osobnikom. Zresztą jestem kompetentnym we wszystkiem.

(Hrabia — doktór, członek jury).

Już my to tutaj wleźliśmy zupełnie jak Piłat w Credo.

(Trzech pozostałych dziewięciopałkowych sędziów jury).

Prawda i sprawiedliwość przedewszystkiem.

(Członek jury — ekscelencyja).

* *Kilka myśli.*

Kiedy żona u sukni nosi ogon długi,
Mąż na towar łokciowy zwykł zaciągać długi.

Kiedy żona u sukni nosi ogon krótszy,
Mąż znów długi zaciąga, aby strój był sutszy.

Kiedy żona ma suknię bez ogona wcale,
Mąż znowu lezie w długi na przeróżne ale.

Jednem słowem z ogonem, czy też bez ogona,
Kosztowny to jest mebel, elegancka żona.

Świąteczny.

* *Myśl bardzo poważna.*

Pewien członek towarzystwa dobroczynności powiedział: że człowiek bez tytułu, jest jak pies bez ogona.

* *Tombakowe myśli.*

Kobieto!... tyś ideałem,
Tyś poematem natury,
Tyś dla nas bóstwem — tyś dla nas szałem
W tiurniurze — i bez tiurniury...

* *Kilka bezmyślnych myśli o kobiecie.*

Kobiecie można wierzyć:

gdy mówi, że nienawidzi — zawsze —
gdy zapewnia o swojej miłości—czasem —
gdy przyrzeka wierność — nigdy —

Łzy kobiet wyciska:

Zawiść — szczera
Boleść — obfita
Miłość — używana.

Im która kobieta potrzebuje więcej czasu, aby się ubrać, tem mniej go traci przy wprost przeciwnej akcyi.

Nie ma tak małej nogi na świecie, którą kobieta nie byłaby w możności... zdeptać najświętszych uczuć.

Kobieta najłatwiej:

nasyca się — zemstą,
upaja — namiętnością,
oddycha — pochlebstwami.

Kobieta stokroć woli być pomówioną o brak zasad, niż o brak... wielbicieli.

Kobiety są nadzwyczaj podobne do gwiazd: im *wyżej* się znajdują, tem dla większej liczby śmiertelników... *świecą*, raz upadłszy... gasną— i wówczas przedstawiają interes jedynie dla badających przyrodę.

Przywykliśmy kobiety uważać za heroglify, gdy tymczasem każda z nich jest na swój sposób węzłem gordyjskim, całe szczęście, iż mamy więcej Champollionów niż... Aleksandrów.

Zawodów miłosnych najczęściej doświadczają kobiety... *nieposzlakowanej* cnoty.

Najprzystępniejsza kobieta potrafi być niedostępną dla... niedostępnego wielbiciela.

Kobiety najłatwiej lubią, gdy atakując są pewne — a będąc atakowane niepewne — zwycięztwa.

Łatwiej jest ładnej kobiecie przeniewierzyć się stu, niż brzydkiej módz być wierną, choćby jednemu.

Kobieta tem się tylko różni od... dzwonu, że ostatni, jeżeli jest bez serca to... milczy, gdy tymczasem z kobietami ma się rzecz wprost przeciwnie.

Jeżeli kobieta powie ci, iż, zgrzeszyła, możesz ją rozgrzeszyć bez wahania, natomiast, strzeż się, gdy ci da do zrozumienia, iż zadowoloną jest ze swego postępku.

Ponieważ stworzenie Ewy było niespodzianką dla śpiącego podówczas Adama, nic więc dziwnego, iż córki Ewy urządzają tak często... niespodzianki zasypiającym sprawę synom Adama.

Jeżeli nie chcesz się dzielić kobietą z... przyjacielem, to — oddaj mu ją całkowicie, środek to bowiem nie tylko że niezawodny ale i jedyny.

* *Z notatek żółciowego myśliciela.*

Francuzki uczony Gautier znalazł jad w ludzkiej ślinie. Mnie pozostaje tylko dodać, że najwięcej jadu zawiera chyba ślina...: dewotki.

Mój przyjaciel przez całe życie poszukuje kwadratury koła, ja zaś szukam — kobiety sprawiedliwej. Zdaje się, że obaj jesteśmy dalecy od celu poszukiwań.

Sława podobna jest do starego wina węgierskiego, im więcej go pijesz — tem więcej pragniesz.

Ludzie myślą tylko o rzeczach ziemskich. Dla tego na świecie brylant „czystej wody" wart więcej, niż turkus „jaśniejszy od nieba".

Kaszel jest ironicznym śmiechem płuc — z człowieka.

Zajmując się filozofią do śmierci — można poznać jej tajniki, ale tysiąc lat życia mało, żeby poznać... kobietę.

Kobieta podobna do fortecy. Wbrew jednakże sztuce wojennej, im mniej jest oblegających, tem zwycięztwo pewniejsze. Jeden przeto oblegający zazwyczaj najprędzej dostaje klucze bram fortecznych.

Serce kobiety podobne jest do albumu szkiców z luźnemi kartkami. Szkoda jednak, że często szkice najładniejsze zabiorą konkurenci, a mężowi pozostaje... okładka.

Twarz jest dzienniczkiem podróży życia. Ona z całą akuratnością wypisuje nasze rachunki z czasem.

Myślnik.

* Myślnik oznacza zwykle grób dla myśli, którą miał piszący — a kołyskę dla myśli, która budzi się w czytającym!

Myśliwy.

* Wieśniak jeden posiadał w pobliżu miasteczka H. morg ziemi zasadzony kapustą, w której zające ciągle szkody robiły. Ponieważ chwytanie w sidła i strzelanie do zajęcy było zabronione przez prawo, wymyślił on następujące podejście, by się na rabusiach zemścić. Wyciął wszystką kapustę, zostawiając tylko jedną główkę, tę wydrążył, napełnił bardzo mocną tabaką i ziemię naokoło wyłożył płaskiemi kamieniami.

Nadeszło w istocie kilkanaście zajęcy, chcąc się jak zawsze uraczyć i zaraz zabrały się do owej zostawionej główki kapusty.

Po kilku kąskach tabaka zaczęła działać, zające kichały, rozbijając sobie głowy o dokoła leżące kamienie. W parę godzin przy zdradzieckiej głowie kapusty leżał cały stos zakichanych na śmierć zająców.

O to przekroczenie praw polowania został wieśniak przed burmistrzem oskarżony. Ogólną ciekawość obudziła kwestyja, jak też ta sprawa osądzoną zostanie, co do jednego tylko nie ma wątpliwości, to jest, że wieśniak w braku kogo innego koszta procesu zapłacić będzie zmuszony. Tłumaczenie tego ostatniego a raczej jego obrońcy nie znalazło podobno uwzględnienia przed sądem. Brzmiało ono jak następuje: „Kapusta nie dla zajęcy była sadzona. Oskarżony nie winien temu, że zające kataru dostały i że wskutek tego tak mocno kichały; przeciwnie, zające są winne samobójstwa i zasługują na karę a za wyżycie tak wielkiej ilości tabaki należy się od nich wynagrodzenie poszkodowanemu.“

* Dillon, arcybiskup z Narbonny, lubił namiętnie polowanie i Ludwik XV robił mu z tego względu raz wymówki.

„Zajmujesz się dużo myśliwstwem, panie arcybiskupie, wiem ja coś o tem. I jakże tu bronić polowania twoim proboszczom, jeśli ty życie swe trawisz na dawanie im złego przykładu?“

„Ach, bo widzisz Najjaśniejszy Panie, u moich proboszczów żyłka myśliwska jest wadą ich własną wtedy, gdy u mnie jest to wada moich przodków.“

(Beugnot, *Mémoires*).

* — „Eh! mnie lepiej się zdarzyło,
To tak mocium panie było,
Prawdziwie myśliwska sztuka:
Polowaliśmy z naganką
Na lisa i na borsuka:
Ja stanąłem nad polanką
I tak ci wycelowałem,
Że zabiłem jednym strzałem
Lisa, i kulą do płota
Przygwaździam za ogon kota.“

— „Eh! mnie lepiej się zdarzyło;
Byłoż panie dziwno było!
Raz zmrokiem — patrzę — na grzędzie
Coś siedzi, okrągłe główki,
Dwanaście kuropatw w rzędzie;
Pakuję stempel do lufki,
Podchodzę z boku ostrożnie
Pęc! i ptaki jak na rożnie —

Na stemplu; choć rzuć u pieca,
To mi się nazywa heca!"

— „Eh! mnie lepiej się zdarzyło:
W zimie, na dziki to było;
Wytropiliśmy dwa stada;
Jeden warchlak jak szalony
Pod nogi mi panie wpada;
Ja byłem trochę zmęczony
Przysiadam mu więc na grzbiecie,
Ten rusza; i co powiecie
Podwiózł mnie prawie do dworu,
Daję wam słowo honoru."

— „Eh! mnie lepiej się zdarzyło:
Nie pamiętam, gdzie to było,
Dość, że szliśmy na niedźwiedzie:
Sądzili, panie, że zginę;
Bestja prosto na mnie jedzie
I łapami za czuprynę.
Myślę: co on mnie dotyka!
Jak mu wytnę w sam nos byka,
Aż fajtnął na środek drogi,
Ogon pod siebie i w nogi."

— „Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
To już prawie cudem było;
Obnosili mnie jak króla,
Pogłupieli z podziwienia:
Jedna, panie, moja kula
Wierci na wylot jelenia,
Z jelenia wpada w zająca;
Wypadłszy, na śmierć potrąca
Dwie sarny i lisów kilka;
Wreszcie grzęźnie w pysku wilka."

— „Eh! mnie lepiej się zdarzyło:
To dopiero pięknie było!
Polowaliśmy z obławą;
Słucham, właśnie była susza
W krzakach coś szeleści trawą
I najwyraźniej się rusza;
Wnet poznałem zwroty dzika;
Bęc! bęc! ot co jest praktyka!
Trafiłem — w sam łeb sąsiada,
W dwie, panie, baby i w dziada."

M. Rodoć. (p. t. I s. 125).

* Był sobie kiedyś — opowiadał pewien myśliwy — leśniczy, którego dobrze znałem i który nigdy w swem życiu nie skłamał. Otóż wrócił on pewnego razu późno wieczorem do domu, zmęczony srodze, bo cały dzień spędził na polowaniu.

Wrzucił parę polan na ogień, zjadł kolacyję i położył się do łóżka. Nie kładł on się wszakże po to, żeby spać, bo to było jeszcze wcześnie, chciał sobie tylko odpocząć, patrząc na ogień, który wesoło płonął na kominku.

Gdy tak sobie leżał, nie myśląc o niczem złem, wchodzi lis. Zapomniałem powiedzieć, że dom leśniczego stał na skraju lasu i że leśniczy mieszkał sam jeden z swemi psami. Te wchodziły zwyczajnie przez otwór w ścianie, kiedy im się podobało. Otóż przez tę dziurę wszedł sobie lis, podszedł do ognia i usiadł, grzejąc się na tylnich łapach. Tak jakoś źle się trafiło, że psów nie było w tę porę, a lis musiał to dobrze wiedzieć, skoro był taki bezpieczny.

Mając nadzieję, że nadbiegnie który z psów i złapie lisa, leżał sobie spokojnie leśniczy, by go nie spłoszyć, ale zbrakło mu cierpliwości, gdyż oto widzi, jak ten nicpoń (przysięgam, że prawdę mówię) bierze fajkę ze stołu, zapala u ognia i zaczyna palić.

„Dam ja tobie hultaju, łotrze z długim ogonem! — krzyknął myśliwy rozzłoszczony—chce ci się mojej fajki? Poczekaj tylko, gdybym miał dubeltówkę w ręku, powąchałbyś innego dymu! Niechno przyjdą moje psy, to pożałujesz, żeś za drzwiami nie został". Wyczekiwał jeszcze chwilę, nie ruszając się z miejsca, lis zaś nie zwracał na niego uwagi, ale wypaliwszy fajkę, wytrząsał z niej popiół. Wtedy leśniczy zeskoczył z łóżka, pobiegł do drzwi i przeciął lisowi odwrót, mówiąc: „Gotuj się na śmierć kochanie, nie wyjdziesz ztąd żywy". Powiedziawszy to, świsnął na psów.

Lis popatrzył na leśniczego, myśląc w duchu: Pora mi się już wynosić, ale ty mój panie mylisz, żeś wielki zuch; otóż przysięgam na mój gon! — a to u nas ważna przysięga — że nieam się złowić takiemu jak ty niedołędze. Pozekaj, będziesz ty musiał odejść od drzwi.“ — 'owiedziawszy to, lis wziął z kąta leżący trzeik drewniany leśniczego i rzucił go na ogień.

„Oszukałeś się kochanku — powiedział myliwy. — Niech trzewik się pali, a ja nie ruszę ię z miejsca.“ Wyrzekłszy to, przyłożył palce o ust i świsnął na psów.

„Zobaczymy, czy się nie ruszysz? — rzekł lis. - Sprobuję znowu tego środka“. — Mówiąc to ziął drugi trzewik i rzucił go w komin.

„Ty przeklęty złodzieju! — zawołał strzeec. — Nie zostawiłeś mi nawet jednej podezwy. Ale, to nic, twoje futro więcej warte jak ara drewnianych trzewików, a pieniądze za woją skórę tak jakbym miał już w kieszeni.“ 'rzyłożył palce do ust, chcąc świsnąć znowu, ż tu — nikt by nie dał wiary — siadł lis na ylnich nogach, przytknął przednie łapy do pyka i zaczął przedrzeźniać leśniczego. Niech ię udławię tem, co mówię, jeżeli choć odrobinę kłamałem! Naturalnie, nie można się dziwić, że eśniczy choć wściekły ze złości, zaczął się śmiać ak bardzo, że nie mógł sam na psów świstać. 'tóż w tem była przebiegłość lisa, że zyskał na zasie.

Gdy nakoniec strzelec przestał się śmiać znowu zaczął świstać, rzekł lis: „Na moją duzę, czuję, że mi na zdrowie szkodzi siedzenie tej dziurze, nie mogę dłużej zadawać się z tym hłopem, trzeba mu więc dać do zrozumienia, że ora mnie ztąd wypuścić, a ponieważ rzucanie ogień jego trzewików nie poskutkowało, sproaję innego środka.“

Jak pomyślał, tak zrobił. Jak to jest pradą, że mnie żywym widzicie, tak to z ust własych myśliwego słyszałem, a on nigdy w życiu ie skłamał i sam by nigdy nie uwierzył, gdyby a własne oczy nie widział. Wziął tedy lis z ogniska głownię zapaloną i pobiegł z nią do łóżka leśniczego, by ją w słomę rzucić. Jak to leśniczy zobaczył, krzyknął przeraźliwie i rzucił się do łóżka. Tego tylko lis i czekał i korzystając, że przejście było wolne, upuścił głownię na ziemię, a sam dał susa na dwór. Zanim jednakże wyszedł — myśliwy klął się na zbawienie — lis obejrzał się, spojrzał pogardliwie na leśniczego i pokazał mu język. Po chwili bestyja umknęła w las.

* *Z życia myśliwego.*

Kiedy na niego były dobre czasy,
Strzelał na łąkach krzyki i bekasy,
Gdy żydzi wzięli mokradła i łąki,
Drapnął do miasta i tam strzela... bąki.

Świąteczny.

* *Z kroniki myśliwskiej.*

.... Niech tam sobie arystokracyja w Krzeszowicach setkami wytępia sarny, a tysiącami zające; niech hrabiowie przejeżdżają się oklep na dzikach a książęta uganiają się galopem za lisami — ja państwu powiem otwarcie, że:

Nie było i nie będzie takiego myśliwego, jak pan Onufry Tabaczkiewicz!

Jest bo też to i persona po temu. Nizki, przepadkowaty, z twarzą wielką jak tablica i nosem, wzbudzającym poszanowanie — przytem „bernardyńskiego karku, sędziowego brzucha“ słowem: indywiduum w całem znaczeniu tego słowa *niepospolite.*

Otóż tedy — com to chciał rzeknąć — było raz polowanie na sarny. Nazjeżdżało się ludu co niemiara, bo szlachcic był, mosanie, kordyjalny, i rad był widzieć jaknajwięcej gąb przy swoim stole. Więc i koczami i węgierkami i taradyjkami — ba, prosto rzeknąwszy i *per pedes* — przywaliło się multum obywatelstwa, dzierżawców, oficyjalistów i biurokracyi, nie przymierzając, jak na sejmik jaki, lub pospolite ruszenie...

Stanął też do apelu i pan Tabaczkiewicz, który onego czasu w poblizkiem miasteczku wielce poważny urząd sprawował.

Gorzałki się napito — ba, i węgrzyna — przegryziono wędliną — zatrąbiono na rogach— huknięto na psy — huzia! — hop! hop! — tra-ta-ta! tra-ta-ta! — i polowanie się zaczęło.

Stoi sobie pan Tabaczkiewicz na polance, i niucha *francuzkę* z ogromnej tabakiery. Fuzyja przy nim nabita — oh, jeszcze jak nabita! — pakułami mosanie, prochem i śrutem najgrubszym... Stoi i niucha — niucha i medytuje — wtem, dyjabli nadali, wylatuje z lasu sarna — prawdziwa sarna — jak matkę kocham, prawdziwa!...

Sarna to niby zwierzę niewinne — ale ktoby tam zaś zwierzętom dowierzał — a przytem i rogi ma — ostre rogi do tego...

Pan Tabaczkiewicz chwycił za fuzyję i rozejrzał się dokoła. A stała właśnie jak na toż szychta drzewa świeżo zrąbanego (polowali tam przedtem żydkowie na .. sosny i brzezinę). Dalej więc chować się za szychtę, a ostrożnie żeby sarna nie dostrzegła!

Schował się — i czeka, co z tego będzie. Sarna przystanęła z drugiej strony szychty, i także czeka, co z tego wyniknie... A była w szychcie luka, bo jakiś chłop kilka szczap nocą wyciągnął — tedy przez tę lukę przygląda się Tabaczkiewicz sarnie, a sarna Tabaczkiewiczowi...

I czort wie, jakby to długo trwało, gdyby nie to, że myśliwy z drugiego stanowiska przybliżywszy się w tę stronę, dostrzegł niemą scenę pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, i jął na migi pokazywać Tabaczkiewiczowi, żeby przez lukę w szychcie strzelał do sarny.

Więc nasz Tabaczkiewicz westchnął, *francuzki* zażył, oczy wzniósł do nieba, i złożywszy się, pociągnął za cyngiel...

Grzmiący huk wystrzału . . . *nie dał się słyszeć!*

Zadziwił się nasz Onufry i silniej szarpnął cynglem... Ale i teraz nie było wystrzału!... Więc jeszcze silniej... Nic nie pomogło!

Pocił się zawzięty myśliwy, i palec sobie odgniatał, wreszcie ramię mu zemdlało i fuzyję na dół opuścił. Jednocześnie sarna wolnym truchtem odbiegła do lasu.

Myśliwy z drugiego stanowiska, zaciekawiony i zirytowany, zbliżył się do Tabaczkiewicza, fuzyję mu z rąk porwał, a obejrzawszy ją, krzyknął:

— Czyś oszalał człowieku? Jakże chcesz strzelać, kiedyś kurka u fuzyi nie odwiódł!

Ale Tabaczkiewicz nie skonfundował się bynajmniej, jeno tabaki z powagą zażywszy, odrzekł tajemniczo:

— Gadaj zdrów! Jeżelim nie strzelał, to dlatego tylko, że miałem do tego ważne powody...

Jakie to były te „ważne powody“ — o tem ani wtenczas, ani potem nikt się na pewno nie dowiedział.

Musiały być one jednak naprawdę *ważne*, gdyż powtarzam, że:

Nie było i nie będzie takiego myśliwego, jak pan Onufry Tabaczkiewicz!

Fantazy.

* *Z pamiętników myśliwego.*

Przed trzema dniami wróciłem z polowania, której to rycerskiej rozrywce oddałem się z moim przyjacielem Józiem.

Józiowi udało się postrzelić jakiegoś inwalida zająca, a moje pudła nie dziwiły mnie nic a nic... Strzelałem, myśląc zupełnie o czem innem. Głowę moją i serce zajmowała niepodzielnie Klocia, cudne stworzenie z dołkami na policzkach i mająca w sobie coś takiego...

Co, domyślcie się moi młodzi i nie młodzi przyjaciele, to jednak coś było powodem, że po trzydniowem przebywaniu na łonie wilgotnej i zbłoconej (jak zwykle w jesieni) natury, za-

pragnąłem, by srebrny jej głosik powitał mnie jak najprędzej słowy:

— A gdzieżeś to przepadał, urwisie!..

Zaledwie tedy tramwaj przywiózł mnie do domu, przemieniwszy ubranie, spieszyłem do mego skarbu, gdy stróż Walenty oddał mi list w pomiętej i poplamionej naftą kopercie... Rzuciłem okiem na adres, nieregularne heroglify o fantastycznej ortografii przekonały mnie, że to pismo Kloci...

— A więc i ona myślała o mnie... i ona była również niecierpliwą... Lećmy do niej ..

Przedtem jednak zobaczmy, co pisze. Podarłem kopertę i zacząłem czytać:

Szanowny Panie!

Dotąd uważałam pana za uczciwego chłopca, niewypowiedzianie mi pszykro więc (aniołek mój ma zwyczaj przykro pisać przez *sz*) najdroższy Stasiu, że ten, którego tak kochałam, jest niegodziwym kłamcą. Nie staraj się pan usprawiedliwić, wiem wszystko... (wszystko było trzy razy podkreślone), a ja cię tak kochałam, Stasiu, aniele... A teraz puszczam cię w... instrument Kuhnego, jakeś ty mnie opuścił, więcej się już nie znamy. Nie waż się więcej przychodzić do mnie.

Twoja do grobu
Klocia.

List powyższy zadziwił mnie niepomiernie... Niegodziwy kłamca, wiem wszystko... instrument Kuhnego... Doprawdy, nic a nic nie rozumiałem.

A jednak jej było pszykro, tak mnie kochała!.. Jest moją do grobu!.. Musieli widać biedaczce nagadać coś na mnie, ale to się wyjaśni...

To się musi wyjaśnić, powtarzałem sobie pędząc jak strzała ku skromnemu domkowi, gdzie mieszkała Klocia... Po drodze oberwałem dwie falbany i przewróciłem jakiegoś jegomościa, który groził, że mnie zapozwie do sądu... ale cóż mnie obchodzić mogły falbany i sądy, kiedy jej było pszykro...

Z łatwem do pojęcia wzruszeniem brałem za klamkę od izdebki Kloci.

— Kto tam? — odezwał się srebrny głosik.

Nie odpowiedziałem nic. Za chwilę za drzwiami usłyszałem szybkie kroki i za chwilę jeszcze Klocia wisiała na mojej szyi.

— Stasiu najdroższy, aniele! więc nie wytrzymałeś, przyszedłeś do swojej Dziudzi...

I nagle Klocia, nazwawszy się najpieszczotliwszem z przezwisk, jakie jej dawałem, wyrwała się z moich objęć.

— Jakeś pan śmiał przyjść — zaczęła surowo — przecież pisałam.

— Dziudziu! przysięgam ci, że to jakaś pomyłka, której nie rozumiem.

— Nie rozumiesz pan... to wyborne... Gdzieś pan przepadał przez cztery dni, słyszysz pan, przez całe cztery dni?..

— Przecież uprzedziłem cię, że jadę na polowanie z Józiem.

— Z żadnym Józiem... Bezwstydny kłamco, mógłbyś mnie jeszcze manić, gdybym nie widziała własnoręcznego jego listu, w którym on pisze, że teraz wszedłeś w blizkie stosunki z Dyjaną.

Blizkie stosunki Klocia wymówiła z niezwykłą jej goryczą, mimo to nie mogłem się nie roześmiać.

— Jeszcze się śmiejesz, bezwstydniku!

Klocia zapłakała.

— Ależ nie płacz — zacząłem — mój piesku, moje złotko... Więc ty nie wiesz, czem była Dyjana?

— Cóż mnie obchodzi, czem była, wiem tylko, że to bezwstydnica, która odbiera mi mego Stasia...

— Wiesz co, Kloci u, nierozsądną jesteś; Dyjana przecież to bogini...

— I jeszcze śmie mi to w oczy mówić... Tyle razy powtarzałeś mi, żem ja dla ciebie jedyne bóstwo, a teraz...

— Dajże sobie wytłomaczyć... Dyjana to bogini w Edenie...

— Nie kłam... W Edenie żadnej Dyjany nie było, tam męzka usługa...

Znowu się roześmiałem i mimo oporu Kloci nie mogłem się powstrzymać, by jej nie pocałować.

Broniąc się przeciw napaści, Klocia wciągnęła mnie do swojej izdebki... Tu dopiero dało mi się jej wytłómaczyć rodowód Dyjany.

Nie zaraz mi jednak przebaczyła.

Stało się to dopiero na drugi dzień wieczorem, gdy jej przeczytałem mitologiję od deski do deski.

O Dyjanie jednak sylabizowała sama kilka razy, zanim, śmiejąc się przez łzy, powiedziała:

— No pocałuj mnie, ty urwisie...

„*Kolce*".

KONIEC TOMU DRUGIEGO.